TAD WILLIAMS

Smoczy Tron

PIERWSZY TOM SERII
„Pamięć, Smutek i Cierń”

REBIS

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

TAD WILLIAMS

Smoczy Tron

Przełożył
Paweł Kruk

DOM WYDAWNICZY REBIS
POZNAŃ

BURZOWA GÓRA
URMSHEIM
YIQANUC
PUSZCZA DIMMERSKOG
RIMMERSGARD
FROSTMARCH
HERNYSTIR
WEALDHELM
ALDHEORTE
ZAMEK HAYHOLT
ERKYNLAND
WZGÓRZE THRITHING
WARINSTEN
RÓWNINA THRITHING
PERDRUIN
NABBAN
JEZIORO THRITHING
Osten Ard
WRAN

Nota Autora

Podjąłem trud, trud płynący z miłości do świata i z potrzeby ukojenia wzniosłych serc, bo takie serca miłuję, a świat jest mi drogi. Nie o zwykłym świecie mówię, nie o tych, którzy (jak słyszałem) nie potrafią przyjąć smutku i tęsknoty, lecz rozkoszy tylko pragną. (Niech więc Bóg pozwoli im w niej trwać!) Opowieść ma nie mówi o ich świecie i życiu; o innych będę opowiadał. W świecie, o którym myślę, w jednym sercu znajdziesz gorzką słodycz i drogi smutek, rozkosz serca i ból tęsknoty, radość smutku i smutek śmierci, radość śmierci i smutek życia. W takim to świecie pragnę zamieszkać aż do zbawienia lub do zatraty.

Gottfried von Strassburg
(autor *Tristana i Izoldy*)

Nie byłoby tej książki, gdyby nie pomoc wielu ludzi. Chciałbym wyrazie swe podziękowania następującym osobom: Evie Cumming, Nancy Deming-Williams, Arthurowi Ross Evansowi, Peterowi Stampfelowi i Michaelowi Whelanowi. Wszyscy oni czytali ten piekielnie długi rękopis, służyli mądrą radą i pomocą. Dziękuję też Andrew Harrisowi za pomoc logistyczną, która daleko wykraczała poza przyjacielskie wsparcie. Szczególne wyrazy wdzięczności jestem winien Betsy Wollheim i Sheili Gilbert, moim wydawcom, które długo i wytrwale pomagały mi, bym

napisał tę książkę najlepiej, jak potrafiłem. Oni wszyscy to wspaniali ludzie.

Książkę tę dedykuję mojej mamie, Barbarze Jean Evans,
dzięki której pokochałem Toad Hall, lasy the Hundred
Aker, hrabstwo oraz mnóstwo innych ukrytych miejsc
i państw poza polami, które znamy.
Ona również wszczepiła we mnie trwałe pragnienie
dokonywania własnych odkryć i dzielenia się nimi z innymi.
Z nią chciałbym się tą książką podzielić.

Przedmowa

...Ogromna jest księga szalonego kapłana Nissesa, twierdzą ci, którzy ją trzymali, waży tyle co małe dziecko. Znaleziono ją u boku Nissesa, gdy leżał martwy, z uśmiechem na twarzy, obok okna wieży, z której to wcześniej jego pan, król Hjeldin, skoczył i życie swe zakończył.

Rdzawy atrament – sporządzony z jagnięcej błony, ciemiernika i ruty oraz z jakiejś bardzo gęstej i czerwonej cieczy – wysechł mocno i kruszy się, z łatwością opadając ze stron. Księgę oprawiono w gładką skórę zwierzęcia nieznanego pochodzenia.

Ci święci ludzie z Nabbanu, którzy czytali księgę po śmierci Nissesa, uznali ją za bluźnierczą i niebezpieczną, lecz z nieznanych powodów nie spalili jej, jak to zwykle się dzieje w takich wypadkach. Tak więc długo przeleżała ona w przepastnych archiwach Matki Kościoła, w najgłębszej i najbardziej tajemniczej krypcie, gdzie spoczywa Sancellan Aedonitis. Teraz jednak zniknęła z onyksowej szkatuły, w której ją złożono. Archiwa nie mówią, gdzie się znajduje.

Ci, co czytali te bluźnierstwa Nissesa, twierdzą, że są tam wszystkie tajemnice Osten Ard, i te z mrocznej przeszłości, i te, które są cieniem rzeczy jeszcze nienarodzonych. Aedoniccy kapłani, co księgę badali, mówią tylko, że to bluźnierstwa.

Doprawdy, może tak być, że pisma Nissesa w równym stopniu poprzedzają to, co będzie, jak i opisują to, co było. Nie jest wiadome, czy

wielkie wydarzenia naszego wieku – w szczególności rządy i triumf Prestera Johna – zawarte są w przepowiedniach kapłana, choć mówi się, że jest to możliwe. Większa część pracy Nissesa jest tajemnicza, jej sens ukryty w dziwnych rymach i niejasnych odnośnikach. Nigdy nie przeczytałem całej pracy, a większość spośród tych, co to uczynili, dawno już zmarła.

Tytuł księgi zapisany jest prostym pismem runicznym z Północy, gdzie urodził się Nisses. Brzmi on *Du Svardenvyrd*, co znaczy *Dzieje Mieczy*...

Życie i rządy Króla Johna Prezbitera

Morgenes Ercestres

Ostrzeżenie Autora

Niech pamiętają wędrowcy po krainie Osten Ard, by nie dawać ślepej wiary starym zasadom, a wszystkich rytuałów strzec uważnym okiem, gdyż często kryją one to, czego nie widzimy.

Lud Qanuc z zakutych w śniegi gór Trollfells takie oto ma przysłowie: „Ten, który pewien jest końca rzeczy, będąc u ich początku, może być albo wielkim mędrcem, albo wielkim głupcem; lecz bez względu na to, którym z nich jest, z pewnością jest on nieszczęśliwy, gdyż ugodził już w serce cudu”.

Miej się na baczności, przybyszu:
Unikaj przypuszczeń.

Lud Qanuc ma też inne przysłowie: „Witaj, przybyszu. Zdradliwe dzisiaj są ścieżki”.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Simon Gamoń

1. Pasikonik i Król

W DNIU TYM DAŁO SIĘ DOSTRZEC niespotykane poruszenie w uśpionym zamku Hayholt, w jego labiryncie cichych korytarzy i porośniętych winem dziedzińców, w celach mnichów, jak i w wilgotnych, ocienionych komnatach. Dworzanie i służba wytrzeszczali oczy i szeptali. Podkuchenni rzucali sobie znaczące spojrzenia znad zmywalnic w wypełnionej parą kuchni. Na wszystkich dziedzińcach i korytarzach wielkiej twierdzy słychać było stłumione rozmowy.

Sądząc z nastroju ogólnego podniecenia, można by wnosić, że to pierwszy dzień wiosny, jednak olbrzymi kalendarz w zaśmieconej komnacie Doktora Morgenesa wskazywał co innego: był to dopiero miesiąc Novander. Jesień nie chciała jeszcze odejść, a już zbliżała się zima.

Nie pora roku odmieniła ten dzień, lecz miejsce – Sala Tronowa Hayholt. Przez trzy długie lata jej drzwi zamknięte były na rozkaz Króla, a kolorowe okna zasłonięte. Zakazano tam wchodzić nawet służącym, którzy zwykle sprzątali salę; zakazu tego ścierpieć nie mogła ochmistrzyni. Trzy lata i trzy zimy nikt nie naruszał spokoju komnaty, lecz dzisiaj było inaczej – w zamku wrzało.

Był wszelako ktoś, czyjej uwagi nie przyciągała ta długo nie odwiedzana sala. Ów ktoś był jak pszczoła w huczącym ulu, której bzyczenie nie współbrzmiało z pozostałymi. Chłopiec siedział w sercu Ciernistego Ogrodu, w niszy między czerwonym murem kaplicy

a pozbawionym liści żywopłotem, i miał nadzieję, że nikt go nie potrzebuje. Jak dotąd dzień był irytujący. Wszystkie kobiety zajęte, zbyt zabiegane, by odpowiadać na pytania, śniadanie spóźnione i zimne. Jak zwykle wydawali mu sprzeczne polecenia i nikt nie miał czasu zainteresować się jego problemami...

„Nic nowego” – pomyślał ze smutkiem. Całe to popołudnie byłoby stracone, gdyby nie odkrył olbrzymiego żuka, który paradował przez ogród niczym zadowolony wieśniak.

Chłopiec za pomocą patyka poszerzył wąską drogę, jaką owad wyskrobał pod ścianą w czarnej i zimnej ziemi, lecz zdobycz się nie ruszała. Trącił lekko lśniący pancerz, ale uparty żuk nadal tkwił w miejscu. Chłopiec nachmurzył się i przygryzł górną wargę.

– Simon! Na Święte Stworzenie, gdzieś się podziewał!

Bezwładna dłoń wypuściła gałązkę, jakby chłopiec został ugodzony strzałą w samo serce. Odwrócił się wolno i dostrzegł stojącą nad nim postać.

– Nigdzie... – zaczął Simon, lecz w tym momencie kościste palce chwyciły nagle jego ucho i podciągnęły do góry tak, że wstał, sycząc z bólu.

– Nie waż mi się nigdy zaczynać od „nigdzie”, mały wałkoniu – warknęła mu prosto do ucha Rachel, zwana Smokiem, ochmistrzyni, a było to możliwe tylko dlatego, że wspięła się na palce, a chłopiec jak zwykle się garbił. Normalnie Simon przewyższał ją o dobrą stopę.

– Proszę wybaczyć, przepraszam – wymamrotał Simon, a jednocześnie ze smutkiem stwierdził, że żuk zaczął się kierować do szczeliny w kaplicznym murze, gdzie był nieosiągalny.

– Nie będziesz wciąż zbywał mnie swoim „przepraszam” – odburknęła Rachel. – Wszyscy w tym domu urabiają sobie ręce po łokcie, tylko nie ty!

Ale jakby i tego było mało, jeszcze muszę tracić swój cenny czas, żeby cię znaleźć! Simon, jak możesz być takim niegodziwcem, zamiast zachowywać się jak mężczyzna? Jak możesz?

Ten czternastoletni, wielce skonfundowany teraz chłopiec nic nie odpowiedział. Rachel wpatrywała się w niego.

„Wystarczy popatrzeć na te rude włosy i piegi – pomyślała – a jak jeszcze zacznie zezować i marszczyć się, tak jak teraz, to już zupełnie wygląda na półgłówka”.

Simon też wpatrywał się w swoją prześladowczynię. Rachel sapała gniewnie, wypuszczając ustami kłęby pary. Widział, że drży, choć nie potrafił powiedzieć, czy ze złości, czy z zimna. Zresztą nie miało to znaczenia. Pogarszało jedynie jego samopoczucie.

„Wciąż czeka na odpowiedź – pomyślał. – Wygląda na bardzo zmęczoną i złą”. Skulił się jeszcze bardziej i wbił wzrok w swe stopy.

– No cóż, w takim razie chodź ze mną. Dobry Bóg wie, że potrafię znaleźć zajęcie dla leniwego chłopaka. Czy nie wiesz, że Król wstał z łoża boleści? Nie wiesz, że udał się do Sali Tronowej? Jesteś głuchy i ślepy?

Chwyciła go za łokieć i poprowadziła przez ogród.

– Król? Król John? – spytał zaskoczony Simon.

– Nie, gamoniu, król Zawalidroga. Naturalnie, że Król John! – Rachel zatrzymała się, by wsunąć pod czepek kosmyk rzadkich, stalowosiwych włosów. Jej dłoń drżała. – No, pewnie się cieszysz – powiedziała. – Tak mnie zdenerwowałeś, że obraziłam imię naszego starego, dobrego Króla Johna. A on jest tak chory. – Zasapała głośno i pochyliła się, by znowu uderzyć go w ramię. – Chodź ze mną. – Poczłapała przed siebie, a mały niegodziwiec za nią.

SIMON NIE ZNAŁ INNEGO DOMU poza tym starym zamkiem zwanym Hayholt, co znaczyło Główna Wieża. Dobra to była nazwa. Wieża Zielonego Anioła, stanowiąca najwyższy punkt twierdzy, wyrastała ponad najstarsze i najwyższe drzewa. Gdyby umieszczony na jej szczycie anioł cisnął kamień swą zielonkawą dłonią, to spadałby on prawie dwieście łokci, zanimby chlupnął do słonawej fosy, mącąc tym samym spokój wielkich szczupaków, które pływały tuż pod powierzchnią wiekowego błota.

Hayholt był starszy od wszystkich pokoleń chłopów z Erkynlandu, którzy rodzili się, pracowali i umierali na polach i w wioskach otaczających zamek. Ludzie z Erkynlandu byli tylko kolejnym pokoleniem, które rościło sobie do niego prawo. Wielu przed nimi nazywało twierdzę swoją, lecz nikomu nie udało się zagarnąć jej dla siebie. Na okalającym potężną twierdzę murze zewnętrznym widać było ślady pracy wielu rąk z różnych czasów: grubo ciosany kamień i drewno Rimmersmenów, chaotyczne łaty i dziwne rzeźby Hernystirczyków, a nawet misterne kamienne rzeźby ludzi z Nabbanu. Lecz ponad tym wszystkim wznosiła się Wieża Zielonego Anioła, zbudowana rękoma nieśmiertelnych Sithów na długo przed przybyciem w te strony ludzi. Do nich to naówczas należało całe Osten Ard. To Sithowie pierwsi zaczęli tu budować; postawili tę twierdzę na przylądku, by strzegła Kynslagh i drogi wodnej do morza. Swój zamek nazwali Asu’a, domem wielu panów. Jeśli rzeczywiście tak było, to trafne nadali mu imię.

Prawy Lud zniknął już z trawiastych równin i wyżyn, odszedł do lasów, skalistych gór i innych mrocznych miejsc nie nadających się do zamieszkania przez ludzi. Pozostały tylko ruiny zamku, który był teraz domem dla nowo przybyłych.

Asu’a pozostaje nieodgadniony; dumny, choć zniszczony, pogodny i groźny, najwyraźniej obojętny na zmiany kolejnych mieszkańców. Asu’a –

Hayholt. Wyrasta niczym góra nad miastem i okolicą, pochylony nad swymi lennami jak śpiąca, troskliwa niedźwiedzica wśród małych niedźwiedzi.

SIMON CZĘSTO SPRAWIAŁ WRAŻENIE, że jest jedyną osobą w wielkim zamku, która nie znalazła tu swego miejsca w życiu. Kamieniarze naprawiali pomalowany na biało front rezydencji i podpierali kruszące się ściany zamku – choć niekiedy proces kruszenia postępował szybciej niż naprawy. Robili to, nie zastanawiając się, jak ten świat się kręci i dlaczego. Kuchenni chłopcy i lokaje pogwizdywali wesoło, przetaczając ogromne beki białego wina i solonej wołowiny. Pod czujnym okiem zarządcy dworu targowali się z chłopami o wąsatą cebulę i przesiąkniętą solą marchew, które to warzywa co rano przynosili w workach do królewskiej kuchni. Rachel i jej pokojówki też nie miały chwili wytchnienia. Wymachiwały miotłami ze związanej słomy i goniły kłęby kurzu, jakby zaganiały płochliwe owce. Przeklinały pod nosem tych, którzy opuścili właśnie sprzątane komnaty, i ścigały każdego niechluja i leniucha.

W obliczu całej tej krzątaniny niezdarny Simon był przysłowiowym pasikonikiem w gnieździe mrówek. Wiedział, że nigdy nie zdobędzie żadnej liczącej się pozycji. Wielu mu już o tym mówiło, a większość z nich była starsza i pewnie mądrzejsza od niego. Osiągnąwszy wiek, w którym inni chłopcy starali się przejmować obowiązki mężczyzn, Simon wciąż był jeszcze zawalidrogą i włóczęgą. Bez względu na to, co miał do zrobienia, po jakimś czasie jego uwaga i tak zwracała się ku czemuś innemu. Zaczynał marzyć o bitwach, olbrzymach i morskich podróżach na wielkich lśniących okrętach... i wtedy przedmioty w jakiś dziwny sposób tłukły się, gubiły lub też zachowywały się nie tak, jak trzeba.

Bywały chwile, że znikał na dobre. Czaił się w zakamarkach zamku jak ledwie widoczny cień. Potrafił wspinać się po murach równie dobrze jak naprawiający dach robotnicy czy szklarze. Znał tyle przejść i kryjówek, że ludzie z zamku nazywali go „chłopcem duchem”. A Rachel często targała go za uszy i nazywała gamoniem.

WRESZCIE RACHEL PUŚCIŁA jego ramię. Simon sunął ponury za ochmistrzynią, jakby był patykiem, który zaczepił się o rąbek jej spódnicy. Odkryto go, żuk uciekł i całe popołudnie zepsute.

– Co mam zrobić, Rachel? – wymamrotał niezbyt uprzejmie. – Pomóc w kuchni?

Rachel prychnęła pogardliwie i sunęła dalej, wyglądając niczym borsuk w spódnicy. Simon spojrzał z żalem za siebie na zapewniające bezpieczeństwo żywopłoty i drzewa ogrodu. Zlewający się odgłos kroków obojga zabrzmiał głośno w długim, kamiennym korytarzu.

WYCHOWAŁY GO POKOJÓWKI, lecz odkąd jasne się stało, że – pomijając fakt jego chłopięcości – nie można mu powierzać delikatnych prac domowych, wciąż starano się znaleźć dla niego odpowiednie zajęcia. Przydzielono go do prac w królewskich kuchniach, ale nawet przy tak prostych czynnościach nie zawsze się sprawdzał. Pozostali podkuchenni uśmiechali się i trącali na widok Simona, który z rękoma po łokcie w gorącej wodzie, z zamkniętymi oczami i rozanieloną miną poznawał właśnie sekrety ptasiego lotu lub ratował baśniową dziewicę przed wyimaginowanymi potworami, gdy tymczasem jego skrobak odpływał w drugi koniec zmywalnicy.

Legenda głosi, że sir Fluiren, krewny znanego sir Camarisa z Nabbanu, jako młodzieniec przybył do Hayholt, by zostać rycerzem. Będąc człowiekiem niespotykanej pokory, przez rok pracował w przebraniu w tej samej pomywalni. Służba kuchenna – jak głosiła legenda – drażniła się z nim, nazywając „Ślicznymi Rączkami”, a to dlatego, że pomimo okropnej pracy, jaką tam wykonywał, jego dłonie pozostały nieskazitelnie białe.

Simonowi wystarczyło spojrzeć na swe popękane paznokcie i zaczerwienione dłonie, by upewnić się, że bynajmniej nie jest osieroconym synem jakiegoś wielkiego pana. Był tylko zmywaczem i zamiataczem, nikim innym. Wszystkim wiadomo było, że Król John zabił Czerwonego Smoka, będąc niewiele starszy od niego. Simon zaś mocował się z miotłami i garnkami. Nie miało to większego znaczenia. Teraz świat był inny, spokojniejszy niż za czasów młodości Johna, do czego w dużej mierze przyczynił się sam stary Król. Nie było smoków – przynajmniej żywych – które czaiłyby się w ciemnych, niekończących się korytarzach Hayholt. Najbardziej przypominała je Rachel ze swą ponurą twarzą i okropnymi, szczypiącymi palcami.

Doszli do przedpokoju Sali Tronowej, w którym panowało teraz znaczne ożywienie. Pokojówki biegały gorączkowo od ściany do ściany niczym schwytane do butelki muchy. Rachel stała z pięściami na biodrach i patrzyła na swe królestwo. Jej zaciśnięte w uśmiechu wąskie usta mówiły, że jest zadowolona.

Simon przyczaił się pod zdobioną gobelinami ścianą. Zgarbiony, obserwował kątem oka Hepzibah, nową dziewczynę. Pulchna i kędzierzawa chodziła, rozglądając się buńczucznie. Szła teraz, chlapiąc wodą z niesionego wiadra. Dostrzegła spojrzenie Simona i uśmiechnęła się szeroko, ucieszona. Simon poczuł, jak płoną mu policzki, więc odwrócił się i chwycił za koniec obstrzępionego gobelinu.

Nie uszło to jednak uwagi Rachel.

– O, Panie, powinno się go wychłostać jak osła. Czy nie mówiłam ci, byś się zabrał do pracy? No, to do roboty!

– Do roboty? Jakiej roboty? – krzyknął Simon i struchlał, słysząc z końca korytarza dźwięczny chichot Hepzibah. Zmieszany, uszczypnął się w ramię, bolało.

– Weź tę miotłę i idź pozamiatać pokoje Doktora. Ten człowiek mieszka jak szczur, a skoro Król już wstał, to nigdy nie wiadomo, dokąd zechce pójść. – Jej ton mówił, że ludzka przekora nie jest obca nawet tak znamienitym osobom jak Król.

– Pokoje Doktora Morgenesa? – zapytał Simon. – Po raz pierwszy od przyłapania w ogrodzie wstąpiła w niego nadzieja. – Zaraz to zrobię! – Chwycił miotłę i popędził przed siebie.

Rachel prychnęła i odwróciła się, by popatrzeć na idealnie wysprzątany przedpokój. Przez chwilę zastanawiała się, co też może się dziać za tymi ogromnymi drzwiami do Sali Tronowej, lecz zaraz porzuciła tę myśl z równą stanowczością, z jaką trzepnęłaby nadlatującego komara. Za pomocą groźnego wzroku i klaszczących dłoni wyprowadziła swe wojsko z przedpokoju do kolejnej, rozstrzygającej bitwy ze swym arcywrogiem, którym był nieporządek.

W SALI ZA DRZWIAMI wzdłuż ścian wisiały rzędy zakurzonych chorągwi. Stanowiły one fantastyczny, nieco wypłowiały już zwierzyniec: złocisty rumak z Clan Mehrdon, lśniący grzebień zimorodka z Nabbanu, sowa i wół, wydra, jednorożec i bazyliszek. Rzędy milczących, śpiących stworów. Ani jeden podmuch nie poruszył postrzępionymi tkaninami, nawet pajęczyny wisiały puste i pozrywane.

A jednak w Sali Tronowej nastąpiła jakaś niewielka zmiana. Coś ponownie ożyło w pogrążonej w cieniu komnacie. Ktoś śpiewał cicho głosem małego chłopca lub może starca.

W przeciwległym końcu sali wisiał ogromny gobelin; umieszczono go na kamiennej ścianie między postaciami Wielkich Królów Hayholt. Gobelin przedstawiał królewski herb: Smoka i Drzewo. Straż honorowa, składająca się z sześciu masywnych, malachitowych posągów, otaczała ogromny, ciężki tron, który wyglądał, jakby w całości wyrzeźbiono go z pożółkłej kości słoniowej. Boczne oparcia tronu były poskręcane i powyginane. Górę oparcia zwieńczała olbrzymia, uzbrojona w mnóstwo zębów wężowa czaszka, której oczodoły ziały czernią.

Na tym właśnie tronie i przed nim zasiadły dwie postacie. Mniejsza, ubrana w wytarty strój błazna, śpiewała; to jej głos unosił się z podnóża tronu, głos zbyt słaby, by odbić się najmniejszym nawet echem. Nad nią pochylała się jakaś wychudzona postać, która siedziała na krawędzi tronu niczym wiekowy ptak drapieżny – zmęczony, spętany drapieżnik, przykuty do wyblakłej kości.

Król, złożony niemocą i chory, powrócił do swej mrocznej sali. Słuchał, zacisnąwszy swe długie, żylaste dłonie na podłokietnikach ogromnego pożółkłego tronu, jak siedzący u jego stóp mały człowieczek śpiewa.

Król był wysokim mężczyzną, kiedyś nawet bardzo wysokim, lecz teraz zgarbił się jak modlący się mnich. Miał na sobie błękitną, luźną szatę i nosił brodę niczym prorok z Usiru. Na jego kolanach leżał miecz, lśniący, jakby dopiero co wyczyszczony. Na głowie miał żelazną koronę wysadzaną emeraldami barwy morskiej toni i tajemniczymi opalami.

Siedzący u stóp Króla błazen zamilkł na chwilę, po czym zaintonował inną pieśń:

Czy potrafisz krople deszczu zliczyć,
Gdy słońce niebem zawładnie?
Czy potrafisz rzekę przepłynąć,
Gdy jej nurt wyschnie?
Czy potrafisz chmurę schwytać?
Nie, i ja też nie...
A wiatr woła: „zaczekaj”,
I dalej mknie,
A wiatr woła: „zaczekaj”,
I dalej mknie...

Kiedy pieśń ucichła, wysoki starzec w błękitnej szacie opuścił rękę, a błazen chwycił jego dłoń. Obaj milczeli.

John Prezbiter, Władca Erkynlandu i Wielki Król całego Osten Ard, pogromca Sithów i obrońca prawdziwej wiary, ten, który dzierży miecz zwany Białym Gwoździem, pogromca smoka Shurakai... Prester John raz jeszcze zasiadł na swym tronie ze smoczej kości. Był bardzo, bardzo stary, na jego twarzy widoczne były ślady łez.

ACH, TOWSER – WESTCHNĄŁ, wiek osłabił jego donośny głos – to pewne, że nikt inny, jak tylko bezlitosny Bóg przywiódł mnie do tego żałosnego stanu.

– Być może, mój panie. – Na pomarszczonej twarzy karła w kraciastym kaftanie pojawił się uśmiech. – Być może... lecz bez wątpienia niejeden nie wspominałby o braku litości, gdyby postawić go na twoim miejscu.

– O tym właśnie mówię, stary przyjacielu. – Król potrząsnął głową ze złością. – W tym mrocznym okresie życia, u progu niemocy, wszyscy stają się równi. Pierwszy lepszy pomocnik krawca więcej ma przyjemności z życia niż ja!

– Ale tam, mój panie, mój panie... – Towser pokręcił siwą głową, lecz dzwoneczki u jego czapki nie zadzwoniły, dawno już pozbawiono je serc. – Mój panie, niesłuszne narzekanie, choć pora na nie. Wszyscy ludzie, wielcy i mali, stają w obliczu takiej chwili. Twoje życie było wspaniałe.

Prester John podniósł Biały Gwóźdź i trzymał go, jakby to był święty krzyż. Przesłonił oczy długą, wychudzoną dłonią.

– Czy znasz historię tego miecza? – zapytał.

Towser podniósł szybko głowę; nieraz słyszał tę opowieść.

– Opowiedz mi, Królu – powiedział cicho.

Prester John uśmiechnął się, lecz nie spuszczał wzroku ze skórzanej rękojeści miecza.

– Miecz, mój mały przyjacielu, to przedłużenie prawej ręki mężczyzny... i ostrze jego serca. – Uniósł miecz wyżej, by odbiło się w nim światło jednego z małych, wysoko położonych okien. – Tak samo jak człowiek jest dobrą, prawą ręką Boga. Człowiek jest wykonawcą woli Bożego Serca. Rozumiesz mnie? – Nagle pochylił się, skryte pod krzaczastymi brwiami oczy ożywiły się. – Czy wiesz, co to jest? – Drżącym palcem wskazał na powyginany, nieco rdzawy kawałek metalu, przymocowany do rękojeści miecza złotym łańcuchem.

– Powiedz mi, panie. – Towser dobrze wiedział, co to jest.

– Jest to jedyny gwóźdź z prawdziwego Drzewa Egzekucji, jakie zostało w Osten Ard. – Prester John podniósł rękojeść do ust i ucałował ją, po czym przyłożył ostrze do twarzy. – Ten gwóźdź pochodzi z dłoni Usiresa Aedona, naszego Zbawcy... z Jego dłoni... – W oczach Króla na chwilę odbiło się padające z góry światło, płonęły teraz. – Jest też relikwia – dodał po chwili – palec umęczonego świętego Eahlstana, którego zabił smok, tutaj, w tej rękojeści...

Zamilkł, a gdy Towser podniósł głowę, jego pan znowu płakał.

– Wstyd! – jęknął John. – Nie jestem godzien, by być mieczem Bożym. Tyle grzechów, taki ciężar wciąż na mej duszy. Oto ramię, które kiedyś zabiło Czerwonego Smoka, teraz z ledwością podnosi czarkę z mlekiem. Och, umieram, mój drogi, umieram!

Towser pochylił się, zdjął jedną dłoń Króla z rękojeści i ucałował ją, gdy tamten wciąż płakał.

– Proszę, panie – odezwał się – nie płacz już. Wszyscy muszą umrzeć, ty, ja, wszyscy. Jeśli nie zabije nas nasza młodzieńcza głupota czy też jakieś nieszczęście, to musimy żyć jak drzewa: coraz to starsi, aż kiedyś pochylimy się i upadniemy. Nie ma co się sprzeciwiać woli Bożej.

– Ale to ja zbudowałem to królestwo! – Głos Johna Prezbitera zadrżał gniewem. Wyrwał dłoń z uścisku błazna i ścisnął podłokietnik. – To chyba usprawiedliwi grzeszne plamy na mej duszy, nawet te najciemniejsze! Chyba Bóg zapisze to w swojej Księdze Rachunków! Wyciągnąłem tych ludzi z błota, karałem niegodziwców, przegnałem z okolic Sithów, dałem chłopom prawo i sprawiedliwość... całe to dobro, które uczyniłem, musi przecież mieć znaczenie! – Znowu zamilkł, jakby myślami był gdzie indziej. – Ach, mój stary przyjacielu – zaczął znowu gorzko – teraz za to nie potrafię nawet zejść na targ przy Głównym Trakcie! Muszę leżeć w łóżku albo człapać po zamku podpierany rękoma młodszych. Moje... moje królestwo ogarnia korupcja, a poddani szepcą i skradają się na palcach przed moją sypialnią. Wszystko pogrążyło się w grzechu!

Słowa Króla odbiły się echem od kamiennych ścian komnaty i powoli zamarły gdzieś wysoko w unoszącym się kurzu. Towser ponownie ujął jego dłoń i trzymał ją, dopóki Król się nie uspokoił.

– No, cóż – Prester John przemówił po dłuższej chwili – mam przynajmniej nadzieję, że mój Elias będzie rządził lepiej ode mnie. W obliczu całego tego zepsucia – zatoczył ręką wokół Sali Tronowej –

postanowiłem dzisiaj wezwać go z Meremundu. Musi się przygotować do przejęcia korony. – Król westchnął. – Chyba powinienem już przestać płakać jak baba i zacząć cieszyć się tym, czego niejeden król by pozazdrościł: silny syn, który będzie po mnie panował w całym królestwie.

– Masz dwóch silnych synów, panie.

– Ach – Król się skrzywił – Josua. Wiele można o nim powiedzieć, ale chyba nie to, że jest silny.

– Jesteś dla niego zbyt surowy, panie.

– Bzdura. Co to, chcesz mnie pouczać, błaźnie? Znasz syna lepiej niż ojciec? – Dłoń Johna drżała. Przez moment wydawało się, że będzie próbował wstać, lecz w końcu się uspokoił. – Josua to cynik – zaczął Król spokojnym już głosem. – Cynik i melancholik, obojętny dla poddanych, a przecież królewskiego syna otaczają sami poddani, i każdy to potencjalny morderca. Nie, Towse, mój młodszy syn jest dziwakiem, szczególnie od czasu... gdy stracił rękę. Ach, litościwy Aedonie, może to moja wina.

– Jak to, panie?

– Powinienem ożenić się powtórnie po śmierci Ebekah. Bez królowej ten dom jest zimny, może dlatego chłopiec tak zdziwaczał. Ale przecież Elias jest inny.

– W księciu Eliasie jest jakaś okrutna bezpośredniość – mruknął Towser, lecz Król nie zareagował na tę uwagę, nawet jeśli ją usłyszał.

– Chyba trzeba dziękować Bogu za to, że Elias jest moim pierworodnym. Widzę w nim odważny, żołnierski charakter. Myślę, że gdyby to on był młodszy, Josua nie czułby się bezpiecznie na tronie. – Król John pokiwał głową, przytakując swej myśli, po czym schylił się i chwycił ucho błazna. Wykręcił je, jakby tamten był pięcioletnim chłopcem.

– Towse, przyrzeknij mi jedno...

– Co, panie?

– Kiedy umrę, pewnie wkrótce, nie sądzę, bym doczekał końca zimy, musisz przyprowadzić Eliasa do tej sali... Myślisz, że koronacja odbędzie się tutaj? Nieważne, jeśli tak będzie, poczekasz do końca. Przyprowadź go tutaj i daj mu Biały Gwóźdź, tak, zatrzymaj go u siebie. Boję się, że mogę umrzeć, gdy on będzie w Meremundzie albo gdzie indziej, a chcę, by miecz trafił bezpośrednio do jego rąk z moim błogosławieństwem. Rozumiesz, Towse?

Drżącymi rękoma wsunął miecz z powrotem do zdobionej pochwy i przez chwilę mocował się, żeby odczepić pendent, na którym wisiał. Wiązanie zaplątało się, więc Towser przyklęknął i sam zaczął rozplątywać węzeł mocnymi dłońmi.

– Jakie to błogosławieństwo, panie? – spytał, mocując się z węzłem.

– Powiedz mu to, co ci powiedziałem. Powiedz, że ten miecz to ostrze jego serca i ręki, tak samo jak i my jesteśmy instrumentami serca i ręki Boga, naszego Ojca... i powiedz mu jeszcze, że nie ma ceny, nawet największej, której by warte było... – Zawahał się i zasłonił dłonią oczy. – Nie, zapomnij o tym. Powiedz tylko to, co ci mówiłem o mieczu. Powiedz mu to.

– Powiem, mój Królu – odparł Towser. Rozwiązał już węzeł, lecz wciąż klęczał ze zmarszczonym czołem. – Chętnie spełnię twe życzenie.

– Dobrze. – Prester John oparł się w swym smoczym fotelu i zamknął szare oczy. – Zaśpiewaj mi jeszcze, Towse.

Towser zaczął śpiewać. Zakurzone chorągwie ponad ich głowami zdały się kołysać lekko, jakby jakiś szept przemknął wśród zebranych tu pradawnych czapli, posępnych niedźwiedzi i innych dziwniejszych jeszcze stworzeń.

2. Opowieść za dwie żaby

„W LENIWYM UMYŚLE diabeł sadzi swoje kwiaty”.

Simon przypomniał sobie jedno z ulubionych powiedzeń Rachel, patrząc na końskie zbroje porozrzucane wzdłuż głównej nawy kaplicy. Jeszcze przed chwilą szedł, podskakując wesoło, wyłożoną płytkami aleją obok kaplicy, by posprzątać komnaty Doktora Morgenesa. Zrozumiałe, że wymachiwał przy tym trochę miotłą. Udawał, że to chorągiew z Drzewem i Smokiem, jaką nosi gwardia Prestera Johna, i że prowadzi ich do boju. Powinien był trochę uważać, gdzie macha, ale z drugiej strony – co za idiota porozwieszał końską zbroję w kaplicy? Naturalnie, gdy spadała, hałas był okropny i Simon spodziewał się w każdej chwili zobaczyć postać kościstego i mściwego ojca Dreosana.

Simon zaczął w pośpiechu zbierać porozrzucane części zbroi. Spiesząc się, przypomniał sobie inne powiedzenie Rachel: „Bezczynnym dłoniom diabeł zawsze podsunie jakąś czarną robotę”. Pomyślał, że to głupie, i rozzłościł się. To nie leniwy umysł i puste dłonie przysparzały mu kłopotów. Nie, to przez to „robienie” i „myślenie”. Gdyby tak dali mu święty spokój.

Nim pojawił się ojciec Dreosan, zdążył ułożyć pancerze w dość chaotyczny stos i wsunąć pod stół przykryty obrusem. Przy okazji nieomal przewrócił ustawiony na stole złoty relikwiarz, lecz w końcu, już bez większych nieszczęść, cała zbroja zniknęła. Jedynie jaśniejsza plama na

ścianie zdradzała, że coś takiego kiedykolwiek tam wisiało. Simon podniósł miotłę i przejechał nią po okopconej ścianie, by plama nie wyróżniała się zbytnio, po czym ruszył szybko przejściem obok krętych schodów na chór.

Kiedy ponownie znalazł się w Ciernistym Ogrodzie, z którego tak brutalnie porwał go Smok, zatrzymał się na chwilę, by pooddychać świeżym zapachem roślinności i pozbyć się resztek smrodu łojowego mydła. W koronie Świątecznego Dębu dostrzegł coś, co przyciągnęło jego uwagę. Było to bardzo stare drzewo w drugim końcu ogrodu. Jego niezwykle poskręcane i powyginane gałęzie sprawiały wrażenie, jakby przez wieki rosło przykryte jakimś olbrzymim koszem. Simon zmrużył oczy i osłonił je dłonią przed słońcem. Ptasie gniazdo! I to o tej porze roku!

Właściwie nie było to tak daleko. Upuścił miotłę i ruszył w głąb ogrodu, gdy przypomniał sobie nagle, że miał iść do Morgenesa. Gdyby to było jakiekolwiek inne polecenie, Simon byłby już na drzewie, lecz możliwość spotkania się z Doktorem stanowiła nie lada gratkę, nawet jeśli wiązało się to z pracą. Obiecał sobie, że wkrótce zajmie się gniazdem, i ruszył przez żywopłoty do furty Muru Wewnętrznego.

W tym momencie ukazały się tam dwie postacie, które zmierzały teraz w jego stronę. Jedna z nich była krępa i powolna, druga jeszcze bardziej przysadzista i niemrawa. Byli to Jakob, kupiec handlujący artykułami gospodarstwa domowego, i jego pomocnik Jeremias. On właśnie niósł na ramieniu torbę, wyglądającą na ciężką, i szedł wolniej niż kiedykolwiek, choć trudno to sobie wyobrazić. Simon zagadał do nich, gdy go mijali. Jakob uśmiechnął się i pomachał mu.

– Rachel chce nowych świec do jadalni – zawołał kupiec – no to je dostanie!

Jeremias wykrzywił twarz w uśmiechu.

Simon po pochyłej murawie dotarł do pokaźnej stróżówki. Miał teraz za sobą blanki, nad którymi widać było jeszcze parę promieni zachodzącego słońca. Cienie proporców z Zachodniej Ściany trzepotały na trawie jak ciemne ryby. Niewiele starszy od Simona strażnik, ubrany w czerwono-białą liberię, uśmiechnął się i kiwnął głową na widok znanego szpiega, który przebiegł obok niego z potężną miotłą w dłoni, pochylony, na wypadek gdyby okropna Rachel wychyliła się z któregoś okna twierdzy. Zwolnił, gdy przebiegł przez barbakan, i skrył się za wysoką furtą. Na fosie kładł się słaby cień Wieży Zielonego Anioła. Zniekształcona postać anioła z triumfem stojącego na jej iglicy nurzała się w promieniach słońca po drugiej stronie fosy.

Simon pomyślał, że skoro już tu jest, to może złapać parę żab. Nie powinno mu to zająć dużo czasu, a Doktorowi często przydawały się takie rzeczy. Można by to właściwie potraktować jako część tego samego polecenia. Musiał się jednak pospieszyć, gdyż zbliżał się już wieczór. Słyszał świerszcze, które zabierały się do jednego z ostatnich koncertów w tym roku, oraz konkurujące z nimi żaby.

Brodząc w porośniętej liliami wodzie, Simon zatrzymał się na chwilę, by posłuchać i popatrzeć na coraz bardziej granatową wschodnią część nieba. Poza pokojami Doktora Morgenesa fosa była jego najulubieńszym miejscem w świecie... świecie, który on znał.

Westchnął bezwiednie, ściągnął z głowy bezkształtny kapelusz i poszedł w tę część fosy, gdzie trawa i hiacynty były najgęstsze.

Kiedy ociekający wodą Simon, z żabą w każdej kieszeni, dotarł do Ściany Środkowej i stanął przed drzwiami Morgenesa, słońce schowało się już, a wiatr świstał w olchach okalających fosę. Zastukał w solidne drzwi, uważając, by nie dotknąć dziwnego znaku, jaki wyrysowano na nich kredą.

Przykre doświadczenie nauczyło go, żeby bez pytania nie dotykać rzeczy należących do Doktora. Upłynęło parę chwil, nim usłyszał głos Morgenesa.

– Idź sobie. – Głos wyrażał zniecierpliwienie.

– To ja... Simon! – zawołał chłopiec i ponownie zapukał.

Tym razem nastąpiła dłuższa przerwa, a potem usłyszał odgłos szybkich kroków. Drzwi się otworzyły. Morgenes, który sięgał Simonowi zaledwie do brody, stał oświetlony z tyłu jasnoniebieskim światłem. Przez chwilę patrzył przed siebie nieprzytomnie.

– Co? – odezwał się wreszcie. – Kto?

Simon roześmiał się.

– To ja. Chce pan żaby? – Wyciągnął jednego z jeńców i trzymał wysoko za śliską nogę.

– Och, och! – Doktor wydawał się budzić z głębokiego snu. – Simon... ależ tak, naturalnie! Wejdź, chłopcze! Przepraszam cię... Jestem trochę roztrzepany. – Otworzył drzwi o tyle, by Simon mógł wśliznąć się do wąskiego korytarza, po czym je zamknął.

– Żaby, mówiłeś? Hm, żaby... – Doktor obszedł go i poprowadził korytarzem.

W świetle porozwieszanych w całym holu niebieskich lamp pajęcza postać Doktora zdawała się skakać jak małpa. Simon szedł za nim, nieomal dotykając ramionami zimnych, kamiennych ścian. Nie mógł pojąć, jak to możliwe, by w pokojach Doktora, które z zewnątrz wydawały się tak małe – obserwował je z murów obronnych i zmierzył krokami – były takie długie korytarze.

Rozważania Simona przerwał nagle straszliwy hałas, który dobiegał gdzieś z odległych pomieszczeń – jakieś gwizdy, walenie i coś, co przypominało ujadanie sfory wygłodniałych psów.

Morgenes podskoczył zdziwiony i powiedział:

– Och, na wszelkie imię Stworzenia, zapomniałem uciąć świecom knoty. Zaczekaj tu.

Mały mężczyzna odszedł szybko korytarzem, powiewając cienkimi, siwymi włosami. Uchylił nieco drzwi na jego drugim końcu – w tym momencie wycie i świsty wzmogły się znacznie – i wśliznął się szybko do środka. Simon usłyszał stłumiony krzyk.

Okropny hałas ustał nagle, równie szybko jak... jak...

„Jak ucinanie świecom knotów” – pomyślał.

Doktor wystawił z pokoju głowę, uśmiechnął się i skinął na niego.

Przyzwyczajony do podobnych scen Simon poszedł ostrożnie za Morgenesem do jego pracowni. Szybkie wejście groziło, w najlepszym razie, wdepnięciem w coś dziwnego i nieprzyjemnego w dotyku.

Simon nie dostrzegł niczego, co mogłoby być przyczyną tak okropnych wrzasków. Wciąż zastanawiał się nad różnicą między wyglądem pokoi Morgenesa z zewnątrz – przerobione pomieszczenia straży, długie na jakieś dwadzieścia kroków, wciśnięte w północno-wschodni róg porośniętej winem Ściany Środkowej – a widokiem wnętrza; była to niska, acz przestronna komnata, prawie tak długa jak plac turniejowy, choć nie tak szeroka. Przez rząd małych, wychodzących na dziedziniec okien zaglądało wieczorne słońce. Simon popatrzył na przeciwległy koniec pokoju i stwierdził, że z trudem dorzuciłby tam kamieniem.

Nie pierwszy raz doznawał tutaj dziwnych uczuć. Pomijając te okropne wrzaski, komnata wyglądała tak jak zwykle – to znaczy, jakby banda zwariowanych handlarzy rozłożyła tutaj swoje kramy, a potem uciekła w popłochu przed nadciągającą burzą. Stojący pod lewą ścianą refektarzowy stół pełen był powyginanych, szklanych rurek, pudełek i płóciennych woreczków wypełnionych proszkami i ostro pachnącymi solami, jak również przedziwnymi drewnianymi konstrukcjami, które

podtrzymywały flakony, retorty i inne, trudne do nazwania pojemniki. Na środku stołu znajdowała się ogromna mosiężna kula z malutkimi zakrzywionymi rynienkami, które wystawały z jej lśniącej powierzchni. Kula zdawała się unosić w naczyniu wypełnionym srebrzystą cieczą, które z kolei umieszczono na rzeźbionym trójnogu z kości słoniowej. Z rynienek buchała para, a wtedy mosiężna kula obracała się powoli.

Jeszcze dziwniejsze przedmioty zalegały podłogę i półki. Wypolerowane kamienne bloki, miotły i skórzane skrzydła zakrywały płyty podłogi, a między nimi stały zwierzęce klatki – niektóre puste, inne nie – metalowe szkielety nieznanych zwierząt, pokryte wystrzępionymi skórami i źle dobranymi piórami, pod zdobionymi gobelinami ścianami stały tafle czystego kryształu... a do tego jeszcze książki, książki i książki, porzucone w trakcie czytania, wyglądały jak olbrzymie niezdarne motyle.

Były tam też szklane kule wypełnione kolorowymi cieczami, które bulgotały bez podgrzewania oraz płaskie pudło pełne lśniącego, czarnego piasku; piasek przesypywał się bez końca, jakby wiał tam niewyczuwalny pustynny wiatr. Z zawieszonych na ścianach drewnianych szafek wyskakiwały od czasu do czasu malowane drewniane ptaki, które piszczały niespodziewanie i znikały. Oprócz tego wisiały tam ogromne mapy różnych państw; ich geografia była Simonowi zupełnie obca – choć musiał przyznać, że tak czy owak nie miał on o niej zbyt dużego pojęcia. Krótko mówiąc, jaskinia Doktora była rajem dla ciekawskiego młodzieńca. Bez wątpienia było to najcudowniejsze miejsce w Osten Ard.

Morgenes przechadzał się w odległym końcu pokoju pod mapą spadających gwiazd, które połączone liniami tworzyły kontur przedstawiający dziwnego ptaka o czterech skrzydłach. Nagle Doktor zagwizdał zwycięsko, pochylił się i zaczął grzebać niczym wiewiórka. Leciały papierowe zwoje, jaskrawo pomalowane kawałki tkanin oraz

miniaturowe sztućce i puchary, które wyglądały, jakby pochodziły z jakiegoś karlego stołu. Wreszcie wstał, trzymając duże szklane pudło. Podszedł ostrożnie do stołu, postawił na nim pojemnik i zdjął ze stojaka dwie buteleczki.

Jedna z nich zawierała ciecz koloru zachodniego nieba; wydzielał się z niej dym jak z kadzidła. Druga pełna była czegoś niebieskiego i kleistego, co wolno opadało na dno pojemnika, gdy Morgenes wlał do niego zawartość obu butelek. Po zmieszaniu oba płyny stały się przeźroczyste niczym górskie powietrze. Doktor wykonał szeroki gest, jakby to było przedstawienie, i zastygł tak na chwilę.

– Żaby? – zapytał i skinął palcem.

Simon popędził do niego i wyciągnął obie z kieszeni kurtki. Doktor wziął je i zamaszystym ruchem wrzucił do zbiornika. Zaskoczone płazy chlupnęły do przeźroczystej cieczy, opadły powoli na dno, po czym zaczęły energicznie pływać w swym nowym domu. Simon roześmiał się równie zaskoczony, co ubawiony.

– Czy to woda?

Starzec popatrzył na niego niebieskimi oczami.

– Mniej więcej, tak, mniej więcej... A zatem – Morgenes przeczesał rzadką brodę zakrzywionymi palcami – a zatem, dziękuję ci za żaby. Chyba już wiem, co z nimi zrobię. To całkiem bezbolesne. Może nawet im się spodoba, choć wątpię, czy polubią noszenie butów.

– Butów? – zdziwił się Simon, lecz Doktor był już gdzie indziej, zajęty zwalaniem stosu map z niskiego stołka. Skinął na chłopca, by usiadł.

– No, młody człowieku, jakąż to zapłatę uznasz za godną twej dzisiejszej pracy? Chcesz piątaka? A może wolałbyś za kompana Coccindrilis? – Doktor cmoknął, wymachując wypchaną jaszczurką.

Simon rozważał przez chwilę propozycję otrzymania jaszczurki – świetnie byłoby włożyć ją do kosza z bielizną tej nowej dziewczyny, Hepzibath – lecz zmienił zdanie. Irytowało go, że wciąż zaprząta sobie głowę sprzątaniem i pokojówkami. Pomyślał, że może otrzymać coś, czego się nie zapomina, lecz i tę myśl odrzucił.

– Chcę posłuchać opowieści – powiedział wreszcie.

– Opowieści? – Morgenes pochylił się nad nim z figlarną miną. – Opowieści? Jeśli chcesz czegoś takiego posłuchać, to lepiej udaj się do stajni do starego Shema, stajennego.

– Nie, nie o takie mi chodzi – zaprzeczył szybko Simon. Miał nadzieję, że nie obraził Doktora. Starzy ludzie byli tacy drażliwi! – Opowieści o prawdziwych rzeczach. O tym, jak było kiedyś – no, bitwy, smoki – o rzeczach, które się wydarzyły.

– Aha. – Morgenes wyprostował się, a na jego twarzy ponownie pojawił się uśmiech. – Rozumiem. Mówisz o historii. – Doktor zatarł ręce. – To już brzmi lepiej, dużo lepiej! – Wstał dziarsko i zaczął się przechadzać, stąpając uważnie między rozrzuconymi na podłodze rupieciami. – A więc, młodzieńcze, o czym chciałbyś usłyszeć? O upadku Naarvedu? A może o bitwie pod Ach Samrath?

– Niech pan mi opowie o zamku – poprosił Simon. – Hayholt. Czy zbudował go Król? Jaki jest stary?

– O zamku... – Doktor przestał chodzić, uniósł połę swej burej, znoszonej szaty i zamyślony zaczął pocierać ulubione kuriozum Simona: była to zbroja dziwnego kształtu, pomalowana na jasnoniebiesko i żółto, a wykonana w całości z wypolerowanego drewna.

– Hm... zamek – powtórzył Morgenes. – Tak, to z pewnością będzie warte co najmniej dwóch żab. Ale gdybym chciał ci opowiedzieć całą historię, to musiałbyś osuszyć fosę i przywieźć mi tu furę swoich pokrytych

brodawkami więźniów. Myślę jednak, że chcesz dziś usłyszeć najistotniejsze fakty, które z pewnością jestem w stanie ci przedstawić. Posiedź tu chwilkę spokojnie, a ja poszukam czegoś do przepłukania gardła.

Simon starał się siedzieć spokojnie. Morgenes podszedł do długiego stołu i wziął puchar z pienistą, brązową cieczą. Powąchał ją podejrzliwie, zbliżył do ust i upił mały łyk. Po chwili zastanowienia oblizał górną wargę i zadowolony pociągnął za brodę.

– Ach, ciemne ze Stanshire. Nie ma wątpliwości, że to piwo! O czym to mówiliśmy? Ach, tak, o zamku. – Morgenes zrobił miejsce na stole i trzymając ostrożnie naczynie, podskoczył; zrobił to z zaskakującą łatwością. Jego obute w pantofle stopy dyndały pół łokcia nad podłogą. Pociągnął kolejny łyk. – Zdaje się, że nasza historia zaczyna się na długo przed Królem Johnem. Zaczniemy od pierwszych ludzi, którzy przybyli do Osten Ard – prostego ludu, żyjącego na brzegach rzeki Glenivent. Byli to przeważnie pasterze i rybacy, wygnani może z utraconego Zachodu, którzy przywędrowali tu przez jakieś nie istniejące dzisiaj połączenie lądowe. Nie sprawiali oni większego kłopotu panom Osten Ard...

– Zdawało mi się, że powiedział pan, iż to oni byli pierwszymi, którzy tu przybyli – przerwał mu Simon ucieszony w duchu, że przyłapał Morgenesa na nieścisłości.

– Nie, ja powiedziałem, że byli pierwszymi *ludźmi*. Ziemia ta była w posiadaniu Sithów na długo przed przyjściem tu pierwszego człowieka.

– Chce pan powiedzieć, że *naprawdę* istniał Mały Lud? – zapytał z uśmiechem Simon. – Tak jak opowiada Shem, stajenny? Pukaki, niski i tym podobne? – To było ciekawe.

Morgenes zaprzeczył zdecydowanie i łyknął piwa.

– Nie tylko istniał, ale *istnieje* – choć tutaj wybiegamy naprzód w mojej historii – i bynajmniej nie jest to „mały lud”... ale, ale, młodzieńcze, pozwól mi kontynuować.

Simon pochylił się, starając zachować cierpliwość.

– Słucham.

– Tak więc, jak już wspomniałem, ludzie ci i Sithowie byli zgodnymi sąsiadami. No, zdarzały się sporadyczne kłótnie o pastwiska lub tym podobne, lecz ponieważ ludzie nie stanowili zagrożenia, Prawy Lud okazywał się wielkoduszny. Z czasem ludzie zaczęli budować miasta, nieraz odległe od terenów Sithów zaledwie o pół dnia piechotą. Później na skalistym przylądku Nabban powstało ogromne królestwo i ludzie z Osten Ard zaczęli spoglądać na nie łakomym wzrokiem. Jak tam, chłopcze, nadążasz za moją historią?

Simon skinął głową.

– To dobrze. – Tu nastąpił kolejny, długi łyk. – Tak więc było tam dość miejsca dla wszystkich, aż do chwili, gdy wodą przypłynęło czarne żelazo.

– Co? Czarne żelazo? – Simon zamilkł natychmiast uciszony groźnym spojrzeniem Doktora.

– Rimmersmeni, żeglarze z prawie zapomnianego Zachodu – ciągnął Morgenes. – Przypłynęli od północy w swych długich, wężowych łodziach, waleczni jak niedźwiedzie.

– Rimmersmeni? – powtórzył zdziwiony Simon. – Jak książę Isgrimnur, który właśnie jest na dworze? Na łodziach?

– Tak, przodkowie księcia byli wielkimi żeglarzami, zanim tu przybyli – zapewnił go Morgenes. – Lecz kiedy zjawili się po raz pierwszy, nie szukali pastwisk ani pól uprawnych, przyjechali tylko rabować. Najważniejsze jednak było to, że przywieźli ze sobą żelazo lub przynajmniej tajemnicę jego wytopu. Z żelaza robili miecze, włócznie i inne rodzaje broni, które nie

pękały, jak te wykonane z brązu w Osten Ard. Ich bronią można było nawet pokonać magię Sithów.

Morgenes wstał i ponownie napełnił swój puchar z przykrytej beczułki, która stała na stosie książek pod ścianą. Nie wrócił do stołu, lecz stał i palcem muskał lśniące epolety zbroi.

– Nikt nie potrafił im się długo oprzeć. Wydawało się, że zimny, twardy duch żelaza tkwi równie głęboko w nich, jak i w ich ostrzach. Wielu ludzi uciekło na południe, szukając protekcji placówek granicznych królestwa Nabbanu. Tamtejsze legiony, na które składały się dobrze zorganizowane, regularne siły, stawiały opór tylko przez jakiś czas. W końcu i one zmuszone były oddać Rimmersmenom miasto Frostmarch. Wielu... wielu tam zginęło.

Simon wiercił się uradowany.

– A co z Sithami? Mówił pan, że oni nie mieli żelaza?

– Dla nich znaczyło ono śmierć. – Doktor poślinił palec i wytarł nim brudne miejsce na wypolerowanym napierśniku drewnianej zbroi. – Choć nie potrafili pokonać Rimmersmenów w otwartej bitwie, to – tu skierował zabrudzony palec w stronę Simona, jakby to, co miał powiedzieć, dotyczyło jego osobiście – znali oni doskonale swój teren. Byli bardzo z nim zżyci, stanowili jakby jego część, czego nigdy nie osiągnęliby najeźdźcy. Trzymali się długo, powoli wycofując w miejsca umocnień. A najważniejszym umocnieniem był Asu’a, Hayholt – przedmiot niniejszej opowieści.

– Ten zamek? To Sithowie mieszkali w Hayholt? – Simon nie mógł ukryć niedowierzania. – Jak dawno temu go zbudowano?

– Simonie, Simonie... – Doktor podrapał się w ucho i wrócił na swoje miejsce na stole. W oknach nie widać już było zachodzącego słońca, a światło pochodni zmieniło jego twarz w maskę aktora, w połowie oświetloną, w połowie ciemną. – Być może był tu już zamek, kiedy przyszli

pierwsi Sithowie... gdy Osten Ard było dziewicze i czyste jak strumień powstały z topniejącego śniegu. Pewne jest, że lud Sithów zamieszkiwał tutaj na długo przed przybyciem człowieka. Było to pierwsze miejsce w całym Osten Ard, które miało poznać pracę rąk rzemieślnika. Ta twierdza strzeże dróg wodnych państwa, jej bydło wypasa się na najlepszych ziemiach. Jak długo sięga pamięć ludzka, stał tu Hayholt i jego przodkowie – pogrzebane pod nim starsze cytadele. Rzeczywiście było to już stare miejsce, kiedy przyszli Rimmersmeni.

Simonowi zakręciło się w głowie, gdy zdał sobie sprawę z doniosłości tego stwierdzenia. Stary zamek wydał mu się nagle przygniatający, kamienne ściany – ścianami klatki. Wzdrygnął się i rozejrzał szybko dookoła, jakby coś pradawnego i zazdrosnego miało zaraz wyciągnąć po niego swe zakurzone dłonie.

Morgenes roześmiał się wesoło – a był to niezwykle młodzieńczy śmiech – i zeskoczył ze stołu. Zdawało się, że pochodnie zaświeciły jaśniej.

– Nie bój się, Simonie, myślę, że ty nie musisz obawiać się magii Sithów, a ja wiem to jak nikt inny. Dzisiaj już nie musisz. Zamek został w dużym stopniu zmieniony, kładziono kamień po kamieniu, a każdy łokieć poświęciły setki kapłanów. No, może się czasem zdarzyć, że Judith czy ktoś z kuchni odwróci się i stwierdzi, że zniknął talerz z ciasteczkami, ale myślę, że coś takiego da się logicznie wytłumaczyć młodym ludziom obecnością chochlików...

Pukanie do drzwi przerwało opowieść Doktora.

– Kto tam? – zawołał.

– To ja – odpowiedział ponury głos – to ja, Inch – dokończył po dłuższej przerwie.

– Na Kości Anaxosa! – zaklął Doktor, który uwielbiał takie egzotyczne powiedzonka. – No więc otwórz drzwi... Jestem już za stary, by usługiwać

głupcom.

Drzwi się otworzyły. Oświetlony blaskiem z wewnętrznego korytarza mężczyzna był prawdopodobnie wysoki, lecz pochylona głowa i zgarbiona postać nie pozwalały stwierdzić tego na pewno. Okrągła jak księżyc i pozbawiona wyrazu twarz unosiła się tuż nad klatką piersiową, nad nią sterczała czupryna sztywnych czarnych włosów, które przycięto niezdarnie tępym nożem.

– Przepraszam, że... że przeszkadzam, Doktorze, ale... ale kazał pan przyjść wcześnie, prawda? – Tubalny, powolny głos przypominał kapiący tłuszcz.

Morgenes zagwizdał zdesperowany i pociągnął za kosmyk swych siwych włosów.

– Tak było, tyle tylko, że powiedziałem wcześnie po kolacji, której jeszcze nie było. Ale nie ma sensu cię odprawiać. Simonie, czy poznałeś już Incha, mojego pomocnika?

Simon skinął uprzejmie głową. Rzeczywiście spotkał go dwa czy trzy razy; Morgenes wzywał go czasem wieczorami do pomocy, pewnie do dźwigania. Z pewnością tylko do tego, gdyż Inch nie wyglądał na kogoś, komu można powierzyć zgaszenie ognia przed pójściem spać.

– No cóż, młody człowieku, zdaje się, że będę musiał położyć kres mej gadatliwości, przynajmniej dzisiaj – powiedział starzec. – Skoro Inch już tu jest, muszę go wykorzystać. Przyjdź jeszcze, to ci opowiem więcej, jeśli będziesz chciał.

– Na pewno przyjdę. – Simon skinął ponownie w stronę Incha, który popatrzył na niego cielęcym wzrokiem. Był już przy drzwiach, prawie ich dotykał, gdy nagle coś sobie wyobraził: bardzo wyraźnie zobaczył miotłę Rachel, leżała tam, gdzie ją zostawił, w trawie nad fosą. Wyglądała jak ciało jakiegoś dziwnego, wodnego ptaka.

Gamoń!

Nic nie powie. Zabierze miotłę w drodze powrotnej i skłamie Smokowi, że praca skończona. Tyle miał do przemyślenia, a wiedział, że chociaż Doktor i Rachel byli najstarszymi mieszkańcami zamku, to jednak rzadko ze sobą rozmawiali. To będzie najlepsze rozwiązanie.

Nie wiadomo dlaczego, Simon zawrócił. Starzec pochylony nad stołem badał jakiś zwój, a Inch stał za nim i gapił się przed siebie.

– Doktorze Morgenes...

Usłyszawszy swe nazwisko, Doktor podniósł wzrok i zamrugał. Wydawał się zdziwiony faktem, że Simon jest jeszcze w pokoju – podobnie zresztą jak i sam Simon.

– Doktorze, ależ ze mnie głupiec.

Morgenes uniósł brwi w milczeniu.

– Miałem pozamiatać pański pokój. Rachel mi kazała. A tu już wieczór.

– Ach, tak! – Morgenes poruszył nosem, jakby go swędział, po czym roześmiał się szeroko. – Pozamiatać mój pokój, co? No to przyjdź jutro, młodzieńcze, i zrób to. Powiedz Rachel, że mam dla ciebie więcej pracy. Niech będzie tak dobra i pozwoli ci przyjść. – Odwrócił się do swojej książki, lecz za chwilę znowu podniósł wzrok, zmrużył oczy i wydął usta.

Gdy Doktor tak patrzył na niego w milczeniu, Simon poczuł, że jego uniesienie ustępuje miejsca zdenerwowaniu.

„Dlaczego on mi się tak przygląda?”

– Pomyśl o tym, chłopcze – powiedział wreszcie Doktor. – Będę miał wiele zajęć, w których mógłbyś mi pomóc. A poza tym będę potrzebował ucznia. Przyjdź jutro, tak jak mówiłem. O reszcie porozmawiam z ochmistrzynią. – Uśmiechnął się krótko i powrócił do swego zwoju.

Simon zdał sobie nagle sprawę, że Inch wpatruje się w niego znad pleców Doktora, widział jego bladą, tępą twarz i pozbawione wyrazu oczy.

Odwrócił się i wybiegł pędem. Ponownie ogarnęło go podniecenie. Biegł w podskokach wypełnionym niebieskim światłem korytarzem, a potem znalazł się pod czarnym, pomazanym chmurami niebem. Uczeń! Uczeń Doktora!

Kiedy dotarł do stróżówki, zatrzymał się i zsunął na brzeg fosy, by poszukać miotły. Świerszcze wyśpiewywały swe wieczorne chorały. Gdy znalazł ją wreszcie, usiadł na chwilę pod murem nad brzegiem fosy i słuchał.

Otoczony rytmicznym śpiewem powiódł palcami po najbliższych kamieniach. Gładził powierzchnię jednego z nich, gładkiego niczym ręką polerowany cedr, i pomyślał sobie: „Może ten kamień był tu już, kiedy... kiedy urodził się nasz Pan Usires. A może jakiś chłopiec Sitha siedział w tym samym zacisznym miejscu i słuchał odgłosów nocy...”

„Skąd zawiał ten wiatr?”

Zdawało mu się, że słyszy jakiś szept, słowa zbyt ciche, by je usłyszeć.

„Może i on dotykał tego samego kamienia...”

Szept na wietrze: Odzyskamy to, chłopcze, wszystko to odzyskamy...

Ogarnął go niespodziewany chłód, więc otulił się szczelniej kurtką, wstał i zaczął się wspinać trawiastym zboczem. Zapragnął nagle usłyszeć znajome głosy i zobaczyć światło.

3. Ptaki w kaplicy

NA ŚWIĘTEGO AEDONA...

Pac!

– ...i jego matkę Elysię...

Pac!

– ...i wszystkich świętych, którzy czuwają...

Pac!

– ...Czuwają... au! – Złowrogi syk. – Przeklęte pająki! – Przeplatane okrzykami i przekleństwami uderzenia wzmogły się. To Rachel usuwała pajęczyny z sufitu w jadalni.

Dwie dziewczyny były chore, a trzecia skręciła nogę w kostce. W taki dzień wielobarwne oczy Rachel, zwanej Smokiem, rzucały groźne błyski. A do tego ta choroba Sarrah i Jael. Rachel była surową przełożoną, ale wiedziała, że jeden dzień pracy chorej dziewczyny przyniesie w rezultacie jej nieobecność przez następne trzy. Tak więc musiała nadrabiać za nie wszystkie. Jakby i bez tego nie robiła za dwóch! Zarządca dworu oznajmił, że Król będzie jadł tego wieczoru w Wielkiej Sali, że z Meremundu przybył Elias, książę regent, a były też jeszcze i inne prace!

Do tego Simon, posłany godzinę temu po kilka wiązek sitowia, wciąż nie wracał.

Stała więc – stara, zmęczona – na chwiejącym się stołku i machała miotłą, by dosięgnąć pajęczyny w samym rogu sufitu. Ach, ten chłopak, ten

chłopak...

– Święty Aedonie, daj mi siły...

Pac! Pac! Pac!

– Ten przeklęty chłopak!

„To, że jest trudny i leniwy, to jeszcze nie wszystko” – pomyślała, gdy osunęła się na stołek spocona, z czerwoną twarzą. Przez wszystkie te lata starała się, jak mogła, żeby wytrzepać z niego tę przekorę; i częściowo jej się udało. Ach, dobra Matko Boża, najgorsze było to, że chyba nikogo to nie obchodziło! Wzrostem Simon dorównywał już mężczyznom, a i lata miał te, że mógł się brać do męskiej roboty – ale nie! On wciąż wałęsał się i wałkonił. W kuchni śmiali się z niego. Pokojówki rozpieszczały go i wykradały dla niego obiady, kiedy ona wyganiała go od stołu. A Morgenes! Litościwa Elysio, on wręcz zachęcał chłopca do swawoli!

Teraz pyta, czy Simon może pracować u niego codziennie, sprzątać, pilnować porządku – ha! – i pomagać mu w jego pracy. Już ona dobrze wie, czym to grozi. Będą wysiadywali godzinami, stary będzie żłopał piwo i opowiadał chłopcu Bóg jeden wie jakie diabelskie historie.

A jednak nie mogła tak zupełnie zlekceważyć tej propozycji. Po raz pierwszy ktoś potrzebował chłopca, który i tak tylko plącze się pod nogami! A poza tym, Morgenes wydawał się przekonany, że to naprawdę wyjdzie chłopakowi na dobre...

Doktor często irytował Rachel swymi fantastycznymi opowieściami i kwiecistymi przemówieniami, które, jak podejrzewała, maskowały kpinę, ale wyglądało na to, że interesuje się Simonem. Zawsze starał się podsunąć mu to, co uważał dla niego za najlepsze... tu jakaś uwaga, tam jakiś pomysł. To on po cichu udobruchał kuchennego, gdy ten stłukł i wyrzucił chłopca z kuchni. Zawsze miał na niego oko.

Rachel spojrzała w górę na szerokie belki sufitu, jej wzrok powędrował gdzieś daleko w cień. Zdmuchnęła z twarzy kosmyk wilgotnych włosów.

Przypomniała sobie pewną deszczową noc; kiedy to było, jakieś piętnaście lat temu? Na wspomnienie tamtych zdarzeń poczuła się tak stara... a jednak zdawało jej się, że minęła zaledwie chwila...

DESZCZ LAŁ WTEDY DZIEŃ I NOC. Rachel szła ostrożnie błotnistym dziedzińcem z płaszczem nad głową w jednej ręce i z latarnią w drugiej. W pewnej chwili weszła w koleinę, jaką pozostawił przejeżdżający wóz, i poczuła, że woda sięgnęła do kostek. Wyciągnęła stopę, lecz but pozostał w błocie. Pomyślała, że biegnąc boso w taką noc, przeziębi się, ale nie było czasu na grzebanie w kałużach.

Wprawdzie w pracowni Morgenesa paliło się światło, lecz wydawało jej się, że upłynęły wieki, nim usłyszała jego kroki. Kiedy otworzył drzwi, stwierdziła, iż zdążył się już położyć. Ubrany w długą, nocną koszulę, która wymagała cerowania, przecierał nieprzytomne oczy w świetle latarni. W przeciwległym rogu stało łóżko przykryte wymiętymi kocami i mnóstwem książek. Pokój zrobił na Rachel wrażenie nory jakiegoś okropnego zwierza.

– Doktorze, szybko! – powiedziała. – Musi pan natychmiast przyjść!

Morgenes popatrzył na nią i cofnął się o krok.

– Wejdź, Rachel. Nie mam pojęcia, co to za księżycowe palpitacje cię do mnie przywiodły, ale skoro już przyszłaś...

– Nie, nie, głupcze, chodzi o Susan! Nadszedł jej czas, a jest bardzo słaba. Boję się o nią.

– Kto? Co? Nieważne. Chwileczkę, muszę pozbierać swoje rzeczy. Co za okropna noc! Idź, dogonię cię.

– Ale, Doktorze Morgenes, przyniosłam panu latarnię.

Powiedziała to za późno. Drzwi już się zamknęły i została sama na schodach. Krople deszczu ściekały po długim nosie. Przeklinając, ruszyła z powrotem do pomieszczeń służby.

W chwilę później usłyszeli, jak Morgenes wchodzi po schodach i strzepuje z płaszcza wodę. Wystarczyło mu jedno spojrzenie z progu, by objąć całą scenę: na łóżku leżała ciężarna kobieta z odwróconą do ściany twarzą i jęczała. Jej ciemne włosy opadły na czoło. Spoconą dłonią ściskała rękę innej młodej kobiety, która klęczała przy niej. W nogach łóżka stały Rachel i jakaś starsza kobieta. Ta druga podeszła do Morgenesa, kiedy otrzepywał swój płaszcz.

WITAJ, ELISPETH – POWIEDZIAŁ CICHO. – Jak to wygląda?

– Chyba nie za dobrze, sir. Gdyby było inaczej, poradziłabym sobie. Ma bóle już od wielu godzin i krwawi. Bardzo słabe serce. – Gdy Elispeth mówiła, podeszła do nich Rachel.

– Tak. – Morgenes pochylił się i poszperał w torbie, którą przyniósł ze sobą. – Daj jej trochę tego – powiedział i podał Rachel zakorkowaną fiolkę. – Wystarczy łyk, ale dopilnuj, żeby połknęła.

Ponownie schylił się do swej torby, a Rachel otworzyła zaciśnięte i drżące szczęki kobiety na łóżku i wlała jej do ust porcję płynu. W pokoju wypełnionym zapachem potu i krwi rozszedł się teraz inny, ostry zapach.

– Doktorze – odezwała się Elispeth w chwili, gdy powróciła Rachel – chyba nie uda nam się uratować matki i dziecka... żeby choć jedno...

– Musisz uratować życie dziecka – wtrąciła Rachel. – Tak nakazuje bogobojność. Tak mówią kapłani. Uratujcie dziecko.

Morgenes zwrócił się do niej poirytowany:

– Dobra kobieto, jeśli nie masz nic przeciwko temu, to będę się bał Boga na swój własny sposób. Skoro ją uratuję, choć nie twierdzę, że będę w stanie, to zawsze będzie mogła mieć następne dziecko.

– Nie będzie mogła – zaprzeczyła stanowczo Rachel. – Jej mąż nie żyje.

„Kto jak kto, ale Morgenes powinien o tym pamiętać” – pomyślała. Mąż Susanny, który był rybakiem, często odwiedzał Doktora, zanim utonął, chociaż Rachel trudno było sobie wyobrazić, o czym ci dwaj mogli rozmawiać.

– No to – ciągnął Morgenes z roztargnieniem – no to zawsze może sobie znaleźć innego, co? Jej mąż? – Popatrzył na Rachel zaskoczony i szybko podszedł do łóżka. Wydawało się, że wreszcie zrozumiał, kto tu leży i traci powoli życie wraz z upływającą krwią.

– Susanna? – zapytał cicho i odwrócił do siebie wykrzywioną z bólu i wystraszoną twarz kobiety. Otworzyła na chwilę szeroko oczy, lecz kolejny skurcz zamknął je. – Ach, co tu się stało?

Susanna jęknęła tylko, a Doktor popatrzył ze złością na Rachel i Elispeth.

– Dlaczego nikt mnie nie zawiadomił, że zbliża się poród tej biedaczki?

– Miała rodzić dopiero za dwa miesiące – wyjaśniła łagodnie Elispeth. – Wie pan o tym. Zaskoczyła nas tak samo jak pana.

– A poza tym, czemu miałby się pan interesować tym, że wdowa po rybaku spodziewa się dziecka? – zauważyła Rachel. Ona też potrafiła się złościć. – I dlaczego kłóci się pan o to teraz?

Morgenes popatrzył na nią przez chwilę i zamrugał oczami.

– Masz zupełną rację – powiedział i odwrócił się do łóżka. – Susanno, uratuję dziecko – powiedział do drżącej kobiety.

Skinęła głową i krzyknęła.

ROZLEGŁO SIĘ SŁABE, kwilące zawodzenie, ale był to płacz żywego dziecka. Morgenes podał Elispeth malutkie, umazane krwią stworzenie.

– Chłopiec – powiedział i skierował uwagę na matkę. Leżała teraz spokojnie i oddychała wolno; jej skóra była biała jak marmur Harcha. – Susanno, uratowałem go. Musiałem – szepnął.

Kąciki ust kobiety drgnęły, być może w uśmiechu.

– Wiem... – powiedziała cicho przez zaciśnięte gardło. – Gdyby tak... mój Eahlferend... nie...

Był to dla niej zbyt duży wysiłek, więc zamilkła. Elispeth pochyliła się, by pokazać jej zawinięte w koce dziecko, wciąż połączone z matką zakrwawioną pępowiną.

– Jest mały – staruszka uśmiechnęła się – ale to dlatego, że przyszedł tak wcześnie. Jak mu dasz na imię?

– ...Nazwijcie... go... Seoman...

Spojrzała na Morgenesa i zdawało się, że chce mu coś powiedzieć. Doktor pochylił się, a jego siwe włosy musnęły jej śnieżnobiały policzek. Nie potrafiła jednak wydobyć z siebie głosu. Po chwili jeszcze raz wciągnęła mocniej powietrze i przewróciła oczami tak, że widoczne były tylko białka. Trzymająca ją za rękę dziewczyna zaczęła szlochać.

Rachel również poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Odwróciła się, udając, że sprząta. Elispeth odcinała ostatnie ogniwo, jakie jeszcze łączyło noworodka z jego martwą matką.

Ruch ten sprawił, że zaplątana w jej własne włosy prawa dłoń Susanny uwolniła się i opadła bezwładnie w kierunku podłogi. Kiedy uderzyła o podłogę, coś lśniącego wypadło z zaciśniętej dłoni i potoczyło się po surowych deskach do stóp Doktora. Rachel dostrzegła kątem oka, że Morgenes pochyla się i podnosi ten przedmiot. Okazał się tak mały, że z łatwością skrył się w dłoni, a potem w torbie Doktora.

Rachel była wściekła, lecz poza nią nikt inny chyba tego nie zauważył. Ze łzami w oczach odwróciła się, by do niego przemówić, lecz ogromny smutek na twarzy starca powstrzymał ją, zanim się odezwała.

– Będzie się nazywał Seoman – powiedział Doktor. Głos miał zachrypły, a oczy przybrały dziwny wyraz. – Musisz się nim zająć, Rachel. Wiesz, że jego rodzice nie żyją.

GWAŁTOWNY WDECH. Rachel zdążyła się uchwycić brzegu stołka, nim się z niego zsunęła. Żeby zasnąć w biały dzień – wstyd jej było za samą siebie! To wszystko przez tę niekończącą się pracę, którą wykonywała za chore dziewczyny... i Simona.

Potrzebowała trochę świeżego powietrza. Tak długo stała na stołku i machała miotłą jak szalona – nic dziwnego, że się nawdychała kurzu. Wyjdzie na chwilę na zewnątrz. Jeden Bóg wiedział, że należy jej się trochę świeżego powietrza. Ten Simon, taki niegodziwiec.

Wychowywała go z pokojówkami. Susanna nie miała w okolicy żadnych krewnych, nic też nie było wiadomo o jej zmarłym mężu Eahlferendzie, więc zatrzymano chłopca. Rachel udawała, że nie jest temu rada, ale tak naprawdę, to nie zostawiłaby go, tak samo jak nie zdradziłaby Króla czy nie zostawiła niepościelonych łóżek. To ona nazwała go Simonem. Wszyscy w służbie Króla Johna przybierali imiona z jego rodzinnej wyspy, Warinsten. Imię Simon było najbliższe Seoman i tak też zostało.

Rachel zeszła powoli schodami na parter. Czuła, jak jej nogi trochę się trzęsą. Żałowała, że nie wzięła płaszcza, gdyż na zewnątrz robiło się coraz zimniej. Otwierane powoli drzwi zaskrzypiały. Były ciężkie i wymagały naoliwienia. Wyszła na dziedziniec podjazdowy. Poranne słońce wychylało się zza blanków jak dokazujące dziecko.

Lubiła to miejsce tuż pod kamiennym przejściem łączącym budynek jadalni z kaplicą. Był tu mały dziedziniec, obsadzony sosnami i wrzosem rosnącym na małych wzgórkach. Cały ten ogród nie był dłuższy niż na rzut kamieniem. Patrząc w górę, ponad kamienną aleją widziała strzelistą Wieżę Zielonego Anioła, białą i lśniącą w słońcu jak kieł z kości słoniowej.

Rachel przypomniała sobie, jak na długo przed przyjściem na świat Simona bawiła się w tym ogrodzie jako mała dziewczynka. Niejedna z pokojówek uśmiałaby się na tę myśl: Smok jako dziewczynka. A jednak tak było. Później była młodą damą – i to całkiem ładną. Tak, taka była prawda. Wtedy w ogrodzie szeleściły jedwabie i brokaty lordów i dam. Roześmiani, z sokołami na rękach śpiewali wesołe piosenki.

A teraz Simon. Wydaje mu się, że wie już wszystko. Bóg stworzył młodych ludzi głupcami i tyle. Dziewczęta zepsułyby go niemal do zatracenia, gdyby Rachel nie czuwała. Ona wiedziała, co jest słuszne, nawet jeśli młodzi myśleli inaczej.

„Kiedyś wszystko było inne” – pomyślała Rachel, a zapach sosen z ocienionego ogrodu jakby przeniknął do jej serca. Zamek był wtedy tak piękny i wzruszający: wysocy rycerze w lśniących zbrojach z piórami, piękne dziewczęta wystrojone we wspaniałe suknie, muzyka... och, i plac turniejowy pełen lśniących namiotów! Teraz zamek spał spokojnie i śnił tylko. Na wysokich blankach uwijali się jedynie ludzie pokroju Rachel: kucharze, pokojówki, zarządcy i podkuchenni...

RZECZYWIŚCIE BYŁO TROCHĘ ZIMNO. Rachel pochyliła się, otulając szczelnie szalem, lecz zaraz wyprostowała się zdumiona. Przed nią stał Simon z rękoma schowanymi z tyłu. Jak to możliwe, że dała się tak zaskoczyć? I dlaczego on uśmiechał się tak idiotycznie? Rachel poczuła, że ponownie wstępuje w nią moc nakazująca uczynić zadość sprawiedliwości.

Jego koszula – czysta jeszcze godzinę temu – była teraz czarna i w kilku miejscach rozdarta, podobnie jak i spodnie.

– Ratuj mnie, święta Riappo! – wrzasnęła. – Coś ty takiego robił, głupcze?! – Riappa była aedonicką kobietą z Nabbanu, która zmarła z imieniem Jedynego Boga na ustach po tym, jak została kilkakrotnie zgwałcona przez morskich piratów. Była ulubioną świętą służby domowej.

– Rachel, spójrz, co mam! – powiedział Simon i wyciągnął przed siebie postrzępioną i splątaną kępę słomy. Było to ptasie gniazdo. Dochodziły z niego jakieś popiskiwania. – Znalazłem to pod Wieżą Hjeldin. Pewnie wiatr zdmuchnął. Trzy jeszcze żyją i chcę je wychować!

– Czyś ty już zupełnie zwariował? – Rachel uniosła miotłę, która wyglądała teraz jak pioruny wysłane ręką Pana; one z pewnością pokarały gwałcicieli Riappy. – Jeśli zatrzymasz te stworzenia w tym domu, to ja popłynę do Pedruin! Obrzydlistwa, co latają wkoło i wplątują się ludziom we włosy! Popatrz na swoje ubranie! Czy wiesz, ile czasu zajmie Sarrah połatanie tego? – Kij miotły zadrżał w powietrzu.

Simon spuścił oczy. Pewnie, że nie znalazł gniazda na ziemi. Dostrzegł je w Ciernistym Ogrodzie, strącone ze swego miejsca na Świątecznym Dębie. Wdrapał się, by je uratować, i podniecony możliwością posiadania własnych ptaków, nie pomyślał, ile pracy przysporzy Sarrah. Ta prosta, spokojna dziewczyna zajmowała się u nich na dole cerowaniem. Zasmucił się i zmartwił.

– Ale, Rachel, pamiętałem o sitowiu! – Trzymając ostrożnie gniazdo w jednej ręce, drugą wyciągnął zza kurtki wiązkę wymiętego, mokrego sitowia.

Wzrok Rachel złagodniał nieco, lecz wciąż miała nachmurzoną minę.

– To wszystko dlatego, chłopcze, że ty nie myślisz, tak, nie myślisz. Jesteś jak małe dziecko. Jeśli coś się tłucze lub zostaje zrobione za późno,

ktoś musi za to odpowiadać. Tak już jest na świecie. Wiem, że nie robisz tego specjalnie, ale, na naszą Panią, czy musisz być aż tak głupi?

Simon popatrzył na nią ostrożnie. Choć jego twarz wciąż wyrażała smutek i odpowiednią skruchę, to Rachel widziała swym okiem bazyliszka, że chłopiec sądzi, iż najgorsze ma już za sobą. Jej brwi ponownie opadły.

– Przepraszam, Rachel, naprawdę przepraszam... – mówił, gdy ona szturchnęła go kijem miotły w ramię.

– No, młodzieńcze, nie zaczynaj znowu z tym odwiecznym „przepraszam”, tylko zabierz stąd te ptaki. Nie będzie tu żadnych trzepocących i latających stworzeń.

– Och, Rachel, mógłbym je trzymać w klatce! Sam bym ją zbudował.

– Kiedy mówię nie, to znaczy nie. Możesz je zanieść swojemu bezużytecznemu Doktorowi, jeśli chcesz, ale nie przynoś ich tutaj i nie przeszkadzaj uczciwym ludziom w wypełnianiu obowiązków.

Simon odszedł z gniazdem w dłoniach. Przeliczył się – Rachel prawie się zgodziła, ale była twardym przeciwnikiem. W potyczce z nią wystarczył najmniejszy błąd, by ponieść szybką i sromotną porażkę.

– Simon! – zawołała.

Odwrócił się szybko.

– Mogę je zatrzymać?

– Oczywiście, że nie. Nie bądź gamoniem. – Wpatrywała się w niego. Trwało to tak długo, że Simon poczuł się nieswojo i zaczął przestępować z nogi na nogę.

– Pójdziesz pracować do Doktora – odezwała się wreszcie. – Może on potrafi wlać ci do głowy trochę rozumu; ja się poddaję. – Patrzyła groźnie. – Pamiętaj, żeby robić to, co ci każe, i podziękuj mu, przy tej odrobinie szczęścia, jaka ci pozostała, za tę ostatnią szansę. Rozumiesz?

– Pewnie! – zawołał uradowany.

– Nie uciekniesz mi tak łatwo. Wróć na kolację.

– Tak, Rachel! – Simon odwrócił się, by popędzić do Morgenesa, lecz zatrzymał się.

– Rachel... Dziękuję.

Rachel wydała pomruk oburzenia i ruszyła z powrotem w kierunku schodów do jadalni. Simon zastanawiał się, skąd w jej szalu znalazło się tyle sosnowych igieł.

Z NISKO WISZĄCYCH szarych chmur prószył drobny śnieg. Simon wiedział, że pogoda już się ustaliła: będzie zimno aż do miesiąca Candlemansa. Zdecydował, że przemknie przez kaplicę do zachodniej części Ściany Wewnętrznej, zamiast nieść pisklaki przez zimny dziedziniec. Poranne modlitwy skończyły się jakąś godzinę lub dwie temu, więc kościół powinien być pusty. Ojciec Dreosan nie ucieszyłby się, widząc, jak Simon paraduje przez jego terytorium, ale dobry ojczulek z pewnością siedział teraz przy stole, zajęty swym olbrzymim porannym posiłkiem. Pewnie pomstował groźnie na jakość masła lub konsystencję puddingu z miodu i chleba.

Simon wszedł po schodkach, które wiodły do bocznych drzwi kaplicy. Śnieg wzmógł się nieco; szare kamienne drzwi upstrzone były mokrymi plamkami po topniejących płatkach. Drzwi otworzyły się zaskakująco cicho.

Nie chcąc zostawiać zdradzieckich mokrych śladów na kamiennej podłodze, Simon przecisnął się przez welwetowe kotary wiszące tuż przy wejściu i wspiął się po schodach na chór.

Zagracony i duszny, latem stanowił miejsce męczarni, lecz teraz było tu przyjemnie ciepło. Podłogę zalegały pozostałości po mnichach: skorupy orzechów, ogryzki, kawałki dachówek, na których wypisywali wiadomości,

chcąc możliwie łagodnie obejść śluby milczenia. Chór przypominał bardziej klatkę dla małp lub jarmarcznych niedźwiedzi niż miejsce, gdzie synowie Boży przychodzili śpiewem wychwalać chwałę Pana. Simon uśmiechnął się, lawirując między skrawkami sukna i małymi rozklekotanymi klęcznikami. Miło było wiedzieć, że ci ponurzy, wygoleni mężczyźni potrafili być równie nieznośni jak wiejskie chłopaki.

Usłyszawszy nagle odgłos czyjejś rozmowy, Simon skrył się w fałdach wiszącej z tyłu chóru kotary. Wciśnięty w zatęchłą tkaninę wstrzymał oddech, serce waliło mu mocno. Jeśli to ojciec Dreosan lub Barnabas, kościelny, to nigdy nie uda mu się dotrzeć do drzwi bez zwrócenia na siebie uwagi. Będzie musiał się przekradać tą samą drogą, którą przyszedł, a potem przez dziedziniec – rozważał jak superszpieg w obozie wroga.

Przykucnął cichutko i wytężył słuch, by się zorientować, kto rozmawia. Zdawało mu się, że słyszy dwa głosy. Ptaki zapiszczały cicho w jego dłoniach. Przełożył na chwilę gniazdo w zagięcie ręki i zdjął kapelusz – dostałoby mu się, gdyby ojciec Dreosan złapał go w kaplicy z nakryciem głowy. Następnie przykrył czubek gniazda miękką krawędzią kapelusza. Pisklęta natychmiast umilkły, jakby zapadła noc. Simon rozchylił nieco fałdy kotary i wysunął głowę. Głosy dochodziły z nawy przed ołtarzem. Ich ton nie zmienił się, co znaczyło, że nikt go nie usłyszał.

W kaplicy paliło się tylko parę pochodni. Przepastny dach niemal w całości pogrążony był w cieniu, lśniące okna kopuły zdawały się unosić na nocnym niebie niczym dziury w ciemności, przez które widać było skrawki Niebios. Ptaki uniosły nieco kapelusz, moszcząc się wygodnie w gnieździe. Simon skradał się bezgłośnie w kierunku poręczy chóru. Przyczaił się w ocienionym miejscu przy schodach, które schodziły do kaplicy, i wsadził głowę między rzeźbione części balustrady. Jednym

policzkiem dotykał sceny męczeństwa świętego Tunatha, a drugim berła świętego Pelippa z Wyspy.

– ...a ty, z tym swoim bluźnierczym narzekaniem! – szydził jeden z rozmówców. – Mam już tego dość!

Simon nie widział twarzy mówiącego. Stał bowiem tyłem do chóru i miał na sobie płaszcz z wysokim kołnierzem. Za to natychmiast rozpoznał drugiego, który siedział na ławce naprzeciw swego rozmówcy.

– Ci, którym mówi się rzeczy, jakich woleliby nie słuchać, nazywają to „narzekaniem” – powiedział ten pierwszy i machnął delikatną dłonią.

– Ostrzegam cię przed duchownym z miłości do królestwa. – Na chwilę zapadła cisza. – I przez wspomnienie więzów, które nas niegdyś łączyły.

– Możesz sobie mówić, co ci się żywnie podoba – rzucił gniewnie pierwszy mężczyzna, choć w tym gniewie wyczuć można było i ból – ale tron jest mój, zgodnie z prawem i wolą naszego ojca. I nie zmieni tego nic, cokolwiek pomyślisz, powiesz albo zrobisz!

Josua Bezręki, bo tak często nazywano młodszego syna Króla, wyprostował się na ławce. Na jego perlistoszarej tunice i pończochach widniały czerwono-białe symbole. Brązowe włosy miał krótko przystrzyżone. W miejscu, gdzie powinna być prawa ręka, sterczała z rękawa skórzana tuba.

– Nie pragnę Smoczego Tronu, uwierz mi, Eliasie – szepnął. Mówił łagodnie, a mimo to jego słowa docierały do kryjówki Simona jak strzały. – Ostrzegam cię tylko przed duchownym Pryratesem, to człowiek o... nieczystych zamiarach. Nie sprowadzaj go tutaj, Eliasie. Jest niebezpieczny, uwierz mi. Znam go jeszcze z dawnych czasów seminaryjnych z Usiru w Nabbanie. Mnisi unikali go jak zarazy. A ty wciąż dajesz mu posłuch, jakby można mu było ufać tak jak księciu Isgrimnurowi albo staremu sir Fluirenowi. Głupcze! On doprowadzi nasz dom do ruiny. – Uspokoił się po

chwili. – Proszę, zrozum, chcę tylko udzielić ci płynącej z serca rady. Nie czynię najmniejszych zakusów na tron.

– W takim razie opuść zamek! – warknął Elias i skrzyżowawszy ramiona, odwrócił się od brata. – Odejdź i pozwól mi się przygotować do objęcia rządów, tak jak mężczyźnie przystało, bez narzekań i manipulacji.

Starszy książę też miał wysokie czoło i zakrzywiony nos, lecz był znacznie potężniej zbudowany niż Josua. Wyglądał na takiego, co potrafi przetrącić komuś kark gołymi rękoma. Jego włosy były równie czarne jak jego buty do konnej jazdy i tunika. Miał na sobie przybrudzone w podróży zielone pończochy i zielony płaszcz.

– Obaj jesteśmy królewskimi synami, och, przyszły Królu... – Josua uśmiechnął się szyderczo. – Zgodnie z prawem korona należy do ciebie. Niech cię nie trapią żale, jakie mamy do siebie. Daję ci słowo, że twa królewska dusza może być spokojna. Ale – tutaj jego głos znowu nabrał siły – nie pozwolę, słyszysz, nie pozwolę się wygnać z domu mojego ojca nikomu – nikomu. Nawet tobie, Eliasie.

Jego brat odwrócił się. Ich spojrzenia skrzyżowały się jak dwa miecze.

– My mamy do siebie żale? – warknął Elias, a jego głos załamał się. – Jakiż ty możesz mieć do mnie żal? Może chodzi o twoją rękę? – Odszedł kilka kroków i stanął tyłem do brata. Mówił teraz z goryczą w głosie: – Strata ręki. Przez ciebie ja jestem wdowcem, a moja córka półsierotą, więc nie mów mi o żalach!

Josua zastanowił się, zanim odpowiedział.

– Wie... wiem o twym bólu, bracie – powiedział wreszcie. – Lecz czy nie wiesz, że nie tylko rękę, ale i życie bym oddał...!

Elias odwrócił się, sięgnął dłonią do szyi i wyciągnął spod tuniki coś błyszczącego. Simon otworzył usta. Nie był to nóż, lecz coś miękkiego, jakby kawałek lśniącego materiału. Elias z drwiną machnął tym przed

twarzą zaskoczonego brata, po czym rzucił na podłogę i odwróciwszy się na pięcie, odszedł w górę nawy. Josua stał jakiś czas nieruchomo. Wreszcie jakby we śnie schylił się, by podnieść jasny przedmiot – kobiecy srebrny szal. Gdy patrzył, jak lśni w jego dłoni, twarz wykrzywił mu grymas bólu, a może wściekłości. Simon odetchnął kilkakrotnie, zanim Josua schował szal za koszulę i wyszedł za bratem z kaplicy.

Odczekał dość długo, nim poczuł się tak bezpieczny, by ośmielić się wyjść ze swej kryjówki i przekraść do głównych drzwi. Czuł się, jakby oglądał lalkowe przedstawienie, specjalnie dla niego wystawioną sztukę Usiresa. Świat nagle wydał mu się mniej pewny, mniej stabilny, jeśli książęta Erkynlandu, spadkobiercy całego Osten Ard, potrafili krzyczeć i awanturować się jak pijani żołnierze.

Kiedy Simon wyjrzał z chóru, zaskoczył go jakiś ruch. Postać w brązowej kurtce oddalała się pospiesznie; był to ktoś młody, w wieku Simona albo nawet młodszy. Obcy obejrzał się do tyłu – Simon dostrzegł zaskoczone oczy, lecz nie rozpoznał osoby. Czy i tamten szpiegował książąt? Simon poczuł się ogłupiały jak powalony słońcem wół. Zdjął z gniazda kapelusz, co przywróciło ptakom światło dzienne i wywołało ich piski. Pokiwał głową. Był to burzliwy poranek.

4. Klatka dla świerszczy

MORGENES CISKAŁ SIĘ po swej pracowni w poszukiwaniu zagubionej książki. Machnął Simonowi ręką, żeby rozejrzał się za jakąś klatką dla ptaków, i powrócił do swych poszukiwań, wywracając stosy manuskryptów i foliałów, niczym ślepy olbrzym w mieście pełnym kruchych wież.

Znalezienie domu dla piskląt okazało się trudniejsze, niż Simon przypuszczał. Wprawdzie było tu mnóstwo klatek, lecz żadna nie była cała. Niektóre miały tak szeroko rozstawione pręty, że nadawałyby się dla świń lub niedźwiedzi. Inne pełne były różnych przedmiotów, które ani trochę nie przypominały ptaków. Wreszcie znalazł odpowiednią pod belą lśniącego materiału. Sięgała mu do kolan i miała kształt dzwonu. Wykonano ją z ciasno poskręcanych rzecznych trzcin. Była pusta i tylko na dnie wypełniono ją warstwą piasku. Ciasno zawiązany sznurek blokował niewielkie drzwiczki. Simon rozwiązał węzeł i otworzył klatkę.

– Przestań! Przestań natychmiast!

– Co? – Simon odskoczył.

Doktor był już przy nim i nogą zamknął drzwiczki.

– Przepraszam, że cię przestraszyłem – rzucił zdyszany – ale powinienem pomyśleć, zanim pozwoliłem ci tu grzebać. To ci się chyba nie przyda.

– Dlaczego nie? – Simon pochylił się nad klatką, lecz nie znalazł w niej nic nadzwyczajnego.

– Chodź, pracusiu, stań tutaj i niczego nie dotykaj, pokażę ci coś. Głupiec ze mnie, że nie pamiętałem. – Morgenes rozejrzał się i dostrzegł porzucony koszyk z suszonymi owocami. Podszedł do klatki, zdmuchując kurz z zaschniętej figi. – A teraz patrz uważnie. – Otworzył drzwi i wrzucił owoc na wypełnione piaskiem dno klatki.

– I co? – zapytał zdziwiony Simon.

– Zaczekaj – szepnął Doktor.

Właściwie nie zdążył jeszcze tego powiedzieć, gdy w klatce coś się zaczęło dziać. Najpierw wydawało się, że powietrze w klatce migoce. Po chwili widać już było, jak sam piasek porusza się i wiruje wokół figi. Nagle ukazał się ogromny, uzbrojony w zęby pysk, który połknął figę tak szybko jak karp, który błyskawicznie wysuwa z wody pysk, by chwycić owada. Przestraszony Simon odskoczył z okrzykiem zdziwienia. Przez chwilę piasek jakby bulgotał, a potem wszystko znieruchomiało i klatka wyglądała tak zwyczajnie jak przedtem.

– Co tam jest? – wydusił z siebie Simon.

– No właśnie to! – Morgenes się roześmiał. – Tam nie ma piasku, to tylko maskarada, że tak powiem. Wszystko to na dnie klatki jest jednym mądrym zwierzęciem. Wspaniałe, co?

– Chy... chyba tak – powiedział Simon bez przekonania. – Skąd to pochodzi?

– Z Nascadu, leżącego w pustynnych krajach. Teraz wiesz, dlaczego nie chciałem, żebyś tu grzebał. Twoje skrzydlate sierotki nie byłyby tu chyba specjalnie szczęśliwe.

Morgenes ponownie dokładnie zawiązał drzwi klatki i odstawił ją na wysoką półkę. Żeby to zrobić, musiał wejść na stół; szedł teraz po nim, zręcznie omijając leżące tam przedmioty. Kiedy znalazł to, czego szukał,

zeskoczył na podłogę. Trzymał w ręku pojemnik z cienkich drewnianych pasków, w którym nie było podejrzanego piasku.

– Klatka na świerszcze – wyjaśnił i pomógł Simonowi umieścić pisklęta w ich nowym domu. Wstawili do środka małe naczynie z wodą. Morgenes znalazł gdzieś nawet malutki woreczek z nasionami, które rozsypał na podłodze klatki.

– Czy one są wystarczająco duże, żeby w ten sposób jeść? – zastanawiał się Simon.

Doktor zbył go machnięciem ręki.

– Nie ma obawy – powiedział. – Dobrze im to zrobi na zęby.

Simon obiecał swoim ptakom, że wróci niebawem z czymś bardziej odpowiednim, i udał się za Doktorem w drugi koniec pracowni.

– A więc, Simonie, czarodzieju zięby i jaskółki – powiedział z uśmiechem Morgenes – czym mogę ci służyć w to zimne przedpołudnie? Zdaje się, że nie dokończyliśmy naszej honorowej żabiej transakcji.

– Tak, i miałem nadzieję, że...

– Była chyba jeszcze inna sprawa, prawda?

– Jaka? – Simon myślał intensywnie.

– Drobny problem podłogi, jak widzisz, domaga się posprzątania. Miotła, samotna i zapomniana, której drewniane serduszko tęskni do tego, by jej użyto.

Simon przytaknął mu ponuro. Miał nadzieję, że ta praktyka u Doktora rozpocznie się w bardziej pomyślnych okolicznościach.

– Co to, mała awersja do wykonywania posług? – Doktor uniósł brwi. – Sprzeciw zrozumiały, lecz oddalony. Trzeba cenić tę czarną robotę, która zaprzęga do pracy nasze ciało, ale za to umysł i serce pozostawia nieskrępowane. Postaramy się pomóc ci w pierwszym dniu twej służby. Już

wiem, jak to zorganizować. – Podskoczył figlarnie. – Ja mówię, ty pracujesz. Zgoda?

Simon wzruszył ramionami.

– Ma pan miotłę? Bo ja swojej zapomniałem.

Morgenes pogrzebał za drzwiami i wyciągnął coś tak zużytego i obrośniętego pajęczynami, że z trudem przypominało narzędzie używane do zamiatania.

– A teraz, o czym chciałbyś, żebym ci opowiedział? – zapytał i wręczył Simonowi miotłę z taką godnością, jakby to był królewski proporzec.

– O morskich piratach i ich czarnym żelazie, o Sithach... no i o naszym zamku, oczywiście. I o Królu Johnie.

– Ach, tak. – Doktor pokiwał głową zamyślony. – Dość długa lista, ale jeśli ten durnowaty leniuch Inch znowu nam nie przeszkodzi, to może uda mi się ująć wszystko w skrócie. Do roboty, chłopcze, do roboty! Niech się kurz unosi! Ale, ale, gdzież to ja skończyłem naszą historię...?

– Och, przybyli Rimmersmeni, Sithowie się wycofywali, ale Rimmersmeni mieli żelazne miecze i rąbali wszystkich, zabijali ludzi, zabijali Sithów...

– Hmm – mruknął Morgenes. – Tak, już pamiętam. No cóż, prawdę mówiąc, najeźdźcy z Północy niezupełnie wszystkich zabijali; ich podboje i ataki też nie były aż tak bezlitosne, jak to się może wydawać. Przez wiele lat żyli na Północy, zanim przekroczyli Frostmarch, a i wtedy napotkali poważną przeszkodę, mianowicie Hernystirczyków.

– Tak, ale Sithowie...! – przerwał zniecierpliwiony Simon. Wiedział wszystko o Hernystirczykach. Spotkał wielu, którzy pochodzili z tego zachodniego, pogańskiego kraju. – Ale powiedział pan, że Mały Lud musiał uciekać przed żelaznymi mieczami!

– Nie „Mały Lud”, Simonie, ja... och! – Doktor opadł na stos oprawionych w skórę książek i pociągnął za swe rzadkie bokobrody. – Widzę, że muszę bardziej zagłębić się w historię. Czy spodziewają się ciebie na południowym posiłku?

– Nie – skłamał szybko Simon. Nieprzerwana opowieść Doktora zdawała mu się uczciwą ceną za osławione lanie z ręki Rachel.

– To dobrze. Poszukajmy więc trochę chleba i cebuli... i może jeszcze kwaterkę czegoś do picia – mówienie jest bardzo wysuszającym zajęciem – a potem spróbuję zamienić żużel w Metal Absolutny; innymi słowy, spróbuję czegoś cię nauczyć.

Zaopatrzywszy się w jedzenie i picie, Doktor powrócił na swe miejsce.

– Tak więc, Simonie... ale nie wstydź się machać miotełką, kiedy będziesz jadł. Młodzi są tak gibcy. A teraz, poprawiaj mnie, jeśli powiem coś nie tak. Jaki to mamy dziś dzień? Drorsday, piętnasty, a może szesnasty... nie, piętnasty Novander roku 1163, zgadza się?

– Chyba tak.

– Doskonale. Połóż to na stołku, dobrze? A zatem mamy rok 1163 od czego? – Morgenes się pochylił.

Simon, skrzywiony, zamiatał w milczeniu. Doktor wiedział, że jest gamoniem, i drażnił się z nim. Skąd podkuchenny ma wiedzieć takie rzeczy? Po jakimś czasie podniósł wzrok. Doktor żuł coś i wpatrywał się w niego znad chrupiącej pajdy czarnego chleba.

Ależ staruszek ma bystre i niebieskie oczy!

Simon odwrócił się.

– No więc? – zapytał Doktor z pełnymi ustami. – Od czego?

– Nie wiem – wymamrotał Simon i poczuł, że nienawidzi swego własnego, niechętnego głosu.

– Dobrze, niech tak będzie. Nie wiesz, albo ci się zdaje, że nie wiesz. Czy słuchasz obwieszczeń, które czyta obwoływacz?

– Czasami. Kiedy jestem na targu. Kiedy indziej Rachel mówi mi, co ogłoszono.

– I co jest na końcu obwieszczenia? Na końcu czytają zawsze datę, pamiętasz? Hej, hej, uważaj na tę kryształową urnę. Zamiatasz, jakbyś golił swego najgorszego wroga. No więc, co tam jest na końcu?

Simon, zawstydzony, miał już rzucić miotłę i wyjść, gdy nagle z głębin jego pamięci wyłoniły się odpowiednie słowa, przynosząc ze sobą odgłosy z targu: trzepoczące na wietrze proporce i markizy oraz świeży zapach rozdeptanej wiosennej trawy.

– Od Założenia. – Tak, był tego pewien. Słyszał to, jakby stał teraz przy Głównym Trakcie.

– Doskonale! – Doktor wzniósł dzban i pociągnął długi łyk. – Dobrze, od „Założenia” czego? Nie martw się – mówił dalej, widząc, że Simon zaczyna kręcić głową. – Powiem ci. Nie spodziewam się, żeby dzisiaj młodzi ludzie, wychowani na apokryficznej donkiszoterii i bohaterskich czynach, wiedzieli dużo o istocie wydarzeń. – Doktor pokiwał smutno głową. – Imperium Nabbańskie zostało założone – czy może ogłoszono, że zostało założone – tysiąc sto sześćdziesiąt ileś tam lat temu przez Tiyagarisa, który był pierwszym imperatorem. W tamtym czasie legiony z Nabbanu kontrolowały wszystkie kraje zamieszkane przez ludzi, od południa do północy, po obu stronach rzeki Gleniwent.

– Ale... ale przecież Nabban jest małe! – zdziwił się Simon. – To tylko niewielka część królestwa Króla Johna!

– To właśnie, młody człowieku – powiedział Morgenes – jest tym, co my nazywamy „historią”. Imperia mają tendencję do zmniejszania się, królestwa do upadków. W ciągu tysiąca lat wiele może się zdarzyć.

Panowanie Nabbanu trwało zresztą znacznie krócej. Zmierzam do tego, że Nabban panowało kiedyś nad ludźmi, a ludzie i Sithowie żyli obok siebie. Król Sithów rezydował tutaj, w Asu'a, czy też Hayholt, jak go nazywamy. Król Erl – „Erl", to stare słowo, które znaczy Sitha – odmówił ludziom wstępu na swoje tereny, chyba że za specjalnym pozwoleniem, a ludzie, czując przed Sithami respekt, byli posłuszni temu zakazowi.

– Kim są Sithowie? Powiedział pan, że nie są Małym Ludem?

Morgenes uśmiechnął się.

– Doceniam twe zainteresowanie, młodzieńcze, szczególnie że nic nie wspominałem dzisiaj o rzeziach i zabijaniu, ale doceniałbym je jeszcze bardziej, gdybyś nie był taki nieśmiały, jeśli chodzi o tę miotłę. Tańcz z nią, chłopcze, tańcz z nią! Spójrz na to i wyczyść, jeśli łaska.

Morgenes zbliżył się szybko do ściany i wskazał na plamę sadzy o średnicy kilkunastu łokci. Przypominała do złudzenia ślad stopy. Simon wolał o to nie pytać i zabrał się do usuwania plamy z pobielonego kamienia.

– Ach, stokrotne dzięki. Zabieram się do tego od miesięcy, a konkretnie od Wigilii Orki. No tak, gdzie to ja na Mniejsze Vistrile byłem? Ach, już wiem, twoje pytania. Sithowie? Oni byli tu pierwsi i, być może, pozostaną tutaj, gdy nas już nie będzie. Gdy nas wszystkich już nie będzie. Różnią się od nas tak bardzo, jak człowiek różni się od zwierzęcia. Chociaż w jakimś sensie są podobni... – Doktor urwał i się zamyślił. – Żeby oddać sprawiedliwość, człowiek i zwierzę żyją równie krótko w Osten Ard, lecz nie da się w ten sam sposób porównać człowieka i Sithów. Jeśli Prawy Lud nie zalicza się do nieśmiertelnych, to z pewnością żyje o wiele dłużej od jakiegokolwiek śmiertelnika, nawet naszego dziewięćdziesięcioletniego Króla. Być może oni nie umierają, chyba że z wyboru albo wskutek

przemocy. Możliwe, że dla Sithów przemoc sama w sobie może być wyborem...

Morgenes zamilkł, a Simon gapił się na niego z rozdziawionymi ustami.

– Och, zamknij buzię, chłopcze, bo wyglądasz jak Inch. Mam prawo odbiegać trochę od tematu. A może wolisz wrócić i posłuchać swojej ochmistrzyni?

Usta Simona zamknęły się i chłopak wrócił do usuwania sadzy ze ściany. Zdążył już zmienić pierwotny ślad stopy w coś, co przypominało owcę. Od czasu do czasu przerywał, by ocenić swą pracę. Na karku poczuł swędzenie chochlika nudy. Naturalnie, lubił Doktora i wolał być tutaj niż gdziekolwiek indziej, ale on tyle gadał! A gdyby tak sczyścić trochę więcej z góry, to byłby to pies. Żołądek Simona zaczął się już dopominać jedzenia.

Morgenes zabrał się do wyjaśniania ery pokoju pomiędzy wiecznie młodym Królem Erlem a parweniuszowskimi imperatorami pochodzenia ludzkiego, co Simon uznał za zbędne szczegóły.

– ...Tak więc Sithowie i człowiek osiągnęli stan równowagi – wyjaśnił starzec. – Nawet trochę z sobą handlowali...

Żołądek Simona burczał coraz głośniej. Doktor uśmiechnął się pod nosem i odłożył ostatnią cebulę, którą właśnie podniósł ze stołu.

– Ludzie sprowadzali przyprawy korzenne i barwniki z Wysp Południowych albo drogocenne kamienie z gór Grianspod w Hernystirze. W zamian otrzymywali wspaniałe przedmioty ze skarbca Króla Erla, były to przedmioty wykonane w sposób równie tajemniczy co mistrzowski.

Cierpliwość Simona wyczerpywała się.

– Ale co z żeglarzami, Rimmersmenami? Co z żelaznymi mieczami? – Rozejrzał się za czymś do zjedzenia. Może tak tę ostatnią cebulę? Zaczął ostrożnie przesuwać się w jej kierunku.

Morgenes stał odwrócony do okna. W chwili, gdy spoglądał na szare południowe niebo, Simon wsunął do kieszeni cebulę i szybko wrócił do plamy na ścianie. Znacznie już pomniejszona, wyglądała teraz jak wąż.

Odwrócony wciąż Morgenes mówił dalej:

– Zdaje się, że dość dużo mówiłem dzisiaj o spokojnych czasach i ludziach. – Pokiwał głową i powrócił na swoje miejsce. – Nie obawiaj się, pokój wkrótce ustanie. – Znowu pokiwał głową i kosmyk rzadkich włosów opadł na jego pomarszczone czoło.

Simon pogryzał ukradkiem cebulę.

– Złoty wiek Nabbanu trwał nieco ponad cztery stulecia, aż do momentu, gdy do Osten Ard przybyli pierwsi Rimmersmeni. – Doktor ciągnął swoją opowieść. Nabbańskie Imperium powoli podupadało. Ród Tiyagarisa wymarł, a każdy nowy imperator, który obejmował władzę, był kimś zupełnie przypadkowym. Niektórzy byli dobrymi władcami i starali się utrzymać imperium w całości. Inni, jak Crexis zwany Kozłem, byli gorsi od rozbójników z Północy. Jeszcze inni, jak Enfortis, byli po prostu słabi. ...Żelazne miecze przybyły właśnie w okresie panowania Enfortisa. Nabbańczycy wycofali się z Północy za rzekę Gleniwent tak szybko, że wiele ich północnych posterunków pozostało całkowicie osamotnionych. Mogły przyłączyć się do najeźdźców albo umrzeć. Hmm... Czy ja cię nie nudzę, chłopcze?

Simon, oparty o ścianę, wyprostował się szybko i ujrzał przed sobą uśmiechniętą twarz Morgenesa.

– Nie, Doktorze, nie. Zamknąłem oczy, żeby lepiej słuchać. Niech pan mówi dalej.

W rzeczywistości wszystkie te nazwy sprawiły, że poczuł się trochę senny i myślał o tym, żeby Doktor przeszedł do części historii z bitwami. Ale podobało mu się to, że był jedyną osobą w całym zamku, do której

Morgenes mówił. Pokojówki nie miały pojęcia o takich sprawach... męskich sprawach. Co służące mogły wiedzieć o armiach, sztandarach, mieczach...

– Simon?

– Tak, tak. Proszę mówić. – Odwrócił się, by usunąć resztę plamy, a Doktor podjął swą opowieść. Ściana była czysta. Czyżby skończył, nie wiedząc o tym?

– Dobrze, chłopcze, postaram się skrócić nieco moją opowieść. Jak już mówiłem, Nabbańczycy wycofali swe armie z Północy i po raz pierwszy stali się potęgą Południa. Był to początek końca. W miarę upływu czasu imperium kurczyło się niczym zwijany koc. Stawało się coraz mniejsze i mniejsze, aż do dzisiaj, kiedy jest zaledwie księstwem. Dziś to tylko przylądek z paroma wyspami. Na Strzałę Paldira, co ty wyprawiasz?

Simon wyginał się jak ogar, który próbuje podrapać się w trudno dostępne miejsce. Tak, pozostała jeszcze resztka brudu ze ściany: plama w kształcie węża odbita na plecach jego koszuli. Oparł się wcześniej o nią. Odwrócił się do Morgenesa zawstydzony, ale Doktor roześmiał się tylko i kontynuował.

– Na Północy pozbawionej garnizonów zapanował chaos. Morscy najeźdźcy zdobyli najbardziej na północ wysuniętą część Frostmarch i nazwali ją Rimmersgard. Lecz to ich nie zadowoliło. Rimmersmeni posuwali się na południe, zmiatając w krwawym marszu wszystko, co stawało im na drodze. Złóż te foliały pod ścianą, dobrze? ...Rabowali i rujnowali innych ludzi, wielu brali w niewolę. Sithów jednak uważali za złe istoty. Mieczem i ogniem tępili Prawy Lud, aż do ich zagłady... wszędzie... uważaj z tym, tak, dobra robota.

– Tutaj, Doktorze?

– Tak, ale, na Kości Anaxosa, nie upuść ich! Połóż! Gdybyś widział tamtą okropną noc, którą spędziłem na cmentarzu Utanyeat, grając o nie w kości...! Tak, tam! Już lepiej. ...Wracając do Hernystirczyków. Byli to dumni gwałtownicy, których nawet nabbańscy imperatorzy tak całkowicie nie podbili. Ani im się śniło kłaniać się żołnierzom z Rimmersgardu. Przerażało ich to, co przybysze z Północy wyprawiali z Sithami. Mieszkańcy Hernystiru ze wszystkich ludzi najbliżej byli związani z Prawym Ludem. Do dzisiaj pozostał ślad handlowego szlaku, jaki łączył ten zamek i Taig w Hernysadharc. Władca Hernystiru i Król Erl zawarli w rozpaczy porozumienie i na jakiś czas powstrzymali najazd z Północy. Lecz nawet połączeni nie mogli trwać wiecznie. Fingil, król Rimmersmenów, wyruszył przez Frostmarch, przekraczając granice terytorium Króla Erla... – Morgenes uśmiechnął się smutno. – Simonie, zbliżamy się do końca... W roku 663 obie armie dotarły na równiny Ach Samrath, do Summerfield, na północ od rzeki Gleniwent. Przez pięć dni Hernystirczycy i Sithowie powstrzymywali potęgę Rimmersmenów. Była to okrutna rzeź. Szóstego dnia zostali podstępnie zaatakowani z nie osłoniętej flanki przez armię ludzi z Thrithings, którzy od dawna zazdrościli bogactw Erkynlandu i wspaniałości Sithów. Zaatakowali tchórzliwie, pod osłoną nocy. Przerwano obronę, zdruzgotano rydwany Hernystirczyków, a Biały Jeleń z Domu Hern został zdeptany we krwi i błocie. Podobno tamtego dnia zginęło na polu bitwy dziesięć tysięcy ludzi z Hernystiru. Nikt nie wie, ilu Sithów zginęło, ale i ich straty były ogromne. Ci spośród Hernystirczyków, którzy przeżyli, uciekli do lasów. Dzisiaj w Hernystirze nazwa Ach Samrath wywołuje tylko nienawiść i wspomnienie o klęsce.

– Dziesięć tysięcy! – Simon zagwizdał zdumiony potęgą i grozą faktów.

Morgenes skrzywił się trochę, widząc wyraz zachwytu na twarzy Simona, lecz nic nie powiedział.

– I to był dzień, w którym skończyło się panowanie Sithów w Osten Ard, choć potrzeba było jeszcze trzech lat oblężenia, by zwycięzcy najeźdźcy z Północy zdobyli Asu’a. Gdyby nie przedziwna, okropna magia syna Króla Erla, to pewnie nikt z Sithów nie przetrwałby upadku zamku, jednak wielu udało się uciec do lasu, a potem na południe, przez wody i... i gdzieś dalej.

Simon słuchał teraz bardzo uważnie.

– A co z synem Króla Erla? Jak on się nazywał? Jakie robił czary? – Nagle pomyślał o czymś innym. – A Król John? Myślałem, że opowie mi pan o naszym Królu!

– Kiedy indziej, Simonie. – Morgenes powachlował czoło arkuszem niezwykle cienkiego pergaminu, chociaż w pokoju było całkiem chłodno. – Wiele można by mówić o mrocznych czasach, jakie nastąpiły po upadku Asu’a. Rimmersmeni rządzili tutaj, dopóki nie przybył smok. Później, kiedy smok spał, panowali tu inni ludzie. Wiele lat upłynęło i wielu było królów na Hayholt, wiele mrocznych lat i moc śmierci poprzedziły przyjście Johna. – Zamilkł i przesunął dłonią po twarzy, jakby tym gestem chciał odpędzić smutek.

– A co z synem króla Sithów? – zapytał cicho Simon – Co to za... „okropna magia”?

– Syn Króla Erla... lepiej nic o tym nie mówić.

– Ale dlaczego?

– Dość pytań, chłopcze! – oznajmił surowo Morgenes, machając dłonią. – Zmęczyło mnie już mówienie.

Simon nachmurzył się. Chciał usłyszeć całą historię. Dlaczego dorośli tak szybko się niecierpliwią? Niemniej jednak nie należało zabijać kury, która znosi złote jaja.

– Przepraszam, Doktorze. – Usiłował okazać skruchę, lecz starzec wyglądał tak śmiesznie ze swą zarumienioną, małpią twarzą i sterczącymi rzadkimi włosami! Simon czuł, że na jego ustach pojawia się uśmiech. Morgenes widział to, lecz zachował surowy wyraz twarzy. – Naprawdę przepraszam. – Doktor nadal stał z marsową miną. Co tu jeszcze powiedzieć? – Dziękuję za opowieść.

– Nie za „opowieść”! – ryknął Morgenes. – *Historię*! A teraz zmykaj! Przyjdź do pracy jutro rano, bo prawie żeś nie tknął roboty!

Simon wstał, cały czas starając się ukryć śmiech, lecz kiedy odwrócił się, by odejść, nie wytrzymał i uśmiech niczym żmija przemknął po jego twarzy. Za zamkniętymi już drzwiami usłyszał, jak Doktor pomstuje, dopytując się, co za okropne demony schowały jego dzban z porterem.

POPOŁUDNIOWE SŁOŃCE prześwitywało przez szczeliny w ciężkich chmurach, gdy Simon szedł w kierunku Ściany Wewnętrznej. W tym świetle wydawał się nicponiem i gamoniem; wysoki, niezdarny, rudy chłopak w wybrudzonym ubraniu. Kłębiły się w nim dziwne myśli, był jak ul pełen brzęczących marzeń.

„Popatrz na ten zamek” – pomyślał.

Stary, nieruchomy, martwe kamienie ułożone jedne na drugich, skalny stos zamieszkany przez małostkowe istoty. Kiedyś był inny. Działy się tu wielkie rzeczy. Grały rogi, lśniły miecze, wielkie armie napierały i odstępowały niczym fale Kynslagh, które uderzały w mury Seagate. Setki lat minęły od tamtych wydarzeń, a Simonowi wydawało się, że to wszystko dzieje się teraz, tylko dla niego, bo pozostali mieszkańcy zamku snuli się, myśląc jedynie o następnym posiłku i drzemce.

Idioci! – przemknęło mu przez myśl.

Kiedy przechodził przez tylną furtę, jego uwagę przyciągnął jakiś błysk na drodze wokół Wieży Hjeldin. Stała tam dziewczynka, jasna i drobna jak klejnocik. Jej złote włosy i zielona sukienka chwytały słoneczne promienie, jakby słońce słało je tylko dla niej. Simon nie widział twarzy dziewczynki, lecz był przekonany, że jest piękna – piękna i dobra, jak Niepokalana Elysia na obrazie z kaplicy.

Ten chwilowy błysk zieleni i złota wzniecił w nim płomień, iskrę, która padła na stos suchego drewna. Poczuł, że cała złość i troska, jakie niósł w sobie, znikają spalone w jednej sekundzie. Był pogodny i lekki jak puch, który najlżejszy wietrzyk może porwać i unieść w kierunku źródła złocistego blasku.

Potem odwrócił wzrok od tej pięknej dziewczynki, której twarzy nie widział, i popatrzył na swój obszarpany strój. Znowu nieokreślony ciężar wrócił na swoje miejsce, zginając mu kark i pochylając ramiona, gdy szedł powoli do pomieszczeń służby.

5. Okno na wieży

NOVANDER UPŁYWAŁ pod znakiem wiatru i drobnego śniegu; Decander czekał cierpliwie, by przynieść koniec roku.

Król John Prezbiter rozchorował się po tym, jak sprowadził na zamek obu synów, i powrócił do swej mrocznej komnaty, gdzie znowu otoczyli go uczeni medycy, pijawki oraz wściekający się i krzykliwy służący. Biskup Domitis przybył z Saint Sutrin, wielkiego kościoła Erchesteru. Swoją kwaterę główną założył przy łożu Króla, budząc go co chwilę, by zbadać kondycję jego duszy. Stary Król słabł powoli, lecz z równym stoicyzmem znosił ból i kapłana.

W małej komnacie, która przylegała do królewskiej, a którą Towser zajmował od czterdziestu lat, znajdował się miecz zwany Białym Gwoździem. Wyczyszczony, w pochwie, zawinięty w piękne płótna, leżał na dnie dębowej skrzyni błazna.

WIEŚĆ ROZNIOSŁA SIĘ po całym Osten Ard: Prester John umierał. Hernystir na zachodzie i północne Rimmersgard natychmiast wysłały delegacje do łoża złożonego niemocą Króla Erkynlandu. Stary książę Isgrimnur, który zwykle zasiadał po lewej stronie Johna przy Wielkim Stole, przyjechał z pięćdziesięcioma rycerzami z Elvritshalla i Naarved. Wszyscy byli odziani od stóp do głów w futra i skóry, ponieważ musieli pokonywać zimne tereny Frostmarch. Gwythinn, syn króla Llutha, przyjechał jedynie

w asyście dwudziestu Hernystirczyków; srebro i złoto, którymi byli obwieszeni, zakrywało liche sukna ich strojów.

Zamek ożył muzyką i obcą mową, jakiej dawno tu nie słyszano: Rimmerspakk, Perdruinese i Harcha. Na dziedzińcu słychać było dźwięczną, wyspową mowę ludu Naraxi, a stajnie rozbrzmiewały piosenkami Thrithingów, którzy będąc pasterzami, najlepiej czuli się w pobliżu koni. Ponad tym wszystkim górowała monotonna mowa Nabbanitów, mowa Matki Kościoła i jej aedonickich duchownych, którzy zawsze zajmują się narodzinami i śmiercią ludzi oraz ich duszami.

Te małe, obce sobie armie zgromadziły się w wysokim Hayholt i pobliskim Erchesterze, starając się unikać poważniejszych incydentów. Choć większość z nich była odwiecznymi wrogami, to nieomal osiemdziesiąt lat panowania Króla zaleczyło wiele ran. Teraz więcej lało się piwa, niż padało ostrych słów.

A jednak istniał pewien dokuczliwy wyjątek w tej niemal powszechnej harmonii – trudno go było nie dostrzec i nie zrozumieć. Gdziekolwiek się spotykali, na dziedzińcach Hayholt czy w wąskich alejach Erchesteru, odziani na zielono żołnierze księcia Eliasa i ubrana na szaro świta księcia Josuy, przepychali się i wadzili, podkreślając publicznie wzajemną niechęć królewskich synów. Kilkakrotnie wzywano gwardię Prestera Johna, by położyła kres niebezpiecznym bójkom. Wreszcie jeden z popleczników Josuy został ugodzony nożem przez młodego szlachcica z Meremundu, ulubieńca prawowitego następcy tronu. Szczęśliwie nie była to rana śmiertelna – cios zadano po pijanemu i nieprecyzyjnie – w rezultacie strony doszły do ugody, ulegając presji starszych. Wojska obu książąt powróciły do zimnych spojrzeń i pogardliwych uśmieszków. Niebezpieczeństwo rozlewu krwi zostało zażegnane.

Dziwne to były dni, zarówno w Erkynlandzie, jak i całym Osten Ard, niosły ze sobą tyleż smutku, co i podniecenia. Król nie umarł jeszcze, lecz wydawało się, że wkrótce to nastąpi. Cały świat się zmieniał. Jakżeż cokolwiek mogłoby pozostać takie samo, skoro Prester John nie będzie zasiadał na Smoczym Tronie?

UDUNSDAY: DOBRZE JEST POMARZYĆ... Drousday: dobrze jest pogwarzyć... Fraysday: dobrze jest nie robić nic... Satrinsday: na targ wyprawa... Sunday – cały dzień zabawa!

Simon zbiegał po skrzypiących schodach, skacząc po dwa stopnie i wyśpiewując na głos tę starą rymowankę. Nieomal przewrócił Sophronę, królewską bieliźnianą, która wychodziła właśnie z grupą objuczonych kocami dziewcząt z Ogrodu Sosnowego. Kobieta odskoczyła gwałtownie i nadziała się na klamkę. Pogroziła kościstą pięścią oddalającym się plecom pędzącego Simona.

– Powiem Rachel! – krzyknęła.

Dziewczęta starały się ukryć uśmiechy. Kto by się tam przejmował Sophroną? Dzisiaj był Satrinsday – dzień targowy – i Judith, kucharka, dała Simonowi dwa pensy, aby kupił coś dla niej, i piątaka – o wspaniały Satrinsday! – żeby kupił też coś dla siebie. Monety dźwięczały wspaniale w jego skórzanej sakiewce, gdy szedł długimi dziedzińcami, ciągnącymi się dookoła zamku, a potem przez bramę Ściany Wewnętrznej do Środkowej; nie było tam prawie nikogo, gdyż mieszkańcy – żołnierze i rzemieślnicy – byli albo na służbie, albo na targu.

Na błoniach za Murem Zewnętrznym tłoczyły się zwierzęta. Obijały się o siebie niemiłosiernie, prowadzone przez pasterzy, którzy wcale nie wyglądali szczęśliwiej. Simon przeciskał się wzdłuż rzędów niskich domów, magazynów, zwierzęcych szop. Wiele było tak starych

i zarośniętych pozbawionym liści bluszczem, że wyglądały jak narośle na Wewnętrznej Ścianie Wielkiej Twierdzy.

Słońce wyzierało zza chmur i lśniło na rzeźbach, jakimi pokryto potężną chalcedonową Bramę Nearulagh. Simon zwolnił tempo, by móc omijać kałuże i podziwiać szczegółowo przedstawione sceny zwycięstwa Króla Johna nad Ardrivisem, w której to bitwie Nabban stało się wreszcie królewskim lennikiem. W pewnym momencie usłyszał odgłos pędzących kopyt i ostre skrzypienie kół wozu. Przestraszony podniósł wzrok i zobaczył tuż przed sobą szeroko otwarte oczy konia. Spod jego kopyt tryskało błoto; pędził od Bramy Nearulagh. Simon zdołał uskoczyć z drogi, lecz poczuł na twarzy ostry powiew wiatru; koń przemknął obok, ciągnąc za sobą przechylający się niebezpiecznie wóz. Kątem oka dostrzegł woźnicę ubranego w czarną, obramowaną purpurą szatę z kapturem. Kiedy wóz go mijał, Simon uchwycił na chwilę spojrzenie woźnicy – miał czarne, lśniące oczy, okrutne jak źrenice rekina. Choć była to zaledwie chwila, Simon poczuł, że wzrok woźnicy nieomal go sparzył. Zatoczył się do tyłu i trzymając się kamiennej bramy, patrzył, jak wóz znika za Murem Zewnętrznym. Kurczęta piszczały i trzepotały skrzydłami, z wyjątkiem tych, które leżały zgniecione i zakrwawione w koleinach, jakie pozostawił przejeżdżający wóz. Zmieszane z błotem pióra opadały na ziemię.

– Chyba nic ci się nie stało, chłopcze, co? – Jeden ze strażników przy bramie zdjął jego rękę z rzeźby, której się trzymał, i postawił go na nogi. – No, to ruszaj dalej.

W powietrzu wirował śnieg, który topniał mu na policzkach, gdy schodził zboczem w kierunku Erchesteru. Monety pobrzękiwały w kieszeni w rytm jego kroków.

– Ten duchowny to szaleniec. – Simon usłyszał, jak jeden ze strażników przy bramie zwrócił się do swego towarzysza. – Gdyby nie to, że jest

człowiekiem księcia Eliasa...

Rozmokłą ścieżką wspinało się pod górę troje dzieci z matką. Na widok długonogiego chudzielca dzieci roześmiały się i zaczęły pokazywać sobie palcami ogłupiałą, bladą twarz Simona.

GŁÓWNY TRAKT BYŁ OSŁONIĘTY jakby dachem z pozszywanych skór, które rozciągnięto między domami stojącymi po jego obu stronach. Przy każdym skrzyżowaniu usypany był z kamieni wielki kopiec, wewnątrz którego umieszczano żarzące się węgle. Unoszący się stamtąd dym wydobywał się kłębami – choć nie w całości – przez otwory w zadaszeniu. Przez te same dziury wlatywały płatki śniegu, które skwierczały i syczały w gorącym powietrzu. Ludzie z Erchesteru i Hayholt, wymieszani z przybyszami, grzali się przy ogniu lub przechadzali się, rozmawiając i badając ukradkiem wystawione towary. Jak fale przelewali się przez główną aleję, która biegła parę mil od Bramy Nearulagh do Placu Bitewnego na drugim końcu miasta. Ściśnięty w tłumie Simon poczuł, że ponownie ogarnia go uniesienie. Co mu tam jakiś pijany duchowny? Przecież to dzień targowy!

Jak zwykle, była tu cała armia kupujących, sokolników, gapiów, hazardzistów, opryszków i muzyków, powiększona dzisiaj o żołnierzy ludów, które przybyły do umierającego Króla. Simon przyglądał się paradującym w swych kolorowych strojach Rimmersmenom, Hernystirczykom, Warinsteńczykom i Perdruińczykom. Szedł za grupą odzianych w błękitno-złote mundury legionistów z Nabbanu. Podziwiał ich sprężysty krok i emanującą wokół aurę wyższości. Nie znając ich mowy, potrafił jednak zrozumieć bezpośredniość, z jaką się nawzajem przekomarzali. Próbował podejść do nich, chcąc przyjrzeć się z bliska ich krótkim mieczom noszonym w pochwach przy boku, gdy nagle jeden z nich

– jasnooki żołnierz z rzadkimi, czarnymi wąsami – odwrócił się i popatrzył na Simona.

– Hej, bracia! – zawołał, uśmiechając się, i chwycił za ramię jednego ze swych kolegów. – Patrzcie no tutaj! Założę się, że to mały złodziejaszek. Turis, na pewno ma oko na twoją sakiewkę!

Obaj pozostali też zainteresowali się Simonem. Brodacz zwany Turisem patrzył na niego ponuro.

– Zabiłbym, gdyby jej dotknął – warknął. Nie władał tak dobrze językiem Westerlingu jak jego rozmówca i, zdaje się, nie dorównywał mu poczuciem humoru.

Tymczasem pozostała trójka legionistów dołączyła do swych kompanów. Utworzyli krąg, tak że Simon poczuł się jak osaczony lis.

– Co tam, Gelles? – zapytał jeden z nowo przybyłych żołnierza stojącego obok Turisa. – *Hue Fauge?* Czy on coś ukradł?

– *Nai, nai*... – zarechotał Gelles. – Żartuję sobie tylko z Turisa. Ten chudzielec nic nie zrobił.

– Mam własną sakiewkę! – krzyknął oburzony Simon. Odwiązał ją od paska i pomachał przed oczyma uśmiechniętych żołnierzy. – Nie jestem żadnym złodziejem! Mieszkam w królewskim domu! W domu waszego Króla!

Żołnierze roześmiali się.

– Hej, posłuchajcie go! – wykrzyknął Gelles. – Patrzcie, jaki śmiały, „naszego Króla”, mówi.

Simon zorientował się, że młody żołnierz jest pijany. Początkowy zachwyt – choć niezupełnie – ustąpił miejsca odrazie.

– Hej, chłopaki. – Gelles zmarszczył brwi – *Mulveiz-nei cenit drenisend*, jak mówią, strzeżmy się tego szczeniaka i pozwólmy mu iść spać!

Nastąpiła kolejna salwa śmiechu. Simon zarumienił się, przywiązał do paska sakiewkę i odwrócił się, by odejść.

– Do widzenia, zamkowa myszko! – zawołał za nim z kpiną jeden z żołnierzy.

Simon nic nie odpowiedział, odwrócił się i szybko odszedł.

Minął już jeden z ogniowych stosów i zszedł z Głównego Traktu, kiedy poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Odwrócił się, myśląc, że to jeden z Nabbańczyków powrócił, żeby jeszcze z niego pożartować, lecz zamiast niego zobaczył pulchnego mężczyznę z czerwoną od chłodu twarzą. Na głowie miał tonsurę i ubrany był w szary habit brata z zakonu żebraczego.

– Wybacz mi, młodzieńcze – odezwał się gardłową mową mieszkańców Hernystiru – chciałem się tylko upewnić, że nic ci się nie stało, że ci *goirach* nic ci nie zrobili.

Obcy poklepał Simona, jakby sprawdzał, czy nie ma ran. Jego oczy otoczone były obwódką zmarszczek, które wskazywały, że śmiał się często, lecz mimo to był w nich jakiś głębszy cień, który choć mógł wprawiać w zakłopotanie, nie budził lęku. Simon zdał sobie sprawę, że przygląda się zakonnikowi nieomal wbrew sobie, i odsunął się.

– Nie, dziękuję, ojcze – powiedział oficjalnie. – Żartowali tylko ze mnie, ale nic mi nie zrobili.

– To dobrze, to bardzo dobrze... Ach, wybacz, nie przedstawiłem się. Jestem brat Cadrach ec-Crannhyr z Zakonu Vilderivan. – Uśmiechnął się przepraszająco. W jego oddechu czuć było wino. – Przybyłem tu z księciem Gwythinnem i jego ludźmi. A kim ty jesteś?

– Simon. Mieszkam w Hayholt. – Wskazał ręką w kierunku zamku.

Zakonnik znowu się uśmiechnął i odwrócił w stronę nadchodzącego przybysza z Hyrkamanu. Człowiek ów ubrany w jasny, pstrokaty strój,

prowadził na łańcuchu niedźwiedzia w kagańcu. Kiedy przeszli, Cadrach ponownie skierował na Simona swe małe, przenikliwe oczy.

– Niektórzy twierdzą, że Hyrkasi potrafią rozmawiać ze zwierzętami, szczególnie z końmi. I podobno zwierzęta doskonale ich rozumieją. – Zakonnik wzruszył pogardliwie ramionami, jakby chciał pokazać, że Boży człowiek oczywiście nie wierzy w takie głupstwa.

Simon nic nie odpowiedział. On też słyszał podobne opowieści o dzikich Hyrkasach. Shem, stajenny, zaklinał się, że są prawdziwe. Ludzie Hyrka często odwiedzali targ. Sprzedawali piękne konie za ogromne sumy i czarowali wieśniaków swoimi zagadkami i sztuczkami. Myśląc o nich – a w szczególności o ich niezbyt uczciwej reputacji – Simon sięgnął dłonią do sakiewki i upewnił się, czy ma jeszcze pieniądze.

– Dziękuję za pomoc, ojcze – powiedział wreszcie, chociaż nie pamiętał, aby zakonnik zrobił coś szczególnego. – Pójdę już. Muszę kupić trochę przypraw korzennych.

Cadrach przyglądał mu się długo, jakby bardzo chciał coś zapamiętać, a kluczem do tego był jakiś szczegół w twarzy Simona. Odezwał się po dłuższej chwili.

– Młody człowieku, chciałbym cię prosić o przysługę.

– Jaką? – zapytał podejrzliwie Simon.

– Jak już wspomniałem, jestem tu obcy. Może mógłbyś mnie trochę oprowadzić. Spełnisz dobry uczynek i pójdziesz w swoją stronę.

– Och! – Simon poczuł ulgę. W pierwszej chwili chciał powiedzieć nie, tak rzadko mógł spędzać wolne popołudnia na targu. Ale też nieczęsto nadarzała się okazja porozmawiania z aedonickim mnichem z pogańskiego Hernystiru. A poza tym, brat Cadrach nie wyglądał na takiego, co tylko poucza człowieka o grzechu i potępieniu. Jeszcze raz przyjrzał się mnichowi, lecz jego twarz wciąż pozostawała nieodgadniona.

– No, chyba mogę. Chodź ze mną. Chcesz zobaczyć tancerzy Nascadu na Placu Bitewnym?

CADRACH OKAZAŁ SIĘ ciekawym kompanem. Wprawdzie mówił dużo, opowiadał Simonowi o zimnej podróży z Hernysadharc do Erchesteru, jaką odbył, z księciem Gwythinnem. Żartował często z przechodniów i ich egzotycznych strojów, lecz mimo to wciąż pozostawał nieco powściągliwy, jakby coś ukrywał – nawet wtedy, gdy śmiał się z własnych historyjek. Wędrowali tak przez sporą część popołudnia. Oglądali rozstawione pod ścianami sklepów stoły pełne ciasteczek i suszonych warzyw, wdychali aromat unoszący się wokół piekarzy i handlarzy kasztanów. Widząc tęskne spojrzenie Simona, mnich zatrzymał się, nalegając, aby kupili cały koszyk pieczonych kasztanów, za które grzecznie zapłacił. Dał tłustemu handlarzowi pół piątaka, którego zręcznie wysupłał z kieszeni w habicie. Po próbach zjedzenia gorących kasztanów, z poparzonymi palcami i językami, uznali się za pokonanych. Stali potem w kolejce do sklepu winnego w poszukiwaniu czegoś dla ochłody i przyglądali się komicznej sprzeczce właściciela z jakimś kuglarzem.

Później zatrzymali się, by obejrzeć sztukę o Usiresie, którą oglądały zarówno wrzeszczące dzieci, jak i oczarowani dorośli. Lalki podskakiwały i kłaniały się: odziany w białą szatę Usires uciekał przed imperatorem Crexisem z rogami kozła i brodą, wywijającym długą, zakrzywioną dzidą. Wreszcie został schwytany i powieszony na Drzewie Straceń; Crexis skakał, krzycząc głośno i torturując przybitego do drzewa Zbawcę. Podekscytowane dzieci rzucały obelgi pod adresem skaczącego imperatora. Cadrach szturchnął Simona.

– Widzisz? – zapytał i wskazał ręką na krawędź sceny. Zwisająca do ziemi kurtyna wybrzuszyła się, jakby powiał wiatr. Cadrach ponownie trącił

łokciem Simona. – Nie sądzisz, że to całkiem dobrze obrazuje naszego Pana? – powiedział, nie spuszczając wzroku z poruszającego się materiału. Na scenie Crexis podskakiwał radośnie, a Usires cierpiał. – Animator pozostaje niewidoczny, gdy ludzie odgrywają swoje przedstawienia. Nie widzimy go, lecz wiemy, że jest, obserwując ruchy jego lalek. Czasem poruszy się kurtyna, która go skrywa przed wzrokiem wiernej publiczności. Ach, jakże jesteśmy wdzięczni chociaż za ten ruch za kurtyną, jak wdzięczni!

Simon patrzył przed siebie. Cadrach przestał obserwować lalkii spojrzał na Simona. W kącikach ust mnicha pojawił się dziwny, smutny uśmiech; tym razem jego wyraz oczu odpowiadał nastrojowi.

CHODZILI JESZCZE TROCHĘ, nim brat Cadrach zdecydował się odejść, dziękując bardzo Simonowi za jego uprzejmość. Po rozstaniu z mnichem chłopak długo jeszcze włóczył się po targu. Kiedy przypomniał sobie cel swojej podróży, widoczne w otworach skórzanego dachu kawałki nieba przybrały barwę nadchodzącej ciemności.

Przy straganie z przyprawami korzennymi odkrył, że jego sakiewka zniknęła. Serce zaczęło mu walić trzykrotnie szybciej, gdy usiłował sobie coś przypomnieć. Pamiętał, że sakiewka wisiała jeszcze u paska, gdy z Cadrachem zatrzymali się, by kupić kasztany. Nie mógł sobie jednak przypomnieć, czy miał ją później. Bez względu na to, kiedy to się stało, sakiewka z całą pewnością zniknęła i to nie tylko z jego piątakiem, ale i z dwoma pensami, które powierzyła mu Judith!

Przeszukiwał targ bezskutecznie, aż kawałki nieba sczerniały jak stary kocioł. Śnieg, którego przedtem prawie nie zauważał, wydawał mu się teraz bardzo zimny i mokry. Wracał do zamku z pustymi rękami.

PO POWROCIE DO DOMU bez pieniędzy i przypraw Simon stwierdził, że gorszy od bicia okazał się wyraz rozczarowania na twarzy słodkiej, grubiutkiej i umazanej mąką Judith. Również i Rachel zastosowała najgorsze ze swych posunięć, karząc go jedynie spojrzeniem pełnym pogardy dla jego dziecinady i obietnicą, że będzie ciężko pracował, żeby zwrócić te pieniądze. Nawet Morgenes, do którego Simon poszedł w nadziei znalezienia pociechy, wydawał się nieco zawiedziony jego nieuwagą. Tak więc, choć uniknął lania, nigdy dotąd nie czuł się bardziej poniżony i pełen współczucia dla siebie.

NIEDZIELA MINĘŁA SZYBKO. Był to pochmurny i mokry dzień. Wszyscy albo szli do kaplicy modlić się za Króla Johna, albo przepędzali Simona. Najwyraźniej był w tym drażniącym i irytującym nastroju co-by-tu-kopnąć, który normalnie opuszczał go, kiedy odwiedzał Morgenesa lub szedł pomyszkować po okolicy. Tym razem Doktor był zajęty. Zamknął się z Inchem i pracował nad czymś, co – jak twierdził – jest duże, niebezpieczne i grozi pożarem, i dlatego Simon nie był mu potrzebny. Na zewnątrz było tak zimno i paskudnie, że nawet mimo okropnego nastroju nie mógł się zdecydować na włóczęgę. Tak więc spędził całe popołudnie z Jeremiasem, grubym pomocnikiem handlarza. Rzucali kamieniami z wieżyczek Muru Wewnętrznego i sprzeczali się bezsensownie o to, czy ryby z fosy zamarzają zimą, a jeśli nie, to co się z nimi dzieje aż do wiosny.

Poniedziałkowy poranek przyniósł znowu chłód na dworze i nieco inny chłód w pomieszczeniach dla służby, więc czuł się dalej parszywie. Morgenes także wydawał się chłodny i nieczuły, toteż skończywszy pracę w jego pokojach, Simon zwędził ze spiżarni trochę chleba i sera i ruszył w swoją stronę.

Przez jakiś czas wałęsał się po Sali Archiwum w Murze Środkowym, słuchając suchego skrobania kapłanów-skrybów, przypominającego drapanie insektów. Po jakiejś godzinie czuł się tak, jakby ich pióra skrobały po jego własnej skórze – skrob, skrob, skrob...

Postanowił zabrać coś do zjedzenia i wdrapać się na Wieżę Zielonego Anioła, nie robił tego od czasu nastania chłodów. Simon wiedział, że Barnabas, kościelny, ścigałby go z taką samą chęcią, z jaką poszedłby do nieba, dlatego też postanowił ominąć drogę prowadzącą bezpośrednio do wieży przez kaplicę i wybrał sobie tylko znaną trasę. Zawinął w chusteczkę posiłek i wyruszył.

SZEDŁ PRZEZ NIEKOŃCZĄCE SIĘ korytarze Skrzydła Kancelarii, przechodził przez ukryte przejścia, odsłonięte dziedzińce i znowu się chował – w tej części zamku było wiele zamkniętych małych dziedzińców. Przez cały czas przesądnie unikał spoglądania w górę, na wieżę. Niezwykle jasna i strzelista, dominowała nad południowo-zachodnim rogiem Hayholt, niczym brzoza w kamienistym ogrodzie. Była tak niewiarygodnie wysoka i delikatna, że z ziemi wydawało się, iż stoi na jednym z odległych od zamku wzgórz. Stojąc pod nią, czuł, jak drży, jakby była naciągniętą na niebiańskim kołku struną lutni.

Pierwsze cztery piętra Wieży Zielonego Anioła nie różniły się zbytnio od pozostałych części zamku. Dawni panowie Hayholt ukryli jej delikatną podstawę za granitowymi ścianami i blankami; nie wiadomo było tylko, czy kierowali się uzasadnionym pragnieniem zwiększenia bezpieczeństwa, czy też odmienność wieży wydawała im się nie na miejscu. Umocnienia kończyły się ponad poziomem otaczającego wieżę muru obronnego, dalej pięła się już odsłonięta. Była jak piękne, śnieżnobiałe stworzenie, umykające przed swym burym kokonem. Zdobione dziwnymi wzorami

okna i balkony wykuto bezpośrednio w lśniącym kamieniu podobnym do rzeźbionych zębów wieloryba, oglądanych często na targu przez Simona. Iglica wieży lśniła zielenią i złocistą miedzią – był to blask samego anioła, który jedną rękę miał wyciągniętą jakby w geście pożegnania, a drugą osłaniał zwrócone na wschód oczy.

W Skrzydle Kancelarii panowało tego dnia większe ożywienie niż zwykle. Odziani w sutanny słudzy ojca Helfcena miotali się tam i siam, z jednej komnaty do drugiej, lub tłoczyli się w rogach zimnych, ośnieżonych dziedzińców, by porozmawiać, dygocąc z chłodu. Niektórzy z papierowymi zwojami pod pachą i nieprzytomnym spojrzeniem, próbowali wysłać Simona z poleceniem do Sali Pisarzy, ale chłopak wykręcał się za każdym razem, tłumacząc, że wykonuje właśnie polecenia Doktora Morgenesa.

W przedpokoju Sali Tronowej przyczaił się, udając, że podziwia ogromne mozaiki, podczas gdy tak naprawdę czekał, aż ostatni z duchownych Kanclerza uda się do kaplicy. Kiedy nadszedł stosowny moment, uchylił drzwi i wśliznął się do Sali Tronowej.

Olbrzymie zawiasy zaskrzypiały, lecz zaraz umilkły. Kroki Simona odbiły się echem, raz i jeszcze raz, aż rozpłynęły się w głębokiej, pulsującej ciszy. Bez względu na to, jak często się tu zakradał – a robił to od wielu lat i był najprawdopodobniej jedynym mieszkańcem, który ośmielał się tu wchodzić – to miejsce zawsze wydawało mu się pełne grozy.

Właśnie w zeszłym miesiącu, kiedy Król John niespodziewanie wstał z łóżka, Rachel i jej załoga otrzymały pozwolenie przekroczenia zakazanego progu. Przeprowadziły dwutygodniowy atak, chcąc pokonać lata kurzu i piasku, stłuczonych szkieł, ptasich gniazd i pajęczyn, których właściciele dawno już odeszli do swych ośmionogich przodków. Pomimo zamiecionych podłóg, umytych ścian i pozbawienia części sztandarów –

choć nie wszystkich – powłoki z kurzu, pomimo niezmordowanego i nieugiętego porządkowania w Sali Tronowej czuło się znamię minionych wieków. Tutaj czas zdawał się posuwać wyłącznie statecznym, odmierzonym krokiem starożytności.

PODWYŻSZENIE ZNAJDOWAŁO SIĘ w przeciwległym końcu komnaty, oświetlone strumieniem światła, które wpadało przez umieszczone w suficie ozdobne okno. Na nim to ustawiono Smoczy Tron, który wyglądał jak dziwny ołtarz – nie używany, w chmurze jasnych, unoszących się drobin kurzu, otoczony z obu stron przez kamienne postacie sześciu wielkich królów Hayholt.

Kości, z których zbudowano tron, były olbrzymie, grubsze od nogi Simona, wypolerowane tak, że lśniły jak wygładzony kamień. Z paroma wyjątkami wycięto je i dopasowano w taki sposób, że trudno było odgadnąć, którą część ciała ognistego zwierza kiedyś tworzyły. Bez trudu można było tylko rozpoznać oparcie krzesła, którym był ogromny, mierzący siedem łokci wachlarz wykrzywionych żółtych żeber, skrytych za królewskimi poduszkami i sięgających wysoko ponad głowę Simona oraz ponad czaszkę, która umieszczona na szczycie oparcia wielkiego siedzenia, wystawała tak, by móc służyć za markizę – choć i tak do tej ciemnej sali niewiele wpadało światła. To właśnie były puszka mózgowa i szczęki smoka Shurakai. Oczodoły wyglądały jak powybijane puste okna, zęby – jak zakrzywione kolce długości ręki Simona. Czaszka smoka miała barwę starego pergaminu i pokrywała ją sieć drobnych pęknięć, lecz było w niej coś żywego – coś przerażająco, ale i wspaniale żywego.

W rzeczywistości całą komnatę wypełniała dziwaczna, niesamowita aura świętości, która przekraczała wyobraźnię Simona. Tron wykonany z ogromnych, pożółkłych kości, masywne, czarne postacie, które strzegły

pustego miejsca w wysokiej, opuszczonej komnacie; wszystko to sprawiało wrażenie straszliwej mocy. Znajdujący się w sali podkuchenny, figury i ogromna, pozbawiona oczu czaszka jakby wstrzymali oddech.

Te kradzione chwile napełniały Simona łagodną, nieomal trwożliwą ekstazą. Być może malachitowi królowie czekali z kamienną, ponurą cierpliwością, aż ten chłopiec dotknie bluźnierczą dłonią służącego Smoczego Tronu, czekali... czekali... a potem z przeraźliwym krzykiem ożyją! Zadrżał w nerwowym uniesieniu, zadowolony z takiej wizji, i podszedł bliżej, przyglądając się ciemnym twarzom. Tak dobrze znał niegdyś ich imiona zebrane w rymowance dla dzieci, rymowanka, Rachel! – Rachel?! Czy aby na pewno? To ona go jej nauczyła, kiedy był jeszcze chichoczącą, czteroletnią małpką. Czy to możliwe, by ją jeszcze pamiętał?

Skoro własne dzieciństwo wydawało mu się tak bardzo odległe, zastanawiał się, co musi czuć Prester John, który przeżył tyle lat. Czy wszystko było dla niego tak bezlitośnie wyraziste jak w wypadku Simona, który pamiętał dawne upokorzenia, czy też stało się miękkie i ulotne jak opowieści chwalebnej przeszłości? Kiedy stałeś się stary, to czy twe wspomnienia wypierały pozostałe myśli? A może straciłeś je – swoje dzieciństwo, swoich znienawidzonych wrogów, swoich przyjaciół?

Jak brzmiała ta stara piosenka? Sześciu królów...

Sześciu królów w Hayholt rządziło,
Sześciu panów po murach potężnych chodziło,
Sześć kurhanów nad zatoką Kynslagh powstało,
Sześciu królów aż po Dzień Sądu będzie w nich spało.

Dobrze!

Fingil był pierwszy, Krwawym Królem zwany,
Przywiozły go z Północy wojenne rydwany.

Hjeldin, syn jego, straszny Król Szalony,
Z wieży wyskoczył chęcią śmierci wiedziony.

Następny był Ikferdig, Spalonym Królem zwany,
Przez smoka o północy został pokonany.

Trzej północni królowie, martwi, w mrokach nocy,
Skończyły się w Hayholt rządy Północy.

To byli właśnie trzej królowie z Rimmersgardu, ustawieni na lewo od tronu. Czy to nie Fingila miał na myśli Morgenes, mówiąc o dowódcy okrutnej armii? O tym, który zabił Sithów? Tak więc po prawej stronie muszą być...

Król Sulis z czaplą w herbie, znany jako Apostata,
Z Nabbanu uciekł i w Hayholt ostatnie spędził lata.

Król Ostrokrzew z Hernystiru, Tethtain Stary,
Do zamku przyjechał i tam jego kości zostały.

Ostatnim był Eahlstan, Król Rybak, najbardziej oświecony,
Smoka w Hayholt obudził i poległ przez niego zgładzony.

Ha! Simon patrzył rozpromieniony na smutną twarz króla Herona. „Moja pamięć jest lepsza, niż myślą, lepsza od pamięci niejednego gamonia!” – pomyślał. Teraz był wreszcie w Hayholt siódmy król – stary

Prester John. Simon zastanawiał się, czy ktoś dołączy go kiedyś do piosenki.

Simon najbardziej lubił szóstą statuę, tę, która stała najbliżej prawego boku tronu. Był to król, który pochodził z Erkynlandu, jedyny, jaki kiedykolwiek zasiadł na tronie Hayholt. Simon przysunął się bliżej, by popatrzeć w głęboko osadzone oczy świętego Eahlstana, zwanego Eahlstanem Rybakiem, ponieważ pochodził z rybackiego ludu z Gleniwent. Zwano go też Męczennikiem, albowiem również i on został zabity przez Shurakai, smoka, którego zabił dopiero Prester John.

W przeciwieństwie do stojącego po przeciwnej stronie Spalonego Króla twarz Króla Rybaka nie wyrażała bólu i niepewności. Wręcz przeciwnie, rzeźbiarz nadał kamiennym rysom wyraz promiennej wiary, a jasne oczy mówiły, że widzą odległe rzeczy. Artysta przedstawił Eahlstana jako pokornego i nabożnego, ale i śmiałego. Simon wyobrażał sobie, że być może i jego ojciec, który także był rybakiem, wyglądał podobnie. Kiedy tak się wpatrywał w rzeźbę, miał wrażenie, że dotyka czegoś chłodnego. Było to kościane oparcie Tronu! Kuchenny dotyka Tronu! Cofnął szybko dłoń, zastanawiając się, jak to możliwe, by smok, choć martwy, był aż tak zimny. Zrobił krok do tyłu.

Przez chwilę wydawało mu się, że postacie zaczęły się nad nim pochylać, kładąc swe cienie na zdobionych arrasami ścianach, i uciekł jeszcze dalej. Kiedy nie dostrzegł żadnego ruchu, wyprostował się z możliwie największą dostojnością, na jaką go było stać, skłonił się w kierunku królów i Tronu i zaczął wychodzić tyłem. „Spokojnie – pomyślał – spokojnie, nie bój się głupcze”. Znalazł wreszcie drzwi do holu i przecisnął się przez nie, upewniwszy się wpierw, że nic się nie rusza.

Na ścianach holu wisiały grube, czerwone gobeliny, pełne radosnych scen. Za jednym z nich znajdowały się schody prowadzące do małego

pomieszczenia na południowej galerii Sali Tronowej. Wszedł po nich, besztając samego siebie za okazane przed chwilą zdenerwowanie. Na górze wystarczyło tylko przecisnąć się przez okno pokoiku i już był na murze, który biegł poniżej. Tym razem zadanie to okazało się trudniejsze niż ostatnio, w miesiącu Septander. Pokryte śniegiem kamienie były śliskie i wiał dość mocny wiatr. Na szczęście mur był szeroki. Simon posuwał się ostrożnie.

Wkrótce znalazł się w swoim ulubionym miejscu. Między murem a czteropiętrową wieżyczką Wieży Zielonego Anioła istniał odstęp szeroki na pięć, może sześć stóp. Zatrzymał się. Nieomal słyszał granie trąbek i brzęk mieczy rycerzy walczących na pokładzie poniżej, podczas gdy przygotowywał się do skoku z masztu na maszt we wściekłej burzy...

Simon źle wylądował na krawędzi wieżyczki. Być może pośliznął się czy też jego uwagę odwróciła wyimaginowana morska bitwa. Porządnie rozbił sobie kolano, nieomal zsuwając się z muru, co groziło upadkiem z wysokości kilku jardów na inny niższy mur u podstaw wieży albo wpadnięciem do fosy. Serce zabiło mu gwałtownie, kiedy zdał sobie sprawę z tego, co mogło się wydarzyć. Jednak udało mu się zsunąć między pionowe blanki, a później na posadzkę.

Padał drobny śnieg, a on siedział z uczuciem, że jest wielkim głupcem, i masował pulsujące kolano. Bolało straszliwie. Rozpłakałby się pewnie, gdyby nie zdał sobie sprawy, że i tak już wygląda wystarczająco dziecinnie.

Wstał wreszcie i kulejąc, wszedł do wieży. I tak miał szczęście; nikt nie słyszał jego bolesnego upadku. Tylko on wiedział o swej hańbie. Pomacał kieszeń i stwierdził, że chleb i ser okrutnie się pogniotły, lecz wciąż nadawały się do zjedzenia. Jeszcze jedna mała pociecha.

WSPINACZKA PO SCHODACH z bolącym kolanem była trudna, ale przecież nie było sensu przychodzić do Wieży Zielonego Anioła, najwyższego budynku w Erkynlandzie, a pewnie i w całym Osten Ard, i nie wejść ponad główne mury.

Klatka schodowa wieży była niska i wąska. Jak nigdzie indziej schody wykonano z gładkiego, białego kamienia, który był bardzo śliski w dotyku, lecz stopie dawał pewne oparcie. Ludzie w zamku mówili, że wieża jest jedynym autentycznym fragmentem budowli, jaki pozostał ze starej twierdzy Sithów. Doktor Morgenes powiedział mu kiedyś, że to nieprawda. Lecz – jak to on miał w zwyczaju – nie wyjaśnił, czy znaczyło to, iż została ona jednak przebudowana, czy też że istnieją jeszcze inne pozostałości starego Asu'a.

Po kilkunastominutowej wspinaczce Simon zorientował się, że jest już ponad Wieżą Hjeldin. Złowieszcza, zadaszona kopułą kolumna wieży, w której Szalony Król znalazł kiedyś swą śmierć, spoglądała sponad dachu Sali Tronowej na Zielonego Anioła niczym zazdrosny karzeł patrzący na swego księcia, gdy nikt tego nie widzi.

Kamienne wnętrze klatki schodowej wyglądało tutaj inaczej: na spokojnym, płowym tle przedstawiono jakieś dziwne, drobne symbole koloru błękitu nieba. Simon przystanął w miejscu, gdzie na ścianę padało światło z wielkiego okna. Spróbował obejrzeć dokładnie jedną z takich błękitnych ścian, lecz zakręciło mu się w głowie i zaniechał tego.

Miał wrażenie, że wspinaczka trwa długie godziny, aż wreszcie ujrzał lśniącą, białą podłogę dzwonnicy. Ją także zbudowano z tego samego białego kamienia. Sama wieża wznosiła się, zwężając, jeszcze około stu łokci ku siedzącemu na szczycie aniołowi, lecz klatka schodowa kończyła się tutaj, gdzie rzędy spiżowych dzwonów zwisały z krokwi niczym

majestatyczne, zielone owoce. Dzwonnica była otwarta z każdej strony, tak by wszyscy mogli usłyszeć śpiew Zielonego Anioła.

Simon oparł się plecami o jeden z sześciu filarów. Wykonane z gładkiego, czarnego drewna łączyły podłogę z sufitem. Żując skórkę od chleba, popatrzył na zachód, gdzie wody Kynslagh nieprzerwanie uderzały w olbrzymią tamę Hayholt. Dzień był pochmurny, a wokół Simona wirowały płatki śniegu – zdziwił się więc, że mimo to wyraźnie widział wszystko pod sobą. Na falach Kynslagh unosiły się małe łodzie, poruszane wiosłami ubranych na czarno, pochylonych wioślarzy. Dalej zdawało mu się, że widzi miejsce, w którym rzeka Gleniwent wypływa z jeziora i rozpoczyna swą długą podróż do oceanu. Było to pięćdziesiąt mil krętej drogi wśród wsi i portów. Wyspa Warinsten strzegła ujścia rzeki. Za nią na zachód ciągnął się bezmiar oceanu.

Simon zbadał swoje kolano i stwierdził, że nie będzie teraz siadał, gdyż wiązałoby się to z koniecznością powstania. Naciągnął kapelusz na czerwone i szczypiące od wiatru uszy i zaczął jeść kruszący się ser. Jak okiem sięgnąć po prawej stronie ciągnęły się łąki i sterczące wśród nich wzgórza Ach Samrath. Były to kresy królestwa Hernystir i miejsce okrutnej bitwy, którą opisywał Morgenes. Po lewej stronie, za jeziorem Kynslagh, widać było pofalowane Thrithings – bezkresne pastwiska. Oczywiście gdzieś się kończyły, gdyż za nimi leżał Nabban, zatoka Firranos ze swymi wyspami, bagnista kraina Wran... miejsca, których Simon nigdy nie widział i których pewnie nigdy nie zobaczy.

Znudzony widokiem monotonnych wód Kynslagh i marzeniami o niewidocznych krainach Południa, Simon przeszedł na drugą stronę dzwonnicy. Stąd nie widział w dole nic konkretnego, a wirująca, pełna ciemnych chmur przestrzeń stanowiła jedynie ciemną dziurę. Wydawało mu się, że wieża to statek widmo unoszący się na zamglonym, pustym morzu.

Wiatr wył i śpiewał w okiennych otworach, a dzwony nuciły cicho, jakby wiatr umieścił w ich spiżowych wnętrzach małe przestraszone duszki.

Simon chwycił się niskiego parapetu i wychylił, by spojrzeć na plątaninę dachów Hayholt. W pierwszej chwili wiatr szarpnął nim, jakby chciał go poderwać i cisnąć w dół, zupełnie jak kotek bawiący się zerwanym listkiem. Uchwycił się więc mocniej mokrego kamienia; wiatr ustał nieco. Simon uśmiechnął się – z tego miejsca ta wspaniała plątanina dachów, różniących się wysokością i stylem, porośniętych lasem kominów i krytych gontem lub kopułami, wyglądała jak dziedziniec pełen dziwnych, kanciastych zwierząt. Zdawały się wskakiwać na siebie, walcząc o trochę przestrzeni niczym tłoczące się przy korycie wieprze.

Niższa tylko od obu wież była kopuła zamkowej kaplicy, która wystawała z Muru Wewnętrznego. Jej kolorowe okna zasnuwał teraz topniejący śnieg. Pozostałe budynki zamku, w których mieściły się komnaty mieszkalne, Jadalnia, Sala Tronowa i Kancelaria, nosiły ślady różnych dobudówek, które w milczeniu przypominały o tym, jak wielu mieszkało tu panów. Ślady zmian widać było również na murach zewnętrznych i potężnym murze obronnym, ciągnących się na zboczu wokół zamku. Hayholt nigdy nie wyszedł poza mury zewnętrzne; ludzie woleli raczej tłoczyć się i piąć w górę albo dzielić to, co już wybudowali, na coraz mniejsze części.

Za twierdzą leżało miasto Erchester; jego bezładne ulice wypełniały niskie domy, które spowijał teraz biały śnieżny całun. Spośród nich wyróżniała się jedynie katedra, na którą spoglądali z góry Hayholt i Simon ze swej podniebnej wieży.

Poza murami miasta Simon widział niewyraźne, pokryte śniegiem zarysy starego pogańskiego cmentarza – miejsca cieszącego się złą sławą. Ciągnące się za nim równiny sięgały nieomal krawędzi lasu. Leżały

pokornie u stóp wzgórza zwanego Thisterborg, które wznosiło się nad nimi równie strzeliście, jak katedra nad niskimi dachami Erchesteru. Simon, choć nie mógł tego zobaczyć, wiedział, że Thisterborg zdobi korona z wygładzonych wiatrem filarów, zwanych przez wieśniaków Kamieniami Gniewu.

Za Erchesterem, za cmentarzem, równinami i ośnieżonym wzgórzem Thisterborg rozpościerał się las Aldheorte – Stare Serce. Ciągnął się w dal jak rozległe, ciemne i bezkresne morze. Ludzie mieszkali jedynie na jego obrzeżach. Istniało parę dróg, które ciągnęły się jego skrajem, lecz mało kto zapuszczał się w głąb lasu. Była to olbrzymia, cienista kraina położona w środku Osten Ard. Nie wysyłała ona posłańców i niewielu przyjmowała gości. Wobec potęgi tego lasu olbrzymi Circoille, las Combwood w Hernystirze na zachodzie, był tylko zagajnikiem. Istniał tylko jeden Las.

Simon zapomniał o kolanie; miał teraz przed sobą morze na Zachodzie, Las na Wschodzie, rozległe ziemie na Północy wraz z ich „ludźmi żelaza” i wreszcie obszar podupadłych imperiów na Południu. Przez chwilę był królem całego znanego mu świata.

KIEDY NIEOSTRE, ZIMOWE SŁOŃCE zaczęło znikać z nieba, Simon zdecydował się wracać. Syknął z bólu, prostując kolano, które zesztywniało w bezruchu. Jasne było, że nie będzie mógł wrócić z dzwonnicy tą samą trudną drogą. Będzie musiał spróbować szczęścia na terytorium Barnabasa i ojca Dreosana.

Długie schody stanowiły katorgę, lecz widok z wieży pozwalał mu zapomnieć o wszelkich nieszczęściach. Współczuł sobie znacznie mniej, niż gdyby znalazł się w innych okolicznościach. Pragnienie poznania świata płonęło w nim niczym podsycany ogień, który rozgrzewał go aż do

czubków palców. Poprosi Morgenesa, by opowiedział mu więcej o Nabbanie i Wyspach Południowych oraz o sześciu królach.

Na czwartym piętrze, w miejscu, z którego dostał się na wieżę, Simon usłyszał jakiś dźwięk; ktoś zbiegał szybko w dół schodów. Przez chwilę stał nieruchomo, zastanawiając się, czy został odkryty. Wprawdzie przebywanie na wieży nie było kategorycznie zabronione, ale dzisiaj nie miał żadnej wymówki na usprawiedliwienie swego pobytu tutaj – kościelny uznałby to za przewinienie. Dziwne, lecz kroki się oddalały. Barnabas, czy ktokolwiek inny, z pewnością nie wahałby się wejść na górę, złapać go i sprowadzić za i tak już mocno nadwerężony kołnierz. Simon schodził więc dalej krętymi schodami. Początkowo bardzo ostrożnie, lecz później, pomimo bolącego kolana, coraz szybciej, w miarę jak wzmagała się jego ciekawość.

Schody doprowadziły go wreszcie do olbrzymiego holu wieży. Był słabo oświetlony i obwieszony gobelinami, które przedstawiały sceny religijne. Simon zatrzymał się na ostatnim stopniu; wciąż pozostawał w ciemności schodów. Nie słyszał teraz kroków ani innych dźwięków. Szedł po kamiennej podłodze, najciszej jak potrafił; każde przypadkowe skrzypnięcie buta ulatywało z syknięciem pod dębowe sklepienie. Główne drzwi holu były zamknięte. Jedyne światło sączyło się z okien umieszczonych ponad nadprożem.

Jak to możliwe, by nie usłyszał, że ktoś otwiera i zamyka te ogromne drzwi? Przecież to wyraźny odgłos kroków kazał mu oczekiwać skrzypnięcia ogromnych zawiasów. Jeszcze raz powiódł wzrokiem po holu.

Tam! Spod frędzli poplamionego srebrzystego gobelinu przy schodach wystawały okrągłe czubki dwóch niewielkich butów. Kto to mógł być? Może gruby Jeremias, który zaczaił się tutaj, żeby spłatać mu figla? Jeśli tak, to Simon mu zaraz pokaże.

Zdjął buty i idąc boso, posuwał się nieomal bezszelestnie. Podkradł się aż do tamtego miejsca. Kiedy wyciągnął rękę w kierunku zasłony, przypomniał sobie dziwną uwagę brata Cadracha o kurtynach w czasie lalkowego przedstawienia. Zawahał się, a zaraz potem zawstydził swej nieśmiałości i odsłonił gobelin.

Ogromna kotara, zamiast ukazać szpiega, oderwała się od ramy i opadła w dół niczym olbrzymi usztywniony koc. Simon zdążył jeszcze zobaczyć małą przestraszoną twarz, zanim przewrócił go impet opadającej zasłony. Leżał, złorzecząc i próbując się uwolnić, gdy tymczasem ubrana na brązowo postać przemknęła obok.

Simon słyszał, jak ten ktoś mocuje się z ciężkimi drzwiami, lecz on sam wciąż nie mógł wydostać się z oplatającej go zakurzonej tkaniny. Wreszcie mu się udało. Skoczył na równe nogi, pomknął przez hol i zdołał jeszcze chwycić zbiega, zanim ów prześliznął się przez uchylone drzwi. Trzymał go mocno za kurtkę. Szpieg, choć w połowie za drzwiami, został ujęty.

Simon był zły, głównie z powodu swego poprzedniego wahania.

– Kim jesteś? – krzyknął. – Ty szpiegu!

Schwytany nic nie odpowiedział, próbując mu się wyszarpnąć. Simon zorientował się jednak, że ta osoba nie jest w stanie uwolnić się z jego uchwytu.

Próbując wciągnąć z powrotem opierającą się postać – co nie było łatwe – Simon dostrzegł znajome ubranie koloru piasku. To musi być ten chłopak, który szpiegował przy drzwiach kaplicy! Simon pociągnął jeszcze raz z całych sił, tak że mógł teraz zobaczyć głowę i ramiona schwytanego.

Był to drobny chłopak o ładnych, lecz nieomal ostrych rysach. Kształt nosa i brody sprawiały, że przypominał trochę lisa. Włosy miał kruczoczarne. Simon pomyślał, że może to jakiś Sitha. Próbował sobie przypomnieć opowieści Shema o tym, jak to trzeba złapać stopę Pookaha,

a dostanie się kociołek pełen złota, lecz zanim jeszcze otrzymał cokolwiek z baśniowego skarbu, zobaczył spocone i zaczerwienione policzki, co przekonało go, że nie jest to jakaś nadprzyrodzona istota.

– Hej, ty, jak się nazywasz? – zapytał. Złapany chłopak wciąż próbował się wyrywać, lecz już nie tak mocno. Po chwili zaprzestał walki. – Jak się nazywasz? – dopytywał się Simon łagodniejszym nieco tonem.

– Malachias. – Chłopak odwrócił się zdyszany.

– No, Malachias, dlaczego mnie szpiegujesz? – Potrząsnął ramieniem chłopca, przypominając mu, kto tu jest zwycięzcą.

Chłopiec odwrócił głowę i patrzył przed siebie z uporem. Oczy też miał czarne.

– Nie szpiegowałem cię! – rzucił porywczo.

Simon odniósł wrażenie, iż w jego twarzy dostrzega coś znajomego, coś, co już zna.

– No to kimże pan jest, mocium panie? – zapytał Simon i wyciągnął rękę, by podnieść brodę chłopca. – Pracujesz w stajni, a może gdzieś tutaj, w Hayholt?

Zanim zdołał odwrócić jego twarz i popatrzeć na nią raz jeszcze, Malachias chwycił go za koszulę na piersiach i pchnął nadspodziewanie mocno. Z rąk Simona wymsknęła się trzymana kurtka i zachwiał się, aż w końcu klapnął na siedzenie. Zanim zdołał się ruszyć, Malachias przemknął przez uchylone drzwi i zamknął je za sobą z głośnym skrzypnięciem spiżowych zawiasów.

Simon siedział na kamiennej posadzce ze stłuczonym kolanem, stłuczonym siedzeniem i domagającą się uznania, śmiertelnie zranioną godnością. W tym momencie z Kancelarii wynurzył się Barnabas, który przyszedł zbadać przyczynę hałasu. Stanął w drzwiach jak wryty, a jego wzrok przesuwał się od bosonogiego Simona do zerwanego i wymiętego

gobelinu przy schodach. Barnabas nie odezwał się ani słowem, jedynie żyłki na jego skroni zaczęły mocniej pulsować, a brwi opadać, aż z oczu pozostały tylko wąziutkie szparki.

Simon, poobijany i potłuczony, siedział wciąż na podłodze i kiwał głową jak pijak, który potknął się o swój dzban i wylądował na kocie burmistrza.

6. Ognisty kopiec na skałach

KARĄ ZA OSTATNIĄ ZBRODNIĘ Simona było zawieszenie prac u Doktora i zakaz opuszczania pomieszczeń dla służby.

Całymi dniami chodził po swoim więzieniu, od pomywalni do pokoju bieliźnianego i z powrotem, niczym niespokojny sokół, któremu przykryto łeb kapturem.

„Sam sobie jestem winien” – myślał czasami. – „Rzeczywiście jestem tak głupi, jak twierdzi Smok”.

„Dlaczego oni tak się mną przejmują?” – dumał kiedy indziej. – „Można by pomyśleć, że jestem jakimś niebezpiecznym zwierzakiem, na którego trzeba uważać”.

Miłosierna Rachel znalazła mu parę nieistotnych prac, by miał się czym zająć. Dni nie mijały tak wolno, jak mógłby się tego spodziewać, lecz to tylko umacniało Simona w przekonaniu, że już na zawsze zostanie koniem pociągowym. Będzie dźwigał i ciągnął, aż zestarzeje się do tego stopnia, że nie podoła już nawet temu, i wtedy wyprowadzą go i dadzą w łeb drewnianym młotkiem Shema.

Tymczasem ostatnie dni Novandera przemknęły ukradkiem i Decander czaił się jak rzezimieszek.

Z KOŃCEM DRUGIEGO TYGODNIA nowego miesiąca Simon odzyskał wolność – oczywiście znacznie ograniczoną. Nie wolno mu było chodzić do

Wieży Zielonego Anioła i w parę innych ulubionych miejsc. Za to pozwolono mu podjąć służbę u Doktora. Dodatkowe wieczorne prace zmuszały go do powrotu na kolację do pomieszczeń służby. Ale nawet te krótkie wizyty u Morgenesa były dużym przywilejem. Wydawało się, że Morgenes coraz bardziej zaczyna polegać na Simonie. Doktor nauczył go, jak używać i opiekować się najprzeróżniejszymi przedmiotami, które zagracały jego pracownię.

Również, przeżywając to boleśnie, uczył się czytać. Bez wątpienia było to sto razy gorsze od zamiatania czy zmywania alembików i zlewek, lecz Morgenes obstawał przy tym niezmiennie, twierdząc, że bez umiejętności czytania Simon nigdy nie będzie przydatnym uczniem.

W DZIEŃ ŚWIĘTEGO TUNATHA, dwudziestego pierwszego Decandera, Hayholt ożywił się. Było to ostatnie większe święto przed Aedonmansa i czczono je ogromną ucztą. Służące poutykały gałązki ostrokrzewu i jemioły wokół licznych woskowych świec. Miały one zostać zapalone o zachodzie słońca. Ich widoczne z okien światło miało pokazać drogę wędrującemu świętemu Tunathowi, który miał wyłonić się z zimowej ciemności i pobłogosławić zamek wraz z jego mieszkańcami. Służący dokładali do kominków świeżo narąbanych i trzeszczących szczap lub rozrzucali po podłodze sitowie.

Przez całe popołudnie Simon starał się pozostać niezauważony, lecz w końcu odkryto go i posłano do Doktora Morgenesa z pytaniem, czy nie ma oliwy nadającej się do polerowania, gdyż armia Rachel zużyła już całe zapasy, przywracając oślepiający połysk Wielkiemu Stołowi, a był to dopiero początek pracy w Głównym Holu.

Wprawdzie Simon całe rano spędził u Doktora, sylabizując słowo po słowie księgę zatytułowaną *Sovrańskie leki uzdrowicieli z Wran,* lecz wciąż

przedkładał te prace nad niebezpieczeństwa związane z groźnym spojrzeniem Rachel. Tak więc wypadł z Głównego Holu jak na skrzydłach, zbiegł korytarzem Kancelarii, a potem przebiegł pod Zielonym Aniołem i przez Wewnętrzne Błonie. Po chwili, jak jastrząb, mijał most na fosie i już stał przed drzwiami Doktora.

Morgenes nie od razu odpowiedział na jego pukanie, chociaż Simon słyszał wewnątrz jakieś głosy. Czekał cierpliwie, zabawiając się odrywaniem ze zniszczonej framugi długich drzazg, aż wreszcie ukazał się Doktor. Chociaż rozstał się z chłopcem niedawno, nie zdziwił się jego ponowną wizytą. Wpuścił Simona, lecz wciąż wyglądał, jakby go nie dostrzegał. Wyczuwając ten dziwny nastrój, Simon cicho szedł za nim oświetlonym lampami korytarzem.

Okna zasłonięte były ciężkimi zasłonami. Początkowo, zanim jego oczy przywykły do mroku panującego w pokoju, Simon nie widział nikogo obcego. W końcu jednak dostrzegł niewyraźną postać, która siedziała w rogu na olbrzymiej marynarskiej skrzyni. Odziany szaro mężczyzna patrzył w podłogę. Simon nie widział jego twarzy, lecz poznał go.

– Wybacz, książę Josuo – powiedział Morgenes – to jest Simon, mój nowy pomocnik.

Josua Bezręki podniósł wzrok. Jego jasne oczy – niebieskie, a może szare? – prześliznęły się po nim obojętnie. Tak jak kupiec Hyrka oglądający konia, którego nie ma zamiaru kupić. Po chwili książę skierował ponownie swą uwagę na Morgenesa, zapominając o Simonie. Doktor skinął chłopcu, by zaczekał w drugim końcu pokoju.

– Wasza Wysokość – powiedział do księcia – obawiam się, że nic już nie mogę zrobić. Moje lekarskie i farmaceutyczne zdolności wyczerpały się. – Starzec potarł nerwowo dłonie. – Proszę mi wybaczyć. Wiesz, książę, że kocham naszego Króla i boleję nad jego cierpieniem, ale... istnieją

rzeczy, do których nie mogę się mieszać – zbyt wiele możliwości, zbyt wiele nieprzewidzianych konsekwencji. Jedną z nich jest przekazanie królestwa.

Simon nigdy jeszcze nie widział Morgenesa w takim nastroju. Starzec wyciągnął z zanadrza jakiś przedmiot na złotym łańcuchu i trzymał go w ręku. Simon był przekonany, że Doktor, który szydził z pretensjonalności i ozdób, nigdy nie nosił żadnej biżuterii.

– Ależ niech mnie Bóg broni, nie proszę cię o to, byś się mieszał w sprawy sukcesji! – powiedział Josua napiętym głosem.

Simon czuł się bardzo nieswojo, słysząc tę rozmowę, lecz nie było tu innego miejsca, gdzie mógłby pójść i jeszcze mniej rzucać się w oczy.

– Morgenes, nie proszę cię, żebyś się mieszał do czegokolwiek – ciągnął dalej Josua – daj mi tylko coś, co zmniejszy cierpienie starca w ostatnich jego dniach. Bez względu na to, czy umrze jutro, czy za rok, Elias i tak będzie Wielkim Królem, a ja dalej będę seniorem Naglimundu. – Książę pokiwał głową. – Pomyśl przynajmniej o prastarych więzach, jakie łączą cię z mym ojcem, ciebie, który go leczyłeś i który od lat patrzyłeś na jego życie i je spisywałeś! – Josua wskazał dłonią na stos luźnych kartek ułożony na mocno nadwerężonym przez robaki biurku Doktora.

„Spisywał życie Króla?” – zastanawiał się Simon. O tym słyszał po raz pierwszy. Tego ranka Doktor okazał się bardzo tajemniczą osobą.

– Czy ci nie żal? – Josua nie ustępował. – On jest jak stary osaczony lew, ogromny zwierz atakowany przez szakale! Słodki Usiresie, ta nieuczciwość...

– Ale, Wasza Wysokość... – zaczął żałośnie Morgenes, lecz w tej chwili wszyscy trzej usłyszeli tupot biegnących nóg i głosy na zewnętrznym dziedzińcu. Josua, blady, z rozognionym wzrokiem, zerwał się i chwycił za miecz. Ktoś pukał głośno do drzwi. Morgenes wstał, lecz powstrzymało go

syknięcie księcia. Simon czuł, jak wali mu serce – najwyraźniej strach księcia był zaraźliwy.

– Książę Josuo! Książę Josuo! – zawołał ktoś za drzwiami. Walenie się wzmogło.

W mgnieniu oka Josua wsunął miecz do pochwy i wyszedł szybko z pracowni Doktora. Otworzył drzwi. Na ganku stali czterej ludzie. Trzej z nich to byli jego żołnierze ubrani w szare mundury. Czwarty, który przyklęknął przed księciem na jedno kolano, ubrany był w białą, lśniącą szatę i sandały. Jak we śnie, Simon rozpoznał w nim świętego Tunatha, temat niezliczonych religijnych obrazów. Co to może znaczyć...?

– Och, Wasza Wysokość... – powiedział klęczący „święty” i przerwał, by złapać oddech.

Na twarzy Simona pojawił się uśmiech, gdyż zrozumiał, że klęczący też jest żołnierzem, tyle tylko, że przebranym za świętego, którego rolę miał odegrać w zbliżających się uroczystościach. Uśmiech natychmiast zniknął, gdy Simon zobaczył przejętą twarz młodego żołnierza.

– Wasza Wysokość... Josua... – powtórzył żołnierz.

– O co chodzi, Deornoth? – dopytywał się książę napiętym głosem.

Deornoth spojrzał na Josuę. Jego prosto obcięte włosy odcinały się od białego, lśniącego kaptura; wzrok wyrażał cierpienie, lecz oczy płonęły.

– Król, panie, twój ojciec, Król... Biskup Domitis powiedział... że on nie żyje.

Josua odepchnął klęczącego bez słowa i odszedł przez dziedziniec, a za nim jego żołnierze. Deornoth wstał po chwili i ruszył ich śladem. Dłonie złożył przed sobą jak mnich, jakby tchnienie tragedii zmieniło coś nierealnego w rzeczywistość. Zimny wiatr kołysał bezgłośnie drzwiami.

Kiedy Simon odwrócił się do Morgenesa, ten wpatrywał się w odchodzących lśniącymi i załzawionymi oczami.

I TAK KRÓL JOHN PREZBITER zmarł wreszcie w Dzień Świętego Tunatha. Zmarł w niezwykle podeszłym wieku, kochany, szanowany i tak bardzo wrośnięty w życie ludzi, jak zrośnięci oni byli z własną ziemią. Chociaż od dawna się tego spodziewano, to jednak smutek po jego odejściu ogarnął wszystkie krainy.

Najstarsi z najstarszych pamiętali, że to właśnie w Dzień Świętego Tunatha w Roku Założenia, czyli w 1084 – dokładnie osiemdziesiąt lat temu – Prester John zabił diabelskiego gada Shurakai i wjechał triumfalnie przez bramy Erchesteru. Kolejni słuchacze kiwali głowami, gdy wciąż od nowa opowiadano tę historię, upiększając ją nieco za każdym razem. I tak w tamten dzień zwycięski Bóg na Króla go pomazał, a w rocznicę tej daty do siebie go powołał. Mówiło się, że można się było tego spodziewać.

Był środek zimy i Aedontide, lecz ludzie przybywali licznie do Erchesteru i Wielkiego Zamku ze wszystkich stron Osten Ard. Miejscowi zaczęli nawet narzekać na gości, którzy przyjeżdżali i zajmowali najlepsze miejsca w kościele i karczmach. Było w tym coś więcej niż tylko utyskiwanie na obcych, którzy robią taki harmider wokół ich Króla. Bo chociaż był on Królem wszystkich, to dla mieszkańców Erchesteru był kimś więcej niż tylko feudałem. Za dawnych, weselszych lat lubił udawać się między ludzi, wspaniały, w lśniącej zbroi, na koniu. Mieszkańcy miasta, a przynajmniej ci biedniejsi, często z dumą mówili o nim: „nasz staruszek z Hayholt”.

Już go z nimi nie było, w każdym razie nie w zasięgu tych prostych dusz. Należał już do historyków, poetów i duchownych.

Na czterdzieści dni dzielące śmierć Króla od pogrzebu jego ciało przeniesiono do Sali Pogrzebowej w Erchesterze, gdzie duchowni obmyli je w rzadko sporządzanych olejach, natarli pachnącymi, ziołowymi owocami z Wysp Południowych, a potem zawinęli w białe płótno, modląc się przez

cały czas gorliwie. Następnie ubrano Króla w prostą szatę, jaką przywdziewają młodzi rycerze na uroczystość pierwszych ślubów, i położono na marach w Sali Tronowej, a wokół ciała zapalono długie świece.

Kiedy ciało Prestera Johna wystawiono na widok publiczny, ojciec Helfcene, królewski Kanclerz, polecił, by rozpalono ogień Hayefur na szczycie kamiennej fortecy w Wentmouth. Robiono to tylko w czasie wojny lub wielkich wydarzeń. Niewielu żyjących pamięta, kiedy ostatni raz zapalono tę ogromną pochodnię-wieżę.

Helfcene polecił też, aby wykopano ogromny dół na Swertclif, na przylądku, na wschód od Erchesteru, nad wodami Kynslagh. Było to wzgórze z sześcioma pokrytymi teraz śniegiem kurhanami królów, którzy panowali w Hayholt przed Johnem. Okrutna to była pogoda do kopania, gdyż ziemia była zmarznięta. Lecz kopiący na Swertclif dumni byli ze swej pracy i wszelkie niedogodności, siniaki i rany uważali za zaszczyt.

Kopanie skończono z końcem Jonevera i dopiero wtedy można było przykryć dół wielkim namiotem z czerwono-białego płótna żaglowego.

Przygotowania w Hayholt przebiegały w bardziej gorączkowej atmosferze. Wszystkie cztery zamkowe kuchnie wypełniał żar i dym, jak w pracujących na pełną parę hutach. Niezliczone rzesze zdyszanych kuchcików przygotowywały pogrzebowe wypieki, mięsa, chleby i wafle. Zarządca dworu Peter, zwany Złocistym Kotłem, mały energiczny człowieczek o żółtych włosach, zdawał się być wszędzie w tej samej chwili, jak wieczorny anioł. Z równą łatwością próbował bulgocącego w wielkich kotłach rosołu, wyszukiwał kurz w pęknięciach Wielkiego Stołu – niewielkie tam miał szanse, gdyż było to pole działania Rachel – jak i ciskał gromy za pędzącymi kuchennymi. Wszyscy przyznawali, że stanął na wysokości zadania.

W HAYHOLT ZEBRALI SIĘ żałobnicy z całego Osten Ard. Skali Ostronosy z Kaldskryke, nielubiany kuzyn księcia Isgrimnura, przyjechał z Rimmersgardu z dziesiątką podejrzanych brodatych krewnych. Z trzech klanów, które panowały na dzikich, trawiastych równinach Thrithings, przybyły głowy rządzących tam domów. Wszyscy dziwili się, że klany odłożyły na ten czas wszelkie animozje i przybyły razem. Był to dowód czci dla Króla Johna. Mówiło się nawet, że gdy dotarła tam wieść o śmierci Johna, pograniczna szlachta ze wszystkich trzech klanów zebrała się na granicach, których tak zazdrośnie przed sobą strzegła, i opłakując zmarłego, piła razem do rana.

Z sancellańskiego Mahistrevis, książęcego pałacu w Nabbanie, książę Leobardis przysłał swego syna Benigarisa z nieomal setką legionistów i zbrojnych rycerzy. Przywitał ich pomruk podziwu, kiedy zeszli na ląd ze swych okrętów z godłem złotego zimorodka na żaglach. Nawet i Benigaris na swym rumaku otrzymał parę wiwatów, choć ludzie szeptali, że jeśli tak wygląda siostrzeniec Camarisa, wielkiego rycerza z czasów Johna, to był on raczej szczepem ojcowskiego, a nie wujowego drzewa. Camaris był potężnym mężczyzną – tak przynajmniej twierdzą ci, którzy go jeszcze pamiętają – Benigaris zaś, szczerze mówiąc, wyróżniał się tylko znaczną tuszą. Minęło już czterdzieści lat od czasu, kiedy Camaris-sa-Vinita zginął na morzu, i wielu młodych podejrzewało, że jego wielkość rozrosła się nieco w pamięci starców i gawędziarzy.

Z Nabbanu przyjechała też inna delegacja, nie tak zbrojna jak ta Benigarisa; przybył sam Lektor Ranessinu. Przypłynął on przez Kynslagh na pięknym białym statku z błękitnym żaglem, na którym lśniło białe Drzewo i złocista Kolumna Matki Kościoła. Tłum z nadbrzeża, który dość spokojnie przywitał Benigarisa i nabbańskich żołnierzy, jakby pamiętając o tym, że Nabban walczyło niegdyś z Erkynlandem o władzę, wydał głośny

okrzyk powitania na cześć przybywającego Lektora. Zebrani na brzegu ruszyli do przodu i trzeba było sił królewskich i samego Lektora, by ich powstrzymać. I tak dwóch czy trzech osobników zostało przez tłum wepchniętych do lodowatego jeziora i tylko szybka pomoc uratowała ich przed zamarznięciem.

NIE TEGO BYM SOBIE ŻYCZYŁ – szepnął Lektor do swego młodego pomocnika, ojca Dinivana. – Popatrz tylko na to dziwactwo, jakie mi przysłali. – Wskazał na lektykę, która tworzyła wspaniałą kompozycję rzeźbionego wiśniowego drewna i błękitnych jedwabi. Ubrany na czarno ojciec Dinivan uśmiechnął się.

Ranessin, siedemdziesięcioletni szczupły i przystojny starzec, nachmurzył się zniecierpliwiony tłumem, po czym skinął nieznacznie na oficera gwardii Erkynguard.

– Zabierzcie to, proszę – powiedział. – Doceniamy troskę Kanclerza Helfcene’a, lecz wolimy chodzić wśród ludzi.

Lektykę usunięto i Lektor ruszył w kierunku zatłoczonych schodów wiodących od jeziora Kynslagh. Kiedy uczynił znak Drzewa – kciuk i mały palec jako zakrzywione gałęzie i pionowy ruch środkowych palców – rozpychający się tłum zrobił przejście wzdłuż ogromnych schodów.

– Nie idź tak szybko, panie – powiedział Dinivan, przepychając się przez wyciągnięte ramiona ludzi. – Wyprzedzisz strażników.

– A skąd wiesz, że nie o to mi właśnie chodzi? – Na twarzy Ranessina pojawił się przebiegły uśmiech, lecz na tak krótko, że tylko Dinivan mógł go zauważyć.

Dinivan zaklął cicho i natychmiast zganił się za to. Lektor wyprzedzał go o krok i tak szli wśród napierającego tłumu. Na szczęście zaczął wiać wiatr od wybrzeża i Ranessin zmuszony był zwolnić. Wolną ręką trzymał

swój kapelusz, który wydawał się równie wysoki, wąski i biały jak twarz Jego Świątobliwości. Widząc, że Lektor chwieje się trochę na wietrze, ojciec Dinivan pospieszył do przodu. Kiedy zrównał się z nim, chwycił go mocno za łokieć.

– Wybacz, panie, ale Escritor Velligis nigdy by mi nie darował, gdybym pozwolił ci wpaść do jeziora.

– Rozumiem, mój synu – odparł Ranessin, nie przestając robić znaku Drzewa po obu stronach schodów. – Byłem niemądry, ale wiesz, jak bardzo nie lubię zbytecznej pompy.

– Ale, Lektorze – spierał się Dinivan, wznosząc swe krzaczaste brwi w udawanym zdziwieniu – jesteś przecież ziemskim głosem Usiresa Aedona. Nie wypada, byś skakał po schodach jak uczniak z seminarium.

Poczuł się rozczarowany, widząc w odpowiedzi tylko nieznaczny uśmiech. Przez jakiś czas szli obok siebie w milczeniu, młodzieniec wciąż podtrzymywał łokieć starca.

„Biedny Dinivan” – pomyślał Ranessin. – „Tak bardzo się stara i taki jest uważający. Nie żeby mnie nie szanował, w końcu jestem Lektorem Matki Kościoła. Szanuje, szanuje, ponieważ mu na to pozwoliłem dla swego własnego dobra. Ale nie jestem dzisiaj w nastroju i on o tym wie”.

Naturalnie, to przez śmierć Johna. Choć nie chodziło tu tylko o stratę przyjaciela i dobrego Króla. Jego śmierć oznaczała też nadejście zmian, a Kościół w osobie Lektora Ranessina nie mógł sobie pozwolić na zbyt wielką ufność wobec zmian. Pewnie, że rozstanie także go dotknęło – pomyślał, że to rozstanie tylko na tym świecie – rozstanie z człowiekiem dobrego serca i dobrych intencji, chociaż czasem John bywał zbyt gorliwy w wypełnianiu swych zamiarów. Ranessin wiele zawdzięczał Johnowi, za jego to przyczyną on, zwany kiedyś Oswinem ze Stanshire, został wyniesiony na wyżyny Kościoła, a potem na stanowisko Lektora. Takiego

zaszczytu nie dostąpił żaden mieszkaniec Erkynlandu od pięciu wieków. Tak, będzie brakowało Króla.

Na szczęście Ranessin mógł pokładać nadzieję w Eliasie. Książę był odważny, zdecydowany, śmiały – cechy, które rzadko spotyka się u synów wielkich ludzi. Przyszły Król był też porywczy i w pewnym sensie beztroski, ale – *Duos wulstei* – takie wady można było wyleczyć albo przynajmniej zmiękczyć przez odpowiedzialność i dobrą radę.

Doszli teraz z całą świtą na szczyt schodów Kynslagh i weszli na Królewską Aleję, która ciągnęła się wokół murów Erchesteru. Lektor obiecał sobie, że przyśle nowemu Królowi zaufanego doradcę – oczywiście takiego, żeby miał oko na dobro Kościoła. Może Yelligisa, a może nawet Dinivana... nie, z nim nie będzie się rozstawał. W każdym razie znajdzie kogoś dla zrównoważenia wpływów popędliwych szlachciców Eliasa i tego idioty, biskupa Domitisa.

PIERWSZY FEYEVER, dzień poprzedzający Elysiamansę – Dzień Pani – rozpoczął się jasnym, chłodnym i przejrzystym porankiem. Słońce zaledwie wyjrzało zza stromych szczytów odległych gór, kiedy do kaplicy zaczął napływać uroczysty tłum. Ciało Króla leżało już przed ołtarzem na marach przystrojonych złocistym suknem i czarnymi jedwabnymi wstęgami.

Simon patrzył z podziwem na dostojników w bogatych, uroczystych strojach, ale równocześnie odczuwał zażenowanie. Przyszedł tu, na chór, prosto z kuchni w poplamionej koszuli i chociaż siedział schowany w cieniu, wstydził się swego ubrania.

„Jestem tu jedynym służącym” – pomyślał. – „Jedyny spośród tych, którzy mieszkali w zamku z naszym Królem. Skąd są ci wszyscy wspaniali panowie i panie? Znam tylko kilku – księcia Isgrimnura, dwóch synów Króla i paru innych”.

Niewątpliwie coś w tym wszystkim mu się nie podobało. Ci na dole siedzieli wystrojeni w pogrzebowe jedwabie, podczas gdy on chował się tu przesiąknięty smrodem pomywalni – jak stary koc. Co tu było złego? Czy powinno się prosić służącego między panów? A może to on źle postąpił, ośmielając się w ogóle przyjść?

„A co, jeśli Król John na to patrzy?" – Zimno mu się zrobiło na myśl o tym. – „A jeśli on gdzieś jest i patrzy na to? Czy powie Bogu, że wkradłem się tutaj w poplamionej koszuli?"

Na końcu zjawił się Lektor Ranessin ubrany stosownie do swej godności w czerń, srebro i złoto. Na głowie miał wieniec ze świętych liści ciyan, a w dłoni dzierżył kadzidło i berło wykonane z czarnego onyksu. Dał znak i wszyscy uklęknęli, po czym rozpoczął modlitwy *Mansa-sea-Cuelossan*, Mszy Pośmiertnej. Recytował w bogatym, choć niepozbawionym lekkiego akcentu języku nabbańskim i okadzał ciało zmarłego Króla. Simonowi wydało się w tym momencie, że na twarzy Prestera Johna pojawiło się światło, że przez chwilę widział go takiego, jak musiał wyglądać wtedy, gdy po raz pierwszy wjechał za bramy nowo podbitego Hayholt: z rozpromienionym wzrokiem, śladami walki. Jakże żałował, że nie mógł go wtedy zobaczyć!

Po długich modlitwach zebrani powstali, by zaśpiewać *Cansim Falis*. Simon ograniczył się tylko do poruszania ustami. Żałobnicy usiedli ponownie i przemówił Ranessin. Zaskoczył wszystkich, przechodząc z nabbańskiego na język Westerling, rozpowszechniony w królestwie przez Johna.

– Pamiętamy zapewne – zaczął Ranessin – że gdy ostatni gwóźdź został wbity w Drzewo Straceń i Usires, nasz Pan, zawisł, by cierpieć w straszliwej agonii, ujrzała go nabbijska kobieta wysokiego rodu, córka potężnego rycerza, imieniem Pelippa. Widok Jego cierpienia przepełnił jej

serce żalem. Kiedy zapadła Pierwsza Noc, a Usires Aedon wisiał umierający, opuszczony – gdyż uczniowie Jego zostali wypędzeni z dziedzińca Świątyni – ona przyszła do Niego z wodą, którą podawała Mu, maczając swą chustę w złotej misie i zwilżając Jego spieczone usta. Pelippa płakała, widząc ból Odkupiciela. Wtedy też powiedziała do Niego: „Biedny człowieku, cóż oni Ci uczynili?" A Usires jej odpowiedział: „Nic, czego nie zniósłby Człowiek". Pelippa ponownie się rozpłakała i powiedziała: „Nie dość, że za słowa chcą Cię zabić, to jeszcze wieszają do góry nogami dla upodlenia". A Usires, Zbawca, powiedział: „Córko, nie ma znaczenia, jak wiszę, głową czy nogami w dół – i tak patrzę w twarz Boga, naszego Ojca".

– I tak... – Lektor popatrzył w tym momencie na zebranych – ...słowa naszego Pana Usiresa możemy odnieść do ukochanego Johna. Prości ludzie z miasta mówią, że John Prezbiter nie odszedł, ale że pozostaje tutaj, aby czuwać nad swym ludem i całym Osten Ard. Księga Aedona obiecuje, że teraz wstąpi on do cudownych Niebios pełnych światła, muzyki i błękitnych wzgórz. Inni nasi bracia – poddani Johna z Hernystiru – powiedzą, że odszedł on, aby dołączyć do pozostałych bohaterów wśród gwiazd. Nieważne, jak to nazwiemy. Gdziekolwiek będzie, na błękitnych wzgórzach czy gwiezdnych polach, jedno jest pewne: stoi teraz szczęśliwy przed obliczem Boga...

KIEDY WZRUSZONY DO ŁEZ Lektor skończył mówić i odmówiono ostatnie modlitwy, zebrani opuścili kaplicę.

Simon patrzył pełen czci, jak wystrojeni na czarno służący króla Johna wypełniają ostatnie posługi. Kiedy ubierali go w królewskie szaty i zbroję, wyglądali jak żuki krzątające się wokół martwej ważki. Simon wiedział, że powinien już odejść, to wykraczało poza podkradanie się i podglądanie, było nieomal bluźnierstwem, lecz mimo to nie mógł się ruszyć. Jakieś

dziwne uczucie nierealności zastąpiło teraz strach i smutek. Wszystko wydało mu się widowiskiem, przedstawieniem aktorskim, którego bohaterowie poruszają się sztywno, jakby ich kończyny zamarzały i rozgrzewały się na przemian.

Służący ubrali króla w jego śnieżnobiałą zbroję, zwinięte rękawice wsunęli w pendent, lecz stopy pozostawili gołe. Pancerz przykryli błękitną tuniką, a na ramiona narzucili lśniący, purpurowy płaszcz. Przez cały czas poruszali się jak we śnie. Włosy i brodę Króla zapleciono w wojenne warkocze, a na skroń włożono żelazny diadem, symbol władzy w Hayholt. Wreszcie Noah, stary giermek Króla, przyniósł żelazny pierścień Fingil, dotąd pozostający w ukryciu. Jego szloch przerwał panującą w kaplicy ciszę. Noah płakał tak rzewnie, że Simon zastanawiał się, w jaki sposób udało mu się w tym stanie wcisnąć pierścień na królewski palec.

Na koniec ubrani na czarno służący-żuki ponownie ułożyli Króla na marach. Przykrytego całunem ze złocistego płaszcza wyniesiono z zamku na ostatnią drogę. Po obu stronach kroczyło trzech ludzi, a za nim Noah z wojennym hełmem zdobionym smoczym grzebieniem.

Skulony w swej kryjówce na chórze Simon odetchnął; westchnienie to odzwierciedlało przeżycia godzinnego uwięzienia. Król odszedł.

KIEDY KSIĄŻĘ ISGRIMNUR ZOBACZYŁ, że ciało Prestera Johna przekracza Bramę Nearulagh, a za nim formuje się dostojna procesja, ogarnęło go uczucie czegoś mglistego, co postępowało w zwolnionym tempie, tak jakby śnił, że się topi.

„Nie bądź takim osłem, starcze – pomyślał. – Nikt nie żyje wiecznie, nawet jeśli Johnowi udało się wykroić dla siebie ładny kawałek czasu”.

Zabawna rzecz, ale Isgrimnur zawsze wiedział, że John Prezbiter umrze w swym łożu. Nawet wtedy, gdy stali obok siebie w najgorętszej bitwie,

a czarne strzały Thrithingów świstały koło nich jak pioruny samego Uduna – tak, tego przeklętego Boga. Zobaczyć Johna w bitwie znaczyło zobaczyć pomazańca Bożego. Nietykalny wódz, człowiek, który śmiał się, gdy niebo zasnuwała krwawa mgła. Gdyby John pochodził z ludu Rimmersmenów – Isgrimnur uśmiechnął się do siebie – nosiłby z pewnością niedźwiedzią koszulę.

Ale on nie żyje i trudno w to uwierzyć. Popatrz na tamtych, rycerze, lordowie... oni też myśleli, że będzie żył wiecznie. Boją się, większość z nich się boi.

Elias i Lektor zajęli swoje miejsca za marami Króla. Isgrimnur, książę Josua i jasnowłosa księżniczka Miriamele – jedyne dziecko Eliasa – szli tuż za nimi. Pozostałe wielkie rody zajęły swoje miejsca, tym razem bez przepychania się dla zdobycia odpowiedniej pozycji. W miarę jak procesja posuwała się Królewską Aleją, dołączali do niej z tyłu prości ludzie – ogromny tłum, cichy i przejęty.

Przy końcu Alei, na wykonanym z długich pali pomoście spoczywała łódź Króla – *Morska Strzała*. Podobno przybył na niej do Erkynlandu z wysp Westerling. Nie była duża: długa na pięć łokci. Książę z radością stwierdził, że ją odnowiono i lśniła teraz w słabym blasku słońca Feyevera.

„Bogowie, ależ on ją kochał!” – wspominał Isgrimnur. Sprawowanie władzy nie pozostawiało mu zbyt wiele czasu na pływanie po morzu, ale książę przypomniał sobie pewną szaloną noc. Było to jakieś trzydzieści lat temu, a może jeszcze dawniej. John był w takim nastroju, że nic nie mogło go powstrzymać, aby razem z Isgrimnurem – który był wtedy młodzieńcem – nie wyruszyć *Morską Strzałą* na smagane wiatrem wody Kynslagh. Zimno przeszywało do szpiku kości. John miał wtedy prawie siedemdziesiąt lat. Pokrzykiwał i śmiał się, podczas gdy łódź podskakiwała na wysokich falach. Isgrimnur, którego przodkowie dawno już przestali

pływać, trzymał się kurczowo okrężnicy i modlił do swych licznych dawnych bogów i tego jedynego, nowego.

Służący i żołnierze niezwykle ostrożnie składali ciało Króla w łodzi, na platformie, którą uprzednio przygotowano. Czterdziestu żołnierzy z królewskiej gwardii Erkynguard podniosło długie pale i umieściwszy je na ramionach, poniosło łódź.

Postępująca za Królem i jego *Morską Strzałą* procesja przeszła pół mili wybrzeżem zatoki i dotarła do grobu na Swertclif. Odsłonięto teraz przykrywający go namiot. Dziura wyglądała jak otwarta rana obok sześciu wyniosłych, zaokrąglonych kurhanów poprzednich władców Hayholt.

Z jednej strony grobu widać było powycinaną darń, stos kamieni i nieokorowane drewno. *Morską Strzałę* postawiono przy przeciwległym końcu grobu, którego dno obniżało się stopniowo. Kiedy łódź spoczęła na ziemi, przedstawiciele wielkich rodów Erkynlandu i służba z Hayholt podchodzili kolejno, by w łodzi lub w samym kurhanie umieścić jakiś przedmiot, dowód ich miłości. Każda z krain znajdujących się pod panowaniem Wielkiego Berła także przysłała przedmioty, które Prester John mógł zabrać do Niebios.

Perduin przysłało drogocenny jedwab z wyspy Risa, Nabban podarowało drzewo z białego porfiru, a ludzie Isgrimnura przywieźli z Elvritshalla w Rimmersgardzie srebrny topór, wykonany ręką Dverningów, z drzewcem wysadzanym klejnotami barwy górskiego błękitu. Lluth, król Hernystirczyków, przysłał z Taig w Hernysadhare wysadzaną czerwonym złotem jesionową włócznię z pozłacanym grotem.

KSIĄŻĘ ISGRIMNUR POMYŚLAŁ, że słońce, choć bez przeszkód wędruje po szaroniebieskiej kopule nieba, unosi się zbyt wysoko i jakby powstrzymuje swe ciepło.

Wreszcie i na księcia przyszła kolej, by zbliżył się do łodzi. Wiatr dął teraz mocniej i świstał na szczycie skał. Isgrimnur niósł zniszczone wojenne buty Johna. Nie mógł się zdobyć na to, by popatrzeć na zerkające na niego z tłumu blade twarze, które wyglądały jak śnieżne błyski w głębokim lesie.

Kiedy znalazł się przy *Morskiej Strzale*, po raz ostatni spojrzał na Króla. Choć bledszy od piersi gołębicy, John wciąż wyglądał poważnie i dostojnie; był tak pełen uśpionego życia, że Isgrimnur omalże nie odczuł troski o swego starego przyjaciela, widząc go leżącego na wietrze bez przykrycia. Przez chwilę prawie się uśmiechał.

„John zawsze twierdził, że mam serce niedźwiedzia i rozum wołu – pomyślał Isgrimnur. – Ale skoro tu, na górze, jest tak zimno, to dopiero zmarznie w ziemi...”

Poruszał się ostrożnie, ale bardzo sprawnie wokół usypanej ziemi, czasem pomagając sobie ręką dla złapania równowagi. Chociaż okrutnie bolały go plecy, wiedział, że nikt się tego nie domyśla. Nie był jeszcze tak stary, by odczuwać z tego powodu dumę.

Zbliżył się do poznaczonych niebieskimi żyłkami stóp Johna Prezbitera i wsunął na nie buty. Jeszcze w Sali Żałobnej nakazał swym dłoniom sprawność, z jaką teraz wykonał to zadanie. Nie patrząc już na twarz przyjaciela, szybko ucałował jego dłoń i odszedł. Wciąż czuł się dziwnie.

Nagle wydało mu się, że to nie martwe ciało Króla, którego dusza uleciała już wolna jak nowo wykluty motyl, składają do ziemi. Giętkość kończyn, twarz jakby u drzemiącego, którą Isgrimnur tak często oglądał w czasie bitew, kiedy Król odpoczywał przez godzinę czy dwie – wszystko to sprawiało, iż książę czuł się tak, jak gdyby opuszczał żyjącego przyjaciela. A przecież wiedział, że John nie żyje, trzymał jego dłoń w ostatniej chwili jego życia, lecz mimo to czuł się jak zdrajca.

Tak bardzo pochłonęły go własne myśli, że nieomal wpadł na księcia Josuę, podchodzącego właśnie do kurhanu. Isgrimnur zobaczył, zaskoczony, że Josua niesie na szarym płótnie Biały Gwóźdź, miecz Johna.

„Co tu się dzieje? – zastanawiał się. – Co on robi z tym mieczem?”

Isgrimnur dotarł do pierwszego rzędu tłumu i odwrócił się, by popatrzeć – jego zdumienie rosło. Josua położył Biały Gwóźdź na piersi Króla i zaciskał jego dłoń na rękojeści oręża.

„To szaleństwo – pomyślał. – Miecz przeznaczony jest dla następcy Króla. Wiem, że John chciał, żeby miał go Elias! A nawet jeśli Elias zdecydował się pogrzebać go razem z ojcem, to dlaczego nie zrobi tego sam? To szaleństwo! Czy nikogo innego to nie dziwi?”

Isgrimnur rozejrzał się dookoła, lecz nie znalazł na twarzach wokół nic poza smutkiem.

Teraz zbliżał się Elias. Mijał wolno młodszego brata, jakby uczestniczył w dostojnym tańcu; zaiste, był to taniec. Następca tronu pochylił się nad łodzią. Nikt nie dojrzał, co dał swemu ojcu. Za to wszyscy dostrzegli, że łza zalśniła na policzku Eliasa, podczas gdy oczy Josuy pozostały suche.

Odmówiono ostatnią modlitwę. Wiejący od jeziora wiatr targał szatą Ranessina, który namaścił *Morską Strzałę* świętymi olejami. Następnie zaczęto powoli odsuwać się od łodzi. Żołnierze w milczeniu operowali ciężkimi drzewcami, aż spoczęła na samym dnie. Na górze ułożono w łuk drewno i obłożono je darnią. Na koniec tak umieszczono kamienie, by uzupełnić stos Johna. Żałobnicy odwrócili się i odeszli wolno wzdłuż skalistego brzegu jeziora Kynslagh.

TEJ SAMEJ NOCY ODBYŁA SIĘ STYPA w Wielkim Holu zamku. Nie była to dostojna uroczystość, lecz wspaniałe i wesołe spotkanie. Wprawdzie John nie żył, lecz długie było jego życie, dłuższe niż większości ludzi,

i pozostawił królestwo dostatnie, znajdujące się w stanie pokoju, no i pozostawił też silnego syna, który miał sprawować rządy.

Rozpalono we wszystkich kominkach; skaczące płomienie rzucały na ściany dziwne, tańczące cienie, a zdyszani służący wbiegali i wybiegali pędem z komnaty. Biesiadnicy wymachiwali rękoma i wznosili toasty za starego Króla, który odszedł, i za nowego, który miał rankiem otrzymać koronę. Zamkowe ogary, duże i małe, szczekały i grzebały w poszukiwaniu ochłapów rzucanych na wyścielaną słomą podłogę. Zmuszony do usługiwania Simon niósł ogromny dzban z winem, chodząc od stołu do stołu. Wciąż besztany i ochlapywany czuł się, jakby podawał wino w jakimś wrzaskliwym piekle z kazań ojca Dreosana; chrzęszczące pod stopami i porozrzucane po stołach kości z łatwością mogłyby być pozostałościami po grzesznikach, porozrywanych, a później porzuconych przez te śmiejące się demony.

Książę Elias już wyglądał jak król-wojownik, choć nie miał jeszcze korony. Siedział przy głównym stole otoczony młodymi lordami, którzy cieszyli się jego łaską; był tam Guthwulf z Utanyeat, Fengbald, hrabia Falshire, Breyugar z Westfold i wielu innych. Każdy miał coś z rodowej zieleni Eliasa w swym żałobnym stroju, każdy chciał wznieść najgłośniejszy toast, powiedzieć najlepszy żart. Przyszły Król obserwował ich rywalizację, najlepszych nagradzając głośnym śmiechem. Od czasu do czasu pochylał się, by powiedzieć coś do Skalego z Kaldskryke, krewniaka Isgrimnura, który zasiadł przy głównym stole na specjalne życzenie Eliasa. Chociaż był to mężczyzna potężny, z orlim nosem i jasną brodą, sprawiał wrażenie nieco porażonego faktem, iż zasiada u boku księcia – szczególnie że nawet Isgrimnur nie dostąpił takiego zaszczytu. Teraz jednak słowa Eliasa dotarły do celu. Simon zobaczył, że Rimmersman najpierw się uśmiecha, a potem wybucha gwałtownym śmiechem, trącając się

z księciem metalowym pucharem. Roześmiany Elias zwrócił się do Fengbalda, który po chwili podzielił ich wesołość.

Znacznie spokojniejszy był stół, przy którym zasiadał Isgrimnur, książę Josua i inni. Ich nastrój jakby odzwierciedlał szary strój księcia. Przechodząc, Simon spostrzegł, że choć biesiadnicy starali się, jak mogli, by podtrzymać konwersację, dwie główne postacie w ich gronie milczały. Josua patrzył przed siebie, jakby podziwiał gobeliny, które wisiały na ścianach. Również książę Isgrimnur nie uczestniczył w rozmowach przy stole, lecz wszystkim znany był tego powód. Nawet Simon dostrzegał groźny wzrok starego księcia skierowany na Skalego, zwanego Ostronosym; widział, jak jego olbrzymie, guzowate dłonie szarpią w roztargnieniu frędzle tuniki z niedźwiedziej skóry.

Lekceważenie Eliasa okazywane jednemu z najwierniejszych rycerzy Johna nie uszło uwagi siedzących przy innych stołach. Niektórzy z młodszych rycerzy zaczynali podśmiewywać się ze zmieszania księcia, choć byli dość dworscy, by otwarcie tego nie okazywać. Szeptali, zakrywając usta dłonią, albo unosili brwi, by podkreślić doniosłość skandalu.

Simon stał, oszołomiony zgiełkiem, dymem i mnogością wrażeń, aż nagle usłyszał głos od tylnego stołu, który przeklinał go i dopominał się o więcej wina, a tym samym wprzęgał w kołowrót prac służby.

WIECZOREM, KIEDY ZNALAZŁ wreszcie chwilkę, by przysiąść pod jednym z ogromnych gobelinów, spostrzegł, że przy głównym stole pojawił się nowy gość. Siedział na wysokim stołku między Eliasem i Guthwulfem. Nowo przybyły ubrany był w zupełnie nieodpowiadającą uroczystościom pogrzebowym purpurową szatę, której obszerne rękawy obszyto czernią i złotem. Pochylił się i szepnął coś na ucho Eliasowi. Simon patrzył na

niego, nie mogąc wyjść z podziwu. Mężczyzna był zupełnie pozbawiony włosów, nie miał nawet rzęs czy brwi, lecz jego rysy wskazywały, że jest młody. Mocno obciągająca czaszkę skóra była bardzo blada, nawet w pomarańczowym świetle palonego sitowia. Głęboko osadzone oczy były tak czarne, że wyglądały jak lśniące, ciemne punkty pod nagimi łukami brwiowymi. Simon znał te oczy – to one patrzyły na niego groźnie spod kaptura woźnicy, kiedy nieomal postradał życie przy Bramie Nearulagh. Wzdrygnął się, lecz patrzył dalej. W tym człowieku było coś, co przerażało, ale i przyciągało, był jak kołyszący się wąż.

– Okropnie wygląda, co? – odezwał się głos u jego boku.

Simon podskoczył. Za nim stał ciemnowłosy, uśmiechnięty młodzieniec, który przyciskał drewnianą lutnię do swej szarej tuniki.

– Prze...przepraszam – wybąkał Simon. – Zaskoczyłeś mnie.

– Nie miałem takowego zamiaru – zaśmiał się tamten. – Chciałem tylko sprawdzić, czy możesz mi w czymś pomóc. – Wyciągnął zza pleców drugą dłoń i pokazał Simonowi pusty puchar.

– Och... – jęknął Simon. – Przepraszam, ja... odpoczywałem, panie... bardzo przepraszam...

– Spokojnie, przyjacielu, spokojnie! Nie miałem zamiaru przysparzać ci żadnych kłopotów, ale rozgniewam się, jeśli zaraz nie przestaniesz przepraszać. Jak ci na imię?

– Simon, sir. – Szybko podniósł dzban i napełnił puchar młodzieńca. Obcy ustawił go w alkowie, poprawił lutnię i sięgnął za pazuchę, wyciągając inny puchar. Podał go Simonowi z ukłonem.

– Trzymaj – powiedział – zamierzałem go ukraść, paniczu Simonie, ale lepiej będzie, jak wypijemy razem za nasze zdrowie i za wspomnienie starego Króla, i proszę, nie nazywaj mnie „sir”, bo nim nie jestem. – Stukał pustym naczyniem w dzban, dopóki Simon go nie napełnił. – Na zdrowie –

powiedział. – Mów mi Sangfugol albo, jak to wymawia stary Isgrimnur, „Zong-vogol”.

Simon uśmiechnął się, słysząc, w jaki sposób obcy naśladuje akcent Rimmersgardu. Następnie rozejrzał się, czy nie widać gdzieś w pobliżu Rachel, postawił dzban i wychylił puchar, który podał mu Sangfugol. Mocne i kwaśne czerwone wino popłynęło wyschniętym gardłem Simona jak wiosenny deszcz. Kiedy odstawił puchar, twarz rozjaśnił mu uśmiech.

– Czy należysz do... świty księcia Isgrimnura? – zapytał, wycierając oczy rękawem.

Sangfugol roześmiał się. Wyglądało na to, że szybko się rozweselał.

– Świta! A to dobre słowo dla służącego! Nie, jestem harfiarzem Josuy. Mieszkam w jego twierdzy w Naglimundzie, na Północy.

– Czy Josua lubi muzykę? – Nie wiadomo dlaczego, myśl ta zdziwiła Simona. – Jest taki poważny.

– Tak, jest poważny... co nie znaczy, że nie lubi gry na harfie czy lutni. Rzeczywiście, najbardziej lubi moje smutne piosenki, ale są takie dni, że prosi o balladę o Trójnogim Tomie i tym podobne.

Nim Simon zdołał odpowiedzieć, usłyszeli gromką salwę śmiechu dobiegającą od głównego stołu. Fengbald wylał na kogoś puchar wina i ten po pijanemu wykręcał teraz swoją koszulę, podczas gdy Elias, Guthwulf i inni tupali i krzyczeli z radości. Jedynie obcy w szkarłatnej szacie patrzył zimno i ledwie się uśmiechał.

– Kto to? – Simon zwrócił się do Sangfugola, który wychylił właśnie swój puchar do dna i stroił lutnię, brzdąkając przy uchu. – Chodzi mi o tego ubranego na czerwono.

– Wiem – odpowiedział harfiarz. – Od początku widziałem, jak się na niego gapisz. Można się przestraszyć, co? To jest Pryrates, nabbański duchowny, jeden z doradców Eliasa. Mówią, że jest doskonałym

alchemikiem, chociaż wygląda na to trochę za młodo, nie sądzisz? Nie wspomnę już o tym, że nie jest to chyba najlepsze zajęcie dla duchownego? A jak dobrze popytać, to można się też dowiedzieć, że jest magiem – i to czarnym magiem. A jak jeszcze lepiej pomyszkować... – W tym momencie Sangfugol zawiesił głos w napięciu, jakby chciał coś zademonstrować. Żeby usłyszeć, Simon musiał się teraz pochylić. Zatoczywszy się lekko, stwierdził, że właśnie wypił trzeci kielich wina. – A jeśli poszukasz naprawdę dobrze... – ciągnął harfiarz – to znajdziesz i takich, co ci powiedzą, że matka Pryratesa była czarownicą, a jego ojciec... demonem! – Tutaj Sangfugol uderzył głośno w struny lutni, a Simon odskoczył zdziwiony. – No, Simonie, nie możesz przecież wierzyć we wszystko, co usłyszysz, a w szczególności od pijanych minstreli – zakończył Sangfugol z chichotem i wyciągnął dłoń do Simona, który patrzył na nią ogłupiały. – Na pożegnanie, przyjacielu – powiedział uśmiechnięty harfiarz. – Miło się z tobą gawędziło, ale chyba muszę wracać do stołu, gdzie oczekują mnie z niecierpliwością inne rozrywki. Żegnaj!

– Żegnaj... – Simon uścisnął dłoń Sangfugola i patrzył, jak ten lawiruje przez salę ze zręcznością doświadczonego pijaka.

Sangfugol zajął swoje miejsce, a Simon zwrócił uwagę ku dwom służącym, które stały pod ścianą w drugim końcu sali i wachlowały się fartuchami, zajęte rozmową. Jedną z nich była Hepzibah, nowo przyjęta dziewczyna; druga to Rebah, dziewczyna z kuchni.

Simon poczuł, że robi mu się ciepło. To byłoby łatwe, podejść tam i porozmawiać z nimi. Ta Hepzibah coś w sobie miała, w jej oczach i uśmiechu była jakaś zadziorność... Czując coś więcej niż tylko zawrót głowy, Simon wyszedł z alkowy; ogarnęło go morze podniesionych głosów.

„Chwileczkę, chwileczkę – myślał, czując, że się rumieni i zaczyna bać – jak to, tak po prostu podejść i zacząć rozmawiać? Nie domyślą się, że je

obserwowałem? Czy aby...”

– Hej tam! Ty leniwy durniu! Przynieś nam jeszcze wina!

Simon odwrócił się i zobaczył czerwoną gębę hrabiego Fengbalda, który machał na niego pustym pucharem zza królewskiego stołu. W tej samej chwili dostrzegł odchodzące dziewczęta. Pobiegł więc z powrotem do alkowy i wyciągnął dzban z winem spomiędzy gromady psów, które walczyły ze sobą o jakiś ochłap. Był wśród nich mały i chudy szczeniak z białą łatą na pysku. Piszczał żałośnie, wypchnięty poza pole walki. Simon znalazł na opuszczonym krześle kawałek tłustej skóry i rzucił psiakowi. Ten pomachał kikutem ogonka, połknął ochłap i pobiegł za Simonem tuż przy jego nogach.

Fengbald i Guthwulf, hrabia Utanyeat, z charakterystyczną długą szczęką, zajęci byli mocowaniem się na ręce. Na stole, obok ich ramion, leżały sztylety. Simon obchodził ostrożnie stół i nalewał wina obserwującym pojedynek, starając się jednocześnie nie potknąć o szczeniaka, który skakał wesoło pomiędzy jego nogami. Rozbawiony przyszły Król także obserwował zawody, lecz za nim stał jego osobisty paź, więc Simon nie musiał zajmować się książęcym pucharem. Na końcu nalał wina Pryratesowi. Wprawdzie unikał jego wzroku, lecz nie mógł nie zwrócić uwagi na dziwny zapach, jaki od niego emanował – trudna do określenia mieszanina metalu i bardzo silnych przypraw. Odchodząc już, Simon zobaczył, że szczeniak grzebie w słomie tuż przy lśniących, czarnych butach Pryratesa w poszukiwaniu ukrytego tam skarbu.

– Chodź! – syknął Simon i cofając się, klepnął dłonią w kolano, lecz pies nie zwracał na niego uwagi. Dalej drapał przednimi łapami, a jego zad uderzał w przykrytą czerwoną szatą nogę duchownego. – Chodź tutaj! – zawołał jeszcze raz cicho Simon.

Pryrates schylił głowę i spojrzał w dół; jego naga czaszka obróciła się powoli na długiej szyi. Podniósł nogę i opuścił ciężki but wprost na kark psa. Szybki, zdecydowany ruch, który nie trwał dłużej niż uderzenie serca. Słychać było chrzęst zmiażdżonej kości i zduszony pisk. Szczeniak wił się bezradnie w słomie, dopóki Pryrates nie podniósł stopy raz jeszcze i nie zmiażdżył mu czaszki. Przez chwilę patrzył obojętnie na ciało, po czym przeniósł wzrok na przerażoną twarz Simona. Spojrzenie jego czarnych oczu – bezlitosnych i obojętnych – uchwyciło wzrok Simona i nie opuszczało go. Po chwili Pryrates jeszcze raz spojrzał obojętnie na psa, a potem znowu na Simona; na jego twarzy pojawił się nikły uśmiech.

„Co ja mogę na to poradzić, chłopcze? – mówił uśmiech. – I kogo to obchodzi?”

Duchowny zwrócił się ku stołowi, a Simon, uwolniony, postawił dzban i wyszedł na chwiejnych nogach w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby zwymiotować.

ZBLIŻAŁA SIĘ PÓŁNOC, co najmniej połowa biesiadników zawlokła się już lub została wyniesiona do łóżek. Nie należało się spodziewać, by wielu z nich zdołało przyjść na poranną koronację. Simon nalewał jednemu z pijanych gości mocno rozcieńczonego wina, jakie zwykle o tej porze podawał Peter Złoty Kociołek, gdy do sali wtoczył się z dziedzińca hrabia Fengbald, jedyny, który pozostał z gości siedzących przy królewskim stole. Ubranie miał w nieładzie, spodnie niedopięte, za to twarz rozjaśniał mu wprost anielski uśmiech.

– Wyjdźcie tutaj, wszyscy! – krzyczał. – Tutaj, tutaj, chodźcie zobaczyć! – Zniknął za drzwiami, a ci, którzy mogli, zebrali się i poszli za nim. Przepychali się przy tym, żartowali, a niektórzy nawet śpiewali, zawodząc pijacko.

Fengbald stał na trawie. Głowę miał odchyloną do tyłu, a jego czarne rozpuszczone włosy opadały na poplamioną tunikę, kiedy patrzył w górę. Pokazywał coś. Kolejno twarze przybyłych także zwróciły się ku górze.

Na niebie widniał jakiś dziwny kształt. Przypominał głęboką ranę, która tryskała krwią na czarne niebo. Była to pędząca z północy na południe ogromna kometa.

– Brodata gwiazda! – ktoś krzyknął. – To jakiś omen!

– Stary Król nie żyje, nie żyje! – krzyczał Fengbald i machał w powietrzu sztyletem, jakby chciał zmusić gwiazdy do walki. – Niech żyje nowy Król! – zawołał. – Zaczęły się nowe czasy!

Niektórzy wiwatowali, inni tupali i wyli. Roześmiani mężczyźni i kobiety wirowali wkoło, trzymając się za ręce. Czerwona gwiazda nad ich głowami świeciła jak żarzący się węgiel.

Simon, który też poszedł zobaczyć, co się dzieje, wrócił do holu; za jego plecami unosiły się okrzyki tancerzy. Ze zdziwieniem spostrzegł, że w cieniu muru obronnego stoi Doktor Morgenes. Owinięty chroniącym przed chłodem ciepłym płaszczem starzec nie widział swego pomocnika. On także patrzył na brodatą gwiazdę – na tę szkarłatną ranę na sklepieniu niebios. Lecz w przeciwieństwie do pozostałych na jego twarzy nie było widać pijackiego zamroczenia czy też radości. Wydawał się przestraszony, zmarznięty i bardzo mały.

Simon pomyślał, że Doktor wygląda jak ktoś, kto samotny na pustyni słucha wycia głodnych wilków...

7. Gwiazda Zdobywcy

WIOSNA I LATO PIERWSZEGO ROKU panowania Eliasa były jak z bajki – pełne blasku, świetności i bogactwa. Całe Osten Ard wyglądało jak nowo narodzone. Młodzi rycerze powrócili do od dawna opustoszałych komnat Hayholt. Zmiana była ogromna – jakby do mrocznej jamy wdarły się kolory i światło dzienne. Jak za młodych lat Johna zamek wypełnił się śmiechem, dźwiękiem pucharów i lśniącymi w pojedynkach mieczami. Nocą w ogrodach rozbrzmiewała muzyka, a piękne damy przemykały na umówione spotkania lub z nich wracały; w ciemności ogrodu wyglądały jak wdzięcznie unoszące się duchy. Ożywił się również plac turniejowy – barwne namioty wyrosły na nim niczym kwiaty. Prostym ludziom zdawało się, że każdy dzień jest świętem i zabawy te nigdy się nie skończą. Król Elias i jego przyjaciele dokazywali jak małe dzieci, które wiedzą, że za chwilę mają pójść spać. Cały Erkynland swawolił jak uradowany latem pies.

Niektórzy z wieśniaków narzekali – trudno było zabierać się do żniw, gdy wokół panował nastrój takiej beztroski. Starsi, zgorzkniali duchowni utyskiwali na szerzącą się rozwiązłość i gnuśność, lecz większość śmiała się z takich proroków. Królestwo Eliasa było jakby nowym krajem. Po długiej zimie starości nastała wiosna krewkiej młodości. I cóż w tym mogło być złego?

SIMON CZUŁ, ŻE DRĘTWIEJĄ MU PALCE od żmudnego przepisywania liter na szarym pergaminie. Morgenes stał przy oknie i oglądał pod słońce długą szklaną rurkę, sprawdzając, czy jest czysta.

„Jeśli powie choć jedno słowo, że źle wyczyszczona, to wychodzę – pomyślał Simon. – Jedyne światło słoneczne, jakie tu jeszcze widzę, to to, które odbija się w czyszczonych przeze mnie zlewkach”.

Morgenes odwrócił się od okna, by położyć szklaną rurkę na stole, przy którym Simon ślęczał nad pisaniem. Kiedy starzec podszedł do niego, Simon przygotował się na awanturę, czując na karku mrowienie, będące oznaką niechęci.

– Piękna robota, Simonie! – powiedział Morgenes i położył pipetę obok pergaminu. – Dajesz sobie radę z tym wszystkim tutaj o wiele lepiej, niż mnie się to kiedykolwiek udało. – Doktor poklepał go po ramieniu i pochylił się nad nim. – A jak tam pisanie?

– Okropnie. – Simon usłyszał własny głos. Czuł w sobie jeszcze niechęć, więc z obrzydzeniem przybrał milutki ton głosu. – To znaczy... ja nigdy nie będę w tym dobry. Nie potrafię pisać czysto, bez kleksów i zalewania, a do tego jeszcze nie potrafię przeczytać tego, co piszę! – Po tych słowach jego samopoczucie poprawiło się nieco, lecz wciąż czuł się jak głupiec.

– Simonie, niepotrzebnie się martwisz – powiedział Doktor i się wyprostował. Wydawał się zamyślony. Mówił, rozglądając się po komnacie: – Po pierwsze, wszyscy na początku „robią kleksy i zamazują”; niektórzy przez całe życie robią kleksy, co nie znaczy, że nie mają nic ważnego do powiedzenia. Po drugie, nic dziwnego, że nie potrafisz przeczytać tego, co piszesz – ta książka jest napisana w języku nabbańskim, a ty nie potrafisz przecież czytać po nabbańsku.

– To dlaczego mam przepisywać słowa, których nie rozumiem? – mruknął Simon. – To głupie.

Morgenes popatrzył bystro na Simona.

– Ponieważ ja kazałem ci to robić. Czy znaczy to, że też jestem głupi?

– Nie, nie to chciałem powiedzieć... tylko że...

– Nie trudź się. – Doktor przyciągnął sobie stołek i usiadł na nim obok Simona. Jego długie zakrzywione palce przesuwały się bez celu po różnych przedmiotach na stole. – Każę ci przepisywać te słowa dlatego, że łatwiej jest się skoncentrować na formie i kształcie liter, jeśli nie rozprasza cię treść.

– Hmm. – Simon czuł się tylko częściowo usatysfakcjonowany. – Ale czy nie może mi pan powiedzieć, co to za książka? Gapię się wciąż na te obrazki i nic nie rozumiem. – Odwrócił kartkę na ilustrację, którą oglądał od trzech dni. Był to groteskowy drzeworyt przedstawiający człowieka z rogami jelenia, z wybałuszonymi oczami i czarnymi rękami. U jego stóp pełzały wijące się postacie, a nad rogatą głową świeciło słońce na tle czarnego nieba.

– Tutaj, na przykład – Simon wskazał na dziwny obrazek – na dole jest napisane: *Sa Asdridan Condiquilles*. Co to znaczy?

– To znaczy – powiedział Morgenes, zamykając książkę i podnosząc ją do góry – „Gwiazda Zdobywcy”, ale nie jest to rzecz dla ciebie. – Położył książkę na chwiejnym stosie pod ścianą.

– Przecież jestem pańskim pomocnikiem! – zaprotestował Simon. – Kiedy wreszcie nauczy mnie pan czegoś?

– Głupi chłopaku! A jak myślisz, co ja teraz robię? Próbuję nauczyć cię czytać i pisać. To jest rzecz najważniejsza. A czego ty chciałbyś się nauczyć?

– Magii! – odparł szybko Simon.

Morgenes wpatrywał się w niego.

– A co z czytaniem? – zapytał złowieszczo.

Simon siedział zmieszany. Jak zwykle, ludzie wciąż starają się udaremnić wszelkie jego wysiłki.

– Nie wiem – powiedział. – A dlaczego to czytanie i pisanie są takie ważne? Książki to przecież tylko opowiadania o jakichś rzeczach. Po cóż miałbym chcieć je czytać?

Morgenes uśmiechnął się jak stary gronostaj, który znalazł wreszcie przejście do kurnika.

– Ach, chłopcze, jakże tu się na ciebie gniewać, kiedy wygadujesz tak wspaniałe, tak kompletnie głupie rzeczy, że tak powiem! – Doktor zarechotał grubym głosem.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – Simon zmarszczył brwi, nieomal łącząc je ze sobą.

Morgenes śmiał się.

– Głupcze, ponieważ młodzi ludzie stworzeni są głupcami; tak jak żółwie z natury swej mają skorupę, a osy żądła – to ich obrona przed przykrościami życia.

– Że jak? – Simon zupełnie się pogubił.

– Książki – ciągnął poważnie Morgenes, rozparty na swoim siedzeniu – książki są magią. Oto prosta odpowiedź. Ale są też i pułapką.

– Magią? Pułapką?

– Książki są pewną formą magii. – Doktor podniósł tom, który właśnie położył na stosie. – Łączą one czas i przestrzeń o wiele pewniej niż jakiekolwiek zaklęcie. Co sobie myślał taki-a-taki o tym-a-tamtym dwieście lat temu? Czy potrafisz pofrunąć w przeszłość i zapytać go o to? Nie, czy też prawdopodobnie nie. Ale jeśli ów ktoś spisał swoje myśli, jeśli istnieje gdzieś rękopis, a może książka z jego logicznymi wywodami... to on mówi

do ciebie! Poprzez wieki! A jeśli chcesz się udać do Nascadu albo do zaginionej Khandii, wystarczy tylko otworzyć książkę...

– Tak, tak, wszystko już rozumiem. – Simon nie starał się ukrywać swego rozczarowania. To nie było to, co on rozumiał pod pojęciem „magii”. – A co z tą pułapką? Skąd tu pułapki?

Morgenes pochylił się i pomachał oprawioną w skórę książką przed nosem Simona.

– Rzecz napisana *jest* pułapką – powiedział wesoło – i to doskonałą. Widzisz, książka jest jedynym rodzajem pułapki, który nigdy nie pozwala umrzeć swemu więźniowi, to znaczy, wiedzy. Im więcej masz książek – Doktor powiódł ręką po sali – tym więcej pułapek, ale i większa szansa schwytania jakiejś szczególnej, zwodniczej i lśniącej bestii, która mogłaby umrzeć nieoglądana.

Morgenes zamilkł i zamaszystym ruchem z głośnym hukiem opuścił tom na stos. Uniósł się obłoczek kurzu, jego drobiny wirowały w wiązkach słonecznych promieni, które sączyły się do wewnątrz przez okienne kraty.

Simon patrzył na lśniące drobinki kurzu, starając się zebrać myśli. Zrozumieć Doktora to tak, jak łapać mysz w rękawicach bez palców.

– Ale co z *prawdziwą* magią? – zapytał wreszcie, uparcie marszcząc czoło. – Taką, jaką uprawia Pryrates w wieży.

Przez chwilę na twarzy Doktora pojawił się skurcz gniewu, a może strachu?

– Nie, Simonie – powiedział cicho. – Nie mów ze mną o Pryratesie. To niebezpieczny głupiec.

Simon przypomniał sobie nieprzyjemne spotkania z czerwonym duchownym i stwierdził, że Doktor też patrzy trochę dziwnie i groźnie. Odważył się na następne pytanie:

– Pan *także* uprawia magię, prawda? Dlaczego więc Pryrates jest niebezpieczny?

Morgenes wstał nagle i przez chwilę Simon myślał, że starzec uderzy go albo zacznie krzyczeć, lecz on podszedł sztywno do okna i patrzył przez nie. Jego rzadkie włosy wyglądały jak szczeciniasta aureola nad szczupłymi ramionami. Po chwili odwrócił się i siadł na swoim miejscu. Twarz miał poważną, zakłopotaną.

– Simonie – powiedział – pewnie na nic się zda mówienie o tym, ale chcę, żebyś trzymał się od Pryratesa z daleka; nie zbliżaj się do niego i z nikim o nim nie mów... chyba że ze mną.

– Ale dlaczego? – W przeciwieństwie do tego, co pewnie myślał teraz Doktor, Simon już zdecydował, że będzie trzymał się z daleka od alchemika. Morgenes nie był zwykle aż tak szczery i Simon postanowił wykorzystać tę okazję. – Co w nim jest takiego złego?

– Czy zauważyłeś, że ludzie boją się Pryratesa? Że kiedy wychodzi ze swego nowego mieszkania w Wieży Hjeldin, ludzie usuwają mu się szybko z drogi? I nie bez przyczyny. Boją się go, ponieważ w nim samym nie ma „naturalnego strachu”. Widać to po jego oczach.

Simon żuł przez chwilę ostrze pióra, a potem zapytał:

– „Naturalnego strachu”? Co to znaczy?

– Nie ma czegoś takiego jak człowiek „pozbawiony strachu”, chyba że ktoś jest szalony. Ludzie, o których mówi się, że się nie boją, umieją po prostu bardzo dobrze maskować strach, a to zupełnie co innego. Stary Król John znał strach i z pewnością znają go obaj jego synowie... tak jak i ja. Pryrates... hmm, ludzie widzą, że on się nie boi... albo nie szanuje tego co my. Często to właśnie mamy na myśli, nazywając kogoś szaleńcem.

Wszystko to fascynowało Simona. Nie był pewien, czy może uwierzyć w to, że Prester John albo Elias bali się kiedykolwiek, lecz nie dociekał

tego, gdyż sama osoba Pryratesa wystarczyła, by go całkowicie zaabsorbować.

– Czy on jest szalony? Jak to możliwe? To przecież duchowny i jeden z doradców Króla. – W tym momencie Simon przypomniał sobie tamte oczy i uśmiech i wiedział, że Morgenes mówi prawdę.

– Wytłumaczę ci to inaczej. – Morgenes zakręcił na palcu kosmyk śnieżnobiałej brody. – Mówiłem ci o pułapkach, o poszukiwaniu wiedzy, które jest jak polowanie na nieuchwytnego zwierza. Rzecz w tym, że kiedy ja i inni poszukiwacze wiedzy idziemy do naszych pułapek, by sprawdzić, jakaż to piękna zwierzyna szczęśliwie do nich wpadła, to Pryrates otwiera nocą drzwi pułapki na oścież i czeka wewnątrz na to, co do niej wejdzie. – Morgenes wyjął gęsie pióro z ręki Simona, po czym rękawem starł atrament z policzka chłopca. – Jeśli chodzi o metodę polowania Pryratesa – ciągnął – to problem polega na tym, że jeśli ci się nie podoba bestia, która weszła do pułapki, to wtedy jest bardzo, bardzo trudno zamknąć ponownie drzwi.

HA! – WYKRZYKNĄŁ ISGRIMNUR. – Trafienie, trafienie! Musisz to przyznać!

– Zaledwie draśnięcie w koszulę – powiedział Josua i podniósł brwi w udawanym zdziwieniu. – Z przykrością stwierdzam, że niedołężność popycha cię do takich metod... – W połowie zdania wykonał pchnięcie bez ostrzeżenia. Isgrimnur przyjął drewniane ostrze na swą rękojeść i ze szczękiem odparował cios.

– Niedołężność? – Starzec syknął przez zęby. – Pokażę ci taką niedołężność, która pośle cię zaraz z płaczem do niańki!

Książę z Elvritshalla napierał na przeciwnika pomimo tuszy i wieku; oburęczny chwyt pozwalał mu kontrolować drewniany miecz, którym wywijał. Josua cofał się i bronił, jego rzadkie włosy przylgnęły do spoconego czoła. Wreszcie dostrzegł szansę. Kiedy Isgrimnur po raz

kolejny zamachnął się szeroko swym ćwiczebnym mieczem, Josua przykucnął i ostrzem własnego miecza pomógł książęcej broni zatoczyć łuk nad jego głową, po czym podstawił nogę Isgrimnurowi i pchnął go. Książę runął na ziemię jak stare drzewo. Po chwili także Josua osunął się na trawę u jego boku. Jedyną ręką zgrabnie rozsupłał wiązanie grubo wyścielanej kamizelki i przeturlał się na plecy.

Isgrimnur sapał jak miech i długo nic nie mówił. Leżał z zamkniętymi oczami, a kropelki potu na jego brodzie lśniły w ostrym blasku słońca. Josua obrócił się i popatrzył na niego. Zaniepokojony wyciągnął dłoń, by rozwiązać kamizelkę Isgrimnura. Kiedy złapał za węzeł, olbrzymia, różowa dłoń księcia huknęła go w bok głowy tak, że z powrotem opadł na plecy. Josua pomacał ucho i skrzywił się.

– Ha! – Isgrimnur zasapał. – To cię nauczy ty... szczeniaku...

Znowu nastąpiła cisza. Obaj leżeli i patrzyli na bezchmurne niebo.

– Oszukujesz, malutki – odezwał się wreszcie Isgrimnur i usiadł. – Zemszczę się, gdy znowu kiedyś zapuścisz się do Hayholt. Dawno już pomacałbym ci żebra, gdyby nie ten okropny upał i moja piekielna tusza.

Josua usiadł i osłonił dłonią oczy. Przez pożółkłą trawę turniejowego placu zbliżało się dwóch ludzi. Jeden z nich ubrany był w długą szatę.

– Rzeczywiście, jest gorąco – powiedział Josua.

– A mamy przecież Novander. – Isgrimnur chrząknął i zdjął kamizelkę.

– Dni Ogara dawno się już skończyły, a tu wciąż takie upały! Gdzie się podział deszcz?

– Może się przestraszył. – Josua zmrużonymi oczami patrzył na zbliżających się.

– Ho, ho, mój młodszy braciszek! – odezwał się jeden z przybyszów.

– I stary wujcio Isgrimnur! Wygląda na to, że ta zabawa zupełnie cię wykończyła!

– To Josua i ten upał, Wasza Królewska Mość! – zawołał Isgrimnur do podchodzącego Króla.

Elias miał na sobie bogato zdobioną tunikę koloru morskiej zieleni. Obok niego szedł ciemnooki Pryrates w powiewającej czerwonej szacie, niczym zaprzyjaźniony szkarłatny nietoperz.

Josua wstał i podał dłoń podnoszącemu się Isgrimnurowi.

– Książę Isgrimnur jak zwykle przesadza – powiedział cicho. – Żeby zachować życie, musiałem go powalić i usiąść na nim.

– Tak, tak, widzieliśmy te igraszki z Wieży Hjeldin – powiedział Elias i wskazał ręką do tyłu, gdzie potężna wieża wznosiła się ponad murami Hayholt – prawda, Pryratesie?

– Tak, panie. – Uśmiech Pryratesa był ledwie dostrzegalny, a jego głos ostry. – Zaiste, twój brat i książę to wielcy wojownicy.

– Wasza Królewska Mość – powiedział Isgrimnur – czy mogę o coś spytać? Nie lubię zawracać ci głowy sprawami państwowymi o tej porze.

Elias, który patrzył gdzieś w drugi koniec placu, odwrócił się do księcia z wyrazem łagodnego zniecierpliwienia.

– Właśnie omawiam ważne rzeczy z Pryratesem. Dlaczego nie przyjdziesz z tym do zamku, kiedy załatwiam takie sprawy? – Ponownie popatrzył na plac. Guthwulf i hrabia Eolair z Nad Mullach, krewny hernystirskiego króla Lluth, gonili krnąbrnego ogiera, który zerwał się z uwięzi. Na ich widok Elias roześmiał się i trącił łokciem Pryratesa, który obdarzył go kolejnym zdawkowym uśmiechem.

– Wybacz, Wasza Królewska Mość – ciągnął Isgrimnur – lecz od czterech tygodni próbuję przedłożyć ci tę sprawę. Helfcene, twój kanclerz, wciąż powtarza, że jesteś zajęty...

– ...w Wieży Hjeldin – uciął krótko Josua.

Spojrzenia braci na moment się skrzyżowały i Elias powtórnie zwrócił się do księcia.

– No, dobrze. O co chodzi?

– Chodzi o królewski garnizon w Vestvennby. Stacjonuje tam już ponad miesiąc i dotąd nie otrzymał zmiany. Frostmarch to wciąż jeszcze dzikie tereny, a ja nie mam dość żołnierzy, żeby bez pomocy garnizonu z Vestvennby utrzymać przejezdnym północny Trakt Wealdhelm. Czy zostanie tam wysłany inny oddział?

Elias ponownie skierował wzrok na Guthwulfa i Eolaira, którzy wciąż gonili oddalającego się ogiera; w tym upale byli zaledwie dwiema migocącymi figurkami.

– Skali z Kaldskryke twierdzi, że masz aż za dużo żołnierzy, mój stary wuju – odpowiedział, nie odwracając się. Mówi, że twoi żołnierze tłoczą się w Elvritshalla i Naarved. Dlaczego? – mówił z udawanym spokojem.

Zanim zdziwiony Isgrimnur zdążył odpowiedzieć, wtrącił się Josua:

– Skali Ostronosy jest kłamcą, skoro tak twierdzi. A ty jesteś głupcem, jeśli mu wierzysz.

Elias odwrócił się i wydął usta.

– Tak mówisz, bracie Josuo? Skali kłamcą? I ja miałbym wierzyć tobie, który nigdy nie próbowałeś ukrywać swej nienawiści do mnie?

– No, no... – wtrącił się Isgrimnur, wzburzony, ale i mocno przestraszony – Elias... Wasza Królewska Mość zna moją lojalność. Byłem najwierniejszym przyjacielem twego ojca!

– Ach, tak, mój ojciec! – prychnął Elias.

– ...I proszę, nie bierz sobie do serca tych skandalicznych plotek, bo to tylko plotki o twym bracie. On wcale cię nie nienawidzi! Jest tak samo lojalny jak ja!

– Co do tego – powiedział Król – nie mam najmniejszych wątpliwości. Wyślę garnizon do Vestvennby, kiedy będę gotowy, nie wcześniej! – Przez chwilę Elias wpatrywał się w obu szeroko otwartymi oczami. Milczący dotąd Pryrates wysunął bladą dłoń i pociągnął za rękaw tuniki Eliasa.

– Proszę, panie – powiedział – nie czas i miejsce na takie rzeczy... – rzucił szydercze spojrzenie w stronę Josuy – pokornie proszę.

Król spojrzał na swego ulubieńca i skinął głową.

– Masz rację. Niepotrzebnie dałem się ponieść złości. Wybacz, wuju – zwrócił się do Isgrimnura. – Miałeś rację, to rzeczywiście gorący dzień. Wybacz mą irytację. – Uśmiechnął się.

– Naturalnie, panie. W takiej duchocie łatwo ogarnia nas zły humor. Dziwna to pogoda, jak na tę porę roku, nieprawdaż? – przytaknął Isgrimnur.

– Zaiste. – Elias zwrócił się uśmiechnięty do duchownego. – Zdaje się, że Pryrates pomimo swej wysokiej pozycji w Kościele nie może jakoś przekonać Boga, żeby dał nam deszcz, o który się modlimy. A może potrafisz, doradco?

Pryrates popatrzył na Króla dziwnie i wcisnął głowę w kołnierz swej szaty jak żółw albinos.

– Proszę, mój panie... – powiedział – wróćmy do naszej rozmowy i zostawmy szacownych szermierzy.

– Dobrze. – Król skinął głową. – Tak chyba będzie lepiej. – Już się zbierali do odejścia, gdy Elias nagle się zatrzymał. Odwrócił się powoli i stanął przed Josuą, który podnosił właśnie z trawy drewniane miecze ćwiczebne. – Wiesz, bracie – powiedział Król – już dawno się nie zmierzyliśmy. Gdy tak patrzyłem na ciebie, przypomniały mi się stare czasy. Skoro już tu wszyscy jesteśmy, co byś powiedział na parę sztychów?

Przez chwilę wszyscy milczeli.

– Jak sobie życzysz, Eliasie. – Josua rzucił w stronę Króla jeden z drewnianych mieczy, a ten chwycił go zręcznie prawą dłonią.

– ...A ściślej mówiąc – kontynuował Elias z uśmieszkiem na twarzy – nie próbowaliśmy się od czasu twojego... wypadku. – Po tych słowach spoważniał. – Miałeś szczęście, że nie straciłeś ręki, w której trzymasz miecz.

– Tak, miałem szczęście. – Josua odmierzył półtora kroku i zwrócił się twarzą do Eliasa.

– Z drugiej strony – kontynuował Elias – ach, kiepsko dobieram słowa, prawda? Przepraszam. Innymi słowy, szkoda, że musimy walczyć tymi drewnianymi wiosłami. – Pomachał ćwiczebnym mieczem. – Tak bardzo lubię patrzeć, jak używasz – jak ty to nazywasz? – ach, Najdel. Żałuję, że go tu nie masz.

Elias skoczył do przodu bez ostrzeżenia i zadał mocny cios w kierunku głowy Josuy. Książę przyjął cios i pozwolił mu ześliznąć się w bok, po czym sam wykonał pchnięcie. Elias zablokował je i odepchnął. Obaj odskoczyli w tył i krążyli po kole.

– Tak. – Josua kołysał mieczem przed sobą, na jego twarzy perlił się pot. – Tak, to wielka szkoda, że nie mam Najdela. Szkoda też, że ty nie masz Białego Gwoździa.

Książę wykonał krótkie cięcie w dół i przeszedł do okrężnego pchnięcia. Król cofnął się szybko i sam zaatakował.

– Białego Gwoździa? – powtórzył Elias, oddychając głęboko. – Co chcesz przez to powiedzieć? Wiesz, że został pochowany z naszym ojcem. – Uchylił się przed uderzeniem na odlew i odepchnął Josuę.

– Tak, wiem – powiedział Josua i odparował – tylko że królewski miecz, tak jak i jego królestwo, powinien być mądrze – pchnięcie – i godnie

– kontratak – ...powinien być mądrze i ostrożnie używany... przez jego następcę.

Oba miecze starły się, wydając dźwięk, jakby siekierą rozłupano kłodę. Ześlizgiwały się pod wzajemnym naporem, dopóki ich rękojeści się nie sczepiły. Twarze walczących znalazły się tuż naprzeciwko siebie. Pod koszulami widać było napięte mięśnie; przez moment trwali prawie nieruchomo, drżeli nieznacznie, starając się nawzajem odepchnąć. W końcu Josua, który nie mógł chwycić swego miecza obiema dłońmi, tak jak Elias, poczuł, że jego ostrze się ześlizguje. Pchnął mocno i odskoczył, trzymając miecz przed sobą.

Stali naprzeciw siebie, dysząc ciężko, a nad placem rozległo się głuche dzwonienie: to dzwony Wieży Zielonego Anioła ogłaszały południe.

– Wystarczy, panowie! – zawołał Isgrimnur z niewyraźnym uśmiechem na twarzy. Nienawiść braci była oczywista. – Słychać dzwony, a to oznacza obiad. Czy możemy ogłosić remis? Jeśli zaraz nie znajdę trochę cienia i butelki wina, to obawiam się, że nie doczekam nawet do Aedonmansy. Moje stare północne kości nie przywykły do tak okrutnych upałów.

– Książę ma rację, panie – odezwał się chrapliwym głosem Pryrates i położył dłoń na nadgarstku Eliasa, który ciągle jeszcze trzymał miecz. Jego usta wykrzywił uśmiech. – Możemy dokończyć naszą rozmowę po drodze.

– Dobrze – mruknął Elias i rzucił miecz przez ramię, tak że zatoczył koło, nim spadł i wbił się w ziemię. – Dziękuję za trening, bracie. – Odwrócił się i nadstawił ramię Pryratesowi. Odeszli, purpura i zieleń.

– Co ty na to, Josua? – zapytał Isgrimnur i wyjął miecz z ręki księcia. – Pójdziemy napić się wina?

– Tak myślę – odparł Josua i schylił się po kamizelki, gdy Isgrimnur podnosił porzucony przez Króla miecz. Młody książę wyprostował się

i patrzył przed siebie. – Wuju, czy zmarli zawsze stają między żywymi? – zapytał cicho i zakrył twarz dłonią. – Nieważne. Chodźmy znaleźć jakieś chłodne miejsce.

NAPRAWDĘ, JUDITH, wszystko będzie w porządku. Rachel nie będzie miała nic przeciwko temu...

Wścibska dłoń Simona została schwytana tuż nad mieszalnicą. Pomimo swej tuszy i zmęczenia Judith miała mocny uścisk.

– Zabieraj się! „Rachel nie będzie miała nic przeciwko temu”, rzeczywiście! Połamałaby każdą kosteczkę w moim starym, słabym ciele. – Odepchnęła rękę Simona i zdmuchując z oczu kosmyk włosów, wytarła dłonie w poplamiony fartuch. – Powinnam się była domyślić, że gdy tylko poczujesz zapach chleba pieczonego na Aedontide, to przylecisz jak obozowy pies Inniscrich.

Simon, smutny, rysował palcem po zasypanym mąką stole.

– Ależ, Judith, masz przecież całe góry ciasta, dlaczego nie mogę spróbować odrobinki z misy?

Judith podniosła się ze stołka i podeszła dostojnie do jednej z niezliczonych kuchennych półek; poruszała się jak barka na spokojnej rzece. Dwaj młodzi podkuchenni odskoczyli przed nią niczym spłoszone rybitwy.

– A co to... – zastanawiała się – ...gdzie jest ten rondel ze słodkim masłem? – Stała zamyślona z palcem przy ustach, a Simon przysunął się do misy z ciastem. – Nie waż się, chłopcze – rzuciła Judith przez ramię, nie odwracając się nawet.

„Czy ona ma oczy wokół głowy?”

– Simon, nie chodzi o to, że mam za mało ciasta, ale, jak twierdzi Rachel, o to, żebyś nie zepsuł sobie kolacji.

Dalej przeglądała liczne półki pełne różnych artykułów. Simon wrócił na swoje miejsce i usiadł z ponurą miną.

Kuchnia, pomimo okresowych kłopotów, jakich stawała się przyczyną, należała do przyjemniejszych miejsc. Była dłuższa od pomieszczeń Morgenesa, a mimo to wydawała się mała i przytulna, pulsująca ciepłem pieców i pełna zapachów przeróżnych dobroci. W żelaznych kociołkach bulgotał jagnięcy rosół, w piecu wyrastały chleby na Aedontide, a na zasnutych parą oknach wisiały sznury brązowych jak papier cebul, które przypominały miedziane dzwonki. Powietrze było ciężkie od zapachów przypraw; czuło się ostry imbir i cynamon, szafran, czosnek i drapiący pieprz. Podkuchenni wtaczali beczki z mąką i marynowanymi rybami albo też wyciągali z pieców na drewnianych, płaskich łopatach bochenki chleba. Jeden z głównych pomocników gotował w garnku ryżową pastę z migdałowym mlekiem, z której robiono królewski deser. Nad wszystkim czuwała Judith, ogromna, łagodna kobieta, która sprawiała, że było tu przytulnie jak w wiejskim domku. Rządziła swym królestwem ognia, garnków i przysmaków, obejmując wszystko łagodnym, lecz czujnym okiem.

Po chwili wróciła z garnkiem, którego szukała. Simon patrzył z żalem, jak bierze pędzel z długą rączką i smaruje masłem przygotowane bochenki.

– Judith, skoro jest już prawie Aedonmansa, to dlaczego nie ma śniegu? – zapytał. – Morgenes mówi, że jeszcze nigdy nie widział takiego opóźnienia.

– Nie mam pojęcia dlaczego – powiedziała żywo Judith. – W Novanderze też nie mieliśmy deszczu. To pewnie taki suchy rok. – Zmarszczyła brwi i posmarowała najbliższy bochenek.

– Poją owce i krowy z miasta w fosie Hayholt – powiedział Simon.

– Rzeczywiście?

– Tak. Na brzegu widać brązowe smugi tam, gdzie kiedyś była woda. Są teraz w fosie takie miejsca, w których woda nie sięga nawet do kolan!

– Jestem pewna, że znalazłeś wszystkie.

– Chyba tak – odparł z dumą Simon. – Pomyśl, w zeszłym roku o tej porze cała fosa była zamarznięta.

Judith podniosła wzrok znad bochenków i popatrzyła na Simona swymi jasnoniebieskimi, łagodnymi oczami.

– Wiem, że to ciekawe, kiedy dzieją się takie rzeczy – powiedziała – ale pamiętaj, chłopcze, że my tej wody potrzebujemy. Jeśli nie spadnie śnieg lub deszcz, to skończą się wspaniałe uczty. Nie można pić wody z Kynslagh, wiesz o tym.

Kynslagh, podobnie jak zasilająca je rzeka Gleniwent były całkowicie słone.

– Nie wiem – rzekł Simon – ale jestem pewien, że nie będzie deszczu ani śniegu, jest tak ciepło. Zapowiada się bardzo dziwny środek zimy.

Judith miała coś jeszcze powiedzieć, ale spojrzawszy ponad ramieniem Simona na drzwi, zastygła w bezruchu.

– O co chodzi, dziewczyno? – zapytała.

Simon odwrócił się i zobaczył, że stoi tam znana mu kędzierzawa dziewczyna – Hepzibah.

– Psze pani, Rachel przysłała mnie po Simona – odpowiedziała i dygnęła leniwie. – Jest potrzebny, bo trzeba coś sięgnąć z wysokiej półki.

– Mnie nie musisz pytać o pozwolenie, kochana. Siedzi tu cały czas i wałkoni się, pomocy z niego żadnej. – Machnęła ręką, jakby przeganiała ptaka, ale Simon tego nie widział, gdyż podziwiał mocno opięty fartuch

Hepzibah i wymykające się spod jej czepka falujące włosy. – Łaskawa Lysjo! Chłopaku, zmiataj stąd. – Judith pochyliła się i trąciła go rączką pędzla.

Hepzibah odwróciła się już i była prawie na zewnątrz. Simon zsunął się ze stołka, by za nią podążyć, lecz kucharka położyła ciepłą dłoń na jego ramieniu.

– Masz – powiedziała – chyba się zepsuł, popatrz, jaki połamany. – Dała mu bochenek ciepłego chleba, był poskręcany jak lina i pachnący cukrem.

– Dziękuję! – powiedział, odrywając kawał i pakując go sobie do ust. – Dobry! – Rzucił w drzwiach.

– Pewnie! – zawołała za nim Judith. – Ale jak powiesz Rachel, to cię obedrę ze skóry!

Zanim skończyła, w drzwiach nie było już nikogo.

SIMON POTRZEBOWAŁ zaledwie paru kroków, by dogonić Hepzibah, która szła niezbyt szybko.

„Czy ona czekała na mnie?” – zastanawiał się i poczuł, że jakoś dziwnie brakuje mu oddechu. Po chwili jednak stwierdził, że bardziej prawdopodobne jest to, iż każdy, kto otrzyma polecenie pozwalające wyrwać się z łap Rachel, przeciąga wykonanie go możliwie jak najdłużej.

– A może... a może chcesz trochę? – zapytał, chwytając oddech.

Służąca wzięła kawałek słodkiego chleba, powąchała go i wreszcie wsadziła do ust.

– Och, dobry, naprawdę – powiedziała i obdarzyła Simona olśniewającym uśmiechem, mrużąc przy tym oczy. – Dasz jeszcze?

Podał jej następny kawałek.

Wyszli z holu na dziedziniec. Hepzibah skrzyżowała ramiona, jakby tuliła coś do siebie.

– Oho, zimno – powiedziała.

W rzeczywistości było dość ciepło, żeby nie powiedzieć gorąco, biorąc pod uwagę, że był Decander, ale w chwili, gdy Hepzibah tak orzekła, Simon był przekonany, że powiał wiatr.

– Tak, *rzeczywiście* jest zimno, prawda? – powiedział i umilkł.

Kiedy mijali róg wewnętrznej części twierdzy, w której mieściły się królewskie pokoje, Hepzibah wskazała na okienko tuż pod wyższą wieżyczką.

– Widzisz tam? – spytała. – Kiedyś widziałam, jak stała tam księżniczka i czesała włosy... o rany, ma piękne włosy, co?

W pamięci Simona przemknęło niejasne wspomnienie złota, w którym odbijało się zachodzące słońce, lecz nie przestawał koncentrować się na chwili obecnej.

– E tam, ty masz dużo ładniejsze – powiedział i odwrócił się, by popatrzeć na jedną z wież strażniczych na ścianie Środkowego Muru, gdy jego twarz oblał zdradziecki rumieniec.

– Naprawdę tak uważasz? – roześmiała się Hepzibah. – Wydaje mi się, że są okropne. Księżniczka Miriamele ma damy do czesania włosów. Sarrah... znasz ją?... ta jasnowłosa dziewczyna zna... jedną z nich. Ta dama powiedziała jej, że księżniczka jest czasem bardzo smutna i że chce wrócić do Meremundu, gdzie się wychowała.

Simon patrzył zafascynowany na kark Hepzibah okryty brązowymi lokami, które wypływały spod czepka.

– Hmm – powiedział.

– Coś ci powiem, chcesz? – spytała Hepzibah i odwróciła wzrok od wieży. – Na co się tak gapisz? – zapiszczała, lecz jej oczy błyszczały

wesoło. – Przestań. Mówiłam ci, że moje włosy to siano. Powiedzieć ci jeszcze coś o księżniczce?

– Co?

Jej ojciec chce, żeby poślubiła hrabiego Fengbalda, ale ona nie chce. Król bardzo się na nią gniewa, a Fengbald się odgraża, że wróci do Falshire, chociaż nie wiem, dlaczego miałby to zrobić. Lofsunu mówi, że on nigdy tam nie wróci, bo tam nie ma nikogo, kto by był dość bogaty, żeby docenić jego konie, ubrania i inne bogactwa.

– Kto to jest Lofsunu? – zapytał Simon.

– Och! – Hepzibah zrobiła skromną minę. – To taki żołnierz, którego znam. Jest w dworskiej służbie hrabiego Breyugara. I jest bardzo przystojny.

Resztka chleba zamieniła się w ustach Simona w gorzki popiół.

– Żołnierz? – powtórzył cicho. – Czy to... jakiś twój krewny?

Hepzibah zachichotała, co nieco zirytowało Simona.

– Krewny? O nie, raczej nie! Włóczy się za mną przez cały czas! – Znowu zachichotała. To spodobało się Simonowi jeszcze mniej. – Może go widziałeś – ciągnęła. – Jest strażnikiem we wschodnich koszarach. Taki z potężnymi barami i brodą.

Nakreśliła w powietrzu postać, w której cieniu dwóch Simonów mogłoby swobodnie zasiąść w letni dzień. Uczucia Simona kłóciły się teraz z jego naturą, bardziej rozsądną. Uczucia wzięły jednak górę.

– Żołnierze to głupcy – mruknął.

– Wcale nie! – powiedziała Hepzibah. – Odwołaj to! Lofsunu to porządny chłopak! Ożeni się ze mną kiedyś!

– No to będziecie porządną parą – warknął Simon i zaraz zrobiło mu się przykro. – Mam nadzieję, że będziecie szczęśliwi – dodał, życząc sobie, by powody jego niechęci nie były aż tak widoczne, jak mu się to wydawało.

– Będziemy – potwierdziła udobruchana Hepzibah. Patrzyła na dwóch strażników, którzy z włóczniami na ramionach przechadzali się wzdłuż muru nad ich głowami. – Kiedyś Lofsunu będzie sierżantem, będziemy mieli dom w Erchesterze i będziemy szczęśliwi jak... jak tylko można być szczęśliwym. Na pewno szczęśliwsi od biednej księżniczki.

Z grymasem na twarzy Simon podniósł okrągły kamień i cisnął nim o mur.

DOKTOR MORGENES przechadzał się po blankach. Spojrzał w dół i zauważył Simona i jedną ze służących. Suchy wiatr zdmuchnął mu z głowy kaptur. Uśmiechnął się i w myśli życzył Simonowi powodzenia – wyglądało na to, że chłopakowi jest ono potrzebne. Jego niezdarna postać i okresy ponurości sprawiały, że wciąż wyglądał bardziej na dziecko niż mężczyznę. Ale był pokaźnej postury i wykazywał oznaki, że kiedyś do niej dojrzeje. Simon był teraz w wieku dojrzewania, a nawet Doktor, którego lat nikt z zamku nie potrafił określić, pamiętał, co to znaczy.

Nagle coś zatrzepotało w powietrzu tuż za nim. Morgenes odwrócił się, lecz uczynił to wolno, jakby nie czuł się zaskoczony. Ktoś z boku dostrzegłby trzepocący szary cień, który zawisł nad nim na parę chwil, po czym zniknął w obszernych fałdach jego szarych rękawów.

Przed momentem dłonie Doktora były puste, teraz zaś trzymał mały zwój bardzo dobrego pergaminu, związanego błękitną wstążką. Rozwinął go ostrożnie. List napisano w południowym języku Nabban, który był też językiem Kościoła, lecz użyto liter z pisma runicznego Rimmersgard.

Morgen–

Ognie Stormspike płoną. Z Tungoldyr obserwuję ich dymy od siedmiu dni i ich płomienie od ośmiu nocy. Znowu pojawiły się Białe Lisy, które

w ciemności niepokoją dzieci. Wysłałem też skrzydlatą wiadomość do naszego najmniejszego przyjaciela, choć nie sądzę, by go zaskoczyła. Ktoś puka do niebezpiecznych drzwi.

Jarnauga

Obok podpisu autor naszkicował proste skrzydło w kole.

– Dziwna pogoda, prawda? – powiedział chrapliwy głos. – Ale dobra na spacery po murach.

Doktor odwrócił się szybko, zgniatając pergamin w dłoni. Obok niego stał uśmiechnięty Pryrates.

– Pełno dziś w powietrzu ptaków – powiedział duchowny. – Jest pan badaczem ptaków, Doktorze? Wie pan o nich dużo?

– Znam je trochę – odparł spokojnie Morgenes i zmrużył niebieskie oczy.

– Myślałem o tym, żeby się nimi zająć. – Pryrates kiwnął głową. – Tak łatwo dają się złapać... i kryją w sobie tyle tajemnic, które mogłyby się okazać cenne dla dociekliwych umysłów. – Westchnął i potarł gładki podbródek. – No cóż, to tylko jeszcze jeden pomysł, i tak mam już tyle zajęć. Do widzenia, Doktorze. Przyjemnej obserwacji. – Odszedł wzdłuż muru, stukając butami o kamienie.

Morgenes stał jeszcze długo i wpatrywał się w szaroniebieskie północne niebo.

8. Gorycz i słodycz

KOŃCZYŁ SIĘ JUŻ JONEVER, lecz deszcz wciąż nie padał. Słońce chowało się za zachodnimi murami, a owady odzywały się cicho w wysokich, suchych trawach. Simon i Jeremias, chłopak od handlarza, siedzieli oparci o siebie i dyszeli ciężko.

– No, ruszaj się. – Simon podniósł się z wysiłkiem. – Jeszcze jedna walka.

Pozbawiony oparcia Jeremias poleciał do tyłu i leżał wyciągnięty w trawie jak odwrócony do góry nogami żółw.

– Sam walcz – wysapał. – Ja nigdy nie będę żołnierzem.

– Będziesz, będziesz – powiedział Simon zniecierpliwiony taką postawą przeciwnika. – Obaj będziemy żołnierzami. Idzie ci już dużo lepiej. No, wstawaj.

– Wracajmy już, Simonie. Cały jestem poobijany.

– Za dużo myślisz – odpowiedział Simon i uniósł swoją klepkę. – Stawaj! – Klepka uderzyła o klepkę. – Au! – jęknął.

– Ha, Ha! – zarechotał zachęcony Jeremias. – Śmiertelne pchnięcie! Nastąpiła kolejna seria uderzeń.

NIEUDANY FLIRT Z HEPZIBAH nie był jedyną przyczyną powrotu Simona do dawnej fascynacji blaskami żołnierskiego życia. Zanim Elias wstąpił na tron, Simon święcie wierzył, że jego prawdziwym pragnieniem – takim, za

które dałby wszystko – było pomaganie Morgenesowi i poznanie wszystkich tajemnic jego pogmatwanego i magicznego świata. Teraz jednak, kiedy już zastąpił słoniowatego Incha i pomagał Doktorowi, zapał jego nieco osłabł. Tyle tam było pracy, a Morgenes był tak piekielnie surowy. Czy nauczył się choć trochę magii? Nic a nic. W obliczu obowiązku ciągłego czytania, pisania, zamiatania i polerowania ciemnych pokoi Doktora trudno było drwić sobie z doniosłych czynów na polach bitew i pełnych podziwu spojrzeń dziewcząt.

Żołnierski przepych, który zdominował pierwszy rok panowania nowego Króla, oczarował także grubego Jeremiasa w jego przesyconej łojem norze. Niemal każdego miesiąca odbywały się trwające całymi dniami przedstawienia i zabawy. Poczty turniejowe mieniły się barwami całego królestwa. Rycerze przypominali motyle z jedwabiu i lśniącej stali, piękniejsze nad wszystko. Nad turniejowym placem unosiła się aura zwycięstwa, wzbudzająca w chłopięcych sercach głęboką tęsknotę.

Simon i Jeremias udali się do bednarza po długie listwy, którymi można zastąpić miecze, takie same, jakimi bawili się w dzieciństwie. Godzinami pojedynkowali się po skończonej pracy. Początkowo areną ich udawanych bitew była stajnia, lecz trwało to dopóty, dopóki nie wyrzucił ich Shem, stajenny, w obawie o spokój swych podopiecznych. Przenieśli się więc na obszar nieskoszonej trawy, tuż za południowym skrajem turniejowego pola. Każdego wieczoru Simon wracał do pomieszczeń służby, kulejąc, w podartych spodniach i poszarpanej koszuli. Rachel, Smok, zwracała oczy ku niebiosom i modliła się głośno do świętego Rhiapa o ratunek przed szczenięcą głupotą, po czym zawijała rękawy i dodawała parę sińców do tych, które Simon już z sobą przyniósł.

MYŚLĘ, ŻE... – WYSAPAŁ SIMON – chyba wystarczy.

Jeremias, czerwony i zgięty wpół, zdołał tylko skinąć przytakująco.

Maszerowali w stronę zamku w zmierzchu kończącego się dnia; spoceni, oddychali jak ciężko pracujące zwierzęta. Simon zauważył z satysfakcją, że Jeremias zaczyna tracić swoją niezdarność. Jeszcze miesiąc lub dwa, a będzie wyglądał jak żołnierz. Zanim zaczęli się pojedynkować, bardziej przypominał coś, w co jego pan mógł wsadzić knot.

– To był dobry dzień, co? – zapytał Simon.

Jeremias pomacał się po głowie i popatrzył na Simona z odrazą.

– Nie wiem, jak dałem się na to namówić – utyskiwał. – Takim jak my nigdy nie pozwolą być kimś lepszym niż chłopak z kuchni.

– Ale wszystko może się zdarzyć na polu bitwy! – powiedział Simon. – Możesz uratować Króla z rąk Thrithingów albo zbójów z Narax i zostaniesz pasowany na rycerza na miejscu!

– Hmm! – Jeremias nie wyglądał na specjalnie olśnionego. – A jak niby mamy się tam dostać, nie mając rodzin, koni, a nawet mieczy? – Zamachnął się swą klepką.

– Hmm – odchrząknął Simon – tak, no cóż, coś wymyślę.

– Aha – zgodził się Jeremias i wytarł spoconą twarz rąbkiem tuniki.

Kiedy zbliżali się do murów zamku, ujrzeli blask licznych pochodni. Przedtem był tu rozległy plac porośnięty trawą i ocieniony Zewnętrznym Murem Hayholt, teraz wyrosło tu mnóstwo nędznych szop i namiotów, ustawionych jeden przy drugim i zachodzących na siebie jak łuski starej, wyliniałej jaszczurki. Po trawie nie było już śladu, owce i kozy wyjadły ją do gołej ziemi. Obszarpani mieszkańcy szop kręcili się przed swymi domostwami, rozpalali na noc ogniska i wołali dzieci, chcąc ściągnąć je do domu przed zapadającym zmrokiem. Spod ich nóg wzbijały się tumany

piaszczystego kurzu, które krótko wirowały, nim opadły, zmieniając barwę ubrań i namiotów na ciemnoburą.

– Jeśli wkrótce nie spadnie deszcz – powiedział Jeremias, krzywiąc się na widok bandy wrzeszczących dzieciaków, ciągnących za poły zniszczonego ubrania równie zniszczonej kobiety – wojsko będzie musiało ich stąd przepędzić. Nie mamy tyle wody, żeby im ciągle dawać. Niech sobie wykopią własne studnie.

– Ale gdzie... – Simon zaczął pytanie, lecz urwał w pół zdania.

Przy końcu jednej z bocznych dróg tego nowo powstałego miasteczka dostrzegł, jak mu się zdawało, znajomą twarz. Mignęła w tłumie tylko na chwilę i zaraz zniknęła, ale on był pewien, że była to twarz chłopaka, którego przyłapał na szpiegowaniu. Tego samego, który wydał go na pastwę kościelnego Barnabasa.

– To ten, o którym ci mówiłem! – syknął podniecony. Jeremias popatrzył na niego, nic nie rozumiejąc. – No wiesz, Ma... Malachias! Jestem mu coś winien!

Simon dotarł tam, gdzie, jak był pewien, widział twarz szpiega o wyrazistych rysach. W większości były tu kobiety i dzieci, a tych paru mężczyzn, jakich zobaczyli, przypominało wiekowe drzewa, pomarszczone i pochylone. Gromadzili się oni wokół młodej kobiety, która klęczała na ziemi przy wejściu do walącej się szopy ustawionej bezpośrednio pod kamiennym murem ściany zewnętrznej. Kobieta tuliła do siebie malutkie dziecko, kiwała się z boku na bok i płakała. Nigdzie nie było Malachiasa.

Simon popatrzył na zniszczone, tępe twarze otaczających go ludzi, a potem na płaczącą kobietę.

– Czy dziecko jest chore? – zapytał kogoś. – Jestem uczniem Doktora Morgenesa. Czy mam go przyprowadzić?

Jakaś staruszka spojrzała na niego. Wokół jej oczu widać było gęstą sieć brudnych zmarszczek, lecz same oczy były ciemne i bystre jak oczy ptaka.

– Odejdź od nas, człowieku z zamku – powiedziała i splunęła na ziemię. – Człowieku Króla, zostaw nas.

– Ale ja chcę pomóc... – zaczął Simon, gdy nagle poczuł, że ktoś ściska go za łokieć.

– Młodzieńcze, zrób tak, jak ona mówi. – Był to żylasty starzec ze zwichrzoną brodą; na jego twarzy nie było widać wrogości. Wyciągnął Simona z ludzkiego koła. – Nic tu nie poradzisz, a ludzie są wściekli. Dziecko nie żyje. Idź stąd. – Popchnął Simona delikatnie, ale stanowczo.

Jeremias stał wciąż w tym samym miejscu, gdzie zostawił go Simon. Jego zmartwiona twarz odcinała się w migocącym blasku rozpalonych wokół ognisk.

– Simonie, daj spokój – jęknął. – Nie podoba mi się tutaj, szczególnie wieczorem.

– Patrzyli na mnie, jakby mnie nienawidzili – mruknął pod nosem Simon, zdziwiony i zmartwiony, lecz Jeremias był już daleko przed nim.

NIE PALIŁY SIĘ ŻADNE POCHODNIE, a mimo to długi korytarz wypełniało dziwne, przydymione światło. W całym Hayholt nie widział ani żywej duszy, a jednak w każdym przejściu odbijały się echem śpiewające i śmiejące się głosy.

Simon chodził od pokoju do pokoju, odsłaniał zasłony, otwierał drzwi do spiżarń, lecz nie mógł nikogo znaleźć. Głosy zdawały się kpić z jego poszukiwań – wzmagały się, to znowu cichły, nuciły i śpiewały w wielu językach, ale nie w jego własnym.

Wreszcie znalazł się przed drzwiami do Sali Tronowej. Głosy, mocniejsze niż dotąd, wołały jakby z wnętrza ogromnej komnaty. Nacisnął klamkę; drzwi nie były zamknięte. Kiedy je pchnął, głosy zamilkły, jakby zaskoczone skrzypieniem zawiasów. Ogarnęło go mroczne światło niczym rozciągający się dym. Wszedł do sali.

Na środku stał pożółkły tron, Smoczy Tron. Wokół niego tańczyły wkoło postacie, trzymały się za ręce i poruszały bardzo wolno, jakby były zanurzone w głębokiej wodzie. Poznawał niektóre z nich: Judith, Rachel, Jakoba Handlarza i innych mieszkańców zamku. Ich twarze wydłużały się w dzikiej radości podczas skoków i pląsów. Wśród nich byli też i znaczniejsi tancerze: król Elias, Guthwulf z Utanyeat, Gwythinn z Hernystiru; ci, podobnie jak służba, wirowali wolno i majestatycznie, jak odwieczny lód, który kruszy góry na pył. W milczącym kole tancerzy pojawiały się też figury podobne do czarno lśniących żuków – to malachitowi królowie, którzy zeszli ze swych piedestałów, by dołączyć do powolnych pląsów. W środku tkwił ogromny tron, góra pożółkłej kości słoniowej, której szczyt stanowiła czaszka sprawiająca wrażenie pełnej życia. Tak jakby emanowała z niej pradawna energia, która krępowała wirujących tancerzy niewidzialnymi, mocnymi pętami.

W sali panowała nieomal zupełna cisza. W powietrzu unosiła się tylko ledwie słyszalna melodia: Cansim Falis, *Hymn Radości. Melodia była bardzo powolna i niepokojąca, jakby dłonie, które ją wygrywały, nie były stworzone do ziemskich instrumentów.*

Simon czuł, że jest wciągany do tego strasznego tańca, tak jak jest się wciąganym w wodny wir; odsuwał stopy, a mimo to posuwał się nieubłaganie do wewnątrz. Ręce tancerzy wyciągnęły się w jego stronę, wijąc się powoli jak powstające źdźbła zdeptanej trawy.

W środku tańczących, na samym Smoczym Tronie, tkwiła ciemność – ciemność, która składała się z wielu unoszących się cząstek, niczym rój much. U szczytu tej kotłującej się ciemności zapaliły się dwie szkarłatne iskry, jakby rozżarzone nagłym powiewem.

Tancerze przepływali teraz obok i wpatrywali się w niego, wymawiając jego imię: Simon, Simon, Simon... Po drugiej stronie koła, poza pełzającą ciemnością na tronie, otworzyła się przepaść; dwie złączone dłonie odsunęły się od siebie, jakby rozdzierały starą zasłonę.

Otwór zbliżał się do Simona, a jedna z rąk odpłynęła do niego na podobieństwo ryby. Była to ręka Rachel; zbliżywszy się, skinęła na niego. Zamiast zwyczajnego podejrzliwego wyrazu, jej twarz jaśniała teraz szaloną radością. Wyciągnęła dłoń, z drugiej strony otwartą przepaść trzymał gruby Jeremias, z głupim uśmiechem na bladej twarzy.

– Chodź, chłopcze... – powiedziała Rachel, a przynajmniej tak poruszyły się jej usta, bo głos, cichy i zachrypły, należał do mężczyzny. – Chodź! Nie widzisz miejsca, jakie ci zostawiliśmy? Miejsce specjalnie przygotowane!

Jakaś ręka chwyciła go za kołnierz i zaczęła ciągnąć między tancerzy. Bronił się, uderzał w wilgotne palce, lecz był bezsilny. Zobaczył uśmiechnięte usta Rachel i Jeremiasa. Głos stał się donośniejszy.

– Chłopcze! Nie słyszysz mnie?! Obudź się!

– Nie! – Simon zdołał wreszcie wydobyć okrzyk ze ściśniętego gardła. – Nie! Nie! Nie!

– Och, na Podwiązki Frayi, chłopcze, wstań! Wszystkich pobudziłeś!

Ręka znowu nim potrząsnęła i nagle zabłysło jakieś światło. Simon wstał, próbował krzyczeć, lecz opadł z powrotem, dusząc się kaszlem. Stała nad nim ciemna postać oświetlona lampą naftową.

„Właściwie, to on nikogo nie obudził – zdał sobie sprawę Isgrimnur. – Tamci też rzucają się i jęczą, od chwili jak tu przyszedłem, jakby trapiły ich

jakieś koszmary. Co za piekielnie dziwna noc!”

Książę patrzył, jak niespokojne postacie wokół niego uspokajają się i cichną, po czym znowu skierował uwagę na chłopca.

„Patrzcie no, szczeniak kaszle jak nie wiem co. Chociaż on nie jest już taki mały – wygląda tylko jak zagłodzony źrebak”.

Isgrimnur postawił lampę w niszy i odsunął zasłonę z samodziału, by móc dobrze chwycić ramię chłopca. Posadził go w łóżku i uderzył mocno w plecy. Chłopak jeszcze raz zakasłał i się uspokoił. Isgrimnur poklepał go kilka razy szeroką owłosioną dłonią.

– Przepraszam, chłopie, przepraszam. Pomalutku, pomalutku.

Podczas gdy młodzieniec łapał oddech, książę rozejrzał się po odsłoniętej wnęce, w której znajdował się siennik chłopca. Z tyłu, zza zasłony dobiegały nocne pojękiwania kilkunastu podkuchennych, którzy spali obok.

Isgrimnur uniósł latarnię i przyglądał się dziwnym przedmiotom zawieszonym na ocienionej ścianie: postrzępione ptasie gniazdo, jedwabny proporzec – w słabym świetle sprawiał wrażenie zielonego – który pewnie upiększał kiedyś jedną z królewskich zabaw. Na gwoździach wbitych w deskę wisiało też pióro jastrzębia, prymitywne drewniane Drzewo i obrazek, którego postrzępione krawędzie wskazywały na to, że został wyrwany z jakiejś książki. Isgrimnur wytężył wzrok i wydawało mu się, że widzi człowieka z wybałuszonymi oczami i z dziwnie sterczącymi włosami... a może rogami...?

Kiedy znowu popatrzył w dół, rozbawiony nieco okropnym chrapaniem śpiących młokosów, chłopiec doszedł już do siebie.

„Z takim nosem i strzechą – rudych chyba? – włosów ten chłopak wygląda jak dziwny ptak bagienny” – pomyślał Isgrimnur.

– Przepraszam, że cię przestraszyłem – zaczął książę – ale byłeś pierwszy od drzwi. Muszę znaleźć Towsera, błazna. Znasz go?

Chłopiec skinął głową, przyglądając mu się uważnie.

„Dobrze – pomyślał Rimmersman – przynajmniej nie jest tępakiem”.

– Powiedziano mi, że dzisiaj śpi gdzieś tutaj, ale nigdzie go nie widzę. Gdzie on może być?

– Pan jest... jest... – Chłopiec nie mógł się zdecydować.

– Tak, jestem książę z Elvritshalla, ale daruj sobie ukłony i tytuły. Powiedz tylko, gdzie jest błazen, i zostawię cię w spokoju.

Chłopiec bez słowa zsunął się z siennika, wstał i owinął się kocem. Spod koca wystawały poły koszuli, które obijały się o gołe nogi, kiedy przechodził nad śpiącymi. Niektórzy z nich, owinięci w płaszcze, leżeli na środku podłogi, jakby wieczorem nie byli w stanie dowlec się do swoich łóżek. Isgrimnur szedł za nim z lampą, omijając ostrożnie ciemne postacie, jakby szedł za zmarłą dziewicą Uduna przez pole bitewne usłane trupami.

Przeszli tak przez kolejne dwie sale; dwa duchy: duży i mały – ten pierwszy poruszał się równie cicho, pomimo swych rozmiarów. W ostatnim pokoju żarzyło się jeszcze trochę węgli w kominku. Przed nim na posłaniu zrobionym z płaszczy, ze skórzanym bukłakiem w starej, kościstej dłoni leżał, chrapiąc i pomrukując, Towser, błazen.

– Aha – mruknął Isgrimnur. – Dzięki, chłopcze. Wracaj do łóżka i jeszcze raz przepraszam, chociaż zdaje się, że miałeś taki sen, że lepiej było się obudzić. Wracaj do siebie.

Chłopak zawrócił i mijając Isgrimnura, skierował się do drzwi. Kiedy otarli się o siebie, książę stwierdził nieco zaskoczony, że tamten prawie dorównuje mu wzrostem, a przecież on sam nie był ułomkiem. Chłopiec wydawał się niższy, dlatego że był tak chudy i się garbił.

„Szkoda, że nikt nie nauczył go chodzić prosto – pomyślał. – W kuchni to on tego się nie nauczy”.

Chłopak zniknął, a Isgrimnur pochylił się i potrząsnął Towserem; najpierw łagodnie, potem coraz mocniej, aż zrozumiał, że błazen jest kompletnie pijany – nawet największe kuksańce wywoływały tylko słabe pomruki protestu. Cierpliwość Isgrimnura wyczerpała się. Schylił się, chwycił starca za kostki u nóg i pociągnął do góry, aż Towser zawisł, dotykając podłogi czubkiem łysiny, jego pomruki zamieniły się w pełne dezaprobaty bulgotanie, a potem przeszły w poprawną i zrozumiałą mowę Westerling:

– Co tam...? Na dół! Opuść... na dół, a niech cię Aedon...

– Jeśli się zaraz nie obudzisz, stary hulako, to walnę twoim łbem o podłogę tak, że nie tkniesz wina do końca swego życia!

Isgrimnur jak powiedział, tak też i zrobił. Uniósł błazna nieco w górę i opuścił, stukając solidnie łysiną starca o podłogę.

– Zaprzestań tego! Demonie, po...poddaję się. Odwróć mnie, człowieku, odwróć. Nie jestem Usiresem, żeby wisieć do góry nogami dla jakiegoś tam... kościelnego kazania!

Isgrimnur opuścił go powoli, aż mały błazen legł na plecach.

– Nie dokładaj jeszcze bluźnierstw do swego pijaństwa, stary głupcze – zganił go Isgrimnur, patrząc, jak Towser z trudem przewraca się na brzuch, i dlatego nie dostrzegł słabego cienia, który ustawił się za nim w drzwiach.

– Och, miłosierny Aedonie – jęknął Towser i usiadł. – Czy musiałeś używać mojej głowy zamiast łopaty? Jeśli to jest studnia, którą chciałeś wykopać, to uprzedziłbym cię, że tutaj, w pomieszczeniach dla służby, ziemia jest zbyt kamienista.

– Towser, dosyć. Nie budziłem cię na dwie godziny przed wschodem słońca po to, żebyśmy sobie opowiadali dowcipy. Josua zniknął.

Jedną ręką Towser rozcierał sobie głowę, a drugą szukał po omacku swojego bukłaka.

– Zniknął, gdzie, Isgrimnur? Na litość boską, człowieku, rozwaliłeś mi łeb tylko dlatego, że Josua nie przyszedł na jakieś tam wasze spotkanie? Zapewniam cię, że nie miałem z tym nic wspólnego. – Pociągnął długi łyk i westchnął żałośnie.

– Idiota – mruknął Isgrimnur, lecz już nieco łagodniej. – Chodzi mi o to, że książę wyjechał. Nie ma go w Hayholt.

– To niemożliwe – oznajmił stanowczo Towser, odzyskując nieco równowagi po drugim drżącym łyku małmazji. – Miał wyjechać dopiero w przyszłym tygodniu. Tak mówił. Powiedział, że jeśli chcę, mogę z nim pojechać i zostać jego błaznem w Naglimundzie. – Towser odwrócił głowę na bok i splunął. – Powiedziałem mu, że dam odpowiedź jutro... czy raczej dzisiaj, skoro Eliasowi nie zależy, bym tu zostawał. – Potrząsnął głową. – A byłem najdroższym przyjacielem jego ojca...

Isgrimnur chrząknął niecierpliwie i potrząsnął siwą brodą.

– Nie, człowieku, on wyjechał. Chyba po północy. Tak przynajmniej twierdził strażnik stojący przed jego sypialnią, gdy poszedłem na spotkanie. Kazał mi przyjść tak późno, choć byłem już w łóżku, ale on nalegał, że to coś bardzo pilnego. Czy tak mówiłby ktoś, kto wyjeżdża i nie zostawia mi nawet wiadomości?

– Kto wie? – zastanowił się Towser. – Może chciał z tobą mówić o tak późnej porze właśnie dlatego, że wyjeżdżał potajemnie.

– No to dlaczego nie zaczekał, aż przyjdę? Nie podoba mi się to. – Isgrimnur przykucnął i przegrzebał patykiem węgle. – Tej nocy panuje w tym domu dziwna atmosfera.

– Josua często dziwnie postępuje – powiedział spokojnie Towser. – Jest nastrojowy, och, tak, on ulega nastrojom. Pewnie poszedł polować

w świetle księżyca na sowy albo wymyślił coś podobnego. Na pewno.

Po długiej chwili milczenia Isgrimnur westchnął głęboko.

– Chyba masz rację – rzekł, a jego ton nabrał już nieomal pewności. – Nawet gdyby się posprzeczali z Eliasem, to przecież tutaj, w domu jego ojca, nic nie mogłoby się stać na oczach Boga i całego dworu.

– Nic z wyjątkiem twojego walenia w moją głowę o północy. Bóg zdaje się dzisiejszej nocy trochę powolny w rozdawaniu kar. – Towser wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Kiedy obaj rozmawiali dalej ściszonymi głosami przy żarzącym się ogniu kominka, Simon przekradł się z powrotem do swego łóżka. Zawinięty w koc leżał, długo wpatrując się w ciemność, lecz nim kogut na dziedzińcu ujrzał pierwsze promienie słońca, zdążył już zasnąć.

TYLKO PAMIĘTAJCIE – OSTRZEGAŁ MORGENES i przetarł spocone czoło jasnoniebieską chustką – nie jedzcie niczego, dopóki mi tego nie pokażecie. A *szczególnie* jeśli ma to czerwone kropki. Zrozumiano? Wiele z roślin, które kazałem wam zbierać, to trucizny. Strzeżcie się więc przed głupotą, jeśli w ogóle jest to możliwe. Simonie, ty tu dowodzisz, jesteś odpowiedzialny za bezpieczeństwo pozostałych.

Pozostali to Jeremias i Isaak, młody paź z górnych pokoi. Doktor wybrał to upalne popołudnie Feyevera na wyprawę po grzyby i zioła do Kynswood. Był to mały las o powierzchni nie większej niż sto jardów, który przycupnął na wysokim brzegu Kynslagh wzdłuż Zachodniej Ściany Hayholt. Z powodu suszy zapasy ważnych artykułów Morgenesa wyczerpały się nadspodziewanie szybko, a Kynswood, położony nad wielkim jeziorem, był idealnym miejscem na poszukiwanie interesujących Doktora skarbów, lubiących wilgoć.

Kiedy się rozeszli, Jeremias zaczekał, aż ustały trzaski gałązek łamanych w brunatnej ściółce butami Morgenesa.

– Prosiłeś go już? – Ubranie Jeremiasa było już tak mokre od potu, że kleiło się do ciała.

– Nie. – Simon przykucnął i obserwował, jak mrówki gęsiego maszerują w górę pnia sosny Vestivegg. – Chcę to uczynić dzisiaj. Muszę tylko pomyśleć, jak to zrobić najlepiej.

– A co, jeśli się nie zgodzi? – Jeremias obserwował pochód z pewną odrazą. – Co wtedy zrobimy?

– Nie może się nie zgodzić. – Simon wstał. – A nawet jeśli tak będzie, to... coś wymyślę.

– Hej, o czym tak szepczecie? – Z krzaków wyłonił się mały Isaak. – To nie w porządku mieć jakieś tajemnice.

Chociaż Isaak był młodszy od Simona i Jeremiasa o trzy, a może cztery lata, zdążył już przybrać ton „górnych pięter”. Simon popatrzył na niego ponuro.

– Nie twój interes.

– Oglądaliśmy to drzewo – rzucił Jeremias i natychmiast poczuł się winny.

– Jest chyba wiele drzew – zauważył figlarnie Isaak – które można by oglądać bez chowania się i szeptania tajemnic.

– Och, ale to – zaczął Jeremias – to jest...

– Dajmy spokój z tym głupim drzewem – wtrącił skrzywiony Simon. – Chodźmy, bo Morgenes już zbiera i będzie krucho, jak nas tu znajdzie. – Odsunął gałąź i ruszył przez plątaninę niskiego poszycia.

TO BYŁA CIĘŻKA PRACA. Około półtorej godziny później zatrzymali się, żeby się napić wody i odpocząć w cieniu. Cała trójka umazana była czerwonym pyłem po kolana i łokcie. Każdy z nich miał niewielkie zawiniątko zrobione z chustki; największe miał Simon, skromniejsze Isaak i Jeremias. Siedzieli oparci plecami o wielki świerk, a ich nogi wystawały wokół jak szprychy koła. Simon rzucił kamieniem w drugi koniec polanki. Kamień uderzył w stos połamanych gałęzi, wprawiając ich suche liście w drżenie.

– Dlaczego jest tak gorąco? – jęknął Jeremias i wytarł czoło. – I dlaczego w mojej chusteczce jest pełno śmiesznych grzybów, a ja muszę wycierać pot gołymi rękoma? – Podniósł do góry śliskie, wilgotne dłonie.

– Jest gorąco, ponieważ... jest gorąco – mruknął Simon. – Ponieważ nie ma deszczu. I już.

Milczeli dłuższą chwilę. Wydawało się, że nawet owady i ptaki zniknęły, pochowane w mrocznych kryjówkach, by przespać w ciszy suche popołudnie.

– Chyba powinniśmy się cieszyć, że nie jesteśmy teraz w Meremundzie – odezwał się wreszcie Jeremias. – Mówią, że z powodu zarazy umarło tam już z tysiąc ludzi.

– Tysiąc? – powtórzył pogardliwie Isaak. Jego chuda, blada twarz zaczerwieniła się w upale. – Tysiące! Tak mówią na zamku. Mój pan chodzi po Hayholt z chustką zamoczoną w święconej wodzie, którą kładzie na twarz, i zaraza trzyma się od nas z daleka.

– Czy twój pan wie, co się dzieje w Meremundzie? – spytał zaciekawiony Simon. Isaak okazywał się czasem pożyteczny. – Rozmawia o tym z tobą?

– Ciągle – odparł zadowolony z siebie paź. – Brat jego żony jest burmistrzem. Byli jednymi z pierwszych, którzy uciekli przed plagą. Ma od

nich dużo wiadomości.

– Elias wyznaczył Guthwulfa z Utanyeat na królewskiego namiestnika – zauważył Simon.

Jeremias jęknął i zsunął się z pnia na pokrytą igliwiem ziemię.

– Zgadza się – potwierdził Isaak, grzebiąc w ziemi długim patykiem. – Udało mu się zatrzymać tam zarazę. Jak dotąd, nie rozprzestrzeniła się.

– Z czego ta plaga? – zapytał Simon. – Czy ktoś na zamku potrafi na to odpowiedzieć?

Głupio mu było, że pyta dzieciaka dużo młodszego od siebie, ale Isaak wiele słyszał, co się mówiło na górze, i nie starał się tego zbytnio taić.

– Nikt nie wie na pewno. Niektórzy twierdzą, że to zazdrośni hernystirscy kupcy z Abaingeat po drugiej stronie rzeki zatruli studnie. W Abaingeat także zmarło wielu ludzi – Isaak powiedział to z pewną satysfakcją; w końcu Hernystirczycy byli poganami, a nie Aedonitami, bez względu na to, jak szlachetnym sprzymierzeńcem mógł być Dom Llutha. – Inni mówią, że z powodu suszy ziemia popękała i wydostały się z niej trujące wyziewy. Cokolwiek to było, mój pan twierdzi, że nie oszczędzi nikogo, bogatego, chłopa czy duchownego. Najpierw jest ci gorąco i masz gorączkę... – Jeremias jęknął i wytarł czoło – ...potem wyskakują pęcherze, jakbyś się położył na rozżarzonych węglach. Następnie pęcherze pękają... – Ostatnie słowo wymówił dobitnie z dziecinnym grymasem, a jasne włosy opadły mu na czerwoną twarz. – Aż wreszcie umierasz. W bólach.

Siedzieli w milczeniu, a rozgrzany las dyszał upałem.

– Mój pan, Jakob – powiedział Jeremias – boi się, że ci brudni wieśniacy, którzy mieszkają pod murami zamku, przywloką zarazę do Hayholt. – Las Kynswood jeszcze raz odetchnął powoli. – Kowal Ruben, zwany Niedźwiedziem, powiedział mojemu panu, że słyszał od mnicha

z zakonu żebraczego, jakoby Guthwulf zastosował bardzo ostre środki ostrożności w Meremundzie.

– Ostre środki? – zapytał Simon z zamkniętymi oczami. – Co to znaczy?

– Zakonnik powiedział Rubenowi, że Guthwulf po przybyciu do Meremundu zebrał żołnierzy i poszedł do domów chorych. Wzięli ze sobą młotki i gwoździe i zabili okna i drzwi deskami.

– Z ludźmi wewnątrz? – zapytał Simon przerażony, ale i zafascynowany.

– Pewnie. Żeby zaraza się nie roznosiła. Zabili deskami, żeby rodziny zarażonych nie mogły pouciekać i zarazić innych. – Jeremias uniósł rękaw i wytarł czoło.

– A ja myślałem, że zaraza powstała ze złych oparów, z ziemi.

– Nawet jeśli tak było, to może się roznosić. Dlatego zmarło tylu duchownych, mnichów i pijawek. Zakonnik mówił, że nocami przez wiele tygodni ulice Meremundu wyglądały niczym... jak to on mówił... „niczym korytarze piekieł”. Ludzie z zabitych deskami domów wyli jak psy. Aż wreszcie zamilkli i wtedy Guthwulf z żołnierzami spalili ich. Bez otwierania domów.

Kiedy Simon kontemplował ostatni szczegół, usłyszeli odgłos łamanych gałęzi.

– Hej tam, leniuchy! – Spośród drzew wynurzył się Morgenes. Do jego ubrania poprzyczepiało się pełno liści i gałązek, a resztki mchu oblepiły szerokie rondo kapelusza. – Powinienem się domyślić, że najdę was na wylegiwaniu się.

Simon podniósł się ciężko.

– Dopiero przed chwilą usiedliśmy, Doktorze – powiedział. – Długo zbieraliśmy.

– Nie zapomnij go poprosić! – syknął Jeremias, podnosząc się z ziemi.

– I jak tam? – spytał Morgenes i spojrzał krytycznie na ich zawiniątka. – Biorąc pod uwagę warunki, chyba się spisaliście. Zobaczmy no, co tam macie.

Przykucnął jak rolnik, który odchwaszcza żywopłot, i zaczął przeglądać zawartość chustek.

– Ach! Ucho Diabła! – zawołał i podniósł do góry grzyba, który przypominał muszlę. Oglądał go w blasku promieni słonecznych. – Wspaniały!

– Doktorze – odezwał się Simon – chciałbym pana prosić o przysługę.

– Hmm? – Morgenes przebierał w kawałkach grzybów rozłożonych na chustce.

– Jeremias chciałby wstąpić do wojska, a przynajmniej spróbować. Problem w tym, że hrabia Breyugar prawie nie zna takich jak my mieszkańców zamku, a Jeremias nie ma nikogo, żeby dotrzeć do tamtych ludzi.

– Nic dziwnego – powiedział oschle Morgenes i wysypał zawartość kolejnej chusteczki.

– Czy zechciałby pan napisać mu list polecający? Pana wszyscy znają.

Simon starał się mówić spokojnie. Isaak popatrzył na pocącego się Jeremiasa z uznaniem i rozbawieniem.

– Hmm. – Głos Doktora brzmiał obojętnie. – Wydaje mi się, że Breyugar i jego przyjaciele znają mnie, i to aż za dobrze. – Podniósł wzrok i spojrzał bystro na Jeremiasa. – Czy Jakob wie o tym?

– On... zna moje zamiary – wybąkał Jeremias.

Morgenes zebrał wszystko do worka i oddał chłopcom chusteczki. Wstał, otrzepując się z liści i igieł.

– Chyba mógłbym – powiedział, kiedy już ruszyli w kierunku Hayholt. – Nie popieram tego i nie sądzę, by mój list nakłonił ich do spełnienia prośby, ale jeśli Jakob wie o tym, to dobrze.

Szli gęsiego przez drapiące zarośla.

– Dziękuję, Doktorze – powiedział zdyszany Jeremias, starając się dotrzymać kroku pozostałym.

– Wątpię, żeby cię przyjęli – powiedział Isaak z odrobiną zawiści. W miarę jak zbliżali się do zamku, jego wyniosłość stawała się coraz większa.

– Doktorze Morgenes – powiedział Simon z życzliwą obojętnością – a może ja napiszę ten list, a pan go przeczyta i podpisze? Co pan na to? Byłoby to dla mnie dobre ćwiczenie.

– No, Simonie – powiedział Morgenes, przekraczając zwalone drzewo – to świetny pomysł. Cieszę się, że sam to zaproponowałeś. Może jeszcze zrobię z ciebie dobrego ucznia.

Duma w głosie Doktora i jego pogodne stwierdzenie przygniotły Simona jak ołowiana gruda. *Niczego* jeszcze nie zrobił, a tym bardziej czegoś złego, a już czuł się jak morderca albo i gorzej. Chciał coś jeszcze powiedzieć, gdy nagle w leśnej duchocie rozległ się krzyk.

Simon odwrócił się i zobaczył Jeremiasa z twarzą białą jak pszeniczne ciasto, który wskazywał na coś leżącego w zaroślach obok kłody. Isaak zatrzymał się przy nim z przerażeniem w oczach. Simon wrócił szybko, a za nim Morgenes.

Był to martwy człowiek, do połowy wepchnięty w zarośla. Chociaż twarz schowana była w krzakach, inne części zwłok, pozbawione prawie ciała, wskazywały na to, że ten człowiek nie żył już od jakiegoś czasu.

– Och, och. – Jeremias chwytał powietrze ustami. – On nie żyje! Czy tu są rozbójnicy? Co my zrobimy?

– Cicho – uspokoił go Morgenes. – Tak, dobrze. Niech go obejrzę. – Doktor uniósł skraj swego okrycia, po czym wszedł głębiej w krzaki i energicznie podniósł gałęzie, które ukrywały większą część zwłok.

Sądząc po splotach brody, które wciąż przylegały do wygryzionej przez ptaki i owady twarzy, był to ktoś z Północy – być może Rimmersman. Najwyraźniej miał na sobie ubranie podróżne: lekki wełniany płaszcz i buty z garbowanej skóry, która zaczynała już gnić, tak że z zewnątrz widać było kawałki ich futrzanego ocieplenia.

– Jak on umarł? – zapytał Simon. Przestraszył się widoku ciemnych i tajemniczych oczodołów bez oczu. Skurczone wargi odsłoniły zęby, jakby wyszczerzone w uśmiechu. Sprawiało to wrażenie, że trup leży tam od tygodni zadowolony z okropnego żartu.

Morgenes odsunął tunikę patykiem. Wypłoszył parę much, które zaczęły krążyć.

– Spójrzcie – powiedział.

Z pofałdowanej dziury w wysuszonym tułowiu wystawał kawałek drzewca strzały, złamanej na odległość dłoni nad żebrami.

– Ktoś to zrobił w pośpiechu. Może nie chciał, by rozpoznano jego strzałę.

Musieli poczekać trochę, aż Isaak skończy wymiotować, zanim ruszyli szybko do zamku.

9. Dym na wietrze

DOSTAŁEŚ? DOMYŚLIŁ SIĘ? – Wciąż blady mimo przebywania na słońcu, Jeremias podskakiwał obok Simona jak owczy pęcherz, który unosi się na sieci rybaka.

– Mam to – warknął Simon. Denerwowało go podniecenie Jeremiasa. Według niego nie odpowiadało męskiemu charakterowi ich misji. – Za dużo myślisz.

Jeremias nie czuł się obrażony.

– To dobrze – powiedział.

Skórzany dach wyludnionego prawie Głównego Traktu był zwinięty, a zamiast niego rozciągało się nad nim surowe, południowe niebo. Tu i tam widać było strażnika policji w żółtym mundurze – co znaczyło, że bezpośrednio podlegał hrabiemu – i z zieloną szarfą Eliasa. Stali niedbale w drzwiach albo grali w kości pod ścianami rozwalających się sklepów. Chociaż poranny targ dawno już się skończył, Simonowi wydawało się, że i tak na ulicy jest mniej ludzi niż zwykle. Byli to przeważnie bezdomni, którzy przybyli do Erchesteru w ciągu ostatnich zimowych miesięcy. Przygnały ich wyschnięte strumienie i puste studnie. Wystawali lub siedzieli w cieniu kamiennych murów i budynków, obojętne kukły poruszające się wolno i bez celu. Konstable odpychali ich albo przechodzili obok nich, jakby to były bezpańskie psy.

Chłopcy skręcili z Głównego Traktu w Tawernianą Aleję, najważniejszą drogę spośród prostopadłych do głównego traktu. Panował tutaj znacznie większy ruch, chociaż wśród przechodniów przeważali żołnierze. Upał zapędził wielu z nich do tawern. Wyglądali przez niskie okna z butelkami w dłoniach i podchmieleni piwem spoglądali obojętnie na Simona, Jeremiasa i innych.

W górę ulicy szła wiejska dziewczyna ubrana w samodziałową spódnicę. Sądząc po dzbanie, jaki niosła na ramieniu, była to córka stajennego. Kilku żołnierzy zagwizdało i zawołało do niej, rozlewając przy tym piwo na kurz pod oknami tawerny. Dziewczyna szła szybko przed siebie i nie podnosiła wzroku. Pośpiech i ciężki dzban powodowały, że szła drobnymi kroczkami.

SIMON Z UZNANIEM SPOGLĄDAŁ na jej kołyszące się biodra. Odwrócił się nawet, by mieć ją w polu widzenia, dopóki nie zniknęła w bocznej alei.

– Simonie, chodź! – zawołał Jeremias. – To tutaj!

Wśród rzędu budynków Tawernianej Alei wyrastała katedra Świętego Sutrina; sterczała tam jak ogromny kamień na ulicy porytej koleinami. Jej kamienna fasada słabo odbijała promienie słoneczne. Wysokie łuki i osklepione przypory katedry rzucały wąskie cienie na grupy chimer, których powykręcane, żywe twarze spoglądały w dół wesoło, jakby chichocąc i żartując ponad ramionami ponurych świętych. Na maszcie przed wysokimi, podwójnymi drzwiami wisiały trzy zwiotczałe proporce: Zielony Smok Eliasa, Kolumna i Drzewo Kościoła i na dole Złoty Diadem miasta Erchester na białym tle. Dwaj konstable stali rozparci w otwartych drzwiach z pikami skierowanymi w dół.

– No, to jesteśmy – powiedział ponuro Simon i obaj z Jeremiasem ruszyli po marmurowych schodach.

Kiedy znaleźli się na ich szczycie, jeden ze strażników leniwie zagrodził im drogę piką. Opuszczony kaptur jego kolczugi opadał na ramiona niczym welon.

– Czego chcecie? – zapytał i zmrużył oczy.

– Wiadomość dla Breyugara. – Simon zmieszał się nieco, słysząc, jak załamuje mu się głos. – Do hrabiego Breyugara od Doktora Morgenesa z Hayholt.

Wyciągnął nieśmiało zwój. Strażnik, który ich zatrzymał, wziął list i spojrzał na nich obojętnie. Jego towarzysz wpatrywał się intensywnie w rzeźbione nadproże, jakby miał nadzieję, że znajdzie tam wypisane zwolnienie ze służby na jeden dzień.

Pierwszy strażnik wzruszył ramionami i oddał list Simonowi.

– Tędy i na lewo. Tylko nigdzie się nie włóczyć.

Simon wyprostował się obrażony. Kiedy on będzie strażnikiem, będzie się lepiej prezentował niż ci znudzeni i nieogoleni idioci. Czy oni nie wiedzą, jaki to zaszczyt nosić zielony mundur królewskiego strażnika? Razem z Jeremiasem weszli do chłodnego wnętrza katedry Świętego Sutrina.

W przedsionku nic się nie poruszało, nawet powietrze, lecz Simon dostrzegł ludzi za odległymi drzwiami. Zamiast skręcić w drzwi po lewej stronie, obejrzał się, czy strażnicy nie patrzą – naturalnie nie patrzyli – i poszedł przed siebie, by zobaczyć ogromną kaplicę katedry.

– Simonie! – syknął przestraszony Jeremias. – Co ty wyprawiasz? Powiedzieli, żeby iść tędy! – Wskazał na drzwi po lewej stronie.

Nie zwracając uwagi na towarzysza, Simon zajrzał przez drzwi do kaplicy. Jeremias mruczał coś pod nosem i szedł z tyłu.

„To jest jak jeden z tych religijnych obrazów – pomyślał Simon. – W tyle widać Usiresa i Drzewo, a z przodu twarze nabbańskich

wieśniaków”.

Katedra była tak ogromna i wysoka, że wydawała się jakby osobnym światem. Z góry padały promienie słońca, złagodzone kolorowym szkłem witraży. Wokół ołtarza krzątali się ubrani na biało duchowni; pucowali i sprzątali jak sprawne pokojówki. Simon domyślał się, że przygotowują katedrę do święta Elysiamansa, do którego pozostał jeszcze tydzień lub dwa.

Bliżej drzwi krzątali się równie żywo, choć bez widocznego celu, ubrani w żółte tuniki konstable Breyugara. Przechodzili w jedną i drugą stronę z różnymi poleceniami, wśród nich pojawiali się też inni zielono ubrani strażnicy z gwardii królewskiej albo ubrane na brązowo lub czarno znaczące osobistości z Erchesteru. Obie grupy były jakby zupełnie oddzielone od siebie. Dopiero po jakimś czasie Simon dostrzegł rząd ławek i stołków, które przedzielały katedrę. Zdał sobie sprawę, że barykada ta nie miała zatrzymywać duchownych w środku, jak to się wydawało na pierwszy rzut oka, ale raczej trzymać żołnierzy z daleka od ołtarza. Wyglądało na to, że biskup Domitis i jego duchowni wierzyli, iż okupacja katedry przez Lorda Konstabla nie będzie trwała wiecznie.

W czasie wspinaczki po schodach musieli jeszcze trzykrotnie pokazywać swój list. Tutejsi strażnicy byli bardziej ożywieni od swych kolegów przy bramie głównej, może dlatego, że pełnili służbę w cieniu albo też dlatego, że byli znacznie bliżej osoby, której pilnowali. Wreszcie znaleźli się w ciasnej wartowni. Stanęli przed starym żołnierzem z bliznami na twarzy i dziurami po brakujących zębach. Zawieszony u jego pasa pęk kluczy, jak i twarz pełna obojętnej powagi świadczyły o jego autorytecie.

– Tak, lord Breyugar jest dzisiaj. Dajcie mi list, przekażę go. – Sierżant wysunął brodę obojętnie.

– Nie, sir, sami musimy to oddać. To jest od Doktora Morgenesa.

Simon starał się mówić zdecydowanie, a Jeremias stał ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

– Och, sami? Pomyślę o tym. – Żołnierz splunął na podłogę pokrytą trocinami, przez które gdzieniegdzie prześwitywał lśniący marmur. – Niech mnie Aedon ugryzie, co za dzień. No to czekajcie.

A WIĘC, CO MY TU MAMY? – Hrabia Breyugar podniósł wzrok znad kościstych resztek ptaków, które kończył właśnie jeść. Jego subtelne rysy nieomal ginęły w tłustym podbródku. Miał też delikatne dłonie muzyka o zgrabnych, długich palcach.

– List, panie. – Klęczący na jednym kolanie Simon podał zwój pergaminu.

– Daj mi go, chłopcze. Nie widzisz, że jem teraz obiad? – Głos hrabiego był wysoki i zniewieściały, ale Simon wiedział, że Breyugar to mistrz miecza – te delikatne ręce zabiły wielu ludzi.

Hrabia czytał list, poruszając zatłuszczonymi ustami, a Simon starał się stać prosto jak drzewce piki. Zdawało mu się, że kątem oka dostrzega siwego sierżanta, który mu się przygląda, więc uniósł brodę i patrzył przed siebie, myśląc, jak wspaniale się prezentuje w porównaniu z tamtymi zgarbionymi durniami przy bramie katedry.

– ...Proszę rozważyć przyjęcie... doręczycieli... na służbę u Waszej Lordowskiej Mości... – przeczytał głośno Breyugar. Podkreślenie „doręczycieli” wywołało u Simona chwilową panikę – czy zauważył to „i”, które zrobił z „a”? Napisał je trochę szerzej, żeby wypełniało lukę.

Ze wzrokiem utkwionym w Simonie, hrabia Breyugar podał list sierżantowi sztabowemu. Ten czytał list jeszcze wolniej niż Breyugar, który zlustrował Simona od stóp do głów, po czym zerknął na wciąż klęczącego

Jeremiasa. Kiedy sierżant zwrócił list, uśmiechnął się, ukazując dziurę po dwóch zębach, którą teraz wypełniał jego różowy język.

– Ach tak. – Breyugar wydał dźwięk zbliżony do smutnego westchnięcia. – Morgenes, stary aptekarz, chce, żebym przyjął dwie zamkowe myszki i zamienił je w mężczyzn. – Podniósł malutkie udko i zaczął je żuć. – To jest niemożliwe.

Simon poczuł, jak kolana pod nim się uginają, a żołądek podchodzi mu do gardła.

– Ale... ale dlaczego? – wymamrotał.

– Dlatego, że was nie potrzebuję. Mam dość żołnierzy i nie stać mnie na nowych. Nie sieje się, jeśli nie ma deszczu, a ja i tak mam już kolejkę takich, co to szukają zarobku, aby kupić żywność. Ale, przede wszystkim, to ja was nie chcę, nie chcę pary mięczaków, zamkowych chłopców, którzy nie znają innego bólu poza tym od rózgi na ich różowych tyłkach za skradzione czereśnie. Zmiatajcie stąd! Jeśli będzie wojna, jeśli ci krnąbrni poganie z Hernystiru dalej będą opierać się Królowi albo pojawi się zdradliwy Josua, wtedy będziecie mogli wziąć widły albo kosę i iść z wieśniakami, albo może nawet z wojskiem, i poić konie, jeśli naturalnie zabraknie ludzi. Ale wy nigdy nie będziecie żołnierzami. Nie po to Król ustanowił mnie Lordem Konstablem, żebym niańczył oseski. Sierżancie, pokażcie tym zamkowym myszkom jakąś dziurę, którą mogą stąd wyskoczyć.

Żaden z chłopców nie odezwał się ani słowem przez całą powrotną drogę.

Hayholt. Kiedy Simon znalazł się w swej osłoniętej kotarą alkowie, złamał na kolanie swój klepkowy miecz. Nie płakał. Nie, nie będzie płakał.

„JEST DZISIAJ COŚ DZIWNEGO w tym północnym wietrze – pomyślał Isgrimnur. – Coś, co pachnie jak zwierzę czy też jak nadchodząca burza albo i jedno, i drugie... swym wyciem powoduje mrowienie karku”.

Zatarł ręce, jakby zmarzł, choć nie było zimno, i podciągnął rękawy letniej tuniki – którą tego roku włożył wyjątkowo wcześnie – zawijając je wysoko na swych żylastych ramionach. Ponownie podszedł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz, zażenowany, że taki stary żołnierz jak on musi się bawić w podobne dziecinady.

„Gdzie jest ten przeklęty Hernystirczyk?”

Kiedy zawrócił, by wejść do pokoju, niemal się potknął o stos pudeł z przyborami do pisania, a potem zaczepił klamrą buta o najniższy zwój pergaminu ze stosu ułożonego na tym kawałku podłogi, po którym przechadzał się niecierpliwie. Zaklął głośno i schylił się, żeby przytrzymać stos, gdy już miał się przewrócić. Z pewnością opuszczony pokój w skrzydle Kancelarii – zwolniony teraz, by pisarze mogli świętować Elysiamansę – stanowił dobre, choć naprędce wybrane miejsce potajemnego spotkania, ale dlaczegóż to nie mogli posprzątać tych przeklętych bazgrołów chociaż tak, by dorosły człowiek mógł się obrócić?

Zaskrzypiała klamka u drzwi. Ucieszony książę ruszył szybko w ich stronę. Tym razem już nie wyglądnął ostrożnie, lecz otworzył szeroko drzwi i zamiast spodziewanych dwóch ludzi ujrzał tylko jednego.

– Chwała Aedonowi, jesteś nareszcie, Eolair! – warknął. – Gdzie jest sekretarz?

– Cicho. – Hrabia Nad Mullach przyłożył palec do ust, wszedł do pokoju i dokładnie zamknął za sobą drzwi. – Ciszej. Główny kapłan Archiwum kręci się w drugim końcu korytarza.

– A dlaczego miałbym się przejmować? – wykrzyknął książę, lecz ciszej niż za pierwszym razem. – Co to, jesteśmy dziećmi, żeby się chować przed

tym starym zasuszonym eunuchem?

– Skoro zależało ci na spotkaniu, o którym wszyscy mieli się dowiedzieć, to dlaczego chowamy się w pracowni? – zapytał Eolair i siadł na stołku.

– To nie jest pracownia – warknął Rimmersman – a ty dobrze wiesz, dlaczego kazałem ci przyjść tutaj i dlaczego żadna tajemnica nie jest bezpieczna w Twierdzy Wewnętrznej. Gdzie jest sekretarz Velligis?

– Uznał, że pracownia nie jest odpowiednim miejscem dla prawej ręki Lektora.

Eolair roześmiał się, lecz Isgrimnur zachował powagę. Czerwona twarz Hernystirczyka nasunęła mu myśl, że tamten się upił, a przynajmniej próbował. Żałował, że też tego wcześniej nie zrobił.

– Chodziło mi o to, żebyśmy się spotkali w miejscu, w którym spokojnie będziemy mogli porozmawiać – powiedział Isgrimnur, co zabrzmiało, jakby się trochę usprawiedliwiał. – Ostatnio często widywano nas razem.

– Nie, Isgrimnur, masz rację. – Eolair pomachał dłonią potwierdzająco.

Ubrany był na uroczystość Dnia Pani, przygotowany do zagrania roli szacownego przybysza spoza królestwa, roli, której pogańscy Hernystirczycy dobrze się już nauczyli. Jego świąteczną białą tunikę ściskały trzy pasy, każdy pokryty złotym lub innym lśniącym metalem, a długie czarne włosy związane miał z tyłu złocistą wstążką.

– Żartowałem tylko, chociaż to smutny dowcip – ciągnął – jeśli podani Króla Johna muszą spotykać się potajemnie, żeby rozmawiać o rzeczach, które wcale nie są zdradą.

Isgrimnur podszedł do drzwi i poruszył klamką, by sprawdzić, czy są zamknięte. Odwrócił się, oparł szerokie plecy o drzwi i skrzyżował ramiona na potężnej piersi. On również wystroił się na uroczystość. Miał na sobie

jasnoniebieską tunikę i pończochy, lecz warkocze z jego brody zdążyły się już rozpleść przez nerwowe szarpanie, a pończochy opadły do kolan. Isgrimnur nienawidził przebierania się.

– A więc – zamruczał wreszcie, pochylając głowę w obronnym geście – mam mówić pierwszy czy ty zaczniesz?

– Nie ma potrzeby spierać się o to, kto będzie mówił pierwszy – powiedział hrabia.

Przez moment czerwona twarz Eolaira, jego wystające kości policzkowe przypomniały księciu widok sprzed wielu lat; postać łowcy, jaka mignęła mu na śniegu jakieś pięćdziesiąt jardów od posterunku.

„To jeden z *białych lisów*, tak wtedy nazwał go mój ojciec”.

Isgrimnur zastanawiał się, czy te stare opowieści były prawdziwe, czy członkowie panujących rodów z Hernystiru rzeczywiście mieli w sobie domieszkę krwi Sithów?

Eolair otarł z czoła kropelki potu i podobieństwo zniknęło.

– Dość już się nagadaliśmy, by stwierdzić, że rzecz ma się bardzo źle – ciągnął. – To, o czym musimy porozmawiać na osobności, to to, co możemy w związku z tym zrobić. Jeśli cokolwiek możemy. O to chodzi: *Co można zrobić*?

Isgrimnur nie spieszył się z podjęciem dyskusji, która bez względu na to, co mówił Eolair, i tak nabrała już nieco ohydnego zabarwienia zdrady.

– Moje zdanie jest następujące – zaczął. – Jestem ostatni, który winiłby Eliasa za tę okropną pogodę. Gdy tutaj wszystko wyschło na pieprz i jest gorąco, jakby sam diabeł chuchał, w moich stronach, na Północy, panuje okropna zima, śniegi i lód, jakich tam jeszcze nie było. Tak więc można Króla winić za pogodę tak samo, jak mnie za zawalony dach albo za zamarznięte bydło w oborach Rimmersgardu. – Szarpnął mocno za brodę i rozwiązał kolejny warkocz. Z plątaniny siwych włosów zwisała teraz

luźno wstążka. – Naturalnie *trzeba* winić Eliasa za to, że każe mi tu siedzieć, gdy tymczasem moja rodzina i moi ludzie cierpią tam, ale to już inna sprawa...

...Problem w tym, że nic go to chyba nie obchodzi! Studnie wysychają, ziemie leżą odłogiem, głodujący ludzie śpią na polach i ulicach zabijani zarazą, a on wydaje się niczego nie zauważać. Podatki i kontyngenty wciąż rosną, a te przeklęte paniczyki, co to liżą tyłek Króla, wysiadują z nim całymi dniami, śpiewają, piją, walczą i... – stary książę chrząknął z niesmakiem – i te *turnieje*! Na czerwoną włócznię Uduna, za moich czasów brałem w nich udział równie chętnie jak każdy mężczyzna, ale teraz Erkynland rozsypuje się pod tronem jego ojca, kraje objęte panowaniem Wielkiego Berła są niespokojne jak wystraszony źrebak, oni zaś pojedynkują się jak gdyby nigdy nic! I te uczty na statkach na Kynslagh! Ci żonglerzy, akrobaci, zabawy z niedźwiedziem! Jest tak samo źle, twierdzą, jak było za najgorszych dni Crexisa, Kozła! – Czerwony z gniewu Isgrimnur zacisnął pięści i patrzył w podłogę.

– W Hernystirze – po twardej tyradzie Isgrimnura głos Eolaira zabrzmiał miękko i melodyjnie – mówimy: „pasterz, a nie rzeźnik”, co dotyczy Króla, który powinien opiekować się państwem i ludźmi jak stadem, biorąc od nich jedynie tyle, ile jest mu niezbędne, a nie wyzyskując ich tak długo, aż zostaną tylko resztki do jedzenia. – Eolair wpatrywał się w małe okno i unoszące się w jego słabym świetle drobiny kurzu z pergaminowych zwojów. – A tak właśnie postępuje Elias: zjada swój kraj kawałek po kawałku, tak samo jak potwór Croich-ma-Feareg pożarł niegdyś górę w Crannhyrze.

– Elias był kiedyś dobrym człowiekiem – powiedział zamyślony Isgrimnur – jest dużo łatwiejszy w kontaktach niż jego brat. Pewnie, że nie wszyscy urodzili się królami, ale tutaj jest coś gorszego niż tylko człowiek

zepsuty przez władzę. Coś piekielnie złego... i nie chodzi też o Fengbalda, Breyugara i innych, którzy prowadzą go na skraj przepaści. – Książę wziął głęboki oddech. – To ten występny bękart Pryrates, który kładzie mu do głowy jakieś dziwactwa, ciąga nocami do wieży, w której wciąż palą się światła i wyją dziwne głosy. Tak że rano Król sam nie wie, gdzie jest. Czego Elias może chcieć od takiej kreatury, jak ten przeklęty duchowny? Przecież jest Królem całego znanego świata. Cóż taki Pryrates może mu ofiarować?

Eolair, który wciąż patrzył w światło okna, otarł rękawem czoło.

– Chciałbym to wiedzieć – powiedział wreszcie. – A więc? Co można zrobić?

Isgrimnur zmrużył swe stare, rozwścieczone teraz oczy.

– A co powiedział sekretarz Velligis? Zajęto przecież katedrę Matki Kościoła u Świętego Sutrina. To statki twojego króla Llutha i nabbańskie statki księcia Leobardisa zatrzymał Guthwulf w królewskim porcie Abaingeat pod fałszywym pretekstem „niebezpieczeństwa zarazy”. Leobardis i Lektor Ranessin współpracują ze sobą; rządzą Nabbanem jak dwugłowy monarcha. Velligis z pewnością miał coś do powiedzenia w imieniu swego pana.

– Przyjacielu, on ma dużo do powiedzenia, lecz niewiele rzeczy istotnych. – Eolair zgarbił się na stołku. Wpadające przez okno światło stawało się coraz słabsze, w miarę jak zachodziło słońce, przez co pokój ogarniał coraz większy mrok. – Velligis twierdzi, że nie wie, co książę Leobardis myśli o tym akcie piractwa – trzy statki ze zbożem skradzione wprost z portu Hernystir. Jak zwykle, nie wypowiada się jasno w imieniu swego pana. Jego Świątobliwość Ranessin ma zamiar, jak sądzę, wystąpić w roli rozjemcy pomiędzy Eliasem a księciem Leobardisem, a przy tym wzmocnić, tu, na dworze, pozycję waszego aedonickiego Kościoła. Mój

pan, król Lluth, wysyła mnie do Nabbanu. Być może odkryję prawdę na miejscu. Boję się jednak, że w takiej sytuacji Lektor się przeliczył; biorąc pod uwagę prztyczka w nos, jakiego otrzymał Velligis od Króla i jego pochlebców. Elias jest jeszcze bardziej niesforny niż jego ojciec, który pozostawał w cieniu skrzydeł Matki Kościoła.

– Tyle intryg! – jęknął Isgrimnur. – Tyle spisków! Aż mi się w głowie kotłuje. To nie dla mnie. Dajcie mi miecz albo topór i pozwólcie walczyć!

– To dlatego przeniosłeś się do pracowni? – roześmiał się Eolair i wydobył spod płaszcza bukłak z pitnym miodem. – Zdaje się, że nikt tu już nie zawita. Mój książę, chyba dobrze się dzieje, że tak późno zaczynasz spiskować.

Isgrimnur zachmurzył się i przyjął ofiarowany bukłak.

„Ten nasz Eolair sam jest urodzonym intrygantem – pomyślał. – Powinienem jednak być mu wdzięczny, że mam z kim pomówić. Przy tej jego hernystirskiej poezji, jaką papla wobec dam, pod spodem jest twardy jak stalowa tarcza – dobry sprzymierzeniec w zdradliwych czasach”.

– Jeszcze jedno. – Isgrimnur oddał bukłak i otarł usta.

Hrabia pociągnął długi łyk i skinął głową.

– Śmiało. Zamieniam się w słuch, jak zając z Circoille.

– Ten trup, którego Morgenes znalazł w Kynswood, zginął od strzały – powiedział Isgrimnur.

Eolair ponownie przytaknął.

– To był mój człowiek. Nazywał się Bindesekk, choć nie rozpoznałbym go, gdyby mu kiedyś wcześniej nie złamano kości twarzy. Pewnie, że się nie przyznałem.

– Twój? – Eolair uniósł brwi w zdziwieniu. – A co tam robił? Wiesz?

Isgrimnur uśmiechnął się krótko.

– Naturalnie, właśnie dlatego siedziałem cicho. Wysłałem go po tym, jak Skali z Kaldskryke zebrał swych ziomków i odjechał na Północ. Wydawało mi się, że Ostronosy za wiele przyjaźni zawarł na królewskim dworze. Posłałem więc Bindesekka do mego syna Isorna. Chciałem, żeby Isorn miał się na baczności, skoro Król każe mi tu siedzieć, zawracając głowę jakimiś błahostkami, pseudodyplomatycznymi misjami, które, jak twierdzi, są tak ważne. Jeśli są, to dlaczego powierza je takiemu staremu i ślepemu wojennemu kundlowi jak ja? Skalemu ufam tak jak głodnemu wilkowi, a mój syn, z tego, co słyszę, i tak ma już w domu wystarczająco dużo kłopotów. Wieści, jakie dochodzą z Frostmarch, są niepomyślne: szalejące burze na Północy, niebezpieczne drogi, wieśniacy, którzy muszą się gnieździć w twierdzach. Zbliżają się ciężkie czasy i Skali wie o tym.

– Sądzisz więc, że to Skali zabił twojego człowieka? – Eolair pochylił się i przekazał bukłak.

– Nie mam pewności. – Książę odchylił głowę i pociągnął długi łyk miodu. Widać było, jak nabrzmiały mięśnie na jego grubej szyi. Odrobina miodu skapnęła na niebieską tunikę. – To brzmi najbardziej prawdopodobnie, chociaż mam wiele wątpliwości. – Przez chwilę pocierał plamę w zamyśleniu. – Przede wszystkim, nawet jeśli to on schwytał Bindesekka, to zabicie go było aktem zdrady. Pomimo mojej pogardy dla niego, on wciąż pozostaje mym wasalem, a ja jego seniorem.

– Ale ciało zostało ukryte.

– Niezbyt dobrze. I dlaczego tak blisko zamku? Czemu nie poczekali z zabiciem go, aż dotrą do Wealdhelm Hills albo i do traktu Frostmarch, jeśli w ogóle jest przejezdny? Poza tym ta strzała nie pasuje mi do Skalego. Widziałbym go raczej, jak ćwiartuje Bindesekka swoim ogromnym toporem w napadzie wściekłości, ale strzelanie i pozostawienie ciała w Kynswood? Nie przekonuje mnie to.

– No to kto?

Isgrimnur potrząsnął głową, czując, że miód zaczyna działać.

– To mnie właśnie trapi – powiedział wreszcie. – Nie wiem, ale dziwnych rzeczy można się spodziewać. Tak mówią podróżni, ludzie na zamku...

Eolair podszedł do drzwi i otworzył je szeroko, by wpuścić do małego pokoju trochę świeżego powietrza.

– Doprawdy, dziwne nadeszły czasy, przyjacielu – powiedział i odetchnął głęboko. – Ale może najważniejszym pytaniem jest, gdzie w tym dziwnym świecie znajduje się książę Josua?

SIMON PODNIÓSŁ KAWAŁEK KRZEMIENIA i cisnął go w powietrze. Zatoczywszy ładny łuk, kamień spadł do znajdującego się poniżej ogrodu, uderzając głucho w pozbawiony liści szkielet przystrzyżonej rośliny. Simon podczołgał się do krawędzi dachu kaplicy. Obejrzał miejsce upadku, jak żołnierz, który obsługuje katapultę, i zauważył drżące gałązki. Potem przeturlał się znad rynny w cień komina, czując z przyjemnością pod plecami chłodny i masywny kamień. Z nieba spoglądało jaskrawe słoneczne oko miesiąca Marris, które zbliżało się do południowego szczytu.

Był to jego dzień uwolnienia się od obowiązków, od prac wyznaczanych przez Rachel i wywodów Morgenesa. Doktor nie odkrył jeszcze – albo przynajmniej nic o tym nie wspominał – że jego najazd na wojskowe koszary został udaremniony, a Simonowi odpowiadała taka sytuacja.

Leżał w porannym blasku rozciągnięty na plecach i ze zmrużonymi oczami. W pewnej chwili usłyszał w pobliżu jakiś hałas. Otworzył jedno oko wystarczająco szybko, by zobaczyć, jak przemyka coś małego i szarego. Powoli przewrócił się na brzuch i powiódł wzrokiem po dachu.

Miał przed sobą rozległą powierzchnię dachu kaplicy, pole wybrzuszających się i popękanych dachówek. W ich szczelinach wyrósł wijący się brązowy i jasnobrązowy mech, który w jakiś cudowny sposób przetrwał suszę; pewnie równie mocno pałał chęcią życia, jak przywarł do płytek. Płytkowa równina wznosiła się w górę od krawędzi rynny do kopuły kaplicy, która wyrastała z powierzchni dachu jak skorupa żółwia na małych falach spokojnej zatoczki. Oglądane pod pewnym kątem barwne witraże kopuły, które od wewnątrz przedstawiały cudowne obrazy z życia świętych, wyglądały ciemno i płasko, ukazując jedynie surowe figury w szarym świecie. Na szczycie kopuły umieszczono żelazną kulę, która stanowiła podstawę złotego Drzewa. Z pozycji Simona było ono zaledwie pozłacane, gdyż złota powłoka łuszczyła się, a odchodzące płatki drżały, ukazując skorodowane miejsca.

Poniżej zamkowej kaplicy ciągnęło się we wszystkich kierunkach morze dachów: Wielki Hol, Sala Tronowa, archiwa i pomieszczenia służby, wszystkie zapadające się i nierówne, reperowane lub wymieniane, w miarę jak kolejne pory roku wgryzały się kawałek po kawałku w ich szary kamień i ołowiane gonty. Po lewej stronie Simona wznosiła się biała, strzelista i wyniosła Wieża Zielonego Anioła; dalej, z tyłu, wystawała ponad kopułę kaplicy szara przysadzista Wieża Hjeldin, która wyglądała jak proszący pies.

Kiedy Simon obserwował dach, jeszcze raz kątem oka dostrzegł, że poruszyło się coś szarego. Obrócił się szybko i zobaczył tylne łapy małego burego kotka, który znikał właśnie w dziurze na krawędzi dachu. Chłopak podszedł na czworakach, by przyjrzeć się mu bliżej. Będąc już dostatecznie blisko, położył się na brzuchu i oparł brodę na dłoniach. Nie widział żadnego ruchu.

„Kot na dachu – pomyślał. – Można by tu nawet mieszkać z muchami i gołębiami; ten pewnie żywi się dachowymi szczurami, których drapanie czasem słychać”.

Simon poczuł, że łączy go z tym żyjącym na dachu kotem pewne pokrewieństwo, choć widział zaledwie jego ogon i tylne łapy. Podobnie jak on, kot znał tajemne przejścia, wszystkie załamania i kryjówki, też chodził sobie, gdzie chciał, bez pozwolenia. Tak jak Simon ten szary łowca obywał się bez czyjejkolwiek opieki lub miłosierdzia.

Simon zdawał sobie sprawę z tego, że znacznie przesadził z tym podobieństwem, ale podobało mu się takie porównanie.

Na przykład, czyż nie zakradł się tutaj przez nikogo niezauważony cztery dni temu, dzień po Elysiamansie, żeby obejrzeć wymarsz gwardii Erkynguard? Rachel, Smok – wściekła z powodu jego zainteresowania wszystkim z wyjątkiem prac domowych, które według niej były jego rzeczywistym a zaniedbywanym obowiązkiem – zakazała mu już wcześniej oglądania parady przy głównej bramie.

Ruben, zwany Niedźwiedziem, zgarbiony, o stalowych mięśniach – pierwszy kowal zamkowej kuźni – powiedział wcześniej Simonowi, że gwardia udaje się do Falshire, w górę rzeki Ymstrecca, na wschód od Erchesteru. Tamtejszy cech handlarzy wełną sprawiał kłopoty, powiedział mu Ruben, wrzucając rozgrzaną do czerwoności podkowę do wiadra z wodą. Otoczony kłębami syczącej pary próbował następnie opisać Simonowi skomplikowaną sytuację: wyglądało na to, że susza spowodowała takie niedostatki, iż owce farmerów z Falshire, stanowiące ich główne źródło utrzymania, miały być teraz zarekwirowane przez koronę dla zapewnienia pożywienia głodującym, pozbawionym domów masom, które przybyły do Erchesteru. Handlarze wełną z rozpaczy, że doprowadzi

ich to do ruiny i śmierci głodowej, gromadzili się na ulicach i podburzali miejscową ludność przeciwko królewskiemu orzeczeniu.

Dlatego Simon zakradł się potajemnie na dach kaplicy w ostatnim dniu miesiąca Tiasday, by popatrzeć na odjazd gwardii. Było tam kilkuset dobrze uzbrojonych żołnierzy piechoty i kilkunastu rycerzy pod komendą hrabiego Fengbalda, seniora lenna Falshire. Kiedy Fengbald wyjeżdżał na czele gwardii, w hełmie, pancerzu, w czerwonej tunice ze srebrnym orłem, co bardziej cyniczni obserwatorzy sugerowali, że hrabia zabiera ze sobą aż tylu żołnierzy, bojąc się, że jego poddani z Falshire nie poznają go po tak długiej nieobecności. Inni twierdzili, że to właśnie dlatego, że mogą go rozpoznać – Fengbald bowiem nieszczególnie zabiegał przez ten cały czas o interesy swego majątku.

SIMON PRZYPOMNIAŁ SOBIE z radością wspaniały szyszak Fengbalda, srebrny, lśniący, z pióropuszem z rozłożonych piór.

„Rachel i inni mają rację – pomyślał. – Ciągle snuję jakieś marzenia. Fengbald i jego szlachetni przyjaciele nie mają pojęcia, czy ja żyję, czy umarłem. Muszę się wziąć za siebie. Przecież nie chcę być ciągle dzieciakiem”. Poskrobał kamieniem na dachówce, próbując narysować orła. „A poza tym, chyba głupio wyglądałbym w zbroi”.

Wspomnienie żołnierzy maszerujących dumnie przez Bramę Nearulagh dotknęło czułego punktu Simona, ale i dało mu trochę zadowolenia. Zamachał leniwie nogami, wpatrując się w kryjówkę kota.

OD POŁUDNIA UPŁYNĘŁA JUŻ co najmniej godzina, kiedy z dziury wychylił się podejrzliwy nos. Do tego czasu Simon jechał na rumaku przez bramy Falshire, obsypywany z okien bukietami kwiatów. Wyrwany z marzeń przez

nagły ruch w dziurze, wstrzymał oddech, gdyż za nosem ukazała się reszta zwierzęcia: był to mały kotek o krótkiej szarej sierści, z białą łatą od prawego oka do brody. Simon znieruchomiał, gdy kot, oddalony od niego zaledwie o jakieś trzy łokcie, przestraszył się nagle czegoś, wygiął grzbiet i zmrużył oczy. Chłopiec obawiał się, że został zauważony, lecz wciąż się nie ruszał. Kot skoczył nagle, wynurzając się z cienia wygiętej do góry krawędzi dachu i wylądował w plamie słońca. Simon patrzył uradowany, jak kociak odkrył kawałek odłamanego krzemienia i trącał go łapą. Podrzucał go, zatrzymywał i powtarzał całą zabawę od nowa.

Obserwował przez jakiś czas kocie igraszki, dopóki kotek za którymś razem nie zawadził przednimi łapami o wyłamaną dachówkę, następnie fiknął kozła, lądując w szczelinie między płytkami, i legł tam, machając desperacko ogonem. Te śmieszne akrobacje zmusiły Simona do ujawnienia swojej pozycji. Nie wytrzymał dłużej i parsknął śmiechem. Kotek podskoczył i pomknął do dziury, zaledwie zerkając na Simona, który widząc, jak zwierzę gramoli się do swej kryjówki, ponownie wybuchnął śmiechem.

– Zwiewaj, kocie! – krzyknął za nim. – Do dziury, bury! Do dziury, bury!

Kiedy czołgał się w kierunku kociej kryjówki, by zaśpiewać kotu piosenkę – której, jak sądził, wysłucha – o ich wspólnej radości z dachów, kamieni i samotności, coś innego zwróciło jego uwagę. Chwycił się krawędzi i uniósł głowę. Poczuł we włosach delikatny powiew wiatru.

Patrząc na południowy wschód, daleko poza granicami Erchesteru i przylądkami, ponad Kynslagh, widać było ciemną plamę rozmazaną na krystalicznym niebie miesiąca Marris. Tak jakby ktoś przejechał brudnym kciukiem po nowo pomalowanej ścianie. Widział, że wiatr rozmywa plamę, lecz z dołu unosiły się ciemniejsze kłęby, groźna ciemność, której żaden

wiatr nie był w stanie rozegnać. Na wschodzie tworzyła się ogromna czarna chmura.

Zaskoczony, dopiero po dłuższej chwili się zorientował, że to, co widzi, to dym – jego gęsty pióropusz czernił blade, niebieskie niebo.

Falshire płonęło.

10. Król Cykuta

DWA DNI PÓŹNIEJ, RANKIEM, ostatniego dnia miesiąca Marris, Simon szedł na śniadanie z dwoma innymi podkuchennymi, kiedy nagle zatrzymała go ciężka, czarna dłoń, która spadła na jego ramię. Na moment ogarnęło go przerażenie, gdyż jego myśli popędziły do snu o Sali Tronowej i dostojnych pląsach malachitowych królów.

Okazało się jednak, że dłoń ta była uzbrojona w popękaną, czarną rękawicę bez palców. Jej właściciel nie był też z ciemnego kamienia, choć – jak pomyślał Simon, patrząc ze zdziwieniem na twarz Incha – Bóg jakby zapomniał dodać substancji ożywiającej, kiedy go lepił; brakowało mu odrobiny czegoś, co by dodało życia jego biernej, niewzruszonej postaci.

Inch pochylił się tak, że jego okolona bokobrodami twarz znalazła się tuż nad twarzą Simona – nawet w jego oddechu bardziej czuć było kamień niż wino, cebulę czy coś powszechnie znanego.

– Doktor chce z tobą rozmawiać. – Przewrócił oczami. – I to zaraz.

Pozostali chłopcy wysunęli się do przodu i Simon został teraz sam na sam z tkwiącym nad nim Inchem. Próbował się uwolnić od uchwytu ciężkiej łapy i patrzył z desperacją, jak tamci się oddalają.

– Dobrze, już idę – powiedział i gwałtownym szarpnięciem wyrwał rękę. – Wezmę tylko jakąś piętkę chleba, żeby przekąsić po drodze.

Poszedł szybko w dół korytarzem do jadalni służby, zerkając w tył. Inch stał wciąż w tym samym miejscu i patrzył na niego spokojnym wzrokiem

pasącego się na łące byka.

KIEDY POJAWIŁ SIĘ Z PIĘTKĄ CHLEBA i kawałkiem gumiastego, białego sera, stwierdził zrezygnowany, że Inch wciąż na niego czeka. Razem ruszyli w kierunku komnat Morgenesa. Simon poczęstował olbrzyma jedzeniem, starając się zrobić to z uśmiechem, lecz tamten popatrzył na chleb obojętnie i nic nie powiedział. Szli teraz przez poryty zaschniętymi koleinami Dziedziniec Wewnętrzny, klucząc między duchownymi pisarzami, którzy odbywali swe codzienne pielgrzymki z Kancelarii do Gmachu Archiwum. Inch chrząknął, jakby zamierzał coś powiedzieć. Simon podniósł wzrok z nadzieją, gdyż czuł się tak nieswojo w obecności Incha, że deprymowało go nawet jego milczenie.

– Dlaczego... – zaczął wreszcie Inch – ...dlaczego zabierasz moje miejsce? – Nie spuszczał cielęcego wzroku z idących przed nimi duchownych.

Teraz z kolei serce Simona nabrało cech kamienia: stało się zimne, ciężkie i trudne do uniesienia. Żal mu było tego cielęcia, któremu się zdawało, że jest mężczyzną, ale i bał się go.

– Nie... nie zabrałem ci miejsca. – Nawet w jego uszach zabrzmiało to fałszywie. – Przecież dalej pomagasz Doktorowi przy dźwiganiu i ustawianiu rzeczy. Mnie uczy czegoś zupełnie innego.

Szli w milczeniu, aż zobaczyli pokoje Morgenesa skryte w gęstwinie bluszczu, niczym gniazdo jakiejś małej, lecz zmyślnej bestii. Kiedy znaleźli się zaledwie o parę kroków od drzwi, dłoń Incha ponownie opadła na ramię Simona.

– Zanim przyszedłeś – mówił Inch, a jego wielka, okrągła twarz zbliżała się do twarzy Simona, jakby ktoś spuszczał z góry koszyk – zanim przyszedłeś, ja byłem jego pomocnikiem. To ja miałem być jego następcą. –

Zmarszczył czoło, wydął dolną wargę i uniósł złączone brwi, lecz jego oczy nadal pozostawały łagodne. – Doktor Inch, tak bym się nazywał. – Wbił wzrok w Simona, który bał się trochę, że trzymająca go za kołnierz potężna łapa zgniecie go. – Nie podobasz mi się, mały kuchciku.

Inch puścił go i odszedł, powłócząc nogami. Jego głowa była prawie niewidoczna spoza ogromnych pochylonych pleców. Simon rozcierał szyję i czuł, że jest mu trochę niedobrze.

MORGENES WYPROWADZAŁ WŁAŚNIE trzech młodych duchownych. Simon ze zdziwieniem stwierdził, że są najwyraźniej pijani.

– Przyszli, żeby mnie zaprosić na obchody Dnia Błazna – wyjaśnił Morgenes, kiedy zamknął drzwi za rozśpiewaną trójką. – Przytrzymaj, chłopcze, tę drabinę.

Na najwyższym szczeblu drabiny stało wiadro z czerwoną farbą. Doktor wszedł na jej szczyt, wyciągnął z wiadra pędzel i zaczął malować nad drzwiami dziwne figury, z których każda tworzyła mały, zagadkowy obrazek. Simonowi zdawało się, że przypominają starożytne pismo z książek Morgenesa.

– Po co to? – zapytał.

Doktor nic nie odpowiedział, malując dalej zapalczywie. Simon zdjął rękę ze szczebla, żeby się podrapać po nodze, i drabina zaczęła się chwiać złowróżbnie. Morgenes musiał chwycić się futryny, by nie spaść.

– Nie, nie, nie! – krzyknął, tak lawirując wiadrem, żeby nie dopuścić do wylania się farby. – Wiesz przecież lepiej ode mnie, jaka jest zasada: wszystkie pytania na piśmie! Poczekaj tylko, aż zejdę, bo jeśli spadnę i umrę, to nie uzyskasz ani jednej odpowiedzi. – Morgenes wrócił do malowania, mrucząc coś cicho pod nosem.

– Przepraszam, Doktorze – powiedział Simon nieco urażony. – Zapomniałem.

W ciszy słychać było jedynie odgłos pędzla Morgenesa.

– Czy ja zawsze już będę musiał pisać moje pytania? Nie ma szans, żebym pisał tak szybko, jak przychodzą mi do głowy różne rzeczy, o których chciałbym się czegoś dowiedzieć.

– Widzisz – powiedział Morgenes, mrużąc oczy nad ostatnim pociągnięciem – taka była ogólna idea tego pomysłu. Wy, chłopcy, zadajecie pytania tak, jak Bóg stwarza muchy i biedaków: całymi stadami. A ja jestem stary i wolę własne tempo.

– Ale – w głosie Simona słychać było coraz większą desperację – przecież będę musiał pisać do końca życia!

– Potrafię wymienić wiele mniej wartościowych poczynań, na jakich mógłbyś strawić resztę życia – odparł Morgenes i położył drabinę. Odwrócił się, by obejrzeć efekt końcowy. Teraz był to dziwny napis wypisany łukiem nad drzwiami. – Na przykład – powiedział i spojrzał znacząco na Simona – mógłbyś podrobić list i zaciągnąć się do gwardii Breyugara, a potem pozwolić się posiekać na kawałki.

„A niech to – pomyślał Simon. – Wpadłem”.

– To pan... dowiedział się, prawda? – zapytał wreszcie.

Doktor skinął głową, zachowując gniewny uśmieszek.

„Ratuj mnie, Usiresie, on ma takie oczy! – pomyślał Simon. – Jak szpile. Jego wzrok jest gorszy od smoczego wycia Rachel”.

Doktor nie przestawał się w niego wpatrywać. Simon wbił wzrok w podłogę, wreszcie odezwał się głosem ponurym i o wiele lat młodszym, niżby sobie życzył:

– Przepraszam.

Teraz Doktor zaczął chodzić, jakby tama, którą powstrzymywał, pękła.

– Gdybym tylko wiedział, co zamierzasz zrobić z tym listem... – rzucił gniewnie. – O czym ty myślałeś? I dlaczego, dlaczego sądziłeś, że musisz mnie okłamywać?!

Gdzieś w głębi duszy jakaś cząstka Simona odczuwała zadowolenie, widząc Doktora zmartwionego – ta część pozwalała mu czuć się zadowolonym. Inna cząstka jednak wstydziła się. Jeszcze inna, gdzieś głęboko – ilu tam było Simonów? – pełniła funkcję spokojnego i ciekawego obserwatora: ten czekał, żeby się przekonać, która część zdominuje całość.

Chodzenie Morgenesa zaczynało go już denerwować.

– A dlaczego miałby się pan tym interesować? – zawołał do starca. – To przecież moje życie, prawda? Głupie życie chłopaczka z kuchni! I tak mnie nie chcieli... – zakończył cicho.

– I powinieneś być za to wdzięczny! – powiedział ostro Morgenes. – Wdzięczny za to, że cię nie chcą. A co to za życie? Siedzieć gdzieś pod koszarami i grać w kości z jakimiś tam nicponiami w czasach pokoju albo dać się posiekać, podziurkować strzałami czy też stratować koniom w czasie wojny. Nie wiesz, głupcze, że zostać prostym żołnierzem z tymi wszystkimi wysoko urodzonymi grzmocącymi chłopów rycerzami na polu bitwy to to samo, co być rzutką w czasie zawodów strzeleckich w Dzień Pani. – Odwrócił się na pięcie do Simona. – Czy wiesz, co Fengbald i jego rycerze zrobili w Falshire?

Chłopiec nie odpowiadał.

– Puścili z dymem cały owczy okręg, oto, co zrobili. Palili wszystko, kobiety, dzieci, tylko dlatego, że nie chcieli oddać swych owiec. Fengbald kazał napełnić wanny do dezynfekcji owiec gorącym olejem i ugotował w nich handlarzy z cechu. Wyrżnięto sześciuset poddanych samego Fengbalda, a on i jego ludzie wracają do zamku ze śpiewem na ustach! I do takich chciałbyś się przyłączyć?!

Simon poczuł narastający gniew. Czuł, że robi się czerwony, i przestraszył się, że może się rozpłakać. Ten obojętny Simon-obserwator zniknął bezpowrotnie.

– No i co?! – wykrzyknął. – Kogo to może obchodzić?

Widząc Morgenesa zaskoczonego tym niezwykłym wybuchem, poczuł się jeszcze gorzej.

– Co ze mną będzie? – zapytał i klepnął się po udach. – Nie znajdę zaszczytów w pomywalni, nie ma ich wśród służących dziewczyn... ani tutaj, w tym ciemnym pokoju pełnym głupich... książek!

Urażony wzrok starca sprawił, że ostatnia tama pękła: Simon zaczął płakać i uciekł w drugi koniec pokoju. Płacząc, zwinął się na marynarskiej skrzyni i przytulił twarz do zimnej kamiennej ściany. Z zewnątrz dochodziły pijackie hymny śpiewane nierówno przez młodych duchownych.

Za chwilę stał już nad nim Doktor i poklepywał niezdarnie po ramieniu.

– No, no, chłopcze... – powiedział zdziwiony. – Co to za gadanie o tych zaszczytach? I *ty* się tym zaraziłeś? Żebym się tak stał ślepym żebrakiem, powinienem był się domyślić. Ta gorączka objęła nawet i twoje proste serce, co, Simonie? Przepraszam. Trzeba mieć silną wolę albo doświadczone oko, żeby dojrzeć zgniły środek przez lśniącą powierzchnię. – Jeszcze raz poklepał chłopca po ramieniu.

Simon nie miał pojęcia, o czym Doktor mówi, ale ton głosu Morgenesa uspokoił go trochę. Wbrew sobie poczuł, że opuszcza go gniew, lecz przyjął to jako słabość, co kazało mu się wyprostować i odepchnąć rękę Doktora. Rękawem kurtki wytarł zapłakaną twarz.

– Nie wiem, dlaczego jest panu przykro, Doktorze – zaczął, starając się opanować drżenie głosu. – To *ja* przepraszam, że... zachowałem się jak dzieciak. – Wstał i podszedł do długiego stołu, przy którym się zatrzymał

i powiódł dłonią po rozrzuconych otwartych książkach. – Skłamałem i zrobiłem z siebie głupca – powiedział, nie podnosząc wzroku. – Niech pan się nie gniewa na głupiego kuchennego chłopaka, Doktorze, kuchennego chłopaka, któremu się zdawało, że mógłby być kimś więcej, niż jest.

Po tym odważnym przemówieniu zapanowała cisza, którą przerwał dziwny dźwięk, jaki wydał Morgenes – czyżby *płakał*? Po chwili jednak wszystko było już jasne: Morgenes chichotał – nie, teraz już śmiał się, próbując ukryć to za obszernym rękawem.

Simon odwrócił się. Oczy piekły go jak żarzące się węgle. Morgenes uchwycił na chwilę jego wzrok, lecz zaraz popatrzył w bok, jego ramiona drżały.

– Och, chłopcze, chłopcze – wysapał wreszcie, wyciągając dłoń w kierunku rozgniewanego Simona. – Nie odchodź! Nie złość się. Zmarnowałbyś się na polu bitwy! Powinieneś być wielkim panem i odnosić zwycięstwa przy stole, gdzie zawiera się traktaty, które i tak mają większe znaczenie od zwycięstw na polu bitwy. Albo powinieneś być skrybą w Kościele i obiecywać wieczne zbawienie duszom bogaczy i rozpustników.

Morgenes znowu parsknął śmiechem i zaczął przygryzać brodę, dopóki się nie opanował. Simon stał nieruchomo z ponurą twarzą, niepewny, czy Doktor prawi mu komplementy, czy też go obraża. Wreszcie Morgenes opanował się całkowicie. Wstał i skierował się do beczułki z piwem. Długi łyk zakończył procedurę uspokajania się. Uśmiechnięty Doktor podszedł do Simona.

– Ach, Simonie! Nie pozwól, by hałaśliwi i butni towarzysze Króla Eliasa i inne zbiry tak cię oczarowali. Jesteś bystry – przynajmniej czasami – i posiadasz dary, o których sam jeszcze nie wiesz. Ucz się ode mnie, czego tylko możesz, młody jastrzębiu, i od innych, których spotkasz. Kto

wie, jak potoczy się twój los? Różne są zaszczyty. – Uniósł beczułkę i napił się jeszcze.

Przez chwilę Simon zastanawiał się, czy ostatnie słowa Morgenesa nie są aby kolejną kpiną, lecz wreszcie zdecydował się uśmiechnąć nieśmiało. Podobało mu się to określenie: „młody jastrząb”.

– Dobrze, niech tak będzie. I przepraszam, że skłamałem. Ale skoro jestem bystry, to dlaczego nie pokaże mi pan czegoś ważnego?

– Czego na przykład? – zapytał Morgenes, przestając się śmiać.

– No, nie wiem. Magii... czy czegoś.

– Magii! – syknął Morgenes. – Czy tylko o tym potrafisz myśleć, chłopcze? Czy myślisz, że ja jestem jakimś tam łachmaniarskim czarodziejem, nadwornym magikiem, który powinien nauczyć cię paru sztuczek? – Simon nie odpowiedział. – Wciąż jestem zły na ciebie za to, że mnie okłamałeś – dodał Doktor. – Czemu miałbym cię nagradzać?

– Wykonam każdą pracę, w każdej chwili – powiedział Simon. – Umyję nawet sufit.

– No, no, nie dam się terroryzować – odparł Morgenes. – Coś ci powiem, chłopcze: przestań myśleć o magii, a ja będę odpowiadał przez miesiąc na twoje pytania i ani jednego nie będziesz musiał zapisywać! Co ty na to?

Simon zmrużył oczy, lecz nic nie powiedział.

– Dobra, pozwolę ci przeczytać mój manuskrypt o życiu Johna Prestera! – zaproponował Doktor. – Pamiętam, że kiedyś o to prosiłeś.

Simon zmrużył oczy jeszcze bardziej.

– Jeśli nauczy mnie pan magii – powiedział – to co tydzień będę panu przynosił pasztecik Judith i ze spiżarni beczułkę ciemnego ze Stanshire.

– Tu cię mam! – rzucił Morgenes z triumfem. – Widzisz, chłopcze? Tak wierzysz w to, że magiczne sztuczki przyniosą ci moc i powodzenie, iż

gotów jesteś uciec się do kradzieży i przekupstwa, bylebym tylko cię ich nauczył! Nie, Simonie, o to nie możemy się targować.

Simon znowu się rozzłościł, lecz wziął głęboki oddech i uszczypnął się w ramię.

– Dlaczego tak się pan temu sprzeciwia, Doktorze? – zapytał, kiedy już się opanował. – Czy dlatego, że jestem podkuchennym?

Morgenes uśmiechnął się.

– Nawet jeśli wciąż pracujesz w kuchni, młodzieńcze, nie jesteś podkuchennym. Jesteś moim uczniem. Nie, w tobie nie ma nic złego – z wyjątkiem może młodego wieku i niedojrzałości. Ty po prostu nie pojmujesz jeszcze tego, o co prosisz.

Simon osunął się na stołek.

– Nie rozumiem – mruknął.

– Właśnie. – Morgenes pociągnął kolejny łyk piwa. – To, co ty nazywasz „magią”, jest w rzeczywistości działaniem sił natury, takich jak ogień czy wiatr. One reagują na prawa natury, lecz nauczyć się i zrozumieć te prawa jest bardzo trudno. Wiele może na zawsze pozostać dla nas tajemnicą.

– No to dlaczego nie nauczy mnie pan tych praw?

– Z tych samych powodów, z jakich nie dałbym płonącej pochodni niemowlakowi, który siedzi na kopce siana. Niemowlak, bez obrazy, nie jest przygotowany do odpowiedzialności. Tylko ci, którzy wiele lat studiowali inne przedmioty i dyscypliny, mogą przystąpić do opanowywania sztuki, która tak bardzo cię fascynuje. A i wtedy nie jest powiedziane, że będą w stanie sprostać zadaniu. – Starzec znowu się napił, otarł usta i uśmiechnął się. – Zanim większość z nas nauczy się używać sztuki, jesteśmy już wystarczająco starzy, by wiedzieć lepiej. Simonie, dla młodych jest to zbyt niebezpieczne.

– Ale...

– Jeśli powiesz: „Ale Pryrates...”, to dam ci kopniaka – powiedział Morgenes. – Już ci to mówiłem, on jest szalony albo tyle wart, co szaleniec. On widzi jedynie władzę, jaką można zdobyć dzięki arkanom Sztuki, lecz ignoruje konsekwencje. Zapytaj mnie o konsekwencje, Simonie.

Chłopiec zapytał ponuro:

– A jakie są kon...

– Nie możesz posługiwać się siłą, nie płacąc za to. Jeśli ukradniesz pasztecik, to ktoś inny będzie głodny. Jeśli jedziesz za szybko na koniu, koń zdechnie. Jeśli używasz Sztuki dla otwarcia drzwi, to małe masz szanse na gości, którzy zamieszkają u ciebie.

Simon, rozczarowany, rozglądał się po zakurzonym pokoju.

– Doktorze, dlaczego namalował pan te znaki nad swoimi drzwiami? – zapytał wreszcie.

– Żeby nie przyszli do mnie cudzy goście. – Morgenes pochylił się, by postawić beczułkę, i wtedy właśnie coś złotego i lśniącego wysunęło się zza kołnierza jego szarego ubrania i zawisło na łańcuchu. Doktor zdawał się tego nie zauważać. – Powinienem cię odesłać. Ale zapamiętaj tę lekcję, chłopcze, której równie dobrze mogliby wysłuchać królowie lub ich synowie. *Za wszystko trzeba płacić*. Każda władza ma swoją cenę, choć nie zawsze jest to tak oczywiste. Przyrzeknij, że będziesz o tym pamiętał.

– Przyrzekam, Doktorze. – Po uprzednich krzykach i płaczach Simon czuł się tak zmęczony, jakby brał udział w wyścigu. – Co to jest? – zapytał i pochylił się, by obejrzeć kołyszący się złoty przedmiot.

Morgenes podsunął go Simonowi na dłoni.

– To ptasie pióro – wyjaśnił krótko.

Kiedy wsuwał je z powrotem za ubranie, Simon dostrzegł, że zaostrzony koniec złotego pióra przytwierdzony jest do zwoju

wyrzeźbionego z perliście białego kamienia.

– Nie, to jest pióro – powiedział z podziwem. – Gęsie pióro, prawda?

– No dobrze, to jest pióro do pisania – mruknął Morgenes. – A teraz, jeśli nie masz już nic lepszego do roboty, niż wypytywać o moje osobiste ozdoby, to zmiataj stąd! I nie zapomnij o obietnicy! Pamiętaj!

SIMON SZEDŁ DO POMIESZCZEŃ służby przez ogrody, które otoczone były szczelnie żywopłotami, i zastanawiał się nad wydarzeniami tego dziwnego poranka. Doktor dowiedział się o liście, lecz nie ukarał go ani nie wyrzucił na zawsze. Odmówił jednak nauczenia Simona magii. I dlaczego dopytywanie się o ten wisiorek w kształcie pióra tak bardzo zirytowało starca?

Zastanawiając się, skubał bezwiednie suche, pozbawione pąków krzaki róży, aż w pewnym momencie ukłuł się w palec ukrytym kolcem. Zaklął i podniósł rękę. Na czubku palca uformował się czerwony paciorek z jego jasnej krwi, jedna szkarłatna perła. Wsadził palec do ust i poczuł sól.

W ŚRODKU NOCY, U SZCZYTU Święta Błazna rozległ się w Hayholt ogromny huk. Śpiący pobudzili się w swoich łóżkach, a ciemne dzwony Wieży Zielonego Anioła odpowiedziały długim współczującym pomrukiem.

Młodsi duchowni, którzy w tę jedną jedyną noc zaniedbywali modlitwy i radośnie zażywali wolności, popijając wino i obrażając biskupa Domitisa, pospadali ze stołków. Siła wybuchu była tak wielka, że nawet najbardziej pijani poczuli przebiegającą po ciele falę strachu, jakby gdzieś w głębi nich tkwiło przekonanie, że Bóg da im w końcu odczuć swoje niezadowolenie.

Kiedy jednak wysypali się w nieładzie na dziedziniec, by sprawdzić, co się stało – ich ogolone głowy akolitów wyglądały jak blade grzyby

w srebrzystym świetle księżyca – nie zauważyli żadnego ziemskiego kataklizmu, którego się spodziewali. Nie licząc paru twarzy obudzonych mieszkańców zamku, którzy wyglądali zaciekawieni przez okna, noc pozostawała gwiaździsta i niczym niezmącona.

SIMON ŚNIŁ W SWYM skromnym łóżku, ułożony wśród skarbów, które tak pieczołowicie zbierał. W swym śnie wspinał się na kolumnę z czarnego lodu. Każdy z bólem wywalczony kroczek w górę natychmiast był okupiony nieomal identycznym ześliźnięciem się w dół. W zębach ściskał pergamin, była to jakaś wiadomość. Na szczycie lodowej kolumny znajdowały się drzwi, a w nich czaiła się nieznana mu ciemna istota, która czekała... czekała na wiadomość.

Kiedy wreszcie dotarł na próg, wysunęła się ręka i chwyciła pergamin czarną, mglistą dłonią. Simon próbował się zsunąć, spaść, lecz inna ciemna łapa wynurzyła się zza progu i chwyciła jego przegub. Ciągnięto go w kierunku pary oczu, czerwonych jak purpurowe dziury w brzuchu piekielnego czarnego pieca...

Simon obudził się, ciężko dysząc, i usłyszał stłumiony głos dzwonów, które jęknęły, wyrażając swe niezadowolenie, po czym powróciły w swój zimny, ponury sen.

TYLKO JEDNA OSOBA w całym ogromnym zamku mogła twierdzić, że coś widziała. Caleb, chłopak od koni, głupkowaty pomocnik Shema, już od wieczora był bardzo podekscytowany i nie mógł zasnąć. Następnego ranka miał zostać koronowany na Króla Błaznów. Potem młodzi duchowni mieli go przenieść na ramionach przez cały zamek, śpiewając przy tym sprośne piosenki i rzucając owies i płatki kwiatów. Cała ta procesja miała dotrzeć

do holu refektarza, gdzie miał czynić honory gospodarza uczty wszystkich błaznów i zasiąść na zrobionym dla żartu tronie z sitowia z rzeki Gleniwent.

Caleb opowiadał każdemu, kto skłonny był go wysłuchać, że i on słyszał wybuch, ale słyszał także *słowa*, grzmiący głos mówiący językiem, o którym stajenny chłopak potrafił tylko powiedzieć, że był „zły”. Wydawało mu się również, że widział ogromnego, ognistego węża, który wyskoczył z okna Wieży Hjeldin, owinął swe płonące cielsko wokół jej iglicy, po czym rozpadł się na tysiące iskier.

Nikt nie zwracał większej uwagi na opowieść Caleba – nie bez powodu wybrano tego właśnie prostaka na Króla Błaznów. Także i ranek przyniósł Hayholt coś, co przyćmiło nocny grzmot, a nawet perspektywę Dnia Błazna.

Świt ukazał linię chmur – deszczowych chmur – które przysiadły na północnym horyzoncie jak stado tłustych, szarych owiec.

NA KRWAWY POBIJAK DRORA, na okropne oko Uduna i... i... na naszego Pana Usiresa! Coś trzeba zrobić!

Książę Isgrimnur, zapominając w gniewie o swej aedońskiej pobożności, huknął pokrytą bliznami, owłosioną pięścią w Wielki Stół tak silnie, że naczynia podskoczyły na sześć stóp w górę. Kołysał się jak ogromny, przeładowany statek w czasie burzy i wodził wzrokiem po stole. Wreszcie opuścił pięść ponownie. Jego kielich zakołysał się i po chwili uległ grawitacji.

– Sir, trzeba podjąć jakieś kroki! – zagrzmiał i pociągnął za swe ogromne wąsiska. – Frostmarch pogrążyło się w stanie przeklętej anarchii! Gdy ja i moi ludzie siedzimy tu jak narośle na drzewie, po trakcie Frostmarch grasują bandyci! I co najmniej od dwóch miesięcy nie mam wieści z Elvritshalla! – Książę wypuścił gwałtownie powietrze, aż jego

wąsy zadrżały. – Mój syn pilnie potrzebuje pomocy, a ja nic nie mogę zrobić! Mój panie, gdzie jest bezpieczeństwo berła Wielkiego Króla?

Isgrimnur, czerwony jak burak, opadł na krzesło. Elias uniósł brwi i popatrzył obojętnie na rycerzy siedzących wokół stołu: liczba pustych miejsc znacznie przewyższała zajęte. Rozwieszone na ścianach pochodnie rzucały na wielkie gobeliny długie, drżące cienie.

– No cóż, skoro sędziwy i szacowny książę ujawnił już swe myśli, to może są inni, którzy chcieliby się do niego przyłączyć? – Elias bawił się swym złotym pucharem, muskając nim półokrągłe rysy na dębowym stole. – Czy ktoś jeszcze uważa, że Wielki Król Osten Ard opuścił swych poddanych? – Siedzący po prawej ręce Króla Guthwulf uśmiechnął się głupawo.

Dotknięty tą uwagą Isgrimnur zaczął się podnosić, lecz Eolair z Nad Mullach położył mu dłoń na ramieniu.

– Sir – odezwał się Eolair – ani Isgrimnur, ani nikt inny tutaj o nic cię nie oskarża. – Mówiąc to, położył dłonie na stole. – Chcemy tylko powiedzieć, że prosimy cię, błagamy, mój panie, byś zwracał większą uwagę na problemy twych poddanych, którzy mieszkają z dala od Hayholt. – Pomyślał, że słowa te były może zbyt ostre, więc na jego twarzy pojawił się uśmiech. – Tak, oni mają problemy – ciągnął. – Banici grasują na całej Północy i Zachodzie. Głodujący ludzie niewiele mają skrupułów, a susza, która się właśnie skończyła, wywołuje u wszystkich to, co najgorsze.

Elias milczał i nie przestawał wpatrywać się w Eolaira, który skończył mówić. Isgrimnur zwrócił uwagę na bladość Króla. Przypomniało mu to czasy pobytu na Wyspach Południowych, kiedy pielęgnował ojca Eliasa, Johna, w czasie ataku gorączki.

„Te jasne oczy, ten nos jak u drapieżnego ptaka – pomyślał. – Dziwne, jak takie cechy, które przypominają i charakteryzują kogoś, przekazywane

są z pokolenia na pokolenie długo jeszcze po śmierci człowieka i jego dzieła”.

Isgrimnur pomyślał o Miriamele, miłej, melancholijnej córce Eliasa. Zastanawiał się, jaki to ciężar będzie musiała dźwigać po swym ojcu i jakie wspomnienia będzie miała o swej pięknej matce zmarłej dziesięć, a może dwanaście lat temu.

Siedzący po drugiej stronie stołu Elias pokręcił wolno głową, jakby chciał się obudzić ze snu albo otrząsnąć po mocnym winie. Isgrimnur zobaczył, że siedzący po lewej stronie Króla Pryrates szybko cofa swą bladą dłoń z rękawa Eliasa.

„W tym duchownym jest coś odrażającego – pomyślał Isgrimnur i to nie pierwszy raz. – Coś bardziej odpychającego niż jego łysina i chrapliwy głos”.

– Hrabio Eolairze – powiedział Król, a na jego ustach pojawił się na moment wykrętny uśmieszek – jeśli już mówimy o „obowiązkach” i tym podobnych rzeczach, to co twój krewny, król Lluth, ma do powiedzenia na temat wiadomości, jaką mu przesłałem? – Pochylił się do przodu w oczekiwaniu, a silne dłonie oparł na stole.

Eolair odparł tonem zrównoważonym, starannie dobierając słowa:

– Jak zawsze, mój panie, przesyła pokłony i wyrazy szacunku szlachetnemu Erkynlandowi. Uważa jednak, że nie stać go teraz na wysłanie czegokolwiek więcej w formie podatku...

– Daniny! – warknął Guthwulf, który czyścił paznokcie cienkim sztyletem.

– ...w formie podatku – powtórzył Eolair, ignorując uwagę.

– Ach tak? – zapytał Elias i ponownie się uśmiechnął.

– W rzeczywistości, panie – Eolair celowo zdawał się nie rozumieć znaczenia uśmiechu – przysłał mnie tu z prośbą o królewską pomoc. Znasz

przecież szkody, jakie wyrządziła susza i zaraza. Erkynland musi z nami współpracować, by utrzymać szlaki handlowe przejezdnymi.

– Och, musi, nieprawdaż? – Oczy Króla Eliasa zalśniły, a na mocnej szyi zaczęło gwałtownie pulsować tętno. – A więc teraz już „musi”, tak? – Jeszcze bardziej pochylił się do przodu i odepchnął rękę Pryratesa, który błyskawicznym ruchem, jak wąż, chciał go powstrzymać. – A kim ty jesteś?! – zagrzmiał. – Osesek spokrewniony z królem pastuchów, który został hrabią jedynie dzięki słabości mego ojca! Kim jesteś, że mówisz mi „musisz”?

– Mój panie! – zawołał przerażony stary Fluiren z Nabbanu, machając piegowatymi dłońmi, które kiedyś były potężne, a teraz zakrzywione jak szpony jastrzębia. – Mój panie – powiedział, dysząc – królowi przystoi gniew, lecz Hernystir jest wiernym sprzymierzeńcem pod panowaniem Wielkiego Berła twego ojca, że nie wspomnę już, iż jest to kraj rodzinny twojej świątobliwej matki, niech jej dusza spoczywa w pokoju! Proszę, panie, nie mów tak o Lluthu!

Elias zwrócił piorunujące spojrzenie na Fluirena i wydawało się, że teraz skupi swój gniew na dawnym bohaterze, lecz Pryrates pociągnął za rękaw Króla i nachylił się, szepcąc mu coś do ucha. Twarz Króla złagodniała, lecz wciąż zaciskał mocno zęby. Wszyscy czuli wokół stołu ogromne napięcie, jakby rozwieszono nad nimi sieć, która mogła przynieść coś okropnego.

– Wybacz mi, hrabio, choć było to niewybaczalne – powiedział wreszcie Elias, a na jego ustach pojawił się dziwny, głupawy uśmiech. – Wybaczcie me ostre, bezpodstawne słowa. Dopiero od miesiąca padają deszcze, a przecież poprzednie dwanaście miesięcy były trudne dla nas wszystkich.

Eolair skinął głową nieco zmieszany.

– Naturalnie, Wasza Królewska Mość. Rozumiem. Wybacz, proszę, że cię sprowokowałem.

Po drugiej stronie owalnego stołu Fluiren skrzyżował ręce i pokiwał głową z satysfakcją.

Isgrimnur wstał jeszcze raz, niezdarny jak brunatny niedźwiedź, który wspina się po lodowej tafli.

– Ja także, panie, postaram się mówić spokojnie, choć wszyscy wiedzą, że nie leży to w mej żołnierskiej naturze.

Pogodny grymas wciąż pozostawał na twarzy Eliasa.

– Dobrze, Wuju Niedźwiedzia Skóro, wszyscy przyjmiemy łagodny ton. Co zatem chcesz powiedzieć swojemu Królowi?

Książę z Elvritshalla wziął głęboki oddech i szarpnął nerwowo brodę.

– Ludzie Eolaira i moi są w wielkiej potrzebie, panie. Po raz pierwszy od początków panowania Johna Prezbitera trakt Frostmarch ponownie stał się nieprzejezdny: na północy z powodu śnieżyc, a na południu z powodu bandytów. Nie lepiej wygląda sytuacja na królewskim Trakcie Północnym, który wiedzie przez Wealdhelm. Potrzebujemy tych dróg. – Isgrimnur pochylił się w bok i splunął na podłogę. Fluiren zamrugał. – Z ostatniego listu mego syna Isorna wynika, że wiele spośród należących do klanu wiosek cierpi z powodu niedostatku żywności. Nie możemy handlować, nie możemy utrzymywać kontaktów z innymi klanami.

Guthwulf, który dłubał nożem w krawędzi stołu, ziewnął szeroko. Heahferth i Godwig, dwaj młodzi baronowie przystrojeni w jaskrawozielone szarfy, zachichotali cicho.

– Książę – odezwał się Guthwulf rozparty na krześle jak wygrzewający się na słońcu kot – chyba nie winisz nas za to. Czy nasz Król ma władzę jak Bóg Wszechmocny, by machnięciem ręki powstrzymać śnieżyce i burze?

– Nie twierdzę, że powinien to robić! – zahuczał Isgrimnur.

– A może... – Pryrates odezwał się ze swego honorowego miejsca z szerokim uśmiechem, który wydawał się niestosowny – ...a może winisz także Króla za zniknięcie jego brata, jak słyszeliśmy z pogłosek?

– Nigdy! – Isgrimnur wyglądał na bardzo zaskoczonego. Eolair zmrużył oczy, jakby dostrzegł coś nieoczekiwanego. – Nigdy! – powtórzył książę i patrzył bezradnie na Eliasa.

– No, no, panowie, znam Isgrimnura i wiem, że nigdy nie przyszłoby mu coś takiego do głowy – powiedział Król i machnął lekceważąco ręką. – Przecież stary Wuj Niedźwiedzia Skóra bawił Josuę i mnie na swych kolanach. Ufam, że nic złego nie przydarzyło się Josui. Naturalnie niepokoi mnie fakt, że nie pojawił się w Naglimundzie, lecz jeśli stało się coś złego, to z pewnością nie *moje* sumienie będzie potrzebowało pociechy. – Skończywszy, Elias przez chwilę rzeczywiście wyglądał na zmartwionego; patrzył przed siebie, jakby szukał czegoś w plątaninie wspomnień.

– Wracając do tego, o czym mówiłem, panie... – ciągnął Isgrimnur. – Północne drogi nie są bezpieczne i nie można winić za to tylko pogody. Moje posterunki są stanowczo za słabe. Potrzebujemy więcej ludzi, i to silnych ludzi, którzy będą w stanie zapewnić bezpieczeństwo Frostmarch. Całe bagniste tereny pełne są zbiegów i rabusiów, i... i jeszcze gorszych rzeczy, jak niektórzy twierdzą.

Pryrates pochylił się do przodu zaciekawiony, brodę oparł na smukłych dłoniach jak dziecko, które obserwuje przez okno deszcz, głęboko osadzone oczy zabłysły blaskiem pochodni.

– *Jakie* gorsze rzeczy, szlachetny Isgrimnurze?

– To nie jest ważne. Ludzie... wymyślają, to wszystko. Wiemy, jacy są mieszkańcy bagien... – Isgrimnur zamilkł i speszony pociągnął łyk wina.

Teraz wstał Eolair.

– Jeśli on nie powie tego, co słyszymy od służby i na placach, to ja to zrobię. Ludzie z Północy boją się. Dzieją się rzeczy, których nie da się wytłumaczyć złą pogodą albo marnymi żniwami. W moim kraju nie musimy nazywać pewnych istot aniołami lub diabłami. My, Hernystirczycy, ludzie z Zachodu, wiemy, że po ziemi chodzą istoty, które nie są ludźmi... i wiemy, czy mamy się ich bać, czy nie. My, Hernystirczycy, znaliśmy Sithów, kiedy jeszcze żyli na naszych terenach, kiedy należały do nich wysokie góry i rozległe łąki Erkynlandu. – Pochodnie skwierczały, a wysokie czoło i policzki Eolaira zdawały się promieniować słabym czerwonym blaskiem. – My nie zapomnieliśmy – powiedział spokojnie. Jego głos dotarł nawet do drzemiącego Godwiga, który, zamroczony winem, podniósł głowę jak ogar słyszący odległe wołanie. – My, ludzie z Hernystiru, pamiętamy dni olbrzymów i dni północnego przekleństwa, Białych Lisów, tak więc mówimy wprost: złowróżbna zima i wiosna przyniosły zło. Nie tylko bandyci napadają na podróżnych i nie tylko oni są powodem znikania pojedynczych rolników. Ludzie z Północy boją się...

– My, Hernystirczycy! – Usłyszeli szyderczy głos Pryratesa, który przerwał atmosferę niesamowitości. – My, Hernystirczycy! Nasz szlachetny pogański przyjaciel twierdzi, że przedstawia nam rzeczy oczywiste!

Pryrates wodził dłonią po zbyt okazałym Drzewie, jakie nosił na piersi na swej zupełnie nieodpowiedniej dla duchownego, czerwonej szacie. Elias uśmiechał się chytrze.

– Bardzo dobrze! – ciągnął duchowny. – Otóż przedstawił nam w sposób możliwie najbardziej oczywisty mnóstwo zagadek i plotek! – Pryrates machnął ręką, a jego rękaw zafurkotał nad talerzem. – Jakby Jego Królewska Mość nie miał i tak dość zmartwień: jego brat zniknął, poddani są nękani głodem i strachem, jakby wielkie serce Króla i tak nie było już

bliskie pęknięcia! A ty, Eolairze, przynosisz mu pogańskie bajania o duchach opowiadane przez stare baby!

– Może i Eolair to poganin – mruknął Isgrimnur – lecz więcej w nim Bożej dobrej woli niż w całym tym stadzie leniwych szczeniaków, które, jak widzę, wałęsają się po dworze... – Baron Heahferth zaszczekał, co spowodowało pijacki chichot Godwiga. – Wałęsają się, gdy tymczasem ludzie żywią się lichą nadzieją i jeszcze gorszymi plonami.

– W porządku, Isgrimnurze – powiedział znużony Eolair.

– Panowie! – zamachał rękami Fluiren.

– Nie będę słuchał, jak obrażają twą uczciwość! – Isgrimnur mruknął do Eolaira. Wzniósł pięść, by walnąć nią znowu w stół, lecz zastanowił się i uderzył się w pierś, gdzie pod ubraniem spoczywało drewniane Drzewo. – Wybacz, Królu, mój wybuch, ale hrabia Eolair mówi prawdę. Bezpodstawnie czy też nie, ludzie się boją.

– A czego się boją, mój drogi Wuju Niedźwiedzia Skóro? – zapytał Król i podstawił Guthwulfowi puchar do napełnienia.

– Boją się ciemności – odparł starzec dostojnie. – Boją się zimowej ciemności i tego, że na świecie zapanuje jeszcze większa ciemność.

Eolair postawił swój pusty puchar do góry nogami na stole.

– Na targu w Erchesterze ci nieliczni kupcy, którym udało się przedostać na Południe, przedstawiają ludziom bardzo dziwne wizje. Słyszałem tę opowieść już tyle razy, że nie wątpię, iż wszyscy w mieście ją znają. – Eolair przerwał i popatrzył na Isgrimnura, który przytaknął mu ponuro, szarpiąc brodę.

– Słuchamy – powiedział zniecierpliwiony Elias.

– Nocami na odludnych terenach Frostmarch widziano przedziwną rzecz: wóz, czarny wóz ciągnięty przez białe konie...

– Niesamowite! – zaszydził Guthwulf, lecz Pryrates i Elias spojrzeli na siebie. Król uniósł brwi, zwracając wzrok na mówcę.

– Mów dalej.

– Ci, którzy to widzieli, twierdzą, że wóz ukazywał się przez parę dni po Dniu Błazna. Mówią, że w powozie jest szkatułka, a za nim idą ubrani na czarno mnisi.

– I z jakimiż to pogańskimi istotami wiążą wieśniacy ten obraz? – Elias rozparł się wygodnie na krześle, tak że patrzył na Eolaira tuż nad swym nosem.

– Mówią, Królu, że to wóz żałobny – za przeproszeniem, panie – twego ojca, i że nie spocznie on w spokoju w swym kurhanie tak długo, jak długo kraj będzie cierpiał.

Król przemówił po chwili, jego głos niewiele był głośniejszy od syku pochodni.

– No to – powiedział – będziemy musieli się zatroszczyć, by mój ojciec otrzymał zasłużony spokój, prawda?

PATRZCIE NA NICH – pomyślał stary Towser, ciągnąc swe stare ciało w kierunku tronu. – Patrzcie na nich, wałkonie i dowcipnisie; wyglądają bardziej na pogańskich wodzów Thrithingów niż na aedonickich rycerzy z Erkynlandu”.

Dworzanie Eliasa krzyczeli i pohukiwali, kiedy mijał ich kulejący błazen. Machali do niego, jakby był uwiązaną na łańcuchu małpą z Narax. Nawet Król i jego namiestnik, hrabia Guthwulf, którego krzesło stało tuż przy tronie, podzielali ogólną wesołość. Elias siedział z nogą przewieszoną przez poręcz Smoczego Tronu, jak tkwiący na płocie wiejski chłopak. Jedynie królewska córka, Miriamele, siedziała w milczeniu; jej ładna twarz była poważna, ramiona odciągnęła do tyłu, jakby spodziewała się ciosu. Po

obu stronach twarzy opadały włosy barwy złocistego miodu, które nie przypominały jej ciemnego ojca ani kruczoczarnej matki.

„WYGLĄDA TAK, JAKBY CHCIAŁA się schować za tymi włosami – pomyślał Towser. – Jaki wstyd. Mówią, że to piegowate dziecko jest krnąbrne i uparte, ja zaś widzę w jej oczach jedynie strach. Myślę, że zasługuje na coś lepszego niż te puszące się wilki, które grasują po całym zamku. Mówią też, że ojciec obiecał ją już temu przeklętemu i pyszałkowatemu pijakowi, Fengbaldowi”.

Nie mógł iść szybko z powodu rąk, które wyciągały się, by go pogłaskać lub nawet lekko uderzyć. Podobno dotknięcie głowy karła przynosi szczęście. Towser nie był karłem, lecz był bardzo, bardzo stary i zgarbiony, dlatego dworzanie z chęcią traktowali go, jakby nim był.

Dotarł wreszcie do tronu Eliasa. Oczy Króla były najwyraźniej zaczerwienione od zbyt dużej ilości wypitego wina lub zbyt krótkiego snu, bądź, co było bardziej prawdopodobne, z obu tych powodów.

Elias popatrzył swymi zielonymi oczami w dół na starca.

– Ach, drogi Towser – powiedział. – A więc zaszczyciłeś nas swoją obecnością.

Błazen zauważył, że guziki białej koszuli Króla były porozpinane, a zatknięte za pas piękne, skórzane rękawice poplamione sosem.

– Tak, panie, przyszedłem. – Sztywna noga przeszkadzała mu ukłonić się odpowiednio, co wywołało na sali pomruk radości.

– Zanim zaczniesz nas bawić, stary błaźnie, uczyń mi, proszę, jedną przysługę – powiedział Elias, zdjął nogę z poręczy tronu i popatrzył rozweselony na starego. – Jedno pytanie, które już dawno chciałem ci zadać.

– Oczywiście, mój Królu.

– Powiedz mi, jak to się stało, że nadano ci psie imię? – Elias uniósł brwi w udawanym zdziwieniu i spojrzał najpierw na Guthwulfa, który wyszczerzył zęby w uśmiechu, a potem na Miriamele, która odwróciła wzrok. Pozostali dworzanie śmiali się i szeptali skrycie.

– Panie, nie nadano mi psiego imienia – powiedział spokojnie Towser. – Sam je dla siebie wybrałem.

– Co? – powiedział Elias, zwracając się do starca. – Nie wiem, czy dobrze usłyszałem.

– To *ja* nadałem sobie psie imię. Twój szlachetny ojciec miał zwyczaj drażnić się ze mną co do mej wierności, ponieważ wszędzie z nim chodziłem, zawsze byłem u jego boku. Dla żartu nazwał jednego ze swych ogarów „Cruinh”, które to imię było moim własnym. – Starzec obrócił się nieco, by zagrać dla całej widowni. – „Tak więc – powiedziałem – skoro pies otrzymał moje imię z woli Johna, to ja przybiorę imię psa”. Od tamtego dnia reagowałem już tylko na imię Towser i tak już zostanie. – Towser uśmiechnął się słabo. – Być może twój czcigodny ojciec żałował później tego dowcipu.

Elias nie wydawał się usatysfakcjonowany tą odpowiedzią, lecz roześmiał się i klepnął po kolanie.

– Zuchwały karzeł, co? – zapytał, patrząc dookoła.

Pozostali uśmiechali się uprzejmie, chcąc dorównać nastrojem Królowi. Nie śmiała się tylko Miriamele, która patrzyła w dół na Towsera z krzesła z wysokim oparciem; błazen nie potrafił zrozumieć osobliwego wyrazu jej twarzy.

– No cóż – rzekł Elias – gdybym nie był tak dobrym Królem, jak jestem, a byłbym na przykład pogańskim królem jak Lluth, mógłbym kazać

odciąć twą malutką, pomarszczoną główkę za takie słowa o mym zmarłym ojcu. Ale oczywiście nie jestem takim królem.

– Oczywiście, że nie jesteś, panie – powiedział Towser.

– Przyszedłeś zaśpiewać nam czy pofikać koziołki; mam nadzieję, że nie to drugie, bo twe ciało zdaje się nieco za kruche na takie błazeństwa. A może jeszcze coś innego? Chodź i zdradź to nam. – Elias usiadł wygodnie na tronie i klasnął, by nalano mu wina.

– Przyszedłem zaśpiewać, Wasza Królewska Mość – odparł błazen.

Zdjął z ramienia lutnię i zaczął ją stroić. Kiedy młody paź pospieszył, by napełnić puchar Króla, Towser popatrzył w górę, gdzie wisiały sztandary rycerzy z Osten Ard pod mokrymi od deszczu górnymi oknami. Nie było już na nich kurzu i pajęczyn, lecz jasne kolory proporców wydawały się Towserowi fałszywe – zbyt jasne, jak wymalowana skóra kurtyzany, która ma nadzieję zachować dawne, młode lata i niszczy prawdziwe piękno, jakie w niej pozostało.

Kiedy wystraszony paź skończył nalewać wina Guthwulfowi, Fengbaldowi i innym, Elias skinął na Towsera.

– Mój panie – powiedział starzec – zaśpiewam o innym dobrym królu, był to jednak nieszczęśliwy i smutny monarcha.

– Nie lubię smutnych piosenek – powiedział Fengbald, który był już najwyraźniej mocno podchmielony. Obok niego siedział uśmiechający się głupawo Guthwulf.

– Cicho! – Namiestnik królewski trącił łokciem z afektacją sąsiada. – Jak nam się nie spodoba piosenka, to może każemy mu poskakać.

Towser chrząknął, trącił palcem struny i zaczął śpiewać swym cienkim, słodkim głosem:

Sędziwy król Jałowiec
Później dożył starości,
Z brodą długą i białą,
Co chude skrywała mu kości.

Król Jałowiec, szlachetny i stary,
Na tronie zasiadł i rzekł tak:
„Synów moich zaraz sprowadźcie,
Gdyż sił mi już brak”.

Zaraz też po nich posłano
I z łowów przybyli na rozkaz monarszy,
Syn młodszy, książę Ostrokrzew,
I książę Pietrasznik, syn starszy.

„Słysząc wezwanie twe, ojcze,
Zwierzaśmy w lesie musieli zostawić.
Cóż tak pilnego – pyta Pietrasznik –
Że przed tronem każesz nam się stawić?”

„Umrzeć mi przyjdzie niebawem, synowie,
Z pewnością to wiecie,
Lecz nim śmierć mnie zabierze, chcę widzieć,
Że w zgodzie żyjecie”.

– Nie podoba mi się ta piosenka – warknął Guthwulf. – Czuję w niej kpinę.

Elias skinął na niego, by zamilkł; z błyskiem w oku dał znak Towserowi.

„Mój drogi ojcze, skąd te obawy?
Wszak książę Pietrasznik twym synem pierworodnym.
Rzecz to jest pewna – rzekł Ostrokrzew. –
Z pewnością będzie tronu godnym”.

Król synom swym odejść rozkazał,
Słowami takimi wielce poruszony,
I zaraz Aedonowi dziękczynienie złożył,
Że potomstwem tak dobrym został obdarzony.

Lecz w sercu Pietrasznika,
Co królem niebawem miał zostać,
Łagodne słowa jego brata
Podłości przybrały postać.

Gdy słówka tak czułe z książęcych ust płyną,
To serce nikczemne kryć muszą –
Pomyślał Pietrasznik – wnet plan mój ułożę
I słowa mnie jego nie wzruszą.

Pietrasznik przestraszony dobrocią braterską,
Którą mu brat okazywał,
Flakonik z trucizną czym prędzej wyciągnął,
By płaszcz już go więcej nie skrywał.

I kiedy obaj do stołu zasiedli,
Truciznę do wina Ostrokrzewa nalał,
A potem bratu podsunął do wypicia...

– Dosyć! To zdrada! – ryczał Guthwulf i podniósł się gwałtownie, przewracając swe krzesło na zaskoczonych dworzan; usłyszeli świst wyjmowanego z pochwy miecza. Gdyby pijany Fengbald nie wstał i nie popchnął Guthwulfa, ten z pewnością skoczyłby na cofającego się Towsera. Elias także zerwał się na nogi.

– Schowaj ten szpikulec, głupcze! – krzyknął. – Nie wyciąga się miecza w Sali Tronowej!

Odwrócił się od warczącego Guthwulfa w stronę błazna. Starzec ochłonął już trochę po niespodziewanym napadzie wściekłego hrabiego i starał się stać godnie.

– Nie sądź, ty skarlała istoto, że podobała nam się twoja piosenka – powiedział gniewnie Król – albo że twa długoletnia służba u mego ojca czyni cię nietykalnym. Nie myśl też, że takimi smalonymi dubami potrafisz zranić Króla. Zejdź mi z oczu!

– Przyznaję, panie, że piosenka ta powstała niedawno – zaczął niepewnie błazen. Czapka z dzwoneczkami przekrzywiła mu się na głowie. – Ale nie miała ona...

– Wynoś się stąd! – Elias splunął; twarz miał bladą, a jego oczy płonęły wściekłością.

Towser wykuśtykał szybko z sali, drżąc na widok ostatniego, dzikiego spojrzenia Króla i osaczonej, zrozpaczonej twarzy jego córki, księżniczki Miriamele.

11. Niespodziewany gość

BYŁO POPOŁUDNIE, OSTATNI DZIEŃ miesiąca Avrel. Simon leżał ukryty w sianie na strychu stajni; unosił się w drapiącym, żółtym morzu, jedynie głowa wystawała mu ponad zakurzone fale. Kurz z siana opadał, migocąc w świetle szerokiego okna, a on słuchał własnego oddechu.

Przyszedł właśnie z ocienionej galerii w kaplicy, gdzie mnisi śpiewali wieczorne pieśni. Czyste, wznoszące się i opadające tony ich nabożnych modlitw poruszyły go tak, jak czasem sama kaplica i to, co się w niej działo. Każda nutka wyśpiewana z taką uwagą, a potem tak cudownie unosząca się, jakby rzeźbiarz puszczał na strumieniu delikatne łódki. Śpiewające głosy oplotły jego wypełnione tajemnicami serce siecią słodką i zimną jak srebro; wciąż czuł na sobie jej łagodne nici. To było tak dziwne uczucie: przez chwilę miał wrażenie, że jest kulką z piór i bijącym mocno sercem – przestraszony ptak w dłoniach Boga.

Zbiegł z galerii z uczuciem, że nie jest godny takich tęsknot i subtelnych uczuć – był zbyt niezdarny, za głupi. Wydawało mu się, że swymi spękanymi dłońmi podkuchennego mógłby źle uchwycić tak piękną muzykę.

Teraz, na strychu, jego serce biło wolniej. Zanurzył się głęboko w duszne, szepcące siano i z zamkniętymi oczami słuchał cichego rżenia stojących pod nim w przegrodach koni. Wydawało mu się, że reaguje na

niewyczuwalny prawie dotyk drobinek kurzu, gdy opadały na jego twarz w nieruchomej, drzemiącej ciemności.

Może się zdrzemnął – nie był pewien – lecz następną rzeczą, jaką usłyszał, były głosy na dole. Przewrócił się na brzuch i przesunął przez łaskoczące siano w kierunku skraju strychu, aż zobaczył, co się dzieje na dole.

Było ich trzech: Shem Stajenny, Ruben Niedźwiedź i mały mężczyzna, którym według Simona mógł być Towser, stary błazen. Nie był pewien, ponieważ nie miał on na głowie błazeńskiej czapki, a za to miał kapelusz, który zakrywał większą część twarzy. Weszli do stajni, zataczając się; Ruben trzymał dzban w pięści szerokiej jak jagnięce udo. Wszyscy byli już mocno pijani, a Towser – jeśli to był on – śpiewał starą piosenkę:

Jack zabrał swą pannę
Na wesołe wzgórze.
Śpiewają roztańczeni,
Pół korony w kieszeni...

Ruben podał dzban małemu mężczyźnie. Ciężar przeważył go w połowie strofy, tak że się zatoczył, a potem przewrócił, gubiąc kapelusz. Tak, to był Towser. Kiedy znieruchomiał na ziemi, Simon rozpoznał jego ściągniętą, pokrytą bliznami twarz, która teraz zaczęła marszczyć się wokół oczu, jakby za chwilę miał się rozpłakać. Zamiast tego Towser, oparty o ścianę z dzbanem między kolanami, wybuchnął śmiechem. Jego dwaj towarzysze przycupnęli chwiejnie obok. Siedzieli w rzędzie jak sroki na płocie.

Simon zastanawiał się, czy powinien się ujawnić. Nie znał Towsera zbyt dobrze, ale za to z Shemem i Rubenem zawsze był w przyjacielskich

stosunkach. W końcu zdecydował się siedzieć cicho. Śmieszniej było patrzeć na nich z ukrycia – może uda mu się spłatać im jakiegoś figla. Umościł się wygodnie i słuchał.

NA ŚWIĘTEGO MUIRFATHA I ARCHANIOŁA! – westchnął Towser po paru chwilach pijackiej ciszy. – Bardzo mi tego brakowało! – Powiódł palcem po krawędzi dzbana, a potem przyłożył ten sam palec do ust.

Shem sięgnął poprzez ogromny brzuch kowala i wziął od niego dzban, z którego pociągnął łyk. Otarł usta wierzchem twardej dłoni.

– To dokąd teraz pojedziesz? – zapytał błazna.

Towser westchnął. Zdawało się, że życie uleciało nagle z całej trójki; wszyscy trzej patrzyli ponuro w podłogę.

– W Grenefod, u ujścia rzeki, mam krewnych, dalekich krewnych. Może tam pojadę, chociaż wątpię, żeby się ucieszyli jeszcze jedną gębą do wyżywienia. Może pojadę na północ do Naglimundu.

– Ale Josua zniknął – powiedział Ruben i beknął.

– Tak, odjechał.

Towser zamknął oczy i stuknął głową o surowe drewno drzwi padoku.

– Lecz ludzie Josuy wciąż są w Naglimundzie i znajdą trochę współczucia dla kogoś wygnanego z domu przez prostaków Eliasa, teraz może nawet więcej niż trochę, kiedy mówi się, że Elias zamordował biednego księcia Josuę.

– Inni gadają, że Josua zdradził – wtrącił Shem, pocierając sennie brodę.

– Tfu! – Błazen splunął.

W swojej kryjówce na strychu Simon poczuł ciepło wiosennego popołudnia, jego leniwy ciężar. Rozmowa na dole stała się odległa,

nieistotna – morderstwo i zdrada były jakby nazwami jakichś odległych miejsc. W czasie długiej ciszy, jaka nastąpiła, Simon czuł, że jego powieki stają się coraz cięższe...

– Towser, a może to nie było aż tak rozsądne – przemówił Shem, stary chudy Shem, tak kościsty i wysuszony jak coś, co powieszono w wędzarni – ...no wiesz, szczucie Króla. Musiałeś śpiewać taką drażliwą piosenkę?

– Ha! – Towser podrapał się energicznie po nosie. – Moi przodkowie z Zachodu to byli *prawdziwi* bardowie, a nie takie kulawe niezgraby. Zaśpiewaliby mu taką piosenkę, że zaraz położyłby uszy po sobie! Mówią, że poeta Eoin-ec-Cluias ułożył kiedyś złośliwą piosenkę, która miała taką moc, że wszystkie złociste pszczoły z Grianspog zleciały się do wodza Gormhbata i zakłuły go na śmierć... to była piosenka! – Błazen znowu oparł głowę o ścianę stajni. – Król?! Też coś, przez usta mi to nawet nie chce przejść. Byłem z jego świątobliwym ojcem przez całe życie. To był człowiek, którego można było nazwać Królem! Ten nie jest lepszy od zbója... ani w połowie nie dorównuje swemu ojcu...

Głos Towsera ucichł. Głowa Shema opadła powoli na pierś. Ruben miał oczy otwarte, lecz wyglądał, jakby patrzył w ciemne miejsca między krokwiami. Siedzący obok niego błazen poruszył się znowu.

– Czy opowiadałem wam o mieczu Króla? – odezwał się nagle Towser. O mieczu króla Johna – Białym Gwoździu? Dał mi go i powiedział: „Towser, tylko ty możesz przekazać go mojemu synowi Eliasowi. Tylko ty...!” – Po pomarszczonym policzku błazna popłynęła łza. – „Zaprowadź mego syna do Sali Tronowej i daj mu Biały Gwóźdź” – powiedział do mnie. Tak zrobiłem. Przyniosłem mu miecz tej samej nocy, kiedy zmarł jego ojciec... wsadziłem go do jego ręki, tak jak polecił mi jego ojciec... a on go upuścił! *Upuścił!* – Towser mówił teraz gniewnie. – Miecz, którym jego ojciec walczył w bitwie więcej razy, niż suka ma pcheł! Nie mogłem

uwierzyć, że taki jest niezdarny... tak mało w nim szacunku! Słuchacie mnie? Shem? Ruben?

Kowal mruknął coś pod nosem.

– Sza! Przeraziłem się naturalnie. Podniosłem miecz, wytarłem suknem, w które był owinięty, i podałem mu go. Tym razem wziął go w dwie ręce. „Wygiął się" – powiedział jak jakiś idiota. Kiedy go tak trzymał, jego twarz przybrała bardzo dziwny wygląd, jak... jak... – Błazen zamilkł. Simon obawiał się, że zasnął, lecz najwyraźniej myślał tylko powoli, zamroczony winem. – Jego twarz – podjął Towser – wyglądała jak twarz dziecka, które przyłapano na czymś bardzo, bardzo podłym, tak, dokładnie tak wyglądała. Zbladł i wykrzywił usta, a potem oddał mi miecz! „Pochowaj go razem z moim ojcem – powiedział. – To jego miecz, powinien go mieć ze sobą". „Ależ, panie, twój ojciec chciał, byś *ty* go otrzymał" – powiedziałem. Myślicie, że słuchał? On? Nie. „Nadeszły nowe czasy, staruszku – powiedział do mnie – nie musimy trzymać się tych starych pamiątek z przeszłości". Wyobrażacie sobie taki tupet u tego półgłówka?

Towser pomacał wokół siebie dłońmi i znalazł dzban, z którego pociągnął długi łyk. Obaj jego towarzysze mieli zamknięte oczy i chrapali głośno, lecz błazen w swym oburzeniu nie zwracał na to uwagi.

– A potem nie potrafił nawet na tyle uszanować ojca, by samemu złożyć miecz w grobie. Nie chciał... nie chciał go nawet dotknąć. Kazał to zrobić młodszemu bratu! Kazał Josui... – Towser pokiwał łysą głową. – Można by pomyśleć, że go parzył... kiedy go oddawał... tak szybko... cholerny szczeniak. – Głowa Towsera podskoczyła do góry, potem opadła na jego pierś i już więcej się nie podniosła.

Kiedy Simon schodził cichutko po drabinie ze strychu, wszyscy trzej chrapali już jak stare psy przed kominkiem. Szedł na palcach. Zatrzymał się tylko na chwilę, by zatkać dzban, na wypadek gdyby któryś przewrócił go

w pijackim śnie. Wyszedł na zewnątrz i zobaczył, że słońce świeci już ukośnie nad błoniami.

„Tyle dziwnych rzeczy wydarzyło się tego roku” – pomyślał. Usiadł i rzucał kamyki do studni na środku dziedzińca. Susza i zaraza, książę zniknął, ludzie spaleni i zabici w Falshire... Lecz jakoś nic z tego nie wydawało mu się bardzo ważne.

„Wszystko to przydarza się komuś innemu – stwierdził Simon trochę zadowolony, a trochę rozczarowany. – Wszystko to przydarza się obcym”.

SIEDZIAŁA SKULONA W OKNIE, patrząc na coś w dole przez delikatnie rzeźbione szyby. Nie podniosła wzroku, kiedy wszedł, choć skrzypienie jego butów na kamiennej podłodze było wyraźne. Zatrzymał się na chwilę w drzwiach ze skrzyżowanymi rękami, lecz ona wciąż się nie odwracała. Podszedł i popatrzył nad jej ramieniem.

Na błoniach nic się nie działo, tylko jakiś chłopak z kuchni siedział na krawędzi kamiennego zbiornika; miał długie nogi, kudłatą czuprynę i poplamioną bluzę. Były tam jeszcze owce, brudne kłęby przesuwały się po ciemnej ziemi w poszukiwaniu świeżej trawy.

– O co chodzi? – zapytał i położył ogromną dłoń na jej ramieniu. – Czy mnie nienawidzisz, że się tak odwracasz bez słowa?

Pokręciła głową i na chwilę zatrzymała w swych włosach wiązkę promieni słonecznych. Jej dłoń powędrowała do góry i chwyciła jego rękę zimnymi palcami.

– Nie – powiedziała, nie odrywając wzroku od pustego dziedzińca. – Lecz nie mogę znieść tego, co tu widzę dookoła.

Pochylił się do przodu, ale ona szybko wyrwała swą dłoń z jego ręki i zbliżyła ją do twarzy, jakby chciała się osłonić przed popołudniowym słońcem.

– Czego? – zapytał, a w jego głosie narastało zniecierpliwienie. – Wolałabyś być teraz w Meremundzie, mieszkać w tej pełnej przeciągów klatce, którą podarował mi mój ojciec, gdzie smród ryb zatruwa powietrze nawet na najwyższych balkonach? – Uniósł jej brodę i łagodnie, lecz stanowczo odwrócił tak, by mógł spojrzeć w jej oczy pełne łez i złości.

– Tak! – odparła i odepchnęła jego dłoń, lecz nie odwracała wzroku. – Tak, wolałabym. Czuje się tam też wiatr i widać ocean.

– Ach, Boże, dziewczyno, ocean? Jesteś panią całego znanego świata, a płaczesz dlatego, że nie możesz zobaczyć jakiejś tam cholernej wody? Spójrz! Spójrz tutaj! – Wskazał palcem poza mury Hayholt. – A czym jest Kynslagh?

Popatrzyła na niego z pogardą.

– To zatoka, królewska zatoka, która czeka biernie, aż Król wykąpie się w niej albo popływa łodzią. Morze nie należy do żadnego króla.

– Ach! – Opadł na klęcznik, a jego długie nogi zwisały po obu jego stronach. – Chcesz chyba przez to powiedzieć, że czujesz się tu jak w więzieniu, co? Bzdura! Wiem, co cię trapi.

Odwróciła się teraz od okna zaciekawiona.

– Wiesz? – spytała, a pod warstwą pogardy kryła się cienka nitka nadziei. – To powiedz mi, ojcze.

Elias roześmiał się.

– Martwisz się tym, że masz wyjść za mąż. Wcale mnie to nie dziwi. – Przysunął się do niej. – Ach, Miri, nie ma się czego bać. Fengbald to pyszałek, ale jest jeszcze młody i głupi. Potrzeba mu cierpliwej kobiecej ręki, a nauczy się dobrych manier. A jeśli nie, hmm, byłby głupcem, gdyby spróbował źle traktować królewską córkę.

Twarz Miriamele przybrała wyraz rezygnacji.

– Nic nie rozumiesz – powiedziała obojętnie jak poborca podatkowy. – Fengbald nie obchodzi mnie bardziej niż kamień przy drodze czy but. To ty mnie niepokoisz. To w tobie jest coś, co mnie przeraża. Dlaczego tak się przed nimi popisujesz? Dlaczego kpisz i grozisz starcom?

– Kpię i grożę?! – Gniewny grymas przebiegł po twarzy Eliasa. – Ten stary sukinsyn wyśpiewuje piosenki, które oskarżają mnie o to, że zabiłem mego brata, a ty mówisz, że ja z niego kpię? – Król wstał nagle, odpychając klęcznik tak, że potoczył się po podłodze. – A czego miałbym się bać? – zapytał niespodziewanie.

– Jeśli ty nie wiesz, ty, który tyle czasu spędziłeś z tym czerwonym wężem i jego szatańską magią, jeśli ty nie widzisz tego, co się dzieje...

– Na Aedona, o czym ty mówisz? – zapytał Król. – Co ty wiesz? – Uderzył dłonią po udzie. – Nic nie wiesz! Pryrates jest mym dobrym sługą, zrobi dla mnie to, czego inni nie potrafią.

– To potwór i czarnoksiężnik! – krzyknęła księżniczka. – Ojcze, stajesz się jego narzędziem! Co się z tobą dzieje? Zmieniłeś się!

Miriamele westchnęła zrezygnowana, starając się ukryć twarz w długim welonie, lecz zaraz zerwała się i pomknęła cicho w swych miękkich pantoflach do sypialni. Ciężkie drzwi komnaty zamknęły się za nią.

– A niech diabli porwą wszystkie dzieci! – zaklął Elias. – Dziewczyno! – zawołał, idąc w kierunku drzwi – Nic nie rozumiesz! Nie masz pojęcia o tym, do czego powołany jest Król. I nie masz prawa być nieposłuszną. Nie mam syna! Nie mam następcy! Wokół mnie kręci się pełno ambitnych ludzi, a ja potrzebuję Fengbalda. Nie pokrzyżujesz mych planów!

Stał długo w milczeniu, lecz nie padła żadna odpowiedź. Wreszcie uderzył dłonią w drzwi, tak że aż się zatrzęsły.

– Miriamele! Otwórz! – Nic nie usłyszał. – Córko – powiedział i oparł głowę o drzwi – daj mi tylko wnuka, a ja dam ci Meremund. Dopilnuję, by

Fengbald nie przeszkadzał ci w odejściu. Resztę swego życia będziesz mogła spędzić, patrząc na ocean. – Uniósł dłoń i starł coś z twarzy. – Ja nie lubię patrzeć na ocean... przypomina mi twoją matkę.

Jeszcze raz uderzył w drzwi. Echo rozeszło się po sali i ucichło.

– Kocham cię, Miri... – powiedział cicho Król.

WIEŻYCZKA W ROGU zachodniego muru pierwsza poczuła chłód, gdyż pozbawiona była popołudniowego słońca. Kolejny kamyk zagrzechotał, spadając w przepaść zbiornika za setką swych poprzedników.

„Jestem głodny” – stwierdził Simon.

Dobrze byłoby pójść do spiżarni i wycyganić coś do jedzenia od Judith. Kolacja miała być nie wcześniej niż za godzinę, a on zaniepokojony przypomniał sobie, że od rana nie miał nic w ustach. Kłopot w tym, że Rachel i jej armia rozpoczęły wiosenną kampanię w długim holu refektarza i komnatach przyległych do jadalni. W miarę możności dobrze byłoby uniknąć Smoka i tego, co miałaby do powiedzenia, słysząc prośbę o coś do zjedzenia przed kolacją.

Po krótkim namyśle, w czasie którego trzy kolejne kamyki zagrzechotały na dnie studni, Simon zdecydował, że bezpieczniej będzie przejść dołem, poniżej Smoka, niż go niepostrzeżenie obejść. Refektarz zajmował całą długość górnego piętra wzdłuż graniczącej z morzem Ściany Centralnej twierdzy zamku. Przejście do kuchni z drugiej strony, przez Kancelarię, trwałoby bardzo długo. Nie, jedyna droga prowadziła przez piwnice.

Przemknął szybko przez nikogo niezauważony z dziedzińca do zachodniego portyku refektarza. Przyspieszył kroku, słysząc chlupanie mydlanej wody i szuranie mioteł. Szybko zniknął w drzwiach niższego

piętra, prowadzących do pomieszczeń piwnicznych, które zajmowały prawie cały obszar pod skrzydłem jadalni.

Znajdowało się mniej więcej kilkanaście stóp poniżej szczytu Muru Wewnętrznego i dlatego wpadały tam przez okno jedynie resztki odbitego światła. Simon poczuł się pewniej w mroku. Nie przynoszono tu pochodni ze względu na składane tam łatwo palne substancje. Tak więc małe były szanse, by go ktoś odkrył.

W głównym pomieszczeniu stały ustawione jedne na drugich beczułki i antałki z żelaznymi obręczami. Ułożone pod sufit tworzyły mroczny krajobraz okrągłych wież i ciasnych przełęczy. Beczki mogły zawierać najprzeróżniejsze artykuły: suszone warzywa, sery, bele starych materiałów, a może nawet zbroje, które przypominały lśniące ryby w beczkach pełnych czarnego jak noc oleju. Pokusa otworzenia jednej i sprawdzenia, co się w niej kryje, była bardzo silna, lecz Simon nie miał niczego, czym mógłby podważyć mocno przybite gwoździami wieko. Nie chciał też robić zbyt wiele hałasu, biorąc pod uwagę fakt, że nad jego głową pracowały w pocie czoła legiony Smoka.

Znalazłszy się na środku długiego, mrocznego pomieszczenia, klucząc między wieżami z beczek, które pochylały się jak katedralne przypory, Simon niemal wpadł w ciemną dziurę.

Przestraszony i zdziwiony odskoczył do tyłu i zorientował się, że to nie zwykła dziura, lecz coś w rodzaju luku z otwartymi drzwiami. Obszedł otwór wąskim przejściem... ale dlaczego drzwi nie były zamknięte? Z pewnością tak ciężkie drzwi nie otworzyły się same. Wątpliwe też, by któryś z piwnicznych wynosił coś z niższego pomieszczenia i zapomniał zamknąć drzwi.

Po bardzo krótkim wahaniu Simon zsunął się po drabinie w dół. Kto wiedział, jakie dziwne i tajemnicze rzeczy mogła skrywać tamta piwnica?

Przede wszystkim było tam znacznie ciemniej i początkowo Simon nic nie widział. Pomacał stopą i natknął się na coś, co swą solidnością przypominało podłogę. Kiedy jednak opuścił drugą nogę, nie znalazł dla niej żadnego oparcia i tylko silny uchwyt szczebla drabiny powstrzymał go od upadku. Pod drabiną znajdował się kolejny otwór, który prowadził na jeszcze niższy poziom. Pomacał stopą, aż znalazł krawędź kolejnego luku i stanął na podłodze.

Otwór nad głową Simona był teraz szarym kwadratem na czarnym tle. W jego słabym świetle rozczarowany zdołał zobaczyć, że to pomieszczenie jest niewiele większe od garderoby. Było znacznie niższe od pomieszczenia nad nim, a w miejscu, w którym stał, ściany oddalone były od niego zaledwie o parę długości wyciągniętej ręki. Całe pomieszczenie zastawiono aż po sufit beczkami i workami; pozostawiono jedynie wąskie przejście, by oddzielić chylące się stosy suchych artykułów.

Gdy rozglądał się bez większego zainteresowania, gdzieś skrzypnęła podłoga. W ciemności poniżej usłyszał miarowe kroki.

„Och, na Rany Boga, co to takiego? Co ja zrobiłem?”

Ale z niego głupiec! Nie pomyślał, że luk jest otwarty dlatego, iż ktoś jest jeszcze tam w dole. Znowu to samo! Przeklinając w duchu samego siebie za to, że zachował się jak dureń, Simon wycofał się przejściem między beczkami i workami. Kroki zbliżały się do drabiny. Usunął się z przejścia, wbijając pomiędzy dwa zatęchłe worki, w których, sądząc po zapachu i dotyku, mogła być stara bielizna. Wiedział, że ten, kto wyjdzie na górę i stanie na ścieżce, zauważy go, więc przykucnął nieco i oparł ciężar ciała na jakimś dębowym kufrze. Kroki zatrzymały się, a drabina zaczęła trzeszczeć, kiedy ktoś zaczął się po niej wspinać. Simon wstrzymał oddech. Nie wiedział, dlaczego tak się nagle przestraszył; nawet gdyby go złapali, to skończyłoby się kolejną karą, parę piorunujących spojrzeń i cierpkich słów

ze strony Rachel – więc dlaczego czuł się jak królik, którego zwietrzyły psy?

Kroki wskazywały, że ktoś wciąż się wspina, i przez chwilę zdawało się, że nieznana osoba wejdzie do ogromnego pomieszczenia powyżej... lecz skrzypienie ustało. Cisza śpiewała w uszach Simona. Nastąpiło skrzypnięcie jedno, drugie, a potem zdał sobie sprawę – czując, jak żołądek podchodzi mu do gardła – że kroki wracają na dół. Usłyszał stłumione stuknięcie, kiedy niewidoczna postać zeszła z drabiny na podłogę, i znowu zapadła cisza, tyle tylko, że teraz zdawała się pulsować. Kroki przesunęły się wzdłuż przejścia, aż zatrzymały się dokładnie naprzeciw kryjówki Simona. W słabym świetle dostrzegł ostre czubki czarnych butów, odległe od niego tylko na wyciągnięcie ręki; nad nimi unosił się obrębiony na czarno rąbek czerwonej szaty. To był Pryrates.

Simon wcisnął się głębiej między worki i błagał Aedona, by zatrzymał jego serce, które – jak mu się zdawało – waliło jak młot. Poczuł, że wbrew jego woli coś każe mu patrzeć do góry, między workami, które go skrywały. Przez wąską szczelinę zobaczył bladą twarz alchemika; przez chwilę wydawało mu się, że Pryrates patrzy wprost na niego i nieomal zapiszczał z przerażenia. Jednak zorientował się, że tak nie jest. Ocienione oczy duchownego patrzyły na ścianę nad głową Simona. Nasłuchiwał.

Wyjdź.

Usta Pryratesa nie poruszały się, lecz Simon słyszał głos tak wyraźnie, jakby ktoś szeptał mu do ucha.

Wyjdź. Teraz.

Głos był stanowczy, choć nie bardzo głośny. Simon zawstydził się swego zachowania. Przecież nie należało się bać. Dziecinadą było chowanie się w ciemności; powinien wstać i przyznać się do żartu... a jednak...

Gdzie jesteś? Pokaż się.

Spokojny głos, który zabrzmiał w jego uchu, przekonał go, że nie ma nic prostszego, niż wstać i się odezwać. Uchwycił się worka, żeby się podeprzeć, gdy czarne oczy Pryratesa spoczęły przez moment na ciemnej szczelinie, przez którą patrzył. Ten wzrokowy kontakt zmroził wszelką myśl o ukazaniu się, tak jak nagły przymrozek niszczy pąki róży. Spojrzenie Pryratesa dotknęło wzroku chłopca i drzwi do serca Simona otworzyły się – na ich progu stanął cień zniszczenia.

To była śmierć – Simon wiedział o tym. Czuł, jak pod palcami kruszy się grobowa ziemia, czuł ciężar ciemnej, wilgotnej ziemi w ustach i na oczach. Teraz nie było już słów, nie słyszał spokojnego głosu, jedynie doświadczył uczucia jakby ciągnięcia – coś pozbawione dotyku ciągnęło go powoli do przodu. Lodowy robak wgryzł się w jego serce; to była czekająca śmierć... *jego śmierć*. Gdyby uczynił najmniejszy hałas, zadrżał albo wziął głębszy oddech, to nigdy już nie zobaczyłby słońca. Zacisnął oczy tak mocno, że bolały go skronie. Zwarł usta, by nie poddać się wzrastającej potrzebie oddechu. Cisza tętniła i syczała. Uczucie ciągnięcia stawało się coraz silniejsze. Miał wrażenie, że powoli osuwa się w miażdżące go morskie głębiny.

Nagle coś zawyło, a potem usłyszał przekleństwo zaskoczonego Pryratesa. Zaciskająca się pętla zniknęła. Simon otworzył oczy i zdążył jeszcze zobaczyć, jak przemyka obok niego coś gładkiego i szarego, a potem pędzi obok butów Pryratesa w stronę otworu i znika w ciemności. Ochrypły śmiech zdziwionego Pryratesa odbił się głuchym echem po zagraconym magazynie.

Kot...?

Jeszcze tylko kilka uderzeń serca i czarne buty odwróciły się i odeszły w stronę luku. Po chwili Simon usłyszał skrzypienie szczebli drabiny.

Simon wciąż siedział spięty i czujny, ledwo oddychając. Zimny pot spływał mu na oczy, lecz nie podniósł ręki, żeby go zetrzeć – jeszcze nie.

WRESZCIE PO WIELU MINUTACH, kiedy ucichły wszelkie odgłosy, Simon wynurzył się zza worków i stanął na trzęsących się nogach. Chwała Usiresowi i temu małemu kociakowi! Co teraz robić? Wprawdzie słyszał zamykanie górnego luku i kroki nad głową, lecz to nie musiało oznaczać, że Pryrates odszedł bardzo daleko. Ryzykowne byłoby podnieść zamknięcie otworu i rozejrzeć się; jeśli duchowny był jeszcze w magazynie, to z łatwością mógł go usłyszeć. Jak miał się wydostać?

Wiedział, że powinien pozostać i czekać w ciemności. Nawet jeżeli alchemik jest na górze, to przecież kiedyś będzie musiał sobie pójść. Na razie to rozwiązanie wydawało się Simonowi najbezpieczniejsze, chociaż inna część Simona buntowała się przeciw niemu. Strach to jedna sprawa – a Pryrates przestraszył go na śmierć – lecz co innego było spędzić całe popołudnie w ciemnej dziurze i cierpieć związane z tym katusze, gdy Pryrates prawie na pewno szedł już do swej siedziby w Wieży Hjeldin.

„A poza tym nie sądzę, żeby był w stanie zmusić mnie do wyjścia... a może? Byłem tylko śmiertelnie przestraszony...”

Przypomniał sobie szczeniaka z przetrąconym grzbietem. Przełknął ślinę i przez jakiś czas oddychał głęboko.

Ten kot uratował go przed złapaniem – *złapaniem*: zawsze będzie pamiętał czarne oczy Pryratesa. Było czego się bać. Gdzie się podział ten kot? Jeśli skoczył w dół, to niewątpliwie wpadł w pułapkę i nie wyjdzie bez pomocy Simona. To był dług honorowy.

Kiedy posuwał się cicho do przodu, dostrzegł przez drzwi w podłodze słabe światło. Czyżby ktoś zostawił tam zapaloną pochodnię? A może było

tam jakieś inne wyjście, drzwi, które prowadziły do jednego z niższych murów?

Simon przycupnął najpierw przy otwartych drzwiach, nadsłuchując, czy nikt go tym razem nie zaskoczy, i dopiero później zaczął schodzić po drabinie. Powiew zimnego powietrza spowodował gęsią skórkę na ramionach i poruszył tuniką. Przygryzł wargę i zawahał się, lecz zaraz ruszył dalej.

Nie napotkał kolejnej podłogi, tak jak się spodziewał, i zmuszony był schodzić dalej. Początkowo jedyne światło dochodziło tylko z dołu, jakby zsuwał się szyjką butelki, lecz później stało się bardziej rozproszone i wkrótce zejście się skończyło. Palcami nóg dotknął drewna po jednej stronie drabiny; to była podłoga. Stwierdził, że nie dałoby się już zejść niżej – ostatni szczebel znajdował się tuż nad podłogą. Najwyższy luk był teraz zamknięty, tak że jedynym źródłem światła był dziwnie lśniący prostokąt na odległej ścianie. Wyglądał jak niewyraźne drzwi obrysowane nierównym żółtawym światłem.

Simon przesądnie uczynił znak Drzewa i rozejrzał się. W pokoju był tylko potłuczony słup do ćwiczeń kopią i parę innych zniszczonych rekwizytów używanych w czasie pojedynków. Wprawdzie wydłużone cienie kryły wiele zakamarków, lecz mimo to Simon nie znalazł niczego, co mogłoby zainteresować kogoś takiego jak Pyrates. Poszedł w kierunku świecącego prostokąta; jego wyciągnięte dłonie rzucały pięciopalczaste cienie w bursztynowym świetle. Żarzący się prostokąt zamigotał nagle, po czym zgasł i pokój pogrążył się w zupełnej ciemności.

Simon czuł, że jest sam. Nie słyszał żadnego dźwięku z wyjątkiem pulsowania własnej krwi, które w jego uszach brzmiało jak szum odległego oceanu. Zrobił ostrożnie krok do przodu. Na moment pustkę wypełnił odgłos szurnięcia jego buta. Zrobił następny krok i następny. Palce

wyciągniętej dłoni dotknęły zimnego kamienia... i czegoś jeszcze – był to dziwny, delikatny kontur ciepła. Przyklęknął pod ścianą.

Teraz już wiem, co to znaczy być na dnie studni. Mam nadzieję, że nikt nie zacznie do niej wrzucać kamieni.

Kiedy tak klęczał, zastanawiając się, co robić dalej, usłyszał słaby szelest. Krzyknął zaskoczony i wtedy coś uderzyło go w pierś. Po jego okrzyku dotknięcie ustało, lecz powtórzyło się za chwilę. Coś ocierało się o jego tunikę... i mruczało.

– Kot! – wyszeptał. – Wiesz, uratowałeś mnie. – Simon pogłaskał niewidoczną postać. „Spokojnie. Nie wierć się tak, bo nie wiem, gdzie masz ogon, a gdzie głowę. Tak, uratowałeś mnie i wyciągnę cię z tej dziury, w którą wpadłeś”. – Ja też w nią wpadłem – powiedział głośno. Podniósł puszyste zwierzątko i wsadził pod tunikę. Kot ułożył się wygodnie na jego ciepłym brzuchu i zamruczał głośniej. – Wiem, co to za światło – szepnął. – To są drzwi. Magiczne drzwi.

Były to magiczne drzwi Pryratesa i Morgenes obdarłby go ze skóry, gdyby się dowiedział, że się do nich zbliżył, lecz Simon odczuwał upartą urazę: przecież to też jego zamek, a pomieszczenia magazynowe nie mogły być własnością jakiegoś tam duchownego, bez względu na to, jak groźnie wyglądał. W każdym razie, gdyby tak wrócił na górę, a Pryrates był tam jeszcze... hmm, nawet powracająca pewność siebie Simona nie pozwoliła mu wyobrazić sobie, co by się wtedy stało. Tak więc pozostało mu siedzieć na dnie tej ciemnej studni przez całe popołudnie albo...

Przyłożył do ściany dłoń i przesuwał ją wolno po chłodnym kamieniu, aż odnalazł strużki ciepła. Powiódł po nich palcami i stwierdził, że odpowiadają widzianemu wcześniej prostokątowi. Oparł dłonie w jego środku i popchnął. Surowy kamień nie ustępował jednak. Popchnął jeszcze raz, tym razem z całej siły. Kot poruszył się niespokojnie pod koszulą.

I tym razem nic nie wskórał. Zmęczony oparł się o ścianę i poczuł, że ciepłe linie pod jego dłońmi stają się chłodniejsze. Wyobraził sobie Pryratesa, jak stoi nad nim w ciemności, niczym pająk, z uśmiechem na chudej twarzy. Serce zaczęło mu walić gwałtownie.

– Och, Elysio, Matko Boża, otwórz! – szepnął zrezygnowany, a spocone ze strachu dłonie zaczęły się ślizgać na kamieniu. – Otwórz!

Kamień stał się nagle cieplejszy, a po chwili tak gorący, że Simon zmuszony był cofnąć dłonie. Na ścianie pojawiła się cienka złota linia; wyglądała jak strumień stopionego metalu, który płynął poziomo, następnie z obu końców na dół i znowu łączył się w linii poziomej. Widział teraz świecący kontur drzwi. Simon podniósł dłoń i dotknął palcem linii, która się rozjaśniła, pozwalając zobaczyć pionowe szczeliny. Umieścił ostrożnie palce na jednej krawędzi i popchnął; kamienne drzwi obróciły się na zewnątrz, wpuszczając do pokoju światło.

Potrzebował trochę czasu, by przyzwyczaić wzrok do jasności. Za drzwiami ciągnął się w dół korytarz wykuty w skale zamku. Oślepiające go światło pochodziło z umieszczonej na ścianie pochodni. Wstał. Na brzuchu czuł ciepło wygodnie ułożonego kota.

Czy Pryrates zostawiałby zapaloną pochodnię, gdyby nie myślał o powrocie tutaj? I cóż to był za dziwny korytarz? Simon przypomniał sobie, jak Morgenes wspominał coś o znajdujących się pod zamkiem starych ruinach z czasów Sithów. Ściany bez wątpienia wyglądały na stare, lecz były zupełnie surowe i w niczym nie przypominały delikatnych, wypolerowanych powierzchni Wieży Zielonego Anioła. Zdecydował się zbadać szybko korytarz, jeśli nigdzie go nie zaprowadzi, będzie musiał wracać po drabinie.

Ściany tunelu były wilgotne. Idąc korytarzem, Simon słyszał za nimi głuche dudnienie.

„Pewnie jestem już pod poziomem Kynslagh. Nic dziwnego, że ściany, a nawet i powietrze są wilgotne”. – Jakby dla potwierdzenia słuszności tej myśli poczuł, jak woda przenika przez szwy jego butów.

Korytarz, który cały czas prowadził w dół, skręcał ponownie. Coraz słabszy blask umieszczonej przy wejściu latarni zastąpiło teraz inne źródło światła. Kiedy pokonał ostatni zakręt, znalazł się na równej podłodze, która kończyła się około dziesięciu kroków przed nim stromą, granitową ścianą. Tam również umieszczono pochodnię.

Na lewo widać było w ścianie dwa ciemne otwory; za nimi coś, co wyglądało jak kolejne drzwi osadzone w kończącej korytarz ścianie. Kiedy się poruszył, pod nogami chlupnęła woda.

Ciemne otwory były kiedyś jakimiś pomieszczeniami, może celami, lecz teraz ich porozbijane drzwi wisiały luźno na zawiasach. W migocącym świetle pochodni nie widać było wewnątrz nic poza cieniami. Ze środka wydobywał się odór zgnilizny. Simon szybko minął wnęki i stanął przed drzwiami. Kiedy zaczął je badać, kotek podrapał go delikatnie pazurami. Co może być za nimi? Jeszcze jeden zatęchły pokój albo korytarz, który prowadzi do wnętrza obmywanej morzem skały? A może to pokój skarbów Pryratesa, ukrywany przed wzrokiem szpiegów, no, może nie wszystkich szpiegów?

Na środku drzwi umocowano metalową płytkę. Simon nie wiedział, czy to ma być klamka czy może okienko do zaglądania do wewnątrz. Kiedy spróbował za nią pociągnąć, nie drgnęła. Odszedł od drzwi z dłonią obsypaną rdzą. Rozejrzał się i zobaczył na ziemi po lewej stronie otwartych drzwi kawałek złamanego zawiasu. Podniósł go i podważył metal na drzwiach. Płytka umocowana na zardzewiałym i zżartym przez sól zawiasie przesunęła się z piskiem do góry. Simon popatrzył w górę korytarza

i zamarł, nadsłuchując kroków, po czym pochylił się i przyłożył oko do dziury w drzwiach.

Zaskoczony zobaczył umocowaną na ścianie prowizoryczną pochodnię z sitowia, a widok wilgotnej i pokrytej słomą podłogi oraz gołych ścian zniweczył przerażający Simona pomysł o możliwości odkrycia ukrytego skarbca Pryratesa. A jednak w końcu pokoju znajdowało się coś... coś ciemnego.

Nagły brzęk przestraszył Simona. Przerażony rozejrzał się, spodziewając się w każdej chwili usłyszeć stukot czarnych butów. Hałas powtórzył się, a Simon ze zdziwieniem stwierdził, że dochodzi on z pomieszczenia, do którego zagląda. Jeszcze raz przyłożył uważnie oko do dziury i zajrzał do ciemnego wnętrza.

Przy tylnej ścianie coś się poruszało, jakiś ciemny kształt, który powoli przechylił się na jedną stronę, wydając ostry, metaliczny dźwięk. Podobna do cienia postać uniosła głowę.

Simon wstrzymał oddech i odskoczył od drzwi, jakby został uderzony w twarz. Przez chwilę zdało mu się, że ziemia zadrżała pod jego stopami; poczuł, jakby dotknął czegoś mu znanego, a pod spodem znalazł pełzający fałsz...

Patrzył na niego wystraszonym wzrokiem zakuty w kajdany człowiek – był to książę Josua.

12. Sześć srebrnych wróbli

SIMON SZEDŁ PRZEZ DZIEDZINIEC, potykając się, a w głowie huczały mu myśli niczym rozkrzyczany tłum. Pragnął się ukryć, uciec. Chciał wykrzyczeć okropną prawdę i śmiać się tak, by wywołać z domów mieszkańców zamku. Jakże oni byli pewni, pewni wszystkiego; obgadywali, plotkowali, lecz nie wiedzieli niczego! *Niczego*! Simon chciał wyć i przewracać wszystko, lecz nie potrafił uwolnić się od napełniającego go strachem czaru, jaki Pryrates rzucił na niego swym krwiożerczym wzrokiem. Co można zrobić? Kto może mu pomóc i przywieść do równowagi przewrócony świat?

Morgenes.

Kiedy szedł, powłócząc nogami, przez mroczny dziedziniec, oczami wyobraźni widział spokojną, żartobliwą twarz Doktora, której obraz wypierał przerażające oblicze duchownego i zakuty w łańcuchy cień w lochu. Nieprzytomny popędził obok zamkniętej łańcuchem czarnej bramy Wieży Hjeldin, a potem po schodach do Kancelarii. W mgnieniu oka przemierzył długie korytarze i już był w drzwiach zakazanej Wieży Zielonego Anioła. Jego pragnienie spotkania się z Doktorem było tak mocne, że gdyby nawet kościelny Barnabas czekał tam, by go złapać, to Simon zamieniłby się w żywe srebro, byleby mu się wywinąć. Pędził jak gnany szaleńczym wichrem. Boczne drzwi wieży się za nim jeszcze nie zamknęły, a on był już na moście i w chwilę później bębnił w drzwi

Morgenesa. Dwóch żołnierzy popatrzyło na niego obojętnie i wróciło do gry w kości.

– Doktorze! Doktorze! Doktorze! – krzyczał Simon i walił w drzwi jak oszalały bednarz. Doktor pojawił się prawie natychmiast. Był boso i widać było, że jest poruszony.

– Na rogi parskającego Cryunnosa, chłopcze! Zwariowałeś? Trzmiela zjadłeś?

Simon odtrącił Morgenesa i bez słowa wyjaśnienia pobiegł korytarzem. Kiedy Doktor doszedł do drzwi wewnętrznych, chłopiec stał przy nich i dyszał ciężko. Morgenes przyjrzał mu się, zanim weszli razem do środka.

Jeszcze nie zdążył dobrze zamknąć drzwi, a Simon już opowiadał mu o swej wyprawie i jej wyniku. Doktor pogrzebał w kominku i postawił na ogniu garnek mocno pachnącego zioła. Przez cały czas słuchał uważnie i tylko od czasu do czasu przerywał tyradę Simona jakimś pytaniem, co wyglądało, jakby ktoś wsadzał patyk do klatki z niedźwiedziem. Pokiwał ponuro głową, podał chłopcu kieliszek mętnego wina i usiadł z własnym kieliszkiem na zniszczonym krześle z wysokim oparciem. Jego szara szata zawinęła się do góry, ukazując kościste golenie.

– ...I wiem, że nie powinienem był dotykać magicznych drzwi, Doktorze, wiem o tym, ale w końcu to zrobiłem, i to był Josua! Przepraszam, wszystko poplątałem, ale jestem pewien, że go widziałem! Chyba miał brodę i wyglądał okropnie... ale to był on!

Morgenes popijał wino i tarł długim rękawem swe bokobrody.

– Wierzę ci, chłopcze – powiedział. – Chciałbym ci nie wierzyć, ale to chyba złowieszcza prawda. Potwierdza pewną dziwną informację, jaką otrzymałem.

– Ale co my zrobimy?! – krzyknął Simon. – On umiera! Czy zrobił to Elias? Czy Król wie o tym?

– Nie potrafię ci odpowiedzieć. Pewne jest tylko, że Pryrates o tym wie. – Doktor odstawił kieliszek i wstał. W wysokich oknach nad jego głową widać było ostatnie promienie zachodzącego słońca. – A co do tego, co zrobimy, to ty przede wszystkim pójdziesz zjeść kolację.

– Kolację? – powtórzył Simon, krztusząc się i parskając winem na tunikę. – A tymczasem książę Josua...

– Tak, chłopcze, zrobisz tak, jak powiedziałem. Na kolację. W tej chwili nic nie możemy zrobić, a ja muszę pomyśleć. Jeśli nie wrócisz na kolację, to dostaniesz burę, choćby i niewielką, a to spowoduje coś, czego chcemy uniknąć: zwróci na ciebie uwagę. Idź teraz i zjedz coś, a między kęsami trzymaj buzię zamkniętą, pamiętaj.

KOLACJA ZDAWAŁA SIĘ CIĄGNĄĆ równie długo jak wiosenne topnienie lodów. Simon siedział wciśnięty między głośno chłepczących kuchcików. Serce waliło mu ze zdwojoną szybkością i musiał się opanowywać, by nie zacząć ciskać na podłogę naczyń ze stołu. Wściekał się, słysząc błahe rozmowy, a pasterski pasztecik, który Judith przygotowała specjalnie na Wigilię Belthainn, wydawał mu się bez smaku i twardy jak drewno.

Rachel siedziała na głównym miejscu przy stole i obserwowała Simona z niezadowoleniem. Kiedy chłopiec, nie mogąc już dłużej wytrzymać, wstał i poprosił o pozwolenie odejścia, poszła za nim do drzwi.

– Przepraszam, Rachel, ale bardzo się spieszę! – powiedział z nadzieją, że uda mu się uniknąć wykładu, jaki zamierzała wygłosić. – Doktor Morgenes chce, żebym mu pomógł w czymś bardzo ważnym. Proszę.

Przez moment myślał, że chce go chwycić za ucho i siłą zaprowadzić z powrotem do stołu, lecz coś w jego głosie, a może w twarzy zwróciło jej uwagę; prawie się uśmiechnęła.

– Dobrze, chłopcze, ten jeden raz, ale zanim pójdziesz, podziękuj Judith za ten pyszny pasztecik. Poświęciła mu całe popołudnie.

Simon popędził do Judith, która górowała nad swym stołem niczym olbrzymi namiot. Jej pulchne policzki zaróżowiły się, kiedy wychwalał jej wysiłki. Rachel chwyciła go za rękaw, zanim zdążył wybiec za drzwi. Zatrzymał się i odwrócił gotów do protestu, lecz Rachel powiedziała:

– Uspokój się i bądź ostrożny, mały gamoniu. Nic nie jest tak ważne, by dać się zabić po to, żeby się tam dostać. – Poklepała go po ramieniu i puściła, patrząc, jak wybiega i znika za drzwiami.

SIMON ZDĄŻYŁ WŁOŻYĆ KAMIZELKĘ i płaszcz, zanim dotarł do studni. Morgenesa nie było jeszcze w mieszkaniu, więc chodził niecierpliwie w cieniu jadalni, aż w pewnej chwili usłyszał zaskoczony tuż nad uchem cichy głos.

– Przepraszam, że musiałeś czekać, chłopcze, ale pojawił się Inch i sporo się napociłem, zanim go przekonałem, że nie jest mi potrzebny. – Doktor naciągnął kaptur i ukrył w nim twarz.

– Jak pan podszedł mnie tak bezszelestnie? – zapytał Simon równie cicho jak Doktor.

– Jeszcze potrafię się poruszać, Simonie – odparł Morgenes urażonym tonem. – Jestem stary, ale nie konający.

Simon nie był pewien, co znaczy „konający”, ale uchwycił ogólny sens odpowiedzi.

– Przepraszam – powiedział.

Obaj zeszli schodami jadalni, a potem do pierwszej piwnicy, gdzie Morgenes wyciągnął kryształową kulę podobną do zielonego jabłka. Kiedy ją potarł, w jej środku pojawiła się iskierka, która zaczęła świecić coraz

mocniej, aż wreszcie jej miodowe światło objęło otaczające ich beczułki i worki. Morgenes owinął jej dolną część w rękaw i trzymał kulę przed sobą, kiedy szli ostrożnie między zgromadzonymi tam zapasami.

Drzwi wejścia były zamknięte; Simon nie pamiętał, czy to on je zatrzasnął w swej szaleńczej ucieczce. Zeszli ostrożnie po drabinie. Prowadził Simon, za nim szedł Morgenes, który świecił na boki kulą. Simon wskazał miejsce, gdzie Pryrates prawie go nakrył. Poszli dalej, na sam dół.

Najniższe pomieszczenie było puste, tak jak i poprzednio, lecz drzwi do kamiennego korytarza zastali zamknięte. Simon był prawie pewny, że to nie on je zamknął, i powiedział o tym Morgenesowi. Ów jednak machnął ręką, podszedł do ściany i zaczął szukać pęknięcia tam, gdzie wskazał mu Simon. Doktor pocierał ścianę kolistym ruchem i mruczał coś pod nosem, lecz nie znalazł żadnej szczeliny. Przykucnął i dalej mówił pod nosem do siebie, aż Simonowi znudziło się przestępowanie z nogi na nogę u jego boku.

– Nie może pan zrobić jakichś czarów i otworzyć drzwi?

– Nie! – syknął Morgenes. – Człowiek mądry nigdy, powtarzam: nigdy nie posługuje się Sztuką, kiedy nie jest to konieczne, a szczególnie w wypadku, gdy ma do czynienia z innym adeptem tej sztuki, takim jak nasz ojciec Pryrates. Równie dobrze mógłbym się tu podpisać.

Simon przykucnął nachmurzony, gdy Morgenes przyłożył dłoń w środku miejsca, w którym powinny być drzwi. Po krótkim badaniu uderzył mocno podbiciem prawej dłoni. Drzwi otworzyły się, wpuszczając światło pochodni. Doktor zajrzał do środka, wsunął lampę do rękawa i wyciągnął skórzaną torebkę.

– Ach, Simonie – zachichotał cicho – ale byłby ze mnie złodziej. To nie były „magiczne drzwi” – jedynie ukryto je za pomocą Sztuki. Chodźmy! – Weszli do wilgotnego kamiennego korytarza.

Ich kroki odbijały się stłumionym echem, kiedy szli w dół aż do zamkniętych drzwi. Przyjrzawszy się wpierw zamkowi, Morgenes przybliżył się do dziury i zajrzał do środka.

– Chyba masz rację, chłopcze – syknął. – Na Goleń Nuanni! Chociaż chciałbym, żebyś się mylił. – Ponownie zaczął badać zamek. – Biegnij na koniec korytarza i miej oczy otwarte, dobrze?

Simon ustawił się na czatach, a Doktor pogrzebał w swej skórzanej torbie i wyjął z niej długie i bardzo cienkie ostrze osadzone w drewnianej rączce. Pomachał nim wesoło w stronę Simona.

– Nóż myśliwski Naraxi. Wiedziałem, że kiedyś się przyda.

Przymierzył nóż do dziurki zamka; luźno wszedł do środka. Wyjął go i wytrząsnął z torby małą butelkę, którą odkorkował zębami. Simon patrzył zafascynowany, jak Morgenes przechyla butelkę i wylewa na ostrze lepką ciecz, po czym szybko wsuwa nóż do dziurki; ostrze pozostawiło lśniące ślady.

Morgenes pokręcił nożem, po czym odsunął się i zaczął liczyć na palcach. Kiedy trzykrotnie przeliczył palce obu rąk, chwycił za rękojeść noża i spróbował przekręcić mocno. Skrzywił się zrezygnowany.

– Chodź tutaj, Simonie. Potrzebne są twoje silne ręce.

Doktor pokazał mu, jak ma uchwycić i kręcić tym dziwnym narzędziem. Początkowo jego śliskie, wilgotne dłonie zsuwały się z gładkiej powierzchni drewna, więc zacisnął uścisk; po paru próbach poczuł, że w zamku coś przeskoczyło, a potem usłyszał, jak zasuwa odskakuje. Morgenes skinął głową i Simon popchnął drzwi ramieniem.

Pochodnia z sitowia dawała niewiele światła. Simon i Doktor weszli do środka i zobaczyli, że zakuta, w łańcuchy postać pod przeciwległą ścianą podnosi głowę; więzień przez moment otworzył szerzej oczy, jakby ich

poznawał. Poruszył ustami, lecz zdołał tylko jęknąć. W pomieszczeniu czuć było gnijącą słomę.

– Och... biedny książę Josua – powiedział Morgenes, po czym szybko zaczął badać kajdany księcia, a Simon mógł jedynie stać i przyglądać się bezradnie, co sprawiało, że czuł się jak we śnie. Josua był okropnie wychudzony i zarośnięty jak żebrak przy drodze; pod podartym workiem, w który był ubrany, widać było czerwone rany.

Morgenes pochylił się nad Josuą Bezrękim i szepnął mu coś do ucha. Jeszcze raz wyciągnął torebkę; miał też w dłoni małe naczynie, takie, w jakim panie trzymają barwiczkę do ust. Szybko posmarował dłonie czymś z naczynia, po czym jeszcze raz przyjrzał się kajdanom księcia. Obie ręce więźnia przykute były do mocnego żelaznego pierścienia w ścianie; jedną przywiązano za przegub, drugą, tę pozbawioną przedramienia, umocowano za górną część ramienia.

Morgenes skończył smarować swe dłonie i podał Simonowi torebkę i naczynie.

– A teraz, bądź grzeczny – powiedział – i zakryj oczy. Za to paskudztwo oddałem oprawiony w jedwab tom *Plessinnen Myrmenis* – jedyny na północ od Perdruin. Mam nadzieję... Simonie, proszę, zakryj oczy...

Podnosząc dłoń do oczu, Simon zobaczył, że Morgenes sięga do pierścienia, do którego przymocowano kajdany księcia. W chwilę później dostrzegł między palcami różowy błysk i usłyszał trzask jak uderzenie młotka o płytkę. Kiedy odsłonił oczy, zobaczył, że Josua leży z kajdanami na ziemi. Morgenes przyklęknął obok niego, z jego dłoni unosił się dym. Pierścień ze ściany był osmalony i powyginany niczym nieudany bochenek chleba.

– Tfu! – skrzywił się Doktor. – Mam nadzieję, że już nigdy nie będę musiał tego robić. Simonie, spróbuj podnieść księcia. Ja jestem za słaby.

Josua przekręcił się i rozejrzał.

– Chyba... chyba mogę iść. Pryrates... dał mi coś.

– Nonsens. – Morgenes odetchnął głęboko i wstał, chwiejąc się. – Simon to silny chłopak – no, chłopcze, nie gap się! Podnieś go!

Z pewnym wysiłkiem Simonowi udało się owinąć wokół talii księcia wciąż przymocowane do jego ramienia i przegubu łańcuchy. Następnie, z pomocą Morgenesa, podniósł Josuę tak, jak bierze się dziecko na barana. Wstał i wciągnął głęboko powietrze. Przez chwilę wydawało mu się, że nie da rady, lecz podskoczył niezdarnie i umieścił księcia nieco wyżej na plecach, stwierdzając, że nawet z łańcuchami nie jest on aż tak ciężki.

– Simonie, przestań się tak głupio uśmiechać – powiedział Doktor. – Będziemy musieli go jeszcze wciągnąć po drabinie.

UDAŁO IM SIĘ – SIMON STĘKAŁ i prawie płakał z wysiłku, Josua próbował podciągać się na szczeblach, a Morgenes pchał z tyłu, zachęcając ich obu. Była to długa, potworna wspinaczka, lecz wreszcie znaleźli się w głównym magazynie. Morgenes poszedł do przodu, a Simon, z księciem na plecach, oparł się o belę materiału.

– Gdzieś tutaj... gdzieś... – mruczał Morgenes i przepychał się przez ciasno poukładane towary. Przyświecając sobie kryształową kulą, dotarł do południowej ściany, gdzie zaczął energicznie czegoś szukać.

– Czego...? – zaczął Simon, lecz Doktor uciszył go ruchem ręki. Chłopiec patrzył, jak Doktor pojawia się i znika wśród beczek, kiedy poczuł na włosach delikatne dotknięcie. Książę głaskał go po głowie.

– Prawdziwy. Prawdziwy! – wyszeptał Josua. Simon poczuł, że coś mokrego spływa mu po szyi.

– Znalazłem! – Usłyszeli stłumiony, lecz uradowany głos Morgenesa. – Chodźcie tutaj!

Simon wstał, zachwiał się i ruszył z księciem. Doktor stał obok pustej kamiennej ściany i wskazywał na piramidę z beczułek. Kryształowa lampa powodowała, że jego cień wyglądał jak stojący nad nimi olbrzym.

– Co pan znalazł? – Simon poprawił księcia i patrzył przed siebie. – Beczki?

– Rzeczywiście! – zachichotał Doktor. Zamaszystym ruchem przekręcił o pół obrotu obręcz najwyższej beczułki. Cała ściana beczki otworzyła się jak drzwi, ukazując wewnątrz ciemny otwór.

Simon przyglądał się podejrzliwie.

– Co to takiego?

– Przejście, głupcze. – Morgenes chwycił go za łokieć i poprowadził w kierunku otwartej beczki, która stała gdzieś na wysokości piersi. – Ten zamek jest jak ul, pełen takich ukrytych przejść.

Simon zmarszczył brwi i pochylił się, zaglądając w ciemność.

– Mamy tam wejść?

Morgenes przytaknął. Simon stwierdził, że nie przejdzie przez otwór, więc przyklęknął; książę jechał teraz na nim jak na kucyku.

– Nie wiedziałem, że w magazynach są takie korytarze – powiedział, a jego głos odbił się echem w beczce.

Morgenes pochylił się, by chronić głowę Josuy w niskim przejściu.

– Simonie, istnieje więcej rzeczy, o których nie wiesz, niż tych, o których ja wiem. Ubolewam nad tą dysproporcją. A teraz bądź cicho i spieszmy się.

Kiedy doszli do końca korytarza, mogli już wstać. W świetle lampy zobaczyli kolejny długi, skręcający korytarz, w którym nagromadziły się

nieprawdopodobne ilości kurzu.

– Ach, Simonie – powiedział Morgenes, kiedy posuwali się szybko – szkoda, że nie mam czasu, żeby pokazać ci pokoje, obok których przechodzimy; niektóre z nich to komnaty należące do potężnej i pięknej damy. Używała tego przejścia do swych sekretnych spotkań. – Doktor spojrzał na twarz księcia przytuloną do szyi chłopca.

– Śpi teraz – mruknął Morgenes. – Wszyscy śpią.

Korytarz wspinał się i opadał, skręcał to w jedną, to w drugą stronę. Mijali wiele drzwi; zamki jednych pokryte były rdzą, u innych klamki lśniły jak nowe. W jednym miejscu mijali rząd małych okien. Simon zaskoczony dostrzegł na tle nieba sylwetki strażników chodzących wzdłuż Zachodniej Ściany. Zachodzące słońce zaróżowiło nieco chmury.

„Musimy być nad jadalnią – dziwił się Simon. – Kiedy weszliśmy tak wysoko?”

BYLI JUŻ U GRANIC WYTRZYMAŁOŚCI, kiedy Morgenes zatrzymał się wreszcie. W tej części korytarza nie było żadnych okien, jedynie wiszące gobeliny. Morgenes uniósł jeden z nich i odsłonił szary kamień.

– Nie ten gobelin – powiedział, dysząc, i podniósł następny. Ujrzeli drewniane drzwi. Przyłożył do nich ucho, nasłuchując, a potem otworzył je. – Sala Pisarzy. – Wskazał na oświetlony pochodniami hol. – Stąd tylko kilkaset kroków do mojego mieszkania. – Kiedy Simon ze swoim pasażerem przeszli, Doktor pozwolił drzwiom się zamknąć, co też uczyniły ze stanowczym stuknięciem. Simon spojrzał w tył, lecz nie był w stanie odróżnić ich od pozostałych drewnianych kasetonów, którymi pokryto ściany holu.

Mieli jeszcze do pokonania ostatni odcinek; trzeba było przebiec od najbardziej wysuniętych na wschód drzwi Archiwum przez dziedziniec.

Kiedy przemykali się w cieniu, starając się pozostawać możliwie najbliżej muru, lecz tak, by nie zaplątać się w porastające go pnącza bluszczu, Simonowi zdawało się, że dostrzegł w cieniu po drugiej stronie jakiś ruch; coś dużego, co przesunęło się, jakby chcąc lepiej widzieć, znajoma zgarbiona postać. Jednak zapadał już zmrok i Simon nie miał pewności – po chwili był to jeszcze jeden ciemny punkt, który przesuwał się przed jego oczami.

Poczuł kłucie w boku, jakby ktoś chwycił go za żebro szczypcami Rubena. Morgenes pokuśtykał do przodu i już otwierał drzwi swego mieszkania. Simon wszedł na chwiejnych nogach, ostrożnie opuścił swój ciężar i wyciągnął się na chłodnej podłodze, próbując złapać oddech. Świat wirował mu przed oczami.

– Wasza Książęca Mość, proszę to wypić. – Usłyszał głos Morgenesa. Po chwili otworzył oczy i uniósł się na łokciu. Josua siedział oparty o ścianę, a nad nim klęczał Morgenes z brązowym kamiennym dzbankiem w dłoni. – Czy lepiej? – zapytał Doktor.

Książę przytaknął.

– Czuję się silniejszy. To smakuje podobnie jak to, co dał mi Pryrates, tyle że nie jest tak cierpkie. Powiedział, że za szybko słabnę... i że potrzebują mnie dzisiejszej nocy.

– Potrzebują cię? To mi się nie podoba. – Morgenes podał dzbanek Simonowi. Napój był cierpki, lecz rozgrzewał. Doktor wyjrzał za drzwi i zaraz zamknął zasuwę. – Jutro jest Dzień Belthainn, pierwszy Maia – powiedział. – A dzisiejsza noc... to bardzo zła noc, książę. Zwą ją Nocą Kamienowania.

Simon poczuł, jak napój Doktora przyjemnie rozgrzewa mu żołądek. Nie bolały go już tak stawy, jakby ktoś rozluźnił nieco krępujące go ubranie. Usiadł i poczuł, że kręci mu się w głowie.

– To, że potrzebują księcia w taką noc, nie wróży nic dobrego – powiedział Morgenes. – Obawiam się, że mogą nastąpić jeszcze gorsze rzeczy niż uwięzienie królewskiego brata.

– Mnie wystarczy samo uwięzienie. – Na twarzy Josuy pojawił się na chwilę grymas uśmiechu, lecz zaraz książę posmutniał. – Morgenes – powiedział drżącym głosem – te sukinsyny zabiły moich ludzi. Zaskoczyli nas.

Doktor uniósł rękę, jakby chciał chwycić ramię księcia, ale natychmiast opuścił ją niezdarnie.

– Wierzę, mój panie. Czy jesteś pewien, że twój brat jest za to odpowiedzialny? Czy może Pryrates działał na własną rękę?

Josua pokręcił głową powoli.

– Nie wiem. Ludzie, którzy na nas napadli, nie mieli żadnych insygniów, a odkąd mnie uwięzili, nie widziałem nikogo poza duchownym, ale byłoby dziwne, gdyby Pryrates działał bez Eliasa.

– Prawda.

– Ale dlaczego? Dlaczego, u diabła, oni? Nie pragnę władzy – wszystkiego tylko nie tego! Wiesz o tym, Morgenesie. Dlaczego mieliby to zrobić?

– Mój książę, chyba nie potrafię odpowiedzieć teraz na te pytania, ale muszę przyznać, że w dużej mierze potwierdza to moje przypuszczenia odnośnie... odnośnie do innych spraw. Mówię o... o tym, co się dzieje na Północy. Słyszałeś pewnie o Białych Lisach? – powiedział znacząco Morgenes, lecz książę uniósł tylko brwi. – Ale nie mamy czasu na gadanie o moich obawach. Musimy działać szybko i zająć się ważniejszymi sprawami.

Morgenes pomógł Simonowi wstać i odszedł w drugi koniec pokoju w poszukiwaniu czegoś. Chłopiec stał, spoglądając zawstydzony na księcia,

który wciąż siedział pod ścianą z zamkniętymi oczami. Doktor powrócił z dłutem i młotkiem, którego głowa zaokrągliła się od ciągłego używania.

– No, chłopcze, rozbij łańcuchy Josuy. Ja muszę się zająć jeszcze paroma rzeczami – powiedział i ponownie się oddalił.

– Wasza Książęca Mość? – odezwał się cicho Simon i podszedł do Josuy.

Książę otworzył załzawione oczy. Popatrzył na chłopca, a potem na narzędzia, które ten trzymał. Skinął głową.

Simon klęknął u boku księcia i kilkoma energicznymi uderzeniami rozbił zamek kajdanów z jego prawej ręki. Kiedy przeszedł na lewą stronę, Josua otworzył oczy i chwycił dłoń Simona.

– Młodzieńcze, usuń łańcuch tylko z tej strony. – Na jego twarzy pojawił się upiorny uśmiech. – Tę obręcz zostaw, żebym pamiętał o swym bracie. – Wyciągnął przed siebie kikut prawej ręki. – Tak będzie dobrze – trochę ręki i trochę łańcucha.

Simon przestraszył się i zadrżał, kiedy ułożył na kamiennej podłodze lewą rękę księcia. Jednym uderzeniem przeciął łańcuch, pozostawiając na ramieniu obrączkę osmalonego żelaza.

Morgenes powrócił z jakimś ciemnym ubraniem.

– Chodź, Josua, musimy się spieszyć. Zmrok zapadł już godzinę temu, a nie wiadomo, gdzie będą cię szukać. Złamałem swój nóż w zamku, ale to nie zatrzyma ich zbyt długo.

– Co zrobimy? – zapytał książę i wstał niepewnie. Simon pomógł mu włożyć zatęchłe chłopskie ubranie. – Komu można zaufać na zamku?

– Nikomu, przynajmniej nie teraz. Dlatego musisz udać się do Naglimundu. Tylko tam będziesz bezpieczny.

– Naglimund – powtórzył książę zamyślony. – Przez te okropne miesiące tak często marzyłem o moim domu – ale nie! Muszę pokazać

ludziom fałsz mego brata! Znajdę takich, którzy mi pomogą!

– Ale nie tutaj i nie teraz – oświadczył stanowczo Morgenes i spojrzał zdecydowanie na księcia. – Znajdziesz się z powrotem w lochu i tym razem szybko obetną ci głowę. Nie rozumiesz? Musisz wrócić w bezpieczne miejsce, gdzie nie dosięgnie cię zdrada, zanim jeszcze wysuniesz jakiekolwiek żądania. Niejeden już król więził i zabijał swoich krewnych – większości uchodziło to bezkarnie. Żeby przekonać ludzi, trzeba czegoś więcej niż tylko rodzinnych pojedynków.

– No cóż – powiedział Josua niechętnie – nawet jeśli masz rację, to w jaki sposób ucieknę? – Wstrząsnął nim gwałtowny kaszel. – Z pewnością zamknięto na noc bramy zamku. Czy mam pójść do bramy wewnętrznej w przebraniu wędrownego minstrela i śpiewem wyżebrać przejście?

Morgenes uśmiechnął się. Simon podziwiał pogodę ducha księcia, który jeszcze godzinę temu zakuty był w cuchnącej celi, nie mając nadziei na wyjście.

– Tak się składa, że nie zaskoczyłeś mnie tym pytaniem – odparł Doktor. – Patrz.

Poszedł w koniec długiej komnaty, w kąt, w którym kiedyś płakał Simon. Wskazał na mapę nieba. Konstelacje, jakie przedstawiała, tworzyły obraz ptaka o czterech skrzydłach. Ukłonił się i odsunął mapę na bok. Ujrzeli duży kwadratowy otwór wycięty w skale i zakryty drewnianymi drzwiami.

– Jak już udowodniłem, Pryrates nie jest jedynym, który zna tu tajemne drzwi i przejścia. – Doktor zachichotał. – Ojczulek Czerwony Kapturek jest tu nowicjuszem i dużo jeszcze musi się nauczyć o zamku, który był moim domem dłużej, niż bylibyście w stanie odgadnąć.

Simon był tak podniecony, że z trudem stał na miejscu. Josua jednak nie wydawał się przekonany.

– Dokąd to prowadzi, Morgenesie? – zapytał. – Na nic zda się ucieczka z lochu Eliasa, jeśli wyląduję w fosie Hayholt.

– Nie bój się. Pod zamkiem istnieje cały labirynt jaskiń i tuneli, że nie wspomnę już o ruinach starszego zamku. Cały ten labirynt jest tak rozległy, że ja sam nie znam nawet jego połowy, lecz znam go wystarczająco dobrze, by wyprowadzić cię bezpiecznie. Chodź ze mną.

Morgenes poprowadził księcia, który opierał się na ramieniu Simona. Podeszli do ogromnego stołu, na którym Doktor rozłożył pergamin; jego krawędzie były szare i postrzępione ze starości.

– Widzisz – powiedział Morgenes – nie próżnowałem, kiedy mój młody przyjaciel Simon był na kolacji. To jest plan katakumb – z konieczności tylko jego część, lecz jest na nim twoja trasa. Jeśli będziesz szedł ostrożnie, to wydostaniesz się na powierzchnię co najmniej na starym cmentarzu poza murami Erchesteru. Jestem pewien, że stamtąd będziesz mógł przedostać się w bezpieczne miejsce pod osłoną nocy.

Przyjrzeli się uważnie mapie, a potem Morgenes odciągnął księcia na bok i zagłębili się w cichej rozmowie. Simon, który poczuł się trochę bardziej niż pominięty, studiował mapę Doktora. Morgenes zaznaczył przejście jasnoczerwonym atramentem; w głowie mu się zakręciło od licznych zakrętów.

Po skończonej rozmowie Josua zwinął mapę.

– Tak więc, drogi przyjacielu – powiedział – jeśli mam iść, to muszę to zrobić natychmiast. Nierozsądne byłoby pozostawać dłużej w Hayholt. Przemyślę dokładnie to, co mi powiedziałeś. – Powiódł wzrokiem po zagraconym pokoju. – Niepokoi mnie tylko, jakie mogą być konsekwencje twych dzielnych poczynań.

– Josua, nic na to nie poradzisz – odpowiedział Morgenes. – Nie powiem, żebym nie przygotowywał defensywy, znajdzie się parę sztuczek

i posunięć, jakie mogę zastosować. Gdy tylko Simon powiadomił mnie o tobie, zacząłem czynić pewne przygotowania. Od dawna obawiałem się, że zostanę zmuszony do działania; to jedynie przyspieszyło sprawę. Weź tę pochodnię.

Mówiąc to, Doktor zdjął ze ściany pochodnię i wręczył ją księciu razem z workiem, który wisiał obok.

– Włożyłem tu trochę jedzenia i tego wzmacniającego napoju. Nie jest tego wiele, ale nie możesz mieć dużego bagażu. Pospiesz się. – Uniósł gwiezdną mapę do góry i odsunął ją na bok. – Jak tylko dotrzesz bezpiecznie do Naglimundu, przyślij mi wiadomość, a ja będę miał więcej do powiedzenia.

Książę przytaknął i wszedł, kulejąc, do korytarza. Kiedy się odwrócił, światło pochodni rzuciło jego długi cień w dół ciemnego tunelu.

– Morgenesie, nigdy ci tego nie zapomnę – powiedział – ani tobie, młody człowieku... okazałeś się dziś bardzo dzielny. Mam nadzieję, że to będzie początek twej świetnej przyszłości.

Simon przyklęknął speszony tym, co odczuwał. Książę wyglądał tak nędznie i ponuro... Czuł dumę, smutek, ale i obawę; w głowie miał zupełny chaos.

– Żegnaj, Josuo – powiedział Morgenes i oparł się na ramieniu Simona. Obaj patrzyli, jak pochodnia księcia oddala się korytarzem i znika w ciemności. Doktor zamknął drzwi i opuścił mapę na swoje miejsce.

– Chodź, Simonie – powiedział – mamy jeszcze dużo pracy. W tę Noc Kamienowania Pryrates nie znajdzie swego podopiecznego i chyba mu się to nie spodoba.

CZAS UPŁYWAŁ W MILCZENIU. Simon siedział na stole i machał nogami przestraszony, choć także napawał się podnieceniem, jakie teraz wypełniało

pokój i cały spokojny zamek. Morgenes miotał się to tu, to tam, wykonując jakieś niezrozumiałe czynności.

– Większość zrobiłem, kiedy jadłeś kolację, lecz pozostało jeszcze parę rzeczy, parę nierozsupłanych końców.

Uwaga Doktora niczego Simonowi nie wyjaśniła, lecz wszystko działo się wystarczająco szybko, by zadowolić nawet niecierpliwą naturę chłopca. Skinął więc głową i żywiej zamachał nogami.

– Tak, to chyba wszystko, co mogę dziś zrobić – powiedział wreszcie Morgenes. – Wracaj teraz do siebie i idź spać. Przyjdź jutro rano, jak tylko uporasz się ze swoimi pracami.

– Pracami? – Simon otworzył usta. – Pracami? Jutro?

– Pewnie – rzucił krótko Doktor. – Nie sądzisz chyba, że zdarzy się jutro coś niezwykłego? Co, myślisz, że Król ogłosi jutro: „Och, słuchajcie, mój brat uciekł z lochu dziś w nocy, więc urządzimy sobie zabawę i poszukamy go”; chyba nie oczekujesz czegoś takiego?

– Nie, ja...

– A ty nie pójdziesz przecież do Rachel i nie powiesz: „Rachel, nie mogę dzisiaj nic robić, gdyż planujemy z Morgenesem zdradę”.

– Oczywiście, że nie...!

– Dobrze. A więc zrobisz, co do ciebie należy, i przyjdziesz do mnie, jak tylko będzie to możliwe; wtedy zorientujemy się, co dalej. Simonie, to wszystko jest o wiele bardziej niebezpieczne, niż ci się wydaje, ale teraz jesteś już częścią tego na dobre i na złe. Myślałem, że uda mi się ciebie uchronić przed...

– Czego jestem częścią? Przed czym uchronić?

– Nieważne. I tak już dosyć wiesz. Jutro rano spróbuję wyjaśnić ci to w spokoju, lecz Noc Kamienowania nie jest najlepszą okazją do mówienia o rzeczach takich, jak...

Morgenes urwał, gdyż rozległo się gwałtowne pukanie do zewnętrznych drzwi. Przez chwilę Simon i Doktor patrzyli na siebie; pukanie powtórzyło się.

– Kto tam? – zapytał Morgenes głosem tak spokojnym, że Simon popatrzył na niego jeszcze raz, by się przekonać, iż na jego twarzy rzeczywiście widać strach.

– Inch – padła odpowiedź. Morgenes odetchnął z ulgą.

– Idź sobie – powiedział. – Mówiłem ci, że nie potrzebuję cię dzisiejszego wieczoru.

Nastąpiła cisza.

– Doktorze – szepnął Simon – zdaje mi się, że widziałem Incha wcześniej...

Po chwili znowu usłyszeli monotonny głos.

– Chyba coś zostawiłem... u pana w pokoju, Doktorze.

– Zabierzesz sobie kiedy indziej – odpowiedział Morgenes poirytowany. – Jestem zbyt zajęty, żeby mi teraz przeszkadzać.

Simon spróbował jeszcze raz.

– Ja go chyba widziałem, kiedy niosłem Jos...

– Otwieraj drzwi, natychmiast – w imieniu Króla!

Simon poczuł w żołądku zimną kulę strachu. Ten głos nie należał już do Incha.

– Na Mniejszego Krokodyla! – zaklął cicho Morgenes. – Ten półgłówek o cielęcym wzroku wydał nas. Nie sądziłem, że ma tyle rozumu. Nie będą mi już przeszkadzać! – krzyknął. Podbiegł do długiego stołu i przeciągnął go pod wewnętrzne drzwi. – Jestem już stary i potrzebuję odpoczynku! – Simon skoczył do pomocy, jego strach mieszał się z podnieceniem.

Usłyszeli w korytarzu trzeci głos, gardłowy i okrutny:

– Długi będzie twój odpoczynek, staruszku.

Simon potknął się i poczuł, że kolana nieomal uginają się pod nim. To był Pyrates.

W wewnętrznym korytarzu rozległo się okropne skrzypienie, aż wreszcie udało im się przeciągnąć stół na miejsce.

– Siekiery – powiedział Morgenes i popędził w drugi koniec pokoju.

– Doktorze! – syknął Simon, podskakując ze strachu. Zza drzwi dochodził odgłos rozłupywanego drewna. – Co my zrobimy? – Obrócił się i ujrzał scenę, która wydawała mu się nierealna.

Morgenes klęczał na stole obok czegoś, co okazało się klatką. Doktor przyciskał twarz do jej prętów. Na zewnątrz słychać było walące się drzwi, lecz Doktor mruczał coś do stworzeń w klatce.

– Co pan robi? – zawołał Simon zdziwiony.

Morgenes zeskoczył ze stołu z klatką i poszedł w kierunku okna. Kiedy Simon zapiszczał ze strachu, starzec odwrócił się i popatrzył spokojnie na przerażonego chłopca; uśmiechnął się smutno i pokręcił głową.

– Bez obawy, chłopcze – powiedział. – Ciebie też muszę zabezpieczyć, tak jak obiecałem twemu ojcu. Jakżeż mało czasu mieliśmy!

Postawił klatkę na podłodze i wrócił do stołu, by czegoś na nim poszukać. Drzwi pokoju zatrzęsły się od potężnych uderzeń. Słyszeli chrapliwe głosy i szczęk zbroi. Morgenes znalazł to, czego szukał. Było to drewniane pudełko, które przechylił do góry nogami, wysypując coś złocistego na dłoń. Zaczął cofać się w stronę okna, lecz zatrzymał się i zabrał ze stołu plik pergaminów.

– Weź to ze sobą, dobrze? – powiedział i wręczył Simonowi plik. – To jest moja historia życia Prestera Johna, nie dam Pyratesowi przyjemności jej oceny.

Oszołomiony Simon wziął kartki i schował za koszulę. Doktor wsadził rękę do klatki i wyjął jednego z jej małych mieszkańców. Trzymał w dłoni małego srebrzystoszarego wróbla. Simon patrzył zdumiony, jak Doktor przywiązuje lśniącą kulkę – a może pierścień? – do nogi wróbla. Do drugiej nogi był już przywiązany kawałek pergaminu.

– Nieś dzielnie ten ciężar – powiedział spokojnie do małego ptaka.

Między deskami drzwi, tuż nad zasuwą, ukazało się ostrze siekiery. Morgenes schylił się i podniósł z podłogi długi patyk, którym stłukł szybę, po czym podniósł dłoń z wróblem i postawił go na parapecie. Ptak skoczył parę razy, a potem wzbił się w powietrze i zniknął w mroku. Doktor uwolnił w podobny sposób jeszcze pięć wróbli, aż klatka pozostała pusta.

W drzwiach wyrąbano już dużą dziurę; Simon widział przez nią gniewne twarze i odbijające się od żelaza światło pochodni.

Doktor wskazał ręką.

– Szybko, chłopcze, do tunelu!

Kolejny kawał odłupanego drewna upadł na podłogę. Kiedy pędzili przez pokój, Morgenes wręczył Simonowi coś małego i okrągłego.

– Zaświeci, jeśli ją potrzesz – powiedział. – To jest lepsze od pochodni. – Odsunął mapę i otworzył drzwi. – Wchodź, szybko! Poszukaj Schodów Tan’ja i wyjdź po nich!

Kiedy Simon wszedł do korytarza, drzwi przekrzywiły się na jednym z zawiasów i opadły. Morgenes odwrócił się.

– Doktorze! – krzyknął Simon. – Niech pan idzie ze mną! Możemy uciec razem.

Doktor popatrzył na niego, uśmiechnął się i potrząsnął głową. Blokujący drzwi stół przewrócił się z hukiem, a nad nim ukazała się grupa zbrojnych ludzi ubranych na żółto i zielono. Niczym ropucha w ogrodzie mieczy i siekier ukazał się Breyugar, Lord Konstabl. Z tyłu,

w zaśmieconym drewnem korytarzu, widniała przysadzista postać Incha; za nim lśnił czerwienią habit Pryratesa.

– Stój! – zagrzmiał w pokoju głos.

Przestraszony Simon zdziwił się, że z tak słabego ciała Morgenesa wydobył się tak potężny okrzyk. Doktor stał naprzeciw żołnierzy z dłonią w dziwnym geście. Przestrzeń między nim a żołnierzami zaczęła się wyginać i drgać. Morgenes kreślił dłońmi dziwne figury w powietrzu, które jakby twardniało. Przez chwilę cała scena znieruchomiała w świetle pochodni, jak scena uwieczniona na gobelinie.

– Niech cię Bóg prowadzi, chłopcze – syknął Morgenes. – Idź! Teraz!

Simon zrobił kolejny krok w dół korytarza.

Pryrates przecisnął się między znieruchomiałymi żołnierzami, był niewyraźnym czerwonym cieniem za ścianą powietrza. Wysunął jedną dłoń przed siebie; w miejscu, gdzie dotknął zgęszczonego powietrza, rozległ się syk i posypały się niebieskie iskry. Morgenes odwrócił się i jego bariera zaczęła topnieć jak lód. Doktor pochylił się i podniósł ze stojaka na podłodze dwa naczynia.

– Zatrzymajcie tego chłopca! – krzyknął Pryrates i w tym momencie Simon ujrzał nad czerwonym płaszczem jego oczy, czarne i zimne, oczy węża, który chciał go zatrzymać... unieruchomić.

Drżąca ściana powietrza rozpadła się.

– Bierzcie go! – rzucił hrabia Breyugar; żołnierze ruszyli do przodu. Simon patrzył w pełnym fascynacji amoku, chciał uciec, lecz nie mógł, między nim a gwardią był tylko... Morgenes.

– ENKI ANNUKHAI SHI’IGAO! – Głos Doktora zagrzmiał jak kamienny dzwon. Przez komnatę przeleciał ze świstem wiatr, który zgasił pochodnie. Morgenes stał w środku tego powietrznego wiru z naczyniem w każdej ręce. W chwili kiedy zapadła ciemność, nastąpił trzask, a potem

błysk, który pochodził z wybuchających naczyń. W następnej chwili ogniste strumienie płynęły wzdłuż ramion Morgenesa, a jego głowę otoczyła aureola trzaskających języków ognia. Simon poczuł napór ogromnego ciepła, kiedy Doktor odwrócił się w jego stronę. Jego twarz zdawała się zmieniać i poruszać za otaczającą go płonącą mgłą.

– Idź, mój Simonie – szepnął i ogarnęły go płomienie. – Dla mnie jest już za późno. Idź do Josuy.

Simon cofnął się przerażony, widząc mizerną postać Doktora świecącą jak żywa pochodnia. Morgenes odwrócił się. Zrobił kilka chwiejnych kroków, a potem z rozpostartymi ramionami ruszył w kierunku cofających się i wrzeszczących żołnierzy, którzy popychając jeden drugiego, chcieli się wydostać przez wybitą w drzwiach dziurę. Piekielne płomienie strzelały w górę i czerniły trzeszczące krokwie. Zadrżały ściany. Simon usłyszał jeszcze ochrypły, zdławiony głos Pryratesa, mieszający się z krzykiem agonii Morgenesa... a potem nastąpił ogromny błysk i ogłuszający ryk. Gorący podmuch cisnął Simonem w dół korytarza, zamykając drzwi z takim dudnieniem, jakby to był młot Sądu Ostatecznego. Oszołomiony słyszał trzaski i huk walącego się dachu. Drzwi zadrżały zablokowane ogromną masą palącego się drewna i kamienia.

Simon długo leżał i płakał. Jego łzy osuszyło gorące powietrze. Wreszcie podniósł się z wysiłkiem, oparł o ciepłą, kamienną ścianę i ruszył w ciemność.

13. Między światami

GŁOSY, WIELE GŁOSÓW towarzyszyło mu w tej okropnej pierwszej godzinie. Simon nie wiedział, czy pochodziły z jego głowy, czy z otaczających go ponurych cieni.

Simon gamoń! Znowu to zrobił, Simon gamoń!

Jego przyjaciel nie żyje, jedyny przyjaciel, bądźcie cicho, cicho!

Gdzie jesteśmy?

W ciemności, w ciemności na wieki, żeby się włóczyć po tych niekończących się korytarzach jak jęcząca zagubiona dusza...

Teraz jest on Simonem Pielgrzymem, skazanym na wędrówkę, wędrówkę...

No – Simon wzdrygnął się próbując odpędzić szepczące głosy – zapamiętam, zapamiętam tę czerwoną linię na mapie i to, że mam znaleźć Schody Tan'ja – czymkolwiek są. Zapamiętam czarne, obojętne oczy tego mordercy Pryratesa; zapamiętam mojego przyjaciela... mojego przyjaciela Doktora Morgenesa...

Osunął się na piaszczystą podłogę tunelu i rozpłakał, nie mogąc powstrzymać gniewu i bezsilności; ledwo żywa istota we wszechświecie z czarnego kamienia. Ciemność napierała na niego i dusiła go.

Dlaczego to zrobił? Czemu nie uciekł?

Ty idioto, umarł, żeby cię uratować, ciebie i Josuę. Gdyby poszedł z tobą, tamci ścigaliby was; Pryrates posiadł większą siłę magii. Złapaliby

was, poszli za Josuą i przywlekli go z powrotem do celi. Za to umarł Morgenes.

Simon nie mógł znieść odgłosu własnego płaczu, było to urywane pochlipywanie, które odbijało się niekończącym echem. Chciał to wszystko z siebie wyrzucić, więc płakał tak długo, aż jego głos ochrypł – taki głos potrafił już znieść, a nie beczenie gamonia zagubionego w ciemności.

Kręciło mu się w głowie i było mu niedobrze. Wytarł twarz rękawem i zorientował się, że w dłoni trzyma kryształową kulę od Morgenesa. Światło. Doktor dał mu światło. Razem z plikiem wciśniętych niezdarnie pod pasek papierów był to ostatni prezent, jaki dostał od Doktora.

Nie – szepnął głos – *przedostatni, Simonie Pielgrzymie.*

Simon potrząsnął głową, chcąc odgonić szepcący, ocierający się o niego strach. Co powiedział Morgenes, kiedy przywiązywał lśniącą kulkę do nogi wróbla? Nieś wytrwale ten ciężar? Czemu siedział tu w ciemności, beczał i ślinił się? Przecież był uczniem Morgenesa!

Wstał drżący i chwiejny. Pod palcami czuł gładką powierzchnię ciepłego kryształu. Patrzył w ciemność, gdzie mogły być jego ręce, i myślał o Doktorze. Jak on to robił, że potrafił śmiać się tak często w świecie pełnym ukrytej zdrady, pełnym pięknych rzeczy zgniłych od wewnątrz? Tyle było cienia, a tak mało...

Wystrzeliła przed nim iskierka światła – mała jak igielne ucho w zasłaniającej słońce kurtynie nocy. Potarł kulę mocniej i patrzył przed siebie. Światło rozbłysło jaśniej, a cienie cofnęły się; ściany korytarza odskoczyły muśnięte bursztynowym blaskiem. Zdało mu się, że mógł teraz nabrać w płuca powietrza. Widział!

Chwilowe podniecenie minęło, kiedy popatrzył w jedną i drugą stronę korytarza. Ból głowy spowodował, że ściany się chwiały. Tunel nie wyróżniał się niczym szczególnym, był jak długa dziura, wciskająca się pod

zamek i ustrojona girlandami pajęczyn. Za sobą widział skrzyżowanie, które już minął, przypominało otwarte usta. Zawrócił. Oświetloną dziurę wypełniały tylko gruzy i odpadki, tworzyły pagórek, który opadał poza zasięg światła. Ile jeszcze takich odnóg minął? I skąd miał wiedzieć, które były właściwe? Ogarnęła go kolejna fala duszącej bezsilności. Był beznadziejnie sam, beznadziejnie zgubiony. Nigdy już nie znajdzie drogi do świata jasności.

Simon Pielgrzym, Simon gamoń... rodzina zmarła, przyjaciel zmarł, patrzcie, wędruje i wędruje bez końca...

– Cicho! – krzyknął i zdziwiony usłyszał, jak słowo to tłucze się korytarzem przed nim, niczym goniec z wieścią od Króla Podziemia: Cisza... cisza... cisz... ci...

Simon, Król Tuneli, ruszył niepewnie przed siebie.

KORYTARZ SKRĘCAŁ TERAZ w dół do kamiennego serca Hayholt; duszny, wijący się i obwieszony pajęczynami trakt, oświetlony tylko blaskiem kryształowej kuli Morgenesa. Pozrywane pajęczyny tańczyły jak duchy w powietrzu poruszonym jego przejściem. Przypominały chwytające miękkie palce topielców. Ich srebrzyste nici przylgnęły do włosów i twarzy Simona tak, że musiał osłaniać oczy dłońmi. Często czuł, jak małe długonogie stworzenia przemykają po jego palcach, kiedy przerywał ich pajęczyny. Musiał wtedy się zatrzymywać, by przemóc dreszcz obrzydzenia.

W miarę jak szedł korytarzem, robiło się coraz zimniej. Ciasne ściany zdawały się oddychać wilgocią. Gdzieniegdzie tunel zawalił się i w niektórych miejscach stos kamieni i gruzu na środku ścieżki był tak wysoki, że musiał się przeciskać, ocierając o mokre ściany.

Przeciskał się właśnie obok jednego z takich stosów z kulą w ręku nad głową, gdy nagle poczuł przeszywający ból, jakby wbito mu w dłoń i w ramię tysiąc igieł. Lampa zaświeciła mocniej i ujrzał przerażający widok – setki, nie, tysiące małych, białych pająków biegało po jego przegubie i pod koszulą na przedramieniu; czuł się, jakby trzymał rękę nad tysiącem płomieni. Krzyknął przeraźliwie i uderzył ręką o ścianę, sypiąc sobie mokry pył na usta i oczy. Okrzyk przerażenia odbił się echem od ścian tunelu i zamarł szybko. Upadł na kolana na rozmokłą ziemię, machając piekącym ramieniem w górę i w dół, aż ból zelżał trochę. Ruszył na czworakach, by odejść od tego okropnego gniazda, które poruszył. Kiedy przyklęknął i nacierał ramię ziemią, łzy ponownie napłynęły mu do oczu i zaczął szlochać, jakby go ktoś smagał batem.

Po jakimś czasie wstał i obejrzał rękę. W świetle lampy zobaczył tylko pod warstwą brudu zaczerwienioną i opuchniętą skórę zamiast spodziewanych krwawych ran. Ramię pulsowało i Simon zastanawiał się, czy pająki były jadowite i czy, tym samym, najgorsze dopiero go czekało. Kiedy poczuł, że znowu zbiera mu się na płacz i zaczyna brakować oddechu, zmusił się do powstania. Musi iść. Musi.

Tysiąc białych pająków.

Musi iść dalej.

Poszedł za słabym światłem kuli, które odbijało się od śliskich i wilgotnych kamieni albo od mokrej ziemi w bocznych korytarzach, z której wystawały blade korzenie. Z pewnością musiał być głęboko pod zamkiem – gdzieś w głębi czarnej ziemi. Nigdzie nie było śladów przejścia Josuy czy kogokolwiek innego. Z przerażeniem nabierał pewności, że minął w ciemności i zamieszaniu właściwy zakręt i teraz schodzi do jakiegoś piekła, z którego nie ma powrotu.

Szedł tak długo i skręcał tyle razy, że obraz czerwonej linii na mapie Morgenesa był już bezużyteczny. W tym labiryncie długich i krętych nor nie znalazł niczego, co przypominałoby schody. Świecąca kula zaczęła migotać. Głosy znowu wymykały mu się spod kontroli i cisnęły się wokół niego jak wrzeszczący tłum.

Ciemno i coraz ciemniej. Ciemno i coraz ciemniej.

Pozwól nam trochę odpocząć. Chcemy spać, choć odrobinę, spać...

Król ma w sobie zwierza, a Pryrates jest jego dozorcą...

„Mój Simonie” – Morgenes powiedział do ciebie. „Mój Simonie”... znał twego ojca. Miał tajemnice.

Josua idzie do Naglimundu. Słońce świeci tam dzień i noc. Naglimund. Zajadają tam słodką śmietankę i piją czystą, kryształową wodę. Słońce świeci tam tak jasno.

Jest jasne i gorące. Gorące. Dlaczego?

Poczuł, że w wilgotnym tunelu zrobiło się nagle bardzo ciepło. Szedł, potykając się, w przekonaniu, że to początki gorączki od jadu pająków. Umrze w ciemności, okropnej ciemności. Nigdy już nie zobaczy słońca ani nie poczuje jego...

Ciepło zdawało się rozsadzać mu płuca. Rzeczywiście robiło się coraz goręcej!

Powietrze było teraz duszne, koszula lepiła się do piersi, a włosy przylgnęły do czoła. Przez moment ogarnęła go jeszcze większa panika.

Czy ja chodzę w koło? Czy chodzę tak od lat po to tylko, by wrócić do ruin komnat Morgenesa – sczerniałych i spalonych szczątków jego życia?

To było niemożliwe. Przecież wciąż schodził w dół i poza krótkimi odcinkami nie szedł pod górę. Dlaczego było tam tak gorąco?

Przypomniał sobie, jak Shem Stajenny opowiadał historię młodego Prestera Johna, który wędrował w ciemności w stronę ogromnego,

kipiącego ciepła – smoka Shurakai w jego legowisku pod zamkiem... *tym* zamkiem.

Ale smok już nie żył! Dotykałem przecież jego kości, w Sali Tronowej stoi żółty tron. Nie ma już smoka – nie ma wiecznie czujnego, ziejącego ogniem czerwonego cielska wielkości turniejowego pola, które czyha w ciemności z łapami jak miecze i duszą tak starą jak kamienie Osten Ard – smok jest martwy.

Ale czy smoki nigdy nie miały braci?

Co to za dźwięk? To głuche, mrukliwe warczenie?

Ciepło stawało się coraz bardziej dokuczliwe, a w powietrzu unosił się drażniący dym. Simonowi zdawało się, że zamiast serca ma w klatce piersiowej ołowianą bryłę. Kryształowa kula zaczęła przygasać, gdyż czerwone plamy na jej powierzchni zaczęły wypierać słabsze promieniowanie. Tunel biegł teraz równo i nie skręcał w żadną stronę. Wzdłuż niego ciągnęła się długa, zniszczona galeria, prowadząca do sklepionego przejścia, które tańczyło w migocącym, pomarańczowym świetle. Choć pot spływał mu po twarzy, to Simon drżał i czuł, że jakaś siła ciągnie go w stronę drzwi.

Odwróć się i uciekaj, gamoniu!

Nie mógł tego zrobić. Każdy kolejny krok przychodził mu z trudnością, lecz posuwał się do przodu. Doszedł do przejścia i wystawił ostrożnie głowę za krawędź portalu.

Była to ogromna jaskinia, pogrążona w mrugającym świetle. Wydawało się, że skalne ściany stopiły się i zastygły jak wosk u podstawy świecy, widać było długie i gładkie smugi. Po chwili zdumiony światłem Simon jeszcze szerzej otworzył oczy: w drugim końcu jaskini kilka ciemnych postaci klęczało przed... *ogromnym, ziejącym ogniem smokiem*!

Po chwili jednak wszystko zrozumiał: ustawiony pod ścianą ogromny smok był wielkim piecem. Ubrane na czarno postacie wrzucały do jego brzucha drewniane kłody.

Odlewnia! Odlewnia w zamku!

Chodzący po jaskini grubo ubrani ludzie z maskami na twarzach wyrabiali tu zbroje. Długimi tyczkami wyciągali z ognia wielkie wiadra roztopionego żelaza. Ciekły metal syczał i podskakiwał, gdy wlewano go w płaskie formy, a ponad huczenie pieca wznosił się odgłos młota i kowadła.

Simon cofnął się za drzwi. Przez chwilę chciał wyskoczyć z ukrycia i podbiec do tamtych ludzi – bo to byli ludzie, choć tak dziwnie ubrani. W tym momencie wydawało mu się, że wszystko będzie lepsze od tunelu i głosów, lecz przyszło otrzeźwienie. Czy ci hutnicy pomogą mu uciec? Pewnie znali tylko jedno wyjście z tej płonącej jaskini: prosto w łapy Pryratesa – jeśli przeżył piekło w komnacie Morgenesa – albo w ręce surowej sprawiedliwości Eliasa.

Przykucnął, żeby się zastanowić, choć z trudem mu to przychodziło z powodu bólu głowy i huku pieca. Pamiętał, że od jakiegoś czasu nie mijał żadnych odgałęzień. Natomiast teraz widział coś, co wyglądało jak szereg dziur wykutych w przeciwległej ścianie odlewni, możliwe, że były to tylko magazyny...

Albo lochy...

Chociaż równie dobrze mogły to być inne wejścia do odlewni. Głupi wydał mu się powrót w górę tunelu...

Tchórz! Kuchcik!

Poobijany i wyczerpany balansował na krawędzi niezdecydowania. Trzeba by wracać przez ten sam ciemny tunel pełen pająków, podczas gdy

jego jedyne źródło światła wygasało... albo przedostać się przez huczące piekło odlewni – a potem dokąd? Co wybrać?

Będzie Królem Podziemia, Panem Płaczących Cieni!

Nie, jego ludzie odeszli, niech pozostanie w spokoju!

Trzepnął się po głowie, starając się odpędzić szepczące głosy.

„Jeśli mam umrzeć – zdecydował, opanowując szaleńcze łomotanie serca – to niech to będzie przynajmniej w świetle”.

W głowie mu huczało, pochylił się i spojrzał na schowaną w dłoni kryształową kulę. Jej światło zgasło, lecz zaraz zamigotało słabo. Simon wsunął kulę do kieszeni.

Ogień z pieca i ciemne postacie, które poruszały się przed nim, rzucały na ścianę czerwone, pomarańczowe i czarne pulsujące paski. Simon przemknął z portalu za pochyłą rampę. Najbliższą kryjówką była rozwalająca się ceglana konstrukcja, oddalona od miejsca, w którym przycupnął, o kilkanaście łokci; był to nieużywany piec lub suszarnia postawiona na skraju pomieszczenia. Odetchnął głęboko kilkakrotnie i trochę na czworakach, a trochę biegiem pomknął w tamtą stronę. Podczas biegu głowa bolała go jeszcze bardziej; kiedy dotarł do ogromnej konstrukcji, musiał skłonić głowę między kolana i poczekać, aż znikną czarne plamy przed oczami. Głowę wypełniał mu huk z pieca, który zagłuszał nawet towarzyszące mu głosy.

Przemykał z jednego ciemnego zaułka do drugiego; dla niego były to ocienione wysepki bezpieczeństwa wśród czerwonego blasku, dymu i hałasu. Odlewnicy nie podnosili wzroku, więc go nie widzieli. Sami komunikowali się ze sobą bardzo rzadko, ograniczając się do szerokich gestów, niczym uzbrojeni wojownicy w wirze bitwy. Ich oczy były zaledwie punktami odbitego światła nad chroniącym twarz materiałem i patrzyły tylko na jedno: jasny, przyciągający wzrok strumień gorącego

żelaza. Rozżarzony metal wyglądał tak samo jak magiczna krew smoka albo jak czerwona linia z mapy, której meandry wciąż tkwiły w umyśle Simona. W jednym miejscu metal rozprysnął się ponad krawędzią pojemnika i spadł na podłogę jak garść klejnotów; gdzie indziej wił się w skale strumieniem, podobny do węża, który z sykiem spływa do słonawej wody. Z kubłów wypływały olbrzymie jęzory żaru, oblekając odlewników demoniczną purpurą.

Simon przemykał powoli krawędzią falującej mu przed oczyma jaskini, aż dotarł do najbliższej rampy, która prowadziła na zewnątrz pomieszczenia. Pulsujący żar i wyczerpanie skłaniały go do tego, by się na nią wspiąć, lecz w ubitej ziemi rampy widać było wyraźnie liczne ślady kolein wozów, co oznaczało, że jest to często używana trasa, o czym pomyślał pomimo zamętu w głowie. Musi spróbować gdzie indziej.

Wreszcie dotarł do otworu w ścianie jaskini, do którego nie dochodziła żadna rampa. Trudno było wspinać się gładką powierzchnią skały – stopionej ogniem z pieca, a może ogniem smoka? Starczyło mu jednak sił, by podciągnąć się nad krawędź otworu. Przewrócił się wykończony w bezpiecznym cieniu jego wnętrza; trzymana w dłoni kula świeciła słabo jak schwytany świetlik.

KIEDY ZNOWU OPRZYTOMNIAŁ, stwierdził, że się czołga.

Co to, znowu na kolanach, gamoniu?

Otaczała go teraz zupełna ciemność i posuwał się na oślep w dół. Czuł, że podłoga tunelu jest sucha i piaszczysta.

Długo szedł na czworakach i nawet głosy nabrały współczującego tonu.

Simon zabłądził... Simon zabłądził... zabłądził...

O tym, że posuwał się naprzód, mówiło mu tylko ustępujące ciepło – lecz dokąd szedł? Pełzał jak ranne zwierzę w kamiennym mroku, wciąż

w dół i w dół. Czy będzie tak się czołgał aż do środka ziemi?

Nie zważał już na umykające spod jego dłoni stworzenia. Zarówno w nim, jak i na zewnątrz panowała zupełna ciemność. Czuł, że prawie pozbawiony jest ciała; kłębek oszalałych myśli pełzający do wnętrza tajemniczej ziemi.

W PEWNYM MOMENCIE CIEMNA KULA, którą ściskał w dłoni od tak dawna, że zdawało mu się, iż stała się jego częścią, zaczęła ponownie świecić – tym razem było to światło błękitne. Światło pulsowało coraz silniej, aż musiał odsunąć kulę i zmrużyć oczy. Wstał, dysząc, a w pozbawionych kontaktu z piaskiem kolanach i rękach czuł mrowienie.

Ściany tunelu pokryte były czarnymi, włóknistymi naroślami splątanymi niczym nieczesana wełna. Poprzez plątaninę włókien przeświecały jasne plamy, które odbijały blask jego kuli. Simon pokuśtykał do ściany, by się temu przyjrzeć, lecz zaraz cofnął rękę z obrzydzeniem, kiedy dotknął śliskiego, czarnego mchu. Światło ponownie dodało mu nieco animuszu. Stał, zastanawiając się, przez co dotąd przechodził, i zadrżał na myśl o tym.

Pod mchem ściana pokryta była jakby płytkami, które w pewnych miejscach były wyszczerbione i porysowane, w innych nie było ich w ogóle, i widać było ziemię. Za jego plecami tunel piął się w górę, ślad po przejściu kończył się w miejscu, w którym stał. Postanowił, że pójdzie teraz wyprostowany.

Korytarz wkrótce się rozszerzył. Po obu stronach spotykał liczne łukowate wejścia do innych tuneli. Większość z nich zasypana była ziemią i kamieniami. Poczuł, że idzie po nierównych i popękanych kafelkach. Oświetlone emanowały dziwnym blaskiem. Sufit wkrótce znalazł się poza

zasięgiem światła jego kuli, a tunel wciąż schodził w dół. Nad jego głową załopotało coś, co mogło być skrzydłami nietoperza.

„Gdzie ja jestem? Jak to możliwe, by Hayholt ciągnął się tak głęboko? Doktor mówił: zamki pod zamkami, w dół aż do szkieletu ziemi. Zamki pod zamkami... pod zamkami...”

Nie wiedział nawet, kiedy się zatrzymał i stanął przed jedną z odnóg. Oczyma wyobraźni widział siebie, jak stoi tam: obszarpany, brudny i kiwający głową półgłówek. Z ust ciekła mu ślina.

Wejście przed nim nie było zasypane; spoza czarnego łuku unosił się dziwny zapach podobny do zapachu suszonych kwiatów. Wytarł dłonią usta i wydało mu się, że zamiast ramienia ma kawał ciężkiego, bezużytecznego mięsa. Z kulą nad głową wszedł w ciemność.

...Piękne miejsce! Piękne miejsce!...

Była to komnata. W błękitnym blasku wydawała się doskonała, jakby ktoś opuścił ją przed chwilą. Wysokie sklepienie sufitu pokryte było siecią delikatnych linii, miała to być pewnie imitacja krzewów lub pnących winorośli, a może tysięcy wijących się po łące strumieni. W okrągłych oknach pełno było gruzu i pyłu, który opadał, zaśmiecając kamienną podłogę, lecz wszystko inne było nietknięte. Znajdowało się tam łóżko – wykonane z przecudnie powyginanego delikatnego drewna – i krzesło, cieniutkie jak kostki ptaka. Na środku pokoju tkwiła fontanna z wypolerowanego kamienia, która sprawiała wrażenie, że za chwilę napełni się wodą.

To jest dom dla mnie. Podziemny dom. Łóżko do spania, w którym będę spał, dopóki Pryrates, Król i jego żołnierze nie odejdą...

Powłócząc nogami, doszedł do łóżka, tak czystego i nieskalanego jak skrzydła aniołów. Z wnęki nad łóżkiem patrzyła na niego twarz – była to kamienna twarz posągu pięknej kobiety. Coś mu się w niej nie podobało;

miała zbyt regularne rysy, oczy zbyt głębokie i szerokie, a kości policzkowe za ostre i za wysokie. Mimo to wyglądała pięknie; smutny, mądry uśmiech zastygł na zawsze w gładkim kamieniu.

Wyciągnął dłoń, aby dotknąć jej policzka, i wtedy trącił nogą ramę łóżka. Dotknięcie było delikatne jak nogą pająka, lecz łóżko rozsypało się w proch. Patrzył przerażony, a jego palce dotknęły rzeźby. W tym momencie twarz kobiety zamieniła się w popiół, a po chwili i cała reszta. Odskoczył niezgrabnie do tyłu, a światło kuli rozbłysło mocniej i zaraz przygasło. Odgłos jego kroków zburzył krzesło i fontannę, a kiedy spojrzał w górę, zobaczył, że i sufit z plątaniną gałęzi też się osypuje. Kula zamigotała, kiedy popędził w stronę drzwi, a gdy wyskoczył z komnaty na korytarz, zgasła.

Stojąc znowu w ciemności, usłyszał płacz. Po długiej chwili ruszył przed siebie w niekończące się mroki i zastanawiał się, któż to mógł być, komu zostały jeszcze jakieś łzy do wypłakania.

CZAS ODMIERZAŁ TERAZ serią zrywów i upadków. Porzucił pozbawioną światła kryształową kulę, która spoczęła gdzieś tam, jak perła w mrocznych głębinach tajemniczego morza. Nie było już krawędzi światła, które by ograniczało jego myśli. Resztkami świadomości orientował się, że wciąż posuwa się w dół.

Idę w dół. Do piekła. W dół.

Dokąd idę? Gdzie dojdę?

Z cienia w cień, tak jak zwykle czai się kuchcik.

Martwy gamoń. Gamoń duch...

Unosi się, unosi... Simon przypomniał sobie Morgenesa z wiotką brodą skręconą płomieniami, płonącą kometę, która czerwieniła się nad Hayholt...

pomyślał o sobie, schodzącym – a może wspinającym się? – przez ciemne dziury nicości, niczym mała, zimna gwiazda. Unosi się.

Otaczała go zupełna pustka. Początkowo ciemność była brakiem światła i życia, później zaczęła nabierać innych cech; była wąska i dusząca tam, gdzie korytarz się zwężał i gdzie Simon musiał przeciskać się przez gruzy i plątaninę korzeni, w innych miejscach była to przestronna ciemność niewidocznych komnat, wypełniona szelestem skrzydeł nietoperzy. Simon zupełnie zatracił poczucie kierunku, kiedy tak szedł przez te ogromne, podziemne galerie, słysząc swe stłumione kroki i stukot strącanego ze ścian kamienia. Równie dobrze mógł się piąć po pionowej ścianie lub wędrować po suficie jak oszalała mucha. Nie istniała już prawa czy lewa strona. Kiedy jego palce napotykały ścianę i drzwi wiodące do kolejnych korytarzy, bezmyślnie posuwał się po omacku przez węższe przejścia do kolejnych katakumb, z których także dochodził pisk nietoperzy.

Gamoń duch!

Wszędzie wyczuwał wodę i kamień. Jego powonienie, podobnie jak słuch, wyostrzyły się w ciemności. W miarę jak zagłębiał się w ten świat nocy, zanurzał się również w jego zapachy – wilgotna, gliniasta ziemia pachniała jak chlebowe ciasto, w innych miejscach czuł mniej intensywny, lecz ostry zapach skał. Obmywały go też pulsujące zapachy mchu i korzeni, zmieszane ze słodką zgnilizną malutkich stworzeń, które żyły tam i umierały. Wszędzie zaś unosił się i przenikał wszystko kwaśny, mineralny zapach morskiej wody.

Woda morska? Ślepy, nasłuchiwał dudnienia oceanu. Jak głęboko zaszedł? Jedyne, co słyszał, to skrobanie pazurków drobnych stworzeń i własny urywany oddech. Czyżby przeszedł pod nie dającym się usłyszeć nawet Kynslagh?

Jest! Gdzieś w głębi usłyszał delikatne, śpiewne tony. Kapiąca woda.

Poszedł w dół. Ściany wciąż były mokre.

SIMON GAMOŃ, NIE ŻYJESZ. Jesteś duchem skazanym na wieczną tułaczkę po pustce.

Nie ma światła. Nigdy go nie było. Czujesz ciemność? Słyszysz tę odbijającą się echem nicość? Tak było zawsze.

Strach był jedyną rzeczą, jaka mu pozostała, ale i to coś znaczyło – bał się, a więc żył! Wokół była ciemność, ale był też i Simon! Nie byli tym samym. Jeszcze nie. Niezupełnie...

W pewnym momencie zaczęło powracać światło, choć następowało to tak wolno, że długo nie zauważał różnicy. Było ono niezwykle słabe i początkowo widział tylko swymi bezużytecznymi do tej chwili oczami kolorowe punkty. Później, zaciekawiony, dostrzegł czarny kształt, ciemniejszy cień. Gniazdo wijących się robaków? Nie. Palce... dłoń... jego dłoń! Widział jej kontur na tle słabego światła.

Ściany ciasnego tunelu pokryte były grubą warstwą splątanego mchu i to właśnie on świecił – było to blade, zielonkawe migotanie, którego blask podkreślał zupełną ciemność w tunelu przed nim i pozwalał dojrzeć zasłaniające światło cienie jego rąk. A jednak to było światło! Światło! Simon roześmiał się bezgłośnie, a jego niewyraźny cień przeciął następne przejście.

Tunel doprowadził go do kolejnej odkrytej galerii. Kiedy zaskoczony patrzył w górę na sufit pokryty konstelacją świecących mchów, na szyję spadła mu kropla zimnej wody. Zobaczył, że kapiącej wody jest więcej, każda kropla uderzała w skałę, wydając dźwięk, jakby ktoś malutkim młoteczkiem uderzał w szkło. Osklepiona komnata pełna była wysokich, kamiennych kolumn, zwężonych pośrodku; niektóre były wąskie jak włos i podobne do nitek lejącego się miodu. Kiedy wszedł dalej, pomimo

skołatanego umysłu zdał sobie sprawę, że nie są one dziełem pracy rąk, lecz tylko kapiącej wody i kamienia. Dostrzegał jednak w mroku komnaty kształty, które nie wydawały mu się naturalne; na ustrojonych mchami ścianach widać było szczeliny, załamane pod kątem prostym, a wśród stalagmitów można było dostrzec zburzone kolumny zbyt regularne, by można przypisać ich powstanie przypadkowi. Znajdował się w miejscu, które niegdyś znało coś o wiele więcej niż tylko nieustanny rytm wody kapiącej do kamiennych kałuż. Kiedyś rozbrzmiewały tutaj kroki kogoś innego. Lecz „kiedyś” mogło coś znaczyć, jeśli czas pozostawał wciąż barierą. Od tak dawna pełzał w ciemności, że mógł dokopać się do tajemniczej przyszłości mrocznej przeszłości albo do niezbadanych obszarów szaleństwa – skąd mógł wiedzieć...?

W pewnym momencie Simon przeraził się, czując pod stopą pustkę. Wpadł w zimną i mokrą czerń. Ręce chłopca pozostały na krawędzi światła. Okazało się, że woda sięgała mu tylko do kolan. Trzęsąc się nie tylko ze strachu, wygramolił się z kałuży i pomyślał, że to jakieś zwierzę chwyciło go za nogę.

Nie chcę umierać. Chcę wrócić do słońca.

Biedny Simon – odpowiedziały mu głosy. – *Oszalał w ciemności*.

Ociekający wodą i drżący, pokuśtykał przez zielono lśniącą komnatę. Tym razem wystrzegał się czerni kałuż, które mogły już nie być tak płytkie. Kiedy przeskakiwał nad nimi lub je obchodził, ukazywały się w nich słabe, różowe i białe błyski. Ryby? Świecące ryby w głębinach ziemi?

W miarę jak szedł przez kolejne komnaty, kontury wykonanych ręką ludzką przedmiotów ukazywały się coraz wyraźniej spod mchów i osypującego się osadu. W półmroku przybierały dziwne kształty: skruszone przęsła, które kiedyś mogły być balkonami, sklepione zagłębienia okryte bladym mchem, które być może były oknami lub

przejściami. Zmrużył oczy, starając się rozróżnić w mroku szczegóły, i dostrzegł, że obraz umyka mu w bok – wydawało się, że obrośnięte i pogrążone w cieniu kształty migoczą konturami, które kiedyś im nadano. Kątem oka dostrzegł, że jedna ze stojących wzdłuż galerii połamanych kolumn prostuje się – zobaczył ją białą i lśniącą, pokrytą rzeźbionymi kwiatami. Kiedy zwrócił głowę, by przyjrzeć się dokładnie, był to tylko złamany kamienny kikut, przykryty mchem i ziemią. Głowa pękała mu z bólu, a widziane kątem oka ciemne krawędzie komnaty wyginały się w zwariowany sposób. Jego umęczony umysł przyjmował teraz monotonny odgłos kapania wody jak uderzenia młotem. Szepczące głosy powróciły i brzmiały jak głosy biesiadników podekscytowanych szaloną muzyką.

Szalony! Chłopiec jest szalony!

Zlitujcie się, on jest zgubiony, zgubiony, zgubiony...!

Odzyskamy to, chłopcze! Odzyskamy!

Szalony gamoń!

Kiedy szedł w dół kolejnego tunelu, usłyszał w głowie inne głosy, których dotąd nie słyszał i które były jednocześnie bardziej i mniej realne od słyszanych od dawna nieproszonych kompanów. Wykrzykiwały one w nieznanych mu językach, o których mógł jedynie dowiedzieć się ze starych ksiąg Doktora.

Ruakha, ruakha Asu’a!

T’si e-isi’ha as irigu!

Drzewa płoną! Gdzie jest książę?! Magiczny las płonie, ogrody płoną!

Otaczający go półmrok wykrzywiał się i skręcał, jakby on sam stał w środku wirującego koła. Szedł, potykając się i kręcąc w koło, aż znalazł się w kolejnym wysokim holu; objął dłońmi pękającą z bólu głowę. Tutaj ujrzał inne światło; z niewidocznego sufitu sączyły się cienkie niebieskie smugi, które przeszywały ciemność, lecz tam, gdzie padały, nie oświetlały

niczego. Poczuł mocniejszy zapach wody i dziwnej roślinności; usłyszał biegnących ludzi; krzyczeli, kobiety płakały, a nad tym wszystkim unosił się szczęk metalu uderzającego o metal. W tej dziwnej, nieomal całkowitej ciemności otaczał go zgiełk jakiejś wściekłej bitwy, lecz go nie dosięgał. Krzyknął – a może mu się zdawało, że to zrobił – ale nie usłyszał swego głosu, jedynie wypełniający jego głowę hałas.

Jakby na potwierdzenie swego niemal pewnego szaleństwa, zobaczył, jak w pociętej niebieskimi smugami ciemności przebiegają niewyraźne postacie; brodaci mężczyźni z siekierami i pochodniami gonili mniejsze postacie uzbrojone w łuki i miecze. Zarówno jedni, jak i drudzy byli nieomal przezroczyści, jakby z mgły. Żaden nie dotknął ani nie zobaczył Simona, choć ten stał w środku bitwy.

Jingizu! Aya'ai! O Jingizu! – usłyszał zawodzący okrzyk.

Zabić sithijskie demony – rozległ się inny, ostrzejszy głos. – *Podpalić ich siedlisko!*

Simon nie potrafił odegnać głosów, choć zakrył uszy rękoma. Szedł, potykając się, do przodu i starał się unikać wirujących postaci, aż zaczepił nogą o próg i upadł na płaską półkę z białego, lśniącego kamienia. Pod palcami czuł miękki mech, lecz przed oczyma miał tylko wypolerowaną pustkę. Czołgał się w nadziei, że umknie przed potwornymi okrzykami bólu i wściekłości. Palce napotykały szczeliny i wgłębienia, a mimo to kamień wydawał się gładki jak szkło. Dotarł do krawędzi i spojrzał na ogromne, płaskie pole czarnej nicości, która pachniała czasem, śmiercią i cierpliwym oceanem. Spod jego dłoni osunęły się niewidoczne kamyki. Spadały długo, by wreszcie plusnąć w przepastnych głębinach.

Obok Simona zalśniło coś wielkiego i białego. Uniósł ciężką, obolałą głowę znad krawędzi czarnego stawu i popatrzył w górę. Zaledwie parę cali od miejsca, gdzie leżał, znajdowały się dolne stopnie ogromnych

kamiennych schodów; pięły się spiralnie w górę jaskini i okrążając podziemne jezioro, znikały w górnych warstwach ciemności. Otworzył usta w zdziwieniu, kiedy ze zgiełku myśli wydobyło się niejasne wspomnienie.

Schody. Schody Tan'ja. Doktor powiedział, żeby szukać schodów...

Podciągnął się i stanął z trudem na chłodnym, śliskim kamieniu; sądził, że oszalał już zupełnie albo umarł i dostał się do jakiegoś strasznego piekła. Znajdował się pod ziemią w ostatecznej ciemności – tam nie mogło już być żadnych głosów ani upiornych wojowników. Nie mogło też być światła, w którym schody lśniłyby jak oświetlony blaskiem księżyca alabaster.

Zaczął się wspinać; drżącymi i spoconymi palcami podciągał się na kolejne stopnie. Czasem wstawał, czasem pełzał niezdarnie, lecz wciąż zerkał poza schody. Dno tej ogromnej, okrągłej sali – większej niż ta, w której była odlewnia – wypełniało milczące jezioro, olbrzymia kałuża cienia. Nad jego głową rozpościerał się sufit, lecz ginął gdzieś w przepastnych przestworzach ciemności razem z przepięknymi, smukłymi, białymi kolumnami, które okalały komnatę. Mgliste, nie wiadomo skąd dochodzące światło, odbijało się od zielonkawych i zielonobłękitnych ścian, po czym dotykało framug wysokich okien, które migotały złowieszczą purpurą.

W perlistej mgle unosiła się nad milczącym jeziorem ciemna, chwiejąca się postać, która rzucała cudowny, ale i przerażający cień i napełniła Simona niewyrażalnym, żałosnym strachem.

Książę Ineluki! Nadchodzą! Nadchodzą ludzie z Północy!

Kiedy echo tego gwałtownego okrzyku przebrzmiało w mrocznych sklepieniach czaszki Simona, postać ze środka komnaty uniosła głowę. Jej oczy płonęły czerwienią, a ich blask przenikał mgłę niczym światło pochodni.

Jingizu – szepnął głos. – *Jingizu. Tyle smutku.*

Rozbłysło szkarłatne światło. W dole rozległ się okrzyk strachu i śmierci, który płynął jak olbrzymia fala. Ciemna postać uniosła długi, wąski przedmiot i cała wspaniała komnata zadrżała, migocąc jak strzaskane odbicie lustra, po czym uleciała w nicość. Simon odwrócił przerażony wzrok; czuł się jakby omotany całunem utraty i rozpaczy.

Coś odeszło. Coś pięknego zostało zniszczone na zawsze. Umarł tu jakiś świat i Simon poczuł, jak niemy okrzyk przenika jego serce niczym szary miecz. Ogromny smutek, jaki go ogarnął, wyparł nawet wciąż obecny strach i wycisnął gwałtowne łzy, o których istnieniu już dawno zapomniał. Ruszył w ciemność, podejmując niekończącą się wspinaczkę, która wiodła go wokół potężnej komnaty. Cienie i cisza połknęły urojoną bitwę oraz komnatę i pogrążyły w ciemności rozgorączkowany umysł Simona.

Posuwał się po omacku, dotykając milionów stopni. Zdawało mu się, że miliony lat przeminęły w czasie, gdy on wędrował w pustce, zatopiony w smutku.

Ciemność na zewnątrz i ciemność wewnątrz. Ostatnią rzeczą, jaką czuł, był metal pod palcami i świeże powietrze na twarzy.

14. Ogień na wzgórzu

OBUDZIŁ SIĘ W DŁUGIM, ciemnym pokoju, otoczony nieruchomymi, śpiącym postaciami. Naturalnie, to wszystko było tylko snem. Znowu był w swoim łóżku wśród innych śpiących kuchcików; jedynym światłem był słaby promień księżycowego blasku, który wciskał się przez szczelinę w drzwiach. Potrząsnął obolałą głową.

Dlaczego ja śpię na podłodze? Te kamienie są tak zimne...

I dlaczego nikt się nie rusza? Leżą nieruchomo w hełmach i z tarczami ułożonymi równo w rzędach na ich łóżkach i wyglądają jak... jak zmarli, którzy czekają na sąd. Przecież to wszystko było tylko snem... snem... czyż nie tak?

Przerażony odsunął się od czarnej jamy tunelu w stronę białoniebieskiej szczeliny w drzwiach. Utrwalone na kamiennych nagrobkach wizerunki zmarłych nie powstrzymały go. Pomagając sobie ramieniem, otworzył ciężkie drzwi krypty i upadł w długą, wilgotną trawę cmentarza.

Po niezliczonych, jak mu się zdawało, latach spędzonych w ciemności podziemia okrągły, żółtawy księżyc na czarnym niebie wydawał się kolejną dziurą, która prowadziła do chłodnego, oświetlonego lampą miejsca, gdzieś ponad niebem, do krainy lśniących rzek i zapomnienia. Zbliżył twarz do ziemi i poczuł uginające się, wilgotne źdźbła trawy. Palce wiekowej skały nagrobków wymykały się spod trawy, która była ich więzieniem, albo

leżały wyciągnięte, rzeźbione białym jak kość światłem księżyca, bezimienne i obojętne jak zmarli, których groby znaczyły.

Umysł Simona nie był w stanie ogarnąć czasu, jaki upłynął od ostatniej, pełnej ognia sceny w komnatach Doktora do chwili obecnej, wypełnionej nocną, wilgotną trawą, tak jak nie potrafił dosięgnąć niewidocznych prawie chmur na niebie. Krzyki i potworny ogień, płonąca twarz Morgenesa i oczy Pryratesa, podobne do dziur w całkowitej ciemności, wszystko to było tak prawdziwe jak oddech, którego właśnie zaczerpnął. Tunel stał się we wspomnieniach nieokreślonym, mrocznym bólem, mglistymi głosami i pustym szaleństwem. Wiedział, że napotkał surowe ściany, pajęczyny i niekończący się labirynt tuneli. Zdawało mu się również, że miał niezwykle żywe sny, wypełnione smutkiem i śmiercią czegoś pięknego. Czuł się wysuszony jak jesienny liść, kruchy i bezsilny. Miał wrażenie, że na końcu szedł na czworakach – ubranie miał podarte, a kolana i ręce dość mocno poranione – lecz jego pamięć pogrążona była w ciemności. Nic z tego nie wydawało się prawdziwe. Nic nie było tak prawdziwe jak cmentarz, na którym leżał – spokojny, księżycowy dziedziniec.

Sen obejmował go swymi ciężkimi, łagodnymi dłońmi. Simon bronił się przed nim, wstając na kolana i potrząsając głową. Niedobrze byłoby zasnąć tutaj. Zablokowane drzwi w komnacie Doktora powstrzymały wszelki pościg, lecz nie miało to większego znaczenia. Jego wrogowie mieli żołnierzy, konie, a przede wszystkim królewskie pozwolenie.

Strach i wcale nie mniejsza złość pozwoliły mu odpędzić sen. Zabrali mu wszystko: przyjaciół, dom – nie zabiorą mu życia i wolności. Podniósł się z wysiłkiem i rozejrzał. Oparty o chylący się nagrobek, otarł łzy wyczerpania i strachu.

Jakieś pół mili od niego wznosiły się mury Erchesteru, ich kamienny, oświetlony księżycem pas oddzielał śpiących mieszkańców od cmentarza

i świata zewnętrznego. Od miejskich bram odchodziła blada wstęga traktu Wealdhelm – piął się po prawej stronie Simona zakosami na północ aż do wzgórz, po jego lewej stronie biegł wzdłuż rzeki Ymstrecca przez pola poniżej Swertclif, następnie mijał Falshire i wreszcie pastwiskami odchodził na wschód.

Należało się z tym liczyć, że wojsko będzie szukało zbiega przede wszystkim w większych miastach położonych przy tej drodze. W większości biegła ona wśród farm Doliny Hasu i Simonowi trudno byłoby znaleźć kryjówkę, gdyby musiał zboczyć z traktu.

Odwrócił się tyłem do Erchesteru – jedynego domu, jaki dotąd znał – i ruszył przez cmentarz w kierunku odległych równin. Po paru krokach poczuł ból u podstawy czaszki, lecz wiedział, że lepiej będzie na jakiś czas zapomnieć o bolącym ciele i duszy i korzystając z nocy, uciec możliwie najdalej od zamku. Pomyśli o przyszłości, kiedy znajdzie bezpieczne miejsce na odpoczynek.

W MIARĘ JAK KSIĘŻYC wstępował na szczyt północnej części nieba, kroki Simona stawały się coraz cięższe. Wydawało mu się, że cmentarz nie ma końca – rzeczywiście, teren wznosił się i opadał nad łagodnymi pagórkami zewnętrznych równin, a on wciąż szedł wśród zniszczonych kamiennych zębów; niektóre z nich tkwiły wyprostowane samotnie, inne pochylone były ku sobie jak grupa gawędzących starców. Kluczył między zakopanymi filarami, potykając się na nierównej, pokrytej kępami trawy ziemi. Każdy następny krok kosztował go tyle wysiłku, jakby szedł przez głęboką wodę.

Wyczerpany potknął się o kolejny ukryty kamień i upadł ciężko. Spróbował wstać, lecz czuł, jakby zamiast kończyn miał worki z mokrym piaskiem. Podczołgał się trochę i wreszcie położył u podnóża trawiastego wzgórza. Coś wbiło mu się w plecy, więc przewrócił się na bok; ciągle

jednak było mu niewygodnie, gdyż teraz leżał na złożonym manuskrypcie Morgenesa, który trzymał za paskiem. Chociaż oczy zamykały mu się z wyczerpania, sięgnął dłonią, by sprawdzić, co go ukłuło w plecy. Był to kawałek metalu, nabrzmiały od korozji i podziurawiony jak zżarte przez robaki drewno. Spróbował zań pociągnąć, lecz metal mocno tkwił w ziemi. Być może pozostała część, bez względu na to, co to było, została silnie wbita w oblaną blaskiem księżyca glebę kopca, a później umocniła się w bruździe? Może był to grot włóczni? Przez chwilę Simon pomyślał ze zgrozą o wszystkich ciałach zakopanych głęboko w ziemi, niegdyś pełnych życia, a teraz gnijących w ciemności i ciszy.

Sen dopadł go wreszcie i wydawało mu się, że znowu jest na dachu kaplicy. Pod nim rozpościerał się zamek... tylko że ten zamek zbudowany był z wilgotnej, rozpadającej się gleby i plątaniny białych korzeni. Ludzie na zamku spali nieprzerwanie i przewracali się z boku na bok, gdyż w swych snach słyszeli, jak Simon chodzi po dachu nad ich głowami...

SPACEROWAŁ TERAZ – albo śnił, że to robi – nad brzegiem czarnej rzeki, której wody pluskały, lecz nie odbijały żadnego światła, jakby były płynnym cieniem. Wokół niego unosiła się mgła; nie widział przez nią niczego poza mrokiem. Gdzieś z tyłu słyszał wiele głosów; ich szepty mieszały się z niewyraźnym pluskiem czarnej wody, przemykały jak wiatr wśród liści.

Na drugim, niższym brzegu nie było mgły. Za nim ciągnął się teren pokryty trawą, a jeszcze dalej mroczny olchowy lasek, który wznosił się aż do podnóża wzgórz. Cały obszar za rzeką był ciemny i wilgotny, jakby panował tam świt albo zmrok; po chwili wiadomo już było, że jest to wieczór, gdyż wzgórza odbijały echem odległą i samotną pieśń słowika. Wszystko wydawało się tu nieruchome.

Popatrzył nad szemrzącą wodą i zobaczył, że na drugim brzegu rzeki stoi jakaś postać: kobieta w szarym stroju, z długimi, prostymi włosami, które ocieniały jej twarz. Tuliła coś do piersi. Kiedy podniosła wzrok, Simon spostrzegł, że płacze. Miał wrażenie, że ją zna.

– Kim jesteś? – zawołał.

Wyrzucone z ust słowa zamarły stłumione rzecznym pluskiem. Kobieta wpatrywała się w niego szeroko otwartymi, ciemnymi oczami, jakby dokładnie chciała go zapamiętać. Wreszcie przemówiła:

– Seoman. – Jej słowa brzmiały słabo i głucho, jakby dolatywały z długiego korytarza. – Synu mój, czemuś do mnie nie przyszedł? Wiatr taki posępny i zimny, a ja czekam tak długo...

– Mamo? – Simon poczuł ogromny chłód. Miękki plusk wody zdawał się go ogarniać.

– Moje piękne dziecko, tak długo się nie widzieliśmy – kobieta odezwała się ponownie. – Dlaczego do mnie nie przychodzisz? Czemu nie przyjdziesz i nie otrzesz matczynych łez? Wiatr jest zimny, ale rzeka jest ciepła i łagodna. Chodź... nie przyjdziesz do mnie?

Wyciągnęła ramiona, a jej usta rozchyliły się w uśmiechu. Simon ruszył w stronę kobiety, utraconej matki, która go wzywała – i już schodził na brzeg łagodnej i jakby uśmiechniętej czarnej rzeki. Ramiona matki otworzyły się dla niego... jej syna...

I wtedy Simon zobaczył, że kobieta trzyma w wyciągniętej dłoni lalkę, którą przedtem tuliła do piersi, a która zrobiona była z liści, trzcin i trawy. Lalka sczerniała, wyschnięte liście pozwijały się na łodygach. I Simon zdał sobie nagle sprawę, że nic żywego nie mogło przekroczyć rzeki, by udać się do krainy mroku. Zatrzymał się na krawędzi wody i popatrzył w dół.

W odmętach czarnej wody widać było błyski słabego światła. Światło przybliżyło się do powierzchni i przybrało postać trzech wiotkich

i świecących kształtów. Pluskanie rzeki zmieniło się, słychać było teraz jakąś ostrą, nieziemską muzykę. Woda burzyła się i kotłowała, zamazując kształty przedmiotów, lecz wydawało mu się, że gdyby tylko zechciał, mógłby wyciągnąć rękę i dotknąć ich...

– Seoman! – zawołała matka.

Podniósł wzrok i zobaczył, że oddala się szybko, jakby unosił ją prąd. Ramiona miała szeroko rozpostarte, a twarz przepełniona uczuciem ogromnej samotności łaknęła ciepła i tęskniła za światłem.

– Simon... Simon! – rozległ się rozpaczliwy krzyk.

Usiadł nagle na trawie u stóp starego kurhanu. Księżyc wciąż jeszcze stał wysoko na niebie, lecz zrobiło się zimno. Macki mgły pieściły potłuczone kamienie, wśród których siedział z bijącym mocno sercem.

...*Simon*... szept dobiegł z ciemności za nim. Pewien był, że widzi szarą postać – kobiecy głos wołał go cicho z pokrytego mgłą dziedzińca cmentarza, przez który przeszedł – była to drobna, klucząca postać, zaledwie okruch ruchu we mgle, który wędrował wśród kurhanów; gdy Simon to zobaczył, zdawało mu się, że pęknie mu serce. Zaczął biec przez dziedziniec, jakby gonił go sam diabeł. Na zamglonym horyzoncie ukazał się szczyt Thisterborg, wokół ciągnęły się trawy, a Simon biegł i biegł...

GDY JEGO OSZALAŁE SERCE uderzyło tysiąckroć, Simon zwolnił wreszcie do nierównego marszu. Nie mógłby biec szybciej, nawet gdyby miał go dopaść arcydiabeł; kulał, był wyczerpany i ponad wszystko głodny. Strach i chaos myśli przylgnęły do niego niczym ciężka kolczuga. Sen tak go przestraszył, że teraz czuł się jeszcze słabszy.

Brnął przed siebie wciąż odwrócony plecami do zamku i czuł, jak wspomnienia lepszych czasów ulatują w strzępach, pozostawiając mu

jedynie cieniutkie nitki, które łączyły go jeszcze ze światem słońca, ładu i bezpieczeństwa.

Jak to było, kiedy leżałem na strychu stajni w ciszy i spokoju? Teraz w mojej głowie nie ma niczego poza słowami. Czy podobało mi się tam, na zamku? Czy ja tam spałem, biegałem, jadłem i rozmawiałem...?

Chyba nie. Chyba zawsze tak wędrowałem w świetle księżyca – w obliczu jego bladej twarzy – wędrowałem i wędrowałem, jak żałosny duch gamonia, bez końca...

Nagły błysk ognia na szczycie wzgórza przerwał jego ponure rozważania. Od jakiegoś czasu teren wznosił się równomiernie i Simon dotarł już prawie do podnóża pogrążonego w mroku Thisterborga; płaszcz wysokich drzew tworzył ciemną, nieprzeniknioną zasłonę, która odcinała się od niewyraźnej pozostałej części wzgórza. Na jego szczycie zakwitł teraz płomień, znak życia wśród traw, wilgoci i wieków śmierci. Zwolnił, więcej nie mógł z siebie wykrzesać. Może było to pasterskie ognisko, wesoły blask, który odganiał noc.

A może mają jedzenie! Kawałek baraniny... i pajdę chleba...

Musiał teraz iść skurczony. Na myśl o jedzeniu jego kiszki zaczęły się wić i skręcać. Jak długo nie jadł? Jedynie kolacja ostatniego...? Zdziwiło go to wspomnienie.

Nawet jeśli nie mają jedzenia, to cudownie będzie po prostu usłyszeć czyjś głos, ogrzać się przy ogniu... ogniu...

Oczami wyobraźni zobaczył wygłodniałe płomienie, które przyniosły jeszcze inny rodzaj pustki.

Wspinał się między drzewami i gęstymi krzakami. Mgła spowijała podnóże góry, jakby góra Thisterborg była wyspą wynurzającą się z szarej płaszczyzny morza. Będąc już blisko szczytu, zobaczył niewyraźne kształty Kamieni Gniewu, które zdobiły górę swą czerwoną rzeźbą na tle nieba.

Znowu kamienie. Kamienie i wciąż kamienie. Co to Morgenes mówił o tej nocy – jeśli to wciąż świecił ten sam księżyc i ta sama ciemność kołysała te same odległe gwiazdy – jak on ją nazwał?

Noc Kamienowania. Jakby święto samych kamieni. Jakby kamienie świętowały, gdy tymczasem Erchester spało za zamkniętymi drzwiami i zasuniętymi oknami. Simon wyobraził sobie, jak olbrzymie kamienie chodzą, skaczą wesoło i wirują... kręcą się powoli...

„Głupiec! – pomyślał. – Twoja wyobraźnia gubi cię, i nic dziwnego. Potrzebujesz jedzenia i snu; zwariujesz, jeśli ich nie dostaniesz – cokolwiek znaczy słowo zwariować... będziesz się złościł? Przestraszyłeś się niczego?” Widział kiedyś szaloną kobietę na Placu Bitewnym, ale ona ściskała tylko jakieś gałgany i kiwała się z boku na bok jak mewa.

Szaleniec w świetle księżyca. Szalony gamoń.

Dotarł wreszcie do ostatnich drzew, które otaczały szczyt góry. Powietrze na górze było spokojne, jakby pełne napięcia; Simon poczuł mrowienie na karku. Pomyślał, że podejdzie spokojnie, by móc przyjrzeć się ostrożnie nocnym pasterzom, zamiast wypadać z krzaków jak wściekły dzik. Chowając się za strąconymi wiatrem konarami dębu, zbliżał się do światła. Tuż nad nim wznosiły się Kamienie Gniewu, kręgi wysokich, rzeźbionych wiatrem kolumn.

Zobaczył grupkę ludzi skupionych wokół ogniska na środku kamiennego koła, w płaszczach narzuconych na ramiona. Była w nich jakaś sztywność, niepewność, jakby czekali na coś, czego nie pragnęli. Czapa Thisterborga zwężała się za kamieniami w kierunku północnym. Porastające tamtą część góry trawy i wrzosy przylgnęły ciasno do smaganego wiatrem zbocza, które wymykało się w dół z kręgu światła i ginęło w ciemności północy.

Kiedy tak przyglądał się znieruchomiałym nad ogniem postaciom, znowu poczuł ciężar strachu. Dlaczego stali tak bez ruchu? Czy oni w ogóle żyli, a może były to rzeźby jakichś górskich demonów?

Jedna z postaci zbliżyła się do ognia i pogrzebała w nim patykiem. Płomienie ożywiły się i Simon stwierdził, że przynajmniej ten jest człowiekiem. Podkradał się ostrożnie, aż dotarł do zewnętrznego kręgu kamieni. Blask ognia odbijał się przez chwilę od kawałka metalu pod płaszczem najbliższej postaci – ten pasterz miał na sobie kolczugę.

Przepastne nocne niebo zdawało się kurczyć i opadać niczym otulający ich koc. Wszyscy osłonięci płaszczami ludzie byli uzbrojeni. Byli to ludzie ze straży Erkynguard – co do tego nie miał wątpliwości. Złorzeczył samemu sobie; przyszedł wprost do ich ognia, jak ćma, która leci do świecy.

Dlaczego ja zawsze jestem takim skończonym głupcem?!

Powiał nocny wiatr i wysokie płomienie zatrzepotały jak płonący proporzec. Opatuleni w płaszcze i zakapturzeni ludzie obrócili głowy jednocześnie, lecz wolno, nieomal niechętnie, w kierunku północnej strony wzgórza, wpatrując się w ciemność.

Wkrótce Simon także coś usłyszał. Ponad szeptem wiatru, który kładł trawy i delikatnie kołysał drzewami, dochodził jakiś inny odgłos, coraz to wyraźniejszy; było to jękliwe skrzypienie kół drewnianego wozu. Z mroku północnej krawędzi wzgórza wyłaniał się przysadzisty kształt. Żołnierze usunęli się i skupili przy ogniu od strony Simona; nie padło ani jedno słowo.

Na tle blasku ogniska ukazały się blade, niewyraźne kształty, które powoli zamieniły się w konie, za nimi odcinał się od nocy duży czarny wóz. Po jego obu stronach szło miarowym, pogrzebowym krokiem po dwóch ludzi w czarnych kapturach. W migocącym świetle Simon dostrzegł

piątego, który siedział zgarbiony na wozie, górując nad parą białych wierzchowców. Ta ostatnia postać wydawała się większa od pozostałych, jakby zamaskowana dodatkowym płaszczem; nie poruszała się, co sprawiało wrażenie, że tkwi w niej ukryta, drzemiąca moc.

Żołnierze wciąż stali bez ruchu, lecz przyglądali się czujnie. Ciszę mąciło jedynie żałosne zawodzenie kół wozu. Simon znieruchomiał i poczuł, jak zimne ciśnienie wypełnia mu głowę, a ciało sztywnieje.

„To sen, zły sen... Dlaczego nie mogę się poruszyć?” – pomyślał.

Czarny wóz i jego straż zatrzymali się w świetle ogniska. Jedna z czterech stojących przy wozie postaci podniosła ramię; przy tym ruchu rękaw szaty zsunął się, ukazując przegub oraz dłoń, cienkie i białe jak kość.

Przemówiła głosem zimnym i bezbarwnym, podobnym do trzaskającego mrozu:

– Jesteśmy tutaj, aby zawrzeć przymierze.

W grupie pozostałych nastąpiło poruszenie. Jeden z nich wystąpił naprzód.

– Tak jak i my.

Obserwując niesamowitą scenę, Simon nie zdziwił się, kiedy rozpoznał głos Pryratesa. Kapłan zsunął z głowy kaptur; ogień oświetlił jego wysokie czoło i uwydatnił przeraźliwie głębokie oczodoły.

– Jesteśmy tutaj... jak zostało postanowione – ciągnął. Czyżby zadrżał mu głos? – Czy przynieśliście to, co zostało obiecane?

Trupio blade ramię odchyliło się w stronę powozu.

– Mamy to. A wy?

Pryrates skinął głową. Dwaj żołnierze schylili się, dźwignęli z ziemi jakiś ciężar i upuścili u stóp alchemika.

– Oto jest – powiedział. – Przynieście dar waszego pana.

Dwie zakapturzone postacie podeszły do wozu i uniosły z niego ostrożnie długi, ciemny przedmiot. Kiedy nieśli go, trzymając za oba końce, mroźny wiatr zawył nad szczytem góry. Czarne szaty załopotały, a kaptur tego, który szedł bliżej Simona, zsunął się, odsłaniając jego lśniące i białe włosy. Na moment ukazała się twarz delikatna jak maska wykonana z cienkiej, misternie rzeźbionej kości słoniowej. Chwilę później kaptur ponownie opadł na głowę.

„Co to za stworzenia? Czarownicy? Duchy?” – schowany za skałą, Simon uniósł drżącą dłoń i zrobił znak Drzewa.

Białe lisy... Morgenes powiedział „białe lisy”...

Pryrates i te demony – czy też czymkolwiek byli – to za dużo dla niego. Nie, on *z pewnością* jeszcze śni na cmentarzu. Modlił się, by tak było. Zamknął oczy, chcąc wymazać te okropne twory wyobraźni, lecz niezmiennie czuł ostry zapach mokrej ziemi i wciąż słyszał trzask ognia. Otworzył oczy i stwierdził, że zjawa nie zniknęła.

Co tu się dzieje?

Dwie ciemne postacie dotarły już na skraj ognistego kręgu. Żołnierze odsunęli się jeszcze dalej, a tamci położyli swój ciężar na ziemi i cofnęli się. Była to trumna albo przynajmniej coś, co wyglądało jak trumna, choć było wysokie tylko na trzy dłonie. Wzdłuż jej krawędzi migotało upiorne, niebieskawe światło.

– Przynieście to, coście obiecali – powiedziała jedna z czarno odzianych postaci.

Na znak Pryratesa przyciągnięto ciężar złożony u jego stóp. Kiedy żołnierze się cofnęli, Pryrates przewrócił przedmiot nogą. Był to mężczyzna, usta miał zakneblowane, a ręce związane w nadgarstkach. Simon powoli rozpoznawał bladą, okrągłą twarz hrabiego Breyugara, Lorda Konstabla.

Zakapturzona postać długo przyglądała się posiniaczonej twarzy związanego. Wprawdzie fałdy kaptura szczelnie zasłaniały twarz, lecz gdy się odezwała, w jej czystym, nieziemskim głosie słychać było nutę gniewu:

– Nie to nam obiecano.

Pryrates odwrócił się nieco, jakby nie chciał stanąć twarzą w twarz z zakapturzoną postacią.

– On pozwolił uciec temu, którego wam obiecaliśmy – powiedział, jakby nieco ze strachem. – Dlatego zajmie miejsce obiecanej wam osoby.

Spomiędzy żołnierzy wysunęła się inna postać i stanęła u boku Pryratesa.

– Obiecaliśmy? Co to znaczy „obiecaliśmy”? *Kogo* obiecałeś?

Duchowny uniósł dłoń w uspokajającym geście, lecz jego wzrok pozostawał niewzruszony.

– Proszę, Królu. Wiesz chyba. Proszę cię.

Elias popatrzył gwałtownie na swego rozmówcę.

– Czyżby, kapłanie? Cóż to obiecałeś w moim imieniu?

Pryrates pochylił się w stronę swego pana; jego ostry głos nabrał teraz tonu urazy:

– Panie, poleciłeś mi zrobić wszystko, co jest konieczne, by doprowadzić do tego spotkania. I tak też uczyniłem... czy też uczyniłbym, gdyby nie ten dureń – tu kopnął leżącego Breyugara – który zaniedbał swych obowiązków wobec władcy. – Alchemik spojrzał ponownie na zakapturzoną postać, której kamienny wyraz twarzy zaczynał przejawiać oznaki zniecierpliwienia. Pryrates zmarszczył brwi. – Proszę cię, Królu, ten, o którym mówimy, uciekł; jest to niejasna sprawa. Proszę.

Położył swą drobną dłoń na ramieniu Eliasa. Król odtrącił ją i patrzył spod kaptura na kapłana, nic jednak nie mówiąc. Pryrates ponownie zwrócił się do zakapturzonej postaci.

– Oddajemy ci tego... w nim także płynie szlachecka krew. Należy do wysokiego rodu.

– Jak wysokiego? – spytała czarna postać, a jej ramiona zadrżały jakby od śmiechu. – Bo to bardzo ważne. Czy jego przodkowie należeli do wielu poprzednich pokoleń człowieka? – Czarny kaptur zwrócił się w stronę swoich towarzyszy.

– Naturalnie – odparł Pryrates najwyraźniej zaniepokojony. – Jego przodkowie żyli setki lat temu.

– Tak, nasz mistrz z pewnością będzie zadowolony. – Po tych słowach postać się roześmiała, a Pryrates cofnął się, słysząc ten ostry, wibrujący dźwięk. – Róbcie swoje.

Pryrates spojrzał na Eliasa, który zdjął kaptur. Simon czuł, że niebo obniża się jeszcze bardziej. Twarz Króla, blada nawet w rdzawym świetle ogniska, zdawała się unosić w powietrzu. Noc wirowała, a niewzruszona twarz Eliasa przyciągała światło niczym lustro w oświetlonym pochodnią holu. Wreszcie Elias skinął głową.

Pryrates ruszył do przodu, chwycił Breyugara za kołnierz i zaciągnął do podobnego do trumny pudła. Rozpiął płaszcz, ukazując czerwoną szatę, i z głębokich fałd wydobył długie i zakrzywione jak sierp ostrze. Podniósł je na wysokość oczu, po czym zwrócił się w kierunku ustawionych na północ kamieni i zaczął recytować; jego głos nabierał mocy i władzy:

Zwracam się do Ciemnego,
który jest panem tego świata,
Który włada Północnym Niebem:
Vasir Sombris, feata concordin!

Zwracam się do Czarnego Łowcy,

Który ma lodową Dłoń:
Vasir Sombris, feata concordin!

Zwracam się do Króla Burz, Wszechogarniającego,
Mieszkańca Kamiennych Gór,
Tego, Który Mrozi i Płonie,
Tego, Który Śpi i Czuwa:
Vasir Sombris, feata concordin!

Odziane na czarno postacie kołysały się – wszystkie, z wyjątkiem siedzącej na wozie, która tkwiła nieruchomo jak Kamienie Gniewu. Simon usłyszał syk, który zmieszał się z wyjącym wiatrem.

Wysłuchaj błagającego Cię!

Pryrates recytował głośno:

Który jest robakiem pod Twym czarnym obcasem;
Muchą między Twymi zimnymi palcami;
Szemrzącym pyłem w Twym bezkresnym cieniu:
Oveiz mei! Wysłuchaj mnie!
Timior cuelos exaltat mei!
Ojcze Cieni – niech wypełni się umowa!

Alchemik sięgnął w dół i chwycił głowę Breyugara. Hrabia, który dotąd leżał bezwładnie u jego stóp, rzucił się nagle do ucieczki, pozostawiając zaskoczonego Pryratesa z kępą zakrwawionych włosów w dłoni.

Simon patrzył bezradnie, jak Lord Konstabl biegnie z wybałuszonymi oczami, potykając się, wprost na niego; słyszał niewyraźnie gniewne okrzyki Pryratesa. Gdy dwóch strażników ruszyło za Breyugarem,

pochylająca się nad nim noc zacisnęła swój uścisk, odbierając mu oddech i zaciemniając obraz.

Hrabia był już tylko parę kroków od niego; biegł niezdarnie z powodu związanych rąk. Nagle przewrócił się i upadł. Kopał i charczał przez knebel, kiedy dwaj żołnierze rzucili się na niego. Simon uniósł się nieco w swej kryjówce, a serce waliło mu tak, jakby miało zaraz pęknąć. Starał się opanować drżenie nóg. Strażnicy oddaleni byli teraz od niego na wyciągnięcie ręki. Przeklinając, postawili Breyugara na nogi. Jeden z nich uniósł miecz i uderzył hrabiego płazem. Simon widział Pryratesa, który patrzył ze świetlnego kręgu, i stojącego obok bladego i zafascynowanego Króla. Bezwładnego Breyugara przyciągnięto do ogniska, lecz Pryrates wciąż wpatrywał się w miejsce, gdzie przewrócił się zbieg.

Kto tam jest?

Wydawało się, że głos nadleciał z wiatrem i spadł wprost na głowę Simona. Pryrates wpatrywał się wprost w niego! „Musi mnie widzieć!”

Wyjdź, kimkolwiek jesteś. Rozkazuję ci wyjść.

Czarne postacie zaczęły nucić jakieś dziwne, złowieszcze inkantacje, a Simon próbował sprzeciwić się woli alchemika. Pamiętał doświadczenie z piwnicy i starał się nie poddawać napierającej sile, lecz był osłabiony, wyżęty jak strzęp materiału.

Wyjdź – powtórzył głos i coś jakby poszukującego zbliżyło się, by dotknąć jego umysłu. Simon walczył, próbując zamknąć drzwi swej duszy, ale to „coś” było, jak dotąd, silniejsze. Znajdowało się już bardzo blisko, wystarczyło tylko chwycić...

– Jeśli umowa ci nie odpowiada – odezwał się cienki głos – to zerwijmy ją teraz. To niebezpieczne pozostawiać niedokończony rytuał – bardzo niebezpieczne.

Głos należał do zakapturzonej postaci, a Simon poczuł, że ścigające go myśli duchownego zostały zatrzymane.

– C... co? – spytał Pryrates, jakby obudzony ze snu.

– Może nie rozumiesz, po co tu jesteś – syknęła czarna postać. – A może nie pojmujesz, kto i co jest w to zaangażowane.

– Nie... tak, rozumiem – wyjąkał kapłan.

Simon w jakiś sposób odczuwał jego zdenerwowanie, jakby to był zapach.

– Szybko – zwrócił się kapłan do żołnierzy. – Przynieście tu ten worek padliny. – Strażnicy przyciągnęli ciało i rzucili mu pod nogi.

– Pryratesie... – zaczął Król.

– Proszę, Wasza Królewska Mość. Jeszcze tylko chwila.

Simon z przerażeniem stwierdził, że część myśli Pryratesa nie opuściła jego umysłu; pozostał okruch, którego tamten nie zabrał. Czuł nieomal drżące oczekiwanie alchemika, gdy ten podniósł głowę Breyugara, czuł jego reakcję na ciche recytacje zakapturzonych postaci. Po chwili jednak poczuł coś głębszego, chłodne ostrze grozy, które wchodziło w jego wrażliwy umysł. To niewyjaśnione „coś” było tam wśród nocy – to okropne „coś-innego”. Unosiło się nad wzgórzem jak duszna chmura i płonęło wewnątrz postaci z wozu niczym ukryty czarny płomień; było też w stojących tam kamieniach i wypełniało je swoją żarłoczną uwagą.

Sierp błysnął w powietrzu. Przez chwilę lśniące, purpurowe ostrze było drugim księżycem na niebie – dawnym czerwonym sierpem księżyca. Pryrates wykrzyknął coś w gardłowym, nieznanym Simonowi języku.

Ai Samu’sitech’a! – Ai Nakkiga!

Sierp opadł i Breyugar osunął się bezwładnie. Tryskająca z jego gardła krew kapała na trumnę. Przez moment Lord Konstabl szarpnął się gwałtownie w rękach Pryratesa, lecz zaraz opadł ponownie. Ciemna strużka

wciąż spływała na czarne wieko. Uwięziony dziwną siecią myśli, Simon zmuszony był do przeżycia lękliwego uniesienia Pryratesa. Wciąż czuł to „coś-innego” – zimne, ciemne, przeraźliwie rozległe. Jego pradawne myśli śpiewały pieśń ohydnej radości.

Jeden z żołnierzy zaczął wymiotować. Simon zrobiłby to samo, gdyby nie odrętwienie, które uciszyło go i odebrało odwagę.

Pryrates odepchnął ciało hrabiego na bok. Breyugar potoczył się niezdarnie, jego blade palce pozostały zakrzywione w stronę nieba. Krew sczerniała na trumnie, której światło zaświeciło mocniej. Linia, którą wyznaczało wokół krawędzi, stała się wyraźniejsza. Straszliwie powoli wieko zaczęło się otwierać, jakby podpierane od środka.

„Święty Usiresie, który mnie kochasz, Święty Usiresie, który mnie kochasz – myśli Simona gnały oszalałe, splątane paniką – pomóż mi, pomóż mi, pomóż, w tym pudle jest diabeł, on wychodzi, pomóż mi, ocal mnie, och, pomóż...”

Stało się, stało się! – usłyszał inne, obce myśli. – *Już za późno, by się cofnąć. Za późno.*

Pierwszy krok – najzimniejsza, najokropniejsza ze wszystkich myśli. – *Jakże oni zapłacą, zapłacą, zapłacą...*

Kiedy wieko uniosło się wyżej, światło z wnętrza trumny wybuchnęło, pulsujący granat przemieszany z szarością i ciemną purpurą, przeraźliwe światło, które pulsowało i migotało. Całkowicie otwarte wieko opadło, a wiatr przycichł, jakby przestraszony blaskiem długiego, czarnego pudełka. Wreszcie można było zobaczyć to, co znajdowało się w środku.

Jingizu – szepnął głos w głowie Simona. – *Jingizu...*

TO BYŁ MIECZ. SPOCZYWAŁ na dnie pudła, śmiertelny jak żmija; może był czarny, lecz unosił się nad nim blask, który przyćmiewał jego czerń, jak

oliwa na ciemnej wodzie. Wiatr zawył.

Bije jak serce – serce wszelkiego smutku...

To „coś” śpiewało w głowie Simona, głos zarówno okropny, jak i piękny, kuszący niczym szpony, które łagodnie ranią skórę.

– Weź go, Wasza Królewska Mość!

Pryrates ponaglał Króla przez wyjący wiatr. Oczarowany, bezradny Simon zapragnął nagle mieć tyle siły, by móc wziąć miecz samemu. Czy nie mógł? Śpiewała mu moc, śpiewała o tronach mocarzy, o spełnionym pragnieniu.

Elias wykonał chwiejny krok do przodu. Żołnierze kolejno odwracali się i szlochając lub modląc się, znikali w ciemności drzew w panicznej ucieczce. Wkrótce na szczycie pozostali tylko Elias, Pryrates, ukryty Simon, zakapturzone postacie i miecz. Elias zrobił kolejny krok; teraz stał nad pudłem. W jego oczach malował się strach; wydawało się, że targa nim niepewność, poruszał bezgłośnie ustami. Niewidoczne palce wiatru ciągnęły za poły jego płaszcza, a trawy owijały się wokół kostek.

– Musisz go wziąć! – powtórzył Pryrates, a Elias popatrzył na niego, jakby widział alchemika po raz pierwszy.

– Weź go! – Słowa Pryratesa tłukły się w głowie Simona jak szczury w płonącym domu.

Król przyklęknął i wyciągnął rękę. U Simona żądza posiadania miecza zmieniła się teraz w przerażenie pod wpływem dzikiej, mrocznej pieśni miecza.

„To jest złe! Czy on tego nie czuje? Złe!”

Kiedy dłoń Eliasa zbliżyła się do miecza, zawodzenie wiatru ustało. Postacie w kapturach stały nieruchomo obok wozu; piąta postać zdawała się pogrążać w jeszcze większym cieniu. Cisza, jaka zapadała na wzgórzu, stała się czymś nieomal namacalnym.

Elias chwycił rękojeść i jednym ruchem wyjął miecz z trumny. Kiedy uniósł go przed siebie, na jego twarzy nie było już strachu, a na ustach pojawił się bezradny, głupawy uśmiech. Podniósł miecz wysoko; wokół jego ostrza unosiło się niebieskawe migotanie, które uwidoczniało go na czarnym niebie. Głos Eliasa zabrzmiał nieomal jak pełne zadowolenia kwilenie.

– Ja... przyjmę dar mistrza. I... będę przestrzegał naszej umowy. – Powoli, z mieczem przed sobą, ukląkł na jedno kolano. – Witaj, Ineluki, Władco Burz!

Wiatr zawył ponownie. Simon odwrócił się od wirujących i łopocących płomieni, gdy cztery ciemne postacie wzniosły białe ramiona, skandując:

– Ineluki, ai! Ineluki, ai!

„Nie! – Myśli Simona kłębiły się. – Król... wszystko stracone! Biegnij, Josuo!

Smutek... Smutek na całej ziemi...”

Siedząca na wozie postać zaczęła się wić. Czarna szata opadła i ukazał się twór ze szkarłatnego światła, który trzepotał jak płonący żagiel. Emanował z niego straszliwy, przepełniający serce strach. Simon patrzył przerażonymi oczami, jak rośnie – pozbawiony ciała, przewalający się, większy i większy, aż jego pusty, targany wiatrem kształt zawisł nad wszystkimi, stwór z wyjącego wiatru i płonącej czerwieni.

„Diabeł jest tutaj! Smutek, jego imię jest Smutek! Król sprowadził Diabła! Morgenes, Święty Usiresie, ocal mnie, ocal mnie, ocal mnie!”

Simon biegł nieprzytomnie w dół przez ciemną noc, chcąc uciec przed tą czerwoną zjawą i triumfującym „czymś”. Odgłosy jego ucieczki zginęły w wyjącym wietrze. Gałęzie chwytały go za ramiona, włosy, twarz, jak szpony...

Lodowate szpony Północy... ruiny Asu’a.

Kiedy wreszcie upadł, a jego duch uciekł od tego horroru w jeszcze większą ciemność, wydało mu się, że w ostatniej chwili świadomości usłyszał, jak jęczą pod nim kamienie, podstawa ziemi.

CZĘŚĆ DRUGA

Simon Pielgrzym

15. Spotkanie w karczmie

PIERWSZĄ RZECZĄ, JAKĄ SIMON USŁYSZAŁ, było monotonne i natrętne bzyczenie, które wypełniało mu głowę i przywracało świadomość. Otworzył nieco oczy i ujrzał coś okropnego – była to ciemna, niewyraźna plątanina nóg i lśniących oczu. Usiadł z okrzykiem przerażenia i zamachał rękoma; trzmiel, który z zainteresowaniem badał jego nos, zatrzepotał przeźroczystymi skrzydłami i odleciał w poszukiwaniu ciekawszego miejsca.

Zaskoczony otaczającym go blaskiem, Simon osłonił oczy dłonią. Światło dnia oślepiało go. Wiosenne słońce rozsypało złoto po całej trawiastej równinie, jakby miał tędy przechodzić sam król. Zbocza łagodnych pagórków obsypane były mleczami i długonogimi nagietkami. Wśród kwiatów uwijały się pszczoły; niczym mali lekarze badały swych pacjentów i stwierdzały ze zdziwieniem, że wszyscy zdrowieją w tym samym czasie.

Simon położył się na plecach z rękoma splecionymi pod głową. Słońce znajdowało się nieomal pionowo nad nim; domyślił się więc, że spał długo. W słonecznym blasku włoski na jego przedramionach przybrały barwę stopionej miedzi. Z pozycji leżącej czubki jego zniszczonych butów wyglądały jak szczyty odległych gór.

Ogarniającą go senność przeszyło nagle zimne ostrze wspomnienia. Jak on się tu dostał? Co...?

Ujrzawszy coś ciemnego za ramieniem, zerwał się na kolana; odwrócił się i zobaczył obrośnięty drzewami masyw góry Thisterborg, która wyrastała pod niebo niecałe pół mili od niego. Każdy szczegół jawił się z rażącą dokładnością i precyzją; po tamtych przeżyciach góra wydawała się miejscem pełnym chłodu i spokoju; ot, szczyt, który wyrastał spomiędzy otaczających go drzew, okryty cieniem i jasnozielonymi liśćmi. Na szczycie góry sterczały Kamienie Gniewu, które teraz były zaledwie szarymi punktami na tle błękitnego nieba.

Jasny obraz wiosennego dnia zasnuła mgła wspomnień. Co wydarzyło się ostatniej nocy? Naturalnie, uciekł z zamku – ostatnie chwile spędzone z Morgenesem wypaliły w jego sercu żywy obraz – ale co później? Tamte koszmarne wspomnienia. Niekończące się tunele? Elias? Ogień i białowłose demony?

„To sny, idioto, złe sny. Strach i zmęczenie, a potem znowu strach. Biegłem nocą przez cmentarz, aż upadłem i zasnąłem”.

Ale tunele i... czarna beczułka? Głowa wciąż go bolała, lecz jednocześnie odczuwał odrętwienie, jakby przyłożono mu na ranę lód. Ten sen wydawał się taki prawdziwy. Teraz był odległy, nieuchwytny i pozbawiony znaczenia: przykry skurcz strachu i bólu, który mógł ulecieć jak dym, gdyby mu tylko Simon pozwolił – tak przynajmniej się wydawało. Odrzucił dręczące wspomnienia, zagrzebał je najgłębiej, jak potrafił. Zamknął w swoim umyśle niczym w skrzyni i zatrzasnął wieko.

Jakbym nie miał czym się martwić...

Jasne słońce Dnia Belthainn podziałało na jego mięśnie jak balsam, choć wciąż czuł się obolały i bardzo głodny. Stanął na sztywnych nogach i otrzepał trawę przyczepioną do podartego i zabłoconego ubrania. Ponownie spojrzał na Thisterborg. Czy wśród kamieni tliły się jeszcze popioły ogromnego ogniska? Czy może burzliwe wydarzenia poprzedniego

dnia wpędziły go na jakiś czas w obłęd? Wzgórze trwało nieporuszone; Simon nie chciał wiedzieć, jakie tajemnice kryją się wśród drzew albo w kamiennym kręgu. I tak miał już zbyt wiele rzeczy do wyjaśnienia.

Odwrócił się plecami do góry i stanął twarzą w kierunku lasu, którego ciemna ściana wyłaniała się za równinami. Ruszając naprzód, poczuł, jak narasta w nim uczucie smutku i współczucia dla samego siebie. Był tak samotny! Zabrali mu wszystko i pozostawili bez domu i przyjaciół. Uderzył w dłonie ze złością, aż poczuł ból. Później! Będzie płakał później; teraz musi być dzielny. Ale wszystko to było tak bardzo niesprawiedliwe!

Wziął głęboki oddech i jeszcze raz popatrzył na odległy las. Wiedział, że gdzieś w pobliżu ciemnej linii jego brzegu biegnie Stary Leśny Trakt. Ciągnął się wzdłuż południowej granicy lasu Aldheorte, to oddalając się, to zbliżając do starych drzew niczym droczące się dziecko. W niektórych miejscach wręcz wił się wśród mrocznych konarów i cichych, oświetlonych słońcem polanek. Tu i ówdzie widać było małą wioskę lub karczmę, które przycupnęły w leśnym cieniu.

Może uda mi się znaleźć jakąś pracę, żeby choć zarobić na jedzenie. Jestem głodny jak niedźwiedź... dopiero co obudzony ze snu niedźwiedź. Umieram z głodu! Nie jadłem od... od...

Ugryzł się w język. Jedyne, co mógł zrobić, to iść przed siebie.

SŁONECZNE CIEPŁO BYŁO istnym błogosławieństwem. Ogrzewało jego obolałe ciało, a ponadto rozświetlało nieco mroczne i ponure myśli. W jakimś sensie czuł się jak nowo narodzony, jak źrebak, którego Shem pokazał mu zeszłej wiosny; drżał na słabych nogach, ciekawy świata. Lecz ten nowy świat nie był tak zupełnie niewinny; coś tajemniczego i dziwnego czaiło się za jasnym obrazem, jaki Simon miał przed sobą; barwy zdawały się zbyt jaskrawe, a dźwięki i zapachy zbyt słodkie.

Po jakimś czasie poczuł, że uwiera go manuskrypt Morgenesa. Wyjął go zza koszuli i spróbował nieść w spoconych dłoniach, lecz zrezygnował i ponownie wsadził arkusze za pasek na brzuchu. Starzec prosił, by uratować manuskrypt, i tak też będzie. Owinął papier w połę koszuli, by nie obcierać go tak bardzo.

Zmęczony żmudnym szukaniem brodów w przecinających mu drogę strumieniach, Simon zdjął buty. Zapach traw i wilgotnego powietrza miesiąca Mai pozwalał jego myślom trzymać się z daleka od posępnych, bolesnych miejsc; błoto między palcami nóg również mu w tym pomagało.

Po pewnym czasie dotarł do Starego Leśnego Traktu. Droga była szeroka, błotnista i poorana wypełnionymi deszczem koleinami po kołach wozów. Zamiast iść traktem, Simon skręcił na zachód i szedł równolegle doń, kryjąc się w głębokich trawach. Niżej widział białe złotogłowy i niebieskie lewkonie, które stały speszone i odsłonięte między śladami kół, jakby je ktoś zaskoczył podczas wędrówki z jednego brzegu drogi na drugi. W kałużach odbijał się błękit popołudniowego nieba, a błoto lśniło, jakby wrzucono weń drobinki szkła.

Około dwustu jardów dalej, po drugiej stronie drogi ciągnął się długi rząd drzew, podobnych do żołnierzy, którzy drzemiąc na stojąco, strzegli lasu Aldheorte. Za nimi panowała ciemność tak zupełna, że ich pnie mogłyby stanowić portale prowadzące do wnętrza ziemi. W niektórych miejscach widać było coś, co przypominało chaty drwali, wyraźnie odcinające się swymi niezgrabnymi kształtami od łagodnej linii drzew.

Idąc, Simon obserwował skraj lasu, aż zaczepił o krzak jeżyn, boleśnie raniąc stopy. Przestał przeklinać, gdy tylko zdał sobie sprawę, o co zaczepił. Większość jeżyn była jeszcze zielona, lecz dość dojrzała, by poplamić sokiem policzki i brodę Simona, kiedy przeżuwał je z zadowoleniem. Owoce nie były jeszcze słodkie, lecz stanowiły pierwszy od dłuższego

czasu poważny argument dla żądań żołądka. Skończywszy jeść, wytarł dłonie o podartą koszulę.

Trakt zaczął teraz piąć się w górę i Simon dostrzegł wreszcie ślady ludzkich siedzib. Na południu widać było tu i ówdzie wystające z wysokiej trawy ostre końce drewnianych płotów. Za tymi mocno zniszczonymi ogrodzeniami niewyraźne postacie poruszały się wolno w rytm sadzenia wiosennego grochu. Inni osobnicy, pochyleni nisko nad ziemią, pełli, starając się ratować zbiory nieurodzajnego roku. Młodsi wchodzili na dachy, odwracali słomę i długimi kijami strącali mech, którym porosły dachy w czasie deszczy miesiąca Avril. Zapragnął popędzić przez pola w kierunku tych spokojnych, uporządkowanych gospodarstw. Ktoś dałby mu pewnie pracę i... coś do jedzenia.

„Jakiż ze mnie głupiec! – pomyślał. – Równie dobrze mogę wrócić do zamku i zacząć wrzeszczeć na dziedzińcu!” Przecież ludzie ze wsi znani byli ze swej podejrzliwości w stosunku do obcych – zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy z Północy napływały wieści o rozbojach i jeszcze gorszych rzeczach. Simon był przekonany, że szukają go żołnierze z gwardii Erkynguard. Mieszkańcy tych samotnych farm z pewnością zapamiętaliby rudzielca, który niedawno tędy przechodził. A poza tym nie tęsknił do rozmów z nieznajomymi – przynajmniej nie tak blisko Hayholt. Może lepiej mu się powiedzie w jednej z karczm stojących na granicy tajemniczego lasu, jeśli znajdzie kogoś, kto go przygarnie.

„Przecież znam się trochę na pracy w kuchni? Chyba znajdzie się ktoś, kto da mi zajęcie, pomyślał.

Kiedy dotarł na wzgórze, zobaczył przed sobą drogę. Ślady kół wozów, które wyłaniały się z lasu, przecinały ją i zakosami biegły przez pola na południe; mogła to być droga drwali z ich miejsca wyrębu do terenów rolniczych na zachód od Erchesteru. W miejscu przecięcia się obu dróg

stało coś ciemnego i kanciastego. Dreszcz przerażenia wstrząsnął Simonem, zanim zdał sobie sprawę że to „coś” jest zbyt wysokie jak na osobę, która mogłaby tam na niego czekać. Pomyślał, że to pewnie strach na wróble albo przydrożna kapliczka poświęcona Elysii, Matce Bożej. Skrzyżowania dróg nie należały do najprzyjemniejszych miejsc i ludzie umieszczali przy nich przedmioty kultu, by odegnać wałęsające się duchy.

Zbliżywszy się do rozstajów, pomyślał, iż miał rację, sądząc, że to strach na wróble, zawieszony na drzewie lub tyczce i kołyszący się wolno na wietrze. Kiedy jednak podszedł bliżej, przekonał się, że to nie jest strach na wróble. W pewnym momencie nie miał już żadnych wątpliwości, czym to „coś” było. Z szubienicy zwisało ciało mężczyzny.

Simon stanął na rozdrożu. Wiatr przestał wiać; wokół niego unosił się brązowy obłok przydrożnego pyłu. Simon stał, patrząc bezradnie. Kurz opadł, po czym uniósł się, wzniecony podmuchem wiatru.

Nagie stopy mężczyzny – czarne i obrzmiałe – kołysały się na wysokości ramion Simona. Głowa wisielca opadła na jedną stronę i wyglądał teraz jak szczeniak, którego podniesiono za kark; pusta twarz i oczy wydziobane przez ptaki. Na jego piersi podskakiwała złamana drewniana tabliczka z napisem „OBSZAR KRÓLEWSKI”; na drodze leżał odłupany z niej kawałek. Na nim widniał napis: „ZŁAPANY NA KŁUSOWNICTWIE”.

Simon cofnął się. Lekki wiatr zakołysał ciałem, tak że pozbawiona oczu twarz zwróciła się w stronę pól. Simon minął szybko drogę drwali, robiąc na piersi znak Drzewa, kiedy przechodził przez cień wisielca. Normalnie widok taki przeraziłby go, ale i zafascynował, lecz teraz Simon czuł śmiertelny strach. On sam przecież ukradł, czy też pomógł ukraść, coś o wiele ważniejszego niż to, co ten złodziejaszek mógł sobie wyobrazić: wykradł królewskiego brata z lochu samego Króla. Ile czasu upłynie, nim

pochwycą go tak samo jak tego rozdziobanego przez gawrony człowieka? Jaka będzie jego kara?

Jeszcze raz się obejrzał. Pusta twarz ponownie odwróciła się w jego stronę, jakby obserwując odejście Simona. Biegł do momentu, aż droga obniżyła się tak, by nie mógł już widzieć skrzyżowania.

PÓŹNYM POPOŁUDNIEM DOTARŁ do małej wioski o nazwie Flett. Miejsce to trudno było nawet nazwać wioską; stała tam karczma i parę domów przy drodze, oddalonych od lasu o rzut kamieniem. W osadzie nie dojrzał nikogo, z wyjątkiem chudej kobiety stojącej w drzwiach jednego z rozlatujących się domostw oraz pary smutnych dzieci, które z szeroko otwartymi oczami wyglądały zza jej spódnicy. Stało tam też kilkanaście koni, w większości wiejskich kuców, przywiązanych do żerdzi przed karczmą „Pod Smokiem i Rybakiem”. Kiedy Simon przechodził obok otwartych drzwi, rozglądając się ostrożnie, z ciemnego wnętrza dobiegły go donośne, podchmielone głosy mężczyzn, które nieco go przestraszyły. Postanowił zaczekać i spróbować szczęścia później, kiedy – być może – będzie tam więcej gości zdecydowanych na nocleg i jego obszarpane ubranie nie będzie się tak rzucało w oczy.

Poszedł drogą trochę dalej. W brzuchu burczało mu głośno i żałował, że nie zostawił sobie trochę jeżyn. Tam, gdzie doszedł, zobaczył jeszcze parę domów i mały, wiejski kościółek. Dalej droga prowadziła w górę i kończyła się wśród drzew.

Na skraju wioski Simon odkrył strumień, który szemrał wesoło, żłobiąc czarną, pokrytą liśćmi glebę. Przyklęknął i napił się. Nie zważając na jeżyny i wilgoć, Simon ponownie zdjął buty, które miały mu posłużyć za poduszkę. Zwinął się pod dębem tak, by nie być widocznym z drogi

i ostatniego domu. Szybko zasnął – jak wdzięczny gość w chłodnej, leśnej sypialni.

Simon miał sen...

Znalazł jabłko pod wielkim białym drzewem, jabłko tak lśniące, czerwone i okrągłe, że nie śmiał go ugryźć. Lecz głód był silniejszy i w końcu zdecydował się spróbować. Smakowało wspaniale, było słodkie i kruche, ale kiedy spojrzał na miejsce, w którym nadgryzł jabłko, zobaczył lśniącego, wijącego się robaka. Mimo to nie potrafił jabłka wyrzucić; owoc był tak wspaniały, a on umierał z głodu. Obrócił jabłko i ugryzł z drugiej strony, lecz i tym razem zobaczył podobnego robaka. Wciąż odwracał jabłko i gryzł je z innej strony, lecz stale pod skórą jabłka pojawiał się robak. Zdawało się, że nie ma on głowy ani ogona, a jedynie niekończące się zwoje, które wypełniały chłodny i biały miąższ owocu...

Simon obudził się z bólem głowy i uczuciem goryczy w ustach. Osłabiony i przybity poszedł do strumienia, by się napić. Czy był kiedy ktoś równie samotny? Padające ukośnie promienie popołudniowego słońca nie docierały do powierzchni strumienia. Kiedy przyklęknął i spojrzał przez chwilę w ciemną, szemrzącą wodę, wydało mu się, że był już kiedyś w takim miejscu. Zaczął się nad tym zastanawiać, lecz po chwili poprzez delikatny szum drzew poruszanych wiatrem usłyszał ludzkie głosy. Przestraszył się, że może śni jeszcze, lecz zobaczył grupę ludzi, którzy szli drogą w kierunku Flett. Simon otarł rękawem usta i podkradł się bliżej, by lepiej widzieć nadchodzących.

Byli to wieśniacy ubrani w proste, ale odświętne stroje noszone w tych okolicach. Kobiety powpinały w rozpuszczone włosy niebieskie, złote i zielone wstążki. Spódnice wirowały wokół ich bosych stóp. Biegnące z przodu miały w fartuchach płatki kwiatów, które rozrzucały na drodze. Mężczyźni, starcy, jak i młodzieńcy, nieśli na ramionach drzewo. Jego

gałęzie ozdobione były wstążkami, podobnie jak włosy dziewcząt. Mężczyźni potrząsali drzewem wesoło.

Na twarzy Simona pojawił się słaby uśmiech. Drzewo-Maia! Oczywiście! Przecież to był Dzień Belthainn i dlatego nieśli Drzewo-Maia. Dawniej często się przyglądał, jak wznoszono podobne drzewo na Placu Turniejowym w Erchesterze. Nagle poczuł, że jego uśmiech staje się zbyt odważny. Ale z niego głupiec. Wsunął się głębiej w krzaki.

Kobiety zaczęły śpiewać, a ich słodkie głosy zbliżały się, to znów oddalały, gdyż wszyscy wirowali w tańcu.

Przyjdźcie do Breredon,
Przyjdźcie na Wrzosowe Wzgórze!
Wesołą koronę na głowę załóżcie!
I tańczcie przy naszym ognisku!

Odpowiedziały im chropowate, lecz wesołe głosy mężczyzn:

Zatańczę przy twym ogniu, dziewczyno,
A potem w cieniu lasu
Na kwiecistym łożu spoczniemy
I o smutku zapomnimy!

Refren śpiewali razem:

Stań więc pod tym Yrmansol
I śpiewaj ho! hej-ho!
Stań pod Drzewem-Maia
I śpiewaj ho! Bóg przybywa!

Kiedy rozśpiewana grupa zbliżyła się do Simona, kobiety zaczęły kolejną pieśń, tym razem o malwie, liliowych liściach i o Królu Kwiatów. Wesoły nastrój i śpiew udzieliły się i Simonowi, który zaczął przesuwać się do przodu. Mężczyzna przechodzący najbliżej Simona – w odległości nie większej niż dziesięć kroków – potknął się na zalanej słońcem drodze i powiewająca wstążka owinęła mu się wokół twarzy. Jego towarzysz pomógł mu się wyplątać, ciągnąc za złocistą wstęgę i uśmiechając się przy tym szeroko. Ten uśmiech, nie wiadomo dlaczego, powstrzymał Simona od wyjścia z leśnej kryjówki.

„Co ja robię? – pomyślał. – Wystarczy parę wesołych głosów, a ja już wyskakuję z kryjówki. Ci ludzie bawią się, ale i pies będzie się bawił ze swym panem, a ugryzie nieproszonego gościa”.

Mężczyzna, którego Simon obserwował, krzyknął coś do swego kompana, lecz zgiełk zagłuszył słowa, po czym odwrócił się i – trzymając w górze wstążkę – krzyknął coś jeszcze do kogoś innego. Drzewo podskakiwało na ramionach mężczyzn. Kiedy ostatni maruderzy z procesji minęli Simona, chłopiec wyszedł na drogę i ruszył za nimi; obszarpany chudzielec, który mógłby być smutnym duchem niesionego drzewa, zdążającym za swym utraconym domem.

Wesoła procesja skręciła na niewielkie wzgórze za kościołem. Słońce znikało szybko za rozległymi polami. Cień drzewa umieszczonego na dachu kościoła padł teraz na wzgórze i wyglądał jak długi nóż z zakrzywioną rękojeścią. Nie wiedząc, jakie są plany pozostałych, Simon trzymał się od nich dostatecznie daleko. Tamci wnieśli drzewo na wzgórze, potykając się o młode krzaki wrzosów. Spoceni mężczyźni zebrali się na szczycie i pokrzykując wesoło, ustawili drzewo pionowo, po czym spuścili je do wykopanego wcześniej dołu. Gdy jedni podtrzymywali kołyszący się pień, pozostali umacniali kamieniami jego podstawę. Wreszcie się odsunęli.

Drzewo-Maia zachwiało się, a potem przechyliło lekko na jedną stronę, co wywołało lękliwy śmiech stojących wokół ludzi. Kiedy znieruchomiało, lekko tylko przekrzywione, wszyscy wydali okrzyk radości. Nawet ukryty w cieniu drzew Simon wydał słaby okrzyk radości, lecz zaraz musiał skryć się głębiej, gdyż zaczął kasłać. Kasłał tak długo, aż pociemniało mu w oczach; upłynął już prawie cały dzień, odkąd nie wypowiedział ani słowa.

Ponownie wypełzł ze swej kryjówki z załzawionymi oczami. Tymczasem u stóp wzgórza rozpalono ognisko. Drzewo wyglądało teraz jak pochodnia zapalona z dwóch końców, gdyż jego czubek oświetlały promienie zachodzącego słońca, a pod nim skakały płomienie ogniska. Kuszony zapachem jedzenia, Simon zbliżał się do ludzi, którzy gawędząc, rozkładali kolację na obrusach pod ścianą małego kościoła. Zdziwił się i rozczarował, widząc, że niezbyt obfite były ich zapasy. Domyślił się, że miały to być skromne nagrody w świątecznych zabawach. Zorientował się też, że nie ma specjalnych szans uszczknąć coś stamtąd, będąc niezauważonym.

Młodsi mężczyźni i dziewczęta zaczęli tańczyć wokół drzewa. Starali się utworzyć koło, ale wciąż ktoś staczał się ze śmiechem na dół i ciągle nie udawało im się zamknąć go w pełni. Patrzący z boku klaskali radośnie, widząc, jak tancerze wirują, na próżno wyciągając ręce, aby uchwycić czyjąś dłoń. Kolejni biesiadnicy odpadali z koła; przewracali na trawę lub staczali się na dół i pozostawali tam, śmiejąc się bezradnie. Simon tak bardzo pragnął się do nich przyłączyć.

Wkrótce wszyscy siedzieli grupkami pod ścianą kościoła. Ostatnie promienie słońca lśniły jeszcze na czubku drzewa, który wyglądał jak rubinowy grot włóczni. Jeden z mężczyzn wyciągnął kościany flet i zaczął grać. Rozmowy cichły stopniowo i tylko czasem słychać było czyjś szept

lub zduszony śmiech. Wreszcie wszystkich ogarnęła pulsująca granatowa ciemność. Tęskna melodia fletu unosiła się nad nimi jak duch smutnego ptaka. Młoda kobieta o czarnych włosach i drobnej twarzy wstała. Oparta o ramię swego towarzysza zaczęła śpiewać, kołysząc się jak gibka brzoza na wietrze. Simon poczuł, jak uśpiona dusza otwiera się na tę pieśń, na ten wieczór, na łagodny zapach trawy i całego kwitnącego wokół świata. Dziewczyna śpiewała:

O wierny przyjacielu, o lipo,
Któraś schronieniem mi była w młodości,
Opowiedz o niewiernym kochanku,
Jeszcze raz bądź mi przyjacielem.

Ten, którego me serce pragnęło,
Który tyle mi obiecywał,
Zostawił mnie, serce me odtrącił
I z miłości kłamcę uczynił.

O lipo! Dokąd odszedł?
W czyim jest teraz słodkim uścisku?
Jak przywołać go z powrotem?
Dla mnie go odszukaj!

Nie pytaj mnie o to, panno wierna,
Bo nie chcę ci o tym mówić,
Gdyż prawdę musiałabym powiedzieć,
A uczuć twych nie chcę ranić.

O lipo! Nie odmawiaj mi!

Powiedz, kto dziś w jego ramionach!
Kto me miejsce zajął?
Kto chroni go przed mym wezwaniem?

O panno wierna, więc powiem ci prawdę,
Nie wróci on już do ciebie.
Dzisiejszej nocy szedł brzegiem rzeki,
Potknął się i wpadł do niej.

W ramionach rzeki teraz leży,
A ona mocno go do siebie tuli.
Lecz wkrótce przyśle go z powrotem,
A on mokry będzie i zimny.

I tak wróci stamtąd,
Lecz mokry będzie i zimny...

Czarnowłosa dziewczyna usiadła, a ogień trzaskał i sypał iskrami, jakby w pogardzie dla tak łzawej i łagodnej pieśni.

Simon szybko oddalił się od ogniska, czując, jak łzy napływają mu do oczu. Głos kobiety wzbudził w nim straszliwą tęsknotę za domem; tęsknił do docinków podkuchennych, życzliwej serdeczności służących, do swego łóżka, fosy, długich, upstrzonych promieniami słońca komnat Morgenesa, a nawet – uświadomił to sobie ze smutkiem – do surowej Rachel, zwanej Smokiem.

Szepty i śmiechy wypełniały teraz wiosenną ciemność, niczym szelest miękkich skrzydeł. Kilkanaście osób szło aleją przed kościołem. Większość z nich w kilkuosobowych grupkach zmierzała w kierunku karczmy „Pod Smokiem i Rybakiem”. W drzwiach karczmy migotał ogień, który znaczył

wchodzących na ganek żółtymi cętkami. Simon otarł oczy i podszedł bliżej, a zapachy mięsa i piwa ogarnęły go jak morska fala. Szedł wolno kilkanaście kroków za ostatnią grupą, zastanawiając się, czy od razu zapytać o pracę, czy może lepiej zaczekać w przytulnym cieple wnętrza, aż karczmarz znajdzie chwilę, by z nim porozmawiać i przekonać się, że można mu zaufać. Przestraszył się na myśl o tym, że będzie musiał prosić obcego o schronienie, ale co mu pozostało? Czy miał spać w lesie jak zwierzę?

Kiedy przeciskał się przez grupę pijanych wieśniaków, którzy sprzeczali się o zalety jesiennego strzyżenia, nieomal potknął się o ciemną postać skuloną pod szyldem karczmy. Okrągła, różowa twarz uniosła się i na Simona spojrzały małe, czarne oczy. Simon mruknął jakieś słowa przeprosin i zaczął iść dalej, kiedy nagle sobie przypomniał...

– Ja cię znam! – odezwał się do przykucniętej postaci; ciemne oczy tamtego otworzyły się szerzej, jakby przestraszone. – Jesteś tym zakonnikiem, którego spotkałem na targu przy Głównym Trakcie! Nazywasz się brat... brat Cadrach?

Przez chwilę Cadrach wyglądał, jakby miał zamiar uciec na czworakach, lecz po chwili zmrużył oczy i zaczął się przyglądać Simonowi.

– Nie pamiętasz mnie? – zapytał chłopiec podniecony. Widok znajomej twarzy podziałał na niego jak wino. – Nazywam się Simon.

Kilku wieśniaków odwróciło się i spojrzało na nich obojętnie mętnym wzrokiem. Simon przestraszył się, przypomniawszy sobie, że jest przecież zbiegiem.

– Nazywam się Simon – powtórzył ciszej.

Twarz zakonnika mówiła teraz, że rozpoznaje chłopca, lecz i coś jeszcze.

– Ach, Simon! Naturalnie, chłopcze! Cóż to cię sprowadza z wielkiego Erchesteru do tak nędznej wioski?

Cadrach wstał, pomagając sobie kijem, który stał obok oparty o ścianę.

– Mnie, no... – Simon nie wiedział, co powiedzieć.

I co robisz, idioto? Wdajesz się w rozmowę z prawie obcym. Pomyśl, głupcze! Morgenes próbował ci wytłumaczyć, że to nie jest zabawa.

– Ktoś... ktoś z zamku mnie tu przysłał...

– A ty postanowiłeś zatrzymać się w słynnej karczmie „Pod Smokiem i Rybakiem” i wydać tę resztę pieniędzy, jaka ci została – Cadrach wykrzywił twarz – na małą przekąskę. – Zakonnik mówił dalej, zanim jeszcze Simon zdążył cokolwiek sprostować lub chociaż zastanowić się, czy ma to zrobić. – Powinieneś więc zjeść ją ze mną i pozwolić mi zapłacić za kolację. Nie, nie, chłopcze, chcę, żeby tak było! Będzie to zaledwie skromny dowód wdzięczności za uprzejmość, jaką obdarzyłeś obcego.

Zanim Simon odpowiedział, Cadrach ciągnął go już za ramię do środka.

Parę twarzy zwróciło się w ich stronę, gdy weszli, lecz nikt im się dłużej nie przyglądał. Izba była długa i niska; po obu stronach pod ścianami ustawiono ławy i stoły tak poplamione winem, pocięte i porysowane, że wydawały się trzymać w całości tylko dzięki sosom i łojowi, którymi obficie były pochlapane. Przy drzwiach płonął duży ogień w szerokim kamiennym kominku. Stał tam spocony i okopcony chłopak, który obracał na rożnie wołowy udziec; zamrugał, kiedy kapiący tłuszcz zaskwierczał w płomieniach. Dla Simona wszystko to stanowiło niebiański wprost widok.

Cadrach zaciągnął go pod tylną ścianę. Blat stołu, przy którym usiedli, był tak połupany, że Simon poczuł ból, kiedy oparł na nim swe pozdzierane łokcie. Zakonnik usiadł naprzeciw niego i oparł się plecami o ścianę,

wyciągając nogi wzdłuż ławy. Zdziwiony Simon zobaczył, że zamiast sandałów ma na nogach buty zniszczone pogodą i zbyt długim noszeniem.

– Karczmarzu! Gdzie to się podziewasz, zacny karczmarzu? – zawołał Cadrach.

Dwóch miejscowych wieśniaków o krzaczastych brwiach i nieogolonych policzkach, którzy według Simona musieli być bliźniakami, popatrzyło znad sąsiedniego stołu z wyraźną niechęcią. Po chwili pojawił się właściciel karczmy, potężny brodacz z głęboką blizną biegnącą przez nos i górną wargę.

– A, jesteś – powiedział Cadrach. – Bóg z tobą, mój synu, przynieś nam po kuflu najlepszego piwa. A potem bądź tak dobry i odkrój kawałek z tego udźca i dodaj do tego trochę chleba, żeby było z czym zjeść tłuszcz. Dzięki, młodzieńcze.

Karczmarz zmarszczył brwi, słysząc te słowa, lecz skinął tylko krótko głową i odszedł. Simon słyszał, jak mruczy, odchodząc: „Hernystirski głupek...”

Niebawem dostali piwo, potem mięso, a potem znowu piwo. Początkowo Simon jadł jak wygłodniały pies, lecz kiedy zaspokoił pierwszy głód i sprawdził dookoła, czy nikt im się specjalnie nie przygląda, zaczął jeść wolniej i zwracać większą uwagę na zawiłe wywody Cadracha.

Hernystirczyk był znakomitym mówcą, choć jego gardłowy akcent utrudniał czasem zrozumienie tego, o czym mówił. Simon świetnie się bawił, słuchając opowieści o harfiarzu Ithinegu i jego bardzo, bardzo długiej nocy, choć zdziwił go nieco fakt, że słyszy ją z ust duchownego. Tak bardzo śmiał się z opowieści o przygodach rudego Hathrayhinna i sithijskiej kobiety Finaj, że wylał piwo na swą i tak już mocno poplamioną koszulę.

SIEDZIELI JUŻ DOŚĆ DŁUGO. Karczma opustoszała w połowie, kiedy właściciel skończył nalewać im po raz czwarty piwa. Cadrach, gestykulując mocno, opowiadał Simonowi o walce, jaką kiedyś widział w Ansis Pelippe w Pedruin. Dwaj duchowni, siedząc na ławie oskarżonych, nieomal do nieprzytomności pobili się w czasie sprzeczki o to, czy Usires Pan na wyspie Jrenamman zdjął zaklęcie z człowieka przemienionego w świnię czy też nie. I właśnie w najciekawszym momencie opowiadania – brat Cadrach tak energicznie wymachiwał rękoma, że Simon zaczął się obawiać, czy aby nie spadnie z ławy – karczmarz postawił z hukiem kufel piwa na środku stołu. Zaskoczony Cadrach popatrzył w górę.

– O co chodzi, łaskawy panie? – zapytał, unosząc brwi. – Czym możemy ci służyć?

Karczmarz stał z założonymi rękoma i przyglądał im się podejrzliwie.

– Dotychczas podawałem ci na kredyt, gdyż jesteś człowiekiem, któremu można zaufać, ojcze – powiedział – lecz niedługo będę musiał zamknąć.

– Czy *tylko* to cię trapi? – Na okrągłej twarzy Cadracha pojawił się uśmiech. – Zaraz będziemy gotowi do podsumowania, dobry człowieku. Jak cię nazywają?

– Freawaru.

– No więc bez obawy, łaskawy Freawaru. Pozwól temu młodzieńcowi i mnie skończyć nasze kufle i zaraz potem pozwolimy ci pójść spać.

Freawaru kiwnął głową nieco udobruchany i odwrócił się, by ryknąć na chłopca przy rożnie. Cadrach opróżnił swój kufel długim i głośnym przełknięciem i uśmiechnął się do Simona.

– Wypij do końca, chłopcze. Nie możemy kazać mu czekać. Jestem z Zakonu Granisjańskiego i dlatego potrafię współczuć takim biedakom.

A poza tym, dobry, święty Granis jest patronem karczmarzy i pijaków – dość naturalne połączenie!

Simon zachichotał i wypił resztę swego piwa, lecz kiedy odstawiał kufel, coś mu się przypomniało. Czy Cadrach nie mówił mu, kiedy spotkali się w Erchester, że jest z jakiegoś innego zakonu? Takiego, który zaczynał się na „V”? Vildervil?

Zakonnik przeszukiwał teraz kieszenie swego habitu z wyrazem skupienia na twarzy, więc Simon przemilczał pytanie. Wreszcie Cadrach wyciągnął skórzaną sakiewkę i rzucił ją na stół; nie wydała żadnego dźwięku, żadnego brzęczenia. Cadrach zmarszczył lśniące czoło w zdziwieniu, po czym podniósł sakiewkę do ucha i powoli nią potrząsnął. Wciąż nic nie było słychać. Simon wpatrywał się w sakiewkę.

– Ach, chłopcze – powiedział smutno Cadrach – i co, będziesz tak na nią patrzył? Po drodze zatrzymałem się, żeby pomóc żebrakowi; o, tak, zaniosłem go nad rzekę, obmyłem mu zakrwawione stopy i popatrz, co otrzymałem w zamian za wdzięczność. – Cadrach odwrócił sakiewkę tak, by Simon mógł zobaczyć rozcięte dno. – Czy jeszcze cię dziwi, że czasem boję się tego niegodziwego świata, chłopcze? Pomogłem mu, a on musiał mnie okraść właśnie wtedy, gdy go niosłem. – Mnich westchnął głęboko. – No cóż, Simonie, będę musiał odwołać się do twej dobroci i aedonickiego miłosierdzia, byś pożyczył mi pieniędzy, które tu jesteśmy winni. Bez obawy, wkrótce ci je oddam. – Cadrach cmoknął i pomachał rozciętą sakiewką w stronę Simona, który wciąż siedział z szeroko otwartymi oczami. – Ależ ten świat jest pełen grzechu.

Słowa Cadracha niezbyt wyraźnie docierały do Simona; w jego głowie zamroczonej piwem były jak bańka wypełniona dźwiękami. Simon patrzył nie na rozcięcie w sakiewce, lecz na wyhaftowaną na niej niebieską nicią mewę. Przyjemne uczucie podchmielenia, jakie czuł jeszcze przed chwilą,

zamieniło się teraz w uczucie goryczy. Po chwili podniósł głowę i ich oczy się spotkały. Piwo i ciepło karczmy już wcześniej rozgrzały uszy i policzki Simona, lecz teraz poczuł, że jego szybko bijące serce wzbudza gorącą falę, która ogarnia całe jego ciało.

– To... to moja... sakiewka! – powiedział.

Cadrach zamrugał jak osaczony borsuk.

– Co mówisz, chłopcze? – zapytał zaskoczony i powoli zaczął przesuwać się na środek ławy. – Chyba nie dosłyszałem.

– Ta... sakiewka... jest moja.

Simon czuł, jak narasta w nim cały żal i smutek z powodu jej utraty; przypomniał sobie rozczarowanie na twarzy Judith, smutne zaskoczenie Doktora Morgenesa i poczuł gorycz zawiedzionego zaufania. Wszystkie rude włosy na jego karku uniosły się jak szczecina dzika.

– Złodziej! – krzyknął nagle i rzucił się do przodu, lecz Cadrach był na to przygotowany: zdążył już zeskoczyć z ławy i mknął w stronę drzwi wyjściowych.

– Chłopcze, popełniasz błąd! – krzyczał, lecz nawet jeśli tak myślał, to chyba nie wierzył specjalnie w siłę swej perswazji. Nie zatrzymując się, chwycił swój kij podróżny i wypadł na zewnątrz. W mgnieniu oka Simon skoczył za nim, ale kiedy był już w drzwiach, poczuł, że czyjeś silne ramiona chwytają go wpół. Chwilę później machał nogami w powietrzu, tracąc oddech.

– Hej, a ty co zamierzasz? – mruknął mu do ucha Freawaru. Odwrócił się w drzwiach i cisnął Simona z powrotem do wewnątrz.

Chłopiec wylądował na mokrej podłodze i leżał, ciężko dysząc.

– To ten zakonnik! – jęknął wreszcie. – Ukradł moją sakiewkę! Nie pozwólcie mu uciec!

Freawaru wystawił głowę na zewnątrz.

– Nawet jeśli tak było, to już go nie ma, ale skąd mam wiedzieć, żeście tego nie zaplanowali? Skąd mam wiedzieć, że nie odgrywacie tej swojej sztuczki z zakonnikiem i jego chłopcem do zabaw w każdej karczmie stąd aż do Utanyeat?

Paru pijanych wieśniaków roześmiało się za jego plecami.

– Wstawaj – powiedział karczmarz i chwyciwszy Simona za ramię, postawił go gwałtownie na nogi. – Zapytamy Deorhelma albo Godstana, czy nie słyszeli już o was.

Nie zwalniając uchwytu, wypchnął chłopca za drzwi i poprowadził za róg budynku. W świetle księżyca widać było jasną strzechę stajni i pierwsze drzewa lasu.

– Nie wiem, dlaczegoś po prostu nie poprosił o pracę, ośle – warknął Freawaru i pchał dalej potykającego się Simona. – Akurat zrezygnował Heanfax i przydałby mi się taki osiłek. Cholerny głupiec. Trzymaj gębę na kłódkę.

Do stajni przylegała mała chata, która także była częścią całej karczmy. Freawaru zastukał pięścią w jej drzwi.

– Deorhelm! – zawołał. – Nie śpisz? Chodź i rzuć okiem na tego nicponia. Powiesz mi, czy go gdzieś widziałeś?

Po chwili usłyszeli wewnątrz kroki.

– Do licha, czy to ty, Freawaru? – zamruczał jakiś głos. – Musimy być na nogach o świcie.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Wewnątrz paliło się kilkanaście świec.

– Masz szczęście, że graliśmy jeszcze w kości – powiedział mężczyzna, który stał w drzwiach. – O co chodzi?

Oczy Simona otworzyły się szeroko, a serce zaczęło walić strasznie szybko. Mężczyzna w drzwiach i inny, który siedział na łóżku i czyścił broń, mieli na sobie mundury gwardii księcia Eliasa.

– Mały złodziejaszek, który skradł... – Freawaru nie zdążył więcej powiedzieć, gdyż Simon odwrócił się i uderzył głową w brzuch karczmarza. Brodacz upadł na ziemię i stęknął zaskoczony. Simon przeskoczył jego wierzgające nogi i popędził w stronę lasu; wystarczyło parę susów, by zniknąć wśród drzew. Obaj żołnierze patrzyli za nim w niemym zdziwieniu. Freawaru leżał na ziemi w świetle otwartych drzwi i próbował wstać, kopiąc i przeklinając.

16. Biała Strzała

TO NIESPRAWIEDLIWE! – powtarzał zapłakany Simon po raz chyba setny i walił pięścią w mokrą ziemię. Liście oblepiły jego zaczerwienione dłonie; nie było mu przez to ani odrobinę cieplej. – To niesprawiedliwe! – powtórzył cicho i zwinął się w kłębek. Słońce wzeszło już godzinę temu, lecz jego słabe światło nie dawało ciepła. Simon drżał i płakał.

To *nie było* sprawiedliwe, nie było. Co on takiego zrobił, żeby leżeć mokry, zziębnięty i bezdomny w lesie Aldheorte, w tym czasie gdy inni spali w ciepłych łóżkach albo odziani w suche ubrania jedli chleb i popijali mleko? Dlaczego ścigali go jak jakiegoś dzikiego zwierza? Starał się zrobić to, co uważał za słuszne, chciał pomóc przyjacielowi i księciu, a stał się nędznym wyrzutkiem.

Ale przecież Morgenesa spotkał jeszcze gorszy los – podszepnął mu wewnętrzny głos. – *Biedny Doktor pewnie chętnie zamieniłby się z tobą na miejsca*.

Nawet i to nie wchodziło w grę: Doktor Morgenes przynajmniej wiedział, o co w tym wszystkim chodzi, co może się zdarzyć. On zaś – pomyślał z odrazą – był równie naiwny i głupi jak mysz, która wychodzi z nory, żeby pobawić się z kotem.

„Dlaczego Bóg mnie tak nienawidzi? – zastanawiał się Simon, kichając. – Jak Usires Aedon, o którym duchowni mówią, że czuwa nad wszystkimi, mógł zostawić go na pastwę losu w takiej dziczy?”

Simon ponownie się rozpłakał.

JAKIŚ CZAS PÓŹNIEJ PRZETARŁ OCZY, zastanawiając się, jak długo leży i gapi się przed siebie. Podniósł się i opuścił leśne schronienie, by rozruszać ręce i nogi. Po chwili ponownie wrócił między drzewa i opróżnił pęcherz, po czym zszedł na sztywnych nogach nad strumień i napił się wody. Przy każdym kroku czuł okropny ból w kolanach, krzyżu i karku.

„Niech diabli wezmą ich wszystkich. I ten cholerny las, i Boga także”.

Nabrał w dłonie wody i spojrzał w niebo, lecz to nieme bluźnierstwo przeszło bez kary. Ruszył w górę strumienia i wkrótce dotarł do miejsca, w którym tworzył on rozlewisko i jego wzburzony nurt płynął już spokojnie. Przykucnął i spojrzał w wodę. Przez załzawione oczy widział swe zniekształcone odbicie. Kucając, poczuł, że coś przeszkadza mu się pochylić.

„Manuskrypt Doktora!” – przypomniał sobie.

Uniósł się nieco i wyciągnął ciepły i giętki papier spomiędzy spodni i poły koszuli. Pasek odgniótł się na całej długości manuskryptu. Trzymał go tam tak długo, że strony przybrały kształt jego brzucha, zupełnie jak zbroja; kartki leżały teraz na jego dłoni podobne do nabrzmiałego wiatrem żagla. Pierwsza strona była pomazana i oblepiona błotem, lecz Simon wciąż potrafił rozpoznać tajemnicze dzieło Doktora; przez cały czas miał na sobie tę cienką zbroję Morgenesa – jego słowa. Poczuł nagłe ukłucie, jak ściśnięcie w żołądku, kiedy jest się głodnym, więc odłożył papiery i ponownie spojrzał w dół.

Początkowo trudno było mu oddzielić swoją twarz od plam i cieni na powierzchni wody. Światło miał za sobą, więc widział jedynie ciemną postać z ledwie widocznym zarysem skroni, policzka i szczęki. Gdy odwrócił głowę i uchwycił trochę słońca, dostrzegł w wodzie ścigane

zwierzę, które nastawia uszu w oczekiwaniu pościgu, z włosami splątanymi niemiłosiernie i karkiem tak wygiętym, że raczej sugerował postawę czujności i strachu niż fakt, że jest to zwierzę ucywilizowane. Szybko zebrał manuskrypt i poszedł w górę strumienia.

„Jestem zupełnie sam. Nikt już nie będzie się mną zajmował. Choć dotąd też nikt tego specjalnie nie robił".

Czuł, że zaraz pęknie mu z żalu serce.

Zatrzymał się w słonecznym miejscu, by otrzeć łzy i zastanowić się. W lesie słychać było tylko śpiew ptaków. Słuchając ich, Simon pomyślał, że musi znaleźć cieplejsze ubranie, jeśli ma zamiar nocować pod gołym niebem, i będzie to musiał zrobić, zanim całkowicie oddali się od Hayholt. Musiał też postanowić, dokąd pójść.

Zaczął przeglądać bezmyślnie kartki Morgenesa; każdą wypełniały ciasno napisane słowa. Słowa – jak można było wymyślić tyle słów jednocześnie i do tego je zapisać? Sama myśl o tym przyprawiała go o zawrót głowy.

„A poza tym, jaki z nich pożytek – pomyślał z goryczą – kiedy jest się zziębniętym i głodnym albo kiedy Pryrates depcze po piętach?"

W pewnym momencie przewrócił dwie strony. Zobaczył, że pierwsza z nich się naddarła, i poczuł, jakby niechcący obraził przyjaciela. Przez chwilę wpatrywał się w nią, śledząc podrapanym palcem znane mu, starannie wykaligrafowane litery, po czym podniósł papier do góry, by lepiej widzieć w świetle dnia.

...i tak to się stało, ci, którzy pisali pieśni i opowieści mające bawić wspaniały dwór Johna, pragnąc przedstawić go wspanialszym, niż był w rzeczywistości, umniejszyli jego zasługi.

Simon czytał rękopis po raz pierwszy; sylabizując słowo po słowie, nic z niego nie rozumiał, ale kiedy przeczytał ponownie, nieomal usłyszał samego Morgenesa. Uśmiechnął się, zapominając o swoim losie. Wciąż nie rozumiał tekstu, ale rozpoznał głos przyjaciela.

Weźmy na przykład jego przybycie do Erkynlandu z wyspy Warinsten. Pieśniarze utrzymują, że to Bóg powołał go do zabicia smoka Shurakai, że wyszedł na brzeg w Grenefod z mieczem Białym Gwoździem w dłoni, wiedziony jedynie pragnieniem spełnienia tego wielkiego zadania.

Lecz jeśli można przypuszczać, że istotnie łaskawy Bóg wezwał go do uwolnienia kraju od okrutnej bestii, to wciąż pozostaje niewyjaśnione, dlaczego Bóg pozwolił temuż smokowi tak długo pustoszyć kraj, nim wymierzył mu wreszcie karę. Naturalnie, ci, którzy znali Johna wtedy, pamiętali, że opuścił on Warinsten bez miecza, jako chłopski syn, i tak też do nas przybył, a i później rok nieomal upłynął, nim pomyślał o Czerwonej Bestii...

Dużą pociechą było znowu usłyszeć głos Morgenesa, nawet jeśli był to tylko głos w jego wyobraźni; jednak ten fragment zdziwił Simona. Czy Morgenes chciał przez to powiedzieć, że Prester John nie zabił Czerwonego Smoka, czy może tylko, że nie został wybrany przez Boga? Jeśli nie zostałby wybrany w niebiosach przez Usiresa Pana, to jakżeż mógłby zabić bestię? Przecież ludzie w Erkynlandzie mówili, że Król był namaszczony przez Boga.

Kiedy tak rozmyślał, zimny wiatr przemknął wśród drzew i Simon poczuł na ramionach gęsią skórę.

„A niech to przeklnie Aedon, muszę znaleźć jakiś płaszcz lub coś ciepłego do okrycia się – pomyślał. – Trzeba też zdecydować, dokąd pójść, zamiast siedzieć tu i dumać nad starymi papierami”.

Teraz wiedział już, że wczorajszy plan, który polegał na tym, by nie ujawniając swego imienia, zatrudnić się jako kuchenny lub pomywacz w wiejskiej karczmie, okazał się nierealny. Nieważne było, czy dwaj strażnicy, którym zdołał uciec, rozpoznali go. W końcu i tak ktoś by to zrobił. Przekonany był, że ludzie Eliasa szukali go już po wsiach; teraz nie był tylko zbiegłym służącym, ale i przestępcą, strasznym przestępcą. Jak dotąd ucieczka Josuy pociągnęła za sobą kilkanaście ofiar. Nie będzie dla niego litości, jeśli wpadnie w ręce żołnierzy.

Jak uciec? Dokąd? Czuł, że znowu ogarnia go panika, i próbował ją opanować. Umierając, Morgenes powiedział mu, żeby poszedł za Josuą do Naglimundu. Wyglądało na to, że była to teraz jedyna rozsądna droga. Jeśli księciu udało się uciec, to z pewnością przyjmie go do siebie. Jeśli nie, to miał nadzieję, że jego poddani dadzą mu schronienie w zamian za wiadomości o swym panu. Lecz do Naglimundu było bardzo daleko. Simon znał drogę z opowiadań innych – wiele o niej mówili, ale z pewnością nie to, że jest krótka. Jeśli będzie dalej szedł Traktem Starego Lasu, dojdzie w końcu do traktu Wealdhelm, prowadzącego na północ, do podnóża wzgórz, od których imienia go nazwano. Tak więc, jeśli znajdzie trakt Wealdhelm, to przynajmniej będzie wiedział, że idzie w odpowiednim kierunku.

Simon oderwał kawałek koszuli i zwinąwszy manuskrypt w rulon związał go dokładnie paskiem materiału. Po chwili zauważył, że zostawił jedną stronę; leżała z boku. Kiedy ją podniósł, zobaczył, że jest to arkusz zabrudzony jego własnym potem. Większość liter była zamazana i tylko jedno zdanie pozostało czytelne:

...Jeśli działo się to za sprawą boską, to objawiało się w jego zniknięciach i powrotach, w tym, że znajdował odpowiednie miejsce w najbardziej odpowiednim czasie z korzyścią dla niego...

Nie była to może przepowiednia, lecz zdanie to dodało mu otuchy i wzmocniło jego postanowienie. Na północ, na północ do Naglimundu.

CIĘŻKA, CAŁODZIENNA PODRÓŻ wzdłuż Traktu Starego Lasu zakończyła się przypadkowym, pomyślnym odkryciem. Kiedy przedzierał się przez kłujące krzaki, omijając porozrzucane przy drodze chaty, dostrzegł wśród drzew coś nieocenionego: suszące się pranie, którego nikt nie pilnował. Skradał się do drzewa, na którego gałęziach wisiały mokre ubrania i stary, mokry koc, jednocześnie obserwując oddaloną o kilka kroków, rozlatującą się chatę z dachem obrośniętym jeżynami. Serce mu waliło, kiedy ściągał wełniany koc tak mokry, że zachwiał się, trzymając go w ramionach. Nikt nie zareagował; wydawało się, że w pobliżu nie ma nikogo. To sprawiło, że Simon poczuł się jeszcze gorzej. Wycofując się ze zdobyczą między drzewa, przypomniał sobie drewnianą tabliczkę, która wisiała na piersi wisielca.

SIMON SZYBKO ZDAŁ SOBIE SPRAWĘ, że życie banity wcale nie wygląda tak, jak opisywał je Shem, który lubił opowiadać o bandycie zwanym Jack Mundwoode. Wcześniej wyobrażał sobie, że las Aldheorte podobny jest do bezkresnego holu z podłogą z gładkiej murawy i kolumnami wysokich drzew, które podpierały zawieszony gdzieś tam w górze sufit z liści i nieba; był to przepastny namiot, w którym rycerze, tacy jak sir Tallistro z Perdruin albo wielki Camaris, na swych rączych rumakach uwalniali zniewolone damy, ratując je przed haniebnym losem. Teraz sam tkwiąc w tej surowej, nieomal wrogiej rzeczywistości, Simon stwierdził, że drzewa na skraju lasu tulą się do siebie i splatają swe gałęzie, upodabniając je do kłębowiska żmij. Nawet samo poszycie lasu stawało się istotną przeszkodą

w wędrówce; pod mchem i gnijącymi liśćmi wciąż napotykał powalone pnie i jeżyny.

W pierwszych dniach wędrówki, kiedy udało mu się pokonać jakiś odcinek bez przeszkód, miał wrażenie, że zdradza go odgłos własnych kroków na słabo ubitej ziemi. Przemykał dolinami oświetlonymi słońcem, modląc się, by jak najszybciej znaleźć się znowu wśród krzaków. W końcu przemógł strach i zmusił się do wolniejszego tempa w pokonywaniu polan. Czasami odważał się nawet zanucić jakąś piosenkę, a echo jego lękliwego głosu, który zamierał w koronach drzew, wydawało mu się czymś zupełnie normalnym. Wystarczyło jednak, że napotkał kolejne jeżyny, a zaraz zapominał o śpiewaniu.

Wprawdzie wspomnienia o życiu w Hayholt nie opuszczały go, lecz pomału stawały się zaledwie strzępami obrazu, który oddalał się i zamazywał; przykrywała go warstwa złości, rozpaczy i goryczy. Zabrano mu dom i szczęście. Życie w Hayholt było niezwykle sielskie: ludzie byli dobrzy, warunki wspaniałe. Teraz długie, żmudne godziny przedzierał się przez wrogi mu las, nieszczęśliwy i rozżalony. Czuł, że tamten dawny Simon już nie istnieje. Jego myśli koncentrowały się tylko na dwóch rzeczach: by iść naprzód i znaleźć coś do jedzenia.

Długo się zastanawiał, czy posuwać się szybciej drogą i ryzykować, że zostanie złapany, czy też iść, kryjąc się w lesie. To drugie wydawało się lepszym rozwiązaniem, ale Simon szybko się zorientował, że na pewnych odcinkach droga i brzeg lasu znacznie się rozchodziły, i trudno mu będzie później odnaleźć trakt. Był też żałośnie zawiedziony, że nie ma najmniejszego pojęcia, jak rozpalić ogień; nigdy się nad tym nie zastanawiał, kiedy słuchał opowieści Shema o wesołym Munwoode i jego bandzie, która delektowała się pieczonym udźcem przy leśnym stole. Simon zdecydował, że skoro nie ma pochodni, drogą będzie szedł nocą, przy

świetle księżyca, a rankiem położy się spać; pod koniec dnia zaś będzie przedzierał się lasem.

Brak pochodni oznaczał też brak ognia do gotowania, co chyba najbardziej mu dokuczało. Czasami znajdował w zagłębieniach trawy pstrokate jaja kuropatwy. Dzięki temu mógł się nieco posilić, lecz trudno było wysysać kleiste, zimne żółtka i nie myśleć o ciepłej i pełnej zapachów kuchni Judith. Z żalem wspominał ranki, kiedy tak bardzo spieszył się do Morgenesa albo na pole turniejowe, że potrafił zostawić na talerzu nietknięty kawał masła lub pajdę chleba z miodem. Teraz taka kromka stała się nieosiągalnym marzeniem.

Simon zdobywał pożywienie głównie w przydomowych ogrodach, gdyż nie potrafił polować i nie miał pojęcia, które z leśnych roślin można jeść. Strzegąc się pilnie psów i rozgniewanych właścicieli ogrodów, Simon wynurzał się z lasu i plądrował liche warzywne grządki; zabierał parę marchewek, cebul albo też zrywał szybko jabłka z niższych gałęzi, lecz nawet takie posiłki należały do rzadkości. Często w czasie marszu był tak głodny, że nieomal krzyczał z gniewu i kopał z wściekłością czepiające się go krzaki. Raz kopnął tak mocno i krzyknął tak głośno, że się przewrócił i leżał, długo nie mogąc wstać. Słuchał, jak echo powtarza jego szlochanie, i wydawało mu się, że umrze.

Nie, życie w lesie wcale nie było tak wspaniałe, jak mu się wydawało w Hayholt, kiedy siadywał wieczorami i słuchał opowieści Shema, wdychając zapach siana i skóry. Potężny las Aldheorte okazał się mrocznym i skąpym gospodarzem, nieskorym do pomagania obcym. Simon bardziej przypominał królika niż przestępcę, kiedy kładł się spać w dzień w ciernistych krzakach albo wędrował zziębnięty i mokry w świetle księżyca czy też przemykał ukradkiem przez ogrody w swym mokrym, zbyt obszernym płaszczu.

WCIĄŻ MIAŁ PRZY SOBIE ZWÓJ z napisaną przez Morgenesa historią, dzierżąc go jak buławę czy też święte Drzewo, jednak w miarę upływu czasu czytywał go coraz rzadziej. Zwykle pod koniec dnia między skąpym posiłkiem – jeśli w ogóle jadł cokolwiek – a przerażającym go leśnym zmrokiem rozwijał rękopis i czytał część strony, lecz z każdym dniem było mu coraz trudniej uchwycić sens czytanej historii. Próbował skupić się na fragmencie, który mówił o Johnie, Królu Rybaku i smoku Shurakai. Przeczytał go w skupieniu czterokrotnie i stwierdził, że z treści jej nie dowiedział się więcej, niż gdyby obejrzał słoje na kawałku drewna. Kiedy nadeszło piąte popołudnie spędzone w lesie, Simon usiadł z rozłożonym na kolanach manuskryptem i zaczął cicho płakać. Nieświadomie głaskał delikatny papier, tak jak dawno temu drapał kota w ciepłej, jasnej kuchni, w której pachniało cebulą i cynamonem...

OSIEM DNI PO UCIECZCE Z KARCZMY „Pod Smokiem i Rybakiem” Simon mijał wioskę Sistan, niewiele większą osadę od Flett. Dzień był słoneczny i widać było wyraźnie dym unoszący się z obu kominów tutejszej karczmy. Droga była pusta. Simon obserwował ją ukryty na zboczu wzgórza w kępie srebrzystych brzóz; na wspomnienie o ostatnim ciepłym posiłku kolana ugięły się pod nim, tak że nieomal upadł. Tamten wieczór, pomimo przykrego zakończenia, wydał mu się pogańskim rajem mieszkańców Rimmersgardu, opisanym kiedyś przez Doktora Morgenesa: wieczne popijanie i snucie opowieści czy też swawolenie bez końca.

Zaczął zsuwać się zboczem w kierunku spokojnej karczmy, przytrzymując się drżącymi dłońmi. Marzył o tym, by udało mu się skraść kawałek mięsa z któregoś okna albo wśliznąć się od tyłu do kuchni. Wyszedł już spomiędzy drzew i był w połowie zbocza, kiedy nagle zdał sobie sprawę z tego, co robi: wyszedł z lasu w środku dnia, chore,

przestraszone zwierzę, które zatraciło instynkt samozachowawczy. Poczuł się zupełnie nagi, choć miał na sobie wełniane okrycie pełne kolców z jeżyn. W jednej chwili zawrócił w kierunku smukłych brzóz. Teraz nawet i one wydały mu się zbyt odsłonięte. Przeklinając i szlochając, zagłębił się w gęstwinę lasu, który otulił go niczym płaszcz.

O PIĘĆ DNI DROGI NA ZACHÓD od Sistan brudny i wygłodzony Simon ponownie przycupnął na zboczu i spoglądał na stojącą w dolinie leśną chatę. Wiedział – o tyle, o ile potrafił zebrać skołatane myśli – że kolejny dzień bez prawdziwego posiłku lub też kolejna chłodna noc spędzona we wrogim mu lesie doprowadzą go w końcu do obłędu. Miał wrażenie, że stanie się ostatecznie zwierzęciem; już się powoli stawał. Coraz częściej myślał jedynie o jedzeniu, ciemnych kryjówkach i trudach leśnej drogi. Coraz rzadziej myślał o zamku. Czy tam było ciepło? Czy ludzie kiedykolwiek rozmawiali z nim? A gdy gałąź uderzyła go mocno w bok, warknął jedynie i zamachnął się na nią jak zwierzę!

„Ktoś... ktoś tam mieszka...”

Była to pewnie chata drwala, do której prowadziła kamienna ścieżka. Z boku pod ścianą ułożono stos porąbanych na pół szczap. Simon pomyślał, wciągając lekko nozdrzami powietrze, że z pewnością ktoś zlituje się nad nim, jeśli podejdzie do drzwi i grzecznie poprosi o coś do jedzenia.

Jestem tak głodny! To niesprawiedliwe! To nie w porządku! Ktoś musi dać mi trochę jedzenia... ktoś...

Zszedł zboczem na sztywnych nogach, przez cały czas otwierając i zamykając bezgłośnie usta. Pomyślał niejasno, że musi uważać, by nie wystraszyć tych leśnych ludzi, którzy mieszkają tu, w swych drewnianych dziuplach. Zbliżał się do chaty z dłońmi wyciągniętymi przed siebie i palcami szeroko rozłożonymi, by pokazać, że jest bezbronny.

W środku nie było nikogo albo mieszkańcy nie odpowiadali na jego słabe pukanie. Obszedł chatę dookoła, nie odrywając dłoni od jej drewnianych ścian. Jedyne okno zasłonięte było szeroką deską. Zastukał ponownie, tym razem mocniej; w odpowiedzi usłyszał tylko echo.

Przykucnął pod oknem. Zastanawiał się, czy powinien spróbować otworzyć je kawałkiem drewna, kiedy usłyszał jakieś stęknięcie, które dochodziło z kępy drzew. Wstał tak gwałtownie, że pociemniało mu w oczach i przez chwilę widział tylko jakiś świetlny punkt w ciemności. Zamachał rękami, czując, że robi mu się niedobrze. Drzewa pochyliły się, jakby uderzone ogromną dłonią. Chwilę później ponownie usłyszał dziwne syknięcie, które przeszło w potok szybko wypowiadanych słów. Był to język, którego Simon nie znał, lecz z pewnością były to słowa. Po chwili na polanie znowu zapadła cisza.

Simon zamarł w bezruchu; nie potrafił zrobić kroku. Co robić? A może właściciel chaty został zaatakowany przez jakieś zwierzę w drodze do domu... Simon mógłby mu pomóc... wtedy musiałby dać mu coś do zjedzenia. Tylko w jaki sposób może mu pomóc? Sam ledwie trzyma się na nogach. A co będzie, jeśli to tylko zwierzę? A może mu się tylko zdawało, że te dźwięki były słowami?

Możliwe, że było to coś jeszcze gorszego: królewscy żołnierze z lśniącymi i ostrymi mieczami albo wygłodniała, siwowłosa wiedźma? A może to sam diabeł w ognistym ubraniu z czarnymi jak noc oczami?

Simon nie potrafił powiedzieć, co dodało mu odwagi i siły, by rozprostować zesztywniałe kolana i pójść w kierunku drzew. Nie zrobiłby tego, gdyby nie był tak chory i zdesperowany... ale był chory, wygłodniały, brudny i samotny jak szakal z Nascadu. Owinął się szczelnie płaszczem i trzymając przed sobą rękopis Morgenesa, pokuśtykał w stronę drzew.

SŁOŃCE ŚWIECIŁO NIERÓWNO między drzewami; przeciskając się między wiosennymi liśćmi, pozostawiało na ziemi plamki podobne do porozrzucanych monet. W powietrzu czuć było napięcie, jakby ktoś wstrzymał oddech. Przez chwilę nie widział nic poza ciemnymi pniami drzew i ukośnymi promieniami słońca. W jednym miejscu promienie wykrzywiały się i podskakiwały; Simon zdał sobie sprawę, że padają na jakąś szamoczącą się postać. Kiedy zrobił krok naprzód, liście pod jego stopami zaszeleściły i wtedy tamta postać znieruchomiała. Coś, co wisiało mniej więcej jard nad ziemią, podniosło głowę i spojrzało na Simona. Twarz była ludzka, ale oczy koloru topazu zupełnie jak u kota.

Simon odskoczył z bijącym sercem. Bez względu na to, co lub kto to był, Simon był pewien, że nigdy nie widział takiego stworzenia. Chociaż było w nim coś znajomego, coś jakby wspomnienie odległego snu. Co za dziwne stworzenie! Wprawdzie najwyraźniej zostało schwytane w okrutną pułapkę, gdyż wisiało przywiązane liną do gałęzi, lecz wciąż wyglądało na rozwścieczone i nieujarzmione: jak lis, który umrze z zębami zatopionymi w gardle ogara.

Jeśli był to człowiek, to był bardzo małym osobnikiem. Jego drobne, mocno wystające kości policzkowe przypomniały Simonowi na krótką, przerażającą chwilę czarne postacie z góry Thisterborg. Tamte wyglądały jednak jak blade głębinowe ryby, a ten osobnik miał skórę złotawobrązową niczym wypolerowany dąb.

Simon zbliżył się o krok, by lepiej widzieć w mroku drzew; więzień zmrużył oczy i obnażył zęby, sycząc jak kot. Sposób, w jaki to zrobił, kazał Simonowi przypuszczać, że to przypominające łasicę stworzenie nie jest człowiekiem.

Simon podszedł bliżej, niż nakazywała mu rozwaga, i spojrzał w cętkowane, bursztynowe oczy więźnia, który w tym właśnie momencie

szarpnął się i kopnął Simona w klatkę piersiową obutymi stopami. Stało się to tak szybko, że nie zdołał uniknąć uderzenia. Zatoczył się do tyłu i spojrzał groźnie na więźnia, który odwzajemnił mu się tym samym.

Obserwując, jak nienaturalne dla człowieka mięśnie otwierają jego usta, Sitha – bo Simon w jednej chwili, jakby mu ktoś podpowiedział, zdał sobie sprawę, że wiszące stworzenie było właśnie Sithą – wyrzucił z siebie jedno słowo niezdarnie wypowiedziane w języku Westerling, który był ojczystym językiem Simona.

– Tchórz!

Rozzłoszczony Simon, gotów był skoczyć na wroga... lecz zrozumiał nagle, że taki był cel kpiny Sithy. Roztarł bolące żebra, skrzyżował ramiona i wpatrywał się w wiszącego. Z ponurym zadowoleniem stwierdził, że tamten jest najwyraźniej zawiedziony.

Płowy, jak Rachel często przesądnie nazywała przedstawicieli tego ludu, miał na sobie dziwną kurtkę z miękkiej tkaniny i spodnie z lśniącego brązowego materiału, nieco tylko ciemniejsze od jego skóry. Pas i ozdoby z błyszczących zielonych kamieni wspaniale kontrastowały z włosami koloru lawendy i przypominały górski wrzos; ściągnięte ciasno kościanym pierścieniem w warkoczyk wisiały z boku głowy. Wydawał się nieco niższy od Simona, choć znacznie drobniejszy, lecz Simon ostatnio być może wyglądał równie chudo i dziko. Nawet jeśli tak było, to wciąż istniały między nimi różnice, choć trudne do określenia: ptasie ruchy szyi i głowy, dziwna elastyczność stawów, pewna aura mocy i opanowanie, widoczne nawet teraz, gdy Sitha wisiał jak zwierz w okrutnej pułapce. Wielokrotnie nawiedzał on sny Simona, lecz wyglądał teraz zupełnie inaczej niż w wyobraźni. Wywoływał strach i dreszcz emocji... był obcy.

– Nie... nie chcę ci zrobić krzywdy – odezwał się wreszcie Simon i zdał sobie sprawę, że mówi jak do dziecka. – To nie ja zastawiłem pułapkę.

Sitha wciąż patrzył na niego swymi pełnymi wrogości, skośnymi oczami.

„Jakiż okropny ból musi pokonywać – zastanawiał się Simon. – Ma tak wysoko podciągnięte ramiona, że... że chyba wyłbym z bólu na jego miejscu!”

Znad lewego ramienia więźnia wystawał kołczan z dwoma tylko strzałami. Pozostałe razem z małym łukiem z ciemnego drewna leżały pod kołyszącymi się stopami.

– Czy przyrzekasz nie zrobić mi krzywdy, jeśli spróbuję ci pomóc? – pytał Simon, wymawiając wolno słowa. – Sam jestem bardzo głodny – dodał niewyraźnie.

Sitha nic nie powiedział, lecz gdy Simon zrobił krok do przodu, podciągnął nogi gotowy do kopnięcia. Chłopiec cofnął się.

– A niech cię! – krzyknął Simon. – Chcę ci tylko pomóc!

„Tylko dlaczego – pomyślał – dlaczego wypuszczać wilka z pułapki?”

– Musisz – zaczął, lecz resztę jego słów zagłuszył trzask łamanych gałęzi; spomiędzy drzew wynurzyła się jakaś ogromna postać.

– No! Tu jesteś, tu jesteś... – usłyszał Simon donośny głos. Na polance ukazał się brodaty mężczyzna w brudnym, grubym i mocno połatanym ubraniu, a w ręku trzymał siekierę. – A ty co... – zamilkł, zobaczywszy Simona, który kulił się pod drzewem. – A ty coś za jeden? – warknął. – Czego tu szukasz?

Simon spojrzał na wyszczerbione ostrze siekiery.

– Ja... ja przechodziłem tędy... Usłyszałem jakiś hałas między drzewami. – Wskazał dłonią w kierunku więźnia. – Znalazłem go w... w tej pułapce.

– W mojej pułapce! – Drwal wyszczerzył zęby w uśmiechu. – W mojej cholernej pułapce, no i proszę, mamy go. – Odwrócił się od Simona

i popatrzył złowrogo na wiszącego Sithę. – Obiecałem sobie, że ukrócę ich szpiegowanie, myszkowanie i psucie mojego mleka, no i dotrzymałem słowa. – Wyciągnął rękę i pchnął więźnia, który zaczął się kołysać. Sitha syknął, lecz był to odruch bezradności. Drwal się roześmiał.

– Na Drzewo, potrafią walczyć, potrafią.

– Co... co pan ma zamiar z nim zrobić?

– A jak myślisz, chłopcze? Co Bóg chciałby, żebyśmy robili z krasnalami, skrzatami i diabłami, kiedy je złapiemy? Powiem ci: żeby posłać je z powrotem do piekła za pomocą mojej siekiery.

Więzień przestał się kołysać i obracał się teraz powoli na końcu czarnej liny jak usidlona w pajęczynie mucha. Jego ciało wydawało się wiotkie, a oczy patrzyły w dół.

– Zabić go? – Pomimo zmęczenia Simon czuł, że ogarnia go przerażenie. Starał się odegnać myśli, które przychodziły mu do głowy. – Chce pan... ale pan nie może! Nie może! On... on jest...

– Jedno jest pewne: nie jest istotą naturalną! Wynoś się stąd, przybłędo. Jesteś w moim ogrodzie i nikt cię tu nie prosił. Dobrze wiem, co one tu robią.

Drwal z pogardą odwrócił się od Simona i ruszył w stronę Sithy z uniesioną siekierą, jakby zamierzał rąbać drewno.

Ale to żywe drewno zaczęło się nagle ruszać. Więzień był teraz jak szamocące się, kopiące i warczące zwierzę, które walczy o swoje życie. Pierwszy cios nie dotarł do celu; siekiera otarła się o policzek więźnia i rozerwała na ramieniu jego dziwny, zielony strój. Po cienkiej szyi i szczęce Sithy płynęła strużka krwi, która wyglądała zupełnie jak krew ludzka. Drwal zrobił krok naprzód.

Simon osunął się na obolałe kolana, chcąc znaleźć coś, czym mógłby przerwać tę okropną walkę, przekleństwa i pomruki mężczyzny oraz

piskliwe warczenie osaczonego więźnia, trudne do zniesienia. Macając wokół dłonią, trafił na łuk, który okazał się lżejszy, niż wyglądał, jakby zrobiono go z trzciny. Chwilę później jego dłoń zacisnęła się na wystającym z ziemi kamieniu. Pociągnął, wyrwał go i uniósł rękę nad głowę.

– Przestań! – krzyknął. – Zostaw go!

Żaden z walczących nie zwrócił na niego uwagi. Drwal zadawał ciosy, raniąc raz po raz więźnia. Sitha dyszał ciężko; widać było, że szybko słabnie.

Simon nie mógł dłużej znieść tego okropnego widowiska. Z jego piersi wydobył się krzyk, który nosił w sobie przez wszystkie okropne dni swej tułaczki. Jednym susem pokonał polankę i uderzył kamieniem w tył głowy drwala. Głuche uderzenie odbiło się echem wśród drzew. Mężczyzna znieruchomiał. Osunął się na kolana, upadł na twarz; spod zmierzwionych włosów wypłynęła strużka krwi.

Simon wpatrywał się w krwawiące ciało i czuł, że robi mu się niedobrze; opadł na kolana, by zwymiotować, lecz z ust pociekła mu tylko cierpka ślina. Kręciło mu się w głowie, więc przylgnął twarzą do mokrej ściółki i poczuł, że las kołysze się nad nim.

KIEDY DOSZEDŁ DO SIEBIE, zwrócił się w stronę wciąż wiszącego Sithy. Na jego podobnej do żmijowej skóry tunice widać było strużki krwi, a dzikie oczy zasnuwała mgła, jakby ktoś zasłonił je od wewnątrz. Działając niemrawo, jakby we śnie, Simon podniósł siekierę i powiódł nią po napiętej linie aż do miejsca, w którym okręcono ją wokół gałęzi. Zdrętwiały ze strachu potarł wyszczerbionym ostrzem o węzeł za plecami więźnia. Sitha zamrugał, gdy węzeł zacisnął się mocniej, lecz nie wydał żadnego dźwięku.

Simon musiał dość długo szarpać i trzeć, nim śliski węzeł ustąpił. Sitha upadł z podkurczonymi nogami i potoczył się na nieruchomego drwala. Jak oparzony natychmiast odskoczył od ciała i zaczął zbierać swoje strzały. Trzymając je przed sobą jak bukiet wysokich kwiatów, podniósł łuk i stał wpatrzony w Simona. Jego zimne, lśniące oczy powstrzymały słowa chłopca. Niepomny na rany Sitha stał nieruchomy i czujny jak zaskoczony jeleń; po chwili już go nie było, coś zielonego i brązowego śmignęło między drzewami i Simon pozostał sam.

Słoneczne cętki drżały jeszcze na liściach w miejscu, gdzie zniknął Sitha, gdy Simon usłyszał bzyknięcie jakby rozzłoszczonego owada i poczuł na twarzy powiew przelatującego przedmiotu. W pniu drzewa, przy którym stał, utkwiła strzała; w miarę jak przestawała drżeć, stawała się coraz bardziej widoczna. Patrzył na nią tępo, zastanawiając się, kiedy następna ugodzi w niego. Zarówno drzewce, jak i pióra strzały były białe, niczym skrzydło mewy. Był przekonany, że zaraz nadleci następna. Lecz się mylił. Zapadła zupełna cisza i las znieruchomiał.

Po okropnych przeżyciach ostatnich dwóch tygodni, a szczególnie po doznaniach ostatniego dnia Simon nie powinien był zdziwić się specjalnie, kiedy usłyszał nieznany głos spoza drzew; głos, który nie należał do Sithy, a tym bardziej do drwala, przypominającego teraz ścięte drzewo.

– Weź ją – powiedział głos. – Strzałę. Weź strzałę. Jest twoja.

Simon nie powinien być zaskoczony, a jednak był. Osunął się bezradnie na ziemię i zaczął płakać – łkał, wyrzucając z siebie wyczerpanie, rozpacz i całkowitą dezorientację.

– Och, Córko Gór – powiedział nowy, obcy głos – to nie wygląda dobrze.

17. Binabik

SIMON SPOJRZAŁ TAM, skąd dochodził obcy głos, i zdziwiony szeroko otworzył załzawione oczy. W jego stronę szło dziecko.

Nie, nie dziecko, lecz mężczyzna tak niski, że czubek jego czarnych włosów sięgał zaledwie do pępka Simona. Nawet w jego twarzy było coś dziecięcego: wąskie oczy i szerokie usta, które rozciągały się do kości policzkowych, co miało wyrażać zadowolenie.

– To nie jest dobre miejsce na płacz – powiedział obcy. Odwrócił się od Simona i popatrzył krótko na leżącego drwala. – I chyba nie na wiele się to zda, przynajmniej nie jemu. – Wskazał na ciało.

Simon wytarł nos w rękaw swej koszuli i czknął. Obcy podszedł bliżej, by się przyjrzeć jasnej strzale, która tkwiła w pniu drzewa tuż przy głowie Simona niczym gałązka widmo.

– Powinieneś ją wziąć – powiedział człowieczek, a jego usta ponownie się rozszerzyły w żabim uśmiechu, ukazując rząd żółtych zębów.

Nie był to karzeł, jak błazny czy akrobaci, których Simon widywał na dworze lub na targu w Erchesterze; choć pierś miał okazałą, wydawał się zbudowany proporcjonalnie. Jego ubranie przypominało odzież noszoną przez Rimmersmenów: kurtka i getry zrobione były z grubej, zwierzęcej skóry pozszywanej ścięgnami, okrągłą twarz okalał futrzany kołnierz. Na ramieniu miał dużą, skórzaną torbę, a w ręku laskę, najprawdopodobniej wyrzeźbioną z jakiejś długiej, cienkiej kości.

– Przepraszam, że się wtrącam, ale powinieneś wziąć tę strzałę. To jest Biała Strzała Sithów i jest bardzo cenna. Oznacza dług, a Sithowie są bardzo skrupulatni.

– Kim... kim jesteś? – zapytał Simon i czknął ponownie.

Czuł się wyżęty i obity jak koszula, którą suszono, uderzając o skałę. Czuł, że nie byłby w stanie zareagować inaczej, nawet gdyby człowieczek wyskoczył zza drzew, wywijając nożem i warcząc.

– Ja? – spytał obcy i zamilkł, jakby zastanawiał się nad pytaniem. – Jestem podróżnym, tak samo jak ty. Chętnie powiem ci coś więcej, ale później. Teraz powinniśmy już iść. Ten człowiek – wskazał laską na drwala – z pewnością już nie ożyje, lecz może mieć przyjaciół lub rodzinę, która nie będzie specjalnie zadowolona, jeśli znajdzie go martwego. Proszę, weź Białą Strzałę i chodź ze mną.

Pomimo zmęczenia i nieufności Simon się podniósł. W tej chwili nie miał już siły na czujność i brak wiary, a jego ciało pragnęło jedynie się położyć i umrzeć spokojnie. Wyciągnął strzałę z pnia. Człowieczek wspinał się już wzgórzem z tyłu chaty pogrążonej w ciszy, jakby nic się nie stało.

– Ale... – Simon z trudem łapał powietrze, wdrapując się za obcym, który poruszał się z zadziwiającą szybkością. – Ale co z domem? Jestem... Jestem tak głodny... a tam mogło być jakieś jedzenie...

Obcy zatrzymał się na szczycie wzgórza.

– Jestem przerażony! – powiedział. – Najpierw go zabijasz, a potem chcesz jeszcze splądrować jego spiżarnię. Zdaje się, że zadałem się z okropnym przestępcą! – Odwrócił się i ruszył między gęsto rosnące drzewa.

Przeciwległe zbocze wzgórza opadało łagodnie. Kulejący Simon zrównał się z obcym; oddychał już swobodniej.

– Kim jesteś? Dokąd idziesz?

Obcy nie patrzył na niego, lecz przesuwał wzrok z drzewa na drzewo, jakby szukał jakiegoś znaku. Po dwudziestu krokach spojrzał na Simona i uśmiechnął się szeroko.

– Nazywam się Binbiniqegabenik – powiedział – lecz przy ognisku nazywają mnie Binabik. Mam nadzieję, że uczynisz mi ten zaszczyt i będziesz używał krótszej wersji; tak nazywają mnie przyjaciele.

– Do... dobrze. Skąd pochodzisz? – Simon czknął ponownie.

– Jestem trollem z Yiqanuc – odparł Binabik. – Wielkiego Yiqanuc z ośnieżonych i mroźnych gór północnych... a ty?

Simon przez moment patrzył podejrzliwie na obcego, zanim odpowiedział.

– Jestem Simon, Simon z... z Erchesteru.

Pomyślał, że wszystko to dzieje się tak szybko... jak wyprawa na targ, tyle tylko, że w środku lasu i w następstwie dziwnego morderstwa. Święty Usiresie, jak bolała go głowa! Żołądek także.

– Dokąd idziemy?

– Do obozu. Tylko najpierw muszę znaleźć mojego wierzchowca... czy też raczej on musi znaleźć mnie. Nie dziw się, proszę. – Mówiąc to, Binabik przyłożył dwa palce do ust i zagwizdał cienko. Po chwili zrobił to jeszcze raz.

– Pamiętaj, nie dziw się i nie wystrasz.

Zanim skończył mówić, rozległ się trzask łamanych gałęzi, jakby zawiał silny wiatr. Chwilę później na polanę wypadł olbrzymi wilk, który minął przerażonego Simona i skoczył niczym kudłaty piorun na Binabika; ten upadł pod naporem pomrukującego napastnika.

– Qantaqa! – Okrzyk trolla był zduszony, lecz brzmiał radośnie. Pan i jego zwierzę baraszkowali na ziemi.

Simon zastanawiał się, czy cały świat poza zamkiem jest taki sam, czy całe Osten Ard jest miejscem zabaw potworów i wariatów?

Binabik usiadł wreszcie, a wilczyca położyła swą wielką głowę na jego kolanach.

– Zostawiłem ją na cały dzień – wyjaśnił. – Wilki są bardzo towarzyskie i szybko zaczynają tęsknić.

Qantaqa wyszczerzyła zęby i zapiszczała. Wilczyca miała gęste, szare futro, lecz i bez niego wyglądałaby okazale.

– Nie bój się – zaśmiał się Binabik. – Podrap ją po nosie.

Sytuacja wciąż wydawała się Simonowi nierzeczywista i jakoś nie miał na to ochoty, zamiast tego zapytał:

– Przepraszam... czy mówiłeś coś o jedzeniu w twoim obozie, panie?

Troll wstał i z uśmiechem na twarzy podniósł swój kij.

– Nie, „panie”, po prostu Binabik! A co do jedzenia: tak. Zjemy razem ty, ja i Qantaqa. Chodź ze mną. Biorąc pod uwagę twoje zmęczenie i głód, nie będę jechał, raczej pójdę z tobą.

SIMON I TROLL MASZEROWALI przez jakiś czas. Chwilami Qantaqa biegła z nimi, lecz często wyprzedzała ich, znikając w gęstym poszyciu lasu. Po którymś takim wypadzie wróciła, oblizując się długim, różowym językiem.

– No cóż – powiedział wesoło Binabik – jeden już się najadł.

Kiedy obolałemu i wyczerpanemu Simonowi wydało się, że nie będzie w stanie zrobić już ani kroku więcej, a słowa Binabika już do niego nie docierały, doszli do wąwozu pozbawionego jakichkolwiek pni, z naturalnym sklepieniem ze splątanych gałęzi drzew. Obok kłody drewna ułożony był krąg z okopconych kamieni. Qantaqa, która dotąd biegła obok nich, ruszyła do przodu i zaczęła obwąchiwać parów.

– *Bhojujik mo qunquc*, jak mówią moi ludzie. – Binabik uczynił szeroki gest zaproszenia. – Jeśli nie ma niedźwiedzi, które mogłyby cię pożreć, jest to twój dom.

Poprowadził Simona do kłody; chłopiec usiadł, ciężko dysząc. Troll przyglądał mu się zatroskany.

– Och! – westchnął. – Nie zaczniesz chyba znowu płakać?

– Nie. – Simon uśmiechnął się słabo. Wydawało mu się, że ma kończyny z kamienia. – Nie... chyba nie. Jestem tylko bardzo zmęczony i głodny. Ale obiecuję nie płakać.

– Posłuchaj. Rozpalę ogień, a potem przygotuję kolację. – Binabik szybko nazbierał patyków oraz gałązek i ułożył je w środku kamiennego kręgu. – Wprawdzie te wiosenne gałązki są mokre, lecz na szczęście łatwo będzie można temu zaradzić.

Troll zdjął z ramienia skórzaną torbę i zaczął energiczne poszukiwania. Zmęczenie sprawiło, że przykucnięta postać jego towarzysza jeszcze bardziej przypominała Simonowi dziecko: Binabik zaglądał z napięciem do wnętrza torby, wydymając przy tym usta i mrużąc oczy niczym sześciolatek, który obserwuje kulejącego chrząszcza.

– Ha! – odezwał się wreszcie troll. – Znalazłem.

Wyciągnął z torby sakiewkę wielkości kciuka Simona. Wysypał z niej szczyptę jakiegoś proszku i posypał nim zielone gałązki; następnie wyjął zza pazuchy dwa kamienie i potarł je o siebie. Strzeliła iskra, a po chwili ukazał się żółty płomień, który objął gałązki. Po paru chwilach mieli już wesoło trzeszczące ognisko. Pomimo skurczów pustego żołądka pulsujące ciepło podziałało na Simona usypiająco. Głowa zaczęła mu opadać coraz niżej i niżej... ale zaraz! Ogarnął go strach – jak mógł zasnąć tak zupełnie odsłonięty, i to w dodatku w obozie obcego! Powinien... powinien...

– Simonie, przyjacielu, ogrzej się. – Binabik otrzepał dłonie i wstał. – Wrócę niebawem.

Simon czuł, że nie potrafi pozbyć się niepokoju: dokąd idzie troll? Po swych towarzyszy? Po swych kompanów bandytów? Próbował skoncentrować się na odchodzącym Binabiku, lecz jego wzrok powędrował z powrotem do tańczących płomieni, które przypominały płatki drżących kwiatów. Były jak ogniste maki kołyszące się na ciepłym, letnim wietrze...

OBUDZIŁ SIĘ ZE SNU, który wydawał mu się kłębiącą pustką, i stwierdził, że na jego nogach spoczywa kudłaty łeb wilka. Binabik zajęty był przy ognisku. Simon czuł, że wilczy łeb na kolanach nie jest czymś normalnym, ale nie było to w końcu aż tak ważne.

Kiedy obudził się po raz kolejny, Binabik zganiał właśnie wilka z jego kolan, by zaoferować mu garnuszek jakiegoś gorącego napoju.

– Ostygło już tak, że można wypić – powiedział troll i pomógł Simonowi podnieść naczynie do ust. Rosół pachniał piżmem, smakował wybornie; był równie ostry jak zapach jesiennych liści. Wypił do dna. Pijąc, miał wrażenie, że napój przenika wprost do jego żył; jakby krew lasu rozgrzewała go i napełniała tajemniczą mocą drzew. Binabik podał mu kolejną porcję, którą także natychmiast wypił. Zmartwienia, które niczym ołowiana kula przygniatały dotąd jego kark, teraz się oddaliły. Ich miejsce zajęło przyjemne odprężenie, pod postacią ociężałości, ciepła i mglistej senności. Zasypiając ponownie, słyszał bicie własnego serca oplątanego zmęczeniem jak owadzi kokon.

SIMON BYŁ PEWNY, że kiedy przybył do obozu Binabika, do zachodu słońca brakowało jeszcze godziny. Gdy otworzył oczy, stwierdził, że

polankę wypełnia światło poranka. Zamrugał, rozpraszając tym samym resztki snu – co to było? Ptak?

Jasnooki ptak ze złotą obrożą, w której odbijały się promienie słońca... stary, silny ptak, w którego oczach odbijała się wiedza o podniebnych kryjówkach i przestworzach, w chitynowych szponach trzymał rybę lśniącą kolorami tęczy...

Simon zadrżał i wtulił się w swój płaszcz. Spojrzał w górę na korony drzew; słońce uwydatniało drobne kontury wiosennych listków. W pewnej chwili usłyszał jakieś zawodzenie, więc przewrócił się na bok, by zobaczyć, skąd dochodzi.

Binabik siedział ze skrzyżowanymi nogami przy ognisku i kołysał się z boku na bok. Dziwne, jasne przedmioty leżały rozłożone przed nim na płaskim kamieniu: były to kości. To troll wydawał te dziwne odgłosy; czy to był śpiew? Simon przyglądał się mu chwilę, lecz nie potrafił pojąć, co robi. Co za dziwny świat!

– Dzień dobry – odezwał się wreszcie.

Binabik podskoczył najwyraźniej zawstydzony.

– Ach, to ty, Simonie, przyjacielu. – Troll uśmiechnął się przez ramię, szybko zgarnął przedmioty do skórzanej torby i podszedł do Simona. – Jak się teraz czujesz? – zapytał, pochylając się i kładąc małą, szorstką dłoń na czole Simona. – Zdaje się, że potrzebowałeś snu.

– O, tak. – Simon przysunął się do ogniska. – Co to... za zapach?

– To para leśnych gołębi, które dotrzymają nam towarzystwa przy śniadaniu. – Binabik uśmiechnął się i wskazał na gołębie zawinięte w liście i ułożone na skraju ogniska. – Im z kolei dotrzymają towarzystwa świeżo zebrane jagody i orzechy. Miałem cię właśnie budzić, byśmy się nimi zajęli. Sądzę, że będą nam smakowały. Chwileczkę. – Binabik podszedł do swej torby i wyjął z niej dwa zawiniątka.

– Proszę. – Podał oba Simonowi. – Twoja strzała i coś jeszcze – był to rękopis Morgenesa – miałeś to za paskiem i bałem się, że pognieciesz w czasie snu.

Iskra podejrzenia zatliła się w sercu Simona. Poczuł nieufność, zazdrość, że ktoś trzymał papiery Doktora, kiedy on spał. Wyrwał rękopis z ręki trolla i wsunął za pas. Na pogodnej twarzy Binabika pojawił się wyraz konsternacji. Simon zawstydził się – choć nigdy dość ostrożności – i wziął, już spokojniej, strzałę zawiniętą w cienkie płótno.

– Dziękuję – powiedział krótko.

Na twarzy Binabika wciąż pozostawał wyraz urażonej uprzejmości. Zawstydzony i zażenowany Simon odwinął strzałę. Wprawdzie dotąd nie miał okazji przyjrzeć się jej bliżej, lecz teraz przede wszystkim zależało mu, by zająć czymś oczy i ręce.

Strzała nie była malowana, jak wcześniej przypuszczał: wyglądało raczej, że wyrzeźbiono ją z drewna równie białego jak kora brzozy i zakończono śnieżnobiałymi piórami. Grot strzały, zrobiony z mlecznobłękitnego kamienia, odcinał się od reszty. Simon zważył ją w ręku zdziwiony jej lekkością, a jednocześnie tym, jak była elastyczna i solidna; w mgnieniu oka powróciło wspomnienie poprzedniego dnia. Wiedział, że nigdy nie zapomni kocich oczu i przerażająco szybkich ruchów Sithy. Wszystkie opowieści Morgenesa okazały się prawdziwe.

Wzdłuż drzewca strzały dostrzegł niezwykle misterne kropki, zakrętasy i spirale.

– Jest cała rzeźbiona? – Simon zastanawiał się głośno.

– To bardzo ważne rzeczy – odparł troll i wyciągnął nieśmiało dłoń. – Mogę zobaczyć?

Uczucie winy znowu zawładnęło Simonem i szybko podał strzałę. Binabik przechylał ją w przód i w tył, by odbiły się w niej promienie słońca

i blask ognia.

– Wiekowa strzała. Zmrużył oczy tak bardzo, że jego czarne źrenice całkowicie zniknęły. – Dość długo jest już w użyciu. Simonie, jesteś w posiadaniu bardzo cennego przedmiotu; Białej Strzały nie daje się ot, tak sobie. Zdaje się, że wykonano ją w Tumet’ai, sithijskiej twierdzy, która dawno już zniknęła pod błękitnym lodem na wschód od mego rodzinnego kraju.

– Skąd to wszystko wiesz? – spytał Simon. – Potrafisz odczytać te litery?

– Niektóre. Wprawne oko może tu niejedno przeczytać.

Simon ujął strzałę z większą niż dotąd ostrożnością.

– Ale co ja z nią mam zrobić? Mówisz, że to spłata długu?

– Nie, przyjacielu. Ona jest symbolem niespłaconego długu. I powinieneś dbać o nią. Nawet jeśli nie przyda się na nic więcej, miło będzie na coś takiego popatrzeć.

W lesie i na polance wciąż unosiła się rzadka mgła. Simon oparł strzałę o kłodę i przysunął się do ognia. Binabik za pomocą dwóch patyków zdjął gołębia z żaru i położył na ciepłym kamieniu przed kolanami Simona.

– Zdejmij liście – powiedział troll – i poczekaj, aż ptak trochę ostygnie.

Simon z trudem zastosował się do drugiej wskazówki.

– Jak je złapałeś? – spytał z pełnymi ustami i palcami ociekającymi tłuszczem.

– Później ci pokażę – obiecał troll.

BINABIK DŁUBAŁ W ZĘBACH kostką z piersi ptaka. Simon oparł się wygodnie o kłodę i beknął z zadowoleniem.

– Matko Elysio, to było wspaniałe. – Westchnął i po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuł, że nie cały świat jest tak zupełnie wrogi. – Pełen brzuch zmienia punkt widzenia.

– Cieszę się, że tylko takiego potrzebowałeś lekarstwa. – Troll uśmiechnął się znad swojej kości.

Simon poklepał się po brzuchu.

– W tej chwili nic mnie nie obchodzi. – Trącił łokciem strzałę, która się zachwiała. Kiedy chwycił ją i ponownie postawił, wspomnienie tamtej chwili powróciło. – Nie czuję się nawet winien, jeśli chodzi o tamtego mężczyznę.

Binabik popatrzył na Simona. Nie przestawał dłubać w zębach, lecz na jego czole pojawiła się zmarszczka.

– Nie obchodzi cię to, że on nie żyje, czy też, że to ty się do tego przyczyniłeś?

– Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Simon. – I jaka to różnica?

– Taka sama jak między olbrzymią skałą i małym robakiem, ale sam to rozważ.

– Ale przecież... – Simon się zmieszał – ...ale on był złym człowiekiem.

– Hmm... – Binabik skinął głową, lecz nie był to gest przytaknięcia. – Tak, świat pełen jest złych ludzi, co do tego nie ma wątpliwości.

– Zabiłby przecież Sithę!

– To także jest pewne.

Simon patrzył ponuro na stos kostek ułożonych na kamieniu przed nim.

– Nie rozumiem. Czego oczekujesz ode mnie, że ci powiem?

– Dokąd zmierzasz? – Troll wrzucił wykałaczkę do ognia i wstał. Był tak mały!

– Co? – Simon rozważał podejrzliwie znaczenie słów, które wreszcie do niego dotarły.

– Chciałbym wiedzieć, dokąd idziesz, może moglibyśmy przez jakiś czas podróżować razem – Binabik mówił powoli, jakby rozmawiał z ukochanym, lecz głupim i starym psem. – Myślę, że przyjdzie też pora na inne pytania. My, trolle, mówimy: „Niech filozofia będzie twym wieczornym gościem, ale nie pozwól jej zostawać na noc”. Tak więc, jeśli moje pytanie nie jest zbyt wścibskie, dokąd idziesz?

Simon wstał i poczuł, że jego kolana stawiają opór jak nienaoliwione zawiasy. Uczucie podejrzliwości powróciło. Czy dociekliwość trolla była tak zupełnie niewinna? Już raz popełnił błąd, gdy zaufał temu przeklętemu mnichowi. Co miał zrobić? Nie musiał mówić wszystkiego, a z pewnością dobrze mieć za towarzysza kogoś obeznanego z lasem. Mały człowieczek zawsze wiedział, co trzeba zrobić, a Simon zapragnął nagle mieć kogoś, na kim znowu mógłby polegać.

– Idę na Północ – powiedział i dodał po namyśle: – Do Naglimundu. – Przyglądał się uważnie trollowi. – A ty?

Binabik zajęty był pakowaniem swoich rzeczy do torby.

– Docelowo zmierzam na Północ – powiedział, nie podnosząc wzroku. – Wygląda na to, że przypadkiem idziemy w tę samą stronę. – Teraz spojrzał w górę swymi ciemnymi oczami. – Dziwne, że udajesz się do twierdzy Naglimund, której to nazwę wielokrotnie słyszałem w rozmowach ostatnimi czasy. – Na jego ustach pojawił się ledwo dostrzegalny, tajemniczy uśmiech.

– Słyszałeś? – Simon podniósł strzałę i starał się ukryć zmieszanie, zastanawiając się, jak ją nieść. – Gdzie?

– Będzie czas na rozmowę w drodze. – Troll wyszczerzył żółte zęby w szerokim, serdecznym uśmiechu. – Muszę zawołać Qantaqę, która

z pewnością zdążyła już wystraszyć wszystkie gryzonie w okolicy. A teraz ulżyj sobie i opróżnij pęcherz, żebyśmy mogli szybko maszerować.

Simon poszedł za radą Binabika, lecz by to uczynić, zmuszony był trzymać Białą Strzałę w zębach.

18. Gwiezdna sieć

POMIMO PĘCHERZY NA STOPACH i podartego ubrania Simon czuł, że chmura rozpaczy odsunęła się trochę od niego. Jego ciało i umysł mocno ucierpiały. Nerwowe spojrzenie i tik nie uszły uwagi jego towarzysza. Mimo to potrafił oddalić od siebie czającą się grozę. Niespodziewane towarzystwo pomogło mu łatwiej znosić utratę przyjaciół i domu – przynajmniej do pewnego stopnia. Wciąż pozostawało wiele myśli i odczuć, których nie odkrywał przed Binabikiem. Wciąż był podejrzliwy i nieufny.

Podczas wędrówki chłodnymi, leśnymi ścieżkami, wypełnionymi ptasim śpiewem, Binabik wyjaśnił Simonowi, że wyruszył ze swego wspaniałego domu Yiqanuc, by, jak co roku, udać się w interesach – były to wyprawy, w czasie których docierał aż do wschodniego Hernystiru i Erkynlandu. Simon domyślał się, że chodziło tu o jakiś handel.

– Ach, przyjacielu, muszę przyznać, że tej wiosny napotkałem wiele przeszkód! Wasz lud jest bardzo poruszony i przestraszony! – Binabik pomachał dłońmi w ironicznym geście. – Zdaje się, że Król nie jest zbyt popularny w odległych prowincjach, co? A i w Hernystirze też się go boją. Wszędzie panoszy się gniew i głód. Ludzie boją się podróżować; drogi nie są już bezpieczne. No cóż – Binabik się uśmiechnął – szczerze mówiąc, nigdy takimi nie były, przynajmniej w odległych prowincjach, ale rzeczywiście sytuacja pogorszyła się w północnym Osten Ard.

Simon przyglądał się pionowym promieniom południowego słońca, które przebijały się przez korony drzew.

– Czy kiedykolwiek podróżowałeś na Południe? – zapytał wreszcie.

– Jeśli przez „Południe”, rozumiesz południe Erkynlandu, to moja odpowiedź brzmi: tak, byłem tam raz lub dwa. Pamiętaj jednak, że dla nas prawie każde wyjście z Yiqanuc oznacza wyprawę „na Południe”.

Simon nie słuchał zbyt uważnie.

– Czy podróżowałeś sam? Czy... czy Qantaqa podróżowała z tobą?

Binabik ponownie się uśmiechnął.

– Nie, to było dawno temu, zanim jeszcze urodził się mój przyjaciel wilk, wtedy ja...

– W jaki sposób... no... zdobyłeś tego wilka? – przerwał mu Simon.

Binabik fuknął rozdrażniony.

– Trudno jest odpowiadać na pytania, gdy ktoś przerywa odpowiedzi, zadając następne!

Simon próbował okazać skruchę, lecz tak naprawdę pełen był radości z nadchodzącej wiosny, jak ptak, który czuje w skrzydłach wiatr.

– Przepraszam – powiedział. – Już wcześniej przyjaciel powiedział mi, że zadaję zbyt dużo pytań.

– Problem leży nie w ich liczbie – powiedział Binabik i kijem odchylił gałąź nisko wiszącą nad ścieżką – lecz w częstotliwości ich zadawania. – Troll zaśmiał się krótko. – Na które mam teraz odpowiedzieć?

– Och! Na które chcesz. Sam zdecyduj – odparł skruszony Simon i podskoczył, gdy troll uderzył go lekko swym kijem w nadgarstek.

– Cieszyłbym się, gdybyś nie był taki układny. To cecha ludzi z targu, którzy sprzedają tandetne towary. Wolę już niekończące się głupie pytania.

– Uk... układny?

– Układny. Nadskakujący i służalczy. Nie lubię tego. W Yiqanuc mówimy: „Niech ci, co mają tak naoliwione języki, pójdą i zliżą śnieg z butów”.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że nie lubimy takich, którzy lubią schlebiać innym. Nieważne! – Binabik odrzucił głowę i roześmiał się; potrząsnął ciemną czupryną, a jego oczy nieomal zniknęły, przesłonięte uniesionymi w uśmiechu okrągłymi policzkami. – Nieważne! Wędrowaliśmy aż do Lost Piqipeg, to znaczy wędrowaliśmy w naszych rozmowach. Nie, o nic nie pytaj. Zatrzymamy się tutaj na odpoczynek i opowiem ci, jak spotkałem moją przyjaciółkę Qantaqę.

Wybrali ogromny, granitowy kamień, czubek skały, który wystawał z leśnej ściółki i przypominał piegowatą pięść, na której górną część padały promienie słońca. Chłopiec i troll wspięli się na kamień i na nim usiedli. W lesie panowała cisza. Kurz po ich przejściu powoli opadł. Binabik sięgnął do torby i wyjął kawałek suszonego mięsa i bukłak z koźlęcej skóry pełen cienkiego, kwaśnego wina. Żując, Simon zdjął buty i przebierał obolałymi palcami nóg w przyjemnym cieple słońca. Binabik popatrzył krytycznie na jego buty.

– Trzeba będzie znaleźć ci coś innego. – Trącił kijem sczerniałą, postrzępioną skórę. – Dusza człowieka cierpi, kiedy jego stopy są obolałe.

Simon się uśmiechnął. Siedzieli w milczeniu, kontemplując ciszę otaczającego ich lasu Aldheorte.

– Tak więc – odezwał się wreszcie troll – przede wszystkim trzeba wiedzieć, że my nie unikamy wilków; choć, z drugiej strony, zwykle nie przyjaźnimy się z nimi. Od wieków trolle i wilki żyły obok siebie i przeważnie nie wchodziły sobie w drogę. Nasi sąsiedzi, jeśli można ich tak grzecznie nazwać, zarośnięci mieszkańcy Rimmersgardu uważają, że

wilk jest bardzo niebezpiecznym i podstępnym zwierzęciem. Znasz ludzi z Rimmersgardu?

– Oczywiście – odpowiedział Simon, zadowolony, że wie, o kim mowa. Było ich wielu w Hay... – zreflektował się – w Erchesterze. Z wieloma rozmawiałem. Noszą długie brody – dodał, demonstrując znajomość tematu.

– No cóż, ponieważ my, lud Qanuc – to znaczy trolle – mieszkamy w wysokich górach i nie zabijamy wilków, Rimmersmeni uważają nas za półdemonów. Ubzdurali sobie w swoich zmrożonych, żądnych krwi mózgach – na twarzy Binabika pojawił się komiczny wyraz odrazy – że trolle to zły lud, który zajmuje się magią. Doszło do wielu krwawych bitew między Rimmersmenami – czy też ludem Croohok, jak ich nazywamy – i nami, czyli ludem Qanuc.

– Przykro mi – powiedział Simon i pomyślał ze wstydem o swym podziwie dla starego księcia Isgrimnura, który choć znany był ze swej porywczości, nie wydawał się kimś skłonnym do bezlitosnego masakrowania niewinnych trolli.

– Przykro? Nie powinno ci być przykro. Osobiście uważam, że mężczyźni i kobiety z Rimmersgardu to niemrawe i głupie istoty, które cierpią na nadmierny wzrost, lecz nie uważam, by byli źli czy też zasługiwali na śmierć. Ach – westchnął niczym jakiś filozof-duchowny w zapadłej karczmie. – Rimmersmeni pozostają dla mnie zagadką.

– Ale co z wilkami? – zapytał Simon, lecz zaraz zganił się w myśli za przerywanie. Tym razem Binabik zdawał się tego nie zauważać.

– Moi ludzie żyją na skalistym Mintahoq, w górach zwanych przez Rimmersmenów Trollfells. Jeździmy na kudłatych, rączonogich baranach, które hodujemy od urodzenia aż do czasu, gdy są wystarczająco duże, że możemy na nich pokonywać górskie przełęcze. Mówię ci, Simonie, nie ma

nic piękniejszego od jazdy baranem po naszych turniach. Dosiadasz swego rumaka i mkniesz po ścieżkach Dachu Świata; jednym skokiem pokonujesz przepaści tak głębokie, tak strasznie głębokie, że rzucony tam kamień potrzebowałby pół dnia, aby dotrzeć do dna.

Binabik uśmiechnął się i zmrużył oczy na miłe wspomnienie. Simon spróbował wyobrazić sobie takie wysokości i zakręciło mu się nieco w głowie, więc mocniej oparł się dłońmi o twardy kamień. Popatrzył w dół. Przynajmniej ta półka oddalona była od ziemi zaledwie na wysokość człowieka.

– Qantaqa była szczeniakiem, kiedy ją znalazłem – ciągnął swą opowieść Binabik. – Jej matkę prawdopodobnie zabito albo zdechła z głodu. Warczała na mnie, gdy się do niej zbliżyłem. Była wtedy białą, futrzaną kulką, którą zdradzał na śniegu jedynie czarny nos. – Uśmiechnął się. – Tak, teraz jest szara. Wilki, podobnie jak ludzie, zmieniają się w miarę dorastania. Zaskoczyła mnie zaciekłość, z jaką się broniła, więc ją wziąłem. Mój mistrz... – Binabik urwał. Rozległ się przeraźliwy krzyk sójki. – Mój mistrz powiedział, że skoro wziąłem ją z rąk Qinkipy, Śnieżnej Pani, tym samym przejąłem na siebie obowiązki rodziców. Aha, pomyślałem sobie wtedy. Nauczę ją wozić mnie tak samo, jak robią to rogate barany. Nie chcieli mi wierzyć; coś takiego nie zdarzyło się jeszcze, ale przecież tyle innych rzeczy także się jeszcze nie zdarzyło.

– Kto jest twoim mistrzem? – Wygrzewająca się na ziemi w plamie słońca Qantaqa przewróciła się na plecy, ukazując gęste, białe futro podbrzusza.

– To, przyjacielu, może być tematem kolejnej opowieści, dowiesz się kiedy indziej. Lecz wracając do Quantaqi, nauczyłem ją w końcu wozić mnie. Nauka była bardzo – Binabik zrobił grymas – zabawnym doświadczeniem. Nie żałuję tego ani trochę. Często podróżuję dalej niż moi

ziomkowie. Baran doskonale skacze, lecz ma niewiele rozumu. Wilk natomiast jest niezwykle mądry i bardzo wierny; trzyma się ciebie jak niespłacony dług. Czy wiesz, że kiedy wilki łączą się w pary, robią to na całe życie? Qantaqa jest moim przyjacielem i zdecydowanie wolę ją od jakiegokolwiek barana. Prawda, Qantaqa? Prawda?

Ogromna szara wilczyca usiadła i popatrzyła swymi wielkimi, żółtymi oczami na Binabika. Skłoniła łeb i wydała krótkie szczeknięcie.

– Widzisz? – zaśmiał się troll. – No, Simonie, ruszajmy, dopóki słońce jest jeszcze wysoko na niebie. – Zsunął się ze skały, a za nim Simon, który podskakując, wkładał swe mocno zniszczone buty.

POPOŁUDNIE MIJAŁO, a oni szli przez gęsty las; Binabik opowiadał o swoich podróżach i wykazywał godną pozazdroszczenia znajomość miejsc, które Simon mógł odwiedzać jedynie w marzeniach. Opowiadał o letnim słońcu, którego promienie niczym zręczny młoteczek jubilera odkrywały warstwy pokrytej lodem góry Mintahoq; o najbardziej na północ wysuniętych rejonach lasu Aldheorte – był to świat ciszy, pełen białych drzew i śladów dziwnych zwierząt – świat odległych, mroźnych wiosek Rimmersgardczyków, którzy niewiele wiedzieli o dworze Prestera Johna. Mroczne miejsce, gdzie ludzie z długimi brodami i groźnym spojrzeniem gromadzili się wokół ognisk w cieniu wysokich gór i nawet najodważniejsi z nich drżeli przed widmami przemykającymi w wyjącej ciemności ponad nimi. Binabik opowiadał o ukrytych kopalniach złota Hernystirczyków, o tajemniczych, wijących się tunelach, schodzących w głąb czarnej ziemi u podstaw gór Grianspog; mówił też o samych Hernystirczykach, zręcznych, marzycielskich poganach, których bogowie zamieszkiwali zielone pola, niebo i kamienie – o Hernystirczykach znających Sithów najlepiej ze wszystkich ludzi.

– To znaczy, że Sithowie istnieją naprawdę – powiedział cicho Simon, a w jego głosie dało się odczuć zdziwienie, ale i strach. – Doktor miał rację.

Binabik uniósł brwi w zdziwieniu.

– Pewnie, że istnieją naprawdę. Przypuszczasz, że oni siedzą sobie tu w lesie i zastanawiają się, czy ludzie istnieją naprawdę? Co za bzdura! Ludzie w porównaniu z nimi są kimś nowym, kimś, kto przyniósł im wiele szkód.

– Mówię tak, bo nigdy żadnego nie widziałem!

– Mnie także nie widziałeś wcześniej ani nikogo z moich ludzi – odparł Binabik. – Nie widziałeś także Pedruińczyka, Nabbańczyka czy też Thrithinga z Nizin. Czy to znaczy, że i oni nie istnieją? Wy, Erkynlandczycy, jesteście pełni bzdurnych przesądów! Ktoś, kto posiada prawdziwą mądrość, nie siedzi sobie ot, tak po prostu i nie czeka, aż świat przyjdzie do niego, by upewnić się o jego istnieniu! – Troll patrzył przed siebie ze zmarszczonymi brwiami. Simon bał się, że być może czymś go uraził.

– To co robi ktoś mądry? – zapytał trochę onieśmielony.

– Mądry człowiek nie czeka, aż świat objawi mu swą prawdę. Jak można cokolwiek wiedzieć, zanim samemu się jej doświadczy? Mój mistrz nauczył mnie – i dla mnie jest to *chash*, to znaczy prawdziwa nauka – że nie można bronić się przed wiedzą.

– Przepraszam, Binabik – Simon kopnął żołądź – ale jestem tylko podkuchennym, chłopcem z kuchni. Nie ma sensu mówić do mnie takimi słowami.

– No, proszę! – W mgnieniu oka Binabik pochylił się i trzepnął swym kijem rękę Simona. – Oto doskonały przykład tego, o czym mówię! – Troll pogroził swą małą pięścią. Qantaqa, sądząc, że troll jej potrzebuje,

przybiegła pędem i zaczęła krążyć wokół idących, aż musieli się zatrzymać, by uniknąć potknięcia o rozbawionego wilka.

– *Hinik*, Qantaqa! – syknął Binabik. Wilczyca odskoczyła, machając ogonem jak grzeczny domowy piesek. – Simonie, przyjacielu – powiedział troll – wybacz moje zniecierpliwienie, ale potwierdziłeś moją teorię.

Wzniesioną dłonią powstrzymał kolejne pytanie Simona. Chłopiec uśmiechnął się, widząc tak przejętego i poważnego trolla.

– Po pierwsze – zaczął Binabik – ludzie nie rodzą się podkuchennymi. Także i oni potrafią zdobyć wielką mądrość, jeśli tylko nie bronią się przed nią; jeśli nie powtarzają wciąż „nie będę” lub „nie mogę”. Chciałem ci właśnie to wytłumaczyć, masz coś przeciwko temu?

Simon czuł się rozbawiony. Nie miał nawet nic przeciwko paru uderzeniom kijem, które w rzeczywistości wcale nie bolały.

– Proszę, wyjaśnij mi to.

– Potraktujmy zatem wiedzę jak rzekę. Jeśli jesteś kawałkiem materiału, w jaki sposób lepiej możesz się dowiedzieć czegoś o wodzie: kiedy ktoś zanurzy w niej twój róg i zaraz go wyciągnie, czy też kiedy pozwolisz się wrzucić, tak by woda płynęła wokół ciebie, przepływała przez ciebie i zupełnie cię przemoczyła? No, jak myślisz?

Simon zadrżał na myśl o ewentualnym wrzuceniu go do lodowatej wody. Promienie słońca padały już ukośnie: kończył się kolejny dzień.

– Myślę, że... że kompletne przemoczenie więcej nauczy nas o wodzie.

– Doskonale! – zawołał zadowolony Binabik. – Doskonale! A jednak zrozumiałeś moją lekcję. – Troll ruszył dalej.

W rzeczywistości Simon zapomniał już, jak brzmiało właściwe pytanie, ale nie przejął się tym zbytnio. Ten mały człowieczek posiadał pewien urok – jakąś gorliwość ukrytą pod płaszczykiem dobrego humoru. Simon czuł, że jest w dobrych, choć małych rękach.

TRUDNO BYŁO NIE ZAUWAŻYĆ, że szli teraz na zachód; ukośnie padające promienie świeciły im niemal prosto w oczy. Czasami promienie znajdowały trochę więcej przestrzeni między drzewami i strzelały świetlistą wiązką tak, że Simon potykał się zdumiony nagłą jasnością. Zapytał Binabika, dlaczego zmienili kierunek.

– Rzeczywiście – powiedział Binabik – idziemy teraz w kierunku Knock, lecz dzisiaj tam nie dojdziemy. Niedługo zatrzymamy się, by odpocząć i się posilić.

Simon z radością przyjął ostatnią wiadomość i zaraz zadał kolejne pytanie – w końcu była to też jego przygoda.

– Co to jest Knock?

– Och, to nic niebezpiecznego. To miejsce, w którym podgórze Wealdhelm opada, tworząc siodło, tam można już wyjść z niezbyt przyjaznego lasu i iść dalej drogą Wealdhelm. Jak już mówiłem, nie dojdziemy tam dzisiaj. Rozejrzyjmy się za jakimś miejscem na obóz.

Znaleźli w pobliżu całkiem odpowiednie miejsce: było to kilka skał przy łagodnie opadającym brzegu leśnego strumienia. Jego nurt załamywał się na okrągłych, szarych kamieniach albo wirował z sykiem wokół powyginanych gałęzi, które wpadły do wody, i znikał w gęstwinie lasu parę jardów dalej. Nad brzegiem rosło kilka osik, ich podobne do monet liście szeleściły w wieczornym wietrze.

Obaj prędko wyszukali suche kamienie, z których ułożyli krąg. Qantaqa wydawała się tym bardzo ubawiona i biegała między nimi, od czasu do czasu chwytając zębami znoszone przez nich kamienie. Troll szybko rozpalił ognisko; w blasku ostatnich promieni zachodzącego słońca wyglądało blado i trochę upiornie.

– A teraz, Simonie – powiedział, odpychając łokciem wilczycę – czas na polowanie. Znajdziemy jakiegoś odpowiedniego na kolację ptaszka

i pokażę ci parę sztuczek. – Zatarł ręce.

– Ale jak je złapiemy? – Simon popatrzył na Białą Strzałę, którą trzymał w spoconej dłoni. – Czy trzeba będzie rzucać nią w ptaki?

Binabik zachichotał i poklepał się po kolanie.

– Jak na kuchcika, nie brak ci poczucia humoru. Obiecałem, że pokażę ci parę mądrych sztuczek. W moich stronach mamy bardzo krótki sezon polowań na ptaki. W mroźne zimy nie ma ich wcale, jeśli nie liczyć przelatujących pod chmurami śnieżnych gęsi, które mijają naszą górską krainę w drodze do Północnych Uroczysk. Lecz w pewnych południowych krainach, po których podróżowałem, polują i żywią się wyłącznie ptakami. Od nich nauczyłem się paru mądrych sztuczek. Pokażę ci je!

Binabik podniósł swój kij i dał Simonowi znak, by szedł za nim. Qantaqa podskoczyła radośnie, lecz troll ją powstrzymał.

– *Hinik aia,* stary druhu – przemówił do niej czule. Wilczyca położyła uszy i najeżyła sierść. – To bardzo delikatna misja i twoje ogromne łapy nie byłyby specjalnie przydatne. – Wilczyca odwróciła się i ponownie położyła przy ognisku. – Naturalnie ona także potrafi skradać się po mistrzowsku – wyjaśnił troll – ale tylko wtedy, kiedy *ona* tego chce.

Przeszli przez strumień i zanurzyli się w leśnym gąszczu; za nimi słychać było ciche szemranie strumienia. Binabik przykucnął, dając Simonowi znak, by zrobił to samo.

– Teraz zabieramy się do pracy – powiedział. Obrócił nieco swój kij.

Simon ze zdziwieniem zobaczył, że kij podzielił się na dwie części. Krótsza okazała się rękojeścią noża, którego ostrze schowane było wewnątrz dłuższej części. Troll przechylił ją i potrząsnął, wyrzucając na ziemię skórzaną sakiewkę. Usunął końcówkę dłuższej części, z której teraz powstała długa rurka. Simon zaśmiał się uradowany.

– Wspaniałe! – wykrzyknął. – Jak magiczna sztuczka.

Binabik pokiwał z powagą głową.

– Malutkie niespodzianki – oto kredo ludu Qanuc. – Ujął okrągłą, kościaną rękojeść noża i pogrzebał ostrzem we wnętrzu rurki. Po chwili wysunęła się jeszcze jedna rurka, którą wydobył palcami. Kiedy podniósł ją wyżej, Simon zobaczył, że wzdłuż całej długości rurki są wywiercone otwory.

– Czy... czy to flet?

– Tak, flet. No bo co warta jest kolacja bez muzyki? – Binabik odłożył instrument i czubkiem noża rozchylił skórzaną sakiewkę. Okazało się, że jest w niej mały kłębek wełny i kolejna rurka, tym razem nie większa od palca. – Coraz mniejsze i mniejsze, co? – Troll otworzył rurkę i pokazał Simonowi jej wnętrze wypełnione malutkimi igiełkami zrobionymi z kości, może z kości słoniowej. Simon wyciągnął rękę, by dotknąć jednej z nich, lecz Binabik natychmiast odsunął rurkę. – Nie rób tego – powiedział. – Przyglądaj się.

Kciukiem i wskazującym palcem wyciągnął strzałkę i uniósł ją. W promieniach słońca na ciemnym i ostrym grocie widać było jakąś kleistą, czarną substancję.

– Trucizna? – Simon wstrzymał oddech.

Binabik przytaknął z powagą, choć w jego oczach widać było pewne rozbawienie.

– Naturalnie – odparł. – Nie wszystkie są zatrute – nie ma takiej potrzeby w czasie polowania na małe ptaki, a poza tym trucizna psuje nieco mięso; z drugiej strony jednak nie wystarczy jedna mała strzałka, żeby powstrzymać niedźwiedzia albo innego rozwścieczonego zwierza. – Wsunął zatrutą strzałę na swoje miejsce i wyciągnął inną, bez trucizny.

– Zabiłeś niedźwiedzia taką strzałą? – zapytał zafascynowany Simon.

– Tak, lecz rozsądny troll nie czeka, aż niedźwiedź przekona się, że jest martwy. Trucizna nie działa tak szybko, a niedźwiedzie to ogromne zwierzęta.

W czasie dalszej rozmowy Binabik oderwał kawałek wełny i postrzępił go końcem noża; jego palce poruszały się tak zręcznie jak palce Sarrah, pokojówki zajmującej się cerowaniem. Simon zagłębiłby się we wspomnieniach o domu, ale jego uwagę przyciągnęły kolejne czynności Binabika. Ten zaś wziął postrzępione nitki i zaczął je owijać wokół podstawy strzały, aż powstała miękka kulka. Następnie wepchnął strzałę do dłuższej części kija. Resztę strzałek wsunął do sakiewki, którą schował za pas, a pozostałe części podał Simonowi.

– Zajmij się nimi, jeśli nie masz nic przeciwko temu – powiedział. – Nie ma tu zbyt wielu ptaków, choć pojawiają się dość często w poszukiwaniu owadów. Być może będziemy musieli zadowolić się wiewiórką; nie żeby były gorsze – dodał szybko, kiedy zatrzymali się przy zwalonym drzewie – lecz polowanie na małe ptaki ma w sobie trochę więcej finezji. Zrozumiesz, kiedy strzała trafi w cel; to chyba ich latanie tak bardzo mnie wzrusza i to, jak szybko biją ich małe serduszka.

NIECO PÓŹNIEJ SIMON I MAŁY TROLL siedzieli wyciągnięci leniwie przy ognisku i słuchali szelestu liści poruszanych wieczornym wiatrem; kiedy zajadali dwa gołębie i tłustą wiewiórkę, Simon zastanawiał się nad tym, co troll powiedział wcześniej. Ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, jak mało znał kogoś, kogo polubił. Jak Binabik mógł się wyrażać z taką sympatią o czymś, co zamierzał zabić?

„Z pewnością nie czuję tego samego w stosunku do tamtego zakrwawionego drwala – pomyślał. – Pewnie zabiłby mnie równie szybko, jak chciał zabić Sithę”.

Tylko czy na pewno by go zabił? Czy zaatakowałby Simona siekierą? Może nie; myślał, że Sitha jest demonem. Nie odwróciłby się do Simona plecami, gdyby się go bał.

„Ciekawe, czy miał żonę – pomyślał nagle Simon. – Czy miał dzieci? Przecież był złym człowiekiem! Mimo wszystko źli ludzie mogą mieć dzieci – Król Elias ma córkę. Czy byłoby jej przykro, gdyby jej ojciec zmarł? Ja bym się tym nie martwił. Nie jest mi też przykro z powodu śmierci drwala, ale martwiłbym się z powodu rodziny, która mogłaby go tam znaleźć. Mam nadzieję, że nie miał nikogo, że mieszkał tam sam...”

Przestraszony Simon podniósł wzrok. Przez chwilę wydało mu się, że jest sam, bezradny... ale nie. W pobliżu siedział Binabik, który coś sobie nucił. Simon poczuł nagle ogromną wdzięczność za jego obecność.

– Dziękuję... dziękuję za kolację, Binabik.

Troll spojrzał na niego i uśmiechnął się leniwie.

– Cieszę się, że mogłem cię ugościć. Widzisz teraz, co potrafią dmuchane strzały z Południa. Może chciałbyś nauczyć się nimi posługiwać?

– Pewnie!

– Dobrze. W takim razie może ty upolujesz naszą następną kolację?

– Jak długo... – Simon podniósł gałązkę i pogrzebał nią w ognisku – jak długo będziemy podróżować razem?

Troll zamknął oczy i oparł się wygodnie, drapiąc się w głowę przez gęstą czuprynę czarnych włosów.

– Och, myślę, że jeszcze jakiś czas. Idziesz do Naglimundu, zgadza się? Jestem więc pewien, że większą część tej drogi pokonamy razem. Czy to ci odpowiada?

– Tak!... Och tak! – Simon poczuł się znacznie lepiej. On także rozciągnął się wygodnie i poruszał z zadowoleniem gołymi palcami nóg tuż

przy ogniu.

– Jednak – kontynuował Binabik – wciąż nie rozumiem, dlaczego tam idziesz. Doszły mnie wieści, że twierdza Naglimund przygotowuje się do wojny. Mówi się, że książę Josua, o którego zniknięciu wiadomo nawet w najodleglejszych krainach, przez które podróżowałem, przygotowuje się do wojny ze swoim bratem. Słyszałeś o tym? Dlaczego więc, jeśli wolno spytać, idziesz właśnie tam?

Uczucie beztroski Simona zniknęło w jednej chwili.

„On jest mały – pomyślał – ale niegłupi!”

Wziął parę głębokich oddechów, zanim odpowiedział.

– Niewiele o tym wszystkim słyszałem, Binabik. Moi rodzice nie żyją, a... w Naglimundzie mam przyjaciela... jest harfiarzem.

„To, co teraz mówię, jest mniej więcej prawdą... i brzmi chyba przekonująco?”

– Tak. – Binabik nie otwierał oczu. – Istnieją chyba lepsze miejsca od twierdzy, która wkrótce zostanie oblężona. Ale wykazałeś sporo odwagi, decydując się na samotną podróż. U nas się mówi: „Odważni i głupcy często mieszkają w tej samej jaskini”. Gdyby miejsce, do którego zdążasz, nie spodobało ci się, możesz zamieszkać z nami. Byłbyś olbrzymim trollem! – Binabik roześmiał się, a jego wysoki, głupkowaty śmiech przypominał fukanie zdenerwowanej wiewiórki. Pomimo pewnego napięcia Simon roześmiał się razem z nim.

Z ogniska pozostał już tylko żar, a otaczający ich las stał się jednolitą ścianą ciemności. Simon owinął się szczelnie płaszczem. Binabik siedział zamyślony i przebierał palcami po otworach swego fletu, spoglądając na granatową plamę nieba widoczną nad polanką.

– Spójrz! – powiedział i wskazał fletem na niebo. – Widzisz?

Simon przysunął głowę do trolla. Nie widział nic poza słabo widocznymi gwiazdami.

– Nic nie widzę.

– Widzisz Sieć?

– Jaką sieć?

Binabik popatrzył na niego dziwnie.

– Czy niczego was nie uczą w tym zamku? Sieć Mezumiiru.

– A co to takiego?

Binabik opuścił głowę.

– Gwiazdy. To konstelacja, którą widzisz tam w górze: nazywana jest Siecią Mezumiiru. Mówią, że zarzuca ją, by złapać swego męża Isiki, który uciekł od niej. Lud Qanuc nazywa ją Sedda, Ciemna Matka.

Simon patrzył w górę na niezbyt wyraźne gwiazdy; wydawało mu się, że gruba i czarna zasłona, która oddzielała Osten Ard od świata gwiazd nad nimi, staje się coraz cieńsza. Zmrużywszy oczy, był w stanie zobaczyć gwiazdy, które układały się w wachlarz.

– Tak słabo je widać.

– Masz rację, niebo jest zamglone. Podobno Mezumiiru woli, żeby tak było; inaczej światło klejnotów jej Sieci mogłoby ostrzec Isiki. No cóż, często mamy chmurne noce, a mimo to, jak dotąd, nie udało się jej go schwytać.

Simon wpatrzył się w gwiazdy zmrużonymi oczami.

– Mezza... Mezo...

– Mezumiiru. Mezumiiru, Księżycowa Kobieta.

– Ale mówiłeś, że wy nazywacie ją... Sedda?

– Zgadza się. Ona jest matką wszystkiego, jak wierzy lud Qanuc.

Simon zastanawiał się przez chwilę.

– To dlaczego nazywasz to – tu wskazał ręką w górę – Siecią Mezumiiru? Dlaczego nie Siecią Seddy?

Binabik uśmiechnął się i uniósł brwi.

– Dobre pytanie. Moi ludzie tak ją nazywają, a właściwie mówią Koc Seddy. W czasie moich podróży poznaję nowe nazwy, ale cokolwiek by mówić, to Sithowie byli tu pierwsi i oni nazwali wszystkie gwiazdy.

Troll zamilkł, a Simon wpatrywał się wciąż w czarny dach świata.

– Wiem, co zrobię – odezwał się Binabik. – Zaśpiewam ci pieśń Seddy, a przynajmniej jej część. To bardzo długa pieśń. Chcesz, żebym spróbował?

– Tak! – Simon wtulił się jeszcze głębiej w swój płaszcz. – Zaśpiewaj, proszę.

Qantaqa, która dotąd spała smacznie z łbem opartym na kolanach trolla, obudziła się teraz; uniosła łeb, rozejrzała się i zawyła cicho. Binabik również spojrzał dookoła, mrużąc oczy, jakby chciał przebić wzrokiem otaczającą ognisko ciemność. Stwierdziwszy, że wszystko jest w porządku, Qantaqa trąciła trolla swym potężnym łbem, by przyjął wygodniejszą dla niej pozycję, i z powrotem ułożyła się z zamkniętymi oczami. Binabik poklepał ją, wziął flet i zagrał parę dźwięków.

– Pamiętaj tylko – powiedział – że to zaledwie skrót całej pieśni. Będę ci udzielał wyjaśnień. Sithowie nazywają męża Seddy Isiki, my zaś zwiemy go Kikkasut. On jest Panem wszystkich Ptaków.

Troll zaczął z powagą śpiewać wysokim głosem, który swą melodyjnością przypominał świszczący gdzieś wysoko wiatr. Każdą strofę kończył paroma dźwiękami fletu.

Płynie woda
Obok jaskini Tohuqa,
Lśniącej, podniebnej jaskini.

Sedda nić przędzie,
Ciemna córka podniebnego pana,
Blada, czarnowłosa Sedda.

Król ptaków leci
Podniebną ścieżką,
Świetlistą ścieżką.
Dostrzegł już Seddę,
Zobaczył ją Kikkasut
I zapragnął, by jego była.

Daj mi swą córkę,
Córkę, co nić przędzie,
Nić jakże cieniutką.
Tak wołał Kikkasut.
Dam jej strój wspaniały,
W pióra lśniące ją przystroję!

I słucha Tohuq,
Słucha słów wspaniałych,
Co z ust bogatego Króla Ptaków płyną.
O zaszczytach myśli –
Odda swą Seddę
Stary, chciwy Tohuq.

– I tak – wtrącił Binabik – stary Tohuq, podniebny pan, sprzedaje swą córkę Kikkasutowi za wspaniałą pelerynę z ptasich piór. Sedda udaje się ze swym nowym mężem do jego kraju, który leży za górami, i zostaje Królową Ptaków. Nie jest to jednak szczęśliwe małżeństwo. Wkrótce

Kikkasut zaczyna ją ignorować, przychodzi do domu tylko po to, żeby się najeść i nawymyślać żonie.

Troll zaśmiał się cicho i wytarł koniec fletu o swój futrzany kołnierz.

– Och, Simonie, ta opowieść zawsze okazuje się tak długa. Tak więc Sedda udaje się do mądrej kobiety, która powiedziała jej, że z pewnością odzyska serce męża, dając mu dzieci. Mądra kobieta daje jej amulet zrobiony z kości, srebrników i czarnego śniegu, dzięki któremu Sedda rodzi dziewięcioro dzieci. Kikkasut dowiaduje się o tym i zapowiada, że przybędzie, aby zabrać potomstwo i wychować je na dzieci-ptaki, a nie na bezużyteczne księżycowe dzieci. Kiedy wieść owa dociera do Seddy, ukrywa ona dwoje najmłodszych. Kikkasut przybywa i dopytuje się o brakującą dwójkę. Sedda mówi mu, że zachorowały i zmarły. On opuszcza Seddę, która go przeklina.

Troll zaczął znowu śpiewać:

Kikkasut odlatuje,
A Sedda płacze,
Opłakuje dzieci,
Dzieci, które utraciła,
Z wyjątkiem ukrytej dwójki,
których imiona: Lingit i Yana.

Wnuki podniebnego pana,
Bliźniaki księżycowej kobiety,
Blade, w ukryciu,
Yana i Lingit.
Przed ojcem ukryte,
Przed śmiercią je uchroni.

– Widzisz – Binabik przerwał pieśń – Sedda nie chciała, by jej dzieci umarły kiedyś, tak jak umierają ptaki i inne zwierzęta. One były dla niej wszystkim.

Rozpacza Sedda,
Samotna i zdradzona.
Zemsty spragniona
Bierze swe klejnoty,
Ślubny prezent Kikkasuta,
I splata je razem.

Na szczyt góry wysokiej
Wspina się czarnowłosa Sedda
I koc z klejnotów zrobiony
Na nocnym niebie rozpościera.
Pułapką ma on być na męża,
Co skradł jej dzieci.

Binabik grał jeszcze chwilę, kołysząc głową. Wreszcie opuścił flet.

– To bardzo długa pieśń, ale mówi o niezwykle ważnych rzeczach. W dalszej części mówi o Lingit i Yanie oraz o ich wyborze między śmiercią Księżyca i śmiercią Ptaka. Bo, widzisz, księżyc umiera, ale wraca w tej samej postaci; ptaki także umierają, lecz pozostawiają swe pisklęta, które są kontynuacją ich życia. My, trolle, uważamy, że Yana wybrała śmierć Księżyca i została matriarchą, to znaczy babcią – matriarchą Sithów. Śmiertelnicy, tacy jak ja czy ty, pochodzą od Lingita. Ale to bardzo, bardzo długa historia. Chciałbyś jeszcze kiedyś jej posłuchać?

Simon nie odpowiedział. Zasnął zasłuchany w księżycową pieśń i delikatny szum skrzydeł nocy.

19. Krew świętego Hoderunda

SIMONOWI ZDAWAŁO SIĘ, że za każdym razem, kiedy próbował otworzyć usta albo chociaż wziąć głębszy oddech, natychmiast wypełniały się liśćmi. Bez względu na to, ile robił uników, nie potrafił ominąć gałęzi sprawiających wrażenie wygłodniałych dzieci, które wyciągały ku niemu ręce.

– Binabik! – jęknął. – Dlaczego nie możemy wrócić na drogę? Jeszcze trochę i zostaną ze mnie strzępy!

– Wytrzymaj jeszcze. Wkrótce wrócimy na drogę.

Simon z wściekłością patrzył, jak malutki troll bez trudu omija wiszące nisko gałęzie. Łatwo mu mówić: „wytrzymaj”. Im gęstszy stawał się las, tym zwinniejszy wydawał się Binabik, przemykający z gracją przez gęste, czepiające się ich zarośla, gdy Simonowi przychodziło to z trudem. Nawet Qantaqa biegła lekko, prawie nie dotykając liści. Simon miał wrażenie, że las Aldheorte położył na jego drodze większość swych cierni i złamanych gałęzi.

– Ale dlaczego idziemy tędy? Przecież nie byłoby dużo dalej, gdybyśmy poszli skrajem lasu, zamiast przedzierać się cal po calu przez najgorszy gąszcz.

Binabik zagwizdał na wilczycę, która zniknęła w zaroślach. Qantaqa nadbiegła natychmiast i Binabik pogładził jej gęste futro na karku, czekając, aż dogoni go Simon.

– Simonie, zupełnie się z tobą zgadzam – powiedział, gdy chłopiec się z nim zrównał. – Moglibyśmy wybrać dłuższą drogę skrajem lasu, ale – tu uniósł w ostrzegawczym geście swój krótki i gruby palec – trzeba brać pod uwagę także i inne rzeczy.

Simon wiedział, że troll spodziewa się teraz pytania. Nie zadał go jednak, lecz stał, dysząc obok Binabika, i obmacywał swe ostatnie rany. Kiedy troll zrozumiał, że Simon nie połknął przynęty, uśmiechnął się.

– „Dlaczego?”, spytasz pewnie? Będziesz chciał wiedzieć „jakie rzeczy”. Odpowiedź jest wszędzie wokół nas, na drzewach, pod kamieniami. Dotknij! Powąchaj!

Simon rozejrzał się zrezygnowany. Nie widział nic poza drzewami. Były jeszcze jeżyny, a dalej znowu drzewa. Jęknął obolały.

– No nie, czyś stracił wszystkie zmysły? – zawołał Binabik. – Czego cię uczyli w tym okropnym, kamiennym mrowisku, w tym... twoim zamku?

Simon podniósł wzrok.

– Nigdy nie mówiłem, że mieszkam w zamku.

– Całe twoje zachowanie o tym świadczy. – Binabik odwrócił się szybko i spojrzał na ledwo widoczny jeleni trop, którym szli dotąd. – Widzisz – powiedział z powagą – ziemia jest księgą, którą powinieneś umieć czytać. Najmniejszy nawet drobiazg – na ustach trolla pojawił się zarozumiały uśmiech – ma coś do powiedzenia. Drzewa, liście, mchy, kamienie, na każdym z nich wypisane jest coś bardzo interesującego.

– Och, nie, Elysio! – Simon jęknął i osunął się na ziemię; usiadł z głową opartą na kolanach. – Binabik, proszę cię, nie czytaj mi teraz tej księgi. Głowa mi pęka i strasznie bolą mnie stopy.

Binabik pochylił się tak, że jego twarz znalazła się tuż obok twarzy Simona. Przez chwilę przyglądał się rozczochranym włosom chłopca.

– Chyba możemy odpocząć – powiedział, starając się ukryć rozczarowanie – opowiem ci o tym kiedy indziej.

– Dziękuję – wymamrotał Simon z twarzą między kolanami.

SIMON UNIKNĄŁ OBOWIĄZKU upolowania czegoś na kolację tylko dlatego, że zasnął natychmiast, gdy rozbili obóz. Binabik wzruszył ramionami, następnie pociągnął długi łyk z bukłaka z wodą, potem mniejszy z bukłaka z winem i w towarzystwie Qantaqi ruszył na krótki obchód terenu. Po dość skromnym, lecz sytym posiłku z suszonego mięsa zaczął rzucać kości przy akompaniamencie pochrapywania Simona. Za pierwszym razem wyrzucił Bezskrzydłego Ptaka, Rybią Włócznię i Ścieżkę Cieni. Zaniepokojony zamknął oczy i zaczął coś nucić; po chwili bzyczenie nocnych owadów wzmogło się. Kiedy rzucił kości po raz drugi, dwie pierwsze zmieniły się; tym razem były to: Pochodnia u Wejścia do Jaskini i Krnąbrny Baran, lecz trzecią była wciąż Ścieżka Cieni; kości leżały wsparte o siebie i sprawiały wrażenie pozostałości po uczcie jakiegoś drapieżnika. Binabik nie należał do tych, którzy pod wpływem przepowiedni natychmiast podejmują decyzję – tak uczył go mistrz – dlatego zasnął wkrótce z kijem i torbą na kolanach.

PRZEBUDZIWSZY SIĘ, SIMON STWIERDZIŁ, że już czeka na niego posiłek; były to smażone jajka – przepiórcze, jak powiedział troll – jagody i jakieś jasnopomarańczowe pąki kwitnących drzew, które okazały się całkiem dobre, choć nieco słodkie i lepkie. Tego ranka droga była znacznie łatwiejsza. Teren stawał się coraz bardziej otwarty, drzewa rosły coraz rzadziej.

Przez cały ranek Binabik prawie się nie odzywał. Simon był przekonany, że to z powodu jego braku zainteresowania wiedzą trolla.

Słońce wznosiło się coraz wyżej i kiedy zaczęli schodzić łagodnym zboczem, Simon poczuł, że musi coś powiedzieć.

– Binabik, może dzisiaj opowiesz mi o leśnej księdze?

Jego towarzysz uśmiechnął się, lecz nie był to ten szeroki uśmiech, do jakiego przywykł Simon.

– Naturalnie, przyjacielu, ale zdaje mi się, że niezupełnie mnie zrozumiałeś. Widzisz, kiedy mówię o ziemi jak o księdze, nie chodzi mi o to, byś czytał ją dla poprawienia swego duchowego samopoczucia, jak wtedy, gdy czytasz religijne książki – choć można przyglądać się światu dookoła w tym właśnie celu. Ale nie, ja mam na myśli raczej książkę o fizyce, którą studiuje się dla poprawienia zdrowia.

„To zadziwiające – pomyślał Simon – z jaką łatwością ten mały człowieczek potrafi wprawić mnie w zakłopotanie. I to w jednej chwili!”

Lecz głośno powiedział tylko:

– Zdrowie? Książka o fizyce?

Binabik natychmiast spoważniał.

– Tak, Simonie, chodzi tu o twoje życie lub śmierć. Tutaj nie jesteś w swoim domu. Nie jesteś też w moim domu, choć niewątpliwie dom ten jest mi bardziej przyjazny niż tobie. Nawet Sithowie, którzy od tak dawna oglądają, jak słońce toczy się po niebie, nie śmią rościć sobie praw do lasu Aldheorte.

Binabik zamilkł i ścisnął rękę Simona.

– Miejsce, w którym stoimy, ten ogromny las, jest *najstarszym miejscem*. Dlatego właśnie nosi nazwę, jaką nadali mu twoi ludzie: Aldheorte; rzeczywiście zawsze był sercem Osten Ard. Tutaj nawet najmłodsze drzewa – zatoczył łuk kijem – zmagały się z powodziami, wichrami i pożarami, zanim jeszcze wasz wielki Król John narodził się na wyspie Warinsten.

Simon rozglądał się, mrugając oczami.

– Rosną tu też i inne drzewa – ciągnął Binabik – takie, jakie ja widziałem, a których korzenie sięgają początków Czasu; są one starsze od wszystkich królestw Ludzi czy Sithów, jakie powstały w dniach chwały i upadły w zapomnieniu.

Binabik ponownie ścisnął rękę Simona, który patrząc w dół zbocza na rozległą misę lasu, poczuł się nagle mały, malutki jak robak, który wspina się stromym zboczem sięgającej chmur góry.

– Dlaczego... dlaczego opowiadasz mi to wszystko? – zapytał wreszcie; oddychał głęboko i powstrzymywał coś, co zbliżone było do płaczu.

– Ponieważ – powiedział Binabik i poklepał chłopca po ramieniu – powinieneś wiedzieć, że dziki świat lasu jest czymś innym niż uliczki Erchesteru. Musisz patrzeć i *myśleć, myśleć*.

Po chwili troll szedł już dalej. Simon pokuśtykał za nim. Co się stało? Teraz otaczające go ciasno drzewa wydały mu się szepcącym, wrogim tłumem. Poczuł się, jakby dostał w twarz.

– Zaczekaj! – zawołał. – Myśleć? O czym? – Ale Binabik nie zwolnił ani się nie odwrócił.

– Chodź już! – krzyknął przez ramię głosem niezbyt głośnym, lecz szorstkim. – Jeśli się pospieszymy, to być może jeszcze przed nocą dotrzemy do Knock. – Zagwizdał na Qantaqę. – Proszę, Simonie – dodał. To były jego ostatnie słowa tego ranka.

TAM! – ODEZWAŁ SIĘ WRESZCIE Binabik. Stali teraz na szczycie góry, a poniżej rozciągał się pofałdowany dywan zieleni, jaki tworzyły konary drzew. – To jest Kościelisko. Pod nimi były jeszcze dwa rzędy drzew, a dalej opadał łagodnie ocean traw, który ciągnął się aż do wzgórz widocznych wyraźnie w popołudniowym słońcu. – Mamy przed sobą

Wealdhelm, a przynajmniej jego podnóże. – Troll wskazał swym kijem. Wierzchołki pogrążonych w cieniu wzgórz były zaokrąglone niczym grzbiety śpiących zwierząt i wydawały się odległe zaledwie o rzut kamieniem.

– Jak daleko do tych... wzgórz? – spytał Simon. – I w jaki sposób dostaliśmy się tak wysoko? Nie pamiętam, żebyśmy się wspinali.

– Rzeczywiście, nie wspinaliśmy się. Kościelisko jest obniżeniem, zupełnie jakby ktoś je wcisnął w ziemię. Gdybyś mógł spojrzeć do tyłu – troll wskazał ręką w kierunku krawędzi szczytu – zobaczyłbyś, że znajdujemy się teraz nieco poniżej równiny Erchesteru. A co do twego drugiego pytania, jesteśmy jeszcze dość daleko od wzgórz; to tylko złudzenie każe ci przypuszczać, że są blisko. Dlatego ruszajmy dalej, jeśli chcemy dotrzeć przed zachodem słońca do miejsca, które zaplanowałem na kolejny odpoczynek.

Troll przeszedł parę kroków wzdłuż krawędzi szczytu.

– Simonie – powiedział i odwrócił się, a chłopiec dostrzegł na jego twarzy pewne napięcie – wprawdzie wzgórza Wealdhelm to oseski w porównaniu z moimi górami Mintahoq, mimo to przekonasz się, że sąsiedztwo wysokich miejsc będzie jak... jak wino.

„I znowu jest jak dzieciak – pomyślał Simon, obserwując Binabika, który znikał już między drzewami. – Nie – zastanowił się – nie jak dzieciak, to oddaje tylko jego wzrost, ale jak ktoś młody, bardzo młody. A właściwie, to ile on może mieć lat?”

Troll stawał się coraz mniejszy. Simon zaklął pod nosem i ruszył za nim.

SCHODZILI DOŚĆ SZYBKO z płaskich i mocno zalesionych szczytów, choć czasami zamiast schodzić, musieli się wspinać. Simon nie dziwił się

zbytnio zwinności Binabika, który w czasie skoków unosił się lekko jak piórko, wzniecał przy tym mniej kurzu od wiewiórki i poruszał się tak pewnie, że barany ludu Qanuc mogły mu pozazdrościć. Tak więc nie dziwiła go zwinność Binabika, natomiast jego własna tak. Najwyraźniej powoli wracał do sił i z pewnością przyczyniły się do tego zjadane ostatnio smaczne posiłki; znowu stawał się Simonem, który znany był w Hayholt jako „chłopiec duch”, nieustraszony zdobywca wież i akrobata wszystkich murów. Naturalnie nie był w stanie dorównać swemu towarzyszowi, lecz uważał, że spisuje się całkiem dobrze. Za to Qantaqa najwyraźniej miała problemy; nie dlatego, że nie potrafiła pewnie biegać po zboczach, ale z powodu paru stromych zejść, których pokonanie było dziecinną igraszką, kiedy miało się do pomocy ręce, lecz które były zbyt długie, by je przeskoczyć. Napotykając taką przeszkodę, zaczynała warczeć cicho; wyrażała tym bardziej zniecierpliwienie niż bezradność i wybierała inną, okrężną drogę w dół, by wkrótce dołączyć do reszty podróżników.

Kiedy wreszcie znaleźli kręty, jeleni trop, który prowadził w dół ostatniego szczytu, minęło już południe i słońce przyjemnie ogrzewało im karki albo świeciło jasno w oczy. Liście szeleściły poruszane lekkim, chłodnym wiatrem, który nie wiał jednak tak mocno, by osuszyć pot z ich czół. Simon mocno ścisnął swój płaszcz paskiem, co powodowało ucisk w okolicy pasa jak po zjedzeniu obfitego posiłku.

Ze zdziwieniem stwierdził, że kiedy dotarli już do wysokiej krawędzi łąki, która stanowiła początek Dziury, Binabik skierował się na północny wschód i szedł skrajem lasu, zamiast pójść przez szumiący i łagodnie falujący ocean traw.

– Ale przecież trakt Wealdhelm jest po drugiej stronie wzgórz! – powiedział Simon. – Byłoby znacznie szybciej...

Binabik uniósł krępą dłoń i Simon zamilkł.

– Simonie, przyjacielu, jest szybciej i szybciej – powiedział, a pogodna pewność siebie odczuwalna w jego głosie nieomal – choć niezupełnie – skłoniła Simona do powiedzenia jakiegoś prostego szyderstwa, które dałoby mu chwilowe zadowolenie. Kiedy jednak zamknął otwarte już usta, Binabik dokończył: – Widzisz, pomyślałem sobie, że byłoby miło – ot, taka sobie przyjemność, a może... kaprys? – odpocząć dzisiejszej nocy w miejscu, gdzie można przespać się w łóżku i zjeść przy stole. Co o tym myślisz?

Cała niechęć Simona natychmiast zniknęła jak para spod uchylonej pokrywki garnka.

– Łóżko? Czy idziemy do jakiejś karczmy?

Z opowieści Shema o Pukach i Trzech Życzeniach Simon wiedział, co czuje ktoś, komu spełnia się pierwsze z nich, lecz zaraz przypomniał sobie żołnierzy z Erkynguard i powieszonego złodzieja.

– Nie, nie do karczmy – Binabik roześmiał się ubawiony ożywieniem Simona – ale w równie dobre miejsce, a nawet w lepsze. To takie miejsce, gdzie dają ci zjeść, pozwalają odpocząć i nie pytają, kim jesteś i skąd przychodzisz. – Wskazał tam, gdzie krawędź lasu zataczała łuk i dochodziła do podnóży góry Wealdhelm. – To miejsce jest po tamtej stronie, choć stąd go nie widać. Chodźmy.

„Ale dlaczego nie możemy zejść i pójść przez Kościelisko? – zastanawiał się Simon. – Tak jakby Binabik nie chciał wychodzić na otwartą przestrzeń, nie chciał się odsłaniać”.

Troll rzeczywiście szedł na północny wschód, obchodząc rozległą łąkę i pozostając w cieniu lasu Aldheorte.

„Co też miał na myśli, mówiąc o miejscu, w którym nikt nie pyta... co to wszystko miało znaczyć? A może on także się ukrywa?”

– Binabik, zwolnij! – krzyknął.

Biały zad Qantaqi wynurzał się czasem z trawy, dzięki czemu wyglądała jak mewa, która unosi się na wzburzonych falach jeziora Kynslagh.

– Zwolnij! – zawołał powtórnie i przyspieszył. Wiatr pochwycił jego słowa i uniósł w górę łagodnie falującego zbocza za jego plecami.

Kiedy Simon zrównał się wreszcie z trollem, Binabik trącił go w łokieć; słońce przyjemnie grzało im karki.

– Przedtem byłem dla ciebie zbyt szorstki, niegrzeczny. To niepodobne do mnie. Przepraszam.

Zmrużył oczy i spojrzał na chłopca, a potem odwrócił głowę i patrzył przed siebie, gdzie ogon Qantaqi unosił się nad falującymi trawami albo w nich znikał niczym proporzec jakiejś małej, lecz szybko poruszającej się armii.

– To nic... – zaczął Simon, ale Binabik przerwał mu.

– Proszę, Simonie – w jego głosie najwyraźniej czuć było nutę zażenowania – to niepodobne do mnie. Nic już nie mów. – Uniósł obie dłonie do uszu i pomachał nimi w dziwny sposób. Pozwól raczej, że ja powiem ci, dokąd idziemy: do świętego Hoderunda z Knock.

– A co to takiego?

– Tam się zatrzymamy. Byłem tam wiele razy. To miejsce, gdzie można odpocząć – „klasztor”, jak to wy, Aedonici, mówicie. Mnisi są życzliwi dla podróżników.

Taka informacja w zupełności Simonowi wystarczyła. Natychmiast wyobraził sobie długie i wysokie korytarze, pieczone mięso i czyste posłanie – istny ogród rozkoszy. Zaczął iść szybciej, nieomal biec.

– Nie trzeba biec – upomniał go Binabik. – Klasztor nam nie ucieknie. – Spojrzał w tył na słońce, któremu pozostało jeszcze kilka godzin do

zachodu. – Chcesz, żebym ci opowiedział o świętym Hoderundzie? A może wiesz już coś o nim?

– Opowiedz – odparł Simon. – Wiem co nieco o takich miejscach. Ktoś, kogo znam, był kiedyś w opactwie w Stanshire.

– To jest wyjątkowe opactwo. Ma swoją historię.

Simon uniósł brwi w oczekiwaniu na opowieść.

– Jest taka piosenka – zaczął Binabik. – Ballada o świętym Hoderundzie. Jest o wiele lepiej znana na Południu niż na Północy; przez Północ rozumiem Rimmersgard, a nie mój dom, Yiqanuc, jak się pewnie domyślasz. Czy wiesz cokolwiek o bitwie pod Ach Samrath?

– Tam ludzie z Północy, Rimmersmeni, pokonali Hernystirczyków i Sithów.

– Oho! A jednak czegoś cię nauczyli? Tak, Simonie, przyjacielu, właśnie pod Ach Samrath Fingil Czerwonoręki pokonał hernystirskie i sithijskie armie. Ale wtedy miały też miejsce inne bitwy i jedna z nich właśnie tu się odbyła. – Zatoczył dłonią łuk, wskazując przestrzeń porośniętą trawą. – Wtedy to miejsce inaczej się nazywało. Sithowie, którzy, jak sądzę, znali te okolice najlepiej, nazywali je *Ereb Irigu*, co znaczy Zachodnia Brama.

– A kto nadał mu tę śmieszną nazwę Kościelisko?

– Tego nie jestem pewien. Wydaje mi się, że słowo Rimmersmenów na określenie bitwy znaczy korzeń. Oni nazwali to miejsce *Du Knokkegard* – Pole Kości.

Simon spojrzał w tył na szumiącą łąkę i przyglądał się, jak kolejne łany pochylał nadchodzący wiatr.

– Pole Kości? – zapytał i poczuł, że wstrząsa nim dreszcz.

„Wciąż wieje tu wiatr – pomyślał – bez przerwy, jakby szukał czegoś...”

– Tak, Pole Kości. Różne podawano liczby żołnierzy zabitych po obu stronach. Te trawy rosną na grobach wielu tysięcy ludzi.

„Tysiące ludzi, tak jak na cmentarzu. Jeszcze jedno miasto zmarłych pod stopami żyjących. Czy oni wiedzą? – pomyślał nagle. – Czy słyszą nas i nienawidzą za to... za to, że oglądamy słońce? A może cieszą się, że mają już to wszystko za sobą? Pamiętam, jak Shem i Ruben musieli dobić starego Rima, konia używanego do orki”.

Rim spojrzał na Simona na chwilę przed tym, jak drewniany młot Rubena spadł na jego głowę; Simonowi zdawało się, że jego łagodne oczy wyrażają zrozumienie. Wiedział, a mimo to patrzył spokojnie.

„Czy i Król John czuł się podobnie, kiedy był już tak stary? Gotowy do zaśnięcia jak stary Rim?”

– Tę piosenkę śpiewa każdy minstrel na południe od Frostmarch – powiedział Binabik. Simon potrząsnął głową i starał się skupić, lecz wciąż słyszał wyraźnie zawodzenie traw i szept wiatru. – Być może będziesz mi wdzięczny, że ci jej nie zaśpiewam – ciągnął Binabik – ale muszę opowiedzieć ci nieco o świętym Hoderundzie, gdyż udajemy się jakby do jego domu.

Chłopiec, troll i wilczyca dotarli do wschodniego skraju Knock i skręcili tak, że teraz mieli słońce po lewej ręce. Kiedy szli przez wysokie trawy, Binabik zdjął swą skórzaną kurtkę i owinął ją wokół pasa, zawiązując rękawy. Szedł teraz w obszernej koszuli utkanej z białej wełny.

– Hoderund – zaczął – z pochodzenia był Rimmersmenem, który po wielu doświadczeniach został nawrócony na religię Aedonitów. Po jakimś czasie został wyświęcony przez Kościół na kapłana. Jak to zwykle bywa, zaczynamy interesować się czymś, cośmy właśnie utracili. Podobnie rzecz się miała z Hoderundem; jestem pewien, że nikt by sobie nim głowy nie zawracał, gdyby król Fingil Czerwonoręki nie przekroczył ze swoją armią

rzeki Greenwade i po raz pierwszy nie naruszył terytorium Sithów. Jest to opowieść zbyt długa – jak większość ważnych opowieści – by przekazać ją w całości w ciągu godziny marszu. Powiem tylko tyle, że Rimmersmeni niszczyli wszystko, co spotykali na drodze, i wygrali wiele bitew w czasie swego marszu na południe. Hernystirczycy pod wodzą księcia Sinnacha postanowili tutaj stawić im czoło. – Binabik ponownie zatoczył ręką łuk, wskazując zalaną słońcem trawiastą prerię. – Chcieli raz na zawsze położyć kres mordom. Zarówno ludzie, jak i Sithowie uciekali z Knock, bojąc się, że zostaną zgnieceni przez obie armie; uciekali wszyscy z wyjątkiem Hoderunda. Zdaje się, że bitwy przyciągają duchownych, w równym stopniu jak przyciągają muchy. I tak bitwa ta zwabiła Hoderunda. Udał się on do namiotu Fingila i błagał go, by zawrócił i uratował życie tysięcy ludzi, którzy mieli zginąć w bitwie. Kierowany głupotą, jak i odwagą – jeśli wolno mi się tak wyrazić – cytował Fingilowi słowa Usiresa Aedona i namawiał króla, by ten pojednał się ze swym wrogiem. Fingil, naturalnie, wziął go za wariata i był bardzo zgorszony takimi słowami z ust jego ziomka Rimmersmena. Oho! Czy to nie dym?

Opowieść Binabika i świecące słońce uśpiły nieco maszerującego Simona, dlatego ta nagła zmiana tematu zaskoczyła go. Troll pokazywał na przeciwległą stronę Knock. Rzeczywiście za kilkoma łagodnymi wzgórzami, z których ostatnie porastała jakaś uprawa, unosił się cienki słup dymu.

– To chyba kolacja – zażartował Binabik.

Na te słowa usta Simona natychmiast otworzyły się w błogim oczekiwaniu. Teraz nawet i troll przyspieszył kroku. Szli pod słońce, gdyż tak wiodła ich droga.

– Jak już mówiłem – troll podjął swą opowieść – Fingil poczuł się urażony, słysząc te aedonickie pomysły Hoderunda. Rozkazał go stracić,

lecz litościwy żołnierz pozwolił mu odejść. On jednak tego nie uczynił. Kiedy obie armie wyszły do boju, pojawił się dokładnie między Hernystirczykami a Rimmersmenami, wymachując swym Drzewem i głosząc pokój Usiresa Boga. Znalazłszy się między dwoma rozwścieczonymi pogańskimi armiami, zginął na miejscu... I co? – Binabik zamachnął się kijem i utrącił wysoką kępę trawy. – Opowieść z trudnym morałem, czyż nie? Przynajmniej dla nas, ludu Qanuc; my wolimy, jak to wy mówicie, pozostać poganami, ale, jak ja to mówię, żywymi. Później Lektor z Nabbanu obwołał Hoderunda męczennikiem i w początkach istnienia Erkynlandu postawił tu kościół i ustanowił opactwo Zakonu Hoderundianów.

– Czy to była straszna bitwa? – zapytał Simon.

– Rimmersmeni nazwali to miejsce Polem Kości. Późniejsza bitwa pod Ach Samrath była może i bardziej krwawa, ale tam doszło do zdrady. Tutaj armie stanęły otwarcie naprzeciw siebie, a krew płynęła niczym strumień w czasie wiosennej odwilży.

ZACHODZĄCE SŁOŃCE świeciło im teraz prosto w oczy. Wzmógł się popołudniowy wiatr; kładł długie trawy i miotał owadami, które tańczyły, migocąc w złocistym świetle. Przybiegła Qantaqa, a jej wtargnięcie zmąciło muzykę ocierających się o siebie traw. Kiedy zaczęli wchodzić na łagodne zbocze, wilczyca obiegła ich dookoła i kręcąc łbem, zaszczekała podekscytowana. Simon osłonił oczy dłonią, lecz nie widział nic poza czubkami drzew. Odwrócił się, by zapytać Binabika, czy są już blisko, ale troll szedł skupiony, patrząc pod nogi, i nie zwracał uwagi na Simona ani na wilczycę.

Szli jeszcze jakiś czas w ciszy, którą przerywał jedynie szelest ich nóg ocierających się o gęstą trawę albo podekscytowane szczeknięcia Qantaqi.

Wreszcie pusty żołądek Simona skłonił go do zadania kolejnego pytania. Otworzył już usta, kiedy Binabik zaczął nagle śpiewać wysokim, zawodzącym głosem.

Ai-Ereb Irigu.
Ka'ai shikisi aruya'a
Shishei, shishei burusa'eya
Pikuuru n'dai-tu.

Wspinali się nasłonecznionym, pełnym szemrzącego wiatru zboczem wzgórza; dziwne słowa i melodia piosenki przypominały Simonowi żałosne kwilenia ptaków, które wołały gdzieś z przepastnych wysokości.

– To pieśń Sithów. – Binabik popatrzył na niego dziwnie nieśmiało. – Nie potrafię zaśpiewać jej dobrze. Opowiada o miejscu, w którym pierwsi Sithowie zginęli z ręki Człowieka i w którym walczący ze sobą ludzie po raz pierwszy przelali krew na ziemi Sithów.

Troll zamilkł i machnął ręką na Qantaqę, która trącała pyskiem jego nogę.

– *Hinik aial* – powiedział do niej. – Ona czuje już ludzi i jedzenie – wyjaśnił.

– Co znaczyła ta pieśń? – spytał Simon. – Chodzi mi o słowa.

Wciąż jeszcze był pod wrażeniem tej dziwnej pieśni, która przypominała mu, jak wielki jest świat i jak mało z niego dotąd widział, nawet żyjąc w tak ważnym miejscu jak Hayholt. Poczuł się mały, mniejszy od malutkiego trolla, który szedł obok niego.

– Wątpię, czy da się naprawdę przełożyć słowa Sithów na język ludzki, czy można przekazać ich myśl, rozumiesz? Co gorsza, nie jest to *mój* ojczysty język, tak jak i nie twój, ale spróbuję.

Binabik zamilkł i szli jakiś czas w milczeniu. Qantaqa znudziła się wreszcie albo stwierdziła, że szkoda marnować tak dobry wilczy nastrój z gburowatymi ludzkimi istotami, i zniknęła za szczytem wzgórza.

– Można to chyba tak wyrazić – odezwał się wreszcie Binabik i zanucił:

W Zachodniej Bramie
Między okiem słońca i sercami
Przodków
Pada łza
Świetlny szlak, co ku ziemi prowadzi,
Żelaza dotyka i w dym się zamienia...

Binabik uśmiechnął się zawstydzony.

– Widzisz, w ustach trolla, który zna się na życiu w lesie, taka podniebna pieśń staje się niezgrabną, kamienną bryłą.

– Ależ nie – powiedział Simon. – Może nie rozumiem jej całkowicie, ale chyba wyczuwam jej znaczenie.

– To dobrze – uśmiechnął się Binabik – chociaż żadne moje słowa nie są w stanie wyrazić znaczenia sithijskich pieśni, a szczególnie tej. Podobno jest to jedna z najdłuższych i najsmutniejszych. Mówi się też, że ułożył ją sam król Erl tuż przed śmiercią z rąk... Ach, patrz! Jesteśmy już na szczycie.

Simon podniósł wzrok; rzeczywiście dotarli już niemal na samą górę długiego podejścia. Pod nimi rozciągało się bezkresne morze – korony drzew lasu Aldheorte.

„Chyba nie dlatego przerwał, żeby mi to powiedzieć – pomyślał Simon. – Zamierzał chyba powiedzieć coś, czego nie chciał”.

– Binabik, gdzie się nauczyłeś śpiewać piosenki Sithów? – zapytał, kiedy wchodzili na płaski, zalany słońcem szczyt.

– Opowiem ci o tym – odparł troll i rozejrzał się dookoła – ale teraz popatrz! To jest droga do świętego Hoderunda.

Trochę poniżej miejsca, gdzie stali, rozpoczynały się równiutkie rzędy starannie utrzymanych winnych krzewów, które przywarły do zbocza jak mech na wiekowym drzewie. Oddzielały je wycięte w zboczu poziome tarasy, o okrągłych, jakby zniszczonych gdzieniegdzie krawędziach. Pomiędzy krzewami biegły w dół ścieżki równie splątane jak rośliny. Zstępowały one do doliny z jednej strony ocienionej pierwszym wzgórzem łańcucha Wealdhelm, a z drugiej ciemną ścianą lasu. Dno doliny wypełniały równe poletka, które przypominały wiklinową plecionkę. Na zboczu widać było małe zabudowania klasztorne; proste, lecz dobrze utrzymane drewniane szopy oraz ogrodzone pastwisko, na którym nie pasły się teraz żadne zwierzęta. W całym tym zastygłym obrazie jedynym ruchomym przedmiotem była kołysząca się furtka.

– Jeśli pójdziemy tą ścieżką, wkrótce najemy się i, być może, skosztujemy klasztornego wina. – Binabik ruszył szybko w dół.

Po chwili obaj schodzili już krętą ścieżką między winnymi krzewami, gdy tymczasem Qantaqa, znudzona spowalniającymi marsz zygzakami, ruszyła na skróty, skacząc nad krzewami tak zwinnie, że nie trąciła swą olbrzymią łapą ani jednej gałązki czy owocu.

Schodząc stromą i śliską ścieżką, Simon patrzył uważnie pod nogi i dlatego bardziej wyczuł czyjąś obecność przed sobą, niż zobaczył. Pomyślał, że to troll zatrzymał się, by na niego poczekać. Z kwaśną miną podniósł wzrok, gotowy prosić o łaskę dla tych, którzy nie wychowali się w górach. Nie zdążył jednak otworzyć ust, kiedy jego wzrok padł na jakąś

koszmarną postać; krzyknął przestraszony i straciwszy równowagę, upadł na siedzenie, po czym zjechał w dół.

Binabik usłyszał ten krzyk i natychmiast wrócił biegiem w górę zbocza. Kiedy nadbiegł, zobaczył Simona siedzącego u stóp olbrzymiego, ubranego w łachmany stracha na wróble. Popatrzył na stracha, który wisiał przekrzywiony na dużym palu z okropną, pomalowaną twarzą, w dużej części rozmytą przez deszcz i wiatr, a potem na chłopca, który ssał rany na pozdzieranych dłoniach. Starał się nie śmiać, kiedy chwycił małymi, silnymi dłońmi łokieć Simona i pomógł mu wstać. Dłużej jednak nie potrafił się powstrzymać od śmiechu. Odwrócił się i ruszył w dół. Simon stał i ze zmarszczonymi brwiami słuchał zduszonego śmiechu trolla. Rozgoryczony otrzepał wreszcie kurz ze spodni i sprawdził wsadzone za pas dwa zawiniątka: strzałę i rękopis. Pewnie, że Binabik nie wiedział nic o złodzieju powieszonym na skrzyżowaniu dróg, ale widział przecież Sithę schwytanego w pułapkę drwala. Czemu więc tak go ubawiło zaskoczenie Simona? Czuł się głupio, lecz kiedy ponownie spojrzał na stracha, wstrząsnął nim dreszcz złego przeczucia. Wyciągnął dłoń i chwycił zrobioną z worka pustą głowę stracha; była chropawa i zimna w dotyku. Zwinął ją i wcisnął między ramiona pokryte bezkształtnym, podartym płaszczem tak, by nie było widać rozmazanych oczu. Niech tam się troll śmieje.

Binabik zdążył się już uspokoić i czekał na ścieżce poniżej. Nie przeprosił Simona, ale poklepał go po ramieniu i uśmiechnął się. Simon odwzajemnił uśmiech, choć z pewnym przymusem.

– Byłem tu trzy miesiące temu – powiedział Binabik – w drodze na Południe i jadłem przepyszną dziczyznę. Zakonnikom wolno czasem polować na jelenie w lasach królewskich, by mieli czym żywić podróżnych – no i siebie, ma się rozumieć. Oho! Widzę już dym!

MINĘLI OSTATNI ZAKRĘT ŚCIEŻKI; tuż obok kołysała się skrzypiąca żałośnie furtka. Przed oczyma mieli rząd przylegających do siebie słomianych dachów opactwa. Rzeczywiście unosił się dym: cienki pióropusz płynął w górę zbocza i ginął w wietrznym wirze ponad jego wierzchołkiem. Tyle tylko, że dym nie wydobywał się z komina.

– Binabik... – odezwał się Simon bardziej zdziwiony niż przestraszony.

– Spalony – szepnął Binabik – albo jeszcze się pali. Na Córę Gór! – Furta zamknęła się z trzaskiem i zaraz ponownie otworzyła. – Jakiś okropny gość musiał odwiedzić dom świętego Hoderunda.

Dla Simona, który nie widział nigdy opactwa, widok ten stał się żywym obrazem z opowieści Binabika o Polu Kości. Przypomniały mu się straszliwe chwile spędzone w lochach pod zamkiem i poczuł, jak chciwe szpony przeszłości próbują wciągnąć go w swą kryjówkę pełną strachu i rozpaczy.

Z kaplicy, głównego budynku klasztornego i pomieszczeń gospodarczych pozostały zaledwie dymiące zgliszcza. Trzcina i słoma z dachów spłonęły całkowicie, zwęglone belki stropowe sterczały na tle pogodnego, wiosennego nieba niczym osmalone żebra pozostałe po uczcie wygłodniałego boga. Na dziedzińcu znajdowały się ciała kilkunastu ludzi; leżały porozrzucane, jakby ten sam bóg bawił się nimi niczym kośćmi; poszarpane, bezkształtne i nieruchome jak strach na wróble ze wzgórza.

– Na Kamienie Chukka – powiedział Binabik cicho i dotknął piersi dłonią. Zdjął torbę z ramienia i ruszył szybko w dół. Zachęcona Qantaqa pobiegła radośnie za nim.

– Zaczekaj! – powiedział Simon, lecz z jego ust wydobył się zaledwie szept. – Zaczekaj! – zawołał i pobiegł w dół. – Wracaj! Co robisz? Zginiesz!

– To stało się jakiś czas temu! – krzyknął Binabik, nie odwracając się.

Simon widział, jak pochyla się nad pierwszym ciałem, a potem idzie dalej.

Chociaż Binabik najwyraźniej miał rację, Simon z bijącym sercem zbliżył się do ciała i spojrzał na nie. Sądząc po czarnym habicie, był to mnich; leżał z twarzą w trawie. Z jego szyi wystawał grot strzały. Po zaschniętej krwi łaziły muchy.

Kilka kroków dalej Simon potknął się i przewrócił, raniąc dłonie na wysypanej żwirem ścieżce. A kiedy zobaczył, o co się potknął, i muchy siadające z powrotem na szeroko otwartych oczach, poczuł nagle mdłości.

BINABIK ZNALAZŁ GO w cieniu kasztanowca. Głowa chłopca kiwała się bezwładnie z boku na bok; troll wytarł kępą trawy żółć z jego brody. Wokół unosił się smród padliny.

– Bardzo źle. – Binabik dotknął delikatnie ramienia Simona, jakby chciał się upewnić, że on istnieje naprawdę, po czym przykucnął, mrużąc oczy w promieniach zachodzącego słońca. – Nie znalazłem nikogo żywego. Większość zabitych to mnisi, wszyscy mają klasztorne habity, ale są też i inni.

– Inni? – wybełkotał Simon.

– Sądząc po strojach, podróżni... ludzie z Frostmarch, którzy być może zatrzymali się tutaj na noc; jest ich sporo. Kilku ma brody. Wyglądają mi na Rimmersmenów. Dziwne.

– Gdzie jest Qantaqa? – zapytał słabo Simon. Sam zdziwił się swoją troską o wilczycę, chociaż jej z całej trójki najmniejsze groziło niebezpieczeństwo.

– Biega i węszy. Jest bardzo podniecona. – Simon zauważył, że Binabik rozłożył swój kij i część z nożem wsunął za pas. – Zastanawiam się – powiedział troll i spojrzał na unoszący się dym, gdy tymczasem Simon

prostował się – co tu się wydarzyło? Bandyci? Może jakieś religijne spory? Podobno u was, Aedonitów, to rzecz normalna. Bardzo dziwne...

– Binabik. – Simon czknął i splunął. Zrobiło mu się niedobrze. – Boję się.

Gdzieś w oddali szczeknęła Qantaqa.

– Boisz się. – Troll uśmiechnął się słabo. – To naturalne, że się boisz. – Na jego twarzy nie było widać zmartwienia, lecz w oczach pojawiła się pełna zdumienia bezbronność, która przeraziła Simona bardziej niż cokolwiek innego. Chłopiec dostrzegł coś jeszcze: cień rezygnacji, jakby troll spodziewał się tego, co zobaczyli. – Myślę – zaczął Binabik, lecz w tym momencie słabe wycie wilczycy przeszło w głośniejsze warczenie. Troll wstał szybko. – Znalazła coś – powiedział i chwyciwszy zaskoczonego Simona za rękę, postawił go na nogi. – Albo coś znalazło ją.

Binabik ruszył w kierunku, skąd dochodziło warczenie wilczycy. Simon szedł za nim, potykając się, a w jego głowie jak nietoperze tłukły się strzępy myśli o strachu i ucieczce. Binabik w biegu sięgnął do pustej połowy swego kija i wepchnął coś do niego. Simon wiedział, co to było: dostrzegł ze zgrozą, że grot strzały był czarny.

Kierując się głosem wilczycy, pobiegli przez klasztorny dziedziniec, minęli spalone budynki i wbiegli do sadu; na ziemi leżało pełno jabłek. Pobiegli jakieś dziesięć kroków, kiedy zobaczyli Qantaqę. Najeżyła sierść i warczała tak strasznie, że Simon poczuł ucisk w żołądku. Wytropiła mnicha i przyparła go do topoli. Mnich trzymał wysoko swój pektorał, jakby prosił niebiosa o grom, który uderzy w atakującą go bestię. Choć przyjął heroiczną postawę, jego ręce drżały, a twarz zbladła straszliwie, co wskazywało na to, że chyba jednak nie liczył na cud. Wybałuszonymi ze strachu oczami wpatrywał się w Qantaqę i nie widział nadchodzących.

– *Aedonis Fiyellis extulanin mei...* – powtarzał cicho; na jego różowej czaszce skakały cienie liści.

– Qantaqa! – zawołał Binabik – *Sosa!* – Qantaqa warknęła, lecz zaraz położyła uszy. – *Sosa aia!* – Troll uderzył pustą częścią swego kija po udzie. Uderzenie odbiło się echem.

Wilczyca jeszcze raz warknęła i ze spuszczoną głową zawróciła do Binabika. Pojawienie się trolla i chłopca przeraziło mnicha w równym stopniu jak wilczyca; ujrzawszy ich, zakołysał się, przechylił w tył i siadł na ziemi z miną małego dziecka, które skaleczyło się, ale jeszcze nie zdało sobie sprawy z tego, że chce się rozpłakać.

– Litościwy Usiresie – wybełkotał wreszcie, kiedy tamci podeszli do niego. – Litościwy, litościwy Usiresie – powtarzał z obłędem w oczach. – Zostawcie mnie w spokoju, pogańskie potwory! – krzyknął i spróbował wstać. – Mordercy, pogańskie bękarty! – Noga obsunęła mu się i ponownie usiadł, mrucząc: – Troll! Morderca... – Jego twarz zaróżowiła się. Wciągnął głęboko powietrze i zrobił minę, jakby rzeczywiście miał się za chwilę rozpłakać.

Binabik zatrzymał się. Chwycił Qantaqę za kark i skinął na Simona.

– Pomóż mu – powiedział.

Simon podchodził wolno, starając się przybrać minę przyjaciela, który przychodzi z pomocą, choć jego własne serce waliło jak dzięcioł w drzewo.

– Już dobrze – powiedział – już wszystko dobrze.

Mnich zakrył twarz rękawem.

– Zabiliście ich wszystkich, a teraz chcecie zabić i nas – zawołał, a w jego głosie więcej było żalu niż strachu.

– To Rimmersman – powiedział Binabik – można się było tego domyślić, słysząc, jak pomstował na Qantaqę. Pfe. – Troll skrzywił się z odrazą. – Simonie, przyjacielu, pomóż mu wstać i wyprowadźmy go stąd.

Simon chwycił za kościsty łokieć skryty pod czarnym habitem i podniósł mnicha. Kiedy jednak spróbował poprowadzić go w kierunku Binabika, ten wyrwał mu się.

– Co robisz? – krzyknął i sięgnął do swego Drzewa na piersi. – Chcesz, żebym opuścił pozostałych? Nie, zostawcie mnie!

– Pozostałych? – Simon popatrzył pytająco na trolla.

Binabik wzruszył ramionami i podrapał Qantaqę za uchem. Wilczyca wyszczerzyła zęby, jakby całe to wydarzenie ją ubawiło.

– Czy pozostał jeszcze ktoś żywy? – spytał łagodnie chłopiec. – Pomożemy im i tobie, jeśli to będzie możliwe. Ja jestem Simon, a to mój przyjaciel, Binabik. – Mnich przyglądał mu się podejrzliwie. – Qantaqę, zdaje się, już poznałeś – dodał Simon i natychmiast zawstydził się tak głupiego dowcipu. – Kim jesteś? Gdzie są pozostali?

Mnich powoli dochodził do siebie. Jeszcze raz popatrzył podejrzliwie na Simona, potem na trolla i wilczycę; kiedy znowu zwrócił się do chłopca, jego twarz nie była już tak napięta.

– Jeśli rzeczywiście jesteś dobrym Aedonitą, którym kieruje miłosierdzie, to proszę o wybaczenie. – Mnich mówił oschle, jakby nie przywykł do przepraszania innych. – Jestem brat Hengfisk. Czy ten wilk – tu spojrzał z ukosa na Qantaqę – czy on jest z wami?

– Ona jest z nami – rzucił krótko Binabik, zanim Simon zdążył cokolwiek powiedzieć. – Przykro mi, że cię przestraszyła, Rimmersmanie, ale musisz przyznać, że nie wyrządziła ci krzywdy.

Hengfisk nie odpowiedział.

– Pozostawiłem moich dwóch współtowarzyszy – zwrócił się do Simona – muszę do nich wracać.

– Pójdziemy z tobą – odparł Simon – może Binabik na coś się przyda. Zna się na ziołach i wielu innych rzeczach.

Rimmersman uniósł brwi, co spowodowało, że jego oczy stały się jeszcze bardziej wyłupiaste. Uśmiechnął się smutno.

– To miło z twojej strony, chłopcze, ale obawiam się, że bratu Dochaisowi i bratu Langrianowi nie pomogą żadne... żadne leśne medykamenty. – Po tych słowach odwrócił się i ruszył chwiejnie w głąb lasu.

– Zaczekaj! – zawołał za nim Simon. – Co się wydarzyło w opactwie?

– Nie wiem – odpowiedział Hengfisk, nie odwracając się. – Nie było mnie tam wtedy.

Simon popatrzył pytająco na trolla, lecz Binabik nie ruszał się z miejsca. Zamiast tego zawołał za oddalającym się mnichem:

– Bracie Hangfish!

Mnich odwrócił się z wyrazem wściekłości na twarzy.

– Nazywam się Hengfisk, trollu!

Simon zwrócił uwagę, jak szybko mnich nabierał kolorów.

– Ja tylko przetłumaczyłem twe imię memu przyjacielowi, który nie zna języka Rimmersmenów. Mówisz, że nie wiesz, co się stało. W takim razie, gdzie byłeś, kiedy mordowano twoich braci?

Wydawało się, że mnich odpowie natychmiast, lecz on chwycił swe Drzewo i ścisnął je mocno. Odezwał się dopiero po chwili; mówił spokojniejszym już głosem:

– Chodź i zobacz. Nie mam żadnych tajemnic, trollu, ani przed tobą, ani przed Bogiem – powiedział i ruszył przed siebie.

– Binabik, czemu go rozgniewałeś – szepnął Simon. – Czy nie dość złego już się dziś wydarzyło?

Binabik zmrużył oczy, lecz nie przestawał się uśmiechać.

– Simonie, może i jestem nieuprzejmy, ale słyszałeś go i widziałeś jego wzrok. Nie daj się zwieść świętym szatom. My, Qanucowie, wielokrotnie budziliśmy się w nocy, by zobaczyć oczy takie jak te Hengfiska, a w ich dłoniach pochodnie i siekiery. Waszemu Usiresowi Aedonowi nie udało się wypalić nienawiści z tego północnego serca. – Troll cmoknął na Qantaqę i ruszył za kroczącym sztywno mnichem.

– Ale posłuchaj siebie! – Simon patrzył w oczy Binabika. – Ty także jesteś pełen nienawiści.

– Ach – troll uniósł palec na wysokość swej poważnej teraz twarzy – ale ja nie twierdzę, że wierzę w waszego, wybacz mi to wyrażenie, postawionego na głowie Boga Miłosierdzia.

Simon otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz zastanowił się i nie odpowiedział.

Brat Hengfisk tylko raz się odwrócił, chcąc się przekonać, czy idą za nim. Przez cały czas szedł w milczeniu. Sączące się przez liście światło dnia szybko stawało się coraz ciemniejsze; wkrótce kanciasta, czarno odziana postać mnicha wydawała się zaledwie sunącym przed nimi cieniem. Simon podskoczył przestraszony, kiedy tamten w pewnym momencie odwrócił się i powiedział:

– Tutaj. – Poprowadził ich wokół korzeni ogromnego, zwalonego drzewa, które bardzo przypominało olbrzymią miotłę – ona z pewnością potrafiłaby pobudzić wyobraźnię Rachel, zwanej Smokiem, do wielkich porządków.

Wspomnienie Rachel i ostatnie wydarzenia wywołały u Simona nawrót tęsknoty za domem tak silny, że chłopiec potknął się i oparł na obdartym częściowo z kory pniu zwalonego drzewa. Hengfisk przyklęknął i dorzucał gałązek do małego ogniska, które paliło się w płytkim dole osłoniętym korzeniami. Po obu stronach ogniska leżało dwóch mężczyzn.

– To jest Langrian – powiedział brat Hengfisk i wskazał na osobnika po prawej stronie; jego twarz prawie w całości skrywał bandaż zrobiony z worka. – On jeden pozostał żywy, kiedy wróciłem do opactwa. Sądzę, że Aedon wkrótce weźmie go do siebie. – Nawet w słabym świetle ogniska widać było, że skóra brata Langriana – przynajmniej te fragmenty, które pozostawały widoczne – była blada i żółta. Hengfisk dorzucił jeszcze jeden patyk do ognia, gdy tymczasem Binabik klęknął przy rannym i delikatnie oglądał jego rany. – Ten nazywa się Dochais – powiedział Hengfisk i wskazał na drugiego z leżących, który także był bezwładny, lecz na jego ciele nie widać było żadnych ran. – To po niego właśnie poszedłem, kiedy nie wracał z czuwania. Przyprowadziłem go, a właściwie przyniosłem – w głosie mnicha zabrzmiała nuta gorzkiej dumy – i kiedy wróciłem, wszyscy już nie żyli. – Zrobił na piersi znak Drzewa. – Wszyscy z wyjątkiem Langriana.

Simon przysunął się do brata Dochaisa; był to chudy młodzieniec z długim nosem i krótką brodą, jaką noszą Hernystirczycy.

– Co mu się stało? Co mu jest?

– Nie wiem, chłopcze – powiedział Hengfisk. – Jest obłąkany. Cierpi na jakiś udar mózgu. – Mnich powrócił do zbierania chrustu na ogień.

Simon przyglądał się Dochaisowi i zwrócił uwagę na jego ciężki oddech i delikatne drżenie powiek. Odwrócił się, by popatrzeć na Binabika, który zdejmował delikatnie bandaże z głowy Langriana, gdy nagle spod czarnego habitu leżącego przed nim mnicha wysunęła się szybka jak żmija biała ręka i chwyciła koszulę chłopca z przerażającą siłą.

Oczy Dochaisa wciąż pozostawały zamknięte, lecz jego ciało zesztywniało, a plecy tak się wygięły, że unosiły się łukiem nad ziemią. Odrzucona do tyłu głowa kołysała się na boki.

– Binabik! – krzyknął przerażony Simon – On... on...

– Aaach! – z zaciśniętego gardła Dochaisa wydobył się okrzyk bólu. – Czarny wóz! Widzisz, jedzie po mnie!

Rzucał się jak ryba, a jego słowa wywołały u Simona dreszcz powracającego przerażenia.

– Wzgórze... pamiętam coś... skrzypienie czarnych kół... och, Morgenes, co ja tu robię?

Binabik i Hengfisk patrzyli oniemiali z drugiej strony ogniska. Dochais przyciągnął Simona tak blisko, że twarz chłopca dotykała niemal jego własnej, wykrzywionej strachem.

– Zabierają mnie! – syknął mnich – zabierają mnie z powrotem do tego okropnego miejsca! – Simon zobaczył z przerażeniem, że mnich otworzył oczy i patrzy na niego nieprzytomnie. Nie potrafił wyrwać się z uścisku, chociaż teraz próbował mu w tym pomóc Binabik.

– *Ty* wiesz! – krzyczał Dochais. – Ty wiesz, kto to jest! Zostałeś naznaczony! Tak jak i ja! Widziałem ich – białe lisy! Widziałem we śnie! Białe lisy! Ich pan wysłał je, by zmroziły nasze serca i zabrały nasze dusze na swym czarnym, czarnym wozie!

Simon uwolnił się wreszcie i siedział, dysząc ciężko i łkając. Binabik i Hengfisk trzymali rzucającego się mnicha, dopóki się nie uspokoił. Po chwili ogarnęła ich czarna cisza lasu, tak jak przestworza nocy wchłaniają spadającą gwiazdę.

20. Cień koła

SIMON STAŁ NA ŚRODKU ROZLEGŁEJ, płaskiej niecki, którą w całości porastała trawa; był zaledwie bladą, pionową plamką w tym bezkresnym oceanie zieleni. Nigdy dotąd aż tak nie przytłaczał go ogrom nieba. Ziemia wznosiła się we wszystkich kierunkach aż po horyzont, gdzie łączyła się z szarym niebem.

Po pewnym czasie – Simon nie potrafił powiedzieć, czy spędził minuty czy może lata zawieszony w próżni – jednostajność linii horyzontu została złamana. Nad jego krawędzią pojawił się ciemny obiekt, który swym potwornym skrzypieniem przypominał okręt wojenny gnany wichrem po morzu. Obiekt stawał się coraz większy i większy, niesamowicie wysoki, aż jego cień padł na Simona, który wciąż stał na dnie doliny. Szybkość, z jaką się przesuwał, była tak duża, że Simon niemal usłyszał głuche dudnienie, które wstrząsnęło jego ciałem. Wyraźnie ujrzał obiekt odcinający się na tle nieba, gdy ten zatrzymał się na krawędzi doliny. Było to koło – wysokie jak wieża, olbrzymie, czarne koło. Pogrążony w jego cieniu Simon stał z otwartymi ustami i patrzył, jak koło z jakąś straszliwą determinacją zaczyna toczyć się zielonym zboczem, wyrywając kępy darni. Stał jak sparaliżowany na jego drodze, a ono obracało się równie nieubłaganie jak żarna piekieł.

Po chwili koło było już nad nim, wielkie, sięgające nieba i miotające wokół deszcz darni. Ziemia pod stopami Simona obsunęła się pod ciężarem

koła. Potknął się, a kiedy odzyskał równowagę, czarna obręcz znalazła się tuż nad nim. Przerażony patrzył w milczeniu, jak szary cień przesuwa się, a z nim coś lśniącego... wróbel, który uciekał, trzymając w łapkach jakiś jasny przedmiot. Nie odrywał wzroku od ptaka, aż w pewnym momencie rzucił się za nim, tym samym usuwając się przed pędzącym kołem, jakby wróbel go zahipnotyzował.

Szeroka jak ściana krawędź koła przemknęła tak blisko, że spodnie Simona zahaczyły o straszliwie zimny gwóźdź, który wystawał z zewnętrznej krawędzi koła. Wróbel także zdołał umknąć i teraz wznosił się wysoko w kierunku szarego nieba; po chwili zniknął w mrokach przestworzy, a z nim lśniący przedmiot. Simon usłyszał donośny głos.

Zostałeś naznaczony.

Koło pociągnęło za sobą chłopca, przewracając go i szarpiąc jak pies schwytanego szczura. A potem wyrzuciło go w górę. Ziemia kołysała się pod nim i falowała niczym zielone morze. Wznosił się w kierunku osi koła, czując pęd powietrza i pulsującą w głowie krew.

Simon z trudem wyprostował się na oblepionej błotem i darnią krawędzi koła i jechał na niej jak na bestii, która jakby wyłoniła się z chmur. Wciąż wznosił się ku niebu, aż wreszcie znalazł się na samej górze koła. Przez chwilę siedział na czubku świata. Poza doliną widział całe Osten Ard. Promienie słońca przedzierały się przez zachmurzone niebo i padały na blanki zamku i jego wspaniałą, lśniącą iglicę, jedyną rzecz w świecie, która zdawała się dorównywać kołu swą wysokością. Zamrugał, patrząc na znany mu widok. Zaczął się jakby do niego zbliżać, lecz wtedy koło potoczyło się dalej; Simon poczuł, że pęd ściąga go w dół, w kierunku ziemi. Spróbował uwolnić się od gwoździa, lecz nie potrafił, jakby on i gwóźdź stali się jednym. Ziemia zbliżała się coraz szybciej. Zarówno on, jak i zielona, dziewicza ziemia pędzili ku sobie; pęd był tak silny, iż Simon

miał wrażenie, że grzmią trąby Sądu Ostatecznego. Wreszcie uderzył – on i ziemia zetknęli się – a wiatr, światło i dudnienie ustały niczym zdmuchnięty płomień świecy.

Nagle...

SIMON ZNALAZŁ SIĘ W CIEMNOŚCI, w głębi ziemi, która rozstąpiła się przed nim jak woda. Wokół niego słychać było głosy, powolne, urywane słowa wypowiadane duszącymi się błotem ustami.

– *Kto przychodzi do naszego domu?*

– *Kto śmie przerywać nasz sen, nasz długi sen?*

– *Przychodzą kraść! Złodzieje zabiorą nasze ciche, mroczne łoża. Znowu nas wyciągną przez Jasną Bramę...*

KIEDY GŁOSY ZAWODZIŁY tak żałośnie, Simon poczuł, że chwytają go czyjeś dłonie, zimne i suche niczym kość, a może wilgotne i miękkie jak korzenie; wijące się palce, które zbliżają się, by go przyciągnąć do pustych piersi... lecz nie potrafiły go zatrzymać. Koło toczyło się naprzód, ciągnąc go coraz niżej, aż głosy pozostały gdzieś daleko, a on osuwał się w lodowatą, głuchą ciemność.

Ciemność...

– *Gdzie jesteś, chłopcze? Czy śnisz? Jesteś już prawie mój* – przemówił nagle głos Pryratesa. Simon wyczuwał bardziej, niż słyszał myśli alchemika. – *Teraz już wiem, kim jesteś. Chłopak od Morgenesa, ten wszędobylski podkuchenny. Widziałeś rzeczy, których nie powinieneś był oglądać, kuchciku, rzeczy nie dla ciebie. Za dużo wiesz. Znajdę cię. Gdzie jesteś?*

I wtedy nastąpiła straszliwa ciemność, cień głębszy od cienia koła, a w nim zapłonęły dwa ognie: oczy płonące w czaszce pełnej ognia.

– *Żaden śmiertelnik* – odezwał się głos, który zabrzmiał w głowie Simona jak popiół i ziemia, jak niemy koniec wszystkiego. – *Nie, to nie dla ciebie.* – Oczy płonęły pożądliwie. – *Zabierzemy go, kapłanie.*

Simon poczuł, że wymyka się z uścisku Pryratesa – moc alchemika oddalała się ku czemuś mrocznemu.

– *Witaj* – powiedziało to coś. – *Oto dom Króla Burz, dom za Najciemniejszą Bramą...*

– *Jak... się... nazywasz?*

Oczy zapadły się niczym rozżarzone węgle, a pustka, jaka po nich została, parzyła bardziej niż lód, bardziej niż jakikolwiek ogień... była ciemniejsza od najmroczniejszego cienia...

– *Nie!* – Simonowi zdawało się, że krzyczy, lecz jego usta także pełne były ziemi. – *Nie powiem ci!*

– *A może my damy ci imię... musisz przecież jakoś się nazywać, malutka muszko, pyłku... żebyśmy mogli cię rozpoznać, kiedy się spotkamy... musisz zostać naznaczony...*

– *Nie!* – Próbował się uwolnić, lecz przygniatał go ciężar tysiącletniej ziemi i kamieni. – *Nie chcę imienia! Nie chcę imienia! Nie chcę...*

– *...imienia od ciebie!*

Jeszcze echo ostatniego krzyku Simona nie zdążyło przebrzmieć wśród drzew, a zaniepokojony Binabik był już u jego boku. Dolinę wypełniało słabe światło rozproszonych promieni porannego słońca.

– I tak już muszę opiekować się jednym szaleńcem i jednym nieomal martwym – powiedział Binabik, kiedy Simon usiadł. – A do tego jeszcze ty wrzeszczysz przez sen?

Miał to być żart, lecz panujący chłód nie pozwalał na wprowadzenie żartobliwego nastroju. Simon siedział, drżąc.

– Och, Binabik, ja... – Czuł, że uśmiecha się słabo, ucieszony faktem, że znajduje się na powierzchni ziemi, w świetle. – Miałem straszliwy sen.

– Wcale mnie to nie dziwi – powiedział troll i uścisnął ramię Simona. – Trudno, żeby po takim dniu jak wczorajszy można było spokojnie odpoczywać. – Troll wyprostował się. – Jeśli masz ochotę na coś do jedzenia, zajrzyj do mojej torby. Ja muszę się zająć mnichami.

Wskazał ręką na dwie ciemne postacie po drugiej stronie ogniska. Bliższa, która według Simona musiała być Langrianem, owinięta była w ciemnozielony koc.

– Gdzie jest... – dopiero po chwili Simon przypomniał sobie imię – Hengfisk? – W głowie mu huczało, a szczęka drżała, jakby zębami rozgryzał orzechy.

– Ten mało sympatyczny Rimmersman, który – trzeba przyznać – poświęcił swój płaszcz dla Langriana, poszedł do klasztoru poszukać czegoś do jedzenia. Simonie, jeśli nic ci nie jest, to pozwól, że wrócę do swoich podopiecznych.

– Oczywiście. A jak oni się czują?

– Z zadowoleniem mogę powiedzieć, że Langrian ma się znacznie lepiej. – Binabik pokiwał głową z satysfakcją. – Śpi od dłuższego czasu, czego chyba nie można powiedzieć o tobie, co? – Troll uśmiechnął się. – Niestety, nie potrafię pomóc bratu Dochaisowi, ale jemu nic nie dolega poza atakami strachu. Jemu także dałem coś na sen. Wybacz, proszę, ale muszę zająć się opatrunkiem Langriana.

Binabik wstał i obszedł ognisko, przechodząc nad Qantaqą, która spała przy ciepłych kamieniach i której kark Simon wcześniej wziął za duży kamień.

Wiatr zaszeleścił liśćmi dębu nad głową Simona; chłopiec przeszukiwał torbę Binabika. Wyciągnął z niej zawiniątko, w którym, sądząc z wyglądu, mogło znajdować się śniadanie, lecz jeszcze zanim je rozpakował, z odgłosu grzechotania domyślił się, że są to te dziwne kości, które widział już wcześniej. Po dalszych poszukiwaniach znalazł wreszcie mocno wędzone mięso zawinięte w kawałek surowego materiału; stwierdził jednak, że ostatnią rzeczą, na jaką ma ochotę, jest zmuszanie do trawienia i tak już mocno nadwerężonego żołądka.

– Binabik, czy mamy wodę? Gdzie jest twój bukłak?

– Mam lepszy pomysł, Simonie – krzyknął troll pochylony na bratem Langrianem. – Idąc tą drogą, znajdziesz niedaleko strumień. – Binabik wskazał dłonią i rzucił Simonowi swą skórzaną torbę. – Bardzo mi się przyda pełna wody.

Podnosząc bukłak, Simon dostrzegł nieopodal własne zawiniątka. Instynktownie podniósł owinięty w szmatę manuskrypt i ruszył z nim w stronę strumienia.

Strumyk płynął leniwie, tworząc miejscami zatoczki; pełno w nich było liści i gałązek. Simon musiał rozgarnąć je nieco, zanim mógł zaczerpnąć wody i spryskać sobie twarz. Pocierał ją mocno palcami, gdyż wydawało mu się, że dym i krew ze spalonego opactwa wżarły mu się w skórę. Wypił parę łyków, zanim napełnił bukłak Binabika.

Usiadł na brzegu i powrócił myślami do snu, który od rana nie dawał mu spokoju. Sen, podobnie jak szalone słowa brata Dochaisa poprzedniej nocy, okrył serce Simona straszliwymi cieniami, które umykały przed światłem dnia niczym niespokojne duchy. Jedyne, co pamiętał, to pędzące na niego czarne koło. Wszystko inne zniknęło w mrokach i pustce jego pamięci; było skryte za drzwiami zapomnienia, których nie potrafił otworzyć. Czuł jednak, że został uwikłany w coś, co nie było jedynie walką

królewskich synów, w coś, co wykraczało poza śmierć tak dobrego człowieka, jakim był Morgenes, czy morderstwo kilkunastu mnichów. Te okrucieństwa były czymś nikłym, jakby dopływami innego, głębszego strumienia, czy raczej okruchami zgniecionymi szaleńczym pędem olbrzymiego koła. Jego umysł nie był w stanie objąć wszystkiego i im bardziej się zastanawiał, tym mniej rozumiał. Wiedział tylko jedno, że dostał się w cień koła i chcąc przetrwać, będzie musiał nauczyć się znosić jego obroty.

ZASŁUCHANY W BZYCZENIE unoszących się wokół owadów, Simon zaczął przeglądać kartki, na których Morgenes opisał całe życie Prestera Johna. Nie zaglądał do manuskryptu od jakiegoś czasu, gdyż w ciągu dnia maszerowali długo, a wieczorem, po rozbiciu obozu, natychmiast usypiał. Wyciągnął te strony, które się skleiły; czytał pojedyncze zdania, fragmenty, nie starając się specjalnie, by coś zrozumieć. Pragnął jedynie wywołać miłe wspomnienie przyjaciela. Wpatrzony w litery przypomniał sobie jego szczupłe, pokryte żyłkami dłonie, tak zwinne i mądre jak budujące gniazdo ptaki.

Jeden z akapitów zwrócił uwagę Simona. Znajdował się na stronie, którą poprzedzała narysowana przez Doktora mapa zatytułowana: *Plan bitwy pod Nearulagh*. Sam szkic nie był specjalnie interesujący, jakby starcowi nie zależało, by zaznaczyć wyraźnie pozycje armii czy punkty orientacyjne terenu; nie było tam też żadnych wyjaśnień. Natomiast tekst, jaki potem następował, zaciekawił Simona, gdyż stanowił w pewnym sensie odpowiedź na pytania, które nurtowały go od chwili okropnego odkrycia poprzedniego dnia.

Ani Wojna, ani Gwałtowna Śmierć – pisał Morgenes – *nie mają w sobie nic wzniosłego, a mimo to są jak świeca, do której Ludzkość zlatuje się z równą determinacją jak ćma. Ten, kto był na polu bitwy i kogo nie zwiodły pospolite sądy, przyzna, że jest to miejsce, w którym Ludzkość stworzyła piekło na ziemi, powodowana zwykłą niecierpliwością, zamiast oczekiwać tego prawdziwego, do którego – jeśli wierzyć duchownym – większość z nas zostanie wpędzona.*

Niemniej to pole bitwy decyduje o rzeczach, które Bóg zapomniał uporządkować. Czy przypadkiem? Któż z nas, śmiertelników, może to wiedzieć? Dlatego często staje się ono sędzią, wykonawcą Bożej Woli, a Gwałtowna Śmierć jest tylko jego Pokornym Pisarzem.

Simon uśmiechnął się i pociągnął łyk wody. Przypomniał sobie, jak Morgenes miał w zwyczaju porównywać jedne rzeczy do innych, na przykład ludzi do robaków albo śmierć do starego i pomarszczonego kapłana z Archiwum. Przeważnie Simon nie rozumiał tych porównań, lecz zdarzało się, że pokonywał meandry myśli Doktora, a wtedy znaczenie ukazywało się równie nagle, jak słońce w gwałtownie odsłoniętym oknie.

John Prezbiter – pisał dalej Morgenes – *był bez wątpienia jednym z największych wojowników swych czasów; gdyby nie to, z pewnością nigdy nie zostałby podniesiony do godności królewskiej. Ale nie jego waleczność uczyniła go wielkim Królem, lecz raczej to, jak używał królewskich narzędzi, które waleczność mu podsunęła, oraz sposób kierowania państwem i prawość, która czyniła go wzorem dla prostych ludzi.*

W rzeczywistości jego mocne strony na polu walki stanowiły o jego słabości jako Wielkiego Króla. W wirze walki potrafił zabijać bez cienia strachu, z uśmiechem na ustach; odbierał życie tym, którzy stanęli na jego

drodze, z takim samym zadowoleniem jak baron z Utanyeat, który trafia strzałą jelenia.

Jako Król bywał czasem zbyt porywczy i chaotyczny w swych poczynaniach, dlatego właśnie niemal poniósł porażkę w bitwie w dolinie Elvritshalli i faktycznie utracił życzliwość pokonanych Rimmersmenów.

Simon zmarszczył brwi, czytając. Czuł, jak prześlizgujące się między drzewami promienie grzeją mu kark. Wiedział, że powinien zanieść Binabikowi wodę, ale z drugiej strony już od tak dawna nie miał okazji, by usiąść samotnie w ciszy, a do tego zupełnie zaskoczyły go słowa Morgenesa, który najwyraźniej krytykował wspaniałego i niepokonanego Prestera Johna, bohatera tylu pieśni i opowiadań, że tylko Usires Aedon mógł liczyć na większą chwałę, a i ta przewaga nie była tak duża.

Jedyny człowiek – czytał dalej Simon – *który mógł równać się z Johnem na polu walki, był jego całkowitym przeciwieństwem. Camaris-sa-Vinita, syn nabbańskiego władcy i brat obecnego księcia, wojnę traktował jak jedną z licznych rozrywek. Kiedy dosiadał swego rumaka Atarina, dzierżąc miecz, zwany Cierniem, był chyba najstraszliwszym wojownikiem w świecie, lecz walka nie dawała mu żadnej przyjemności, a jego niezwykły kunszt był mu ciężarem, albowiem wielka sława, jaką zdobył, zwróciła przeciw niemu wielu, którzy w innych okolicznościach byliby jego sprzymierzeńcami i którzy zmuszali go do zabijania wtedy, kiedy tego nie pragnął.*

W księdze Aedona jest napisane, że kiedy kapłani z Yuvenis przyszli aresztować świętego Usiresa, nie stawiał oporu, lecz kiedy chcieli zabrać jego uczniów, Sutrinesa i Granisa, Usires przeciwstawił się, zabijając ich dotknięciem ręki. Płakał nad ich ciałami i błogosławił je.

Tak też rzecz się miała z Camarisem, jeśli wolno mi uczynić takie świętokradcze porównanie. Jeśli ktoś mógł szczycić się tak ogromną władzą

i miłością powszechną, jaką Matka Kościół przypisuje Usiresowi Aedonowi, to był nim Camaris, człowiek, który zabijał wroga bez nienawiści, a mimo to był najstraszliwszym wojownikiem tego, a może nawet i...

– Simonie! Czy możesz się pospieszyć! Potrzebuję wody, i to zaraz!

Simon podskoczył, słysząc naglący głos Binabika. Z poczuciem winy wdrapał się na brzeg i ruszył w stronę obozu.

Ale Camaris był wielkim wojownikiem! We wszystkich piosenkach śpiewają, jak uradowany odcina głowy dzikim Thrithingom.

Shem śpiewał jedną z nich, jak to było...?

Z lewej im dołożył
I z prawej poprawił.
Huknął i zaśpiewał,
A wróg w pole zwiewał.

Roześmiał się Camaris,
Mieczem świsnął Camaris,
Konia spiął ostrogami
W bitwie z Thrithingami...

Simon wynurzył się z krzaków i w blasku słońca, które zdążyło już wzejść wysoko, zobaczył Hengfiska, klęczącego wraz z Binabikiem nad nieruchomym bratem Langrianem.

– Proszę – powiedział i wręczył bukłak klęczącemu trollowi.

– Dużo czasu ci to zajęło – zaczął Binabik, lecz urwał, potrząsając naczyniem. – Tylko połowa? – zapytał, a Simon zaczerwienił się ze wstydu na widok jego miny.

– Właśnie upiłem trochę, kiedy zawołałeś – powiedział.

Hengfisk popatrzył na niego ponuro swymi wyłupiastymi oczami.

– No cóż – mruknął Binabik i zwrócił się w stronę Langriana, któremu wróciły już kolory – co się stało, to się nie odstanie. Wygląda na to, że nasz przyjaciel wraca do zdrowia. – Podniósł bukłak i wlał parę kropel wody do ust Langriana. Nieprzytomny mnich zakasłał, krztusząc się, lecz po chwili jego gardło poruszyło się, przełykając wodę.

– Widzisz? – powiedział dumnie Binabik. – Ma ranę na głowie, chyba potrafię...

Langrian zamrugał oczami, zanim jeszcze Binabik zdążył wyjaśnić, co potrafi. Simon usłyszał, jak Hengfisk wciąga głęboko powietrze. Langrian powiódł nieprzytomnym wzrokiem po twarzach pozostałych i znowu zamknął oczy.

– Daj mu jeszcze wody, trollu – syknął Hengfisk.

– Wiem, co mam robić, Rimmersmanie – odparł Binabik z lodowatą godnością. – Wypełniłeś swój obowiązek, wyciągając go z ruin, teraz ja wypełniam swój i nie potrzebuję rady. – Zanim skończył, wlał kolejną porcję wody w spieczone usta Langriana. Po chwili wydobył się z nich nabrzmiały z pragnienia język, jak niedźwiedź, który budzi się z zimowego snu. Binabik wylał na język mnicha trochę wody, a potem zwilżył kawałek materiału i położył go na pokrytym leczniczymi nacięciami czole rannego.

Langrian ponownie otworzył oczy i tym razem zatrzymał wzrok na Hengfisku. Rimmersman wziął go za rękę.

– Hen... Hen... – wydusił z siebie Langrian.

Hengfisk przycisnął mocniej okład do jego czoła.

– Nie mów nic, Langrianie. Odpoczywaj.

Langrian przeniósł powoli wzrok na Binabika, potem na Simona, a potem znowu spojrzał na mnicha.

– Inni...? – wymamrotał.

– Odpoczywaj teraz. Musisz odpoczywać.

– Nareszcie w czymś się zgadzamy z tym człowiekiem. – Binabik uśmiechnął się do chorego. – Powinieneś spać.

Widać było, że Langrian chce jeszcze coś powiedzieć, lecz zamknął oczy, jakby posłuszny radzie trolla, i zasnął.

DWIE RZECZY WYDARZYŁY SIĘ tego popołudnia. Pierwsza, kiedy Simon, mnich i troll jedli skąpy posiłek. Nie upolowali ptaków, gdyż Binabik nie chciał opuszczać Langriana; musieli zadowolić się suszonym mięsem oraz jagodami i zielonymi jeszcze orzechami, które nazbierał Hengfisk.

Kiedy tak siedzieli, przeżuwając w milczeniu posiłek, zatopieni w swych myślach – Simon rozmyślał na przemian to o straszliwym kole, to o walecznym Johnie i Camarisie – zmarł nagle brat Dochais. Siedział spokojnie, przytomny, choć nie jadł; nie chciał przyjąć od Simona jagód i tak długo patrzył na niego nieufnie, dopóki chłopiec nie odszedł. Chwilę później upadł na twarz najpierw w drgawkach, a potem zaczął się rzucać. Kiedy odwrócili go na plecy, jego brudna twarz była już śmiertelnie blada, a oczy zapadły się; przestał oddychać i ciało stało się sztywne. Przerażony Simon był pewien, że w ostatniej chwili Dochais zdołał wyszeptać: „Król Burz”. Słowa te wciąż dźwięczały w uszach Simona, choć nie wiedział dlaczego, a przecież usłyszał je we śnie. Żaden z obecnych nic nie powiedział, ale Simon był pewien, że oni także słyszeli. Ku zaskoczeniu Simona Hengfisk zapłakał rzewnie nad ciałem. On zaś poczuł nieomal ulgę, dziwne uczucie, którego nie rozumiał i nie potrafił stłumić. Binabik pozostawał niewzruszony jak kamień.

Druga rzecz wydarzyła się godzinę później, w czasie kłótni Binabika z Hengfiskiem.

– I owszem, pomożemy, ale nie próbuj mi rozkazywać. – Binabik powstrzymywał gniew, lecz jego oczy zamieniły się w czarne szparki.

– Ale ty chcesz tylko pomóc przy pochowaniu Dochaisa! Czy zostawisz pozostałych na pożarcie wilkom? – Hengfisk ze swej strony wcale nie usiłował ukrywać gniewu i dlatego twarz miał strasznie czerwoną, a oczy wytrzeszczył jeszcze bardziej niż zwykle.

– Próbowałem pomóc Dochaisowi lecz mi się nie udało – warknął troll. Pochowamy go, jeśli o to ci chodzi. Jednak nie mam zamiaru marnować kolejnych trzech dni na chowanie wszystkich twoich zmarłych braci. Oddanie ich ciał na żer wilkom jest pewnie lepszym celem niż ten, któremu służyli za życia, a przynajmniej niektórzy z nich!

Hengfisk potrzebował chwili, by zrozumieć sens słów Binabika, lecz kiedy to nastąpiło, poczerwieniał jeszcze bardziej, jeśli w ogóle było to możliwe.

– Ty... ty, pogański potworze! Jak możesz się tak wyrażać o zmarłych, których nawet jeszcze nie pochowano... ty, kąśliwy karle!

Binabik uśmiechnął się ponuro.

– Skoro wasz Bóg tak ich kocha, to przecież zabrał już ich... dusze, czy nie?... do Nieba, tak więc mogą ucierpieć tylko ich śmiertelne ciała...

Zanim ktokolwiek zdołał coś jeszcze powiedzieć, usłyszeli głuche warczenie Qantaqi, która dotąd drzemała po drugiej stronie ogniska przy Langrianie. Po chwili zorientowali się, co było przyczyną jej niepokoju.

Langrian obudził się i zaczął bredzić.

– Niech... niech ktoś ostrzeże... przeora... zdrada! – Mnich mówił świszczącym szeptem.

– Bracie! – zawołał Hengfisk, podbiegając do niego. – Oszczędzaj swe siły!

– Pozwól mu mówić – wtrącił Binabik – to może uratować nam życie, Rimmersmanie.

Langrian otworzył oczy, zanim Hengfisk zdążył odpowiedzieć. Spojrzał najpierw na Hengfiska, a potem rozejrzał się wkoło; jego ciałem wstrząsnął dreszcz, choć owinięty był w gruby koc.

– Hengfisk... czy... pozostali? – wycedził.

– Wszyscy nie żyją – powiedział spokojnie Binabik.

Rimmersman rzucił mu nienawistne spojrzenie.

– Usires zabrał ich do siebie, Langrianie – powiedział. Tylko ty się uratowałeś.

– Tego... się bałem...

– Czy możesz powiedzieć nam, co się stało? – Troll pochylił się i położył na czole mnicha kolejny mokry kompres. Po raz pierwszy Simon zobaczył, że choć zakrwawiony i chory, Langrian jest całkiem młody, prawdopodobnie nie miał więcej niż dwadzieścia lat. – Staraj się unikać wysiłku, ale powiedz nam, co wiesz.

Langrian ponownie zamknął oczy, jakby chciał jeszcze spać, lecz w rzeczywistości zbierał siły.

– Było... było ich kilkunastu... nadeszli znienacka od strony traktu. – Oblizał spieczone wargi, więc Binabik podsunął mu wodę. – Często ludzie podróżują w dużych grupach. Nakarmiliśmy ich i brat Scenesefa ulokował ich na noc w Sali Gościnnej. – Mnich wydawał się nabierać sił, w miarę jak mówił i popijał wodę. – Dziwnie się zachowywali... nie zeszli na noc do głównej sali – z wyjątkiem dowodzącego – miał jasne oczy, groźnie wyglądający hełm i... ciemną zbroję – pytał, czy nie słyszeliśmy o grupie Rimmersmenów, która jechała z Erchesteru na Północ.

– Rimmersmenów? – spytał Hengfisk.

„Z Erchesteru? – pomyślał Simon. – Któż by to mógł być?”

– Opat Quincines powiedział mu, że nie słyszeliśmy o takich, z czego tamten był... jakby zadowolony. Zaniepokoiło to opata, ale nie chciał niepokoić młodszych braci. Następnego ranka jeden z braci przyszedł z pola i powiedział, że od południa zbliża się grupa jeźdźców... a obcy bardzo... bardzo się tym zainteresowali... i powiedzieli, że to część ich grupy, z którą mieli się spotkać. Jasnooki dowódca zabrał swoich ludzi na główny dziedziniec, żeby przywitać nowo przybyłych – tak przynajmniej myśleliśmy... Kiedy nowa grupa weszła na Winne Wzgórze i widać ich było z opactwa, było ich prawie tyle samo, co naszych gości...

Langrian przerwał, by wziąć głębszy oddech. Binabik chciał dać mu wcześniej coś, co pozwoliłoby mu zasnąć, ale mnich nie chciał lekarstwa.

– To już prawie wszystko. Jeden z naszych braci... zobaczył, jak któryś z gości wybiega z klasztoru na dziedziniec. Miał niedopięty płaszcz – wszyscy ubrani byli w płaszcze, chociaż było bardzo ciepło – pod którym błysnęło ostrze miecza. Brat pobiegł do przeora, który obawiał się czegoś takiego. Quincines poszedł porozmawiać z ich przywódcą. Tymczasem tamci zaczęli zjeżdżać ze wzgórza... wszyscy byli Rimmersmenami, mieli brody i warkoczyki. Opat zakazał im jakichkolwiek walk. Powiedział, że klasztor nie będzie miejscem żadnych bandyckich porachunków. Wtedy przywódca naszych gości wyciągnął miecz i przyłożył do gardła Quincinesa.

– Litościwy Aedonie – szepnął Hengfisk.

– Po chwili słyszeliśmy już tętent kopyt. W pewnym momencie brat Scenesefa podbiegł do furty i krzyknął, ostrzegając nadjeżdżających. Jeden z naszych „gości” strzelił do niego z łuku, a ich przywódca poderżnął gardło opatowi.

Hengfisk zdusił szlochanie i zrobił na sercu znak Drzewa, lecz twarz Langriana była spokojna, bez wyrazu; ciągnął swą opowieść już bez

przerywania

– A potem nastąpiła rzeź; obcy rzucili się na braci z nożami i mieczami albo strzelali z łuków, które wyciągnęli spod płaszczy. Jeźdźcy musieli chyba usłyszeć ostrzeżenie Scenesefy, bo nadjechali z obnażonymi mieczami i zobaczyli go martwego przy furcie. Trudno mi powiedzieć, co wydarzyło się później, wszystko wydawało się szaleństwem. Ktoś rzucił pochodnię na dach kaplicy, która natychmiast zajęła się ogniem. Ludzie krzyczeli, konie kwiczały przeraźliwie. Pobiegłem po wodę i wtedy coś uderzyło mnie w głowę. To wszystko.

– Tak więc nie wiesz, kim byli walczący ze sobą ludzie? – zapytał Binabik. – Czy oni walczyli ze sobą, czy może współdziałali?

Langrian skinął głową.

– Walczyli. Tyle tylko, że naszym „gościom” nie poszło tak łatwo z pozostałymi, jak z nieuzbrojonymi mnichami. Nic więcej już nie wiem.

– Niech spłoną! – syknął brat Hengfisk.

– Tak będzie – westchnął Langrian. – Chyba spróbuję zasnąć. – Zamknął oczy, lecz wciąż oddychał miarowo.

Binabik wyprostował się.

– Przejdę się trochę – powiedział. Simon skinął głową. – *Ninit*, Qantaqa! – zawołał troll, a wilczyca podniosła się, przeciągnęła i poszła za nim. Po chwili zniknął w lesie, pozostawiając Simona z trzema mnichami, z których tylko dwaj żyli.

POGRZEB DOCHAISA był bardzo krótki i skromny. Hengfisk znalazł jakieś prześcieradło w ruinach klasztoru. Owinęli nim ciało Dochaisa i spuścili je do dołu, który wspólnie wykopali na klasztornym cmentarzu. Langrian spał w tym czasie w lesie pilnowany przez Qantaqę. Kopanie grobu okazało się

sporym wysiłkiem, gdyż ogień w stodole strawił drewniane trzonki szpadli i musieli kopać samymi sztychami. Zanim brat Hengfisk skończył swe gorliwe modlitwy przeplatane obietnicami boskiej sprawiedliwości – zapominając w swym uniesieniu, że w chwili popełnienia mordu Dochais znajdował się daleko od klasztoru – zapadł już zmrok. Zza szczytu Winnego Wzgórza świeciły jeszcze ostatnie promienie zachodzącego słońca, lecz trawiasty dziedziniec klasztoru pogrążył się w mroku i chłodzie. Binabik i Simon pozostawili Hengfiska nad grobem; klęczał z wybałuszonymi oczami, całkowicie pogrążony w modlitwie. Oni zaś poszli rozejrzeć się po terenie klasztoru.

Wprawdzie troll starał się unikać najbardziej przykrych miejsc, lecz rzeź była na to zbyt wielka i Simon szybko zaczął żałować, iż nie został przy ognisku z Langrianem i Qantaqą. Kolejny upalny dzień nie wpłynął korzystnie na ciała; napuchnięte i różowe kojarzyły się Simonowi nieprzyjemnie z pieczonym prosiakiem, którego podawano na stół w Dzień Pani. W głębi duszy obwiniał się za okazywaną słabość; przecież spotykał się już ze śmiercią, widywał pola usiane trupami po wielodniowych walkach. Lecz kiedy szedł, starając się patrzeć przed siebie i unikać tamtych martwych oczu, zdał sobie sprawę, że śmierć nigdy nie wygląda tak samo, bez względu na doświadczenia patrzącego. Każdy z tych worków pełnych kości i wnętrzności był kiedyś żywą istotą, miał bijące serce, głos i wiele innych przymiotów.

„Kiedyś i mnie to spotka – pomyślał, gdy obchodzili kaplicę – i kto będzie o mnie pamiętał?” – Nie potrafił odpowiedzieć; nie poprawiły mu humoru równiutkie rzędy płyt nagrobnych na małym cmentarzu, z których szydziły porozrzucane wszędzie ciała zabitych mnichów.

Binabik odnalazł zwęglone resztki bocznych drzwi kaplicy, na których powierzchni gdzieniegdzie tylko widoczne było zdrowe drewno

przypominające smugi na czyszczonej właśnie mosiężnej lampie. Troll uderzył w drzwi i oderwał spalone części, lecz się nie otworzyły. Uderzył w nie kijem jeszcze mocniej, ale i tym razem wytrzymały – były niczym strażnik, który zginął na posterunku.

– Dobrze – powiedział Binabik. – To znaczy, że możemy wejść bez obawy, że cała konstrukcja runie nam na głowę. – Wsadził swój kij w szczelinę między drzwiami a framugą. Używając go jako dźwigni, sprawił, że z niewielką pomocą Simona, drzwi odskoczyły, obsypując ich czarnym pyłem.

Kiedy weszli do środka, ku swemu zdziwieniu zobaczyli, że kaplica nie ma dachu; była tak samo otwarta, jak pozbawiona wieka beczka. Simon spojrzał w niebo, które nad ich głowami było jeszcze czerwone, ale nad horyzontem ściemniało wraz z nadchodzącym zmrokiem. Framugi okien w okrągłych ścianach były czarne, ołowiane ornamenty powyginały się na zewnątrz, okopcone szyby były rozbite, jakby olbrzymia dłoń zdjęła dach, a potem sięgnęła między belkami i ogromnym palcem zbiła każde z okien.

Na pierwszy rzut oka nie zostało tam nic, co mogłoby się im przydać. Pewnie ze względu na dużą liczbę gobelinów i kotar kaplica spłonęła doszczętnie. Nadpalone ławki, schody i ołtarz pozostały na swoich miejscach, a na kamiennych stopniach ołtarza leżał spopielony wianek z kwiatów z listkami cienkimi jak papier i szarymi, przeźroczystymi kwiatkami.

Następnie Simon i Binabik udali się przez dziedziniec do cel mnichów, które ciągnęły się wzdłuż długiego korytarza. Tutaj zniszczenia były mniejsze; jeden koniec korytarza ogarnął ogień, który wygasł, nim zdążył rozprzestrzenić się dalej.

– Rozglądaj się za butami – powiedział Binabik. – Wprawdzie mnisi przeważnie noszą sandały, ale czasem muszą przecież jeździć konno albo

podróżować w czasie zimy. Staraj się znaleźć takie, które będą na ciebie pasowały, lecz weź raczej za duże niż za małe.

Ruszyli w przeciwległe końce korytarza. Drzwi cel były pootwierane; mnisi mieszkali w bardzo małych pomieszczeniach, w których w większości jedyną ozdobą było zawieszone na ścianie Drzewo. Jeden z mnichów przymocował nad swym twardym siennikiem gałąź kwitnącej jarzębiny; jej widok w tak surowym otoczeniu bardzo ucieszył Simona, lecz chłopiec zaraz przypomniał sobie, jaki los spotkał mnicha, który tam mieszkał.

Simon otworzył drzwi do szóstego czy siódmego pokoju, gdy zdziwiony usłyszał jakieś syknięcie, a zaraz potem coś przemknęło koło jego nogi. W pierwszej chwili pomyślał, że wystrzelono do niego strzałę, lecz rozejrzawszy się po małym, pustym pomieszczeniu, wykluczył taką możliwość. Chwilę później wiedział już, co to było, i uśmiechnął się. Jeden z mnichów – z pewnością wbrew regułom klasztornym – trzymał w swej celi kotka, takiego, z jakim Simon zaprzyjaźnił się w Hayholt. Po dwóch dniach czekania na swego pana kotek był wygłodniały, rozdrażniony i przestraszony. Simon cofnął się korytarzem, żeby go odszukać, lecz bez skutku.

Binabik usłyszał kroki Simona.

– Wszystko w porządku? – zawołał z jednej z cel.

– Tak! – odkrzyknął Simon. Wpadające przez małe okienka światło było już teraz szare. Chłopiec zastanawiał się, czy lepiej będzie zawrócić do drzwi wejściowych i po drodze odszukać Binabika, czy też jeszcze trochę pooglądać cele. Postanowił, że przynajmniej przeszuka tę, w której ukrywano kotka.

Po paru minutach Simon poczuł, co znaczy zbyt długie trzymanie zwierząt w zamknięciu. Zatykając nos, rozejrzał się szybko po celi

i dostrzegł książkę, niedużą, lecz ładnie oprawioną w skórę. Omijając na palcach niebezpieczne miejsca, zbliżył się do łóżka, zabrał książkę i równie ostrożnie wycofał się z celi.

Usiadł właśnie w następnej, by obejrzeć zdobycz, kiedy w drzwiach pojawił się Binabik.

– Niezbyt mi się poszczęściło, a tobie? – spytał troll.

– Żadnych butów.

– Ściemnia się szybko. Chyba pójdę rozejrzeć się jeszcze po Sali Gościnnej, w której spali okrutni goście; może uda mi się znaleźć coś, co naprowadzi nas na jakiś ślad. Zaczekaj na mnie tutaj, dobrze?

Simon skinął głową i Binabik odszedł.

Zgodnie z przypuszczeniami Simona była to Księga Aedona, choć jak na własność mnicha zbyt okazała i droga. „Pewnie dostał ją od jakiegoś bogatego krewnego” – pomyślał chłopiec. Wewnątrz nie było nic nadzwyczajnego, ale miała ładne ilustracje – tak przynajmniej wydawało się Simonowi w słabym świetle.

Jedna rzecz jednak zwróciła jego uwagę. Na pierwszej stronie, gdzie zwykle podpisywano się lub wypisywano dedykacje, widniały zapisane starannym, choć chwiejnym pismem następujące słowa:

Złocisty sztylet me serce przeszywa;
I to jest Bóg.
Złocista igła Boże serce przeszywa;
I to jestem ja.

Kiedy Simon siedział wpatrzony w te słowa, jego ostatnia decyzja została poddana próbie; czuł, jak ogarnia go fala, ogłuszający potok strachu

i wyrzutów sumienia, uczucie, że wiele rzeczy, choć niewidzianych, odchodzi nieubłaganie.

W pewnym momencie do celi wsadził głowę Binabik i wrzucił do środka parę butów, które opadły obok Simona z głuchym stukotem. Chłopiec nie podniósł głowy.

– Wiele ciekawych rzeczy można znaleźć w Sali Gościnnej, choćby takie buty. Ale robi się ciemno i już niedługo będę mógł tam zabawić. Wiesz, gdzie mnie szukać – powiedział Binabik i zniknął powtórnie.

Po wyjściu trolla Simon siedział jeszcze długo zamyślony, a potem odłożył książkę. Chciał ją wziąć ze sobą, lecz zmienił zdanie i zajął się przymierzaniem butów. W innych okolicznościach z pewnością ucieszyłby się, że idealnie pasują, teraz tylko zostawił stare buty na podłodze i poszedł korytarzem do głównego wejścia.

Na zewnątrz panował już zmrok. Dziedziniec dzielił Simona od przeznaczonego dla podróżnych skrzydła budynku. Chłopiec spojrzał na drzwi, które kołysały się w przód i w tył; ogarnął go nieokreślony strach. Gdzie jest troll?

Simon przypomniał sobie, że kołysząca się furta okazała się pierwszym znakiem, który powiedział im, że w opactwie coś się stało, i w tym momencie silna dłoń chwyciła go za ramię i pociągnęła do tyłu.

– Binabik! – zdołał zawołać, zanim masywna dłoń zakryła mu usta i ktoś przycisnął go do swego niezwykle twardego ciała.

– *Wawer es do kunde?* – jakiś głos z akcentem Rimmersgardczyka warknął mu do ucha.

– *Im tosdten-grukker!* – zaszydził inny głos.

Śmiertelnie przerażony Simon otworzył usta i zdołał ugryźć kneblującą go dłoń. Tamten jęknął i przez chwilę usta Simona pozostały odsłonięte.

– Pomóż mi, Binabik! – krzyknął, lecz zaraz dłoń ponownie zakryła mu usta, tym razem sprawiając mu ból; w następnej chwili poczuł uderzenie za uchem.

Słyszał oddalające się echo własnego krzyku, a świat zaczął falować mu przed oczyma. Drzwi prowadzące do skrzydła dla podróżnych kołysały się miarowo, lecz Binabik nie nadszedł.

21. Słaba pociecha

KSIĄŻĘ ISGRIMNUR Z ELVRITSHALLI zbyt mocno nacisnął ostrze. Nóż ześliznął się z kawałka drewna i przeciął kciuk, powodując, że tuż spod kłykcia wypłynęła nagle strużka krwi. Zaklął pod nosem, odrzucił drewno i wsadził kciuk do ust.

„Frekke ma rację – pomyślał – a niech go cholera. Nigdy się tego nie nauczę. Właściwie to nie wiem nawet, dlaczego to robię”.

W rzeczywistości wiedział dlaczego: namówił Frekkego, by uczył go rzeźby w czasie przymusowego pobytu w Hayholt. Uważał, że musi się czymś zająć, by nie chodzić ciągle po murach zamku jak uwiązany niedźwiedź. Stary żołnierz, który służył jeszcze u Isbeorna, ojca księcia, cierpliwie pokazywał Isgrimnurowi, jak wybierać drewno, jak odnajdywać naturalne właściwości, które drzemią w jego wnętrzu, i jak je ukazać, wyzwalając z materii. Często patrzył, jak Frekke pracuje: siedzi ze zmrużonymi oczami, a na jego przeciętej blizną wardze czai się nieświadomy uśmiech. Wtedy wyskakują spod noża demony, ryby i pełne życia bestie, które wydają się jedynymi możliwymi kształtami, jakie mogą powstać z bezkształtnych gałęzi, skał czy też deszczowej chmury.

Ssąc skaleczony palec, książę rozmyślał o tym i owym. Pomimo nalegań Frekkego Isgrimnur w żaden sposób nie potrafił skupić się na jednej myśli w czasie rzeźbienia. Nóż i drewno zdawały się prowadzić ze

sobą ciągłą walkę, która w każdym momencie mogła wymknąć się spod jego kontroli i zakończyć skaleczeniem.

„Tak jak teraz” – pomyślał, czując w ustach smak krwi.

Schował nóż do pochwy i wstał. Jego ludzie krzątali się wokół; jedni obdzierali ze skóry parę królików, inni rozpalali ognisko, przygotowując obozowisko na noc. Zbliżył się do ognia, odwrócił i stanął tak, by jego szerokie bary znalazły się w zasięgu ciepła. Myśli o deszczowej chmurze powróciły, kiedy spojrzał na szybko ciemniejące niebo.

„Tak więc mamy miesiąc Maia. Jesteśmy niecałe dwadzieścia mil od Rochesteru... i skąd nadeszła ta burza?”

Około trzech godzin temu Isgrimnur i jego oddział gonili bandytów, którzy napadli na nich w opactwie. Książę wciąż nie miał pojęcia, kim byli – niektórzy wyglądali na wieśniaków, lecz twarze mieli dziwne – ani dlaczego ich napadli i wycięli mnichów. Ich przywódca miał na głowie hełm w kształcie szczerzącego kły ogara, lecz Isgrimnur nigdy nie spotkał się z takim godłem. Niewiele brakowało, a nie dumałby nad tym teraz, gdyby nie jeden z mnichów, który zdążył ich ostrzec krzykiem przy furcie klasztornej, zanim padł ugodzony strzałą. Później rozgorzała gwałtowna walka, ale trzeba przyznać, że śmierć tego mnicha – niech Bóg ma go w swojej opiece – była dla nich ostrzeżeniem i dlatego oddział księcia nadjechał gotowy do walki. Stracili tylko młodego Hove’a w pierwszym ataku; Einskaldir został ranny, lecz zabił swego przeciwnika i jeszcze jednego. Isgrimnur pomyślał ze smutkiem, że tamci nie zamierzali walczyć uczciwie. Napotkawszy księcia i jego ludzi, wytrawnych żołnierzy spragnionych walki po wielu miesiącach siedzenia w zamku, bandyci wycofali się przez klasztorny dziedziniec do stajni, gdzie czekały już na nich osiodłane konie.

Rycerze księcia przeszukali klasztor, lecz nie znaleźli nikogo żywego, kto wyjaśniłby im, co się stało. Zaraz po tym wsiedli na konie i pognali za uciekinierami. Być może należało pozostać i pochować Hove'a i mnichów, lecz Isgrimnur dał się ponieść żądzy walki. A przede wszystkim chciał się dowiedzieć, kto i dlaczego to zrobił.

To się jednak nie udało. Bandyci zyskali około dziesięciu minut przewagi, a poza tym ich konie były wypoczęte. Ludzie księcia dostrzegli ich w pewnym momencie; byli zaledwie poruszającymi się cieniami, które zsuwały się z Winnego Wzgórza na równinę i sunęły pagórkami w stronę traktu Wealdhelm. Ten widok dodał żołnierzom Isgrimnura skrzydeł i pognali w dół między wzgórza Wealdhelm. Wydawało się nawet, że ich wierzchowcom udzieliło się ogólne podniecenie i zebrały resztki sił. Przez moment wyglądało na to, że uda im się dogonić bandytów i spaść na nich niczym chmura.

Nagle stała się dziwna rzecz. W jednej chwili jechali w blasku słońca, a w następnej świat wokół pogrążył się nieomal w ciemności. Jechali dalej, lecz kiedy po pół mili wzgórza wokół pozostawały równie nieruchome i szare, Isgrimnur spojrzał na niebo i zobaczył kotłujące się stalowoszare chmury; na tle słońca wyglądały jak cienista pięść. Usłyszeli grzmot i za chwilę zaczął padać deszcz – najpierw lekki, a potem istna ulewa.

– Skąd ta burza?! – krzyknął do niego Einskaldir, starając się przekrzyczeć dzielącą ich zasłonę mgły i deszczu.

Isgrimnur nie potrafił odpowiedzieć: bardzo go to zjawisko zdziwiło; nigdy dotąd nie widział, by burza pojawiła się tak szybko, przy stosunkowo pogodnym niebie. Chwilę później koń jednego z żołnierzy pośliznął się na śliskiej trawie i zrzucił jeźdźca, któremu na szczęście nic się nie stało. Isgrimnur krzyknął na oddział i zatrzymał pościg.

Zdecydowano założyć obóz w miejscu, w którym się zatrzymali, około mili od traktu Wealdhelm. Książę rozważał nawet możliwość powrotu do klasztoru, ale ludzie i konie byli zmęczeni, a rozmiary pożaru, jaki wybuchł w głównym skrzydle w chwili ich wyjazdu, sugerowały, że nie będzie do czego wracać. Jednak ranny Einskaldir, który czasami jakby pozbawiony był innych uczuć poza żądzą walki, wrócił do klasztoru po ciało Hove'a. Chciał też poszukać jakichkolwiek wskazówek, które powiedziałyby im coś o bandytach. Znając Einskaldira i jego sposób postępowania, książę nie próbował go powstrzymywać; nalegał tylko, by pojechał ze Sludigiem, który wykazywał więcej opanowania. Sludig był dobrym żołnierzem, lecz wystarczająco mocno cenił swe życie, by zrównoważyć porywczość Einskaldira.

„I tak znalazłem się tutaj – pomyślał rozżalony Isgrimnur – grzeję sobie przy ogniu tyłek, a młodzi pracują. Niech diabli wezmą starość, moje bolące plecy, Eliasa i te przeklęte czasy!" Spojrzał na ziemię, schylił się i podniósł kawałek drewna, który miał nadzieję zamienić z cudowną pomocą w Drzewo; chciał zawiesić je na piersi żony, Gutruny, kiedy do niej powróci.

„Niech diabli wezmą też rzeźbienie!" – pomyślał i wrzucił drewno do ognia.

ZASPOKOIWSZY GŁÓD, poczuł się trochę lepiej i rzucał właśnie do ognia kości królika, kiedy usłyszał tętent kopyt. Isgrimnur i jego ludzie opuścili dłonie, by wytrzeć je w kaftany. Nie byłoby rozsądnie chwytać miecz czy topór śliską dłonią. Z odgłosów zorientował się, że nadciąga dwóch, może trzech jeźdźców. Wszyscy zamarli w napięciu, dopóki nie pojawił się Einskaldir na swym białym koniu. Tuż za nim jechał Sludig, który

prowadził trzeciego konia; przez jego siodło przerzucone były... dwa ciała. Dwa ciała, lecz – jak Einskaldir wyjaśnił lapidarnie – tylko jeden trup.

CHŁOPIEC – MRUKNĄŁ EINSKALDIR z brodą błyszczącą od króliczego tłuszczu. – Złapałem go, jak myszkował w klasztorze, i pomyślałem, że przywiozę tutaj.

– Dlaczego? – spytał ponuro Isgrimnur. – Wygląda na zwykłego kuchcika.

Einskaldir wzruszył ramionami. Jasnowłosy Sludig uśmiechnął się łagodnie. To nie był jego pomysł.

– Wokoło nie ma żadnych domów. W opactwie nie widzieliśmy żadnego chłopaka. Skąd więc przyszedł? – Einskaldir uciął sobie kolejny kawałek królika. – Kiedy go schwytaliśmy, krzyczał na kogoś. Jakiś Bennah czy Binnock, nie zrozumiałem dokładnie.

Isgrimnur odwrócił się, by spojrzeć na ciało Hove'a, które złożono na płaszczu. Był kuzynem żony jego syna, Isorna. Zgodnie ze zwyczajami ich zimnego północnego kraju było to wystarczająco bliskie pokrewieństwo, by odczuwać wyrzuty sumienia i ból utraty kogoś bliskiego. Książę patrzył na białą twarz i rzadką, żółtawą brodę młodzieńca.

Potem spojrzał na więźnia, którego ze związanymi rękoma posadzono pod skałą. Chłopiec z wyglądu był tylko o rok lub dwa młodszy od Hove'a; był chudy, żylasty, jego piegowata twarz i gęsta, ruda czupryna coś Isgrimnurowi przypominały, lecz nie potrafił powiedzieć co. Chłopiec miał oczy zamknięte i usta lekko uchylone, jakby wciąż był jeszcze ogłuszony po uderzeniu Einskaldira.

„Wygląda mi na pospolitego wieśniaka – pomyślał książę. – Tylko te buty; założę się, że znalazł je w klasztorze. Na źródło Memura, dlaczego

Einskaldir go tu przywiózł? Co ja ma z nim zrobić? Zabić go? Zatrzymać? Zostawić, żeby umarł z głodu?”

– Poszukajmy kamieni – odezwał się wreszcie Isgrimnur. – Trzeba będzie usypać kopiec dla Hove’a. Zdaje się, że grasują tu wilki.

NADESZŁA NOC. SKAŁY WYSTAJĄCE gdzieniegdzie z ziemi tworzyły ciemniejsze plamy na równinie rozciągającej się przed wzgórzami Wealdhelm. Rozpalili duże ognisko i słuchali sprośnej piosenki Sludiga. Isgrimnur dobrze wiedział, dlaczego żołnierze, którzy odnieśli rany i stracili jednego z towarzyszy – stos kamieni na grobie Hove’a stanowił jedną z ciemniejszych plam poza zasięgiem ogniska – pozwalali sobie na takie zachowanie. Powiedział to już parę miesięcy temu, przy stole Króla Eliasa, gdy wokół krążyły nieprzyjemne plotki. Znajdowali się teraz na otwartej równinie, pobliskie wzgórza nie dawały im żadnego schronienia. W takim miejscu niełatwo zbyć uśmiechem gawędy podróżnych z Hayholt albo Elvritshalli czy też zignorować opowieści o duchach, które zwykle mają uprzyjemnić spędzenie nudnego wieczoru. Dlatego jego ludzie śpiewali, a ich głosy brzmiały obco, lecz bardzo wymownie w tej dziczy.

„Pominąwszy już opowieści o duchach – pomyślał Isgrimnur – zaatakowano nas dzisiaj, a ja nie mam najmniejszego pojęcia dlaczego. Czekali na nas. Czekali! Na dobrego Usiresa, cóż to może znaczyć?”

Może bandyci czekali po prostu na kolejną grupę podróżnych, która miała się zatrzymać w opactwie – ale dlaczego? Gdyby zależało im tylko na rabowaniu, czemu nie splądrowali samego klasztoru. Znaleźliby przynajmniej jakieś cenne relikwie. I dlaczego mieliby czekać na przypadkowych podróżnych w klasztorze, gdzie z pewnością byłoby zbyt wielu świadków ich przestępstw.

„Prawdę mówiąc, nic nam po tych świadkach, a niech to diabli, żaden nie został. Może jeden, jeśli ten chłopak przyzna się, że coś widział”.

To nie miało sensu. Zaczaili się, żeby napaść na grupę podróżnych, którzy mogli być żołnierzami Króla, a którzy w rzeczywistości okazali się uzbrojonymi i zaprawionymi w boju wojownikami z Północy.

Należało raczej przyjąć, że on i jego ludzie byli celem ataku. Dlaczego? A przede wszystkim – kto ich napadł? Pierwszym podejrzanym był wróg Isgrimnura Skali z Kaldskryke, lecz żaden z napastników nie został rozpoznany jako członek klanu Skalego. A poza tym Skali dawno temu wrócił do Kaldskryke i skąd by wiedział, że Isgrimnur, zniecierpliwiony bezczynnością i zatroskany o swe księstwo, zdecydował się wreszcie sprzeciwić Eliasowi i po sprzeczce wymusić na nim przyznane z niechęcią pozwolenie wyjazdu na Północ.

„Potrzebujemy cię tutaj, wuju” – mówił Elias. „Ale on wiedział, że przestałem już w to wierzyć. Myślę, że chciał mnie po prostu mieć na oku”.

A jednak Elias nie obstawał przy swoim tak bardzo, jak książę się spodziewał; ich sprzeczka wydawała się tylko formalnością, jakby Elias domyślał się, że musi dojść do takiej konfrontacji, i był przygotowany na udzielenie zgody.

Przytłoczony myślami, które nie dawały mu spokoju, Isgrimnur miał już wstać i udać się na spoczynek, kiedy nadszedł Frekke; palące się za plecami starego żołnierza ognisko sprawiło, że wyglądał, jak zgarbiony, chudy cień.

– Chwileczkę, wasza lordowska mość.

Isgrimnur powstrzymał uśmiech. Stary nicpoń musi być pijany. Stawał się taki oficjalny tylko wtedy, gdy miał w czubie.

– Frekke?

– Chodzi o chłopca, sir. Tego, którego przywiózł Einskaldir. Obudził się. Pomyślałem, że może wasza lordowska mość będzie chciał z nim

porozmawiać. – Zachwiał się lekko, lecz zaraz udał, że poprawia spodnie.

– Chyba tak zrobię. – Wiatr był teraz chłodniejszy. Isgrimnur szczelniej otulił się kaftanem i miał już odejść, lecz zatrzymał się. – Frekke?

– Wasza lordowska mość?

– Wrzuciłem do ognia jeszcze jeden cholerny kawałek niedokończonej rzeźby.

– Spodziewałem się tego, sir.

Kiedy Frekke odwracał się, by wrócić do dzbana z piwem, Isgrimnur był przekonany, że dostrzegł na jego ustach lekki uśmieszek.

Niech diabli porwą jego i jego drewna.

CHŁOPIEC SIEDZIAŁ I OBGRYZAŁ KOŚĆ. Einskaldir siedział obok na kamieniu i udawał, że nie zwraca na niego uwagi. Udawał tylko, gdyż Isgrimnur nigdy nie widział go wyzbytego czujności. Głęboko osadzone oczy pozostawały poza zasięgiem blasku ognia, lecz kiedy chłopiec spojrzał na strażnika, przestraszył się ich wyrazu niczym jeleń zaskoczony przy wodopoju.

Na widok księcia chłopiec przestał na chwilę żuć mięso i spojrzał na nadchodzącego. Nawet przy dość słabym świetle ogniska Isgrimnur dostrzegł, że twarz chłopca zmieniła się, jakby chłopiec odetchnął z ulgą. Isgrimnur poczuł zakłopotanie. Pomimo podejrzeń nieufnego Einskaldira spodziewał się zobaczyć wiejskiego chłopaka, przerażonego i ogłupiałego. Ten wprawdzie wyglądał na wieśniaka – sprawiał wrażenie brudnego, obdartego syna chłopa – lecz w jego oczach widać było błysk czujności, który kazał Isgrimnurowi zastanowić się, czy przypadkiem Einskaldir nie miał racji.

– No, chłopcze – odezwał się surowo w języku Westerling – powiedz mi, czego szukałeś w opactwie.

– Chyba poderżnę mu gardło – powiedział spokojnie Einskaldir w języku Rimmerspakk.

Isgrimnur zmarszczył brwi, zastanawiając się, czy tamten zwariował, ale zaraz się zorientował, że Einskaldir chciał tylko sprawdzić, czy chłopiec rozumie ich mowę; chłopiec nie odrywał wzroku od Isgrimnura.

„Jeśli zna nasz język, to musi być bardzo opanowany” – pomyślał Isgrimnur. Nie, nie wydawało się możliwe, by chłopak w jego wieku, schwytany i uwięziony w obozie pełnym uzbrojonych ludzi, zrozumiał groźbę i nie zareagował na nią.

– On nie rozumie – powiedział książę do swego żołnierza w ich języku. – Ale potrafi zachować zimną krew, co?

Einskaldir mruknął twierdząco i podrapał podbródek przez czarną brodę.

– No, chłopcze – kontynuował książę. – Pytałem cię. Odpowiedz! Co cię sprowadziło do opactwa?

Chłopiec spuścił oczy i położył kość na ziemi. Isgrimnur znowu jakby sobie coś przypominał, lecz nie potrafił powiedzieć, co to było.

– Ja... szukałem... szukałem nowych butów. – Chłopiec wskazał na swe czyste, całkiem jeszcze nowe buty. Po akcencie książę rozpoznał w nim Erkynlandczyka; było jeszcze coś... ale co?

– Widzę, że je znalazłeś. – Książę przykucnął, by znaleźć się na poziomie oczu chłopca. – Czy wiesz, że można by cię powiesić za kradzież rzeczy należących do niepochowanych osób?

Przestraszony chłopiec chwycił się za gardło.

„Ten gest nie mógł być udany” – pomyślał z zadowoleniem Isgrimnur.

– Przepraszam... panie. Nie chciałem zrobić nic złego. Byłem głodny, zmęczony i bardzo bolały mnie nogi od marszu...

– Skąd szedłeś? – Teraz już wiedział. Był zbyt rozgarnięty jak na prostego wieśniaka. Mógł być pomocnikiem kapłana albo synem sprzedawcy czy kimś takim. Uciekł pewnie.

Przez moment chłopiec patrzył prosto w oczy Isgrimnura. Książę ponownie odniósł wrażenie, że chłopiec zastanawia się, co powiedzieć. Może uciekł z seminarium albo z klasztoru? Co on ukrywa?

– Ja... uciekłem od mojego pana – odezwał się wreszcie chłopiec. – Moi rodzice oddali mnie na praktykę do kupca, ale on mnie bił.

– Jakiego kupca? Gdzie? Mów szybko!

– Mo... Malachiasa! W Erchesterze!

„To brzmi rozsądnie – pomyślał książę. – Gdyby nie dwa fakty”.

– Co więc tutaj robisz? Skąd wziąłeś się w klasztorze świętego Hoderunda – spytał szybko. – I kto to jest Bennah?

– Bennah?

Einskaldir, który przysłuchiwał się rozmowie z przymkniętym oczami, pochylił się do przodu.

– On wie, książę – powiedział w języku Rimmerspakk. – Jestem pewien, że słyszałem, jak mówił Bennah albo Binnock.

– No to może Binnock? – Isgrimnur położył ogromną dłoń na ramieniu chłopca i zaraz pożałował tego, widząc, że tamten zamrugał przestraszony.

– Binnock? Ach, Binnock to mój pies, panie. W rzeczywistości należał do mojego pana, ale uciekł ze mną. – Chłopiec uśmiechnął się niewyraźnie, lecz zaraz się opanował. Pomimo swej nieufności stary książę poczuł do schwytanego sympatię.

– Idę do Naglimundu, panie – chłopiec mówił dalej. – Słyszałem, że podróżni tacy jak ja mogą zatrzymać się na noc w opactwie. Kiedy zobaczyłem... ciała tamtych zabitych, przestraszyłem się. Ale potrzebowałem butów, naprawdę. Mnisi byli dobrymi Aedonitami, panie, nie mieliby chyba nic przeciwko temu, prawda?

– Do Naglimundu? – Książę zmrużył oczy i wyczuł, że Einskaldir napiął się jeszcze bardziej, jeśli w ogóle było to możliwe. – Dlaczego do Naglimundu, a nie do Stanshire czy Hasu Vale?

– Mam tam przyjaciela. – Głos Sludiga wzniósł się ponad pijacki chór pozostałych. Chłopiec wskazał w stronę ogniska. – On jest harfiarzem. Powiedział mi, że gdybym uciekł od... Malachiasa, mogę przyjść do niego, a on mi pomoże.

– Harfiarz? W Naglimundzie? – Isgrimnur wpatrywał się w chłopca, lecz on patrzył na niego niewinnie. Książę poczuł nagle niechęć do tego, co robi. „Patrzcie na mnie! Przesłuchuję chłopaka od kupca, jakby on sam zastawił na nas pułapkę w klasztorze! Co za okropny dzień!”

Einskaldir nie dawał za wygraną. Pochylił się do ucha chłopca i zapytał dobitnie:

– Jak nazywa się harfiarz z Naglimundu?

Chłopiec odwrócił się nagle bardziej przestraszony bliskością Einskaldira niż jego pytaniem, gdyż po chwili odpowiedział wesoło:

– Sangfugol.

– Na Sutki Frayj! – zaklął Isgrimnur i podniósł się ciężko. – Znam go. Wystarczy, chłopcze. Wierzę ci. – Einskaldir obrócił się na skale, na której siedział, i patrzył teraz na śmiejących się i kłócących mężczyzn. – Możesz z nami zostać, jeśli chcesz – powiedział książę. – Będziemy przejeżdżali przez Naglimund, a dzięki tym sukinsynom koń Hove’a pozostał bez jeźdźca. Taki młokos jak ty nie powinien sam podróżować w tym kraju. To

prawie samobójstwo. – Masz. – Podszedł do jednego z koni i zdjął z niego koc, który rzucił chłopcu. – Znajdź sobie jakieś miejsce do spania, tylko nie za daleko. Łatwiej będzie strażnikowi nas pilnować. – Jeszcze raz spojrzał na potarganą czuprynę i jasne oczy chłopca. – Einskaldir nakarmił cię. Jeszcze czegoś ci trzeba?

Chłopiec zamrugał. „Gdzie ja go widziałem? Chyba w mieście”.

– Nie – odpowiedział. – Zastanawiałem się tylko, czy Binnock nie zgubi się beze mnie.

– Wierz mi, chłopcze, jeśli nie wróci do ciebie, znajdzie sobie innego pana.

Einskaldir odszedł w cień, a za nim Isgrimnur. Simon zawinął się w koc i ułożył u stóp skały.

„JUŻ DAWNO NIE OGLĄDAŁEM GWIAZD – pomyślał Simon, wysuwając głowę z koca. Jasno świecące gwiazdy trwały niczym nieruchome świetliki. – Zupełnie inaczej patrzy się na nie spomiędzy drzew; tutaj, na otwartej przestrzeni, czuję się jak na stole”.

Przypomniał mu się Koc Seddy i zaraz pomyślał o Binabiku.

„Mam nadzieję, że jest bezpieczny; chociaż to on zostawił mnie samego”.

Na szczęście schwytał go książę Isgrimnur, mimo to budził się w środku nocy śmiertelnie przerażony, widząc wokół siebie brodatych żołnierzy. W rzeczywistości nie winił Binabika za to, że go opuścił; lud Binabika i Rimmersmeni nie pałali do siebie sympatią. Jednak przykro było stracić w ten sposób przyjaciela. Simon pomyślał, że będzie musiał się usamodzielnić. Nauczył się polegać na trollu, który zawsze wiedział, co jest słuszne i co należy zrobić, tak jak Doktor Morgenes. Teraz będzie musiał

postępować inaczej: należało polegać na sobie, mieć swoje zdanie i robić to, co się uzna za stosowne.

Nie chciał powiedzieć Isgrimnurowi, dokąd idzie, ale książę był twardy; wystarczyła chwila nieuwagi, by zostać przyłapanym na kłamstwie. „Do tego jeszcze ten czarny, który siedział przy mnie; wyglądał na takiego, co gotów byłby mnie zabić jak szczeniaka, gdyby tylko zechciał”. Tak więc powiedział księciu tyle, ile było konieczne, i to go uratowało.

Simon zastanawiał się, co robić dalej. Czy powinien zostać z Rimmersmenami? Byłoby nierozsądne ich opuścić, lecz z drugiej strony... Simon nie wiedział, po czyjej stronie jest Isgrimnur. Wprawdzie jechał do Naglimundu, ale może po to, by aresztować Josuę? Powszechnie było wiadomo, że książę zachowywał lojalność w stosunku do Króla Johna; służba dla Króla była dla niego największą świętością. Jakie więc stanowisko zajmował wobec Eliasa? Simon postanowił nie zdradzać roli, jaką odegrał w ucieczce Josuy z Hayholt, lecz sprawy czasami wymykały się spod kontroli. Umierał z ciekawości, tak chciał się dowiedzieć, co się działo w zamku po założeniu pułapki przez Morgenesa. Czy Pryrates przeżył? Co z Inchem? Jak Elias wyjaśnił ludziom wypadki? Niestety, takie pytania, bez względu na to, jak zręcznie zadane, mogłyby stać się przyczyną jego kłopotów.

Był zbyt podniecony, by zasnąć. Kiedy patrzył na rozrzucone po niebie gwiazdy, przypomniały mu się kości, którymi rano rzucał Binabik. Wiatr musnął jego twarz i nagle gwiazdy zamieniły się w kości – leżały rzucone przypadkowo na ciemnym polu nieba. Simon poczuł się samotny, był wśród obcych pod niekończącym się niebem. Tęsknił za swym łóżkiem w pomieszczeniach dla służby, za czasami, kiedy nic się nie działo. Wspomnienia te były równie bolesne jak słuchanie melodii Binabika, gdy

grał na flecie; ten ból był jedyną pewną rzeczą w tym obcym, nieznanym świecie.

Zdrzemnął się, lecz wkrótce zbudził go jakiś hałas. Ocknął się z bijącym sercem i zobaczył, że gwiazdy wciąż świecą w ciemności nocy. Zamarł z przerażenia, kiedy pojawiła się nad nim ciemna, niezwykle wysoka postać. A co się stało z księżycem?

Chwilę później zorientował się, że to tylko strażnik, który stanął na chwilę odwrócony plecami do Simona. Ramiona miał owinięte kocem, z którego fałd wystawała odkryta głowa. Strażnik poszedł dalej. Za pas zatknął groźnie wyglądający, ostry topór. Trzymał też w dłoni dłuższą od niego włócznię; jej koniec wlókł się po ziemi.

Simon wtulił się głębiej w koc, kryjąc przed zimnym wiatrem, który hulał po równinie. Niebo nie było już tak czyste i pełne gwiazd. Płynęły po nim od północy podobne do palców postrzępione chmury. Zdążyły już przykryć najniżej położone gwiazdy, jakby ktoś zasypał piaskiem rozżarzone węgle.

„Może dzisiejszej nocy Sedda schwyta swego męża” – pomyślał Simon, zasypiając.

PONOWNIE OBUDZIŁ SIĘ, KIEDY POCZUŁ, że twarz ma mokrą. Otworzył oczy, z trudem łapiąc oddech, i stwierdził, że niebo jest całkowicie ciemne, jakby ktoś przykrył je wiekiem. Padało, a chmury wisiały tuż nad jego głową. Parsknął, otarł twarz i obrócił się na bok, naciągając koc na głowę. Zobaczył znowu strażnika, który osłaniał twarz dłonią i wpatrywał się w deszcz.

Simon zamykał już oczy, gdy żołnierz stęknął dziwnie i opuścił głowę. W jego postawie było coś zagadkowego: chociaż stał mocno na nogach, wydawało się, że się z czymś zmaga. Chłopiec otworzył oczy. Deszcz lał

się strumieniami, a w oddali zagrzmiało. Simon wytężał wzrok, by dojrzeć strażnika. Mężczyzna wciąż stał w tym samym miejscu, lecz coś poruszało się wokół jego stóp, coś ruchliwego, co odcinało się od ogarniającej wszystko ciemności. Simon usiadł; deszcz dudnił po ziemi.

Nagle błyskawica rozświetliła niebo i otaczające obóz skały wyłoniły się z ciemności niczym dekoracja sztuki Usiresa. Simon przez chwilę widział cały obóz bardzo wyraźnie: dymiące, dogasające ognisko, skulone postacie śpiących Rimmersmenów i wreszcie przerażoną twarz strażnika.

Raz jeszcze zagrzmiało i błysnęło. Coś kotłowało się wokół nóg mężczyzny, rozbryzgując błoto. Simon zobaczył z przerażeniem, że strażnik opada na kolana. Zagrzmiało i błysnęło trzykrotnie. Ziemia wokół żołnierza wciąż jakby się gotowała, lecz teraz widać było wszędzie ręce, długie, chude ramiona, które lśniąc, pełzały w górę ciała klęczącego i ciągnęły go w dół. W świetle błyskawicy Simon dostrzegł mnóstwo ciemnych postaci, które podnosiły się z ziemi; były chude, kudłate, obdarte, patrzyły białymi oczami i wymachiwały ramionami. Kiedy grzmot ucichł, Simon krzyknął, krztusząc się wodą, a potem jeszcze raz.

To było gorsze od piekła. Podskakujące, wijące się postacie zaatakowały pozostałych Rimmersmenów, obudzonych krzykiem chłopca. Wynurzały się z ziemi niczym szczury. W całym obozie rozlegały się cienkie, kwilące piski, które przywodziły na myśl ciemne tunele i ich zdradliwe niebezpieczeństwo.

Jeden z żołnierzy zerwał się na nogi i natychmiast otoczyły go jakieś nieznane istoty. Były mniejsze od Binabika, lecz niesłychanie liczne, tak że zdołały powalić mężczyznę uzbrojonego w miecz. Simonowi wydawało się, że w dłoniach, które wznosiły się i opadały, trzymają coś ostrego.

– *Vaer! Vaer Bukken!* – zawołał jeden z Rimmersmenów z przeciwległego końca obozu. Wszyscy byli już na nogach i w świetle

błyskawic widać było lśniące miecze i topory. Simon kopnięciem zrzucił z siebie koc i zerwał się, by szukać jakiejś broni. Wokół mrowiło się od istot, które biegały na swych cienkich, owadzich nogach i skrzeczały piskliwie, kiedy dosięgały je ciosy żołnierzy. Przerażający był fakt, że ich okrzyki przypominały nieomal zrozumiały język.

Simon przykucnął za skałą, która dawała mu tymczasowe schronienie, i rozglądał się za czymś do obrony. Ktoś ruszył w jego stronę i upadł zaledwie o krok od niego. Był to jeden z żołnierzy – połowa jego twarzy została strasznie zmasakrowana. Simon skoczył do niego, by wyrwać topór z kurczowo zaciśniętej dłoni. Mężczyzna żył jeszcze i zacharczał, kiedy Simon pociągnął broń. Chwilę później chłopiec poczuł, jak koścista dłoń zaciska się na jego kolanie. Odwrócił się i zobaczył wpatrzone w niego białe oczy i twarz podobną do męskiej. Zamachnął się najmocniej, jak potrafił, i poczuł chrupnięcie, jakby ktoś rozgniótł chrząszcza. Uścisk zelżał, a Simon odskoczył, z trudem łapiąc oddech.

Migające światło błyskawic utrudniało zorientowanie się w sytuacji. Tu i tam widać było kołyszące się postacie Rimmersmenów, lecz skaczące i skrzeczące stwory znacznie przewyższały ich swą liczbą. Simon pomyślał, że najlepszym miejscem...

Nagle został powalony na ziemię i poczuł, że czyjaś łapa zaciska się na jego szyi. Upadł twarzą w błoto, tak że poczuł je w ustach, lecz zaraz uniósł się, czując ciężar napastnika na plecach. Wyszczerbione ostrze przeleciało obok jego oczu i utkwiło w ziemi. Ukląkł, lecz inna ręka zakryła mu oczy. Cuchnęła błotem i zgniłą wodą, a jej palce wiły się jak robaki.

„Gdzie jest topór? Upuściłem topór!”

Stanął z trudem na śliskiej ziemi i spróbował oderwać palce zaciskające się na jego szyi. Zachwiał się i nieomal upadł ponownie; nie potrafił pozbyć się wiszącej mu na plecach atakującej istoty. Koścista dłoń zaciskała się

coraz mocniej i Simon zaczynał tracić oddech. Napastnik mocno wbijał kolana w żebra chłopca, któremu wydawało się, że słyszy jego triumfujące skrzeczenie. Uszedł parę kroków i runął na kolana; coraz słabiej słyszał zgiełk walki. Huczało mu w uszach i tracił siły niczym przebity balon powietrze.

„Umieram” – zdołał pomyśleć. Widział jedynie morze czerwonego światła.

Nagle miażdżący mu gardło uścisk zelżał. Simon upadł na twarz i leżał, dysząc ciężko.

Spojrzał w górę i na tle oświetlonego błyskawicą nieba zobaczył trolla na wilku.

– Binabik!

Simon z trudem łapał powietrze. Spróbował wstać, lecz udało mu się zaledwie podeprzeć na łokciach. Po chwili troll znalazł się u jego boku. O krok dalej leżała istota, która go zaatakowała; zwinięta, podobna była do spalonego pająka, jej martwe oczy patrzyły w niebo.

– Powiedz coś! – syknął Binabik. – Musimy uciekać! Szybko!

Pomógł Simonowi usiąść, lecz chłopiec odtrącił jego rękę słabym gestem.

– Musimy... musimy... – Drżącą dłonią wskazał na walczących wokół ogniska.

– Nie bądź śmieszny! – warknął Binabik. – Niech Rimmersmeni troszczą się o siebie. Moim obowiązkiem jest doprowadzić cię w bezpieczne miejsce. Chodźmy już!

– Nie – upierał się Simon. Binabik stał ze swym wydrążonym kijem w dłoni; teraz Simon wiedział już, co powstrzymało napastnika. – Mu...musimy im... pomóc.

– Dadzą sobie radę – odparł ponuro Binabik. Qantaqa zbliżyła się do swego pana i teraz obwąchiwała starannie ranę Simona. – Ja mam opiekować się tobą.

– Co masz... – zaczął Simon.

Qantaqa wydała ostrzegawczy pomruk. Binabik spojrzał przed siebie.

– Na Córy Gór! – jęknął.

Simon spojrzał w tym samym kierunku.

Z kotłowaniny walczących oderwała się ciemniejsza bryła, która szybko zbliżała się w ich stronę. Trudno było powiedzieć, ilu osobników znajdowało się w tej plątaninie ramion i oczu.

– *Nihut,* Qantaqa! – krzyknął Binabik.

Wilczyca skoczyła w stronę nadbiegających stworzeń. Kiedy zaatakowała, rozległy się pełne przerażenia piski.

– Simonie, nie możemy tracić więcej czasu – rzucił troll. Po równinie przetoczył się kolejny huk. Binabik wyciągnął zza pasa nóż i pomógł chłopcu wstać. – Ludzie księcia dadzą sobie radę, a ja nie mogę pozwolić, abyś został zabity u kresu podróży.

Wilczyca okazała się istną maszyną zadającą śmierć. Jej szczęki zaciskały się, potrząsała głową i gryzła raz po raz, a ciemne ciała istot wylatywały w powietrze na wszystkie strony i opadały, tworząc stosy splątanych ciał. Nadbiegły kolejne stwory i wilczyca ponowiła atak, zagłuszając ich piski swym warczeniem.

– Ale... ale... – Simon próbował się opierać, kiedy Binabik ruszył w stronę Qantaqi. – Obiecałem, że będę cię bronił – powiedział troll, ciągnąc za sobą chłopca. – Takie było życzenie Doktora Morgenesa.

– Doktora? Ty znasz Doktora Morgenesa?

Simon stał z otwartymi ustami, gdy tymczasem Binabik zagwizdał dwukrotnie. Qantaqa jeszcze raz potrząsnęła głową, odrzucając dwie istoty,

i przybiegła do nich.

– A teraz biegnij, głupcze! – krzyknął Binabik. Pobiegli wszyscy: najpierw Qantaqa – z pyskiem czarnym od krwi pędziła susami niczym jeleń – potem Binabik. Na końcu, potykając się i ślizgając, biegł Simon. Burza wciąż trwała, a jej grzmoty były jak pytania pozostające bez odpowiedzi.

22. Wiatr z Północy

NIE, NICZEGO NIE CHCĘ! – Guthwulf, hrabia Utanyeat, splunął sokiem cytryla na kamienną podłogę w kierunku umykającego giermka. Patrząc, jak szybko się oddala, Guthwulf pomyślał, że źle zrobił, nie dlatego, że było mu żal chłopca, lecz stwierdził, że może jednak chciałby czegoś. Od godziny czekał przed Salą Tronową i zaschło mu już w gardle, a sam Aedon wiedział tylko, ile mu jeszcze przyjdzie czekać.

Splunął ponownie. Ostry korzeń cytryla szczypał w język i usta. Guthwulf zaklął, wycierając odrobinę śliny z brody. W przeciwieństwie do wielu swych poddanych Guthwulf nie przywykł do żucia gorzkiego, południowego korzenia, lecz w czasie tej dziwnej, wilgotnej wiosny – kiedy musiał siedzieć w zamku w oczekiwaniu na królewskie rozkazy – doszedł do wniosku, że każde urozmaicenie jest dobre, nawet takie, które przynosi jedynie pieczenie podniebienia.

Do tego jeszcze zamkowe korytarze wydawały się – pewnie z powodu deszczowej pogody – pełne pleśni i... nie... „zepsucie” byłoby słowem zbyt melodramatycznym. W każdym razie mocny, aromatyczny cytryl skutkował.

Guthwulf wstał właśnie ze stołka, by podjąć niecierpliwy marsz wokół pokoju wypełniający większość czasu oczekiwania, kiedy drzwi Sali Tronowej zaskrzypiały i uchyliły się. W szczelinie ukazała się łysa głowa

Pryratesa; kapłan spojrzał na niego lśniącymi, podobnymi do jaszczurczych oczami.

– Ach, nasz dobry Utanyeat! – Pryrates wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Jak długo kazaliśmy ci czekać! Król chce cię zobaczyć. – Duchowny uchylił drzwi trochę szerzej, ukazując swą szkarłatną szatę i kawałek wnętrza sali. – Proszę – powiedział.

Żeby wejść, Guthwulf musiał przejść tuż obok Pryratesa, wręcz wciągając brzuch, by go nie dotknąć. Dlaczego on stoi tak blisko? Czy chce wprawić Guthwulfa w zakłopotanie – królewski namiestnik i królewski doradca nieczęsto mieli ze sobą do czynienia – czy też nie chce po prostu otwierać szerzej drzwi? Tej wiosny w zamku rzeczywiście było zimno i jeśli ktoś zasługiwał tutaj na ciepło, to z pewnością był to Elias. Może Pryrates starał się tylko zatrzymać ciepło w przestronnej Sali Tronowej.

Jeśli taki był jego zamiar, to zupełnie mu się to nie udało. Gdy tylko Guthwulf przestąpił próg sali, natychmiast ogarnął go chłód i poczuł na ramionach gęsią skórkę. Spojrzał ponad tronem i zobaczył, że kilka górnych okien jest otwartych i zablokowanych kijami. Zimne powietrze, które przez nie wpadało, poruszało płomienie świec w kagankach.

– Guthwulfie! – zawołał Elias, unosząc się nieco z tronu zrobionego z pożółkłej kości. Potężna czaszka spoglądała znad jego ramienia. – Wstyd mi, że kazałem ci czekać. Chodź tutaj!

Guthwulf szedł po kamiennej podłodze, starając się opanować drżenie.

– Wasza Królewska Mość, wiem, jak jesteś zajęty. Mogę poczekać.

Elias usiadł ponownie na tronie, a hrabia Utanyeat przyklęknął na jedno kolano. Król ubrany był w czarną koszulę oblamowaną zieloną i srebrną nicią oraz w czarne spodnie i buty. Na jego bladym czole spoczywała żelazna korona Fingila, a w pochwie u boku miał miecz z dziwną rękojeścią w kształcie krzyża. Nie rozstawał się z nim od tygodni, lecz Guthwulf nie

miał pojęcia, skąd u króla ten miecz. Nigdy wcześniej o nim nie wspominał. Widok dziwnego, wywołującego niepokój oręża powstrzymywał go przed zadaniem pytania.

– Możesz czekać – powtórzył drwiąco Elias. – No, siadaj. – Król wskazał ławkę stojącą tuż za klęczącym hrabią. – Wilku, odkąd to nie przeszkadza ci czekanie. Nie myśl sobie, że kiedy już zostałem Królem, jestem ślepy i głupi.

– Wierzę, że wezwiesz mnie zawsze, gdy będziesz miał jakiś rozkaz dla królewskiego namiestnika.

Stosunki między Guthwulfem i jego starym przyjacielem Eliasem zmieniły się i hrabia nie był z tego zadowolony. Kiedyś Elias nie miał przed nim tajemnic, lecz teraz Guthwulf czuł, że dzieje się tu wiele rzeczy, które Król ukrywa. Tak wiele się zmieniło i hrabia wiedział, kto jest tego przyczyną. Spojrzał ponad królewskim ramieniem na Pryratesa, który przyglądał mu się uważnie. Kiedy ich oczy się spotkały, Pryrates uniósł częściowo pozbawione włosów brwi, jakby zadawał kpiące pytanie.

Elias potarł czoło.

– Wkrótce będziesz miał dużo pracy, obiecuję. Ach, moja głowa. Korona, przyjacielu, bywa ciężka. Czasem chciałbym ją zdjąć i pójść przed siebie, jak to kiedyś mieliśmy w zwyczaju. Pamiętasz nasze włóczęgi? – Król uśmiechnął się ponuro i zwrócił się do Pryratesa: – Głowa mnie boli. Przynieś mi, proszę, trochę wina.

– Natychmiast, mój panie. – Pryrates odszedł w drugi koniec sali.

– Gdzie są twoi paziowie, Wasza Królewska Mość? – spytał Guthwulf. Odniósł wrażenie, że Król jest bardzo zmęczony. Czarne bokobrody na jego nieogolonych policzkach odcinały się wyraźnie od bladej skóry. – I dlaczego, za pozwoleniem, zamykasz się, panie, w tej zimnej jaskini? Jest

tu zimniej niż u diabła w tyłku, a do tego czuć pleśnią. Pozwól mi rozpalić w kominku.

– Nie. – Elias machnął dłonią zakazująco. – Nie potrzeba mi tu więcej ciepła. Tak jest dobrze. Pryrates mówi, że to malaria. Cokolwiek by to było, chłodne powietrze mi służy. Jest tu wystarczająco przewiewnie, by pozbyć się złego powietrza, czy też złego nastroju.

Pryrates wrócił z pucharem wina, który Elias wychylił duszkiem, po czym wytarł usta rękawem.

– Tak, bardzo przewiewnie, Wasza Królewska Mość – uśmiechnął się kwaśno Guthwulf. – No cóż, mój Królu, ty... i Pryrates wiecie najlepiej i na nic wam rady żołnierza. Czym więc mogę ci służyć, Królu?

– A, mam dla ciebie zadanie, które może ci się nie spodobać. Ale najpierw powiedz mi, czy hrabia Fengbald powrócił?

Guthwulf skinął głową.

– Rozmawiałem z nim dziś rano.

– Posłałem już po niego – Elias nadstawił swój puchar, a Pryrates przyniósł dzban i nalał mu wina – lecz skoro już tu jesteś, powiedz mi, czy przywozi dobre wieści.

– Obawiam się, że nie, panie. Szpieg, którego szukasz, uczeń Morgenesa, pozostaje wciąż na wolności.

– A niech to! – Elias otarł skroń. – Przecież dałem Fengbaldowi psy i łowcę!

– Tak, Wasza Królewska Mość, one wciąż tropią, ale żeby oddać Fengbaldowi sprawiedliwość, jego zadanie jest prawie niemożliwe do wykonania.

Elias wpatrywał się w niego zmrużonymi oczami i Guthwulf odniósł wrażenie, że patrzy na niego ktoś obcy. Dopiero uderzenie dzbana o puchar rozładowało napięcie i Elias powiedział:

– Tak, pewnie masz rację. Muszę pamiętać, żeby nie wyładowywać swej złości na Fengbaldzie. Obaj jesteśmy rozczarowani.

Guthwulf skinął głową, nie odrywając wzroku od Króla.

– Tak, panie, słyszałem o chorobie twej córki. Jak czuje się Miriamele?

Król spojrzał na Pryratesa, który nalał wino i cofnął się.

– To miło, że pytasz, Wilku. Nie sądzimy, by groziło jej coś poważnego, lecz Pryrates uważa, że morskie powietrze Meremundu będzie najlepszym lekarstwem na jej dolegliwości. Z przykrością musimy odłożyć ślub. – Król wpatrywał się we wnętrze kielicha, jakby to była studnia, do której wpadło coś cennego. Wiatr świstał w otwartych oknach.

Zapadło milczenie i wreszcie hrabia Utanyeat przemówił ponownie:

– Wspominałeś, Królu, o zadaniu dla mnie.

Elias podniósł wzrok.

– Ach, tak. Chciałbym, żebyś udał się do Hernysadharc. Ten górski suseł Lluth odmówił zapłacenia podatków, które zmuszony byłem zwiększyć ze względu na przeklętą suszę. Wysłał Eolaira, by mnie udobruchał pięknymi słówkami, lecz dosyć już gadania.

– Dosyć? – Guthwulf uniósł brwi.

– Dosyć – warknął Elias. – Chcę, żebyś wziął paru rycerzy – nie więcej, gdyż wtedy przyszłoby mu do głowy stawiać opór – i udał się do Taig, by odwiedzić starego skąpca w jego jaskini. Powiedz mu, że nie płacąc tego, co mi się należy, wymierza mi policzek czy też pluje na Smoczy Tron. Działaj rozsądnie i nie mów przy jego rycerzach niczego, co ośmieszyłoby go i skłoniło do stawienia oporu, lecz, z drugiej strony, niech będzie jasne, że dalsza odmowa może spowodować pożar jego domu. Masz go nastraszyć, Guthwulfie.

– Zrobię to, panie.

Elias uśmiechnął się niewyraźnie.

– Dobrze. A jak już tam będziesz, miej oczy i uszy otwarte; może dowiesz się czegoś o tym, gdzie jest Josua. Nie otrzymałem żadnych wieści z Naglimundu, choć węszą tam moi szpiedzy. Niewykluczone, że mój zdradziecki brat udał się do Llutha. Może nawet on sam podburza Hernystirczyków!

– Będę działał i obserwował, mój Królu.

– Królu Eliasie, czy wolno mi coś powiedzieć? – Pryrates uniósł dłoń.

– Mów.

– Sądzę, że hrabia Utanyeat mógłby także rozglądać się za chłopcem, szpiegiem Morgenesa. Tym samym pomógłby Fengbaldowi. Musimy mieć tego chłopaka, Wasza Królewska Mość. Co z tego, że zabiliśmy węża, jeśli jego młode są na wolności?

– Jeśli znajdę tę małą żmiję – uśmiechnął się Guthwulf – z przyjemnością zgniotę ją obcasem.

– Nie! – krzyknął Elias, zaskakując Guthwulfa swoją gwałtownością. – Ten szpieg i jego towarzysze muszą żyć i należy ich bezpiecznie doprowadzić do Hayholt. Musimy ich przesłuchać. – Elias, jakby zawstydzony swym wybuchem, spojrzał łagodnie na swego starego przyjaciela. – Rozumiesz mnie chyba?

– Oczywiście, Wasza Królewska Mość – odpowiedział szybko Guthwulf.

– Wystarczy, że będziemy mieli ich żywych – wtrącił spokojnie Pryrates. – Wtedy dowiemy się wszystkiego.

– Dość! – Elias rozparł się wygodnie na tronie. Guthwulf ze zdziwieniem zobaczył krople potu na jego czole, gdy tymczasem on sam drżał z zimna. – Idź już, przyjacielu. Mam nadzieję, że przywieziesz mi przysięgę wierności Llutha, bo jeśli nie, poślę cię po jego głowę.

– Bóg z tobą, Wasza Królewska Mość. – Guthwulf klęknął na kolano, potem wstał i wycofał się tyłem. Wiatr poruszał sztandarami nad jego głową; migocące pochodnie sprawiały, że zwierzęta z herbów tańczyły dziwny taniec.

GUTHWULF ZOBACZYŁ FENGBALDA w przedsionku Sali Tronowej. Hrabia Falshire zdążył się już odświeżyć po ich porannym spotkaniu i teraz miał na sobie kaftan z czerwonego welwetu; na jego piersi widniał srebrny rodowy orzeł z fantastycznie wygiętymi skrzydłami.

– A, Guthwulf. Widziałeś się z nim? – zapytał.

Hrabia Utanyeat skinął głową.

– Tak. Ty także będziesz miał tę sposobność. A niech to licho, zdaje się, że to jemu przydałoby się trochę morskiego powietrza, a nie Miriamele. Miałem wrażenie... nie wiem, ale on wydaje mi się chory. A w Sali Tronowej jest piekielnie zimno.

– A więc to prawda? – spytał ponuro Fengbald. – Chodzi mi o księżniczkę. Miałem nadzieję, że zmieni zdanie.

– Wyjechała nad morze. Twój wielki dzień oddalił się na jakiś czas – zauważył z przekąsem Guthwulf. – Z pewnością znajdziesz coś do roboty, dopóki ona nie wróci.

– Nie w tym rzecz. – Hrabia Falshire wykrzywił usta, jakby zjadł coś kwaśnego. – Obawiam się, że on chce się wycofać z danej obietnicy. Podobno nikt nie wiedział o jej chorobie, dopóki nie wyjechała.

– Nie przejmuj się tak – powiedział Guthwulf. – Nie bądź babą. Elias potrzebuje potomka. Ciesz się, że okazałeś się lepszym kandydatem na zięcia ode mnie. – Guthwulf wyszczerzył zęby w szyderczym uśmiechu. – Ja pojechałbym po nią do Meremundu. – Zasalutował z wyrazem kpiny na

twarzy i odszedł, zostawiając Fengbalda przed wysokimi, dębowymi drzwiami Sali Tronowej.

JUŻ Z DRUGIEGO KOŃCA KORYTARZA Rachel rozpoznała, że nadchodzi hrabia Fengbald i że jest w złym nastroju. Świadczył o tym sposób, w jaki wymachiwał rękoma – niczym chłopiec, którego odesłano od stołu – oraz głośne, rozmyślne walenie obcasami o kamienną podłogę.

Trąciła łokieć Jael. Kiedy dziewczyna, pewna, że coś przeskrobała, podniosła swe krowie oczy, Rachel wskazała na zbliżającego się hrabiego Falshire.

– Lepiej zabierz to wiadro – powiedziała, wyjmując miotłę z ręki Jael. Kubeł pełen mydlanej wody stał na samym środku korytarza. – Pośpiesz się, głupia! – syknęła Rachel ostrzegawczo. Nie zdążyła dokończyć jeszcze, a już pożałowała swych słów.

Fengbald szedł, przeklinając, z wyrazem wściekłości na twarzy. Niezgrabna Jael zbytnio się pośpieszyła i kubeł wyśliznął się z jej mokrej dłoni. Upadł z hukiem, a część brudnej wody wylała się na podłogę. W tej samej chwili Fengbald wkroczył w środek błyskawicznie powiększającej się kałuży. Rachel patrzyła przerażona, jak zachwiał się na chwilę, rozłożył ramiona i przytrzymał wiszącego na ścianie gobelinu. To wystarczyło, by odzyskał równowagę, lecz gobelin zerwał się i osunął do brudnej kałuży.

Rachel dostrzegła czerwoną twarz hrabiego i prędko powiedziała do Jael:

– Wynoś się, ty niezdarna dziewucho! Szybko! – Jael spojrzała bezradnie na Fengbalda, odwróciła się i pobiegła, trzęsąc tłustym siedzeniem.

– Wracaj, kocmołuchu! – wrzasnął Fengbald z wściekłością. Długie, czarne włosy opadły mu na twarz. – Zapłacisz mi... zapłacisz mi... za to!

Nie odrywając oczu od Fengbalda, Rachel podniosła brzeg przemoczonego gobelinu. Nie można było powiesić go z powrotem; stała więc i patrzyła, jak woda ścieka na podłogę, gdy tymczasem hrabia nie przestawał pomstować.

– Zobacz! Spójrz na moje buty! Poderżnę gardło tej zawszonej suce! Hrabia spojrzał na Rachel. – Jak śmiałaś ją odesłać?

Rachel spuściła wzrok, co przyszło jej raczej z łatwością, gdyż hrabia Fengbald był od niej przynajmniej o stopę wyższy.

– Przepraszam, panie – powiedziała głosem dostatecznie przerażonym, by wyrażał odpowiedni szacunek. – To głupia dziewucha i zostanie za to ukarana, lecz ja jestem ochmistrzynią i mnie należy za to winić. Jeszcze raz bardzo przepraszam.

Fengbald popatrzył na nią przez chwilę i zmrużył oczy. W następnej chwili jego ręka, szybka jak strzała, uderzyła Rachel w twarz. Kobieta dotknęła czerwonej plamy na policzku, która rozprzestrzeniła się jak rozlana parę chwil wcześniej woda.

– A zatem przekaż to swemu tłustemu flejtuchowi – powiedział Fengbald i splunął. – I powiedz, że jeśli natknę się na nią raz jeszcze, złamię jej kark. – Ponownie spojrzał na ochmistrzynię i odszedł korytarzem, zostawiając na płytkach podłogi mokry ślad obcasów i czubków butów.

„MIAŁ PRAWO TO ZROBIĆ” – pomyślała Rachel później, kiedy siedziała na łóżku i przykładała do piekącego policzka mokry okład. Z sypialni służących dochodził płacz Jael. Rachel nie miała nawet serca na nią krzyczeć, gdyż widok puchnącego policzka ochmistrzyni wydawał się wystarczającą karą dla pulchnej, płaczliwej służącej.

„Słodki Rhiappie i Pelippo, wolałabym już dostać jeszcze raz w twarz, niż wysłuchiwać tych zawodzeń” – pomyślała.

Rachel położyła się na twardym sienniku – miała pod nim deskę ze względu na ból pleców – i naciągnęła na głowę koc, by nie słyszeć jęków Jael. Przykryta poczuła, jak ciepło własnego oddechu ogarnia jej twarz.

„Tak pewnie czuje się bielizna w koszu – pomyślała, lecz zaraz zganiła siebie za tak głupie myśli. – Starzejesz się, kobieto. Jesteś stara i niepotrzebna”.

Nagle poczuła łzy, które napłynęły jej do oczu – pierwsze od czasu, kiedy dowiedziała się o Simonie.

„Jestem taka zmęczona. Czasem wydaje mi się, że upadnę tam, gdzie stoję, upadnę jak złamana miotła u stóp tych młodych potworów, które panoszą się w zamku i traktują nas jak śmieci. Pewnie zmietliby mnie po prostu razem z odpadkami. Tak zmęczona... gdyby tylko...”

Powietrze pod kocem było duszne i ciepłe. Przestała płakać; łzy nic tu nie pomogą. Niech płaczą głupie, kapryśne młódki. Poczuła, że zapada w sen, jakby zanurzała się w ciepłą wodę.

We śnie Simon żył, nie zginął w straszliwym pożarze, który pochłonął życie Morgenesa i kilku próbujących ugasić go strażników. Zginął nawet hrabia Breyugar, przygnieciony płonącym dachem. Nie, Simon żył i był zdrów. Tyle tylko, że coś w nim się zmieniło, lecz Rachel nie potrafiła powiedzieć co; spojrzenie, czy może bardziej zacięty wyraz twarzy? Ale to nie miało znaczenia. Najważniejsze, że Simon żył i serce Rachel we śnie znowu zabiło mocniej. Widziała go martwego, *jej* chłopca, tak, jej. Czyż nie wychowywała go niczym matka, dopóki go nie zabrali? A on stał w miejscu, gdzie panowała niemal zupełna jasność, i patrzył w górę na ogromne, białe drzewo, które pięło się jak drabina do Tronu Boga. Patrzył z determinacją na drzewo, a Rachel nie mogła się powstrzymać, by nie

zauważyć, że jego gęste, rude włosy wymagają skrócenia; tak... zajmie się tym... chłopiec potrzebuje silnej ręki...

Kiedy się obudziła, odkryła koc i przerażona stwierdziła, że wciąż otacza ją ciemność – tym razem była to ciemność wieczoru. Znowu poczuła ciężar smutku i utraty, jakby dalej trzymała ociekający wodą gobelin. Usiadła na łóżku, a potem wstała; okład, suchy niczym jesienny liść, spadł na ziemię. Nie mogła przecież tak leżeć bezczynnie i beczeć bez końca. Czekało na nią mnóstwo pracy i nie dane jej było odpoczywać po tej stronie Niebios.

BĘBENEK DUDNIŁ ŁAGODNIE, a lutnista delikatnie trącił strunę, zanim zaśpiewał ostatnią zwrotkę.

...Czy przychodzisz śliczna pani
W kanderyjskim stroju, cała w jedwabiach?
Jeśli serce me chcesz zdobyć,
Za mną pójdź do Emmettyna domu!

Lutnista zagrał jeszcze parę dźwięków i zakończył pieśń. Następnie skłonił się przed księciem Leobardisem, który nagrodził go oklaskami.

– Dom Emettyna. – Książę zwrócił się do Eolaira, hrabiego Nad Mullach, który poszedł w ślady Leobardisa i zgodnie z etykietą wyrażał swój podziw oklaskami. W głębi duszy Hernystirczyk pomyślał, że słyszał już lepsze pieśni. Nie zachwycał się zbytnio miłosnymi balladami, których tak chętnie słuchano na nabbańskim dworze.

– Podoba mi się ta pieśń – uśmiechnął się książę. Jego długie, białe włosy i różowe policzki czyniły go podobnym do lubianego przez wszystkich stryjecznego wuja, który zwykle wypijał zbyt dużo piwa

w czasie aedonickich uczt, a potem próbował uczyć dzieci gwizdania. Jedynie obszerna, biała szata, oblamowana złotą i błękitną nicią, oraz złoty diadem na głowie ozdobiony zimorodkiem z masy perłowej wyróżniały go spośród pozostałych dworzan. – No, Eolairze, myślałem, że muzyka to chleb powszedni na dworze Taig. Czyż Lluth nie nazywa siebie największym patronem lutnistów w Osten Ard, a wasz Hernystir nie jest domem wielu muzyków? – Książę przechylił się przez poręcz swego błękitnego krzesła i poklepał Eolaira po ramieniu.

– Rzeczywiście, król Lluth ma na swym dworze wielu lutnistów – przytaknął Eolair. – Wybacz, książę, jeśli jestem zbyt roztargniony, nie ma w tym twojej winy. Wręcz przeciwnie, gościnność, jaką mi okazujesz, godna jest rozsławienia. Muszę jednak przyznać, że myślami wracam wciąż do spraw, o których wcześniej rozprawialiśmy.

Wyraz troski pojawił się w łagodnych, błękitnych oczach księcia.

– Drogi Eolairze, mówiłem ci, że przyjdzie czas i na to. Wiem, że trudno jest czekać, ale teraz jesteś tutaj.

Leobardis skinął na lutnistę, który klęczał cierpliwie na jednym kolanie. Muzyk wstał, skłonił się nisko i wyszedł. Jego fantastycznie zdobiony strój falował powiewnie, kiedy dołączał do grupy dworzan ubranych w równie ozdobne szaty. Damy miały na głowach egzotyczne kapelusze z rondami szerokimi niczym skrzydła morskich ptaków, inne z wysokimi, podobnymi do jasnych płetw ryby. Kolory dominujące w strojach dworzan i w całej sali tronowej były w tonacji pastelowej; błękit, beż, róż, biel i zieleń piany morskiej. Wszystko to sprawiało wrażenie, jakby pałac zbudowano z morskich kamieni; ocean wydawał się wszystko tutaj tonować, łagodzić.

Dworzanie stali pod południowo-zachodnią ścianą naprzeciw tronu księcia; za nimi znajdowały się wysokie, łukowate okna, przez które widać było nieustannie falujący, zielony ocean muskany promieniami słońca.

Ocean niezmiennie obmywał kamienisty przylądek, na którym postawiono książęcy pałac, przez co przypominał on tętniący życiem gobelin. Eolair często spoglądał na tańczące po powierzchni promienie albo na połacie nieruchomej, przeźroczystej jak jadeit wody i z trudem opanowywał pragnienie przepędzenia stojących w oknie dworzan, by bez przeszkód obserwować ocean.

– Pewnie masz rację, książę Leobardisie – odezwał się wreszcie. – Czasem trzeba zamilknąć, nawet jeśli temat jest ważny. Myślę, że obserwując ocean, wiele można się nauczyć. On nie musi zbyt ciężko pracować, by uzyskać, co chce; cierpliwie zmywa skały, plaże... a nawet góry.

Teraz Leobardis rozmawiał z większą ochotą.

– Tak, ocean nigdy się nie zmienia, prawda? A jednocześnie wciąż podlega zmianom.

– Prawda, mój panie. Nigdy się nie uspokaja, a czasem nawet burzy się sztormem.

Książę spojrzał na Hernystirczyka niepewny, czy miał on coś więcej na myśli, niż powiedział, gdy do sali wszedł jego syn, Benigaris; przechodząc obok witających go dworzan, lekko skinął im głową.

– Książę, mój ojcze; książę Eolairze – przywitał ich, kłaniając się każdemu.

Eolair uśmiechnął się i uścisnął dłoń Benigarisa.

– Cieszę się, że cię widzę – powiedział Hernystirczyk.

Benigaris zmężniał od ich ostatniego spotkania, lecz wtedy miał zaledwie siedemnaście czy osiemnaście lat. Minęło nieomal dwadzieścia lat i gość z zadowoleniem stwierdził, że choć był starszy o dobre osiem lat, to Benigaris przytył widocznie w pasie, a on nie. Książęcy syn był szeroki w barach, wysoki, miał ciemne, czujne oczy i gęste, czarne brwi.

Prezentował się całkiem okazale w ściągniętej pasem tunice i pikowanej kamizeli. W porównaniu ze swym łagodnym ojcem sprawiał wrażenie osoby pełnej energii.

– Tak, dawno się nie widzieliśmy – powiedział Benigaris. – Porozmawiamy wieczorem, przy kolacji. – Eolair odniósł wrażenie, że zaproszenie to nie zabrzmiało zbyt entuzjastycznie. – Przybył Sir Fluiren, by się z tobą widzieć – Benigaris zwrócił się do swego ojca. – Jest teraz z szambelanem.

– Ach, stary, dobry Fluiren! Co za ironia, Eolairze. Jeden z największych rycerzy, jacy kiedykolwiek pojawili się w Nabbanie.

– Jedynie twego brata, Camarisa, uznawano za większego – przerwał mu Eolair, który chętnie wspominał dawne, bardziej wojownicze czasy Nabbanu.

– Tak, mój drogi brat. – Leobardis uśmiechnął się ponuro. – I pomyśleć, że Fluiren przybywa do mnie jako wysłannik Eliasa!

– Rzeczywiście jest w tym pewna ironia – powiedział Eolair.

Benigaris wydął usta zniecierpliwiony.

– On czeka na ciebie. Myślę, że powinieneś go zaraz przyjąć; choćby po to, by okazać szacunek Królowi.

– No, no! – Leobardis zwrócił się uśmiechnięty do Eolaira. – Słyszysz, jak mi własny syn rozkazuje? – Kiedy książę ponownie zwrócił się do Benigarisa, Eolair pomyślał, że w jego spojrzeniu było coś więcej niż tylko kpina – gniew? A może troska? – Tak, powiedz memu staremu przyjacielowi, Fluirenowi, że zobaczę się z nim... niech pomyślę... tak, w sali narad. Eolairze, czy przyłączysz się do nas?

Benigaris wtrącił się natychmiast.

– Ojcze, nie uważam za słuszne zaproszenia do tego spotkania nawet tak zaufanego przyjaciela jak książę, gdyż Król z pewnością ma do

przekazania poufne wiadomości!

– A co za pożytek z robienia tajemnic przed Hernystirczykiem? – spytał książę. W jego głosie zabrzmiała złość.

– Wybacz, Leobardisie, i tak mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia. Przyjdę później i przywitam się z Fluirenem. – Eolair wstał i skłonił się.

Kiedy zatrzymał się na chwilę przy oknie, by jeszcze raz rzucić okiem na wspaniały widok wielkiej wody, usłyszał ściszone, lecz najwyraźniej podniesione głosy Leobardisa i jego syna.

„Fale wywołują kolejne fale, jak mówią Nabbańczycy – pomyślał Eolair. – Zdaje się, że Leobardis jest mniej opanowany, niż sądziłem. Pewnie dlatego nie chce rozmawiać ze mną szczerze o swych kłopotach z Królem. Na szczęście jest twardszy, niż wygląda”.

Usłyszał za sobą szepty dworzan i odwróciwszy się, stwierdził, że paru z nich patrzy na niego. Uśmiechnął się do nich i skłonił lekko. Kobiety zarumieniły się i zakryły usta obszernymi rękawami sukien; mężczyźni skinęli ponuro głowami i szybko odwrócili wzrok. Dobrze wiedział, co sobie teraz myślą: choć był starym przyjacielem księcia, traktowali go jako ciekawostkę, był dla nich jedynie prostakiem z Zachodu. Traktowaliby go tak samo, bez względu na to, w co by się ubrał i jak pięknie przemawiał. Eolair zatęsknił nagle za swym domem w Hernystirze. Za długo przebywał na obcych dworach.

W dole fale nieustannie nacierały na skały, jakby wciąż spodziewały się, że ich bezgraniczna cierpliwość zostanie nagrodzona i zamek runie wreszcie w ich wodne szpony.

RESZTĘ POPOŁUDNIA EOLAIR SPĘDZIŁ, wędrując po wysokich, wietrznych korytarzach i pięknie utrzymanych ogrodach Sancellan Mahistrevis. Teraz był to pałac książęcy i stolica Nabbanu, lecz kiedyś miejsce to było siedzibą

całego imperium Człowieka. Choć pałac nie był już tak ważnym ośrodkiem, zachowało się wiele z jego świetności.

Usytuowano go na skalistym Wzgórzu Sancellańskim, tak że jego zachodnia ściana znajdowała się od strony morza, które było żywiołem Nabbańczyków. Wszystkie szlacheckie domy miały w swych herbach ptaki wodne: obecna linia książęca Benidrivińczyków miała zimorodka, Prevańczycy rybołowa, a Ingadarińczycy albatrosa; nawet nad Hayholt w Erkynlandzie powiewał krótko sztandar z czaplą Sulisów.

Na wschód od pałacu, w dół półwyspu, ciągnęło się miasto Nabban; położone na wzgórzach, gęsto zabudowane, zatłoczone, przerzedzało się dopiero w miejscu, gdzie półwysep przechodził w otwartą przestrzeń łąk i gospodarstw Krainy Jezior. W miarę upływu czasu władcy Księstwa Nabbanu, które obejmowało półwysep i przyległe do niego wyspy, posiadali coraz mniejsze wpływy, aż wreszcie zwrócili się przeciwko sobie. Lecz niegdyś, nie tak dawno temu, płaszcz nabbańskich imperatorów zakrywał świat od bagnistych terenów krainy Wren aż po krańce pokrytego lodem Rimmersgardu. Wtedy pelikan walczył z rybołowem, a czapla z mewą i wiadomo było, że zdobycz warta jest każdego ryzyka.

Eolair przechadzał się po Komnacie Fontann, w której strumienie migocącej wody strzelały w górę i załamując się, tworzyły delikatną mgiełkę pod otwartą konstrukcją kamiennego dachu. Zastanawiał się, czy Nabbańczycy posiadają jeszcze odrobinę ducha walki, czy też pogodzili się z utratą swego autorytetu, a prowokacje Eliasa są przyczyną ich coraz szczelniejszego zamknięcia się w pięknej, delikatnej skorupie. Gdzie podziali się wielcy wojownicy, podobni do tych, którzy mieczami swymi żłobili nabbańskie imperium w surowym kamieniu Osten Ard – ludzie tacy, jak Tiyagaris czy Anitulles?

„Oczywiście – pomyślał – był przecież Camaris. Człowiek, który bardziej pragnął, by mu służono, niż gotów był sam służyć, i który mógł zawładnąć światem. Camaris był potężny”.

„A czy my, Hernystirczycy, jesteśmy partnerami do rozmowy? – zastanawiał się. – Czy na naszych zachodnich terenach pojawił się ktoś wielki od czasu Herna Wielkiego? Może Tethtain, który odebrał Sulisowi Hayholt? I któż jeszcze? Gdzie jest Komnata Fontann w Hernystirze? Gdzie są wielkie pałace, kościoły?”

„Choć z drugiej strony trudno jest porównywać”. – Spojrzał poza fontanny na katedralną wieżę Sancellan Aedonitis, pałac Lektora Matki Kościoła. – „My, Hernystirczycy, nie patrzymy na płynące wśród wzgórz strumienie i nie zastanawiamy się, jak przenieść je do naszych domów. My budujemy domy nad strumieniami. Nie mamy jakiegoś tam nieokreślonego boga, którego czcilibyśmy wieżami wyższymi od drzew lasu Circoille. My wiemy, że bogowie mieszkają w drzewach, w skałach i rzekach, które potrafią wznosić swe wody równie wysoko jak fontanny, kiedy płyną wartko z gór Grianspog”.

„My nigdy nie chcieliśmy rządzić światem”. – Uśmiechnął się na wspomnienie Taig w Hernysadharc, zamku zbudowanego nie z kamienia, lecz z drewna; dąb, z którego powstał, najbardziej oddawał ducha jego ludu. – „Doprawdy, jedyne, czego teraz pragniemy, to by zostawili nas w spokoju. Lecz Nabbańczycy zapomnieli chyba po tylu latach poddaństwa, że czasami trzeba sobie to prawo wywalczyć”.

Eolair z Nad Mullach wyszedł z Komnaty Fontann i natknął się na kilkunastu strażników, którzy wchodzili właśnie do środka.

– Cholerny dzikus – usłyszał słowa jednego z nich, który spoglądał na jego strój i ciemne włosy splecione w warkoczyk.

– Widzisz – odezwał się drugi – od czasu do czasu pastuch musi przypomnieć sobie, jak wygląda miasto.

KSIĄŻĘ, A JAK SIĘ CZUJE moja mała siostrzenica, Miriamele? – spytała księżna. Eolair otrzymał miejsce po jej lewej ręce u szczytu długiego stołu. Fluiren, jako ostatnio przybyły gość i szanowany obywatel Nabbanu, zasiadł na honorowym miejscu po prawej ręce księcia Leobardisa.

– Pani, wydawało mi się, że czuje się dobrze.

– Czy często ją widywałeś w czasie pobytu na dworze Wielkiego Króla? – Księżna Nessalanta pochyliła się ku niemu, unosząc delikatnie zarysowane brwi. Księżna była kobietą w starszym wieku, o surowej, lecz wielkiej urodzie. Jednakże Eolair nie potrafił powiedzieć, ile z tego zawdzięcza zabiegom fryzjerek, pokojówek i krawcowych. Nessalanta była tym typem kobiety, który zwykle zapierał dech w piersi Eolaira – a nie można było powiedzieć, by stronił od płci pięknej. Wprawdzie młodsza była od swego męża, lecz miała syna w kwiecie wieku. Ile z jej urody było wynikiem zabiegów, a ile częścią naturalnej piękności? Ale czy to miało jakieś znaczenie? Nessalanta była potężną kobietą i jedynie Leobardis miał większe wpływy na sprawy państwa.

– Księżno, nie mogę powiedzieć, bym często przebywał w towarzystwie księżniczki, lecz mieliśmy kilkakrotnie okazję porozmawiać przy kolacji. Była urocza, choć wydaje mi się, że tęskniła bardzo za Meremundem.

– Hm. – Księżna włożyła do ust kawałek chleba, po czym oblizała delikatnie palce. – Dobrze, że o tym wspomniałeś. Otrzymałam właśnie wiadomość o jej powrocie do zamku w Meremundzie. Ojcze Dinivanie! – zawołała podniesionym głosem.

Siedzący parę miejsc dalej kapłan podniósł głowę znad talerza. Choć czubek głowy ogolony miał na wzór mnichów, pozostałe włosy opadały

dość długimi lokami.

– Słucham, pani? – odrzekł.

– Ojciec Dinivan jest osobistym sekretarzem Jego Świątobliwości Lektora Ranessina – wyjaśniła Nessalanta.

Hernystirczyk spojrzał na Dinivana z podziwem, a ten się roześmiał.

– Nie można tego chyba przypisać jakimś szczególnym talentom z mojej strony – powiedział. – Lektor przygarnia także porzucone psy. Pisarz Velligis bardzo się tym oburza. „Sancellan Aedonitis, powtarza, nie jest psią budą”. Lecz Jego Świątobliwość odpowiada mu na to: „Osten Ard także nie jest żłobkiem, a mimo to łaskawy Pan pozwala pozostawać w nim swoim dzieciom pomimo ich przewin”. – Dinivan uniósł krzaczaste brwi. – Trudno nie przyznać mu racji.

– Czy to prawda – przemówiła księżna, gdy tymczasem Eolair śmiał się ubawiony słowami kapłana – że Król powiedział ci, iż jego córka udała się do Meremundu?

– Tak było – odparł Dinivan poważniejszym już tonem. – Powiedział, że zachorowała i dworski lekarz zalecił jej morskie powietrze.

– Z przykrością to słyszę. – Eolair popatrzył ponad księżną na księcia i Fluirena, którzy rozmawiali cicho wśród wrzawy rozmów pozostałych biesiadników. Doszedł do wniosku, że jak na tak subtelnych ludzi Nabbańczycy lubili zbyt głośne konwersacje przy stole.

– No cóż... – powiedziała Nessalanta i oparła się wygodnie o oparcie swego krzesła, a wówczas natychmiast zbliżył się paź z wodą do obmycia rąk – ...to tylko potwierdza fakt, że nie można zmusić ludzi, by byli kimś innym, niż są. W Miriamele płynie nabbańska krew, która jest równie słona jak samo morze. Nie potrafimy żyć z dala od wybrzeża. Ludzie powinni mieszkać tam, skąd pochodzą.

„I cóż chcesz mi przez to powiedzieć, łaskawa pani – zastanawiał się książę. – Mam pozostać w Hernystirze, opuścić twego męża, twoje księstwo? Wrócić do swoich?”

Zamyślony Eolair obserwował rozmawiających Leobardisa i Fluirena. Wiedział, że rozmyślnie posadzono go na tym miejscu. W żaden grzeczny sposób nie można było zignorować księżnej i wtrącić się do ich rozmowy. W ten sposób stary Fluiren mógł bez przeszkód przekazać księciu wszystkie pochlebstwa od Eliasa. A może groźby? Nie, chyba nie. Elias nie wysłałby dostojnego Fluirena z taką misją. W takich wypadkach posługiwał się Guthwulfem.

Zrezygnowany podjął zdawkową rozmowę z księżną, lecz myślami był gdzie indziej. Był już pewien, że ona wie, z jaką przyjechał misją, i nie jest jej przychylna. Benigaris był oczkiem w głowie Nessalanty i unikał Eolaira przez cały wieczór. Nessalanta natomiast była ambitną kobietą i niewątpliwie uważała, że lepiej dla jej księstwa będzie pozostać pod panowaniem Erkynlandu – bez względu na to, jak bardzo apodyktyczne są to rządy – niż w sojuszu z pogańskim Hernystirem.

„I do tego – pomyślał – ma córkę na wydaniu, Antippę. Być może jej zainteresowanie zdrowiem Miriamele nie świadczy wcale o tym, że jest tak troskliwą ciotką”.

Antippę obiecano już baronowi Devasallesowi. Był to wymuskany szlachcic, który właśnie siłował się na ręce z Benigarisem w kałuży wina przy drugim końcu stołu. Ale może Nessalanta miała większe ambicje.

„Jeśli księżniczka Miriamele nie wyjdzie za mąż lub nie będzie mogła tego uczynić – rozmyślał – wtedy, być może, księżna postara się, aby Fengbald został jej zięciem. Hrabia Falshire byłby lepszą zdobyczą niż jakiś drugorzędny, nabbański baron. Wtedy książę Leobardis związałby się militarnie z Erkynlandem”.

Książę zrozumiał, że teraz miejsce pobytu Miriamele jest równie ważne, jak Josuy. Co za labirynt!

„Wyobrażam sobie, co czułby stary Isgrimnur ze swą odrazą do intryg! Broda spłonęłaby mu ze złości!”

– Ojcze Dinivanie – Eolair zwrócił się do kapłana – powiedz mi, co twoja Święta Księga mówi o przebiegłości w polityce?

– No cóż. – Wyraz skupienia pojawił się na prostej, lecz inteligentnej twarzy Dinivana. – Księga Aedona często nawiązuje do prób, jakim poddawano różne narody. – Zamilkł na chwilę. – Jednym z moich ulubionych przykładów jest ten: „Jeśli twój wróg przychodzi rozmawiać z tobą z mieczem w dłoni, otwórz mu drzwi, rozmawiaj z nim, lecz sam nie wypuszczaj miecza z dłoni. Jeśli przychodzi do ciebie z pustymi rękoma, uczyń to samo. Lecz jeśli przychodzi z darami, stań na murach i obrzuć go kamieniami”. – Dinivan wytarł palce w sutannę.

– Doprawdy, mądra to księga – przyznał Eolair.

23. Powrót do lasu

WIATR ZACINAŁ DESZCZEM prosto w twarz, a oni wciąż biegli w ciemności, na wschód, w kierunku niewidocznych wzgórz. Zagłuszane piorunami odgłosy walki z obozu Isgrimnura stawały się coraz słabsze.

W miarę jak posuwali się przez mokrą równinę, malał także strach i podniecenie Simona. Ciągły wysiłek i chłód deszczu pozbawiały go powoli energii; coraz mniej wierzył, że potrafi biec przez całą noc. Po pół mili z biegu przeszedł w szybki marsz, lecz wkrótce i to tempo było zbyt prędkie. Czuł, że kolano, za które chwyciły go kościste dłonie, sztywnieje niczym zardzewiały zawias; odczuwał także pulsujący ból gardła przy każdym głębszym oddechu.

– Wysłał cię... Morgenes? – krzyknął.

– Później, Simonie – zasapał Binabik. – Później wszystko ci powiem.

Biegli dalej, potykając się o mokrą darń i ochlapując.

– No to, co... – sapał Simon – co to były za stworzenia?

– Te... które nas zaatakowały? – Troll w biegu zbliżył w dziwny sposób dłoń do ust. – Bukkeny, nazywają je też... „kopaczami”.

– Co to za istoty? – zapytał Simon, omal nie pośliznąwszy się na błocie.

– Złe – rzucił Binabik. – Niech ci to na razie wystarczy.

Wreszcie nie mogli już biec i szli aż do momentu, gdy zza chmur wyjrzało słońce, które przypominało świecę postawioną za szarym

prześcieradłem. Przed nimi wyrastały wzgórza Wealdhelm; na tle jaśniejącego nieba przypominały zgarbione plecy modlących się mnichów.

Binabik rozłożył prowizoryczny obóz między paroma zaokrąglonymi granitowymi głazami, które wyrastały z trawy, jakby imitując widoczne w oddali wzgórza. Troll obszedł je najpierw, by znaleźć miejsce najbardziej osłonięte od siekącego deszczu. Później pomógł Simonowi ulokować się w szczelinie między dwoma nachylonymi do siebie głazami. Wycieńczony Simon szybko zapadł w sen.

Krople deszczu skapywały na Binabika, on zaś otulał chłopca płaszczem, który niósł przez całą drogę z klasztoru. Następnie przykucnął i wyjął ze swej torby kawałek suszonej ryby i kości. Qantaqa powróciła z obchodu nowego terenu i położyła się, opierając głowę na nogach Simona. Troll rozrzucił kości na torbie, używając jej zamiast stołu.

– Ścieżka Cieni. – Binabik uśmiechnął się ponuro. – Potem Bezpański Baran i znowu Ścieżka Cieni. – Zaklął spokojnie, lecz dobitnie; tylko głupiec zignorowałby tak oczywistą wiadomość. Różne rzeczy przydarzały się Binabikowi – czasem nawet bywał głupi – lecz teraz sprawy wyglądały zbyt poważnie.

Naciągnął na głowę futrzany kaptur i zwinął się w kłębek obok Qantaqi. Gdyby ktoś ich zobaczył – jeśli w ogóle było to możliwe przy tak słabym świetle i siekącym w twarz deszczu – wziąłby ich pewnie za osobliwą, brunatną narośl, która wyrosła na kamieniu od północy.

JAKĄ TY GRĘ ZE MNĄ PROWADZISZ? – spytał ponuro Simon. Spał parę godzin i w tym czasie blady świt przeszedł w zimny i ponury ranek, którego atmosfery nie było w stanie zmienić ani ognisko, ani śniadanie. Zachmurzone niebo wisiało nad ich głowami jak niski sufit.

– Nie prowadzę żadnej gry, Simonie – odpowiedział troll. Wcześniej oczyścił i zabandażował rany na szyi i nodze Simona, a teraz cierpliwie opatrywał Qantaqę. Tylko jedna z jej ran okazała się groźna; miała rozciętą przednią łapę od wewnątrz. Binabik oczyścił ranę z brudu, a wilczyca powąchała z całkowitym zaufaniem jego palce.

– Celowo nie mówiłem ci o niczym i gdybym nie został do tego zmuszony, teraz też byś o niczym nie wiedział. – Na palcu miał maść, którą wtarł w ranę zwierzęcia, i puścił wilczycę. Qantaqa natychmiast sięgnęła tam i zaczęła gryźć i lizać chorą łapę. – Wiedziałem, że to zrobi – powiedział z lekkim żalem, lecz zaraz się uśmiechnął. – Ona, podobnie jak ty, nie jest przekonana, że znam się na swojej robocie.

Simon wyprostował się, zdając sobie sprawę, że nieświadomie szarpie swoje opatrunki.

– Binabik, powiedz mi, skąd wiesz o Morgenesie. Skąd naprawdę pochodzisz?

– Powiedziałem ci już, skąd pochodzę – odparł oburzony troll. – Należę do ludu Qanuc. Ja nie wiem o Morgenesie, ja go po prostu znam. Jest dobrym przyjacielem mego mistrza. Oni są... kolegami, jak by to powiedzieli ludzie wykształceni.

– Jak to?

Binabik oparł się plecami o głaz. Choć nie padał deszcz, wiatr zmuszał do tego, by chronić się możliwie najlepiej. Troll sprawiał wrażenie, jakby zastanawiał się, co ma powiedzieć. Wyglądał na zmęczonego; jego ciemna skóra pomarszczyła się i zbladła.

– Przede wszystkim – odezwał się wreszcie – muszę opowiedzieć ci o moim mistrzu. Nazywał się Ookequk. On był... Tym, Który Śpiewa – tak byś go pewnie nazwał – na naszej górze. Kiedy my nazywamy kogoś Tym, Który Śpiewa, nie znaczy to, że on potrafi jedynie śpiewać, lecz także

pamięta dawne pieśni i dawną mądrość. Jakby lekarz i kapłan razem wzięci. Ookequk był moim mistrzem, gdyż starsi dostrzegli we mnie pewne zalety. To był wielki zaszczyt poznać mądrość Ookequka. Kiedy mi o tym powiedziano, nie jadłem przez trzy dni, żeby osiągnąć stan odpowiedniej czystości. – Binabik uśmiechnął się. – Potem oświadczyłem to z dumą memu nowemu mistrzowi, a on trzepnął mnie w ucho. „Jesteś zbyt młody i głupi, żeby samemu decydować o głodówce” – powiedział mi wtedy. – „To pycha. Jedynie pewne okoliczności mogą cię zmusić do głodówki”.

Binabik roześmiał się; Simon zastanawiał się przez chwilę i dołączył do trolla

– Kiedyś – ciągnął Binabik – opowiem ci o latach spędzonych u Ookequka. Był wielkim, grubym trollem; ważył więcej od ciebie, a był zaledwie mojego wzrostu. No, ale do rzeczy. Nie potrafię powiedzieć dokładnie, gdzie mój mistrz po raz pierwszy spotkał Morgenesa, ale z pewnością działo się to na długo przed moim przyjściem do jego jaskini. W każdym razie byli przyjaciółmi i mój mistrz nauczył Morgenesa wysyłania wiadomości za pomocą ptaków. Pisali do siebie wiele listów. Dyskutowali wiele o... o tym, co się dzieje w świecie. Dwie pory letnie temu zginęli moi rodzice. Stało się to podczas okropnej lawiny, jaka zsunęła się z góry zwanej przez nas Małym Nosem. Po tym, jak ich zabrakło, skupiłem całe swoje myśli – nieomal całe życie – na naukach mego mistrza, Ookequka. Kiedy w czasie tegorocznych roztopów powiedział mi, że mam towarzyszyć mu w długiej podróży na zachód, bardzo się ucieszyłem. Zrozumiałem, że ma to być mój egzamin. Nie wiedziałem tylko – powiedział troll, unosząc swym kijem kawałek darni – nie powiedział mi, że istniały ważniejsze powody tej podróży niż ukończenie mojej praktyki. – Simon wyczuł jakby złość w słowach trolla. – Od Doktora Morgenesa i innych otrzymywał listy z informacjami, które go niepokoiły, i dlatego

doszedł do wniosku, że należy odwiedzić Doktora, który sam złożył mu wizytę wiele lat temu, kiedy zaczynałem u niego praktykę.

– Z jakimi informacjami? – zapytał Simon. – O czym pisał do niego Morgenes?

– Jeśli nie dowiedziałeś się tego do tej pory – powiedział poważnie Binabik – to znaczy, że możesz się bez tych wiadomości obejść. Zastanowię się, co powinieneś wiedzieć, a na razie powiem ci tylko to, co mogę, czy też muszę ci powiedzieć.

Simon skinął posłusznie głową.

– Nie będę cię też zanudzał opowieścią o całej podróży na Południe. Bardzo szybko się zorientowałem, że mój mistrz nie powiedział mi całej prawdy. Był bardzo zmartwiony i kiedy rzucił kości, a potem odczytał pewne znaki na niebie i te, które niesie wiatr, zmartwił się jeszcze bardziej. Mieliśmy też parę przykrych przygód. Zanim zacząłem praktykę u mistrza, wiele samotnie podróżowałem, lecz nigdy wcześniej czasy nie były tak trudne dla podróżnych. Przygoda podobna do twojej przydarzyła się nam pewnej nocy niedaleko jeziora Drorshullvenn, w krainie Frostmarch.

– Chodzi ci o te... Bukkeny? – spytał Simon. Zadrżał na samą myśl o chwytających go dłoniach.

– Tak – przytaknął Binabik – i to był... jest... bardzo zły znak, jeśli atakują tak otwarcie. Nasi ludzie nie pamiętają, aby Boghanikowie, jak ich nazywamy, odważyli się kiedyś zaatakować grupę uzbrojonych ludzi. Przeraża mnie ich śmiałość. Zwykle napadają na zwierzęta lub na samotnych podróżnych.

– Co to za stworzenia?

– Później ci powiem. Simonie, bądź cierpliwy, a wiele się dowiesz. Mój mistrz też mi nie powiedział wszystkiego – co nie znaczy, że ja mam być twoim mistrzem – lecz bardzo się martwił. Nie widziałem, by spał w czasie

całej naszej podróży po Frostmarch. Kiedy zasypiałem, on czuwał jeszcze, a kiedy wstawałem, był już na nogach, choć nie był młodzieniaszkiem; spędziłem z nim trochę czasu, a on miał już swoje lata, zanim jeszcze do niego przybyłem, pewnej nocy, kiedy szliśmy przez północne tereny Erkynlandu, poprosił mnie, bym czuwał, gdyż chciał wejść na Ścieżkę Snów. Znajdowaliśmy się w miejscu podobnym do tego. – Binabik wskazał na ponurą równinę, która ciągnęła się do podnóża wzgórz. – Był to początek wiosny, mniej więcej w okolicach waszego Dnia Błazna, może dzień wcześniej.

„Wigilia Dnia Błazna” – starał się przypomnieć sobie Simon. – „Tamtej nocy okropny hałas obudził cały zamek. A dzień wcześniej zaczęły się deszcze...”

– Qantaqa polowała gdzieś w okolicy, a Jednooki, stary baran, spał przy ogniu... doprawdy, to grube, ogromne zwierzę wykazywało dużo cierpliwości jako wierzchowiec Ookequka. Mój mistrz zjadł „korę snów”, która pochodziła z bagnistych terenów Wran na Południu. Zapadł w pewien rodzaj snu. Nie powiedział mi, dlaczego to robi, lecz domyślałem się, że chce znaleźć odpowiedzi, których nie potrafi uzyskać w inny sposób. Zachowanie Boghaników zaniepokoiło go. Wkrótce zaczął bełkotać; działo się tak zawsze, kiedy jego serce wędrowało po Ścieżce Snów. Większości słów nie byłem w stanie zrozumieć, ale pewne rzeczy usłyszałem także z ust brata Dochaisa, dlatego – jak pewnie zauważyłeś – zdziwiło mnie to, co mówił.

Simon powstrzymał gorzki uśmiech. Wtedy sądził, że to jego strach był powszechnie widoczny w czasie majaczeń Hernystirczyka.

– Nagle – troll kontynuował, grzebiąc kijem w rozmokłej trawie – wydało mi się, że coś nim zawładnęło, podobnie jak bratem Dochaisem. Ale serce mojego mistrza było silne, silniejsze od serca innych ludzi czy

trolli, dlatego walczył. Zmagał się z tym czymś przez całe popołudnie i wieczór, a ja stałem przy nim i jedyne, co mogłem robić, to ocierać mu pot z czoła. – Binabik podrzucił w górę kawałek darni i uderzył weń kijem. – Wreszcie, kiedy noc przeszła w drugą połowę, przemówił do mnie; wypowiedział parę słów całkiem spokojnie, jakby popijał ze starszyzną w jaskini Klanu, i umarł. Czułem się chyba gorzej niż po stracie rodziców, gdyż oni w jednej chwili zniknęli pod śniegiem. Pochowałem go na zboczu wzgórza. Wstyd mi, ale nie mogłem zachować odpowiedniego rytuału. Jednooki nie chciał zostawić swego pana; pewnie jest tam jeszcze.

Troll zamilkł i wpatrywał się w wydartą skórę na kolanach swych spodni. Simon, także pogrążony w smutku, bardzo dobrze rozumiał, co czuje Binabik, i wiedział, że na nic zdadzą się słowa. Po chwili troll sięgnął do torby i wyjął z niej garść orzechów. Podał je chłopcu razem z bukłakiem.

– A potem – Binabik podjął swą opowieść, jakby jej nie przerywał – stała się rzecz dziwna.

Simon otulił się szczelniej płaszczem i wpatrywał się w twarz trolla.

– Przez dwa dni nie opuszczałem grobu mojego mistrza. Było to dość przyjemne miejsce, tyle tylko, że na otwartej przestrzeni, a ja wiedziałem, że on wolałby spoczywać w górach. Zastanawiałem się, co robić dalej: iść do Morgenesa do Erchesteru czy też wrócić do moich ludzi i zawiadomić ich o śmierci Ookequka, Tego, Który Śpiewa. Pod koniec drugiego dnia zdecydowałem się wracać do mego ludu Qanuc. Nie wiedziałem, o jakich istotnych sprawach miał rozmawiać mój mistrz z Doktorem Morgenesem – niestety, nie wiem tego i dzisiaj – a poza tym miałem inne... obowiązki. Zawołałem już Qantaqę i po raz ostatni podrapałem po łbie wiernego Jednookiego, kiedy na grób Ookequka sfrunął malutki, szary ptaszek. Wiedziałem, że jest to jeden z tych, które przekazują wiadomości mistrza. Wydawał się bardzo zmęczony ciężarem, jaki niósł; była to wiadomość...

i coś jeszcze. Zbliżyłem się, by go schwytać, i wtedy z krzaków wyskoczyła Qantaqa. Ptak, oczywiście, przestraszył się i wzbił w powietrze. W ostatniej chwili udało mi się go złapać, mówię ci, w ostatniej chwili. Wiadomość pochodziła od Morgenesa i dotyczyła ciebie, przyjacielu. Mój mistrz miał przeczytać, że znajdziesz się w niebezpieczeństwie i że będziesz podróżował samotnie z Hayholt do Naglimundu. Doktor zwracał się do mistrza z prośbą, by ci pomógł, lecz w miarę możliwości tak, byś o tym nie wiedział. W liście pisano jeszcze o paru innych sprawach.

Simon zamienił się w słuch: to mogła być brakująca część jego własnej historii.

– O jakich innych sprawach?

– Ta część listu przeznaczona była tylko dla mego mistrza – powiedział Binabik łagodnym, lecz bardzo zdecydowanym tonem. – Tak więc sytuacja się zmieniła: stary przyjaciel prosił mistrza o wyświadczenie przysługi, którą już tylko ja mogłem spełnić. Nie było to łatwe zadanie, lecz od chwili, kiedy przeczytałem list Morgenesa, wiedziałem, że muszę spełnić jego prośbę. Jeszcze przed wieczorem tego samego dnia wyruszyłem w kierunku Erchesteru.

„W liście napisano, że będę podróżował sam. Morgenes wiedział, że nie zdoła uciec”. Simon poczuł napływające do oczu łzy i by je ukryć, zadał kolejne pytanie:

– W jaki sposób miałeś mnie znaleźć?

Binabik uśmiechnął się.

– Ciężką pracą, do jakiej zdolny jest Qanuc, przyjacielu. Musiałem odnaleźć twój trop; wiesz, ślady, jakie zostawia młody człowiek, który nie wie dokładnie, dokąd idzie. Tak, udało mi się znaleźć cię dzięki ciężkiej pracy, ale i ogromnemu szczęściu.

Simon zadrżał na wspomnienie niedawnej przeszłości.

– Czy szedłeś za mną przez cmentarz? Ten za murami miasta? – Wiedział, że nie wszystko wtedy było snem. *Coś* zawołało jego imię.

Twarz trolla pozostała niewzruszona.

– Nie, Simonie – powiedział zamyślony. – Na twój trop wpadłem chyba dopiero na trakcie Starego Lasu. A dlaczego pytasz?

– Nieważne. – Simon wstał, przeciągnął się i rozejrzał po rozmokłej równinie. Po chwili usiadł ponownie i sięgnął po bukłak. – Chyba rozumiem... ale muszę wiele rzeczy przemyśleć. Pójdziemy dalej do Naglimundu. Co o tym myślisz?

Binabik popatrzył na niego zmartwiony.

– Nie jestem tego pewien, Simonie. Jeśli Bukkeny opanują teren Frostmarch, droga do twierdzy Naglimund będzie zbyt niebezpieczna dla pary samotnych podróżnych. Muszę przyznać, że nie wiem, co robić dalej. Szkoda, że nie możemy zwrócić się o poradę do twojego Doktora Morgenesa. Czy jesteś aż w takich opałach, że nie możemy zaryzykować choćby przesłania mu informacji? Nie sądzę, by chciał, żebym narażał cię na niebezpieczeństwo.

Dopiero po chwili dotarło do Simona, że mówiąc „chciał”, Binabik miał na myśli Morgenesa. Nagle wszystko zrozumiał: *troll nie wiedział, co się stało*.

– Binabik – zaczął i zaraz poczuł, że to, co powie, będzie bardzo bolesne – on nie żyje. Doktor Morgenes nie żyje.

Troll otworzył na moment oczy tak szeroko, że Simon po raz pierwszy zobaczył jego białka. Patrzył przed siebie w milczeniu.

– Nie żyje? – odezwał się wreszcie, a w jego głosie było tyle chłodu, że Simon poczuł się winny; on, który tak bardzo opłakiwał śmierć Doktora!

– Tak. – Simon zastanowił się, lecz zdecydował mówić dalej. – Zginął, pomagając mnie i księciu Josui wydostać się z zamku. Zabił go Król Elias,

to znaczy, zrobił to za niego jego człowiek, Pryrates.

Binabik popatrzył najpierw prosto w oczy Simona, potem spuścił wzrok.

– Wiedziałem o uwięzieniu Josui. Wspomniano o tym w liście. Pozostałą treść wypełniają bardzo złe wiadomości. – Kiedy wstał, wiatr zwichrzył jego czarne, proste włosy. – Przejdę się trochę – powiedział. – Muszę się zastanowić nad znaczeniem tych wydarzeń... muszę pomyśleć...

Troll oddalił się z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu. Qantaqa natychmiast pobiegła za nim. Binabik zaczął ją odganiać, lecz po chwili wzruszył tylko ramionami. Szedł wolno z pochyloną głową i rękoma schowanymi w rękawach, a wilczyca powoli krążyła wokół niego. Simon patrzył za odchodzącym i wydało mu się, że troll jest zbyt mały, by unieść wszystkie ciężary, jakie na niego spadły.

SIMON MIAŁ NADZIEJĘ, że kiedy Binabik wróci, przyniesie tłustego dzikiego gołębia lub inną zwierzynę. Niestety, doznał rozczarowania.

– Przykro mi, Simonie – powiedział troll – ale niewielki mielibyśmy z mięsa pożytek. Gałęzie są mokre, więc nie udałoby się rozpalić ogniska bez ogromnej ilości dymu, a nie chcemy chyba zwracać na siebie uwagi. Zjedz kawałek suszonej ryby.

Skąpa racja ryby nie była ani sycąca, ani smaczna, lecz Simon żuł ją powoli; kto wie, kiedy dane mu będzie zjeść następny posiłek?

– Simonie, zastanawiałem się. Wieści, które mi przekazałeś – nie ma w tym twojej winy – są bardzo smutne. Tak więc wkrótce po śmierci mojego mistrza umarł także Doktor, ten zacny starzec... – Binabik zamilkł, schylił się i zaczął pakować rzeczy do torby, odkładając na bok parę przedmiotów. – To są twoje rzeczy, zachowałem je dla ciebie. – Wręczył Simonowi dwa podłużne zawiniątka.

– Jest tu coś – powiedział Simon, odbierając przedmioty – nie, nie strzała, tutaj... – oddał Binabikowi rulon – napisał to Doktor Morgenes.

– Naprawdę? – Binabik odchylił materiał, w który zawinięty był rękopis. – Czy to może nam pomóc?

– Nie sądzę – powiedział Simon. – Morgenes spisał życiorys Prestera Johna. Czytałem fragmenty; prawie same opisy bitew i innych rzeczy.

– Ach, tak. – Binabik oddał Simonowi zwój, który ten wsadził sobie za pasek. – Szkoda. Przydałyby się nam teraz jego praktyczne wskazówki. – Troll schylił się i pakował resztę przedmiotów do torby. –Morgenes i mój mistrz, Ookequk, należeli do specjalnej grupy. – Poszperał w torbie i wyjął z niej jakiś przedmiot, który lśnił słabo w świetle kończącego się dnia; był to wisiorek przedstawiający zwój papieru i pióro.

– Morgenes też miał taki! – wykrzyknął Simon i pochylił się, by lepiej się przyjrzeć.

– Z pewnością – powiedział Binabik. – Ten należał do mojego mistrza. Mają je ci, którzy wstąpili do Ligi Pergaminu. Mówił mi, że nie ma ich więcej niż siedmiu. Twój mistrz i mój nie żyją, a więc jest już ich zaledwie pięciu. – Zacisnął małą dłoń na wisiorku i wrzucił go z powrotem do torby.

– Liga Pergaminu? – spytał Simon. – Co to takiego?

– Grupa uczonych ludzi, którzy dzielą się wiedzą; tak mówił mój mistrz. Może coś jeszcze, ale tego mi już nie powiedział. – Skończył pakowanie torby i wyprostował się. – Simonie, przykro mi, ale musimy iść dalej.

– Dalej? – Ból we wszystkich mięśniach Simona jakby odżył.

– Niestety, nie mamy wyboru. Dużo myślałem. Przemyślałem wszystko. – Ścisnął mocniej swój kij i zagwizdał na Qantaqę. – Przede wszystkim muszę doprowadzić cię do Naglimundu. Ten cel pozostaje aktualny, nie mam co do tego wątpliwości. Problem w tym, że obawiam się marszu przez

Frostmarch. Widziałeś Bukkeny i pewnie nie masz już ochoty spotykać się z nimi. Z drugiej strony musimy iść na północ. Dlatego uważam, że powinniśmy wrócić do lasu Aldheorte.

– Ale czy tam będziemy bardziej bezpieczni? Co powstrzyma te kopiące istoty przed pościgiem za nami przez las, gdzie pewnie nie będziemy mogli nawet biec?

– Dobre pytanie. Kiedyś opowiadałem ci o lesie Aldheorte, o jego wieku i... nie potrafię znaleźć słowa w waszym języku, choć może „dusza” albo „duch” będą odpowiednie. Owszem, Bukkeny mogą przejść pod lasem, lecz nie przyjdzie im to z łatwością. Korzenie lasu posiadają pewną moc; moc, której takie stworzenia nie są w stanie tak łatwo pokonać. Poza tym jest tam ktoś, z kim muszę się zobaczyć i opowiedzieć mu, co się przydarzyło twojemu i mojemu mistrzowi.

Simon miał już dość własnych pytań, lecz zdecydował się zadać jeszcze jedno:

– Kto to jest?

– Ma na imię Geloë. To mądra kobieta; nazywają ją *valada* w języku Rimmersgard. Może pomóc nam przedostać się do Naglimundu, gdyż będziemy musieli wyjść z lasu we wschodniej jego części i przejść przez wzgórza Wealdhelm szlakiem, którego nie znam.

Simon wciągnął płaszcz i zapiął wytartą sprzączkę pod szyją.

– Musimy wyruszyć dzisiaj? – zapytał. – Jest już tak późno.

– Simonie – powiedział Binabik w chwili, kiedy nadbiegła Qantaqa z wywieszonym językiem – zaufaj mi. Musimy być dla siebie przyjaciółmi, nawet jeśli istnieją rzeczy, o których nie mogę ci jeszcze powiedzieć. Potrzebne mi jest twoje zaufanie. Nie chodzi tylko o Eliasa i jego rządy. Obaj straciliśmy bardzo drogie nam osoby: starca i starego trolla, którzy wiedzieli dużo więcej od nas. Obaj bali się czegoś. Myślę, że brat Dochais

umarł ze strachu. Budzi się jakieś zło i byłoby z naszej strony głupotą pozostawanie na otwartej przestrzeni.

– *Co* się budzi, Binabik? *Jakie zło*? Słyszałem, jak Dochais wymawiał jakieś imię. Tuż przed śmiercią powiedział...

– Nie trzeba...! – Binabik starał się mu przerwać, lecz Simon nie zwracał na niego uwagi. Miał już dość niedomówień.

– ...Król Burz – skończył dobitnie.

Binabik rozejrzał się dookoła, jakby się bał, że zaraz coś złego się wydarzy.

– Wiem – syknął – ja też słyszałem, ale nie potrafię wiele na ten temat powiedzieć. – Gdzieś w oddali uderzył piorun. Troll miał ponurą minę. – Imieniem Króla Burz określają strach w mrocznej Północy. Jest to imię z legend, którym straszy się albo czaruje. Mój mistrz czasem wspominał o tym, lecz wystarczyło tego, by mnie przestraszyć. – Zarzucił torbę na ramię i ruszył przez błotnistą równinę w kierunku łańcucha niezbyt wysokich wzgórz.

– Samo imię – powiedział głosem dziwnie stłumionym na tak rozległym terenie – powoduje, że zboża usychają, a ludzi zaczynają dręczyć majaki i gorączka...

– A także deszcze i zła pogoda? – spytał Simon, spoglądając na ołowiane niebo.

– Tak i jeszcze inne rzeczy – odparł Binabik i dotknął wnętrzem dłoni kurtki tuż nad sercem.

24. Psy Erkynlandu

SIMON ŚNIŁ, ŻE CHODZI po Sosnowym Ogrodzie w Hayholt w pobliżu jadalni, drzewa kołysały się łagodnie, a nad nimi rozciągał się kamienny pomost, który łączył jadalnię z kaplicą. Wokół opadały wolno płatki śniegu, lecz on nie czuł chłodu; odczuwał swe ciało jedynie jako coś, co pozwalało mu się poruszać. Śnieg przykrywał gałęzie drzew i wszystko pogrążało się w ciszy: wiatr, śnieg, Simon. Wszystko poruszało się powoli bez najmniejszego dźwięku.

Nieodczuwalny wiatr powiał teraz mocniej, a drzewa pochyliły się przed Schodzącym Simonem niczym fale, które rozstępują się, gdy coś spada do wody. Zaczął padać gęstszy śnieg, a Simon szedł przed siebie obrzeżoną drzewami aleją wirującej bieli. Wciąż szedł, a drzewa odchylały się jak salutujący mu żołnierze. Ogród nigdy chyba nie był tak długi.

Nagle coś zwróciło jego uwagę. Na samym końcu śnieżnej alei stała olbrzymia biała kolumna, która wierzchołkiem sięgała ciemnego nieba.

„Oczywiście – pomyślał we śnie – to jest Wieża Zielonego Anioła”.

Przedtem nigdy nie mógł przejść bezpośrednio z ogrodu do wieży, ale wiele rzeczy zmieniło się od czasu jego odejścia... tak, wiele się zmieniło.

„Ale jeśli to wieża – pomyślał, patrząc w górę – dlaczego ma gałęzie? To nie jest wieża... w każdym razie już nie wieża... to jest drzewo. Olbrzymie, białe drzewo...”

Simon usiadł.

– Co to jest drzewo? – zapytał Binabik, który siedział obok i zszywał koszulę Simona igłą z ptasiej kości. Po chwili skończył pracę i wręczył chłopcu koszulę. Simon wysunął spod płaszcza piegowate ramię, by ją odebrać. – Co to jest drzewo? Dobry miałeś sen?

– Sen jak sen – powiedział Simon zduszonym nieco głosem, gdyż wkładał właśnie koszulę przez głowę. – Śniło mi się, że Wieża Zielonego Anioła zamieniła się w drzewo. – Spojrzał na trolla z wesołym błyskiem w oku, lecz on wzruszył tylko ramionami.

– Sen – powtórzył Binabik.

Simon ziewnął i przeciągnął się. Spanie w szczelinie na zboczu wzgórza nie było specjalnie wygodne, lecz mimo wszystko lepsze od nocy spędzonej na pozbawionej jakichkolwiek kryjówek równinie. Docenił to, kiedy tylko ruszyli dalej.

Słońce zdążyło już wzejść i świeciło słabo za chmurami, różowiąc niebo. Ze zbocza, na którym spali, nie sposób było powiedzieć, gdzie kończy się niebo, a gdzie zaczynają pokryte mgłą równiny. Tego ranka świat wydawał się niezwykle mroczny i pozbawiony kształtów.

– W nocy, kiedy spałeś, widziałem ogniska – powiedział troll, przerywając myśli Simona.

– Ogniska? Gdzie?

Binabik wskazał lewą ręką na południe.

– Tam, za nami. Nie martw się, myślę, że są daleko od nas. Bardzo możliwe, że oni nie mają z nami nic wspólnego.

– Być może. – Simon wpatrywał się w dal zmrużonymi oczami. – Czy myślisz, że mógłby to być Isgrimnur i jego ludzie?

– Wątpię.

Simon spojrzał na trolla.

– Ale przecież powiedziałeś, że uda im się uciec. Że przeżyją...

Binabik zwrócił się do niego poirytowany.

– Przekonałbyś się, gdybyś zaczekał. Jestem pewien, że przeżyli, ale oni jechali na północ i wątpię, by chcieli wracać. Tamte ogniska były bardziej na południe, jakby...

– ...Jakby nadciągali z Erkynlandu – dokończył Simon.

– Tak! – odparł rozdrażniony trochę Binabik. – Ale mogą to być kupcy albo pielgrzymi – mówiąc to, rozejrzał się. – Gdzie jest Qantaqa?

Na twarzy Simona pojawił się grymas. Potrafił się zorientować, kiedy troll unikał jakiegoś tematu.

– No dobrze. Ktokolwiek by to był, ty właśnie nalegałeś wczoraj, abyśmy podróżowali szybko. Będziemy tu czekać, by osobiście się przekonać, czy to pielgrzymi... czy kopacze? – Dowcip wydał mu się dość kiepski; szczególnie ostatnie słowo kojarzyło się z nieprzyjemnymi wspomnieniami.

– Tak, ważne jest, by nie okazać się głupcem – mruknął z odrazą Binabik. – Boghanikowie – czy też Bukkeny – nie rozpalają ognia. Oni nienawidzą rzeczy, które są jasne. Nie, nie będziemy czekać, aż przyjdą do nas. – Troll wskazał do tyłu ponad głową. – Stamtąd będziemy mogli przyjrzeć się lepiej.

Krzaki za ich plecami poruszyły się i obaj podskoczyli zaskoczeni. Okazało się, że to tylko Qantaqa, która nadbiegła z góry z nosem przy ziemi. Kiedy znalazła się przy Binabiku, uniosła pysk i trącała nim rękę trolla, dopóki jej nie podrapał.

– Zdaje się, że jest w dobrym humorze – roześmiał się Binabik, ukazując żółte zęby. – Niskie chmury ukryją dym z ogniska, więc może skorzystamy z tego i zjemy porządny posiłek, nim wyruszymy w drogę? Co ty na to?

Simon starał się zachować poważną minę.

– Chyba... chyba mogę coś zjeść... jeśli już muszę – powiedział. – Skoro twierdzisz, że to ważne...

Binabik przyglądał mu się, zastanawiając, czy Simon rzeczywiście ma coś przeciwko śniadaniu, gdy tymczasem chłopiec z trudem powstrzymywał śmiech.

„Dlaczego zachowuję się jak jakiś gamoń? – pomyślał. – Jesteśmy w ogromnym niebezpieczeństwie, a może być jeszcze gorzej”.

Nie mógł już dłużej wytrzymać widoku poważnej miny trolla i wreszcie wybuchnął śmiechem. No cóż, nie można wciąż się martwić.

SIMON WESTCHNĄŁ ZADOWOLONY i pozwolił, by Qantaqa zabrała mu z ręki resztki wiewiórczego mięsa. Z podziwem patrzył, jak delikatnie wilczyca posługuje się ogromną szczęką i lśniącymi zębami.

Troll nie chciał niepotrzebnie ryzykować, dlatego rozpalił małe ognisko. Cienka smuga dymu wiła się wzdłuż zbocza wzgórza.

Binabik czytał manuskrypt Morgenesa, który rozwinął za pozwoleniem Simona.

– Mam nadzieję – powiedział troll, nie odrywając wzroku od strony – że nie będziesz tego robił z żadnym innym wilkiem.

– Oczywiście, że nie. To zdumiewające, jak jest oswojona.

– Nie *oswojona* – zaprzeczył Binabik. – Łączą nas więzy honoru; dotyczą one także moich przyjaciół.

– Honoru? – powtórzył leniwie Simon.

– Z pewnością znasz to słowo, gdyż często się nim szafuje na Południu, honor. Myślisz, że nic takiego nie może łączyć zwierzęcia i trolla? – Binabik podniósł na chwilę wzrok i zaraz wrócił do czytania.

– Och, ostatnio staram się nie myśleć o wielu rzeczach – odpowiedział niedbale Simon i pochyliwszy się, podrapał puszysty pysk Qantaqi. – Obchodzi mnie tylko, aby iść przed siebie i dotrzeć wreszcie do Naglimundu.

– Kiepski unik – mruknął Binabik, lecz nie kontynuował tematu. Przez jakiś czas słychać było tylko szelest przewracanych kartek. Poranne słońce wspięło się już wysoko na niebo. – Mam – odezwał się wreszcie Binabik – posłuchaj. – Ach, na Córę Gór, kiedy czytam słowa Morgenesa, jeszcze bardziej mi go brakuje. Simonie, czy wiesz coś o Nearulagh?

– Pewnie. Tam właśnie Król John pokonał Nabbańczyków. W zamku jedna z bram jest cała pokryta scenami z tej bitwy.

– Zgadza się. Tutaj też Morgenes opisuje bitwę pod Nearulagh; wtedy John spotkał po raz pierwszy słynnego sir Camarisa. Czy mogę ci o tym przeczytać?

Simon poczuł ukłucie zazdrości, lecz zaraz je zdusił. Przypomniał sobie, że Doktor nie napisał tego wszystkiego tylko dla niego.

...Tak więc po tym, jak decyzja Ardrivisa – według jednych odważna, według innych nierozsądna – by spotkać się z tym parweniuszem z Północy na rozległej równinie Thrithing nieopodal jeziora Myrme, okazała się kompletnym niepowodzeniem, Ardrivis wycofał główną armię na przełęcz Onestrine – było to wąskie przejście między górskimi jeziorami Eadne i Clodu...

– Morgenes sugeruje – wyjaśnił Binabik – że Ardrivis, nabbański imperator, nie wierzył, by Prester John mógł stawić mu czoło wielką siłą, tak daleko od Erkynlandu. Lecz Perdruińczycy, mieszkańcy pobliskich wysp, którzy zawsze pozostawali w cieniu Nabbanu, zawarli potajemne przymierze z Johnem i zasilili jego szeregi. Dlatego Król John rozniósł

w puch legiony Ardrivisa na równinie Thrithing, dokonując rzeczy, której w najmniejszym nawet stopniu nie spodziewali się dumni Nabbańczycy. Rozumiesz?

– Chyba tak. – Simon nie był pewien, ale tyle już razy słyszał o tym w balladach, że kojarzył imiona. – Przeczytaj jeszcze.

– Dobrze. Znajdę tylko część, którą chciałem ci przeczytać. – Powiódł wzrokiem w dół strony. – Mam!

...Tak więc, kiedy słońce skryło się za górą Onestris – po raz ostatni dla ośmiu tysięcy zmarłych lub umierających – młody Camaris, którego ojciec, Benidrivis-sa-Vinitta, godzinę wcześniej odebrał buławę imperatora od jego umierającego brata, Ardrivisa, poprowadził oddział pięciuset jeźdźców, a więc wszystkich, którzy pozostali z gwardii imperatora, do ataku, który miał pomścić...

– Binabiku? – przerwał mu Simon.

– Słucham?

– Kto wziął, co i od kogo?

Binabik roześmiał się.

– Wybacz mi. Rzeczywiście trudno jest połapać się od razu w plątaninie tylu imion. Ardrivis był ostatnim imperatorem Nabbanu, Nabban przestało później być imperium i, jak wiesz, jest dzisiaj zaledwie księstwem. Ardrivis poróżnił się z Presterem Johnem prawdopodobnie dlatego, że wiedział o planach Johna odnośnie do zjednoczenia Osten Ard, co i tak w końcu doprowadziłoby do konfliktu. Nie będę cię zanudzał opowieściami o całej kampanii, lecz zatrzymam się przy ostatniej bitwie. Strzała ugodziła śmiertelnie Ardrivisa i jego brat został nowym imperatorem... przynajmniej na resztę dnia, który zakończył się ostateczną klęską Nabbanu. Camaris był synem Benidrivisa – miał zaledwie piętnaście lat. I tego popołudnia

pozostał ostatnim księciem Nabbanu, jak nazywa się go często w balladach. Rozumiesz teraz?

– Z pewnością więcej. Zgubiłem się trochę przez te „arisy” i „ivisy”.

Binabik podniósł stronę i zaczął czytać dalej:

Teraz, kiedy na polu bitwy pojawił się Camaris, w szeregach Erkynlandczyków zapanowało poruszenie. Wprawdzie wojska młodego księcia nie były wypoczęte, lecz on sam był jak trąba powietrzna, jak niosąca śmierć burza, a jego miecz, zwany Cierniem, który otrzymał od wuja, był jak rażący śmiertelnie piorun. Już wtedy siły Erkynlandu mogły zostać rozgromione, lecz na polu walki pojawił się Prester John. W dłoni dzierżył Biały Gwóźdź, którym torował sobie drogę wśród walczących, aż stanął wreszcie twarzą w twarz z dostojnym Camarisem.

– Zwróć szczególną uwagę na tę część – powiedział Binabik, przygotowując kolejną stronę.

– Świetnie – powiedział Simon. – Czy Prester John zrobi z niego sieczkę?

– Nie bądź śmieszny! – parsknął troll. – W jaki więc sposób zostaliby parą najlepszych przyjaciół? Sieczkę! – Binabik czytał dalej.

Ballady mówią, że walczyli cały dzień i noc, jednak ja wątpię, by to była prawda. Z pewnością walka trwała długo, lecz już wtedy zapadł chyba zmrok i tylko zmęczonym obserwatorom wydawało się, że trwa to cały dzień...

– Całkiem rozsądny ten twój Morgenes! – zachichotał Binabik.

W każdym razie walka była długa, cios za cios; wciąż słychać było szczęk miecza uderzającego o zbroję przeciwnika, gdy tymczasem słońce

zaszło i kruki sfrunęły na równinę. Żaden z walczących nie mógł uzyskać przewagi, choć dawno już wojska Johna pokonały straż Camarisa. Jednak nikt nie śmiał wtrącać się do pojedynku.

Wreszcie koń Camarisa potknął się i złamał nogę; przygniótł jeźdźca, przewracając się z głośnym kwikiem. Trudno byłoby winić Johna, gdyby wtedy zakończył pojedynek – a mógł to uczynić. Lecz on, jak twierdzą wszyscy jednogłośnie, pomógł nabbańskiemu rycerzowi wydostać się spod konia, oddał mu miecz i kiedy okazało się, że Camaris jest cały i zdrowy, podjęli walkę na nowo.

– Na Aedona! – wyszeptał Simon. Wprawdzie słyszał już tę opowieść, ale zupełnie czymś innym było słuchać jej opowiedzianej ustami Doktora.

I tak walczyli dalej, aż Prester John, który wtedy starszy był od Camarisa o dobre dwadzieścia lat, zmęczony potknął się i upadł u stóp księcia Nabbanu. Camaris, poruszony prawością swego przeciwnika, wstrzymał Cierń przed śmiertelnym uderzeniem i poprosił, by John przyrzekł, że opuści Nabban w pokoju. John nie spodziewał się, że jego łaskawość zostanie odwzajemniona. Rozejrzał się po polu bitwy, na którym zostali już tylko jego żołnierze, pomyślał chwilę i nagle kopnął w krocze Camarisa-sa-Vinittę.

– Nie! – zawołał zdumiony Simon, a drzemiąca Qantaqa uniosła sennie łeb. Binabik uśmiechnął się tylko i czytał dalej zapiski Morgenesa.

Teraz z kolei John stanął nad cierpiącym Camarisem i tak przemówił:

– Wiele jeszcze musisz się nauczyć, lecz dzielnym jesteś i szlachetnym mężem. Uczynię to dla twego ojca i twojej rodziny i godziwie zajmę się twym ludem. Mam nadzieję, że w zamian przyjmiesz tę oto lekcję: otóż honor to rzecz wielka, lecz jest tylko środkiem do osiągnięcia celu, a nie

samym celem. Mężczyzna, który głoduje, zachowując honor, nie pomaga tym swojej rodzinie, król, który potyka się z honorem o swój miecz, nie ratuje swego królestwa.

Kiedy Camaris doszedł do siebie, nowy Król zrobił na nim tak silne wrażenie, iż odtąd pozostał jego najwierniejszym poddanym.

– Dlaczego przeczytałeś mi ten fragment? – spytał Simon. Czuł się mocno urażony rozbawionym wzrokiem Binabika, gdy ten czytał o podstępnym wyczynie największego bohatera z kraju Simona... choć niewątpliwie były to słowa Morgenesa. Po przeczytaniu ich Król John stawał się bardziej realną postacią niż zakurzony, marmurowy pomnik świętego Sutrina przed katedrą.

– Ten fragment wydał mi się interesujący. – Binabik uśmiechnął się figlarnie. – Nie, nie dlatego ci go przeczytałem – dodał szybko, widząc zmarszczone czoło Simona. – Tak naprawdę chciałem, byś nauczył się czegoś, i pomyślałem sobie, że słowa Morgenesa łatwiej trafią do ciebie niż moje. Nie chciałeś zostawiać Rimmersgardczyków i rozumiem, co czułeś: uważałeś pewnie, że nie jest to najbardziej honorowe zachowanie się w takiej sytuacji. Ale i dla mnie nie było honorowym zostawienie moich niespełnionych obowiązków w Yiqanuc. Czasem musimy działać wbrew poczuciu honoru czy też, ujmując to inaczej, wbrew temu, co wydaje się bez wątpienia honorowym rozwiązaniem. Rozumiesz mnie?

– Niezupełnie. – Na twarzy Simona pojawił się teraz kpiący uśmiech.

– Ach. – Binabik wzruszył filozoficznie ramionami. – *Ko muhuhok n mik aga nop*, mówią u nas w Yiqanuc, co znaczy: wiesz, że to kamień, dopiero kiedy spadnie ci na głowę.

Simon zastanawiał się spokojnie nad powiedzeniem, gdy tymczasem Binabik spakował przybory kuchenne do torby.

NIEWĄTPLIWIE BINABIK MIAŁ RACJĘ co do jednej rzeczy. Kiedy weszli na szczyt wzgórza, nie widzieli niczego poza ciągnącym się nieprzerwanie lasem Aldheorte; był jak zielono-czarny ocean, który zastygł na chwilę przed tym, zanim fale rozbiły się u stóp wzgórz. Nie, Aldheorte wyglądał raczej jak morze, o które ląd może się rozbić i zatonąć.

Simon z zachwytu wstrzymał oddech, miał przed sobą morze kołyszących się drzew, które ginęły we mgle, jakby las sięgał krańców ziemi.

Widząc zachwyt Simona, Binabik powiedział:

– Jeśli kiedykolwiek miałem ci coś ważnego do powiedzenia, będzie to właśnie to, co ci teraz powiem. Gdybyśmy się zgubili, możemy nigdy się nie odnaleźć.

– Binabik, ja byłem już w tym lesie.

– Tylko na jego skraju, przyjacielu. Teraz pójdziemy daleko w głąb.

– Przez cały las?

– Ha! Nie. Zajęłoby nam to całe miesiące, a może i lata, kto wie? Ale będziemy daleko od jego skraju i musimy wierzyć, że zostaniemy potraktowani jako mile widziani goście.

Simon spojrzał w dół i poczuł gęsią skórkę. Miał przed sobą ciemne, milczące drzewa, pogrążone w cieniu ścieżki, na której nigdy nie rozbrzmiewały ludzkie kroki. Nagle przypomniały mu się wszystkie historie o lesie opowiadane przez ludzi z miasta i zamku.

„Ale muszę iść – pomyślał. – I wcale nie uważam, że las jest zły. Jest tylko stary... bardzo stary. I podejrzliwy w stosunku do obcych; takie przynajmniej sprawia wrażenie”.

– Chodźmy – powiedział głosem najsilniejszym, na jaki mógł się zdobyć, lecz gdy Binabik zaczął iść w dół, Simon zrobił na piersi znak Drzewa; tak na wszelki wypadek.

ZESZLI ZE WZGÓRZA I SZLI trawiastymi pagórkami, opadającymi do krawędzi lasu Aldheorte, kiedy nagle Qantaqa zatrzymała się i przekrzywiła kudłaty łeb na jedną stronę. Słońce stało już wysoko na niebie – minęło południe – i unosząca się nad ziemią mgła ustąpiła. Chłopiec i troll zbliżyli się do wilczycy, która przywarła do ziemi nieruchomo, i rozejrzeli się. Nie dostrzegli żadnego ruchu.

Kiedy do niej podeszli, Qantaqa zaskomlała i odwróciła łeb w drugą stronę, nasłuchując. Binabik spokojnie opuścił torbę na ziemię, tłumiąc słabe grzechotanie kości w jej wnętrzu i sam nadstawił ucha; włosy opadły mu na czoło.

Troll otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz zanim to zrobił, Simon też już usłyszał: słaby, opadający i rosnący odgłos, jakby wysoko nad nimi przelatywał sznur gęsi. Odgłos nie dochodził jednak z góry; wydawało się raczej, że niesie się długim korytarzem między lasem i wzgórzami, choć Simon nie potrafił powiedzieć, czy nadchodzi z północy, czy z południa.

– Co... – zaczął, ale Qantaqa zaskomlała ponownie i potrząsnęła głową, jakby chciała powiedzieć, że nie podoba jej się to, co słyszy. Troll uniósł małą, brązową dłoń i słuchał jeszcze przez chwilę, po czym zarzucił torbę na ramię i skinąwszy na Simona, ruszył w stronę mrocznego lasu.

– Wydaje mi się, że to psy myśliwskie – powiedział. Wilczyca zataczała wokół nich koła, zbliżając się i oddalając. – Są chyba daleko, na południe od wzgórz... na terenie Frostmarch. Im szybciej wejdziemy do lasu, tym lepiej.

– Możliwe – powiedział Simon, starając się dorównać kroku Binabikowi, który już prawie biegł – ale nigdy dotąd nie słyszałem ujadania takich psów...

– Też o tym pomyślałem – mruknął troll – dlatego powinniśmy iść możliwie najszybciej.

Simon zastanowił się nad tym, co przed chwilą powiedział Binabik, i poczuł ucisk w żołądku.

– Stój – odezwał się nagle i sam się zatrzymał.

– Co ty robisz? – syknął Binabik. – Wprawdzie są jeszcze bardzo daleko, ale...

– Przywołaj Qantaqę. – Simon nie ruszał się z miejsca.

Troll przyglądał mu się przez chwilę, a potem zagwizdał na wilczycę, która posłusznie do niego przybiegła.

– Mam nadzieję, że wyjaśnisz zaraz... – zaczął Binabik, lecz Simon wskazał na Qantaqę.

– Jedź na niej. No, wsiadaj. Jeśli mamy się spieszyć, ja mogę biec, ale ty masz za krótkie nogi.

– Simonie – powiedział Binabik, a w jego oczach pojawił się błysk gniewu – już jako mały chłopiec biegałem po stromych zboczach gór Mintahoq...

– Ale tu jest teren otwarty i opada w dół. Binabik, proszę, sam powiedziałeś, że musimy się spieszyć!

Troll jeszcze raz spojrzał na niego, po czym odwrócił się i cmoknął na Qantaqę. Wilczyca przywarła brzuchem do ziemi porośniętej skąpą trawą. Binabik przerzucił nogę przez jej szeroki grzbiet i ulokował się na nim, używając gęstej sierści zamiast siodła. Kiedy cmoknął powtórnie, wilczyca wstała; wyprostowała najpierw przednie, a potem tylne łapy, kołysząc trollem siedzącym na jej grzbiecie.

– *Ummu*, Qantaqa – rzucił krótko.

Qantaqa ruszyła przed siebie. Simon wydłużył krok i biegł obok nich. Nie słyszeli teraz niczego poza odgłosem własnych stóp, lecz na wspomnienie odległego wycia Simon poczuł dreszcz na karku. W coraz większym stopniu ciemna twarz lasu Aldheorte stawała się uśmiechniętym

obliczem przyjaciela. Binabik pochylił się nisko nad grzbietem Qantaqi i przez długi czas nie odwracał głowy w stronę Simona.

Posuwali się szybko w dół łagodnego zbocza. Słabo świecące słońce dotykało już nieomal wierzchołków wzgórz, kiedy dotarli do pierwszej linii drzew; weszli w kępę gibkich brzóz, które niczym blade służące wprowadzały gości do domu swego ponurego, starego pana.

Z OBLANYCH ŚWIATŁEM zachodzącego słońca wzgórz weszli wprost w mrok otaczających ich drzew. Miękkie podłoże lasu tłumiło odgłos kroków; biegli więc jak duchy między rzadko jeszcze rosnącymi drzewami. Biegnąc, wzbijali kurz, który unosił się za nimi i lśnił w snopach promieni słonecznych, przebijających się między gałęziami.

Simon był już mocno zmęczony; pot spływał strużkami po jego szyi i twarzy.

– Musimy biec dalej! – zawołał do niego Binabik z falującego grzbietu Qantaqi. – Wkrótce las zgęstnieje i będzie za ciemno, byśmy mogli biec. Wtedy odpoczniemy.

Simon nic nie odpowiedział i biegł dalej z uczuciem, że gorący oddech rozerwie mu płuca.

Kiedy chłopiec zwolnił i zaczął szybko iść, zataczając się, Binabik zsunął się z grzbietu wilczycy i podbiegł do niego. Świecące ukośnie słońce wspinało się po pniach otaczających ich drzew; wyższe gałęzie lśniły w świetle niczym kolorowe witraże w kaplicy w Hayholt, co sprawiało, że podłoże zdawało się jeszcze ciemniejsze. Wreszcie ciemność spowiła najniższe partie lasu i Simon potknął się o wystający z ziemi kamień; nie przewrócił się tylko dlatego, że Binabik zdążył chwycić go za łokieć.

– Usiądź – powiedział troll.

Simon osunął się bez słowa i poczuł, jak miękka ziemia trochę się pod nim ugina. Qantaqa zatoczyła koło i zawróciła. Obwąchała miejsce wokół Simona, po czym usiadła i zaczęła zlizywać pot z karku chłopca; łaskotało go to, lecz był zbyt wyczerpany, by ją odgonić.

Binabik przykucnął i rozglądał się dookoła. Byli w połowie niewielkiego zbocza, u którego stóp wił się mały strumień.

– Kiedy odpoczniesz trochę – powiedział – pójdziemy tam. – Wskazał palcem na olbrzymi dąb, znajdujący się nieco powyżej; jego splątane korzenie powstrzymywały inne drzewa przed wyrośnięciem obok niego, tak że spora przestrzeń wokół powyginanego i sękatego pnia pozostała wolna. Simon skinął głową, lecz wciąż nie mógł złapać oddechu. Dopiero po chwili podniósł się z wysiłkiem i powlókł za trollem w górę, w stronę drzewa.

– Czy wiesz, gdzie jesteśmy? – spytał, kiedy ponownie usiadł, opierając się plecami o jeden z krętych, wystających z ziemi korzeni.

– Nie – odpowiedział pogodnie Binabik. – Ale jutro, kiedy będzie jasno i będę miał czas na pewne rzeczy... wtedy będę wiedział. Teraz pomóż mi znaleźć trochę kamieni i patyków, żebyśmy mogli rozpalić małe ognisko. A później – Binabik wstał i zaczął rozglądać się w mroku za patykami – a później będę miał dla ciebie miłą niespodziankę.

BINABIK ZBUDOWAŁ WOKÓŁ OGNIA coś w rodzaju kamiennego parawanu o trzech bokach, by osłonić jego światło, lecz ogień trzeszczał wystarczająco radośnie. Jego blask rzucał dziwne cienie, gdy Binabik szukał czegoś w torbie. Simon patrzył, jak kilka samotnych iskier wzleciało do góry.

Do zjedzenia mieli tylko suszoną rybę i twarde ciastka, które popili wodą. Simon czuł, że jego żołądek nie został potraktowany tak, jak by się

tego spodziewał, ale i tak lepiej było wygrzewać przy ogniu obolałe nogi, niż biec. Nie pamiętał, by kiedykolwiek przedtem biegł bez przerwy tak długo.

– Cha, cha! – zachichotał Binabik i znad torby triumfująco spojrzał na Simona. – Simonie, oto niespodzianka, którą ci obiecałem. Prawdziwa niespodzianka!

– Mówiłeś o miłej niespodziance. Innych miałem już tyle, że starczy mi do końca życia.

Binabik uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Ty ocenisz, jak bardzo jest przyjemna. Spróbuj tego.

Wręczył Simonowi mały, ceramiczny dzbanek.

– Co to jest? – Simon zbliżył naczynie do ognia. Wyglądało dość solidnie, lecz nie miało żadnych ozdób. – Czy to jakieś naczynie trollów?

– Otwórz.

Simon przycisnął u góry palcem i poczuł, że dzbanek jest zalepiony czymś miękkim, jakby woskiem. Wydrapał dziurę i powąchał. Chwilę później wsadził do dziury palec, wyciągnął go i polizał.

– Konfitury! – zawołał uradowany.

– Z winogron, co do tego nie mam wątpliwości – powiedział Binabik zadowolony z reakcji Simona. – Znalazłem je w klasztorze, ale w tym całym zamieszaniu zapomniałem o nich.

Simon zanurzył palec kilkakrotnie i z ociąganiem podał dzbanek Binabikowi. Naczynie szybko opustoszało i można było przekazać je wilczycy do wylizania.

Simon otulił się płaszczem i siadł tuż przy ciepłych kamieniach dogasającego ogniska.

– Binabik, a może zaśpiewasz mi piosenkę? – zapytał. – Albo opowiesz jakąś historię?

Troll spojrzał na niego.

– Może nie opowieść, gdyż musimy się przespać i wcześnie wstać, ale mogę zaśpiewać ci krótką piosenkę.

– Dobrze.

– Chociaż chciałbym, żebyś to ty zaśpiewał piosenkę – powiedział Binabik, naciągając na głowę kaptur. – Jakąś spokojną.

– Ja? Piosenkę? – Simon zastanawiał się przez chwilę. Spojrzał w górę i wydało mu się, że wśród gałęzi zobaczył słabe migotanie gwiazdy. Gwiazda... – No dobrze – powiedział – skoro ty śpiewałeś dla mnie o Seddzie i Gwiezdnym Kocu, ja spróbuję zaśpiewać ci piosenkę, której nauczyły pokojówki, kiedy byłem mały. – Ułożył się wygodniej. – Mam nadzieję, że pamiętam słowa. To wesoła piosenka.

W lesie Aldheorte rozległo się wołanie,
To Jack Mundane wszystkim dobrze znany
Wieść taką rozpuścił po lesie:
– Koronę daję i sławę pierwszego zbója
Dla tego, kto gwiazdę mi przyniesie.

Bearnoth przyszedł pierwszy i tak oto zawołał:
– Na najwyższe drzewo wejdę
I gwiazdę ci chwycę za koronę złocistą,
Która odtąd mą będzie.

I wspiął się na brzozę, na najwyższy jej konar,
I dalej na wysoki cis skoczył.

Lecz choć skakał i wspinał się, spadał i znów wchodził,
Gwiazdy żadnej dosięgnąć nie zdołał.

Po nim Osgal, wesołek, wszem i wobec oświadczył,
Że swą strzałę w niebo wypuści.
– Strącę z nieba gwiazdę i sama tu spadnie,
A korona złocista mnie przypadnie.

I choć wszystkie strzały puścił, żadna gwiazdy nie trafiła,
Która wciąż na niebie lśniła.
Kiedy strzały na dół spadły, Osgal wrócił do Jacka,
A on rzekł: – Nagroda czeka!

Potem inni próbowali, kłócili się i mocowali,
Lecz niczego nie wskórali.
Wtedy jasnowłosa Hruse wstała, suknię wygładziła
I na wszystkich z góry popatrzyła.

– Jack chytrą zadał wam zagadkę –
Z błyskiem w oku oświadczyła Hruse.
– Lecz skoro dla was za trudne to zadanie,
Ja spróbuję znaleźć rozwiązanie.

I sieć im zaraz przynieść kazała,
Którą na jezioro zarzuciła.
Wtedy woda się wzburzyła i nieomal zmąciła
Obraz gwiazdy jasnej, co na wodzie powstał.

Uśmiechnięta Hruse na Jacka popatrzyła:

– Widzisz? Oto com zrobiła!
W sieć twa gwiazda schwytana,
Moją będzie korona pozłacana.

Stary Jack się roześmiał i to wszystkim ogłosił:
Ta oto kobieta moją żoną zostanie.
Gdyż gwiazdę dla mnie zdjęła i koronę sobie wzięła,
Więc i ja swoje życie jej oddam.
Tak, gwiazdę mu zdjęła i koronę sobie wzięła,
Więc Jack wybrał ją na żonę.

Simon usłyszał w ciemności spokojny i pogodny śmiech Binabika.

– Rzeczywiście wesoła piosenka. Dziękuję ci.

Wkrótce trzask dogasającego ognia umilkł i jedynym odgłosem był szept wiatru w koronach bezkresnego lasu.

JESZCZE ZANIM OTWORZYŁ OCZY, Simon usłyszał monotonne buczenie, które wznosiło się i opadało gdzieś w pobliżu. W półśnie podniósł głowę i zobaczył Binabika, który siedział przy ognisku ze skrzyżowanymi nogami. Słońce dopiero co wzeszło; las wokół nich pojawiał się i znikał we mgle.

Binabik ułożył starannie wokół ogniska koło z przeróżnych ptasich piór, jakby wyzbierał je z całej okolicy. Teraz siedział z zamkniętymi oczami, pochylony nad słabym ogniem i śpiewał monotonnie w swoim języku; to właśnie jego śpiew obudził Simona.

– *...Tutusik-Ahyuq-Chuyuq-Qachimak, Tutusik-Ahyuk-Chuyuq-Qachimak...* – powtarzał te same słowa bez przerwy. Cienka strużka dymu z ogniska zadrżała, jakby poruszona powiewem wiatru, lecz pióra na ziemi nie drgnęły nawet. Nie otwierając oczu, troll począł zataczać dłonią płaskie

koła nad ogniem; strużka dymu załamała się jakby pchnięta i zaczęła wydobywać się z boku jedną ze szczelin między kamieniami ogniska. Binabik otworzył oczy, spojrzał na dym i zatrzymał dłoń. Po chwili dym ponownie wzniósł się ku górze.

Przez cały czas Simon wstrzymywał oddech i teraz odetchnął głęboko.

– Czy teraz wiesz, gdzie jesteśmy? – zapytał.

Binabik odwrócił się i uśmiechnął zadowolony.

– Witam cię o poranku. Tak, zdaje się, że teraz wiem bardzo dobrze. Żeby dostać się do domu Geloë...

– Do domu? – spytał Simon. – W lesie Aldheorte jest jakiś dom? Jak wygląda?

– Ach – Binabik wyprostował nogi i roztarł kostki – to nie jest taki dom, o jakim... – zamilkł i patrzył ponad ramieniem Simona. Chłopiec odwrócił się przerażony, lecz nic nie dostrzegł.

– Co się stało?

– Cicho... – Binabik wciąż patrzył przed siebie. – Teraz. Słyszysz?

Po chwili Simon także wiedział, o co chodzi: ujadanie psów, które słyszeli już w drodze do lasu. Wzdrygnął się.

– Znowu te psy! – powiedział. – Ale wydaje mi się, że wciąż są daleko.

– Nie rozumiesz. – Binabik spojrzał w ogień, a potem w górę, w światło poranka, które sączyło się przez korony drzew. – Minęły nas nocą. Biegły całą noc! A teraz, jeśli mnie słuch nie myli, zawróciły w naszą stronę.

– Czyje to psy? – Simon poczuł, że dłonie zaczynają mu się pocić, i wytarł je o płaszcz. – Czy one nas gonią? Chyba nie mogą wytropić nas w lesie, prawda?

Binabik jednym kopnięciem rozrzucił pióra i zaczął pakować swą torbę.

– Nie wiem. Nie potrafię odpowiedzieć na żadne z twych pytań. Las posiada moc, która mogłaby zmylić psy myśliwskie – zwykłe psy. Ale nie sądzę, by któryś z miejscowych baronów polował z psami przez całą noc; zwykłe psy by tego nie potrafiły.

Binabik zawołał Qantaqę. Simon usiadł i szybko wciągnął buty. Był cały obolały, lecz wiedział, że będzie musiał biec dalej.

– To Elias, prawda? – powiedział ponuro i zadrżał, wciskając pokrytą pęcherzami stopę do buta.

– Możliwe. – Qantaqa przywarła do ziemi, a Binabik przełożył nogę przez jej grzbiet i podciągnął się. – Ale dlaczego tak mu zależy na pomocniku Doktora i skąd wziął psy, które potrafią przebiec dwadzieścia mil w ciągu nocy? – Binabik ulokował się wraz z torbą na karku Qantaqi i wręczył Simonowi swój kij. – Nie zgub go, proszę. Szkoda, że nie znaleźliśmy konia dla ciebie.

Ruszyli w dół wąwozu, a potem znowu w górę jego drugim zboczem.

– Czy są blisko? – zapytał Simon. – Jak daleko jest... ten dom?

– Jesteśmy dość daleko zarówno od psów, jak i od domu – powiedział Binabik. – Kiedy Qantaqa się zmęczy, będę biegł z tobą. *Kikkasut!* – zaklął. – Ile bym dał za konia!

– Ja także – wysapał Simon.

PRZEZ CAŁY RANEK POSUWALI SIĘ na wschód, w głąb lasu. Pokonywali kolejne skaliste wzniesienia, a ujadanie psów cichło i pojawiało się niespodziewanie z większą intensywnością. Kiedy Qantaqa zmęczona zwolniła, Binabik zeskoczył z jej grzbietu i biegł obok. Musiał stawiać dwa kroki na jeden krok Simona; wydymał regularnie policzki, ukazując zęby.

Było już prawie południe, kiedy się zatrzymali, by napić się wody i odpocząć. Simon oddarł kawałki materiału ze swych zawiniątek, owinął nimi otarte pięty i oddał swoje rzeczy Binabikowi, który miał schować je do torby; Simon dotąd trzymał je za paskiem, tak że w czasie biegu obijały mu się o udo. Kiedy odpoczęli trochę i spryskali twarze ostatnimi, mętnymi kroplami z bukłaka, znowu usłyszeli pościg. Tym razem ujadanie psów wydało im się tak bliskie, że natychmiast wyruszyli dalej.

Wkrótce zaczęli wspinać się po łagodnym wzniesieniu. W miarę jak wchodzili wyżej, podłoże stawało się coraz bardziej skaliste i zmieniał się drzewostan. Simon szedł pod górę, potykając się, i czuł, jak ogarnia go poczucie klęski. Wprawdzie Binabik powiedział, że dotrą do domu Geloë późnym popołudniem, lecz pościg był coraz bliżej, a słońce nie osiągnęło jeszcze zenitu. Wciąż słychać było wyraźne ujadanie rozjuszonych psów i Simon zastanawiał się, skąd mają tyle siły, by biec i szczekać jednocześnie. Co to za ogary? Serce Simona tłukło się równie szybko jak skrzydła ptaka. Niebawem będą musieli stawić czoło pościgowi. Na myśl o tym robiło mu się niedobrze.

Wreszcie drzewa przerzedziły się i zobaczyli wyraźniej niebo: byli na szczycie wzniesienia. Minęli ostatnie pnie. Biegnąca przed nimi Qantaqa zatrzymała się nagle i zaszczekała wysoko.

– Simon! – zawołał Binabik i rzucił się na ziemię, podcinając nogi chłopca, tak że ten przewrócił się zaskoczony. Na chwilę pociemniało mu w oczach, lecz zaraz potem zorientował się, że leży na brzuchu i patrzy w dół skalistego wąwozu. Parę kamieni obsunęło mu się spod rąk i odbijając o skalistą ścianę, zniknęło w dole wśród wierzchołków zielonych drzew.

W następnej chwili znowu usłyszał ujadanie, brzmiące niczym odgłos wojennych trąb. Simon i troll odsunęli się o parę stóp od krawędzi wąwozu

i wstali.

– Spójrz! – syknął Simon, nie zważając na podrapane ręce i brodę. – Binabik, patrz! – Wskazał na brzeg lasu, skąd przyszli.

Dobre pół mili za nimi wśród drzew pojawiły się białe ogary.

Binabik wziął od Simona swój kij i rozłożył go. Wytrząsnął z jednej połowy strzały, a drugą, z nożem, podał Simonowi.

– Szybko – powiedział. – Utnij solidną gałąź. Jeśli już mamy sprzedać życie, niech ma swoją cenę. – Gardłowe ujadanie zbliżało się, płynąc w górę zbocza – pieśń zwiastująca koniec pogoni i śmierć.

25. Tajemnicze jezioro

SIMON CAŁYM CIAŁEM NAGIĄŁ GAŁĄŹ i odcinał ją najszybciej, jak potrafił; nóż ślizgał mu się w drżących dłoniach. Wycięcie odpowiedniej pałki – która i tak nie mogła być skuteczną bronią – zabierało mu cenne sekundy, a psy zbliżały się z każdą chwilą. Gałąź miała długość jego ramienia i zakończona była guzem w miejscu, skąd wyrastała mniejsza.

Troll jedną ręką przytrzymywał Qantaqę, a drugą szukał czegoś w torbie.

– Trzymaj ją! – krzyknął do Simona. – Jeśli pozwolimy jej pobiec, zaatakuje za wcześnie. Zmęczą ją, a potem zagryzą.

Simon przyklęknął, obejmując mocno szyję wilczycy. Drżała podniecona, a on czuł pod dłonią jej mocno bijące serce. Pomyślał, że i jego wcale nie bije spokojniej – wszystko wydawało się tak nierealne! Jeszcze tego ranka siedział spokojnie z Binabikiem przy ognisku...

Szczekanie nasiliło się; psy biegły w górę niczym białe termity, które umykają z walącego się gniazda. Qantaqa wyrwała się do przodu tak mocno, że Simon upadł na kolana.

– *Hinik aia!* – krzyknął Binabik i uderzył ją w pysk pustą częścią swego kija. W następnej chwili rzucił go na ziemię i wyjął z torby linę, na której zaczął wiązać pętlę. Simon domyślał się zamiarów trolla i z powątpiewaniem spojrzał poza krawędź wąwozu. Do jego dna było

o wiele dalej, niż mogła sięgnąć lina. Nagle dostrzegł coś, co wzbudziło w nim nadzieję.

– Binabik, spójrz! – wskazał ręką.

Troll, jakby zupełnie nie zdawał sobie sprawy z nierealności swego zamiaru, zawiązywał linę wokół pnia, który wystawał z ziemi niecały jard od krawędzi wąwozu. Skończył i dopiero wtedy spojrzał tam, gdzie wskazywał Simon.

Około stu kroków dalej widać było olbrzymi świerk, który wpadł do wąwozu i podstawą opierał się na krawędzi po ich stronie, czubek zaś zaczepił się o skalny występ w połowie przeciwległej ściany.

– Możemy przejść na drugą stronę! – zawołał Simon.

Troll potrząsnął głową.

– Jeśli uda nam się zejść z Qantaqą, będzie to znaczyło, że psy pójdą za nami. Poza tym to droga donikąd. – Wskazał na skalny występ, który rzeczywiście stanowił tylko skalną półkę. – Ale może się to przydać. – Wstał i pociągnął za linę, sprawdzając supeł. – Spróbuj zejść tam z Qantaqą. Nie za daleko. Tylko parę łokci. Trzymaj ją, dopóki nie zawołam, rozumiesz?

– Ale... – zaczął Simon i popatrzył w dół zbocza. Białe psy – chyba około dwunastu – były już prawie na szczycie. Chwycił opierającą się Qantaqę za kark i zaciągnął do świerka. Część korzeni wystawała poza krawędź wąwozu, lecz pozostałe wystarczająco mocno opierały się na skalnym podłożu. Simon podejrzewał, że nie utrzyma równowagi, ciągnąc szamocącą się Qantaqę, która opierała się i warczała. Psy były już tak blisko, że ich ujadanie prawie całkowicie zagłuszyło jej warczenie. Usiłując zmusić ją do wejścia na drzewo, popatrzył zdesperowany na Binabika.

– *Ummu!* – zawołał ostro troll i wilczyca, choć nie przestała warczeć, wskoczyła na drzewo. Simon siadł okrakiem na pniu i poczuł, że

przeszkadza mu pałka, którą wsunął za pasek. Kiedy przesunął się spory kawałek od krawędzi wąwozu, przez cały czas trzymając mocno Qantaqę, wtedy właśnie Binabik zawołał i wilczyca rzuciła się w jego stronę. Simon rękoma uczepił się szyi wilczycy, a kolanami ścisnął mocno pień. Nagle zrobiło mu się zimno, bardzo zimno! Wtulił twarz w sierść Qantaqi i wciągając w nozdrza jej zapach, wyszeptał modlitwę.

– ...Elysio, matko naszego Odkupiciela, miej litość, chroń nas...

Binabik stał ze zwiniętą liną w dłoni krok przed krawędzią wąwozu.

– *Hinik*, Qantaqa! – zawołał i w tej chwili ogary wybiegły z lasu i znalazły się na szczycie wzniesienia.

Ze swego miejsca Simon widział zaledwie ich długie, białe grzbiety i sterczące uszy. Psy pędziły w stronę Binabika, wydając odgłos podobny do tego, jaki powstaje, kiedy ktoś ciągnie żelazny łańcuch po kamiennej podłodze.

„Co ten Binabik wyprawia? – pomyślał Simon i poczuł, że strach zapiera mu dech w piersi. – Dlaczego nie biegnie albo nie użyje swoich strzałek?”

Czuł się jak w najgorszych chwilach z przeszłości, kiedy Morgenes stał w płomieniach pomiędzy nim a ścigającym ich Eliasem. Nie mógł siedzieć i patrzeć, jak Binabik ginie na jego oczach. Kiedy zaczął podciągać się w górę pnia, psy rzuciły się w kierunku trolla.

Przez chwilę Simon dostrzegł długie, białe pyski, perliste, pozbawione źrenic oczy i czerwone języki, które wywinięte wystawały z otwartych pysków. W następnym momencie Binabik skoczył w tył do wąwozu.

– Nie! – krzyknął przerażony Simon. Pierwsze pięć czy sześć pędzących bestii rzuciło się za nim i rozpędzone wpadły w przepaść; skowycząca plątanina łap i ogonów stoczyła się w dół. Simon patrzył bezradnie, jak uderzają o stromą skałę, i usłyszał trzask łamanych gałęzi,

kiedy zniknęły wśród wierzchołków drzew daleko w dole. Poczuł, że w jego piersi wzbiera kolejny, zduszony krzyk...

– Simonie! Teraz, puść ją!

Simon zobaczył zdumiony, że Binabik, przewiązany liną w pasie, wisi kilkanaście stóp poniżej krawędzi wąwozu, opierając się stopami o ścianę.

– Puść ją! – zawołał ponownie i Simon zdjął ręce z karku Qantaqi.

Pozostałe psy tłoczyły się nad miejscem, w którym zwisał Binabik; obwąchiwały ziemię i zaglądały w dół, szczekając wściekle w stronę trolla.

Kiedy Qantaqa zaczęła ostrożnie iść w górę pnia, jeden z ogarów zwrócił swe oczy podobne do zamglonego lustra na Simona. Zawarczał złowrogo i ruszył w stronę drzewa, a za nim pozostałe psy.

Zanim ujadająca sfora dotarła do świerka, Qantaqa znalazła się już na jego końcu i wspaniałym susem zeskoczyła na ziemię. Pierwszy z ogarów rzucił się na nią, a zaraz za nim dwa następne. Ponad wściekłym ujadaniem psów wzniosła się wojenna pieśń wilczycy.

Simon przez moment nie wiedział, co robić, lecz już po chwili sunął wolno w stronę krawędzi wąwozu. Pień był tak szeroki, że nogi bolały go od pełzania po nim okrakiem, więc pomyślał, iż może iść na kolanach, lecz to zmniejszyłoby jego bezpieczeństwo. Po raz pierwszy spojrzał prosto w dół. Daleko pod nim rozpościerał się falujący, zielony dywan wierzchołków drzew. Odległość była ogromna, o wiele większa od tej, jaką zwykle pokonywał skokiem z Wieży Zielonego Anioła. Zakręciło mu się w głowie, więc odwrócił się i zdecydował, że pozostanie w tej samej pozycji. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że coś białego odbija się od krawędzi i ląduje na szerokim pniu.

Ogar zawarczał i ruszył przed siebie, mocno wpijając pazury w korę drzewa. Simon wiedział, że musi natychmiast wyciągnąć pałkę, gdyż pies miał do pokonania zaledwie kilkanaście stóp. Szarpnął kij, który zaczepił

się o pasek. Na szczęście wsadził go cieńszym końcem do dołu, co uratowało mu życie.

Kiedy wreszcie wyszarpnął pałkę, pies był już przy nim. Zalśniły żółte zęby, które miały się zatopić w jego twarzy. Zdołał unieść kij dość wysoko, by odepchnąć pysk psa w bok; zęby kłapnęły o cal od jego lewego ucha, opryskując je śliną. Pies oparł się łapami na piersi Simona, który poczuł na twarzy cuchnący padliną oddech. Zaczął tracić oparcie. Próbował podnieść wyżej koniec kija, lecz nie mógł wydostać go spomiędzy przednich łap zwierzęcia. Gdy długi pysk ponownie zwrócił się ku jego twarzy, odchylił się i spróbował uwolnić kij. Początkowo czuł opór pałki, aż wreszcie udało mu się strącić jedną z łap swego ramienia i pies stracił równowagę. Usiłował jeszcze pazurami chwycić się pnia, lecz wreszcie runął z piskiem w dół wąwozu, pociągając za sobą pałkę Simona.

Chłopiec pochylił się do przodu, objął mocno pień i zaczął kaszleć, by uwolnić się od okropnego fetoru, jaki ział z pyska zwierzęcia. Nagle usłyszał głuche warczenie. Podniósł głowę i zobaczył innego ogara, stojącego na świerku poniżej korzeni; jego mleczne białka lśniły niczym oczy ślepego żebraka. Spieniony pysk otworzył się, ukazując zęby i szkarłatny jęzor. Simon desperacko uniósł puste dłonie, podczas gdy pies posuwał się wolno w jego stronę; pod krótką sierścią widać było napięte mięśnie.

Ogar odwrócił głowę, by podrapać zębami swędzący bok, i ponownie zwrócił swe dziwne, puste oczy na Simona. Zrobił jeszcze krok, zachwiał się, potem jeszcze jeden chwiejny krok, skulił się i zsunął w dół.

– Najpewniejsza jest czarna strzała – zawołał Binabik. Troll stał parę jardów od korzeni przewróconego świerka. Po chwili nadbiegła Qantaqa i stanęła obok niego; jej pysk ociekał ciemnoczerwoną krwią.

Simon patrzył na nich i dopiero po chwili zorientował się, że przeżyli.

– Powoli teraz! – zawołał troll. – Uważaj! Rzucę linę! Nie chciałbym stracić cię po tym, co przeszliśmy! – Lina poleciała w górę i opadła na pień tuż przed Simonem. Złapał ją z wdzięcznością; jego dłonie drżały, jakby chwycił go skurcz.

Binabik z trudem odwrócił ciało psa. Był to jeden z tych, które zabił strzałą: jej bawełniana końcówka wystawała z gładkiej szyi zwierzęcia jak mały grzybek.

– Spójrz – powiedział troll.

Simon pochylił się. Nigdy dotąd nie widział takiego psa myśliwskiego: długi pysk i zwisające nieco podgardle przypominały mu bardziej groźne rekiny, które rybacy wyciągali z jeziora Kynslagh. Szeroko otwarte, półprzezroczyste oczy sprawiały wrażenie symptomu jakiejś wewnętrznej choroby.

– Nie, spójrz tutaj. – Binabik wskazał na pierś zwierzęcia. Widniał tam czarno wypalony trójkąt o wąskiej podstawie. Był to znak przynależności, podobny do tych, jakie Thrithingowie wypalali końcem włóczni na bokach swych koni.

– Znak Burzowej Góry – wyjaśnił spokojnie Binabik. – Symbol Nornów.

– Nornów?

– To dziwny lud. Żyje daleko na Północy, jeszcze poza Yiqanuc i Rimmersgardem. Jest tam ogromna góra – wysoka, pokryta śniegiem i lodem – zwana przez Rimmersmenów Burzową Górą. Nornowie nie podróżują po Osten Ard. Niektórzy twierdzą, że oni są Sithami, ale nie wiem, czy to prawda.

– Jak to możliwe? – spytał Simon. – Spójrz na obrożę. – Pochylił się i pociągnął za białą obrożę, by ściągnąć ją z martwego psa.

Binabik uśmiechnął się nieśmiało.

– A to wstyd! Nie zauważyłem tej obroży na jego białej sierści; ja, którego od dzieciństwa uczono polować na śniegu.

– Ale przyjrzyj się jej – nalegał Simon. – Spójrz na sprzączkę.

Sprzączka rzeczywiście wyglądała interesująco; wykonano ją ze srebra i miała kształt wijącego się smoka.

– Ten smok jest godłem psiarni Eliasa – powiedział zdecydowanie Simon. – Powinienem od razu się domyślić. Chodziłem przecież często do Tobasa, łowczego.

Binabik ukląkł, wpatrując się w ciało psa.

– Wierzę ci. Lecz znak Burzowej Góry świadczy o tym, że te zwierzęta nie urodziły się w twoim Hayholt. – Wstał i odsunął się; Qantaqa zaś wysunęła się do przodu, powąchała ciało i szybko cofnęła się, warcząc głucho.

– Jeszcze jedna tajemnica, z której rozwiązaniem będziemy musieli poczekać – powiedział troll. – Mieliśmy szczęście, że udało nam się przeżyć, zachowując wszystkie kończyny. Musimy ruszać dalej. Nie mam zamiaru spotkać się z ich panem.

– Czy jesteśmy w pobliżu domu Geloë?

– Zboczyliśmy trochę z drogi, ale niezbyt daleko. Jeśli zaraz wyruszymy, powinniśmy dotrzeć tam przed nocą.

Simon jeszcze raz spojrzał na długi pysk, okropne pazury, zamglone oczy i silne ciało zwierzęcia.

– Mam nadzieję – powiedział.

NIE UDAŁO IM SIĘ ZNALEŹĆ przejścia przez wąwóz, dlatego zrezygnowani ruszyli z powrotem w dół. Simon cieszył się niemal jak dziecko, że nie będą schodzili skalistą ścianą wąwozu; nogi wciąż trzęsły się pod nim, jakby

miał gorączkę. Nie miał ochoty jeszcze raz zaglądać w przepastną otchłań wąwozu. Wspinanie się po ścianach i wieżach Hayholt pełnych kwadratowych narożników i pęknięć to jedno. Zupełnie inaczej było z drzewem, które wisiało nad przepaścią niczym cienka gałązka.

Po godzinie dotarli do podnóża wzniesienia, skręcili na prawo i ruszyli okrężną drogą na północny zachód. Nie uszli mili, kiedy nagle popołudniową ciszę przerwał wysoki, zawodzący krzyk. Zatrzymali się; Qantaqa nastawiła uszy i zawarczała. Krzyk powtórzył się.

– Jakby płaczące dziecko – powiedział Simon i zwrócił głowę w stronę, skąd dochodził krzyk.

– Las często płata takie figle – zaczął Binabik i w tej samej chwili krzyk powtórzył się, a zaraz potem usłyszeli dobrze im znane ujadanie psów.

– Na oczy Qinkipy! – zaklął Binabik. – Czy oni będą nas ścigać przez całą drogę do Naglimundu? – Szczekanie wzmogło się i Binabik zaczął nasłuchiwać. – Tym razem, na szczęście, słyszę tylko jednego.

– Jest chyba gdzieś tam w dole. – Simon wskazał w stronę, gdzie drzewa rosły nieco gęściej. – Chodźmy zobaczyć!

– Simonie! – zawołał ostro Binabik najwyraźniej zdziwiony. – Co ty wygadujesz? Przecież my uciekamy! Chodzi o nasze życie!

– Mówiłeś, że jest tylko jeden. Mamy Qantaqę. Zaatakował kogoś. Jak możemy uciec?

– Simonie, może to tylko zwierzę, a może podstęp...

– A jeśli nie? – nalegał Simon. – A jeśli on napadł dziecko jakiegoś drwala... albo... coś takiego?

– Dziecko drwala? Tak daleko od skraju lasu? – Binabik patrzył na chłopca niezdecydowany, lecz Simon wytrzymał jego spojrzenie. – Ach! – westchnął ciężko Binabik. – Niech już będzie, jak chcesz.

Simon odwrócił się i zaczął biec w kierunku gęstszej części lasu.

– *Mikmokhanno so gijiąg*, jak mówimy! – zawołał Binabik. – Twoja wola, jeśli chcesz trzymać głodną łasicę w kieszeni!

Chłopiec biegł dalej, nie odwracając głowy. Binabik uderzył kijem w ziemię i pobiegł za nim.

Przebiegł około stu kroków, zanim dogonił Simona; w trakcie kolejnych dwudziestu otworzył swój kij i wyciągnął z niego torebkę ze strzałkami. Nie zatrzymując się, przywołał Qantaqę i zręcznie owinął wełną jedną z czarno zakończonych strzałek.

– Czy nie zatrułbyś się, gdybyś się potknął i przewrócił? – zapytał Simon,

Binabik, który starał się dotrzymać mu kroku, rzucił mu ponure, nieco zmartwione spojrzenie.

Kiedy dotarli wreszcie na miejsce, wszystko wyglądało podejrzanie spokojnie: pod rozłożystym jesionem warował pies, który wpatrywał się w niewyraźną postać skuloną wśród gałęzi. Przypominało to scenę z zamku Hayholt, gdzie często pies zaganiał kota na drzewo, tyle tylko, że tutaj zarówno pies, jak i ofiara były o wiele większe.

Znaleźli się o jakieś sto kroków od drzewa i wtedy pies zwrócił się w ich stronę. Wyszczerzył zęby i zaszczekał złowrogo. Jeszcze raz spojrzał na drzewo, podniósł się i ruszył susami w ich stronę. Binabik zwolnił, a potem zatrzymał się, unosząc do ust swój wydrążony kij; Qantaqa biegła tuż za nim. Ogar zbliżył się znacznie i wtedy troll nadął policzki i wydmuchnął strzałę. Nawet jeśli czarna strzała trafiła, pies nie zareagował; biegł dalej, warcząc. Qantaqa ruszyła mu na spotkanie. Ten ogar był większy od pozostałych, chyba nawet trochę większy od Qantaqi.

Zwierzęta nie próbowały się okrążać, lecz rzuciły się od razu na siebie. W następnej chwili tarzały się, warcząc i kłapiąc zębami; tworzyły ziejącą, biało-szarą kulę. Stojący obok Simona troll zaklął głośno; kiedy próbował

szybko wyciągnąć kolejną strzałę, skórzana torebka wypadła mu z rąk. Kościane strzałki rozsypały się, ginąc w mchu i liściach.

Warczenie zwierząt przybrało wyższy ton. Długi, biały łeb ogara zaczął unosić się i opadać: raz, drugi, trzeci, niczym atakująca żmija. Kiedy podniósł łeb po raz trzeci, na jego białym pysku widać było krew.

Binabik wydał zduszony okrzyk i obaj z Simonem ruszyli w stronę walczących zwierząt.

– Qantaqa! – zawołał troll i pobiegł szybciej.

Simon dostrzegł błysk noża z kościaną rękojeścią i z przerażeniem zobaczył, że troll rzuca się na kotłujące zwierzęta, zamierza się nożem, uderza raz, a potem jeszcze raz. Simon, który teraz obawiał się o życie obu swych towarzyszy, podniósł porzucony przez trolla wydrążony kij i pobiegł naprzód. Przybył w chwili, kiedy troll z wysiłkiem odciągał Qantaqę. Zwierzęta rozdzieliły się; oba były zakrwawione. Qantaqa wstała powoli, unosząc jedną łapę. Biały ogar leżał nieruchomo.

Binabik przyklęknął, objął ramieniem kark wilczycy i przycisnął jej czoło swojego. Simon, poruszony tą sceną, odszedł w stronę drzewa.

Pierwszą niespodzianką, jaką dostrzegł, było to, że w gałęziach ukrywały się dwie osoby: siedział tam młodzieniec o wielkich oczach, który tulił do siebie mniejszą, nieruchomą postać. Drugą był fakt, że znał większą z postaci.

– To ty! – Patrzył zdumiony na umorusaną i pokrwawioną twarz. – To ty! Mal... Malachias!

Chłopiec nic nie odpowiedział i patrzył w dół przestraszonym wzrokiem, kołysząc łagodnie małą postać trzymaną na kolanach. Przez chwilę otaczający las pogrążył się w zupełnej ciszy i bezruchu, jakby wędrujące ponad drzewami słońce zatrzymało się. W następnym momencie jednak ciszę przerwał dźwięk rogu.

– Szybko! – Simon zawołał do Malachiasa. – Zejdź na dół! Pospiesz się! – W tym momencie nadszedł Binabik z kulejącą Qantaqą.

– Jestem pewien, że to róg myśliwski – powiedział.

Malachias spojrzał, jakby dopiero teraz dotarło do niego, co się dzieje, i zaczął zsuwać się po długim konarze w stronę pnia drzewa, przytrzymując ostrożnie drugą osobę. Kiedy dotarł do miejsca, z którego wyrastał konar, zawahał się, lecz po chwili podał nieruchomą postać Simonowi. Była to ciemnowłosa dziewczynka, która mogła mieć nie więcej niż dziesięć lat. Blada, z zamkniętymi oczami leżała bezwładnie w ramionach Simona. Trzymając ją, chłopiec poczuł coś lepkiego z przodu jej sukienki. Malachias zawisł na moment na rękach puścił się, przekoziołkował i natychmiast wstał.

– Co robimy? – zapytał Simon, starając się oprzeć dziewczynkę na swojej piersi. W tej chwili ponownie rozległ się dźwięk rogu – gdzieś znad krawędzi wąwozu, który zostawili za sobą – a zaraz potem usłyszeli ujadanie podnieconych psów.

– Nie możemy walczyć jednocześnie z ludźmi i z psami – powiedział troll. Na jego twarzy widać było wyczerpanie. – Nie mamy szans ucieczki przed końmi. Musimy się gdzieś ukryć.

– Ale gdzie? – zastanawiał się Simon. – Psy nas wytropią.

Binabik pochylił się, wziął w dłonie zranioną łapę wilczycy i zgiął ją kilkakrotnie. Początkowo Qantaqa próbowała się bronić, lecz zaraz usiadła, dysząc ciężko i czekała cierpliwie, aż Binabik skończy.

– Zraniona, lecz nie złamana – powiedział do Simona, a potem zwrócił się do Qantaqi. Malachias przeniósł wzrok z dziewczynki na trolla. – *Chok*, Qantaqa, mój dzielny przyjacielu – powiedział troll – *ummu chok Geloë!*

Wilczyca zamruczała cicho i natychmiast pobiegła na północny wschód, oddalając się od odgłosów pościgu. Patrzyli, jak biegnie, podkurczając

zakrwawioną przednią łapę, i znika wśród drzew.

– Mam nadzieję, że pogubią się w tych wszystkich śladach – Binabik wskazał na martwego ogara, a potem na drzewo – i pójdą tropem Qantaqi. Nie dogonią jej, chociaż kuleje; jest za mądra.

Simon rozejrzał się.

– A może tam? – zapytał, wskazując na szczelinę w zboczu, która powstała po oderwaniu się ogromnego, cętkowanego kamienia.

– Tak, tylko nie wiemy, w którą stronę pojadą – odpowiedział Binabik. – Uda nam się, jeśli będą zjeżdżali zboczem. Jeśli jednak pojadą dalej, będą przejeżdżać dokładnie obok tej dziury. Zbyt duże ryzyko.

Simon nie potrafił się skupić, by wymyślić coś innego. Z przerażeniem nasłuchiwał odgłosów zbliżającego się pościgu. Czy rzeczywiście ma być tak, jak mówi Binabik? Czy będą ich ścigać do samego Naglimundu? Przecież są zbyt wyczerpani, by biec dalej.

– Tam! – krzyknął nagle.

Pomiędzy drzewami widać było skalny palec, wyrastający w górę na mniej więcej trzykrotną wysokość człowieka. Wokół jego podstawy rosły gęsto drzewa, które otaczały go, niczym dzieci pomagające babci dojść do stołu.

– Jeśli uda nam się wspiąć na górę, będziemy nawet ponad poziomem jeźdźców.

– Tak. – Binabik skinął głową. – Masz rację. Chodźcie, spróbujemy się tam wspiąć. – Ruszył w stronę wystającej z ziemi skały, a za nim milczący Malachias.

Simon mocniej objął dziewczynkę i poszedł szybko za nimi.

Binabik wspiął się na pewną wysokość, a potem uczepił gałęzi najbliżej rosnącego drzewa.

– Podaj mi małą.

Simon podniósł dziewczynkę i podtrzymał łokieć Malachiasa, który szukał odpowiedniego występu dla nogi. Chłopiec odtrącił rękę Simona i zaczął się ostrożnie wspinać.

Simon ruszył ostatni. Kiedy dotarł do pierwszej półki w skale, podniósł nieruchomą dziewczynkę, delikatnie przerzucił ją sobie przez ramię i zaczął wspinać się dalej, na zaokrąglony szczyt skały. Wreszcie wszyscy leżeli wśród liści i gałązek zasłonięci ścianą gałęzi. Serce Simona biło gwałtownie ze strachu i wyczerpania. Wydawało mu się, że w całym swoim życiu nic tylko uciekał i ukrywał się.

Leżeli ciasno, jedno obok drugiego, starając się przybrać możliwie najdogodniejsze pozycje, a ujadanie psów wzmagało się z każdą chwilą, aż nagle w dole zaroiło się od biegających wokół białych ogarów.

Simon zostawił dziewczynkę w ramionach Malachiasa i podpełzł do Binabika, leżącego tuż przy krawędzi wierzchołka skały; obaj obserwowali, co się dzieje, przez prześwity w gałęziach. Psów było kilkanaście; biegały, szczekając i obwąchując wszystko pomiędzy drzewami, martwym ogarem i podnóżem ich skały. Jeden z nich uniósł nawet głowę z szeroko otwartym pyskiem i wydawało się, że patrzy na Simona i Binabika swymi lśniącymi, pustymi oczami. Po chwili jednak dołączył do swych towarzyszy.

Gdzieś niedaleko rozległ się dźwięk rogu. Wkrótce ukazała się grupa jeźdźców posuwających się gęsto zalesionym zboczem. Jeźdźcy zamknęli czworobok, po którym biegały psy; te zaś miotały się teraz pomiędzy nogami wierzchowca o maści koloru skały, który wyprzedzał pozostałych; szedł spokojnie, nie zwracając uwagi na psy, jakby to były ćmy. Inne konie nie były aż tak spokojne. Drugi z kolei spłoszył się trochę, więc jeździec spiął go ostrogami i opuszczając szereg, pogalopował szybciej w dół. Zatrzymał konia dopiero w pobliżu skały.

Jeździec był młody i gładko ogolony; miał ostro zarysowany podbródek i kręcone włosy koloru sierści swego kasztanowego konia. Ubrany był w srebrzystą zbroję, a na niej miał błękitno-czarną opończę z wizerunkiem trzech złotych róż rozmieszczonych ukośnie od ramienia do pasa. Minę miał bardzo ponurą.

– Jeszcze jeden martwy – rzucił krótko. – I co ty na to, Jegger? – W jego głosie dało się odczuć nutę sarkazmu. – Och, wybacz. Chciałem powiedzieć Mistrzu Ingen.

Simon zdziwił się – tak wyraźnie usłyszał słowa mówiącego, jakby tamten skierował je do ukrytych słuchaczy. Wstrzymał oddech.

Jeździec w zbroi wpatrywał się w coś, czego nie byli w stanie zobaczyć. Simon przyglądał mu się z profilu i nagle odniósł wrażenie, że twarz ta jest mu znajoma. Był pewien, że widział już tego człowieka, prawdopodobnie w Hayholt. Jego akcent wskazywał na to, że jest Erkynlandczykiem.

– Nieważne, jak będziesz mnie nazywał – odparł inny głos; ten był niski i chłodny. – Nie dzięki tobie Ingen Jegger został głównym łowczym tego polowania. Jesteś tutaj... tylko przez grzeczność, Heahferth, gdyż jesteśmy jeszcze na twojej ziemi.

Teraz Simon wiedział już, że pierwszym z rozmawiających jest baron Heahferth, częsty gość na dworze Eliasa i bliski przyjaciel hrabiego Fengbalda. Drugi jeździec ukazał się między gałęziami, przez które obserwowali ich Simon i Binabik. Podniecone psy kręciły się niespokojnie między nogami jego konia. Mężczyzna o imieniu Ingen cały był ubrany na czarno; jego spodnie, koszula i opończa miały ten sam matowy odcień czerni. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że ma siwą brodę, lecz przyjrzawszy się dokładnie krótko przyciętym bokobrodom, można się było zorientować, iż są one tak żółte, że wydają się nieomal bezbarwne;

podobnie jak jego oczy – jasne punkciki na ciemnej twarzy. Prawdopodobnie były niebieskie.

Simon wpatrywał się w zimną twarz mężczyzny schowaną pod ciemnym kapturem, w jego mocne, umięśnione ciało i poczuł strach, lecz inny od tego, jaki ogarniał go dotąd. Kim był ten człowiek? Z wyglądu i imienia był Rimmersmanem, lecz w jego mowie wyczuwało się jakiś dziwny akcent; Simon nigdy jeszcze takiego nie słyszał.

– Moje ziemie skończyły się na skraju lasu – powiedział Heahferth i mocniej ściągnął cugle niespokojnego konia. Kilku jeźdźców w lekkich zbrojach wjechało na polanę i ustawiło konie w szeregu, czekając na dalsze rozkazy. – A tam, gdzie kończą się moje ziemie – ciągnął Heahferth – kończy się też moja cierpliwość. To istna farsa. Martwe psy walają się po lesie jak zeschłe liście...

– I dwóch więźniów uciekło – dokończył Ingen ponuro.

– Więźniów! – zadrwił Heahferth. – Mały chłopiec i dziewczynka! Myślisz, że oni są zdrajcami, na których tak bardzo zależy Eliasowi? Uważasz, że oni to zrobili? – Wskazał głową na martwego psa.

– Psy coś tropią. – Ingen Jegger wpatrywał się w martwego ogara. – Przyjrzyj się ranom. Nie zrobił tego niedźwiedź ani wilk. To dzieło tego, kogo ścigamy, a on wciąż ucieka. Na dodatek przez twoją głupotę uciekają także nasi więźniowie.

– Jak śmiesz? – odpowiedział baron Heahferth podniesionym głosem. – Jak śmiesz? Wystarczyłoby jedno moje słowo, by zrobić z ciebie jeża z grzbietem pełnym strzał zamiast kolców.

Ingen podniósł wolno wzrok.

– Ale nie zrobisz tego – powiedział spokojnie.

Koń Heahfertha, spłoszony nieco, zaczął się cofać; kiedy baron zatrzymał go, obaj mężczyźni patrzyli na siebie przez chwilę.

– No... już dobrze – powiedział Heahferth. Odwrócił wzrok i popatrzył w las, a jego głos zmienił się trochę: – Co robimy?

– Psy wpadły na trop – powiedział Ingen. – Zrobimy to, co do nas należy. Pójdziemy tym tropem.

Uniósł róg, który miał zawieszony u pasa, i zadął. Zgromadzone na brzegu polanki psy zaczęły szczekać i popędziły w kierunku, w którym zniknęła Qantaqa. Ingen Jegger spiął swego ogromnego siwka i odjechał za nimi bez słowa. Baron Heahferth zaklął i skinął na swoich ludzi, którzy posłusznie ruszyli za nim. Wkrótce las wokół skały opustoszał i zapadła cisza, lecz Binabik nakazał im pozostać na miejscach jeszcze przez jakiś czas.

Kiedy zeszli na dół, natychmiast zajął się dziewczynką; swym małym, grubym palcem podniósł jej powieki i nachylił się, by posłuchać oddechu.

– Źle z nią. Malachias, jak ona ma na imię?

– Leleth – powiedział chłopiec, nie przestając wpatrywać się w bladą twarz dziewczynki. – To moja siostra.

– Jedyna nadzieja w tym, że szybko dotrzemy do domu Geloë – powiedział Binabik. – Oraz że Qantaqa wywiedzie ich w pole i dotrzemy tam żywi.

– Malachias, co ty tutaj robisz? – zapytał Simon. – Jak udało ci się uciec od Heahfertha?

Chłopiec nie odpowiadał, a kiedy Simon spytał ponownie, odwrócił głowę.

– Później będzie czas na pytania – powiedział Binabik, wstając. – Teraz musimy się śpieszyć. Simonie, czy możesz nieść dziewczynkę?

Ruszyli przez gęsty las na północny zachód; promienie zachodzącego słońca przebijały się ukośnie między gałęziami. Simon zapytał trolla o Ingena i jego dziwny akcent.

– Wydaje mi się, że to Czarny Rimmersman – odparł Binabik. – Rzadko można ich spotkać; głównie w północnych osadach, gdzie przyjeżdżają czasem handlować. Nie mówią językiem Rimmersmenów. Podobno mieszkają na pograniczu terenów, które należą do Nornów.

– Znowu Nornowie – mruknął Simon i uchylił się przed gałęzią, którą puścił za sobą Malachias. Spojrzał na trolla. – Co to wszystko ma znaczyć? Dlaczego interesują się nami tacy ludzie?

– Ciężkie czasy, przyjacielu – powiedział Binabik. – Nadeszły ciężkie czasy.

MINĘŁO KILKA GODZIN, w czasie których popołudniowe cienie znacznie się wydłużyły. Widoczne wśród gałęzi kawałki nieba zmieniły barwę z błękitnej na różową. Nie zatrzymywali się ani na chwilę. Teren, po którym szli, był przeważnie równy i tylko czasami zagłębiał się, niczym płytka miska żebraka. Nad głowami wiewiórki i sójki prowadziły nieustające sprzeczki, a świerszcze cykały monotonnie w plątaninie liści pod ich stopami. W pewnym momencie Simon dostrzegł ogromną, szarą sowę, która przemknęła jak duch między konarami drzew. Później zobaczył drugą, tak podobną do pierwszej, że wydawały się bliźniaczkami.

Binabik pilnie obserwował niebo, kiedy wychodzili na polanki, i po jakimś czasie skręcił nieco na wschód. Niebawem dotarli do małego, leśnego strumienia którego nurt rozbijał się o tysiące malutkich falochronów powstałych z opadłych gałęzi. Przez jakiś czas szli przez wysoką trawę wzdłuż brzegu strumienia Wreszcie dotarli do miejsca, w którym zagrodziło im drogę leżące drzewo; wtedy skręcili i przeszli strumień po kamieniach wystających ponad łagodnie płynącą wodę.

Koryto strumienia rozszerzało się w miejscu, gdzie wpadał do niego inny, mniejszy. Uszli jeszcze kawałek i wtedy Binabik zatrzymał ich

podniesieniem dłoni. Strumień skręcał i tworzył mały wodospad opadający po licznych skalnych występach.

Stali na skraju ogromnej niecki, której zalesione ściany schodziły łagodnie do wielkiego, ciemnego jeziora. Wokół słychać było tylko brzęczenie owadów, a woda, zabarwiona światłem niewidocznego słońca, zdawała się niezwykle głęboka i purpurowa. Wijące się jak węże korzenie drzew znikały w jeziorze. Panowała tu atmosfera ciszy pełnej tajemnic, szeptanych tylko niezliczonym drzewom. Na drugim brzegu jeziora majaczyła niewyraźnie w zapadającym zmroku pokryta strzechą chata. Stała tuż nad wodą i w pierwszej chwili wydawało się, że unosi się w powietrzu. Dopiero po chwili Simon dostrzegł pale, na których ją zbudowano. W obu oknach chaty migotało słabe światło.

– Dom Geloë – powiedział Binabik i wszyscy ruszyli w dół zbocza.

Usłyszeli cichy szelest skrzydeł i jakiś szary ptak zerwał się z drzewa ponad ich głowami, okrążył dwukrotnie jezioro i zniknął w ciemności koło chaty. Przez chwilę Simonowi wydawało się, że sowa wleciała do chaty, ale oczy zamykały mu się ze zmęczenia i nie był pewny, czy dobrze widzi. Ogarniał ich coraz większy mrok i świerszcze rozpoczęły już swój nocny koncert. Jakaś ciemna postać biegła wokół jeziora, zbliżając się do nich.

– Qantaqa! – zawołał radośnie Binabik i popędził na spotkanie wilczycy.

26. W domu Geloë

W WEJŚCIU OŚWIETLONYM blaskiem ognia ktoś stał. Postać nie poruszyła się ani nie odezwała, kiedy cała trójka weszła na drewniany pomost, który schodził łagodnie od progu chaty do brzegu jeziora. Simon szedł za Binabikiem, trzymając Leleth w ramionach, i zastanawiał się, dlaczego Geloë nie ma solidniejszego wejścia do swego domu, czy chociażby poręczy. Był zmęczony i z trudem utrzymywał równowagę na wąskim pomoście.

„Mam nadzieję, że nie odwiedza jej zbyt wielu gości” – pomyślał, spoglądając przez ramię na ginący w ciemności las.

Binabik zatrzymał się przed progiem i skłonił, wskutek czego nieomal strącił Simona do wody.

– *Valada* Geloë – przemówił. – Binabines Mintahoqis prosi o pomoc, przyprowadzam ze sobą podróżnych.

Postać cofnęła się, odsłaniając wejście.

– Binabik, daruj sobie te nabbańskie uprzejmości. – Głos był ostry, lecz melodyjny; słychać w nim było dziwny, mocny akcent, lecz bez wątpienia był to głos kobiety. – Wiedziałam, że to ty. Qantaqa jest tu już od godziny. – Na te słowa stojąca na drugim końcu pomostu wilczyca podniosła uszy. – Wchodźcie, proszę. Czy sądzisz, że mogłabym was nie wpuścić?

Binabik wszedł do środka, a za nim Simon.

– Gdzie mam położyć dziewczynkę? – zapytał. Schylił głowę i przeszedł przez próg, zwracając uwagę na wysoki dach i długie, drżące cienie, jakie rzucały płomienie licznych świec.

Geloë stanęła przed nim. Miała na sobie prostą szatę z brunatnego sukna, niezdarnie przewiązaną paskiem. Była niższa od Simona, lecz wyższa od trolla. Twarz miała szeroką, ogorzałą, pomarszczoną w kącikach ust i oczu. Ciemne, siwiejące włosy nosiła obcięte tak krótko, że wyglądała niemal jak ksiądz. Simon zwrócił przede wszystkim uwagę na jej oczy: okrągłe i żółte z niezwykle czarnymi źrenicami. Były to stare, mądre oczy szybującego w przestworzach, pradawnego ptaka. To właśnie ich moc zatrzymała go w miejscu. Simon miał wrażenie, że Geloë przeszyła go wzrokiem na wylot, jakby był workiem, który można wywrócić na drugą stronę i wytrząsnąć wszystko, co się w jego wnętrzu znajduje. Kiedy wreszcie zwróciła wzrok na dziewczynkę, Simon poczuł się pusty, niczym opróżniony bukłak.

– Dziecko jest ranne – oznajmiła.

Simon podał jej Leleth.

– Zaatakowały ją psy – powiedział troll. – Psy z piętnem Burzowej Góry.

Geloë nie okazała strachu ani zdziwienia. Podeszła do siennika, który leżał na podłodze, i położyła na nim dziewczynkę. – Weźcie sobie coś do jedzenia, jeśli jesteście głodni – powiedziała. – Ja będę teraz zajęta. Czy ktoś was śledził?

Binabik zdawał jej relację o ostatnich wydarzeniach, a Geloë rozbierała wciąż nieprzytomną dziewczynkę. Dopiero w tym momencie do izby wszedł Malachias. Przykucnął obok siennika i kołysząc się, patrzył, jak Geloë obmywa rany Leleth. Kiedy Malachias nachylił się zbyt blisko, *valada* położyła delikatnie piegowatą od słońca dłoń na jego ramieniu.

Patrzyła na niego przez chwilę, dopóki chłopiec nie drgnął i nie podniósł oczu. Opuścił wzrok, lecz zaraz spojrzał na nią ponownie i zdawało się, jakby wymienili między sobą w milczeniu jakąś wiadomość, gdyż Malachias odsunął się i usiadł pod ścianą.

Binabik pogrzebał w palenisku, umieszczonym pomysłowo w głębokim dołku w podłodze. Dym, którego było zadziwiająco mało, piął się w kierunku sufitu. Simon pomyślał, że gdzieś tam pod dachem, w cieniu, musi być komin.

Obszerna izba, która stanowiła jedyne pomieszczenie chaty, w dużej mierze przypominała Simonowi gabinet Morgenesa. Na pokrytych gliną ścianach wisiało wiele dziwnych przedmiotów: starannie związane wiązki liściastych gałęzi, torebki z suszonymi kwiatami, z których wysypywały się płatki, oraz różne łodygi, trzciny i lśniące korzenie, których kształty sprawiały, że miało się wrażenie, jakby rośliny same przyszły tu niechętnie znad jeziora. Blask ognia migotał na licznych czaszkach drobnych zwierząt; ślizgał się po ich powierzchniach, nie zaglądając do ciemnych oczodołów.

W połowie wysokości jednej ze ścian zamontowano półkę z kory. Na niej także znajdowało się wiele przedmiotów: zwierzęce skóry, wiązki patyków i kości, przepiękne, wygładzone przez wodę kamienie najprzeróżniejszych kształtów i barw oraz starannie ułożone zwoje papieru i wiele trzonków, które ułożone razem przypominały stos drewna. Było tam tyle przedmiotów, że dopiero po jakimś czasie Simon zorientował się, że wcale nie jest to półka, lecz stół do pisania. Obok zwojów leżał też stos pergaminu oraz kałamarz ze zwierzęcej skóry z gęsim piórem.

Qantaqa zaskomlała cicho i trąciła nosem nogę Simona. Simon podrapał ją po łbie. Miała rany na uszach i pysku, lecz tam, gdzie się dało, usunięto z sierści skrzepłą krew. Simon podszedł do okien wychodzących na jezioro. Słońce zaszło już i światło świec rzucało na wodę dwa długie, prostokątne

blaski; w jednym z nich Simon dostrzegł wyraźny zarys własnej postaci, która przypominała źrenicę w bardzo jasnym oku.

– Podgrzałem trochę zupy – usłyszał z tyłu głos Binabika. Troll podał mu drewnianą miskę. – Sam chętnie zjem – powiedział uśmiechnięty Binabik – a myślę, że ty i pozostali także. Mam nadzieję, że taki dzień jak dzisiejszy nigdy się już nie powtórzy.

Simon podmuchał na gorącą zupę i upił trochę. Była mocno doprawiona i trochę gorzka, jak zmącony jabłecznik, który pije się w czasie świąt Elysiamansa.

– Dobra – powiedział i upił jeszcze. – Co to jest?

– Lepiej nie pytaj. – Binabik uśmiechnął się figlarnie.

Geloë spojrzała znad siennika, opuszczając brwi nieomal do nasady nosa; zmierzyła Binabika groźnym spojrzeniem.

– Przestań, trollu, bo go brzuch rozboli – powiedziała poirytowana. – Nie ma tam niczego poza kamiennym zielem, pyłkiem kwiatowym i mleczem.

Binabik wyglądał na skruszonego.

– Przepraszam, *valada*.

– Smakuje mi – powiedział Simon, bojąc się, że może uraził ją nieświadomie. – Dziękuję za gościnę. Ja jestem Simon.

– Aha – mruknęła Geloë i powróciła do obmywania ran dziewczynki.

Simon, zakłopotany trochę, skończył w milczeniu zupę. Binabik wziął od niego miskę i napełnił ją ponownie, a Simon wypił drugą porcję równie szybko jak pierwszą.

Troll przeczesywał palcami gęstą sierść Qantaqi; gałązki i kolce, jakie w niej znalazł, wrzucał do ognia. Kobieta opatrywała rany Leleth w milczeniu, a Malachias siedział, przyglądając się; jego czarne, proste

włosy opadły mu na twarz. Simon znalazł kawałek wolnej przestrzeni pod ścianą i usiadł na podłodze.

Z zewnątrz dobiegało cykanie świerszczy i innych nocnych śpiewaków. Simon, wyczerpany, zapadł w sen, uśpiony powolnym biciem własnego serca.

KIEDY SIĘ OBUDZIŁ, była jeszcze noc. Potrząsnął głową oszołomiony, starając się pozbyć resztek snu; rozglądał się przez chwilę, zanim dotarło do niego, gdzie się znajduje.

Geloë i Binabik rozmawiali cicho. Ona siedziała na wysokim stołku, on zaś na podłodze u jej stóp, jak uczeń przed mistrzem. Na sienniku za nimi Simon dostrzegł jakiś ciemny kształt, w którym rozpoznał śpiących razem Malachiasa i Leleth.

– Młody Binabiku, nie ma znaczenia, czy okazałeś roztropność czy nie – mówiła kobieta. – Mieliście po prostu szczęście, które w tym wypadku okazało się czymś lepszym.

Simon postanowił dać im znać, że nie śpi.

– Jak czuje się mała? – zapytał, ziewając.

Geloë spojrzała na niego spod przymkniętych powiek.

– Bardzo źle. Jest mocno poraniona i ma dreszcze. Psy Nornów... no cóż, ich ukąszenia są groźne. Żywią się padliną.

– Simonie, *valada* zrobiła wszystko, co można było zrobić – zapewnił go Binabik. Trzymał coś w dłoniach; mówił, nie przestając szyć nowej, skórzanej torebki.

Simon zastanawiał się, skąd troll weźmie nowe strzały. Ach, gdyby tak mieć miecz albo chociaż nóż! Podróżnicy zawsze mieli miecze... czy chociaż bystry rozum. Albo zdolności magiczne.

– Czy powiedziałeś jej... – Simon zawahał się. – Czy powiedziałeś jej o Morgenesie?

– Wiedziałam już o tym. – Geloë wpatrywała się w niego; w jej oczach odbijał się blask ognia. Kiedy przemówiła ponownie, jej słowa zabrzmiały bardzo dobitnie. – Byłeś z nim, chłopcze. Znam twoje imię. Poczułam znamię Morgenesa na tobie, kiedy dotknęłam cię, odbierając dziewczynkę. – Jakby na dowód tego, co mówi, wyciągnęła szeroką, zrogowaciałą dłoń.

– Znałaś moje imię?

– Wiem o wielu rzeczach, które dotyczą Doktora. – Geloë pochyliła się i pogrzebała w ogniu długim, sczerniałym kijem. – Straciliśmy wielkiego człowieka; trudno nam się pogodzić z taką stratą.

Simon chciał coś powiedzieć, lecz się zawahał. Wreszcie ciekawość przemogła strach.

– Co masz na myśli? – Przesunął się i siadł obok trolla. – To znaczy, dlaczego mówisz „nam”?

– „Nam” znaczy nam wszystkim – powiedziała. – „Nam” odnosi się do wszystkich, którzy nie cieszą się z nadejścia ciemności.

– Simonie, przyjacielu, opowiedziałem Geloë, co nam się przydarzyło – powiedział spokojnie Binabik. – Niestety, niewiele mogę z tego wytłumaczyć.

Kobieta uśmiechnęła się kwaśno i szczelniej otuliła swą prostą szatą.

– Jak dotąd, ja też nie mogę wam pomóc tego zrozumieć. Lecz teraz jest już dla mnie jasne, że znaki natury, jakie dostrzegłam nawet tutaj, nad mym odosobnionym jeziorem, lecące na północ gęsi, które powinny były przelatywać cztery tygodnie temu, i tym podobne dziwy są prawdziwe – złożyła dłonie jak do modlitwy – i prawdziwe są także zmiany, jakie one zapowiadają. Bardzo prawdziwe. – Opuściła dłonie na kolana i spojrzała na nie. – Binabik ma rację – odezwała się wreszcie.

Troll pokiwał poważnie głową, lecz Simon zauważył w jego oku błysk, jakby Binabik usłyszał wielki komplement.

– Chodzi tu o coś więcej niż walkę Króla i jego brata – ciągnęła. – Walki królów mogą zniszczyć ziemię, powalić drzewa, a nawet skąpać pola we krwi – Simon podskoczył, kiedy w ognisku przewróciło się nagle polano i w górę uleciał snop iskier – lecz ludzkie wojny nie sprowadzają ciemnych chmur z Północy ani nie skłaniają głodnych niedźwiedzi do powrotu do swych jaskiń w miesiącu Maia. – Geloë wyprostowała się i wstała; szerokie rękawy jej szaty powiewały jak skrzydła ptaka. – Jutro spróbuję znaleźć odpowiedzi na parę waszych pytań. A teraz prześpijmy się, póki możemy, gdyż obawiam się, że nad ranem nastąpi nawrót gorączki u dziewczynki.

Podeszła do przeciwległej ściany i zaczęła odstawiać małe słoiki na półki. Simon rozłożył swój płaszcz na podłodze przy ognisku.

– Lepiej nie śpij tak blisko – zauważył Binabik. – Może przeskoczyć iskra i się zapalisz.

Simon popatrzył na niego uważnie, lecz nie wydało mu się, by troll żartował. Odciągnął trochę swój płaszcz i położył się na nim. Z kaptura zrobił sobie poduszkę, poły zaś owinął starannie wokół siebie. Binabik ulokował się w rogu; wiercił się trochę i hałasował, aż wreszcie i on ułożył się wygodnie.

Świerszcze umilkły. Simon wpatrywał się w drżące cienie między krokwiami i słuchał świszczącego szeptu wiatru, który nieustannie przemykał wśród drzew i nad jeziorem.

W CHACIE NIE PALIŁY SIĘ żadne latarnie, zgasł też ogień; przez wysokie okna sączyło się do wewnątrz blade światło księżyca, co powodowało, że izba wyglądała, jakby pokrył ją szron. Simon rozglądał się po dziwnych,

trudnych do rozpoznania przedmiotach, których pełno było na stołach; patrzył na opasłe tomy ksiąg ułożonych w nierówne stosy, które wyrastały z podłogi niczym cmentarne płyty nagrobkowe. Zwrócił uwagę szczególnie na jedną z nich. Leżała otwarta, emanując bielą jak odarte z kory drzewo. Na stronie otwartej księgi Simon dostrzegł znajomą twarz: był to mężczyzna o płonących oczach, z jego głowy wyrastały rozłożyste rogi jelenia.

Rozejrzał się po pokoju, a potem jeszcze raz spojrzał na książkę. Oczywiście! Był w komnacie Morgenesa! A gdzież by mógł być?

Teraz rozpoznawał już znajome kształty buteleczek, stojaków i retort, jakie widywał u Doktora. Nagle usłyszał delikatne skrobanie do drzwi. Wzdrygnął się zaskoczony. Ukośne pasy księżycowego światła na ścianie sprawiały wrażenie, że pokój zaraz się przewróci. Skrobanie powtórzyło się.

– Simon?

Głos był bardzo cichy, jakby mówiący nie chciał, by go słyszano, lecz Simon natychmiast go rozpoznał.

– Doktorze? – Skoczył na nogi i w paru susach był przy drzwiach. Dlaczego nie zapukał? I dlaczego wracał tak późno? Może odbywał jakąś tajemniczą podróż i nierozważnie nie zabrał klucza. Tak, z pewnością tak było! Miał szczęście, że Simon jest w środku i może mu otworzyć.

Spróbował otworzyć zamek.

– Doktorze Morgenes, co się z panem działo? Tak długo na pana czekałem!

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Odsunął już prawie zasuwę, gdy nagle ogarnął go dziwny niepokój. Nie otwierając drzwi, wspiął się na palce i wyjrzał na zewnątrz przez szparę między deskami.

– Doktorze?

W korytarzu wypełnionym niebieskim światłem lamp zobaczył kaptur i płaszcz Doktora. Twarz pozostawała w cieniu, lecz niewątpliwie był to jego stary, zniszczony płaszcz, ta sama figura, te same siwe włosy, które wymykały się spod kaptura, niebieskawe w świetle lamp. Dlaczego nie odpowiadał? Czy był ranny?

– Nic panu nie jest? – spytał Simon, otwierając drzwi. Drobna, pochylona postać nie poruszyła się. – Gdzie się pan podziewał? Co pan znalazł? – Wydawało mu się, że Doktor coś powiedział, więc pochylił się do przodu.

– Słucham?

Słowa, które ku niemu popłynęły były ostre, lecz bardzo ulotne.

– ...*Fałszywy... posłaniec...* – Tyle tylko zrozumiał. Słaby głos jakby z trudem wymawiał słowa i wtedy głowa uniosła się do góry, a kaptur opadł w tył.

Głowa, na której bokach widniały resztki siwych włosów, była czarna i wypalona: czarna głowa z ciemnymi dziurami zamiast oczu, chwiejąca się na zwęglonym kiju zamiast szyi. Simon cofnął się, a w jego gardle uwiązł krzyk. Z przodu tej czarnej kuli widać było cienką, czerwoną linię; chwilę później usta otworzyły się, ukazując różowe, mięsiste wnętrze.

– ...*Fałszywy... posłaniec...* – powiedziała postać z wysiłkiem. – *Strzeż się...*

I wtedy Simon zaczął krzyczeć; krzyczał, dopóki krew nie zaczęła dudnić mu w uszach, gdyż istota ta, bez wątpienia, przemówiła głosem Doktora Morgenesa.

DUŻO UPŁYNĘŁO CZASU, zanim jego serce zaczęło bić normalnie. Siedział, oddychając ciężko, a obok niego Binabik.

– Nic ci tutaj nie grozi – powiedział troll i przyłożył dłoń do czoła Simona. – Masz dreszcze.

Geloë przykryła Malachiasa kocem, chłopiec bowiem zrzucił go z siebie obudzony krzykiem Simona.

– Chłopcze, czy mieszkając na zamku, też miałeś tak żywe sny? – zapytała i utkwiła w nim uważne spojrzenie, jakby chciała powiedzieć, że nie ma co zaprzeczać.

Simon zadrżał. Czując siłę jej spojrzenia, miał wrażenie, że może powiedzieć jedynie prawdę.

– Zaczęły się dopiero na parę miesięcy przed... przed...

– Przed śmiercią Morgenesa – dokończyła Geloë. – Binabik, potrafię jeszcze robić użytek z mojej wiedzy. Fakt, że on ma takie sny o Morgenesie w moim domu, nie jest przypadkiem. Nie, nie jeśli chodzi o taki sen.

Binabik przejechał dłonią po swych zmierzwionych włosach.

– *Valada* Geloë, jeśli ty nie wiesz, skąd ja mam wiedzieć? Na Córy Gór! Mam wrażenie, jakbym słyszał jakieś odgłosy w ciemności. Nie potrafię określić niebezpieczeństw, które nas otaczają, choć wiem, że istnieją. Simon otrzymuje we śnie ostrzeżenie przed „fałszywym prorokiem”, lecz jest to tylko jedna z wielu tajemnic. Dlaczego Nornowie? Czarni Rimmersmeni? Ohydne Bukkeny?

Geloë zwróciła się do Simona i delikatnie, lecz stanowczo popchnęła go, by usiadł na swym płaszczu.

– Postaraj się jeszcze zasnąć – powiedziała. – Nic złego, co mogłoby wyrządzić ci krzywdę, nie wejdzie do domu czarownicy. – Odwróciła się do Binabika. – Jeśli jego sen jest tak logiczny, jak się wydaje, chłopiec może być pomocny w znalezieniu odpowiedzi.

Simon położył się na wznak. Na tle migocącego żaru ogniska widział jedynie ciemne kontury trolla i *valady*.

– Simonie – szepnął Binabik – czy były też inne sny, o których nam nie mówiłeś?

Simon pokiwał wolno głową. Wydawało mu się, że wokół pełno jest cieni, a mówienie zmęczyło go. Wciąż czuł jeszcze strach przed zwęgloną postacią ze snu; pragnął jedynie pozwolić się wciągnąć w senną pustkę. Nie było to jednak łatwe. Pomimo zamkniętych oczu wciąż powracał obraz ognia i związanej z nim katastrofy. Simon wiercił się, pragnąc znaleźć pozycję, w której jego mięśnie mogłyby odpocząć. Ściszone głosy trolla i Geloë przypominały drapanie szczura za ścianą. Wreszcie nawet i ten hałas ucichł, tak że słyszał jedynie łagodny oddech wiatru. Otworzył oczy. Przy ogniu została sama Geloë; siedziała zgarbiona, z przymkniętymi oczami, jak skulony ptak w deszczu. Simon nie potrafił powiedzieć, czy śpi, czy patrzy w ogień.

Zasypiając, pamiętał jeszcze ostatni obraz – pojawił się, migocąc niczym ogień na dnie morza; było to wysokie wzgórze, na którego szczycie stały kamienie. Działo się to we śnie... we śnie? Powinien o tym pamiętać i powiedzieć Binabikowi!

Na pogrążonym w ciemności wzgórzu pojawił się ogień, a on usłyszał skrzypienie drewnianych kół, kół snu.

NASTAŁ RANEK, lecz nie przyniósł słońca. Przez okno Simon dostrzegł ciemne wierzchołki drzew po przeciwnej stronie doliny, jednak samo jezioro ginęło pod gęstą warstwą mgły. Trudno było zobaczyć wodę nawet pod samym oknem; wirująca mgła sprawiała, że wszystko wokół wydawało się nierealne. Tuż nad wierzchołkami drzew wisiało szare niebo.

Geloë zostawiła Binabika z Leleth, a sama wraz z Malachiasem udała się do lasu, by nazbierać leczniczych mchów. Troll wydawał się trochę bardziej zadowolony ze stanu zdrowia dziewczynki, lecz Simon nie widział większej poprawy, kiedy spojrzał na jej bladą twarz i nieznacznie unoszącą się pierś.

Chłopiec rozpalił ognisko, używając patyków, które Geloë ułożyła starannie w rogu izby, a potem pomógł trollowi zmienić opatrunki dziewczynki.

Kiedy Binabik odkrył Leleth i zdjął z niej bandaże, Simon wzdrygnął się, lecz się nie odwrócił. Na jej piersi pełno było czarnych siniaków i śladów zębów. Miała rozdartą skórę na całej szerokości od lewego ramienia aż do żebra. Binabik oczyścił jej ranę i opatrzył szerokimi paskami materiału; po chwili na ich powierzchni pojawiły się plamki krwi.

– Czy ona ma szansę przeżyć? – zapytał Simon.

Binabik wzruszył ramionami, starannie zawiązując opatrunek.

– Geloë twierdzi, że tak – odpowiedział. – A jest ona kobietą wyrażającą swoje zdanie bez ogródek; w swych ocenach nie stawia ludzi ponad zwierzętami, co znaczy bardzo dużo. Sądzę, że nie starałaby się robić rzeczy niemożliwych.

– Czy ona rzeczywiście jest czarownicą?

Binabik przykrył dziewczynkę tak, że wystawała tylko twarz. Leżała z rozchylonymi ustami i widać było, że straciła dwa przednie zęby. Ogarnęło go nagle ogromne współczucie dla Leleth – sama z bratem w ogromnym lesie, schwytana, poraniona i przestraszona. Jak to możliwe, by Usires Pan spokojnie przyglądał się takim rzeczom?

– Czarownicą? – powtórzył Binabik, wstając. Usłyszeli pazury Qantaqi na pomoście przed drzwiami, co znaczyło, że niebawem wrócą Geloë i Malachias. – Z pewnością jest mądrą kobietą i posiada szczególną moc.

Rozumiem, że w twoim języku „czarownica” oznacza kogoś złego, kogoś, kto ma kontakty z waszym diabłem i czyni innym zło. Geloë z pewnością nie jest kimś takim. Żyje wśród ptaków i innych leśnych mieszkańców, którymi opiekuje się niczym swoim stadkiem. Opuściła Rimmersgard bardzo dawno temu i przybyła tutaj.

Być może ludzie, wśród których wtedy mieszkała, wygadywali takie bzdury... może właśnie dlatego przeniosła się nad jezioro.

Qantaqa zaczęła łasić się niecierpliwie, więc Binabik odwrócił się do niej i podrapał jej grzbiet. Później wziął garnek, wyszedł z nim przed drzwi, zaczerpnął wody i wróciwszy, zawiesił go na łańcuchu nad ogniem.

– Znasz Malachiasa z zamku, czy tak?

Simon obserwował Qantaqę: wilczyca wróciła na brzeg jeziora, stanęła w płytkiej wodzie i co jakiś czas zanurzała w wodzie gwałtownie pysk.

– Czy ona próbuje złapać rybę? – zapytał ze śmiechem.

Binabik uśmiechnął się cierpliwie i przytaknął.

– A tak, ryby także potrafi łowić. Mówiłem o Malachiasie...

– Tak. Tam go poznałem. Trochę tylko. Złapałem go kiedyś na tym, jak mnie szpiegował, chociaż on zaprzeczył. Rozmawiał z tobą? Czy mówił ci, w jaki sposób znalazł się z siostrą w lesie i jak zostali schwytani?

Qantaqa rzeczywiście złapała rybę, lśniącą i srebrzystą, która bez większych szans oswobodzenia miotała się w jej pysku. Ociekająca wodą wilczyca wyszła na brzeg.

– Prędzej skałę nauczyłbym śpiewać. – Binabik znalazł na półce miskę z suszonymi liśćmi i wsypał ich garść do garnka z gotującą się wodą. W izbie natychmiast zapachniało miętą. – Od momentu, gdy znaleźliśmy ich na drzewie, usłyszałem od niego zaledwie parę słów. Ale on pamięta ciebie. Zauważyłem, jak ci się przygląda. Myślę, że on nie jest

niebezpieczny; tak, tego jestem pewien – on musi się tylko wszystkiemu dobrze przyjrzeć.

Simon chciał coś powiedzieć, lecz w tym momencie usłyszał krótkie szczeknięcie Qantaqi. Spojrzał w okno i zobaczył, jak wilczyca podskoczyła i zostawiając niedojedzoną rybę, pomknęła ścieżką; w mgnieniu oka zniknęła we mgle. Niebawem wróciła, a za nią pojawiły się dwie niewyraźne postaci, które wkrótce przybrały postać Geloë i dziwnego, podobnego trochę do lisa chłopca, Malachiasa. Szli, rozmawiając z ożywieniem.

– *Qinkipa!* – rzucił Binabik i zamieszał w garnku. – Widzę, że już rozmawia.

Czyszcząc buty w progu, Geloë zajrzała do środka.

– Wszędzie mgła – powiedziała. – Las jest dziś bardzo senny. – Otrzepała płaszcz i weszła do środka, a za nią zarumieniony Malachias, który znowu wyglądał bardzo ponuro.

Geloë podeszła szybko do stołu i zaczęła przeszukiwać dwie torby. Tego dnia miała na sobie męski strój: grube, wełniane spodnie, kaftan i zniszczone, lecz mocne buty. Emanowała z niej spokojna siła, jakby była dowódcą, który poczynił wszystkie przygotowania i teraz czeka tylko na bitwę.

– Czy woda jest już gotowa? – spytała.

Binabik pochylił się nad garnkiem i powąchał.

– Na to wygląda – powiedział po chwili.

– Dobrze. – Geloë odwiązała od pasa małą, płócienną torebkę i wysypała z niej garść ciemnozielonego mchu, na którym lśniły jeszcze kropelki wody. Wrzuciła go do garnka i zamieszała patykiem, który podał jej Binabik.

– Rozmawiałam z Malachiasem – powiedziała, zaglądając do parującej wody w garnku. – Mówiliśmy o wielu rzeczach. – Spojrzała na chłopca, lecz Malachias wtulił głowę w ramiona i zaczerwienił się jeszcze bardziej, po czym usiadł na sienniku obok Leleth. Wziął ją za rękę i gładził jej blade, wilgotne czoło. Geloë wzruszyła ramionami. – Porozmawiamy, kiedy Malachias będzie gotów. Teraz i tak mamy dużo do zrobienia. – Uniosła na patyku część mchu, dotknęła go palcem, po czym wzięła z małego, drewnianego stołu miseczkę i wybrała z garnka resztę mchu. Podeszła z dymiącą miseczką do siennika.

Malachias i Geloë robili dziewczynce okłady z mchu, a Simon zszedł na brzeg jeziora. W ciągu dnia chata czarownicy wyglądała równie dziwnie z zewnątrz, jak jej wnętrze nocą: słomiany, spiczasty dach przypominał dziwny kapelusz, a ciemne, drewniane ściany pokryte były czarno-niebieskim pismem runicznym. Kiedy schodząc w dół, obchodził dom, litery pojawiały się i znikały w zależności od kąta padania światła. Dziwne napisy pokrywały także dwa wbite w błotniste dno pale, na których stała chata.

Qantaqa powróciła do porzuconej ryby i delikatnie oddzielała mięso od ości. Simon usiadł obok niej na skale, lecz usłyszawszy ostrzegawcze warczenie, przesunął się trochę dalej. Rzucał kamyki w gęstą mgłę i nasłuchiwał, kiedy nastąpi pluśnięcie. Niebawem dołączył do niego Binabik.

– Masz już dość postu? – zapytał troll i wręczył mu pajdę chrupiącego, ciemnego chleba, którą hojnie posmarowano ostro pachnącym serem. Simon zjadł szybko chleb i obaj siedzieli, w milczeniu obserwując parę ptaków, które dziobały coś w przybrzeżnym piasku.

– *Valada* Geloë chciałaby, abyś przyłączył się do nas dzisiejszego popołudnia – przemówił wreszcie Binabik.

– Do czego miałbym się przyłączyć? – spytał Simon.

– Do poszukiwań. Będziemy szukali odpowiedzi.

– W jaki sposób? Pójdziemy gdzieś?

Binabik spojrzał na niego z powagą.

– W pewnym sensie tak. No, nie patrz tak na mnie. Zaraz ci wyjaśnię – powiedział, rzucając kamieniem. – Robi się to wtedy, kiedy nie ma innych sposobów znalezienia odpowiedzi. Mogą to robić tylko ci, którzy posiadają wiedzę. Mój mistrz Ookequk nazywał to wędrówką po Ścieżce Snów.

– Ale to go zabiło!

– Nie! To znaczy... – Na twarzy trolla widać było napięcie, kiedy próbował znaleźć odpowiednie słowa. – Chcę powiedzieć, że on zmarł w czasie takiej wędrówki. Lecz przecież umrzeć można na każdej drodze. Nie znaczy to, że każdy, kto wejdzie na tę ścieżkę, umrze. U was na Głównym Trakcie giną ludzie pod kołami wozów, lecz setki innych chodzi bezpiecznie tą samą drogą.

– Ale czym właściwie jest Ścieżka Snów? – zapytał Simon.

– Przede wszystkim muszę zaznaczyć – powiedział Binabik, uśmiechając się smutno – że Ścieżka Snów jest o wiele bardziej niebezpieczna od waszego Głównego Traktu. Mój mistrz nauczył mnie, że jest to jakby górska ścieżka, która wiedzie wyżej niż jakakolwiek inna. – Troll uniósł dłoń ponad głowę. – Wspinaczka nią jest bardzo trudna, ale za to widać stamtąd rzeczy, jakich nigdy byś nie zobaczył; rzeczy, które z drogi naszego powszedniego dnia są niewidoczne.

– A jaką rolę odgrywają tutaj sny?

– Mistrz nauczył mnie, że dzięki nim można wejść na tę ścieżkę. – Binabik zmarszczył brwi. – Lecz jeśli ktoś dostanie się tam poprzez zwykły nocny sen, nie może iść ścieżką; patrzy na rzeczy tylko z jednego miejsca, a potem musi wracać. Dlatego też – tak powiedział mi Ookequk – osoba ta

często nie wie, na co patrzy. Czasem – mówiąc to, troll wskazał na mgłę, która spowijała drzewa i jezioro – widzi tylko mgłę. Jednak mędrzec potrafi wędrować tą ścieżką, jeśli nauczył się na nią wspinać. Potrafi nią wędrować i przyglądać się rzeczom, obserwować, jak się zmieniają. – Wzruszył ramionami. – Trudno to wytłumaczyć. Ścieżka Snów jest miejscem, dokąd trzeba pójść, aby zobaczyć rzeczy, jakich stąd nie widać. Geloë wielokrotnie już nią chodziła. Sam także tego próbowałem, choć nie jestem w tym mistrzem.

Simon siedział nieruchomo, wpatrzony w przestrzeń ponad wodą, i myślał o tym, co mówił Binabik. Przeciwległy brzeg jeziora ginął we mgle. Zastanawiał się, jaka dzieli ich od niego odległość. Wspomnienie poprzedniego dnia, kiedy tu przybyli, okazało się równie mgliste jak widok przed nim.

„Ciekawe, ile już przeszedłem? – zastanawiał się. – Przeszedłem długą drogę, o wiele dłuższą, niż kiedykolwiek się spodziewałem. Tak, wiele jeszcze mil przede mną. Czy aby warto podejmować takie ryzyko, by dotrzeć do Naglimundu?”

Dlaczego musi podejmować takie decyzje? Wydało mu się to okropnie niesprawiedliwe. Rozżalony zastanawiał się, dlaczego Bóg tak źle go potraktował – zakładając, że Bóg, jak twierdził ojciec Dreosan, wszystkim się przygląda.

Chodziło mu nie tylko o jego gniew. Wyglądało na to, że Binabik i inni w jakimś stopniu na nim polegali, a on do tego nie przywykł. Teraz znowu od niego czegoś oczekiwano.

– Zrobię to – powiedział wreszcie. – Ale jedno mi powiedz. Co naprawdę przydarzyło się twojemu mistrzowi? Dlaczego umarł?

Binabik pokiwał głową.

– Wiem, że na Ścieżce Snów mogą wydarzyć się dwie rzeczy; obie równie niebezpieczne. Pierwsza przytrafia się wtedy, kiedy drogą wędrują osoby niedoświadczone. Jeśli ktoś próbuje wędrować tam, nie posiadając odpowiedniej mądrości, może się zdarzyć, że nie będzie w stanie odnaleźć miejsc, w których ścieżka ziemska i ścieżka snów się rozchodzą. – Troll przekrzywił dłonie. – Wędrujący nie będzie mógł powrócić. Lecz moim zdaniem Ookequk był na to za mądry.

Simon wstrzymał oddech zasłuchany; ewentualność zgubienia drogi w tej nierealnej krainie przemówiła do jego wyobraźni.

– W takim razie co stało się z Ookequkiem?

– Mistrz uczył mnie – powiedział Binabik, wstając – że na Ścieżce Snów oprócz mędrców i dobrych wędrowców można też spotkać innych, bardziej niebezpiecznych. I mnie się wydaje, że on spotkał jednego z nich.

Simon poszedł za Binabikiem do chaty.

GELOË ODKRYŁA SZEROKI GARNEK i zanurzyła w nim dwa palce; kiedy je wyjęła, pokryte były ciemnozieloną, dziwnie pachnącą pastą, jeszcze gęstszą od okładów z mchu.

– Nachyl się – powiedziała i pomazała czoło Simona tuż nad nasadą nosa. Zrobiła to samo u siebie i u Binabika.

– Co to jest? – spytał Simon. Czuł na czole zarówno chłód, jak i gorąco.

Geloë usiadła przy ogniu i skinęła na chłopca oraz trolla, by zrobili to samo.

– Jest tu wilcza jagoda, srebrniki i kora z białego drewna dla otrzymania odpowiedniej konsystencji – wyjaśniła. Posadziła ich tak, by utworzyli trójkąt, i umieściła garnek na podłodze obok swego kolana.

Wciąż czując dziwną maść na czole, Simon obserwował, jak *valada* wrzuca do ognia świeże gałązki. Z ognia zaczęły się wydobywać wijące smużki białego dymu i przestrzeń między nimi wypełniła się dymną kolumną, zza której widać było lśniące, żółtozielone oczy Geloë, w których odbijał się blask ognia.

– A teraz wetrzyjcie to w obie dłonie – powiedziała i zaczerpnęła kolejną porcję maści – a także odrobinę w wargi, ale na zewnątrz! Tylko trochę...

Kiedy skończyli, kazała im chwycić się za ręce. Malachias, który nie odzywał się od powrotu Simona i trolla, siedział na sienniku obok śpiącej dziewczynki i obserwował ich. Chłopiec wydawał się napięty, lecz usta miał zaciśnięte, jakby chciał ukryć zdenerwowanie. Simon rozłożył ręce na boki i lewą dłonią chwycił małą, suchą łapkę trolla, a prawą mocną dłoń Geloë.

– Trzymajcie mocno – powiedziała czarownica. – Nic złego się nie stanie, jeśli puścicie, ale lepiej będzie trzymać się za ręce do końca. – Przymknęła oczy i zaczęła mówić do siebie cicho jakieś niezrozumiałe słowa.

Simon wpatrywał się w jej poruszające się usta i opuszczone powieki; ponownie uderzyło go jej podobieństwo do ptaka, który krąży dostojnie w przestworzach. Kiedy tak przyglądał się jej poprzez dymną kolumnę, swędzenie na dłoniach, czole i wargach wzmogło się.

Nagle znalazł się w ciemności, jakby na słońce zaszła gęsta chmura. Widział jedynie dym, a pod nim blask ognia; wszystko inne zginęło za ścianami ciemności, które wyrosły po obu jego stronach. Oczy Simona stały się ciężkie i jednocześnie doznał uczucia, jakby ktoś wepchnął go twarzą w śnieg. Było mu zimno, bardzo zimno. Upadł do tyłu i teraz ciemność otoczyła go całkowicie.

Po jakimś czasie – Simon nie miał pojęcia, ile to trwało, czuł tylko uściski dłoni pozostałych, co dodawało mu odwagi – w ciemności pojawiło się światło, które dochodziło z niewiadomego kierunku i zamieniło się w białe pole. Biel była nierówna: pewne jej części lśniły jak słońce na wypolerowanej stali, inne zaś były nieomal szare. W chwilę później pole bieli zamieniło się w ogromną i lśniącą górę lodu; była tak ogromna, że jej wierzchołek ginął w wirujących na ciemnym niebie chmurach. Przez szczeliny w gładkich ścianach góry wydobywał się dym, który unosił się i łączył z chmurami.

Nagle – nie wiadomo jak – znalazł się we wnętrzu góry. Mknął jak iskra do jej wnętrza tunelami, które, choć ciemne, miały ściany z dającego lustrzane odbicie lodu. W tunelach znajdowały się niezliczone postaci o bladych, kanciastych twarzach; szły spowite mgłą, cieniem i blaskiem szronu, migocąc swymi dzidami, albo też gromadziły się wokół dziwnych, zielonożółtych ognisk; to ich dymy zbierały się nad wierzchołkiem góry.

Iskra, którą był Simon, wciąż czuła silny uścisk dwóch innych dłoni, czy też raczej czuła coś innego, co potwierdzało, że nie jest sama, gdyż z pewnością iskra nie mogła mieć rąk. Wreszcie znalazł się w ogromnej komnacie stanowiącej środek góry. Podłogę wyłożono lśniącymi jak lód płytkami; wysoko nad nią unosił się sufit, z którego padał śnieg; tumany śniegu wirowały niczym armie malutkich, białych motyli. W samym środku tej rozległej komnaty znajdowała się ogromna studnia, której otwór migotał jasnoniebieskim światłem; studnia zdawała się emanować paraliżującym strachem. Simon był przekonany, że z głębi studni wydobywa się ciepło, gdyż nad jej otworem kłębił się słup mgły lśniącej mnóstwem kolorów, niczym ogromny sopel, w którym odbija się blask słońca.

Coś, czego Simon nie potrafił określić, wisiało we mgle nad otworem studni; to coś zawierało w sobie wiele innych rzeczy, wiele kształtów,

a wszystkie były bezbarwne jak szkło. Co pewien czas pojawiały się fragmenty tej rzeczy i wtedy wydawała się plątaniną zmieniających się krzywych i kątów; sprawiała wrażenie delikatnej, lecz przerażającej złożoności. Nie wiadomo dlaczego, ale można było odnieść wrażenie, że jest to jakiś instrument muzyczny. Jeśli nawet tak było, musiał on być tak ogromny, wrogi i przerażający. Iskra, którą był Simon, wiedziała, iż nie mogłaby przeżyć słuchania jego straszliwej muzyki. Naprzeciwko studni na oszronionym siedzeniu z czarnej skały siedziała postać. Simon widział ją wyraźnie, jakby zawisł nagle nad straszliwym otworem studni emanującym błękitnym światłem. Postać ubrana była w srebrzystobiały strój, niesłychanie misternie zdobiony. Jej długie, białe włosy opadały na ramiona i stapiały się z nieskazitelnie białym strojem.

Jasna postać uniosła głowę, a jej twarz zdawała się emanować jaskrawym światłem. W następnej chwili, kiedy odwróciła głowę, Simon dostrzegł rysy pięknej, lecz pozbawionej wszelkiego wyrazu kobiecej twarzy... była to srebrna maska.

Oślepiająca twarz o egzotycznych rysach ponownie zwróciła się ku niemu. Doznał uczucia, jakby został odepchnięty, odsunięty od całej tej sceny; jak mały kotek, którego ktoś oderwał, kiedy ten uczepił się rąbka spódnicy.

Jego oczom ukazał się inny obraz, choć wydawał się on także częścią wirującej mgły i ponurej, białej postaci. Początkowo była to tylko inna plama alabastrowej bieli, lecz z czasem przeszła w coś bardziej kanciastego z domieszką czerni. Czerń przybrała kształt linii, a one zmieniły się w symbole; wreszcie zawisła nad nim otwarta księga. Jej strony zapisane były literami, które najpierw drżały, a potem ukazały się bardzo wyraźnie, choć Simon nie potrafił ich odczytać.

Nie wiedział, ile czasu minęło do chwili, gdy litery ponownie zaczęły drżeć. Rozsypały się i uformowały w czarne kształty, trzy długie, wąskie kształty, które przybrały postać mieczy. Rękojeść jednego przypominała kształtem Drzewo Usiresa; drugiego dwie skrzyżowane pod kątem prostym belki stropowe; trzeci miecz natomiast miał jakby wzmocnioną rękojeść w kształcie pięcioramiennej gwiazdy. Simon w jakiś nieokreślony sposób rozpoznał ostatni z mieczy. Widział go już w przepastnej i czarnej głębi swej pamięci.

Miecze zaczęły kolejno znikać i wkrótce pozostała tylko białoszara nicość.

Simon poczuł, że osuwa się w tył, oddala się od góry, od komnaty ze studnią i wreszcie od samego snu. Jedna jego część z radością przyjęła to uczucie, przerażona widokiem okropnych miejsc, ku którym poleciał jego duch, lecz inna nie chciała odejść.

Gdzie były *odpowiedzi*? Całe jego życie zostało uchwycone, pociągnęło je za sobą jakieś przeklęte, bezlitosne koło i gdzieś w głębi duszy Simon czuł rozpaczliwą złość. Usidlony w koszmarze, który zdawał się nie mieć końca, bał się także, lecz teraz czuł przede wszystkim złość.

Coś go ciągnęło, lecz on się opierał, walczył z czymś, czego nie rozumiał, by pozostać we śnie i wydobyć z niego potrzebną mu wiedzę. Uchwycił szybko ginącą biel i z wściekłością starał się ją uformować w coś, co powiedziałoby mu, dlaczego zginął Morgenes, dlaczego zginął Dochais i mnisi z klasztoru świętego Hoderunda, dlaczego malutka Leleth leżała bliska śmierci w chacie gdzieś w głębi lasu. Walczył pełen nienawiści. Płakał, jeśli iskra może płakać.

Powoli, z trudem lodowa góra zaczęła ponownie formować się z ciemności. Gdzie była prawda? Chciał znać odpowiedzi! Dusza Simona walczyła, a góra rosła, stawała się coraz smuklejsza, a kiedy sięgnęła już

niebios, zaczęła wypuszczać gałęzie niczym olbrzymie, lodowe drzewo. Potem gałęzie odpadły i pozostała tylko gładka, biała wieża; znał ją. Na szczycie wieży płonął ogień. Usłyszał donośne dudnienie, jakby bił jakiś ogromny dzwon. Wieża zadrżała. Dzwon zagrzmiał jeszcze raz. Wiedział, że w jakiś przerażający, tajemniczy sposób ma to ogromne znaczenie. Czuł, że odpowiedź jest tuż-tuż...

Malutka muszko! Ty przyszłaś do nas?

Nagle spłynęła na niego straszliwa, czarna nicość, która oddzieliła go od wieży i bijącego dzwonu. Ogarnął go lodowaty chłód i poczuł, że tchnienie życia uchodzi z jego duszy. Był w samym środku kompletnej próżni; pyłek wśród nieskończonych, czarnych głębin morskich, odcięty od życia, oddechu, myśli. Wszystko zniknęło. Wszystko z wyjątkiem okropnej, druzgocącej nienawiści tego czegoś, co go obejmowało... dusiło...

I kiedy wydawało się, że nie ma już nadziei, poczuł się wolny.

Unosił się niezwykle wysoko nad Osten Ard, niesiony w silnych szponach ogromnej, szarej sowy, jakby był dzieckiem wiatru. Lodowa góra zostawała z tyłu i ginęła w bezmiarze bieli. Sowa frunęła niezwykle szybko, unosząc go nad jeziorami, lodem i górami w kierunku ciemnej linii horyzontu. Kiedy zbliżyli się, linia okazała się lasem i poczuł, że wysuwa się ze szponów sowy. Ptak chwycił go mocniej i zaczął obniżać lot. Ziemia jakby podskoczyła ku nim i sowa rozpostarła ogromne skrzydła. Teraz szybowała nad ośnieżonymi polami w kierunku bezpiecznego lasu.

W następnej chwili Simon poczuł, że znajduje się w chacie, ocalony.

JĘKNĄŁ I PRZEWRÓCIŁ SIĘ NA BOK. W głowie huczało mu, jakby słuchał młotu Rubena, zwanego Niedźwiedziem, w dzień turniejów. Wydawało mu się, że język spuchł mu bardzo, a w ustach czuł smak metalu. Uniósł się i przykucnął, starając się jak najwolniej poruszać głową.

Obok leżał Binabik; jego szeroka twarz była bardzo blada. Qantaqa, skomląc, trącała go nosem w bok. Po drugiej stronie dymiącego ogniska ciemnowłosy Malachias potrząsał Geloë; siedziała z rozchylonymi ustami, a jej wargi lśniły od wilgoci. Simon jęknął ponownie i zwiesił głowę; miał wrażenie, że zamiast niej ma mocno poobijany owoc. Podpełzł do Binabika. Zobaczył, że troll oddycha. Kiedy nachylił się nad nim, troll wziął głębszy oddech, zakasłał i otworzył oczy.

– Jesteśmy... – dyszał – jesteśmy... wszyscy tutaj?

Simon skinął głową i spojrzał na Geloë, która pomimo starań Malachiasa, wciąż się nie poruszała.

– Chwileczkę... – powiedział i wstał powoli.

Poszedł ostrożnie w stronę drzwi i wyszedł na zewnątrz z małym, pustym naczyniem w dłoni. Ze zdziwieniem stwierdził, że pomimo gęstej mgły wciąż jest jeszcze popołudnie: wydawało mu się, że spędził o wiele więcej czasu na Ścieżce Snów. Nie mógł też oprzeć się wrażeniu, że tutaj, na zewnątrz, coś się zmieniło, lecz nie potrafił wskazać co. Wszystko było jakby nieco oddalone. Stwierdził, że jest to pewnie efekt jego przeżyć. Napełnił naczynie wodą z jeziora, zmył z dłoni gęstą, zieloną maść i wrócił do chaty.

Binabik pił łapczywie, a potem ruchem dłoni wskazał, by Simon dał wody Geloë. Malachias patrzył z nadzieją i trochę z zazdrością, jak Simon unosi nieco brodę czarownicy i spryskuje wodą jej usta. Geloë zakasłała i przełknęła łyk wody; Simon dał jej kolejny łyk.

Trzymając jej głowę, zrozumiał, że to właśnie Geloë w jakiś sposób uratowała go w trakcie ich przebudzenia. Oddech czarownicy był teraz bardziej regularny. Spojrzawszy na nią, Simon przypomniał sobie szarą sowę, która chwyciła go w szpony we śnie, kiedy życie uchodziło z jego duszy, i uniosła w bezpieczne miejsce.

Wyczuwał, że troll i Geloë nie przewidywali takiego przebiegu wydarzeń; to przez niego znaleźli się w niebezpieczeństwie. Tym razem jednak nie wstydził się swych czynów. Czuł, że zrobił to, co było konieczne. Wystarczająco długo uciekał już przed tamtym kołem.

– Jak ona się czuje? – spytał Binabik.

– Chyba dojdzie do siebie – odpowiedział Simon, spoglądając uważnie na czarownicę. – Uratowała mnie, prawda?

Przez chwilę Binabik patrzył przed siebie w milczeniu; pozlepiane od potu włosy opadły mu na śniade czoło.

– Bardzo możliwe – odezwał się wreszcie. – Potrafi być potężnym sprzymierzeńcem, lecz tym razem nawet ona musiała wykazać maksimum swych możliwości.

– Co znaczył ten sen? – zapytał Simon i pozwolił Geloë opaść w ramiona Malachiasa. – Czy i ty widziałeś to samo, co ja? Górę i... i kobietę w masce, i księgę?

– Simonie, nie wiem, czy widzieliśmy wszystko tak samo – odpowiedział wolno Binabik. – Ale uważam, że musimy zaczekać, aż Geloë powie nam, co o tym myśli. Może porozmawiamy później, kiedy coś zjemy. Jestem straszliwie głodny.

W odpowiedzi Simon uśmiechnął się słabo i odwrócił się, napotykając wzrok Malachiasa. W pierwszej chwili chłopiec chciał gwałtownie odwrócić oczy, lecz zaraz jakby zmienił zdanie i wytrzymał spojrzenie Simona tak długo, że w końcu ten poczuł się nieswojo.

– Było tak, jakby trząsł się cały dom – odezwał się nagle Malachias, co bardzo zaskoczyło Simona. Jego głos był wysoki, napięty i ochrypły.

– Co ty mówisz? – spytał Simon zafascynowany samym faktem, że Malachias przemówił do niego, jak i tym, co powiedział.

– Cała chata. Kiedy wszyscy siedzieliście i wpatrywaliście się w ogień, ściany zaczęły... zaczęły się trząść. Jakby ktoś ją podniósł i ponownie postawił na ziemi.

– Pewnie tak właśnie poruszaliśmy się w czasie... to znaczy... ach, sam nie wiem. – Simon urwał zniechęcony. Prawda była taka, że w tym momencie nie potrafił powiedzieć niczego na pewno. Miał uczucie, jakby ktoś wymieszał mu mózg patykiem.

Malachias odwrócił się, by podać wody Geloë. Nagle na parapetach zadudniły krople deszczu; szare niebo ugięło się wreszcie pod swym burzowym ciężarem.

CZAROWNICA SIEDZIAŁA Z PONURĄ MINĄ. Odstawili miski po zupie i cała trójka usiadła naprzeciw siebie na podłodze. Malachias, choć z pewnością także był bardzo ciekawy, pozostał na sienniku u boku dziewczynki.

– Widziałam złe istoty – powiedziała *valada*, a w jej oczach pojawił się błysk. – Odzyskała już siły i chyba coś więcej; była uroczysta i poważna jak sędzia, który ma wydać wyrok. – Prawie żałuję, że wkroczyliśmy na Ścieżkę Snów, choć to tylko odczucie tej części mnie, która chce, by zostawiono ją w spokoju. Widziałam nadchodzące mroczne dni i boję się wydarzeń, które mogą nastąpić.

– O czym mówisz? – spytał Simon. – Co to wszystko znaczy? Czy i ty widziałaś górę?

– Burzowa Góra. – Głos Binabika zabrzmiał dziwnie bezbarwnie.

Geloë spojrzała na niego, skinęła głową i ponownie zwróciła się do Simona.

– Tak. Rzeczywiście widzieliśmy Burzową Górę, jak nazywają ją w swych legendach Rimmersmeni. Jest to góra Nornów.

– My, lud Qanuc – powiedział Binabik – wiemy, że Burzowa Góra istnieje naprawdę. Tyle tylko, że Nornowie nie pojawiali się w Osten Ard już od wieków. Skąd się wzięli teraz? Wydaje mi się, że... że...

– Że przygotowują się do wojny – dokończyła za niego Geloë. – Masz rację, jeśli wierzyć w nasz sen. Ktoś z większym niż ja doświadczeniem mógłby powiedzieć na pewno, czy widzieliśmy prawdę. Ale wy sami mówiliście, że psy, które was ścigają, noszą piętno Burzowej Góry. Myślę, że możemy zawierzyć tej części snu, a przynajmniej powinniśmy to zrobić.

– Przygotowują się do wojny? – powtórzył Simon zdezorientowany. – Przeciwko komu? Kim była kobieta w srebrzystej masce?

Geloë wyglądała na bardzo zmęczoną.

– W masce? To nie była kobieta. Jest to postać z legend czy raczej sprzed wieków, jak ujął to Binabik. Nazywa się *U tuk'ku*, królowa Nornów.

Simon poczuł, że ogarnia go chłód. Na zewnątrz wiatr nucił swą zimną samotną pieśń.

– Ale kim są Nornowie? Binabik mówił, że są Sithami.

– Według starych podań istotnie należeli niegdyś do Sithów – odparła Geloë. – Lecz stali się straconym plemieniem, czy też renegatami. Nigdy nie przybyli do Asu'a z pozostałą częścią swego ludu; odeszli na północ i zamieszkali na niezbadanych, pokrytych lodem terenach poza górami krainy Rimmersgard. Nie chcieli mieć nic wspólnego z Osten Ard, lecz teraz, zdaje się, zmienili zdanie.

Simon spostrzegł, że na ponurej twarzy czarownicy pojawił się na moment wyraz niepokoju.

„I ci Nornowie pomagają Eliasowi mnie ścigać? – pomyślał i poczuł ogarniający go strach. – Dlaczego wpadłem w ten koszmar?"

W tej chwili coś sobie przypomniał, jakby strach otworzył drzwi w jego pamięci. Okropne postaci zaczęły wypełzać z mrocznych zakamarków jego

serca, a on starał się opanować okrzyk.

– Ci... ci bladzi ludzie. Nornowie. Widziałem ich już wcześniej!

– Co? – zapytali jednocześnie Geloë i Binabik, pochylając się do przodu. Przestraszony Simon cofnął się.

– Kiedy? – spytała krótko Geloë.

– To się wydarzyło... tak mi się wydaje, że to się wydarzyło naprawdę, bo mógł to być też sen tamtej nocy, kiedy uciekłem z Hayholt. Byłem wtedy na cmentarzu i wydawało mi się, że ktoś zawołał mnie po imieniu – słyszałem kobiecy głos. Tak się przestraszyłem, że uciekłem; pobiegłem w kierunku góry Thisterborg.

Na sienniku nastąpiło jakieś poruszenie: Malachias poruszył się nerwowo. Simon nie zwracał na niego uwagi i mówił dalej:

– Na szczycie góry, między Kamieniami Gniewu, paliło się ognisko. Znacie te kamienie?

– Tak – powiedziała rzeczowo Geloë, lecz Simon wyczuł w jej głosie dodatkowe znaczenie, którego nie rozumiał.

– Było mi zimno i byłem przestraszony, kiedy wdrapałem się na szczyt. Nie mówiłem o tym wcześniej, gdyż byłem przekonany, że to tylko sen. Może rzeczywiście był to sen.

– Możliwe, ale mów dalej.

– Na górze byli jacyś ludzie. Domyśliłem się, że są żołnierzami, gdyż mieli broń. – Simon poczuł, że ma wilgotne dłonie i potarł je o siebie. – Jednym z nich był Król Elias. Ukryłem się, kiedy go zobaczyłem. Później usłyszałem przeraźliwy odgłos skrzypienia i na górę wjechał czarny wóz. – Simon czuł, że całe to wydarzenie jakby powraca; tak mu się przynajmniej wydawało, chociaż w jego umyśle pozostały jeszcze puste miejsca. – Ci niezwykle bladzi ludzie, Nornowie, przybyli z wozem; było ich kilkunastu i mieli na sobie czarne szaty.

Simon zamilkł na długą chwilę, starając się przypomnieć sobie całe wydarzenie. Deszcz bębnił o dach chaty.

– I co było później? – spytała łagodnie *valada*.

– O Elysio, Matko Boża! – powiedział Simon, a w jego oczach pojawiły się łzy. – Nie pamiętam! Dali mu coś z wozu. Jeszcze coś się wydarzyło, ale kiedy zaczynam o tym myśleć, mam wrażenie, że moje myśli są pogrążone w ciemności. Mogę tego nieomal dotknąć, lecz nie potrafię opisać! Dali mu coś! Myślałem, że to tylko sen! – Chłopiec skrył twarz w dłoniach, jakby chciał wycisnąć bolesne wspomnienia ze skołowanej głowy.

Binabik nieśmiało poklepał go po kolanie.

– Być może jest to odpowiedź na nasze pytania. Ja także się zastanawiałem, dlaczego Nornowie mieliby przygotowywać się do walki. Podejrzewałem, że może będą walczyć przeciwko Wielkiemu Królowi, Eliasowi, chcąc wyrównać jakieś dawne krzywdy, których zaznali od ludzi. Teraz jednak wydaje mi się, że oni raczej mu pomagają. Zdaje się, że zawarli jakiś pakt. Wtedy pewnie widział ich Simon. Ale jak to możliwe, by Elias bratał się z tajemniczymi Normami?

– Pryrates – odpowiedział Simon spontanicznie i w następnej chwili był pewien, że to prawda. – Morgenes powiedział, że Pryrates otworzył drzwi okropnym rzeczom. Pryrates także był tam na wzgórzu.

Valada Geloë pokiwała głową.

– To brzmi sensownie. Należy odpowiedzieć na pytanie, czego my z pewnością nie będziemy w stanie zrobić, na czym polegała umowa. Co Król i Pryrates mają do zaoferowania Nornom w zamian za ich pomoc?

Zapadła cisza.

– Co powiedziała księga na Ścieżce Snów? Wy także ją widzieliście?

Binabik uderzył się w pierś.

– Tak, była tam. Widziałem pismo Rimmersgardczyków. Napisano: *Du Svardenvyrd*. Znaczy to: „Zaklęcie Mieczy”.

– Albo „Los Mieczy” – dodała Geloë. – Jest to księga znana wśród mędrców, która jednak zaginęła już dawno temu. Nigdy jej nie widziałam. Podobno napisał ją Nisses, kapłan, który był doradcą króla Hjeldina Szalonego.

– Tego samego, od którego wzięła nazwę Wieża Hjeldina? – zapytał Simon.

– Tak. Tam właśnie zmarli Nisses i Hjeldin.

– Ja także widziałem miecze, trzy – powiedział zamyślony Simon.

Binabik spojrzał na Geloë.

– Widziałem tylko ich zarysy – wycedził wolno troll. – Myślałem, że może to coś podobnego do mieczy.

Czarownica także nie miała pewności. Simon opisał ich kształty, lecz nie pomogło to w niczym Binabikowi ani Geloë.

– Tak więc – przemówił troll – ze Ścieżki Snów dowiedzieliśmy się, że Nornowie udzielają pomocy Eliasowi. Takie przynajmniej są nasze przypuszczenia. Domyślamy się także, że w całej sprawie ma znaczenie dziwna księga. To już jest coś nowego. Widzieliśmy również na Ścieżce Snów Górę Burz oraz komnaty jej królowej. Być może zobaczyliśmy też coś, czego jeszcze nie rozumiemy. Mimo wszystko według mnie jedna rzecz pozostaje oczywista: musimy dotrzeć do Naglimundu. *Valada*, twój dom jest dla nas dobrym schronieniem, lecz jeśli Josua żyje, musi się o wszystkim dowiedzieć.

Nagle niespodziewany rozmówca przerwał Binabikowi:

– Simonie – odezwał się Malachias – mówiłeś, że ktoś zawołał cię na cmentarzu. To był mój głos. Ja cię wołałem.

Simon patrzył przed siebie z otwartymi ustami.

Geloë uśmiechnęła się.

– Nareszcie. Przynajmniej jedna z naszych tajemnic zaczyna się wyjaśniać! Mów, dziecko. Powiedz im, co masz do powiedzenia.

Twarz Malachiasa pokrył rumieniec.

– Ja... nie nazywam się Malachias. Mam na imię... Marya.

– Ale przecież Marya jest imieniem dziewczęcym – powiedział Simon i nagle zamilkł, widząc coraz weselszy uśmiech na twarzy Geloë. – Dziewczyna? – bąknął. Wpatrywał się w dziwną twarz chłopca i nagle zobaczył całą prawdę. – Dziewczyna – powtórzył i poczuł się potwornie głupio.

Czarownica zachichotała.

– Muszę przyznać, że było to chyba oczywiste, a przynajmniej powinno być. Wprawdzie podróżowała z trollem oraz chłopcem i do tego w niezwykłych okolicznościach, lecz mówiłam jej, że taka sytuacja nie może trwać wiecznie.

– Z pewnością nie przez całą drogę do Naglimundu, gdzie się udaję – powiedziała Marya i potarła oczy zmęczona. – Mam ważną wiadomość dla księcia Josui od jego bratanicy, Miriamele. Proszę, nie pytajcie, co to za wiadomość, gdyż nie mogę tego powiedzieć.

– A co z twoją siostrą? – zapytał Binabik. – Nie będzie mogła odbyć tak długiej podróży. – On także wpatrywał się zmrużonymi oczami w Maryę, jakby chciał się przekonać, jak to się stało, że jego także nabrała. Teraz wydawało mu się to tak oczywiste, że to dziewczyna.

– Ona nie jest moją siostrą – odpowiedziała smutno Marya. – Leleth była pokojówką księżniczki. Przyjaźnimy się. Bała się pozostać na zamku beze mnie i dlatego zdecydowałyśmy się wyruszyć razem. – Spojrzała na śpiącą dziewczynkę. – Nie powinnam była zabierać jej ze sobą.

Próbowałam wciągnąć ją na drzewo, zanim dopadły nas psy, ale nie miałam tyle siły.

– Trudno powiedzieć – wtrąciła Geloë – czy dziewczynka w ogóle dojdzie do siebie. Jej stan niewiele się poprawił. Z przykrością to mówię, ale taka jest prawda. Musisz zostawić ją ze mną.

Marya chciała zaprotestować, lecz czarownica jej nie słuchała. Simonowi wydawało się, że dostrzegł w ciemnych oczach dziewczyny jakby błysk ulgi. Zdawał sobie sprawę, że wiadomość musi być ważna, lecz rozzłościł się na myśl, że dziewczyna jest gotowa zostawić ranne dziecko.

– Tak więc – odezwał się Binabik – na czym stanęło? Musimy pokonać wiele mil lasu i strome wzgórza Wealdhelm, aby dotrzeć do Naglimundu. Nie wspomnę już o tych, którzy nas ścigają.

Geloë zamyśliła się.

– Według mnie – przemówiła – musicie przedostać się lasem do Da’ai Chikiza. Jest to opuszczona od dawna siedziba Sithów. Tam odnajdziecie Przełaz, dawny szlak, który biegnie wśród wzgórz, a pochodzi z czasów, gdy Sithowie podróżowali do Hayholt. Teraz chadzają nim tylko zwierzęta, lecz będzie to dla was najbezpieczniejsza droga. Rano dam wam mapę. Tak, Dai’ai Chikiza... – W jej żółtych oczach pojawił się błysk, kiedy tak siedziała zatopiona w myślach. Po chwili zamrugała i ożywiła się ponownie. – Teraz musicie się przespać. Wszystkim nam potrzeba snu. Po dzisiejszym dniu jestem jak gałązka wierzby.

Simon był odmiennego zdania. Według niego czarownica wciąż przypominała nieugięty dąb, choć przypuszczał, że i dąb może ucierpieć w czasie burzy.

KIEDY LEŻAŁ PÓŹNIEJ otulony swym płaszczem obok Qantaqi, która natrętnie tuliła się do jego nóg, starał się odegnać wspomnienia strasznej

góry. Wydarzenia następowały tak szybko i były tak mroczne. Zastanawiał się, co myśli o nim Marya. Chłopak, jak nazwała go Geloë, który nie potrafił rozpoznać dziewczyny. Wydawało mu się to niesprawiedliwe – czy miał czas na zastanawianie się nad tym?

Dlaczego śledziła go w Hayholt? Może z polecenia księżniczki? A jeśli rzeczywiście Marya wołała go na cmentarzu, to dlaczego? Skąd znała jego imię? Dlaczego się nim interesowała? Nie pamiętał, by widział ją kiedykolwiek na zamku, przynajmniej nie jako dziewczynę.

Wreszcie udało mu się zasnąć – odpłynął jak mała łódeczka, którą puszczono na czarny ocean; czuł się, jakby gonił oddalające się światło, jaśniejszą plamę, która wciąż pozostawała poza zasięgiem ręki. Na zewnątrz deszcz mącił czarne lustro jeziora Geloë.

27. Pajęcze wieże

STARAŁ SIĘ ZIGNOROWAĆ DŁOŃ, którą poczuł na swoim ramieniu, lecz bez skutku. Otworzył oczy i stwierdził, że w izbie jest nadal ciemno; dwie siatki gwiazd wskazywały miejsca, gdzie były okna.

– Chcę jeszcze spać – stęknął. – Jest jeszcze wcześnie!

– Wstawaj, chłopcze! – usłyszał zdecydowany szept. Zobaczył nad sobą Geloë w luźnej szacie. – Nie ma ani chwili do stracenia.

Piekły go bardzo powieki; mrugając, otworzył oczy i spojrzał poza klęczącą kobietę. Zobaczył Binabika, który pakował swoją torbę.

– Co się dzieje? – spytał, lecz troll wydawał się zbyt zajęty pakowaniem.

– Wychodziłam do lasu – powiedziała Geloë. – Odkryto jezioro, chyba są to ludzie, którzy was ścigają.

Simon usiadł natychmiast i sięgnął po buty. W półmroku wszystko wydawało się tak nierealne; poczuł przyspieszone bicie serca.

– Na Usiresa! – mruknął pod nosem. – Co my zrobimy? Czy oni nas zaatakują?

– Nie wiem – odpowiedziała Geloë, wstając.

Podeszła do siennika, by obudzić Malachiasa – nie, Maryę – przypomniał sobie Simon.

– Zauważyłam dwa obozy: jeden po drugiej stronie jeziora, w miejscu, gdzie wpada do niego strumień, a drugi niedaleko stąd. Albo wiedzą, czyj to

dom, i zastanawiają się, co zrobić, albo nie zauważyli jeszcze chaty. Może przybyli, gdy już zgasiliśmy świece.

Nagle przyszło mu coś do głowy.

– Skąd wiesz, że są po drugiej stronie jeziora?

Wyjrzał przez okno. Jezioro znowu ginęło we mgle i nie było widać żadnych ognisk. – Jest tak ciemno – dokończył i odwrócił się do Geloë. Nie miała na sobie stroju, który byłby odpowiedni do nocnych wędrówek po lesie. Nie miała nawet butów na nogach!

Kiedy spojrzał na pospiesznie włożoną szatę i kropelki rosy na jej twarzy i włosach, przypomniała mu się tamta ogromna, szara sowa, która frunęła przed nimi w drodze do jeziora. Czuł jeszcze silne szpony, które go uniosły daleko od niebezpieczeństw na Ścieżce Snów.

– Zresztą to nieważne – skwitował. – Najważniejsze, że tam są. – W słabym blasku księżyca dostrzegł uśmiech Geloë.

– Masz rację, chłopcze – powiedziała cicho i odeszła, by pomóc Binabikowi napełnić kolejne dwie torby dla Simona i Maryi.

– Posłuchajcie – powiedziała czarownica, kiedy Simon był już ubrany. – Musicie się stąd wydostać jeszcze przed świtem – zmrużyła oczy i spojrzała przez chwilę na gwiazdy – który wkrótce nadejdzie. Pytanie: w jaki sposób?

– Możemy liczyć tylko na to – mruknął Binabik – że uda nam się stąd wymknąć i minąć ich w lesie przy zachowaniu wielkiej ostrożności. Niestety, nie potrafimy latać. – Uśmiechnął się kwaśno.

Marya, opatulona w płaszcz, którym obdarowała ją Geloë, patrzyła na trolla zdumiona.

– Nie – przemówiła Geloë poważnie – ale wątpię, aby udało wam się przemknąć obok tych okropnych psów. Może i nie potraficie latać, ale potraficie płynąć. Mam pod domem łódź. Nie jest zbyt duża, lecz pomieści

was wszystkich; nawet Qantaqę, jeśli nie będzie dokazywała. – Mówiąc to, pociągnęła za ucho wilczycę, która przysiadła obok trolla.

– Tylko co nam po łodzi? – zapytał Binabik. – Wypłyniemy na środek jeziora i rankiem pozwolimy się im schwytać? – Skończył pakowanie drugiej torby i podał obie Simonowi i dziewczynie.

– Do jeziora wpada strumień – wyjaśniła Geloë. – Jest mały i płynie wolno, wolniej nawet od tego, wzdłuż którego szliście tutaj. Wiosłując czterema wiosłami, z łatwością możecie wypłynąć z jeziora i popłynąć w górę strumienia – mówiła skupiona. – Niestety, strumień przepływa obok jednego z obozów. Na to nic już nie możemy poradzić. Musicie wiosłować bardzo cicho. A może to właśnie wam pomoże. Wierzcie mi, miałam do czynienia z baronem Heahferthem i jemu podobnymi; nie przyjdzie mu do głowy, że jego ofiara może próbować przemknąć się tak blisko niego.

– Nie obawiam się Heahfertha – odpowiedział Binabik – ale tego, który w rzeczywistości prowadzi polowanie, Ingena Jeggera, Czarnego Rimmersmana.

– On pewnie nie kładzie się w ogóle spać – dodał Simon. Wzdrygnął się na wspomnienie tego mężczyzny.

Geloë skrzywiła się.

– Nie bój się, a przynajmniej nie pozwól opanować się całkowicie strachowi. Nigdy nie wiadomo... mogą nastąpić jakieś wydarzenia, które odwrócą ich uwagę. – Wstała. – Chodź, chłopcze – zwróciła się do Simona – jesteś mi potrzebny. Pomożesz odwiązać łódź i przyciągnąć ją do pomostu przed drzwiami.

WIDZISZ JĄ? – SPYTAŁA SZEPTEM GELOË, wskazując na ciemny przedmiot, który podskakiwał na powierzchni jeziora przy przeciwległym rogu domu.

Simon, stojąc po kolana w wodzie, skinął głową. – Dobrze, więc idź cicho – dodała, zdaniem Simona zupełnie niepotrzebnie.

Kiedy brodząc w wodzie, obchodził dom, z głową tuż przy ziemi, upewnił się, że się nie mylił poprzedniego popołudnia i pewne rzeczy wokół domu zmieniły się. Na przykład tamto drzewo z korzeniami do połowy w wodzie; kiedy ujrzał je pierwszego dnia, było – na Usiresa, nie miał wątpliwości! – po drugiej stronie chaty, w pobliżu pomostu przy drzwiach. Czy drzewo mogło się poruszać?

Wymacał linę cumowniczą łodzi i przesunął po niej palce aż do miejsca, w którym przywiązana była do obręczy zwisającej z podłogi chaty. Pochylił się mocno i w bardzo niewygodnej pozycji spróbował rozwiązać linę; skrzywił się z powodu dziwnego odoru. Zastanawiał się, czy tak cuchnie sama woda, czy też spód domu. Oprócz zapachu mokrego drewna i pleśni czuć było jeszcze inny zapach, jakby zwierzęcy, ciepły i piżmowy.

Wytężając wzrok, wpatrywał się w ciemność i po jakimś czasie zorientował się, że cienie rozjaśniły się nieco. Widział już nawet węzeł na linie! Radość ze zręcznego rozsupłania szybko minęła, kiedy zdał sobie sprawę, że zbliża się świt, a przecież tylko w ciemności ich plan miał szansę powodzenia. Wysunął linę z obręczy i ruszył z powrotem, ciągnąc za sobą łódź. Wkrótce dostrzegł niewyraźną postać Geloë, która stała na brzegu obok pomostu; na jej widok przyspieszył kroku i... nagle potknął się o coś.

Wydał zduszony okrzyk i machając rękami, upadł na jedno kolano, lecz zaraz się podniósł. O co się potknął? Wydawało mu się, że była to kłoda. Spróbował zrobić krok nad przeszkodą, ale kiedy opuszczał nogę, postawił ją na wierzchu kłody i z trudem powstrzymał kolejny okrzyk. Choć przeszkoda leżała na dnie nieruchomo, Simon czuł, że jest jakby pokryta łuskami jak jeden ze szczupaków z fosy Hayholt lub inne wypchane stwory

z półki Morgenesa. Kiedy woda uspokoiła się, usłyszał ściszony głos Geloë, która zaniepokojona pytała go, czy nic mu się nie stało; wtedy spojrzał w dół.

Woda była nieomal przezroczysta, dlatego pomimo ciemności Simon wyraźnie zobaczył zarys owej dziwnej kłody, czy raczej ogromnej gałęzi, która łączyła dwie inne łuskowate gałęzie. Wydawało mu się, że obie wyrastają z podstawy jednego z pali, na których postawiono część chaty nad jeziorem.

Zdał sobie nagle sprawę, że te gałęzie czy korzenie, czy też czymkolwiek były, przypominały w rzeczywistości jakąś monstrualną stopę. A raczej łapę, łapę ptaka. Co za śmieszny pomysł! Przecież domy nie mają ptasich łap, chyba że wstają i... chodzą! Simon patrzył ze spokojem, jak Geloë przywiązuje łódź do podstawy pomostu.

WRESZCIE WSZYSTKIE OSOBY i pakunki znalazły się w łodzi: Binabik przykucnął na zakrzywionym do góry dziobie łodzi, Marya siedziała w środku, a Simon z niespokojną Qantaqą między kolanami ulokował się na rufie. Binabik długo nakłaniał wilczycę, by weszła do łodzi, aż wreszcie musiał uderzyć ją lekko w pysk.

Księżyc przesunął się na granatową część zachodniego nieba rozświetlanego błyskawicami. Geloë podała im wiosła i wyprostowała się.

– Kiedy wypłyniecie z jeziora i udacie się w górę strumienia, będziecie musieli nieść łódź lądem przez las do rzeki Aelfwent. Łódź nie jest ciężka i nie trzeba będzie nieść jej bardzo długo. Rzeka płynie w odpowiednim kierunku i powinniście dotrzeć nią do Da’ai Chikiza.

Binabik wysunął wiosło i odepchnął łódź od pomostu. Geloë stała po kostki w wodzie i patrzyła, jak oddalają się od brzegu.

– Pamiętajcie – szepnęła – wiosłujcie ostrożnie, kiedy dotrzecie do strumienia. Cisza będzie waszą obroną!

Simon uniósł otwartą dłoń.

– Żegnaj, *valada* Geloë.

– Żegnaj, młody pielgrzymie. – Oddalili się od niej zaledwie o parę łokci, a już jej głos stał się prawie niesłyszalny. – Powodzenia. Nie bójcie się! Zajmę się dziewczynką.

Oddalali się jeszcze bardziej, aż czarownica stała się zaledwie cieniem obok pala, który podpierał jej chatę.

Dziób łodzi ciął powierzchnię wody jak brzytwa jedwab. Na znak Binabika wszyscy opuścili głowy i troll skierował łódź na środek pogrążonego we mgle jeziora. Simon wtulił się w gęste futro Qantaqi, czując jej przyspieszone bicie serca; patrzył, jak tuż za burtą na powierzchni jeziora tworzą się malutkie koła. Początkowo myślał, że to ryby, które wcześnie wyruszyły na żer, by pożywić się jętkami lub komarami. Później poczuł kroplę, która spadła mu na kark, a potem jeszcze jedną. Znowu padało.

Kiedy zbliżali się do środka jeziora, sunąc przez liczne nenufary, które unosiły się na wodzie, jakby ktoś usłał nimi ścieżkę powracającego bohatera, niebo rozjaśniło się już trochę. Lecz właściwy świt jeszcze nie nastąpił; brakowało paru godzin, by słońce ostatecznie przebiło się przez chmury i zaświeciło na niebie. Teraz niebo wyglądało tak, jakby ktoś zdjął zeń jedną z wielu warstw ciemności. Las, stanowiący dotąd jednolitą, ciemniejszą plamę na horyzoncie, stawał się coraz bardziej widoczny, wierzchołki drzew wyraźnie odcinały się na tle ciemnoszarego nieba. Woda wokół łodzi była jak czarne lustro, lecz linia brzegu stawała się coraz wyraźniejsza; widać było jasne korzenie drzew, podobne do powykręcanych kończyn żebraków, oraz wystające z ziemi i połyskujące

srebrzyście granitowe głazy – wszystko to wyglądało jak galeria, ustawiona wokół tajemniczego jeziora, która czekała na widzów, gdy tymczasem jej eksponaty przemieniały się powoli z szarych, nocnych kształtów w obiekty ożywiane światłem dnia.

Qantaqa poruszyła się niespokojnie, zaskoczona, kiedy Marya wychyliła się nagle z łodzi, by przyjrzeć się czemuś w oddali. Dziewczyna zaczęła coś mówić, lecz zaraz zreflektowała się i wskazała tylko ręką trochę na prawo od dziobu łodzi.

Simon wytężył wzrok i także dostrzegł przysadzisty, kwadratowy kształt, zakłócający niejednolitą, aczkolwiek w jakimś sensie symetryczną krawędź lasu i różniący się kolorem od otaczających go ciemnych gałęzi – niebieski, pasiasty namiot.

Po chwili ujrzeli kolejne trzy lub cztery. Simon uśmiechnął się pogardliwie. Przypomniał sobie, co słyszał na zamku o baronie Heahferth, i stwierdził, że to dla niego typowe – dźwigać takie luksusowe przedmioty do dzikiego lasu. Tuż za obozowiskiem linia brzegu wcinała się w ląd i zaraz pojawiała się znowu, pozostawiając wcięcie, jakby ktoś wykroił kawałek brzegu. W tym miejscu gałęzie drzew zwieszały się nisko nad samą wodą; nie można było powiedzieć na pewno, że tam właśnie wpadał do jeziora strumień, lecz Simon był przekonany, że tak jest.

„Jest dokładnie tak, jak mówiła Geloë! – pomyślał. – Ma bystry wzrok, ale chyba nie ma się czemu dziwić?”

Wskazał na ciemne wcięcie linii brzegowej. Binabik odpowiedział skinięciem głowy; on także je dostrzegł.

Kiedy zbliżyli się do pogrążonego w ciszy obozu, troll musiał wiosłować trochę mocniej, by utrzymać odpowiednie tempo. Simon odgadł, że są już pewnie w zasięgu odpychającego ich strumienia. Uniósł swoje wiosło i opuścił je nad wodę. Binabik kątem oka dostrzegł jego ruch

i wyszeptał bezgłośnie, by jeszcze nie zaczynał. Simon trzymał wiosło tuż nad powierzchnią rozbryzgiwanej deszczem wody.

Przepływali obok obozu w odległości zaledwie kilkunastu łokci i wtedy Simon zauważył ciemną postać, która poruszała się między błękitnymi namiotami. Był to strażnik; Simon dostrzegł pod jego płaszczem błysk metalu. Nie sposób było powiedzieć, czy strażnik zwrócony jest w ich stronę, gdyż na głowę naciągnięty miał kaptur.

Po chwili pozostali pasażerowie łodzi także go zauważyli. Binabik uniósł swe wiosło ponad wodę i wszyscy pochylili się do przodu, chcąc zmniejszyć możliwość dostrzeżenia ich. Można było liczyć na to, że jeśli nawet strażnik skieruje na nich wzrok, pomyśli, że to tylko płynąca kłoda – choć Simon pomyślał, że byłoby to zbyt duże szczęście. Był przekonany, że przy tak bliskiej odległości strażnik zobaczy ich, gdy tylko się odwróci.

Łódź wprawdzie zwolniła, lecz mimo to zbliżali się do ciemnego wcięcia w linii brzegowej. Rzeczywiście był to strumień, który wpadał do jeziora; Simon widział, jak woda załamuje się na okrągłym kamieniu parę jardów w górę jego koryta. Dziób łodzi, która nieomal stanęła, zaczął się obracać pchany łagodnym prądem strumienia. Simon czuł, że wkrótce znowu będą musieli zacząć wiosłować albo zostaną zepchnięci na brzeg, dokładnie poniżej namiotów.

Strażnik przestał obserwować coś na drugim końcu obozu i odwrócił się, by spojrzeć na jezioro.

W następnej chwili, jeszcze zanim strach zdążył ogarnąć wszystkich w łodzi, coś ciemnego sfrunęło z wierzchołków drzew i zaczęło zbliżać się do strażnika. Ciemny kształt zniżał się wśród gałęzi niczym ogromny, szary liść i wylądował na szyi mężczyzny; tyle tylko, że ów „liść” miał pazury. Kiedy strażnik poczuł intruza na gardle, rzucił broń i krzyknąwszy, zaczął bić rękoma w owo coś, co się go uczepiło. Szary stwór zamachał mocniej

skrzydłami i zawisł nad głową strażnika poza zasięgiem jego ramion. Ten krzyknął raz jeszcze, chwycił się za gardło i schylił się, by poszukać porzuconej włóczni.

– Teraz! – syknął Binabik. – Wiosłujcie! – Cała trójka zaczęła gwałtownie wiosłować. Pomimo to łódź stała w miejscu, wciąż ulegając prądowi, a woda rozbryzgiwała się o jej kołyszące się burty. Wreszcie łódź drgnęła i popłynęli, pokonując przeciwny prąd, aż znaleźli się pod sięgającymi wody gałęziami.

Simon obejrzał się do tyłu i zobaczył, że strażnik, z odkrytą głową, podskakuje, próbując trafić włócznią unoszące się nad nim stworzenie. Paru innych żołnierzy usiadło na swych legowiskach i ze śmiechem obserwowało, jak ich towarzysz, cisnąwszy włócznię, rzuca kamieniami w napastliwego i zwinnego ptaka. Sowa z łatwością unikała pocisków. Kiedy Simon opuścił liściastą zasłonę, ptak mignął szerokim, białym ogonem i zniknął w cienistych koronach drzew.

Simon zachichotał z triumfem. Wiosłowanie w górę strumienia okazało się trudniejsze, niż przypuszczał, choć sądząc z powierzchni wody, strumień wydawał się prawie nie płynąć.

DŁUGO WIOSŁOWALI W GÓRĘ STRUMIENIA. Płynęli w milczeniu, lecz nawet gdyby odczuwali potrzebę rozmowy, nie mogliby sobie na nią pozwolić, tak ciężka była praca przy wiosłach. Dopiero po godzinie zobaczyli niewielką zatoczkę osłoniętą ścianą sitowia, gdzie mogli się zatrzymać i odpocząć.

Słońce było już wysoko; wyglądało teraz jak żarząca się kula za perlistym baldachimem chmur rozciągniętym na niebie. Las i rzeka wciąż pogrążone były we mgle i całe otoczenie przypominało świat baśni. Gdzieś wyżej strumień musiał pokonywać jakąś przeszkodę; spokojne szemranie

dochodziło stamtąd zwielokrotnione podobnym do bicia zegara odgłosem podskakujących i rozbijających się o siebie fal.

Simon, dysząc ciężko, patrzył, jak Marya opiera się o burtę i kładzie twarz na ramieniu. Teraz nie potrafił zrozumieć, jak mógł wziąć ją za chłopaka. Jej rysy twarzy – jak przedtem sądził, ostre i upodabniające ją do lisa – ocenił naraz jako po prostu bardzo delikatne. Zarumieniła się mocno od wysiłku; Simon przyglądał się jej zaróżowionym policzkom, a potem powiódł wzrokiem wzdłuż jej białej szyi aż do łagodnej, lecz wyraźnej wypukłości obojczyka, na której rozchylała się męska koszula, jaką miała na sobie.

„Nie jest pulchna... przynajmniej nie tak, jak Hepzibah – pomyślał. – Ha! Chciałbym zobaczyć Hepzibah przebraną za chłopaka! Jest chuda, ale na swój sposób ładna. Ma takie czarne włosy”.

Marya zamknęła oczy, dysząc ciężko. Simon, zamyślony, czochrał kudłaty łeb Qantaqi.

– Dobrze zbudowana, prawda? – zapytał Binabik wesoło.

Simon otworzył usta zdziwiony.

– Co?

Binabik zmarszczył brwi.

– Przepraszam. W waszym języku mówicie pewnie „zbudowany” albo „zbudowane”? Ale musisz przyznać, że Geloë dokonała wielkiej sztuki.

– Binabik – przemówił Simon, kiedy jego rumieniec zaczął nieco ustępować – nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Troll uderzył lekko otwartą dłonią w burtę łodzi.

– Geloë wie, jak robić rzeczy z kory i drewna. I jaka lekka! Myślę, że damy sobie radę z przeniesieniem jej przez las do Aelfwent.

– Łódź... – powiedział bezmyślnie Simon i pokiwał głową jak wiejski gamoń. – Łódź. Tak, rzeczywiście dobrze zbudowana.

Marya wyprostowała się.

– Czy spróbujemy wyjść na ląd i przejść do drugiej rzeki? – spytała.

Kiedy odwróciła się, by spojrzeć poprzez sitowie na wąski pas lasu, Simon zauważył jej zmęczone spojrzenie i cienie pod oczami. W pewnym sensie wciąż czuł do niej urazę za ulgę, jaką okazała, gdy Geloë obiecała zająć się dziewczynką, lecz z drugiej strony z zadowoleniem przyjął to, że Marya przejmuje się ich losem i nie jest jedną z tych, co tylko śmieją się i dokazują.

„Nie, nie jest taka – pomyślał chwilę później. – Właściwie to w ogóle nie widziałem, żeby się śmiała. Pewnie, że wiele przeszliśmy, ale przecież ja nie chodzę wciąż naburmuszony”.

– Może to i dobry pomysł – zauważył Binabik, odpowiadając na jej pytanie. – Podejrzewam, że ten odgłos w górze strumienia oznacza jakieś głazy w jego korycie. Jeśli tak jest istotnie, to i tak musielibyśmy je obejść, przenosząc łódź. Może Simon pójdzie i rozejrzy się.

– Ile masz lat? – Simon spytał Maryę.

Binabik zaskoczony odwrócił się i przyglądał obojgu. Dziewczyna wydęła nieco usta i wpatrywała się długo w Simona.

– Mam... – zaczęła i urwała. – W miesiącu Octander będę miała szesnaście.

– A zatem masz piętnaście – zauważył chytrze Simon.

– A ty? – odpowiedziała pytaniem Marya.

– Piętnaście – odburknął nasrożony chłopiec.

Binabik chrząknął.

– Dobrze jest, kiedy załoga zna się nawzajem, ale może odłóżmy to na później. Simon, mógłbyś pójść i sprawdzić, czy rzeczywiście mamy przed sobą głazy w strumieniu?

Już miał się zgodzić, gdy nagle stwierdził, że nie ma na to ochoty. Czy on jest chłopcem na posyłki? Dzieciakiem, którego wysyłają starsi, by coś dla nich sprawdził? W końcu czyj to był pomysł, żeby ściągnąć z drzewa tę głupią dziewuchę?

– Skoro i tak musimy przejść do tej jakiejś tam rzeki, po co zawracać sobie głowę głazami? – powiedział. – Idźmy od razu.

Troll wpatrywał się w niego dłuższą chwilę, aż wreszcie skinął głową.

– Dobrze. Myślę, że Qantaqa chętnie rozprostuje kości. – Zwrócił się do Maryi. – Wilki nie są miłośnikami pływania.

Teraz Marya długo patrzyła na trolla, jakby zastanawiając się, który z nich zachowuje się dziwniej. Wreszcie roześmiała się dźwięcznie.

– To prawda! – powiedziała i zaśmiała się znowu.

ŁÓDŹ ISTOTNIE OKAZAŁA SIĘ bardzo lekka, lecz mimo to niewygodnie było ją nieść z powodu licznych pnączy i gałęzi. By mogli dźwigać wspólnie, musieli odwrócić ją do góry nogami i nieść w taki sposób, że ostre wygięcie rufy obijało się o pierś Simona. Idąc, nie widział swych stóp, dlatego od czasu do czasu potykał się o zarośla. Rozpościerający się nad nimi baldachim gałęzi pokrytych liśćmi nie chronił przed ulewnym deszczem. Mając zajęte ręce, Simon nie mógł nawet zetrzeć kropli, które spadały mu na oczy. Nie był w najlepszym nastroju.

– Ile mamy jeszcze do przejścia? – zapytał wreszcie. – Na Usiresa, ta przeklęta łódź zrobi mi dziurę w piersi.

– Mam nadzieję, że jest już niedaleko – odparł troll, a jego głos odbił się dziwnym echem pod skorupą łodzi. – Geloë powiedziała, że strumień płynie równolegle do rzeki Aelfwent; na długim odcinku są oddalone od siebie o około pół mili. Więc wkrótce powinniśmy tam dotrzeć.

– Mam nadzieję, że będzie to „wkrótce” – rzucił ponuro Simon.

Idąca przed nim Marya wydała odgłos, który według Simona wyrażał jej oburzenie – oburzenie w stosunku do niego, jak przypuszczał. Opuścił głowę nachmurzony, a mokre, rude włosy opadły mu na czoło.

Wreszcie usłyszeli odgłos inny niż delikatne bębnienie kropli deszczu o liście; to, co usłyszeli, bardziej kojarzyło się Simonowi z pokojem pełnym szepczących ludzi. Qantaqa skoczyła do przodu, szeleszcząc czepiającymi się jej sierści krzakami.

– Ha! – mruknął Binabik i opuścił swój koniec łodzi. – Widzicie? Znaleźliśmy! T’si Suhyasei!

– Myślałam, że ta rzeka nazywa się Aelfwent – powiedziała Marya, rozcierając ramię, na którym podtrzymywała łódź. – A może trolle mówią tak zawsze, kiedy odnajdują rzekę?

Binabik uśmiechnął się.

– Nie. To jest nazwa sithijska. W pewnym sensie była to rzeka Sithów, gdyż pływali po niej w czasach, kiedy Dai’ai Chikiza było ich miastem. Powinniście to wiedzieć. W języku Erkynlandczyków Aelfwent znaczy „Rzeka Sithów”.

– W takim razie co znaczy to, co powiedziałeś?

– Tsi Suhyasei? – Binabik zamyślił się. – Trudno przetłumaczyć dokładnie. Można by to wyrazić: „jej krew jest chłodna”.

– Jej? – zapytał Simon, który zdrapywał patykiem błoto z butów. – Co znaczy „jej” tym razem?

– Lasu – odparł Binabik. – Chodźmy. Obmyjesz sobie buty w wodzie.

Ponieśli łódź w dół do brzegu, przeciskając się przez kępę wierzb, których gałązki uderzały o burty łodzi, aż dotarli do samej rzeki. Była o wiele szersza od strumienia i jej prąd wydawał się znacznie szybszy. Musieli spuścić łódź na rzekę; Simon stanął po kolana w wodzie, by ją

odebrać – rzeczywiście, jego buty wymyły się same. Przytrzymywał kołyszącą się łódź, a Marya i Binabik wsadzili do niej Qantaqę, która bynajmniej nie starała się im pomagać, a potem sami wsiedli. Simon zajął miejsce na rufie.

– Simonie – powiedział poważnie Binabik – miejsce, które zająłeś, wymaga wielkiej odpowiedzialności. Przy tak silnym prądzie nie trzeba będzie wiele wiosłować, ale musisz uważnie sterować i ostrzegać nas przed skałami, abyśmy mogli odepchnąć od nich łódź.

– Dam sobie radę – odpowiedział szybko.

Binabik skinął głową i puścił długą gałąź, którą trzymał przez cały czas; łódź natychmiast oddaliła się od brzegu i pomknęła z prądem rzeki.

Już na początku Simon stwierdził, że sterowanie nie jest takie proste. Niektóre ze skał, jakie musieli omijać, nie wystawały ponad lśniącą powierzchnię wody; tkwiły tuż pod nią i można je było rozpoznać jedynie po migocących wybrzuszeniach, jakie woda tworzyła przepływając po nich. Przy pierwszym kamieniu, którego Simon nie zauważył, usłyszeli przeraźliwy zgrzyt kadłuba, tak że wszyscy zamarli na moment, lecz łódź odbiła się tylko od ukrytej przeszkody niczym owca umykająca przed nożycami. Jednak Simon szybko opanował sztukę sterowania. Łódź, lekka jak listek, mknęła, ledwo muskając falujący grzbiet rzeki.

Kiedy wpłynęli na spokojniejszą wodę, zostawiając za sobą niebezpieczne głazy, Simon poczuł rozpierającą go radość. Rozigrane dłonie rzeki czepiały się wioseł. Przypomniały mu się jego wspinaczki po blankach Hayholt; wtedy także spoglądał na leżące pod nim szachownice pól z uczuciem dumy i siły. Pamiętał także, jak siedział skulony w dzwonnicy Wieży Zielonego Anioła, która wyrastała ponad stłoczone w dole domy Erchesteru, i czując wiatr na twarzy, patrzył daleko poza miasto. Siedząc teraz u steru tej małej łodzi, wiedział, że jest zarazem

częścią tego świata, ale też i tych przestworzy ponad nim, wysoko ponad nim; czuł się niczym wiosenny wiatr, który przemyka wśród wierzchołków drzew. Simon uniósł wiosło ponad głowę... teraz był to jego miecz.

– Usires był żeglarzem – zaśpiewał nagle, a wiatr nieomal wepchnął mu słowa z powrotem do ust. Pamiętał, że ktoś śpiewał mu tę piosenkę, kiedy był bardzo mały.

Usires był żeglarzem,
Na morze więc wypłynął.
Przyjąwszy słowo Boże,
Do Nabbanu żeglował – o!

Binabik i Marya spojrzeli na niego zaskoczeni; uśmiechnął się tylko w odpowiedzi.

Tiyagaris był żołnierzem,
Na morze więc wypłynął,
Przyjąwszy słowo Sądu,
Do Nabbanu żeglował – o!

Król John, tak, on był Królem,
Na morze więc wypłynął.
Przyjąwszy słowo Aedona,
Do Nabbanu żeglował – o!...

Simon urwał.

– Dlaczego przerwałeś? – spytał Binabik.

Marya wciąż przyglądała mu się zaskoczona.

– Tylko tyle pamiętam – powiedział Simon i opuścił wiosło, którym sterował. – Nie wiem nawet, skąd ją znam. Pewnie jedna ze służących śpiewała mi tę piosenkę, kiedy byłem mały.

Binabik uśmiechnął się.

– Dobra piosenka na rzeczną podróż, choć niektóre jej fragmenty nie zgadzają się z historią. Na pewno nie pamiętasz więcej?

– Nie. – Simon nie przejmował się zbytnio tym faktem. Godzina spędzona na rzece zdecydowanie przywróciła mu dobry humor. Pływał już rybacką łodzią po zatoce, lecz tamto doświadczenie było niczym w porównaniu z chwilą obecną, kiedy mknął wśród lasu w łódeczce czułej i uległej jak źrebak.

– Ja nie znam żadnych żeglarskich piosenek – powiedział troll zadowolony ze zmiany nastroju Simona. – W wysokich partiach krainy Qanuc rzeki pokryte są lodem i ślizgają się po nich tylko małe trolle. Mógłbym może zaśpiewać piosenkę o przygodach potężnego Chukku...

– Ja znam rzeczną pieśń – wtrąciła Marya, przeczesując szczupłą, delikatną dłonią gęste, czarne włosy. – Niejedną żeglarską piosenkę można usłyszeć na ulicach Meremundu.

– Meremundu? – powtórzył Simon. – W jaki sposób dziewczyna z zamku znalazła się w Meremundzie?

Marya wydęła wargi.

– A jak myślisz, gdzie księżniczka i cały jej dwór mieszkali przed przybyciem do Hayholt? W dzikich ostępach Nascadu? – prychnęła oburzona. – Oczywiście, że w Meremundzie. Jest to najpiękniejsze miasto na świecie; spotykają się tam ocean i wielka rzeka Gleniwent. Ale skąd ty miałbyś to wiedzieć, przecież nigdy tam nie byłeś. – Uśmiechnęła się złośliwie. – Chłopak z zamku.

– Śpiewaj więc! – wtrącił Binabik, machając dłonią. – Rzeka czeka, by cię posłuchać. Las także!

– Mam nadzieję, że pamiętam całą piosenkę – powiedziała, zerkając ukradkiem na Simona, który natychmiast odwzajemnił jej spojrzenie; złośliwa uwaga nie zmąciła jego pogody ducha. – Jest to pieśń rzecznego jeźdźca – wyjaśniła i chrząknąwszy, zaczęła śpiewać; najpierw trochę stremowanym głosem, a później, kiedy nabrała już pewności, słodkim i głębokim.

...A teraz ci, którzy po Wielkim Stawie pływają,
O jego tajemnicy opowiedzą.
Wychwalać będą wszystkie bitwy
I całą historię krwawą.

Lecz porozmawiaj z jakimś wilkiem rzecznym,
Który po rzece Gleniwent pływa,
A powie ci, że Bóg oceany stworzył,
Lecz Rzekę miał w zamiarze.

Och, Ocean jest pytaniem,
Lecz odpowiedzią jest Rzeka,
Co tańczy i wiruje
Jak tancerz wspaniały.
Do diabła więc z wałkoniami,
Gdyż nie popłyną naszą łodzią starą.
A jeśli zgubimy jednego lub dwóch,
Wypijemy za nich w Meremundzie.

I tak wielu w morze wypływa

I nigdy do portu nie wraca.
Lecz gdy wilka rzecznego chcesz znaleźć,
Co wieczór w karczmie się zbierają.

Owszem, napić się lubimy
I grosza nie skąpimy,
Lecz gdy Rzeka twą kochanką,
Przy niej całą noc spędzimy.

Och, Ocean jest pytaniem,
Lecz odpowiedzią jest Rzeka,
Co tańczy i wiruje
Jak tancerz wspaniały.
Do diabła więc z wałkoniami,
Gdyż nie popłyną naszą łodzią starą.
A jeśli zgubimy jednego lub dwóch,
Wypijemy za nich w Meremundzie.

W Meremundzie! W Meremundzie!
Wypijemy za nich w Meremundzie!
A jeśli ciał ich w Rzece nie znajdziemy,
Grosza nie poskąpimy, by pogrzeb im wyprawić!

Kiedy Marya doszła ponownie do refrenu, Simon i Binabik zdążyli już go zapamiętać i przyłączyli się do niej. Qantaqa położyła uszy, kiedy zaśpiewali razem, a ich głosy popłynęły w dół mknącej Aelfwent.

– Och, Ocean jest pytaniem, lecz odpowiedzią jest Rzeka... – Simon śpiewał z całych sił, kiedy nagle dziób łodzi zanurzył się w wodzie, a zaraz potem podskoczył; znowu płynęli wśród głazów. Jakiś czas zabrało im

manewrowanie łodzią, nim znowu wypłynęli na spokojną wodę, lecz wtedy brakło im już tchu do śpiewania. Ten drobny incydent nie zepsuł Simonowi humoru, więc kiedy szare chmury nadciągnęły znad lasu, wylewając na nich kolejną porcję deszczu, uniósł wysoko brodę i łapał krople na język.

– Pada – zauważył Binabik, a jego brwi przykryte zlepionymi włosami wygięły się w łuk – chyba zmokniemy. – Na chwilę zapadła cisza, a potem troll roześmiał się szczerze.

GDY PRZENIKAJĄCE PRZEZ baldachim drzew światło ściemniało, przybili do brzegu i założyli obóz. Za pomocą żółtych wiórów rozpalili ognisko, po czym Binabik wyciągnął świeże owoce i warzywa z jednej z toreb, które przygotowała Geloë. Qantaqa, zdana na siebie, wymknęła się w zarośla i wróciła po jakimś czasie mokra, z pyskiem ociekającym krwią. Simon spojrzał na Maryę, która zamyślona ssała pestkę brzoskwini, by zobaczyć, jak przyjmie ona ten przejaw dzikiej natury wilczycy, lecz dziewczyna, jeśli nawet coś dostrzegła, nie okazała najmniejszego zaniepokojenia.

„Pewnie pracowała w kuchni księżniczki – zastanawiał się. – Ale założę się, że gdybym tak mógł włożyć jej do kieszeni jedną z wypchanych jaszczurek Morgenesa, na pewno by podskoczyła”.

Pomyślawszy o pracy w kuchni, zaczął się dalej zastanawiać, co ona robiła w służbie u księżniczki i dlaczego go szpiegowała? Kiedy zadawał jej pytania dotyczące księżniczki, kiwała tylko głową i mówiła, że nie wolno jej mówić niczego o jej pani i służbie, dopóki nie dostarczy wiadomości do Naglimundu.

– Wybacz, że pytam – powiedział Binabik, pakując naczynia po kolacji i wyjmując ze swego kija flet – ale co zrobisz, jeśli Josui nie będzie w Naglimundzie?

Marya najwyraźniej zmartwiła się taką ewentualnością, lecz nic nie powiedziała. Simon chciał zapytać Binabika, jakie są ich plany co do Da’ai Chikiza i Przełazu, ale troll zajął się już fletem, próbując różne dźwięki. Noc okryła cały las płaszczem ciemności, tliło się tylko ich małe ognisko. Simon i Marya siedzieli, słuchając, jak dźwięki fletu unoszą się wysoko i odbijają echem w skąpanych deszczem koronach drzew.

NASTĘPNEGO DNIA WYPŁYNĘLI na rzekę zaraz po wschodzie słońca. Rytm rzeki stał się im tak bliski jak piosenka z dzieciństwa: na długich odcinkach trasy wydawało się, że siedzą na skale, a z obu stron przesuwa się morze drzew, potem następowały groźne progi, na których krucha łódka podskakiwała niczym schwytana na wędkę ryba. Deszcz przestał padać jeszcze przed południem i między gałęziami pojawiło się słońce, które rzucało na rzekę i na ziemię plamy światła.

Taka przyjemna odmiana pogody pozwoliła im zachować dobry humor; Simon zauważył, że jak na koniec miesiąca Maia jest dość zimno – wrażenie to pogłębiło się, kiedy przypomniał sobie lodową górę ze snu. Rozmawiali wesoło, płynąc tunelem utworzonym przez pochylone drzewa: od czasu do czasu w ścianach tunelu pojawiał się wyłom i słoneczne smugi przedostające się między splątanymi gałęziami na chwilę zamieniały rzekę w taflę gładkiego, złocistego lustra. Simon, początkowo niechętnie, opowiadał o ludziach z zamku – o Rachel, Tobasie, który opiekował się psiarnią i który posmarował sobie nos na czarno sadzą z lampy, by bardziej upodobnić się do swoich podopiecznych; wspomniał też Petera, zwanego Złocistym Kotłem, oraz ogromnego Rubena. Binabik mówił o swoich młodzieńczych podróżach do bagnistej krainy Wren oraz o dzikich i groźnych ostępach jego rodzinnej krainy Mintahog na wschodzie. Nawet Marya, pomimo swej początkowej powściągliwości i milkliwości

w sprawach, o których nie chciała mówić, rozśmieszyła w końcu Simona i trolla, naśladując kłótnie żeglarzy i marynarzy oraz opisując śmiesznostki dostojników, jacy otaczali księżniczkę Miriamele w Meremundzie i Hayholt.

Tylko raz ich rozmowa zeszła na mroczne tematy, które zburzyły wesoły nastrój wszystkich.

– Binabiku, czy naprawdę myślisz, że zgubliliśmy tamtych ludzi? – spytał Simon, kiedy jedli posiłek na małej, zalanej słońcem polance. – A może są też inni, którzy nas szukają?

Troll strzepnął z brody pestkę jabłka.

– Niczego nie mogę powiedzieć na pewno, przyjacielu. Jestem pewien tego, że udało nam się obok nich prześliznąć i że nie było bezpośredniego pościgu. Ponieważ jednak nie wiem, dlaczego nas ścigają, nie potrafię powiedzieć, czy będą w stanie nas odnaleźć. Czy wiedzą, że zmierzamy do Naglimundu? Tego można się domyślić. Ale w trzech punktach mamy nad nimi przewagę.

– W jakich? – spytała Marya, marszcząc brwi.

– Po pierwsze, w lesie łatwiej jest się ukrywać, niż szukać. – Troll uniósł gruby palec. – Po drugie, udajemy się do Naglimundu drogą, która nie jest używana od setek lat. – Troll wystawił kolejny palec. – Po trzecie, żeby odnaleźć szlak, jakim się poruszamy, musieliby dowiedzieć się tego od Geloë – teraz pojawił się trzeci palec – a ona, jak sądzę, tego im nie powie.

Myśl o niej od dawna już trapiła Simona.

– Binabiku, oni są uzbrojeni. Czy nie zrobią jej krzywdy? Jeśli dowiedzą się, że trzyma z nami, sowy ich nie odstraszą.

Troll skinął smutno głową i ujął w dłoń wystawione palce.

– Ach, Simonie, ja też się tym martwię, na Córy Gór, ja też! Ale mało wiesz o Geloë. Błędem byłoby traktować ją tylko jako mądrą, wiejską kobietę. Tak, ludzie Heahfertha mogą pożałować, jeśli nie okażą jej należytego szacunku. Od dawna już *valada* Geloë wędruje po drogach Osten Ard; w lesie żyje od wielu lat, a przedtem długo mieszkała wśród Rimmersgardczyków. Jeszcze wcześniej przyszła z Południa do Nabbanu – nikt nie wie, co robiła przedtem. Można być pewnym, że zadba o siebie bardziej nawet niż ja czy, jak niestety mogliśmy się przekonać, stary Morgenes. – Troll sięgnął po jabłko, ostatnie już w torbie. – No, ale dosyć już zmartwień. Czeka na nas rzeka, a tylko z lekkim sercem będziemy mogli szybko płynąć.

PÓŹNIEJ, KIEDY NADESZŁO POPOŁUDNIE i cienie drzew zaczęły stapiać się w jednolitą smugę, która kładła się na rzece, Simon poznał więcej tajemnic lasu Aelfwent.

Przeszukiwał swoją torbę w nadziei, że znajdzie kawałek materiału, którym mógłby owinąć pokryte pęcherzami dłonie. Wreszcie natrafił na coś, co wydawało mu się odpowiednie, więc wyciągnął materiał. Był to kawałek jego koszuli, którym owinął wcześniej Białą Strzałę. Ze zdziwieniem znowu wziął ją w dłoń, by poczuć, jaka jest gładka i lekka; tak lekka, że mógłby ją unieść pierwszy powiew wiatru. Rozwinął ostrożnie materiał.

– Popatrz – zwrócił się do Maryi i wyciągnął ponad Qantaqą dłoń z leżącą na materiale strzałą. – To jest Biała Strzała Sithów. Uratowałem życie jednego Sithy i od niego ją dostałem. – Zamilkł na chwilę. – Właściwie wystrzelił ją do mnie.

Strzała wyglądała pięknie: w blasku zachodzącego słońca była nieomal przezroczysta, jak lśniąca pierś łabędzia. Marya patrzyła na nią przez

chwilę, a potem dotknęła palcem.

– Ładna – oświadczyła, lecz Simon nie usłyszał w jej odpowiedzi większego podziwu.

– Pewnie że ładna! Jest święta. Jest symbolem długu do spłacenia. Zapytaj Binabika, on ci powie.

– Simon mówi prawdę! – troll zawołał z dziobu. – Wydarzyło się to na krótko przed naszym spotkaniem.

Marya patrzyła na strzałę ze spokojem, jakby myślała o czymś innym.

– Piękna rzecz – powiedziała wreszcie z trochę tylko większym zaangażowaniem. – Masz szczęście, Simonie.

Nie wiedział dokładnie dlaczego, ale słowa te rozzłościły go. Czy ona nie zdawała sobie sprawy, przez co przeszedł? Cmentarze, schwytany w pułapkę Sitha, psy, gniew króla! Zachowywała się jak pokojówka, która od niechcenia pocieszała go, kiedy skaleczył sobie kolano.

– Pewnie – powiedział, podnosząc strzałę tak, by padły na nią poziome prawie promienie słońca przesuwające się na leśnym tle – ścigany, pogryziony, głodny; mogłem nigdy jej nie dostać. – Patrzył na strzałę urażony, wodząc wzrokiem po jej rzeźbie, która, skomplikowana, lecz pozbawiona znaczenia, mogłaby być historią jego życia od chwili, gdy opuścił Hayholt.

– Właściwie mógłbym ją wyrzucić – oświadczył dobitnie. W rzeczywistości nigdy by tego nie zrobił, ale odczuł dziwną satysfakcję, mówiąc to. – No, chodzi mi o to, że... czy przyniosła mi coś dobrego?

Jeszcze zanim skończył, usłyszał ostrzegawczy okrzyk Binabika, lecz nim się zorientował, o co chodzi, było już za późno. Łódź uderzyła z całą mocą w ukryty głaz; płynęła dalej przechylona, a dziób pruł wodę, rozbryzgując ją mocno. Strzała wyleciała z dłoni Simona i szybując, wpadła do kipiącej wokół wody. Tył łodzi zanurzył się z pluśnięciem i Simon

odwrócił się, by zobaczyć, co się stało ze strzałą; chwilę później zahaczyli o kolejny głaz, łódź przechyliła się jeszcze bardziej, a Simon poczuł, że leci w toń.

Woda okazała się straszliwie zimna. Przez moment miał wrażenie, że wpadł przez jakąś dziurę w ziemi w czarną otchłań. Potem wynurzył się, krztusząc i miotając wściekle. Uderzył w głaz, odbił się i znowu zanurzył, czując, jak woda wypycha powietrze z jego ust i nosa. Machał z całych sił rękoma, aż udało mu się wystawić głowę nad powierzchnię wody. Wirujący prąd walił nim w kolejne głazy. Poczuł na twarzy powiew wiatru i kaszląc, wziął głęboki oddech; poczuł, jak powietrze wypełnia klatkę piersiową i płuca. Nagle podwodne głazy skończyły się i Simon unosił się swobodnie na wodzie, machając kończynami, by utrzymać się na powierzchni. Ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że łódź jest za nim i przepływa właśnie obok ostatniego z głazów. Binabik i Marya wiosłowali mocno przestraszeni, lecz Simon widział, że odległość między nim a nimi zwiększa się. Unosił się szybko z prądem rzeki i rozejrzawszy się na boki, z przerażeniem zobaczył, że jej brzegi znajdują się koszmarnie daleko. Jeszcze raz wziął głęboki oddech.

– Simonie! – zawołał Binabik. – Płyń do nas! Nie możemy już szybciej wiosłować!

Spróbował się obrócić i płynąć do nich, lecz rzeka ciągnęła go niezliczonymi i niewidocznymi rękami. Rozbryzgiwał wodę dłońmi, starając się użyć ich jak wioseł, tak jak uczyła go Rachel – a może Morgenes? – podtrzymując go na powierzchni płycizny Kynslagh, lecz jego wysiłki zdawały się znikome wobec przemożnej siły prądu. Stwierdził, że szybko traci siły; nie czuł już nóg, tylko zimną pustkę w miejscu, w którym powinny się znajdować. W następnej chwili woda zalała mu oczy i ponownie pogrążył się w topieli.

Coś chlapnęło obok jego dłoni i znowu zamachał ramionami, by wydostać po raz ostatni. Było to wiosło Maryi. Mając dłuższe ramiona, przesunęła się na miejsce Binabika na dziób i wychylona wyciągnęła wiosło na całą długość; do dłoni Simona brakowało zaledwie paru cali. Obok dziewczyny stała Qantaqa i szczekając, wyciągała szyję, jakby naśladowała Maryę. Pod ciężarem ich obydwu łódź przechyliła się niebezpiecznie.

W myśli Simon nakazał swym nogom odepchnąć się, jeśli tylko będą mu posłuszne, i wyrzucił przed siebie rękę. Prawie nie czuł wiosła, kiedy zacisnął na nim zesztywniałe palce, ale chwycił je dokładnie tak, jak zamierzał.

Holowanie go do łodzi nie było łatwe, gdyż – nie licząc Qantaqi – ważył więcej niż Marya i Binabik. Kiedy w końcu udało się przeciągnąć go przez burtę, Simon opadł na dno łodzi, wykasłując z siebie ogromne ilości wody. Później leżał zwinięty, dysząc i drżąc, gdy tymczasem dziewczyna i troll rozglądali się za miejscem, gdzie mogliby przybić do brzegu.

Doszedł do siebie w takim stopniu, by samodzielnie wydostać się z łodzi na drżących nogach. Kiedy upadł na kolana, opierając się mocno dłońmi o miękkie, leśne podłoże, Binabik schylił się i wydobył coś spomiędzy fałd przemoczonej koszuli Simona.

– Widzisz, co się ciebie uczepiło? – powiedział z dziwnym wyrazem twarzy. Była to Biała Strzała. – Biedny Simonie, zaraz rozpalimy ognisko. Może to będzie dla ciebie lekcją – surową, ale poważną – żeby nie mówić źle o sithijskich darach w czasie podróży po sithijskiej rzece.

Simon nie miał nawet tyle siły, by się zawstydzić. Binabik pomógł mu zdjąć ubranie i owinął go w swój płaszcz. Chłopiec zasnął zadowolony przy ognisku. Jego sen, jak zwykle, okazał się ponury, pełen ścigających go stworów.

NASTĘPNEGO RANKA CHMURY wisiały nisko nad ziemią. Simon czuł się bardzo chory. Pomimo protestów żołądka przeżuł i połknął parę kawałków suszonego mięsa i wsiadł ostrożnie do łodzi. Tym razem Marya zasiadła u steru, a on z Qantaqą przyciśniętą do boku zajął miejsce pośrodku. Płynęli przez cały dzień, a Simon zasypiał i budził się co jakiś czas. Przesuwająca się ściana zieleni przyprawiała go o mdłości; czuł, że jego głowa jest gorąca i stanowczo za duża, niczym pieczony w ognisku ziemniak. Zarówno Marya, jak i Binabik troskliwie sprawdzali stan jego zdrowia. W pewnym momencie obudził się z kolejnej drzemki i zobaczywszy pochylonych nad sobą Binabika i Maryę z dłonią na jego czole, pomyślał nieprzytomnie: „Ależ mam dziwnych rodziców!”

Zatrzymali się na nocleg, kiedy zmrok dosięgnął gałęzi drzew. Simon usiadł przy samym ognisku. Opatulony w płaszcz wysunął spod niego tylko ręce, by napić się zupy, jaką troll ugotował z suszonego mięsa, rzepy i cebuli.

– Jutro musimy wstać razem ze słońcem – oznajmił Binabik, wyciągając do Qantaqi łodygę rzepy, którą ta powąchała z pobłażliwą obojętnością. – Wprawdzie jesteśmy już blisko Da’ai Chikiza, ale byłoby nierozsądnie przybyć tam w nocy, kiedy widoczność jest bardzo ograniczona. Czeka nas długa wspinaczka Przełazem, a możemy ją zacząć dopiero, gdy będzie dość ciepło.

Simon widział niewyraźnie, jak Binabik wyjmuje z jednej z toreb rękopis Morgenesa i rozwija go. Potem przykucnął przy ognisku i zaczął przeglądać strony. Wyglądał jak mały mnich, który modli się ze swej Księgi Aedona. Wiatr szeleścił liśćmi nad ich głowami i strącał z nich krople deszczu – pozostałości po popołudniowej ulewie. Z monotonnym szumem rzeki mieszały się natarczywe wołania małych, rzecznych żab.

Dopiero po jakimś czasie Simon zdał sobie sprawę, że delikatny ucisk na jego ramieniu nie jest kolejnym protestem obolałego ciała. Z trudem uniósł brodę nad kołnierzem płaszcza i wyciągnął rękę, by odgonić Qantaqę, kiedy zobaczył, że na jego ramieniu spoczywa czarna głowa Maryi; oddychała rytmicznie we śnie przez rozchylone usta.

Binabik popatrzył na nich.

– Pracowała dzisiaj bardzo ciężko. – Uśmiechnął się. – Dużo musiała wiosłować. Nie budź jej, jeśli nie sprawia ci to kłopotu – dodał i wrócił do swej lektury.

Marya poruszyła się i powiedziała coś cicho przez sen. Simon szczelniej otulił ją płaszczem, który pożyczyła Geloë. Kiedy płaszcz dotknął jej policzka, mruknęła coś i wyciągnąwszy dłoń, poklepała niezdarnie pierś Simona, po czym przytuliła się do niego jeszcze bardziej.

Teraz odgłos jej miarowego oddechu tuż przy jego uchu zdominował odgłosy rzeki i lasu. Simon zadrżał i poczuł, że powieki ma coraz cięższe i cięższe... lecz jego serce biło bardzo szybko, i to właśnie w jego rytmie poszedł ścieżką w stronę ciepłej ciemności.

RANEK BYŁ SZARY, DESZCZOWY I MGLISTY. Oczy kleiły im się jeszcze od snu i ciała drzemały po zbyt wczesnej pobudce, kiedy zobaczyli pierwszy most.

Simon znowu był u steru. Pomimo pewnego oszołomienia spowodowanego faktem, że wyruszyli nieomal w ciemności, czuł się znacznie lepiej niż poprzedniego dnia, choć wciąż jeszcze kręciło mu się trochę w głowie. Kiedy pokonali kolejny zakręt pędzącej żwawo rzeki, Simon dostrzegł niewyraźny kształt, który rozciągał się przed nimi łukiem ponad rzeką. Przetarł oczy, by móc lepiej przeniknąć wiszącą w powietrzu mgiełkę, i wytężył wzrok.

– Binabiku – zapytał, pochylając się do przodu – czy to jest...

– Tak, to jest most – dokończył za niego wesoło troll. – To chyba są Żurawie Wrota.

Podpływali coraz bliżej, więc opuścili wiosła, aby trochę zwolnić. Wąski most wyrastał z gęstych zarośli na brzegu rzeki i wznosząc się łukiem ponad wodą, ginął wśród drzew na drugim brzegu. Wyrzeźbiony w jasnozielonym, przezroczystym kamieniu wydawał się niezwykle delikatny, jakby zrobiono go z morskiej piany. Liczne rzeźby, jakimi go pokryto, ginęły pod mchami i pnączami; te części, które pozostały widoczne, były starte, ostre wypukłości i kąty zmiękczone, zaokrąglone wiatrem i deszczem. Kiedy wpłynęli pod most, tuż nad ich głowami, na samym jego środku, rozpostarł zniszczone wskutek działania wody skrzydła ptak wyrzeźbiony z kremowozielonego, przezroczystego kamienia.

Przez chwilę znaleźli się w cieniu mostu, a zaraz potem byli już po drugiej jego stronie. Nagle zdało im się, że poczuli jakby pradawne tchnienie lasu; ogarnęło ich wrażenie, że przekroczyli próg otwartych drzwi do przeszłości.

– Już dawno las Aldheorte połknął rzeczne drogi – powiedział cicho Binabik, gdy wszyscy podziwiali oddalający się most. – Może i pozostałe dzieła Sithów także kiedyś przeminą.

– Jak można było przechodzić na drugi brzeg po czymś takim? – zastanawiała się Marya. – Ten most wydaje się taki... kruchy.

– Z pewnością jest bardziej kruchy niż niegdyś – powiedział z powagą Binabik. – Lecz Sithowie nigdy nie budują tylko... dla samego piękna. Ich budowle są wytrzymałe. Czyż w waszym Hayholt nie wznosi się wciąż najwyższa wieża w Osten Ard, która jest dziełem ich rąk?

Marya skinęła głową zamyślona, a Simon wodził palcami po zimnej wodzie.

MINĘLI JESZCZE JEDENAŚCIE MOSTÓW czy też „wrót”, jak nazywał je Binabik, jako że przez setki lat znaczyły one wejście do Da’ai Chikiza drogą wodną. Troll wyjaśnił im, że każde z wrót nosi nazwę jakiegoś zwierzęcia, które symbolizuje jedną z faz księżyca. Tak więc mijali kolejno Lisy, Koguty, Zające i Gołębice; wszystkie wykonano z perlistego kamienia księżycowego lub jasnego lazurytu, lecz każde było trochę inne od pozostałych, choć niewątpliwie wszystkie były dziełem tych samych subtelnych i zręcznych rąk.

Słońce zdążyło właśnie skryć się za chmurami, choć był dopiero poranek, kiedy dotarli do Słowiczych Wrót. Na misternych rzeźbach mostu lśniły jeszcze dumnie płatki złota. Po jego drugiej stronie rzeka skręcała na zachód, w stronę wschodnich zboczy niewidocznych gór Wealdhelm. Tutaj nie wystawały już z wody żadne głazy; rzeka płynęła szybko i gładko. Simon miał właśnie spytać o coś Maryę, kiedy powstrzymała go uniesiona dłoń Binabika.

Tuż za zakrętem oczom ich ukazał się las niesłychanie pięknych wież, które ukryte pośród drzew jawiły się teraz niczym lśniąca zagadka. Miasto Sithów, usytuowane po obu stronach rzeki, wydawało się wyrastać wprost z ziemi. Jakby spełniło się marzenie samego lasu, ucieleśnione w delikatnym kamieniu w setkach barw zieleni, bieli i błękitu. Mieli przed sobą gąszcz misternych, kamiennych budowli, cieniutkich kładek, przypominających mosty z pajęczyny, czy wreszcie misternie zdobione kopuły wież i minarety, które wysokością dorównywały najwyższym drzewom i które w blasku słońca wyglądały jak lodowe kwiaty. Mieli przed sobą zapierający dech w piersi obraz przeszłości. Simon nie widział dotąd czegoś równie pięknego.

Rzeka wiła się między cienkimi kolumnami. Unoszeni jej prądem wpłynęli do miasta i tam dopiero zobaczyli, jak bardzo las pragnie

odzyskać Da’ai Chikiza. Bluszcze i splątane gałęzie drzew oplatały porysowane licznymi pęknięciami wieże. W wielu miejscach, gdzie niegdyś były ściany lub drzwi wykonane z drewna czy innego nietrwałego surowca, stały teraz pozbawione kamiennej podpory konstrukcje podobne do niesamowitych, wyblakłych morskich potworów. Wszędzie wdzierała się roślinność, przywierała do delikatnych ścian i bezpardonowo dusiła cieniutkie iglice wież.

Simon pomyślał, że w pewnym sensie tak jest nawet ładniej – jakby las, nie mogąc doczekać się spełnienia swych marzeń, sam wyhodował miasto.

Ciszę przerwał Binabik głosem równie uroczystym jak całe otoczenie, którego echo jednak szybko zamarło pośród gęstej roślinności.

– Nazwali je Da’ai Chikiza, co znaczy Drzewo Śpiewającego Wiatru. Kiedyś, jak się pewnie domyślacie, rozbrzmiewało muzyką i tętniło życiem. W oknach płonęły lampy, a po rzece pływały lśniące łodzie. – Troll zadarł głowę, by popatrzeć na ostatni z kamiennych mostów, wąski jak piórko i pokryty podobiznami wspaniałego jelenia z ogromnym porożem. – Drzewo Śpiewającego Wiatru – powtórzył zamyślony.

Simon w milczeniu skierował łódź do pomostu, który znajdował się nieomal na poziomie wody i z którego prowadziły na brzeg kamienne schody. Wyszli z łodzi i przywiązali ją do korzenia, który wystawał ze szczeliny w białym kamieniu. Kiedy wspięli się po schodach, stanęli, podziwiając w milczeniu obrośnięte pnączami ściany i pokryte mchem korytarze. Całe miasto zdawało się przeniknięte jakimś niemym rezonansem, jakby ktoś nastroił strunę, lecz jeszcze na niej nie zagrał. Nawet Qantaqa przystanęła oniemiała, z opuszczonym ogonem, i wciągała nozdrzami powietrze. Po chwili jednak postawiła uszy i zaskomlała.

Świst był nieomal niezauważalny. Jakiś cień przemknął obok twarzy Simona i upadł na jedną z licznych, skruszałych ścieżek, robiąc w niej

wyrwę. Lśniące okruchy zielonego kamienia poleciały na wszystkie strony. Simon odwrócił się na pięcie.

W odległości niecałych stu łokci, oddzielony od nich jedynie korytem rzeki, stał mężczyzna w czarnej szacie z łukiem tak dużym jak on sam. Za nim nadchodziło kilkunastu innych ubranych w błękitno-czarne opończe. Jeden z nich niósł pochodnię.

Ubrany na czarno mężczyzna uniósł dłoń do ust, ukazując na chwilę jasną brodę.

– Nie macie odwrotu! – Głos Ingena Jeggera ledwie przebił się przez szum dzielącej ich rzeki. – W imieniu Króla, poddajcie się!

– Do łodzi! – zawołał Binabik, lecz kiedy ruszyli w stronę schodów, Ingen uczynił ruch w stronę mężczyzny z pochodnią; po chwili trzymał w dłoni płonącą strzałę. Świsnęła cięciwa. W chwili, kiedy cała trójka dotarła do najniższych stopni, ognisty pocisk przeleciał ponad rzeką i utkwił w burcie łodzi. Kora natychmiast zajęła się od drżącej strzały, tak że troll zdążył tylko wyciągnąć jedną z toreb. Później ogień był już zbyt duży. Ukryci za wysokimi płomieniami Simon i Marya natychmiast ruszyli z powrotem w górę schodów, a zaraz za nimi Binabik. Na górze miotała się Qantaqa, warcząc wściekle.

– Teraz! Biegnijcie! – rzucił Binabik. Dwóch innych łuczników stanęło u boku Ingena na drugim brzegu rzeki. Biegnący co sił do najbliższej wieży Simon usłyszał złowieszczy świst i zobaczył, jak kolejna strzała upada, ślizgając się na kamiennej ścieżce. Dwie inne uderzyły w ścianę wieży, która wydawała mu się tak niesłychanie daleko. Nagle usłyszał okrzyk bólu, a zaraz potem przerażony krzyk Maryi.

– Simon!

Odwrócił się i zobaczył, jak Binabik przewraca się u stóp dziewczyny. Usłyszał dobiegające skądś wycie wilka.

28. Lodowe bębny

PORANNE SŁOŃCE dwudziestego czwartego dnia miesiąca Maia świeciło jasno nad Hernysadharc, zamieniając złoty krążek na najwyższym dachu dworu Taig w płonące koło. Niebo było wspaniale niebieskie, jakby pokryte emalią; zdawało się, że niebiański Brynioch rozgonił chmury swym leszczynowym kijem, a te skryły się obrażone za najwyższymi szczytami gór Grianspog.

Taki nagły powrót wiosny powinien ucieszyć Maegwin. Padające w całym Hernystirze ulewne deszcze i mrozy siały spustoszenie na ziemi i w sercach ludzi jej ojca, Llutha. Kwiaty w ogrodach opadły nierozwinięte. Jabłka, zielone i kwaśne, spadały z gałęzi w sadach. Owce i krowy, które wypędzano na rozmokłe pastwiska, powracały w pośpiechu, wystraszone gradem i porywistym wiatrem.

Kos bezczelnie siedział na ścieżce i dopiero w ostatniej chwili odfrunął spod nóg Maegwin między ogołocone gałęzie wiśni i stamtąd pogwizdywał swarliwie. Maegwin nie zwróciła na niego uwagi. Uniosła długą suknię i ruszyła szybko w stronę komnaty ojca.

Usłyszała wołający ją głos, lecz początkowo zignorowała go, zdecydowana iść dalej. Wreszcie jednak odwróciła się niechętnie i zobaczyła, że biegnie za nią jej przyrodni brat, Gwythinn. Zatrzymała się i czekała z założonymi ramionami.

Biała tunika Gwythinna wyglądała, jakby włożył ją w ostatniej chwili, a złoty naszyjnik zsunął mu się częściowo na plecy, przez co bardziej przypominał dziecko niż młodego wojownika. Kiedy dogonił ją, zatrzymał się zdyszany. Maegwin parsknęła z naganą i zaczęła poprawiać strój brata. Książę żachnął się, lecz czekał cierpliwie, aż siostra poprawi mu naszyjnik. Jego długie, brązowe włosy wysunęły się spod czerwonej, niedbale związanej opaski. Sięgnął dłonią, by je poprawić, i wtedy ich spojrzenia spotkały się, choć Gwythinn był wysokim młodzieńcem. Maegwin patrzyła na niego nachmurzona.

– Na Stado Bagby! Gwythinnie, spójrz na siebie! Jak ty się zachowujesz? Przecież kiedyś będziesz królem!

– A co moje włosy mają wspólnego z byciem królem? A poza tym, zanim zacząłem biec, byłem porządnie uczesany. Ale kiedy ty idziesz na tych swoich długich nogach, trzeba gnać jak wiatr, żeby cię dogonić.

Maegwin odwróciła się zawstydzona. Pomimo starań nie potrafiła przyjmować obojętnie uwag na temat jej wzrostu.

– No, ale już mnie dogoniłeś. Idziesz do dworu?

– Oczywiście. – Gwythinn spoważniał natychmiast i pociągnął swe długie wąsy. – Chciałem porozmawiać z ojcem o pewnych sprawach.

– Ja także – przytaknęła mu Maegwin i ruszyła naprzód. Kiedy szli obok siebie – oboje tego samego wzrostu, te same brązowe włosy – można było wziąć ich za bliźniaków i nikt nie przypuszczałby, że Maegwin jest o pięć lat starsza i jest córką innej matki.

– Wczoraj wieczór zdechła jedna z naszych najlepszych macior, Aeghonwye. Gwythinn, co się dzieje? To już któraś z kolei. Czy to kolejna zaraza, taka jak w Abaingeat?

– Jeśli to jest zaraza – zauważył ponuro jej brat, dotykając schowanej w skórzanej pochwie rękojeści miecza – wiem, kto ją tutaj przywlókł. Ten

człowiek jest jak trędowaty. – Uderzył dłonią w kulę na rękojeści. – Modlę się, żeby tak wyskoczył z czymś dzisiaj! Na Bryniocha! Jakże chciałbym się z nim spróbować na miecze!

Maegwin zmrużyła oczy.

– Nie bądź głupi – powiedziała stanowczo. – Guthwulf zabił już wielu. A poza tym pamiętaj, że – choć trudno w to uwierzyć – jest gościem w Taig.

– Gościem, który obraża mego ojca! – warknął Gwythinn i wyrwał łokieć z łagodnego uścisku Maegwin. – Gościem, który przywozi same groźby od Wielkiego Króla, który z kolei ugina się pod ciężarem swej nieudolnej władzy; puszy się, straszy wszystkich wkoło i szasta pieniędzmi, jakby to były kamienie, a potem domaga się pomocy od Hernystirczyków! – Gwythinn mówił coraz głośniej, tak że jego siostra rozejrzała się zaniepokojona, czy ktoś nie słyszy jego słów. W zasięgu wzroku nie było nikogo poza dwoma strażnikami oddalonymi o jakieś sto kroków. – Gdzie był Król Elias, kiedy straciliśmy drogę do Naarvedu i Elvritshalli? Gdzie był, kiedy bandyci, i Bóg jeden wie kto jeszcze, opanowali trakt Frostmarch? – Zarumieniony książę podniósł głowę i stwierdził, że nikogo przy nim nie ma. Odwrócił się i zobaczył Maegwin stojącą z założonymi rękoma dziesięć kroków od niego.

– Skończyłeś, Gwythinnie? – spytała. Skinął głową, zacisnąwszy usta. – Dobrze. Widzisz, ciebie i ojca różni coś więcej niż tylko trzydzieści parę lat życia. W ciągu tych lat on nauczył się, kiedy należy mówić, a kiedy zachowywać swe myśli dla siebie. Dlatego właśnie – i to dzięki niemu – będziesz kiedyś królem Gwythinnem, a nie tylko księciem jakiegoś tam hernystirskiego księstewka.

Gwythinn długo patrzył przed siebie w milczeniu.

– Wiem – odezwał się wreszcie – że chciałabyś, żebym był jak Eolair, który wciąż kłania się i płaszczy przed tymi erkynlandzkimi psami. Wiem, że dla ciebie Eolair jest wszechwiedzący, włączając w to opinię o tobie, choć jesteś królewską córką, lecz ja nie jestem taki. Jesteśmy Hernystirczykami i przed nikim nie będziemy się płaszczyć!

Maegwin rzuciła mu gniewne spojrzenie, usłyszawszy uwagę o jej uczuciach do hrabiego Nad Mullach, która to uwaga w rzeczywistości była prawdziwa: hrabia poświęcał jej tylko tyle uwagi, ile należało poświęcić niezgrabnej i niezamężnej królewskiej córce. Udało jej się powstrzymać łzy. Popatrzyła na Gwythinna i zobaczyła na jego urodziwej twarzy wyraz frustracji i dumy, lecz nie miłości do swego ludu i ziemi. Patrząc, ponownie ujrzała swego braciszka, którego kiedyś nosiła na rękach i którego od czasu do czasu sama doprowadzała do łez.

– Gwythinnie, dlaczego my ze sobą walczymy? – spytała ze smutkiem. – Jakiś cień padł na nasz dom. Skąd on się wziął?

Gwythinn, zawstydzony, wbił wzrok w czubki swych butów, po czym wyciągnął dłoń.

– Bądźmy przyjaciółmi i sprzymierzeńcami – powiedział. – Chodźmy do ojca, zanim przyjdzie tam książę Utanyeat, by wygłosić swe pochlebstwa na pożegnanie.

OKNA W SALI TRONOWEJ TAIG były szeroko otwarte; do wnętrza komnaty wlewały się strumienie słonecznego blasku, w którym lśniły drobiny kurzu, unoszące się z rozsypanego na podłodze sitowia. Belki, z których zbudowano ściany, a które wyciosano z dębów pochodzących z lasu Circoille, były tak dobrze do siebie dopasowane, że nie prześwitywał między nimi ani promyk światła. Wysoko między belkami sufitu wisiały setki malowanych rzeźb przedstawiających hernystirskich bogów,

bohaterów i potwory; wszystkie obracały się wolno, lśniąc ciepłym blaskiem w odbijającym się w nich świetle.

W drugim końcu komnaty, także skąpanym w słonecznym blasku, król Lluth ubh-Llythinn siedział na ogromnym, dębowym tronie, którego oparcie zdobiła rzeźba jeleniej głowy z prawdziwym porożem. Król jadł drewnianą łyżką z miski owsiankę z miodem, podczas gdy Inahwen, jego młoda żona, siedziała na niższym tronie, obszywając misternie rąbek jednej z szat Llutha.

Kiedy straż zastukała dwukrotnie końcami włóczni w tarczę, oznajmiając przybycie Gwythinna – przybycie niższych dostojników, takich jak hrabia Eolair, oznajmiano tylko jednym uderzeniem, nadejście króla trzema, Maegwin zaś ani jednym – Lluth uśmiechnął się znad miski i odstawiając ją na oparcie tronu, otarł rękawem swe szare wąsy. Inahwen dostrzegła ten gest i rzuciła Maegwin rozpaczliwe spojrzenie, którego córka Llutha tak nie znosiła. Maegwin co prawda nigdy nie przyzwyczaiła się do Fiathny, matki Gwythinna – ona to bowiem zajęła miejsce jej własnej matki (Penemwhye zmarła, kiedy Maegwin miała cztery lata), ale Fiathna miała przynajmniej mniej więcej tyle lat co Lluth, a nie była taką młódką jak Inahwen! Właściwie złotowłosa Inahwen była dobrą kobietą, choć może niezbyt bystrą. Nie było w tym jej winy, że została trzecią żoną Llutha.

– Gwythinnie – Lluth uniósł się nieco strzepując okruchy ze ściśniętej pasem żółtej szaty. – Mamy dziś szczęście, prawda? Taki słoneczny dzień!

Król machnął dłonią w stronę okna jak uradowany dzieciak, który nauczył się właśnie nowej sztuczki.

– Z pewnością tego nam trzeba, czyż nie? Może pomoże nam to – powiedział z grymasem na ruchliwej, bystrej twarzy, lecz zaraz zamyślony uniósł brwi nad swym grubym i zakrzywionym z powodu złamania

w dzieciństwie nosem – zmiękczyć nieco naszych gości z Erkynlandu. Co o tym myślisz?

– Nie sądzę, ojcze – odparł Gwythinn, podchodząc bliżej. Król usiadł ponownie na jelenim tronie. – I mam nadzieję, że odpowiedź, jakiej im udzielisz, skłoni ich do odjechania w jeszcze gorszym nastroju. – Przysunął sobie stołek i odprawiając lutnistę, siadł u stóp króla, na miejscu poniżej podestu. – Wczoraj wieczorem jeden z żołnierzy Guthwulfa wdał się w bijatykę ze starym Craobhanem. Musiałem się bardzo starać, żeby Craobhan nie poczęstował sukinsyna strzałą w plecy.

Na twarzy Llutha pojawił się na chwilę wyraz troski, lecz zaraz zakryła go maska uśmiechu, którą Maegwin znała tak dobrze.

„Ach, ojcze – pomyślała – nawet tobie trudno jest zachować pogodę ducha, kiedy te psy ujadają na naszym dworze”. Zbliżyła się i bez słowa usiadła na podeście obok stołka Gwythinna.

– No cóż.. – Król uśmiechnął się ponuro. – Z pewnością Król Elias mógłby staranniej dobierać swych posłańców. Na szczęście odjadą za godzinę i nad Hernysadharc znowu zapanuje spokój. – Lluth strzelił palcami i natychmiast podbiegł paź, który zabrał miskę z owsianką. Inahwen spojrzała na naczynie niezadowolona.

– A co to? – powiedziała z wyrzutem. – Znowu nie zjadłeś wszystkiego. I co ja mam zrobić z twoim ojcem? – dodała, zwracając się do Maegwin; uśmiechnęła się do niej, jakby Maegwin była jej popleczniczką w niekończącej się bitwie, która miała nakłonić Llutha do zjadania posiłków w całości.

Maegwin wciąż nie wiedziała, jak zachowywać się wobec młodszej od siebie o rok macochy, i przerwała szybko ciszę, jaka na chwilę zapadła:

– Ojcze, zdechła Aeghonwye. Była naszą najlepszą maciorą. To już dziesiąta w tym miesiącu. Inne bardzo chudną.

Król zmarszczył brwi.

– Wszystkiemu winna ta przeklęta pogoda. Gdyby Elias potrafił zapewnić słoneczną wiosnę, zapłaciłbym mu każdy podatek, jakiego by zażądał. – Wyciągnął rękę, by poklepać Maegwin po ramieniu, lecz nie mógł jej dosięgnąć. – Możemy tylko staranniej ocieplić obory sitowiem, żeby ochronić zwierzęta przed chłodem, a jeśli i to nie poskutkuje, możemy jedynie liczyć na łaskawość Bryniocha i Mirchy.

Rozległo się dźwięczne uderzenie włóczni o tarczę i w drzwiach stanął nerwowo zacierający ręce dworzanin.

– Wasza Królewska Mość, hrabia Utanyeat prosi o posłuchanie – zawołał.

Lluth uśmiechnął się.

– Nasi goście zdecydowali się pożegnać, zanim wyruszą w drogę. Oczywiście! Wprowadź hrabiego Guthwulfa natychmiast.

Zanim skończył, jego gość był już w sali, a z nim kilku żołnierzy w zbrojach, lecz bez mieczy.

Guthwulf przyklęknął wolno na jedno kolano pięć kroków przed podestem.

– Wasza Wysokość... ach, i książę. Mam szczęście. – W jego głosie nie słychać było kpiny, lecz zielone oczy płonęły. – Ach, i księżniczka Maegwin – uśmiechnął się – róża Hernysadharc.

Maegwin starała się zachować zimną krew.

– Sir, w Hernysadharc była tylko jedna róża – powiedziała – a ponieważ była to matka twego Króla Eliasa, dziwi mnie, że o tym zapomniałeś.

Guthwulf skinął głową z powagą.

– Masz rację, pani, to miał być komplement. Lecz czemu nazywasz Eliasa moim królem? Czyż i ty nie pozostajesz w obrębie władzy jego Wielkiego Berła?

Gwythinn odwrócił się, by zobaczyć, jak zareaguje na to ojciec; pochwa jego miecza zaskrzypiała, zaczepiwszy o drewniany podest.

– Ależ oczywiście. – Lluth pomachał wolno dłonią, jakby trzymał ją pod wodą. – Już to ustaliliśmy i nie ma powodu, by zaczynać od początku. Wiem, co mój dom zawdzięcza Królowi Johnowi. Zawsze o tym pamiętam, w czasie wojny czy pokoju.

– Tak – hrabia Utanyeat wstał, otrzepując kurz z kolana – ale czy pamiętasz o swoim długu wobec Króla Eliasa? Jak dotąd okazał on ogromną cierpliwość...

Inahwen wstała gwałtownie, a szata, którą szyła, zsunęła się na podłogę.

– Wybaczcie, proszę – powiedziała cicho, podnosząc szatę. – Wzywają mnie sprawy związane z gospodarstwem.

Król skinięciem dłoni wyraził aprobatę, więc ruszyła szybko, lecz niezwykle ostrożnie między czekającymi żołnierzami i wymknęła się zwinnie przez uchylone drzwi sali.

Lluth westchnął spokojnie. Maegwin spojrzała na niego; na jego twarzy widoczne były liczne zmarszczki.

„Jest zmęczony, a Inahwen się boi – pomyślała Maegwin. – A ja? Jestem zła? Nie wiem, chyba raczej wyczerpana”.

Kiedy król wpatrywał się w posłańca Eliasa, w pokoju jakby pociemniało. Maegwin przestraszyła się, że chmury znowu zasłoniły słońce i powraca zima, lecz zaraz zdała sobie sprawę, że to tylko jej własne odczucie. Miała wrażenie, że chodzi tu o coś więcej niż tylko o spokój umysłu jej ojca.

– Guthwulfie – zaczął król, a jego głos załamał się nieco, jakby pod wielkim ciężarem – nie próbuj prowokować mnie dzisiaj ani też nie sądź, że uda ci się mnie zastraszyć. Król Elias nie okazał absolutnie żadnej cierpliwości wobec kłopotów Hernystirczyków. Najpierw cierpieliśmy

z powodu okropnej suszy, a później deszcze, za które tak dziękowaliśmy bogom, okazały się przekleństwem. Król Elias nie byłby w stanie wymyślić większej kary niż to, że widzę moje bydło zdychające, a moich ludzi pogrążonych w strachu. Nie mógłbym zapłacić większej daniny.

Hrabia Utanyeat stał w milczeniu, a jego ponury wyraz twarzy zmienił się powoli w coś, co Maegwin odczytała z niepokojem jako wyraz triumfu.

– Nie mógłby ukarać bardziej? – powiedział hrabia, cedząc powoli każde słowo. – Nie mógłbyś zapłacić większej daniny? – Splunął sokiem z cytryla wprost przed tron króla.

Kilku spośród rycerzy Llutha wydało okrzyk oburzenia, a harfiarz, którzy grał spokojnie w rogu sali, upuścił instrument z hukiem.

– Ty psie! – Gwythinn zerwał się na nogi, przewracając za sobą stołek. W mgnieniu oka wyciągnął swój miecz i jego ostrze znalazło się przy gardle Guthwulfa.

Hrabia wpatrywał się w niego z lekko uniesioną brodą.

– Gwythinnie! – warknął Lluth. – Schowaj miecz, do licha! Schowaj!

Guthwulf wykrzywił usta.

– Pozwól mu. No, dalej, szczeniaku. Zabij nieuzbrojonego namiestnika Wielkiego Króla!

Przy drzwiach rozległ się szczęk zbroi, gdyż jego ludzie, ochłonąwszy z zaskoczenia, ruszyli do przodu. Guthwulf uniósł dłoń.

– Nie! Żadnego odwetu. Nawet gdyby ten szczeniak odciął mi głowę! Wyjdźcie i ruszamy do Erkynlandu! Król Elias z zainteresowaniem wysłucha tego, co mamy mu do powiedzenia.

Jego ludzie zamarli w miejscu zdezorientowani; wyglądali jak ubrane w zbroje strachy na wróble.

– Pozwól mu odejść, Gwythinnie – odezwał się Lluth gniewnym głosem.

Książę z rumieńcem na twarzy rzucił na Guthwulfa długie, pełne nienawiści spojrzenie, po czym schował miecz do pochwy. Guthwulf przejechał palcem po malutkiej ranie na gardle i przypatrywał się zimno własnej krwi. Maegwin zdała sobie sprawę, że od dawna wstrzymuje oddech; odetchnęła ze świstem, ujrzawszy szkarłatną plamkę na palcu hrabiego.

– Utanyeat, przeżyjesz, by móc powiedzieć Eliasowi, co masz mu do powiedzenia. – Głos króla drżał lekko. – Mam nadzieję, że opowiesz mu, jakiej śmiertelnej zniewagi dopuściłeś się wobec Domu Herna; zniewagi, którą przypłaciłbyś życiem, gdybyś nie był wysłannikiem Eliasa i namiestnikiem króla.

Guthwulf odwrócił się i z wściekłością w oczach ruszył w stronę swoich ludzi. Kiedy dotarł do nich, spojrzał raz jeszcze na siedzącego w drugim końcu ogromnej komnaty Llutha.

– Przypomni ci się ta chwila, kiedy nie przychodziła ci do głowy większa danina – powiedział – jeśli któregoś dnia zobaczysz ogień na dachu dworu Taig i usłyszysz płacz swych dzieci. – Po tych słowach wyszedł, stąpając ciężko.

Maegwin schyliła się i drżącymi dłońmi podniosła kawałek roztrzaskanej lutni, po czym owinęła wokół dłoni poskręcaną strunę. Uniosła głowę i spojrzała na ojca i brata; to, co zobaczyła, sprawiło, że natychmiast opuściła ponownie głowę – naciągnięta mocno struna wpiła się w białą skórę jej dłoni.

MRUCZĄC POD NOSEM wrannańskie przekleństwo, Tiamak wpatrywał się niepocieszony w pustą klatkę z trzciny. Była to już jego trzecia pułapka i, jak dotąd, ani jednego kraba. Naturalnie rybia głowa, która służyła za przynętę, zniknęła bez śladu. Wpatrywał się w mętną wodę z dziwnym

wrażeniem, że kraby są tuż-tuż; może nawet czekają teraz, aby opuścił klatkę, zostawiając kolejną przynętę o wyłupiastych oczach. Wyobrażał sobie, jak cały klan uradowanych krabów zbiega się do klatki i wydobywa z niej przynętę patykiem lub innym podobnym narzędziem, którym niedawno obdarzył ich plemię jakiś łaskawy krabi bóg.

Zastanawiał się, czy kraby wielbią go jako dobroczynnego anioła w miękkiej skorupie, czy może przyglądają mu się z cyniczną obojętnością, z jaką banda łotrów taksuje pijaka, zanim uwolni go od sakiewki.

Przekonany był, że bliższa prawdy jest druga wersja. Ponownie umieścił przynętę w misternie plecionej klatce i wzdychając, opuścił ją z pluskiem na wodę, rozwijał linkę tak długo, aż klatka zatonęła.

Słońce chowało się właśnie za horyzontem, barwiąc niebo nad mokradłami odcieniami śliwy i pomarańczy. Tiamak popychał swą płaską łódź żerdzią wzdłuż kanałów krainy Wran – których powierzchnię miejscami można było odróżnić od lądu jedynie poniżej rosnącej roślinności – z uczuciem, że pech, jaki nie odstępował go tego dnia, stanowił zaledwie początek długiego łańcucha nieszczęść. Rano zbił swą najlepszą miskę, tę, za którą zapłacił, przepisując przez dwa dni listę przodków Roahoga, garncarza, po południu złamał ostrze pióra i wylał słoik atramentu z jagodowego soku na kartę swego rękopisu, niszcząc tym samym niemal zapisaną stronę. Na domiar tego wszystkiego zanosiło się, że jeśli kraby nie postanowią odbyć uczty w ciasnym wnętrzu jego ostatniej pułapki, będzie musiał zadowolić się na kolację wybornym daniem „prawie nic” Zaczynał mieć już dość zupy z korzeni i herbatników z ryżu.

Zbliżył się cicho do ostatniego pływaka w kształcie misternie plecionej, trzcinowej kuli, modląc się w duchu do Tego, Który Zawsze Chodzi Po Piasku, by nakłonił tych, co chodzą po dnie, do ochoczego wejścia do jego klatki. Posiadając rozległe wykształcenie, na które składał się rok spędzony

w Pedruin – rzecz niezwykła, jeśli chodzi o Wrańczyka – Tiamak w rzeczywistości nie wierzył w Tego, Który Chodzi Po Piasku, lecz wciąż darzył go uczuciem, jakie miewa się dla zniedołężniałego dziadka, który rzadko bywał z wizytą, lecz kiedyś przyniósł orzeszki i drewniane zabawki. A poza tym nigdy nie zaszkodziło się pomodlić – nawet jeśli nie wierzyło się w tego, do którego się modliło. Modlitwa pomagała się skupić, a jeśli i to nie, przynajmniej robiła wrażenie na innych.

Tiamak wyciągał pułapkę powoli i przez moment jego serce zabiło mocniej w chudej, brązowej piersi, jakby chciało zagłuszyć odgłosy protestującego żołądka. Lecz opór, jaki napotkał, okazał się krótkotrwały – prawdopodobnie był to jakiś korzeń, który zaczepił o klatkę, a potem się ześliznął – i pułapka wyskoczyła, po czym opadła na powierzchnię mętnej wody. Coś się w niej ruszało. Uniósł klatkę na wysokość oczu na tle zabarwionego zachodzącym słońcem nieba. Zmrużywszy oczy, spojrzał do wnętrza. Zobaczył wpatrzoną w siebie parę osadzonych na słupkach, wybałuszonych oczu; oczy te chwiały się na czubku głowy kraba tak małego, że zniknąłby w jego dłoni, gdyby go w niej umieścił.

Tiamak parsknął. Wyobraził sobie, jak to się odbyło: starsi, bardziej butni bracia-kraby napuścili młodszego, żeby zbadał klatkę; schwytany w jej wnętrzu mały pewnie płakał, gdy okrutni braciszkowie zaśmiewali się, machając radośnie szczypcami. Wtedy pojawił się ogromny cień Tiamaka i klatka powędrowała nagle do góry; kraby zaś zastanawiają się zakłopotane, jak wyjaśnić matce zniknięcie malucha.

„No cóż – myślał Tiamak, czując pustkę w żołądku – wprawdzie mało tego, ale zawsze jakieś urozmaicenie w zupie”.

Zmrużywszy oczy, jeszcze raz zajrzał do klatki, potem odwrócił ją do góry nogami i wytrząsnął więźnia na dłoń. I po co się oszukiwać? Był to po prostu pechowy dzień, dzień-utknięcia-na-ławicy-piasku.

Wyrzucony krab wpadł do wody z pluskiem. Tiamak nie próbował nawet ponownie opuszczać pułapki.

Wchodząc po długiej drabinie z łodzi do małego domku umieszczonego na drzewie figowym, Tiamak obiecywał sobie, że będzie zadowolony z zupy i herbatników. Obżarstwo jest przeszkodą, upominał siebie, przeszkodą oddzielającą duszę od krainy prawdy. Kiedy wciągnął kołowrotkiem drabinę na ganek domku, pomyślał o Tej, Która Zrodziła Ludzkość; ona nie miała nawet miski zupy z korzeni, lecz żywiła się kamieniami, brudem i wodą z bagien, aż wreszcie wszystko to połączyło się w jej żołądku i urodziła glinianych ludzi, pierwszych z rodzaju ludzkiego.

W porównaniu z tamtym pożywieniem korzenna zupa wydawała się rarytasem, czyż nie? A poza tym czekało na niego mnóstwo pracy – przede wszystkim musiał oczyścić lub przepisać stronę rękopisu. Wśród swego ludu uchodził jedynie za dziwaka, lecz gdzieś na świecie ludzie przeczytają jego poprawione wydanie dzieła zatytułowanego *Sovrańskie Lekarstwa Uzdrowicieli z Wranu* i stwierdzą, że i wśród bagien zdarzały się umysły o wielkiej wiedzy. Ach! Jakże smakowałby teraz krab... i do tego kufel piwa z paproci.

Tiamak obmył ręce w misce z wodą, robił to, kucając, gdyż nie było miejsca między obsesyjnie szlifowaną i polerowaną deską do pisania a dzbanem na wodę. W pewnym momencie usłyszał drapanie na dachu. Słuchał uważnie, wycierając dłonie w koszulę na brzuchu. Drapanie powtórzyło się; suche skrzypienie, jakby ktoś skrobał jego złamanym piórem o słomiany dach.

W następnej chwili wysunął się przez okno i zręcznie wdrapał na pochyły dach. Chwytając się jednej z długich i powyginanych gałęzi, podciągnął się do góry, do miejsca na czubku dachu, w którym znajdowało

się małe pudełko z pokrywką z kory; jakby matka-dom niosła na grzbiecie swoje dziecko. Zajrzał do pudełka.

Tego się spodziewał: szary wróbel raźno dziobiący rozsypane na podłodze nasiona. Tiamak powoli wsunął dłoń i chwycił ptaka, po czym niezwykle ostrożnie zsunął się z dachu i wrócił przez okno do domu.

Umieścił wróbla w klatce na kraby, którą trzymał przygotowaną na takie okazje zawieszoną u sufitu, i szybko rozpalił ogień. Kiedy wreszcie z kamiennego paleniska wystrzeliły płomienie, wyjął ptaka z klatki; oczy łzawiły mu, gdyż kłęby dymu unosiły się wolno w stronę dziury w suficie.

Wróbel stracił parę piór z ogona i jedno skrzydło trzymał nieco opuszczone, co świadczyło, że musiał natrafić na przeszkody w drodze z Erkynlandu. Tiamak wiedział, że ptak przybył z Erkynlandu, gdyż był to jedyny wróbel, jakiego kiedykolwiek wyhodował. Głównie zajmował się gołębiami moczarowymi, lecz Morgenes nalegał na wróble – śmieszny z niego był staruszek.

Potem Tiamak postawił na ogniu garnek z wodą, opatrzył najlepiej, jak umiał, skrzydło wróbla, nasypał mu nasion i podstawił wypełniony wodą wiórek z kory. Początkowo zamierzał odłożyć przeczytanie wiadomości na później, lecz po tak pechowym dniu nie mógł spodziewać się po sobie aż tak wielkiej cierpliwości. Zmełł w moździerzu trochę mąki z ryżu, dodał wody i pieprzu, a następnie rozwałkował ciasto na placek, który położył na kamiennym palenisku, by go upiec.

Zwitek pergaminu, owinięty wokół nogi wróbla był postrzępiony, a pismo trochę rozmazane, jakby ptak mocno zmókł, lecz Tiamak przywykł już do tego i szybko odczytał wiadomość. Zdziwiła go data napisania listu: ptak potrzebował prawie miesiąca, aby dotrzeć do Wranu. Sama wiadomość okazała się dla niego jeszcze większą niespodzianką.

Poczuł w żołądku ciężar, który kazał mu zapomnieć o wszelkim głodzie. Podszedł do okna i spojrzał przez splątane gałęzie figowca na niebo, na którym pojawiało się coraz więcej gwiazd. Stał zwrócony na północ i przez chwilę wydało mu się, że czuje, jak zimny wiatr wbija swe chłodne ostrze w miękkie ciepło krainy Wran. Długo stał przy oknie, aż wreszcie poczuł swąd przypalonej kolacji.

HRABIA EOLAIR USIADŁ ZNOWU w głębokim wyścielanym fotelu i popatrzył na sufit. Pokrywały go religijne sceny przedstawiające uzdrowienie praczki przez Usiresa, śmierć Sutrina na arenie imperatora Crexisa i im podobne. Kolory wyblakły nieco, pokrył je kurz i wyglądały teraz, jakby przykryto je cieniutką zasłoną. Mimo to malowidła wciąż robiły wrażenie, tworząc wspaniały wystrój jednego z mniejszych przedsionków Sancellan Aedonitis.

„Ile tu piaskowca, marmuru i złota – pomyślał – a wszystko to jako pomnik dla czegoś, czego nikt nie widział”.

Nagle, wbrew sobie, zatęsknił za domem; ostatnio często ogarniało go to uczucie. Wiele by dał, żeby być w swym skromnym domu w Nad Mullach, otoczony siostrzeńcami i siostrzenicami oraz małymi pomnikami ludzi i bogów, albo na dworze Taig w Hernysadharc, gdzie pozostała cząstka jego serca, zamiast siedzieć tutaj, w Nabbanie, który wydaje się zbudowany z samego kamienia! Lecz zanosiło się na wojnę, a on nie mógł odmówić królowi, który prosił go o pomoc. Jednak podróże męczyły go. Chętnie usłyszałby tętent kopyt swego konia na trawiastych polach Hernystiru.

– Hrabio Eolairze! Wybacz, proszę, że kazałem ci czekać. – W drzwiach, w drugim końcu komnaty, stał ojciec Dinivan, młody sekretarz Lektora, wycierając dłonie o czarną szatę. – Tyle się już dzisiaj wydarzyło,

a jeszcze nie mamy południa. Ale – roześmiał się – to żadne usprawiedliwienie. Proszę do moich komnat!

Eolair opuścił przedsionek tuż za nim, stąpając cicho po starych, grubych dywanach.

CZY TERAZ LEPIEJ? – spytał Dinivan, uśmiechając się i wyciągając dłonie do ognia. – To skandal, że nie możemy należycie ogrzać największego domu Pana. Pomieszczenia są za wysokie. A do tego mamy tak zimną wiosnę!

Hrabia uśmiechnął się.

– Szczerze mówiąc, nie zwróciłem uwagi na chłód. W Hernystirze śpimy przy otwartych oknach, które zamykamy tylko w czasie najsroższej zimy. My żyjemy głównie pod gołym niebem.

– A my, Nabbańczycy, jesteśmy mięczakami z Południa, czy tak? – zapytał Dinivan, unosząc brwi.

– Tego nie powiedziałem! – roześmiał się Eolair. – Natomiast wiem, że z pewnością jesteście mistrzami słowa.

Dinivan usiadł na krześle z twardym oparciem.

– Tak, choć Jego Świątobliwość Lektor, który – jak wiesz – pochodzi z Erkynlandu, potrafi zagadać nas wszystkich. To mądry i rozsądny człowiek.

– Wiem i o nim właśnie chciałbym porozmawiać, ojcze.

– Mów mi Dinivan, proszę. Taki już los sekretarzy wielkich ludzi; przychodzi się do nich dla ich kontaktów, a nie dla nich samych – mówiąc to, udał, że ma obrażoną minę.

Po raz kolejny Eolair poczuł wielką sympatię do duchownego.

– Masz rację, Dinivanie, taki twój los. A teraz posłuchaj. Wiesz chyba, po co przysłał mnie tutaj mój pan?

– Byłbym skończonym idiotą, gdybym nie wiedział. Nadeszły czasy, że ludzie młócą językami równie mocno, jak podekscytowane psy ogonami. Twój pan pragnie podjąć wspólne działania z Leobardisem.

– Zgadza się. – Eolair odwrócił się od kominka, by przystawić sobie krzesło bliżej Dinivana. – Sytuacja jest bardzo delikatna: mój Lluth, twój Lektor Ranessin, Wielki Król, Elias, książę Leobardis...

– I książę Josua, jeśli jeszcze żyje – dokończył Dinivan, a jego twarz spoważniała. – Tak, to delikatna sytuacja, lecz wiesz, że Lektor nie może tu nic zmienić.

– Wiem. – Eolair skinął wolno głową.

– Dlaczego więc do mnie przyszedłeś? – spytał uprzejmie Dinivan.

– Nie wiem dokładnie dlaczego. Tyle ci tylko powiem: wygląda na to, że zbliża się czas niepokoju, nie pierwszy już raz, lecz sądzę, że tym razem jest to coś poważniejszego. Może uznasz mnie za wariata, ale według mnie, kończy się pewna era i z trwogą myślę, co może przynieść nowa.

Sekretarz Lektora patrzył przed siebie. Przez chwilę jego gładka twarz wydała się o wiele starsza, jakby odbiły się w niej długo ukrywane troski.

– Hrabio, mogę tylko powiedzieć, że podzielam twoje obawy – powiedział wreszcie. – Lecz nie mogę mówić za Lektora. Powtarzam, to mądry i rozsądny mąż. – Dotknął dłonią Drzewa na piersi. Powiem ci coś, co być może ulży twemu sercu: książę Leobardis nie zdecydował jeszcze, komu udzieli swego poparcia. Wciąż się zastanawia, choć Król wciąż schlebia mu i grozi na przemian.

– Dobre to wieści. – Eolair uśmiechnął się ponuro. – Kiedy spotkałem księcia dziś rano, wydawał się bardzo nieprzystępny, jakby obawiał się, że zobaczą nas rozmawiających na osobności.

– Wiele rzeczy musi brać pod uwagę, podobnie jak i mój pan – odparł Dinivan. – Ale wiedz jedno, tylko że to wielka tajemnica... Dzisiejszego ranka wprowadzałem do Lektora barona Devasallesa. Ma on wyruszyć z misją, z którą Leobardis i mój pan wiążą duże nadzieje i która może zdecydować, po czyjej stronie stanie Nabban. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć, ale myślę, że to już coś.

– Ach, o wiele więcej niż coś – powiedział Eolair. – Dinivanie, dziękuję za zaufanie.

Gdzieś w głębi Sancellan Aedonitis rozległ się niski dźwięk dzwonu.

– Dzwon Clavean wybija południe – oznajmił ojciec Dinivan. – Chodź, poszukamy czegoś do zjedzenia, napijemy się piwa i porozmawiamy o przyjemniejszych rzeczach. – Na jego twarzy pojawił się uśmiech, który przywrócił mu młodość. – Czy wiesz, że byłem niegdyś w Hernystirze? Mieszkasz w pięknym kraju, Eolairze.

– Choć mało w nim kamiennych budowli – powiedział hrabia, uderzając dłonią w ścianę komnaty Dinivana.

– I na tym właśnie polega jeden z jego uroków – roześmiał się duchowny, ruszając przodem.

BRODA STARCA BYŁA SIWA i tak długa, że w czasie marszu wsuwał ją sobie za pas, a szedł już od paru dni. Jego włosy były także białe. Ubrany był w płaszcz z kapturem i getry ze skóry białego wilka, którą starannie wyprawiono. Przednie łapy krzyżowały się na piersi starca, a pozbawiony szczęki łeb, przybity do stalowej czapy, spoczywał na czole wędrowca. Gdyby nie czerwone paciorki w pustych oczodołach wilka i bystre, błękitne oczy starca, można by go wziąć za jeszcze jedną białą plamę w pokrytym śniegiem lesie, który rozciągał się między jeziorem Drorshull a wzgórzami.

Wiatr zawył mocniej w koronach drzew i jedna z czap śniegu zsunęła się z gałęzi wysokiej sosny na klęczącego pod nią starca. Otrząsnął się niecierpliwie niczym zwierzę, wzbijając wokół siebie obłoczki śnieżnego pyłu, które w słabym blasku słońca zalśniły mnóstwem malutkich tęcz. Wiatr wciąż zawodził żałośnie. Mężczyzna w bieli sięgnął do boku i chwycił coś, co na pierwszy rzut oka wydawało się kolejną grudą bieli – ośnieżony kamień albo kawał drewna. Podniósł ów przedmiot do góry i otrzepując ze śnieżnego pyłu, uchylił jego przykrycie z materiału tak, by móc zajrzeć do środka.

Szepnął coś i zaczekał chwilę, a potem uniósł brwi, jakby zmartwiony albo zniecierpliwiony. Postawił przedmiot na ziemi i odpiął pas z wypłowiałej skóry renifera. Następnie ściągnął z głowy kaptur, odsłaniając chudą, surową twarz, i zdjął płaszcz z wilczej skóry. Pozbawiona rękawów koszula, którą miał pod spodem, była tego samego koloru co płaszcz, a skóra na żylastych ramionach niewiele ciemniejsza; na prawym przegubie, tuż nad futrzaną rękawicą widniała głowa węża, wymalowana jasnym atramentem i przyozdobiona niebieskimi, czarnymi i czerwonymi wzorami. Ciało węża wiło się w górę wzdłuż prawego przedramienia starca, ginęło pod koszulą, ponownie pojawiało się skręcone na lewym ramieniu i kończyło poskręcanym ogonem na przegubie. Kolorowy wąż wyraźnie odcinał się od monotonnej bieli lasu, ubrania starca i jego skóry; patrząc na niego z pewnej odległości, można było pomyśleć, że latający wąż kona w agonii, zawieszony nad zmarzniętą ziemią.

Nie zważając na gęsią skórkę, starzec owinął pakunek płaszczem. Następnie z kieszeni kamizelki wyjął skórzaną torebkę i wycisnął z niej trochę żółtego tłuszczu, który roztarł na przedramieniu, co spowodowało, że wąż zalśnił, jakby wypełzł właśnie z wilgotnej południowej dżungli.

Skończywszy, ponownie przysiadł na piętach i czekał. Był głodny, lecz ostatnią porcję z przeznaczonej na podróż żywności zjadł poprzedniego wieczoru. To już nie miało znaczenia, gdyż wkrótce mieli nadejść ci, których oczekiwał, a wtedy będzie jedzenie.

Z brodą pochyloną w dół Jarnauga patrzył w kierunku południowym; jego oczy koloru kobaltu lśniły pod oszronionymi brwiami. Był bardzo stary, a wiek i liczne wędrówki uczyniły go szczupłym i żylastym. W pewnym sensie oczekiwał z niecierpliwością godziny, która miała nadejść, kiedy Śmierć zaprosi go do swej ciemnej, cichej komnaty. Nie obawiał się ciszy i samotności; były czymś powszednim w jego długim życiu. Pragnął jedynie dokończyć zadanie, jakie przed nim postawiono: przekazać pochodnię, której inni będą mogli użyć w nadciągającej ciemności. Potem rozstanie się z życiem i ciałem z taką samą łatwością, z jaką otrząsnął śnieg z nagich ramion.

Zastanawiając się nad wspaniałymi komnatami, jakie go czekały na końcu jego drogi, pomyślał o ukochanym Tungoldyrze, który opuścił dwa tygodnie temu. Kiedy ostatniego dnia stał na progu swego domu, miał przed sobą miasteczko, w którym spędził większość z dziewięćdziesięciu lat życia, równie puste jak legendarne Huelhaim, do którego miał się udać po zakończeniu zadania. Pozostali mieszkańcy Tungoldyru dawno już uciekli. Pozostał jedynie Jarnauga w miejscu zwanym Księżycową Bramą, położonym wysoko w górach Himilfell, w cieniu odległej Sturmspeik – Burzowej Góry. Tego roku nadeszła tak surowa zima, jakiej nie pamiętali nawet Rimmersmeni z Tungoldyru, a nocne pieśni wiatru przeszły w wycie i zawodzenie, które doprowadzały mężczyzn do szaleństwa, tak że odnajdywano ich rankiem śmiejących się w obłędzie pośród ciał ich rodzin.

Jedynie Jarnauga pozostał w swym małym domu. Lodowate, gęste mgły wypełniły górskie przełęcze i wąskie uliczki miasta, a strome dachy

Tungoldyru zdawały się płynąć niczym statki widmowych rycerzy, którzy żeglowali na chmurach. Jarnauga był jedynym, który obserwował, jak migocące ognie na Burzowej Górze płoną coraz jaśniej, i słyszał donośną muzykę, której dźwięki rozbrzmiewały pośród grzmotów i niosły się ponad dolinami i górami tej najbardziej na północ wysuniętej prowincji Rimmersgardu.

Wreszcie jednak nawet i on opuścił Tungoldyr, ulegając nadciągającej ciemności i chłodowi – pewne znaki mówiły, że jego czas nadszedł. Jarnauga wiedział, że bez względu na to, co się stanie, nigdy już nie zobaczy skąpanych w słońcu drewnianych domów ani też nie będzie słuchał śpiewu górskich strumieni, które przepływały obok jego domu i wpadały dalej do rwącej Gratuvask. Wiedział też, że nigdy już nie stanie na ganku swego domu w ciemną, wiosenną noc, by spojrzeć na podniebne światła – iskrzące się północne ognie, które istniały tam od czasu jego dzieciństwa, w przeciwieństwie do tych niewyraźnych, jakie pojawiły się na ciemnym obliczu Burzowej Góry. Tamte rzeczy przeminęły. Droga przed nim była prosta, lecz wcale go to nie cieszyło.

Jednak nawet teraz nie wszystko było całkiem jasne. Nie dawał mu spokoju sen o czarnej księdze i trzech mieczach. Męczył go od wielu dni, lecz wciąż nie znał jego znaczenia.

Myśli starca przerwał jakiś ruch na południu, daleko na linii drzew znaczących zachodni skraj Wealdhelm. Na chwilę zmrużył oczy, po czym skinął głową i wstał.

Kiedy okrywał się płaszczem, wiatr zmienił kierunek. Chwilę później na północy rozległo się dudnienie grzmotu, a potem następne, niczym pomruki budzącej się ze snu bestii. Zaraz potem od strony południa rozległo się dudnienie końskich kopyt, które intensywnością dorównywało grzmotom.

Kiedy Jarnauga podniósł klatkę z ptakami i ruszył w stronę jeźdźców, dźwięki grzmotów i stłumione dudnienie kopyt zlały się w jeden łoskot, podobny do muzyki granej na lodowych bębnach, którą wypełnił się biały las.

29. Myśliwi i zwierzyna

SIMON SŁYSZAŁ TYLKO głuchy ryk rzeki. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że porusza się jedynie woda, a stojący na drugim brzegu łucznik, Marya i on sam zastygli w bezruchu w momencie, gdy strzała ugodziła Binabika. W następnej chwili kolejna strzała przemknęła obok pobladłej dziewczyny, uderzając z hałasem w popękany gzyms z lśniącego kamienia, i ponownie wszystko wróciło do życia.

Simon w paru susach dotarł do dziewczyny i trolla, kątem oka obserwując, jak podobni do owadów łucznicy przechodzą nad rzeką. Schylił się, by przyjrzeć się trollowi, i równocześnie bezwiednie zwrócił uwagę na fakt, że Marya nosi chłopięce getry z dziurami na kolanach; w tej samej chwili strzała przeszyła mu koszulę pod pachą. Początkowo myślał, że nie ugodziła go, lecz zaraz potem poczuł rozchodzący się po żebrach ból.

Kolejne strzały przelatywały obok nich i upadały na kamienną drogę, podskakując na niej jak „kaczki” na wodzie. Simon przyklęknął szybko i wziął trolla w ramiona; między palcami czuł drżącą strzałę. Odwrócił się tak, by plecami osłonić Binabika przed łucznikami. Troll był bardzo blady. Simon pomyślał, że nie żyje – był prawie pewny. Wstał szybko, z trollem w ramionach. Ból między żebrami wzmógł się i Simon się zachwiał. Marya chwyciła go za łokieć.

– Na krew Lokena! – krzyknął Ingen. Jego okrzyk z oddali zabrzmiał w uszach Simona zaledwie jak niewyraźny pomruk. – Nie zabijajcie ich!

Kazałem wam ich zatrzymać! Gdzie jest baron Heahferth?

Nadbiegła Qantaqa; Marya próbowała odegnać wilczycę, kiedy oboje z Simonem wspinali się z trudem po schodach do Da’ai Chikiza. Jeszcze jedna pierzasta strzała zagrzechotała na kamiennych stopniach tuż za nimi, a potem znaleźli się już poza ich zasięgiem.

– Heahferth jest tutaj, Rimmersmanie! – rozległ się głos pośród szczęku zbroi.

Simon spojrzał do tyłu i zamarł.

Kilkunastu żołnierzy w szyku bojowym przebiegło obok Ingena i jego łuczników w kierunku Jelenich Wrót, mostu, pod którym przepłynął Simon i jego towarzysze tuż przed wyjściem na brzeg. Za nimi z włócznią nad głową jechał na koniu baron. Simon pomyślał, że nie będą w stanie uciekać długo przed żołnierzami, nie mówiąc już o jeźdźcu.

– Simonie, biegnij! – Marya pociągnęła go za łokieć, sprawiając, że nieomal się potknął. – Musimy ukryć się w mieście!

Simon wiedział, że nie ma to większego znaczenia. Żołnierze dopadną ich, zanim dotrą do pierwszej kryjówki.

– Heahferth! – usłyszeli za sobą Ingena Jeggera, którego głos ledwie przebił się poprzez dudnienie wody. – Nie rób tego! Ty głupi Erkynlandczyku! Twój koń...

Resztę pochłonął odgłos wody. Heahferth nie zwrócił uwagi na słowa Ingena, nawet jeśli je słyszał. Usłyszeli stukot kopyt i dudnienie butów na kamiennym moście.

Odgłosy pościgu stawały się coraz głośniejsze. Nagle Simon zawadził czubkiem buta o wyrwaną płytkę i przewrócił się.

„Zaraz wsadzą mi włócznię w plecy – pomyślał, upadając. – Jak to się wszystko stało?” – Upadł boleśnie na bark, chroniąc tym samym trzymanego w ramionach trolla.

Leżał na plecach, patrząc na kawałki nieba, które przeświytywały przez ciemną kopułę leśnego dachu. Czuł na piersi ciężar ciała Binabika. Marya ciągnęła go za koszulę, starając się zmusić go do wstania. Chciał jej powiedzieć, że to już nie ma znaczenia, lecz kiedy uniósł się na jednym łokciu, ujrzał poniżej dziwną scenę.

Baron Heahferth i jego ludzie dotarli na środek wznoszącego się nad rzeką mostu i nagle znieruchomieli; a raczej kołysali się w miejscu. Żołnierze przywarli do niskich ścian mostu, a siedzący na swym koniu baron wyglądał, choć z takiej odległości nie widać było wyraźnie jego twarzy, jak ktoś, kogo właśnie obudzono ze snu. Chwilę później, nie wiadomo dlaczego, koń stanął dęba, ruszył do przodu, a za nim żołnierze, którzy teraz biegli szybciej niż przedtem. Simon usłyszał donośny trzask, jakby olbrzym wyrwał z ziemi drzewo, by zrobić sobie wykałaczkę. Wydawało się, że środek mostu pękł.

Simon i Marya patrzyli zdumieni i przerażeni, jak delikatne Jelenie Wrota runęły w dół, najpierw środek mostu, a potem reszta. Kolejne kamienne bryły odrywały się i spadały z hukiem do spienionej wody. Początkowo wydawało się, że Heahferth i jego żołnierze zdołają dotrzeć do drugiego brzegu, lecz w pewnym momencie kamienny łuk zapadł się do środka; plątanina bijących w powietrzu rąk i nóg razem z przerażonym koniem runęła w dół z masą bloków mlecznego chalcedonu i zniknęła pochłonięta przez zielone fale i białą pianę. Trochę później kilkanaście łokci poniżej biegu rzeki ukazał się łeb konia; zwierzę wyciągało szyję do góry, lecz w końcu zniknęło w wirującej wodzie.

Simon zwrócił powoli głowę w kierunku brzegu. Obaj łucznicy wciąż klęczeli wpatrzeni w rzekę; za nimi stał ubrany na czarno Ingen i patrzył w dal. Wydawało się, że jego jasne oczy oddalone są zaledwie o parę cali...

– Wstawaj! – krzyknęła Marya, ciągnąc Simona za włosy.

Z trudem uwolnił wzrok od spojrzenia Ingena Jeggera, jakby zrywał jakieś fizyczne więzy. Wstał z trollem w ramionach i ruszyli oboje do pogrążonego w cieniu i rozbrzmiewającego echem Da’ai Chikiza.

JUŻ PO STU KROKACH SIMON POCZUŁ, jak bardzo bolą go ręce; miał też wrażenie, że w jego boku tkwi nóż. Pędzili wśród ruin sithijskiego miasta, a on starał się dotrzymać kroku dziewczynie, którą z kolei wyprzedzała skacząca Qantaqa. Zdawało im się, że biegną przez jaskinię pełną drzew i sopli czy też mroczny las, który ginie pod lśniącym mchem. Wszędzie pełno było porozbijanych płytek, a kruszące się kamienne łuki znikały w plątaninie pajęczyn. Simon pomyślał, że znalazł się w jakimś niesamowitym brzuchu z wnętrznościami z kwarcu, jadeitu i masy perłowej. Dobiegające z tyłu odgłosy rzeki stawały się coraz słabsze; wyraźniej zaś słychać było ich skrzypiące kroki i ciężkie oddechy.

Wreszcie dotarli na peryferie miasta; wysokie świerki, cedry i sosny rosły tutaj gęściej, a zamiast jednolitego, wyłożonego płytkami traktu wśród gigantycznych drzew wiły się ścieżki. Simon przestał biec. Przed oczami pojawiły mu się ciemne plamy. Zdawało mu się, że ziemia wiruje wokół niego. Marya wzięła go za rękę i poprowadziła do obrośniętego bluszczem kamiennego kopca. Kiedy odzyskał wzrok, stwierdził, że jest to studnia. Położył Binabika ostrożnie, podkładając mu pod głowę surowe płótno tobołka, który niosła Marya, po czym wsparł się o krawędź studni, by wziąć głębszy oddech. W boku wciąż czuł pulsujący ból.

Marya przykucnęła obok trolla i odepchnęła Qantaqę, która trącała pyskiem swego milczącego pana. Wilczyca cofnęła się i zaskomlała, nie rozumiejąc, co się dzieje, a potem legła z pyskiem między łapami. Simon czuł napływające do oczu piekące łzy.

– On żyje.

Chłopiec spojrzał na Maryę, później na bladą twarz Binabika.

– Co? – zapytał. – Co mówisz?

– On żyje – powtórzyła, nie podnosząc wzroku.

Simon klęknął obok niej. Miała rację: pierś trolla unosiła się prawie niedostrzegalnie. Na jego ustach pulsowała pienista bańka krwi.

– Na Usiresa Aedona. – Simon otarł dłonią spocone czoło. – Musimy wyjąć strzałę.

Marya spojrzała na niego szybko.

– Oszalałeś? Jeśli ją wyjmiemy, zabijemy go! To będzie dla niego koniec!

– Nie. – Simon potrząsnął głową. – Doktor tak mówił, jestem tego pewien. Nie wiem tylko, czy potrafię to zrobić. Pomóż mi zdjąć z niego kurtkę.

Spróbowali ostrożnie, lecz okazało się, że to niemożliwe bez naruszenia strzały. Simon zaklął. Potrzebował czegoś ostrego, by rozciąć kurtkę. Otworzył tobołek i zaczął w nim szukać. Pomimo smutku i bólu ucieszył się bardzo na widok zawiniętej w kawałek materiału Białej Strzały. Wyjął ją i zaczął odwiązywać rzemień, którym obwiązano materiał.

– Co robisz? – spytała Marya. – Czy nie dość mamy już strzał?

– Potrzebuję czegoś ostrego do przecięcia kurtki – mruknął. – Szkoda, że zgubiliśmy część kija Binabika, w której był nóż.

– Czy tego ci potrzeba? – zapytała Marya. Sięgnęła pod koszulę i ze skórzanej pochwy zawieszonej na szyi wyciągnęła mały nóż. – Geloë powiedziała, że powinnam go zabrać – wyjaśniła, wyjmując nóż z pochwy i podając go Simonowi. – Trudno nim walczyć z łucznikami.

– Za to łucznikom, dzięki Bogu, trudno jest przechodzić przez mosty, nie zawalając ich. – Simon zaczął ciąć naoliwioną skórę.

– Myślisz, że tylko tyle się stało? – spytała po chwili Marya.

– Co masz na myśli? – spytał Simon, sapiąc z wysiłku. Nie było łatwo, ale w końcu udało mu się rozciąć kurtkę od dołu aż do miejsca ponad strzałą; w rozcięciu zobaczyli skrzepniętą krew. Pociągnął nóż jeszcze wyżej, w kierunku kołnierza kurtki.

– No... że most się zawalił. – Marya spojrzała w górę na prześwitujące przez gęste listowie niebo. – Może to, co się stało w mieście, rozgniewało Sithów.

– Phi! – Simon zacisnął zęby i przeciął do końca. – Sithowie, którzy żyją, już tu nie mieszkają, a jeśli Sithowie nie umierają, jak opowiadał mi Doktor, to do zawalenia się mostu nie przyczyniły się duchy. – Rozchylił rozciętą kurtkę i zamrugał. Całe plecy trolla pokryte były zasychającą krwią. – Słyszałaś, jak Rimmersman krzyczał na Heahfertha; nie chciał, żeby tamten wjeżdżał konno na most. A niech cię, daj mi pomyśleć!

Marya uniosła dłoń, jakby chciała go uderzyć. Simon podniósł wzrok i ich spojrzenia spotkały się. Po raz pierwszy zobaczył, że dziewczyna także wcześniej płakała.

– Przecież dałam ci mój nóż! – powiedziała.

Simon potrząsnął głową zmieszany.

– To dlatego... myślę, że ten diabeł Ingen mógł przejść rzekę w innym miejscu. Ma co najmniej dwóch łuczników i nie wiadomo, co stało się z psami, a... a on jest moim przyjacielem. – Ponownie spojrzał na zakrwawionego trolla.

Marya milczała przez jakiś czas.

– Wiem – powiedziała wreszcie.

Strzała ugodziła trolla pod pewnym kątem o długość dłoni od kręgosłupa. Simon przechylił ostrożnie ciało Binabika i wsunął pod nie rękę. Z łatwością wymacał palcami ostry, żelazny grot.

„A niech to! Przeszyła go na wylot! – pomyślał przerażony Simon. – Jeszcze chwila...”

– Złam ją – odezwała się Marya cicho. – Wtedy łatwiej będzie ci ją wyciągnąć, jeśli jesteś pewien, że powinieneś to zrobić.

– Pewnie! – Simon czuł, że jest podniecony, ale i oszołomiony.

Kosztowało go sporo wysiłku, by przeciąć strzałę tuż ponad grotem, gdyż nóż stępił się dość mocno na skórze kurtki. Kiedy skończył, Marya pomogła mu ułożyć Binabika w takiej pozycji, by mieli najlepszy dostęp do strzały. Powtarzając w myśli modlitwę do Aedona, wyciągnął strzałę przez otwór, którym weszła. Wokół natychmiast pojawiła się świeża krew. Przez chwilę patrzył na strzałę z nienawiścią, a potem wyrzucił ją. Qantaqa uniosła swój ogromy łeb, zamruczała i ponownie go opuściła.

Owinęli Binabika kawałkami materiału, w które poprzednio zawinięta była Biała Strzała, oraz w to, co zostało z rozciętej kurtki. Simon wziął na ręce słabo oddychającego trolla.

– Geloë powiedziała, żebyśmy szli w górę, w kierunku Przełazu. Nie wiem, gdzie to może być, ale myślę, że powinniśmy iść dalej ku wzgórzom – powiedział.

Marya skinęła głową.

KIEDY ODCHODZILI OD STUDNI, świecące wśród liści słońce wskazywało, że już prawie południe. Przeszli szybko przez peryferie umierającego miasta. Mniej więcej po godzinie teren zaczął się wznosić. Troll wydawał się coraz cięższy. Simon był zbyt dumny, by narzekać, choć spocił się niemiłosiernie, a plecy i ramiona bolały go równie mocno jak zraniony bok. Marya zaproponowała, że wytnie w jednej z toreb dziurę, tak by można było nieść Binabika, włożywszy w nią jego nogi. Po namyśle Simon odrzucił ten pomysł. Stwierdził, że byłoby to zbyt uciążliwe dla

nieprzytomnego trolla; a poza tym musieliby zostawić część zawartości torby, w której była przede wszystkim żywność.

Kiedy zbocza, po których się wspinali, stały się bardziej strome i porośnięte turzycą i ostem, Simon dał znak, by się zatrzymali. Położył trolla na ziemi i stał przez chwilę z rękoma na biodrach, starając się złapać oddech.

– My... musimy... muszę... odpocząć – wyrzucił z siebie.

Marya popatrzyła na jego czerwoną twarz ze współczuciem.

– Nie możesz go nieść aż na samą górę – powiedziała cicho. – Droga przed nami wydaje się jeszcze bardziej stroma. Trzeba będzie pomagać sobie rękoma przy wspinaczce.

– On jest... moim przyjacielem.

Marya potrząsnęła głową.

– Jeśli nie możemy nieść go, posługując się torbą, będziemy musieli... – Wzruszyła ramionami i usiadła na kamieniu. – Nie wiem, co będziemy musieli zrobić, ale coś trzeba będzie zrobić – dokończyła.

Simon siadł obok niej. Qantaqa zniknęła wysoko ponad nimi; bez większych trudności dostała się tam, gdzie oni dotarliby dopiero po długiej wspinaczce.

Nagle coś przyszło do głowy Simonowi.

– Qantaqa! – zawołał, wstając i wytrząsając zawartość torby na trawę. – Qantaqa! Chodź tutaj!

Simon i Marya, ponaglani wspomnieniem Ingena Jeggera, szybko zawinęli Binabika w płaszcz dziewczyny i położyli go na grzbiecie Qantaqi, przywiązując paskami z torby. Simon pamiętał, co znaczy jazda w takiej pozycji od dnia, w którym wieziono go do obozu księcia Isgrimnura, lecz wierzył, że gruby płaszcz umożliwi trollowi swobodne oddychanie. Zdawał sobie sprawę, że nie jest to wygodna pozycja dla rannego, a może nawet

umierającego trolla, ale co innego mogli zrobić? Marya miała rację; do dalszej wspinaczki potrzebne były ręce.

Kiedy wreszcie zmusili Qantaqę, by stała spokojnie, umocowali trolla na jej grzbiecie, a ona próbowała powąchać twarz Binabika, spoczywającą na jej boku. Ruszyli przed siebie; wilczyca ostrożnie wybierała drogę, jakby zdawała sobie sprawę z wagi swego zadania.

Teraz szli szybciej, wspinając się po kamieniach albo po kłodach dawno przewróconych drzew. Poprzez gałęzie widzieli słońce, które przesunęło się na zachodni skraj nieba. Choć pot zalewał Simonowi oczy, chłopak piął się w górę, starając się nie tracić z oczu białoszarego ogona Qantaqi, przypominającego obłok dymu, i zastanawiał się, gdzie zastanie ich noc i co może się zdarzyć, kiedy zapadnie.

WZNIESIENIE BYŁO TERAZ BARDZO STROME; okrutnie podrapani Simon i Marya wyszli wreszcie na poziomą, pozbawioną kolczastych krzewów ścieżkę na zboczu wzgórza. Odetchnęli z ulgą i usiedli na zakurzonej drodze. Qantaqa sprawiała wrażenie, że nie ma nic przeciwko temu, by iść dalej wąskim, ginącym w trawie szlakiem, lecz mimo to położyła się obok nich z wywieszonym językiem. Simon odwiązał trolla z prowizorycznego siodła. Wydawało się, że stan Binabika nie zmienił się; wciąż oddychał bardzo słabo. Chłopiec wlał mu do ust trochę wody z bukłaka, po czym oddał go Maryi. Kiedy skończyła pić, Simon nadstawił dłonie, w które ona nalała wody, po czym podsunął je pod pysk wilczycy. Wreszcie sam się napił.

– Myślisz, że to jest Przełaz? – spytała Marya, poprawiając swe wilgotne, czarne włosy.

Simon uśmiechnął się słabo. Typowa dziewczyna. Dba o włosy nawet w środku lasu. Zarumieniła się bardzo i Simon zauważył, że przez to

uwydatniły się piegi u nasady nosa.

– Wygląda to bardziej na zwierzęcy szlak czy coś w tym rodzaju – powiedział, zwracając wzrok na ścieżkę, która ginęła w oddali na zboczu. – Myślę, że Przełaz jest dziełem Sithów; tak powiedziała Geloë. Ale możemy chyba pójść tym szlakiem przez jakiś czas.

„Nie jest aż tak chuda – pomyślał. – Raczej, jak to się mówi, delikatna”. – Przypomniał sobie, jak stała w łodzi i odginała sięgające nisko gałęzie oraz jej żeglarskie piosenki. Nie, „delikatna” nie było chyba odpowiednim słowem.

– Ruszajmy. – Marya przerwała jego myśli. – Jestem głodna, lecz nie chciałabym, żeby noc zastała nas na otwartej przestrzeni. – Wstała i zaczęła zbierać paski materiału, by ponownie przywiązać trolla do grzbietu Qantaqi, która wykorzystywała ostatnie momenty wolności, drapiąc się za uchem.

– Marya, lubię cię – wymamrotał Simon, a potem natychmiast zapragnął odwrócić się, uciec, coś zrobić, lecz mimo wszystko pozostał na miejscu.

Marya podniosła głowę i spojrzała na niego. Z ulgą zobaczył, że to ona wygląda na zakłopotaną.

– Cieszę się – powiedziała tylko i ruszyła szlakiem, pozostawiając Simonowi zadanie umieszczenia Binabika na grzbiecie wilczycy, co nie było łatwe, gdyż ręce dziwnie mu się plątały.

Zawiązał ostatni pasek pod włochatym brzuchem cierpliwej Qantaqi i kiedy spojrzał na bladą, pozbawioną życia twarz trolla, rozzłościł się na samego siebie.

„Ależ z ciebie idiota! – pomyślał zirytowany. – Umiera jeden z twoich najbliższych przyjaciół, znalazłeś się nie wiadomo gdzie, ścigają cię

żołnierze i nie wiadomo kto jeszcze, a ty stoisz sobie i umizgujesz się do jakiejś chudej służącej! Idiota!”

Simon dogonił Maryę, nic nie mówiąc, lecz ona wydawała się czytać coś z jego twarzy. Popatrzyła na niego zamyślona i poszli dalej razem w milczeniu.

SŁOŃCE ZDĄŻYŁO SIĘ JUŻ SKRYĆ za pasmem wzgórz, kiedy szlak zaczął się rozszerzać. Przeszli jeszcze około pół mili, gdy zmienił się on w szeroką, płaską ścieżkę, którą kiedyś być może jeździły wozy, choć najwyraźniej od dawna poddała się pochłaniającej wszystko roślinności. Krzyżowały się z nią inne, węższe ścieżki które często można było dostrzec jedynie dzięki prześwitom w jednostajnym morzu traw i krzewów. Po jakimś czasie doszli do miejsca, w którym wszystkie ścieżki łączyły się z ich drogą, a po kilkuset łokciach szli już drogą wyłożoną dawno temu kamiennymi płytkami. Niebawem dotarli do Przełazu.

W pewnym momencie ich szlak przecięła kamienista droga, która pięła się na szczyt wzgórza. Spomiędzy białoszarych płytek wyrastały kępki trawy, a w niektórych miejscach na środku drogi wyrosły drzewa, które podważały korzeniami kamienie, tak że każde z nich otoczone było kamiennym stosem.

– Ta droga zaprowadzi nas do Naglimundu – powiedział Simon do siebie. Do tej pory szli w zupełnym milczeniu.

Marya chciała odpowiedzieć, gdy nagle coś na szczycie wzgórza zwróciło jej uwagę. Patrzyła w górę, lecz to „coś”, co spowodowało błysk światła, zniknęło.

– Simonie, widziałam chyba jakiś błysk tam w górze. – Wskazała dłonią na szczyt wzgórza oddalony od nich o dobrą milę.

– Co to było? – zapytał, lecz ona wzruszyła tylko ramionami. – Może zbroja, jeśli światło nie jest już za słabe, żeby się odbijać – odpowiedział sam sobie. – Albo może mury Naglimundu czy też... kto to wie? – Patrzył w górę zmrużonymi oczami.

– Nie możemy zejść z drogi – odezwał się wreszcie. – A przynajmniej jeszcze nie teraz, dopóki jest widno. Nigdy bym sobie nie darował, gdybyśmy nie dotarli z Binabikiem do Naglimundu, zwłaszcza gdyby on...

– Wiem, Simonie, ale nie sądzę, byśmy dali radę jeszcze dzisiaj wspiąć się na sam szczyt.

Marya kopnęła kamień, odrzucając go w wysoką trawę poza drogą. Zamrugała.

– W całym swoim życiu nie miałam na nogach tylu pęcherzy co teraz. Binabikowi też chyba nie posłuży podskakiwanie przez całą noc na grzbiecie Qantaqi, zakładając, że przeżyje – mówiąc to, spojrzała mu w oczy. – Simonie, zrobiłeś wszystko, co można było zrobić. To nie twoja wina.

– Wiem! – odparł gwałtownie. – Chodźmy. Możemy porozmawiać w drodze.

Szli z trudem. Niebawem słowa Maryi stały się boleśnie prawdziwe. Simon był tak obolały i podrapany, że miał ochotę położyć się i rozpłakać – zrobiłby to tamten Simon, chłopak z zamku, który usiadłby na kamieniu i zażądał jedzenia. Lecz teraz był to inny Simon; owszem, bolało go, lecz istniały ważniejsze rzeczy. Nie można było narażać wszystkich.

Wreszcie nawet Qantaqa zaczęła kuleć na jedną łapę. Simon gotów był już przystać na postój, kiedy Marya po raz kolejny dostrzegła błysk na wzgórzu. Z pewnością nie był to błysk słońca: niebo nad szczytami wzgórz było już ciemnoniebieskie.

– Pochodnie! – jęknął Simon. – Usiresie! Dlaczego teraz, kiedy prawie już weszliśmy?

– Pewnie właśnie dlatego. Ten potwór Ingen dostał się na szczyt Przełazu, żeby tam na nas zaczekać. Musimy zejść z drogi!

Z ciężkim sercem zboczyli z kamiennej drogi i weszli w wąwóz, który biegł u stóp łańcucha wzgórz. Szli szybko, potykając się w zapadającym zmroku, aż dotarli do miejsca osłoniętego grupą młodych świerków. Simon, zanim skrył się za nimi, po raz ostatni spojrzał w górę i dostrzegł mrugające światła kolejnych pochodni.

– A niech ich piekło pochłonie! – warknął, z trudem łapiąc oddech. Klęknął i zaczął odwiązywać bezwładnego Binabika. – Aedonie! Usiresie Aedonie! Jakże chciałbym mieć teraz miecz albo łuk!

– Czy powinieneś zdejmować Binabika? – spytała szeptem Marya. – A jeśli znowu będziemy musieli biec?

– Wezmę go na ręce. A poza tym, gdybyśmy mieli biec, to lepiej od razu się poddać. Nie przebiegłbym chyba więcej niż pięćdziesiąt kroków, a ty?

Marya pokiwała ponuro głową.

Wypili kolejno po parę łyków z bukłaka. Simon masował kostki i przeguby Binabika, starając się, by krew napłynęła do chłodnych kończyn trolla. Binabik oddychał teraz głębiej, lecz Simon nie potrafił powiedzieć, czy oznaczało to stałą poprawę. Przy każdym oddechu na ustach trolla pojawiała się krwawa bańka, a kiedy Simon uniósł jego powieki, naśladując Doktora, który podobnie postępował kiedyś, gdy zasłabła jedna z pokojówek, wydało mu się, że białka trolla są szare.

Marya zajrzała do torby, by wyjąć coś do jedzenia, a Simon spróbował unieść łapę Qantaqi, chcąc sprawdzić, dlaczego kuleje. Wilczyca wyszczerzyła zęby i warknęła dość jednoznacznie. Kiedy nie przerwał badania, kłapnęła paszczą; zęby uderzyły o siebie tuż obok palców chłopca.

Simon przez cały czas traktował ją, jakby była jednym z ogarów Tobasa, zapominając, że jednak jest *wilkiem*. Wdzięczny był, że tak łagodnie go potraktowała. Zostawił ją, pozwalając lizać swobodnie obolałe łapy.

Zapadał wieczór; na ciemnym niebie pojawiły się światła gwiazd. Simon żuł kawałek twardego herbatnika, który znalazła dla niego Marya, marząc o jabłku czy odrobinie soku, kiedy nagle pośród muzyki świerszczy rozległ się jakiś inny odgłos. Simon i Marya spojrzeli na siebie, a potem na Qantaqę, szukając potwierdzenia, którego właściwie nie potrzebowali. Wilczyca nastawiła uszy i popatrzyła czujnie.

Nie mieli wątpliwości, co za zwierzęta ujadały w oddali. Zbyt dobrze znali odgłosy sfory psów gończych na tropie.

– Co mamy...? – zaczęła Marya, lecz Simon pokiwał głową.

Zrezygnowany uderzył pięścią w pień drzewa i patrzył obojętnie na krew płynącą po palcach. Za parę minut będzie zupełnie ciemno.

– Nic nie możemy zrobić – wycedził. – Jeśli pobiegniemy, dostarczymy im kolejnych tropów. – Miał ochotę tłuc na oślep, rozbić coś. Głupia, głupia, głupia cała ta cholerna przygoda! I jaki koniec?

Kiedy tak rozmyślał, Marya zbliżyła się do niego i podniósłszy jego rękę, położyła ją na swym ramieniu.

– Jest mi zimno – powiedziała tylko.

Oparł swoją głowę o jej głowę i słuchał szczekania, czując, jak łzy niemocy i strachu napływają mu do oczu. Po chwili wydało mu się, że ponad ujadanie wybijają się czasem ludzkie głosy. Gdyby tak miał miecz? Wprawdzie nie miał doświadczenia w walce, lecz przynajmniej zadałby im trochę bólu, zanim ich pochwycą.

Uniósł delikatnie głowę Maryi. O ile pamiętał, skórzana torba Binabika znajdowała się na dnie tobołka. Przysunął go i zaczął szukać po omacku w zapadającym zmroku.

– Co robisz? – spytała szeptem Marya.

Simon znalazł wreszcie to, czego szukał, i zamknął mocno w dłoni. Niektóre odgłosy dobiegały teraz ze wzgórza na północ od nich; słychać je było na ich wysokości. Pułapka zamykała się powoli.

– Trzymaj Qantaqę. – Wstał i podkradł się do zarośli, w których wyszukał solidną, złamaną gałąź, dłuższą nieco od jego ramienia. Przyniósł gałąź, wysypał na nią proszek z torebki trolla, po czym odłożył ją ostrożnie. – Robię pochodnię – wyjaśnił, wyjmując krzesiwo Binabika.

– Ale jej światło naprowadzi ich na nas! – odezwała się Marya zdziwiona.

– Zapalę ją dopiero w ostateczności – powiedział. – Przynajmniej będziemy mogli czymś walczyć.

Choć twarz dziewczyny pozostawała w cieniu, Simon czuł, że patrzy na niego. Doskonale zdawała sobie sprawę, że to beznadziejna walka. Wierzył jednak mocno, że ona zrozumie, dlaczego ją podejmuje.

Wściekłe ujadanie było bardzo blisko. Simon słyszał już odgłos łamanych krzewów i okrzyki myśliwych. Trzask gałęzi stawał się coraz głośniejszy; słychać go było tuż nad ich głowami i szybko się zbliżał. Simon pomyślał, że jak na psy odgłosy są zbyt donośne. Z bijącym sercem potarł krzesiwo o kamień. Pewnie jeździec na koniu. Iskra zatliła się na prochu, lecz zgasła. Łamane krzewy trzeszczały, jakby po zboczu zjeżdżał wóz.

„Zapal się, do licha, zapal się!”

Coś zatrzeszczało w krzakach tuż nad ich kryjówką. Marya ścisnęła jego ramię tak mocno, że poczuł ból.

– Simonie! – krzyknęła, i wtedy proszek zapalił się; na końcu gałęzi wystrzelił drżący, pomarańczowy płomyk. Simon wyskoczył z kryjówki,

machając wyciągniętą przed siebie gałęzią – ogień drżał na jej końcu. Qantaqa, wyjąc, wyrwała się z uścisku dziewczyny.

„Zjawa!” – tylko tyle pomyślał Simon, kiedy uniósł pochodnię. Jej światło padło na coś, co stało przed nimi wyprostowane.

Był to olbrzym.

Przez krótką, straszliwą chwilę Simon starał się zrozumieć to, co zobaczył – olbrzym stał nad nim, kołysząc się w blasku pochodni. Początkowo wydało mu się, że jest to niedźwiedź, gdyż stworzenie pokryte było całe jasnym, kudłatym futrem. Lecz zaraz zorientował się, że jak na niedźwiedzia jego nogi były za długie, a pokryte czarną skórą ramiona i dłonie zbyt przypominały ludzkie. Stwór zgiął się nieco w pasie i jego głowa znalazła się o jakieś trzy łokcie ponad głową Simona; z podobnej do ludzkiej twarzy patrzyły na niego zmrużone oczy.

Zewsząd dobiegało ujadanie psów, które brzmiało jak śpiew okropnych demonów. Bestia zamachnęła się uzbrojonym w pazury ramieniem i kalecząc bark Simona, sprawiła, że zatoczył się do tyłu i potknął, upuszczając prawie pochodnię. Blask gwałtownie poruszonej pochodni oświetlił na moment twarz Maryi; patrzyła przed siebie przerażonym wzrokiem i ciągnęła bezwładne ramię Simona, by odciągnąć go do tyłu. Olbrzym otworzył paszczę i... zagrzmiał – tylko tak można było określić dudniący odgłos, jaki wydał – a potem zaatakował ponownie. Simon odskoczył, zawadził o coś stopą i runął do tyłu. Zanim jednak grzmiąca bestia ruszyła na niego, z jej piersi wydobył się przeraźliwy ryk bólu. W następnym momencie runęła do przodu, osuwając się na ziemię. To Qantaqa chwyciła ją poniżej kudłatego kolana. Wilczyca odskoczyła i ponownie zbliżyła się do nogi potwora. Bestia, warcząc, zamierzyła się łapą, lecz nie trafiła. Następnym razem jej szeroka łapa dosięgła Qantaqi; wilczyca wyleciała jak z procy i opadła w zarośla.

Bestia zwróciła się do Simona. Ten uniósł bezradnie pochodnię, której migocące światło odbijało się w czarnych, lśniących oczach napastnika, gdy nagle z zarośli wypadły jakieś postaci; było ich mnóstwo i wyły jak wiatr w tysiącu najwyższych wież. Psy kotłowały się wokół olbrzyma niczym wzburzony ocean. Skakały i gryzły ryczącą straszliwie bestię. Kiedy poruszyła ramionami, wokół zaroiło się od martwych ciał psów. Jeden z nich przewrócił Simona, wytrącając mu z dłoni pochodnię, lecz na miejsce każdego zabitego natychmiast pojawiało się pięć nowych.

Simonowi kręciło się w głowie od tych okropnych obrazów. Zaczął pełzać w kierunku pochodni, gdy nagle zrobiło się jasno. Bestia rzucała się na małej polance, rycząc przeraźliwie, a wokół niej pojawili się ludzie – piesi i jeźdźcy. Ciemna postać przeskoczyła nad Simonem i ponownie wytrąciła mu pochodnię.

Koń zatrzymał się tuż za nim; w strzemionach stał jeździec z lśniącą w blasku pochodni włócznią. W następnej chwili włócznia przypominała już ogromny, czarny gwóźdź wystający z piersi olbrzyma, który wydał ostatni, przerażający ryk i osunął się na ziemię, przykryty sforą ujadających psów.

Jeździec zsiadł z konia. Ludzie z pochodniami dobiegli, by odciągnąć psy. Simon ujrzał jego profil i podniósł się na jedno kolano.

– Josua! – powiedział i upadł. Ostatni widok, jaki zapamiętał, to oświetlona żółtym światłem pochodni chuda twarz księcia, otwierającego szeroko zdumione oczy.

CHWILE PRZEBUDZANIA SIĘ I CIEMNOŚCI powodowały, że czas zatrzymywał się i ruszał. Jechał na koniu przed milczącym człowiekiem, który pachniał skórą i potem. Mężczyzna obejmował go mocno wpół, kiedy wspinali się w górę Przełazu.

Końskie kopyta stukały na kamieniach, a Simon dostrzegł, że ma przed sobą zamiatający ziemię koński ogon. Wokół pełno było pochodni.

Rozglądał się za Maryą, Binabikiem, za wszystkimi... gdzie oni byli?

Później jechali jakby w tunelu; odgłos bijących serc odbijał się echem od jego kamiennych ścian. Nie, to był odgłos końskich kopyt. Tunel wydawał się nie mieć końca.

Przed nimi wyrosły olbrzymie, drewniane wrota, które osadzono w kamieniu. Otworzyły się wolno, a zza nich wylało się morze światła; u wejścia pojawiło się mnóstwo ludzi.

Następnie zjeżdżali długim zboczem. Konie szły gęsiego i Simon widział przed sobą niekończący się sznur pochodni. Wokół nich była tylko goła ziemia najeżona żelaznymi prętami.

Poniżej na ścianach widać było więcej pochodni; strażnicy patrzyli w górę, w stronę schodzących ze wzgórz ludzi. Kamienne mury były najpierw równe jeźdźcom, potem powoli wyrastały ponad ich głowy. Na ciemnym niebie widać było jasno świecące gwiazdy. Głowa zaczęła mu opadać i Simon poczuł, że znowu osuwa się w sen... a może wzlatuje w ciemne niebo – trudno było powiedzieć.

„Naglimund” – pomyślał, kiedy światło pochodni padło na jego twarz, a ludzie na murach zaczęli śpiewać i krzyczeć. Potem znowu począł oddalać się od światła i ogarnęła go ciemność niczym chmura hebanowego pyłu.

CZĘŚĆ TRZECIA

Simon Śnieżnowłosy

30. Gwoździe

KTOŚ ROZBIJAŁ DRZWI SIEKIERĄ; uderzał nią mocno, a drewno pękało z hukiem.

– Doktorze! – zawołał Simon, siadając. – Żołnierze! Przyszli żołnierze!

Po chwili dopiero zorientował się, że nie jest w komnatach Doktora. Owinięty w wilgotne od potu prześcieradła siedział na małym łóżku w małym, schludnym pokoju. Odgłosy rozłupywanego drewna nie ustawały. Chwilę później drzwi otworzyły się do środka i rąbanie stało się jeszcze głośniejsze. Zza framugi wychyliła się twarz nieznajomego mężczyzny: był blady, miał długą brodę i rzadkie, rude włosy, które w słońcu lśniły równie mocno jak czupryna Simona. Jedno oko było niebieskie, drugie zakrywała czarna opaska.

– Ach! – odezwał się obcy. – Obudziłeś się już. To dobrze.

Sądząc z akcentu, był Erkynlandczykiem, choć w jego mowie dało się zauważyć domieszkę północnego dialektu. Zamknął za sobą drzwi, wyciszając w dużej mierze dopływające z zewnątrz hałasy. Ubrany był w szary habit, który wisiał luźno na jego chudym ciele.

– Jestem ojciec Strangyeard – mówiąc to, usiadł obok łóżka na krześle z wysokim oparciem, które, nie licząc łóżka i niskiego biurka zarzuconego pergaminem i licznymi drobiazgami, było jedynym meblem w pokoju. Usiadłszy wygodnie, mężczyzna pochylił się do przodu i poklepał dłoń Simona.

– I jak się czujesz? Mam nadzieję, że lepiej.

– Tak... chyba tak. – Simon rozejrzał się po pokoju. – Gdzie ja jestem?

– W Naglimundzie, ale przecież wiedziałeś o tym. – Ojciec Strangyeard uśmiechnął się. – Mówiąc dokładniej, w moim pokoju, a nawet w moim łóżku. Nie jest tu może zbyt wygodnie, ale, ach! Co ja wygaduję! Przecież ty przedtem spałeś w lesie, czyż nie? – Duchowny uśmiechnął się nieśmiało. – Nawet taki pokój musi być lepszy od lasu, co?

Simon opuścił stopy na zimną podłogę; z ulgą stwierdził, że ma na sobie spodnie, lecz zmieszał się nieco, widząc, że nie należą do niego. – Gdzie są moi przyjaciele? – Nagle przyszła mu do głowy okropna myśl. – Binabik... Czy on nie żyje?

Strangyeard wydął usta, jakby Simon wymówił jakieś małe bluźnierstwo.

– Nie żyje? Na Usiresa, nie, choć nie czuje się dobrze... nie czuje.

– Czy mogę go zobaczyć? – Simon zsunął się na podłogę, by poszukać swych butów. – Gdzie on jest? A co z Maryą?

– Marya? – Duchowny patrzył zdziwiony na Simona, który pełzł po podłodze na czworakach. – Ach! Twoja towarzyszka czuje się dobrze. Z pewnością z nią także się spotkasz.

Buty były pod biurkiem. Kiedy Simon wciągnął je na nogi, ojciec Strangyeard sięgnął za siebie i zdjął z oparcia krzesła czystą, białą koszulę.

– Proszę – powiedział. – Oho, ale się śpieszysz. Wolisz najpierw zobaczyć się z przyjaciółmi czy coś zjeść?

Simon zdążył już zawiązać z przodu koszulę.

– Najpierw Binabik i Marya, potem jedzenie – mruknął. Po chwili namysłu dodał: – No i Qantaqa.

– Wprawdzie ciężkie mamy czasy – odezwał się duchowny z wyrzutem – ale nie jadamy wilków w Naglimundzie. Wnioskuję, że zaliczasz ją do

grona przyjaciół, których chcesz zobaczyć.

Simon spojrzał na niego i dopiero wtedy zorientował się, że tamten żartuje.

– Tak – potwierdził, czując, że ogarnia go wstyd – do grona przyjaciół.

– Chodźmy więc – powiedział duchowny, wstając. – Polecono mi dopilnować, aby niczego ci nie brakło, więc im szybciej cię nakarmię, tym większe będę miał poczucie spełnionego obowiązku. – Otworzył drzwi, pozwalając, by do pokoju wdarło się słońce i liczne hałasy.

Simon zamrugał oślepiony; spoglądając w górę, zobaczył wysokie mury twierdzy, a poza nimi rozległe pasmo brunatnoczerwonych wzgórz Wealdhelm, na których tle ubrani na szaro strażnicy wyglądali jak karły. Na środku dziedzińca znajdowało się kilka kanciastych, kamiennych budynków, które w niczym nie przypominały piękna i stylu budynków Hayholt. Przywodziły raczej na myśl osmalone dymem kostki piaskowca. Małe okna oraz ciężkie drzwi wydawały się zbudowane tylko po to, by utrudnić dostanie się do ich wnętrz.

Nieopodal, na środku ruchliwego dziedzińca, grupa rozebranych do pasa mężczyzn rąbała kłody drewna, układając porąbane szczapy w wysoki stos.

– A więc to oni rąbali – powiedział Simon, obserwując, jak lśniące w słońcu siekiery wznoszą się i opadają. – Co oni robią?

Ojciec Strangyeard odwrócił się i popatrzył w stronę rąbiących.

– Ach, budują stos. Spalą Hunea, tego olbrzyma.

– Olbrzyma? – Dopiero teraz Simon przypomniał sobie warczącą, pokrytą grubą skórą twarz i niesamowicie długie ramiona, które próbowały go dosięgnąć.

– To on nie został zabity?

– Ależ nie, jest zabity. – Strangyeard ruszył w stronę głównych budynków. Simon jeszcze raz spojrzał na rosnący stos drewna i poszedł za nim. – Widzisz, Simonie, niektórzy ludzie Josui chcieli urządzić widowisko; rozumiesz, chcieli odciąć mu głowę i zawiesić ją nad bramą. Lecz książę się nie zgodził. Powiedział, że wprawdzie jest to zła istota, ale nie jest zwierzęciem. One noszą nawet jakieś ubrania, wiedziałeś o tym? Mają też pałki i maczugi. Josua powiedział, że nie będzie dla zabawy wywieszał głowy żadnego ze swoich wrogów. Kazał go spalić. – Strangyeard pociągnął się za ucho. – Więc go spalą.

– Dzisiaj? – Simon musiał mocno wyciągać nogi, aby zdążyć za duchownym.

– Gdy tylko będzie gotowy stos. Książę Josua chce z tym skończyć jak najszybciej. On sam pewnie zakopałby go gdzieś na wzgórzach, ale ludzie chcą mieć pewność, że olbrzym nie żyje. – Ojciec Strangyeard szybko zrobił na piersi znak Drzewa. – Widzisz, to już trzeci, jaki przyszedł do nas z Północy. Jeden z tamtych zabił brata biskupa. To nie jest normalne.

BINABIK ZNAJDOWAŁ SIĘ w małym pokoju w pobliżu kaplicy, która stała w centrum dziedzińca głównych budynków twierdzy. Był bardzo blady i wydawał się mniejszy niż przedtem, jakby stracił część ciała. Mimo to uśmiechał się pogodnie.

– Simonie, przyjacielu – powiedział, siadając w łóżku. Jego mała, brązowa klatka piersiowa aż po kości obojczyków owinięta była bandażami.

Simon z trudem się opanował, by nie unieść trolla do góry i nie uściskać mocno, lecz przypomniał sobie o ranach Binabika. Usiadł więc na skraju łóżka i ścisnął mocno jego ciepłą dłoń.

– Myślałem, że cię straciliśmy – powiedział, czując, że słowa przychodzą mu z trudem.

– Ja też tak pomyślałem, kiedy ugodziła mnie strzała – odparł troll i pokiwał smutno głową. – Lecz najwidoczniej strzała nie naruszyła żadnego z ważniejszych organów. Miałem dobrą opiekę i gdyby nie ból przy poruszaniu, byłbym jak nowo narodzony. Po tych słowach zwrócił się do duchownego. – Spacerowałem dzisiaj po dziedzińcu.

– To dobrze, bardzo dobrze. – Ojciec Strangyeard uśmiechał się zamyślony, szarpiąc tasiemkę, która przytrzymywała opaskę na oku. – No cóż. Pójdę już. Z pewnością macie sobie wiele do powiedzenia. – Zaczął przesuwać się bokiem w stronę drzwi.

– Simonie, zostań w moim pokoju tak długo, jak uznasz to za konieczne. Ja zamieszkam na razie z bratem Eglafem w jego pokoju. Poczciwiec przyjął mnie do siebie, choć muszę przyznać, że strasznie hałasuje w czasie snu.

Simon podziękował za gościnę. Życząc jeszcze raz Binabikowi szybkiego powrotu do zdrowia, duchowny wyszedł.

– Simonie, to bardzo dobry człowiek – odezwał się Binabik, kiedy kroki Strangyearda ucichły w końcu korytarza. – Zajmuje się archiwum zamku. Miło mi się z nim rozmawiało.

– Jest trochę dziwny, nie sądzisz? Jakby... roztargniony?

Binabik roześmiał się, potem mrugnął i zakasłał. Simon pochylił się ku niemu, lecz troll machnął dłonią, dając do zrozumienia, że wszystko w porządku.

– Za chwilę przejdzie – powiedział. Odzyskawszy oddech, mówił dalej. – Widzisz, Simonie, ludzie, których umysły wciąż pełne są myśli, zapominają czasem, by mówić i zachowywać się jak pozostali.

Simon skinął głową i rozejrzał się po pokoju. Przypominał pomieszczenie Strangyearda: był mały, skąpo umeblowany i pomalowany na biało. Na biurku jednak, zamiast książek i pergaminów, leżała tylko Księga Aedona; podobna do długiego języka wstążka zaznaczała miejsce, w którym przerwano czytanie.

– Czy wiesz, gdzie jest Marya? – zapytał.

– Nie. – Binabik wydawał się bardzo poważny. Simon zastanawiał się, co było tego przyczyną. – Sądzę, że przekazała swoją wiadomość Josui i może odesłał ją z odpowiedzią tam, gdzie przebywa obecnie księżniczka.

– Nie! – Simon nie chciał dopuścić takiej myśli. – Czy to możliwe, żeby stało się to tak szybko?

– Tak szybko? – Binabik uśmiechnął się. – Mamy teraz ranek drugiego dnia naszego pobytu w Naglimundzie.

Simon spojrzał na niego zdziwiony.

– Jak to? Przecież dopiero co się obudziłem!

Binabik pokiwał głową, zsuwając się do pozycji leżącej.

– Niezupełnie. Przespałeś prawie cały wczorajszy dzień. Budziłeś się tylko po to, by napić się wody, po czym znowu zasypiałeś. Myślę, że osłabił cię ostatni etap naszej podróży, kiedy miałeś gorączkę.

– Na Usiresa! – Simon czuł się zdradzony przez własne ciało. – Więc odesłali Maryę?

Binabik wysunął spod prześcieradła dłoń i poklepał go uspokajająco.

– Tego nie wiem. Możemy tylko się domyślać. Ale równie dobrze może jeszcze tu być, może gdzieś w pomieszczeniach służby, z kobietami. Mówiła przecież, że jest służącą.

Simon patrzył na trolla rozgorączkowanym wzrokiem. Binabik cofnął delikatnie swą dłoń, którą Simon wypuścił.

– Simon, przyjacielu, bądź cierpliwy. Wykazałeś ogromną odwagę, docierając aż tutaj. Kto wie, co jeszcze może się wydarzyć?

– Tak... chyba masz rację. – Simon westchnął głęboko.

– Uratowałeś mi życie – powiedział dobitnie Binabik.

– Czy to ważne? – Simon poklepał dłoń trolla zamyślony i wstał. – Ty ratowałeś moje, i to nie raz. Przyjaciele pozostają przyjaciółmi.

Binabik uśmiechnął się, lecz na jego twarzy widać było zmęczenie.

– Przyjaciele pozostają przyjaciółmi – powtórzył. – Skoro już o tym mówimy, muszę się znowu przespać. Czekają nas nowe zadania. Czy możesz sprawdzić, co się dzieje z Qantaqą i jak ją traktują? Strangyeard miał ją do mnie przyprowadzić, ale wymknęło się to pewnie z jego zaabsorbowanego umysłu jak piórko z... – zawahał się na chwilę – poduszki – dokończył, poklepując swoją.

– Oczywiście – powiedział Simon i otworzył drzwi. – Czy wiesz, gdzie ją trzymają?

– Strangyeard powiedział, że... w stajni – odparł Binabik, ziewając szeroko.

Simon wyszedł.

Znalazłszy się na dziedzińcu, stanął, by popatrzeć na mijających go dworzan, służących i kleryków, z których żaden nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi, i wtedy doznał jakby podwójnego olśnienia.

Po pierwsze, nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie są stajnie. Po drugie, stwierdził, że jest straszliwie głodny. Wprawdzie ojciec Strangyeard wspominał coś o obowiązku zadbania o jego potrzeby, lecz zniknął gdzieś. Rzeczywiście roztargniony z niego staruszek.

Nagle Simon dostrzegł znajomą twarz w drugim końcu dziedzińca. Uszedł już kilkanaście kroków, zanim przypomniał sobie imię rozpoznanej osoby.

– Sangfugol! – zawołał.

Harfiarz zatrzymał się, rozglądając. Dostrzegł biegnącego w jego stronę Simona i osłonił dłonią oczy; jego spojrzenie mówiło, że nie poznaje młodzieńca, który się przed nim zatrzymał.

– O co chodzi? – zapytał. Miał na sobie bogato zdobiony, lawendowy kubrak, a na głowie czapkę w podobnym kolorze, przystrojoną piórami, spod której wymykały się wdzięcznie kosmyki ciemnych włosów. Nawet w czystym ubraniu Simon poczuł się nędznie, stojąc u boku uśmiechającego się uprzejmie muzyka. – Masz mi coś do przekazania?

– Jestem Simon. Pewnie nie pamiętasz... spotkaliśmy się w czasie uczty po pogrzebie w Hayholt.

Sangfugol przyjrzał mu się uważnie, zmarszczył brwi, a potem na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Simon! Oczywiście! Ten rozmowny chłopak, który roznosił wino. Ach, przepraszam. Zupełnie cię nie poznałem. Bardzo urosłeś od tamtego czasu.

– Naprawdę?

Harfiarz uśmiechnął się szeroko.

– Pewnie! I nie miałeś tej szczeciny na brodzie, kiedy ostatnio cię widziałem – mówiąc to, wyciągnął dłoń i przejechał nią po brodzie Simona. – A przynajmniej nie pamiętam, abyś ją miał.

– Szczeciny? – Simon zdziwiony potarł dłonią o swój policzek. *Rzeczywiście*, policzek był zarośnięty, tyle tylko, że włosy były miękkie, jak te na ramionach.

Sangfugol wydął lekko usta i roześmiał się.

– Skąd miałeś wiedzieć? Kiedy mnie wyrosła pierwsza broda, nie odchodziłem od lustra mojej matki, żeby zobaczyć, jak rośnie. – Przyłożył

dłoń do swej gładko ogolonej szczęki. – Teraz każdego ranka przeklinam, goląc się; muszę mieć gładką twarz dla dam.

Simon poczuł, że się rumieni. Pomyślał, że musi wydawać się strasznym prostakiem.

– Od jakiegoś czasu nie miałem możliwości przejrzenia się w lusterku.

– Hmm. – Sangfugol lustrował go wzrokiem z góry na dół. – Urosłeś też, jeśli mnie pamięć nie myli. Co cię sprowadza do Naglimundu? Choć chyba po części wiem. Wielu przybyło tutaj, uciekając z Hayholt, że nie wspomnę o samym księciu Josui.

– Tak – powiedział Simon. Czuł, że musi powiedzieć coś, co zrówna go choć trochę z tym wystrojonym młodzieńcem. – Pomogłem mu uciec.

Harfiarz uniósł brwi zdziwiony.

– Naprawdę? Brzmi to interesująco. Jadłeś już coś? A może wolisz trochę wina? Wiem, że jest wcześnie, ale, szczerze mówiąc, jeszcze nie zdążyłem się położyć.

– Wspaniale byłoby coś zjeść – powiedział Simon – ale przedtem muszę coś zrobić. – Czy możesz mi pokazać, gdzie są stajnie?

Sangfugol uśmiechnął się.

– A ty co, bohaterze? Czy chcesz wyruszyć konno do Erchesteru po głowę Pryratesa? – Simon zarumienił się ponownie, lecz tym razem już bez większego zadowolenia. – Chodź – powiedział harfiarz – najpierw do stajni, a potem jedzenie.

POCHYLONY MĘŻCZYZNA o ponurej twarzy, który przerzucał widłami siano, spojrzał podejrzliwie na Simona, kiedy ten spytał o Qantaqę.

– A czego chcesz od niego? – zapytał mężczyzna, kiwając głową. – Mściwa bestia. Po co było go tu przyprowadzać? Ja bym tego nie robił,

tylko że książę kazał. Tak, bestia z niego, mało mi ręki nie odgryzł.

– Powinieneś się więc cieszyć – powiedział Simon – że się jej pozbędziesz. Zaprowadź mnie do niej.

– Mówię ci, to istny diabeł – powiedział mężczyzna. Ruszył, kulejąc, a oni poszli za nim przez ciemną stajnię do tylnych drzwi, którymi wyszli na mały, otoczony murem dziedziniec.

– Czasem przyprowadzają tu krowy na rzeź – powiedział mężczyzna i wskazał na kwadratowy dół. – Nie wiem, dlaczego książę przyprowadził tego wilka żywego; tyle kłopotu dla biednego, starego Lucumana. Powinien go nadziać na włócznię, tak jak to zrobił z olbrzymem.

Simon popatrzył na niego z odrazą, a potem podszedł do dołu. Na jego krawędzi wbity był w ziemię kołek. Do niego przywiązano linę, która opadała do wnętrza dołu. Drugi koniec liny zawiązano wokół szyi wilczycy. Qantaqa leżała na boku w błocie. Simon otworzył szerzej oczy, przerażony.

– Coś ty jej zrobił?! – wykrzyknął, zwracając się do stajennego.

W tej chwili zbliżył się Sangfugol, który szedł przez błotnisty plac bardzo ostrożnie.

Starzec zaczynał się najwyraźniej irytować.

– Nic nie zrobiłem – rzucił opryskliwie. – Istny diabeł. Wył jak wściekły. Chciał mnie też ugryźć.

– Ja bym zrobił to samo – warknął Simon. – I może zrobię. Wyciągnij ją stamtąd.

– Jak? – spytał stajenny zaniepokojony. – Mam wyciągnąć go na linie? Za duży, nie dam rady.

– To *ona*, idioto. – Simon był wściekły, widząc wilczycę, jego towarzyszkę, leżącą w ciemnym, błotnistym dole. Pochylił się nad dołem. – Qantaqa! – zawołał. – Ha, Qantaqa! – Jej uszy drgnęły, jakby oganiała się od muchy, lecz nie otworzyła oczu. Simon rozejrzał się wokoło, aż zobaczył

to, czego szukał: był to pieniek do rąbania – gruby, jak pierś mężczyzny, pień pokryty licznymi nacięciami. Stajenny i harfiarz patrzyli zdumieńi, jak Simon ciągnie pień w stronę dołu.

– Uważaj! – krzyknął do wilczycy i zepchnął pień do dołu; upadł w błoto z plaśnięciem tuż obok tylnych łap Qantaqi. Uniosła na chwilę głowę i zaraz znowu ją opuściła.

Simon ponownie pochylił się nad dołem, próbując nakłonić wilczycę do powstania, lecz ta nie reagowała.

– Na litość boską, uważaj! – odezwał się Sangfugol.

– Ma szczęście, że ta bestia odpoczywa teraz – powiedział starzec z powagą, żując paznokieć kciuka. – Trzeba było słyszeć, jak wyła wcześniej.

W tym momencie Simon spuścił nogi do dołu i zsunął się na błotniste i śliskie dno.

– Co ty wyprawiasz? – krzyknął Sangfugol. – Zwariowałeś?

Simon przykucnął obok wilczycy i powoli wyciągnął dłoń w jej stronę. Zawarczała, lecz on nie cofał dłoni. Zbliżyła ubłocony nos do jego palców i powąchała je; po chwili wysunęła wolno swój długi język i polizała wierzch dłoni chłopca. Simon podrapał ją za uszami, a potem obmacał, szukając ran lub złamanych kości. Nie znalazł żadnych obrażeń. Odwrócił się i ustawił pień pionowo pod ścianą; jego dolny koniec wbił mocno w dno dołu. Wróciwszy do Qantaqi, objął jej tułów i uniósł, zmuszając do wstania.

– Zwariował chyba, nie? – szepnął stajenny z ponurą twarzą do Sangfugola.

– Zamknij się – warknął Simon, spoglądając na swe ubłocone buty i ubranie, niedawno jeszcze tak czyste. – Chwyć linę i ciągnij, kiedy ci powiem. Sangfugol, utnij mu głowę, jeśli będzie się ociągał.

– No, no – mruknął starzec z wyrzutem, lecz chwycił linę.

Harfiarz stanął za nim gotowy do pomocy. Simon zmusił Qantaqę, aby podeszła do pieńka i stanęła na nim przednimi łapami. Następnie podstawił bark pod jej tylne łapy.

– Gotowy? Teraz, ciągnij!

Lina napięła się. Początkowo Qantaqa opierała się, przygniatając swym ciężarem Simona, któremu trudno było utrzymać równowagę na błotnistym podłożu. W pewnym momencie czuł już, że potężna wilczyca wgniecie go w dno, ale wtedy Qantaqa zrezygnowała z oporu i pozwoliła się podciągnąć do góry. Simon pośliznął się, lecz z zadowoleniem zobaczył, jak wilczyca drapie mocno pazurami po ścianie dołu i skrabie się do góry. Tam rozległy się okrzyki zdziwienia i konsternacji, kiedy głowa zwierzęcia ukazała się nad krawędzią.

Simon sam wspiął się na pniak i wyszedł z dołu. Zobaczył stajennego, który cofał się przestraszony przed wilczycą; Qantaqa patrzyła na niego z wyrzutem swymi ogromnymi, żółtymi oczami. Sangfugol, który także wyglądał na nieźle przestraszonego, odsuwał się ostrożnie na siedzeniu, nie zważając już teraz na swe ubranie.

Simon roześmiał się i pomógł harfiarzowi wstać.

– Chodź ze mną – powiedział. – Zaprowadzimy Qantaqę do jej przyjaciela i pana, którego powinieneś poznać. A potem może coś zjemy?

Sangfugol skinął głową powoli.

– Teraz, kiedy już poznałem Simona, Przyjaciela Wilków, łatwiej będzie mi uwierzyć w pozostałe fakty. Tak, chodźmy już.

Qantaqa jeszcze raz trąciła nosem leżącego plackiem stajennego, który jęknął przestraszony. Simon odwiązał linę z kołka i poszli przez stajnię, zostawiając za sobą ślady czterech par mokrych stóp.

KIEDY BINABIK I QANTAQA żywiołowo wyrażali swą radość ze spotkania – tonowaną nieco przez Simona, który chciał ochronić wciąż jeszcze słabego trolla przed uradowaną wilczycą – Sangfugol wymknął się do kuchni. Wrócił niebawem z dzbanem piwa, sporym kawałem baraniny, serem i zawiniętym w płótno chlebem. Simon ze zdziwieniem zauważył, że harfiarz wciąż ma na sobie to samo zabłocone ubranie.

– Południowy mur, na który pójdziemy, jest dość brudny – wyjaśnił Sangfugol. – Nie będę szargał jeszcze jednego kubraka.

Poszli w stronę głównej bramy twierdzy, a potem stromymi schodami na mur. Simon zwrócił uwagę, jak wielu ludzi kręciło się na dziedzińcu pełnym namiotów i przybudówek.

– Większość z nich to uciekinierzy – wyjaśnił Sangfugol. – Przeważnie z Frostmarch albo z doliny rzeki Greenwade. Niektórzy także z Utanyeat, dla których ręka hrabiego Guthwulfa okazała się trochę za ciężka, ale przede wszystkim to ci, których zmusili do przybycia tutaj bandyci lub zła pogoda albo jeszcze coś innego, jak Huneny. – Mówiąc to, wskazał ręką na stos, który właśnie mijali. Drwale już odeszli i ogromny stos drewna tchnął milczeniem i powagą, niczym zburzony kościół.

Znalazłszy się na szczycie muru, usiedli na surowym kamieniu, z którego go zbudowano. Słońce stało wysoko na niebie i strzelało promieniami zza kilku chmur, jakie jeszcze na nim pozostały. Simon zaczął żałować, że nie ma kapelusza.

– Albo ty, albo ktoś inny przyniósł ze sobą dobrą pogodę. – Sangfugol rozpiął swój kubrak. – To najdziwniejszy miesiąc Maia, jaki pamiętam; zamiecie śnieżne we Frostmarch, zimne deszcze w Utanyeat... grad nawet! – Zaczął rozwijać jedzenie, gdy tymczasem Simon rozglądał się dookoła. Naglimund rozciągał się poniżej, niczym rozłożony koc, choć byli zaledwie na murach twierdzy wewnętrznej.

Zamek zbudowano w zagłębieniu między stromymi zboczami wzgórz Wealdhelm, wskutek czego wyglądał jak przedmiot trzymany w odwróconej do góry dłoni. Poniżej zachodnich blanków widać było szeroki mur zewnętrzny, a za nim kręte ulice Naglimundu, które schodziły w dół ku zewnętrznej ścianie miasta. Dalej ciągnęły się rozległe, kamieniste pastwiska i niskie wzgórza.

Po przeciwnej stronie, między wschodnimi blankami a ciemnofioletową ścianą wzgórz Wealdhelm, ciągnął się schodzący z góry długi i kręty szlak. Po jego obu stronach lśniło w słońcu mnóstwo ciemnych punktów.

– Co to jest? – spytał Simon i wskazał na szlak.

Sangfugol zmrużył oczy, żując jedzenie.

– Chodzi ci o gwoździe?

– Jakie gwoździe? Mówię o tych długich dzidach na zboczu.

Harfiarz skinął głową.

– Gwoździe. A jak myślisz, co znaczy nazwa Naglimund? Wy, ludzie z Hayholt, nie pamiętacie własnego języka. „Twierdza gwoździ” – oto, co znaczy ta nazwa. Nazwał ją tak książę Aeswides, kiedy zbudował Naglimund.

– Kiedy to było? I do czego służą? – Simon patrzył przed siebie, pozwalając, by wiatr porwał okruchy z jego chleba i poniósł je nad zewnętrznym murem.

– Jeszcze zanim Rimmersmeni przybyli na południe, tyle tylko wiem – odpowiedział Sangfugol. – Lecz stal na wszystkie pręty otrzymał z Rimmersgardu. Zrobili je Dverningowie – dodał z naciskiem, lecz Simonowi nic to nie mówiło.

– Ale po co? Przypominają żelazny ogród.

– Żeby obronić się przed Sithami – oświadczył Sangfugol. – Aeswides strasznie się ich bał, gdyż w rzeczywistości ziemie te należały do nich.

Jedno z ich wielkich miast – zapomniałem, jak się nazywa – było po drugiej stronie wzgórz.

– Da’ai Chikiza – powiedział cicho Simon, wpatrując się w gąszcz metalowych prętów.

– Zgadza się – przytaknął harfiarz. – Podobno Sithowie nie znoszą żelaza. Wywołuje u nich chorobę, a nawet ich zabija. Dlatego Aeswides otoczył swój zamek tymi stalowymi „gwoździami”. Kiedyś było ich o wiele więcej, znajdowały się wokół całego podejścia do twierdzy, ale kiedy Sithowie odeszli, zaczęły przeszkadzać; trudno było przejeżdżać wozami na targ. Tak więc, kiedy Król John przekazał Naglimund Josui – aby trzymać z daleka od siebie braci, jak sądzę – mój pan kazał powyrywać wszystkie z wyjątkiem tych na zboczach. Myślę, że go bawią. Książę lubi starocie.

Popijali na przemian z dzbana, a Simon przedstawił okrojoną nieco wersję przygód, jakie przeżył od ich ostatniego spotkania. Opuścił te fragmenty, których sam nie potrafił wyjaśnić, a o które, jak sądził, pytałby Sangfugol. Opowieść Simona najwyraźniej zrobiła na harfiarzu wrażenie, a szczególnie część o uratowaniu Josui i śmierci Morgenesa.

– Ach, ten łajdak Elias – odezwał się wreszcie, a Simon ze zdziwieniem zobaczył, że Sangfugol jest mocno rozgniewany. – Król John powinien był udusić tego potwora zaraz po urodzeniu albo przynajmniej mianować go dowódcą armii i pozwolić mu łupić Thrithingów – cokolwiek, byleby nie pozwolić mu zasiąść na Smoczym Tronie i nękać nas wszystkich!

– Ale on już na nim jest – powiedział Simon, żując. – Czy myślisz, że zaatakuje Naglimund?

– Jedynie Bóg i diabeł to wiedzą – uśmiechnął się ponuro Sangfugol – a diabeł wie, gdzie działać. Być może Elias nie dowiedział się jeszcze, że Josua jest tutaj, lecz z pewnością dotrze do niego ta wieść. Ta twierdza jest trudna do zdobycia. Za to należy podziękować świętej pamięci

Aeswidesowi. Jednak bez względu na to, czy trudna do zdobycia, czy nie, nie sądzę, aby Elias przyglądał się bezczynnie, jak Josua umacnia się tutaj, na Północy.

– Myślałem, że książę Josua nie chce być Królem – powiedział Simon.

– Nie chce. Ale Elias tego nie rozumie. Ambitni ludzie nigdy nie wierzą, że inni nie są tacy jak oni. A poza tym Pryrates, ta żmija, wciąż podszeptuje mu swe zdradliwe rady.

– Ale czy Josua i Król nie byli wrogami na długo przed tym, jak pojawił się Pryrates?

Sangfugol skinął głową.

– Wciąż mieli coś przeciwko sobie. Choć kiedyś kochali się i byli związani bardziej niż niejedni bracia – tak przynajmniej twierdzą starzy członkowie świty Josui. Lecz poróżnili się, a później zmarła Hylissa.

– Hylissa? – spytał Simon.

– Żona Eliasa, nabbańskiego pochodzenia. Josua wiózł ją do Eliasa, który walczył wtedy wysłany przez ojca przeciwko Thrithingom. Banda Thrithingów napadła na Josuę i jego ludzi. Josua stracił wtedy rękę w obronie Hylissy, lecz na nic się to zdało, zbyt wielu było napastników.

Simon odetchnął głęboko.

– A więc tak to się zaczęło.

– Znaczyło to koniec ich miłości... tak twierdzą ludzie.

Przez chwilę jeszcze Simon zastanawiał się nad tym, co powiedział Sangfugol, po czym wstał i się przeciągnął. Rana na żebrach przypomniała o sobie.

– Co zrobi książę Josua? – spytał.

Harfiarz podrapał się w ramię i spojrzał w dół na dziedziniec.

– Nie mam pojęcia – odparł. – Książę Josua jest ostrożny i nieskory do pochopnych działań, ale przecież nie zapraszają mnie na swoje narady. – Uśmiechnął się.

– Podobno przybywają ważni emisariusze i Josua ma zwołać w ciągu tygodnia Raed.

– Co?

– Raed. To erkynlandzki odpowiednik rady. Ludzie tutaj żyją zgodnie z tradycjami. Na wsi większość z nich używa dawnego języka. Ktoś z Hayholt, taki jak ty, potrzebowałby pewnie tłumacza.

Simon nie zainteresował się zbytnio zwyczajami miejscowych wieśniaków.

– Mówisz rada... Raed? Czy to będzie rada... wojenna?

– Obecnie każda rada w Naglimundzie ma charakter wojenny – odparł z powagą harfiarz.

SZLI WZDŁUŻ MURU.

– Dziwi mnie – powiedział Sangfugol – że po otrzymaniu tak wielkiej pomocy z twej strony mój pan nie wezwał cię jeszcze do siebie.

– Wstałem na dobre dopiero dziś rano – powiedział Simon. – A poza tym on może nawet nie wiedzieć, że to ja byłem przy zabiciu olbrzyma... w tym całym zamieszaniu...

– Pewnie masz rację – odpowiedział Sangfugol, przytrzymując mocno kapelusz, który usilnie starał się pofrunąć z wiatrem.

„Choć z drugiej strony – pomyślał – jeśli Marya przekazała mu wiadomość od księżniczki, to pewnie wspomniała o swych towarzyszach. Chyba nie jest z tych, co to mogliby o nas tak szybko zapomnieć”.

Potrafił jednak spojrzeć na sprawę realnie: która dziewczyna dopiero co uratowana z dzikich ostępów nie wolałaby towarzystwa pań z zamku zamiast chudego podkuchennego?

– Nie widziałeś pewnie tej dziewczyny, Maryi, która przybyła tutaj z nami? – zapytał.

Sangfugol potrząsnął głową.

– Codziennie przybywa tutaj mnóstwo ludzi. I to nie tylko ci, którzy uciekają z pobliskich gospodarstw czy wiosek. Wczoraj wieczorem przybyli w wielkim pośpiechu wysłannicy księcia Gwythinna z Hernystiru. Sam książę powinien przybyć dzisiaj. Od tygodnia jest już lord Ethelfeth z Tinsett z oddziałem dwustu żołnierzy. Wkrótce po nim przybył baron Ordmaer z setką Ustersalczyków. Przyjeżdżają też inni lordowie ze swymi oddziałami. Wkrótce rozpocznie się polowanie – choć jeden Aedon wie, kto na kogo będzie polował.

Dotarli do północno-wschodniej wieżyczki. Sangfugol zasalutował do młodego strażnika, który pełnił tam wartę. Odziany w szary płaszcz stał na tle masywu Wealdhelm; wzgórza wydawały się tak blisko, że wystarczyło wyciągnąć rękę, aby ich dotknąć.

– Wprawdzie Josua jest bardzo zajęty – odezwał się nagle harfiarz – lecz nie wydaje mi się słuszne, że nie wezwał cię jeszcze do siebie. Czy masz coś przeciwko temu, abym wspomniał mu o tobie? Będę dziś obecny przy kolacji.

– Pewnie, że chciałbym się z nim zobaczyć. Bardzo... bardzo się o niego bałem. Mój mistrz poświęcił się, aby Josua mógł wrócić tutaj, do swego domu.

Simon ze zdziwieniem dostrzegł we własnych słowach odrobinę goryczy. Nie chciał, by tak to zabrzmiało, niemniej jednak wiele wycierpiał,

żeby tutaj dotrzeć, i w końcu to on odnalazł Josuę związanego jak bażanta, którego wiesza się nad drzwiami chaty.

Nie uszło to uwagi Sangfugola; spojrzał na Simona z wyrazem sympatii i rozbawienia.

– Rozumiem cię. Radziłbym ci jednak nie przybierać takiego tonu w obecności księcia. To dumny i trochę trudny we współżyciu człowiek, lecz jestem pewien, że nie zapomniał o tobie. Sam wiesz, jak wiele złego ostatnio się tutaj wydarzyło; równie dużo, ile w czasie twojej podróży.

Simon uniósł głowę i popatrzył na wzgórza i drzewa, które dziwnie szeleściły poruszane wiatrem.

– Wiem – powiedział. – Będę zaszczycony, jeśli mnie przyjmie. Jeśli nie... no cóż, niech i tak będzie.

Harfiarz uśmiechnął się leniwie, przymykając oczy.

– Dobrze powiedziane. Chodźmy teraz, pokażę ci Gwoździe Naglimundu.

W ŚWIETLE DNIA BYŁ TO rzeczywiście imponujący widok. Simon miał przed sobą pole lśniących pali, które zaczynało się tuż za fosą poniżej wschodniego muru zamku i ciągnęło w górę aż do podnóża wzgórz. Powbijane rzędami pale sprawiały wrażenie, jakby pochowano tam legion włóczników i pozostawiono nad ziemią ich broń, aby pokazać, jak sumiennie wypełnili swój obowiązek. Z ogromnej dziury w zachodnim stoku wzgórza wychodził szlak, który niczym wąż wił się między rzędami pali i dochodził do masywnej bramy wschodniej.

– I ten, jak mu tam, zrobił to wszystko tylko dlatego, że bał się Sithów? – zapytał Simon wpatrzony w ten dziwny, srebrzyście lśniący, żelazny łan. – Dlaczego nie umieścił ich po prostu na szczycie murów?

– Nazywał się książę Aeswides. Przebywał tutaj jako namiestnik nabbański i pierwszy odważył się zbudować zamek na ziemi Sithów. A dlaczego nie na murach? Może obawiał się, że znajdą jakiś sposób, by przedostać się ponad jednym murem albo pod nim. A tak musieliby przedzierać się między prętami. Nie widziałeś nawet połowy z nich. Były tu wszędzie! – Sangfugol zatoczył ręką łuk.

– I co zrobili Sithowie? – zapytał Simon. – Czy próbowali atakować?

Sangfugol zmarszczył brwi.

– O ile mi wiadomo, nie. O to powinieneś zapytać raczej ojca Strangyearda. On spisuje historię tego miejsca i zajmuje się archiwum.

– Już go poznałem. – Simon uśmiechnął się.

– Interesujący dziadek, prawda? Powiedział mi kiedyś, że gdy Aeswides zbudował zamek, Sithowie nazwali go... nazwali... a niech to! Jako bard powinienem znać te stare opowieści. W każdym razie nazwa ta oznaczała mniej więcej „pułapkę, w którą wpada sam myśliwy” – niby że Aeswides sam się zamknął czy coś takiego; sam zastawił na siebie pułapkę.

– I rzeczywiście tak było? Co się z nim stało?

Sangfugol potrząsnął głową i znowu nieomal stracił swój kapelusz.

– Nie mam pojęcia. Pewnie zestarzał się i umarł tutaj. Nie sądzę, aby Sithowie specjalnie się nim przejmowali.

POTRZEBOWALI GODZINY, by obejść zamek dookoła. Dawno już skończyło im się piwo, które Sangfugol przyniósł do posiłku, lecz harfiarz przezornie zabrał ze sobą bukłak wina, nie dopuszczając tym samym do tego, by musieli wędrować spragnieni. Szli, śmiejąc się; starszy od Simona Sangfugol wyśpiewywał właśnie sprośną piosenkę o nabbańskiej szlachciance, kiedy dotarli wreszcie do głównej bramy i zeszli krętymi

schodami na dół. Wyszedłszy ze stróżówki, znaleźli się w tłumie robotników i żołnierzy, z których większość – sądząc po rozchełstanych mundurach – nie była na służbie. Wszyscy pokrzykiwali i popychali się nawzajem. W pewnym momencie Simon znalazł się między jakimś grubym mężczyzną a brodatym strażnikiem.

– Co się dzieje? – zawołał do Sangfugola, którego tłum oddzielił od niego.

– Nie wiem – odkrzyknął harfiarz. – Ale może przybył Gwythinn z Hernystiru.

Grubas zwrócił czerwoną twarz w stronę Simona.

– Nieee, nie przybył – oznajmił pogodnie. Czuć było od niego piwo i cebulę. – To olbrzym, ten, którego ubił książę. – Wskazał w stronę stosu przygotowanego na skraju dziedzińca.

– Ale nie widzę olbrzyma – powiedział Simon.

– Właśnie go tu niosą – wyjaśnił mężczyzna. – Przyszliśmy, żeby to zobaczyć. Syn mojej siostry był jednym z naganiaczy, którzy pomogli złapać tego diabła – dodał z dumą.

W tej chwili przez tłum przeszła fala pomruku: ktoś z przodu dostrzegł coś, przekazywano wiadomość dalej tym, którzy nie mogli tego zobaczyć. Wszyscy wyciągali szyje; cierpliwe matki o brudnych twarzach brały dzieci na ręce.

Simon rozejrzał się, lecz nie dostrzegł nigdzie Sangfugola. Wspiął się na palce i stwierdził, że mało kto z tłumu dorównywał mu wzrostem. Za stosem dostrzegł pstrokaty, jedwabny namiot czy może markizę, przed którą siedzieli na stołkach i rozmawiali dworzanie ubrani w jaskrawe stroje; gestykulując, powiewali szerokimi rękawami, dzięki czemu przypominali stadko kolorowych ptaków. Przebiegł wzrokiem po twarzach w nadziei, że może odnajdzie wśród nich Maryę – być może znalazła sobie już jakąś

damę, której teraz usługuje. Z pewnością nie był dla niej bezpieczny powrót do księżniczki do Hayholt czy też tam, gdzie przebywała. Jednak żadna z twarzy nie przypominała Maryi. Simon zaczął rozglądać się w innym kierunku, kiedy z jednego z przejść w murze wewnętrznym wyłonił się szereg żołnierzy.

W tłumie zawrzało, gdyż za pierwszymi sześcioma żołnierzami ukazał się duży, drewniany wóz ciągnięty przez parę koni. Simon poczuł nagle ucisk w żołądku, lecz zaraz opanował to uczucie: czy miało mu się robić niedobrze za każdym razem, kiedy usłyszy skrzypienie drewnianego wozu?

Wóz zatrzymał się i żołnierze otoczyli go, aby zdjąć ułożoną na nim wysoko postać. Nagle Simon dostrzegł poza stosem wśród dworzan kruczoczarne włosy i bladą cerę. Wytężył wzrok, mając nadzieję, że to może Marya, lecz nim zdołał się przyjrzeć, rozprawiający wesoło dworzanie zasłonili postać i Simon nic więcej już nie zobaczył.

Ośmiu żołnierzy z trudem uniosło pal, do którego przywiązano ciało olbrzyma, tak jak przywiązuje się jelenia upolowanego w królewskim rezerwacie; choć było ich tylu, musieli zsunąć go z wozu na ziemię, by móc dobrze podłożyć ramiona pod pal. Olbrzyma związano w kolanach i łokciach; kiedy jego plecy odbijały się od ziemi, dłonie kołysały się w powietrzu. Tłum, który dotąd parł mocno do przodu, teraz cofał się z okrzykami obrzydzenia i strachu.

Simon pomyślał, że istota ta bardziej teraz przypomina człowieka niż wtedy, gdy stanęła przed nim w lesie na Przełazie. Skóra na ciemnej twarzy zwiotczała po śmierci, wskutek czego jej wyraz nie był już tak groźny. Teraz twarz olbrzyma miała raczej wyraz człowieka zdumionego jakąś nieoczekiwaną wiadomością. Tak jak mówił Strangyeard, olbrzym miał przewiązaną wokół pasa przepaskę z surowego materiału. Po ziemi wlókł się jego pas z czerwonawych kamieni.

Stojący obok Simona gruby mężczyzna, który nawoływał żołnierzy do pośpiechu, zwrócił się z wesołą miną do Simona.

– Czy wiesz, co on nosił na szyi? – wykrzyknął. Ściśnięty ze wszystkich stron Simon wzruszył ramionami. – Czaszki! – oświadczył mężczyzna zadowolony, jakby to on sam podarował je olbrzymowi. – Nosił je, jakby to był naszyjnik! Książę powiedział, że sprawi im godziwy, aedonicki pogrzeb, choć nie wiadomo, czyje to czaszki. – Mężczyzna ponownie zwrócił się w stronę żołnierzy.

Teraz było ich więcej; kilku wspięło się na szczyt stosu i pomagali niosącym ciało olbrzyma wciągnąć je na górę. Wreszcie udało im się położyć go na grzbiecie; wyciągnęli pal spomiędzy jego ramion oraz nóg i zeszli na dół. Kiedy ostatni z nich zeskakiwał na ziemię, ogromne ciało przesunęło się nieco do przodu. Jakaś kobieta krzyknęła głośno przestraszona tym nagłym ruchem. Niektóre dzieci zaczęły płakać. Ubrany w szary mundur oficer wydał głośno rozkaz; jeden z żołnierzy pochylił się i wsunął pochodnię pod wiązki słomy, które podłożono wzdłuż krawędzi stosu. Płomienie – dziwnie bezbarwne w blasku popołudniowego słońca – natychmiast objęły słomę i strzeliły w górę, by strawić szczapy. Wokół ciała olbrzyma pojawiły się smużki dymu, a prąd powietrza zakołysał jego kudłatą sierścią, jakby to była sucha, letnia trawa.

„Tam!” – Ponownie ją ujrzał, za stosem! Spróbował przepchnąć się do przodu, lecz otrzymał mocnego kuksańca w żebra od kogoś, kto bronił swej pozycji. Stał rozczarowany i wpatrywał się w miejsce, gdzie, jak mu się wydawało, ją zobaczył.

Po chwili dostrzegł postać jeszcze raz i wtedy zorientował się, że to nie jest Marya. Ta czarnowłosa kobieta, ubrana w ciemnozielony, pięknie zdobiony płaszcz, była o jakieś dwadzieścia lat starsza od Maryi. Biała jak

kość słoniowa cera i ogromne, szeroko otwarte oczy sprawiały, że wydawała się piękna.

Patrzyła na płonącego olbrzyma, którego włosy ściemniały i zaczęły się skręcać, w miarę jak ogień obejmował coraz wyżej ułożone sosnowe kłody. Ściana dymu zasłoniła widok Simonowi; zastanawiał się, kim jest ta kobieta i dlaczego – choć wszyscy wkoło wykrzykiwali i wygrażali pięściami w stronę słupa dymu – patrzyła w ogień z wyrazem smutku i złości.

31. Książęca rada

SIMON BYŁ GŁODNY, kiedy chodził po murach zamku z Sangfugolem, lecz gdy pojawił się ojciec Strangyeard, by wypełnić wreszcie swój obowiązek i zaprowadzić go do kuchni, stwierdził, że stracił apetyt.

Prawie nie ruszył chleba i kiełbasy, którą rzuciła mu na talerz w kuchni groźnie wyglądająca kucharka. Kiedy wracali przez zadymiony dziedziniec, Strangyeard starał się nawiązać z Simonem rozmowę.

– Pewnie jesteś... zmęczony, chłopcze. Tak, pewnie zmęczony. Wkrótce wróci ci apetyt. Młodzi lubią dużo jeść.

– Chyba ma ojciec rację – powiedział Simon. Rzeczywiście był zmęczony; czasem łatwiej było komuś przytaknąć, niż mu coś wytłumaczyć. A poza tym sam nie był pewien, co jest przyczyną jego przygnębienia.

Szli przez wewnętrzny dziedziniec, na którym powoli zapadał zmrok.

– Ach – odezwał się wreszcie duchowny – chciałem cię zapytać... mam nadzieję, że nie uznasz tego za zbytnie wścibstwo...

– O co chodzi?

– No cóż, widzisz Binbines... Binabik powiedział mi o pewnym manuskrypcie. Napisał go Doktor Morgenes z Erchesteru, prawda? Taki wielki człowiek, jaka ogromna strata w świecie ludzi uczonych. – Strangyeard pokiwał głową ze smutkiem i jakby zapomniał, o czym zaczął

mówić, gdyż szedł dalej ponury i zamyślony. Po jakimś czasie Simon postanowił przerwać milczenie.

– Chodzi o książkę Doktora Morgenesa? – podpowiedział.

– Tak, tak... otóż chciałem cię prosić... byłaby to zbyt wielka łaska... Binbines powiedział, że ocalał, to znaczy ten manuskrypt, i że przyniosłeś go w swoim tobołku.

Simon starał się ukryć uśmiech. Ależ on gada.

– Nie wiem, gdzie jest mój tobołek.

– Jest pod moim łóżkiem, to znaczy teraz pod twoim. Będzie twoje tak długo, jak zechcesz. Widziałem, jak człowiek księcia kładł go tam. Zapewniam cię, że nawet go nie tknąłem – dodał pospiesznie.

– Chce ojciec go przeczytać? – Gorliwość duchownego wzruszyła Simona. – Ja jestem zbyt zmęczony, żeby się nim teraz zajmować. Jestem pewien, że Doktor chciałby, aby rękopis przeczytał ktoś uczony, a ja z pewnością nikim takim nie jestem.

– Naprawdę? – Strangyeard wydawał się wniebowzięty; stał, szarpiąc nerwowo opaskę na oku. Wyglądał, jakby za chwilę miał ją zerwać i wyrzucić do góry z okrzykiem radości. – Och! – westchnął, starając się opanować. – To byłoby wspaniałe.

Simon czuł się nieswojo; w końcu to Strangyeard udostępnił mu swój pokój, jemu, który był tutaj obcy. Czuł się nieswojo, widząc, jak wdzięczny jest duchowny.

„Ach – pomyślał – lecz nie mnie jest wdzięczny. Cieszy się, że ma okazję przeczytać pracę Morgenesa o Królu Johnie. Najwyraźniej należy do tych ludzi, którzy w równym stopniu lubią książki, jak Rachel mydło i wodę”.

Dotarli właśnie do niskiego, długiego budynku pod południowym murem, kiedy nagle pojawiła się jakaś postać; bez wątpienia był to

mężczyzna, lecz trudny do rozpoznania w gęstniejącym mroku i mgle. Poruszając się, mężczyzna dzwonił czymś lekko.

– Szukam ojca Strangyearda – odezwał się mężczyzna dość bełkotliwie. Zachwiał się nieco i ponownie rozległo się dzwonienie.

– On jest mną – oświadczył Strangyeard głosem odrobinę wyższym, niż zwykle mówił – to znaczy... ja nim jestem. O co chodzi?

– Szukam pewnego młodzieńca – odparł tamten i zbliżył się jeszcze o parę kroków. – Czy to on?

Simon napiął mięśnie, lecz jednocześnie dostrzegł, że zbliżający się osobnik nie jest zbyt znacznej postury. Było też coś dziwnego w jego chodzie...

– Tak – Simon i Strangyeard odpowiedzieli jednocześnie, lecz duchowny umilkł zaraz i szarpał tylko tasiemkę opaski, gdy tymczasem Simon mówił dalej. – To ja. Czego chcesz?

– Książę chce z tobą mówić – powiedział mały mężczyzna i spojrzał w górę na Simona, teraz już z bardzo małej odległości. Znowu zadzwonił cicho.

– Towser! – wykrzyknął uradowany Simon. – Towser! Co ty tutaj robisz? – Wyciągnął ręce i chwycił starca za ramiona.

– Kim jesteś? – spytał zaskoczony błazen. – Czy ja cię znam?

– Nie wiem. Jestem Simon! Uczeń Doktora Morgenesa! Z Hayholt!

– Hmm – starzec mruknął z powątpiewaniem. Z bliskiej odległości wyraźnie czuć było od niego wino. – Tak, chyba tak. No cóż, niezbyt dobrze pamiętam, młodzieńcze, niezbyt dobrze. Towser starzeje się, podobnie jak stary król Tethtain: *głowa biała jak śnieg i zwietrzała niczym odległy szczyt Minari* – powiedział, mrugając do Simona. – Nie rozpoznaję już tak łatwo twarzy, jak to niegdyś bywało. Czy to ciebie mam zaprowadzić do księcia?

– Chyba tak – powiedział Simon ożywiony. – Pewnie wspomniał mu o mnie Sangfugol. – Zwrócił się do ojca Strangyearda. – Muszę z nim pójść. Nie ruszałem mojego tobołka; nie wiedziałem nawet, że tam jest.

Duchowny wymamrotał jeszcze jakieś podziękowanie i ruszył szybko w poszukiwaniu swego skarbu. Simon wziął starego błazna pod rękę i obaj ruszyli z powrotem przez dziedziniec.

– Brrr. – Towser zadrżał i dzwoneczki na jego kurtce zadzwoniły cicho.

– W dzień było dość ciepło, ale teraz wiatr jest zimny. Zła pogoda dla starych kości. Nie mam pojęcia, dlaczego mnie posłał Josua. – Zachwiał się trochę i oparł na ramieniu Simona. – Nie, to nieprawda – kontynuował. – On lubi dawać mi jakieś zajęcia. Nie interesują go specjalnie moje sztuczki i dowcipy, ale chyba nie lubi, gdy za bardzo leniuchuję.

Przez jakiś czas szli w milczeniu.

– Jak dostałeś się do Naglimundu? – zapytał wreszcie Simon.

– Ostatnią karawaną wozów, jaka przejechała trakt Wealdhelm. Teraz zablokował go ten pies, Elias. Och, ciężka to była podróż. Na północ od Flett musieliśmy odeprzeć atak bandytów. Tak, chłopcze, wszystko się rozpada. Wszystko się psuje.

Strażnicy przed książęcymi komnatami dokładnie ich zbadali w migocącym świetle pochodni, po czym zastukali w drzwi, aby je otworzono. Simon i błazen poszli zimnym, wyłożonym płytkami korytarzem, aż dotarli do kolejnych masywnych drzwi, których także strzegła para strażników.

– No to jesteś, chłopcze, na miejscu – oznajmił Towser. – Pójdę już spać, gdyż wczoraj bardzo późno się położyłem. Miło zobaczyć znajomą twarz. Odwiedź mnie niebawem, wypijemy kufelek i opowiesz mi, co do tej pory porabiałeś, dobrze?

Odwrócił się i powłócząc nogami, odszedł korytarzem; różnokolorowe łaty jego błazeńskiego stroju lśniły niewyraźnie, dopóki nie zniknęły zupełnie w mroku korytarza.

Simon stanął między nieruchomymi strażnikami i zastukał do drzwi.

– Kto tam idzie? – zapytał chłopięcy głos.

– Simon z Hayholt do księcia.

Drzwi otworzyły się bezgłośnie i ukazał się w nich chłopiec w wieku około dziesięciu lat o poważnej twarzy, ubrany w strój pazia. Chłopiec usunął się na bok i Simon przeszedł obok niego do przedpokoju oddzielonego od reszty pomieszczeń kotarą.

– Wejdź – odezwał się stłumiony głos.

Simon musiał chwilę poszukać, zanim znalazł ukryte za kotarą drzwi.

Pokój, w którym się znalazł, był bardzo skromnie urządzony, niewiele więcej było w nim mebli niż w pokoju ojca Strangyearda. Książę, w koszuli nocnej i szlafmycy, siedział przy stole, przytrzymując łokciem rozwinięty arkusz papieru. Nie spojrzał na Simona, lecz wskazał dłonią wolne krzesło.

– Usiądź, proszę – powiedział, a jego słowa powstrzymały Simona w połowie głębokiego ukłonu. – Za chwilę będę wolny.

Siadając na twardym krześle, Simon dostrzegł jakiś ruch w drugim końcu pokoju. Czyjaś dłoń odsunęła nieco zasłonę i wpuściła do pokoju smugę światła lampy. W szczelinie ukazała się twarz: Simon dostrzegł ciemne oczy i gęste, czarne włosy. Była to kobieta, która przyglądała się, jak palili olbrzyma. Teraz wpatrywała się intensywnie w księcia. W pewnym momencie uniosła wzrok i spojrzenia jej i Simona skrzyżowały się: patrzyła gniewnie jak kot, którego zapędzono w kąt. Zasłona opadła na swoje miejsce.

Simon, zaniepokojony, zastanawiał się, czy nie powiedzieć o tym Josui. Szpieg? A może morderca? Po chwili jednak domyślił się, dlaczego ta

kobieta znajduje się w sypialni księcia, i poczuł się głupio.

Josua spojrzał na zarumienionego Simona, pozwalając, by arkusz zwinął się w rulon.

– Wybacz. – Wstał i przysunął swoje krzesło do Simona. – Jestem roztargniony. Mam nadzieję, że wierzysz mi, iż nie chciałem obrazić kogoś, kto pomógł mi uciec z więzienia.

– Nie... Wasza Wysokość, nie trzeba przepraszać – wybąkał Simon.

Josua rozłożył szeroko palce lewej dłoni z wyrazem cierpienia na twarzy.

Simon przypomniał sobie, co mówił Sangfugol, i zastanawiał się, jak to jest, kiedy straci się rękę.

– Proszę, tutaj mów mi Josua albo książę Josua, jeśli musisz. Kiedy studiowałem razem z braćmi Usireńczykami w Nabbanie, nazywali mnie „nowicjuszem” albo po prostu „chłopcem”. Chyba nie posunąłem się od tego czasu aż tak bardzo.

– Dobrze, sir.

Josua ponownie spojrzał na stół. W chwili ciszy, jaka zapadła, Simon przyjrzał mu się uważnie. Rzeczywiście nie wyglądał o wiele bardziej dostojnie niż wtedy, gdy Simon widział go zakutego w kajdany w pokoju Morgenesa. Wyglądał na zmęczonego – znękany troskami, tak jak skała wystawiona na wicher i deszcz. W nocnej koszuli, z czołem zmarszczonym w zamyśleniu, bardziej przypominał jeszcze jednego archiwistę, towarzysza ojca Strangyearda, niż księcia Erkynlandu, syna Prestera Johna.

Josua wstał i wziął zwój ze stołu.

– Pisma starego Dendinisa. – Uderzył zwojem w skórzaną ochronę prawego nadgarstka. – Był wojskowym doradcą Aeswidesa. Czy wiesz, że dotąd żadne oblężenie nie złamało oporu Naglimundu? Fingil z Rimmersgardu, który przybył tutaj z Północy, potrzebował aż dwóch

tysięcy ludzi, aby odciąć zamek i ochronić swą flankę. – Ponownie uderzył pergaminem w nadgarstek. – Dendinis był doskonałym budowniczym.

Zapadła cisza. Wreszcie Simon odezwał się nieśmiało:

– To potężna twierdza.

Książę rzucił pergamin na stół i wydął usta, jak lichwiarz, który liczy swoje procenty.

– Tak, lecz nawet i potężną twierdzę można pokonać głodem. Nasz szlak dostawczy jest bardzo długi i czy można liczyć na jakąś pomoc? – Josua spojrzał na Simona, jakby od niego oczekiwał odpowiedzi, lecz chłopiec wpatrywał się tylko w niego, nie mając pojęcia, co powiedzieć. – Może Isgrimnur przywiezie jakieś dobre wieści... – ciągnął książę – ale pewnie nie. Z południa nadchodzą pogłoski, że mój brat zbiera potężne siły. – Josua długo patrzył w podłogę, lecz nagle podniósł głowę i spojrzał żywo na Simona. – Ach, jeszcze raz cię przepraszam. Ostatnio nie opuszczają mnie takie czarne myśli i nie mogę powstrzymać słów, jakie cisną mi się na usta. Co innego czytać o wielkich bitwach, a co innego przygotowywać się do nich. Czy wiesz, o ilu rzeczach trzeba wtedy pomyśleć? Trzeba zająć się zebraniem lokalnych wojsk, zgromadzić ludzi z ich trzodami w zamku, zebrać paszę, podeprzeć mury stemplami i wiele innych rzeczy, które okażą się bezużyteczne, jeśli nikt nie zaatakuje Eliasa od tyłu. Walcząc samotnie, wytrzymamy długo, ale w końcu będziemy musieli ulec.

Simon czuł się nieswojo. Schlebiało mu, że Josua rozmawia z nim tak otwarcie, lecz lękiem napawał go fakt, że książę roztacza przed nim swoje mroczne przepowiednie, że rozmawia z nim, chłopcem, jakby Simon był jego doradcą wojennym.

– No cóż – odezwał się Simon – pewnie wszystko potoczy się zgodnie z wolą Bożą. – Zanim jeszcze dokończył to zdanie, zawstydził się tak głupiego gadania.

Josua uśmiechnął się tylko gorzko.

– No i proszę, złapany przez młodzieńca, jak Usires schwytany w przypowieści przez krzak głogu. Masz rację, Simonie. Należy mieć nadzieję do końca i za to ci dziękuję.

– Tylko małą, książę. – Simon zastanawiał się, czy nie zabrzmiało to niewdzięcznie.

Josua znowu się zachmurzył.

– Słyszałem o Doktorze. To dla nas wszystkich wielki cios, a szczególnie dla ciebie. Będzie nam brakowało jego mądrości, jego dobroci także, lecz przede wszystkim jego mądrości. Mam nadzieję, że znajdą się inni, którzy zajmą jego miejsce. – Książę przysunął krzesło do Simona i pochylił się do przodu. – Mam zamiar zwołać naradę, i to wkrótce. Dziś wieczór przybędzie Gwythinn, syn Llutha z Hernystiru. Inni już czekają. Wiele będzie zależało od tego, co tutaj postanowimy, zadecyduje to o niejednym życiu. – Josua kiwał głową zamyślony.

– Czy... czy książę Isgrimnur żyje? – zapytał Simon. – W drodze tutaj spędziłem jedną noc z jego ludźmi, lecz później... rozdzieliłem się z nimi.

– Był tutaj ze swoimi ludźmi jakiś czas temu. Zatrzymał się tu w drodze do Elvritshalli. Dlatego właśnie nie mogę czekać, mogą nie wrócić jeszcze za parę tygodni. – Josua odwrócił głowę. – Potrafisz posługiwać się mieczem? – spytał nagle. – Uczyłeś się walki?

– Nie, sir.

– A zatem udaj się do kapitana straży i powiedz mu, żeby przydzielił ci kogoś do nauki. Przyda nam się każda para rąk, a szczególnie gdy są silne i młode.

– Oczywiście, książę – odparł Simon.

Josua wstał i podszedł do stołu, odwracając się do Simona plecami, jakby dając mu do zrozumienia, że audiencja dobiegła końca. Simon

siedział nieruchomo na krześle; chciał o coś zapytać, lecz nie był pewien, czy pytanie to będzie na miejscu. Wreszcie wstał i zaczął wycofywać się tyłem do zasłoniętych kotarą drzwi. Josua stał, wpatrując się w pisma Dendinisa. Simon był już o krok od drzwi, gdy nagle zatrzymał się, wtulił głowę między ramiona i wyrzucił z siebie pytanie, które cisnęło mu się na usta.

– Książę – zaczął, a Josua spojrzał na niego przez ramię.

– Tak?

– Czy... ta dziewczyna... Marya... dziewczyna, która przybyła z wiadomością od twej siostrzenicy Miriamele... – Wziął głęboki oddech. – Czy wiesz, książę, gdzie ona jest?

Josua uniósł brwi.

– Nawet w najgorszych chwilach nie potrafimy o nich zapomnieć, prawda? – Josua potrząsnął głową. – Nie, młodzieńcze, w tej sprawie nic nie mogę ci pomóc. Dobranoc.

Simon skłonił krótko głowę i wycofał się tyłem za kotarę.

Wracając z tej dziwnej audiencji u księcia, Simon rozmyślał o tym, co się z nimi wszystkimi stanie. Dotąd dotarcie do Naglimundu wydawało mu się wielkim wyczynem. Przez parę tygodni był to jego jedyny cel, gwiazda, za którą podążał. Z dala od domu trzymał się tego celu uporczywie, by nie dopuszczać do siebie innych, ważniejszych pytań. Teraz to, co wydawało się bezpiecznym rajem w porównaniu z trudami podróży, okazało się jeszcze jedną pułapką. Josua miał rację; nawet jeśli Elias nie zdobędzie twierdzy, głód złamie ich opór. Gdy tylko znalazł się w pokoju Strangyearda, Simon natychmiast rzucił się na łóżko, lecz nim zasnął, dwukrotnie jeszcze słyszał, jak oznajmiano godzinę.

ZASPANY SIMON USŁYSZAŁ pukanie do drzwi. Otworzył je i w słabym świetle pochmurnego poranka zobaczył ogromnego wilka i trolla.

– Dziwi mnie, że jeszcze jesteś w łóżku! – Binabik uśmiechnął się złośliwie. – Wystarczyło parę dni, które upłynęły od naszej podróży po dzikich ostępach, a już cywilizacja chwyciła cię w swe szpony lenistwa!

– Nie jestem w łóżku – nachmurzył się Simon. – Już nie. Ale dlaczego ty w nim nie jesteś?

– W łóżku? – spytał Binabik. Wszedł do pokoju i biodrem zamknął za sobą drzwi. – Czuję się już dobrze, no, powiedzmy dość dobrze. Ale trzeba działać. – Rozejrzał się po pokoju, gdy tymczasem Simon przysiadł na skraju siennika i wpatrywał się w swe gołe stopy. – Czy wiesz, gdzie jest tobołek, który uratowaliśmy? – zapytał troll.

– Aha – mruknął Simon i wskazał dłonią na podłogę. – Był pod łóżkiem, ale pewnie zabrał go ojciec Strangyeard, żeby przeczytać rękopis Morgenesa.

– W takim razie powinien tam jeszcze być – powiedział Binabik i opadł szybko na czworaki. – Duchowny może zapomina trochę o ludziach, lecz rzeczy zawsze kładzie na swoim miejscu, kiedy już ich nie potrzebuje. – Troll wpełzł pod łóżko. – Aha! Mam go!

– Czy nie powinieneś uważać na swoją ranę? – spytał Simon, czując się winny, że sam nie wziął się do poszukiwań.

Binabik wycofał się spod łóżka i wstał ostrożnie.

– Rany trolli szybko się goją – odpowiedział i uśmiechnął się szeroko, lecz Simon patrzył na niego z troską.

– Uważam, że nie powinieneś jeszcze wstawać i chodzić – rzekł, gdy tymczasem Binabik przeszukiwał tobołek. – W taki sposób nie wyzdrowiejesz.

– Byłbyś wspaniałą matką trolla – rzucił Binabik, nie podnosząc wzroku. – A może pomożesz mi też pogryźć mięsko? *Qinkipa!* Gdzie są te kości?

Simon przyklęknął, by poszukać butów, lecz nie było to łatwe, kiedy po tak małym pomieszczeniu kręcił się ogromny wilk.

– Czy Qantaqa nie mogłaby zaczekać na zewnątrz? – zapytał, gdy wilczyca po raz kolejny uderzyła go swym ciałem.

– Simonie, oboje twoi przyjaciele wyjdą, jeśli sprawiają ci kłopot – oświadczył z afektacją troll. – *Aia!* Tu się ukryły!

Uznając się za pokonanego, Simon przyglądał się trollowi. Binabik był odważny, mądry, został ranny u boku Simona; pomijając nawet wszystkie te przymioty, był za mały, żeby go uderzyć. Simon mruknął coś pod nosem zrezygnowany i dalej szukał butów.

– Po co ci te kości? – mówiąc to, zajrzał Binabikowi przez ramię. – Czy jest tam jeszcze moja strzała?

– Strzała, tak – odparł troll. – Kości? W tych dniach zapadnie wiele decyzji i byłbym głupcem, gdybym nie zasięgnął mądrej porady.

– Książę wzywał mnie do siebie wczorajszego wieczoru.

– Wiem. – Binabik wytrząsnął kości ze skórzanej sakiewki i trzymał je na dłoni. – Rozmawiałem z nim dziś rano. Przyjechali Hernystirczycy. Dziś wieczór odbędzie się narada.

– Powiedział ci to? – Simon poczuł się rozczarowany faktem, że nie okazał się jedynym powiernikiem księcia, ale i odczuł też ulgę, wiedząc, że brzemię odpowiedzialności spoczywa nie tylko na nim. – Pójdziesz tam?

– Jako jedyny przedstawiciel mego ludu, który przekroczył mury Naglimundu? Czy może jako uczeń Ookequka, Tego, Który Śpiewa, u trolli Mintahoq. Oczywiście, że pójdę. Ty również.

– Ja? – spytał zdumiony Simon. – Dlaczego ja? Na Boga, a po co ja miałbym chodzić na naradę wojenną? Nie jestem żołnierzem. Nie jestem jeszcze nawet dorosły!

– I zdaje się, że wcale ci się do tego nie śpieszy – powiedział Binabik, uśmiechając się kpiąco. – Ale nawet ty nie możesz w nieskończoność bronić się przed wiekiem dojrzałym. Choć w tym wypadku twój wiek nie ma znaczenia. Widziałeś i słyszałeś rzeczy, które mogą okazać się ważne, i książę Josua będzie chciał, byś o nich opowiedział.

– Będzie chciał? Czy prosił, bym przyszedł?

Zniecierpliwiony troll zdmuchnął z czoła włosy.

– Niezupełnie. Prosił, abym ja przyszedł, a ja zabiorę ciebie. Josua nie wie, ile rzeczy widziałeś.

– Na krew Boga, Binabik!

– Proszę, nie popisuj się przede mną waszymi aedonickimi bluźnierstwami. To, że masz brodę – no, prawie brodę – nie upoważnia cię do przeklinania jak dorosły. A teraz, proszę, pozwól mi się skupić, bym mógł rzucić kości. Potem przekażę ci dalsze wiadomości.

Simon usiadł ze zwieszoną głową. A co będzie, jeśli zaczną mu zadawać pytania? Czy będzie musiał mówić przed baronami, książętami i kim tam jeszcze? On, zbiegły podkuchenny?

Binabik mruczał coś pod nosem i potrząsał delikatnie kośćmi jak żołnierz w gospodzie. Kości zagrzechotały i upadły na wyłożoną płytkami podłogę. Przyjrzał się ich ułożeniu, potem zebrał je i rzucił jeszcze dwukrotnie. Wydął usta i przyglądał się ich układowi.

– Chmury na Przełęczy... – odezwał się po jakimś czasie zamyślony. – Bezskrzydły Ptak... Czarna Szczelina. – Potarł ręką usta, a potem uderzył się w pierś podbiciem dłoni. I cóż ja mogę się dowiedzieć z takiej opowieści?

– Czy to coś znaczy? – zapytał Simon. – Co ty przed chwilą mówiłeś?

– Wymówiłem nazwy rzutów... – pewnych wzorów. Rzucamy trzykrotnie i każdy rzut przedstawia coś innego.

– Ja chyba nie... czy możesz mi to wyjaśnić? – spytał Simon i prawie się przewrócił, gdyż Qantaqa odepchnęła go gwałtownie, by móc położyć swój łeb na udzie Binabika.

– Dobrze – zgodził się Binabik. – Najpierw były Chmury na Przełęczy. One mówią, że z miejsca, w którym stoimy, nie widać daleko, lecz przed nami jest coś zupełnie innego od tego, co jest za nami.

– To mogłem ci sam powiedzieć.

– Cicho, młokosie. Czy chcesz już na zawsze pozostać głupi? Tak więc w drugim rzucie mieliśmy Bezskrzydłego Ptaka. To ułożenie kości jest bardziej korzystne, choć w naszym wypadku sama nasza bezradność mogłaby okazać się korzystna, tak przynajmniej odczytuję dzisiaj kości. Ostatni rzut mówi nam o tym, przed czym powinniśmy się mieć na baczności...

– Czego mamy się bać?

– ...albo czego mamy się bać – przytaknął mu spokojnie Binabik. – Czarna Szczelina. Dziwne ułożenie, nigdy dla siebie takiego nie wyrzuciłem. Może oznaczać zdradę.

Simon wstrzymał oddech, coś sobie przypominając.

– Albo „fałszywego posłańca”?

– Tak. Ale to ułożenie kości ma też inne, niezwykłe znaczenie. Mój mistrz nauczył mnie, że może ono oznaczać rzeczy, które przychodzą z innych miejsc, które wdzierają się z innych stron... to może mieć coś wspólnego z tajemnicami, jakie sami napotkaliśmy... Nornowie, twoje sny... rozumiesz?

– Niezupełnie. – Simon wstał i przeciągając się, rozejrzał za swoją koszulą. – A co z tymi dalszymi wiadomościami?

Troll gładził grzbiet Qantaqi w zamyśleniu i dopiero po chwili spojrzał na Simona.

– Ach – powiedział wreszcie i sięgnął do kieszeni swej kurtki. – Dam ci coś do przeczytania. – Wręczył chłopcu spłaszczony rulonik pergaminu.

Simon poczuł na nagich ramionach gęsią skórkę.

Wiadomość napisano wyraźnym, lecz drobnym pismem – była to zaledwie maleńka wysepka słów na środku nierozwiniętego arkusza.

Dla Simona

Składam podziękowania za twą odwagę w czasie naszej wspólnej podróży. Niech dobry Pan zawsze ci sprzyja, przyjacielu.

List podpisano pojedynczą literą „M”.

– Od niej – powiedział wolno. Nie wiedział, czy bardziej jest rozczarowany, czy zadowolony. – To od Maryi, prawda? Czy tylko to przysłała? Widziałeś ją?

Binabik skinął głową. Wyglądał na zasmuconego.

– Widziałem, ale tylko przez chwilę. Powiedziała, że być może zobaczymy się jeszcze, lecz na razie są rzeczy ważniejsze.

– Jakie rzeczy? Denerwuje mnie... to znaczy, nie, nie to chciałem powiedzieć. Czy ona jest w Naglimundzie?

– Przecież przekazała mi wiadomość.

Binabik wstał, chwiejąc się trochę, lecz w tej chwili Simon był zbyt podniecony, żeby to zauważyć. A jednak napisała! Nie zapomniała! Choć nie napisała dużo ani nie przyszła, żeby z nim porozmawiać, żeby...

„Ratuj mnie, Usiresie, czy tak wygląda zakochanie się?” – zaczął się nagle zastanawiać. Inaczej wyglądało to w balladach, które słyszał. Uczucie to było bardziej irytujące niż wzniosłe. Kiedy jeszcze mieszkał w zamku, wydawało mu się, że jest zakochany w Hepzibah. Dużo o niej myślał, lecz głównie dotyczyło to jej wyglądu, sposobu chodzenia. Jeśli chodzi o Maryę, owszem, pamiętał, jak wyglądała, ale interesowało go też niezmiernie, co myślała.

„Co ona myśli?! – Poczuł niechęć do samego siebie. – Nawet nie wiem, skąd ona pochodzi, a co dopiero, co myśli! Nie wiem o niej prawie nic. Jeśli nawet mnie lubi, to nie zadała sobie trudu, żeby mi o tym napisać w liście”.

I to była jedyna rzecz, której był pewien. „Ale przecież napisała, że jestem odważny. Nazwała mnie przyjacielem”. Oderwał wzrok od pergaminu i zobaczył, że Binabik mu się przygląda. Wyraz twarzy trolla był posępny, lecz Simon nie był pewien, co było tego przyczyną.

– Binabiku – zaczął, lecz nie potrafił zadać pytania, na które odpowiedź rozproszyłaby jego wątpliwości. – Binabiku – odezwał się znowu – czy wiesz, gdzie mogę znaleźć dowódcę straży? Mam zgłosić się po miecz.

SZLI PRZEZ ZEWNĘTRZNY DZIEDZINIEC. W powietrzu czuć było wilgoć, a ciężkie, szare chmury wisiały tuż nad ich głowami. Przez bramę prowadzącą do miasta przepływał gęsty tłum ludzi; niektórzy z nich nieśli warzywa, len i inne produkty do sprzedania, wielu ciągnęło rozklekotane wózki, wieźli na nich żałośnie małe stosy całego swego dobytku. Towarzysze Simona – malutki troll i ogromny, żółtooki wilk – najwyraźniej robili wrażenie na przybywających. Jedni wskazywali na nich palcami i wydawali okrzyki podniecenia w swym wiejskim dialekcie, inni usuwali się przerażeni, robiąc znak Drzewa na swych zgrzebnych koszulach. Wszyscy mieli na twarzach wypisany strach – strach przed czymś nowym,

przed tymi ciężkimi czasami, jakie nastały w Erkynlandzie. Simon czuł się rozdarty między pragnieniem udzielenia im pomocy a pragnieniem nieoglądania ich pospolitych, strapionych twarzy.

Binabik zostawił Simona przy wartowni, która stanowiła część budynku obok bramy, i udał się do biblioteki, by odwiedzić w niej ojca Strangyearda. Simon odnalazł dowódcę straży; był to młody żołnierz o udręczonej, mizernej twarzy z kilkudniowym zarostem. Kapitan trzymał w dłoniach swój stożkowy hełm pełen kamieni, za pomocą których liczył wchodzące do zamku okoliczne oddziały milicji. Kapitan spodziewał się Simona – co mile zaskoczyło chłopca, gdyż świadczyło to, że książę nie zapomniał o ich rozmowie – i zaraz oddał go pod opiekę ogromnego jak niedźwiedź gwardzisty z północnego Erkynlandu imieniem Haestan.

– Chyba jeszcze rośniesz, co? – zagrzmiał Haestan, szarpiąc swą kręconą, brązową brodę i lustrując chudą postać Simona. – Będziesz łucznikiem, tak będzie. Dostaniesz miecz, ale niewiele nim zdziałasz. Łuk, oto czego ci trzeba.

Poszli razem do zbrojowni, która mieściła się w długim i wąskim pomieszczeniu z tyłu rozbrzmiewającej dzwonieniem kuźni. Strażnik poprowadził ich między rzędami pogiętych zbroi i zaśniedziałych mieczy. Simon poczuł smutek na widok tych nędznych resztek uzbrojenia zamku; słabą stanowiły obronę przeciwko wspaniałym legionom, które Elias z pewnością pośle na pole walki.

– Nie zostało tego dużo – zauważył Haestan. – Nie ma nawet połowy tego, co nam potrzeba. Mam nadzieję, że okoliczne oddziały przyniosą coś więcej niż tylko widły i lemiesze.

Kulejący strażnik znalazł wreszcie miecz w pochwie, którego ciężar wydał się gwardziście odpowiedni dla Simona. Miecz pokrywała łuszcząca się zaschnięta oliwa i strażnik z trudem potrafił ukryć wyraz niesmaku.

– Jak go wyczyścisz – powiedział – ładnie będzie się prezentował.

Po dalszych poszukiwaniach Simon otrzymał łuk, który poza brakiem cięciwy był w dobrym stanie, i skórzany kołczan.

– Robota Thrithingów – powiedział Haestan, wskazując na jelenia o okrągłych oczach i króliki wyryte na ciemnej skórze kołczanu. – Tak, oni potrafią robić kołczany. – Simon miał wrażenie, jakby gwardzista czuł się trochę winny, że musiał dać mu tak lichy miecz.

Kiedy ponownie znaleźli się w wartowni, gwardzista wyłudził od kwatermistrza cięciwę oraz tuzin strzał i pokazał Simonowi, jak czyścić i dbać o nową broń.

– Ostrz go, chłopcze, ostrz – mruczał krzepki Haestan, muskając raz po raz osełką po krawędzi miecza.

Simon ze zdziwieniem dostrzegł błyski prawdziwej stali.

Simon miał nadzieję, że natychmiast zacznie naukę walki mieczem albo przynajmniej strzelania do celu, gdy tymczasem Haestan wyciągnął dwie na końcach owinięte materiałem tyki i zaprowadził go na wzgórze poza murami miasta. Szybko się przekonał, jak mało wspólnego z prawdziwą ćwiczebną walką miały jego zabawy z Jeremiasem, pomocnikiem kupca.

– Powinniśmy ćwiczyć włóczniami – powiedział Haestan do Simona, który siedział na trawie, dysząc ciężko po otrzymanym w żołądek uderzeniu. – Ale na razie nie mamy wolnych. Dlatego dostałeś łuk. Przyda ci się też trochę praktyki z mieczem. Będziesz kiedyś za to dziękował staremu Haestanowi.

– Dlaczego... nie... łuk? – powiedział z wysiłkiem Simon.

– Łukiem zajmiemy się jutro, chłopcze, albo pojutrze. – Haestan roześmiał się głośno i wyciągnął ogromną dłoń w stronę Simona. – Wstawaj. To był dopiero początek dzisiejszych przyjemności.

Straszliwie zmęczony i obolały Simon czuł się jak wymłócony snopek zboża; miał wrażenie, że plewy wychodzą mu uszami. Zjadł fasolę z chlebem w strażnicy, gdy tymczasem Haestan przedstawiał mu teoretyczną część lekcji, z której większość do niego nie dotarła z powodu niskiego, nieustannego dzwonienia w uszach. Wreszcie Haestan zwolnił go, przykazując jednocześnie, by Simon stawił się u niego wczesnym rankiem następnego dnia. Wrócił chwiejnym krokiem do pustego pokoju Strangyearda i zasnął, nie ściągając nawet butów.

DESZCZ PADAŁ PRZEZ OTWARTE OKNO, a z oddali dobiegł grzmot. Simon obudził się i stwierdził, że – tak jak rankiem – czeka na niego Binabik, jakby to długie, bolesne popołudnie nigdy się nie wydarzyło. Niestety, szybko pozbył się tego złudzenia, gdy tylko usiadł: bolały go wszystkie mięśnie. Czuł się o sto lat starszy.

Binabik musiał się sporo natrudzić, by nakłonić go do zejścia z łóżka.

– Simonie, nie ma co grymasić, czy pójść, czy zostać tutaj. Dzieją się rzeczy, które mogą zadecydować o naszym życiu.

Simon wrócił na łóżko i ponownie położył się na wznak.

– Wierzę ci, lecz jeśli wstanę, to czuję, że umrę.

– Dosyć. – Troll chwycił Simona za przegub, zaparł się nogami i mrugając, pociągnął go wolno do pozycji siedzącej. Rozległ się głośny jęk i stuknięcie, gdy jedna z obutych nóg Simona opadła na podłogę; potem nastąpiła długa przerwa i kolejne stuknięcie.

Jakiś czas później Binabik i kuśtykający u jego boku Simon wychodzili z pokoju wprost na zimny deszcz i wiatr.

– Czy będziemy musieli siedzieć tam przez całą kolację? – spytał Simon, przynajmniej raz w życiu czuł się zbyt obolały, by mieć ochotę na jedzenie.

– Nie sądzę. Josua jest dość dziwną osobą; nie przepada za ucztowaniem razem z dworzanami. Lubi być sam. Dlatego myślę, że wszyscy przyjdą już najedzeni. Ten argument przekonał też Qantaqę, aby pozostała w pokoju. – Troll uśmiechnął się i poklepał Simona po ramieniu. Simon zamrugał. – Jedyne, czym będziemy się dziś wieczór rozkoszować, to troski i kłótnie. Obie potrawy nie sprzyjają trawieniu u trolla, człowieka, a nawet wilka.

Za oknami sali narad szalała burza, lecz w samej sali było ciepło i jasno, gdyż ogrzewały ją trzy ogromne paleniska i oświetlały liczne, zapalone świece. Pochyłe belki stropowe dachu ginęły w ciemności, a ściany zakrywały ciemne gobeliny przedstawiające sceny religijne.

Kilkadziesiąt stołów zestawiono razem w kształcie podkowy; wysokie, drewniane krzesło Josui stało u jej szczytu – zdobił je herb Naglimundu przedstawiający łabędzia. Przy stołach siedziało już około pięćdziesięciu mężczyzn i rozmawiało żywo. Wszyscy byli wysocy, ubrani w futrzane płaszcze przyozdobione różnymi świecidełkami, co świadczyło, że należeli w większości do drobniejszej szlachty, a część z nich miała na sobie mundury żołnierskie. Kilkunastu przerwało dyskusje, przyglądając się uważnie wchodzącym trollowi i Simonowi.

Binabik trącił łokciem Simona w biodro.

– Myślą pewnie, że zaprosili nas tutaj w charakterze akrobatów. – Troll roześmiał się, lecz Simon miał wrażenie, że Binabik tylko udaje wesołość.

– Kim są ci wszyscy ludzie? – spytał szeptem Simon, kiedy siedli przy końcu stołowej podkowy.

Paź natychmiast nalał im wina i dodał do niego gorącej wody, po czym usunął się pod ścianę.

– Są to lordowie z Erkynlandu, lojalni wobec Naglimundu i Josui albo przynajmniej niezdecydowani jeszcze, komu mają pozostać wierni. Ten

olbrzym ubrany w biało-czerwone szaty to Ordmaer, baron Utersall. Rozmawia z Grimstedem, Ethelferthem i innymi lordami. – Troll zważył w dłoni puchar z brązu i napił się wina. – No cóż, nasz książę nie rozpieszcza nas, jeśli chodzi o wino, albo też chce, byśmy docenili zalety miejscowej wody – zauważył Binabik i uśmiechnął się złośliwie.

Simon zsunął się nisko na swoim krześle, spodziewając się kolejnego kuksańca ostrym łokciem trolla, lecz ten przyglądał się zgromadzonym wokół stołu.

Simon pociągnął długi łyk wina ze swego pucharu. Rzeczywiście było wodniste. Zastanawiał się, czy to sam książę poskąpił, czy też zarządca jego dworu. Mimo wszystko wydawało mu się, że lepsze takie niż żadne i że pomoże mu ono rozruszać obolałe kończyny. Kiedy tylko wypił cały puchar, paź natychmiast zbliżył się i napełnił go ponownie.

Do komnaty przybywali kolejni goście; jedni wchodzili, rozprawiając między sobą żywo, inni w milczeniu i przyglądając się uważnie tym, którzy już siedzieli przy stołach. W pewnym momencie pojawił się starzec w ozdobnych szatach duchownego, który szedł oparty na ramieniu krzepkiego, młodego kapłana. Kiedy dotarł do szczytu stołu, zaczął ustawiać na nim liczne, lśniące przedmioty; z wyrazu jego twarzy widać było wyraźnie, że jest w złym humorze. Młodszy kapłan pomógł mu usiąść na krześle, po czym nachylił się i szepnął coś do ucha starca, którego odpowiedź nie była, zdaje się, specjalnie uprzejma. Kapłan wzniósł oczy pełne cierpienia do góry i wyszedł z komnaty.

– Czy to jest Lektor? – spytał Simon ściszonym głosem.

Binabik zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie wydaje mi się prawdopodobne, aby głowa waszego aedonickiego Kościoła zdecydowała się przybyć tutaj, do jaskini wyjętego spod prawa księcia. Myślę, że jest to Anodis, biskup Naglimundu.

Kiedy Binabik to mówił, do sali weszła kolejna grupa mężczyzn. Troll zamilkł i obserwował wchodzących. Niektórzy, z włosami zaplecionymi w wąskie warkoczyki zwisające na plecach, ubrani byli w ściśnięte pasami białe tuniki Hernystirczyków. Ich przywódca, dobrze zbudowany młodzieniec z długimi, ciemnymi wąsami, rozmawiał z kimś z Południa; był to bardzo strojnie ubrany mężczyzna, który wydawał się tylko trochę starszy od swego rozmówcy. Miał starannie ufryzowane włosy i ubrany był w szaty w odcieniach wrzosu i błękitu, tak strojne, że – Simon był pewien – zrobiłyby wrażenie nawet na Sangfugolu. Niektórzy spośród starszych żołnierzy siedzących przy stole nie ukrywali uśmiechu na widok tak wystrojonego osobnika.

– A kim są ci ludzie ubrani na biało, obwieszeni złotem? Czy to Hernystirczycy? – spytał Simon.

– Zgadza się. To książę Gwythinn i jego świta. Ten, z którym rozmawia, to – jak sądzę – baron Devasalles z Nabbanu. Mówią, że to tęgi umysł, choć może zbytnio lubi stroje. Słyszałem też, że dzielny z niego żołnierz.

– Binabiku, skąd ty to wszystko wiesz? – spytał Simon, zwracając się do przyjaciela. – Czy podsłuchujesz pod drzwiami?

Troll wyprostował się na krześle dumnie.

– Przecież nie spędziłem całego życia tylko w górach. Poza tym będąc tutaj, rozmawiałem ze Strangyeardem i innymi mieszkańcami, gdy ty wygrzewałeś swoje łóżko.

– Co? – Simon odezwał się głośniej, niż zamierzał; zdał sobie sprawę, że wino uderzyło mu trochę do głowy. Siedzący obok niego mężczyzna odwrócił się i popatrzył na niego zdziwiony. Simon pochylił się i mówił dalej ściszonym głosem. – Ja byłem... – zaczął, lecz w tym momencie zaskrzypiały krzesła i wszyscy siedzący nagle wstali. Simon spojrzał

w górę stołu i zobaczył drobną postać księcia Josui, który był jak zwykle szaro ubrany.

Książę wydawał się spokojny, lecz nie uśmiechał się. Jedyną oznaką jego godności był srebrny diadem, jaki nosił na czole.

Josua skinął głową zebranym i usiadł; po chwili wszyscy zrobili to samo. Paziowie zbliżyli się do stołu, by nalać wina, i wtedy stary biskup siedzący po lewej stronie Josui – Gwythinn bowiem zasiadł po prawej stronie – wstał.

– Proszę – odezwał się cierpko biskup, jak ktoś, kto czyni przysługę, wiedząc, że na nic się ona nie przyda – pochylcie głowy, by prosić Usiresa Aedona o błogosławieństwo dla tego stołu i słów, jakie zostaną przy nim wypowiedziane. – Mówiąc to, wzniósł piękne Drzewo wykonane z kutego złota i niebieskich kamieni. – Niech wysłucha nas ten, który z tego pochodzi świata, lecz niezupełnie był jednym spośród nas. Niech pocieszy nas ten, który był człowiekiem, lecz którego Ojciec był raczej żywym Bogiem. Czuwaj nad tym stołem oraz tymi, którzy przy nim zasiedli, i połóż swą dłoń na ramieniu tego, który zbłądził i szuka. – Starzec wziął głęboki oddech i rozejrzał się gniewnie po zebranych. Simon, który usilnie starał się nie zasnąć, pomyślał, że biskup wygląda, jakby chciał przejść wzdłuż stołów i walić po łbach siedzących. – Także – biskup zakończył szybko – wybacz zebranym tutaj dumne i głupie słowa, jakie mogą paść z ich ust. Twoimi jesteśmy dziećmi. – Starzec zachwiał się i opadł na krzesło; natychmiast wokół stołu rozległy się ciche rozmowy.

– Simonie, czy i ty masz wrażenie, że biskup nie jest szczęśliwy, że jest tutaj? – szepnął Binabik.

W tym momencie wstał Josua.

– Dziękuję, biskupie Anodisie, za twe... płynące z serca modlitwy. Dziękuję też wszystkim, którzy tutaj przybyli. – Rozejrzał się po ogromnej,

dobrze oświetlonej sali, wsparty lewą ręką o stół, prawą skrywały fałdy płaszcza. – Ciężkie to czasy – zaczął, przenosząc wzrok z jednej twarzy na drugą. Simon czuł coraz większą senność pod wpływem ciepła w komnacie i zastanawiał się, czy książę wspomni o swojej ucieczce. Zamrugał i otworzył oczy w chwili, gdy wzrok Josui przesuwał się z jego postaci na środek stołu. – Ciężkie i ponure czasy. Wielki Król – tak, on jest moim bratem, lecz będę o nim mówił tylko jako o Królu – zdaje się nie zauważać naszych kłopotów. Podatki wzrosły tak bardzo, że stały się okrutną karą, choć przecież przecierpieliśmy okropne susze w Erkynlandzie i burze na północy w Hernystirze. Mimo to Hayholt zabiera nam o wiele więcej, niż robił to Król John. Elias odwołał wojska, które strzegły bezpieczeństwa traktów i słabiej zaludnionych terenów Frostmarch i Wealdhelm.

– Prawdę mówi! – wykrzyknął baron Ordmaer i uderzył dzbanem w stół. – Książę Josuo, niech Bóg cię błogosławi, bo prawdę mówisz! – Odwrócił się do pozostałych i wysunął w ich stronę zaciśniętą pięść. Wielu przytaknęło mu głośno, lecz byli też i inni – wśród nich biskup Anodis – którzy tylko kiwali głowami, słysząc już na samym początku narady tak ostre słowa.

– I dlatego – kontynuował Josua głośno, starając się uciszyć pozostałych – stajemy przed problemem: co mamy robić? Wezwałem was tutaj, abyśmy się nad tym zastanowili i, jak sądzę, po to przyjechaliście. Aby zdecydować, co możemy zrobić. Czy dalej pozwalać trzymać się w kajdanach – mówiąc to, Josua uniósł lewe ramię i ukazał zaciśniętą na nim obręcz – w które zakuł nas Król?

Znowu rozległy się głosy aprobaty. Jednocześnie zebrani zaczęli szeptać między sobą. Josua zaczął machać ściśniętym obręczą ramieniem, by uciszyć rozmowy, gdy w drzwiach mignęło coś czerwonego. Do sali weszła kobieta w długiej, jedwabnej sukni koloru płonącej pochodni. Simon

rozpoznał te ciemne oczy i władcze spojrzenie – była to kobieta, którą zobaczył w sypialni Josui. Szybko zbliżyła się do księcia; mężczyźni spoglądali na nią z nieukrywanym zainteresowaniem. Josua wydawał się zakłopotany. Kiedy kobieta nachyliła się i szeptała mu coś do ucha, on siedział wpatrzony w swój puchar.

– Kim jest ta kobieta? – zapytał szeptem Simon i sądząc po licznych szeptach, nie był jedynym, który zadawał w tej chwili to pytanie.

– Nazywa się Vorzheva. Jest córką lorda klanu Thrithingów i... jak to się mówi? Kobietą księcia. Mówią, że jest piękna.

– Rzeczywiście jest – przyznał Simon, wpatrując się w kobietę. Po chwili zwrócił się do Binabika: – „Mówią”! Co znaczy: „mówią”? Przecież ona jest tutaj!

Lady Vorzheva najwyraźniej przekazała już swoją wiadomość, gdyż wysłuchawszy odpowiedzi Josui, wyszła płynnym krokiem, pozostawiając za sobą szelest szkarłatnej sukni.

Książę uniósł wzrok i Simonowi wydało się, że pod maską spokoju dostrzegł na jego twarzy jakby zakłopotanie.

– Tak więc – zaczął Josua – mówiliśmy o... tak, baronie Devasalles?

Strojniś z Nabbanu wstał.

– Wasza Wysokość, mówiłeś, że powinniśmy traktować tutaj Eliasa tylko jako Króla. Tak jednak nie jest.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Josua, starając się wznieść swój głos ponad pomruki dezaprobaty swoich poddanych.

– Za pozwoleniem, książę, oto, co mam do powiedzenia: gdyby on był tylko Królem, nie byłoby nas tutaj, a przynajmniej nie przysłałby mnie tutaj książę Leobardis. Jesteś drugim synem Prestera Johna. Z jakich innych powodów podróżowalibyśmy tak daleko? Gdyby ktoś miał jakieś skargi na

Hayholt, udałby się do Sancellan Mahistrevis albo do Taig w Hernysadharc. Ale ty jesteś jego bratem, czyż nie? Bratem Króla!

Na ustach Josui pojawił się chłodny uśmiech.

– Tak, baronie, jestem nim. I wiem, o co ci chodzi.

– Dziękuję, Wasza Wysokość. – Devasalles skłonił lekko głowę. – Pozostaje pytanie, czego ty pragniesz, książę? Zemsty? Tronu? Czy tylko ugody z chciwym Królem, który pozostawi cię w spokoju tutaj, w Naglimundzie?

Po tych słowach w sali zawrzało; Erkynlandczycy wydawali głośne pomruki niezadowolenia, niektórzy z nich wstali, marszcząc groźnie brwi i ruszając nerwowo wąsami. Lecz zanim ktokolwiek zdążył zabrać głos, Gwythinn z Hernystiru zerwał się na nogi i pochylił nad stołem w stronę barona Devasallesa.

– Szlachcic z Nabbanu chce odpowiedzi, no to ją otrzyma! Walka! Elias znieważył ród mego ojca i jego tron. Przysłał do Taig swego namiestnika, który groził nam i straszył nas, jakby przyjechał ukarać nieposłuszne dzieci. Nie ma się nad czym rozwodzić – jesteśmy gotowi do walki!

Kilkunastu innych mężczyzn głośno poparło śmiałe słowa Hernystirczyka, lecz Simon, który skończył właśnie kolejny puchar wina, rozejrzał się mglistym wzrokiem i zobaczył, że większość zebranych wygląda na zaniepokojonych i szepce cicho do swych sąsiadów. Binabik siedział nachmurzony, upodabniając się tym samym do księcia.

– Wysłuchajcie mnie! – zawołał Josua. – Nabban ustami swego wysłannika Leobardisa zadał trudne, lecz uczciwe pytania, dlatego zaraz na nie odpowiem. – Popatrzył chłodno na Devasallesa. – Nie jest mym życzeniem, by zostać Królem, baronie. Mój brat wiedział o tym, lecz mimo to pojmał mnie, zabił kilkunastu moich ludzi i więził mnie w lochu. – Jeszcze raz wzniósł ramię z obręczą. – Za to – tak! Pragnę zemsty. Lecz

gdyby Elias sprawował rządy dobrze i sprawiedliwie, wyrzekłbym się tej zemsty dla dobra Osten Ard, a w szczególności dla dobra mojego Erkynlandu. Co do ugody... nie wiem, czy jest ona możliwa. Elias stał się człowiekiem niebezpiecznym i trudnym we współżyciu; niektórzy mówią nawet, że są chwile, gdy popada w obłęd.

– Kto mówi? – spytał Devasalles. – Lordowie, którzy grymaszą pod jego ciężką ręką? Mówimy tutaj o możliwości wojny, która może poróżnić nasze kraje. Cóż byłby za wstyd, gdyby okazało się, że wszczęliśmy ją na podstawie jakichś pogłosek.

Josua odchylił się do tyłu i skinął na pazia, któremu szepnął coś do ucha. Chłopiec pomknął jak strzała i zniknął w ciemnym korytarzu.

Teraz wstał muskularny brodacz ubrany w białe futro i obwieszony srebrnymi łańcuchami.

– Jeśli baron mnie nie pamięta, to mu przypomnę, kim jestem – odezwał się, lecz widać było, że czuje się niezręcznie. – Nazywam się Ethelferth, lord Tinsett, i jedno tylko chcę powiedzieć: jeśli mój książę mówi, że Król postradał zmysły, to mnie to wystarczy. – Po tych słowach usiadł nachmurzony.

Josua wstał; jego gibkie ciało wznosiło się nad stołem niczym wąż.

– Dziękuję, lordzie Ethelferth, za dobre słowo. Lecz – rozejrzał się po zebranych, którzy ucichli, by go wysłuchać – nikt nie musi wierzyć w to, co ja czy też moi poddani mówią. Ufam jednak, że uwierzycie słowom kogoś, kto przebywając u boku Eliasa, poznał sposoby jego postępowania. – Skinął dłonią w kierunku drzwi, w których przedtem zniknął paź. Chłopiec pojawił się w nich ponownie, a za nim dwie osoby. Jedną z nich była lady Vorzheva. Druga, ubrana w błękitną suknię, minęła Vorzhevę i stanęła w blasku świecznika przy ścianie.

– Oto – powiedział Josua – księżniczka Miriamele, córka Wielkiego Króla.

Simon gapił się z rozdziawionymi ustami na kosmyki krótkich, złocistych włosów, pozbawionych teraz maskującej je czarnej farby, które wymykały się spod welonu i korony; wpatrywał się w tę tak dobrze mu znaną twarz i czuł, że robi mu się niedobrze. Uniósł się, podobnie jak wielu innych, lecz okazało się, że kolana ma bardzo miękkie, więc opadł na krzesło. Jak? Dlaczego? To była jej tajemnica – jej cholerna, zdradziecka tajemnica!

– Marya – szepnął, a ona usiadła na krześle, które podsunął jej Gwythinn, dziękując mu wdzięcznym skinieniem głowy. Kiedy wszyscy inni usiedli, wyrażając głośno swe zdziwienie, Simon zdołał wreszcie wstać.

– Ty... – zwrócił się do Binabika i chwycił trolla za ramię – ty... czy ty wiedziałeś?

Wydawało się, że troll chce coś powiedzieć, lecz w rezultacie skrzywił się tylko i wzruszył ramionami. Simon spojrzał ponad głowami siedzących i zobaczył, że Marya... Miriamele patrzy na niego swymi wielkimi, smutnymi oczami.

– A niech to! – wycedził, po czym odwrócił się i wyszedł szybko, czując, jak do oczu napływają mu łzy wstydu.

32. Wieści z Północy

TAK, MŁODZIEŃCZE – powiedział Towser, odsuwając kolejny dzban – masz całkowitą rację. Same z nimi kłopoty. Zawsze tak będzie.

Simon popatrzył zmrużonymi oczami na starego błazna, który nagle wydał mu się źródłem wszelkiej wiedzy.

– Piszą listy – odezwał się Simon i pociągnął solidny łyk wina – w których kłamią. – Odstawił kielich na stół i przyglądał się, jak trunek chlupoce w jego wnętrzu, grożąc przelaniem się przez brzeg naczynia.

Towser odchylił się do tyłu i oparł o ścianę swego pokoju, który przypominał pudełko. Był tylko w płóciennym kaftanie i widać było, że nie golił się od paru dni.

– Rzeczywiście piszą takie listy – powiedział, kiwając smutno brodą pokrytą białą szczeciną. – Czasem opowiadają o tobie kłamstwa innym damom.

Simon zmarszczył brwi i zastanowił się nad słowami Towsera. Pewnie dokładnie tak postąpiła Marya i opowiedziała tym wszystkim damom o głupim podkuchennym, z którym płynęła łodzią po rzece Aelfwent. Cały Naglimund już z pewnością opowiadał sobie tę zabawną historyjkę.

Pociągnął kolejny łyk i poczuł gorycz powracającej do ust żółci. Odstawił puchar. Towser wstał z trudem.

– Zaraz, zaraz – mrucząc, podszedł do drewnianej skrzyni i zaczął w niej czegoś szukać. – A niech to, wiem, że gdzieś tu musi być.

– Powinienem się domyślić! – Simon upominał samego siebie. – Napisała do mnie liścik. Skąd służąca umiałaby pisać lepiej ode mnie?

– Tu jest tylko ta przeklęta struna do lutni! – Towser nie przerywał swych poszukiwań.

– Ale, Towser, ona napisała do mnie; napisała, żeby mnie Bóg błogosławił, i nazwała mnie „przyjacielem”.

– Co? A to dobrze, chłopcze, bardzo dobrze. Takiej ci właśnie trzeba dziewczyny, a nie jakiejś tam zarozumiałej damulki, która będzie na ciebie patrzyła z góry, jak tamta! Ach! Tu jesteś!

– Co? – Simon nie nadążał za myślami Towsera. Był pewien, że mówił tylko o jednej dziewczynie – o tej arcyzdrajczyni, zmieniającej tożsamość Maryi... czy też Miriamele... w końcu nie miało to już większego znaczenia.

„Ale przecież zasnęła na moim ramieniu”. Poprzez zamroczenie winem przypomniał sobie jej ciepły oddech na swym policzku i poczuł dotkliwe ukłucie straty.

– Spójrz na to, chłopcze. – Towser stał nad nim, chwiejąc się, i trzymał w wyciągniętej dłoni coś białego. Simon patrzył zdumiony.

– Co to jest?

– Szal. Na zimną pogodę. Widzisz tutaj? – Starzec wskazał zgiętym palcem na litery pisma runicznego, które wyhaftowano na białym szalu ciemnoniebieską nicią. Kształt liter przypomniał mu coś, co wywołało u niego zimny dreszcz pomimo zamroczenia winem.

– Co to za pismo? – spytał nieco trzeźwiejszym głosem.

– To pismo runiczne Rimmersgardczyków – wyjaśnił błazen i uśmiechnął się zamyślony. – Tutaj jest napisane „Cruinh” – tak brzmi moje prawdziwe imię. Pewna dziewczyna utkała ten szal i wyhaftowała litery. Dla mnie. Kiedy byłem z moim ukochanym Królem Johnem w Elvritshalli. – Nieoczekiwanie Towser zaczął płakać. Szukając po

omacku, doszedł do stołu i opadł ciężko na twarde krzesło. Po chwili przestał szlochać, lecz jego zaczerwienione oczy pełne były łez i przypominały kałuże po letniej ulewie.

Simon nie odzywał się.

– Powinienem był się z nią ożenić – przemówił wreszcie Towser. – Ale ona nie chciała opuścić rodzinnych stron, nie chciała pojechać do Hayholt. Bała się zostawić swoją rodzinę, bała się obcych stron. Biedna dziewczyna, umarła już dawno temu. – Głośno pociągnął nosem. – A czy ja mogłem zostawić kochanego Johna?

– Co ty mówisz? – spytał Simon. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy widział pismo runiczne Rimmersgardczyków, czy też nie próbował sobie aż tak bardzo przypominać. Łatwiej było siedzieć w blasku świecy i pozwolić mówić staremu błaznowi. – Kiedy w... byłeś w Rimmersgardzie? – spytał.

– Ach, chłopcze, to było wiele lat temu. – Towser wytarł oczy bez większego zażenowania, a potem wytarł też głośno nos w olbrzymią chusteczkę. – Zdarzyło się to po bitwie pod Naarvedem. Spotkałem tę dziewczynę w roku, który nastąpił po tamtej bitwie.

– Co to za bitwa pod Naarvedem? – spytał Simon, sięgając po dzban, by nalać sobie jeszcze wina, lecz po namyśle zrezygnował. Zastanawiał się, co dzieje się w tej chwili w sali narad.

– Naarved? – Towser wybałuszył oczy. – Nie znasz Naarvedu? Tam John pokonał starego króla Jormgruna i jako Wielki Król objął swymi rządami Północ.

– Chyba niewiele wiem o tym – powiedział Simon zawstydzony. „Ile trzeba by było się nauczyć, żeby poznać świat!” – pomyślał. – Czy to była słynna bitwa?

– Oczywiście! – Oczy Towsera zalśniły. – John oblegał Naarved przez całą zimę. Jormgrun i jego ludzie nie sądzili, że południowcy,

Erkynlandczycy, będą w stanie przetrwać surową zimę krainy Rimmersgard. Byli przekonani, że John odwoła oblężenie i wróci na Południe. Ale John dopiął swego! Nie dość, że przełamał opór Naarvedu, to jeszcze w czasie końcowego ataku sam przedostał się przez mur twierdzy wewnętrznej i podniósł spuszczaną kratę w jej bramie. Odparł atak dziesięciu napastników, zanim przeciął linę. Potem zaatakował tak mocno, że rozbił tarczę Jormgruna i zabił go przed jego własnym pogańskim ołtarzem!

– Naprawdę? Byłeś tam wtedy? – Simon słyszał tę opowieść, lecz o wiele bardziej ekscytujące było usłyszeć ją z ust naocznego świadka.

– Można powiedzieć, że tak. Byłem w obozie Johna; zabierał mnie wszędzie z sobą. Stary, dobry Król.

– W jaki sposób Isgrimnur został księciem?

– Ach. – Dłoń Towsera, która dotąd mięła biały szal, powędrowała w kierunku dzbana i chwyciła go mocno. – Widzisz, najpierw księciem był jego ojciec, Isbeorn. Pierwszy spośród pogańskich szlachciców został nawrócony i przyjął łaskę Usiresa Aedona. John uczynił jego dom pierwszym w Rimmersgardzie. Dlatego syn Isbeorna jest dzisiaj księciem i tak gorliwym Aedonitą, że drugiego takiego nie znajdziesz.

– A co się z stało z synami króla Jorg-jak mu tam? Czy oni nie chcieli stać się Aedonitami?

– Och! – Towser machnął dłonią lekceważąco. – Zdaje się, że wszyscy zginęli w walkach.

– Hmm. – Simon rozsiadł się wygodnie na krześle. Starając się pominąć trudny do zrozumienia problem pogaństwa i religii, spróbował wyobrazić sobie tamtą ogromną bitwę. – Czy Król John miał już wtedy swój Biały Gwóźdź? – spytał.

– Tak, miał go – odparł Towser. – Na Boskie Drzewo, pięknie wyglądał w walce. Biały Gwóźdź lśnił tak bardzo i śmigał tak szybko; mówię ci, jeden błysk, czasami John wyglądał, jakby otaczało go jakieś święte, srebrzyste światło. – Stary błazen westchnął.

– Ale kim była tamta dziewczyna?

Towser patrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

– Jaka dziewczyna?

– Ta, która zrobiła dla ciebie szal.

– Ach! – Towser zmarszczył czoło. – Sigmar. – Zamyślił się. – Widzisz, zostaliśmy tam prawie rok. Zarządzanie podbitym terenem to ciężka praca, tak, ciężka praca. Czasem wydawało mi się, że cięższa nawet od walk w tych przeklętych wojnach. Ona była dziewczyną sprzątającą komnaty, w których mieszkał wtedy Król – w których i ja mieszkałem. Miała włosy koloru złota, nie, jaśniejsze, prawie białe. Kusiłem ją, wabiłem, jakbym oswajał dzikiego źrebaka: tu miłe słówko, tam trochę dodatkowej żywności dla jej rodziny. Ach, jaka ona była ładna!

– Chciałeś się z nią ożenić?

– Chyba tak. Wiele lat minęło od tamtego czasu, chłopcze. Chciałem zabrać ją ze sobą, tak, tak było. Tylko że ona nie chciała pojechać ze mną.

Obaj zamilkli. Za grubymi murami zamku zawodził wiatr, niczym pies zapomniany przez swego pana. Świece skwierczały i ociekały woskiem.

– Gdybyś tak mógł powrócić – przemówił po jakimś czasie Simon – gdybyś mógł tam wrócić – Simon z trudem znajdował słowa na wyrażenie swej myśli – czy pozwoliłbyś jej odejść po raz drugi?

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Simon wyciągnął już dłoń, by trącić Towsera, lecz wtedy starzec poruszył się i chrząknął.

– Nie wiem – powiedział wolno. – Wydaje mi się, że stało się tak, jak chciał tego Bóg, ale przecież my musimy mieć wybór, prawda? Byłoby źle,

gdybyśmy nie mieli wyboru. Nie wiem; chyba nie zależy mi, aby zagłębiać się aż tak bardzo w przeszłość. Lepiej niech będzie tak, jak jest: wybór między dobrem i złem.

– Ale wybór wydaje się o wiele łatwiejszy po faktach – zauważył Simon, wstając. – Towser wpatrywał się w drżący płomień świecy. – Chodzi mi o to, że w chwili podjęcia decyzji nigdy nie wiemy wszystkiego. Dopiero później widzimy wszystko jasno.

Nagle Simon poczuł, że ogarnęło go zmęczenie; poczuł się bardziej zmęczony niż pijany. Podziękował za wino, pożegnał się ze starym błaznem i wyszedł na pusty dziedziniec w siekący deszcz.

SIMON ZESKROBYWAŁ BŁOTO Z BUTÓW, patrząc za odchodzącym w deszczu Haestanem. Ze zbocza wzgórza, gdzie stał, widać było dymy z kominów, które unosiły się ku szaremu niebu. Odwiązał miękką osłonę z miecza i obserwował, jak białe smugi słonecznych promieni strzelają spomiędzy chmur na północno-zachodnim krańcu nieba; te jasne ostrza mogły wskazywać na to, że istnieje jakieś lepsze, pogodniejsze miejsce poza obszarem burzy, albo też mogły być jedynie obrazem gry światła, obojętnej na świat i jego problemy. Simon czuł się samotny. Wśród tych kołyszących się traw, równie dobrze mógłby być kamieniem czy też pniem drzewa.

Przypomniał sobie, jak rano przyszedł po niego Binabik. Dopiero po jakimś czasie pukanie trolla dotarło do świadomości Simona. Jednak zignorował zarówno pukanie, jak i ciche nawoływania Binabika. Nie odpowiadał tak długo, aż ustały. Wtedy przewrócił się na drugi bok i zasnął ponownie. Nie był jeszcze gotowy, by spotkać się z trollem, dlatego z wdzięcznością pomyślał o dzielących ich drzwiach.

Haestan roześmiał się grubiańsko na widok zielonkawego odcienia skóry Simona, gdy ten pojawił się w strażnicy. Obiecując zabrać go kiedyś na prawdziwe picie, natychmiast zapędził Simona do ćwiczeń, by wypocił zły humor. W ciągu pierwszej godziny Simon miał wrażenie, że wraz z potem uchodzi z niego życie, lecz później poczuł, że krew zaczyna normalnie krążyć w jego żyłach. Walczył osłoniętą tarczą i mieczem. Haestan zmuszał go do jeszcze większego wysiłku niż poprzedniego dnia, lecz Simon był mu za to wdzięczny; miło było zapomnieć o wszystkich innych kłopotach i poddać się niezmiennemu rytmowi ataków, uników i kontrataków.

Teraz, czując, jak wiatr przenika jego mokrą od potu koszulę, zebrał broń i ruszył w górę zbocza do bramy głównej. Kiedy szedł przez błotnisty dziedziniec wewnętrzny, usuwając się przed oddziałem żołnierzy ubranych w grube, wełniane płaszcze, zmieniających strażników, wydało mu się, że Naglimund pozbawiony został wszelkich kolorów. Niewyraźne drzewa, szare peleryny gwardzistów Josui, bure szaty duchownych; wszystko, co znajdowało się w polu widzenia Simona, mogło zostać wycięte z kamienia, nawet spieszący się giermkowie przypominali jedynie figury, którym udzielono tylko na jakiś czas życia i które w pewnym momencie staną i zastygną w bezruchu.

Simon z pewną przyjemnością roztaczał przed sobą te i im podobne wizje. Lecz nagle zwrócił uwagę na kolorową plamę, jaka mignęła w drugim końcu długiego dziedzińca; jaskrawa plama pojawiła się tak nagle jak dźwięk trąbki w ciszy wieczoru.

Kolorowe jedwabie należały do trzech młodych kobiet, które wynurzyły się z bramy i szły przez dziedziniec, śmiejąc się głośno. Jedna miała na sobie suknię czerwono-złotą, druga żółtą, trzecia zaś ubrana była w długą

i lśniącą suknię koloru błękitnoszarego. W ułamku sekundy rozpoznał w niej Miriamele.

Nieświadomie ruszył za oddalającymi się kobietami i dopiero po chwili zdał sobie sprawę z tego, co robi. Musiał podbiec, gdyż kobiety zniknęły za długą kolumnadą; słyszał odgłosy ich rozmowy i poczuł się jak uwiązany pies, który nie może dopaść swej ofiary. Przebiegł jeszcze kilkadziesiąt kroków i wreszcie je dogonił.

– Miriamele! – zawołał, a słowo to wyszło z jego ust tak głośno, że sam zatrzymał się zdziwiony i zakłopotany. – Księżniczko? – dodał nieśmiało, gdy się odwróciła. Przez moment odczytał z jej twarzy, że go rozpoznaje, lecz chwilę później dostrzegł coś innego, coś, co – z przerażeniem stwierdził – przypominało raczej współczucie.

– Simon? – spytała, lecz jej wzrok mówił, że nie ma wątpliwości, kim jest.

Stali oddaleni zaledwie o parę łokci i patrzyli na siebie tak, jakby dzielił ich wąwóz. Oboje milczeli w nadziei, że głos jednego z nich połączy ich mostem. Wreszcie Miriamele powiedziała coś cicho do swych dwóch towarzyszek, których twarzom Simon się nie przyglądał, lecz które – był pewien – popatrzyły na niego z dezaprobatą. Obie wycofały się tyłem, odwróciły i poszły do przodu.

– Czuję się dziwnie, kiedy nie mogę nazywać cię Maryą, księżniczko. – Simon spojrzał na swe zabłocone buty i ubrudzone trawą spodnie, lecz zamiast wstydu poczuł dziwną, gwałtowną dumę. Może i był prostakiem, ale przynajmniej uczciwym prostakiem.

Księżniczka objęła wzrokiem całą jego postać i zatrzymała się na jego twarzy.

– Przepraszam, Simonie. Nie okłamałam cię dlatego, że chciałam, ale dlatego, że musiałam tak postąpić. – Rozłożyła dłonie w geście

bezradności. – Przepraszam.

– Nie... nie trzeba przepraszać. Tylko... tylko... – zaciskając dłonie na pochwie miecza, szukał odpowiednich słów – tylko to wszystko wydaje się takie dziwne.

Teraz on się jej przyglądał. Stwierdził, że piękna suknia – która, jak zauważył, miała zielone paski, wyrażające być może jej lojalność w stosunku do ojca – dodawała wdzięku tamtej Maryi, którą pamiętał, ale i coś ujmowała. Musiał przyznać, że prezentuje się ładnie; jej delikatne rysy były teraz uwydatnione niczym drogocenny kamień. Jednocześnie nie było w niej tej figlarności, prostoty, beztroski, jakie – pamiętał – posiadała Marya, z którą podróżował po rzece i z którą spędził okropną noc na Przełazie. Ta smutna twarz nie przypominała w niczym tamtej dziewczyny, może jeszcze cień wspomnienia czaił się w kosmykach krótko obciętych włosów, wymykających się spod kaptura.

– Czy miałaś włosy ufarbowane na czarno? – spytał.

Uśmiechnęła się zawstydzona.

– Tak. Powzięłam pewne postanowienia jeszcze na długo przed moją ucieczką z Hayholt. Obcięłam włosy. Przedtem były bardzo długie – dodała z dumą. – Później dałam je pewnej kobiecie z Erchesteru, aby zrobiła z nich perukę. Leleth mi ją przyniosła. W ten sposób mogłam ukryć moje włosy, które ufarbowałam na czarno, i obserwować otoczenie mego ojca, pozostając nierozpoznana, oraz przysłuchiwać się rozmowom, których inaczej nigdy bym nie usłyszała.

Pomimo skrępowania Simon nie mógł ukryć swego podziwu dla jej przebiegłości.

– Ale dlaczego mnie szpiegowałaś? Ja nie byłem nikim ważnym.

Księżniczka splatała i rozplatała dłonie.

– W rzeczywistości nie szpiegowałam cię, przynajmniej pierwszego razu. Podsłuchiwałam, jak ojciec sprzeczał się z wujem w kaplicy. Później... rzeczywiście, śledziłam cię. Widziałam cię wcześniej w zamku, jak sobie chodzisz, nikt ci nie mówi, gdzie masz pójść, co zrobić, do kogo się uśmiechać, z kim rozmawiać... zazdrościłam ci.

– Nikt nie mówi, co mam robić! – Simon uśmiechnął się. – W takim razie nigdy nie spotkałaś Rachel, zwanej Smokiem, dziewczyno! – Po chwili poprawił się. – To znaczy, księżniczko.

Miriamele też się uśmiechnęła, lecz tylko przez chwilkę; zaraz na jej twarzy pojawił się wyraz zażenowania. Simon dusił w sobie żar gniewu, jaki tlił się w nim przez całą noc. Kim ona była, aby czuć się zażenowaną w jego towarzystwie? Czy to nie on ściągnął ją z drzewa? Czy nie zasnęła z głową na jego ramieniu? „Tak, ale to chyba głębszy problem” – pomyślał.

– Muszę iść. – Uniósł pochwę, jakby chciał jej pokazać jakiś szczegół. – Ćwiczyłem przez cały dzień. Pewnie twoje towarzyszki czekają na ciebie. – Miał się już odwrócić, lecz zamiast tego przyklęknął na jedno kolano. Na jej twarzy, pozbawionej nieomal wyrazu, pojawiło się jeszcze większe onieśmielenie, jeszcze większy smutek. – Księżniczko – powiedział i oddalił się. Nie obejrzał się, by sprawdzić, czy patrzy za nim. Szedł wyprostowany, z wysoko podniesioną głową.

W DRODZE DO SWEGO POKOJU spotkał Binabika. Troll miał na sobie strój, który zdaje się uchodził za uroczysty – biała kamizelka z jeleniej skóry i naszyjnik z ptasich czaszek. Simon przywitał się z nim chłodno. Ze zdziwieniem stwierdził, że zamiast gniewu, jaki go wypełniał jeszcze parę godzin temu, teraz czuł w sobie jedynie pustkę.

Troll zaczekał, aż Simon oczyści buty z błota na progu, po czym poszedł za nim do pokoju, gdzie Simon włożył koszulę, którą Strangyeard

uprzejmie mu zostawił.

– Simonie, wiem, że jesteś na mnie zły – zaczął Binabik. – Chcę, żebyś zrozumiał, iż nie wiedziałem nic o księżniczce aż do chwili, gdy Josua mi o tym powiedział przedwczoraj wieczorem.

Koszula duchownego była za długa nawet na wysokiego i chudego Simona, więc wsunął jej poły w spodnie.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś? – zapytał. Z zadowoleniem stwierdził, że jest w stanie myśleć już jasno i że pozbył się zamroczenia po wczorajszym pijaństwie. Nie widział powodu, dla którego miałby się przejmować wykrętami trolla, od dawna już polegał tylko na sobie.

– Dlatego, że dałem słowo. – Binabik wyglądał na bardzo nieszczęśliwego. – Dałem słowo, zanim jeszcze dowiedziałem się, czego ono dotyczyło. Ale to był przecież tylko jeden dzień, czy miało to aż tak wielkie znaczenie? Myślę, że to ona powinna była wyjawić nam swą tajemnicę.

W rzeczywistości troll miał rację, lecz Simonowi nie podobało się, że ktoś krytykuje Miriamele, choć on sam obwiniał ją o dużo większe, choć może subtelniejsze przewinienia.

– Teraz to już nie ma znaczenia – powiedział tylko.

Binabik próbował się uśmiechnąć.

– Mam nadzieję, że jest tak, jak mówisz. – Teraz najważniejszą rzeczą jest Raed. Musisz przedstawić swoją opowieść i sądzę, że nastąpi to dziś wieczór. Wychodząc wczoraj, nie straciłeś wiele. Głos zabierał głównie baron Devasalles, który chciał się upewnić, że Nabbańczycy dobrze zrobią, popierając księcia Josuę. Za to dzisiejszy wieczór...

– Nie chcę tam iść. – Simon podwinął rękawy, które zwisały znacznie poza jego dłonie. – Pójdę do Towsera albo do Sangfugola. – Przez chwilę mocował się z mankietem. – Czy będzie tam księżniczka?

Troll wydawał się zakłopotany.

– Kto wie? Ale, Simonie, *ty* jesteś tam potrzebny. Przybył Isgrimnur z Rimmersgardczykami. Przyjechali wściekli i ubłoceni na spienionych koniach. Będą rozmawiali o ważnych sprawach.

Simon utkwił wzrok w podłodze. Łatwiej byłoby pójść do harfiarza i napić się z nim wina; tak, był to sposób na zapomnienie o problemach. Z pewnością poznałby też znajomych Sangfugola, gwardzistów, którzy wydawali się dobrymi kompanami. Mogliby razem pójść do miasta. Nie miał jeszcze okazji obejrzenia go. Byłoby to o wiele prostsze niż siedzenie w ogromnej sali, nad którą wisiał ciężar decyzji, decyzji dotyczącej wszystkich. Niech inni dyskutują, martwią się; on jest przecież tylko zwykłym podkuchennym, który i tak od dawna już znalazł się w świecie wykraczającym poza jego zdolność pojmowania. Czy tak nie było najlepiej? Czyż nie?

– Pójdę – odezwał się wreszcie – ale ja zdecyduję, czy chcę coś powiedzieć, czy nie.

– Zgoda! – powiedział Binabik, uśmiechając się, lecz Simon nie potrafił odwzajemnić się tym samym. Włożył swój płaszcz, czysty już, lecz wciąż pełen śladów po podróży przez las, i poszedł za Binabikiem do sali narad.

I TAK TO WYGLĄDA! – krzyczał książę Isgrimnur z Elvritshalli. – Jakich jeszcze potrzeba dowodów? Wkrótce zagarnie wszystkie nasze ziemie!

Isgrimnur – jak i jego ludzie – nie miał nawet czasu, by zdjąć strój podróżny. Z jego przemoczonego płaszcza ściekała woda, tworząc na kamiennej podłodze kałużę. – I pomyśleć, że kiedyś sam niańczyłem tego potwora! – Położył dłoń na piersi i spojrzał na swych ludzi, jakby u nich szukał poparcia; wszyscy przytaknęli mu ze smutkiem, tylko Einskaldir siedział nieruchomo z oczami jak szparki.

– Książę! – zawołał Josua, unosząc dłoń. – Isgrimnurze, usiądź, proszę. Wpadłeś tutaj jak burza i krzyczysz przez cały czas, a ja w dalszym ciągu nie rozumiem, co...

– Co zrobił Król, twój brat? – dokończył czerwony z gniewu Isgrimnur i spojrzał na Josuę tak, jakby miał go przerzucić sobie przez kolano. – On ukradł moje ziemie! Oddał je zdrajcom, którzy uwięzili mego syna! Co jeszcze miałby zrobić, żeby udowodnić, że jest wcielonym diabłem?

Zebrani w sali lordowie i generałowie, którzy skoczyli na nogi, gdy w sali pojawili się rozgniewani Rimmersmeni, teraz siadali z powrotem na twardych, drewnianych krzesłach, mrucząc pod nosem i wsuwając do pochew na wpół wyciągnięte miecze.

– Isgrimnurze, czy mam poprosić twoich ludzi, żeby za ciebie mówili? – spytał Josua. – Czy też powiesz nam wreszcie, co się stało?

Stary książę spojrzał gniewnie na Josuę, po czym uniósł dłoń i przesunął nią po twarzy, jakby chciał zetrzeć pot. Simon miał wrażenie, że książę się rozpłacze; na jego czerwonej twarzy pojawił się wyraz beznadziejnej rozpaczy – patrzył jak osaczone zwierzę. Zrobił krok w tył i usiadł. – Oddał moje ziemie Skalemu Ostronosemu – przemówił po chwili; pozbawione gniewu jego słowa zabrzmiały pusto. – Nic już nie posiadam i nie mam dokąd pójść, chyba że tutaj.

W tym momencie wstał Ethelferth z Tinsett. Jego szeroka twarz wyrażała współczucie dla starego księcia.

– Książę, opowiedz nam, co się stało – powiedział. – Jesteśmy tu, by dzielić wspólny smutek, ale łączy nas także wieloletnie braterstwo. Będziemy dla siebie wzajemnie mieczem i tarczą.

Książę popatrzył na niego z wdzięcznością.

– Dziękuję, lordzie Ethelferth. Jesteś dobrym towarzyszem z Północy. – Po tych słowach zwrócił się do pozostałych. – Wybaczcie moje zachowanie.

Nie tak przekazuje się wieści. Pozwólcie więc, że opowiem wam o paru rzeczach, o których powinniście wiedzieć. – Isgrimnur podniósł wolny puchar i wypił go do dna. Część słuchaczy, spodziewając się długiej opowieści, zawołała na giermków, by napełnili ich puchary.

– Z pewnością wiecie już o wielu rzeczach, jakie się wydarzyły, gdyż opowiedział wam o nich Josua: tak więc powiedziałem Eliasowi, że nie będę siedział dłużej w Hayholt na jego rozkaz, kiedy śniegi i mrozy zabijają moich ludzi i niszczą moje miasta, a mój młody syn musi sprawować rządy pod moją nieobecność. Król jednak nie pozwalał mi wyjechać przez wiele miesięcy, aż wreszcie się zgodził. Zebrałem więc ludzi i wyruszyłem na Północ. Po pierwsze zostaliśmy napadnięci w klasztorze świętego Hoderunda; zanim wpadliśmy tam w zasadzkę, napastnicy wymordowali tamtejszych mnichów. – Isgrimnur uniósł dłoń i dotknął drewnianego Drzewa, które nosił na piersi. – Podjęliśmy z nimi walkę, lecz uciekli. Nie zdołaliśmy ich dogonić, gdyż powstrzymała nas dziwna burza.

– Nie słyszałem o tym – powiedział Devasalles, wpatrując się w Isgrimnura. – Kto was napadł w klasztorze?

– Nie wiem – odparł Rimmersman z miną pełną obrzydzenia. – Nie udało nam się wziąć ani jednego więźnia, chociaż paru z nich posłaliśmy do piekła. Niektórzy z nich wyglądali na Rimmersgardczyków. Wtedy byłem pewny, że to najemnicy, lecz teraz sam nie wiem, co o tym sądzić. Zabili jednego z moich krewnych. Po drugie, kiedy założyliśmy obóz na północ od Pola Klęski, zaatakowały nas ohydne Bukkeny, duża grupa, i to na otwartej przestrzeni! Zaatakowały obóz pełen uzbrojonych ludzi! Ich atak także odparliśmy, chociaż nie obyło się bez ofiar. Hani, Thrinin, Ute z Saegard...

– Bukkeny? – Trudno było powiedzieć, czy uniesione brwi Devasallesa wyrażały zdziwienie czy pogardę. – Książę, czy chcesz powiedzieć, że ty

i twoi ludzie zostaliście zaatakowani przez legendarne ludki?

– Legendarne może i są na Południu – zauważył kpiąco ze swego miejsca Einskaldir. – W cieplutkich dworach Nabbanu należą może tylko do legendy, lecz u nas, na Północy, wiemy, że istnieją naprawdę, i zawsze mamy w pogotowiu ostry topór.

Baron Devasalles nasrożył się, lecz zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Simon odczuł jakiś ruch u swego boku i usłyszał inny głos.

– Ignorancja i nieporozumienia panoszą się powszechnie zarówno na Południu, jak i na Północy – przemówił Binabik, wchodząc na swe krzesło i wspierając się na ramieniu Simona. – Bukkeny, zwane kopaczami, nie kopią swych dziur zbyt daleko poza północnymi granicami Erkynlandu, co nie oznacza jeszcze, że nie istnieją w ogóle.

Devasalles – podobnie jak wielu innych – otworzył usta zdziwiony.

– A czy to jest jeden z nich, który przybył tutaj w roli emisariusza? Teraz, skoro widziałem już wszystko, co można zobaczyć pod słońcem, mogę umrzeć szczęśliwy!

– Jeśli ja będę najdziwniejszą rzeczą, jaką zobaczysz w ciągu najbliższego roku... – zaczął Binabik, lecz przerwał mu Einskaldir, który zerwał się ze swego miejsca i stanął u boku zaskoczonego Isgrimnura.

– To jest coś gorszego od Bukkenów! – warknął. – To jest troll, piekielna istota. – Krzycząc, próbował odtrącić powstrzymującego go Isgrimnura. – Co robi tutaj ten złodziej dzieci?

– Robi więcej dobrego niż ty, brodaty i gburowaty idioto! – odciął się Binabik.

Wokół rozległy się liczne okrzyki i pomruki. Simon objął trolla wpół, gdyż ten pochylił się tak mocno do przodu, iż groziło, że przewróci się na stół. Wreszcie nad pozostałymi rozległ się przywołujący wszystkich do porządku głos Josui:

– Na krew Aedona! Przestańcie! Czy jesteście mężami czy dziećmi? Isgrimnurze, Binabik z Yiqanuc przybył tutaj na moje zaproszenie. Jeśli twoi ludzie nie chcą respektować obyczajów, jakie panują na mym dworze, to mogą się przekonać, czy lepsze panują w mojej celi więziennej. Żądam przeprosin!

Książę pochylił się do przodu niczym spadający na ofiarę jastrząb i Simon dostrzegł w tym momencie jego ogromne podobieństwo do zmarłego Króla Johna. Oto widział Josuę, jakiego pragnął zobaczyć!

Isgrimnur skłonił głowę.

– Przepraszam za mego poddanego. Jest porywczy i nie przywykł do dworskich grzeczności. – Rimmersman rzucił wściekłe spojrzenie na Einskaldira, który mrucząc coś pod nosem, usiadł na swoim miejscu ze wzrokiem utkwionym w podłogę. – Nasz lud i trolle to odwieczni wrogowie – wyjaśnił Isgrimnur.

– Trolle z Yiqanuc nie są niczyimi wrogami – odparł Binabik buńczucznie. – To tylko Rimmersmeni tak bardzo się boją naszej ogromnej siły i wyglądu, że atakują nas za każdym razem, gdy tylko nas zobaczą, nawet na dworze księcia Josui.

– Dosyć. – Josua machnął dłonią zniecierpliwiony. – Nie czas na odgrzebywanie starych waśni. Binabiku, będziesz miał okazję zabrać głos. Isgrimnurze, nie skończyłeś swojej opowieści.

Devasalles chrząknął głośno.

– Książę, pozwól mi jeszcze coś powiedzieć. – Zwrócił się do Isgrimnura. – Mając przed sobą trolla z... Yiqanuc?... łatwiej jest mi uwierzyć w twą opowieść o Bukkenach. Daruj me wątpliwości.

Twarz Isgrimnura wypogodziła się nieco.

– Nie mówmy już o tym, baronie. Zapomnę o tym i mam nadzieję, że i ty puścisz w niepamięć słowa Einskaldira. – Książę zamilkł na chwilę, by

zebrać myśli. – Tak więc, jak już mówiłem, wszystko to było bardzo dziwne. Nawet we Frostmarch i dzikich ostępach Północy Bukkeny – dzięki Bogu – należą do rzadkości. Niespotykaną jest rzeczą, by atakowały tak mocno uzbrojone grupy jak nasza. Bukkeny są małe. – Spojrzał krótko na Binabika, potem na Simona. Wpatrywał się w niego przez chwilę, marszcząc brwi. – Małe... są małe, lecz zawzięte i niebezpieczne, gdy atakują grupami. – Isgrimnur potrząsał głową, jakby chciał się pozbyć widoku znajomej twarzy Simona, i powiódł wzrokiem po zebranych. – Udało nam się uciec i dotrzeć do Naglimundu. Szybko uzupełniliśmy zapasy i udaliśmy się na Północ. Chciałem jak najszybciej znaleźć się w domu, zobaczyć syna, żonę. Północne części traktów Wealdhelm i Frostmarch stały się niebezpieczne. Ci, których ziemie leżą na północ od Naglimundu, wiedzą, co mam na myśli. Dlatego z radością zobaczyliśmy światła Vestvennby po sześciu dniach podróży. Kiedy rankiem dotarliśmy do bram miasta, przywitał nas Storfot, tan Vestvennby – u was miałby tytuł barona – i pięćdziesięciu oddanych mu ludzi. I czy myślicie, że przyjechał, aby powitać swego księcia? Zakłopotany – nic dziwnego, miał powody, zdradziecki pies – mówi mi, że Elias obwołał *mnie* zdrajcą i przekazał moje ziemie Skalemu Ostronosemu. Storfot oświadczył, że Skali chce, abym się poddał, i że on, Storfot, zaprowadzi mnie do Elvritshalli, gdzie uwięziony jest mój syn, Isorn... oraz że Skali będzie łaskawy i sprawiedliwy. Sprawiedliwy! Skali z Kaldskryke, który zabił własnego brata w pijackiej bójce! On okaże mi łaskę pod moim własnym dachem! Gdyby moi ludzie mnie nie powstrzymali... gdyby mnie nie powstrzymali... – Isgrimnur zamilkł na chwilę i szarpał tylko nerwowo brodę. – Tak więc – ciągnął dalej – możecie się domyślić, że chciałem wypatroszyć Storfota na miejscu. Pomyślałem, że lepiej chyba umrzeć w walce, niż kłaniać się takiej świni jak Skali. Lecz lepiej będzie – jak słusznie zauważył Einskaldir – odzyskać

mój dwór i dać Skalemu do zjedzenia mój miecz. – Isgrimnur wymienił krótkie spojrzenie z Einskaldirem, po czym zwrócił wzrok na zebranych i uderzył dłonią w pustą pochwę. – A zatem przysięgam! Gdybym miał nawet czołgać się na mym tłustym brzuchu całą drogę do Elvritshalli, to przysięgam na Młot Dro... to znaczy na Usiresa Aedona – proszę o wybaczenie, biskupie Anodisie – że dotrę tam i wsadzę mój miecz Kvalnir w jego flaki aż po rękojeść.

Gwythinn, książę Hernystiru, który jak dotąd zachowywał się bardzo powściągliwie, uderzył nagle pięścią w stół. Na jego twarzy pojawił się rumieniec, lecz według Simona nie pochodził on od wina, choć Gwythinn wypił go już dużo.

– Dobrze! – powiedział. – Ale posłuchaj, Isgrimnurze. Problem w tym, że twym największym wrogiem nie jest Skali, ale sam Król!

Wokół stołu rozległy się głośne pomruki, lecz tym razem wyrażały one aprobatę. Wieść o odebraniu komuś ziem i przekazaniu ich jego wrogowi poruszyła prawie wszystkich.

– Hernystirczyk ma rację! – zawołał gruby Ordmaer, wstając. – To jasne, że Elias trzymał cię na swoim dworze tak długo, by umożliwić Skalemu jego zdradliwe działania. To Elias jest wszystkiemu winien.

– Posługuje się swymi, jakże chętnymi do pomocy, sługusami, Guthwulfem, Fengbaldem i innymi, aby wszystkich was ograbić! – krzyczał Gwythinn, nie starając się już opanować. – Elias chce pokonać nas wszystkich, dopóki nie będzie nikogo, kto przeciwstawiłby się jego nieudolnym rządom; chce ciągłymi podatkami doprowadzić nas do ubóstwa albo zgnieść pod butami swych rycerzy. Naszym wrogiem jest Wielki Król i dlatego musimy działać! – Gwythinn zwrócił się do Josui, który słuchał go w milczeniu jak szary posąg. – Ty, książę, musisz nas poprowadzić. Twój brat bez wątpienia ma plany co do nas wszystkich. Dowodem tego jest jego

zachowanie się wobec ciebie i Isgrimnura. Czy nie jest on naszym najbardziej niebezpiecznym wrogiem?

– Nie! Nie jest! – Głos ten zabrzmiał w ogromnej sali niczym trzaśnięcie bicza. Simon, podobnie jak i pozostali, odwrócił się, by zobaczyć, kto to powiedział. Głos nie należał do księcia, który patrzył nie mniej zdumiony od innych.

Starzec tak nagle wyszedł z cienia w blask pochodni umieszczonej na ścianie, że przez chwilę wydawało się, iż zmaterializował się z powietrza. Był wysoki i niesamowicie chudy; jego oczy ginęły w cieniu głębokich oczodołów pod mocno zarysowanymi brwiami. Miał na sobie płaszcz z wilczej skóry ściągnięty paskiem, za który zatknął swą długą, białą brodę. Simon miał wrażenie, że patrzy na jakiegoś ducha z pokrytego śniegiem lasu.

– Kim jesteś, starcze? – zawołał Josua. Dwóch z jego strażników stanęło po obu stronach jego krzesła. – I skąd się wziąłeś w mojej sali narad?

– To jeden ze szpiegów Eliasa! – wycedził lord z Północy, a inni mu przytaknęli.

Wstał Isgrimnur.

– Josuo, ja go tutaj przyprowadziłem – oznajmił książę. – Czekał na nas na drodze do Vestvennby. Wiedział, dokąd się udajemy, i wiedział też, że będziemy wracać. Powiedział mi, że w taki czy inny sposób musi dotrzeć tutaj i porozmawiać z tobą.

– Powiedziałem mu też, że im szybciej to zrobię, tym lepiej dla wszystkich – dokończył starzec wpatrzony swymi lśniącymi, niebieskimi oczami w Josuę.

– Mam wam do przekazania rzeczy ważne – wam wszystkim. – Popatrzył przenikliwie wokół stołu i szepty ustały. – Możecie mnie

wysłuchać albo nie; wybór należy do was. W takich sytuacjach zawsze macie wybór.

– To jakieś dziecinne zagadki – zadrwił Devasalles. – Kimże jesteś i co ci do tego, o czym tutaj radzimy? W Nabbanie – powiedział, uśmiechając się do Josui – wysłalibyśmy go do braci Vilderivanów, którzy opiekują się szaleńcami.

– Baronie, nie mówimy tutaj o południowych zwyczajach – odparł starzec; jego uśmiech był zimny jak sopel lodu – choć i Południe wkrótce także poczuje zimne palce na swym gardle.

– Dosyć! – krzyknął Josua. – Mów albo rzeczywiście każę cię zakuć w kajdany jako szpiega. Kim jesteś i po co do nas przybyłeś?

Starzec skłonił się sztywno.

– Wybacz. Nie przywykłem do dworskich ceremonii. Nazywam się Jarnauga, jeszcze do niedawna mieszkaniec Tungoldyru.

– Jarnauga! – powtórzył Binabik i wszedł na krzesło, by lepiej przyjrzeć się nowo przybyłemu. – To zadziwiające! Jarnauga! Hej, jestem Binabik! Byłem długo uczniem Ookequka!

Starzec utkwił w nim swój przenikliwy wzrok.

– Tak. Pomówimy wkrótce, najpierw powiem coś tutaj zebranym. – Stał wyprostowany przed krzesłem Josui. – Słyszałem, jak młody Hernystirczyk mówił o tym, że Król Elias jest wrogiem, i innych, którzy go poparli. Wy wszyscy jesteście myszkami, które szepcą cichutko w norkach o okropnym kocie i marzą, aby kiedyś się go pozbyć, lecz żadnemu z was nie przyszło do głowy, że to nie kota trzeba się bać, ale pana, który sprowadził kota, by zabił myszy.

Josua pochylił się do przodu z wyrazem niechęci na twarzy.

– Czy chcesz powiedzieć, że Elias jest tylko pionkiem w czyichś rękach? W czyich? Pewnie masz na myśli tego diabła, Pryratesa.

– Diabła? Może chciałby nim być – zaszydził starzec – ale to dzieciak. Ja mówię o tym, dla którego panowania królów są zaledwie chwilką. O tym, który zabierze o wiele więcej niż wasze ziemie.

Zebrani zaczęli szemrać między sobą.

– Czy ten szalony mnich wdarł się tutaj, żeby pouczać nas o działaniu diabła? – zawołał jeden z baronów. – Wszystkim wiadomo, że szatan posługuje się ludźmi dla swych celów.

– Nie mówię o waszym, aedonickim, szatanie – powiedział Jarnauga i ponownie zwrócił wzrok na Josuę. – Ja mówię o *prawdziwym* władcy zła w Osten Ard; jest on równie prawdziwy jak ten kamień – mówiąc to, kucnął i uderzył dłonią w podłogę – i jak ten kamień jest częścią tej ziemi.

– To bluźnierstwo! – krzyknął ktoś. – Wyrzucić go!

– Nie, niech mówi!

– Mów, starcze!

Jarnauga wzniósł dłonie.

– Nie jestem zgrzybiałym i zwariowanym mnichem, który przyszedł, aby uratować wasze zagubione dusze. – Uśmiechnął się słabo. – Przychodzę do was jako przedstawiciel Ligi Pergaminu. Całe swoje życie spędziłem, obserwując straszliwą górę zwaną Górą Burzową. My, członkowie Ligi – troll może to potwierdzić – od dawna czuwaliśmy, gdy inni spali. Teraz przychodzę, by wypełnić dawno złożone przyrzeczenie i opowiedzieć wam o rzeczach, o których z pewnością nie chcielibyście usłyszeć.

Zapadła nerwowa cisza, a starzec przeszedł w drugi koniec sali i otworzył drzwi prowadzące na dziedziniec. Wycie wiatru, które dotąd dochodziło do nich zza ściany niczym zduszone jęki, teraz zabrzmiało głośno w ich uszach.

– Mamy miesiąc Yuven! – powiedział Jarnauga. – Za kilka tygodni będziemy mieli środek lata! Posłuchajcie: czy Król, nawet nasz Wielki Król, potrafi sprawić *takie* rzeczy? – Niesiony wiatrem deszcz przeleciał obok niego jak obłok dymu. – W Wealdhelm pojawili się myśliwi, olbrzymy, kudłate Huneny. Bukkeny wypełzają z zimnej ziemi i atakują uzbrojonych ludzi we Frostmarch, a na Północy, na Burzowej Górze, płoną całymi nocami kowalskie ognie. Sam obserwowałem ich blask na tle nieba i słyszałem pracujące lodowe młoty! Jak myślicie, w jaki sposób Elias do tego doprowadził? Czy nie widzicie, że nadchodzi mroczna i sroga zima; zima niespotykana, zima, której umysły wasze nie są w stanie pojąć?

Ponownie wstał Isgrimnur; jego okrągła twarz była teraz blada, oczy zmrużone.

– Człowieku, niech mnie Udun Jednooki ma w swojej opiece, czy chcesz powiedzieć, że walczymy z... Białymi Lisami, o których słyszeliśmy w legendach?

Za nim rozległy się szepty i trwożne pytania.

Jarnauga wpatrywał się w księcia, a na jego surowej twarzy pojawił się wyraz współczucia, a może smutku.

– Ach, książę, gdyby chodziło tylko o Białe Lisy czy też Nornów, jak niektórzy ich nazywali, nie byłoby to takie straszne. Ale sama Utuk’ku, królowa Dornów, pani straszliwej Góry Burzowej, jest równie bezsilna jak Elias.

– Zaczekaj, człowieku. Powstrzymaj swój język. – Devasalles zerwał się gwałtownie, powiewając szatami. – Wybacz, książę Josuo, nie dość, że ten szaleniec wdziera się tutaj i przerywa naszą naradę, nie wyjaśniając, kim lub czym jest, to jeszcze zmusza mnie, wysłannika księcia Leobardisa, do marnowania czasu na wysłuchiwanie jego makabrycznych bajeczek z Północy! Mam tego dość!

Wszyscy zaczęli przekrzykiwać się jednocześnie, a Simon poczuł dziwny dreszcz podniecenia. I pomyśleć, że on i Binabik znaleźli się w samym centrum tych niesamowitych wydarzeń, wobec których wszystkie opowieści Shema, stajennego, były niczym! Lecz gdy pomyślał o opowieści, jaką może kiedyś opowie przy ogniu, przypomniały mu się pyski ogarów Nornów, blade twarze na ciemnej górze w jego snach i znowu rozpaczliwie zapragnął znaleźć się w kuchni, w Hayholt, by wszystko było tak jak dawniej, by nic, zupełnie nic się nie zmieniło...

Teraz wstał biskup Anodis, który przez cały czas wpatrywał się w nowo przybyłego wściekłym wzrokiem, niczym mewa obserwująca intruza na swym ulubionym terenie łowieckim.

– Muszę powiedzieć, i przyznaję to bez wstydu, że nie traktowałem zbyt poważnie tej... narady. Elias pewnie popełnił jakieś błędy, lecz Jego Świątobliwość, Lektor Ranessin, zgodził się przyjąć rolę mediatora, by przywrócić pokój wśród Aedonitów, jak również ich pogańskich sprzymierzeńców. – Tutaj kiwnął zdawkowo w stronę Gwythinna i jego ludzi. – Słyszę jednak, że mówi się tu tylko o wojnie i o rozlewie aedonickiej krwi z zemsty za jakieś tam błahe zniewagi.

– Błahe zniewagi?! – zagrzmiał Isgrimnur. – Biskup nazywa odebranie mi księstwa błahą zniewagą? A gdyby tak biskup wrócił do siebie i stwierdził, że jego kościół jest już tylko... stajnią Hyrków albo gniazdem trolli, wtedy zobaczylibyśmy, czy też byłaby to tylko „błaha zniewaga”?!

– Gniazdem trolli? – zawołał Binabik, wstając.

– No proszę, to tylko potwierdza moje zdanie – rzucił Anodis i zamachał swym Drzewem, jakby to był nóż, którym ogania się od bandytów. – Krzyczycie na osobę kościelną, gdy ona stara się was czegoś nauczyć. – Wstał. – Teraz jeszcze przychodzi ten... – tu wskazał Drzewem na Jarnaugę – ...ten brodaty pustelnik i opowiada bajki o czarownicach

i demonach, by jeszcze bardziej poróżnić synów Wielkiego Króla! W czyim imieniu to robi? Komu służy? – Trzęsąc się, z czerwoną twarzą biskup opadł na krzesło i sięgnął po puchar z wodą, który mu podsunięto.

Simon chwycił Binabika i tak długo go ciągnął, aż tamten usiadł.

– Wciąż żądam wyjaśnienia, co miało znaczyć „gniazdo trolli” – mruczał Binabik pod nosem, lecz widząc nieustępliwą twarz Simona, zacisnął usta i zamilkł.

Książę Josua siedział wpatrzony w Jarnaugę, który ze spokojem wytrzymywał jego spojrzenie.

– Słyszałem o Lidze Pergaminu – odezwał się wreszcie Josua. – Lecz nie wiedziałem, że jej członkowie próbowali wpływać na losy władców i państw.

– Ale ja nie słyszałem o tej tak zwanej Lidze – odezwał się Devasalles – i myślę, że czas już chyba, aby ten dziwny staruszek powiedział nam, kto go przysyła i co nam zagraża, jeśli nie jest to Wielki Król, jak wielu z nas uważa.

– Nareszcie zgadzam się w czymś z Nabbańczykiem! – krzyknął Gwythinn z Hernystiru. – Niech Jarnauga powie nam wszystko, żebyśmy mogli zdecydować, czy mu uwierzyć, czy też wyrzucić go z sali.

Książę Josua skinął głową. Stary Rimmersman rozejrzał się po pełnych oczekiwania twarzach, po czym wzniósł dłonie w dziwnym geście, dotykając kciuków palcami, jakby trzymał przed oczyma cieniutką nić.

– Dobrze – powiedział. – Dobrze. Tak więc weszliśmy na drogę, jedyną drogę, która może nas wyprowadzić z mrocznego cienia góry. – Rozpostarł ramiona, jakby rozciągał niewidzialną nić, i otworzył dłonie. – Opowieść dotycząca Ligi nie jest długa – zaczął – lecz jest ona częścią dłuższej opowieści. – Ponownie podszedł do drzwi, które jeden z paziów zdążył już zamknąć, aby zatrzymać ciepło w sali. Jarnauga dotknął framugi drzwi. –

Możemy zamknąć drzwi, ale nie oznacza to, że burze i grad ustaną. Tak samo i wy możecie nazwać mnie szaleńcem, lecz nie odejdzie przez to ten, który wam zagraża. Pięć wieków czekał, aby odebrać to, co według niego jemu się należy; a chłód i siła jego ręki są ponad wszelkie wyobrażenie. Opowieść o nim zawiera w sobie historię Ligi, która to historia w porównaniu z tamtą przypomina grot strzały wbity w pień drzewa i zarośnięty korą. Jego jest zima, która zajęła miejsce należne latu. Ona jest symbolem jego siły, gdyż on wyciąga dłoń i kształtuje rzeczy według własnej woli. – Jarnauga patrzył przed siebie płonącym wzrokiem. Długo nie słychać było innego odgłosu poza samotnym wyciem wiatru za ścianą.

– Kto to jest? – spytał wreszcie Josua. – Jak on się nazywa?

– Sądziłem, że może się domyślisz, książę – odparł Jarnauga. – Jesteś uczonym człowiekiem. Wasz wróg... nasz wróg zmarł pięćset lat temu; miejsce, gdzie zakończył swe pierwsze życie, znajduje się pod zamkiem, w którym zaczęło się twoje życie. Tym kimś jest Ineluki... Król Burz.

33. Z popiołów Asu’a

OPOWIEŚCI W OPOWIEŚCIACH – zaczął śpiewnym głosem Jarnauga, zdejmując płaszcz z wilczej skóry. Zebrani zaczęli szeptać, gdyż ich oczom ukazały się węże, które wiły się na ramionach starca. – Nie mogę opowiedzieć wam historii Ligi Pergaminu, dopóki nie zapoznacie się z historią upadku Asu’a. Nie można mówić o królu Eahlstanie Fiskerne – który założył Ligę jako zaporę przeciwko ciemności – nie wspominając o Inelukim, którego ciemność na nas opadła. Tak więc opowieści te są ze sobą splecione. Jeśli oddzielimy jedną, to będziemy mieli po prostu pojedynczą nić. Nie da się odtworzyć sceny z gobelinu na podstawie jednej tylko nici. – Mówiąc, Jarnauga przesuwał długimi palcami po powiązanej w warkoczyki brodzie; gładził ją i układał, jakby sama była gobelinem i mogła zobrazować jego słowa.

– Sithowie – zaczął – przybyli do Osten Ard na długo przed pojawieniem się tam ludzi. Nikt nie potrafi powiedzieć, kiedy przybyli, lecz tak się stało; przybyli ze Wschodu wraz ze wschodzącym słońcem i tam właśnie się osiedlili. W Erkynlandzie, na miejscu, gdzie stoi teraz Hayholt, powstało największe dzieło ich rąk: zamek Asu’a. Kopali głęboko w ziemi, by osadzić jego fundamenty w sercu Osten Ard. Potem powstały mury z masy perłowej, kości słoniowej i opali, wyższe od drzew, oraz wieże, które wznosiły się ku niebu niczym maszty okrętów; z tych wież widać było całe Osten Ard, z nich też bystroocy Sithowie obserwowali ogromny

ocean, oblewający zachodnie wybrzeże. Przez wiele lat mieszkali sami w Osten Ard. Na zboczach wzgórz budowali swe kruche miasta. W głębi lasów powstawały ich miasta-wzgórza podobne do lodowych kwiatów oraz leśne osady, które przypominały płynące w stronę lądu łodzie z wieloma masztami. Lecz największy był Asu'a; w nim rządzili długowieczni królowie Sithów. Pierwsi ludzie, którzy tam się pojawili, byli pasterzami albo rybakami; może przeszli jakimś nieistniejącym już pomostem lądowym wśród północnych bagien albo uciekali przed czymś strasznym z Południa czy też szukali po prostu nowych pastwisk. Sithowie nie interesowali się nimi więcej niż zdziczałym bydłem czy też dziką zwierzyną, nawet gdy kolejne pokolenia ludzi szybko się rozmnażały i zaczęły budować własne miasta z kamienia oraz wyrabiać z brązu broń i narzędzia. Dopóki nie ruszali własności Sithów i pozostawali na terenach przydzielonych im przez króla Erl, panował między nimi pokój. Nawet nabbańskie imperium na Południu – słynne ze swych sztuk i broni – w którego cieniu pozostawało całe Osten Ard, nie stanowiło zagrożenia dla Sithów.

Jarnauga zamilkł i zaczął się rozglądać za czymś do picia. Kiedy paź nalewał mu wina, pozostali wymieniali spojrzenia i szeptali zdziwieni.

– Opowiadał mi o tym wszystkim Doktor Morgenes – Simon szepnął do Binabika.

Troll uśmiechnął się i skinął głową, lecz wydawał się pogrążony we własnych myślach.

– Sądzę, że nie ma potrzeby – Jarnauga podjął swą opowieść głośniej, by przyciągnąć uwagę szepczących – wspominać zmian, jakie nastąpiły wraz z pojawieniem się Rimmersmenów. I tak nie da się pominąć wielu dawnych zatargów między Sithami i nimi, nawet jeśli nie będę mówił o tym, co się stało, gdy przybyli morzem od Zachodu. Trzeba tutaj jednak

powiedzieć o marszu króla Fingila z Północy i upadku Asu’a. Pył czasu i ignorancji opadał na tę historię przez pięć wieków, lecz gdy dwieście lat temu Eahlstan, król Rybak, założył naszą Ligę, to po to właśnie, by uchronić ją przed zapomnieniem. Dlatego teraz opowiem wam o rzeczach, o których większość z was nigdy nie słyszała. W bitwie na równinie Ach Samrath oraz w Utanwash król Fingil i jego armie odnieśli zwycięstwa, zaciskając pętlę wokół Asu’a. Sithowie stracili swych ostatnich ludzkich sprzymierzeńców na Letniej Równinie, pod Ach Samrath; po rozgromieniu Hernystirczyków nie było wśród Sithów nikogo, kto wytrzymałby siłę żelaza z Północy.

– Zostali zdradzeni i dlatego ponieśli klęskę! – zawołał książę Gwythinn drżącym głosem. – Tylko zdrada mogła zmusić Sinnacha do opuszczenia pola walki; zepsuci Thrithingowie zadali cios w plecy Hernystirczyków, mając nadzieję na ochłapy ze stołu Fingila!

– Gwythinnie! – warknął Josua. – Słyszałeś, co powiedział Jarnauga – to dawne rany. Nie ma wśród nas nikogo spośród Thrithingów. Czy rzucisz się przez stół i zaatakujesz Isgrimnura tylko dlatego, że jest Rimmersmanem?

– Niech spróbuje – mruknął pod nosem Einskaldir.

Gwythinn skłonił głowę posłusznie.

– Masz rację, Josua. Przepraszam, Jarnaugo. – Starzec odpowiedział skinięciem głowy, a syn Llutha zwrócił się do Isgrimnura: – Ciebie także, książę, przybyliśmy przecież tutaj jako sprzymierzeńcy.

– Nie żywię do ciebie urazy, młody panie – odpowiedział Isgrimnur, uśmiechając się, lecz siedzący obok niego Einskaldir uchwycił wzrok Gwythinna i obaj patrzyli na siebie złowrogo.

– Tak więc – Jarnauga podjął swą opowieść, jakby nic się nie stało – choć mury zamku Asu’a zbudowano za pomocą starej, potężnej magii, choć

był on domem i sercem sithijskiego rodu, Sithowie przeczuwali, że zbliża się koniec, że ludzie zburzą dom ich przodków, a oni sami odejdą z Osten Ard na zawsze. Oblężenie zamku trwało całe miesiące, potem lata, gdyż nawet żelazna broń nie była w stanie pokonać tak szybko dzieła rąk Sithów; sithijski król Iyu'unigato przywdział białe szaty żałobne i słuchał rzewnej muzyki i poezji, które opiewały dni chwały Sithów w Osten Ard. Z zewnątrz zamek wciąż wydawał się miejscem, w którym drzemią ogromne moce, pełnym blasku i świetności, lecz pod lśniącą łuską zamierało serce Asu'a. Jednak znalazł się wśród Sithów ktoś, kto nie chciał poddać się nastrojowi rezygnacji; nie chciał spędzić ostatnich dni na opłakiwaniu utraconego spokoju i zbezczeszczonej niewinności. Był nim syn Iyu'unigato... Ineluki.

Bez słowa, lecz dość hałaśliwie, biskup Anodis zaczął zbierać swoje rzeczy. Skinął dłonią na młodego nowicjusza, który pomógł mu wstać.

– Wybacz, Jarnaugo – powiedział Josua. – Biskupie Anodisie, czemu nas opuszczasz? Jak słyszysz, zbliżają się okropne rzeczy. Potrzebna nam jest twoja mądrość i moc Matki Kościoła.

Anodis spojrzał na niego gniewnie.

– Mam siedzieć tutaj, brać udział w naradzie wojennej, której nigdy nie popierałem, i słuchać tego... szaleńca, jak rozprawia o pogańskich demonach? Spójrzcie na siebie. Słuchacie go z zapartym tchem, jakby cytował Księgę Aedona.

– Biskupie, ci, o których mówię, narodzili się długo przed napisaniem twej świętej księgi – zauważył Jarnauga ze spokojem, lecz uniósł wyzywająco głowę.

– To wszystko wymysły – nie ustępował Anodis. – Pewnie uważacie mnie za zgorzkniałego starca, ale mówię wam, że takie bajki staną się przyczyną waszego potępienia. A najsmutniejsze w tym wszystkim jest to,

że możecie sprowadzić na tę drogę cały kraj. – Po tych słowach uczynił przed sobą znak Drzewa niby tarczę i wspierając się na ramieniu nowicjusza, wyszedł.

– Wymysły czy nie, demony czy Sithowie – powiedział Josua i wstał, by móc objąć wzrokiem wszystkich zgromadzonych – to jest mój dwór i ja poprosiłem tego człowieka, aby przekazał nam wszystko, co wie. Nikt nie będzie mu już przerywał. – Rozejrzał się po pogrążonej w cieniu sali i usiadł.

– Uważajcie teraz – powiedział Jarnauga – bo zbliża się najważniejsza część mojej opowieści. Będę mówił o Inelukim, synu króla Erl o imieniu Iyu'unigato. Ineluki, którego imię w języku sithijskim znaczy „oto są jasne słowa", był młodszym z dwóch synów królewskich. Razem ze swym bratem Hakatri pokonał smoka Hidohebhiego Czarnego, matkę czerwonego smoka Shurakai, którego zabił Prester John, oraz matkę Igjarjuk, białego smoka Północy.

– Wybacz, Jarnaugo – jeden z towarzyszy Gwythinna wstał ze swego miejsca – dziwne to dla nas rzeczy, choć nie całkiem obce. Nam, Hernystirczykom, znane są opowieści o czarnym smoku, matce wszystkich smoków, lecz w nich nazywa się ją Drochnathair.

Jarnauga przytaknął mu jak nauczyciel, który zgadza się z uwagą ucznia.

– Tak nazywali ją pierwsi ludzie na Zachodzie; było to na długo przed tym, zanim Hern wybudował swój dwór Taig w Hernysadharc. Tak, okruchy dawnych prawd przekazywane są w opowieściach, przy których usypia się dzieci albo które opowiadają sobie żołnierze i myśliwi przy ognisku. Lecz Hidohebhi było sithijskim imieniem matki smoczego rodu. Ona była potężniejsza od swoich dzieci. Hakatri, zanim ją pokonał, odniósł straszliwe rany od jej ognia – walka z nią to oddzielna, długa i znana

historia. W całym Osten Ard nie było lekarstwa na jego rany i nieustający ból, lecz z drugiej strony nie umierał. Wreszcie król wsadził go do łodzi z jego najlepszym sługą i wypłynęli na ocean w kierunku zachodnim w nadziei, że gdzieś tam, gdzie zachodzi słońce, odnajdą miejsce, w którym nie ma bólu i w którym Hakatri powróci do zdrowia. I tak Ineluki został dziedzicem, choć to jego brat zabił Hidohebhiego. Być może w poczuciu winy przez długie lata zgłębiał tajniki wiedzy, której nie powinien posiąść ani człowiek, ani Sitha. Możliwe, że początkowo miał nadzieję na znalezienie lekarstwa dla brata i sprowadzenie go z odległego Zachodu, lecz później – jak to zwykle bywa w takich wypadkach – jego poszukiwania stały się celem samym w sobie. Ineluki, który tak bardzo rozkoszował się pięknem Asu'a, coraz bardziej odsuwał się od swych ludzi, w miarę jak zagłębiał się w mroczne tajniki wiedzy. A kiedy nadeszli ludzie z Północy, grabiąc i mordując, kiedy otoczyli A'sua żelaznym pierścieniem swej śmiercionośnej broni, to właśnie Ineluki był tym, który postanowił ich pokonać. W głębokich pieczarach pod Asu'a, oświetlonych pomysłowymi lustrami, rosły ogrody magicznych drzew; w nich Sithowie pielęgnowali drzewa, których niezwykłego drewna używali do takich celów, do jakich ludzie z Południa używali brązu albo ludzie z Północy żelaza. Każdego dnia wypowiadali stare zaklęcia i odprawiali rytuały, a te dodawały magicznym drzewom soków żywotnych, gdy tymczasem król i jego dwór pogrążali się w coraz większej rozpaczy. Ineluki jednak nie zapomniał o ogrodach ani o księgach pełnych tajemnej wiedzy, czy też o ścieżkach, którymi chadzał w poszukiwaniu mądrości. Nikt już nie wchodził do jego komnat, a on rozpoczął dzieło, które – jak wierzył – miało uratować Asu'a i Sithów. W jakiś sposób w wielkich bólach wyczarował czarne żelazo, które złączył z magicznymi drzewami, tak jak ogrodnik szczepi swe winorośle. Drzewa zaczęły tracić swą moc i usychać podobnie jak Sithowie, lecz jedno

przetrwało. Ineluki otaczał drzewo zaklęciami, słowami starszymi od Sithów, czarami, które sięgały głębiej niż korzenie magicznych drzew. Drzewo wzrastało z trującym żelazem w swoich sokach. Ci, którzy opiekowali się ogrodem, widząc jego ruinę, uciekli. Opowiedzieli o wszystkim królowi Iyu’unigato. On martwił się bardzo, lecz widząc zbliżający się koniec całego świata Sithów, nie powstrzymał syna. Nie wierzył już w magiczne drzewa zdolne powstrzymać jasnookich ludzi z Północy i ich śmiercionośne żelazo. Opiekowanie się drzewem bardzo osłabiało i wyczerpywało Inelukiego, lecz jego silna wola była w stanie pokonać wszelką słabość. Przetrwał i wreszcie nadszedł czas zebrania plonu. Wziął drewno zmieszane z żelazem i udał się do kuźni w Asu’a. Haggard oszalały z bólu, lecz zdecydowany, patrzył obojętnie, jak najlepsi kowale Asu’a uciekają przed nim. Rozniecił ogień w kuźni tak wielki, jak nikt dotąd. Recytował Słowa Stworzenia, dzierżąc przez cały czas Młot, Który Nadaje Kształt – dotąd tylko Wielki Kowal brał go do ręki. Sam w czerwonej od żaru kuźni wykuł miecz, straszliwy, szary miecz, którego sama stal wydawała się tchnąć przerażeniem. Kując miecz, używał tak straszliwej i ohydnej magii, że powietrze w Asu’a jakby pękało z gorąca, a ściany drżały, jakby uderzały w nie dłonie olbrzyma. Zaniósł miecz na dwór ojca, z nadzieją, że pokaże wszystkim coś, co ich uratuje. Jednak szary miecz okazał się tak straszny, taką wzbudził grozę, że Sithowie uciekli przerażeni, pozostawiając Inelukiego ze swym ojcem Iyu’unigato.

W SALI ZALEGŁA GŁĘBOKA CISZA. Wydawało się, iż nawet ogień przestał trzaskać, jakby także wstrzymał oddech. Simon poczuł na ramionach i szyi gęsią skórkę; ogarnęła go dziwna senność.

– Miecz! Szary miecz! Widzę go tak wyraźnie! Co to znaczy? – Ścisnął swą głowę dłońmi, jakby pragnął wycisnąć z niej odpowiedź.

KIEDY KRÓL ERL ZOBACZYŁ W KOŃCU, co zrobił jego syn, serce mu pewnie zamarło, gdyż miecz Inelukiego nie był już bronią, lecz bluźnierstwem przeciwko ziemi, która wydała z siebie żelazo i magiczne drzewo. Miecz był dziurą w ogromnym obrazie stworzenia, przez którą wyciekało życie.

– Źle się stało, że miecz taki stworzyłeś – przemówił do syna. – Lepiej zginąć w otchłani zapomnienia, lepiej zginąć z ręki śmiertelników, lepiej było się nie narodzić, niż oglądać, a co gorsza używać czegoś takiego.

Lecz moc miecza zupełnie opętała Inelukiego, oplotła go sieć zaklęć, którymi stworzył miecz.

– Tylko ta broń może nas uratować! – powiedział do ojca. – Inaczej to robactwo rozpełznie się po ziemi, będzie niszczyło wszystko, co spotka na swej drodze, zniszczy piękno, którego nawet nie dostrzega i nie jest w stanie docenić. Gotów jestem zapłacić każdą cenę, aby ich powstrzymać!

– Nie – powiedział Iyu’unigato. – Nie, nie każda cena jest tego warta.

Spójrz na siebie! Już teraz pozbawił cię prawie serca i rozumu. Jestem twoim królem i panem, a więc rozkazuję ci go zniszczyć, zanim jego moc pochłonie cię całkowicie.

– Lecz żądanie, by zniszczył rzecz, której stworzenie nieomal życiem przypłacił, a która przecież miała przynieść jego ziomkom ratunek przed wieczną ciemnością, jeszcze większy w nim wywołało szał. Uniósł miecz i zamierzył się na ojca. Zabił króla Sithów. Nigdy wcześniej rzecz taka się nie wydarzyła. Kiedy Ineluki zobaczył u swych stóp ciało ojca, zapłakał. Długo rozpaczał nad ojcem, ale i nad sobą oraz swym ludem. Wreszcie uniósł szary miecz wysoko.

– Ze smutku powstałeś – powiedział – i smutek ze sobą przyniosłeś. „Smutek” będzie twoje imię. I tak nazwał miecz Jingizu, co znaczy smutek w języku Sithów.

– Smutek... miecz o nazwie Smutek... – Simon słyszał te słowa we własnej głowie; odbijały się echem i prawie zagłuszały słowa Jarnaugi, burzę na zewnątrz i wszystko inne. Dlaczego brzmiało to tak straszliwie znajomo? – Smutek... Jingizu... Smutek...

TO JESZCZE NIE KONIEC OPOWIEŚCI – ciągnął starzec coraz głośniej, choć siła jego głosu i tak już wywołała w słuchaczach niepokój. – Przez swój czyn Ineluki w jeszcze większe wpędził się szaleństwo – wziął koronę ojca, koronę z białej brzozy, i sam królem się obwołał. Rodzina i dworzanie tak byli sparaliżowani morderstwem, że nikt nie śmiał oponować. Niektórzy nawet skrycie cieszyli się z tego, co się stało, a szczególnie pięciu zwolenników Inelukiego, którzy nie chcieli zgodzić się na bierność wobec atakujących ludzi. Ineluki ze Smutkiem w dłoni stanowił siłę nieokiełznaną. Wraz z pięcioma sługami, których przerażeni i przesądni mieszkańcy Północy nazwali Czerwoną Dłonią – ze względu na ich czerwone płaszcze i liczbę odpowiadającą liczbie palców u ręki.

Ineluki rozpoczął walkę poza murami Asu’a, po raz pierwszy od trzech lat oblężenia. Ineluki nocami siał grozę w obozie przeciwnika i tylko ogromne, uzbrojone w żelazo rzesze wojska powstrzymały go przed rozbiciem oblężenia. Gdyby wtedy poparli go pozostali Sithowie, być może sithijscy królowie wciąż jeszcze zasiadaliby na tronie w Hayholt. Lecz lud Inelukiego stracił już wolę walki. Przerażeni zamordowaniem Iyu’unigato skorzystali z chwilowego pogromu wroga przez Inelukiego oraz jego Czerwoną Dłoń i uciekli z Asu’a. Poprosili ich królowa Amerasu i Shima’onari, syn brata Inelukiego, Hakatri, skazanego przez smoka na męki. Uciekli w mroczne, lecz bezpieczne ostępy lasu Aldheorte i tam ukryli się przed żądnymi krwi śmiertelnikami i swym królem. I tak Ineluki pozostał z niewielką garstką swoich ludzi – nie licząc pięciu wojowników –

w lśniącym szkielecie Asu’a. W końcu nawet jego potężna magia nie była w stanie powstrzymać ogromnej armii Fingila. Szamanowie z Północy rzucili swoje zaklęcia i ostatnia chroniąca zamek zasłona magii opadła. Rimmersmeni wiedzieli, jaki zrobić użytek ze smoły, słomy i pochodni. Wkrótce delikatne budowle Sithów stanęły w ogniu. Dym i ogień wzmagały się, a tymczasem wojownicy z Północy mordowali pozostałych jeszcze przy życiu Sithów; tych, którzy byli zbyt przestraszeni lub zbyt słabi, by uciekać, albo też pozostali do końca wierni swemu odwiecznemu domowi. Rimmersmeni Fingila dokonali straszliwej rzezi pośród płomieni. Sithowie nie mieli już siły się bronić. Skończył się ich świat. Okrutne morderstwa, straszliwe tortury, gwałt na bezbronnych ofiarach, bezmyślne zniszczenie tysięcy wspaniałych przedmiotów – oto, jaką pieczęć postawił Fingil Czerwonoręki na tamtej karcie historii. Stała się ona plamą, której nie da się wymazać. Z pewnością ci, którzy zdołali uciec do lasu, słyszeli jęki mordowanych i wzywali przodków, wołając o sprawiedliwość. W tę ostatnią, najstraszliwszą godzinę Ineluki i jego Czerwona Dłoń wspięli się na najwyższą wieżę. Ineluki postanowił, że miejsce, którego Sithowie nie mogą już zamieszkiwać, nie będzie domem ludzi. Tamtego dnia wypowiedział zaklęcia, jakich nikt jeszcze nie użył, straszniejsze nawet od tych, którymi posłużył się do stworzenia Smutku. Kiedy jego głos wzniósł się ponad płonące miasto, Rimmersmeni padli z krzykiem na dziedzińcach; ich twarze poczerniały, a z ich uszu i oczu płynęła krew. Głos Inelukiego nabrał niespotykanej siły, aż wreszcie dał się słyszeć przeraźliwy krzyk agonii. Nastąpił przeraźliwy błysk, przy którym niebo zbielało, a potem nastała ciemność tak wielka, że Fingilowi w swym namiocie o milę od zamku wydawało się, że oślepł. Lecz Ineluki nie odniósł całkowitego zwycięstwa. Wprawdzie duża część armii Fingila umierała w straszliwych bólach pod wieżą, lecz Asu’a, choć płonął, wciąż stał na swoim miejscu.

W dziwny sposób ogień nie obejmował szczytu wieży; wiatr rozrzucił na jej podłodze sześć stosów szarego popiołu.

SMUTEK... – SIMON CZUŁ, że kręci mu się w głowie i z trudem oddycha. Miał wrażenie, że pochodnia na ścianie trzęsie się cała. – Wzgórze. Słyszałem koła wozu... przywieźli Smutek! Pamiętam, to było, jakby przywieźli diabła w pudle... samo serce smutku.

I TAK ZGINĄŁ INELUKI. Jeden z żołnierzy Fingila tuż przed śmiercią przysięgał, że widział dziwny kształt unoszący się znad wieży, czerwony jak żarzące się węgle, wijący się jak kłęby dymu – chwytał niebo, jakby był ogromną czerwoną dłonią...

NIEEE! – KRZYKNĄŁ SIMON i zerwał się z miejsca. Kilka osób chwyciło go, lecz on odtrącił ich dłonie, jakby to były pajęczyny. – Oni przywieźli szary miecz, ten straszliwy miecz! A potem zobaczyłem go! Widziałem Inelukiego! On był... on był...

Pokój zaczął mu wirować przed oczami, a twarz Binabika, Isgrimnura i starego Jarnaugi wydały mu się skaczącymi rybami. Chciał powiedzieć więcej, chciał opowiedzieć o górze i białych demonach, pociemniało mu w oczach, a w uszach dudniło okropnie...

SIMON BIEGŁ W CIEMNOŚCI, towarzyszyły mu tylko rozbrzmiewające w pustce słowa.

Gamoń! Chodź do nas! Mamy tutaj dla ciebie miejsce!

Chłopiec! Śmiertelnik! Co on widział? Co widział?

Zamrozić mu oczy i sprowadzić w ciemność. Niech zmrozi go przenikliwy lód.

Nagle wyłoniła się przed nim postać wielka jak góra z jelenim porożem na głowie. Miała koronę z bladych kamieni, a jej oczy płonęły czerwonym ogniem. Czerwona była też jej dłoń; kiedy chwyciła Simona i podniosła go do góry, jej palce parzyły niczym rozżarzone żelazo. Wokół przemykały drżące, białe twarze.

Śmiertelniku, koło się kręci, kręci... Kim ty jesteś, by je zatrzymywać?

Jest muszką, maleńką muszką...

Czerwone palce zaciskały się, a ogniste oczy płonęły nieskończonym zadowoleniem. Simon krzyczał, lecz w odpowiedzi słyszał tylko bezlitosny śmiech.

KIEDY SIĘ OBUDZIŁ, nie było już krzyczących głosów i chwytających go dłoni. Zamiast nich zobaczył nad sobą blade twarze, które w świetle pochodni przypominały krąg grzybów. Wydawało mu się, że poza niewyraźnymi twarzami na ścianie widzi mnóstwo migocących świetlnych punktów; punkty jakby ulatywały w górę, w ciemność pod wysokim sufitem.

– Przychodzi do siebie – powiedział jakiś głos i nagle lśniące punkty okazały się garnkami zawieszonymi w rzędzie na ścianie. Simon leżał na podłodze spiżarni.

– Nie wygląda dobrze – powiedział ktoś głębokim głosem. – Chyba przyniosę mu jeszcze wody.

– Możesz wrócić do środka, jeśli chcesz. On czuje się już lepiej – powiedział pierwszy głos.

Simon na przemian mrużył i otwierał oczy szeroko, aż w końcu się zorientował, że twarz, do której głos należał, była twarzą Maryi – nie, Miriamele. Klęczała obok niego, a on zauważył, że przycisnęła i zgniotła rąbek swej sukni.

– Nie, nie – odezwał się drugi głos: był to książę Isgrimnur, nerwowo szarpiący brodę.

– Co... co się stało? – Simon zastanawiał się, czy spadł i uderzył się w głowę. Obmacał dłonią głowę, lecz nie znalazł żadnego skaleczenia.

– Zemdlałeś, chłopcze – mruknął Isgrimnur. – Wykrzykiwałeś o rzeczach, jakie widziałeś. Musiałem cię tu przynieść. Nieźle się przy tym namęczyłem.

– A potem stał i patrzył, jak leżysz na podłodze – powiedziała Miriamele surowym głosem. – Spojrzała na Isgrimnura. – Walczysz w bitwach, prawda? Co robisz, gdy ktoś jest ranny, przyglądasz mu się?

– A, to co innego – bronił się Rimmersman. – Opatruję go, jeśli krwawi. Albo przynoszę na tarczy, jeśli został zabity.

– Rozsądnie – rzuciła Miriamele, lecz Simon dostrzegł uśmiech w kąciku jej ust. – A jeśli ktoś nie krwawi, ale i nie został zabity? Pewnie przechodzicie przez niego i idziecie dalej. Nieważne.

Isgrimnur zacisnął usta i szarpał brodę.

Księżniczka w dalszym ciągu wycierała czoło Simona mokrą chusteczką. Nie był pewien, czy mu to pomaga, lecz przez chwilę przyjemnie mu było leżeć i dać się sobą opiekować. Wiedział, że za chwilę będzie musiał wyjaśnić, co mu się przydarzyło.

– Wiedziałem, że już cię gdzieś spotkałem, chłopcze – przemówił wreszcie Isgrimnur. – To ty byłeś w klasztorze świętego Hoderunda, prawda? I ten troll... Wydawało mi się, że widziałem...

Drzwi spiżarni otworzyły się.

– Ach, Simonie! Mam nadzieję, że czujesz się lepiej.

– Binabik – powiedział Simon i spróbował usiąść. Miriamele łagodnie, lecz zdecydowanie oparła się dłońmi o jego pierś i powstrzymała go. – Ja to widziałem, *widziałem*! Tego właśnie nie mogłem sobie przypomnieć! Góra, ogień i...

– Wiem, przyjacielu. Zrozumiałem wiele rzeczy, kiedy zacząłeś mówić, choć nie wszystkie. Wiele jeszcze pozostaje do wyjaśnienia.

– Pewnie myślą, że zwariowałem – jęknął Simon. Odpychając rękę księżniczki, poczuł zadowolenie, że choć przez chwilę mógł dotknąć jej dłoni. Ciekawe, co *ona* myśli? Teraz przyglądała mu się, jak starsza siostra patrzy na młodszego brata, który wciąż coś broi. A niech diabli porwą wszystkie dziewczyny, i kobiety też!

– Nie, Simonie – powiedział Binabik, klękając obok Miriamele i przyglądając się Simonowi. – O wielu rzeczach im opowiedziałem, także o naszej wspólnej podróży. Jarnauga potwierdził wiele z tego, co sugerował mój mistrz. On także otrzymał jedną z ostatnich wiadomości od Morgenesa. Nie, oni nie myślą, że zwariowałeś, lecz wielu chyba powątpiewa w istnienie prawdziwego niebezpieczeństwa. A szczególnie baron Devasalles.

– Hmm. – Isgrimnur zaszurał butem po podłodze. – Jeśli młodzieniec czuje się już dobrze, to chyba lepiej wrócę tam. Tak, no cóż... porozmawiamy jeszcze. – Książę, manewrując swym ogromnym tułowiem, wycofał się ze spiżarni i odszedł korytarzem.

– Ja też tam pójdę – powiedziała Miriamele i otrzepała kurz z sukni. – Bez względu na to, co myśli mój wuj, uważam, że powinnam zostać wysłuchana, zanim zostaną podjęte pewne decyzje.

Simon chciał jej podziękować, lecz nic nie przychodziło mu do głowy, co nie wydawałoby mu się śmieszniejsze od tego, co już naopowiadał.

Zanim zdecydował się odrzucić swą dumę, księżniczka zaszeleściła jedwabną suknią i odeszła.

– Jeśli czujesz się już dobrze, Simonie – powiedział Binabik, wyciągając do niego małą, krępą dłoń – to chodźmy, gdyż w sali narad mówią o rzeczach, których musimy wysłuchać; myślę, że w Naglimundzie nie było jeszcze takiej rady.

PRZEDE WSZYSTKIM, MŁODZIEŃCZE – mówił Jarnauga – choć wierzę we wszystko, co powiedziałeś, musisz wiedzieć, że tam na górze nie widziałeś Inelukiego. – Ogień w paleniskach wypalił się i pozostały w nich tylko żarzące się węgle, lecz nikt nie wyszedł z sali. – Gdybyś zobaczył Króla Burz w postaci, jaką teraz pewnie przybrał, zostałaby z ciebie przy Kamieniach Gniewu marna skorupa. Nie, oprócz Nornów, Eliasa i jego ludzi widziałeś jeszcze jednego z Czerwonej Dłoni. I tak uważam to za cud, że udało ci się wyjść z tego bez pomieszania zmysłów.

– Ale... ale – Simon zaczął sobie przypominać, co Jarnauga mówił, nim ściana zapomnienia runęła, i w jego umyśle posypały się wspomnienia tamtej straszliwej nocy – Nocy Ukamienowania, jak nazwał ją Doktor – i poczuł, że znowu czegoś tu nie rozumie. – Ale powiedziałeś przecież, że Ineluki i jego... Czerwona Dłoń zginęli.

– Owszem, zginęli; ich ziemskie postaci spłonęły w ostatnim momencie. Lecz coś przetrwało: istniał ktoś lub coś, co potrafiło ponownie stworzyć miecz. W jakiś sposób Ineluki i jego Czerwona Dłoń przetrwali; o tym wiem nawet bez twoich relacji, gdyż z tego właśnie powodu powstała Liga Pergaminu. Może były to żywe sny lub myśli, a może cienie skupiane razem jedynie nienawiścią i treścią ostatniego zaklęcia Inelukiego. W każdym razie ciemność, która w końcu życia Inelukiego wypełniała jego umysł, w jakiś sposób przetrwała. Trzy wieki później do Hayholt przybył

król Ealhstan Fiskerne; na gruzach Asu’a stał nowy zamek. Ealhstan odznaczał się mądrością, zgłębiał tajniki wiedzy i to on odnalazł w ruinach pod Hayholt pewne rzeczy, które skłoniły go do stwierdzenia, że Ineluki niecałkowicie został unicestwiony. On też stworzył Ligę, której członkiem i ja jestem. Niestety, jest nas coraz mniej, szczególnie teraz, kiedy straciliśmy Morgenesa i Ookequka. Liga powstała po to, żeby wiedza zupełnie nie zaginęła. Nie chodziło tylko o wiedzę dotyczącą sithijskich demonów, ale i wiele innych spraw, gdyż były to mroczne czasy dla północnych części Osten Ard. Z czasem odkryto, czy raczej domyślono się, że Ineluki albo jego duch, a może cień jego woli życia, w jakiś sposób odżył pośród tych, którzy mogliby pragnąć jego powrotu.

– Nornowie! – odezwał się niespodziewanie Binabik.

– Nornowie – przytaknął mu Jarnauga. – Myślę, że początkowo nawet Białe Lisy nie wiedziały, czym stał się Ineluki, lecz wkrótce zdobył taką władzę na Burzowej Górze, że nikt nie śmiał mu się sprzeciwić. Z nim powróciła też jego Czerwona Dłoń, choć nikt nie widział jej w żadnej z możliwych ziemskich form.

– A my myśleliśmy, że Loken czczony przez Czarnych Rimmersmenów był tylko naszym bogiem ognia jeszcze z pogańskich czasów – powiedział Isgrimnur zamyślony. – Gdybym wiedział, jak daleko zeszli oni ze ścieżki oświecenia... – Przesunął dłonią po Drzewie, które nosił na szyi. – Na Usiresa! – westchnął cicho.

Książę Josua, który przysłuchiwał się uważnie, pochylił się.

– Skoro ten demon z przeszłości jest naszym największym wrogiem, to dlaczego się nie pokazuje? Dlaczego zwodzi mojego brata Eliasa?

– Doszliśmy wreszcie do punktu, w którym moje długoletnie obserwacje ze szczytu Tungoldyr na nic się już nie przydają – oświadczył Jarnauga, wzruszając ramionami. – Moim zadaniem było słuchać

i obserwować, lecz rzeczy takie, jak zamysły Króla Burz, wykraczają poza moje możliwości.

Wstał Ethelferth. Josua udzielił mu głosu skinieniem głowy.

– Jeśli to wszystko jest prawdą... aż mi się w głowie kręci, ale może... może ja potrafię uzupełnić ostatnią część opowieści. – Rozejrzał się wkoło, spodziewając się, że pozostali zgromią go za zarozumiałość, oni jednak siedzieli w milczeniu z wyrazem niepokoju i zagubienia na twarzach. Chrząknął więc i mówił dalej. – Rimmersman – zaczął, wskazując głową na Jarnaugę – powiedział, że to nasz król, Ealhstan Fiskerne, pierwszy zauważył, że Król Burz powrócił. Było to trzysta lat po tym, jak Fingil zajął Hayholt, czy też jak on się tam wtedy nazywał. Od tego czasu upłynęło prawie dwieście lat. Wygląda na to, że ten... demon potrzebował dużo czasu, żeby odzyskać siły i władzę. My, ludzie, którzy posiadamy ziemie pośród chciwych sąsiadów – tutaj spojrzał ukradkiem na Ordmaera, lecz gruby baron dawno już opadł z sił i teraz wydawał się nie reagować na insynuacje – wiemy, że najlepszym sposobem na zapewnienie sobie bezpieczeństwa i zdobycie czasu na wzmocnienie sił jest poróżnić swych sąsiadów. I wydaje mi się, że właśnie uczestniczymy w takiej grze. Demon z Rimmersgardu daje Eliasowi prezent, potem nakłania go do walki z jego baronami i książętami. – Ethelferth rozejrzał się, podciągnął tunikę i usiadł.

– To nie jest demon z Rimmersgardu – warknął Einskaldir. – Jesteśmy Aedonitami.

Josua pominął milczeniem tę uwagę.

– Lordzie Ethelferth, w tym, co mówisz, jest z pewnością wiele prawdy, lecz ci, którzy znają Eliasa, zgodzą się ze mną, że ma on też i swoje plany.

– Nie potrzebował żadnego sithijskiego demona, żeby zabrać mi moje ziemie – powiedział gorzko Isgrimnur.

– Niemniej jednak – ciągnął Josua – wierzę w to, co powiedzieli tutaj Jarnauga, Binabik z Yiqanuc oraz młody Simon, uczeń Doktora Morgenesa. Chciałbym móc im zaprzeczyć, lecz choć nie wiem dokładnie, w co wierzę, nie mogę zanegować ich słów. – Ponownie zwrócił się do Jarnaugi, który grzebał w najbliższym palenisku. – Jeśli twe mroczne wieści są prawdziwe, powiedz mi jeszcze jedno: Czego chce Ineluki?

Starzec popatrzył w ogień, po czym jeszcze raz pogrzebał w nim energicznie.

– Książę, jak już mówiłem, ja miałem być okiem Ligi. Morgenes i mistrz młodego Binabika z pewnością potrafiliby powiedzieć coś więcej o zamierzeniach Pana Burzowej Góry. – Uniósł dłoń, jakby chciał powstrzymać kolejne pytania. – Gdybym miał zgadywać, to powiedziałbym tak: weźmy pod uwagę nienawiść, która pozwoliła Inelukiemu przetrwać w otchłani i która sprowadziła go z ogni jego własnej śmierci...

– A zatem Ineluki – głos Josui zagrzmiał głucho w pogrążonej w mroku sali – pragnie zemsty?

Jarnauga wpatrywał się w ogień i milczał.

– Mamy wiele spraw do przemyślenia – oświadczył Josua – zanim podejmiemy trudne decyzje. – Wstał; jego blada, delikatna twarz przypominała maskę skrywającą myśli. – Powrócimy tutaj jutro o zachodzie słońca. – Po tych słowach wyszedł w asyście dwóch odzianych w szare płaszcze strażników.

Pozostali wstawali powoli grupkami w milczeniu. Simon dostrzegł, jak Miriamele, która nie zdążyła zabrać głosu, wychodzi razem z Einskaldirem i księciem Isgrimnurem.

– Chodź, Simonie. – Binabik pociągnął go za rękaw. – Deszcz zelżał trochę, więc pospaceruję z Qantaqą. Trzeba skorzystać z okazji. Wciąż

jeszcze lubię myśleć, kiedy spaceruję i czuję wiatr na twarzy... a wiele mam do przemyślenia.

– Binabiku – powiedział Simon; czuł na sobie ciężar całego dnia. – Czy pamiętasz sen, jaki miałem... wszyscy go doświadczyliśmy... w domu Geloë? Burzowa Góra... i tamta księga?

– Tak – odparł troll ponuro. – On między innymi mnie niepokoi. Te słowa, które widziałeś. Obawiam się, że mają one ogromne znaczenie.

– Du... Du Swar... – Simon starał się przypomnieć sobie napis. – Du...

– Du Svardenvyrd, tak to brzmiało – pomógł mu Binabik. – Los Mieczy.

GORĄCE POWIETRZE BOLEŚNIE uderzało falami w pozbawioną włosów i wszelkiej innej ochrony twarz Pryratesa, lecz ani na chwilę nie pojawił się na niej wyraz niezadowolenia. Idąc przez odlewnię, z zadowoleniem zobaczył, że pracownicy – sami w maskach i w grubych, ochronnych ubraniach – wpatrują się w niego i cofają z przestrachem. Uśmiechnął się pod nosem, wyobrażając sobie siebie jako arcydemona, który kroczy przez piekło, a pomniejsze diabełki umykają przed nim.

Lecz dobry humor trwał krótko i po chwili Pryrates znowu się nachmurzył. Wiedział, że coś się stało z tym diabelskim chłopakiem od czarownika. Czuł to tak wyraźnie, jakby otrzymał od kogoś ostre ukłucie. Czuł, że istnieje między nimi dziwna, cieniutka nić od czasu Nocy Kamienowania; to ona wciąż przeszkadzała mu w koncentracji. Wydarzenia tamtej nocy były zbyt ważne, zbyt niebezpieczne, by ktoś z zewnątrz mógł być w nie zamieszany. Chłopiec powracał myślami do owej nocy i pewnie opowiedział o wszystkim Lluthowi, Josui albo jeszcze komuś innemu. Należało poważnie zająć się tym wścibskim chłopakiem.

Zatrzymał się przed ogromnym tyglem i stał wyprostowany z rękami skrzyżowanymi na piersi. Widać było, że ogarnia go złość. Wreszcie jeden z hutników zbliżył się szybko i przyklęknął niezdarnie na zabezpieczonym grubą osłoną kolanie.

– Czym możemy ci służyć, mistrzu Pryratesie? – spytał głosem stłumionym przez wilgotny materiał, który przesłaniał jego usta. Duchowny utkwił w nim wzrok wystarczająco długo, by zobaczyć, jak wyraz zakłopotania – częściowo widoczny już na twarzy hutnika – przechodzi w strach.

– Gdzie jest wasz nadzorca? – wycedził.

– Tam, ojcze. – Mężczyzna wskazał na jeden z ciemnych otworów w ścianie odlewni. – Zepsuło się jedno z kół wału na dźwigu... Wasza Eminencjo.

Tytuł ten był nieuzasadniony, gdyż oficjalnie wciąż był tylko zwykłym duchownym, lecz zabrzmiał całkiem przyjemnie.

– A więc...? – zaczął Pryrates. Mężczyzna milczał, więc Pryrates kopnął go mocno w chronioną skórą goleń. – A więc sprowadź go! – huknął.

Mężczyzna pokiwał głową i odszedł, utykając – przypominał uczące się chodzić dziecko w grubym ubraniu. Pryrates czuł coraz gęstsze krople potu na czole oraz fale gorącego powietrza, które zdawało się rozsadzać mu płuca, lecz mimo to na jego ustach pojawił się słaby uśmiech. Doświadczył już gorszych rzeczy: tak, Bóg... czy ktokolwiek wiedział, że Pryrates przeżył już gorsze rzeczy.

Wreszcie nadszedł ogromny i flegmatyczny nadzorca. Zbliżył się do Pryratesa i stanął, przytłaczając go zupełnie swym wzrostem, który sam w sobie mógł już stanowić obrazę.

– Wiesz chyba, po co przyszedłem? – zapytał Pryrates z grymasem na twarzy.

– W sprawie machin – odparł tamten głosem spokojnym, lecz dziecinnie potulnym.

– Tak, w sprawie machin oblężniczych! – warknął Pryrates. – Inch, zdejmij tę cholerną maskę, żebym widział twoją twarz, jak do ciebie mówię.

Nadzorca uniósł ogromną, owłosioną dłoń i ściągnął ochronę z twarzy. Twarz pełna blizn po oparzeniu wokół prawego, pustego oczodołu utwierdziła Pryratesa w przekonaniu, że znajduje się w jednym z przedsionków Wielkiego Piekła.

– Machiny nie są jeszcze skończone – powiedział Inch z uporem. – Straciliśmy trzech ludzi, kiedy największa zepsuła się ostatniego Drorsdaya. Prace przebiegają powoli.

– Wiem, że nie są jeszcze skończone. Sprowadź więcej ludzi. Mnóstwo ich wałęsa się po Hayholt. Zatrudnimy też kilku paniczyków, niech sobie trochę pobrudzą rączki. Król chce, żeby machiny były skończone. I to jak najszybciej. Za dziesięć dni wyrusza w pole. Słyszałeś? Dziesięć dni!

Inch uniósł powoli brwi.

– Wyrusza do Naglimundu, prawda? – W jego oczach pojawił się błysk.

– A tobie nic do tego, ty podrapana małpo – usłyszał Inch pełną pogardy odpowiedź Pryratesa. – Ty masz tylko dopilnować, żeby skończyli! Wiesz dobrze, dlaczego dostałeś tę pracę, ale pamiętaj, że możesz ją stracić...

Odchodząc, Pryrates czuł na sobie wzrok Incha; wyczuwał za sobą jego obecność, jak obecność kamienia w migocącym świetle. Zastanawiał się, czy mądrze postąpili, pozwalając temu zwierzakowi przeżyć, a jeśli nie, to czy powinien naprawić błąd.

DUCHOWNY DOTARŁ do jednego z szerokich podestów, z którego odchodziły korytarze na prawo i lewo i który prowadził do kolejnych schodów, gdy nagle z cienia wyłoniła się czyjaś postać.

– Pryrates?

Nerwy duchownego były tak mocne, że nie krzyknąłby nawet, gdyby otrzymał nagły cios toporem, lecz mimo to poczuł przyspieszone bicie serca.

– Wasza Wysokość – powiedział spokojnie.

Elias naciągnął głęboko na twarz kaptur czarnego płaszcza, wskutek czego – nieświadomie pewnie – upodobnił się do pracujących poniżej hutników. Przechodził tędy codziennie, jeśli w ogóle opuszczał swoje pokoje, i zawsze nosił miecz w pochwie. Zdobycie go dało mu moc, jakiej niewielu śmiertelników zaznało, lecz musiał za to zapłacić. Czerwony duchowny dobrze wiedział, że rozrachunek takich zdobyczy jest bardzo subtelną sprawą.

– Pryratesie, nie... nie mogę spać.

– To zrozumiałe, Królu. Na twych barkach spoczywa wiele trosk.

– Ty mi w wielu rzeczach pomagasz. Czy sprawdzałeś, co się dzieje z machinami oblężniczymi?

Pryrates skinął głową, lecz zdał sobie sprawę, że zakapturzony Elias może nie widzieć dobrze na ciemnym podeście.

– Tak – powiedział. – Mam ochotę upiec tę świnię Incha w jednym z ogni odlewni. Ale będziemy mieli te maszyny.

Król milczał przez chwilę i tylko uderzał dłonią w pochwę miecza.

– Trzeba zniszczyć Naglimund – powiedział wreszcie. – Josua sprzeciwia mi się.

– On już nie jest twoim bratem, panie. Jest twoim wrogiem – powiedział Pryrates.

– Nie, nie – odparł Elias zamyślony. – On jest moim bratem. Dlatego właśnie nie wolno mu pozwolić na sprzeciwianie się. Czyż nie tak, Pryratesie?

– Oczywiście, Wasza Wysokość.

Król otulił się szczelniej płaszczem, jakby chciał się schronić przed zimnym wiatrem, a przecież z dołu płynęło gorące powietrze odlewni.

– Pryratesie, czy odnalazłeś już moją córkę? – spytał nagle, podnosząc wzrok na duchownego.

Pryrates widział tylko w cieniu kaptura lśniące oczy i zarys twarzy Eliasa.

– Jak już mówiłem, jeśli nie udała się do Nabbanu, do rodziny swej matki – czego nie potwierdzili nasi szpiedzy – to znaczy, że jest z Josuą w Naglimundzie.

– Miriamele. – Dźwięk wypowiedzianego imienia popłynął w dół schodów. – Muszę ją odzyskać! Muszę! – Król wysunął otwartą dłoń i powoli zacisnął ją w pięść przed sobą. – Ona będzie jedyną istotą, jaka ocaleje z gruzów zamku mego brata. Resztę zamienię w pył.

– Teraz masz moc, mój panie – powiedział Pryrates. – Masz też silnych przyjaciół.

– Tak. – Król skinął głową. – Tak, to prawda. A co z tym myśliwym, Ingenem Jeggerem? Nie znalazł mojej córki, ale też nie powrócił. Gdzie on jest?

– Wciąż szuka chłopaka czarownika, Wasza Wysokość. Nie ustaje w poszukiwaniach. – Pryrates machnął dłonią, jakby chciał odpędzić nieprzyjemne wspomnienie o Czarnym Rimmersmanie.

– Mam wrażenie, że wiele wysiłku kosztuje znalezienie tego chłopaka, który poznał kilka naszych tajemnic – powiedział Król gniewnie. – Żeby

tak mną się tyle zajmowano. – W jego oczach lśniły błyski gniewu. Odwrócił się, by odejść, lecz nie zrobił tego.

– Pryratesie? – odezwał się łagodniejszym już głosem.

– Tak, panie?

– Czy myślisz, że będę spał lepiej, kiedy pokonamy Naglimund i odzyskam córkę?

– Jestem tego pewien, Królu.

– Dobrze. Tym większą sprawi mi to radość, skoro mnie o tym zapewniasz.

Elias odszedł pogrążonym w cieniu korytarzem. Pryrates stał w miejscu i słuchał, jak odgłos jego kroków miesza się z odgłosem młotów Erkynlandu, których monotonne uderzenia dochodziły z podziemi zamku.

34. Zapomniane miecze

VORZHEVA BYŁA ZŁA. Ręka, w której trzymała barwiczkę, tak się trzęsła, że czerwona linia wybiegła aż na brodę.

– Widzisz, co zrobiłam! – Kiedy się złościła, jej akcent, świadczący o tym, że pochodziła z Thrithingów, stawał się jeszcze wyraźniejszy. – To barbarzyństwo tak mnie popędzać. – Wytarła usta chusteczką i zaczęła od nowa.

– Na Aedona, kobieto, czekają nas ważniejsze sprawy niż szminkowanie twoich ust. – Josua wstał i znowu zaczął chodzić po pokoju.

– Sir, nie mów tak do mnie! I nie chodź tak za moimi plecami... – machnęła ręką, szukając odpowiedniego słowa – tak... tam i z powrotem. Jeśli już masz mnie wyrzucić na korytarz, jak któregoś ze swoich ludzi, to przynajmniej pozwól mi się przygotować.

Książę wziął pogrzebacz i pochylił się, nad paleniskiem.

– Moja pani, nikt cię nie wyrzuca na korytarz.

– Jeśli jestem twoją panią – powiedziała nachmurzona Vorzheva – to dlaczego nie mogę zostać? Wstydzisz się mnie.

– Ponieważ będziemy mówili o rzeczach, którymi nie powinnaś się interesować. Zauważyłaś chyba, że przygotowujemy się do wojny. Przykro mi, nie jest to zajęcie dla ciebie. – Chrząknął i wstał, opierając ostrożnie pogrzebacz o ścianę paleniska. – Idź i porozmawiaj z innymi damami. Ciesz się, że nie musisz dźwigać ciężarów, jakie na mnie spadły.

Vorzheva odwróciła się gwałtownie do niego.

– One mnie nienawidzą! – powiedziała, mrużąc oczy; lok czarnych włosów opadł jej na policzek. – Słyszę, jak szepczą o dziewusze księcia Josui z pastwisk. Ja też ich nienawidzę – północne krowy! U mego ojca, na pograniczu, zostałyby wychłostane za taki... – wciąż brakowało jej słów w obcym języku – brak szacunku! – Odetchnęła głęboko, by uspokoić nerwy. – Sir, czemu jesteś dla mnie taki chłodny? – spytała. – I dlaczego przywiozłeś mnie tutaj, do tego zimnego kraju?

Książę spojrzał na nią i jego twarz na chwilę złagodniała.

– Też się nad tym czasem zastanawiam. – Pokiwał głową. – Proszę, jeśli niemiłe ci towarzystwo dam dworu, idź do harfiarza, niech ci pośpiewa. Nie chcę się kłócić dzisiejszego wieczoru.

– Nie tylko dzisiejszego – rzuciła Vorzheva. – Zdaje się, że w ogóle już ci nie jestem potrzebna. Interesują cię tylko starocie. Ty i te twoje stare księgi!

Josua zaczynał tracić cierpliwość.

– Wydarzenia, o których będziemy dzisiaj mówić, rzeczywiście należą do przeszłości, lecz mogą zadecydować o wynikach naszej obecnej walki. Do licha, kobieto, jestem przecież królewskim synem i nie mogę uchylać się od swoich obowiązków!

– Książę, robisz to o wiele lepiej, niż ci się wydaje – odpowiedziała cierpko, zarzucając pelerynę na ramiona.

Kiedy doszła do drzwi, odwróciła się.

– Nienawidzę tego, w jaki sposób traktujesz przeszłość; dawne księgi, dawne bitwy, dawne historie – wydęła pogardliwie usta – dawne miłości.

Drzwi zamknęły się za nią.

DZIĘKUJEMY CI, KSIĄŻĘ, że przyjąłeś nas w swoich komnatach – powiedział Binabik. Jego pucołowata twarz wyglądała na zatroskaną. – Nie prosiłbym o to, gdyby sprawa nie była ważna.

– Rozumiem, Binabiku – powiedział książę. – Ja także wolę rozmawiać w spokojnym miejscu.

Troll i Jarnauga przysunęli sobie drewniane stołki i siedli przy stole Josui. Przybył z nimi także Strangyeard, lecz on spacerował wzdłuż ścian, podziwiając wiszące na nich gobeliny. Choć od lat przebywał w Naglimundzie, po raz pierwszy znalazł się w prywatnych pokojach księcia.

– Wciąż jeszcze kręci mi się w głowie od tego wszystkiego, co wczoraj usłyszałem – powiedział Josua i wskazał na plik pergaminowych arkuszy, który położył przed nim Binabik. – A ty mi mówisz, że powinienem poznać coś jeszcze. – Książę uśmiechnął się smutno. – Bóg chce mnie pewnie ukarać koszmarem dowodzenia zamkiem w czasie oblężenia i jeszcze komplikuje to licznymi tajemnicami.

Jarnauga pochylił się nad stołem.

– Pamiętaj, książę, że to nie jest koszmar, ale mroczna rzeczywistość. Nikt z nas nie może pozwolić sobie na traktowanie tego jako fantazji.

– Ojciec Strangyeard i ja przeszukiwaliśmy w ciągu dnia zamkowe archiwa – powiedział Binabik – gdyż starałem się rozwikłać znaczenie Losu Mieczy.

– Mówisz o śnie, o którym mi opowiadałeś? – spytał Josua, przerzucając kartki leżącego na stole rękopisu. – O tym, który mieliście z chłopcem w domu czarownicy?

– Nie tylko oni go doświadczyli – wtrącił Jarnauga; jego oczy lśniły jak sople lodu. – Zanim opuściłem Tungoldyr, także śniłem o wielkiej księdze. Wypisano na niej ognistymi literami Du Svardenvyard.

– Słyszałem o księdze Nissesa – oznajmił Josua – kiedy pobierałem nauki u braci Usireanów. – Cieszyła się bardzo złą sławą, lecz już nie istnieje. Nie chcesz chyba powiedzieć, że znalazłeś jej egzemplarz w naszej bibliotece?

– Nie, lecz dlatego, że jej nie szukałem – odparł Binabik. – Gdyby miała ona być gdziekolwiek, to byłaby w Sancellan Aedonitis albo tutaj. Strangyeard zgromadził ogromne zbiory.

– To miło z twojej strony – powiedział archiwista, nie odwracając się od ściany, aby wyraźny rumieniec zadowolenia nie zburzył jego reputacji zrównoważonego historyka.

– Choć obaj ze Strangyeardem staraliśmy się coś znaleźć, to jednak Jarnauga okazał się tym, który częściowo rozwiązał nasz problem – oznajmił Binabik.

Starzec pochylił się i uderzył chudym palcem w pergamin.

– Miałem szczęście, a to chyba jest dla nas dobrą wróżbą. W jednym z listów Morgenes pytał mnie o Nissesa, który – podobnie jak ja – był Rimmersmanem, i prosił, bym pomógł mu wypełnić pewne luki w historii życia twego ojca, Króla Johna. Jednak niewiele mogłem mu pomóc. Przekazałem mu wszystko, co wiedziałem. Ale pamiętam, o co pytał.

– I znowu – wtrącił ożywiony Binabik – mieliśmy szczęście. Jedyną rzeczą, jaką młody Simon uratował ze zniszczonych komnat Morgenesa, była ta książka! – Chwycił manuskrypt krępą, brązową dłonią i pomachał nim. – *Życie i rządy króla Johna Prezbitera*, napisane przez Morgenesa Erchestresa – Doktora Morgenesa z Erchesteru. Innymi słowy, Doktor jest wciąż z nami!

– Zawdzięczamy mu więcej, niż potrafimy wyrazić – oświadczył Jarnauga z powagą. – On wiedział, że nadchodzi ciemność, i poczynił wiele przygotowań; o większości z nich wciąż jeszcze nie wiemy.

– Lecz teraz – wtrącił troll – najważniejszy jest dla nas jego manuskrypt. Spójrz! – Wsunął rękopis w dłoń Josui.

Książę przerzucił parę stron, potem podniósł wzrok i uśmiechnął się słabo.

– Kiedy czytam archaiczny i trudny do zrozumienia język Nissesa, przypominają mi się szkolne dni, które spędzałem w archiwach Sancellan Aedonitis. – Pokiwał głową z żalem. – Nie wątpię, że to fascynująca lektura, i chciałbym znaleźć czas na przeczytanie pracy Morgenesa, lecz wciąż nie rozumiem, o co wam chodzi. – Uniósł stronę, którą wcześniej zaczął czytać. – Tutaj jest opis wykucia Smutku, ale nie ma niczego, czego nie powiedziałby nam już Jarnauga. Jaki więc z tego pożytek?

Josua pozwolił, aby Binabik wziął od niego z powrotem manuskrypt.

– Książę, trzeba prześledzić tekst dokładniej – powiedział. – Morgenes cytuje Nissesa, to znaczy, że czytał przynajmniej w części *Du Svardenvyard*, co z kolei pozwala nam traktować go jako poważne źródło informacji; tak więc w relacji Morgenesa Nisses wspomina o dwóch innych Wielkich Mieczach. Dwa poza Smutkiem. Oto, co mówił sam Nisses. Binabik chrząknął i zaczął czytać.

Pierwszy Wielki Miecz w swej pierwotnej formie pochodził z Nieba i pojawił się tysiąc lat temu.

Usires Aedon, którego Matka Kościół nazywa Synem i Wcieleniem Boga, wisiał przez dziewięć dni i nocy przybity do Drzewa Straceń na placu przed świątynią Yuvenisa w Nabbanie. Yuvenis był pogańskim bogiem sprawiedliwości, dlatego nabbański władca lubił wieszać przestępców skazanych przez jego sądy na olbrzymich konarach Drzewa Yuvenisa. I tak wisiał Usires z Jeziora głową do dołu – skazany za świętokradztwo i ogłoszenie istnienia Jednego Boga – niczym powieszone za nogi zwierzę.

I gdy nadeszła dziewiąta noc, rozległ się grzmot straszliwy, pojawił się ogień i z nieba spadł piorun huczący, który uderzył w świątynię, w gruzy ją zamieniając; w jej wnętrzu zginęli wszyscy pogańscy sędziowie i kapłani. Kiedy wiatr rozpędził cuchnące dymy, wszyscy zobaczyli, że ciało Usiresa Aedona zniknęło, i wielki podniesiono krzyk, że Bóg zabrał go do Nieba i ukarał swych wrogów. Byli też i tacy, którzy twierdzili, że to cierpliwi uczniowie Usiresa odcięli jego ciało i uciekli z nim w zamieszaniu. Lecz tych drugich szybko uciszono i wieść o cudzie prędko rozeszła się po całym mieście. I tak zaczął się upadek bogów Nabbanu.

Wśród dymiących zgliszczy świątyni znaleziono ogromny, dymiący kamień. Aedonici twierdzili, że był to pogański ołtarz stopiony przez karzące ognie Jedynego Boga.

Ja, Nisses, wierzę jednak, że była to płonąca gwiazda, która spadła z niebios, jak to się czasem zdarza.

Z tego to właśnie stopionego kamienia wzięto kawał i stwierdziwszy, że metal ten pochodzący z niebios nadaje się do prac kowalskich, oddano go królewskim płatnerzom, którzy ogromny miecz z niego wykuli. Jak sądzę, pamiętano dobrze bicze, jakie spadały na plecy Usiresa, i dlatego ten gwiezdny miecz nazwano CIERNIEM, a wielką posiadał on moc...

– I tak – powiedział Binabik – miecz zwany Cierniem był przekazywany przez całą dynastię nabbańskich władców, aż otrzymał go wreszcie...

– Sir Camaris, największy przyjaciel mego ojca – dokończył Josua. – Znam wiele opowieści o mieczu Camarisa, ale dopiero dzisiaj się dowiedziałem, skąd pochodzi Cierń... jeśli możemy zawierzyć Nissesowi. Ten ustęp brzmi trochę jak herezja.

– Wasza Wysokość, te jego stwierdzenia, które potwierdziła historia, okazały się prawdziwe – powiedział Jarnauga, głaszcząc swoją brodę.

– Ale jakie to ma znaczenie? – spytał Josua. – Przecież miecz utonął razem z Camarisem.

– Pozwól, że przeczytam ci dalszy fragment kroniki Nissesa – odparł Binabik. – W nim właśnie pojawia się trzecia część naszej zagadki.

Drugi spośród Wielkich Mieczy pochodzi z morza i przebył on daleką drogę przez słony ocean z Zachodu do Osten Ard.

Przez długie lata przybywali do nas co roku piraci z jakiegoś odległego zimnego kraju zwanego Ijsgard, do którego zawsze wracali, złupiwszy najpierw co się dało.

Aż stało się, że któregoś roku wydarzyła się w ich kraju tragedia czy nieszczęście, tak że opuścili go i przywieźli w łodziach swe rodziny do Osten Ard, by osiedlić się w Rimmersgardzie na Północy, który to stał się i moim miejscem urodzenia.

Po przybiciu do brzegu ich król, Elvrit, złożył dziękczynienie Udunowi i innym pogańskim bogom, a potem rozkazał, aby żelazny kil jego łodzi z godłem smoka przerobiono na miecz, który miał chronić jego naród w nowej ojczyźnie.

I tak przekazano kil Dverningom, tajemniczemu, lecz zręcznemu plemieniu, i oni oddzielili sobie tylko znanym sposobem czysty i najwartościowszy metal, po czym wykonali z niego długi i lśniący miecz.

Lecz gdy doszło do zapłaty, król Elvrit pokłócił się z wodzem Dverningów, zabił go i zabrał miecz bez zapłaty, co stało się przyczyną wielu późniejszych nieszczęść.

Aby uczcić ich przybycie do nowego kraju, Elvrit nazwał miecz MINNEYAR, co znaczy „Pamiętny Rok”.

Troll skończył czytać i podszedł do stołu, aby napić się trochę wody z dzbana.

– Tak więc, Binabiku z Yiqanuc, mamy dwa potężne miecze – powiedział Josua. – Być może ten okropny rok zmiękczył mój umysł, ale ja wciąż nie rozumiem, jakie mają one dla nas znaczenie.

– Trzy miecze – poprawił go Jarnauga – razem z Jingizu Inelukiego. Trzy miecze o wielkiej mocy.

– Książę, musisz przeczytać ostatni cytat z księgi Nissesa – wtrącił Strangyeard, dołączając do pozostałych. Podniósł arkusz, który Binabik położył na stole. – Tutaj, proszę. Ten ostatni fragment pism tego szaleńca.

Kiedy szron pokryje dzwony Claves
I Cienie na drogę wyjdą.
Kiedy woda w Studni się wzburzy,
Trzy Miecze muszą powrócić.

Kiedy z Ziemi Bukkeny wypełzną,
A z gór zejdą Huneny,
Kiedy Koszmar Sen zmąci,
Trzy Miecze muszą powrócić.

By powstrzymać Los kroczący,
By rozwiać mgły Czasu,
Jeśli Wcześnie powstanie zbyt Późno,
Trzy Miecze muszą powrócić...

– Chyba... chyba już rozumiem – powiedział Josua najwyraźniej poruszony ostatnim cytatem. – To brzmi prawie jak przepowiednia obecnych dni; jakby Nisses wiedział, że Ineluki kiedyś powróci.

– Tak – przytaknął Jarnauga i przeczesując palcami brodę, spojrzał ponad ramieniem Josui. – Jeśli wszystko ma się skończyć dobrze, „Trzy Miecze muszą powrócić”.

– Dowiedzieliśmy się więc – powiedział Binabik – że jeśli Król Burz w jakikolwiek sposób może zostać pokonany, to tylko poprzez odnalezienie trzech mieczy.

– Tych, o których mówi Nisses? – spytał Josua.

– Tak się wydaje.

– Ale jeśli prawdą jest to, co mówi Simon, Smutek jest już w rękach mego brata. – Książę zmarszczył czoło zamyślony. – Gdyby tak można było po prostu pójść do Hayholt i odebrać mu miecz, nie chowalibyśmy się tutaj, w Naglimundzie.

– Książę, Smutkiem zajmiemy się na samym końcu. I tak jest on już w rękach twego brata – powiedział Jarnauga. – Musimy odzyskać dwa pozostałe. Nadano mi imię ze względu na mój doskonały wzrok, ale nawet ja nie potrafię zobaczyć przyszłości. Może znajdziemy jakiś sposób na odebranie Eliasowi miecza, a może on sam popełni jakiś błąd. Teraz jednak musimy odnaleźć Cierń i Minneyar.

Josua odchylił się na krześle i krzyżując nogi, zakrył dłonią oczy.

– To brzmi jak bajka dla dzieci! – wykrzyknął. – W jaki sposób zwykli ludzie mogą przetrwać takie czasy? Zima w miesiącu Yuven... powstały Król Burz, który jest zmarłym sithijskim księciem... a do tego jeszcze beznadziejne poszukiwanie dawno zaginionych mieczy... Czyste szaleństwo! – Otworzył oczy i wyprostował się. – Ale co mamy robić? Wierzę w to wszystko, więc ja też muszę być szalony.

Książę wstał i zaczął chodzić po pokoju. Pozostali obserwowali go, wdzięczni, że spełniły się ich nikłe nadzieje i przynajmniej udało im się przekonać Josuę co do dziwnej i mrocznej prawdy.

– Ojcze Strangyeard – przemówił wreszcie książę – czy możesz pójść i poszukać Isgrimnura? Odprawiłem całą służbę, aby nam nie przeszkadzano.

– Oczywiście – odpowiedział archwista i opuścił pośpiesznie pokój, powiewając luźnymi szatami.

– Bez względu na to, co się stanie – powiedział Josua – będę miał wiele do powiedzenia w czasie dzisiejszej narady. Chciałbym, aby poparł mnie Isgrimnur. Baronowie znają go jako człowieka praktycznego, na mnie zaś wciąż patrzą podejrzliwie ze względu na dziwne zachowanie i lata spędzone w Nabbanie. – Książę uśmiechnął się smutno. – Jeśli te nieprawdopodobne rzeczy są prawdą, nasze zadanie okaże się bardziej skomplikowane, niż początkowo się wydawało. Dlatego jeśli poprze mnie Isgrimnur, to myślę, że baronowie pójdą jego śladem. Nie będę jednak ujawniał ostatniej informacji, choć z drugiej strony to ona właśnie stwarza nić nadziei. Obawiam się, że nie wszyscy spośród lordów umieliby dochować tajemnicy w tak zadziwiających sprawach. – Książę westchnął. – Wystarczy, że mam Eliasa za wroga. – Stał wpatrzony w ogień paleniska. – Mój biedny brat.

Binabik spojrzał na niego, zdziwiony tonem tej wypowiedzi.

– Mój biedny brat – powtórzył książę. – Jest pewnie w samym środku tego koszmaru. Król Burz! Białe Lisy! Nie sądzę, aby wiedział, co robi.

– Ale ktoś wiedział, co się dzieje – wtrącił troll. – Nie wierzę, żeby Pan Burzowej Góry i jego słudzy chodzili od domu do domu, oferując swoje towary.

– Och, bez wątpienia Pryrates dotarł do nich w jakiś sposób – powiedział Josua. – Pamiętam jeszcze z seminarium u braci Usireanów, jak bardzo spragniony był zakazanej wiedzy. – Pokiwał smutno głową. – Lecz Elias pomimo swej odwagi nigdy nie ufał tajemnym, starym księgom

i zawsze pogardzał wiedzą. Nie lubił też rozmawiać o duchach i demonach. Zmienił się jeszcze na gorsze po... po śmierci swojej żony. Ciekawe, co dla niego było warte przerażenie, jakie z pewnością jest jego udziałem w tej transakcji. Ciekawe, czy teraz żałuje tego; cóż za okropni sprzymierzeńcy! Biedny, głupi Elias...

ZNOWU PADAŁO I KIEDY Strangyeard wrócił z Isgrimnurem, obaj ociekali deszczem, gdyż musieli przejść przez długi dziedziniec. Isgrimnur stał w drzwiach komnaty Josui, przestępując z nogi na nogę jak nerwowy koń.

– Byłem u mojej żony – wyjaśnił. – Wraz z innymi kobietami opuściła dom jeszcze przed przybyciem Skalego i udała się do Tana Tonnruda, jej wuja. Przyprowadziła tutaj kilku moich ludzi i kilkanaście kobiet z dziećmi. Ma odmrożone palce, biedna Gutrun.

– Wybacz, Isgrimnurze, że kazałem ci przychodzić, szczególnie gdy twoja żona cierpi – przeprosił go książę i ścisnął serdecznie jego dłoń.

– To nic, i tak niewiele mogę jej pomóc. Pomagają dziewczęta. – Był zmartwiony, lecz mówił z dumą. – Ona jest silną kobietą. Wychowała mi silnych synów.

– Nie obawiaj się, pomożemy twemu najstarszemu, Isornowi. – Josua poprowadził Isgrimnura do stołu i wręczył mu rękopis Morgenesa. – Może się zdarzyć, że będzie więcej niż jedna bitwa.

Isgrimnur przeczytał o Losie Mieczy, zadał parę pytań, a potem przeczytał fragmenty manuskryptu jeszcze raz.

– A więc uważacie, że kluczem do całej sprawy jest ten fragment? – spytał.

– Jeśli mówisz o kluczu, który *zamyka* drzwi – powiedział Jarnauga. Tak, tak nam się wydaje. Wygląda na to, że musimy odnaleźć miecze z przepowiedni Nissesa, miecze, które powstrzymają Króla Burz.

– Ale wasz chłopiec utrzymuje, że Elias ma już jeden. Rzeczywiście widziałem, że nosił jakiś nieznany miecz, kiedy udzielał mi pozwolenia wyjazdu do Elvritshalli. Był ogromny i bardzo dziwny.

– O tym już wiemy – wtrącił Binabik. – Dlatego najpierw musimy odnaleźć dwa pozostałe.

Isgrimnur spojrzał podejrzliwie na trolla.

– I czego ode mnie oczekujesz, trollu?

– Jedynie twojej pomocy, w jakiejkolwiek formie – powiedział Josua, klepiąc Isgrimnura po ramieniu. – Binabik z Yiqanuc jest tutaj z tych samych powodów.

– Czy słyszałeś coś o losie Minneyara, miecza Elvrita? – spytał Jarnauga.

– Przyznaję, że powinienem coś na ten temat wiedzieć, gdyż nasza Liga została stworzona właśnie po to, aby zbierać tego rodzaju wiedzę, lecz znane nam opowieści nie wspominają o takim mieczu.

– Słyszałem tę historię od mej babki, która posiadała dar opowiadania – oświadczył Isgrimnur, przygryzając wąsy. – Miecz przekazywali sobie potomkowie Elvrita aż do Fingila Czerwonorękiego; potem otrzymał go syn Fingila Hjeldin, a gdy Hjeldin spadł z wieży – Nissesa znaleziono martwego na podłodze tej samej wieży – zabrał go porucznik Hjeldina Ikferdig wraz z koroną Rimmersmenów, która była oznaką władzy w Hayholt.

– Ikferdig zmarł w Hayholt – wtrącił nieśmiało Strangyeard, zagrzewając dłonie nad ogniem. – W księgach nazywano go Spalonym Królem.

– Zginął od ognia czerwonego smoka Shurakai – wyjaśnił Jarnauga. – Upiekł się w Sali Tronowej jak królik.

– A zatem – powiedział Binabik zamyślony, gdy tymczasem Strangyeard aż zadrżał, słysząc słowa Jarnaugi. – Minneyar jest gdzieś w Hayholt albo został zniszczony ogniem czerwonego smoka.

Josua wstał, podszedł do kominka i patrzył długo w jego drżące płomienie. Strangyeard usunął się nieco, by zrobić mu miejsce.

– Dwie niepomyślne możliwości – powiedział Josua i z grymasem na twarzy zwrócił się do ojca Strangyearda. – Nie przynosicie mi dzisiaj dobrych wieści, uczeni mężowie. – Słysząc to, archiwista posmutniał. – Najpierw mówicie mi, że jedyna nasza nadzieja leży w znalezieniu trzech mieczy, a teraz oświadczacie, że dwa z nich znajdują się w twierdzy mego wroga – jeśli w ogóle miecze istnieją. – Książę westchnął ciężko. – A co z trzecim? Czy Pryrates używa go do krojenia mięsa przy stole?

– Cierń – powiedział Binabik, siadając na krawędzi stołu. – Miecz wielkiego rycerza, Camarisa.

– Wykuty z gwiezdnego kamienia, który zniszczył świątynię Yuvenisa w dawnym Nabbanie – dodał Jarnauga. – Z pewnością znajduje się na dnie zatoki Firannos, gdzie utonął Camaris.

– Widzicie! – krzyknął Josua. – Dwa są u mego brata, a trzeciego strzeże zazdrosny ocean. Jesteśmy pokonani, zanim jeszcze cokolwiek zaczęliśmy.

– Niewątpliwie cudem powinien się wydawać fakt, że rękopis Morgenesa przetrwał katastrofę, która zniszczyła jego samego i jego pokoje – przemówił Jarnauga surowym głosem – i że pomimo wielu niebezpieczeństw dotarł do nas, abyśmy mogli przeczytać przepowiednie Nissesa. A jednak przetrwał. I dotarł do nas. Zawsze pozostaje nadzieja.

– Wybacz, książę, ale wydaje mi się, że pozostaje nam zrobić tylko jedno – powiedział Binabik, kiwając z powagą głową. – Trzeba wrócić do

archiwum i szukać dalej rozwiązania zagadki Ciernia i pozostałych mieczy. Musimy szybko je znaleźć.

– Tak, szybko – przytaknął mu Jarnauga – gdyż tracimy niezwykle cenny czas.

– Zgadzam się – odparł Josua i przysunąwszy sobie krzesło do kominka, opadł na nie ciężko. – Śpieszcie się, choć obawiam się, że nasz czas już się skończył.

A NIECH TO WSZYSCY DIABLI – wycedził Simon i cisnął kolejny kamień z blanki w paszczę wiatru. Wydawało mu się, że Naglimund znajduje się w samym środku zamglonego, szarego bezkresu, niczym góra wynurzająca się z morza wirującego deszczu. – Cholera – dodał i schylił się, by poszukać kolejnego kamienia. Sangfugol spojrzał na niego. Wspaniała czapa harfiarza zmieniła się w bezkształtną, przemoczoną masę.

– Simonie – powiedział ponuro – zdecyduj się. Najpierw przeklinasz ich wszystkich za to, że ciągną cię wszędzie za sobą jak kupiecki worek, a potem przeklinasz i ciskasz kamieniami, dlatego że nie zaprosili cię na popołudniowe rozmowy.

– Wiem – odpowiedział Simon i cisnął jeszcze jeden kamień z zamkowego muru. – Sam nie wiem, czego chcę. Niczego nie wiem.

Harfiarz skrzywił się.

– Ja natomiast chciałbym wiedzieć jedno: co my tutaj robimy? Czy nie ma już lepszych miejsc, w których można by czuć się podle i samotnie? Tutaj jest zimno jak w tyłku u studniarza. – Zaszczękał zębami w nadziei, że wzbudzi tym litość towarzysza. – Po co tutaj przyszliśmy?

– Ponieważ odrobina wiatru i deszczu pozwala trzeźwo myśleć – zawołał Towser, który ukazał się na szczycie muru. – Poza tym jest to najlepsze lekarstwo na kaca. – Starzec puścił oko do Simona, który

domyślił się, że błazen dawno by już zszedł na dół, gdyby nie zabawny widok trzęsącego się w swych strojnych szatkach Sangfugola.

– Towser – odezwał się żałośnie harfiarz – pijesz, jakbyś przeżywał swą pierwszą młodość albo drugie dzieciństwo. Nic więc dziwnego, że brykasz po murach jak jakiś młokos.

– Ach, Sangfugol! – Na pomarszczonej twarzy Towsera pojawił się uśmiech; mówiąc, obserwował kolejny pocisk Simona, który wpadł do rozlewiska, wyrzucając w górę fontannę wody. – Jesteś zbyt... Hej! – Towser wskazał dłonią. – Czy to nie książę Isgrimnur? Słyszałem, że już wrócił. Hej, książę! – krzyknął błazen i pomachał ręką. Isgrimnur spojrzał w górę, starając się coś dostrzec przez zacinający deszcz. – Książę Isgrimnurze! Tu Towser!

– Naprawdę? – zawołał książę. – A niech cię, czy to ty, stary sukinsynu?

– Chodź, chodź na górę! – zawołał Towser. – Opowiesz nam, co słychać nowego!

– Nie ma co się dziwić – zakpił Sangfugol, kiedy zobaczył, że Isgrimnur brodzi przez dziedziniec w kierunku krętych schodów prowadzących na mury. – Jeśli nie stary wariat, to tylko Rimmersman zgodziłby się z własnej woli przyjść tutaj w taką pogodę. Dla niego pewnie i tak jest za ciepło, przecież jeszcze nie pada śnieg.

Isgrimnur przywitał Simona i harfiarza zmęczonym uśmiechem i skinięciem głowy, po czym odwrócił się do błazna, uścisnął jego żylaste dłonie i poklepał go po ramieniu. Tak bardzo przewyższał wzrostem i tuszą Towsera, że wyglądał przy nim jak niedźwiedzica, która tarmosi swoje małe.

Książę i błazen rozmawiali ze sobą, a Simon przysłuchiwał się, rzucając kamienie; Sangfugol stał zrezygnowany z boku z miną cierpiętnika. Wkrótce Rimmersman opowiedział już wszystko o wspólnych znajomych

i rozmowa zeszła na bardziej mroczne tematy. Kiedy Isgrimnur zaczął mówić o niebezpieczeństwie wojny i nadciągającym cieniu z Północy, Simon poczuł, że wewnętrzny chłód, o którym zimny wiatr pozwolił mu dotąd zapomnieć, teraz znowu powraca. Książę zaczął opowiadać ściszonym głosem o Władcy Północy, lecz potem zamilkł, twierdząc, że są to rzeczy zbyt straszne, by mówić o nich tak otwarcie. Wtedy Simon poczuł, że chłód coraz bardziej przenika jego ciało. Patrzył w mroczną przestrzeń, w ciemną pięść burzy, która szalała gdzieś poza ścianą deszczu, i poczuł, że powraca na Ścieżkę Snów ze snu u Geloë...

...Nagi szczyt kamiennej góry, nad nim otoczka z czerwono-żółtych płomieni. Królowa w srebrnej masce na swym lodowym tronie i monotonne głosy w kamiennym wnętrzu góry... Opadły na niego czarne myśli; przygniatały go niczym krawędź szerokiego koła. Był pewien, że tak łatwo byłoby pójść przed siebie, w ciemność, w ciepło, które było gdzieś poza chłodem burzy...

– To jest tak blisko... tak blisko...

– Simonie! – usłyszał głos tuż przy swoim uchu. Ktoś chwycił go za łokieć. Spojrzał w dół i ze zdziwieniem zobaczył, że stoi tylko o parę cali od krawędzi muru, a pod sobą ma zalany wodą dziedziniec.

– Co ty wyprawiasz? – spytał Sangfugol i potrząsnął jego ramieniem. – Gdybyś przelazł przez ten murek, co najmniej połamałbyś kości.

– Ja byłem... – zaczął Simon, czując, że ciemna mgła wciąż spowija jego myśli, mgła, która nie chciała się rozstąpić. – Ja...

– Cierń? – powiedział głośno Towser, reagując na wcześniejszą wypowiedź Isgrimnura. Simon odwrócił się i zobaczył, że błazen ciągnie Rimmersmana za płaszcz, jak domagające się czegoś dziecko. – Powiedziałeś Cierń? No to dlaczego nie przyszedłeś z tym do mnie od

razu? Tylko do starego Towsera! Jeśli ktoś ma cokolwiek o tym wiedzieć, to właśnie ja!

Starzec zwrócił się do Simona i harfiarza.

– Kto był z Johnem dłużej niż ktokolwiek inny? No kto? Ja, oczywiście. Przez sześćdziesiąt lat zabawiałem go swoimi dowcipami i sztuczkami. A także wielkiego Camarisa. Spotykałem go, gdy przychodził na dwór. – Stary błazen ponownie zwrócił się do księcia i Simon dostrzegł w jego oczach nieobecny wcześniej blask. – Ja jestem tym, kogo szukacie – oświadczył dumnie Towser. – Szybko! Zaprowadź mnie do księcia Josui.

Krzywonogi błazen szedł lekko, nieomal tańczył, prowadząc ku schodom zdumionego Rimmersmana.

– Dzięki Bogu i Jego aniołom – odetchnął Sangfugol, spoglądając za odchodzącymi. – Proponuję, abyśmy natychmiast poszli wlać coś w siebie; niech ta ciecz w naszym wnętrzu zrekompensuje ciecz, którą przesiąkamy od zewnątrz. – Po tych słowach ruszył do oświetlonych pochodniami schodów, które chociaż na chwilę dawały im ciepło i schronienie przed północnym wiatrem; Simon szedł za nim, wciąż potrząsając głową.

TOWSER, ZDAJEMY SOBIE SPRAWĘ, jaką odgrywasz rolę w tych wydarzeniach – powiedział zniecierpliwiony Josua. Książę miał na szyi wełniany szalik, pewnie jako ochronę przed wdzierającym się wszędzie chłodem. Czubek jego delikatnego nosa poczerwieniał.

– Wasza Wysokość, ja tylko jakby przedstawiam tło wydarzeń – wyjaśnił Towser z zadowoleniem. – Jakiś kielich wina z pewnością ułatwi mi opowiadanie i zaraz przejdę do sedna sprawy.

– Isgrimnurze – jęknął Josua – bądź tak dobry i daj coś do picia naszemu czcigodnemu błaznowi, bo inaczej nie dowiemy się niczego więcej przed świętem Aedontide.

Książę podszedł do cedrowego kredensu, który stał przy stole Josui, i wyjął z niego dzban pedruińskiego czerwonego wina.

– Proszę – powiedział, podając Towserowi pełen puchar.

Błazen pociągnął łyk i uśmiechnął się.

„Nie o wino mu chodzi – pomyślał Isgrimnur – chce, żebyśmy zwrócili na niego uwagę. Ciężkie to czasy dla młodych i potrzebnych ludzi, a co dopiero dla takiego starego oszusta, którego pan nie żyje już od dwóch lat”.

Wpatrywał się w pokrytą bliznami twarz błazna i przez chwilę wydało mu się, że widzi ukrytą pod maską twarz dziecka.

„Boże, daj mi szybką i zaszczytną śmierć – modlił się w duchu Isgrimnur. – I nie pozwól, abym stał się jednym z tych starych głupców, co to siedzą przy ognisku i powtarzają wciąż młodym, że nigdy już nie będzie tak dobrze, jak to bywało kiedyś. Chociaż – pomyślał, wracając na swoje miejsce i nasłuchując wycia wiatru – chociaż tym razem może to być prawda. Może rzeczywiście myśmy przeżyli lepsze czasy. Może pozostała nam już tylko z góry przegrana bitwa z nadciągającymi siłami ciemności”.

– Widzicie – mówił Towser – miecz Camarisa nie zatonął w oceanie. Oddał go na przechowanie jednemu ze swoich rycerzy, Colmundowi z Rodstanby.

– Oddał swój miecz? – zapytał Josua zdumiony. – O tym nie słyszałem w żadnej z opowieści o Camarisie-sa-Vinitta.

– Ach, nie znałeś go w ostatnim roku jego życia. Nie mogłeś, gdyż dopiero co się urodziłeś. – Towser napił się wina i patrzył przez chwilę zamyślony w sufit. – Sir Camaris stał się dziwny i ponury po tym, jak zmarła twoja matka, królowa Ebekah. Był jej wybranym opiekunem i czcił nieomal podłogę, po której stąpała, jakby była Elysią, Matką Boga. Zawsze miałem wrażenie, że siebie winił za jej śmierć; sądził może, że ulży jej słabemu zdrowiu mocą swego miecza albo czystością serca... biedny idiota.

Widząc niecierpliwiącego się Josuę, Isgrimnur pochylił się do Towsera.

– Tak więc dał Cierń swemu rycerzowi?

– Tak, tak – potwierdził błazen rozdrażniony, że go popędzają. – Kiedy Camaris utonął u wybrzeży Wyspy Harcha, Colmund przywłaszczył sobie miecz, powrócił do domu i odzyskawszy rodzinne ziemie w Rodstanby we Frostmarch, został baronem całkiem pokaźnej prowincji. Miecz Cierń znany był na całym świecie, więc gdy widzieli go wrogowie – łatwo było go rozpoznać, cały czarny i lśniący, z wyjątkiem srebrnej rękojeści; piękna, choć straszliwa broń – nikt nie śmiał mu stawić czoła. Rzadko nawet zmuszony był wyciągać go z pochwy.

– To znaczy, że jest w Rodstanby? – odezwał się z kąta pokoju zaciekawiony Binabik. – To zaledwie dwa dni konno od miejsca, w którym siedzimy!

– Nie, nie – zaprzeczył Towser i pomachał na Isgrimnura kielichem, aby nalał mu jeszcze wina. – Poczekaj, trollu, a wszystko wam opowiem.

Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, wstał Jarnauga, który dotąd kucał przy ogniu, i nachylił się nad błaznem.

– Towser – powiedział głosem ostrym i zimnym jak sople lodu – nie możemy czekać, aż skończysz. Z Północy nadciąga ciemność, straszny i przejmujący chłodem cień. *Musimy* mieć ten miecz, rozumiesz? – Jeszcze bardziej zbliżył swą chudą twarz do twarzy błazna. Towser uniósł krzaczaste brwi zaniepokojony. – Musimy odnaleźć Cierń, gdyż wkrótce sam Król Burz zapuka do naszych drzwi. *Rozumiesz*?

Towser patrzył na Jarnaugę z rozdziawionymi ustami, a ten ponownie zajął swoje miejsce przy palenisku.

„No cóż – pomyślał Isgrimnur – możemy być pewni, że wkrótce cały Naglimund dowie się o ostatnich wieściach. Ale chyba popędził trochę staruszka”.

Towser potrzebował paru chwil, by ochłonąć po piorunującym spojrzeniu Jarnaugi. Kiedy spojrzał na innych, nie wydawał się już tak bardzo zadowolony ze swej roli.

– Colmund – zaczął. – Sir Colmund nasłuchał się opowieści o legendarnym skarbie smoka Igjarjuka, który miał się znajdować w górach Urmsheim. Podobno był to skarb, o jakim nikomu się nie śniło.

– Tylko komuś z nizin mogło przyjść do głowy, żeby szukać górskiego smoka, i to dla jego złota! – zauważył z odrazą Binabik. – Mój lud od dawna mieszka w pobliżu Urmsheim i żyjemy długo tylko dlatego, że nie zapuszczamy się w tamte okolice.

– Ale widzisz – odparł Towser – przez wiele pokoleń smok istniał tylko w legendach. Nikt go nie widział, nikt o nim nie słyszał... z wyjątkiem może oszalałych wśród śniegów wędrowców. A Colmund miał Cierń, magiczny miecz, który miał go poprowadzić w wyprawie po magiczny smoczy skarb!

– Co za głupota! – zawołał Josua. – Czy nie miał wszystkiego, czego tylko zapragnął? Tytuł? Miecz bohatera? Dlaczego dał się skusić takiej szalonej opowieści?

– Do diabła, Josuo – zaklął Isgrimnur – a dlaczego ludzie postępują tak, jak postępują? Dlaczego powiesili do góry nogami na Drzewie naszego Pana Usiresa? Dlaczego Elias uwięził swego brata i zadaje się z demonami, skoro i tak jest już Wielkim Królem całego Osten Ard?

– Rzeczywiście jest coś takiego w ludziach, co każe im sięgać po rzeczy dla nich nieosiągalne – powiedział Jarnauga ze swego miejsca przy palenisku

– Czasem to, czego szukają, leży poza granicami zrozumienia.

Binabik zeskoczył na podłogę.

– Za dużo mówimy o rzeczach, o których nic nie wiemy – powiedział. – Wciąż pozostaje pytanie: Gdzie jest miecz? Gdzie jest Cierń?

– Gdzieś na Północy, to pewne – powiedział Towser. – Nigdy nie słyszałem, aby Sir Colmund powrócił ze swej wyprawy. Jedna z opowieści głosi, że ustanowił siebie królem Hunenów i mieszka tam w lodowej fortecy.

– Zdaje się, że opowieść o nim zmieszała się z dawnymi wspomnieniami o Inelukim – dodał zamyślony Jarnauga.

– Dotarł aż do klasztoru świętego Skendiego w Haethstead – odezwał się nagle cienkim głosem ojciec Strangyeard. Niezauważony wymknął się z pokoju i po chwili był już z powrotem z rumieńcem zadowolenia na twarzy. – Towser przypomniał mi o czymś. Wydawało mi się, że mam jakieś księgi z tego klasztoru, które uratowano przed zniszczeniem w czasie wojen we Frostmarch. Oto jest księga gospodarska z pierwszego roku istnienia klasztoru, to jest 1131. Jest w niej lista wyposażenia wyprawy Colmunda. – Podał księgę z dumą księciu, który zbliżył ją do światła ognia.

– Suszone mięso i owoce. – Josua z trudem odczytywał wyblakłe pismo. – Wełniane płaszcze, dwa konie. – Przestał na chwilę czytać. – Tutaj jest napisane, że grupa składa się z „dwunastu i jednej” osoby, co daje trzynaście. – Podał księgę Binabikowi, który razem z Jarnaugą zaczął przeglądać księgę przy ogniu.

– A zatem musiało im się nie powieść – powiedział Towser, napełniając sobie puchar. – W opowieściach, które ja słyszałem, mówi się, że wyruszył z Rodstanby z grupą ponad dwudziestu pięciu swych najlepszych ludzi.

Isgrimnur przyglądał się trollowi. „Z pewnością jest mądry – pomyślał – choć nie ufam jemu ani jego rodzajowi. I co on ma do tego chłopaka? Też mi się to nie podoba, lecz trzeba przyznać, że to, co obaj mieli do powiedzenia, okazuje się prawdą”.

– I co nam z tego? – powiedział głośno. – Skoro miecz zginął, to już go nie odzyskamy i możemy jedynie pomyśleć o możliwie najlepszej obronie tutaj.

– Książę Isgrimnurze – odezwał się Binabik – być może nie dotarło to jeszcze do ciebie, ale my nie mamy wyboru. Jeśli rzeczywiście naszym wrogiem jest Król Burz – a co do tego wszyscy się chyba zgadzamy – jedyną naszą nadzieją jest odnalezienie trzech mieczy. Dwa z nich są dla nas na razie niedostępne. Nie pozostaje nam nic innego, jak odnaleźć Cierń, jeżeli jest to w ogóle możliwe.

– Nie pouczaj mnie, mały trollu – mruknął Isgrimnur, lecz Josua machnął dłonią, by zapobiec dalszym sprzeczkom.

– Przestańcie – powiedział książę. – Niech pomyślę. Kręci mi się w głowie od tych wszystkich szalonych myśli. Uciszcie się na chwilę.

Strangyeard, Jarnauga i Binabik ślęczeli nad księgą z klasztoru i manuskryptem Morgenesa, szepcząc do siebie; Towser kończył kolejny puchar wina, a obok niego popijał wino zamyślony Isgrimnur. Josua siedział wpatrzony w ogień. Jego zmęczona twarz przypominała maskę z pergaminu naciągniętego na kości. Isgrimnur patrzył na niego zasmucony.

„Jego ojciec nie wyglądał gorzej w ostatnich dniach swego życia – pomyślał. – Czy ma tyle sił, aby poprowadzić nas przez oblężenie, którego, zdaje się, nie unikniemy? Czy ma choć tyle sił, żeby samemu przetrwać? Zawsze był myślicielem... Trzeba jednak przyznać, że dobrze sobie radzi z tarczą i mieczem”. Nieświadomie Isgrimnur podniósł się i stając u boku Josui, położył swą ogromną dłoń na jego ramieniu.

Josua spojrzał na niego.

– Stary przyjacielu, czy możesz dać mi jednego ze swoich najlepszych ludzi? Kogoś, kto zna północne tereny?

Isgrimnur zamyślił się.

– Mam dwóch czy trzech. Może Frekke, chociaż jest chyba za stary na podróż, o jakiej zdaje się myślisz. Einskaldir nie opuściłby mnie, chyba że wypchnąłbym go za bramę włócznią. Poza tym przyda nam się chyba jego zaciętość, kiedy tutaj rozgorzeje walka. On jest jak borsuk: im bardziej jest osaczony, tym staje się groźniejszy. Z pozostałych – zastanawiał się książę – dałbym ci Sludiga. Jest młody, silny, ale i roztropny. Tak, Sludig będzie odpowiednim człowiekiem.

– Dobrze. – Josua skinął powoli głową. – Ja też wybiorę ze swoich ludzi trzech lub czterech, ale lepiej, żeby to była mała grupa.

– Do czego ich potrzebujesz? – Isgrimnur rozejrzał się po pokoju, przyglądając się niewielu, lecz za to istniejącym naprawdę przedmiotom, jakie się w nim znajdowały. Zastanawiał się, czy oni gonią za duchami, czy może nienaturalna zima odebrała im zdolność jasnego myślenia.

– Do odnalezienia miecza Camarisa, wuju Niedźwiedzia Skóro – odpowiedział książę, uśmiechając się słabo. – Wiem, że to czyste szaleństwo, gdyż opieramy się tylko na dawnych opowieściach i paru wzmiankach ze starych ksiąg, lecz nie możemy zignorować żadnych wskazówek. Mamy zimę w letnim miesiącu Yuven. Tego nasze wątpliwości nie zmienią. – Rozejrzał się po pokoju zamyślony. – Binabiku z Yiqanuc! – zawołał, a troll natychmiast pojawił się przed nim. – Czy poprowadzisz wyprawę, która uda się śladem Ciernia? Znasz północne góry lepiej niż ktokolwiek z nas, z wyjątkiem może Jarnaugi, który – mam nadzieję – pojedzie z tobą.

– Będzie to dla mnie zaszczyt, książę – powiedział Binabik i klęknął na jedno kolano.

Nawet Isgrimnur nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Książę, ja również jestem zaszczycony – powiedział Jarnauga, wstając – lecz uważam, że powinienem zostać. Przydam się bardziej tutaj,

w Naglimundzie. Wprawdzie nogi mam już stare, lecz wzrok całkiem jeszcze dobry. Pomogę Strangyeardowi w archiwum; wiele pytań wciąż jeszcze pozostaje bez odpowiedzi, historia Króla Burz zawiera w sobie wiele nierozwiązanych zagadek, może też dowiemy się czegoś więcej o tym, gdzie jest Minneyar, miecz Fingila. Mogę też przydać się w innych sprawach.

– Wasza Wysokość – wtrącił Binabik – jeśli jest jeszcze jakieś miejsce do obsadzenia, to chciałbym prosić o pozwolenie zabrania na wyprawę młodego Simona. W swym ostatnim życzeniu Morgenes prosił, aby chłopcem zaopiekował się mój mistrz. Po śmierci Ookequka ja jestem mistrzem i na mnie spadł ten obowiązek, przed którym nie mam zamiaru się uchylać.

Josua nie wydawał się zachwycony propozycją trolla.

– I masz zamiar opiekować się nim, zabierając go na szaloną wyprawę w nieznane tereny Północy?

Binabik uniósł brwi.

– Nieznane być może ludziom. Dla nas jest to jakby podwórko przed domem. A poza tym, czy bezpieczniej będzie zostawić go zamkniętego w zamku, który ma stoczyć bitwę z Królem Burz?

Josua przesunął swą szczupłą dłonią po twarzy, jakby bolała go głowa.

– Chyba masz rację. Jeśli ta cienka nić nadziei zostanie zerwana, nie będzie bezpiecznego miejsca dla tych, którzy stanęli u boku pana Naglimundu. Możesz go zabrać, jeśli chłopiec się zgodzi. – Położył dłoń na ramieniu Binabika. – Bardzo dobrze, mały trollu. Mały, lecz dzielny. Zatem wracaj do swych ksiąg, a rano przyślę ci trzech Erkynlandczyków i Sludiga.

– Dziękuję, książę Josuo. – Binabik skłonił głowę. – Ale uważam, że powinniśmy wyruszyć jutro w nocy. Będziemy stanowili małą grupę i nasza największa nadzieja w tym, że nie będziemy przyciągać niczyjej uwagi.

– Niech tak będzie – zgodził się Josua. Wstając, uniósł dłoń, jakby udzielał błogosławieństwa. – Kto wie, czy to tylko szalona wyprawa, czy też ratunek dla nas wszystkich? Powinniście wyruszać żegnani fanfarami. Lecz konieczność musi wziąć górę nad honorami, a tajemnica będzie naszym hasłem. Pamiętaj, że myślami będziemy z wami.

Isgrimnur zawahał się, lecz zaraz pochylił się i ścisnął małą dłoń Binabika.

– Dziwne to wszystko – powiedział – ale niech Bóg cię prowadzi. Wybacz, jeśli Sludig będzie trochę niesforny. Jest nieco porywczy, ale ma dobre serce i jest bardzo wierny.

– Dziękuję, książę – odparł z powagą troll. – Tak, niech wasz Bóg ma nas w opiece. Udajemy się w nieznane.

– Jak wszyscy śmiertelnicy – dodał Josua – prędzej czy później.

CO? POWIEDZIAŁEŚ KSIĘCIU i pozostałym, że dokąd pojadę? – Simon rozzłoszczony zacisnął dłoń w pięść. – Jakim prawem?

– Simonie, przyjacielu – odpowiedział spokojnie Binabik. – Nie musisz jechać. Poprosiłem tylko Josuę o pozwolenie na twoje uczestnictwo w wyprawie i on się zgodził. Wybór należy do ciebie.

– Na cholerne Drzewo! A co innego mogę teraz zrobić? Jeśli odmówię, wszyscy powiedzą, że jestem tchórzem!

– Simonie – Troll tłumaczył cierpliwie. – Po pierwsze, proszę, nie ciskaj we mnie nowych przekleństw, których nauczyłeś się od swoich nowo poznanych przyjaciół żołnierzy. My, lud Qanuc, nie przywykliśmy do takich rozmów. Po drugie, nie ma co tak bardzo przejmować się opinią innych. A poza tym pozostanie w Naglimundzie z pewnością nie będzie tchórzostwem.

Simon wypuścił ogromny obłok pary i uderzył rękami po bokach. Spojrzał w górę na zachmurzone niebo; za chmurami widać było tarczę bladego słońca.

„Dlaczego ludzie zawsze podejmują za mnie decyzje, nie pytając mnie o zgodę? Czy ja jestem dzieckiem?”

Stał z twarzą czerwoną nie tylko od chłodu, aż wreszcie Binabik dotknął go delikatnie dłonią.

– Przyjacielu, przykro mi, że nie był to aż taki zaszczyt, jaki miał być – zaszczyt straszliwego niebezpieczeństwa, lecz przecież zaszczyt. Wyjaśniłem ci, jak ważna jest ta wyprawa i w jak dużym stopniu może zależeć od jej wyniku los Naglimundu i całej Północy. Może się też zdarzyć, że zginiemy tam i nikt nie będzie śpiewał o nas ballad ani nas wychwalał. – Poklepał dłoń Simona i sięgnął do kieszeni swej oblamowanej futrem kurtki. – Proszę – powiedział i wsunął w jego dłoń coś twardego i zimnego.

Simon otworzył dłoń. Była to obrączka, proste, cienkie kółko z jakiegoś żółtego metalu. Wygrawerowano na nim owal z trójkątem dotykającym jednego jego końca.

– To jest znak ryby, symbol Ligi Pergaminu – wyjaśnił Binabik. – Morgenes przywiązał tę obrączkę do nogi wróbla razem z wiadomością, o której wczoraj mówiłem. Wyjaśniał w niej, że obrączka jest przeznaczona dla ciebie.

Simon uniósł przedmiot do góry tak, by odbił się w nim promień słabo świecącego słońca.

– Nigdy nie widziałem, żeby Morgenes ją nosił – powiedział, trochę zdziwiony, że obrączka nie wywołuje w nim żadnych wspomnień. – Czy wszyscy członkowie Ligi mają takie? A poza tym, czy ja zasłużyłem na nią? Bardzo słabo czytam. Z pisaniem też mam kłopoty.

Binabik uśmiechnął się.

– Mój mistrz nie miał takiej obrączki, a przynajmniej nigdy jej u niego nie widziałem. A jeśli chodzi o tę, Morgenes chciał, żebyś ją otrzymał, i dla mnie jest to wystarczające pozwolenie.

– Binabiku! – powiedział Simon, mrużąc oczy. – Od środka jest coś na niej napisane. – Podał obrączkę trollowi. – Nie mogę odczytać.

Troll zmrużył oczy.

– To pismo sithijskie – wyjaśnił i obrócił obrączkę tak, by móc prześledzić cały napis. – Trudno przeczytać, pismo jest bardzo drobne i styl bardzo dziwny; nie znam go. – Wpatrywał się w obrączkę jeszcze przez chwilę. – Ten znak oznacza „smoka” – przeczytał wreszcie – a ten chyba „śmierć”... Śmierć i smok?... Śmierć smoka? – Spojrzał na Simona, uśmiechnął się i wzruszył ramionami. – Nie mam pojęcia, co to może znaczyć. Moja wiedza nie jest aż tak wielka. Pewnie Doktor wymyślił ten napis, a może jest to jakieś rodzinne motto. Może Jarnauga mógłby odczytać.

Obrączka pasowała idealnie na środkowy palec Simona, jakby dla niego była robiona. Morgenes był taki mały! Jak mógłby nosić taką obrączkę?

– Myślisz, że jest magiczna? – spytał nagle i wytężył wzrok, jakby spodziewał się zobaczyć zaklęcia wirujące wokół złocistego krążka, niczym rój malutkich pszczół.

– Jeśli tak jest – odparł Binabik z udawaną powagą – to Morgenes nie dołączył do niej żadnej instrukcji obsługi. – Pokiwał sceptycznie głową. – Raczej mało prawdopodobne. Wygląda mi to bardziej na pamiątkę od kogoś, komu byłeś bliski.

– Dlaczego dajesz mi ją teraz? – spytał Simon, czując bolesne pieczenie w oczach, które zdecydowany był powstrzymać.

– Ponieważ jutro w nocy muszę wyruszyć na Północ. Jeśli zdecydujesz się zostać tutaj, możemy się już więcej nie spotkać.

– Binabiku! – Pieczenie się wzmagało. Czuł się jak mały chłopiec, popychany wciąż przez dorosłych.

– Tak to wygląda. – Troll wyglądał teraz bardzo poważnie. Uniósł dłoń, powstrzymując dalsze pytania i protesty Simona. – Teraz, mój dobry przyjacielu, sam musisz zdecydować. Udaję się do krainy śniegów i lodów na wyprawę, która może okazać się głupotą i która może kosztować życie głupców biorących w niej udział. Obrońcy Naglimundu zaś stają w obliczu gniewu królewskiej armii. Chyba równie niebezpieczny wybór. – Binabik pokiwał smutno głową. – Ale przecież bez względu na to, czy pojedziesz na Północ, czy zostaniesz tutaj, by bronić Naglimundu i księżniczki, pozostaniemy najlepszymi przyjaciółmi, prawda? – Wspiął się na palce i poklepał Simona po ramieniu, potem odwrócił się i odszedł przez dziedziniec w stronę archiwum.

SIMON ZOBACZYŁ JĄ, jak stoi sama i rzuca kamyki do zamkowej studni. Ubrana była w gruby podróżny płaszcz z kapturem.

– Dzień dobry, księżniczko – powiedział. – Spojrzała na niego i uśmiechnęła się smutno. Wydawało mu się, że tym razem to ona wygląda na dużo starszą; sprawiała wrażenie dorosłej kobiety.

– Witaj, Simonie. – Kiedy mówiła, z jej ust wylatywała para, która unosiła się nad głową.

Chciał już przyklęknąć na kolano, lecz zorientował się, że ona nie patrzy już na niego. Kolejny kamyk zagrzechotał w studni. Pomyślał, że usiądzie – co wydawało się najbardziej naturalną rzeczą, jaką można było zrobić – ale jedynym miejscem, gdzie mógł usiąść, była krawędź studni;

siadając tam, znalazłby się zbyt blisko księżniczki albo też musiałby usiąść zwrócony twarzą w złym kierunku. – Zdecydował się nie siadać.

– Jak się masz? – spytał.

Ona westchnęła.

– Wuj traktuje mnie, jakbym była ze szkła, jakbym miała się rozsypać, gdybym cokolwiek podniosła albo gdyby ktoś wpadł na mnie.

– Jestem pewien, że chodzi mu tylko o twoje bezpieczeństwo; pamięta pewnie trudną podróż, jaką musiałaś odbyć, aby tu przybyć.

– Niebezpieczną podróż, jaką *my* musieliśmy odbyć, tylko że za *tobą* nikt nie chodzi i nie upomina cię, żebyś nie otarł sobie kolana. Uczą cię nawet walki mieczem!

– Miri... Księżniczko! – zawołał Simon zaszokowany. – Chyba nie chcesz walczyć mieczem?

Ich spojrzenia skrzyżowały się. Przez chwilę jej oczy płonęły jakąś nieodgadnioną tęsknotą, lecz zaraz opuściła wzrok.

– Nie – powiedziała. – Chyba nie. Ale tak bardzo chciałabym coś robić!

Ze zdziwieniem usłyszał w jej głosie ból i wtedy przypomniał ją sobie z podróży przez Przełaz – dzielna i silna, najlepszy towarzysz, jakiego można sobie wyobrazić.

– Co... co chcesz robić?

Ponownie spojrzała na niego zadowolona z jego poważnego tonu.

– No cóż – zaczęła – nie da się ukryć, że Josui trudno jest przekonać Devasallesa, aby jego pan, książę Leobardis, poparł go w walce z moim ojcem. Josua może wysłać mnie do Nabbanu!

– Wysłać ciebie... do Nabbanu?

– No pewnie, idioto. – Nachmurzyła się. – Ze strony matki pochodzę z Domu Ingadarinów, sławnego rodu z Nabbanu. Moja ciotka poślubiła

Leobardisa! Któż byłby lepszy do przekonania księcia?! – Mówiąc to, klasnęła w dłonie schowane w rękawicach.

– Och... – Simon nie wiedział, co powiedzieć. – Może Josua uważa, że byłoby to... nie wiem. – Zamyślił się na chwilę. – Chodzi mi o to, czy córka Wielkiego Króla powinna pomagać w zawieraniu sojuszy przeciwko niemu?

– A kto zna lepiej Wielkiego Króla? – powiedziała ze złością.

– Czy ty... – zawahał się, lecz ciekawość wzięła górę. – Co ty czujesz do swego ojca?

– Chodzi ci o to, czy go nienawidzę? – W jej słowach dało się odczuć gorycz. – Nienawidzę tego, czym się stał. Nienawidzę tego, do czego popchnęli go ludzie, z którymi przebywa. Gdyby na powrót odnalazł w swym sercu dobro i dostrzegł zło, jakie czyni... wtedy znowu bym go pokochała.

Simon stał, czując się trochę nieswojo, gdy tymczasem w studni zagrzechotała seria kolejnych kamieni.

– Przepraszam, Simonie – odezwała się wreszcie. – Już prawie nie potrafię rozmawiać z ludźmi. Moja stara niania byłaby zaszokowana tym, jak wiele zapomniałam, biegając po lesie. Jak ty się czujesz i co porabiasz?

– Binabik poprosił mnie, żebym udał się z nim na wyprawę z polecenia Josui – powiedział, przechodząc do tematu o wiele szybciej, niż zamierzał. – Ma to być wyprawa na Północ – dodał znacząco.

Zamiast troski czy strachu, które Simon spodziewał się wywołać, na twarzy księżniczki pojawiła się radość; uśmiechnęła się do niego, choć sprawiała wrażenie, że go nie widzi.

– Och, Simonie – powiedziała – jesteś bardzo odważny. To wspaniale. Czy możesz... kiedy wyruszasz?

– Jutro w nocy – powiedział. Zdał sobie nagle sprawę, że jakimś dziwnym sposobem nagle nie jest już tym, którego poproszono, aby pojechał, lecz tym, który jedzie. – Właściwie, to jeszcze się nie zdecydowałem – odezwał się nieśmiało. – Pomyślałem, że może bardziej będę potrzebny tutaj, w Naglimundzie, z włócznią na murach. – Dodał ostatnie słowa na wypadek, gdyby pomyślała, że chodzi mu o pomoc w kuchni czy coś takiego.

– Och, Simonie – powiedziała, ujmując jego zziębniętą dłoń. – Jeśli mój wuj potrzebuje cię, to znaczy, że musisz to zrobić! Tak niewiele pozostało nam nadziei!

Sięgnęła szybko do szyi i odwiązała błękitną, cienką chustę, który nosiła. Wręczyła mu ją, mówiąc:

– Weź ją i noś dla mnie.

Simon poczuł, że krew gwałtownie napływa mu do twarzy, i starał się opanować usta, na których – wbrew jego woli – pojawił się głupawy uśmiech.

– Dzię... dziękuję, księżniczko – przemówił po jakimś czasie.

– Jeśli będziesz ją nosił – powiedziała, wstając – to będzie prawie tak, jakbym była z tobą. – Wykonała parę tanecznych kroków i roześmiała się.

Simon na próżno próbował zrozumieć, co się stało, i to tak szybko.

– Będzie tak, księżniczko – odpowiedział. – Jakbyś była ze mną.

Powiedział to tak, że ona natychmiast spoważniała czy wręcz posmutniała.

Uśmiechnęła się ponownie, tyle że słabiej, spokojniej i szybko zbliżyła się do Simona; tak go zaskoczyła, że podniósł dłoń, jakby chciał się przed nią obronić. Musnęła jego policzek swymi chłodnymi ustami.

– Simonie, wiem, że będziesz dzielny. Wracaj szybko. Będę się za ciebie modliła.

Po chwili już jej nie było. Widział ją, jak biegnie przez dziedziniec, podobna do małej dziewczynki; jej czarna peleryna zawirowała, kiedy znikała w ginącym w zmroku przejściu. Simon stał, trzymając w ręku chustę. Myślał o niej, o jej uśmiechu, kiedy go całowała w policzek, i nagle poczuł w sobie jakiś płomień. Było to uczucie, którego w pełni nie rozumiał. Jakby ktoś zapalił jedną, jedyną pochodnię na tle pełnego chłodu, szarego horyzontu Północy. Stanowiła ona jedyny jasny punkt w straszliwej burzy, lecz taki pojedynczy ogień mógł doprowadzić podróżnika bezpiecznie do domu. Zwinął chustę w kulkę i wsunął za koszulę.

CIESZĘ SIĘ, ŻE PRZYSZEDŁEŚ tak szybko – powiedziała lady Vorzheva. Blask jej sukni zdawał się odbijać w jej ciemnych oczach.

– To dla mnie zaszczyt, pani – odpowiedział duchowny, rozglądając się po pokoju.

Vorzheva roześmiała się cierpko.

– Jesteś jedyną osobą, która uważa, że bycie u mnie jest zaszczytem. Ale nieważne. Rozumiesz, co trzeba zrobić?

– Najzupełniej. Łatwo to zrozumieć, choć o wiele trudniej wykonać. – Skłonił głowę.

– Dobrze. A zatem nie zwlekaj dłużej, gdyż im dłużej czekasz, tym mniejsze szanse powodzenia. A poza tym dajesz ludziom więcej okazji do strzępienia języków. – Odwróciła się, szeleszcząc jedwabną suknią, i ruszyła w kierunku drugiego pokoju.

– Hmm... pani? – Mężczyzna chuchnął w dłonie. W komnacie księżniczki panował chłód, ogień w kominku wygasł. – Pozostaje jeszcze sprawa... zapłaty.

– Sir, myślałam, że zrobienie tego jest dla ciebie zaszczytem! – zawołała Vorzheva z drugiego pokoju.

– Niestety, jestem tylko biednym człowiekiem. To, o co prosisz, wymaga pewnych środków. – Jeszcze raz chuchnął w dłonie, po czym wsunął je głęboko pod habit.

Po chwili wróciła z sakiewką z lśniącego materiału.

– Wiem o tym. Proszę. Złoto, tak jak obiecałam. Połowa teraz, druga połowa wtedy, gdy otrzymam dowód, że wykonałeś zadanie. – Wręczyła mu sakiewkę i cofnęła się. – Cuchnie od ciebie winem! Czy jesteś aby odpowiednim człowiekiem, godnym zaufania?

– To wino mszalne, pani. Czasem, gdy podróż jest bardzo trudna, jest to jedyna rzecz, którą można się pokrzepić. Rozumiesz, pani? – Uśmiechnął się do niej nieśmiało i zrobił znak Drzewa nad złotem, zanim schował je do kieszeni habitu. – Spełniamy wolę boską.

Vorzheva przytaknęła mu powoli.

– Rozumiem. Tylko mnie nie zawiedź. Służysz wielkiej sprawie, nie tylko mnie.

– Rozumiem, pani. – Skłonił głowę, odwrócił się i wyszedł.

Vorzheva stała przez jakiś czas wpatrzona w porozrzucane arkusze na stole Josui, po czym odetchnęła głęboko. A więc stało się.

TEGO DNIA, KIEDY ROZMAWIAŁ z księżniczką, Simon przyszedł o zmroku do pokoi księcia Josui, żeby się pożegnać. Stojąc oszołomiony, jakby dopiero się obudził, słuchał rozmowy Binabika z księciem. Cały dzień spędzili z trollem, przygotowując ekwipunek; musieli zdobyć dla Simona nowy, obszyty futrem płaszcz i hełm oraz lekką kolczugę, którą Simon miał nosić pod wierzchnim okryciem. Haestan wyjaśnił Simonowi, że składająca się z drobnych kółek kolczuga nie uchroni go przed bezpośrednim uderzeniem miecza ani przed wymierzoną w serce strzałą, lecz z pewnością zabezpieczy przed słabszymi uderzeniami. Mając ją na sobie, Simon poczuł

się pewniej, lecz Haestan ostrzegł go, że pod koniec ciężkiego dnia podróży nie będzie mu tak wesoło.

– Tak, chłopcze, bycie żołnierzem pociąga za sobą wiele ciężarów – powiedział olbrzymi żołnierz. – Jednym z najcięższych jest utrzymanie się przy życiu.

Haestan był jednym z trzech Erkynlandczyków, którzy zgłosili się na ochotnika. Drugim był Ethelbearn, weteran o twarzy pokrytej bliznami, o krzaczastych wąsach, prawie tak ogromny jak Haestan, a trzecim szczupły Grimmic, o wyglądzie jastrzębia, z zepsutymi zębami i czujnymi oczami. Wszyscy trzej spędzili tyle czasu na przygotowaniach przed oblężeniem, że każda akcja wydawała im się godna zachodu, nawet tak tajemnicza i niebezpieczna jak ta, do której się zgłosili. Kiedy Haestan dowiedział się, że Simon także będzie uczestniczył w wyprawie, utwierdziło go to tylko w słuszności swej decyzji.

– Szaleństwem jest posyłanie takiego chłopca – mruczał. – Szczególnie że nie opanował do końca sztuki władania mieczem ani strzelania z łuku. Lepiej pójdę z nimi i poduczę go jeszcze.

Był też z nimi żołnierz Isgrimnura, smukły Sludig, ubrany – jak większość Erkynlandczyków – w futra i spiczasty hełm. Pozostali mieli miecze, on zaś wsunął za pas dwa wyszczerbione topory. Uśmiechnął się pogodnie do Simona, spodziewając się pytań.

– Czasem jeden utknie w czaszce albo żebrach – wyjaśnił. Posługiwał się swobodnie językiem Westerling z niewielkim tylko obcym akcentem. – Dlatego dobrze jest mieć pod ręką drugi, dopóki nie wyciągniesz tamtego.

Simon skinął głową, starając się odpowiedzieć uśmiechem.

– Znowu się spotykamy, Simonie. – Sludig wyciągnął twardą dłoń.

– Znowu?

– Spotkaliśmy się już w klasztorze świętego Hoderunda – roześmiał się Sludig. – Tylko że wtedy spędziłeś całą podróż tyłkiem do góry na siodle Einskaldira. Mam nadzieję, że znasz jeszcze inne sposoby dosiadania konia.

Simon zarumienił się, uścisnął dłoń Sludiga i odwrócił się szybko.

– Niewiele znaleźliśmy, co mogłoby wam pomóc w drodze – powiedział z żalem w głosie Jarnauga do Binabika. – Jeśli chodzi o wyprawę Colmunda, to zakonnicy ograniczyli się w swych księgach tylko do wymienienia pozycji stanowiących ekwipunek podróżnych. Pewnie uważali go za szaleńca.

– Zdaje się, że mieli rację – zauważył troll. Polerował kościaną rękojeść noża, który wyrzeźbił, aby uzupełnić swoje wyposażenie.

– Lecz znaleźliśmy jedno – powiedział Strangyeard. Włosy miał mocno zwichrzone, a opaskę na oku zsuniętą nieco na bok, jakby spędził całą noc na studiowaniu ksiąg, co w rzeczywistości było prawdą. – Klasztorny księgowy zapisał: „Baron nie wie, jak długo potrwa podróż do Drzewa Wierszopisa”.

– Nic mi to nie mówi – stwierdził Josua. – Prawdopodobnie duchowny przekręcił nazwę albo otrzymał ją z drugiej ręki... ale zawsze to coś. Może przyda się, kiedy będziecie szukali na górze Urmsheim.

– Może jest to jakieś miasteczko po drodze albo wioska u stóp góry? – powiedział zamyślony Jarnauga.

– Może – odparł Binabik sceptycznie – lecz, o ile wiem, nie ma niczego między ruinami klasztoru a górami; niczego poza lodem, drzewami i skałami, ma się rozumieć. Tego tam nie brakuje.

Kiedy się pożegnali, Simon usłyszał głos Sangfugola dobiegający z tylnego pokoju, gdzie śpiewał dla lady Vorzhevy.

Czy mam odejść

W chłód zimy?

Czy do domu powrócić?

Cokolwiek powiesz, tak będzie...

Simon podniósł swój kołczan i po raz kolejny sprawdził, czy jest w nim jego Biała Strzała. W pewnym momencie odniósł wrażenie, że znajduje się w jakimś przedziwnym śnie; zdał sobie sprawę, że znowu wyrusza w podróż i znowu nie jest pewien dlaczego. Tak szybko upłynął mu czas spędzony w Naglimundzie. Teraz było już po wszystkim, przynajmniej na jakiś czas. Dotykając niebieskiego szalika, który zawiązał wokół szyi, zrozumiał, że być może nie zobaczy już nigdy obecnych w tym pokoju mieszkańców Naglimundu... Sangfugola, starego Towsera, Miriamele. Wydało mu się, że jego serce przestało bić na chwilę; wyciągnął rękę, żeby się o coś oprzeć, i wtedy poczuł, że czyjaś silna dłoń chwyta go za łokieć.

– No, chłopcze – powiedział Haestan. – Nie dość, że nie nauczyłeś się jeszcze posługiwać mieczem i łukiem, to na dodatek będziemy musieli wsadzić cię na konia.

– Na konia? – powtórzył Simon. – To dobrze, polubię jazdę konną.

– Nie, nie polubisz – uśmiechnął się Haestan. – Nie, kiedy będziesz siedział na nim przez dwa miesiące.

Josua zamienił z każdym parę słów, a potem wszyscy uściskali się gorąco. Wkrótce znaleźli się na ciemnym i zimnym dziedzińcu, gdzie czekała na nich Qantaqa i siedem parujących wierzchowców, z których dwa przeznaczone były na ciężkie bagaże. Jeśli nawet księżyc był gdzieś na niebie, to, niczym kot, skrył się w fałdach chmurnegokoca.

– Dobrze, że jest tak ciemno – powiedział Binabik, wskakując na nowe siodło umocowane na grzbiecie Qantaqi. Pozostali, którzy widzieli wierzchowca trolla po raz pierwszy, wymienili pytające spojrzenia, kiedy

Binabik cmoknął i ruszył szybko przed siebie. Żołnierze podnieśli cicho naoliwioną kratę w bramie i wszyscy znaleźli się na polu pełnym ciemnych gwoździ, przez które pojechali w stronę ledwie widocznych wzgórz.

– Żegnajcie wszyscy – powiedział cicho Simon.

Zaczęli zjeżdżać ścieżką.

WYSOKO NA PRZEŁAZIE, na szczycie wzgórza wznoszącego się nad Naglimundem, widniała jakaś postać. Nawet bystre oczy Ingena Jeggera w tej ciemności były w stanie dostrzec jedynie, że ktoś opuścił zamek przez bramę wschodnią. To wystarczyło, by wzbudzić jego zainteresowanie. Stał, zastanawiając się, czy wezwać jednego ze swoich ludzi i razem z nim zbadać sprawę. Zamiast tego zbliżył dłoń do ust i zahukał jak sowa. Chwilę później z zarośli wyskoczyło na ścieżkę ogromne zwierzę. Był to ogar większy jeszcze od tego, który zginął w walce z wilczycą trolla; jego biała sierść lśniła w blasku księżyca, podobnie jak perłowe oczy i wyszczerzone zęby. Zwierzę zawarczało głucho i kręcąc głową z boku na bok, zaczęło węszyć.

– Tak, Niku’a, tak – Ingen przemówił cicho. – Czas na kolejne polowanie.

Po chwili Przełaz opustoszał. Liście szeleściły cichutko nad starym szlakiem, choć nie wiał wiatr.

35. Kruk i kocioł

MAEGWIN ZAMRUGAŁA, gdy hałas rozległ się ponownie – ponure dudnienie, które tak wiele znaczyło, lecz nie wróżyło niczego dobrego. Jedna z dziewcząt – mała, blada ślicznotka, którą Maegwin na pierwszy rzut oka oceniła jako mięczaka – puściła drąg, który wszystkie pchały, i zatkała sobie uszy. Ciężka kłoda służąca do zamykania bramy nieomal wypadła im z rąk, ale na szczęście Maegwin i pozostałe dwie dziewczyny mocno się zaparły.

– Cifgha, na Stado Bagby – warknęła na nieszczęsną – zwariowałaś? Gdyby to spadło, mogłoby kogoś zgnieść, a już na pewno złamać nogę.

– Ach, przepraszam, pani, przepraszam – powiedziała dziewczyna z rumieńcem na twarzy. – To przez ten hałas. Tak się go boję! – Zajęła swoje miejsce i jeszcze raz wszystkie naparły na dębową kłodę, która miała wskoczyć w wycięcie bramy prowadzącej do wygonu i zamknąć ją. Na wygonie stłoczono stado czerwonych krów, postękujących i równie niespokojnych jak dziewczyny.

Wreszcie kłoda zaskrzypiała i z hukiem wskoczyła na swoje miejsce; wtedy wszystkie odwróciły się i zmęczone oparły ciężko o bramę.

– Dobrzy bogowie – jęknęła Maegwin – myślałam, że mi pęknie kręgosłup!

– To niesprawiedliwe – powiedziała Cifgha, spoglądając ponuro na swe otarte dłonie. – To jest robota dla mężczyzn!

Metaliczne dudnienie ustało i przez moment wydawało się, że sama cisza śpiewa. Córka Llutha westchnęła i zaczerpnęła głęboko mroźnego powietrza.

– Nie, mała Cifgho – powiedziała. – To, co robią teraz mężczyźni, jest właśnie męską pracą, a wszystko to, co zostało do zrobienia, jest naszą pracą, chyba że chcesz wziąć się za miecz i dzidę.

– Cifgha? – powtórzyła ze śmiechem jedna z dziewcząt. – Ona nie zabije nawet pająka.

– Wołam zawsze Tuilletha, żeby to zrobił – odpowiedziała Cifgha, najwyraźniej dumna ze swej niezaradności. – A on zawsze przychodzi.

Maegwin skrzywiła się.

– Lepiej nauczmy się dawać sobie radę z pająkami. Nie ma co liczyć na mężczyzn w najbliższym czasie, gdyż nawet, którzy zostali, mają dużo innej pracy.

– Łatwo ci mówić, księżniczko – powiedziała Cifgha. – Jesteś duża i silna.

Maegwin popatrzyła na nią cierpko, lecz nic nie odpowiedziała.

– Czy myślisz, że walki będą trwały przez całe lato? – spytał inna z dziewcząt i zabrzmiało to, jakby mówiła o jakiejś wyjątkowo uciążliwej pracy.

Maegwin spojrzała na dziewczęta; twarze miały spocone, lecz ich oczy wędrowały już gdzieś w bok, szukając innego, ciekawszego tematu do rozmowy. Przez moment miała ochotę zacząć krzyczeć i uświadomić im, że to nie była gra ani turniej, lecz coś śmiertelnie ważnego.

„Ale po co niepokoić je już teraz? – pomyślała, powstrzymując gniew. – Wkrótce będziemy mieli dość zmartwień”.

– Nie wiem, czy potrwa to aż tak długo, Gwelan – odpowiedziała i potrząsnęła głową. – Mam nadzieję, że nie. Naprawdę wierzę, że nie.

KIEDY RUSZYŁA W STRONĘ DWORU, dwaj żołnierze znowu zaczęli walić w olbrzymi kocioł z brązu, który wisiał do góry dnem na dębowym rusztowaniu przed głównym wejściem do dworu Taig. Przechodząc obok kotła, musiała zakryć rękoma uszy, gdyż obaj mężczyźni walili w kocioł ze wszystkich sił okutymi w metal pałkami. Zastanawiała się, jak jej ojciec i jego doradcy mogą skupić się przy takim hałasie dobiegającym z zewnątrz, a co dopiero obmyślić plany, które może zdecydują o ich życiu czy śmierci. Wiedziała jednak, że gdyby nie bito w Kocioł Rhynna, potrzebowaliby przynajmniej kilku dni na ostrzeżenie pozostałych miast, szczególnie usytuowanych na zboczach Grianspog. A tak osiedla i dwory, które usłyszą dźwięk kotła, wyślą jeźdźców dalej. Zwyczaj ostrzegania przed niebezpieczeństwem za pomocą kotła z dworu Taig istniał od dawien dawna, na długo przed tym, gdy pojawił się ze swą potężną włócznią Hern, zwany Myśliwym, i uczynił z ich ziem wielkie królestwo. O Kotle Rhynna krążyło tyle opowieści, że nawet dzieci, które słyszały go po raz pierwszy, natychmiast wiedziały, co to za odgłos.

Tego dnia szczelnie zamknięto okna dworu przed chłodnym wiatrem i gęstą mgłą. Maegwin weszła do sali, w której jej ojciec i jego doradcy dyskutowali o czymś żywo.

– Moja córka – przemówił Lluth, wstając. Widać było, że zmusza się do uśmiechu.

– Zebrałam kilka dziewcząt i zagnałyśmy bydło na duży wygon – zdała relację Maegwin. – Chyba niedobrze jest upychać krowy tak ciasno.

Lluth machnął dłonią.

– Lepiej stracić parę sztuk tutaj, niż męczyć się z zaganianiem ich w razie konieczności wycofania się na wzgórza.

Drzwi w drugim końcu sali otworzyły się i strażnicy uderzyli mieczami w tarcze, jakby odpowiadając na wezwanie kotła.

– Dziękuję ci, Maegwin – powiedział król i odwrócił się, by powitać gościa.

– Eolair! – zawołał do nadchodzącego hrabiego, który był jeszcze w ubłoconym stroju podróżnym. – Szybko wracasz od uzdrowicieli. To dobrze. Jak tam twoi ludzie?

Hrabia Nad Mullach zbliżył się do króla, przyklęknął na jedno kolano i wstał, ponaglany niecierpliwym gestem Llutha.

– Pięciu jest zdolnych do walki, dwóch jest ciężko rannych, a pozostałych czterech Skali wpisał na swoje konto. – Ujrzawszy córkę Llutha, hrabia uśmiechnął się szeroko, choć twarz miał wciąż zmartwioną. – Maegwin, pani – skłonił się ponownie i ucałował jej dłoń o długich palcach, które, z zażenowaniem stwierdziła – nosiły jeszcze ślady brudu od pracy na wygonie.

– Słyszałam, że wróciłeś, hrabio – powiedziała. – Szkoda tylko, że w tak niefortunnych okolicznościach.

– Eolairze, to wielka strata z powodu twego Mullachiego – powiedział król i powrócił na swe miejsce obok starego Craobhana i kilku innych zaufanych rycerzy. – Ale na Bryniocha i Jednorękiego Murhagha, szczęście, że wpadłeś na zwiad Skalego. Gdyby tak się nie stało, ten drań zaskoczyłby nas. Mam nadzieję, że po potyczce z tobą nie będzie taki zuchwały w atakach. Albo wręcz zmieni swe zamiary.

– Obyś miał rację, królu – powiedział Eolair, kiwając smutno głową. Maegwin współczuła mu, widząc, jak dzielnie znosi swój ciężar; w duchu przeklinała swe dziecinne uczucia. – Choć obawiam się – mówił dalej – że tak nie jest. Musi się czuć bardzo pewnie, skoro atakuje tak daleko od własnego domu.

– Dlaczego? – spytał Lluth. – Przecież od wielu lat między nami i Rimmersmenami panuje pokój!

– Obawiam się, że to nie ma znaczenia – Eolair mówił z respektem, lecz nie wahał się poprawiać króla. – Moglibyśmy się zastanawiać, dlaczego Skali tak postępuje, gdyby w Elvritshalli panował stary Isgrimnur. A przecież Skali całkowicie przeszedł na stronę Eliasa. W Nabbanie mówi się, że Elias wkrótce wyruszy przeciwko Josui. On wie, że odrzuciliśmy ultimatum Guthwulfa, i boi się, żeby Hernystirczycy nie zaatakowali go od tyłu, kiedy będzie zdobywał Naglimund.

– Ale przecież tam jest jeszcze Gwythinn! – zawołała przestraszona Maegwin.

– Tak, a co gorsza, ma ze sobą pięciuset naszych najlepszych ludzi mruknął ze swego miejsca przy kominku stary Craobhan.

Eolair zwrócił się w jej stronę i obdarzył ją uprzejmym i łaskawym – w jej mniemaniu – spojrzeniem.

– Bez wątpienia twój brat jest o wiele bardziej bezpieczny za grubymi murami zamku Josui, niż byłby w Hernysadharc. Ufam też, że jeśli tylko dowie się o naszym losie i będzie mógł wyjechać z zamku, zaatakuje Skalego od tyłu z pięćdziesięcioma ludźmi.

Król Lluth przetarł oczy, jakby chciał się pozbyć grozy i trosk ostatniego dnia.

– Sam nie wiem, Eolairze, sam nie wiem. Mam złe przeczucia. Nie trzeba jasnowidza, żeby zobaczyć, jaki zły jest ten rok, i to od samego początku.

– Jestem tutaj, ojcze – odezwała się Maegwin, klękając u jego boku. – Zostanę z tobą. – Król poklepał ją po dłoni.

Na te słowa Eolair uśmiechnął się, choć myślami był wciąż przy swych umierających żołnierzach; nie mógł zapomnieć też o ogromnej fali Rimmersmenów, która płynęła z Frostmarch do Inniscrich – ogromna fala żywego żelaza.

– Ci, którzy zostają, z pewnością nam nie podziękują – mruknął pod nosem. Na zewnątrz miedziany kocioł wykrzykiwał nieustannie swe ostrzeżenie w stronę wzgórz poza Hernysadharc: *Strzeżcie się... Strzeżcie się... Strzeżcie się...*

BARON DEVASALLES i jego niewielki oddział Nabbańczyków zdołał jakoś przysposobić przydzielone im pokoje pełnego przeciągów wschodniego skrzydła zamku tak, by choć trochę przypominały ich południowy dom. Wprawdzie było zbyt zimno, by zostawić okna otwarte – co zwykle czynili w ciepłym Nabbanie – lecz za to poobwieszali ściany jasnozielonymi i błękitnymi gobelinami i porozstawiali, gdzie tylko to było możliwe, zapalone świece i skwierczące lampy naftowe, aby rozświetlić pozbawione dziennego światła pomieszczenia.

„W południe jest tutaj jaśniej niż na zewnątrz – pomyślał Isgrimnur. – Jest tak, jak mówił Jarnauga: nie pozbędą się innych rzeczy tak łatwo, jak zimowego mroku”.

Książę poruszał nozdrzami jak przestraszony koń. Devasalles porozstawiał wszędzie naczynia z pachnącymi olejami; w niektórych płonęły zapalone knoty, wypełniając pokój ciężką wonią korzeni z wyspy.

– Ciekawe, czy chce stłumić woń strachu, jaki się wokół unosi, czy też tak bardzo nie lubi zapachu dobrego, solidnego żelaza? – mruknął pod nosem Isgrimnur i przysunął swe krzesło w stronę drzwi pokoju.

Devasalles był bardzo zdziwiony nieoczekiwaną wizytą Isgrimnura i Josui, niemniej zaprosił ich szybko do swej komnaty, zbierając porozrzucane na krzesłach pstrokate szaty, tak by mogli usiąść.

– Wybacz, baronie, że cię niepokoimy – powiedział Josua i wsparł się łokciami na kolanach – ale chciałem porozmawiać z tobą na osobności jeszcze przed końcową radą.

– Oczywiście, mój książę. – Devasalles skinął głową zachęcająco.

Isgrimnur z pogardą przyglądał się jego lśniącym włosom i błyskotkom, jakie nosił na szyi oraz przegubach, i zastanawiał się, jak to możliwe, by taki dandys był tak świetnym szermierzem, jak powszechnie mówiono. „Przecież może zaczepić rękojeścią o własny naszyjnik i się powiesić!”

Josua pośpiesznie wyjaśnił wydarzenia ostatnich dwóch dni, które były rzeczywistą przyczyną odłożenia rady. Devasalles, który dotąd, podobnie jak większość pozostałych lordów, wątpił w prawdziwość wymówki na temat złego zdrowia, uniósł brwi w zdziwieniu, lecz nic nie powiedział.

– Nie mogłem mówić otwarcie; wciąż jeszcze nie mogę – wyjaśnił Josua. – Panuje tu straszliwy ruch. W takim zamieszaniu nietrudno byłoby szpiegowi Eliasa wydostać się i poinformować go o naszych obawach i planach.

– Tyle tylko, że wszyscy znają nasze obawy – powiedział Devasalles – a planów jeszcze nie mamy.

– Nie mogę wyjawić szczegółów do czasu rady, ale widzisz, baronie, nie wiesz o wszystkich faktach. – Josua poinformował Devasallesa o najnowszych odkryciach, o trzech mieczach, o profetycznym poemacie z księgi szalonego duchownego i wreszcie o powiązaniach tych faktów ze snami, jakich niektóre osoby doświadczyły.

– Dobrze, tylko dlaczego mówisz mi to wszystko teraz, skoro wkrótce przedstawisz te fakty wszystkim swoim wasalom? – spytał Devasalles.

Siedzący przy drzwiach Isgrimnur prychnął zniecierpliwiony; chciał spytać dokładnie o to samo.

– Ponieważ potrzebuję twojego Leobardisa, i to już teraz! – wyjaśnił Josua. – Potrzebuję poparcia Nabbanu! – Wstał i zaczął krążyć po pokoju. Chodził pod ścianami, jakby podziwiał wiszące na nich gobeliny, lecz jego spojrzenie wybiegało daleko poza kamienne ściany i tkane obrazy. – Od

samego początku potrzebowałem poparcia twojego księcia, lecz nigdy tak bardzo jak teraz. Z powodów praktycznych Elias oddał Rimmersgard Skalemu i jego klanowi spod herbu Kruka Kaldskryke. Tym samym przyłożył nóż do pleców króla Llutha; Hernystirczycy nie będą mogli przysłać mi wielu ludzi, gdyż będą zmuszeni bronić własnych ziem. Już Gwythinn, który jeszcze tydzień temu pierwszy wyrywał się do ataku na Eliasa, chce wrócić do ojca, by pomóc mu w obronie Hernysadharc i przyległych ziem.

Josua odwrócił się nagle i spojrzał wprost w oczy Devasallesa. Na twarzy księcia wciąż widniała maska chłodnej dumy, lecz jego dłoń nerwowo szarpała przód koszuli, czego nie omieszkali zauważyć Isgrimnur i baron.

– Jeśli książę Leobardis chce być kimś więcej niż tylko lokajem Eliasa, to musi opowiedzieć się teraz po mojej stronie.

– Ale po co mi to wszystko mówisz? – spytał Devasalles. Wydawał się szczerze zdumiony. – Zdaję sobie sprawę z tego, co teraz powiedziałeś, wszystkie dodatkowe szczegóły – miecze, księga – niczego tu nie zmienią.

– A niech to licho, człowieku, właśnie, że zmienią! – rzucił gwałtownie Josua, nieomal krzycząc. – Bez Leobardisa i z Hernystirem zagrożonym od północy Elias ma nas w potrzasku, jakby zamknął nas w beczce; do tego jeszcze brata się z demonami. Kto wie, jakie okropności może to oznaczać? Poczyniliśmy pewne próby, być może bardzo skromne, aby przeciwdziałać tym siłom, ale jaki z nich będzie pożytek – zakładając, że w ogóle się powiodą – jeśli do tego czasu wszystkie wolne ziemie się poddadzą. Od tej pory twój książę i wszyscy inni będą mogli jedynie odpowiadać królowi Eliasowi: „Tak, panie”.

Baron kiwał głową, pobrzękując naszyjnikiem.

– Nie rozumiem, panie. Czy to możliwe, żebyś nie wiedział? Przedwczoraj w nocy wysłałem swego najszybszego posłańca do Sancellan Mahistrevis w Nabbanie z listem, w którym informuję Leobardisa, że szykujesz się do walki, i w którym także sugeruję, że powinien poprzeć twoją sprawę.

– Co? – Isgrimnur zerwał się ze swego miejsca równie zdziwiony jak sam książę. Stali obaj nad Devasallesem, kołysząc się.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś? – spytał Josua.

– Ależ, książę, powiedziałem – odparł oburzony Devasalles – a właściwie napisałem, gdyż proszono, żeby ci nie przeszkadzać. Posłałem więc do twego pokoju list z moją pieczęcią. Chyba go czytałeś?

– Na Usiresa i jego Matkę! – Josua uderzył lewą dłonią po udzie. – To moja wina, list leży na stole. Deornoth przyniósł mi go, lecz ja odkładałem przeczytanie na spokojniejszą chwilę. I w końcu zapomniałem. No, ale nic się nie stało, skoro takie przynosisz mi wieści.

– Twierdzisz, że Leobardis przyjedzie? – spytał podejrzliwie Isgrimnur. – Skąd ta pewność? Dotąd ty sam wyrażałeś wiele wątpliwości.

– Książę Isgrimnurze – Devasalles mówił bardzo chłodno – zdajesz sobie chyba sprawę, że wypełniam swoją misję. W rzeczywistości książę Leobardis od dawna już skłaniał swoją sympatię ku księciu Josui. Ponadto uważa, że Elias postępuje jak szaleniec. Nasze wojska są w pogotowiu od tygodni.

– Dlaczego zatem przysłał cię tutaj? – spytał Josua. – Czy liczył na to, że dowie się czegoś, czego mu nie przekazałem wcześniej przez moich posłańców?

– Nie liczył na żadne nowiny – wyjaśnił Devasalles – choć wszyscy chyba usłyszeliśmy tutaj o wiele więcej, niż można się było tego

spodziewać. Nie, wysłał moją misję bardziej dla zademonstrowania siły pewnym osobom w Nabbanie.

– Czy jego wasale się buntują? – spytał Josua z ożywieniem.

– Tak, ale to nic nowego i nie był to główny powód mojej misji. Przyjechałem tutaj, aby osłabić opór siły, która znajduje się o wiele bliżej Leobardisa. – Choć w pokoju nie było nikogo poza trzema rozmawiającymi, Devasalles rozejrzał się ostrożnie dookoła. – Najbardziej sprzeciwiają się sojuszowi z tobą jego żona i syn – wyjaśnił Devasalles.

– Mówisz o najstarszym synu, Benigarisie?

– Tak. Gdyby tak nie było, to on sam albo któryś z młodszych synów przyjechałby zamiast mnie. – Baron wzruszył ramionami. – Benigarisowi podoba się sposób rządzenia Eliasa, a księżna Nessalanta... – Ponownie wzruszył ramionami.

– Ona także popiera Wielkiego Króla. – Josua uśmiechnął się gorzko. – Nessalanta jest mądrą kobietą. – Źle, że chcąc nie chcąc, będzie musiała opowiedzieć się po stronie sojuszników męża. Jej złe przeczucia mogą się okazać prawdziwe.

– Josua! – zawołał oburzony Isgrimnur.

– Żartuję tylko, przyjacielu – uspokoił go książę, choć wyraz jego twarzy przeczył wypowiedzianym słowom. – Tak więc dobry Devasalles wyruszy w pole?

– Najszybciej, jak będzie to możliwe, książę. Z całą śmietanką nabbańskich rycerzy.

– I, mam nadzieję, z pokaźną grupą pikinierów oraz łuczników. No, baronie, niech Aedon ma nas w swojej opiece.

Josua i Isgrimnur pożegnali się i wyszli na pogrążony w mroku korytarz, zostawiając za sobą jaskrawe kolory komnaty niczym sen porzucony na progu przebudzenia.

– Znam taką osobę, która bardzo się ucieszy z tych wiadomości – powiedział Josua.

Isgrimnur uniósł brwi pytająco.

– Moja siostrzenica. Miriamele bardzo się martwiła, że Leobardis może nas nie poprzeć. Nessalanta jest przecież jej ciotką. Tak, z pewnością się ucieszy.

– Chodźmy więc do niej – zaproponował Isgrimnur i biorąc Josuę za łokieć, poprowadził w kierunku dziedzińca. – Jest pewnie razem z innymi damami dworu. Mam dosyć widoku zarośniętych żołnierzy. Może i jestem już stary, lecz wciąż lubię jeszcze od czasu do czasu zerknąć na ładną damę.

– Dobrze. – Josua uśmiechnął się, a Isgrimnur pomyślał, że to był jego pierwszy swobodny uśmiech od wielu dni. – Po drodze możemy wstąpić do twojej żony, żebyś mógł jej opowiedzieć o swym niesłabnącym upodobaniu do ładnych dam.

– Książę Josuo – Isgrimnur mówił bardzo wolno – nigdy nie będziesz za stary albo zbyt dostojny, żebym nie mógł ci natrzeć uszu; zaraz się przekonasz, że nie rzucam słów na wiatr.

– Proszę, wuju, nie dzisiaj – zaprotestował uśmiechnięty Josua. – Będą mi potrzebne do wysłuchania tego, co ma ci do powiedzenia Gutrun.

WIEJĄCY OD RZEKI WIATR niósł ze sobą zapach cyprysów. Tiamak otarł pot z czoła, dziękując w myśli Temu, Który Zawsze Kroczy Po Piasku za nieoczekiwaną chłodną bryzę. Wracał po sprawdzeniu liny pułapki i czuł, że nadchodzi burza; nieruchome powietrze było gorące, nasycone złością. Pomyślał, że atmosfera jest taka, jak wtedy, gdy widzi się krokodyla, który krąży wokół dziurawego skiffa.

Tiamak ponownie wytarł pot z czoła i sięgnął po naczynie z herbatą z żółtokorzenia, która parzyła się na kamieniu paleniska. Pił powoli

pomimo pieczenia spękanych warg. Siedział i zastanawiał się, co ma robić.

Niepokoiła go dziwna wiadomość od Morgenesa. Otrzymał ją już dość dawno, lecz przez cały czas, gdy pływał po kanałach Wranu albo udawał się na targ do Kwanitupulu – handlowej wioski leżącej nad strumieniem, który wypływał z jeziora Eadne – jej słowa dźwięczały mu w głowie, niczym kamyki w pustej tykwie. Potrzebował trzech dni, aby dotrzeć do Kwanitupulu, i udawał się tam w porze każdego nowiu. W Kwanitupulu wykorzystywał swe niezwykłe wykształcenie przy handlowych straganach, pomagając targować się pomniejszym wrańskim kupcom z handlarzami z Nabbanu i Perdruin, którzy objeżdżali wioski wybrzeża Wranu. Pomimo trudów podróży Tiamak musiał tam jeździć, chociażby po to, żeby zarobić trochę pieniędzy i jakiś worek ryżu. W jego jadłospisie ryż stanowił czasem dodatek do kraba, który okazał się zbyt głupi albo zbyt pewny siebie, żeby uniknąć jego pułapki. Niestety, nieczęsto zdarzały się uprzejme kraby i dlatego zwykle na stole Tiamaka pojawiały się ryby i korzenie.

Siedząc skulony w swej malutkiej chatce na palach z drzewa figowego, niespokojnie przeglądał po raz kolejny wiadomość od Morgenesa. Przypomniały mu się ruchliwe, strome ulice Ansis Pelippe, stolicy Perdruin, gdzie spotkał Doktora po raz pierwszy.

Tiamak pamiętał dobrze wrzawę i widowiskowość, które stukrotnie, a może nawet tysiąckrotnie przewyższały wrzawę i widowiskowość Kwanitupulu – fakt, w który nie chciała uwierzyć większość jego ziomków, Wrańczyków, prostaków włóczących się po mieliznach – lecz najbardziej utkwiły mu w pamięci zapachy. Miliony zmieniających się zapachów: wilgotny, słonawy zapach nabrzeża wzmocniony wonią rybackich łodzi; uliczne ogniska, przy których brodaci wyspiarze oferowali kawały skwierczącej, mocno upieczonej baraniny; piżmowy zapach spoconych i parskających koni, na których jeźdźcy – przeważnie żołnierze lub kupcy –

cwałowali zuchwale środkiem kamienistej ulicy, zmuszając pieszych do gwałtownej ucieczki na boki; pachniało także szafranem i szybkozielem, cynamonem i mantingami – wszystkie te wonie przenikały ulice Korzennego Okręgu, czepiając się przybywających niczym egzotyczne ulicznice.

Wspomnienia wywołały u Tiamaka taki głód, że płakać mu się zachciało, lecz się opanował. Miał przecież do wykonania zadanie i nie mógł rozpraszać się takimi zmysłowymi problemami. Morgenes potrzebował go i Tiamak musi być gotów.

W rzeczywistości właśnie jedzenie było przyczyną jego pierwszego kontaktu z Morgenesem w Perdruin wiele lat temu. Doktor przechadzał się wtedy po handlowej części Asis Pellipe w poszukiwaniu jakichś ziół i w pewnym momencie wpadł na młodego Wrańczyka, który znalazł się na jego drodze zapatrzony mocno w rząd marcepanów na stole piekarza. Rozbawiony Doktor zainteresował się młodzieńcem, który znajdował się tak daleko od swego domu i który przepraszał go, posługując się doskonale językiem nabbańskim. Kiedy Morgenes dowiedział się, że chłopiec – pierwszy ze swej wioski – opuścił bagnistą krainę Wran i przybył do stolicy Perdruin, aby uczyć się u Braci Usireanów, kupił mu ogromny kawał marcepanu i kubek mleka. Od tej chwili Morgenes stał się bogiem dla zdumionego Tiamaka.

Miał przed sobą ubrudzony i trudny już do przeczytania arkusz pergaminu stanowiący kopię oryginalnej wiadomości, która rozleciała się na kawałki od wielokrotnego czytania. Tyle razy czytał wiadomość, że sam arkusz nie był już mu właściwie potrzebny. By się upewnić, że nie przeoczył w liście żadnego istotnego szczegółu, Tiamak przełożył szyfr na język oryginalny, a potem przetłumaczył.

– Niewątpliwie nadszedł czas Gwiazdy Zdobywcy... – Doktor pisał, że może to być jego ostatni list na długi czas. Zapewniał Tiamaka, że będzie potrzebna jego pomoc, jeśli ma nie dojść do... *pewnych straszliwych rzeczy, o których podobno wspomina niesławna, zagubiona księga kapłana Nissesa...*

Kiedy po raz pierwszy po otrzymaniu przyniesionej przez wróbla wiadomości Tiamak udał się do Kwanitupulu, spytał Middastriego – perdruińskiego kupca, z którym czasem wypijał czarę piwa – jakie straszliwe rzeczy miały miejsce w Erchesterze, mieście Morgenesa. Middastri powiedział mu, że słyszał o walce Wielkiego Króla, Eliasa, z Lluthem z Hernystiru; wszyscy mówili też o trwającym już parę miesięcy konflikcie między Eliasem i jego bratem, księciem Josuą. Kupiec nie potrafił mu powiedzieć nic więcej. Tiamak uspokoił się nieco, gdyż z listu wynikało, że Morgenes obawiał się większego i mającego nastąpić wkrótce niebezpieczeństwa. Mimo to list nie dawał mu spokoju.

Niesławna, zagubiona księga... Skąd Morgenes dowiedział się o jego tajemnicy? Tiamak nikomu o tym nie mówił; miała to być niespodzianka w czasie wizyty u Doktora, którego zamierzał odwiedzić przyszłej wiosny – byłaby to jego pierwsza wyprawa na północ od Perdruin. Teraz wyglądało na to, że Morgenes dowiedział się już o jego nagrodzie, ale dlaczego nic nie powiedział? Dlaczego zachowywał się tak dwuznacznie, zagadkowo, jak krab, który ostrożnie próbuje wyciągnąć rybią głowę z jednej z pułapek Tiamaka?

Tiamak odstawił naczynie z herbatą i zaczął się krzątać po swej chacie, tak niskiej, że musiał chodzić na ugiętych nogach. Gorący, kwaśny wiatr powiał trochę mocniej; umieszczona na wysokich palach chata zakołysała się, a poruszona strzecha zasyczała niczym wąż. Zaczął szukać w drewnianej skrzyni czegoś, co zawinął w liście i ukrył pod stosem

pergaminów, skopiowanych przez niego *Sovrańskich Leków Uzdrowicieli z Wranu*, które nazywał „wielkim dziełem”. Znalazłszy to, czego szukał, Tiamak wyjął przedmiot ze skrzyni i rozwinął liście – po raz pierwszy od dwóch tygodni.

Patrząc na to, co wyjął, i na leżącą obok kopię wiadomości Morgenesa, Tiamak dostrzegł znaczną różnicę. Tiamak przepisał starannie słowa Morgenesa czarnym atramentem z korzeni na pergaminie tak cienkim, że zapaliłby się nawet od płomienia trzymanego w pobliżu. Drugie pismo – jego skarb – zapisano na mocno naciągniętej skórze. Czerwonobrązowe słowa biegły nierówno, jakby piszący siedział na koniu albo pisał przy stole w czasie trzęsienia ziemi.

Ten manuskrypt był najcenniejszy w kolekcji Tiamaka – jeśli nie mylił się co do jego pochodzenia, z pewnością byłby to najcenniejszy klejnot każdej kolekcji. Znalazł go w ogromnym stosie zużytych pergaminów, które kupiec z Kwanitupulu sprzedawał uczącym się pisać. Kupiec nie potrafił powiedzieć, do kogo należał ten plik papierów; pamiętał tylko, że dostał go wraz z innymi przedmiotami w jakimś nabbańskim domu. Bojąc się utraty tak cennego skarbu, Tiamak powstrzymał się od dalszych pytań i kupił cały plik oraz inne pergaminy za jednego nabbańskiego quinica.

Znowu spojrzał na swój skarb – choć czytał go więcej razy niż wiadomość Morgenesa – zwracając szczególną uwagę na górę pergaminu, nadgryzioną i wystrzępioną, tak że można było tylko przeczytać: ...ARDENVYRD.

Czy słynna, zaginiona księga Nissesa – o której niektórzy nawet twierdzą, że nie istniała – nie była zatytułowana *Du Svardenvyrd*? Skąd dowiedział się o tym Morgenes? Tiamak nikomu nie mówił o swym szczęśliwym odkryciu.

Pod tytułem następował tekst pisany pismem runicznym z Północy, w niektórych miejscach zamazany, w innych kruszący się rdzawym pyłem, lecz ogólnie był to zupełnie czytelny tekst napisany starym narzeczem nabbańskim sprzed pięciu wieków.

...Sprowadź ze Skalistego Ogrodu Nuanni
Człowieka, który choć Ślepy, Widzi.
Odnajdź ostrze, które Różę ścina,
U stóp wielkiego Drzewa Wierszopisa.
Odnajdź Głos, który cicho
Imię właściciela głosu wymawia
Na statku na Najpłytszym Morzu.
Kiedy Ostrze, Głos i Człowiek
Do prawej Dłoni Księcia przyjdą,
Wtedy Uwięzieni znowu będą Wolni...

Pod tym dziwnym wierszem widniało niezgrabnie wypisane imię NISSES.

Tiamak wpatrywał się intensywnie w księgę, lecz wciąż nic nie przychodziło mu do głowy. Wreszcie, wzdychając, zwinął manuskrypt, owinął w liście i schował do drewnianej skrzyni.

Czego zatem oczekiwał od niego Morgenes? Czy chciał, żeby Tiamak przyniósł mu manuskrypt do Hayholt? Czy może miał posłać go do kogoś innego, może do czarownicy Geloë albo do grubego Ookequka z Yiqanuc czy też do osoby z Nabbanu? A może najmądrzej będzie zaczekać na dalsze wskazówki od Doktora, żeby nie popełnić jakiegoś głupstwa, nie rozumiejąc do końca sprawy. W każdym razie ze słów Middastriego wynikało, że to, czego obawiał się Morgenes, jest jeszcze bardzo daleko;

miał czas, mógł poczekać, dopóki nie dowie się, czego chce od niego Doktor.

„Czas i cierpliwość – upominał samego siebie – czas i cierpliwość...”

Za oknem jęknęły konary cyprysa szarpane gwałtownym porywem wiatru.

DRZWI KOMNATY OTWORZYŁY SIĘ gwałtownie. Sangfugol i lady Vorzheva podskoczyli, jakby przyłapani na czymś niestosownym, choć dzieliła ich długość pokoju. Oparta o krzesło minstrela lutnia przewróciła się i upadła na podłogę. Podniósł ją szybko i przycisnął do piersi, niczym zranione dziecko.

– Przeklęta, Vorzhevo, coś ty zrobiła! – zawołał Josua.

Za nim stał w drzwiach zmartwiony Isgrimnur.

– Uspokój się, Josuo – powiedział, ciągnąc księcia za jego szarą kurtkę.

– Uspokoję się, kiedy ta... – Josua splunął – ta kobieta powie mi prawdę. A dopóki to nie nastąpi, nie mieszaj się do tego, stary przyjacielu.

Na twarz Vorzhevy szybko powracał rumieniec.

– O co chodzi? – spytała. – Wpadasz tutaj jak rozjuszony byk i wykrzykujesz jakieś pytania. O co ci chodzi?

– Nie próbuj mnie zwodzić. Przed chwilą rozmawiałem z kapitanem straży przy bramie; dostał za swoje i chyba żałuje, że służy u mnie. Powiedział mi, że Miriamele wyjechała wczoraj rano z moim pozwoleniem, to znaczy z fałszywym dokumentem, który posiadał moją pieczęć!

– Ale dlaczego tak na mnie krzyczysz? – spytała hardo Vorzheva.

Sangfugol zaczął powoli wycofywać się bokiem w stronę drzwi, ściskając swój instrument.

– Dobrze wiesz dlaczego – warknął Josua; rumieniec znikał powoli z jego zwykle bladej twarzy. – A ty, harfiarzu, zostań na swoim miejscu, bo jeszcze z tobą nie skończyłem. Zdaje się, że ostatnio byłeś w łaskach u lady Vorzhevy.

– Spełniam tylko twoje polecenie, książę – wyjąkał Sangfugol – i staram się uprzyjemnić jej chwile samotności. Lecz co do księżniczki Miriamele, przysięgam, że nic nie wiem.

Josua wszedł do komnaty i zatrzasnął za sobą ciężkie drzwi. Isgrimnur, pomimo swego wieku i tuszy, zręcznie uskoczył.

– Kobieto, nie traktuj mnie, jakbym był jednym z woźniców, wśród których wyrosłaś. Wciąż mi powtarzałaś, jaka to nasza biedna księżniczka jest smutna i jak bardzo tęskni za rodziną. I oto Miriamele wyjeżdża z zamku z jakimś zbójem, a ich wspólnik użył mej pieczęci, by zapewnić jej bezpieczny przejazd przez bramę! Nie jestem głupcem!

Ciemnowłosa dama przez moment wytrzymała wzrok Josui, a potem jej usta zaczęły drżeć. Po jej policzkach popłynęły łzy złości, a ona usiadła, szeleszcząc suknią.

– Dobrze, książę Josuo – powiedziała – a zatem utnij mi głowę. Tak, pomogłam biednej dziewczynie pojechać do jej rodziny w Nabbanie. Gdybyś miał więcej serca, posłałbyś ją sam ze zbrojną eskortą. A tak jest z nią tylko dobry mnich. – Wyjęła chusteczkę zza stanika i wytarła nią oczy. – I tak jest szczęśliwsza, niż była tutaj, zamknięta jak ptak w klatce.

– Na łzy Elysii! – zaklął Josua, machając ręką. – Ty głupia kobieto! Miriamele chciała tylko być emisariuszem! Chciała stać się sławna, nakłaniając swych nabbańskich krewnych, aby mnie poparli.

– Josuo, może słowo „sławna” nie jest tutaj odpowiednie – wtrącił Isgrimnur. – Myślę, że księżniczka chce ci naprawdę pomóc.

– I co w tym złego? – spytała Vorzheva. – Przecież potrzebna ci pomoc Nabbanu, czy nie? A może jesteś zbyt dumny?

– Boże, pomóż mi. Nabbańczycy już opowiedzieli się po naszej stronie! Rozumiesz? Godzinę temu rozmawiałem z baronem Devasallesem. A teraz córka Wielkiego Króla włóczy się gdzieś po okolicy bez potrzeby, gdy tymczasem wojska jej ojca szykują się do wyjścia w pole, a jego szpiedzy krążą wkoło jak muchy. – Josua machnął ręką zrezygnowany i opadł na krzesło, wyciągając przed siebie nogi.

– Isgrimnurze, ja już nie mogę – powiedział ponuro. – I dziwisz się, dlaczego nie ubiegam się o tron Eliasa? Nie potrafię nawet zapewnić bezpieczeństwa dziewczynie pod moim dachem.

Isgrimnur uśmiechnął się smutno.

– Jej ojciec też zdaje się miał z tym kłopoty.

– Mimo wszystko. – Książę przyłożył dłoń do swego czoła. – Och, Usiresie, głowa mi od tego wszystkiego pęka.

– No, Josuo – zaczął Isgrimnur, rzucając pozostałym spojrzenie nakazujące im milczenie. – Nie wszystko jeszcze stracone. Musimy tylko wysłać oddział dobrych ludzi, żeby poszukali Miriamele i tego mnicha... jak mu tam... Cedrica, czy jakoś tak.

– Cadracha – poprawił go Josua.

– Tak, Cadracha. Dziewczyna i zakonnik nie mogli ujść daleko pieszo. Wyślemy za nimi paru ludzi konno.

– Chyba że lady Vorzheva ukryła dla nich gdzieś konie – rzucił cierpko Josua. – Nie zrobiłaś chyba tego, co?

Vorzheva opuściła głowę.

– Łaskawy Aedonie! – krzyknął Josua. – Jeszcze jedna sztuczka! Odeślę cię twemu pogańskiemu ojcu w worku, ty kocico!

– Książę Josuo? – wtrącił się harfiarz. Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, chrząknął i spróbował jeszcze raz. – Książę?

– Co tam? – rzucił poirytowany Josua. – Tak, możesz odejść. Później z tobą pomówię. Idź.

– Nie, panie. Czy mówiłeś, że ten zakonnik nazywa się Cadrach?

– Tak. Tak twierdził kapitan straży. Rozmawiał z nim trochę. Czemu pytasz, wiesz coś o nim?

– Właściwie nie, ale wydaje mi się, że Simon spotkał go kiedyś. Opowiadał mi o swoich przygodach i pamiętam, że wymienił to imię. Panie, jeśli to ten sam, księżniczka może być w niebezpieczeństwie.

– Jak to? – Josua pochylił się do przodu.

– Ten Cadrach, o którym opowiadał Simon, jest zwykłym opryszkiem. Chodzi w przebraniu zakonnika, ale wcale nie jest Aedonitą, to pewne.

– To nieprawda! – powiedziała Vorzheva. Proszek, którym barwiła powieki, rozsypał się jej na policzki. – Rozmawiałam z nim, a on cytował Księgę Aedona. Brat Cadrach jest dobrym i zacnym człowiekiem.

– Nawet diabeł może cytować Księgę – powiedział Isgrimnur, kiwając smutno głową.

Książę zerwał się z miejsca i ruszył szybko w stronę drzwi.

– Isgrimnurze, musimy natychmiast wysłać ludzi – powiedział, po czym zatrzymał się, odwrócił i chwycił Vorzhevę za ramię. – Chodź, pani – przemówił szorstko. – Nie naprawisz tego, coś zrobiła, ale przynajmniej powiesz nam wszystko, co wiesz, gdzie ukryłaś konie i tym podobne rzeczy. – Zmusił ją, by wstała.

– Ale ja nie mogę wyjść! – krzyknęła. – Spójrz, ja płakałam! Moja twarz, to okropne!

– Biorąc pod uwagę zło, jakie wyrządziłaś mnie i być może mojej siostrzenicy, będzie to znikoma kara. Chodź!

Poprowadził ją przed sobą i wyszli z pokoju, a Isgrimnur za nimi. Ich podniesione głosy odbijały się echem w kamiennym korytarzu.

Sangfugol popatrzył smutno na swój instrument. Z tyłu jesionowej, pięknie rzeźbionej lutni widać było długie pęknięcie, a jedna ze strun wisiała luźno zwinięta na końcu.

– Nie usłyszymy dzisiaj skocznej muzyki – westchnął.

LLUTH PRZYSZEDŁ DO NIEJ jeszcze przed świtem. Nie spała całą noc, martwiąc się o niego, lecz kiedy pochylił się nad nią i dotknął jej ramienia, udała, że śpi. Chciała zaoszczędzić mu chociaż tej jednej jedynej troski: świadomości, że ona bardzo się boi.

– Maegwin – szepnął.

Otworzyła szybko oczy i musiała się powstrzymywać, żeby nie przytulić go mocno do siebie. Był bez hełmu, lecz w zbroi – domyśliła się tego po jego krokach i zapachu oliwy. Dlatego trudno byłoby mu się wyprostować, gdyby przyciągnęła go do siebie. Potrafiła znieść nawet tak gorzkie rozstanie, ale nie mogła ścierpieć myśli, że miałby odsłonić przed nią swoje zmęczenie tej właśnie nocy.

– Czy to ty, ojcze? – spytała wreszcie.

– Tak.

– Już wyruszasz?

– Muszę. Wkrótce zacznie świtać, a my chcemy dotrzeć do lasu Combwood przed południem.

Usiadła. Ogień w palenisku dawno już wygasł, tak że prawie nic nie widziała. Zza ściany dochodził słabo płacz jej macochy, Inahwen. Maegwin poczuła ukłucie złości, słysząc tak jawnie okazywany smutek.

– Ojcze, niech cię chroni Tarcza Bryniocha – powiedziała, wyciągając w ciemność dłoń, by dotknąć jego umęczonej twarzy. – Chciałabym być synem i móc walczyć u twego boku.

Poczuła jego uśmiech pod swymi palcami.

– Ach, Maegwin, zawsze byłaś dzielna. Masz tutaj dość obowiązków. Podczas mojej nieobecności będziesz panią dworu Taig, a to niełatwe zadanie.

– Zapominasz o swojej żonie.

Lluth ponownie się uśmiechnął.

– Nie, nie zapominam. Ty jesteś silna, Maegwin, silniejsza od niej. Musisz użyczyć jej trochę swej siły.

– Zwykle dostaje to, czego chce.

Król mówił spokojnie, lecz stanowczo ścisnął jej dłoń.

– Nie mów tak, córko. Ty, ona i Gwythinn jesteście osobami, które kocham najbardziej. Pomóż jej.

Maegwin nienawidziła płaczu. Wyrwała dłoń z uścisku ojca i wytarła oczy ze złością.

– Dobrze – powiedziała. – Wybacz mi.

– Nie ma co wybaczać – odparł i jeszcze raz uścisnął jej dłoń. – Żegnaj, córko. Nad naszymi polami krążą żarłoczne kruki i trzeba je znowu przepędzić.

Wyskoczyła z łóżka i zarzuciła mu ręce na ramiona. Chwilę później drzwi otworzyły się i zamknęły. Słyszała, jak idzie wolno korytarzem, pobrzękując ostrogami, jakby wygrywał smutną melodię. Potem rozpłakała się, lecz z głową przykrytą kocem, by nikt nie usłyszał.

36. Świeże rany i dawne blizny

KONIE OKAZAŁY SIĘ mocno przestraszone obecnością wilczycy, dlatego Binabik z osłoniętą lampą pojechał do przodu, by wskazywać im drogę w ciemności nocy. I tak mała karawana jechała podnóżem wzgórz, a przed nimi podskakiwało podobne do zjawy światełko.

Księżyc usadowił się gdzieś głęboko w swym chmurnym gnieździe, dlatego jechali powoli i ostrożnie. Kołysząc się łagodnie w rytm konia i czując pod sobą jego ciepły i szeroki zad, Simon kilkakrotnie zasypiał i budziło go dopiero drapanie po twarzy cienkich i szorstkich nieco palców: były to gałęzie drzew, które zwieszały swe konary nisko nad traktem. Jechali prawie w milczeniu. Czasem tylko ktoś szeptem zachęcał swego wierzchowca albo Binabik wołał cicho, ostrzegając ich przed zbliżającą się przeszkodą. Gdyby nie te szepty oraz stłumiony odgłos końskich kopyt, można by ich wziąć za smutną pielgrzymkę zagubionych dusz.

Niedługo przed świtem w szczelinie między chmurami ukazał się księżyc i wtedy zatrzymali się, by rozbić obóz. Księżycowy blask oświetlił kłęby pary, unoszące się nad wierzchowcami, co sprawiało wrażenie, jakby nad obozem zawisły srebrzystoniebieskie chmury. Nie rozpalali ogniska. Ethelbearn stanął pierwszy na straży. Pozostali, owinięci w ciepłe płaszcze, położyli się na wilgotnej ziemi, żeby przespać się choć trochę.

Simon obudził się o świcie i zobaczył, że poranne niebo wygląda jak rzadka papka; stwierdził, że jego nos i uszy w jakiś magiczny sposób

zamieniły się nocą w lód. Kiedy siedział przy małym ognisku, przeżuwając chleb i twardy ser, które wydzielił mu Binabik, przysiadł się do niego Sludig. Policzki młodego Rimmersmana lśniły rumieńcem od chłodnego wiatru.

– Taka pogoda jest u nas w domu wczesną wiosną – powiedział uśmiechnięty i podsunął nad ogień kromkę chleba nadzianą na długie ostrze noża. – W takich warunkach szybko zmężniejesz, zobaczysz.

– Mam nadzieję, że są jeszcze inne sposoby na zmężnienie poza zamarznięciem na śmierć – mruknął Simon, zacierając dłonie.

– Możesz zabić niedźwiedzia włócznią – powiedział Sludig. – To też robimy.

Simon nie wiedział, czy Sludig żartuje.

Binabik wysłał Qantaqę na polowanie i sam usiadł też przy ogniu.

– I co? Jesteście dzisiaj gotowi na długą jazdę? – spytał.

Simon nie odpowiedział, gdyż miał usta pełne chleba; minęła chwila i Sludig też nie zareagował. Simon spojrzał na niego. Rimmersman siedział wpatrzony w ogień z zaciśniętymi ustami. Milczenie zaczynało być niezręczne.

Simon przełknął chleb.

– Chyba tak, Binabiku – powiedział szybko. – Daleko jeszcze musimy jechać?

Binabik uśmiechnął się pogodnie, jakby milczenie Rimmersmana było dla niego czymś naturalnym.

– Pojedziemy tak daleko, jak będziemy chcieli. Dzisiaj niebo jest czyste, więc dobrze byłoby przebyć długi odcinek drogi. W każdej chwili może nadejść deszcz i śnieg.

– Czy my wiemy, dokąd jedziemy?

– Częściowo, przyjacielu. – Binabik wyciągnął gałązkę ze stosu przygotowanego na ognisko i zaczął kreślić linie na wilgotnej ziemi. – Tutaj znajduje się Naglimund – powiedział, rysując koło. Od niego na prawo i w górę zakreślił jakby muszle. – To są wzgórza Wealdhelm. Krzyżyk oznacza miejsce, w którym się właśnie znajdujemy. – Zaznaczył go niedaleko koła. Potem na końcu łańcucha wzgórz narysował szybko duży owal otoczony kilkoma mniejszymi kółkami, a za nimi kolejny łańcuch wzgórz. – I tak – zaczął, pochylając się nisko nad swym rysunkiem – wkrótce dotrzemy do tego jeziora – wskazał na duży owal – które nazywa się Drorshull.

Sludig, z niechęcią, pochylił się nad rysunkiem.

– Drorshullvenn to znaczy Jezioro Młota Drora. – Zmarszczył brwi i zrobił palcem kropkę na zachodnim brzegu jeziora. – Tam jest Vestvennby, ziemia tego zdrajcy, Storfota. Chciałbym przejeżdżać tamtędy nocą. – Starł okruchy z ostrza swego sztyletu i uniósł go tak, by odbił się w nim słaby blask ognia.

– Nie pojedziemy tam – powiedział stanowczo Binabik – więc będziesz musiał zaczekać z zemstą. Będziemy przejeżdżali z drugiej strony jeziora, obok Hullnir do Haethstad, w pobliżu którego znajduje się klasztor świętego Skendiego, a potem prawdopodobnie pojedziemy w górę, przez północną równinę w stronę gór. Nie będzie postojów na podrzynanie gardeł. – Przesunął swój patyk ponad jezioro, w kierunku mniejszych kół.

– To dlatego, że wy, trolle, nie rozumiecie, co to znaczy honor – odezwał się cierpko Sludig, patrząc na Binabika spod gęstych, jasnych brwi.

– Sludig – zaczął Simon błagalnym tonem, lecz Binabik nie odpowiadał na zaczepkę.

– Mamy do wykonania zadanie – powiedział troll spokojnie. – Isgrimnur, twój książę, chce, żebyśmy je wykonali, a podkradanie się nocą w celu podcięcia gardła Storfotowi nie jest chyba najsumienniejszym wypełnieniem woli Isgrimnura. Nie oznacza to też braku honoru u trolla, Sludig.

Przez chwilę Rimmersman patrzył mu prosto w oczy, potem pokiwał głową.

– Masz rację. – Ku zdziwieniu Simona nie zabrzmiało to jak wypowiedź kogoś urażonego. – Jest we mnie wiele złości i źle dobieram słowa. – Wstał i poszedł do Grimmrica i Haestana, którzy siodłali konie; idąc, wzruszył potężnymi barami, jakby chciał się rozluźnić. Simon i troll patrzyli za nim.

– Przeprosił – powiedział Simon.

– Nie wszyscy Rimmersmeni są tak oziębli jak Einskaldir – odparł troll. – Ale też nie wszystkie trolle są jak Binabik.

TEGO DNIA JECHALI BARDZO DŁUGO; pięli się w górę wzdłuż wzgórz pod osłoną drzew. Kiedy wreszcie zatrzymali się na wieczorny posiłek, Simon przekonał się, jak prawdziwe było ostrzeżenie Haestana: chociaż jechali wolno i po dość płaskim terenie, czuł w nogach i kroczu taki ból, jakby spędził cały dzień w jakimś straszliwym narzędziu tortur. Haestan – z uśmiechem na ustach – wyjaśnił mu, że najgorsze przyjdzie dopiero rano, po nocy, w czasie której jego nogi zdążą zesztywnieć. Poradził mu, żeby napił się wina. Wciśnięty między porośnięte mchem i powyginane korzenie dębu Simon poczuł się trochę lepiej, chociaż wino sprawiło, że słyszał jakby niesione przez wiatr odgłosy dziwnej piosenki.

Rano stwierdził, że słowa Haestana były aż nazbyt prawdziwe, a ponadto zobaczył śnieg, który opadał powoli, okrywając ich zimną, białą

płachtą. Trzęsąc się z zimna w słabym świetle poranka miesiąca Yuven, Simon wciąż słyszał głosy na wietrze. Oczywiste było to, co miały do powiedzenia: kpiły z kalendarzy i szydziły z podróżnych, którzy sądzili, że bezkarnie mogą wkraczać w nowe królestwo zimy.

KSIĘŻNICZKA MIRIAMELE z przerażeniem patrzyła na scenę, jaka się przed nimi rozpościerała. Wyruszając rankiem, widzieli na tle kolorowego horyzontu czarny dym; teraz stali na zboczu wzgórza, u którego stóp leżało Inniscrich, i zobaczyli wszystko z bliska. Była to ogromna scena śmierci, utworzona z ludzkiego ciała, metalu i powyrywanej ziemi.

– Litościwa Elysio – jęknęła, ściągając cugle swego przestraszonego konia. – Co tu się stało? Czy to dzieło mego ojca?

Gruby Cadrach zmrużył oczy i przez chwilę poruszał bezgłośnie ustami, sprawiając wrażenie, że się modli.

– Większość zabitych to Hernystirczycy – powiedział – pozostali zaś, sądząc po stroju, są Rimmersmenami. – Wzdrygnął się, widząc, jak stado przestraszonych kruków wzleciało nagle nad pole niczym gromada much, zrobiło koło i znowu opadło na pole bitwy. – Zdaje się, że cała bitwa albo ci, którzy się wycofywali, przesunęła się na zachód.

Miriamele, przestraszona, poczuła, że do oczu napływają jej łzy; podniosła więc zaciśniętą w pięść dłoń, by je wytrzeć.

– Ci, którzy przeżyli, wycofują się pewnie do Hernysadharc, do Taig. Dlaczego doszło do tego? Czy wszyscy poszaleli?

– Moja pani, już dawno to nastąpiło – powiedział Cadrach z dziwnym, smutnym uśmiechem na ustach. – Tyle tylko, że dopiero nasze czasy wyzwoliły w nich to szaleństwo.

PRZEZ PIERWSZE PÓŁTORA DNIA jechali szybko, zmuszając konie lady Vorzhevy do maksymalnego wysiłku, aż dotarli do rzeki Greenwade. Przekroczyli ją przy jej górnym rozwidleniu, około dwudziestu pięciu mil na południowy zachód od Naglimundu. Potem zwolnili i pozwolili koniom odetchnąć, na wypadek gdyby znowu musieli jechać szybko.

Miriamele jechała na koniu po męsku, co znacznie ułatwiał jej strój: spodnie i kurtka – strój, który pozwolił jej wymknąć się z Hayholt. Krótkie włosy znowu ufarbowała na czarno, choć i tak niewiele z nich wystawało spod kaptura, który naciągnęła na głowę z powodu zimna i chęci ukrycia twarzy. Wyglądała równie niepozornie jak jadący obok niej brat Cadrach w swym poplamionym szarym habicie. Czasy były tak niespokojne, a pogoda tak zła, że rzadko kto podróżował traktem prowadzącym do rzeki. Księżniczka zaczynała już nabierać pewności, że ich ucieczka się powiodła.

Już drugi dzień jechali groblą wzdłuż szerokiej, wezbranej rzeki, słysząc dobiegające z oddali ostre dźwięki trąbek, które wybijały się nawet ponad zawodzenia niosącego deszcz wiatru. Początkowo przestraszyli się, wyobrażając sobie żądny zemsty pościg jej wuja lub ojca, lecz wkrótce się zorientowali, że to oni zbliżają się do miejsca, z którego dochodzą niepokojące odgłosy. Aż wreszcie rankiem tego dnia dostrzegli pierwsze oznaki bitwy: pojedyncze pióropusze czarnego dymu, które plamiły czyste niebo.

CZY NIC NIE MOŻEMY ZROBIĆ? – spytała Miriamele, stojąc obok swego konia. Gdyby nie ptaki, można by pomyśleć, że ktoś wyrzeźbił scenę, na którą patrzyli, w szaro-czerwonym kamieniu.

– A cóż moglibyśmy zrobić, moja pani? – zwrócił się do niej ze swego konia Cadrach. Napił się ze swego bukłaka.

– Nie wiem. Ty jesteś duchownym! Czy nie powinieneś odmówić *mansy* za ich dusze?

– Za czyje dusze, księżniczko? Za dusze mych pogańskich ziomków czy za dusze tych dobrych Aedonitów z Rimmersgardu, którzy przybyli tu złożyć im wizytę? – Wydawało się, że jego gorzkie słowa zawisły nad nimi jak dym.

Miriamele spojrzała na mnicha; nie był już tym wesołym kompanem, z którym podróżowała od paru dni. Przez cały czas promieniał radością, opowiadając różne historie i wyśpiewując hernystirskie pijackie piosenki. Teraz przypominał kogoś, kto delektuje się wątpliwym zwycięstwem po spełnieniu się mrocznej przepowiedni.

– Przecież nie wszyscy Hernystirczycy są poganami! – zawołała Miriamele rozzłoszczona. – Sam jesteś aedonickim mnichem!

– Mam więc zejść tam na dół i pytać, kto jest poganinem, a kto nim nie jest? – Machnął pulchną dłonią w kierunku pola usianego trupami. – Nie, moja pani. Tutaj jeszcze mają coś do zrobienia tylko kruki i złodziejaszki. – Ścisnął konia piętami i ruszył powoli przed siebie.

Miriamele stała wzburzona, przyciskając policzek do końskiej szyi.

– Jestem pewna, że żaden człowiek Kościoła nie mógłby patrzeć na coś takiego obojętnie – zawołała za nim – nawet ten czerwony potwór, Pryrates!

Cadrach drgnął na wspomnienie tego imienia, lecz ujechał jeszcze kawałek, zanim zatrzymał się i znieruchomiał.

– Chodź, pani – odezwał się wreszcie przez ramię. – Musimy zjechać z tego zbocza, gdyż jesteśmy bardzo widoczni. Nie wszystkie kruki są ptakami, niektóre przypominają ludzi.

Wytarłszy łzy, Miriamele wzruszyła ramionami i wsiadła na konia. Podążyła za mnichem w dół zalesionego zbocza ścieżką, która biegła obok

skąpanego we krwi Inniscrich.

ŚPIĄC TAMTEJ NOCY W OBOZIE na zboczu wzgórza ponad płaską, białą i pozbawioną drzew powierzchnią jeziora Drorshull, Simon znowu śnił o kole.

Znowu go schwytało i podrzucając nim jak szmacianą lalką, ciągnęło nieubłaganie do góry. Szarpał nim wiatr, a kawałki lodu raniły twarz, gdy wznosił się w lodowatą ciemność.

Na samym szczycie, poobijany i poraniony, dostrzegł w ciemności coś lśniącego, pionowy, lśniący pasek, który wyłaniał się z nieprzeniknionej ciemności w górze i ginął w równie mrocznej ciemności w dole. Było to białe drzewo, którego ogromny pień i cienkie gałęzie lśniły, jakby obwieszone gwiazdami. Chciał wyrwać się z uścisku koła, skoczyć w kierunku zapraszającej go bieli, lecz wydawało się to niemożliwe. Wreszcie szarpnął się raz jeszcze, najmocniej jak potrafił, i skoczył.

Spadał w dół pośród świecących liści i miał wrażenie, że leci między gwiezdnymi lampami; wołał Usiresa, by go uratował, błagał Boga o pomoc, lecz nie chwyciły go żadne dłonie, a on wciąż spadał przez zimny firmament...

HULLNIR, KTÓRY ZNAJDOWAŁ SIĘ na wschodnim brzegu wolno zamarzającego jeziora, był miastem tak pustym, że nie było w nim nawet duchów. Z domami ginącymi pod śnieżnymi zaspami i dachami pozrywanymi przez wiatry i burze miasto podobne było do szkieletu martwego łosia, który leżał pod ciemnym, obojętnym niebem.

– Czy Skali i jego kruki zdążyli już wyssać życie z całej Północy? – spytał Sludig, patrząc z przerażeniem na miasto.

– A może mieszkańcy uciekli przed mrozami – zauważył Grimmric i otulił się szczelniej płaszczem. – Zimno tutaj i daleko do przejezdnych dróg.

– Pewnie Haethstad będzie wyglądało tak samo – powiedział Binabik, poganiając Qantaqę, by ruszyła z powrotem w górę. – Dobrze, że nie liczyliśmy na uzupełnienie po drodze zapasów.

Wzgórza po drugiej stronie jeziora były już coraz niższe, a ich łagodne zbocza porastał las Aldheorte, którego północne ramię sięgało aż tutaj. Ta część lasu różniła się znacznie od południowej, którą znał Simon, nie tylko z powodu grubej warstwy śniegu, tłumiącej zupełnie odgłosy ich przejazdu. Tutaj drzewa były proste i wysokie; ciemnozielone sosny i świerki wyglądały niczym kolumny przykryte białymi czapami, tworzącymi szerokie, pogrążone w cieniu korytarze. Jechali jakby w katakumbach, a z góry prószył śnieg, niczym popiół minionych wieków.

BRACIE CADRACHU, TAM KTOŚ JEST! – zawołała cicho Miriamele. Wskazała dłonią. – Tam! Widzisz ten błysk, to metal!

Cadrach opuścił bukłak i wytężył wzrok. W kącikach jego ust lśniły resztki czerwonego wina. Mrużył oczy, jakby chciał zadowolić jej kaprys. Chwilę później wytężył wzrok jeszcze bardziej.

– Dobry Boże, masz rację, księżniczko – szepnął, ściągając lejce swego konia. – Rzeczywiście, coś tam jest. – Podał jej lejce i zsunął się w gęstą, zieloną trawę; gestem dłoni nakazał jej milczenie i ruszył do przodu. Skradał się, kryjąc za szerokim drzewem, które z trudem maskowało jego potężne ciało. Zbliżywszy się na jakieś sto kroków do lśniącego przedmiotu, zatrzymał się i wyciągnął szyję, jak dziecko, które bawi się w chowanego. Po chwili odwrócił się i skinął na Miriamele. Podjechała, prowadząc jego konia.

Był to mężczyzna, który leżał oparty plecami o pień przewróconego dębu. Miał na sobie zbroję, która pomimo straszliwego zniszczenia wciąż lśniła w paru miejscach. Obok niego w trawie leżała rękojeść złamanego miecza, złamane drzewce i zielony proporzec z Białym Jeleniem, herbem Hernystiru.

– Elysio, Matko Boża! – wyszeptała Miriamele, podchodząc szybko do leżącego. – Czy on jeszcze żyje?

Cadrach w pośpiechu przywiązał konie do jednego z korzeni dębu i zbliżył się do niej.

– Chyba nie.

– Nie, żyje! – krzyknęła księżniczka. – Posłuchaj, oddycha!

Mnich przyklęknął, by lepiej przyjrzeć się leżącemu; rzeczywiście, pod uchyloną przyłbicą słychać było nieregularny oddech. Cadrach uniósł przyłbicę aż do bocznych skrzydełek po bokach hełmu i zobaczyli wąsatą twarz prawie całkowicie pokrytą strużkami zaschniętej krwi.

– Na psy piekieł – westchnął Cadrach – to jest Arthpreas, hrabia Cuimhne.

– Znasz go? – spytała Miriamele, odwiązując z siodła swój bukłak. Otworzyła go i zmoczyła wodą kawałek materiału.

– Słyszałem o nim – powiedział Cadrach i wskazał na dwa ptaki wyszyte na podartej opończy rycerza. – Jest seniorem Cuimhne, niedaleko Nad Mullach. Ma w herbie dwie świergotki.

Miriamele otarła kawałkiem materiału twarz Arthpreasa, a Cadrach zbadał zakrwawione wgniecenia w jego zbroi. Powieki rannego drgnęły.

– Odzyskuje przytomność! – powiedziała Miriamele. – Cadrach, on chyba będzie żył!

– Niedługo, pani – powiedział spokojnie mnich. – Ma w brzuchu dziurę wielkości mojej dłoni. Pozwól, że udzielę mu błogosławieństwa, i niech

umrze w pokoju.

Hrabia jęknął i z jego ust popłynęła strużka krwi. Miriamele ostrożnie ją starła. Jego powieki znowu drgnęły.

– *E gundhain sluith, ma cannalbehn...* – wyszeptał rycerz po hernystirsku. Zakasłał słabo i popłynęła kolejna strużka krwi. – No, już dobrze. Czy... zabrali Jelenia?

– O co mu chodzi? – spytała szeptem Miriamele.

Cadrach wskazał na podarty proporzec pod ramieniem hrabiego.

– Uratowałeś go, hrabio Arthpreasie – powiedziała, nachylając się nad nim. – Jest bezpieczny. Co się stało?

– Kruki, wojownicy Skalego... byli wszędzie. – Rycerz zakasłał i szerzej otworzył oczy. – Ach, moi dzielni chłopcy... zabici, wszyscy zabici... porąbani jak... – Arthpreas jęknął boleśnie. Spojrzał w górę i przesuwał wzrok, jakby obserwował płynące chmury. – A gdzie jest Król? – odezwał się wreszcie. – Gdzie jest nasz dzielny, stary Król? *Goirach* z Północy osaczyli go, niech ich Brynioch ukarze, *Brynioch na ferth ub... ub strocinh...*

– Król? – szepnęła Miriamele. – Pewnie chodzi mu o Llutha.

Hrabia spojrzał nagle na Cadracha i jego oczy rozbłysły jakąś wewnętrzną iskrą.

– Padreic? – powiedział i położył drżącą, zakrwawioną dłoń na przegubie mnicha. Cadrach drgnął i zrobił ruch, jakby chciał wyrwać rękę, lecz został jakby obezwładniony wzrokiem hrabiego, jego dziwnym blaskiem. – Czy to ty, Padreic, *feir*? Wró... wróciłeś? – W następnej chwili rycerz zesztywniał i zakasłał przeraźliwie, a z ust znów popłynął strumień krwi. Jego oczy się zapadły.

– Nie żyje – powiedział Cadrach po jakimś czasie dziwnie chrapliwym głosem. – Niech Usires go zbawi, a Bóg pocieszy jego duszę. – Zrobił znak

Drzewa nad piersią Arthpreasa i wstał.

– Powiedział do ciebie Padreic – zwróciła się do niego Miriamele, patrząc nieprzytomnie na kawałek materiału, który teraz był zupełnie czerwony.

– Wziął mnie za kogoś innego – odparł mnich. – Umierał i chciał zobaczyć starego przyjaciela. Nie mamy szpadla do wykopania grobu. Nazbierajmy przynajmniej kamieni, żebyśmy go mogli przykryć. Był... tak mówiono, że był dobrym człowiekiem.

Kiedy Cadrach odszedł w drugi koniec polanki, Miriamele zdjęła z dłoni Arthpreasa rękawicę i owinęła ją w podarty, zielony proporzec.

– Pomóż mi, pani – zawołał Cadrach. – Nie możemy tracić tutaj więcej czasu.

– Już idę – odpowiedziała, wsuwając zawiniątko do torby przy swoim siodle. – Jeszcze tyle możemy.

SIMON I JEGO TOWARZYSZE objechali wolno jezioro pośród wysokich drzew przykrytych warstwą śniegu. Po lewej ręce mieli zamarznięte lustro jeziora Drorshull; na prawo widniały białe ramiona wyższych partii wzgórz Wealdhelm. Żeby się porozumieć, musieli krzyczeć, gdyż każdą inną rozmowę zagłuszał wiatr. Simon jechał za Haestanem, obserwując jego rytmicznie unoszące się szerokie bary, i wydawało mu się, że każdy z nich był samotną wyspą na zimnym morzu: widzieli się wprawdzie, lecz oddzielały ich nieprzebyte przez nikogo połacie bieli. Uśpiony monotonnym rytmem kroków konia Simon czuł, że myślami zwraca się do swego wnętrza.

Oczami wyobraźni zobaczył Naglimund, który dopiero co opuścili, lecz był on bardzo odległy, jak wspomnienie z dzieciństwa. Nie mógł nawet ujrzeć wyraźnie twarzy Miriamele i Josui, jakby próbował przypomnieć

sobie obcych, którzy stali się dla niego kimś ważnym na długo po tym, jak odeszli. Za to bardzo wyraźne okazały się wspomnienia z Hayholt; przypomniały mu się długie, letnie wieczory na łąkach pełnych owadów i skoszonej trawy albo wietrzne, wiosenne popołudnia, w czasie których wspinał się na mury, a mocny zapach róż z dziedzińca unosił się ku niemu jak wyciągnięte, ciepłe dłonie. Wspominając zapach ścian w kącie pomieszczeń dla służby, gdzie miał swój siennik, Simon poczuł się jak król na wygnaniu, który utracił władzę na rzecz przybyłego z daleka uzurpatora – co w pewnym sensie było prawdą.

Pozostali także wydawali się zajęci własnymi myślami; jechali w milczeniu i tylko Grimmric gwizdał – czasem jedynie ponad wycie wiatru wznosiły się wysokie dźwięki melodii, choć wydawało się, że trwa ona nieprzerwanie.

Kilkakrotnie Simonowi udało się dostrzec Qantaqę poprzez wirujące płatki śniegu i wtedy miał wrażenie, że wilczyca zatrzymuje się i nachyla głowę, jakby nasłuchując. Kiedy wreszcie rozbili obóz, pozostawiając za sobą na południowym wschodzie główną część jeziora, Simon zapytał o to Binabika.

– Binabik, czy ona coś słyszy? Czy jest coś przed nami?

Troll pokiwał głową i zbliżył nagie dłonie do małego ogniska.

– Może, może coś czuje, choć przy takiej pogodzie... idziemy z wiatrem. Bardziej prawdopodobne, że słyszy coś z tyłu.

Simon zastanowił się przez chwilę. Był pewien, że nic nie podążało za nimi ze spustoszonego Hullniru, nawet ptaki.

– Myślisz, że ktoś idzie za nami? – spytał.

– Wątpię. Kto? I po co?

Mimo to Sludig, który zamykał kolumnę, także zauważył niepokój wilczycy. Choć wciąż nie czuł się swobodnie w towarzystwie trolla i nie

całkiem ufał wilczycy – na noc rozłożył swój koc w drugim końcu obozu – to jednak wierzył w jej zmysły. Kiedy inni posilali się twardym chlebem i suszonym mięsem, on wyjął osełkę i zaczął ostrzyć swoje topory.

– Teren między Dimmerskog, lasem na północ od nas a jeziorem Drorshullven, gdzie właśnie jesteśmy, zawsze był dziki, nawet wtedy, gdy Isgrimnur czy też jego ojciec rządzili w Elvritshalli, a zima znała swoje miejsce. Kto wie, co dzisiaj chodzi po tych białych ostępach albo Turniach Trolli, które są dalej? – Rytmicznie przesuwał osełką po ostrzu topora.

– Przede wszystkim trolle – zauważył sardonicznie Binabik – ale mogę cię zapewnić, że nie napadną nas w nocy, nie zamordują i nie ograbią.

Sludig uśmiechnął się kwaśno, nie przerywając ostrzenia.

– Rimmersman ma rację – wtrącił Haestan i spojrzał na Binabika ponuro. – Ja też się boję, ale nie trolli.

– Czy jesteśmy blisko twojego kraju, Binabiku? – spytał Simon. – Blisko Yiqanuc?

– Zbliżymy się, kiedy dotrzemy do gór. Lecz miejsce mego urodzenia w rzeczywistości znajduje się na wschód od miejsca, do którego zdążamy.

– Tak myślisz?

– Nie zapominaj, że wciąż nie jesteśmy pewni, dokąd idziemy. „Drzewo Wierszopisa” – drzewo rymów? Wiem, że góra zwana Urmsheim – gdzie prawdopodobnie udał się Colmund – znajduje się gdzieś na północy, między Rimmersgardem a Yiqanuc, ale to wielka góra. – Troll wzruszył ramionami. – Czy drzewo jest na niej? Przed nią? A może gdzie indziej? Teraz nic nie mogę powiedzieć.

Simon, podobnie jak pozostali, patrzył ponuro w ogień. Pomyślał, że podjęcie się trudnej misji dla swego władcy to jedna sprawa, a jeszcze inna błądzenie na oślep w białym pustkowiu.

Płomienie zasyczały, obejmując wilgotne drewno. Qantaqa, która dotąd leżała na śniegu, teraz wstała i nachyliła głowę. Podeszła do krawędzi polanki otoczonej sosnami na niewielkim wzgórzu, którą wybrali na miejsce postoju. Chwilę nasłuchiwała, po czym wróciła na swoje miejsce. Nikt nie powiedział ani słowa; moment napięcia minął i wszyscy odetchnęli z ulgą.

Kiedy skończyli jeść, dołożyli do ognia kolejne kłody, a te syczały i buchały parą wesoło pomimo opadającego śniegu. Binabik i Haestan rozmawiali cicho, a Simon ostrzył swój miecz osełką Ethelbearna, kiedy nagle usłyszeli melodię. Simon odwrócił się i zobaczył, że to Grimmric gwiżdże: wydął usta i siedział wpatrzony w kołyszące się płomienie. W pewnym momencie podniósł głowę i widząc, że Simon patrzy na niego, uśmiechnął się, ukazując zepsute zęby.

– Coś mi się przypomniało – powiedział. – To taka stara, zimowa piosenka.

– Zaśpiewaj ją – zachęcił go Ethelbearn. – Nie ma nic złego w spokojnej piosence.

– Tak, zaśpiewaj – poparł go Simon.

Grimmric spojrzał na Haestana i trolla, jakby obawiał się z ich strony sprzeciwu, lecz oni zajęci byli rozmową.

– Dobrze – powiedział. – Chyba to nic złego. – Chrząknął i spuścił głowę, jakby zawstydzony uwagą pozostałych. – Tę piosenkę zwykle śpiewał mój stary ojciec, kiedy wychodziłem rąbać drewno w zimowe popołudnia. – Jeszcze raz chrząknął. – Zimowa piosenka – dodał i zaśpiewał dość nierównym, lecz całkiem melodyjnym głosem.

Lód strzechę pokrywa
I śnieg przykrył próg.

Ktoś do drzwi puka
W zimowy chłód.

Śpiewaj hej-ho! Któż to być może?

W palenisku ogień płonie,
Na ścianach cienie.
Śliczna Arda – odpowiada
W zamkniętej izbie.

Śpiewaj hej-ho! Któż to być może?

Z zimowej ciemności głos się odzywa:
– Drzwi otwórz,
Wpuść mnie do ognia
I ręce pozwól ogrzać.

Śpiewaj hej-ho! Któż to być może?

Arda, śliczna i czysta dziewczyna
Tak odpowiada: – Powiedz mi, panie,
Kimże ty jesteś, że wędrujesz,
Gdy na zewnątrz zawierucha taka?

Śpiewaj hej-ho! Któż to być może?

– Święty człowiek – głos jej odpowiada
– co głodny jest i bez dachu nad głową.
A głos brzmiał tak żałośnie,
Że gdyby z lodu była, już by się roztopiła.

Śpiewaj hej-ho! Któż to być może?

– Wpuszczę cię zatem, dobry ojcze,
Ogrzejesz swe kości stare.
Bo nie skrzywdzi dziewicy
Człowiek Boży, ufać mu mogę.

Śpiewaj hej-ho! Któż to być może?

Drzwi otworzyła i kogóż to widzi?
Mąż stoi, lecz wcale nie święty.
Stary Jednooki w swym płaszczu i z kijem,
Kapelusz na oczy nasunięty.

Skłamałem, skłamałem, by dostać się tutaj –
Uśmiecha się Jednooki i tańczy.
– Mróz jest moim domem, lecz wędrować lubię,
A dziewczyna warta jest ryzyka...

– Święty Usiresie, zwariowałeś? – Sludig zerwał się ze swego miejsca. Przerażony zrobił przed sobą szeroki znak Drzewa, jakby chronił się przed atakującą go bestią. – Zwariowałeś? – spytał ponownie zaskoczonego Grimmrica.

Erkynlandczyk spojrzał na pozostałych, wzruszając bezradnie ramionami.

– Trollu, co się stało Rimmersmanowi? – spytał.

Binabik popatrzył na stojącego Sludiga.

– Sludig, co się stało? Nie wiemy, o co chodzi.

Sludig patrzył na twarze nic nierozumiejących towarzyszy.

– Czyście wszyscy postradali zmysły? – spytał. – Czy wiecie, o kim śpiewacie?

– Chodzi ci o starego Jednookiego? – powiedział Grimmric, unosząc brwi w zdziwieniu. – Ale to przecież tylko piosenka. Nauczyłem się jej od ojca.

– Ale ty śpiewasz o Udunie Jednookim – Udunie Rimmerze, czarnym starym bogu mego ludu. Czciliśmy go w Rimmersgardzie, kiedy jeszcze byliśmy pogrążeni w pogańskiej ciemności. Nie wymawiaj imienia Uduna, Ojca Niebios, bo przyjdzie do ciebie – na twoją zgubę.

– Udun Rimmer... – powtórzył zamyślony Binabik.

– Ale skoro już w niego nie wierzysz – spytał Simon – dlaczego boisz się o nim mówić?

Sludig spojrzał na niego z wyrazem przestrachu na twarzy.

– Nie powiedziałem, że w niego nie wierzę, wybacz Aedonie. Powiedziałem tylko, że już go nie czcimy. – Po chwili usiadł na swoim miejscu. – Myślicie pewnie, że zachowuję się głupio. Lepiej być takim, niż przywoływać zazdrosnych, dawnych bogów. Jesteśmy w jego kraju.

– Ja tylko śpiewałem – bronił się Grimmric. – Niczego nie chciałem przywoływać. To tylko cholerna piosenka.

– Binabiku, czy dlatego obchodzimy Udensday? – zaczął Simon, lecz nie pytał dalej, gdyż zorientował się, że troll nie słucha. Na jego twarzy pojawił się szeroki, pogodny uśmiech, jakby przed chwilą pociągnął solidny łyk dobrego trunku.

– Tak, z pewnością tak jest! – przemówił troll i odwrócił się w stronę ponurego Sludiga. – Ty to wymyśliłeś, przyjacielu.

– O czym ty mówisz? – spytał jasnobrody Rimmersman poirytowany. – Nie wiem, o co ci chodzi.

– Chodzi mi o to, czego szukamy. Miejsce, do którego udał się Colmund: Drzewo Wierszopisa. Dotąd myśleliśmy o słowie „wiersz”, ale ty to powiedziałeś. „Udun Rimmer” – Udun Rimer. „Rime”, znaczy „mróz”. Szukamy Mroźnego Drzewa.

Sludig zastanowił się przez chwilę, po czym skinął wolno głową.

– Błogosławiona Elysio, trollu – Drzewo Uduna. Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej? Drzewo Uduna!

– Znasz miejsce, o którym mówi Binabik? – spytał Simon, który wreszcie zaczynał rozumieć, o co chodzi.

– Oczywiście. To taka nasza stara legenda; o drzewie z lodu. Mówi ona, że Udun zasadził je, aby móc wspiąć się do nieba i uczynić z siebie króla wszystkich bogów.

– Tylko co nam z legendy? – Simon usłyszał pytanie Haestana i poczuł, że ogarnia go dziwny chłód, jakby ktoś okrył go lodowym kocem. Lodowe, białe drzewo... znowu je zobaczył: biały pień wznosi się w ciemność, niezgłębiona biała wieża, lśniący, biały pasek na tle ciemności. Stało wyraźnie na jego drodze i czuł, że nie da się go ominąć, nie da się uniknąć jego cienkich, białych palców, które kiwały na niego, ostrzegały i czekały.

Białe drzewo.

– A to, że legenda mówi, gdzie ono się znajduje – wyjaśnił głos, który zabrzmiał, jakby odbijał się echem w długim korytarzu. – Nawet jeśli nic takiego nie istnieje, wiemy przynajmniej, że sir Colmund udał się tam, gdzie wskazuje legenda – na północną stronę Urmsheim.

– Sludig ma rację – powiedział Binabik. – Musimy pojechać tam, gdzie Colmund dotarł z Cierniem. Reszta nie jest ważna. – Głos trolla dobiegał Simona z coraz większej odległości.

– Ja... muszę iść spać – wymamrotał Simon, czując, że coraz trudniej jest mu mówić. Wstał i chwiejnym krokiem odszedł od ognia; pozostali nie

zwrócili nawet uwagi, że ich opuścił, pogrążeni w ożywionej dyskusji o odległości, jaka mogła dzielić ich od góry. Położył się zawinięty szczelnie w swój płaszcz i wydało mu się, że cały ten śnieżny świat wiruje wokół niego. Zamknął oczy i wciąż świadomy otaczającej go rzeczywistości poczuł, że wbrew sobie zapada się w wypełnioną snami ciemność.

CAŁY NASTĘPNY DZIEŃ jechali zalesionym, pokrytym śniegiem przesmykiem pomiędzy jeziorem a wzgórzami w nadziei, że jeszcze przed wieczorem dotrą do Haethstad, które leżało nad północno-wschodnim brzegiem jeziora. Zdecydowali, że Sludig pójdzie tam sam i spróbuje uzupełnić zapasy, zakładając, że mieszkańcy nie uciekli przed srogą zimą na zachód. A nawet jeśli wioska była opuszczona, liczyli, że będą mogli schronić się w jakimś opustoszałym domu i osuszyć przed czekającą ich długą drogą przez pustkowie. Dlatego też jechali raźno, pełni nadziei.

Haethstad było wioską położoną na cyplu niewiele szerszym niż sama osada; nie było w niej więcej niż dwadzieścia pięć chat. Widziana z góry, ze wzgórza, wydawała się wyrastać wprost z zamarzniętego jeziora.

Ich nadzieje prysnęły już w połowie drogi prowadzącej do doliny. W miarę jak się zbliżali, coraz bardziej stawało się jasne, że na miejscu domów pozostały tylko zwęglone szkielety.

– Ażebym tak zaniewidział – odezwał się rozzłoszczony Sludig. – To nie jest opuszczona wioska, trollu. Zostali wypędzeni.

– Jeśli w ogóle udało im się wydostać na zewnątrz – mruknął Haestan.

– Sludig, chyba masz rację – przyznał Binabik. – Mimo wszystko musimy tam zjechać i sprawdzić, kiedy to się stało.

Kiedy zjeżdżali na dno doliny, Simon przyglądał się spalonym szczątkom wioski i mimochodem przypomniał sobie zwęglony szkielet klasztoru świętego Hoderunda.

„Duchowny w Hayholt zwykł mawiać, że ogień oczyszcza – pomyślał. – Jeśli tak jest, to dlaczego wszyscy tak bardzo boją się ognia, spalenia? Na Aedona, nikt chyba nie chce być aż tak bardzo oczyszczony”.

– Och, nie! – Simon usłyszał głos Haestana. Wpadł prawie na niego, gdyż ten zatrzymał konia. – Dobry Boże!

Simon spojrzał przed siebie i zobaczył szereg ciemnych postaci wyłaniających się z lasu na skraju wioski. Jeźdźcy wyjeżdżali wolno na ośnieżoną drogę niecałe sto łokci od nich. Simon liczył ich, w miarę jak wyjeżdżali z lasu... siedmiu, ośmiu, dziewięciu. Wszyscy byli uzbrojeni. Ich przywódca miał na głowie czarny, żelazny hełm w kształcie psiej głowy; widzieli profil szczerzącego kły psa, gdy tamten odwrócił się, by wydać rozkazy. Cała dziewiątka ruszyła przed siebie.

– Tamten z psią głową. – Sludig wyciągnął swe topory i wskazał na zbliżających się jeźdźców. – To on kierował zasadzką u świętego Hoderunda. Ma dług do spłacenia za młodego Hove’a i mnichów z klasztoru.

– Nie damy im rady – powiedział spokojnie Haestan. – Poćwiartują nas na kawałki; dziewięciu przeciwko sześciu, a na dodatek dwóch spośród nas to troll i chłopiec.

Binabik nic nie powiedział, lecz spokojnie rozkręcał swój kij, który przez całą drogę trzymał wsunięty za popręg siodła Qantaqi. Kiedy skręcił go ponownie, powiedział:

– Musimy uciekać.

Sludig zdążył już popędzić swego konia, lecz Haestan i Ethelbearn dogonili go w parę kroków i przytrzymali za łokcie. Rimmersman nie włożył nawet hełmu. Próbował ich odtrącić, patrząc przed siebie nieprzytomnie.

– Uspokój się, człowieku – powiedział Haestan. – W lesie przynajmniej będziemy mieli jakąś szansę!

Dowódca zbliżającej się grupy krzyknął coś do pozostałych i w następnej chwili ich konie przeszły w kłus. Spod ich kopyt unosiły się tumany śnieżnego pyłu, co sprawiało wrażenie, jakby pędzili po morskiej pianie.

– Zawróć go! – Haestan krzyknął do Ethelbearna. Sam zawrócił swego konia, chwytając lejce wierzchowca Sludiga. Ethelbearn uderzył zad konia Sludiga rękojeścią swego miecza i pomknęli, uciekając przed zbliżającymi się jeźdźcami, którzy teraz pędzili galopem, pokrzykując i wymachując toporami oraz mieczami. Simon tak się trząsł, że bał się, żeby nie spaść z konia.

– Binabiku, dokąd? – spytał załamującym się głosem.

– Między drzewa! – zawołał Binabik i Qantaqa skoczyła do przodu. – Zabiją nas, jeśli będziemy uciekać w górę drogi! Trzymaj się blisko mnie, Simonie!

Kiedy zjechali z szerokiej ścieżki, zostawiając za sobą zgliszcza Haethstad, ich konie zaczęły wierzgać i stawać dęba. Simon zsunął łuk z ramienia, przywarł do grzbietu swego konia i spiął go ostrogami. Wierzchowiec skoczył gwałtownie i pomknęli przez śnieg w coraz to gęstszy las.

Simon widział przed sobą plecy małego Binabika i podskakujący szary zad wilczycy, gdy tymczasem z obu jego stron z zawrotną szybkością przelatywały drzewa. Usłyszał z tyłu krzyki i odwrócił się; czwórka jego towarzyszy jechała razem, a za nimi widać było ścigających, którzy jechali teraz szeroką ławą. Usłyszał dźwięk jakby rozrywanego pergaminu i przez chwilę widział drżącą strzałę, która utkwiła w drzewie tuż przed nim.

Zewsząd dobiegały stłumione odgłosy końskich kopyt; słyszał je nawet wtedy, gdy z całych sił przywarł do siodła. Nagle coś czarnego świsnęło tuż przed jego twarzą, potem jeszcze raz. Napastnicy okrążali ich, strzelając teraz z obu boków. Simon usłyszał swój krzyk skierowany do postaci mknących za najbliższymi drzewami i zaraz kilkanaście kolejnych strzał przeleciało ze świstem obok jego głowy. Trzymając się mocno siodła, sięgnął ręką – w której jednocześnie trzymał łuk – do podskakującego kołczanu. Kiedy wyciągnął strzałę, zauważył, że zalśniła jasno na tle końskiej sierści. To była Biała Strzała. Co miał robić? Chwilę później, choć jemu wydawało się, że trwało to wieki, wsunął strzałę przez ramię do kołczanu i wyciągnął inną. Gdzieś we własnej głowie usłyszał głos, który szydził z niego, widząc, jak przebiera w strzałach w takim momencie. Niemal stracił łuk i strzałę, kiedy jego koń skręcił nagle w bok, omijając oblepione śniegiem drzewo, które wyrosło na ich drodze jakby spod ziemi. Zaraz potem usłyszał krzyk bólu i przerażający kwik przewracającego się konia. Zerknął przez ramię i zobaczył, że jedzie już tylko trzech jego towarzyszy; za nimi dostrzegł w tumanach śniegu młócące powietrze końskie kopyta i czyjeś ramiona. Napastnicy przeskakiwali lub omijali przewróconego jeźdźca i pędzili dalej.

„Kto to był?” – przemknęło przez głowę Simonowi.

– Na wzgórze, na wzgórze! – usłyszał gdzieś z prawej strony ochrypły głos Binabika. Dostrzegł ogon wilczycy, gdy ta susami zaczęła wspinać się na wzniesienie pokryte kępą gęsto rosnących sosen, które stały niewzruszone wobec szalejącego poniżej chaosu walki. Simon pociągnął mocno prawe lejce, nie mając pewności, czy koń go posłucha, lecz wierzchowiec skoczył posłusznie w bok i pomknął w górę za wilczycą. Pozostali trzej jeźdźcy przemknęli obok Simona i zatrzymali się dopiero między chroniącą ich nieco kępą strzelistych drzew.

Sludig wciąż jechał z gołą głową, w drugiej, chudej postaci rozpoznał Grimmrica, lecz trzeci, w hełmie, wjechał wyżej na wzgórze i zanim Simon zdążył się odwrócić, by zobaczyć, kto to jest, usłyszał okrzyk triumfu. Napastnicy dogonili ich.

Simon znieruchomiał na chwilę, lecz zaraz założył strzałę i wzniósł łuk. Atakujący pojawiali się i znikali tak szybko między drzewami, że jego strzała przeleciała wysoko nad głową najbliższego i zniknęła. Simon wypuścił drugą i wydało mu się, że trafiła w nogę jednego z ubranych w zbroję napastników. Gdzieś rozległ się krzyk bólu. Sludig zawył w odpowiedzi i spiął swego białego konia, wsuwając hełm na głowę. Dwóch spośród atakujących oderwało się od grupy i skierowało w jego stronę. Simon widział, jak uchyla się przed pchnięciem mieczem pierwszego z napastników, mija go i odwracając się, wbija swój topór w jego żebra; z rozerwanej zbroi wypłynął strumień krwi. Kiedy odwrócił się od pierwszego mężczyzny, drugi był już przy nim. Sludig zdążył jeszcze odbić cios toporem, lecz mimo to otrzymał uderzenie w hełm. Simon zobaczył, że Rimmersman zachwiał się i nieomal spadł z konia, gdy tymczasem napastnik już zawrócił swoim.

Zanim starli się ponownie, Simon usłyszał przeraźliwy kwik. Odwracając się, zobaczył, że w jego stronę zbliża się inny jeździec. Zobaczył też wilczycę – już bez trolla – wczepioną zębami w pozbawioną zbroi nogę jeźdźca i wbijającą pazury w bok kwiczącego konia. Simon wyciągnął miecz, lecz w czasie gdy jeździec próbował uderzyć wilczycę, jego kręcący się w kółko koń wpadł na wierzchowca Simona. Miecz Simona wyleciał w powietrze, a zaraz za nim poleciał i on sam. Długo nie mógł złapać powietrza, jakby otrzymał strasznie mocny cios. Zsunął się twarzą do dołu pomiędzy walczące ze sobą konie. Poprzez kłującą maskę

śniegu zobaczył, jak Qantaqa wyskakuje spod koni i biegnie szybko. Krzyczący przeraźliwie jeździec nie mógł uciec.

Simon wstał z trudem i wypluł śnieg i brud. Potem podniósł swój łuk i kołczan. Pozostali walczyli teraz pieszo gdzieś wyżej, na wzgórzu.

Ktoś się roześmiał.

Około dwudziestu kroków niżej na stojącym nieruchomo siwym koniu siedział mężczyzna w czarnej zbroi, z hełmem w kształcie szczerzącego kły psa. Na jego czarnym kaftanie widniał biało wyszyty symbol w kształcie piramidy.

– A więc jesteś, chłopcze – powiedział mężczyzna, a jego głos zabrzmiał głucho w hełmie. – Szukałem cię.

Simon odwrócił się i zapadając po kolana w śnieg, zaczął wspinać się w górę zbocza. Mężczyzna roześmiał się i ruszył za nim.

Simon czuł w ustach krew z rozbitego nosa i wargi; jeszcze raz poderwał się, potem odwrócił i oparł o przechylony świerk. Chwycił strzałę, upuszczając kołczan, potem założył ją na cięciwę i napiął łuk. Mężczyzna zatrzymał się i przekrzywił głowę, jakby naśladował psa, którego wizerunek miał na hełmie; był już tylko o kilka łokci poniżej Simona.

– No, zabij mnie, chłopcze, jeśli potrafisz – szydził. – Strzelaj! – Spiął konia ostrogami i ruszył w stronę drżącego Simona.

Nagle rozległ się świst, a potem ostre, miękkie uderzenie. Jego siwek stanął dęba, odrzucając do tyłu głowę; w jego piersi tkwiła drżąca strzała. Jeździec spadł w śnieg i leżał bez ruchu nawet wtedy, gdy ranny koń uniósł się na kolana, a potem zwalił na niego. Simon patrzył zafascynowany. Zdziwienie było jeszcze większe, kiedy zobaczył, że jego strzała nie wyleciała z jego łuku.

– Ha...Haestan? – wyjąkał, spoglądając w górę zbocza.

Stały tam między drzewami trzy postaci. Żadna z nich nie była Haestanem. Żadna z nich nie była człowiekiem. Miały jasne, kocie oczy i wąskie usta.

Sitha, który wypuścił strzałę, założył następną i opuścił ją, tak by jej drżący grot znalazł się na wysokości oczu Simona.

– *Tsi im t'si, Sudhoda'ya* – powiedział, uśmiechając się chłodno. – Jak wy to mówicie: Krew za krew.

37. Polowanie Jirikiego

SIMON PATRZYŁ BEZRADNIE na czarny grot strzały i na trzy małe twarze. Czuł, że drży mu szczęka.

– *Ske’i! Ske’i!* – zawołał jakiś głos. – Stójcie!

Dwóch spośród trójki Sithów spojrzało w górę, lecz trzeci – ten z napiętym łukiem – ani drgnął.

– *Ske’i, ras-Zida’ya!* – krzyknęła mała postać i skoczyła w dół, koziołkując i wzbijając tumany śnieżnego pyłu; po chwili znalazła się parę kroków od Simona.

Binabik wstał wolno na kolana, oblepiony śniegiem, jakby jakiś roztargniony piekarz obsypał go mąką.

– C...co? – Simon zmusił swe zdrętwiałe usta, by się poruszyły, lecz troll energicznym ruchem dłoni nakazał mu milczenie.

– Ciii. Połóż wolno swój łuk, tylko powoli! – Kiedy chłopiec wykonał jego instrukcje, Binabik wyrzucił z siebie kolejny potok słów w niezrozumiałym dla Simona języku, wykonując przy tym błagalne gesty w kierunku niewzruszonych Sithów.

– Co... gdzie są pozostali... – szepnął Simon, lecz Binabik znowu go uciszył ruchem głowy.

– Nie ma czasu teraz... nie ma czasu... chodzi tu o twoje życie. – Troll uniósł dłonie do góry i Simon uczynił to samo. – Mam nadzieję, że nie zgubiłeś Białej Strzały?

– Nie... nie wiem.

– Na Córę Gór, nie mogłeś tego zrobić. Opuść powoli swój kołczan. Teraz. – Binabik powiedział coś w – jak się Simon domyślał – języku Sithów, po czym kopnął kołczan tak, że strzały rozsypały się na ubitym śniegu; ich ciemne drzewca odcinały się wyraźnie od białego śniegu – wszystkie z wyjątkiem jednej. Z tej ostatniej widać było tylko na tle bieli jej trójkątny, perlistoniebieski grot, który wyglądał jak kropla nieba.

– Och, chwalmy Wyżyny – jęknął Binabik. – *Staj'a Ame ine!* – zawołał do Sithów, przypominających teraz koty zdumione faktem, że ich ofiara zamiast uciekać, odwraca się i śpiewa. – Biała Strzała! Wiecie przecież, co to znaczy! *Im sheyis tsi-keo'su d'à Yana o Lingit!*

– Rzadko się zdarza – odezwał się Sitha, opuszczając nieco łuk. Widać było, że dobrze włada zachodnią mową, choć mówił z dziwnym akcentem. Zamrugał. – Żeby troll uczył mnie Prawa Pieśni. – Uśmiechnął się chłodno. – Oszczędź sobie swoich przemówień i niezręcznych tłumaczeń. Podnieś strzałę i przynieś ją tutaj. – Kiedy Binabik schylił się po strzałę, Sitha powiedział coś do swych towarzyszy. Tamci spojrzeli na trolla i chłopca, po czym zaczęli szybko wspinać się na wzgórze; robili to z taką lekkością, że wydawali się prawie nie ugniatać śniegu, po którym się poruszali. Ten, który pozostał, wciąż trzymał łuk wycelowany w stronę Simona, gdy tymczasem Binabik gramolił się do niego.

– Podaj mi ją – rozkazał Sitha. – Piórami do przodu, trollu. A teraz cofnij się do swego towarzysza. – Oparł się o swój łuk, pozwalając, by założona w nim strzała wysunęła się nieco z luźnej cięciwy, tak że teraz mógł trzymać łuk i strzałę jedną dłonią; w drugiej miał Białą Strzałę. Po raz pierwszy Simon usłyszał swój własny, szybki i chrapliwy oddech. Opuścił trochę drżące ręce, gdy Binabik stanął przy nim.

– Otrzymał ją ten młodzieniec za przysługę, jaką wyświadczył – wyjaśnił Binabik skwapliwie.

Sitha spojrzał na niego i uniósł skośne brwi.

Simon przyglądał mu się i na pierwszy rzut oka ten osobnik wydawał się bardzo podobny do Sithy, którego wcześniej uratował: te same, wystające kości policzkowe, podobne ptasie ruchy. Ubrany był w spodnie i kurtkę z białego, lśniącego materiału z ciemnozielonymi wstawkami na ramionach, rękawach i w pasie. Jego prawie czarne włosy miały dziwny, zielonkawy odcień; nosił je związane w dwa skomplikowane warkocze, które opadały przed uszami. Jego buty, pas i kołczan wykonane były z miękkiej, mlecznobiałej skóry. Simon zdał sobie sprawę, że Sitha jest widoczny tylko dlatego, że stoi na tle zachmurzonego nieba. Gdyby stanął na śniegu, między drzewami, byłby niewidzialny jak wiatr.

– *Isi-isi'ye!* – Sitha mruknął pod nosem i wystawił strzałę pod światło przebijającego się czasem przez chmury słońca. Po chwili opuścił ją i zmrużywszy oczy, patrzył zamyślony na Simona. – Gdzie ją znalazłeś, *Sudhoda'ya?* – spytał szorstko. – Jak to się stało, że ktoś taki jak ty zdobył taką rzecz?

– Dostałem ją! – powiedział Simon; powoli wracał mu głos i kolory na twarzy. Tego przynajmniej był pewien. – Uratowałem jednego z was. Wystrzelił strzałę w drzewo i uciekł.

Sitha jeszcze raz obrzucił go uważnym spojrzeniem i zamierzał coś jeszcze powiedzieć. Zamiast tego popatrzył w górę. Jakiś ptak zaczął wyśpiewywać długą, skomplikowaną melodię – tak przynajmniej wydawało się Simonowi, dopóki nie dostrzegł nieznacznych ruchów ust Sithy. Sitha zamilkł i stał nieruchomo do chwili, gdy usłyszeli w odpowiedzi podobny gwizd.

– Ruszajcie przede mną – powiedział do trolla i chłopca. Z trudem wspinali się po stromym zboczu, a za nimi ich strażnik, który z lekkością posuwał się do góry, wciąż oglądając Białą Strzałę.

Po kilkuset krokach znaleźli się na zaokrąglonym wierzchołku wzgórza i zaczęli schodzić z jego drugiej strony. W dole Simon zobaczył czterech Sithów, którzy kucali z łukami nad otoczonym drzewami i przykrytym śniegiem dołem. Dwóch z nich Simon widział już wcześniej: rozpoznał ich po niebieskawym odcieniu splecionych w warkocze włosów. Pozostała dwójka miała włosy ciemnoszare, choć wszyscy mieli takie same złociste i gładkie twarze. Na dnie dołu siedzieli Haestan, Grimmric i Sludig. Wszyscy byli pokrwawieni, a na ich twarzach widać było wyraz rezygnacji osaczonego zwierzęcia.

– Na kości świętego Ealhstana! – zaklął Haestan na widok przybyłych. – Ach, chłopcze, miałem nadzieję, że udało ci się uciec. – Pokiwał głową. – Ale to chyba lepsze, niż zginąć.

– Widzisz, trollu? – powiedział z goryczą Sludig; brodę miał brudną od krwi. – Widzisz, cośmy wywołali? Demony! Nie powinniśmy byli kpić z... złego.

Trzymający Białą Strzałę Sitha – najwyraźniej dowódca – powiedział coś w swoim języku do pozostałej czwórki i gestem nakazał siedzącym w dole wyjść.

– Oni nie są demonami – powiedział Binabik, który razem z Simonem pomagał więźniom wydostać się z dołu, co nie było łatwe ze względu na obsuwający się śnieg. – To są Sithowie i nie zrobią nam nic złego. Mamy ich Białą Strzałę, która zobowiązuje ich do zachowania pokoju.

Przywódca Sithów spojrzał ponuro na trolla, lecz nic nie powiedział. Z dołu wynurzył się sapiący Grimmric.

– Si...Sithowie? – spytał, z trudem łapiąc oddech. Czerwona plama na jego czole tuż pod włosami wskazywała na zranione miejsce. – No tak. Znaleźliśmy się w samym środku starych legend. Lud Sithów! Niech Usires i Aedon mają nas w swojej opiece. – Zrobił znak Drzewa i odwrócił się, by pomóc chwiejącemu się Sludigowi.

– Co się stało? – spytał Simon. – Jak wam... co się stało z...?

– Ci, którzy nas zaatakowali, nie żyją – powiedział Sludig i usiadł ciężko pod drzewem. Jego kolczuga była porozrywana w kilku miejscach, a hełm, który trzymał w dłoni, był podrapany i powyginany jak stary garnek. Część z nich sami załatwiliśmy. Pozostali zginęli od strzał. – Wskazał na sithijskich strażników.

– Nas też by zabili, gdyby troll nie przemówił w ich języku – wyjaśnił Haestan. Uśmiechnął się słabo do Binabika. – Nie myśleliśmy o tobie źle, kiedy zacząłeś uciekać. Modliliśmy się za ciebie.

– Musiałem odnaleźć Simona. On jest pod moją opieką – odpowiedział troll.

– Ale... – Simon rozglądał się z nadzieją, lecz nie zobaczył już nikogo więcej. – To znaczy, że to był Ethelbearn. Zginął, zanim jeszcze dotarliśmy do pierwszego wzgórza.

– Tak – przytaknął mu Haestan.

– Niech będą przeklęte ich dusze! – zaklął Grimmric. – Ci mordercy byli Rimmersmenami!

– Ludzie Skalego – dodał Sludig ze wzrokiem utkwionym gdzieś przed siebie. Sithowie dali im do zrozumienia, aby wstali. – Dwóch z nich miało herb kruka Kaldskryke – powiedział, wstając. – Och, modlę się, żebyśmy się spotkali na odległość topora.

– Nie jesteś odosobniony w swych modlitwach – powiedział Binabik.

– Zaczekajcie! – zawołał Simon i poczuł w sobie jakąś pustkę; miał wrażenie, że to nie jest w porządku. Zwrócił się do przywódcy Sithów. – Widziałeś moją strzałę. Wiesz, że to, co powiedziałem, jest prawdą. Nie możecie nas stąd zabrać, dopóki nie sprawdzimy, co się stało z naszym towarzyszem.

Sitha spojrzał na niego uważnie.

– Nie wiem, czy twoja historia jest prawdziwa, ale wkrótce się o tym przekonamy. Szybciej nawet, niż ci się wydaje. A co do waszego... – Powiódł wzrokiem po więźniach. – Dobrze, pozwolimy wam wrócić do waszego towarzysza. – Powiedział coś do pozostałych Sithów, a ci poszli w dół za mężczyznami. W milczeniu minęli naszpikowane strzałami ciała dwóch napastników, którzy leżeli z szeroko otwartymi oczami i ustami. Śnieg powoli zakrywał czerwone plamy wokół strzał.

Znaleźli Ethelbearna około stu łokci od drogi. Z boku jego szyi, pod brodą wystawało złamane drzewce strzały; nienaturalna pozycja ciała wskazywała, że przygniótł go własny koń.

– Szybko umarł – powiedział Haestan ze łzami w oczach. – Och, Aedonie, szybko.

Za pomocą toporów i mieczy wykopali dół. Sithowie przyglądali im się przez cały czas niewzruszenie. Owinęli Ethelbearna w jego gruby płaszcz i opuścili do płytkiego dołu. Kiedy zakopali grób, Simon wbił w niego miecz zmarłego.

– Weź jego hełm. – Haestan zwrócił się do Sludiga, a Grimmric przytaknął mu.

– Nie chciałby pewnie, żeby się zmarnował – powiedział Erkynlandczyk.

Sludig powiesił swój zniszczony hełm na rękojeści wbitego w ziemię miecza i dopiero wtedy odebrał hełm Ethelbearna.

– Pomścimy cię – powiedział. – Krew za krew.

Zapadła cisza. Śnieg opadał wolno pośród gałęzi drzew, a oni stali nad kawałkiem nagiej ziemi. Wkrótce i on miał zniknąć pod śnieżnym dywanem.

– Chodźcie – odezwał się przywódca Sithów. – Dość daliśmy wam czasu. Jest ktoś, kto będzie chciał obejrzeć tę strzałę.

Simon ruszył ostatni. „Nawet nie zdążyłem go poznać – pomyślał. – Ale zapamiętam twój śmiech, Ethelbearnie, dobry, serdeczny śmiech”.

Odwrócili się i ruszyli z powrotem między ośnieżone wzgórza.

PAJĄK WISIAŁ BEZ RUCHU i przypominał matowobrązowy klejnot w misternym naszyjniku. Rozciągnął ostatnie nitki i sieć była skończona; wisiała w rogu pokoju pod sufitem, drżąc lekko od wznoszącego się powietrza, jakby trącały ją niewidzialne dłonie.

Na chwilę Isgrimnur wyłączył się z rozmowy, choć była ważna. Spojrzał po zatroskanych twarzach zebranych wokół paleniska wielkiej sali, a potem skierował wzrok w ciemny róg, gdzie odpoczywał malutki budowniczy.

„Tak, to ma sens – pomyślał. – Budujesz coś i zostajesz tam. Tak to powinno wyglądać. A nie ciągłe bieganie to tu, to tam; nigdy nie widzisz swojej rodziny, czasem i przez rok nie widzisz swojego domu”.

Pomyślał o swojej żonie: bystrookiej, zawsze rumianej Gutrun. Nigdy nie robiła mu wymówek, ale wiedział, że się złości, iż opuścił Elvritshallę na tak długo; że zostawił ich najstarszego syna – dumę jej serca – by w tak ogromnym księstwie sprawował rządy, które zakończyły się klęską. Choć wiadomo było, że ani Isorn, ani nikt inny nie byłby w stanie powstrzymać Skalego i popierającego go króla. Ale to Isorn sprawował rządy pod nieobecność ojca i ludzie będą pamiętać, że to właśnie Isorn patrzył, jak

klan Kaldskryke – odwieczni wrogowie Elvritshalli – wkraczał do ich dworu jako ich pan.

„A ja myślałem, że wkrótce wrócę do domu – pomyślał ze smutkiem książę. – Miło byłoby zająć się końmi i krowami, pogodzić zwaśnionych sąsiadów, patrzeć, jak dzieci wychowują swoje dzieci. A tymczasem cała ziemia w ruinie jak dziurawy dach. Boże, pomóż mi, dość się już nawalczyłem za młodych lat... choć opowiadam teraz coś innego. Walka to zajęcie dla młodych, którzy nie trzymają się tak kurczowo życia. Tak, walczyć powinni młodzi, żeby na starość mieli o czym mówić i co wspominać przy ogniu. Taki stary kundel jak ja może już tylko wygrzewać się przy ognisku”.

Szarpał swą brodę, obserwując pająka, który sunął w ciemny róg, gdzie usiadła nierozważna mucha.

„Wydawało nam się, że John ustanowił pokój na najbliższe tysiąc lat. A tymczasem on nie przetrwał nawet dwu lat po jego śmierci. Budujesz i budujesz jak ten mały pająk tam u góry, a potem przychodzi wiatr i burzy wszystko”.

– ...i tak zajeździłem prawie dwa konie, żeby przywieźć szybko te wieści, panie – usłyszał Isgrimnur koniec wypowiedzi młodego żołnierza.

– Znakomicie się spisałeś, Deornothu – powiedział Josua. – Wstań, proszę.

Żołnierz wstał i okrył się kocem, który wcześniej podał mu Josua; twarz i włosy miał jeszcze mokre od trudów podróży. Wyglądał tak samo jak wtedy, gdy przebrany w kostium mnicha w czasie uroczystości Dnia Świętego Tunatha przyniósł Josui wiadomość o śmierci ojca.

Książę położył dłoń na ramieniu Deornotha.

– Cieszę się, że wróciłeś. Obawiałem się o twoje bezpieczeństwo. Wyrzucałem sobie, że wysłałem cię w tak niebezpieczną podróż. – Zwrócił

się do pozostałych. – Tak więc słyszeliście raport Deornotha. Elias wyruszył wreszcie. Zmierza do Naglimundu z... Deornothu? Powtórz, proszę.

– Z siedmioma tysiącami rycerzy i dziesięcioma tysiącami piechoty – powiedział ponuro żołnierz. – Jest to średnia z najbardziej wiarygodnych źródeł.

– Wierzę ci – powiedział Josua. – A zatem będzie tutaj za jakieś dwa tygodnie.

– Tak myślę, panie. – Deornoth skinął głową.

– A co z moim panem? – spytał Devasalles.

– Baronie – zaczął żołnierz, lecz zaraz zacisnął szczęki, czekając, aż miną dreszcze – w Nad Mullach panowała wielka wrzawa. To zrozumiałe, biorąc pod uwagę, co dzieje się na Zachodzie... – urwał i spojrzał na księcia Gwythinna, który siedział nieco z boku wpatrzony w sufit.

– Mów dalej – ponaglił go spokojnie Josua – wysłuchamy wszystkiego.

Deornoth zwrócił wzrok na Josuę.

– A więc, tak jak mówiłem, trudno było spodziewać się dobrych wieści. Jednak rybacy z Abaingeat, na wybrzeżu, twierdzili, że książę Leobardis wyruszał statkami z Nabbanu i płynie morzem, by prawdopodobnie wylądować w pobliżu Crannhyru.

– Ilu ma ludzi? – spytał Isgrimnur.

Deornoth wzruszył ramionami.

– Różni ludzie podają różne liczby. Może dwustu rycerzy i około dwóch tysięcy piechoty.

– To by się zgadzało, książę Josuo – powiedział Devasalles, wydymając usta w zamyśleniu. – Z pewnością wielu z wasali nie poszło z nim z obawy przed gniewem Wielkiego Króla, a Perdruińczycy, jak zwykle, pozostaną

neutralni. Hrabia Streawe wie, że najlepiej wyjdzie, pomagając obu stronom, i użyczy swych statków do przewozu towarów.

– Możemy więc liczyć na pomoc Leobardisa, choć spodziewałem się, że będzie większa. – Josua powiódł wzrokiem po zebranych.

– Jeśli nawet Nabbańczycy przybiją samego Eliasa do bramy zamku – zauważył baron Ordmaer, z trudem ukrywając strach na swej pulchnej twarzy – to i tak jego wojska przewyższają liczebnością nasze trzykrotnie.

– Ale my mamy jeszcze mury, sir – odparł surowo Josua. – Znajdujemy się w bardzo silnej twierdzy. – Zwrócił się ponownie do Deornotha z łagodniejszym już wyrazem twarzy. – Przekaż nam pozostałe wiadomości, mój wierny przyjacielu, i idź spać. Musisz być zdrowy, gdyż będziemy cię wkrótce potrzebowali.

Deornoth wysilił się na uśmiech.

– Tak, panie. Obawiam się, że pozostałe wiadomości też nie są dobre. Hernystirczycy zostali pokonani pod Inniscrich. – Zwrócił się w stronę Gwythinna, lecz zaraz opuścił wzrok. – Mówią, że król Lluth został ranny, a jego wojska wycofały się w góry Grianspog, by stamtąd nękać Skalego i jego ludzi.

Josua spojrzał ze smutkiem na hernystirskiego księcia.

– Jest lepiej, niż myślałeś, Gwythinnie. Twój ojciec żyje i walczy.

Gwythinn zwrócił się w jego stronę. Oczy miał czerwone.

– Tak! Oni wciąż walczą, gdy tymczasem ja siedzę tutaj za kamiennymi murami, piję piwo i zajadam chleb z serem jak stara przekupka. Mój ojciec może teraz umiera! Jak ja mogę tu siedzieć?

– Czy myślisz, młodzieńcze, że jesteś w stanie pokonać Skalego ze swymi pięćdziesięcioma ludźmi? – spytał łagodnie Isgrimnur. – A może szukasz szybkiej i pełnej sławy śmierci, zamiast poczekać i wybrać najlepsze rozwiązanie?

– Nie jestem aż tak głupi – odparł chłodno Gwythinn. – Ale, na stado Bagdy, Isgrimnurze, kim ty jesteś, by tak do mnie mówić? A co z tym twoim mieczem, który miałeś wsadzić po rękojeść w bebechy Skalego?

– To co innego – mruknął zakłopotany Isgrimnur. – Nie mówiłem, że mam zamiar najeżdżać Elvritshallę z garstką rycerzy.

– A mnie chodzi tylko o to, żeby przekraść się obok kruków Skalego i przedostać w góry, do moich ludzi.

Isgrimnur nie potrafił wytrzymać śmiałego spojrzenia jasnych oczu Gwythinna, dlatego skierował wzrok w róg, gdzie brązowy pająk pracowicie owijał coś w lepkie nici.

– Gwythinnie – Josua starał się go uspokoić. – Proszę cię tylko, żebyś poczekał, dopóki się nie naradzimy. Jeden czy dwa dni nie zrobią różnicy.

Młody Hernystirczyk wstał gwałtownie, a nogi jego krzesła zaskrzypiały na kamiennych płytach podłogi. – Czekać! Czekanie to wszystko, co robisz! Czekasz na miejscowe wojska, czekasz na Leobardisa i jego armię, czekasz na... na Eliasa, żeby przelazł przez mury i podpalił twierdzę! Mam dosyć czekania! – Uniósł drżącą dłoń, by powstrzymać protest Josui. – Josuo, nie zapominaj, że ja także jestem księciem. Przybyłem tutaj ze względu na przyjaźń naszych ojców. A teraz mój ojciec jest ranny i nękany przez północnych diabłów. Jeśli umrze tam bez niczyjej pomocy i ja zostanę królem, czy też będziesz mi rozkazywał? Dalej będziesz mnie powstrzymywał? Na Bryniocha! Nie rozumiem takiej tchórzliwej bezczynności! – Zanim dotarł do drzwi, odwrócił się. – Każę moim ludziom być gotowym do wyjazdu na jutro wieczór. Jeśli znajdziesz jeszcze jakiś nieznany mi powód, dla którego nie powinienem jechać, wiesz, gdzie mnie szukać.

Josua wstał, kiedy Gwythinn wyszedł, zatrzaskując za sobą drzwi.

– Myślę, że wielu z nas... – urwał i potrząsnął głową znużony – od dawna nie miało nic w ustach, a już z pewnością ty, Deornothu. Ale proszę cię, byś został jeszcze na chwilę; chcę cię zapytać o osobiste sprawy. – Skinieniem dłoni pozwolił pozostałym udać się do jadalni i patrzył, jak wychodzą, zmęczeni, cicho rozmawiając. – Isgrimnurze! – zawołał, a książę zatrzymał się w drzwiach i spojrzał na niego pytająco. – Ty też zostań, proszę.

Kiedy Isgrimnur usiadł, Josua popatrzył wyczekująco na Deornotha.

– Masz dla mnie jeszcze jakieś wieści? – spytał książę.

Żołnierz zmarszczył brwi.

– Gdybym miał jakieś pomyślne wieści, przekazałbym je, zanim jeszcze inni tu przybyli. Nie udało mi się wpaść na trop twej siostrzenicy i mnicha, który jej towarzyszy. Tylko jeden chłop w pobliżu Greenwade twierdził, że widział dwoje ludzi odpowiadających ich opisowi, którzy przekroczyli rzekę jakieś trzy dni temu i udali się na południe.

– To samo można było wywnioskować ze słów lady Vorzhevy. Teraz są już pewnie w Inniscrich i tylko błogosławiony Usires wie, co może się zdarzyć i dokąd mogą się udać. Jedyna nadzieja w tym, że Elias poprowadzi swą armię skrajem wzgórz; jest tak mokro, że trakt Wealdhelm wydaje się jedyną bezpieczną drogą dla ciężkich wozów. – Josua utkwił wzrok w drżących płomieniach. – Dziękuję ci – odezwał się wreszcie. – Dziękuję, Deornothu. Gdyby wszyscy moi poddani służyli tak jak ty, śmiałbym się z gróźb Wielkiego Króla.

– Sir, masz wielu oddanych ludzi – zapewnił go lojalnie młody rycerz.

– Idź już. – Książę klepnął Deornotha w kolano. – Najedz się i wyśpij. Nie będę cię potrzebował do jutra.

– Tak, panie. – Młody Erkynlandczyk zrzucił koc z ramion i wstał. Szedł prosty jak struna.

Po jego wyjściu Josua i Isgrimnur siedzieli w milczeniu.

– Miriamele wędruje nie wiadomo gdzie, Leobardis ściga się z Eliasem. – Książę pokiwał głową i potarł dłonią czoło. – Lluth ranny, Hernystirczycy w odwrocie, a Skali, człowiek Eliasa, rządzi od Vestivegg do Grianspog. A na dodatek demony z legend weszły na drogę śmiertelników. – Uśmiechnął się ponuro do Isgrimnura. – Sieć się zaciska, wuju.

Isgrimnur zatopił swe palce w brodzie.

– Pajęczyna kołysze się na wietrze, Josuo. A wiatr jest silny. – Nie powiedział, co miała znaczyć ta uwaga, i w sali znowu zaległa cisza.

CZŁOWIEK W HEŁMIE o kształcie psiego pyska zaklął cicho i wypluł na śnieg kolejną porcję krwi. Zdawał sobie sprawę, że każdy inny już by nie żył, leżąc na śniegu z połamanymi nogami i pogruchotanymi żebrami, lecz świadomość tego niewiele dawała mu teraz satysfakcji. Na nic nie przydadzą się lata ciężkiej pracy i ćwiczeń, jeśli nie uda mu się dotrzeć do miejsca, gdzie będzie mógł się schronić i osuszyć. Jeszcze jedna lub dwie godziny na śniegu dokończą dzieła.

Ci cholerni Sithowie. Nie zdziwiło go ich nagłe pojawienie się. Przyprowadzili swych więźniów w pobliże miejsca, w którym leżał zagrzebany w śniegu. Zebrał całą odwagę i wszystkie siły, by się nie poruszyć, kiedy przeszukiwali dookoła teren. Pomyśleli pewnie, że poczołgał się gdzieś, żeby umrzeć – na co bardzo liczył – i poszli dalej.

Teraz leżał skulony w miejscu, w którym wygrzebał się z zimnego śniegu, i zbierał siły. Miał nadzieję, że uda mu się w jakiś sposób powrócić do Haethstad, gdzie powinno czekać dwóch jego ludzi. Przeklinał samego siebie za to, że zaufał tym prostakom Skalego, którzy potrafili tylko plądrować i bić kobiety; nie nadawali się nawet do tego, żeby mu wyczyścić buty. Szkoda, że musiał wysłać swoich ludzi z inną misją.

Potrząsnął głową, starając się pozbyć jasnych plamek, jakie wciąż wirowały mu przed oczyma, i złożył odpowiednio usta. Z psiego pyska jego hełmu wydobyło się huczenie sowy. Nasłuchując, spróbował jeszcze raz wstać albo chociaż się czołgać. Nie udało mu się; obie nogi były całkowicie niesprawne. Nie zwracając uwagi na przeszywający ból połamanych żeber, podciągnął się trochę rękoma w kierunku drzew, po czym znowu opadł na ziemię, dysząc ciężko.

W następnej chwili poczuł gorący powiew i spojrzał w górę. Zobaczył jakby odbicie w dziwnym lustrze czarnego pyska ze swego hełmu, tyle tylko, że tamten był biały.

– Niku’a – powiedział z wysiłkiem w języku zupełnie różnym od jego własnego Czarnego Rimmerspakk. – Chodź tutaj. Na Uduna! Chodź!

Ogromny ogar podszedł tak blisko, że stał nad swym rannym panem.

– Teraz... ciągnij – powiedział mężczyzna i chwycił mocno białą, skórzaną obrożę psa. – Ciągnij!

Kiedy pies zaczął ciągnąć, mężczyzna jęknął rozrywany bólem, lecz wytrzymał; za maską psiego pyska widać było wytrzeszczone z bólu oczy i zaciśnięte usta. Ból doprowadzał go nieomal do szaleństwa, lecz mimo to nie puścił obroży, dopóki nie znaleźli się między drzewami. Dopiero wtedy zwolnił uścisk; wtedy też ustało wszystko. Osunął się w wypełnioną bólem ciemność.

ODZYSKAWSZY ŚWIADOMOŚĆ, stwierdził, że szare niebo ściemniało, a wiatr przykrył go – niby kocem – cienką warstwą śniegu. Ogromny ogar Niku’a czekał spokojnie; pomimo krótkiej sierści nie było widać, żeby drżał z zimna. Nie zdziwiło to mężczyzny: znał dobrze lodowate, czarne psiarnie Burzowej Góry i wiedział, jak tresowano te bestie. Spoglądając na czerwony pysk Niku’a, jego zakrzywione kły i małe, białe oczy podobne do

kropelek mlecznej trucizny, cieszył się, że to on podążał za psami, a nie odwrotnie.

Ściągnął hełm, co nie było łatwe, gdyż w czasie upadku zdeformował się, i wsadził go w śnieg. Nożem pociął swój czarny płaszcz na długie paski. Potem zabrał się do ścinania młodych i cienkich drzewek. Przy połamanych żebrach była to straszliwa praca, lecz pomimo bólu nie przestawał pracować. Miał dwa ważne powody, aby przeżyć: musiał zawiadomić swych panów o niespodziewanym ataku Sithów, a poza tym pałał żądzą zemsty na tej hałastrze, która wymknęła mu się po raz kolejny.

Kiedy skończył pracę, przez korony drzew zaglądał już białoniebieski księżyc. Krótsze patyki przyłożył do nóg i obwiązał je paskami z płaszcza, co miało zastąpić szyny. Teraz siedział z wyprostowanymi, sztywnymi nogami, jak dziecko, które bawi się na ziemi w kółko i krzyżyk. U góry dwóch najdłuższych patyków uwiązał krótkie poprzeczki. Nie wypuszczając ich z dłoni, ponownie chwycił obrożę Niku’a i pozwolił, by pies pociągnął go i postawił na sztywne nogi. Przez chwilę chwiał się niebezpiecznie, lecz zaraz wsunął sobie pod pachy prowizoryczne kule.

Zrobił kilka chwiejnych kroków na sztywnych nogach. Zdecydował, że pójdzie dalej. „Nie mam innego wyjścia” – pomyślał, mrużąc oczy z bólu.

Dostrzegł w śniegu szczerzący kły pysk psa ze swego hełmu i pomyślał, że bardzo dużo wysiłku będzie go kosztowało podniesienie tego bezużytecznego teraz przedmiotu. Mimo to schylił się i sycząc z bólu, podniósł go. Otrzymał hełm w świętych pieczarach Burzowej Góry od Niej, kiedy to ustanowiła go Jej świętym myśliwym – jego, śmiertelnika! Gdyby zostawił tu hełm, to tak jakby zostawił swe bijące serce. Pamiętał tę doniosłą chwilę, gdy błękitne światła migotały w Komnacie Pulsującej Harfy, a on klęczał przed tronem, widząc Jej lśniącą, srebrzystą maskę.

To wspomnienie ukoiło na chwilę ból przeszywający całe jego ciało. Ingen Jegger ruszył chwiejnie w dół zalesionego zbocza i zaczął obmyślać plan zemsty; za nim podążał bezszelestnie Niku’a.

SIMON I JEGO TOWARZYSZE nie mieli ochoty do rozmowy, nie zachęcali ich też do tego Sithowie. Brnęli powoli w milczeniu u podnóża ośnieżonych wzgórz, a wokół zapadał mrok.

Simonowi wydawało się, że porośnięte sosnami wzgórza niczym się od siebie nie różnią, a mimo to Sithowie dokładnie wiedzieli, którędy iść. Bursztynowe oczy przywódcy Sithów wciąż poruszały się w jego przypominającej maskę twarzy, lecz nie wyglądało to, jakby czegoś szukał; raczej sprawiał wrażenie, że czyta księgę krajobrazu z taką samą łatwością, z jaką ojciec Strangyeard studiuje swoje manuskrypty.

Raz tylko Sitha zdjął maskę obojętności, zaraz na początku ich marszu, kiedy nagle z jednego ze zboczy zbiegła Qantaqa, która trącając nosem dłoń Banabika, szła obok niego, machając nerwowo ogonem. Sitha uniósł brwi w zdziwieniu i spojrzał na swych towarzyszy, których i tak już wąskie oczy stały się jeszcze węższe. Simon nie dostrzegł żadnego gestu ze strony Sithów i wilczyca szła dalej nie niepokojona.

Zapadał już zmierzch, gdy wreszcie skręcili na północ i niebawem znaleźli się przy stromym wzniesieniu, z którego ośnieżonego zbocza wystawały nagie kamienie. Simon z wdzięcznością zobaczył, że jeden z Sithów nakazuje im się zatrzymać, choć najsilniejsze zmęczenie minęło już trochę i nie czuł tak bardzo bólu zziębniętych stóp.

– Tutaj. – Wskazał na dużą skałę, która wyrastała z ziemi wysoko ponad ich głowy. – Na dole. – Sitha wskazał ponownie, tym razem szeroką szczelinę w skale na wysokości pasa. Zanim ktokolwiek zdążył się

odezwać, dwóch spośród sithijskich strażników wśliznęło się do otworu głowami do przodu. Po chwili obaj zniknęli.

– Teraz ty – przywódca Sithów zwrócił się do Simona.

Simon usłyszał z tyłu gniewne pomruki Haestana i pozostałych dwóch żołnierzy, lecz on sam – pomimo tej niezwykłej sytuacji – odczuwał dziwny spokój. Klęknął i wsunął głowę do otworu.

Był to wąski, lśniący tunel. Jakby wyłożona lodem tuba, która prowadziła w górę, najwyraźniej wydrążona we wnętrzu skały. Wywnioskował, że Sithowie, którzy do niej weszli, musieli wspiąć się za pierwszy zakręt. Nie widział ich nigdzie, a nie było możliwości ukrycia się tam gdziekolwiek; przejście pozwalało Simonowi zaledwie na uniesienie ramion.

Wycofał się na zewnątrz.

– Jak mam tędy przejść? Ściany są z lodu, a korytarz wznosi się stromo w górę.

– Popatrz nad głowę – odparł dowódca Sithów. – Będziesz wiedział, co zrobić.

Simon ponownie wsunął się do tunelu, tym razem nieco głębiej. W środku miał tułów oraz ramiona i mógł obrócić się na plecy, aby spojrzeć w górę. W lśniącej powierzchni tunelowego sufitu – jeśli można to było nazwać sufitem – znajdowały się regularne, poziome nacięcia widoczne na całej długości tunelu. Miały one głębokość kilku cali i były tak szerokie, że umożliwiały uchwycenie się, każdego z nich obiema rękoma. Simon zrozumiał, że poruszanie się w tunelu polegało na podciąganiu się rękoma i nogami.

Nie była to zbyt zachęcająca perspektywa, gdyż nie wiedział, jak długi jest tunel i kogo może w nim spotkać. Dlatego postanowił ponownie się wycofać, lecz po namyśle zmienił zdanie. Sithowie zniknęli w przejściu

błyskawicznie i Simon czuł, że – choć nie jest aż tak sprawny – musi im pokazać, iż ma odwagę wejść sam, bez popędzania.

Wspinaczka była trudna, lecz nie niemożliwa. Na szczęście tunel skręcał często i Simon mógł odpoczywać, zaczepiając stopami o zakręt. Wspinając się z mozołem, czując coraz bardziej skurcze w mięśniach, zrozumiał zaletę takiego wejścia – jeśli to w ogóle było wejście: trudno było wspinać się nim do góry i praktycznie było to niemożliwe dla innych niż dwunogie istoty, chcąc zaś wyjść tunelem, wystarczyło tylko zsunąć się jak wąż.

Zastanawiał się właśnie nad kolejnym odpoczynkiem, gdy usłyszał tuż nad swoją głową rozmawiających Sithów. Chwilę później czyjeś silne dłonie chwyciły go za paski kolczugi i wciągnęły do góry. Wyskoczył z tunelu zdziwiony i opadł na ciepłą, kamienną podłogę pełną kałuż z roztopionego śniegu. Dwaj Sithowie, którzy go wyciągnęli, kucnęli nad otworem, zaglądając do jego środka, jedyne światło w tym pomieszczeniu – choć była to po prostu wysprzątana jaskinia – dochodziło ze szczeliny wielkości drzwi w przeciwległej ścianie. Stamtąd właśnie wlewało się żółte światło, które rozjaśniało podłogę jaskini. Simon podniósł się na kolana i poczuł na ramieniu powstrzymującą go dłoń. Ciemnowłosy Sitha wskazał na niski sufit, a potem na otwór tunelu.

– Zaczekaj. – Nie mówił tak dobrze językiem Simona jak jego dowódca. – Musimy zaczekać.

Następny ukazał się w tunelu złorzeczący i przeklinający Haestan. Sithowie musieli przepychać go przez otwór, jakby był korkiem od butelki. Zaraz za nim pojawił się Binabik; zwinny troll szybko dogonił Erkynlandczyka. Potem przybyli Sludig i Grimmric, a na końcu pozostali trzej zwinni Sithowie.

Gdy tylko pojawił się ostatni ze strażników, wszyscy ruszyli dalej przejściem w ścianie i krótkim korytarzem, w którym przynajmniej mogli iść wyprostowani. W zagłębieniach ścian korytarza umieszczono lampy z jakiegoś matowozłocistego kryształu lub szkła; ich światło było tak jasne, że maskowało blask wydobywający się przez drzwi, przed którymi nagle się znaleźli. W przeciwieństwie do poprzednich te były oddzielone od korytarza zasłoną z ciemnego materiału. Jeden z Sithów wszedł za zasłonę i zawołał. Po chwili w korytarzu pojawiło się paru Sithów. Każdy z nich dzierżył krótki miecz wykonany najprawdopodobniej z jakiegoś ciemnego metalu. Stali w milczeniu, nie okazując zdziwienia czy też zaciekawienia, gdy przemówił przywódca.

– Związemy wam ręce. – Po tych słowach pozostali Sithowie wyjęli spod ubrań czarne, lśniące linki.

Sludig zrobił krok w tył, wpadając na jednego z sithijskich strażników, który wydał z siebie spokojny, syczący dźwięk, lecz nie okazał gwałtowności.

– Nie – odezwał się Rimmersman podniesionym głosem. – Nie pozwolę. Nikt mnie nie zwiąże wbrew mojej woli.

– Ani mnie – powiedział Haestan.

– Nie bądźcie głupcami. – Simon wystąpił do przodu, wysuwając skrzyżowane ręce. – Mamy szansę się uratować, ale na pewno nie wtedy, gdy zaczniecie walkę.

– Simon ma rację – powiedział Binabik. – Ja też pozwolę się związać. Postąpicie głupio, jeśli nie zrobicie tego samego.

– Ale skąd możemy... – zaczął Sludig.

– A poza tym – przerwał mu Binabik – co byście zrobili? Nawet gdybyście pokonali tych tutaj Sithów i pozostałych, którzy pewnie czekają za tamtymi drzwiami, co dalej? Zsuniecie się tunelem i wpadniecie wprost

na czekającą tam Qantaqę. Nie wiem, czy będziecie mieli czas, żeby jej wytłumaczyć, że nie jesteście wrogami.

Sludig popatrzył na trolla, najwyraźniej wyobrażając sobie skutki pomyłki przestraszonej Qantaqi, i uśmiechnął się niewyraźnie.

– Znowu masz rację, trollu – powiedział, wyciągając ręce.

Czarny sznur był chłodny i śliski, jak skóra węża, lecz bardzo elastyczny. Parę pętli wystarczyło, by ręce Simona zostały unieruchomione tak mocno, jakby znalazły się w uścisku ogara. Kiedy Sithowie związali pozostałych, całą grupę poprowadzono przez zasłonięte kotarą wejście do kolejnego pomieszczenia, które tonęło w oślepiającym blasku.

Kiedy Simon później usiłował przypomnieć sobie tę chwilę, pamiętał, że było to, jakby wyszli z chmur na rozświetloną polanę, gdzieś w pobliżu słońca. Po monotonnej bieli śniegu i bezbarwnym tunelu różnica była tak wielka, jak wtedy, gdy następuje szalony dzień święta Dziewiątego Dnia, które poprzedza osiem zwykłych, szarych dni.

Pomieszczenie tonęło w świetle. Była to kamienna komnata nie wyższa niż na wysokość dwóch mężczyzn, za to bardzo przestronna. Wzdłuż ścian wiły się korzenie drzew. Około trzydziestu kroków od przybyłych, w rogu komnaty, z kamienia wypływał łukiem lśniący strumień, który rozbryzgiwał się w naturalnym, kamiennym zagłębieniu. Delikatny szum tego malutkiego wodospadu mieszał się z dziwną, cichą muzyką.

Wokół pełno było lamp, podobnych do tych, jakie widzieli w kamiennym korytarzu; emanowały żółtym, bladoniebieskim albo różowym światłem, malując ściany groty tysiącami mieszających się odcieni. Na środku podłogi, niedaleko szemrzącego stawu, płonął wesoło ogień, a unoszący się z niego dym znikał w szczelinie powyżej.

– Elysio, Matko Świętego Aedona – wyszeptał zdumiony Sludig.

– Myślałem, że jest tu jakaś królicza dziura – potrząsnął głową Grimmric. – A oni mają tutaj pałac.

W komnacie znajdowało się kilkunastu Sithów, według Simona wszyscy rodzaju męskiego. Dwóch Sithów zajęło miejsce na wysokim kamieniu. Jeden z nich trzymał długi, podobny do fletu instrument, a drugi śpiewał. Muzyka była tak dziwna, że Simon potrzebował paru chwil, żeby odróżnić śpiew od dźwięków fletu oraz oba od nieustannego szumu małego wodospadu. Przepiękna pieśń wtargnęła do serca Simona tak głęboko, że poczuł ogarniający go dreszcz tęsknoty. Choć dźwięki były mu zupełnie nieznane, zapragnął usiąść i słuchać ich w nieskończoność.

Ci, którzy nie słuchali muzyki, rozmawiali cicho albo leżeli po prostu na plecach i patrzyli w górę, jakby chcieli przebić wzrokiem kamienną ścianę wzgórza i spojrzeć w nocne niebo. Kiedy strażnicy wprowadzili jeńców, większość Sithów spojrzała na nich, lecz było to spojrzenie – według Simona – jakim obrzuca się przechodzącego kota, gdy ktoś opowiada ciekawą historię.

Simon, podobnie jak i jego towarzysze, zupełnie nieprzygotowany na taki widok rozglądał się zdumiony. Dowódca strażników przeszedł pokój i zbliżył się do dwóch postaci, które siedziały naprzeciw siebie przy stole, zrobionym z wysokiego i płaskiego u góry kamienia. Obie postaci wpatrywały się intensywnie w coś oświetlonego blaskiem jednej z tych dziwnych lamp, umieszczonej w zagłębieniu na ścianie. Strażnik zatrzymał się parę kroków od stołu i czekał spokojnie, aż zostanie zauważony.

Siedzący tyłem do przybyłych Sitha ubrany był w piękną kurtę koloru liści z wysokim kołnierzem oraz w spodnie i wysokie buty w tym samym odcieniu. Jego długie, zaplecione w warkocze włosy były jeszcze bardziej rude od włosów Simona. Kiedy przesuwał coś na stole, na jego dłoniach zalśniły pierścienie. Po drugiej stronie stołu siedział, obserwując uważnie

ruchy jego rąk, inny osobnik, ubrany w luźną, białą szatę, której rękawy zawinął, odsłaniając ozdobione bransoletami przedramiona. Ten z kolei miał włosy koloru jasnego wrzosu. Miał w nie wpięte czarne, wronie pióro, które zwisało przed uchem. Simon zobaczył, jak w pewnym momencie ubrany na biało Sitha błysnął zębami w uśmiechu, powiedział coś do swego towarzysza i przesunął jakiś przedmiot na stole. Simon przyjrzał mu się uważnie i aż zamrugał. Był to ten sam Sitha, którego uratował z pułapki drwala. Nie miał wątpliwości.

– To on! – szepnął podniecony do Binabika. – Od niego dostałem strzałę!

Kiedy to mówił, strażnik zbliżył się do stołu i wtedy Sitha, którego rozpoznał Simon, podniósł wzrok. Strażnik szybko coś do niego powiedział, lecz on spojrzał krótko na więźniów i ruchem dłoni odprawił strażnika, powracając do czegoś, co – według Simona – mogło być mapą albo planszą do gry. Jego rudowłosy towarzysz ani na chwilę nie oderwał wzroku od stołu. Strażnik powrócił do więźniów.

– Musicie poczekać, aż lord Jiriki skończy grę. – Jego pozbawiony wszelkiego wyrazu wzrok padł na Simona. – Ponieważ strzała należy do ciebie, możesz podejść rozwiązany. Inni pozostaną skrępowani.

Simon odczuwał pokusę, żeby podejść i zaczepić tego wystrojonego na biało Sithę – Jerekiego czy jak mu tam. Binabik wyczuł chyba intencje Simona, gdyż szturchnął go ostrzegawczo.

– Jeśli innych nie rozwiążecie, to mnie też nie musicie – odezwał się wreszcie. Po raz pierwszy wydało mu się, że dostrzegł na twarzy strażnika coś nieoczekiwanego: był to wyraz zakłopotania.

– Ale przecież tu chodzi o Białą Strzałę – wyjaśnił strażnik. – Nie można cię więzić, dopóki nie udowodni ci się, że zdobyłeś ją w sposób nieuczciwy, lecz twoich towarzyszy nie mogę uwolnić.

– W takim razie i ja pozostanę związany – oświadczył stanowczo Simon.

Strażnik popatrzył na niego, potem zamknął wolno oczy i otworzył je, uśmiechając się z zakłopotaniem.

– A więc tak będzie – powiedział. – Nie lubię krępować tego, który nosi *Staj'a Ame*, ale nie mam wyboru. Dobre czy złe, biorę to na siebie. – Po tych słowach kiwnął krótko głową w geście wyrażającym nieomal szacunek i utkwił swe lśniące oczy w oczach Simona. – Moja matka nadała mi imię An'nai.

Zaskoczony Simon stał długą chwilę w milczeniu, aż wreszcie poczuł na swym palcu u nogi but Binabika.

– Och! – powiedział. – Ja jestem... moja matka nazwała mnie Simon... właściwie to Seoman. – Widząc, że Sitha kiwa głową zadowolony, dodał szybko: – A to są moi przyjaciele: Binabik z Yiqanuc, Haestan i Grimmric z Erkynlandu i Sludig z Rimmersgardu.

Simon odniósł wrażenie, że Sitha przywiązuje dużą wagę do imion, i miał nadzieję, że taka prezentacja może pomóc jego towarzyszom.

An'nai jeszcze raz skinął głową i wrócił w pobliże stołu. Pozostali strażnicy niespodziewanie delikatnie pomogli związanym więźniom usiąść, po czym rozeszli się po jaskini. Simon i jego towarzysze rozmawiali dość długo, a potem umilkli wsłuchani w dziwną muzykę.

– Mimo wszystko żyjemy – odezwał się wreszcie Sludig, który wcześniej bardzo narzekał na to, jak ich potraktowano. – Mało kto ma tyle szczęścia po spotkaniu z demonami.

– Simonie, chłopcze, jesteś górą! – roześmiał się Haestan. – Absolutnie górą! Ależ ten Sitha płaszczył się przed tobą! Nie zapomnij poprosić o worek złota, zanim stąd odjedziemy.

– Płaszczył się! – powtórzył z ironią Simon. – A czy ja jestem wolny? Rozwiązany? Czy ja jem kolację?

– Prawda. – Haestan pokiwał głową ze smutkiem. – Przydałoby się coś przekąsić. Jakiś dzban też by nie zaszkodził.

– Wydaje mi się, że nic nie dostaniemy, dopóki nie spotka się z nami Jiriki – powiedział Binabik. – Ale jeśli on rzeczywiście jest tym, którego uratował Simon, to chyba sobie podjemy.

– Myślisz, że jest kimś ważnym? – spytał Simon. – An’nai nazwał go lordem Jiriki.

– Jeśli nie istnieje inny o tym samym imieniu – zaczął Binabik, lecz nie skończył, gdyż w tej chwili wrócił An’nai. Obok niego stał sam Jiriki z Białą Strzałą w dłoni.

– Proszę – Jiriki zawołał do dwóch Sithów – rozwiążcie ich zaraz. Odwrócił się i powiedział coś szybko w swoim języku. W jego bardzo płynnej mowie zabrzmiał jakby ton wymówki. An’nai przyjął upomnienie – jeśli takowe otrzymał – z kamienną twarzą, spuszczając jedynie wzrok.

Simon uważnie przyjrzał się Jirikiemu i stwierdził, że jest to ten sam Sitha, którego uratował, tyle tylko, że nie ma już siniaków i ran zadanych przez drwala.

Jiriki ruchem dłoni odesłał An’nai. Sądząc po jego zachowaniu się i respekcie, jaki okazywali mu pozostali Sithowie, Simon oceniał dotąd, że Jiriki jest starszy lub przynajmniej równy wiekiem pozostałym. Teraz jednak, pomimo pozbawionej wyrazu złocistej twarzy Sithy, Simon odniósł wrażenie, że – według sithijskich norm – lord Jiriki jest jeszcze młody.

Kiedy więźniowie rozcierali zdrętwiałe nadgarstki, Jiriki podniósł strzałę do góry.

– Wybaczcie, że kazałem wam czekać. An’nai źle ocenił sytuację, gdyż wie, jak poważnie traktuję grę w *shent*. – Spojrzał na strzałę, a potem

znowu na więźniów. – Seomanie, nie sądziłem, że cię jeszcze zobaczę – powiedział, unosząc brodę jak ptak dziób i uśmiechając się uśmiechem, który nigdy nie docierał do oczu. – Ale dług jest długiem. A *Staj'a Ame* to nawet coś więcej. Zmieniłeś się od naszego pierwszego spotkania. Wtedy wyglądałeś bardziej jak leśne zwierzątko niż ludzka istota. Wydawałeś się zagubiony... i to nie tylko w lesie. – Patrzył na Simona jasnymi, lśniącymi oczami.

– Ty też się zmieniłeś – powiedział Simon.

Po twarzy Jirikiego przebiegł jakby skurcz bólu.

– Trzy noce i dwa dni spędziłem w pułapce śmiertelnika. Gdyby drwal nie wrócił, umarłbym... ze wstydu. – W następnej chwili wyraz jego twarzy zmienił się, jakby zamknął nagle wieko skrzyni wspomnień. – Chodźcie – powiedział. – Musicie coś zjeść, chociaż nie mogę was ugościć tak, jak bym sobie tego życzył. Nie przynosimy dużo żywności do naszej – zatoczył łuk dłonią wokół pieczary, szukając odpowiedniego słowa – myśliwskiej chaty.

Choć widać było, że włada językiem Westerling o wiele lepiej, niż Simon przypuszczał, to jednak dało się zauważyć w jego wypowiedziach chwile wahania i sztucznej precyzji, które świadczyły o tym, że był to dla niego zupełnie obcy język.

– Przybyliście tutaj, żeby... polować? – spytał Simon, kiedy posadzono ich przy ognisku. – Na co polujecie? Na wzgórzach nie widać żadnej zwierzyny.

– Ach, zwierzyny, na którą polujemy, jest dziś o wiele więcej niż kiedykolwiek – powiedział Jiriki. Mówiąc to, podszedł do ułożonych w rzędzie pod ścianą jakichś przedmiotów przykrytych lśniącym materiałem.

Ubrany na zielono rudowłosy Sitha wstał od stołu, przy którym miejsce Jirikiego zajął An'nai, i odezwał się w języku sithijskim tonem, w którym

dało się odczuć pytanie, ale chyba i złość.

– Wuju Khendraja’aro, ja tylko pokazuję gościom łupy z naszego polowania – powiedział uśmiechnięty Jiriki. Pomimo pogodnego tonu Sithy Simonowi brakowało czegoś w jego uśmiechu.

Sitha przysiadł jak ptak nad rzędem przykrytych przedmiotów. Zamaszystym gestem odsłonił zasłonę, odsłaniając rząd białowłosych głów z twarzami przedstawiającymi zastygłą nienawiść.

– Na Kamienie Chukkua! – zaklął Binabik, a pozostali wstrzymali oddech.

Dopiero po chwili Simon rozpoznał znajome mu skórzaste twarze.

– Olbrzymy! – przemówił wreszcie. – Huneny!

– Tak – potwierdził książę Jiriki i odwrócił się do przybyłych. – A wy, śmiertelnicy, dlaczego wkraczacie na wzgórza mego ojca i na co polujecie? – W jego głosie zabrzmiała nuta gniewu.

38. Pieśni Najstarszych

DEORNOTH OBUDZIŁ SIĘ w ciemności spocony. Wiatr wył i zawodził na zewnątrz, szarpiąc okiennice jak wypędzone dusze zmarłych. Serce zabiło mu gwałtownie, gdy zobaczył nad sobą ciemną postać widoczną na tle dogasającego żaru ogniska.

– Kapitanie! – Rozpoznał zaniepokojony szept jednego ze swoich ludzi. – Ktoś zbliża się do bramy! Są uzbrojeni!

– Na Boskie Drzewo! – zaklął, wciągając buty. Włożył kolczugę przez głowę, potem chwycił swój miecz oraz hełm i poszedł za żołnierzem.

Na platformie nad strażnicą kucało za zasłoną czterech ludzi. Kiedy wszedł tam, wiatr zachwiał nim tak, że musiał się schylić.

– Tam, kapitanie! – powiedział żołnierz, który go obudził. – Nadjeżdżają drogą z miasta. – Żołnierz pochylił się nad Deornothem i wskazał dłonią.

Między płynącymi chmurami ukazał się księżyc, który posrebrzył ubogie strzechy ściśniętych domów miasta. Rzeczywiście, drogą jechała mała grupa jeźdźców; było ich może dwunastu.

Żołnierze nad strażnicą obserwowali nadjeżdżających. Jeden z nich jęknął cicho. Deornoth także odczuwał ból czekania. Wolałby usłyszeć dźwięki trąbek i wrzawę bitwy.

„To czekanie tak nas zmiękcza – pomyślał Deornoth. – Wystarczy, że poczujemy krew, a wszystko będzie dobrze”.

– Pewnie reszta gdzieś się ukryła! – zauważył jeden z żołnierzy. – Co zrobimy? – Nawet przy tak wyjącym wietrze jego głos zabrzmiał donośnie. Czy możliwe, żeby jeźdźcy go nie usłyszeli?

– Nic – oświadczył zdecydowanie Deornoth. – Czekamy.

Wydawało im się, że czekają całe wieki. W miarę jak jeźdźcy zbliżali się, coraz wyraźniej lśniły w blasku księżyca ich hełmy i groty włóczni. Kiedy dojechali do bramy, zatrzymali konie i zastygli w bezruchu.

Jeden ze strażników wstał i wycelował łuk w pierś pierwszego z jeźdźców. Deornoth podskoczył do niego, widząc jego coraz bardziej napiętą twarz, i wtedy rozległo się poniżej głośne dudnienie. Deornoth zdążył jeszcze podbić ramię łucznika; strzała wyleciała w górę, w ciemność nocy.

– Na Boga, otwórzcie bramę! – usłyszeli męski głos i ponowne uderzenie włóczni w bramę. Był to głos Rimmersmana, lecz słychać w nim było nutę desperacji. – Czyście wszyscy posnęli? Wpuśćcie nas! Jestem Isorn, syn Isgrimnura, uciekłem z niewoli naszych wrogów!

POPATRZ, JAK ROZCHODZĄ SIĘ CHMURY! Nie sądzisz, że to dobry znak? – Książę Leobardis zatoczył ręką szeroki łuk w kierunku otwartego okna kabiny, nieomal uderzając w głowę uwijającego się giermka. Giermek uchylił się i klnąc pod nosem, trzepnął w ucho młodego pazia, który nie był dość szybki, by zejść mu z drogi. Paź przez cały czas starał się nie wchodzić nikomu w drogę w ciasnej kabinie statku i teraz podjął kolejną próbę pozostania niezauważonym.

– Może my jesteśmy ostrzem klina, który położy kres temu szaleństwu. – Leobardis, pobrzękując zbroją, podszedł do okna, zmuszając giermka do przesuwania się wraz z nim w niewygodnej pozycji, która jednak umożliwiała dopięcie zbroi. Rzeczywiście na zachmurzonym niebie

pojawiły się pasma błękitu, jakby ciemne i wysokie skały nad zatoką, w której zacumował *Klejnot Emettina*, admiralski okręt Leobardisa, zaczepiły o nisko płynące chmury i rozerwały je.

Velligis, potężny mężczyzna ubrany w złociste szaty sekretarza, podszedł do okna i stanął obok księcia.

– Mój panie, jak oliwa wylana na ogień może go ugasić? Wybacz mą bezpośredniość, ale szaleństwem jest tak uważać.

Nad wodą rozległo się dudnienie bębna. Leobardis odgarnął z czoła kosmyk prostych, jasnych włosów.

– Wiem, co myśli o tym Lektor – powiedział – i wiem też, kochany sekretarzu, że to z jego polecenia starasz się odwieść mnie od mych zamiarów. No cóż, umiłowanie pokoju Jego Świątobliwości jest godne podziwu, lecz pokoju nie osiąga się przez gadanie.

Velligis otworzył małą mosiężną szkatułkę i wyjął z niej lizaka, którego delikatnie umieścił sobie na języku.

– Książę Leobardisie, ależ to nieomal bluźnierstwo. Czy modlitwę można nazwać „gadaniem”? Czy wstawiennictwo Jego Świątobliwości Lektora Ranessina ma mniejsze znaczenie niż siła twych armii? Jeśli tak, to nasza wiara w słowo Usiresa i jego pierwszego ucznia Sutrina jest tylko śmiesznostką. – Westchnął głęboko i zaczął ssać lizaka.

Na twarzy księcia pojawił się rumieniec. Skinieniem odesłał giermka i schylając się z hałasem, sam zapiął ostatnią sprzączkę, a potem wysunął dłoń po błękitną opończę ze złocistym zimorodkiem na piersi, który był herbem rodu Benidrivinów.

– Velligisie, niech Bóg mi pomoże – powiedział gniewnie. – Nie mam nastroju do kłótni z tobą. Wielki Król Elias posunął się za daleko i muszę zrobić to, co uważam za konieczne.

– Pamiętaj, że sam nie stajesz do walki – rzucił gwałtownie Velligis. – Prowadzisz za sobą setki, nie, tysiące ludzi; tysiące dusz, i w twoich rękach spoczywa ich los. Nasiona katastrofy unoszą się na wietrze i Matka Kościół ma obowiązek dopilnować, by nie upadły na żyzną glebę.

Leobardis potrząsnął ze smutkiem głową, gdy mały paź nieśmiało podniósł jego złocisty hełm z pióropuszem z końskiego włosia ufarbowanego na niebiesko.

– W dzisiejszych czasach żyzna gleba jest wszędzie, Velligisie, a katastrofa już wzrasta, jeśli pozwolisz, że użyję twej przenośni. Rzecz w tym, że musimy zdusić ją, dopóki się nie rozrosła. – Poklepał sekretarza po grubym ramieniu. – Czas już pójść do łodzi. Chodź.

– Oczywiście, mój książę, oczywiście. – Velligis odwrócił się nieco, by bokiem przecisnąć się przez wąskie drzwi. – Wybacz, że nie będę ci jeszcze towarzyszył na lądzie. Czułem się ostatnio trochę osłabiony. Chyba się starzeję.

– Ale wciąż jesteś znakomitym mówcą – odparł Leobardis, gdy szli przez pokład.

Drogę przecięła im owinięta w czarną szatę drobna postać, która przystanęła na chwilę i skinęła głową z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Sekretarz zmarszczył brwi, lecz Leobardis odpowiedział skinieniem z uśmiechem.

– Nin Reisu od dawna już pływa na *Klejnocie Emettina* – powiedział – i jest jedną z najlepszych morskich obserwatorów. Wybaczam jej te rytuały. Niskowie to dziwny lud; wiedziałbyś coś o tym, Velligisie, gdybyś był marynarzem. Chodź, tam jest moja łódź. – Wiatr od brzegu wydął płaszcz Leobardisa i łopotał nim jak błękitnym żaglem na tle niespokojnego nieba.

LEOBARDIS DOSTRZEGŁ SWEGO najmłodszego syna, Varellana, stojącego w miejscu, w którym mieli przybić do brzegu; lśniąca zbroja, jaką miał na sobie, wydawała się na niego za duża. Jego oczy spoglądały czujnie z głębi hełmu na formujące się oddziały, jakby bał się, że ojciec skarci go za nieporządek w szeregach tłoczących się i klnących żołnierzy. Kilku z nich przepchnęło się obok niego bezceremonialnie, jakby był zwykłym doboszem, złorzecząc koniom, które, przestraszone, zeskoczyły z kładki na płyciznę i pociągnęły za sobą opiekuna. Varellan cofnął się przed szamocącymi się końmi i ludźmi; wyraz niezadowolenia pozostał na jego twarzy nawet wtedy, gdy zobaczył, jak książę wysiada z łodzi i idzie przez płytką wodę do skalistego brzegu południowego Hernystiru.

– Panie – powiedział i zawahał się.

Leobardis domyślił się, że młodzieniec zastanawia się, czy ma zsiąść z konia i przyklęknąć na kolano. Książę powstrzymał grymas. Za nieśmiałość syna obwiniał Nessalantę, która uczepiła się go jak pijany dzbana i nie chciała przyznać, że ich najmłodsze dziecko wydoroślało. Nie twierdził jednak, że i on sam nie zawinił. Nie powinien żartować z inklinacji chłopca do kapłaństwa. Ale to było dawno temu i teraz nie można było już nic zmienić: będzie żołnierzem, nawet za cenę życia.

– A więc, Varellanie – powiedział, rozglądając się dookoła. – No, mój synu, zdaje się, że wszystko przebiega sprawnie.

Rumieniec wdzięczności pojawił się na twarzy młodzieńca, gdyż otaczająca ich rzeczywistość świadczyła, że twierdząc tak, jego ojciec zwariował albo też był zbyt uprzejmy.

– Za dwie godziny wszyscy będą na lądzie. Czy wyruszymy jeszcze dzisiaj?

– Po tygodniu spędzonym na morzu? Żołnierze zabiliby nas i znaleźli sobie inną książęcą rodzinę. Choć żeby przeciąć naszą linię rodową,

musieliby też pozbyć się Benigarisa. A jeśli już o nim mówimy, czemu go tu nie ma?

Starał się nie dać tego poznać, lecz irytowała go nieobecność starszego syna. Benigaris długo sprzeciwiał się udzieleniu poparcia Josui i zareagował bardzo gwałtownie na wieść o decyzji księcia, lecz później zmienił poglądy i wyraził życzenie pojechania z ojcem i jego armią. Książę wiedział, że Benigaris nie potrafi przepuścić okazji poprowadzenia do bitwy legionów pod sztandarem z Zimorodkiem, nawet gdyby miało to oznaczać wyrzeczenie się na jakiś czas dworskich uciech.

Leobardis zdał sobie sprawę, że zaczyna bujać w obłokach.

– Nie, Varellanie, musimy dać ludziom odpocząć jedną noc w Crannhyrze, lecz wątpię, żeby mieli ochotę na zabawy po wieściach o wycofaniu się Llutha na Północ. Gdzie, mówiłeś, poszedł Benigaris?

– Nic nie mówiłem na ten temat, panie – powiedział zaczerwieniony Varellan. – Pojechał do miasta ze swoim przyjacielem hrabią Aspitisem Prevesem.

Leobardis zignorował zakłopotanie syna.

– Na Drzewo, wydawało mi się, że to nic wielkiego dla mego syna i hrabiego wyjść mi na spotkanie. Chodźmy więc sprawdzić, jak dają sobie radę pozostali dowódcy. – Strzelił palcami i giermek natychmiast przyprowadził jego konia pobrzękującego dzwoneczkami na uprzęży.

MYLIN-SA-INGADARISA ZNALEŹLI siedzącego przed namiotem, nad którym powiewał propoporzec z biało-czerwonym albatrosem. Stary żołnierz – od dawna serdeczny przyjaciel Leobardisa – już z daleka przywitał księcia. Varellan i jego ojciec siedzieli, patrząc, jak Mylin nadzoruje wyładunek swego oddziału, a potem wszyscy trzej poszli do namiotu starego hrabiego napić się słodkiego ingadarińskiego wina.

Ustaliwszy kolejność marszu poszczególnych oddziałów – pozwalając jednocześnie na prawie udane próby włączenia się Varellana – Leobardis podziękował Mylinowi za gościnność i wyszedł, a za nim jego syn. Prowadząc konie, szli przez tętniący życiem obóz, by złożyć krótkie wizyty pozostałym szlachcicom.

Mieli już wrócić, kiedy książę dostrzegł znajomą postać na ogromnym dereszu, która w towarzystwie innego jeźdźca nadjeżdżała drogą z miasta.

Benigaris miał na sobie srebrną zbroję – jego największą dumę; była tak bogato rzeźbiona i inkrustowana ilenitem, że światło prawie się od niej nie odbijało, przez co wyglądała, jakby była szara. Napierśniki skutecznie maskowały jego nadmierną tuszę, dlatego Benigaris w każdym calu przedstawiał obraz dzielnego rycerza. Jadący obok niego młody Aspitis także miał na sobie piękną zbroję: na jego piersi widniał inkrustowany masą perłową rybołów. Nie miał opończy, by przykryć płaty pancerza, który upodabniał go do lśniącego kraba.

Benigaris powiedział coś do swego towarzysza. Aspitis roześmiał się i odjechał. Benigaris ruszył przez kamienistą plażę w stronę swego ojca i młodszego brata.

– To chyba był hrabia Aspitis, czy tak? – spytał Leobardis, starając się opanować drżenie głosu. – Czy Dom Prevanów przeszedł na stronę wroga, że nie może oddać honorów swemu księciu?

Benigaris pochylił się i poklepał swego konia po karku. Leobardis nie widział poprzez gęste i ciemne brwi syna, czy ten patrzy na niego.

– Ojcze, powiedziałem Aspitisowi, że chcę porozmawiać z tobą na osobności. Zostałby, ale go odesłałem. Odjechał z szacunku dla ciebie. – Zwrócił się do Varellana, który wydawał się płynąć w powietrzu, i skinął mu głową.

Trochę zdezorientowany książę zmienił temat.

– Czemu wybrałeś się do miasta?

– Po wiadomości. Myślałem, że Aspitis pomoże mi je uzyskać, gdyż przybył tutaj wcześniej.

– Długo cię nie było. – Leobardis nie mógł zdobyć się na prawdziwą złość. – Dowiedziałeś się czegoś, Benigarisie?

– Niczego ponad to, co wiedzieliśmy już od Abaingeata. Lluth jest ranny i wycofał się w góry. Skali panuje w Hernysadharc, lecz nie ma dość silnej armii, by rozszerzyć panowanie; przynajmniej dopóki nie pokona Hernystirczyków w górach Grianspog. Tak więc wybrzeże jest wolne, a także cały teren po tej stronie Ach Samrath – Nad Mullach, Cuimhne i cały obszar dorzecza aż do Inniscrich.

Leobardis otarł dłonią czoło, spoglądając na lśniącą powierzchnię oceanu.

– Może lepszy byłby z nas pożytek dla księcia Josui, gdybyśmy zaatakowali Skalego. Z naszą dwutysięczną armią zaskoczylibyśmy go od tyłu i uwolnili armię Llutha, a przynajmniej to, co z niej zostało; tym samym tyły Eliasa, który oblega Naglimund, zostałyby odsłonięte. – Pomyślał chwilę i spodobało mu się takie rozwiązanie. Byłaby to chyba akcja godna jego brata Camarisa; szybki, gwałtowny atak jak trzaśnięcie biczem. Camaris zawsze podejmował działania wojenne, jakby to on sam był mieczem; nigdy się nie wahał – zawsze spadał jak uderzenie młota.

Benigaris – najwyraźniej zaniepokojony – kiwał głową.

– Och, nie, panie! Skali mógłby skryć się w lesie Circoille albo schronić w górach Grianspog. Wtedy my, czekając na Rimmersmenów, zostalibyśmy przygwożdżeni jak rozciągnięta skóra. W tym czasie Elias mógłby już zdobyć Naglimund i skierować swe siły na nas. Znaleźlibyśmy się w potrzasku między Wielkim Królem a Krukiem. – Potrząsnął głową, jakby przerażony taką ewentualnością.

Leobardis spojrzał na niego.

– Chyba masz rację, Benigarisie, choć jeszcze nie tak dawno, pamiętam, upierałeś się przy innej koncepcji.

– Było tak do chwili, gdy zdecydowałeś się wyruszyć w pole, panie. – Benigaris zdjął hełm i przez chwilę obracał go w dłoni, po czym powiesił na łęku siodła. – Teraz, gdy już wyruszyliśmy, jestem lwem Nascadu.

Leobardis odetchnął głęboko. W powietrzu czuć już było wojnę; był to zapach, który napełniał go niepokojem i smutkiem. Lecz rozłam, jaki nastąpił w Osten Ard po latach pokoju Johna, spowodował, że jego uparty syn znowu stanął u jego boku. I za to był wdzięczny, choć fakt ten nie miał znaczenia w obliczu tych wszystkich wydarzeń. Książę w milczeniu skierował dziękczynną modlitwę do swego trudnego do zrozumienia, lecz łaskawego Boga.

DZIĘKI USIRESOWI AEDONOWI, że wróciłeś do nas! – powiedział Isgrimnur ze łzami w oczach. Pochylił się nad łóżkiem i potrząsnął mocno ramieniem Isorna, sprowadzając na siebie gniewne spojrzenie Gutrun, która nie odstępowała syna od chwili jego przybycia poprzedniej nocy.

Isorn, który znał dobrze surowość swej matki, uśmiechnął się słabo do Isgrimnura. Po ojcu odziedziczył niebieskie oczy i szerokie rysy twarzy, lecz jego młodzieńczość jakby zniknęła od ostatniego spotkania z ojcem: twarz miał wychudłą, szarą. Pomimo jego barczystej postawy coś z niego uleciało.

„To pewnie przez troski i trudy – pomyślał książę. – Jest silny. Patrzcie, jak daje sobie radę z matczynym niańczeniem. Będzie z niego mężczyzna. Nie, on już jest mężczyzną. Kiedy otrzyma po mnie tytuł książęcy... kiedy już poślemy Skalego do diabła...”

– Isornie! – Nowy głos przerwał myśli Isgrimnura. – Prawdziwy cud, że wróciłeś do nas. – Książę Josua pochylił się i poklepał lewą dłonią dłoń Isorna.

Gutrun kiwała głową z aprobatą. Nie wstała po wejściu księcia; uczucia macierzyńskie tym razem okazały się silniejsze od dworskiej etykiety. Josua nie miał nic przeciwko temu.

– A jaki tam cud – zagrzmiał Isgrimnur, pilnując się, by nie okazywać zbytniej dumy. – Rozum i odwaga, ot i cała prawda.

– Isgrimnurze... – rzuciła ostrzegawczo Gutrun.

Josua roześmiał się.

– Oczywiście. Muszę więc przyznać, Isornie, że twój rozum i odwaga okazały się cudowne.

Isorn podniósł się nieco w łóżku, poprawiając obandażowaną nogę, która wystawała spod przykrycia niczym jakaś relikwia. – Jesteś bardzo uprzejmy, Wasza Wysokość. Gdyby niektórzy z klanu Skalego nie okazali się przeciwni torturowaniu swoich pobratymców, bylibyśmy tam jeszcze, tyle tylko, że jako zesztywniałe na mrozie trupy.

– Isornie! – wtrąciła jego matka zniecierpliwiona. – Nie wygaduj takich rzeczy. Bóg łaskawy słucha.

– Ale to prawda, matko. Kilku spośród Kruków Skalego dało nam noże, które umożliwiły nam ucieczkę. – Isorn zwrócił się do Josui. – Książę Josuo, ciemność zapada nad Elvritshallą, nad całym Rimmersgardem. Uwierz mi! Skali nie działa sam. Miasto pełne było Czarnych Rimmersmenów z okolic Burzowej Góry. Im właśnie kazał nas pilnować Ostronosy. To te przeklęte potwory torturowały naszych ludzi – i to za nic! Nie mieliśmy nic do ukrycia! Torturowali dla przyjemności, jeśli można sobie coś takiego wyobrazić. Nocami słyszeliśmy krzyki naszych ludzi i zastanawialiśmy się, kto będzie następny. – Jęknął cicho i wysunął dłoń

z uścisku matki. Potarł czoło, jakby usiłował sobie coś przypomnieć. – Nawet ludzie Skalego uznali to za odrażające. Chyba zaczynają się zastanawiać, w co się wplątali.

– Wierzymy ci – powiedział Josua i skierował na Isgrimnura zatroskany wzrok.

– Ale byli tam też i inni; nosili czarne kaptury i przybyli nocą. Nikt nie widział ich twarzy! – Isorn mówił spokojnie, lecz otworzył szeroko oczy. – Oni nawet nie poruszali się jak ludzie; niech Aedon będzie mi świadkiem. Przybyli z mroźnego pustkowia, jakie rozciąga się za górami. Kiedy mijali nasze więzienie, czuliśmy bijący od nich chłód! Bardziej przerażała nas ich obecność niż rozpalone żelaza Czarnych Rimmersmenów. – Isorn pokiwał głową i opadł na poduszkę. – Wybacz, ojcze... książę Josuo. Jestem bardzo zmęczony.

WYRÓSŁ NA SILNEGO MĘŻCZYZNĘ – powiedział książę do Isgrimnura, gdy szli korytarzem pełnym kałuż. Dach przeciekał w tym miejscu, podobnie jak w wielu innych po tak ciężkiej zimie i nie lepszych wiośnie i lecie.

– Żałuję tylko, że zostawiłem go i sam musiał stawić czoło temu sukinsynowi Skalemu. A niech to! – Ślizgając się na mokrych kamieniach, Isgrimnur przeklinał swój wiek i nieporadność.

– Zrobił wszystko, co można było zrobić, wuju. Powinieneś być z niego dumny.

– Jestem dumny.

Przez jakiś czas szli w milczeniu.

– Muszę przyznać – odezwał się wreszcie Josua – że widząc tutaj Isorna, łatwiej mi będzie prosić cię o to, o co muszę cię prosić.

– A co to takiego? – Isgrimnur pociągnął się za brodę.

– Przysługa. Nie prosiłbym cię o nią... – Josua zawahał się. – Chodźmy do mej komnaty. Musimy o tym porozmawiać na osobności. – Wsunął rękaw prawego ramienia pod łokieć Isgrimnura; skórzana osłona na kikucie nadgarstka była jakby niemym wyrzutem, który odrzucał wszelkie odmowy.

Isgrimnur jeszcze raz pociągnął się za brodę, tym razem aż do bólu. Miał wrażenie, że usłyszy coś, co mu się nie spodoba.

– Na Drzewo, Josuo, weźmy ze sobą dzban wina. Chyba mi się przyda.

JAK KOCHAM USIRESA! Na purpurowy pobijak Drora! Na kości świętego Eahlstana i świętego Skendiego! Zwariowałeś! Dlaczego miałbym teraz opuszczać Naglimund? – Isgrimnur drżał ze zdziwienia i z gniewu.

– Isgrimnurze, nie prosiłbym cię o to, gdyby istniał jakiś inny sposób. – Książę mówił spokojnie, lecz nawet w swym gniewie Isgrimnur potrafił dostrzec jego udrękę. – Dwie noce nie spałem, szukając innego rozwiązania. Nie znalazłem. Ktoś musi odnaleźć księżniczkę Miriamele.

Isgrimnur pociągnął długi łyk wina, czując, że kapie mu po brodzie, lecz w tej chwili było to bez znaczenia.

– Dlaczego? – spytał, gdy odstawił dzban z hukiem. – I dlaczego ja, do diabła? Dlaczego ja?

Książę słuchał go cierpliwie.

– Trzeba ją odnaleźć, gdyż jest potrzebna, a poza tym jest moją siostrzenicą. Isgrimnurze, a co będzie, jeśli umrę? Odeprzemy atak, lecz trafi mnie jakaś przypadkowa strzała albo spadnę z muru? Kto zbierze ludzi; nie baronów i wojowników, lecz prosty lud, który przybył tutaj, oczekując mojej opieki. I tak trudno będzie walczyć z Eliasem ze mną u boku – biorąc pod uwagę pogłoski, jaki to jestem dziwny i płochy – lecz, co będzie jeśli umrę?

Isgrimnur siedział wpatrzony w podłogę.

– Jest Lluth. Leobardis.

Josua pokiwał energicznie głową.

– Król Lluth jest ranny, może nawet umierający. Leobardis jest księciem Nabbanu i wielu jeszcze pamięta nasz konflikt z nimi. Dwór Sancellan przypomina o czasach, gdy Nabban panował nad nami. Nawet ty, wuju, pomimo uznania, jakim się cieszysz, nie byłbyś w stanie zebrać siły, która mogłaby stawić czoło Eliasowi. On jest synem Prestera Johna! Sam John wprowadził go na Smoczy Tron. Biorąc pod uwagę całą jego niegodziwość, potrzebny będzie ktoś z rodziny, żeby pozbawić go władzy. Wiesz o tym!

Milczenie Isgrimnura potwierdziło słuszność słów Josui.

– Ale dlaczego ja?

– Ponieważ Miriamele nie wróciłaby z nikim innym. Deornoth? Jest dzielny i oddany jak pies, lecz musiałby ją przywieźć w worku. Poza mną jesteś jedyną osobą, z którą ona może wrócić dobrowolnie, a musi wrócić dobrowolnie, gdyż byłoby nieszczęściem, gdyby cię odkryli. Elias może się wkrótce dowiedzieć, że jej tu nie ma, i gotów będzie spalić całe Południe, żeby ją znaleźć.

Josua podszedł do swego biurka i zaczął bezmyślnie przerzucać złożone tam arkusze pergaminu.

– Pomyśl, Isgrimnurze. Zapomnij na chwilę, że mówimy o tobie. Kto jeszcze zapuszczał się w swych podróżach aż tak daleko i ma tylu przyjaciół w różnych dziwnych miejscach? Wybacz, kto poznał tyle mrocznych zakamarków Ansis Pelippe czy Nabbanu?

Isgrimnur uśmiechnął się ponuro wbrew samemu sobie.

– Josuo, to przecież nie ma sensu. Zbliża się Elias, a ja mam opuścić swoich ludzi? I jak miałbym tego dokonać, przecież wszyscy mnie znają.

– Dlatego właśnie to, że wrócił Isorn, uważam za cud Boży. Zgodzisz się chyba, że Einskaldir nie byłby najlepszym dowódcą. Lecz Isorn tak. W każdym razie, wuju, należy dać mu szansę. Upadek Elvritshalli poruszył jego młodą dumę.

– Takie właśnie porażki czynią z chłopca męża – mruknął Isgrimnur. – Mów dalej.

– Rzeczywiście jesteś znany, lecz przez ostatnie dwadzieścia lat rzadko podróżowałeś na Południe od Erkynlandu. A poza tym przebierzemy cię.

– Przebierzemy? – Isgrimnur pogładził swą brodę zdumiony, a Josua podszedł do drzwi komnaty i zawołał.

Książę poczuł dziwny ciężar na sercu. Dotąd obawiał się walki, ale nie ze względu na siebie, lecz bardziej na swoich ludzi, żonę... teraz syna. Wyjazd jednak oznaczał dla niego tchórzostwo, zdradę. „Przysięgałem przecież ojcu Josui; staremu, dobremu Johnowi. Jak więc odmówić jego synowi? Tym bardziej że te jego cholerne argumenty wydają się słuszne”.

– Zobacz. – Josua odsunął się od wejścia, wpuszczając kogoś do środka. Był to ojciec Strangyeard; na jego zaróżowionej twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech. Stał pochylony nad zawiniątkiem z ciemnego materiału.

– Mam nadzieję, że będzie pasował – powiedział. – Rzadko kiedy pasują; nie wiem dlaczego. Pewnie Pan nas w ten sposób upomina. – Zamilkł, jakby zapomniał, o czym mówił, lecz po chwili zaczął mówić dalej. – Pożyczył go dobry Eglaf. Jest on mniej więcej tego samego rozmiaru. Może trochę niższy.

– Eglaf? – spytał zdumiony Isgrimnur. – Kim jest Eglaf? Josuo, co to za nonsens?

– Chodzi o brata Eglafa, oczywiście – wyjaśnił Strangyeard.

– Isgrimnurze, to twoje przebranie – dodał Josua. Archiwista rozłożył zawiniątko, z którego wyłonił się czarny, wełniany mnisi habit. – Teraz

jesteś pobożnym człowiekiem, wuju – powiedział Josua. – Jestem pewien, że ci się powiedzie.

Książę był pewien, że Josua powstrzymywał uśmiech.

– Co? Mnisi habit? – Isgrimnur zaczynał powoli rozumieć, na czym polegał plan Josui, i wcale mu się to nie podobało.

– A jak lepiej poruszać się po Nabbanie, gdzie króluje Matka Kościół, a mnisi wszelkich możliwych zakonów nieomal przewyższają liczbą pozostałych mieszkańców. – Teraz już Josua się uśmiechał.

Za to Isgrimnur był wściekły.

– Josuo, zawsze obawiałem się o twój rozum, ale teraz widzę, że straciłeś go zupełnie! Nie słyszałem o równie zwariowanym pomyśle! A czy kto widział kiedy aedonickiego duchownego z brodą. – Isgrimnur parsknął z odrazą.

Josua rzucił ostrzegawcze spojrzenie ojcu Strangyeardowi, który położył habit na krześle i wycofał się do drzwi, po czym podszedł do swego stołu i uniósł niewielką płachtę, odsłaniając... miskę z gorącą wodą i lśniącą, dopiero co naostrzoną brzytwę.

Isgrimnur ryknął tak potężnie, że zatrzęsły się gliniane naczynia w zamkowej kuchni pod komnatą Josui.

MÓWCIE, ŚMIERTELNICY. Czy przybywacie na nasze wzgórza jako szpiedzy?

Po tych słowach księcia Jirikiego zapadła chłodna cisza. Simon dostrzegł kątem oka, że Haestan sięga do tyłu, macając po ścianie, by znaleźć coś do obrony. Sludig i Grimmric spoglądali groźnie na otaczających ich Sithów, pewni, że w każdej chwili mogą zostać zaatakowani.

– Nie, książę Jiriki – oświadczył pośpiesznie Binabik. – Z pewnością zauważyliście, że spotkanie z wami jest dla nas zaskoczeniem. Przybywamy z Naglimundu. Wysłał nas książę Josua z bardzo ważną misją. Szukamy... – Troll zawahał się, jakby obawiał się powiedzieć zbyt wiele. Po chwili jednak wzruszył ramionami i kontynuował: – Udajemy się do smoczej góry w poszukiwaniu Ciernia, miecza Camarisa-sa-Vinitta.

Jiriki zmrużył oczy, a stojący za nim ubrany na zielono Sitha wypuścił powietrze ze świstem.

– A co wy byście z nim robili? – spytał Khendraja’aro.

Binabik nie odpowiedział, lecz stał wpatrzony w podłogę. Zapadła cisza i wszyscy zamarli w napięciu.

– On może nas uratować przed Inelukim, Królem Burz! – rzucił Simon.

Żaden z Sithów nie poruszył się, lecz tylko zamrugali. Wszyscy milczeli.

– Mówcie dalej – przemówił wreszcie Jiriki.

– Skoro musimy – powiedział Binabik. – Ta historia jest prawie tak długa, jak wasza *Ua’kiza Tumet’ai nei-R’Vanis* – Pieśń o Upadku Tumet’ai. Spróbujemy wam ją opowiedzieć.

Troll szybko przedstawił główne fakty. Simon odniósł wrażenie, że celowo pominął pewne szczegóły. Raz czy dwa Binabik rzucił mu ukradkowe spojrzenie, wzrokiem nakazując milczenie.

Sithowie w milczeniu wysłuchali opowieści Binabika o przygotowaniach Naglimundu i zbrodniach Wielkiego Króla. Wyjaśnił znaczenie słów Jarnaugi i księgi Nissesa; wyrecytował nawet rymowany fragment, na podstawie którego udali się do Urmsheim. Skończywszy, spojrzał na Sithów i zobaczył zamyśloną twarz Jirikiego i bardziej sceptyczny wyraz twarzy jego wuja. W pieczarze panowała taka cisza, że echo malutkiego wodospadu wydawało się wypełniać cały świat. Co za

miejsce pełne szaleństwa i snów i co za szalona historia, która ich tu przywiodła! Simon czuł, jak mocno bije mu serce, i nie tylko strach był tego powodem.

– Trudno w to uwierzyć, synu mej siostry – powiedział Khendraja’aro, rozkładając obwieszone pierścieniami dłonie w dziwnym geście.

– Tak, wuju. Lecz myślę, że chyba nie czas teraz o tym mówić.

– Ale ten, o którym mówił chłopiec... – zaczął Khendraja’aro; w jego głosie narastał gniew, a żółte oczy wyrażały zaniepokojenie. – Czarny, który mieszka pod *Nakkiga*...

– Nie teraz – przerwał mu stanowczo sithijski książę. Zwrócił się do przybyłych. – Wybaczcie, proszę. Nie powinniśmy mówić o takich rzeczach, zanim się posilicie. Jesteście przecież naszymi gośćmi. – Słysząc te słowa, Simon odetchnął z ulgą i zachwiał się lekko na miękkich kolanach.

Nie uszło to uwagi Jirikiego, który zaraz zaprosił ich do ognia.

– Siadajcie. Musicie wybaczyć nam nasze podejrzenia. Widzisz, Seomanie, wprawdzie mam wobec ciebie dług krwi, ale z drugiej strony jesteście dla mnie *Hikka Sta’ja* – wasz ród nie okazywał nam specjalnej sympatii.

– Książę Jiriki, niezupełnie się z tobą zgadzam – powiedział Binabik, sadowiąc się na płaskim kamieniu w pobliżu ogniska. – Z całego rodu Sithów twoja rodzina zwłaszcza powinna wiedzieć, że my, lud Qanuc, nigdy nie wyrządziliśmy wam krzywdy.

Jiriki spojrzał na małego trolla; na jego napiętej dotąd twarzy pojawił się wyraz sympatii.

– Przyłapałeś mnie na niewdzięczności, Binbiniqegabeniku. Nie mówiąc o ludziach z Zachodu, których znaliśmy najlepiej, kiedyś kochaliśmy też lud Qanuc.

Binabik spojrzał na Sithę, a na jego okrągłej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia.

– Skąd znasz moje pełne imię? Nie wymieniałem go ani nikt z moich towarzyszy.

Jiriki roześmiał się; był to dźwięk dziwnie syczący, lecz szczery i wesoły. W tym momencie Simon poczuł do niego ogromną sympatię.

– Ach, trollu – powiedział książę – ktoś tak wiele podróżujący jak ty, nie powinien się dziwić, że jego imię jest znane. Iluż to osobników ludu Qanuc, oprócz twojego mistrza i ciebie, widziano na południe od gór?

– Znałeś mojego mistrza? On nie żyje. – Binabik zdjął rękawiczki i rozprostowywał palce.

Simon i pozostali zajmowali wygodne miejsca.

– On znał nas – powiedział Jiriki. – Czy to nie on nauczył cię naszego języka? An’nai, mówiłeś, że troll mówił do ciebie po sithijsku?

– Tak, mój książę. Tak było.

Binabik zarumienił się zadowolony, lecz i zawstydzony.

– Ookequk nauczył mnie waszego języka, choć nigdy mi nie powiedział, skąd go zna. Myślałem, że może *jego* mistrz przekazał mu tę wiedzę.

– Siadajcie, proszę, siadajcie. – Jiriki szerokim gestem zapraszał Haestana, Sludiga i Grimmrica, by poszli w ślady Simona i trolla. Czaili się jak psy, które boją się bicia, aż w końcu znaleźli sobie miejsca przy ognisku. Pojawiło się kilku Sithów z drewnianymi, misternie rzeźbionymi tacami pełnymi masła i ciemnobrązowego chleba, okrągłego, mocno pachnącego sera oraz małych, czerwonożółtych owoców, jakich Simon nigdy wcześniej nie widział. Były tam też miski pełne jagód i nawet stos ociekających plastrów miodu. Kiedy Simon sięgnął po dwa z nich, Jiriki

znowu się roześmiał – tym razem był to spokojny, syczący dźwięk, podobny do tego, jaki wydaje słyszana z daleka sójka.

– Wokół panuje zima – powiedział – lecz w kryjówce Jao e-Tinukai'i pszczoły o tym nie wiedzą. Jedz, ile dusza zapragnie.

Strażnicy, którzy zamienili się w gospodarzy, podali następnie nieznane gościom, lecz całkiem mocne wino, napełniając ich drewniane puchary z kamiennych dzbanów. Simon zastanawiał się, czy nie należy odmówić jakiejś modlitwy przed jedzeniem, ale Sithowie zaczęli już jeść. Haestan, Sludig i Grimmric rozglądali się bezradnie, wciąż nieufni, i bali się zacząć jeść. Obserwowali, jak Binabik odłamuje kawałek chleba i zjada go. Kiedy po paru chwilach przekonali się, że żyje, a na dodatek je z ochotą dalej, uznali, że mogą bezpiecznie zaatakować sithijski stół, co też uczynili z energią więźniów, którym odroczono wyroki.

Simon przyglądał się Sithom, ocierając miód z brody. Jedli wolno; czasem któryś wpatrywał się w trzymaną w palcach jagodę, zanim wsadził ją do ust. Mało mówili, lecz gdy któryś powiedział coś w ich niezwykle płynnym języku albo też zanucił coś śpiewnie, pozostali słuchali uważnie. Przeważnie pozostawiali wypowiedź bez odpowiedzi, ale gdy ktoś jej udzielił, także go słuchali. Śmiali się dużo, lecz bez krzyków i kłótni. Ani razu Simon nie zauważył, żeby ktoś przerywał mówiącemu.

An'nai zajął miejsce blisko Simona i Binabika. Jeden z Sithów powiedział coś poważnie, na co pozostali wybuchnęli śmiechem. Simon poprosił An'nai, żeby wyjaśnił mu żart.

Ubrany w białą kurtę Sitha wydawał się nieco zażenowany.

– Ki'ushapo powiedział, że twoi przyjaciele jedzą tak, jakby obawiali się, że jedzenie zaraz im ucieknie. – Mówiąc to, wskazał na Haestana, który właśnie wpychał sobie jedzenie do ust obu rękoma.

Simon nie był pewien, czy dobrze zrozumiał. Chyba widzieli głodnych ludzi? Mimo to uśmiechnął się.

W miarę jak kolejne fale niewyczerpanej rzeki trunku wypełniały ich drewniane puchary, Rimmersman i dwaj Erkynlandczycy nabierali pewności siebie. W pewnym momencie Sludig wstał, rozlewając trochę wina, i zaproponował toast za swych nowych, sithijskich przyjaciół. Jiriki uśmiechnął się i skinął głową, lecz Khendraja'aro nachmurzył się. A kiedy Sludig zaczął śpiewać pijacką piosenkę z Północy, książęcy wuj wycofał się w róg pieczary i usiadł wpatrzony w szemrzący mały wodospad.

Pozostali Sithowie śmiali się ze Sludiga, który rycząc, powtarzał refren piosenki, i kiwali się w jej trochę zmienny rytm, szepcząc czasem między sobą. Teraz Sludig, Haestan i Grimmric wydawali się szczęśliwi; nawet Binabik uśmiechał się zadowolony, pogryzając gruszkę. Simon przypomniał sobie zachwycającą muzykę Sithów, którą słyszał wcześniej, i zawstydził się trochę za Sludiga, gdyż wyglądało, jakby Rimmersman był jarmarcznym niedźwiedziem na Głównym Trakcie w Hayholt.

Po pewnym czasie Simon wstał i wytarł dłonie o przód koszuli. Binabik także wstał i za pozwoleniem Jirikiego zszedł na dół tunelem, by zobaczyć, co się dzieje z Qantaqą. Trzej żołnierze ryczeli ze śmiechu, opowiadając – jak Simon przypuszczał – żołnierskie dowcipy. Simon podszedł do jednej z półek w ścianie zaciekawiony dziwnymi lampami. Podniósł jedną z nich i zobaczył niewyraźny zarys kości dłoni, jakby ciało było tylko mętną wodą. Choć długo wpatrywał się w lampę, nie miał pojęcia, w jaki sposób umieszczono płomień w środku przeźroczystej kuli.

Simon odwrócił się, czując czyjąś obecność. Zobaczył, że przygląda mu się Jiriki; jego kocie oczy lśniły w blasku lampy. Simon drgnął, a Sitha skinął głową.

Haestan – podchmielony mocnym winem – wyzwał jednego z Sithów o imieniu Ki’ushapo na walkę na ręce. Ki’ushapo, Sitha o żółtych, zaplecionych w warkocze włosach, ubrany w czarno-szary strój słuchał pijackich rad Grimmrica. Chudy żołnierz uważał za stosowne ostrzec Ki’ushapo, gdyż Sitha był o głowę niższy od Haestana i wydawał się ważyć połowę mniej od niego. Kiedy Ki’ushapo z dość mętnym wzrokiem pochylił się nad płaskim kamieniem i chwycił szeroką dłoń Haestana, Jiriki wstał i omijając zwinnie pozostałych, podszedł do Simona.

Simon przypomniał sobie tamto oszalałe stworzenie, które znalazł w sidłach drwala, i nie mógł uwierzyć, że to ten sam dostojny Sitha. Tylko gdy Jiriki przekręcał w pewien sposób głowę albo zginał palce, można było dostrzec dzikość, która tak przerażała, ale i fascynowała. Zawsze też, gdy blask ognia oświetlał jego bursztynowozłociste oczy, świeciły one jakimś pradawnym blaskiem, niczym klejnoty wykopane z głębi lasu.

– Chodź, Seomanie – powiedział Sitha. – Coś ci pokażę.

Wziął Simona pod ramię i poprowadził w stronę małego stawu, przy którym siedział Khendraja’aro, wodząc palcami po wodzie. Kiedy przechodzili obok ogniska, Simon zobaczył, że mocowanie się trwa nadal. Żaden z zawodników nie uzyskał jeszcze przewagi, lecz Haestan zacisnął zęby z wysiłku. Za to smukły Sitha nie wykazywał większego zmęczenia poza drżeniem ramienia, którym się mocował. W opinii Simona nie wróżyło to nic dobrego dla Haestana. Sludig obserwował z otwartymi ustami tę walkę olbrzyma z karłem.

Jiriki powiedział coś śpiewnie do swego wuja, lecz Khendraja’aro nie odpowiedział: maska jego pozbawionej wieku twarzy pozostała niewzruszona. Chwilę później Jiriki zniknął.

Okazało się, że wszedł do innego tunelu, który ciągnął się z tyłu małego wodospadu. Simon poszedł za Sithą; tunel wił się w górę, wycięty

w surowym kamieniu i oświetlony lampami.

– Idź za mną – powiedział Jiriki i ruszył przed siebie.

Wydawało się, że kręty korytarz prowadzi ich na szczyt wzgórza. Wreszcie minęli ostatnią lampę i zaczęli iść ostrożnie prawie w całkowitej ciemności, aż Simon dostrzegł przed sobą migocące gwiazdy. Tunel przeszedł w niewielką pieczarę, za którą widać było nocne niebo. Stanęli na krawędzi pieczary; dziesięć łokci pod nimi kołysały się czubki wiecznie zielonych drzew, a dopiero kolejne pięćdziesiąt łokci w dół znajdowała się pokryta śniegiem ziemia. Niebo było bezchmurne, dlatego gwiazdy świeciły jasno, a wokół rozciągał się las, niczym nieprzenikniona tajemnica.

Stali jakiś czas w milczeniu, aż wreszcie Jiriki powiedział:

– Zawdzięczam ci życie. Pamiętam o tym.

Simon nic nie odpowiedział, by nie zniszczyć tego zaklęcia, które pozwoliło mu stać w samym środku pogrążonego w ciemności lasu; czuł się jak szpieg w ciemnym ogrodzie Boga. Zahuczała sowa.

Znowu stali w milczeniu, aż Sitha dotknął ramienia Simona, wskazując ponad milczący ocean lasu.

– Spójrz tam. Na północy, poniżej Laski Lu’yasa’s. – Wskazał na linię trzech gwiazd tuż nad horyzontem. – Widzisz zarys gór?

Simon wytężył wzrok. Wydawało mu się, że gdzieś tam na ciemnym horyzoncie widać jakiś słabo świecący kontur, który mógłby wskazywać na obecność ogromnego, białego kształtu, tak odległego, że wydawał się poza zasięgiem tego samego blasku księżyca, który świecił w dole.

– Chyba tak – powiedział cicho.

– Tam właśnie zmierzacie. W tamtym łańcuchu górskim znajduje się szczyt nazwany przez ludzi Urmsheim. Przy dobrej pogodzie widać go lepiej. – Twój przyjaciel, Binabik, mówił o nieistniejącej Tumet’ai. Kiedyś

było ją widać z tego miejsca; tam daleko na wschodzie – wskazał w ciemność – ale było to za czasów mego pradziada. W dzień *Seni Aanzi'in*... kryształowo-złoty dach Wieży Kroczącego Świtu odbijał promienie wschodzącego słońca. Mówią, że przypominała przepiękną pochodnię, która płonęła na horyzoncie o świcie...

Sitha urwał i spojrzał na Simona; jego twarz pozostawała w mroku.

– Tumet'ai została dawno pogrzebana – powiedział, wzruszając ramionami. – Nic nie trwa wiecznie, nawet Sithowie... nawet sam czas.

– Ile... ile ty masz lat?

Jiriki uśmiechnął się, błyskając w ciemności zębami.

– Więcej od ciebie, Seomanie. Wracajmy. Wiele dzisiaj widziałeś i wiele przeżyłeś i pewnie jesteś zmęczony.

Kiedy wrócili do pieczary, żołnierze chrapali owinięci w swe płaszcze. Binabik zdążył już wrócić i siedział wsłuchany w smutną pieśń śpiewaną przez kilku Sithów; ich głosy przypominały monotonne brzęczenie pszczół, które płynęło jak rzeka i wydawało się wypełniać pieczarę jak ciężki zapach jakiegoś rzadkiego, umierającego kwiatu.

Wpatrzony w migocący na kamieniach blask ognia, Simon zasnął owinięty w swój płaszcz, uśpiony dziwną muzyką Sithów.

39. Namiestnik Króla

SIMON OBUDZIŁ SIĘ I STWIERDZIŁ, że światło w pieczarze zmieniło się. Ogień wciąż płonął i z białego popiołu strzelały żółte płomyki, lecz lampy zgasły. Przez szczeliny w suficie – niewidoczne w nocy – sączyło się światło dnia, zamieniając pieczarę w pogrążoną w cieniu komnatę podpartą świetlnymi słupami.

Trzej żołnierze wciąż spali, chrapiąc głośno; porozkładani na podłodze i zaplątani w swe płaszcze wyglądali jak ofiary pozostałe na polu bitwy. W pieczarze był tylko Binabik, który siedział ze skrzyżowanymi nogami przed ogniskiem i dobywał przypadkowe dźwięki z fletowej części swego kija.

Simon usiadł z trudem.

– Gdzie są Sithowie?

Binabik nie odwrócił się, lecz zagrał jeszcze parę dźwięków.

– Witaj, przyjacielu – przemówił wreszcie. – Wyspałeś się?

– Chyba tak – mruknął Simon, kładąc się z powrotem na plecy, by popatrzeć na drobinki kurzu migocące pod sufitem. – Dokąd poszli Sithowie?

– Chyba na polowanie. Pozbieraj się wreszcie. Jesteś mi potrzebny.

Simon znowu jęknął i usiadł z trudem.

– Polują na olbrzymy? – zapytał po jakimś czasie z ustami pełnymi owoców.

Haestan zaczął chrapać tak głośno, że Binabik odłożył flet z wyrazem dezaprobaty na twarzy.

– Myślę, że polują na wszystko, co zagraża ich granicom. – Troll wpatrywał się w jakiś przedmiot, który leżał przed nim na kamiennej podłodze. – *Kikkasut!* Nie, to nie ma sensu. Wcale mi się to nie podoba.

– Co nie ma sensu? – Simon rozglądał się leniwie po pieczarze. – Czy to jest dom Sithów?

Binabik popatrzył na niego, marszcząc brwi.

– Dobrze chyba, że odzyskałeś zdolność zadawania wielu pytań jednocześnie. Nie, to nie jest dom Sithów. Wydaje mi się, że jest to – jak powiedział Jiriki – myśliwska kryjówka, którą myśliwi odwiedzają w czasie polowań. A co do twojego drugiego pytania, te kości przedstawiają coś, co nie ma sensu, czy też ma zbyt wiele sensu.

Simon popatrzył na kości, które leżały przed nogami Binabika.

– Co one mówią?

– Powiem ci. Tylko może dobrze by było, żebyś zmył z twarzy brud, krew i sok z jagód. – Troll uśmiechnął się kwaśno i wskazał na mały staw w rogu pieczary. – Tam możesz to zrobić.

Zaczekał, aż Simon zanurzy głowę w lodowatej wodzie.

– Aj! – jęknął chłopiec i zatrząsł się. – Zimna!

– Jak widzisz – zaczął Binabik, nie zwracając uwagi na utyskiwania Simona – rzucam moje kości. Rezultat jest następujący: Cienista Ścieżka, Nie Owinięta Strzała, Czarna Szczelina. Muszę powiedzieć, że bardzo mnie to niepokoi.

– Dlaczego? – Simon pochlapał jeszcze twarz wodą i wytarł ją w niezbyt czysty rękaw kurtki.

– Ponieważ rzucałem kości, zanim jeszcze opuściliśmy Naglimund – powiedział Binabik gniewnie – i wyrzuciłem te same kości! Dokładnie te

same!

– Ale co w tym złego? – Uwagę Simona zwrócił jasny przedmiot, który leżał przy krawędzi zbiornika z wodą. Podniósł go ostrożnie, stwierdzając, że jest to okrągłe lusterko w pięknie rzeźbionej, drewnianej oprawie. Na krawędzi ciemnego szkła widniały jakieś nieznane mu litery.

– Często jest to zły znak, jeśli rzeczy okazują się takie same – odpowiedział Binabik – a w wypadku kości ma to jeszcze większe znaczenie. Kości prowadzą mnie do mądrości, czy tak?

– Aha! – Simon wytarł lusterko w przód swej koszuli.

– A co by było, gdybyś otwierał Księgę Aedona i okazałoby się, że na wszystkich stronach zawiera ona ten sam werset?

– Chodzi ci o Księgę, którą już widziałem? A nie było w niej tak, jak mówisz? Pomyślałbym chyba, że to magia.

– No tak – powiedział Binabik udobruchany nieco – widzisz więc, w czym problem. Kości mogą się ułożyć na setki sposobów. Lecz jeśli układają się tak samo sześć razy pod rząd, może to oznaczać tylko coś złego. Choć wiele się uczyłem, wciąż nie podoba mi się słowo „magia”, ale z pewnością jakaś siła układa kości, tak jak gwałtowny wiatr kieruje chorągwie w tę samą stronę... Simonie? Czy ty mnie słuchasz?

Wpatrując się w lustro, Simon ze zdziwieniem zobaczył, że patrzy z niego jakieś nieznane mu oblicze. Obcy miał długą, wychudzoną twarz, sine cienie pod oczami oraz rudy zarost na policzkach, brodzie i nad górną wargą. Jeszcze bardziej się zdziwił, gdy zrozumiał, że to jego twarz, tyle tylko, że wychudzona w czasie podróży i ciemniejsza przez pierwszy zarost. Wpatrując się w lustro, zastanawiał się, jak teraz wygląda. Wciąż nie był jeszcze mężczyzną; choć twarz miał mizerną i ponurą, wydało mu się jednak, że pozbył się częściowo swego gamoniowatego wyglądu. Mimo to rozczarował go widok młodzieńca o długiej szczęce i zmierzwionej

czuprynie, który spoglądał na niego z lustra. „A więc takim widziała mnie Miriamele? Pospolity wieśniak”.

W chwili gdy pomyślał o księżniczce, wydało mu się, że jej twarz mignęła w lustrze, jakby wyrosła z jego oblicza. Przez chwilę widział niewyraźnie obie twarze zmieszane, jakby dwie dusze w jednym ciele, a potem zaraz zobaczył już tylko Miriamele – czy raczej Malachiasa, gdyż księżniczka miała krótkie, czarne włosy i ubrana była w chłopięcy strój. Za nią w dali rozpościerało się bezbarwne niebo, na którym błyskały pioruny. Tuż za nią stał mężczyzna o okrągłej twarzy ocienionej szarym kapturem. Simon był pewien, że już go gdzieś spotkał. Kim on był?

– Simonie! – Głos Binabika, zimny jak woda ze stawu, nie pozwolił mu przypomnieć sobie imienia, które było prawie w zasięgu jego pamięci. Zaskoczony o mało nie upuścił lusterka. Kiedy znowu chwycił je mocno, zobaczył tylko własną twarz.

– Czy źle się czujesz? – spytał troll zaniepokojony niewyraźną miną Simona, gdy ten odwrócił się do Binabika.

– Nie... chyba nie.

– Jeśli się już umyłeś, chodź i pomóż mi. O wróżbach pomówimy później, gdy będziesz bardziej skupiony. – Binabik wstał, chowając kości do skórzanej sakiewki.

TROLL OSTRZEGŁ SIMONA, by ten trzymał stopy razem, a ręce przy głowie, i pierwszy zsunął się lśniącym tunelem. Pędząc głową w dół, Simon miał wrażenie, że to sen, w którym spada z wysokiego miejsca. Kiedy wreszcie upadł w miękki śnieg pod wejściem do pieczary, oślepiony światłem chłodnego dnia, usiadł i zadowolony słuchał szybkiego bicia własnego serca.

W następnej chwili coś spadło mu na plecy i przewróciło go. Poczuł silne mięśnie i gęste futro.

– Qantaqa! – usłyszał wesoły głos Binabika. – Jeśli ty w taki sposób traktujesz przyjaciół, to cieszę się, że nie należę do twych wrogów!

Simon zepchnął wilczycę na bok, lecz zaraz poczuł na swej twarzy jej ostry jęzor. Wreszcie udało mu się uwolnić z pomocą Binabika. Qantaqa podskoczyła, skamląc radośnie, okrążyła chłopca i trolla, po czym popędziła w las.

– A teraz – powiedział Binabik, otrzepując śnieg ze swych czarnych włosów – musimy się zorientować, gdzie Sithowie umieścili nasze konie.

– Niedaleko stąd, trollu.

Simon podskoczył. Odwrócił się i zobaczył kilku Sithów wychodzących spomiędzy drzew. Prowadził ich ubrany na zielono wuj Jirikiego.

– Dlaczego ich szukasz?

Binabik uśmiechnął się.

– Z pewnością nie po to, aby uciekać, dobry Khendraja’aro. Trudno jest rozstać się z tak gościnnymi gospodarzami. Chcę się tylko upewnić, że mamy jeszcze pewne przedmioty, które z trudem zdobyłem w Naglimundzie, a które będą nam potrzebne, kiedy wyruszymy w drogę.

Khendraja’aro popatrzył na trolla wzrokiem pozbawionym wszelkiego wyrazu i skinął na dwóch Sithów.

– Sijandi, Ki’ushapo, pokażcie im drogę.

Żółtowłosi Sithowie natychmiast ruszyli zboczem, lecz po chwili zatrzymali się, czekając na Simona i Binabika. W pewnej już odległości od wejścia do tunelu Simon odwrócił się i zobaczył, że Khendraja’aro wciąż patrzy na nich swymi zmrużonymi, jasnymi oczami.

Konie znaleźli niedaleko, w jaskini ukrytej za dwoma przykrytymi śniegiem sosnami. Jaskinia była sucha i całkiem przytulna; sześć koni

zajadało z zadowoleniem pachnące siano.

– A skąd to wszystko? – zapytał zdziwiony Simon.

– Przyjeżdżamy tu często konno – wyjaśnił Ki’ushapo wolno i wyraźnie w mowie zachodniej. – Czy to takie dziwne, że mamy dla koni stajnię?

Binabik zaczął przeszukiwać jedną z toreb przy siodle, gdy tymczasem Simon rozglądał się po jaskini. Przez szczeliny w górnej części ścian wpadało światło z zewnątrz, a kamienne koryto wypełnione było czystą wodą. Pod ścianą leżały ułożone w stos hełmy, topory i miecze. W jednym z nich Simon rozpoznał swój własny, ten, który otrzymał w Naglimundzie.

– Binabiku, to nasza broń! – powiedział. – Skąd się tu wzięła?

Ki’ushapo mówił wolno, jakby tłumaczył dziecku:

– Zabraliśmy je tobie i twoim towarzyszom, a potem przynieśliśmy tutaj. W tej jaskini jest sucho i bezpiecznie.

Simon popatrzył na Sithę podejrzliwie.

– A ja myślałem, że wy nie możecie dotykać żelaza; słyszałem, że jest dla was trucizną! – Urwał nagle, w obawie, że poruszył może zakazany temat.

Ki’ushapo spojrzał znacząco na swego towarzysza, zanim udzielił odpowiedzi.

– Słyszałeś więc opowieść o Czasach Czarnego Żelaza – powiedział. – To prawda, było tak kiedyś, lecz ci, którzy przetrwali tamte czasy, wiele się nauczyli. Wiemy teraz, z których źródeł pić wodę, tak żebyśmy mogli na krótko zetknąć się z żelazem. A jak myślisz, dlaczego pozwoliliśmy ci zatrzymać kolczugę? My oczywiście nie lubimy żelaza i nie używamy go, a nawet nie dotykamy bez potrzeby. – Sitha spojrzał na Binabika, który przeszukiwał kolejną torbę. – Zostawimy was tutaj, żebyście się mogli spokojnie rozejrzeć – powiedział. – Nic nie zginęło. A przynajmniej nic z tego, co mieliście, kiedy was schwytaliśmy.

Binabik spojrzał na niego sponad torby.

– Oczywiście – powiedział. – Martwię się tylko o rzeczy, które mogliśmy zgubić w czasie wczorajszej walki.

– Rozumiem – odparł Ki’ushapo.

Razem z małomównym Sijandim wyszli pod gałęziami nad wejściem do pieczary.

– Mam! – powiedział wreszcie Binabik i podniósł do góry worek, który zadźwięczał, jakby był pełen złotych imperatorów. – Jestem spokojny. – Wsadził worek z powrotem do torby.

– Co to jest? – spytał Simon, zły, że zadaje kolejne pytanie.

Binabik uśmiechnął się podstępnie.

– Jeszcze jedna sztuczka ludu Qanuc. Wkrótce może nam się przydać. Chodź, wracamy. Jak się tamci obudzą i zobaczą, że są sami, mogą się przestraszyć i zrobić jakieś głupstwo.

Kiedy wracali, nadbiegła Qantaqa z pyskiem umazanym krwią jakiegoś pechowego zwierzęcia. Okrążyła ich kilkakrotnie, potem zatrzymała się i z najeżoną sierścią zaczęła węszyć. Opuściła głowę, jeszcze raz powąchała i pobiegła przed siebie.

Kiedy wrócili, zobaczyli, że do Khendraja’aro dołączył Jiriki i An’nai. Tym razem sithijski książę ubrany był w błękitno-brązową kurtkę. Miał też duży łuk i kołczan pełen brązowych strzał.

Qantaqa okrążała Sithów, warcząc i obwąchując ich, lecz przez cały czas machała ogonem, jakby witała starych znajomych. Wreszcie skoczyła w ich stronę, potem cofnęła się z głuchym warczeniem i kłapnęła zębami, potrząsając głową, jak wtedy, gdy zagryzała królika. Kiedy Binabik i Simon dołączyli do Sithów, wilczyca podeszła blisko, by dotknąć nosem dłoni Binabika, i znowu zaczęła niespokojnie krążyć wokół stojących ludzi i Sithów.

– Czy w torbach wszystko było w porządku? – spytał Jiriki.

Binabik skinął głową.

– Oczywiście. Dziękuję za opiekę nad końmi.

Jiriki machnął dłonią.

– I co dalej? – spytał.

– Myślę, że czas ruszać – odparł troll i osłonił dłonią oczy, by spojrzeć na szaroniebieskie niebo.

– Ale z pewnością nie dzisiaj – powiedział Jiriki. – Odpocznijcie jeszcze przez to popołudnie i posilcie się z nami. Mamy jeszcze wiele do omówienia, a wy będziecie mogli wyruszyć jutro o świcie.

– Ty... i twój wuj... jesteście dla nas bardzo uprzejmi. To dla nas zaszczyt. – Binabik skłonił głowę.

– Binbiniqegabeniku, nie jesteśmy uprzejmym ludem, a przynajmniej nie tak bardzo jak kiedyś, lecz jesteśmy honorowi. Chodźcie.

PO PRZEPYSZNYM POSIŁKU, na który składał się chleb, słodkie mleko i smakowita zupa z orzeszków i kwiatów śnieżników, rozłożyli się wygodnie w pieczarze; przez całe popołudnie rozmawiali i śpiewali, przeplatając to długimi drzemkami.

Simon śnił o Miriamele, która stała na powierzchni oceanu, jakby była to nierówna, marmurowa podłoga, i przywoływała go do siebie. Na horyzoncie widniały czarne chmury, dlatego krzyknął, by ją ostrzec. Wiatr zagłuszał słowa Simona i księżniczka uśmiechnęła się tylko i powtórnie skinęła na niego. Wiedział, że nie potrafi chodzić po wodzie, więc skoczył w fale w nadziei, że dopłynie do niej, lecz poczuł, że zimna woda ciągnie go w dół...

KIEDY WRESZCIE UWOLNIŁ SIĘ od snu, zobaczył, że jest późne popołudnie. Kolumny światła wpadającego przez szczeliny nie były już tak wyraźne i pochyliły się. Sithowie ustawiali zapalone lampy na skalnych półkach. Simon wciąż nie wiedział, co jest w nich źródłem światła: po prostu, kiedy stawiano je na półkę, rozżarzały się powoli, świecąc łagodnym blaskiem.

Simon usiadł obok pozostałych towarzyszy przy ognisku. Byli teraz sami. Bardzo gościnni i przyjaźni Sithowie woleli jednak w tej chwili własne towarzystwo i siedzieli w grupkach w innych częściach pieczary.

– Chłopcze – powiedział Haestan i poklepał Simona po ramieniu – myśleliśmy, że prześpisz cały dzień.

– Ja bym też spał tak długo, gdybym zjadł tyle chleba co on – wtrącił Sludig, nie przerywając czyszczenia drzazgą paznokci.

– Wszyscy zgodzili się, aby wyruszyć jutro rano – powiedział Binabik. Grimmric i Haestan skinęli potwierdzająco głowami. – Nie mamy pewności, czy taka łagodna pogoda długo się utrzyma, a przed nami jeszcze daleka droga.

– Łagodna pogoda? – spytał Simon, zaskoczony sztywnością swych stawów, kiedy siadał przy ogniu. – Ciągle pada śnieg.

Binabik zarechotał.

– Przyjacielu, porozmawiaj z mieszkańcem ośnieżonych gór, jeśli chcesz się czegoś dowiedzieć o zimie. Taka pogoda panuje u nas wiosną, kiedy biegamy na nagusa po śniegu. Wybacz, ale kiedy dotrzemy do gór, przekonasz się, co to znaczy zimno.

„Nie wydaje się tym zasmucony” – pomyślał Simon.

– Kiedy więc wyruszamy?

– Gdy tylko słońce ukaże się na wschodzie – odpowiedział Sludig. – Im szybciej – dodał znacząco, rozglądając się po pieczarze i jej mieszkańcach – tym lepiej.

Binabik spojrzał na niego, a potem zwrócił się do Simona.

– Przygotujemy się wieczorem.

Niespodziewanie ukazał się przy nich Jiriki.

– Właśnie o tym chciałem z wami pomówić.

– Chyba nie masz nic przeciwko naszemu wyjazdowi? – spytał Binabik; spod jego pogodnej maski przebijał lekki niepokój. Haestan i Grimmric wyglądali na zmartwionych; Sludig patrzył na Sithę nieufnie.

– Chyba nie – powiedział Sitha. – Ale jest coś, co chciałbym z wami wysłać. – Zamaszystym ruchem sięgnął pod kurtkę i wyjął Białą Strzałę Simona.

– Seomanie, ona należy do ciebie – oznajmił.

– Co? Ale... ale przecież ona jest twoja, książę Jiriki.

Sitha na moment uniósł głowę, jakby nasłuchiwał, po czym zwrócił wzrok na Simona.

– Nie, Seomanie, nie będzie moja, dopóki na nią nie zasłużę: życie za życie. – Trzymał strzałę wysoko w obu dłoniach, tak że promienie świecącego teraz ukośnie słońca oświetlały ją, ukazując wypisane na niej drobne i bardzo skomplikowane litery. – Wiem, że nie potrafisz tego odczytać – powiedział wolno Jiriki. – Ale są to Słowa Stworzenia wypisane na strzale przez samego twórcę, Vindaomeyo; było to dawno, dawno temu, zanim jeszcze my, Pierwszy Naród, podzieliliśmy się na Trzy Plemiona. Strzała jest mi tak bliska, jak bliscy są mi moi krewni – jest częścią mnie. Niewielu śmiertelników trzymało w rękach *Sta'ja Ame*. Nie oddałem jej pochopnie i nie mogę jej przyjąć, dopóki nie spłacę długu, którego ona jest symbolem. – Po tych słowach wręczył strzałę Simonowi, a ten wziął ją w drżące dłonie.

– Ja... ja nie rozumiem – wyjąkał. Czuł się, jakby to on miał jakieś zobowiązanie. Wzruszył ramionami, nie mogąc wyrazić tego, co chciał

powiedzieć.

– I tak – powiedział Jiriki, zwracając się do Binabika i pozostałych – mój los, jak byście to pewnie nazwali, związał mnie w dziwny sposób z tym chłopcem. Dlatego nie zdziwicie się chyba, kiedy powiem wam, co jeszcze poślę z wami na tę niezwykłą i chyba bezowocną wyprawę.

Po chwili milczenia Binabik zapytał:

– A cóż to takiego, książę?

Na twarzy Jirikiego pojawił się pełen zadowolenia, koci uśmiech.

– Ja sam – odpowiedział. – Pojadę z wami.

MŁODY PIKINIER STAŁ niezdecydowany, czy ma przeszkodzić zamyślonemu księciu. Josua patrzył w dal z rękoma zaciśniętymi na parapecie okna w zachodniej ścianie Naglimundu. Wreszcie sam zauważył żołnierza. Kiedy się odwrócił, pikinier zrobił krok w tył przestraszony nienaturalną bladością Josui.

– W-sza Wysokość? – spytał pikinier, z trudem wytrzymując wzrok księcia. Pomyślał, że Josua patrzy jak ranny lis, którego kiedyś widział; psy osaczyły go i za chwilę miały go rozszarpać.

– Przyślij mi Deornotha – powiedział książę, siląc się na uśmiech, który jeszcze bardziej wystraszył żołnierza. – A także starego Jarnaugę, Rimmersmana. Znasz go?

– Tak, W-sza Wysokość. Jest z jednookim mnichem w bibliotece.

– To ten. – Josua uniósł głowę i patrzył na ciemne chmury, jakby czytał z nich jakąś przepowiednię.

Pikinier nie wiedział, czy ma już odejść, i zaczął się powoli wycofywać.

– A ty? – odezwał się nagle książę.

– W-sza Wysokość?

– Jak się nazywasz? – Można było pomyśleć, że pyta nieba.

– Ostrael, W-sza Wysokość, syn Ostraela Firsframa. Jest lordem w Runchesterze.

Książę popatrzył przez chwilę na żołnierza i znowu utkwił wzrok w chmurach, jakby nie mógł oderwać od nich oczu.

– Kiedy byłeś po raz ostatni w domu, w Runchesterze?

– W czasie święta Elysiamansy, książę, ale posyłam im połowę mojego żołdu.

Josua otulił się wysokim kołnierzem i pokiwał głową.

– Bardzo dobrze... synu Ostraela Firsframa. Idź więc i przyślij mi Deornotha i Jarnaugę. Idź.

Młody pikinier dawno już słyszał, że książę jest trochę szalony. Wychodząc ze strażnicy przy bramie, zadrżał na wspomnienie twarzy Josui; przypomniał sobie czytaną w jego rodzinie Księgę Aedona – były w niej ilustracje przedstawiające śpiewających męczenników o ekstatycznym spojrzeniu. Pamiętał też spojrzenie pełne smutku i umęczenia samego Usiresa, którego prowadzono w łańcuchach do Drzewa Straceń.

CZY ZWIADOWCY SĄ PEWNI, Wasza Wysokość? – spytał dobitnie Deornoth. Nie chciał obrażać księcia, lecz wyczuwał w nim pewne szaleństwo, którego nie rozumiał.

– Na Boże Drzewo, Deornothu, oczywiście! Znasz ich obu, można na nich polegać. Wielki Król jest przy Brodzie Greenwade niecałe dziesięć mil stąd. Ma ze sobą znaczne siły.

– A więc Leobardis się spóźnia. – Deornoth wytężał wzrok. Patrzył jednak nie na południe, skąd nadciągały nieubłaganie wojska Eliasa, lecz na zachód, gdzie poza ginącym w porannej mgle horyzontem posuwały się

wolno przez Inniscrich i południowe Frostmarch legiony pod sztandarem Zimorodka.

– Chyba że zdarzy się cud – powiedział Josua. – Idź, Deornothu. Powiedz sir Eadgramowi, żeby był w pogotowiu. Piki mają być naostrzone, łuki w pogotowiu i ani kropli wina w strażnicy przy bramie, że nie wspomnę już o samych strażnikach. Jasne?

– Tak, Wasza Wysokość. – Deornoth skinął głową. Czuł przyśpieszony oddech i ucisk w żołądku z podniecenia. Na Boga, pokażą Wielkiemu Królowi, co to jest honor Naglimundu, o tak!

Usłyszał ostrzegawcze chrząknięcie. Był to Jarnauga, który szedł szerokimi schodami w górę, nie okazując najmniejszego wysiłku. Miał na sobie jeden z luźnych, czarnych habitów Strangyearda; długą brodę wsadził za pasek.

– Przybywam na twe wezwanie, książę Josuo – odezwał się pompatycznie.

– Dziękuję, Jarnaugo – odparł Josua. – Idź, Deornothu. Porozmawiamy przy kolacji.

– Tak, Wasza Wysokość. – Deornoth skłonił głowę, trzymając hełm w dłoni, i zaczął zbiegać szybko po schodach.

Josua odczekał parę chwil, zanim zaczął mówić.

– Popatrz tam, starcze – powiedział, zataczając szeroki łuk, którym objął tętniące życiem miasto, łąki i pola – ich zieleń i żółć pociemniały pod ołowianym niebem. – Nadchodzą szczury, by nas podgryzać. Długo nie będziemy oglądać tak sielskiego widoku, jeśli w ogóle go jeszcze kiedyś zobaczymy.

– W całym zamku mówi się o nadchodzącym Eliasie.

– Nie dziwię się. – Książę, jakby nasycony już widokiem, odwrócił się i popatrzył uważnie w jasne oczy Jarnaugi. – Czy odprowadziłeś

Isgrimnura?

– Tak. Nie był zachwycony, że musi wyjeżdżać potajemnie i po ciemku.

– No cóż, a jak inaczej? Skoro rozgłosiliśmy, że udał się z misją do Perdruin, nie mógł pokazywać się w przebraniu mnicha i ogolony jak za młodych lat. – Książę uśmiechnął się ponuro. – Bóg jeden wie, Jarnaugo, że – choć sam śmiałem się z jego przebrania – mam wyrzuty sumienia, iż oderwałem go od rodziny i posłałem, by naprawił moje błędy.

– Josuo, ty jesteś tutaj panem. Czasem oznacza to o wiele mniej wolności, niż posiadają jej twoi słudzy.

Książę schował prawe ramię pod płaszcz.

– Czy zabrał ze sobą miecz, Kvalnir?

Jarnauga uśmiechnął się.

– Schował go pod płaszczem. Niech twój Bóg ma w opiece tego, który spróbuje napaść naszego starego, grubego mnicha.

Książę się rozpogodził.

– Biorąc pod uwagę usposobienie Isgrimnura, zbójowi nie pomoże nawet sam Bóg. – Wesoły nastrój trwał tylko chwilę. – A teraz, Jarnaugo, chodź ze mną na mury. Potrzebuję twych bystrych oczu i mądrych rad.

– Rzeczywiście, sięgam wzrokiem dalej niż inni; tak mi mówili ojciec i matka. Dlatego też moje imię w języku Rimmerspakk znaczy „Żelaznooki”. Potrafię spojrzeć poprzez zasłonę podstępu, tak jak czarne żelazo przenika zaklęcia. Co do mądrych rad, nie mogę obiecać słów godnych tego miana o tak późnej porze.

Książę machnął lekceważąco dłonią.

– I tak pomagasz nam zobaczyć rzeczy, których – jak sądzę – sami byśmy nie dostrzegli. Opowiedz mi o Lidze Pergaminu. Czy posłali cię do Tungoldyru, żebyś obserwował Burzową Górę?

Starzec szedł obok Josui, powiewając szerokimi rękawami, które przypominały czarne proporce.

– Nie, książę. Liga tak nie postępuje. Mój ojciec był jednym z tych, których nazywano Naznaczonymi Pergaminem. – Jarnauga wysunął zza habitu złoty łańcuch z zawieszonym na nim rzeźbionym gęsim piórem i zwojem pergaminu. – Przygotowywał mnie, abym zajął jego miejsce, a ja starałem się sprostać jego życzeniom. Liga nie zmusza do niczego; prosi tylko o zrobienie tego, co dana osoba może zrobić.

Josua szedł zamyślony.

– Gdyby tak dało się rządzić państwem. – Spojrzał na starego Rimmersmana. – Ale nie wszystko okazuje się takie łatwe; nie zawsze wiadomo, co dobre, a co złe. Ale macie chyba w Lidze jakiegoś najwyższego kapłana albo księcia? Czy był nim Morgenes?

Jarnauga uśmiechnął się.

– Doprawdy nadeszły czasy, w których przydałby nam się jakiś silny przywódca. Dowodem na to jest nasz fatalny brak przygotowania do zaistniałych wydarzeń. – Jarnauga pokiwał głową. – Obdarzylibyśmy Doktora Morgenesa taką funkcją, gdyby tylko o to poprosił. Josuo, on był człowiekiem o wielkiej wiedzy. Myślę, że potrafiłeś to docenić, przebywając z nim. Ale on tego nie pragnął. Pragnął jedynie szukać, czytać i zadawać pytania. I tak należy dziękować, nie wiem jakim siłom, że mieliśmy go tak długo. Jego przezorność jest dzisiaj naszą tarczą.

Josua przystanął i oparł się łokciami o parapet na murze.

– To znaczy, że wasza Liga nigdy nie miała przywódcy?

– Nie. Przynajmniej od czasu, gdy wskrzesił ją król Eahlstan Fiskerne, wasz święty Eahlstan. – Jarnauga zamilkł, starając się coś sobie przypomnieć. – Choć prawie mieliśmy jednego, i to już za moich czasów. Był to młody Hernystirczyk; jeden z tych, których odkrył Morgenes. Był

bardzo ambitny i utrzymywał, że powinniśmy stać się siłą działającą na rzecz dobra. Tak, kiedyś mógł zostać takim przywódcą, o jakim mówisz: człowiekiem o wielkiej mądrości i mocy...

Josua czekał, lecz Jarnauga nie dokończył zdania, więc książę spojrzał na starca, który stał wpatrzony w zachodni horyzont.

– I co się stało? – spytał książę. – Czy on nie żyje?

– Nie – odpowiedział wolno Jarnauga, nie odrywając wzroku od horyzontu. Nie, nie sądzę. On... zmienił się. Coś go przestraszyło albo zraniło... Opuścił nas dawno temu.

– A więc i wy miewacie porażki – powiedział Josua i ruszył dalej.

Starzec pozostał na miejscu.

– Ależ tak – powiedział i osłonił dłonią oczy wpatrzony w dal. – Jedną z nich był Pryrates.

Książę nie zdążył odpowiedzieć.

– Josuo! – zawołał ktoś z dziedzińca.

Książę zacisnął usta.

– Lady Vorzhevo – powiedział i odwrócił się w jej stronę.

Stała naburmuszona w lśniącej, czerwonej sukni; jej rozpuszczone włosy powiewały na wietrze jak czarny dym. Obok niej kulił się speszony Towser.

– Czego chcesz? – spytał książę. – Powinnaś być w twierdzy. Zakazałem ci ją opuszczać.

– Byłam w niej – rzuciła cierpko. Unosząc suknię, ruszyła w kierunku schodów prowadzących na mury. – I zaraz do niej wrócę, bez obawy. Ale raz jeszcze chcę zobaczyć słońce, a może zamkniesz mnie w ciemnej celi?

Pomimo zniecierpliwienia Josua starał się zachować spokój.

– Przecież masz okna w twierdzy. – Zwrócił zagniewany wzrok na Towsera. – Nie możesz przynajmniej trzymać jej z daleka od murów, Towserze? Wkrótce zacznie się oblężenie.

Starzec wzruszył ramionami i kulejąc, ruszył po schodach za Vorzhevą.

– Pokaż mi te armie twego okropnego brata – powiedziała zdyszana trochę, stając u boku księcia.

– Nie byłoby cię tutaj, gdybyśmy je widzieli – odpowiedział poirytowany Josua. – Na razie nie ma nic do oglądania. A teraz, proszę, zejdź na dół.

– Josuo? – Jarnauga wciąż wpatrywał się w zachodni horyzont. – Chyba jednak jest coś do oglądania.

– Co? – Po chwili książę był już obok starego Rimmersmana przechylony przez parapet, by zobaczyć to, co widzi Jarnauga. – Czy widzisz wojska Eliasa? Tak szybko? Nic nie widzę! – Uderzył dłonią o kamień zrezygnowany.

– Wątpię, żeby Wielki Król nadchodził tak zupełnie z zachodu – powiedział Jarnauga. – Nie dziw się, że jeszcze nic nie widzisz. Tak, jak ci mówiłem, potrafię sięgać wzrokiem tam, gdzie inni nie mogą sięgnąć. Ale oni tam są: dużo koni i ludzi. Są zbyt daleko, żeby powiedzieć, ilu ich jest. Zbliżają się. Tam. – Wskazał dłonią.

– Dobry Usiresie! – krzyknął podniecony Josua. – Chyba masz rację! To może być tylko Leobardis! – Książę wyprostował się ożywiony pomimo zmęczenia na twarzy.

– Sprawa jest delikatna – powiedział jakby do siebie. – Nabbańczycy nie powinni zbliżać się za bardzo. Jeśli znajdą się między Eliasem i Naglimundem, będą bezużyteczni. Wtedy musielibyśmy ich wpuścić do środka i żywić. – Josua poszedł w stronę schodów. – Z drugiej strony, jeśli znajdą się za daleko, nie będziemy mogli udzielić im pomocy, gdyby

zaatakował ich Elias. Trzeba wysłać jeźdźców! – Zbiegał szybko po schodach, wołając Deornotha i Eadgrama, lorda konstabla Naglimundu.

– Och, Towserze – westchnęła Vorzheva zarumieniona od wiatru i podniecenia. – Uratują nas! Wszystko będzie dobrze.

– Mam nadzieję, moja pani – odparł błazen. – Przechodziłem już przez to wszystko z moim panem Johnem i nie palę się, żeby przeżywać takie rzeczy jeszcze raz.

Na dziedzińcu rozbrzmiewały krzyki i przekleństwa biegających żołnierzy. Josua stał na krawędzi muru z mieczem w dłoni i wykrzykiwał rozkazy. Żołnierze podnosili szybko złożone w rogu tarcze, piki, hełmy i miecze; ich dźwięk wznosił się ponad mury jak wezwanie.

HRABIA ASPITIS PREVES zamienił kilka słów z Benigarisem i zaraz podjechał do księcia, tak że jechali obok siebie przez wysoką, mokrą od rosy trawę. Poranne słońce wyglądało jak lśniąca plama na szarym horyzoncie.

– Młody Aspitis! – odezwał się serdecznie Leobardis. – Jakie wieści? – Książę zdawał sobie sprawę, że jeśli chciał utrzymać dobre stosunki z synem, musiał być miły dla jego przyjaciół – nawet dla Aspitisa, który, według niego, nie był chlubą Domu Prevanów.

– Książę, powrócili właśnie zwiadowcy. – Hrabia, szczupły i przystojny, był bardzo blady. – Znajdujemy się niecałe pięć mil od Naglimundu.

– Dobrze! Przy odrobinie szczęścia będziemy tam wczesnym popołudniem!

– Jednak Elias nas wyprzedził. – Aspitis rzucił spojrzenie Benigarisowi, który potrząsnął głową i zaklął pod nosem.

– Czy rozpoczął już oblężenie? – spytał zaskoczony Leobardis. – Jak to możliwe? Czy jego wojska fruwają?

– Nie, panie, właściwie to nie Elias – poprawił się natychmiast Aspitis.

– Widziano dużą siłę pod sztandarem z Dzikiem i Włóczniami; jest to herb hrabiego Guthwulfa z Utanyeat. Mają nad nami przewagę około pół mili i mogą odciąć nam drogę do zamku.

Książę pokiwał głową uspokojony.

– Ilu ich jest?

– Jakieś sto koni, panie, lecz Wielki Król jedzie pewnie tuż za nimi.

– W takim razie nie ma powodu do obaw – powiedział Leobardis, zatrzymując konia przed jednym z licznym strumyków, które przecinały łąki na wschód od Greenwade. – Niech sobie jedzie królewski namiestnik. My będziemy bardziej przydatni Josui z bliskiej odległości. Będziemy mogli niepokoić oblegających i zapewnimy utrzymanie dostaw. – Leobardis wjechał do strumienia, a za nim Benigaris i hrabia.

– Ale, ojcze, pomyśl tylko! – odezwał się Benigaris, podjeżdżając bliżej. – Zwiadowcy twierdzą, że Guthwulf wysunął się przed armie króla tylko z setką rycerzy. – Aspitis Preves przytaknął mu milcząco, a Benigaris ściągnął ciemne brwi z przejęcia. – Liczebnie przewyższamy ich trzykrotnie, a jeśli wyślemy gońców, możemy ściągnąć także posiłki Josui. Jesteśmy w stanie przygwoździć Guthwulfa do murów Naglimundu. – Uśmiechnięty klepnął ojca po ramieniu. – Pomyśl, jak czułby się wtedy Elias, chyba zastanowiłby się przed atakiem?

Leobardis jechał w milczeniu. Spojrzał w tył na powiewające nad łąkami proporce swoich oddziałów. Słońce na chwilę przedarło się przez zasłonę ciemnych chmur i dodało koloru kołysanym wiatrem trawom. Widok ten przypomniał mu Krainę Jezior na wschód od jego pałacu.

– Wezwij trębacza – powiedział.

Aspitis odwrócił się natychmiast i wydał rozkaz.

– Poślę gońców do Naglimundu, ojcze! – zawołał Benigaris, uśmiechając się z ulgą.

Książę widział, jak bardzo jego syn tęskni do sławy, ale przecież będzie to też sława Nabbanu.

– Wybierz najszybszych jeźdźców, synu! – krzyknął do Benigarisa, który jechał już między szeregami żołnierzy. – Popędzimy szybciej, niż ktokolwiek by przypuszczał! – Krzyknął tak głośno, że wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę. – Legiony popędzą! W imię Nabbanu i Matki Kościoła! Niech się strzeże nasz wróg!

Benigaris wrócił niebawem z informacją, że posłańcy wyjechali. Książę Leobardis dał sygnał trębaczom; na dźwięk trąbek ogromna armia nabrała szybkości. Odgłos końskich kopyt rozbrzmiewał nad łąkami niczym bicie bębnów, gdy wyjeżdżali z Inniscrich. Promienie słońca rozjaśniły bure, poranne niebo i proporce zalśniły błękitem i złotem. Zimorodek zmierzał do Naglimundu.

JADĄC PRZEZ BRAMĘ na czele kilkudziesięciu rycerzy, Josua zakładał jeszcze swój prosty, lśniący hełm. Obok niego biegł harfiarz i pokazywał coś, co trzymał w wyciągniętej dłoni. Książę ściągnął lejce swego konia.

– O co chodzi? – spytał zniecierpliwiony, przesuwając wzrokiem po horyzoncie.

Harfiarz z trudem mógł złapać oddech.

– To jest... sztandar twego ojca, książę – powiedział i podał sztandar Josui. – Masz tylko szarego łabędzia, herb Naglimundu. Czy mógłby być lepszy od tego?

Książę patrzył na biało-czerwony proporzec, który leżał na wpółrozwinięty na jego kolanach. Spoglądał z niego groźnie smok, jakby jakiś intruz zagrażał świętemu Drzewu, wokół którego bestia owinęła swe ciało. Deornoth, Isorn i kilkunastu innych rycerzy jadących nieopodal uśmiechnęli się ze zrozumieniem.

– Nie – powiedział stanowczo Josua i oddał sztandar. – Nie jestem moim ojcem. Nie jestem też królem.

Odwrócił się, owijając lejce wokół prawej dłoni, i uniósł ramię.

– Naprzód! – zawołał. – Na spotkanie przyjaciół i sprzymierzeńców.

Ruszyli przez biegnące w dół ulice miasta. Kilka kwiatów rzuconych z murów przez żegnających ich ludzi upadło na rozjeżdżoną, błotnistą drogę za nimi.

CO TAM WIDZISZ, RIMMERSMANIE? – dopytywał się Towser. – Co tam mruczysz?

Oddział Josui był już tylko kolorową plamą, która znikała szybko w oddali.

– Wzdłuż wzgórz od południa nadjeżdżają jeźdźcy – powiedział Jarnauga. – Stąd wydaje się, że nie jest ich wielu, ale są jeszcze bardzo daleko. – Zamknął oczy na chwilę, jakby usiłował sobie coś przypomnieć, po czym otworzył je, nie przestając wpatrywać się w dal.

Towser zrobił znak Drzewa; oczy starego Rimmersmana były tak jasne i płonęły takim blaskiem, jakby to były lampy z szafirów.

– Głowa dzika nad skrzyżowanymi włóczniami – wycedził Jarnauga. – Czyj to herb?

– Guthwulfa – odparł Towser zaskoczony. Stary błazen patrzył na horyzont i wydawało mu się, że Rimmersman mówi o duchach. – Hrabia

Utanyeat, namiestnik królewski.

Stojąca z boku lady Vorzheva patrzyła zamyślona za odjeżdżającym oddziałem Josui.

– A zatem nadjeżdża z południa przed armią Eliasa. Leobardis musiał go dostrzec, gdyż Nabbańczycy skręcili w kierunku południowych wzgórz, jakby zamierzali go zaatakować.

– Ilu... ilu ma ludzi? – spytał coraz bardziej zdumiony Towser. – Jak możesz widzieć tak dobrze? Ja nic nie widzę, a przecież mój wzrok jest jedyną rzeczą, która nie...

– Stu rycerzy, może mniej – przerwał mu Jarnauga. – No właśnie! Dlaczego jest ich tak mało?

LITOŚCIWY BOŻE? Co ten książę wyprawia? – zawołał Josua, stając w strzemionach, by lepiej widzieć. – Skręcił na wschód i pędzi na złamanie karku w kierunku południowych wzgórz! Czy on oszalał?

– Panie, spójrz! – krzyknął do niego Deornoth. – Tam, u podnóża Bullback Hill!

– Na Aedona, to królewska armia! Ale co robi Leobardis? Czy chce zaatakować Eliasa bez wsparcia? – Josua spiął konia ostrogami i ruszył przed siebie.

– Zdaje się, że to niewielki oddział, książę – zawołał Deornoth. – Przednia straż.

– Dlaczego nie wysłał posłańców? – spytał żałośnie. – Patrz, będą chcieli przygwoździć ich do murów zamku. Ale dlaczego Leobardis nie wysłał jeźdźców? – Josua westchnął i zwrócił się do Isorna, który dla lepszego widoku odsłonił przyłbicę ojcowskiego hełmu z podobizną niedźwiedzia. – No, przyjacielu, wreszcie się okaże, ile jesteśmy warci.

W obliczu najwyraźniej nieuniknionej już walki Josua się uspokoił. Wzrok mu złagodniał, a na jego ustach pojawił się dziwny uśmiech. Isorn uśmiechnął się do Deornotha, który odwiązywał tarczę od siodła, i spojrzał na księcia.

– Niech się przekonają – powiedział syn Isgrimnura.

– Ruszamy! – krzyknął Josua. – Przed nami jest zbój z Utanyeat! Naprzód! – Spiął ostrogami swego srokosza; koń przeszedł w galop, wyrzucając za sobą kawały darni.

– Za Naglimund! – krzyczał Deornoth z mieczem wzniesionym nad głowę. – Za Naglimund i naszego księcia!

GUTHWULF TRWA NA SWEJ POZYCJI! – oznajmił Jarnauga. – Trzyma się zbocza wzgórza, chociaż atakują go Nabbańczycy. Josua skręcił w tamtą stronę.

– Czy walczą? – spytała Vorzheva przestraszona. – Co się dzieje z księciem?

– Jeszcze nie dojechał na pole bitwy. Tam! – Jarnauga przesuwał się w stronę najbardziej na południowy-zachód wysuniętej wieżyczki. – Guthwulf odpiera pierwszą szarżę Nabbańczyków! Ogromne zamieszanie! – Jarnauga zmrużył oczy i potarł je dłońmi.

– Co? Co się dzieje? – Towser wsadził palec do ust i gryzł go, wybałuszając oczy. – Mów coś, Rimmersmanie!

– Trudno powiedzieć z tej odległości, co się dzieje – powiedział Jarnauga, zupełnie niepotrzebnie, gdyż pozostali i każdy stojący na murach mógłby zobaczyć tylko przesuwającą się plamę w cieniu pogrążonego we mgle Bullback Hill. – Książę atakuje, a rycerze Leobardisa i Guthwulfa rozpierzchli się po okolicznych wzgórzach. Ale tam... – Urwał, wpatrując się uważnie w dal.

– Ach! – jęknął Towser i klepnął się po chudym udzie. – Na świętego Muirfatha i Archanioła, już nie mogę. Równie dobrze mógłbym sobie przeczytać o tym w... w książce! A niech cię, człowieku, *mów*!

DEORNOTH MIAŁ WRAŻENIE, że wszystko rozgrywa się we śnie: migocące w oddali zbroje, krzyki i stłumione uderzenia mieczy o tarcze. Kiedy zbliżyli się do pola bitwy, zobaczył wyraźnie walczących rycerzy nabbańskich i Erkynlandczyków; jedni i drudzy zdziwili się, widząc nadjeżdżający oddział. Przez chwilę, która wydawała mu się trwać wieki, czuł, że jest drobiną lśniącej piany na szczycie zastygłej w bezruchu fali. W następnym momencie rycerze Josui wpadli z całym impetem na wojska Guthwulfa i pochłonęła go wrzawa bitwy.

Natychmiast znalazł się ktoś przed nim. Widział skrytą w hełmie obojętną twarz nad czerwonym pyskiem i wywróconymi oczami rumaka. Deornoth poczuł uderzenie w ramię, które zakołysało nim mocno w siodle; kopia uderzyła w jego tarczę i ześliznęła się po niej. Zobaczył czarną opończę i zadał cios mieczem oburącz. Aż zadrżał od uderzenia, gdyż miecz ominął tarczę przeciwnika i spadł na jego pierś, zwalając go z konia na ubłoconą i zakrwawioną trawę.

Teraz miał chwilę spokoju. Rozglądał się za sztandarem Josui, czując w ramieniu pulsujący ból. Książę i Isorn walczyli odwróceni do siebie plecami pośród wirującej nawałnicy rycerzy Guthwulfa. Josua wykonał szybki cios i Naidel ugodził w przyłbicę jednego z czarnych rycerzy. Jego dłonie natychmiast powędrowały do twarzy uwięzionej w – czerwonej teraz – żelaznej masce, lecz po chwili rycerz był już niewidoczny, gdyż jego pozbawiony kontroli koń stanął dęba.

Deornoth dostrzegł Leobardisa, który siedział na koniu na południowo-wschodnim skraju pola bitwy. Nad jego głową powiewał sztandar

z Zimorodkiem. Nieopodal dwóch rycerzy powstrzymywało swe niespokojne konie i Deornoth domyślił się, że większy z nich, w rzeźbionej zbroi, to syn Leobardisa, Benigaris. A niech go! Książę Leobardis jest już stary, ale co robi Benigaris prawie poza polem bitwy? Przecież to wojna!

Nagle Deornoth dostrzegł jakiś cień i skierował konia na lewo, dzięki czemu uniknął ciosu toporem. Jeździec przemknął obok niego, nie odwracając się, lecz za nim pojawił się następny. Przez jakiś czas cały otaczający go świat przestał istnieć; skupił się tylko na wymianie ciosów w pojedynku z Utanyeatczykiem. Wszystkie odgłosy zlały się w odległy szum, jakby w pobliżu był wodospad, wreszcie znalazł lukę w obronie przeciwnika i uderzył w jego hełm – dokładnie w zawias przyłbicy. Rycerz przechylił się na bok i spadł z konia. Jedna noga została w strzemionie i rycerz wisiał jak zarżnięty prosiak. Jego przestraszony koń pognał przed siebie, ciągnąc jeźdźca po ziemi.

Deornoth zobaczył, że w pobliżu walczy hrabia Guthwulf. W czarnej zbroi i czarnym hełmie odpierał pałaszem atak dwóch błękitnych rycerzy nabbańskich z niezwykłą łatwością. Deornoth pochylił się w siodle, by podjechać w tamtą stronę. Pomyślał o chwale, jaką zdobędzie po walce z Potworem z Utanyeat, gdy nagle przewracający się z boku koń obrócił jego wierzchowca.

Zatrzymał się – wciąż nieco oszołomiony, jak we śnie – i stwierdził, że został zepchnięty w dół zbocza daleko od centrum bitwy. Miał przed sobą teraz błękitno-złocisty sztandar Leobardisa. Książę stał w strzemionach i wydawał polecenia swoim rycerzom. Potem opuścił przyłbicę, przygotowując się do włączenia do walki; jasne, długie włosy wymykały się spod jego hełmu.

W miarę jak Deornoth patrzył, sen zamieniał się w koszmar. Rycerz, którego wziął za Benigarisa, wyciągnął swą długą klingę i precyzyjnie,

z rozmysłem wbił ją w kark księcia tuż pod hełmem; poruszał się tak wolno, że Deornoth miał wrażenie, iż może wyciągnąć rękę i powstrzymać go. Wydawało się, że w wirze walki tylko on widział, co się stało. Leobardis wygiął się, gdy tamten wyciągnął ostrze czerwone od krwi, i chwycił się drżącymi dłońmi za gardło; trzymał je tak przez chwilę, jakby chciał coś powiedzieć pomimo ogromnego smutku. W następnej chwili opadł na biały kark konia, plamiąc jego grzywę tryskającą krwią, a potem spadł na ziemię.

Benigaris patrzył na niego przez chwilę, jakby przyglądał się pisklęciu, które wypadło z gniazda, i zadął w róg. Deornothowi wydawało się, że pomimo szalejącego wokół chaosu bitwy dostrzegł błysk oka w czarnym otworze hełmu Benigarisa, jakby ich spojrzenia spotkały się na moment ponad głowami walczących.

Wiele głów zwróciło się w stronę, skąd dochodził długi i ostry dźwięk rogu.

– *Tambana Leobardis eis!* – zagrzmiał Benigaris głosem pełnym smutku i trwogi. – Książę nie żyje! Mój ojciec zabity! Wycofać się!

Jeszcze raz zadął w róg. Deornoth wciąż patrzył, nie mogąc uwierzyć własnym oczom, gdy ze wzgórza nad nimi rozległ się dźwięk innego rogu. Spomiędzy maskujących drzew wyjechał szereg jeźdźców.

NA ŚWIATŁA PÓŁNOCY! – jęknął Jarnauga, wywołując u Towsera kolejny skurcz rozpaczy.

– Mów! Jak przebiega bitwa?

– Obawiam się, że przegrana – powiedział Rimmersman głuchym głosem. – Ktoś został zabity.

– Och! – Vorzheva wstrzymała oddech; w jej oczach zalśniły łzy. – Josua! Przecież nie Josua?

– Nie wiem. To mógł być Leobardis. Ale teraz z lasu na wzgórzu wyjeżdża inne wojsko. Czerwone płaszcze, a na sztandarze... orzeł?

– Falshire – jęknął Towser i cisnął swój kapelusz z dzwoneczkami na ziemię. – Matko Boża, to hrabia Fengbald! Och, Usiresie Aedonie, miej w opiece naszego księcia! A to sukinsyny!

– Spadli na Josuę jak jastrząb na kurczę – powiedział Jarnauga. – A Nabbańczycy się pogubili. Oni chyba... Oni...

WYCOFAĆ SIĘ! – KRZYCZAŁ BENIGARIS, gdy tymczasem Aspitis Preves wyrwał sztandar z rąk zdumionego giermka Leobardisa, taranując go swym koniem.

– Jest ich zbyt wielu! – krzyknął Aspitis. – Wycofać się! Książę nie żyje!

Deornoth zawrócił konia i pognał między walczącymi w kierunku Josui.

– Pułapka! – krzyknął. Rycerze Fengbalda zjeżdżali w dół, połyskując lancami. – Josuo, to pułapka!

Wjechał pomiędzy dwóch rycerzy Guthwulfa, którzy próbowali zagrodzić mu drogę. Wytrzymał ich ciosy w tarczę i hełm i wreszcie trafił drugiego z nich prosto w gardło, nieomal tracąc miecz, gdyż utkwił za mocno w kręgosłupie ofiary. Zobaczył tuż przed swą przyłbicą strumień krwi, lecz nie był pewien, czy to nie jego krew.

Książę przywoływał swoich rycerzy. Ponad krzykami i szczękiem oręża rozległ się dźwięk rogu Isorna.

– Benigaris zabił księcia! – zawołał Deornoth. Josua spojrzał zaskoczony na umazaną krwią postać. – Benigaris dźgnął go w plecy! Jesteśmy w pułapce!

Przez moment Josua się zastanawiał. Podniósł dłoń, jakby chciał podnieść przyłbicę i się rozejrzeć. Fengbald i jego orły zbliżali się do ich flanki, próbując odciąć im odwrót. W następnej chwili książę uniósł osłonięte tarczą ramię.

– Dmij w róg, Isornie! – krzyknął. – Musimy się przebić! Wracamy do Naglimundu! Zostaliśmy zdradzeni!

Na dźwięk rogu rozwścieczeni rycerze Josui ruszyli wprost na nadjeżdżających czerwoną ławą rycerzy Fengbalda. Deornoth spiął konia i pognał najszybciej, jak potrafił, by znaleźć się w pierwszym szeregu. Zobaczył, jak miecz Josui ominął obronę pierwszego orła i – niczym wąż – wśliznął się pod jego ramię, by wysunąć się z tyłu. Po chwili Deornoth sam znalazł się pośród czerwonych jeźdźców. Zadawał ciosy, przeklinając; nie zdawał sobie sprawy, że pod hełmem po policzkach płynęły mu łzy.

Zaskoczeni gwałtownością ataku Josui rycerze Fengbalda zmienili nieco front i w tym momencie Naglimundczykom udało się przedrzeć przez ich szeregi. Pozostali z tyłu Nabbańczycy cofali się, uciekając w nieładzie w kierunku Inniscrich. Guthwulf nie ścigał ich, lecz wysłał swe oddziały, by razem z Fengbaldem goniły uciekających rycerzy Josui.

Deornoth przylgnął do karku swego rumaka. Słyszał chrapliwy oddech zwierzęcia, pędząc galopem przez łąki i pozostawione odłogiem pola. Odgłosy pościgu słabły powoli, w miarę jak rosły mury Naglimundu.

Czarna paszcza bramy była otwarta. Deornoth wpatrywał się w nią i czuł pulsujący ból w głowie. Nagle zapragnął, by go połknęła – chciał skoczyć w jej ciemną czeluść i pozostać w niej na zawsze.

40. Zielony namiot

NIE, KSIĄŻĘ JOSUO. Nie możemy pozwolić ci na tak nierozważną rzecz. – Kulejący Isorn opadł ciężko na krzesło.

– Nie możecie? – Książę spojrzał na Rimmersmana. – A czy wy jesteście moimi niańkami? Czy ja jestem dzieckiem albo idiotą, żeby mi mówić, co mam robić?

– Mój książę – odezwał się Deornoth, jednocześnie nakazując milczenie Isornowi. – Ty jesteś tu panem, wszyscy o tym wiemy. Czy nie popieramy cię? Czy nie składaliśmy przysięgi na wierność? – Siedzący w pokoju przytaknęli w milczeniu. – Ale musisz wiedzieć, że tym razem wymagasz od nas zbyt wiele. Czy sądzisz, że można wierzyć Królowi po zdradzie, jakiej się wobec nas dopuszczono?

– Znam go lepiej niż ktokolwiek z was. – Josua zerwał się z miejsca i podszedł do stołu; wydawało się, że jakiś wewnętrzny ogień podsyca jego upór. – Z pewnością chce mnie zabić, ale nie w ten sposób. Nie tak podstępnie. Jeśli obieca nietykalność – a my unikniemy głupich posunięć – wrócę cały i zdrowy. On wciąż chce się zachowywać jak Wielki Król, a Wielki Król nie zabija swego bezbronnego brata pod białą flagą.

– Dlaczego więc wtrącił cię do lochu, jak mówiłeś? – spytał Ethelferth z Tinsett. – Czy ma to być dowód jego honoru?

– Nie – odparł Josua. – Ale według mnie to nie był pomysł Eliasa. Z pewnością miał w tym swój udział Pryrates, przynajmniej do czasu mego

uwięzienia. Elias stał się potworem – niech Bóg mi wybaczy, gdyż był mi on kiedyś umiłowanym bratem – lecz sądzę, że zachował jeszcze jakieś poczucie honoru.

– Takie, jakie okazał Leobardisowi? – wycedził Deornoth.

– Honoru wilka, który zabija słabych i ucieka przed mocnymi – zaszydził Isorn.

– Nie. – Josua z coraz większym trudem zachowywał cierpliwość. – Wydaje mi się, że Benigaris zamordował ojca powodowany jakąś urazą. Podejrzewam, że Elias...

– Książę Josuo, za pozwoleniem... – przerwał mu Jarnauga, ściągając na siebie spojrzenia pozostałych. – Czy nie sądzisz, że za wszelką cenę starasz się usprawiedliwić swego brata? Obawy twoich poddanych są uzasadnione. To, że Elias chce pertraktować, nie znaczy jeszcze, że ty musisz iść do niego. Nikt nie będzie podawał w wątpliwość twego honoru, jeśli tego nie zrobisz.

– Aedonie, pomóż mi. Człowieku, nie obchodzi mnie, co inni pomyślą o moim honorze! – rzucił książę. – Znam swego brata, znam go tak, że nawet nie jesteście w stanie tego zrozumieć. I nie mów mi, Jarnaugo, że on się zmienił – Josua spojrzał groźnie na starca, powstrzymując jego protesty – bo nikt nie zna go lepiej ode mnie. Dlatego pojadę i więcej nie będę z wami o tym mówił. Możecie już odejść. Mam inne problemy do przemyślenia. – Odwrócił się od stołu i skinieniem dłoni nakazał im wyjść.

DEORNOTHU, CZY ON ZWARIOWAŁ? – spytał Isorn z wyrazem zdumienia na twarzy. – Jak można tak wchodzić w łapy Króla?

– Jest uparty, Isornie. Zresztą czy mnie sądzić? Może jednak wie, co robi. – Deornoth pokiwał głową. – Czy to cholerstwo jest tam jeszcze?

– Namiot? Tak. Dokładnie poza zasięgiem naszych łuków, ale także dość daleko od obozu Eliasa.

Deornoth szedł wolno ze względu na kulejącego Rimmersmana.

– Isornie, niech Bóg ma nas w swojej opiece. Służę u niego od chwili, gdy tylko potrafiłem podnieść miecz, i jeszcze go takim nie widziałem. Jakby chciał udowodnić, że Gwythinn nie miał racji, nazywając go „niechętnym”. – Deornoth westchnął.

– Skoro nie możemy Josui powstrzymać, musimy chronić go najlepiej, jak potrafimy. Wysłannik Króla mówił o dwóch strażnikach, czy tak?

– Tak. To samo dotyczy Króla.

Deornoth pokiwał głową zamyślony.

– Jeśli pojutrze będę mógł poruszać ramieniem – mówiąc to, wskazał na biały temblak – żadna siła nie powstrzyma mnie od pojechania z nim.

– Pojadę z tobą – powiedział Isorn.

– Myślę, że powinieneś raczej pozostać w zamku i czekać w pogotowiu z grupą rycerzy. Porozmawiamy z lordem konstablem, Eadgramem. Jeśli coś knują, jeśli choć wróbel wyleci z ich obozu w stronę namiotu, będziesz tam w parę chwil.

Isorn skinął głową.

– Chyba masz rację. Pomówmy z mądrym Jarnaugą, może on da Josui jakiś amulet, który by go ochronił.

– Z bólem to mówię, lecz księciu potrzeba zaklęcia przeciw jego własnej nieroztropności. – Deornoth zrobił duży krok nad kałużą. – A poza tym żaden amulet nie uchroni przed sztyletem wbitym w plecy.

LLUTH NIEUSTANNIE PORUSZAŁ ustami, jakby wciąż coś komuś tłumaczył. Jego majaczenia przeszły dzień wcześniej w stan bezgłośnej mowy.

Maegwin przeklinała samą siebie za to, że nie zapamiętała ostatnich słów ojca, lecz wtedy była pewna, że odzyska on jeszcze głos, jak to się kiedyś zdarzyło, gdy był ranny. Czuła, że teraz już to nie nastąpi.

Król leżał z zamkniętymi oczami, lecz jego woskowa twarz wciąż się zmieniała; pojawiał się na niej na przemian wyraz smutku albo strachu. Kiedy dotykała jego rozpalonego czoła, czując, jak mięśnie jego twarzy rozluźniają się słabo w rytm niemej mowy, znowu miała wrażenie, że *musi* płakać, jakby wzbierające w niej łzy miały ujść przez całą jej skórę. Lecz nie płakała od chwili, gdy ojciec wyruszył z armią na Inniscrich. Nie płakała nawet wtedy, gdy przyniesiono go na noszach, wijącego się z bólu i z brzuchem zawiniętym w przesiąknięte ciemną krwią opatrunki. Skoro wtedy nie zapłakała, nigdy już tego nie zrobi. Płakać mogą dzieci albo idioci.

Poczuła czyjąś dłoń na ramieniu.

– Księżniczko Maegwin. – Był to Eolair; pomimo smutku rysy jego twarzy nadal pozostały regularne, uporządkowane, jak letnie ubrane złożone na zimę.

– Odejdź, hrabio – powiedziała, spoglądając na łóżko zbite pośpiesznie z drewna i sitowia. – Mój ojciec umiera.

– Podzielam twój smutek, pani. – Mocniej przycisnął jej ramię, jak zwierzę, które nocą węszy po omacku. – Uwierz mi. Ale trzeba troszczyć się też o żyjących, a twoi ludzie potrzebują cię teraz. – Uścisnął jej ramię i zaraz puścił, czując może, że jego słowa były zbyt chłodne, zbyt dumne.

Maegwin powstrzymała cierpką odpowiedź. W rzeczywistości miał rację. Wstała, czując ból w kolanach od klęczenia na kamiennym podłożu jaskini, i poszła za Eolairem. Wychodząc, minęli Inahwen, która siedziała w nogach łóżka i w milczeniu wpatrywała się w skwierczące pochodnie umieszczone na ścianach jaskini.

„Spójrzmy na siebie – myślała Maegwin. – Hernystirczycy potrzebowali tysiąca lat, by wypełznąć z jaskiń. – Schyliła głowę pod obniżeniem sufitu i zmrużyła oczy od gryzącego dymu pochodni. – A teraz wystarczył niecały miesiąc, żeby ponownie nas do nich zapędzić. Stajemy się zwierzętami. Bogowie obrazili się na nas”.

Na zewnątrz podniosła wysoko głowę. Miała przed sobą obóz pełen krzątających się ludzi. Na błotnistej ziemi bawiły się pilnie strzeżone dzieci; kobiety z dworu – wiele w postrzępionych, niegdyś najlepszych sukniach – na kolanach przygotowywały wiewiórkę i zająca do wspólnego kociołka i mełły ziarno na płaskich kamieniach. Rosnące gęsto na skalistym zboczu drzewa pochylały się niechętnie przed wiatrem.

W obozie prawie nie było mężczyzn; ci, którzy jeszcze nie zginęli albo nie leczyli ran w jaskiniach, poszli na polowanie lub też pełnili straż przy niższych zboczach, na wypadek gdyby Skali zdecydował się złamać opór Hernystirczyków.

„Pozostały nam już tylko wspomnienia – pomyślała, spoglądając na swą podartą i poplamioną suknię – i kryjówki gór Grianspog. Zostaliśmy osaczeni jak lis. Będziemy skończeni, gdy nadejdzie Elias, mistrz polowania, by odebrać zwierzynę od swego ogara, Skalego”.

– Czego chcesz, hrabio? – spytała.

– Nie w tym rzecz, czego ja chcę – powiedział, potrząsając głową. – Chodzi o Skalego. Przyszli nasi strażnicy i mówią, że Skali przybył rankiem do podnóża łańcucha Moir Brach i wykrzykuje coś do twego ojca.

– A niech sobie ta świnia krzyczy – rzuciła gniewnie Maegwin. – Dlaczego któryś nie pośle strzały w jego brudny tyłek?

– Jest poza zasięgiem naszych łuków, księżniczko. I ma ze sobą pięćdziesięciu ludzi. Myślę, że powinniśmy zejść tam i posłuchać go. Z ukrycia, oczywiście.

– Oczywiście – przytaknęła mu z pogardą. – A dlaczego mielibyśmy się przejmować tym, co mówi Ostronosy? Pewnie znowu przyszedł zażądać, abyśmy się poddali.

– Być może – powiedział hrabia Eolair, opuszczając wzrok. Maegwin współczuła mu, że musi jeszcze zmagać się z jej niechęcią. – Ale wydaje mi się, że chodzi tu o coś innego. Mówią, że jest tam już od ponad godziny.

– Dobrze – powiedziała. Nagle stwierdziła, że chce odejść od łóżka Llutha, i poczuła do siebie samej nienawiść za takie życzenie. – Włożę tylko buty i pójdę z tobą.

Schodzili zalesionym zboczem prawie godzinę. Ziemia była mokra, a w powietrzu czuło się chłód; Maegwin schodziła żlebami za Eolairem, wypuszczając z ust kłęby pary. Ptaki uciekły gdzieś przestraszone ponurym chłodem lasu Circoille albo schowały się zziębnięte. Wokół panowała cisza i tylko drzewa drżały na wietrze, szeleszcząc gałęziami.

Maegwin patrzyła na Eolaira, jak zwinnie i pewnie schodzi po zboczu, swą gibką postacią i warkoczem lśniących włosów przypominając dziecko, i znowu poczuła, że wypełnia ją tępe, beznadziejne uczucie miłości do niego. Czuła się tak bardzo głupio wobec tego uczucia – wysoka, niezgrabna dziewczyna, której ojciec właśnie umiera – że pozwoliła, by przeszło ono w rodzaj gniewu. I kiedy Eolair odwrócił się, by pomóc jej przejść nad wystającym kamieniem, rzuciła mu gniewne spojrzenie, jakby chciał ją obrazić, a nie podać dłoń.

Strażnicy, schowani w kępie drzew na zboczu, z którego widać było długi łańcuch wzgórz zwany Moir Brach, spojrzeli w górę zaskoczeni nadejściem Eolaira i Maegwin, lecz zaraz opuścili głowy i skinęli na przybyłych. Zerkając przez wysokie paprocie w dół kamiennego palca, od którego nazwano łańcuch, Maegwin zobaczyła kręcących się ludzi.

– Dopiero co przestał mówić – szepnął jeden ze strażników; był to młody chłopak o szeroko otwartych, przestraszonych oczach. – Zobaczysz, księżniczko, zaraz znowu zacznie.

Jakby na potwierdzenie jego słów z tłumu żołnierzy w hełmach i pelerynach wyszedł mężczyzna, który obszedł parę koni i wóz. Mężczyzna złożył dłonie przy ustach i stał zwrócony trochę bardziej na północ od kryjówki Maegwin.

– ...po raz ostatni... – Jego głos zamierał momentami tłumiony odległością. – Proponuję ci... zakładników... w zamian za...

Maegwin z trudem rozróżniała poszczególne słowa. *Informacje*?

– ...o chłopcu czarownika i... księżniczce.

Eolair spojrzał na Maegwin, która siedziała nieruchomo. Czego od niej chcieli?

– Jeśli nie powiesz... gdzie... jest księżniczka... my... tych zakładników.

Mężczyzna, który mówił – Maegwin była przekonana, że rozpoznaje charakterystyczny chód Skalego i jego kpiący ton, którego nawet odległość nie była w stanie zagłuszyć – pomachał ręką i z wozu zdjęto szamoczącą się postać ubraną w jasnoniebieski, podarty strój i podprowadzono do miejsca, w którym stał. Maegwin wpatrywała się, czując gwałtowne bicie serca. Pamiętała tę jasnoniebieską sukienkę; należała do Cifghy... małej Cifghy, ładnej i głupiej.

– ...Jeśli nie powiesz nam... ty wiesz... księżniczka Miriamele... będą biedni... – Skali dał znak i żołnierze ponownie zawlekli do wozu kopiącą i szamoczącą się dziewczynę, która – Maegwin próbowała sobie wmówić – mogła nie być Cifghą. Rzucili ją na wóz pomiędzy pozostałych więźniów, którzy leżeli obok siebie jak palce jednej dłoni.

A więc szukali księżniczki Miriamele – córki Wielkiego Króla! Czy ona uciekła? A może ją porwano?

– Czy nic nie możemy zrobić? – szepnęła do Eolaira. – Co to za „chłopak czarownika”?

Hrabia pokręcił głową zasmucony.

– A co moglibyśmy zrobić? Skali tylko czeka, żebyśmy zeszli na dół. Ma dziesięciokrotnie więcej ludzi.

Mijały długie minuty, a Maegwin siedziała w milczeniu, patrząc w dół; czuła, że wzbiera w niej złość. Zastanawiała się nad tym, co jeszcze powiedzieć Eolairowi i pozostałym, jak im powiedzieć, że jeśli żaden z nich nie chce z nią pójść, to ona sama zejdzie do dworu Taig i uwolni więźniów Skalego... czy raczej zginie dzielnie, próbując tego dokonać.

I wtedy stojący w dole mężczyzna – bez hełmu teraz i bardziej widoczny dzięki jasnym włosom i brodzie – zbliżył się ponownie do zbocza Moir Brach.

– Bardzo dobrze! – krzyknął. – ...Niech was Loken przeklnie... durnie! My... i zabieramy tych z... – wskazał na wóz – ...ale zostawiamy wam prezent! – Z grzbietu jednego z koni odwiązano coś ciemnego i rzucono u stóp Skalego. – To na wypadek... czekali na pomoc! Nie ma sensu... przeciwko Kaldskryke!

Po chwili wsiadł na konia i zadąwszy w róg, odjechał z pozostałymi Rimmersmenami w górę doliny, w kierunku Hernysadharc, a za nimi podskakujący na kamieniach wóz.

Czekali godzinę, zanim zdecydowali się zejść na dół. Poruszali się niezwykle ostrożnie, jak łanie, które przechodzą przez polanę. Kiedy znaleźli się u stóp Moir Brach, podpełzli do pakunku pozostawionego przez Skalego.

Rozwinęli go i natychmiast odskoczyli z okrzykiem przerażenia. Stali, szlochając bezradnie, przepełnieni smutkiem, lecz Maegwin nie uroniła ani łzy, nawet wtedy, gdy zobaczyła, co Skali i jego rzeźnicy zrobili z jej

bratem, zanim umarł. Kiedy Eolair objął ją ramieniem, by odprowadzić od przesiąkniętego krwią koca, odtrąciła jego ramię ze złością, po czym odwróciła się i uderzyła go w twarz. Nie bronił się, tylko patrzył na nią. Wiedziała, że on nie płacze z powodu uderzenia, i w tym momencie znienawidziła go jeszcze bardziej. W jej oczach nie pojawiła się ani jedna łza.

PADAJĄCY NIEUSTANNIE ŚNIEG utrudniał widoczność, dodawał ciężaru ich ubraniom, szczypał w palce i uszy, lecz Jiriki i jego trzej sithijscy towarzysze wydawali się w ogóle nie zwracać na to uwagi. Simon i jego towarzysze brnęli konno w śniegu, gdy tymczasem Sithowie szli swobodnie, często się zatrzymując i czekając na resztę wyprawy; bijący z ich lśniących oczu nieokreślony spokój upodabniał ich do cierpliwych, najedzonych kotów. Choć wędrowali przez cały dzień, krzątali się po obozie wieczorem z taką samą lekkością, z jaką robili to rano.

Kiedy pozostali rozeszli się w poszukiwaniu drewna na ognisko, Simon zbliżył się niepewnie do An’nai.

– Czy mogę cię o coś spytać? – zapytał.

Sitha spojrzał na niego spokojnie.

– Pytaj.

– Dlaczego wuj Jirikiego był zły, że książę zdecydował się pójść z nami? I dlaczego Jiriki zabrał ze sobą waszą trójkę?

An’nai uniósł swą pajęczą dłoń do ust, jakby chciał ukryć uśmiech, chociaż się nie śmiał. Po chwili opuścił ją, wciąż spokojny i poważny.

– Nie wiem, o czym rozmawiają książę i S’hue Khendraja’aro, więc nic nie mogę ci na ten temat powiedzieć. – Sitha skłonił głowę z powagą. – Co do drugiego pytania, najlepszej odpowiedzi udzieli ci może sam Jiriki, prawda?

Simon odwrócił się i zdziwiony zobaczył, że tuż za nim stoi uśmiechnięty książę.

– Dlaczego ich przyprowadziłem? – zapytał Jiriki, wskazując na An’nai i dwóch pozostałych Sithów, którzy właśnie wynurzali się z lasu. – Ki’ushapo i Sijandiego zabrałem dlatego, że przecież ktoś musi zajmować się końmi.

– Zajmować się końmi?

Jiriki uniósł brwi i strzelił palcami.

– Trollu – zawołał przez ramię – jeśli ten młodzieniec jest twoim uczniem, to doprawdy kiepski z ciebie nauczyciel! Tak, Seomanie, końmi. A może spodziewałeś się, że będą razem z tobą wspinać się po górach?

Simon stał zmieszany.

– Ale... wspinać się? Konie? Nie myślałem... to znaczy... nie moglibyśmy ich po prostu zostawić? Puścić wolno? – Wydawało mu się to niesprawiedliwe; w ciągu całej swojej podróży czuł się tak mało ważny jak puszek na wietrze – może z wyjątkiem faktu posiadania Białej Strzały – aż tu nagle Sitha każe mu się zastanawiać nad końmi.

– Puścić je wolno? – powtórzył Jiriki głosem nieomal złym, choć jego twarz pozostawała spokojna. – Puścić je, żeby zginęły? Znajdując się daleko poza granicą obszaru, na którym dałyby sobie same radę, mielibyśmy pozwolić im wracać przez śnieżne pustkowie i narażać na śmierć?

Simon chciał zaprotestować, że przecież nie on był za nie odpowiedzialny, lecz w końcu zdecydował, że nie warto było się kłócić.

– Nie – powiedział tylko. – Nie powinniśmy zostawiać ich samych, żeby zdechły.

– A poza tym – wtrącił Sludig, nadchodząc z naręczem drewna – jak sami wrócilibyśmy przez to śnieżne pustkowie?

– Właśnie – powiedział uśmiechnięty Jiriki; teraz wydawał się zadowolony. – Dlatego wziąłem Ki’ushapo i Sijandiego. Będą zajmowali się końmi i poczynią przygotowania na mój... na nasz powrót. – Złączył czubkami palce wskazujące, jakby tym gestem chciał powiedzieć, że nie ma już nic więcej do dodania na ten temat. – Natomiast sprawa An’nai – mówił dalej – jest bardziej skomplikowana. On jest tutaj z powodów zbliżonych do mojego. – Spojrzał na Sithę.

– Sprawa honoru – oświadczył An’nai, opuszczając wzrok na swe splecione dłonie. – Związałem Hikka Sta’ja – Tego, Który Ma Strzałę. Nie okazałem należytego szacunku specjalnemu gościowi. Dlatego muszę za to odpokutować.

– Jego dług – powiedział Jiriki – jest mały w porównaniu z moim, lecz mimo to An’nai będzie musiał zrobić to, co do niego należy.

Simon zastanawiał się, czy An’nai powziął sam taką decyzję, czy też nakłonił go do tego Jiriki. Trudno było powiedzieć cokolwiek o Sithach, o ich myślach, pragnieniach. Byli tacy inni, tacy delikatni!

– Chodź – odezwał się Binabik. Machał dłońmi nad malutką strużką dymu. – Teraz rozpalimy ognisko. Z pewnością nie pogardzisz czymś do jedzenia i picia, czymś, co rozgrzeje twe wnętrze.

Po paru dniach zostawili za sobą północną część lasu Aldheorte i schodząc z ostatnich zboczy wzgórz Wealdhelm, znaleźli się na płaskim, pokrytym śniegiem pustkowiu.

Było już zimno przez cały czas; czy to w długą noc, czy też w męczący śnieżny dzień – przenikliwe zimno nie ustępowało. Padający nieustannie śnieg przyklejał się do twarzy Simona, kłując w uszy i powodując pękanie spierzchniętych warg. Twarz miał czerwoną i obolałą, jakby za długo chodził po słońcu; drżał tak mocno, że z trudem mógł utrzymać lejce. Miał uczucie, że wyrzucono go z domu na zawsze, że odbywanie kary trwa zbyt

długo. Lecz jedyne, co mógł zrobić, to modlić się tylko do Usiresa o siłę przetrwania do następnego obozu. „Przynajmniej – pomyślał ze smutkiem, czując marznące uszy nawet pod kapturem płaszcza – przynajmniej Binabik ma frajdę”.

Rzeczywiście troll był w swoim żywiole. Wyjeżdżał do przodu, popędzał pozostałych albo śmiał się do siebie, pokonując na wilczycy kolejne śnieżne zaspy. Kiedy wieczorami przy ognisku jego towarzysze trzęśli się z zimna albo nacierali oliwą mokre rękawice i buty, Binabik opowiadał im o różnych rodzajach śniegu, o różnych oznakach nadejścia lawin, a wszystko po to, by przygotować ich do podróży przez góry, które widniały na horyzoncie pełne majestatu, niczym bogowie w śnieżnych koronach.

Z każdym dniem góry rosły, lecz im wydawało się, że nie zbliżyli się do nich ani o krok, bez względu na to, jak długo jechali. Po tygodniu jazdy przez zimne, monotonne pustkowie Simon zaczął tęsknić za cieszącym się złą sławą lasem Dimmerskog, a nawet za samymi górami – marzył o czymkolwiek innym, co nie jest zimną, nieskończoną śnieżną równiną.

Szóstego dnia minęli ruiny klasztoru świętego Skendiego. Prawie w całości ginęły pod śnieżnymi zaspami; niewiele ponad śnieg wyrastała tylko iglica kaplicy z żelaznym Drzewem i owiniętą wokół niego dziwną, podobną do węża bestią. Widziana w śnieżnej mgle mogła się wydawać masztem tonącego statku na morzu nieskazitelnej bieli.

– Zbyt mocno strzeże tajemnic, jakie w sobie zawiera, i tego, co wie o Colmundzie i Cierniu – powiedział Binabik, gdy ich konie mijały tonący w śniegu klasztor.

Sludig, niespokojny, zrobił znak Drzewa na czole i sercu, lecz Sithowie okrążyli ruiny powoli, przyglądając się im, jakby nigdy dotąd nie widzieli czegoś tak interesującego.

Kiedy wieczorem wszyscy zebrali się przy ognisku, Sludig zapytał, dlaczego Jiriki i jego towarzysze tak dokładnie oglądali ruiny.

– Ponieważ – powiedział książę – wydały nam się przyjemne.

– Co to ma znaczyć? – spytał Sludig najwyraźniej poirytowany i spojrzał na Haestana i Grimmrica, jakby oni wiedzieli, co znaczyły słowa Jirikiego.

– Może lepiej nie mówić o tych rzeczach – powiedział An’nai, wykonując uspokajający ruch rozłożoną dłonią. – Jesteśmy towarzyszami przy wspólnym ognisku.

Przez chwilę Jiriki patrzył z powagą w ogień, a potem na jego twarzy pojawił się złośliwy uśmiech. Simon obserwował go; czasem trudno mu było uwierzyć, że Jiriki jest starszy od niego – wydawał się tak młody i beztroski. Ale Simon pamiętał też pieczarę, z której patrzyli ponad lasem. Wrażenie młodości i długowieczności mieszały się w myślach Simona; taki właśnie był Jiriki.

– My przyglądamy się rzeczom, które nas interesują – powiedział Jiriki. – Podobnie jak śmiertelnicy. Różnią nas tylko przyczyny zainteresowania i z pewnością nie zrozumiecie naszych. – Jego szeroki uśmiech wydawał się zupełnie szczery, lecz w pewnym momencie Simon dostrzegł na twarzy Sithy jakiś nowy szczegół, który nie pasował do uśmiechu. – Pytanie tylko, człowieku – ciągnął Jiriki – dlaczego nasze przypatrywanie się tak was obraża?

Wokół ogniska zapadła cisza, a Sludig patrzył wprost w oczy Sithy. Płomienie w ognisku strzelały i podskakiwały na mokrym drewnie, płosząc konie. Wreszcie Sludig opuścił wzrok.

– Możecie patrzeć, na co wam się podoba – powiedział i uśmiechnął się smutno; na jego jasnej brodzie topniały płatki śniegu. – Ruiny

przypomniały mi o Saegardzie czy też Skipphavven. To tak, jakbyś szydził z czegoś bardzo mi drogiego.

– Skipphavven? – powtórzył Haestan zawinięty w swe futra. – Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Czy to kościół?

– Łodzie... – wtrącił Grimmric; wykrzywił chudą twarz, by sobie lepiej przypomnieć. – Tam są łodzie.

Sludig przytaknął mu z powagą.

– Wy byście nazwali to Przystanią dla Statków. Tam właśnie leżą długie łodzie Rimmersgardu.

– Ale przecież Rimmersmeni nie żeglują! – zauważył zdziwiony Haestan. – W całym Osten Ard nie ma ludzi bardziej związanych z lądem!

– Kiedyś żeglowaliśmy. – Blask ognia oświetlał wyraźnie twarz Sludiga. – Zanim przybyliśmy tutaj przez morze z Ijsgard, które znajdowało się na zaginionym Zachodzie, nasi ojcowie palili ludzi i grzebali statki. Tak przynajmniej mówią nasze legendy.

– Palili ludzi? – powtórzył Simon.

– Zmarłych – wyjaśnił Sludig. – Nasi ojcowi budowali statki-grobowce z młodych jesionów, układali w nich zmarłych i podpalali je na wodzie, wysyłając dusze zmarłych razem z dymem. Lecz nasze największe statki – te, które niosły nas po rzekach i oceanach świata, które były dla nas tak cenne, jak poletko pod lasem dla drwala czy też stado dla pasterza – je właśnie pogrzebaliśmy w ziemi, gdy były już za stare, by na nich pływać; pogrzebaliśmy je, żeby ich dusze weszły w drzewa i pomogły im wyrosnąć proste i wielkie, aby i one kiedyś mogły stać się nowymi statkami.

– Ale to się działo po drugiej stronie oceanu i dawno temu, czy tak? – dopytywał się Grimmric. – Saegard chyba nie jest tutaj, w Osten Ard?

Sithowie siedzieli nieruchomo i w milczeniu patrzyli na Sludiga.

– Tak, jest. W miejscu, w którym kil statku Elvrita dotknął lądu i w którym powiedział on: „Przebyliśmy czarny ocean i przybyliśmy do nowego domu”. – Sludig rozejrzał się po siedzących wokół ogniska. – Tam pogrzebali ogromne statki. „Nigdy nie powrócimy przez strzeżone przez smoki morze” – powiedział wtedy Elvrit. Na dnie doliny w Saegardzie u podnóża gór znajdują się kopce skrywające szczątki ostatnich statków. Na cyplu, pod największym kopcem, leży statek Elvrita, *Sotfengsel*; nad ziemię wystaje tylko jego maszt, podobny do drzewa bez gałęzi. On właśnie mi się przypomniał, gdy patrzyłem na klasztor. – Pokiwał głową ze wzrokiem ożywionym wspomnieniami. – Na maszcie *Sotfengsela* rośnie jemioła. Każdego roku w rocznicę śmierci Elvrita dziewczęta z Saegardu zbierają jej białe jagody i zanoszą do kościoła... – Sludig umilkł. Słychać było tylko syczenie ognia.

– Nie mówisz tylko – odezwał się po chwili Jiriki – że przybyliście na tę ziemię, by wyprzeć z niej innych.

Simon wstrzymał oddech. Wyczuwał jakieś napięcie pod maską spokoju księcia.

Sludig odpowiedział z niespodziewanym spokojem; może myślami wciąż jeszcze był wśród dziewcząt z Saegardu.

– Nie mogę naprawić tego, co zrobili moi przodkowie.

– To prawda – powiedział Jiriki – ale i my *Zida’ya*, Sithowie, nie popełnimy tego samego błędu, który popełnili nasi przodkowie. – Spojrzał rozgniewany na Binabika, a ten wytrzymał jego spojrzenie. – Binbiniqegabeniku, powinniśmy sobie pewne rzeczy wyjaśnić. Podałem wam prawdziwe przyczyny, dla których zdecydowałem się wam towarzyszyć: pewne zainteresowanie celem waszej wyprawy i niezwykła, choć bardzo cienka więź, jaka łączy mnie z chłopcem. Nie spodziewajcie się jednak, że choć przez chwilę będę podzielał wasze troski i obawy. Jeśli

o mnie chodzi, wy i wasz Wielki Król możecie się powybijać co do jednego.

– Z całym szacunkiem, książę Jiriki – powiedział Binabik. – Nie przedstawiasz całej prawdy. Gdyby chodziło tylko o walkę królów i książąt – śmiertelników – każdy z nas broniłby teraz Naglimundu. Ale wiesz, że my mamy inne cele.

– A zatem wiedz – oświadczył pompatycznie Jiriki – że choć lata, jakie upłynęły od chwili, gdy zostaliśmy oddzieleni od *Hikeda'ya*, Nornów, jak wy ich nazywacie, są równie liczne jak płatki śniegu, to jednak płynie w nas ta sama krew. Jakże więc mielibyśmy stawać po stronie parweniuszowskich ludzi przeciwko naszym krewnym? Dlaczego mielibyśmy opuszczać Wschód, skoro kiedyś kroczyliśmy ramię w ramię? Jakie sojusze mielibyśmy zawierać z ludźmi, którzy niszczyli nas z równą zaciętością, z jaką niszczą wszystko inne... nawet siebie samych?

Jedynie Binabik potrafił wytrzymać jego chłodne spojrzenie. Jiriki uniósł dłoń z wysuniętym palcem.

– A ten, którego po cichu nazywacie Królem Burz, a którego imię brzmiało Ineluki... – Uśmiechnął się gorzko, widząc, jak pozostali wzdrygnęli się na dźwięk tego słowa. – Ach, nawet jego imię jest straszne! Kiedyś był najlepszym z nas – odznaczał się niespotykaną urodą, mądrością, o jakiej śmiertelnicy nie śnili; był jak płomień świecy! A jeśli stał się czymś strasznym, zimnym i pełnym nienawiści, to z czyjej winy? Dlaczego nie mielibyśmy się cieszyć, jeśli teraz pozbawiony ciała, mściwy, zamierza zdmuchnąć ludzi z powierzchni swej ziemi, tak jak się zdmuchuje pyłek ze strony książki? Nie Ineluki wypędził nas na wygnanie i zmusił, byśmy chowali się w ciemnych ostępach lasu Aldheorte jak zwierzęta i wciąż drżeli, by nie zostać odkrytymi. Przed przybyciem ludzi kroczyliśmy swobodnie po Osten Ard w blasku słońca, a blask gwiazd

dodawał uroku przepięknym dziełom naszych rąk. Czy śmiertelnicy dali nam coś innego poza cierpieniem?

Nikt nie odpowiedział, ale w ciszy, jaka zapadła po słowach Jirikiego, rozległ się żałosny, śpiewny głos. W ciemności unosiła się cudowna melodia i nieznane słowa. Skończywszy śpiewać, An’nai spojrzał na księcia, potem na pozostałych Sithów i wreszcie na tych, którzy siedzieli po drugiej stronie ogniska.

– Jest to nasza pieśń, którą śmiertelnicy kiedyś śpiewali – powiedział cicho. – Ludziom z Zachodu podobała się i dali jej własne słowa. Spróbuję zaśpiewać ją w waszym języku.

Mech porasta kamienie Seni Ojhisa.

An’nai zaczął śpiewać, starając się, by nie wymawiać głosek tak miękko, jak robił to w języku sithijskim.

Cienie ociągają się, jakby słuchały.
Drzewa objęły jasne wieże Da’ai Chikiza,
Cienie – na liściach ciemne – szepcą.

Wysoka trawa kołysze się nad Enki-e-Shao’saye,
Cienie rosną, na murawie się wydłużają.
Grób Nenais’u kwiatami przybrany,
Cienisty strumień milczy i nikt go nie opłakuje.

Dokąd odeszli?
Lasy w milczeniu pogrążone.
Dokąd odeszli?
Pieśń umilkła.

Dlaczego nigdy już nie powrócą,
Tańcząc o świcie?
Ich lampy posłańcami gwiazd
U schyłku dnia...

Kiedy głos An’nai wzniósł się, pieszcząc żałosne słowa, Simon poczuł tęsknotę, jakiej nigdy dotąd nie odczuwał; nigdy jeszcze nie pragnął tak bardzo być w domu; odczuwał stratę czegoś, co nigdy do niego nie należało. Wszyscy milczeli zasłuchani w pieśń An’nai. Nikt nie byłby nawet w stanie odezwać się słowem.

Morze uderza nad ciemnymi ulicami Jhina-T’senei,
Cienie chowają się, w głębokich grotach drzemią.
Błękitny lód Tumet’fai pokrywa, wspaniałe komnaty pogrzebane.
Cienie splamiły obraz, który Czas tka.

An’nai przestał śpiewać. Ich ognisko było jedynym jasnym punktem na pustkowiu cieni.

ZIELONY NAMIOT TKWIŁ SAMOTNIE na wilgotnej równinie przed murami Naglimundu. Jego ściany wydymały się i łopotały, jakby on sam – pośród innych rzeczy, które mogłyby poruszać się po rozległej równinie niewidzialne – żył i oddychał.

Zaciskając zęby, by pozbyć się przejmującego grozą dreszczu – choć wilgotny i zimny wiatr mógł być wystarczającym powodem szczękania zębami – Deornoth spojrzał na Josuę, który jechał spokojnie przed siebie.

„Spójrzcie na niego – pomyślał. – Zachowuje się, jakby już widział swego brata, jakby potrafił przebić wzrokiem zielony jedwab z czarnym

smokiem i przeniknąć wprost do serca Eliasa”.

Deornoth jeszcze bardziej posmutniał, gdy spojrzał w tył na trzeciego jeźdźca, który im towarzyszył. Josua nalegał, by on pojechał z nimi. Młody żołnierz nazywał się Ostrael i wyglądał, jakby za chwilę miał zemdleć ze strachu. Na jego mizernej, chudej twarzy widać było z trudem ukrywane przerażenie.

„Aedonie, miej nas w opiece, bo z niego nie będzie pożytku. Dlaczego Josua wybrał jego?”

Kiedy podjeżdżali wolno, poły namiotu się rozdzieliły. Deornoth sprężył się, gotowy chwycić łuk. Przez chwilę jeszcze przeklinał samego siebie, że pozwolił księciu na taką głupotę, lecz było już za późno; ubrany na zielono żołnierz popatrzył na nich obojętnie, po czym odsunął się, przytrzymując połę wejścia do namiotu.

Deornoth skinął z szacunkiem na Josuę, by zaczekał, i objechał szybko namiot. Był duży; każdy z boków długi na około dwunastu kroków; napięte liny dźwięczały na wietrze, lecz w wysokiej trawie wokół nie było nikogo.

– Dobrze, Ostraelu – powiedział, wracając przed wejście – zostaniesz tutaj przy tym żołnierzu. – Wskazał na strażnika. – Masz stać tak, żeby było widoczne chociaż jedno twe ramię, zrozumiane?

Deornoth przyjął, że niezdrowy uśmiech młodego pikiniera oznacza potwierdzenie jego słów, i zwrócił się do królewskiego żołnierza. Jego brodata twarz wydała mu się znajoma; z pewnością widział go w Hayholt. – Dobrze byłoby, żebyś i ty stanął w wejściu.

Żołnierz wykrzywił usta, lecz przesunął się o krok w kierunku wejścia.

Josua zdążył już zsiąść z konia i podejść do wejścia do namiotu, lecz Deornoth wsunął się do środka tuż przed nim z dłonią na rękojeści swego miecza.

– Zbyteczna jest aż taka ostrożność, Deornothu – odezwał się miękki, lecz przenikliwy głos – bo takie jest twoje imię, prawda? W końcu wszyscy jesteśmy ludźmi honoru.

Deronoth zamrugał, gdy Josua wszedł za nim. Wewnątrz było straszliwie zimno i ciemno. Ściany przepuszczały tylko trochę zielonego światła z zewnątrz, co sprawiało wrażenie, że osoby w namiocie znajdują się wewnątrz ogromnego, nierówno wyciętego emeraldu.

Zobaczył przed sobą bladą twarz, na której tle ciemne oczy sprawiały wrażenie otworów do nicości. W zielonym wnętrzu purpurowe szaty Pryratesa przybrały barwę rdzawobrązową – kolor zaschniętej krwi.

– Jest i Josua! – dodał po chwili z jakąś straszliwą lekkością w głosie. – Znowu się spotykamy. Kto by przypuszczał, że tyle rzeczy wydarzy się od naszej ostatniej rozmowy?

– Zamknij się, kapłanie czy też czym tam jesteś – odparł Josua. W jego głosie dało się odczuć tak zimną, wielką siłę, że nawet Pryrates zamrugał zdziwiony jak zaskoczona jaszczurka. – Gdzie jest mój brat?

– Jestem tutaj, Josuo – usłyszeli głęboki, łamiący się szept, który zabrzmiał jak echo wiatru.

W rogu namiotu widać było postać siedzącą na krześle z wysokim oparciem; obok stał niski stół i jeszcze jedno krzesło; w całym namiocie nie było innych mebli. Josua podszedł bliżej. Deornoth otulił się szczelniej płaszczem i poszedł za nim bardziej dlatego, że nie chciał zostawać z Pryratesem, niż dlatego, by mu śpieszno było zobaczyć Króla.

Książę usiadł na krześle naprzeciw brata. Elias siedział dziwnie sztywny; jego jasne oczy lśniły jak drogocenne kamienie; żelazna korona Hayholt przytrzymywała czarne włosy. Między nogami trzymał miecz schowany w czarnej pochwie. Wielki Król wspierał się dłońmi na kuli miecza ponad dziwną, podwójną rękojeścią. Deornoth spojrzał na miecz,

lecz nie potrafił utrzymać na nim wzroku. Poczuł niepokój, jakby patrzył w dół z wysoka. Skierował więc wzrok na Króla, ale i ten widok nie był lepszy: choć w namiocie było tak zimno, że Deornoth widział unoszącą się parę jego własnego oddechu, Elias miał na sobie tylko pozbawiony rękawów kaftan – na nagich ramionach ciężkie bransolety, a jego mięśnie drgały pod skórą, jakby żyły własnym życiem.

– Widzę, bracie – powiedział Elias, uśmiechając się – że wyglądasz dobrze.

– Czego nie można powiedzieć o tobie – odparł krótko Josua, lecz Deornoth dostrzegł we wzroku księcia błysk troski. W powietrzu wisiało jakby coś złego; można to było wyczuć bez trudu. – Chciałeś rozmawiać, Eliasie? O co chodzi?

Król zmrużył oczy, przez co stały się całkowicie niewidoczne w zielonym półmroku, i długo siedział w milczeniu.

– O moją córkę. Chcę mojej córki. A także... chłopca, ale on nie jest tak ważny. Chodzi mi głównie o Miriamele. Jeśli mi ją oddasz, obiecuję bezpieczeństwo dla kobiet i dzieci z Naglimundu. Jeśli nie, wszyscy, którzy kryją się poza murami i stawiają mi opór... zginą.

Ostatnie słowo wymówił bez jakiejkolwiek groźby czy zawziętości. Tym bardziej więc zaskoczył Deornotha drapieżny grymas, jaki przemknął po twarzy Króla.

– Eliasie, jej u mnie nie ma – odparł powoli Josua.

– Gdzie jest?

– Nie wiem.

– Kłamca! – W głosie Króla było tyle gniewu, że Deornoth chwycił za miecz, spodziewając się ataku z jego strony. Lecz Elias siedział nieruchomo i tylko skinął na Pryratesa, by ponownie napełnił jego puchar jakąś ciemną cieczą.

– Nie gniewasz się chyba, że cię nie częstuję – powiedział Elias, upijając duży łyk; uśmiechnął się ponuro. Wręczył puchar Pryratesowi, który odebrał go szybko i trzymając w czubkach palców, postawił na stole.

– Posłuchaj – ciągnął rzeczowo Elias – oszczędźmy sobie tych podchodów. Chcę swojej córki i odzyskam ją. – Jego głos zabrzmiał groteskowo żałośnie. – Czyż ojciec nie ma prawa do córki, którą wychował i którą kocha?

Josua wziął głęboki oddech.

– Twoje prawa do niej to sprawa pomiędzy tobą a nią. Nie mam jej, lecz nawet gdyby była u mnie, nie przekazałbym ci jej wbrew jej woli. – Zaczął mówić dalej, zanim Król zdołał mu przerwać. – Eliasie, proszę cię. Przecież kiedyś byliśmy braćmi, dzieliliśmy wszystko. Nasz ojciec kochał nas obu, ciebie bardziej ode mnie, ale jeszcze bardziej kochał tę ziemię. Czy nie widzisz, co robisz? Już nawet nie chodzi o naszą walkę. Aedon jeden wie, ile ten kraj widział wojen. Ale chodzi tu o coś innego. Pryrates wie, o czym mówię. Jestem przekonany, że to on poprowadził cię tą ścieżką!

Deornoth zobaczył, jak Pryrates zdziwiony słowami księcia, odwraca się, wypuszczając z ust obłok pary.

– Proszę, Eliasie – powiedział Josua z wyrazem smutku na twarzy. – Zawróć z drogi, na którą wszedłeś, odeślij ten przeklęty miecz tym nieczystym istotom, które zatruwają ciebie i Osten Ard, a ja złożę swoje życie w twoje ręce. Otworzę przed tobą bramy Naglimundu, jak dziewczyna otwiera okno kochankowi! Poruszę niebo i ziemię, by pomóc ci odnaleźć Miriamele! Eliasie, odrzuć ten miecz! Odrzuć go! To nie przypadek, że nosi miano Smutek!

Król siedział nieruchomo wpatrzony w Josuę. Pryrates, mrucząc coś pod nosem, rzucił się w jego stronę, lecz Deornoth zdążył go powstrzymać.

Kapłan wił się w jego uścisku jak żmija i choć Deornoth czuł dreszcz obrzydzenia, nie zwolnił chwytu.

– Nie ruszaj się! – syknął do ucha Pryratesa. – Nawet jeśli rzucisz na mnie jakieś zaklęcie, zdążę cię zabić, zanim umrę! – Przyłożył sztylet do szat Pryratesa tak mocno, by poczuć opór jego ciała. – To nie twoja sprawa ani moja! Niech bracia rozmawiają ze sobą.

Pryrates się uspokoił. Josua pochylił się do przodu i wpatrywał w Eliasa, który wydawał się nie wiedzieć, co się dzieje w namiocie.

– Moja Miriamele... jest piękna – szeptał. – Kiedy czasem patrzę na nią, przypomina mi się jej matka, Hylissa... biedna dziewczyna, nie żyje. – Przez chwilę na jego twarzy pojawiła się złość, lecz zaraz ponownie powrócił wyraz zagubienia. – Jak Josua mógł do tego dopuścić? Jak mógł? Była taka młoda...

Jakby szukając po omacku, wyciągnął swą bladą dłoń. Josua także wyciągnął dłoń, lecz za późno. Długie palce Eliasa spoczęły na skórzanej ochronie prawego nadgarstka księcia. Znowu zaczął patrzeć przytomnie, a jego twarz wykrzywił grymas wściekłości.

– Wracaj do swej nory, zdrajco! – krzyknął, gdy Josua wyrwał swe ramię. – Kłamca! Kłamca! Wepchnę ci to słowo do głowy!

Biła z niego taka nienawiść, że Deornoth cofnął się, pozwalając Pryratesowi się wyswobodzić.

– Zniszczę cię! – grzmiał Elias, wijąc się na krześle, gdy tymczasem Josua szedł już do wyjścia – tak, że nawet sam Bóg Wszechmogący za tysiąc lat nie odnajdzie twojej duszy.

MŁODY OSTRAEL, przerażony wyrazem twarzy Deornotha i księcia, płakał cicho przez całą drogę do drzemiącego Naglimundu.

41. Zimny ogień i wrogie kamienie

SEN STOPNIOWO SIĘ ODDALAŁ, rozwiewał jak mgła; w tym przerażającym śnie otaczało go zielone, odbierające oddech morze. Nie było dna ani powierzchni, a tylko otaczające go światło i przemykające cienie, rekiny o martwo patrzących, czarnych oczach Pryratesa.

Kiedy morze zaczęło ustępować, Deornoth wypłynął na powierzchnię; młócąc ramionami, wydobył się ze snu w stan półprzebudzenia. Na ścianach koszar migotały cętki zimnego blasku księżyca, a równe oddechy śpiących obok żołnierzy przypominały powiew wiatru wśród suchych liści na drzewie.

Serce waliło mu jeszcze mocno, a on poczuł już, że sen znowu wyciąga po niego swe dłonie, by przyciągnąć umęczoną duszę; słyszał, jak szepce mu niemo do ucha i gładzi delikatnymi dłońmi. Znowu zaczął się osuwać, tym razem przypływ, który go zabierał, był łagodniejszy. Teraz unosił się ku jaśniejszemu miejscu, pełnemu porannej wilgoci i łagodnego, południowego słońca: był to majątek jego ojca w Hewenshire, w którym wychował się, pracując na roli ze swymi siostrami i starszym bratem. Jakaś część jego osoby pozostała w koszarach – był świadomy, że zbliża się świt dziewiątego dnia miesiąca Yuven – lecz jego druga część powróciła w przeszłość. Znowu poczuł zapach oranej ziemi i monotonne skrzypienie uprzęży konia ciągnącego pług, a potem miarowy stukot kół wozu, gdy woły ciągnęły go drogą na targ.

Skrzypienie się wzmogło, choć ostry, wilgotny zapach odwróconych bruzd zanikał. Pług się zbliżał; wydawało się, że wóz jest tuż-tuż. Czy woźnica śpi? Czy ktoś pozwolił wołom jechać przez pole? Poczuł strach przerażonego dziecka.

Ojciec się wścieknie, co? Przecież miałem ich pilnować. – Dobrze wiedział, z jaką miną przywita go ojciec; zmarszczone brwi i zaciśnięte z wściekłości usta, twarz obojętna na wszelkie tłumaczenia, twarz, z jaką w wyobrażeniach młodego Deornotha Bóg posyłał grzesznika do piekła. *Matko Elysio, tato przyłoży mi paskiem...*

Deornoth usiadł na łóżku, z trudem łapiąc oddech. Serce waliło mu równie mocno jak po śnie o rekinach; uspokoiło się dopiero, gdy rozejrzał się po sali koszar.

„Tato, od jak dawna już nie żyjesz? – zastanawiał się, wycierając wierzchem dłoni chłodny pot z czoła. – Dlaczego wciąż prześladujesz mnie w snach? Czy lata modlitw...”

Nagle wstrząsnął nim dreszcz strachu. Przecież się obudził, a mimo to wciąż słyszał bezlitosne skrzypienie. W następnej chwili był już na nogach i krzykiem budził pozostałych – duch ojca zgasł jak płomień świecy.

– Wstawać! Do broni! Zaczęło się oblężenie!

Szamocąc się z kolczugą, szedł wzdłuż łóżek i kopniakami budził zaspanych lub otumanionych winem żołnierzy, wydając jednocześnie instrukcje tym, których obudziły jego pierwsze krzyki. Ze strażnicy przy bramie dobiegały podniesione głosy, a potem żałosny dźwięk trąbki.

Hełm włożył krzywo, a tarcza obijała mu się o bok, kiedy wychodził, zapinając pas miecza. Wsadził głowę do innej sali baraku i stwierdził, że śpiący tam żołnierze wstali już i zbierali broń.

– No, Naglimundczycy! – zawołał, zacisnąwszy pas, i pomachał pięścią. – Nadszedł czas próby! Niech Bóg ma nas w opiece. Czas próby!

Uśmiechnął się, słysząc w odpowiedzi gromkie okrzyki, i ruszył w stronę schodów; zdążył już poprawić hełm.

Wierzchołek Głównej Strażnicy w zachodniej ścianie osłonowej wydawał się dziwnie zniekształcony w świetle wiszącego na niebie półksiężyca: osłonę dopiero co skończono; jej drewniane ściany i sufit miały chronić obrońców przed strzałami. Na strażnicy krzątali się już częściowo ubrani żołnierze; wyglądali jak dziwne zjawy, poznaczeni paskami księżycowego światła, które przeciskało się przez szczeliny między deskami osłony.

Zajmujący na murach pozycje pikinierzy i łucznicy zapalili pochodnie. Jeszcze raz zagrała trąbka, a jej zgrzytliwy dźwięk przypominał pianie koguta, który z rozpaczą oznajmia nadejście świtu. Po tym wezwaniu na dziedzińcu pojawili się kolejni żołnierze.

Ostry protest drewnianych kół wzmagał się. Deornoth patrzył w dół opadającej, pustej teraz równiny przed murami miasta, chcąc odnaleźć źródło dźwięku. Spodziewał się, co może zobaczyć, lecz wciąż nie był przygotowany na taki widok.

– Na cholerne Drzewo! – zaklął i usłyszał podobną reakcję stojącego za nim żołnierza.

Z mroku wyłoniło się sześć machin oblężniczych, równie wysokich jak potężne mury osłonowe Naglimundu. Machiny zbliżały się do zamku, kołysząc się jak kulawe giganty. Poowijane ciemnymi skórami sunęły do przodu niczym wielkie jak drzewa niedźwiedzie o kwadratowych głowach. Pojękiwania i krzyki ukrytych ludzi, którzy je pchali, jak również skrzypienie wielkich jak domy kół przypominały odgłosy potworów niewidzianych na ziemi od najdawniejszych czasów.

Deornoth poczuł podniecające ukłucie strachu. Tak więc Król nadszedł wreszcie i oto jego armia stoi przed bramą. Dobry Boże, bez względu na to,

co się stanie, ludzie będą kiedyś śpiewać o tych wydarzeniach!

– Oszczędzajcie strzały, głupcy! – zawołał, widząc, że kilku obrońców zdążyło już wypuścić strzały, które spadły daleko przed celem. – Zaczekajcie! Zaczekajcie! Już niedługo będą aż za blisko!

Na widok rozświetlonych murów Naglimundu armia Eliasa uderzyła w bębny; wkrótce w ciemności rozległo się miarowe dudnienie maszerujących w ich rytm, jakby zbliżał się olbrzym. Z wież odezwały się trąbki, które – choć mizernie zabrzmiały na tle huku bębnów – świadczyły o gotowości zamku do obrony.

Deornoth poczuł czyjąś dłoń na ramieniu i podniósłszy głowę, zobaczył obok siebie dwie uzbrojone postacie: stał tam Isorn w hełmie z podobizną niedźwiedzia i Einskaldir w prostym hełmie, którego jedyną ozdobą był długi, zakrywający mu nos dziób. Oczy ciemnobrodego Rimmersmana płonęły jak pochodnie, gdy położył dłoń na ramieniu syna swego pana, Isgrimnura. Ostrożnie, ale stanowczo odsunął Isorna, tak by mógł stanąć przy samej krawędzi muru. Wpatrując się w ciemność, Einskaldir warczał jak pies.

– Tam – wskazał na podstawy wież oblężniczych – u stóp niedźwiedzia. Kamieniarki i tarany.

Zwrócił też uwagę na inne ogromne machiny, które posuwały się za wieżami. Były wśród nich katapulty o długich, silnych szyjach odchylonych do tyłu, wskutek czego przypominały przestraszone węże. Inne machiny wyglądały jak zwykłe pudełka obite skórą; ich obudowa nie pozwalała domyślić się ich przeznaczenia i umożliwiała bezpieczne dotarcie do samych murów pomimo strzał i kamieni.

– Gdzie jest książę? – spytał Deornoth, nie mogąc oderwać wzroku od pełznących potworów.

– Zaraz tu będzie – odparł Isorn; wspinał się na palce, by zobaczyć coś ponad ramieniem Einskaldira. – Po waszym powrocie z pertraktacji był przez cały czas z archiwistą i Jarnaugą. Mam nadzieję, że przygotowują coś wyjątkowego, by dodać nam sił albo osłabić Króla. Tylko popatrz na nich, Deornothu. – Wskazał na ciemne, kłębiące się masy królewskiej armii, które niczym mrówki sunęły za wieżami. – Jest ich tak dużo.

– Na rany Aedona – warknął Einskaldir i zwrócił piorunujące spojrzenie na Isorna. – Niech tu przyjdą. Przeżujemy ich, a potem wyplujemy.

– Widzicie – odezwał się Deornoth, mając nadzieję, że jego słowa zabrzmią tak wesoło, jak zamierzał. – Z pomocą boską, książęcą i Einskaldira, czy jest się czego obawiać?

Królewska armia wynurzała się z mgły za machinami oblężniczymi i rozłaziła po równinie jak muchy po skórce jabłka. Podobne do kanciastych grzybów namioty zdawały się wyrastać wprost z ziemi.

Kiedy oblegający zajęli pozycje, nastał już świt. Wciąż ukryte słońce zdołało usunąć na razie tylko jedną warstwę z ciemności nocy, pozostawiając świat jeszcze na jakiś czas zawieszony w mroku.

Ogromne machiny, które niczym drzemiący strażnicy stały nieruchomo od godziny, nagle ruszyły z miejsc. Uwijający się między kołami żołnierze ciągnęli za liny, gdy tymczasem wieże sunęły w górę. Wreszcie znalazły się w zasięgu strzału z łuku i łucznicy natychmiast zaczęli strzelać. Krzyczeli radośnie, gdy ich strzały wylatywały ze świstem, jakby cięciwy były pętami, z których udało im się uwolnić. Po pierwszej chaotycznej salwie potrafili już ocenić odległość. W następnej chwili wielu królewskich żołnierzy zginęło na miejscu albo leżało rannych, dopóki bezlitosne koła własnych machin nie wgniotły ich krzyczących przeraźliwie w ziemię. Lecz na miejsce każdego zabitego natychmiast pojawiał się kolejny, ubrany na

niebiesko żołnierz, który przejmował linę zabitego. Machiny oblężnicze zbliżały się nieubłaganie do murów.

Teraz królewscy łucznicy podeszli na taką odległość, że sami mogli rozpocząć ostrzał. Pomiędzy murami i ziemią przelatywały strzały jak roje oszalałych pszczół. Gdy machiny, dudniąc i skrzypiąc, zbliżały się do muru osłonowego, na chwilę wyszło słońce. Miejscami blanki skropione już były na czerwono, jakby padał deszcz.

DEORNOTHU! – BIAŁA, POZNACZONA strużkami brudnego potu twarz żołnierza lśniła pod jego hełmem jak księżyc w pełni. – Grimstede wzywa cię natychmiast! Podstawili drabiny pod Wieżą Dendinisa!

– Ch-olerne Drzewo! – Deornoth zacisnął zęby i odwrócił się, by poszukać Isorna.

Rimmersman wziął łuk od rannego łucznika i pomagał oczyścić teren między najbliższą wieżą oblężniczą a murem. Częstował strzałą każdego żołnierza, który był na tyle głupi, by wychylić się spoza osłony unieruchomionej machiny i próbować złapać luźne liny.

– Isornie! – zawołał Deornoth. – My powstrzymujemy machiny, a tymczasem pod południowo-zachodni mur podstawili drabiny.

– Idź tam! – odkrzyknął Isorn, nie odwracając się. – Dołączę do ciebie, jak tylko będę mógł!

– Ale gdzie jest Einskaldir? – Kątem oka zobaczył, że posłaniec przestępuje z nogi na nogę zniecierpliwiony.

– Nie mam pojęcia!

Klnąc pod nosem, Deornoth schylił się i pobiegł niezdarnie za posłańcem sir Grimstede’a. Po drodze zebrał kilku żołnierzy; zmęczeni siedli na chwilę pod murem, by złapać oddech. Na wezwanie Deornotha

pokiwali żałośnie głowami, lecz włożyli hełmy i poszli za nim. Deornoth cieszył się posłuchem wśród żołnierzy, z których wielu uważało go za prawą rękę Josui.

– Choć Josui nie poszczęściło się z jego prawą ręką – pomyślał ze smutkiem Deornoth, który biegnąc, czuł, że jest spocony pomimo chłodu – mam nadzieję, że tę zatrzyma dłużej. Ale gdzie jest książę? Właśnie teraz powinien być...

Wybiegając zza masywnej Wieży Dendinisa, z przerażeniem zobaczył, że żołnierze sir Grimstede'a cofają się, a na murach pojawiają się czerwono-niebieskie mundury żołnierzy barona Godwiga z Cellodshire.

– Za Josuę! – krzyknął i skoczył do przodu.

Zdążający za nim ludzie zawtórowali mu. Natarli gwałtownie na oblegających, odpowiadając ciosem za cios, i powstrzymali na chwilę ich atak. Jeden z atakujących spadł z muru; leciał, krzycząc przeraźliwie i machając ramionami, jakby miał nadzieję, że wiatr go uniesie. Ludzie Grimstede'a nabrali otuchy i zaatakowali. W zamieszaniu Deornoth wyrwał pikę z rąk martwego żołnierza, otrzymując jednocześnie przypadkowe uderzenie w brzuch końcem włóczni, i zaczął odpychać od ściany jedną z drabin. W następnym momencie dwóch jego żołnierzy przyszło mu z pomocą i wspólnie udało im się odepchnąć ją od muru. Wyleciała w powietrze, drżąc, a wspinający się po niej napastnicy przylgnęli do niej kurczowo; ich szeroko otwarte usta przypominały czarne, puste dziury. Na chwilę zatrzymała się, prostopadła zarówno do nieba, jak i ziemi, lecz zaraz przechyliła się, zrzucając z siebie żołnierzy, jakby to były owoce na gałęzi drzewa.

Wkrótce prawie wszyscy czerwono-niebiescy leżeli zabici. Obrońcy odepchnęli pozostałe trzy drabiny i Grimstede rozkazał swym ludziom przytoczyć ogromny kamień. Wyrzucili kamień za mur w miejscu, gdzie

jego krawędź była niska, a ten spadł na przewrócone drabiny, roztrzaskując je na drzazgi i przy okazji zabijając jeszcze jednego napastnika, który siedział na ziemi i patrzył głupkowato na spadający wprost na niego kamień.

Jeden z obrońców – młody brodacz, z którym kiedyś Deornoth grał w kości – leżał z przetrąconym tarczą karkiem. Zginęło też czterech ludzi sir Grimstede'a; ich poskręcane ciała przypominały przewrócone przez wiatr strachy na wróble. Leżeli pośród siedmiu martwych żołnierzy z Cellodshire, którzy także nie przeżyli ataku.

Deornoth z trudem mógł złapać oddech, gdyż wciąż silnie odczuwał uderzenie w żołądek. Podszedł do niego kulejący Grimstede; jeden z jego butów na wysokości łydki był rozerwany, a z postrzępionej dziury ciekła krew.

– Tutaj siedmiu i na dole z sześciu – powiedział rycerz, spoglądając z satysfakcją na pokonanych przeciwników. – Na pozostałych pozycjach muru jest podobnie: król Elias stracił o wiele więcej żołnierzy niż my.

Deornoth czuł, że robi mu się niedobrze, a na dodatek ramię rozrywał mu pulsujący ból, jakby ktoś wbił mu w nie gwóźdź.

– Ale Król ma... więcej żołnierzy. – Teraz był pewien, że zwymiotuje, i podszedł do krawędzi muru.

– Skórka jabłka... – powtórzył i przechylił się przez krawędź, zbyt obolały, by odczuwać wstyd.

PROSZĘ, PRZECZYTAJ TO JESZCZE RAZ – powiedział spokojnie Jarnauga, wpatrując się w swe splecione palce.

Ojciec Strangyeard podniósł wzrok i otworzył usta, aby zadać pytanie. Lecz w tym momencie nastąpił straszliwy, przyprawiający o dreszcze grzmot i przerażony jednooki kapłan zrobił szybko na piersi znak Drzewa.

– Kamienie! – powiedział ochrypłym głosem. – Rzucają przez mury kamienie! Czy nie powinniśmy... czy nie ma...

– Żołnierze walczący na murach także są w niebezpieczeństwie – odparł surowym tonem Jarnauga. – Jesteśmy tutaj, ponieważ tu właśnie możemy służyć najlepiej. Nasi towarzysze z narażeniem życia szukają miecza na śnieżnej Północy. Jeszcze inny spośród nas znajduje się już w rękach wroga, chociaż oblega on nasz zamek. Od nas zależy, czy się dowiemy, co się stało z mieczem Fingila. – Widząc przestraszonego Strangyearda, spojrzał na kapłana łagodniejszym wzrokiem. – Kamienie, które dolatują do wewnętrznej twierdzy, muszą przelecieć nad wysokim murem tuż za naszym pokojem. Jesteśmy całkiem bezpieczni. A teraz, proszę, przeczytaj ten fragment jeszcze raz. Jest w nim coś, czego nie mogę uchwycić, a co wydaje się istotne.

Kapłan patrzył przez chwilę w stronę manuskryptu; w pokoju zaległa cisza i tylko przez okno dolatywały gdzieś z oddali stłumione krzyki. Usta Strangyearda wykrzywił grymas.

– Czytaj – ponaglił go Jarnauga.

Kapłan chrząknął.

...I tak John zszedł do podziemi Hayholt – dusznych korytarzy i przejść, w których unosił się oddech smoka Shurakai. Miał tylko włócznię i tarczę; z jego skórzanych butów unosił się dym, w miarę jak zbliżał się do gniazda smoka. Bez wątpienia odczuwać musiał strach, jakiego nie zaznał w całym swym długim życiu...

Strangyeard zamilkł.

– Jarnaugo, po co to czytanie? – Gdzieś niedaleko upadło coś z hukiem, jakby to był młot olbrzyma. Strangyeard zignorował hałas. – Czy chcesz, żebym czytał dalej? Mam przeczytać o walce Króla Johna ze smokiem?

– Nie – Jarnauga machnął chudą dłonią. – Przeczytaj tylko zakończenie.

Duchowny przerzucił ostrożnie kilka stron.

...Aż wreszcie wyszedł na światło, choć nikt już nie miał nadziei na jego powrót. Ci nieliczni, którzy pozostali u wejścia do jaskini – już tylko to świadczyło o ich ogromnej odwadze, gdyż nikt nie wiedział, co mogło się wydarzyć w jaskini rozwścieczonego smoka – powitali go głośnymi okrzykami radości i zdumienia. Ucieszyli się, widząc, że John z Warinsten wychodzi żywy z jaskini potwornej bestii, i zdumieli na widok ogromnej smoczej łapy pokrytej czerwonymi łuskami i zakończonej straszliwymi szponami, którą niósł na ramieniu. Kiedy weszli do Erchesteru, prowadząc jego konia i wiwatując radośnie, ludzie podchodzili do drzwi i okien. Niektórzy twierdzą, że ci, którzy najgłośniej przepowiadali śmierć Johna i najbardziej obawiali się konsekwencji czynu młodego rycerza, teraz także najgłośniej wychwalali jego czyny. Wieść szybko rozeszła się po okolicy i wnet wzdłuż drogi ustawili się mieszkańcy, którzy witali Johna radośnie i rzucali przed nim kwiaty, a John jechał przez miasto ze swym Białym Gwoździem uniesionym nad głową niczym pochodnia...

Wzdychając, Strangyeard odłożył delikatnie przeczytane strony do cedrowego pudełka, w którym przechowywał manuskrypt.

– Piękna to, lecz i straszna opowieść, Jarnaugo. A Morgenes, hmm... tak, potrafi opowiadać, tylko co nam z tego? Nie chcę przez to powiedzieć, że uważam manuskrypt za mało ważny.

Jarnauga wpatrywał się w swe kłykcie nachmurzony.

– Nie wiem. W tym coś jest. Doktor Morgenes – świadomie czy też nie – coś nam przekazał. Na niebo, chmury i kamienie! Prawie tego dotykam! Czuję się jak ślepiec!

Przez okno dobiegła kolejna fala odgłosów: głośne okrzyki i pobrzękiwanie zbroi, gdyż pod oknem przebiegała właśnie grupa żołnierzy.

– Jarnaugo, chyba nie mamy dużo czasu na zastanawianie się – powiedział Strangyeard.

– I ja tak sądzę – odparł starzec, przecierając oczy.

PRZEZ CAŁE POPOŁUDNIE kolejne fale natarcia, niczym fale przypływu, napierały na kamienne klify Naglimundu. Słabo świecące słońce odbijało się od wypolerowanego metalu, gdy kolejne fale ubranych w kolczugi i hełmy żołnierzy wspinały się po drabinach, które obrońcy skutecznie odtrącali. Czasem w jakimś miejscu królewskie siły znajdowały lukę w pierścieniu nieugiętych obrońców i wrogich kamieni, ale natychmiast zostawały odparte. Gruby Ordmaer sam bronił długo jednej z takich luk; zabił czterech spośród atakujących z drabin napastników, a pozostałych utrzymywał na odległość miecza, dopóki nie nadeszła pomoc, lecz nie uszedł z życiem z tej potyczki.

Z pomocą nadbiegł książę Josua. Żołnierze, którzy z nim przybyli, zabezpieczyli odcinek muru i odepchnęli drabinę. Miecz Josui Naidel wydawał się słonecznym promieniem migającym wśród liści; śmigał zwinnie pomiędzy niezdarnymi pałaszami i sztyletami, a po każdym ataku padał kolejny przeciwnik.

Książę zapłakał, ujrzawszy ciało Ordmaera. Baron – tak bliski Josui – zginął bohaterską śmiercią i nagle wśród zgiełku walki śmierć Ordmaera wydała się księciu symbolem śmierci pozostałych: wszystkich pikinierów, łuczników i piechurów po obu stronach, którzy umierali pod chmurnym, zimnym niebem. Książę rozkazał, aby ogromne i ciężkie ciało barona

zaniesiono do zamkowej kaplicy. Żołnierze, przeklinając pod nosem, wykonali rozkaz.

W miarę jak czerwone słońce coraz bardziej zbliżało się ku zachodniemu horyzontowi, armia Króla Eliasa traciła impet; jej próby przebicia machinami muru osłonowego w obliczu gradu świszczących strzał nie były już tak gwałtowne, a żołnierze opuszczali drabiny przy pierwszych oznakach oporu z góry. Trudno było kazać zabijać się wzajemnie Erkynlandczykom, nawet jeśli rozkazy wydawał sam Król. Tym trudniej, że ich bracia bronili się z zaciekłością osaczonego borsuka.

O zachodzie słońca wśród namiotów rozległo się żałosne wołanie rogu i siły Eliasa zaczęły się wycofywać, ciągnąc za sobą rannych i zabitych; obite skórami wieże oblężnicze pozostały na miejscach w oczekiwaniu na poranny atak. Przy kolejnym wezwaniu rogu zagrały też głośno bębny, jakby przypominając obrońcom, że fale królewskiej armii – podobnie jak fale oceanu – nigdy nie ustają. Bębny zdawały się mówić, że w końcu nawet najbardziej uparty kamień się skruszy.

Stojące przed murami ogromne obeliski wież oblężniczych nie pozwalały zapomnieć obrońcom o zamiarach Eliasa. Osłona z mokrych skór nie pozwoliła na wzniecenie pożaru za pomocą płonących strzał, lecz Eadgram i lord konstabl zastanawiali się nad tym problemem przez cały dzień. Wreszcie, po konsultacjach z Jarnaugą i Strangyeardem, powstał pewien plan.

Ostatni maruderzy z armii króla schodzili w dół do swego obozu, gdy Eadgram rozkazał umieścić napełnione oliwą bukłaki na ramionach dwóch małych miotarek. Gdy ramiona uwolniono, worki ze świstem poszybowały ponad murem i rozbiły się o skórzaną osłonę machin, a zaraz potem wyleciały w mrok umoczone w smole i zapalone strzały. Wszystkie cztery wieże natychmiast zamieniły się w ogromne pochodnie.

Nie sposób było ugasić takiego pożaru. Stojący na murach obrońcy gratulowali sobie wzajemnie, pomimo zmęczenia krzyczeli i tupali uradowani w pomarańczowym blasku płonących wież.

Obrońcy zagwizdali na widok Króla Eliasa, który wyjechał konno przed obóz, owinięty w obszerny, czarny płaszcz, upodabniający go do cienia. Kiedy Król uniósł swój dziwny, szary miecz i zawołał jak szaleniec, by spadł deszcz i ugasił ogień na wieżach, roześmiali się niepewnie. Dopiero po chwili, gdy przejechał krótki dystans w jedną i drugą stronę, powiewając czarną peleryną, z gniewu w jego głosie, jaki rozbrzmiewał jeszcze echem, zrozumieli, że on rzeczywiście spodziewał się deszczu i że był wściekły, gdy deszcz nie spadł. Śmiech zamarł na ich ustach i zapadła przeraźliwa cisza. Naglimundczycy schodzili z murów w milczeniu, by zająć się swymi ranami. Oblężenie przecież dopiero się zaczęło. Nie zanosiło się na odpoczynek po tej stronie niebios.

BINABIKU, ZNOWU MAM te dziwne sny.

Simon jechał obok Qantaqi, wyprzedzając pozostałych. Dzień był pogodny, lecz przeraźliwie mroźny; był to już szósty dzień ich podróży przez Białe Pustkowie.

– Jakie sny?

Simon poprawił maskę, jaką sporządził dla niego Binabik – kawałek skóry z wyciętymi otworami chroniący go przed oślepiającym blaskiem śniegu. – O Wieży Zielonego Anioła albo jakiejś innej wieży. Ostatniej nocy śniło mi się, że ociekała krwią.

Binabik, schowany za własną maską, zmrużył oczy i wskazał na słabo widoczny, szary pas na horyzoncie, u podnóża gór.

– Jestem pewien, że to jest krawędź lasu Dimmerskog czy też *Qilakitsoq*, jak my go nazywamy: Las Cieni. Dotrzemy do niego za dzień

lub dwa.

Wpatrując się w posępny, szary pasek, Simon poczuł, że wzbiera w nim gniew.

– Nic mnie nie obchodzi ten cholerny las – warknął. – I mam już dość śniegu i lodu; nic tylko śnieg i lód! Zamarzniemy na śmierć na tym przeklętym pustkowiu! A do tego jeszcze te moje sny!

Troll podskakiwał przez chwilę, gdyż Qantaqa pokonywała akurat kilka mniejszych zasp. Pomimo wycia wiatru słychać było wołanie Haestana.

– Strasznie mi przykro – odezwał się wreszcie, skandując Binabik, jakby chciał dostosować rytm swej mowy do rytmu podróży. – Przez dwie noce zastanawiałem się w Naglimundzie, ile zła mogę ci wyrządzić, zabierając na tę wyprawę. Nie wiem, co znaczą twoje sny, a jedynym sposobem dowiedzenia się czegoś na ten temat byłoby wejście na Ścieżkę Snów.

– Tak samo jak u Geloë?

– Tak, lecz nie ufam swej mocy w tej sprawie; nie teraz i nie tutaj. Może nawet twoje sny mogłyby okazać się nam pomocne, nie uważam jednak za stosowne wchodzenia teraz na Ścieżkę Snów. Jesteśmy tutaj razem i razem musimy dzielić nasz los. Mogę tylko powiedzieć, że robię to, co wydaje mi się najlepsze.

Simon zastanawiał się przez jakiś czas i wreszcie chrząknął.

„Jesteśmy tutaj razem; tak, Binabik ma rację, jesteśmy tutaj razem i za daleko, aby zawrócić”.

– Czy Inelu... – drżącymi palcami zrobił znak Drzewa – ...czy Król Burz jest diabłem? – wreszcie odważył się zapytać.

Binabik zmarszczył czoło.

– Diabłem? Wrogiem waszego Boga? Dlaczego o to pytasz? Słyszałeś opowieść Jarnaugi. Wiesz, czym jest Ineluki.

– Chyba tak. – Simon zadrżał. – Pytam, bo... ukazuje mi się w snach. Tak mi się przynajmniej wydaje, że to on. Czerwone oczy... widzę tylko czerwone oczy, a wszystko inne jest czarne, jak spalone kłody z wypalonymi dziurami. – Na wspomnienie tego obrazu zrobiło mu się niedobrze.

Troll wzruszył ramionami, nie wypuszczając z dłoni gęstej sierści wilczycy.

– Nie, przyjacielu, on nie jest waszym diabłem. Choć jest złą istotą, a przynajmniej wydaje mi się, że to, do czego zmierza, będzie dla nas złe.

– A... a smok? – spytał niepewnie Simon.

Binabik odwrócił gwałtownie głowę i spojrzał na niego tym dziwnym spojrzeniem zmrużonych oczu.

– Smok?

– Ten, który żyje na górze. Którego imienia nie potrafię wymówić.

Binabik roześmiał się głośno, wypuszczając potężny obłok pary.

– Nazywa się Igjarjuk! Na Córę Gór, widzę, że masz wiele zmartwień: diabły, smoki! – Schwycił jedną ze swych łez na czubek rękawicy i uniósł ją do góry. – Spójrz! – powiedział wesoło. – Jakbyśmy i tak nie mieli już dość lodu!

– Ale przecież *był* smok! – zaperzył się Simon. – Wszyscy tak mówili!

– Simonie, to było dawno temu. Miejsce to cieszy się złą sławą, ale – według mnie – przyczyniło się do tego jego odosobnienie. Legendy ludu Qanuc mówią o wielkim lodowym smoku, który tam mieszkał, i moi ludzie nie zapuszczają się w tamte strony, lecz teraz jest to chyba głównie kryjówka śnieżnych lampartów i tym podobnych zwierząt. Co nie znaczy, że jest tam zupełnie bezpiecznie. Wiemy na przykład, że Huneny działają na bardzo szerokim terenie.

– Tak więc naprawdę nie mam się czego obawiać? W nocy chodziły mi po głowie straszliwe myśli.

– Simonie, nie mówiłem, że nie masz się czego obawiać. Nigdy nie powinniśmy zapominać o istnieniu wrogów, z których niejeden może się okazać niezwykle potężny.

Potem była jeszcze jedna lodowata noc; jeszcze jedno ognisko pośród pustych, śnieżnych pól. Simon o niczym bardziej nie marzył, jak o tym, żeby położyć się pod kocem w swym łóżku w Naglimundzie; nic nie byłoby w stanie wyciągnąć go z niego, nawet gdyby za drzwiami szalała najkrwawsza bitwa w historii Osten Ard. Był pewien, że gdyby ktoś w tej chwili oferował mu ciepłe, suche miejsce do spania, gotów byłby zabić, skłamać albo wzywać imienia Usiresa nadaremnie, byleby tylko je dostać. Kiedy siedział zawinięty w koc, starając się powstrzymać szczękanie zębami, wydawało mu się, że przymarzają mu nawet powieki.

W niekończącej się ciemności poza słabym blaskiem ich ogniska wilki prowadziły swe żałosne konwersacje. Dwie noce wcześniej, kiedy po raz pierwszy usłyszeli ich śpiewy, Qantaqa przez cały wieczór chodziła nerwowo wokół ogniska. Później przyzwyczaiła się do nocnych nawoływań pobratymców i tylko czasem odpowiadała cichym skamleniem.

– Dlaczego ona nie odpowie im głośno? – spytał podejrzliwie Haestan. Pochodząc z równin północnego Erkynlandu, nie przepadał za wilkami, podobnie jak Sludig, choć prawie polubił wilczycę. – Dlaczego nie powie im, żeby poszły straszyć gdzie indziej?

– Podobnie jak wśród ludzi, nie wszystkie wilcze plemiona żyją ze sobą w zgodzie – odparł Binabik.

Wyjaśnienie trolla wcale nie poprawiło humorów pozostałym.

Tego wieczoru wilczyca szczególnie mocno starała się ignorować wycie wilków; udawała, że śpi, lecz zdradzały ją uszy, które nastawiała w stronę

głośniejszych wezwań. Simon pomyślał, szczelniej otulając się kocem, że wilcza pieśń jest jedną z najsmutniejszych, jakie kiedykolwiek słyszał.

„Dlaczego ja tu jestem? – zastanawiał się. – Dlaczego my wszyscy tu jesteśmy? Szukamy wśród przeklętych śniegów jakiegoś miecza, którym od lat nikt się nie przejmował. Tymczasem księżniczka i inni czekają w zamku na oblężenie Króla! Jestem głupi! Binabik wychował się w górach, Grimmric, Haestan i Sludig są żołnierzami, a tylko jeden Aedon wie, czego chcą Sithowie. Dlaczego więc ja tu jestem? To głupie!”

Wilki ucichły. Simon podskoczył pod niespodziewanym dotknięciem smukłej dłoni.

– Simonie, czy i ty słuchasz wilków? – spytał Jiriki.

– Trudno ich nie słuchać.

– Ich pieśni są takie tragiczne. – Sitha pokiwał głową. – Podobne są do was, śmiertelników. Śpiewają o tym, gdzie były, co widziały i wywęszyły. Opowiadają sobie, którędy chodzą łosie i które spośród ich stada połączyły się w pary, lecz przeważnie wołają „Oto jestem! Tutaj jestem!” – Jiriki uśmiechnął się, wpatrzony w dogasające ognisko.

– Uważasz, że my, śmie... śmiertelnicy, też tak mówimy?

– Słowami lub bez nich – odparł książę. – Spróbuj zobaczyć świat naszymi oczami; *Zida’ya* wydajecie się często dziećmi. Widzicie, że długowieczni Sithowie nie śpią, że czuwają w czasie długiej nocy historii. Wy, ludzie, podobnie jak dzieci, chcielibyście pozostać ze starszymi przy ognisku, słuchać pieśni, opowieści i przyglądać się tańcom. – Zatoczył dłonią łuk, jakby otaczająca ich ciemność pełna była ludzi, o których mówi. – Ale wy nie możecie, Simonie – ciągnął spokojnie Jiriki. – Nie wolno wam. Dane wam jest przespać ostatni sen, tak jak nam dane jest wędrować i śpiewać pod gwiazdami przez całą noc. Być może w waszych marzeniach sennych jest jakieś bogactwo, którego my, *Zida’ya*, nie rozumiemy.

Gwiazdy na czarnym, kryształowym niebie wydawały się oddalać, wtapiać głębiej w przestworza nocy. Simon zastanawiał się nad Sithami, myślał o życiu, które nie ma końca, lecz nie mógł sobie tego wyobrazić. Zziębnięty do szpiku kości – a nawet wydawało mu się, że do samej duszy – pochylił się do ognia i ściągnął rękawiczki, by ogrzać dłonie.

– Ale chyba Sithowie mo...mogą um...umierać? – spytał niepewnie, zły, że tak jąka się z zimna.

Jiriki pochylił się ku niemu i zmrużył oczy; przez chwilę Simon, przestraszony, pomyślał, że Sitha chce go uderzyć za okazaną zuchwałość. Lecz Jiriki ujął drżącą dłoń Simona i uniósł ją nieco.

– Twoja obrączka – powiedział, wpatrując się w delikatny wzór ryby. – Nie widziałem jej wcześniej u ciebie. Kto ci ją dał?

– Mój... mistrz, chy...chyba mistrz – wyjąkał Simon. – Doktor Morgenes z Hayholt. Przesłał ją dla mnie przez Bi...Binabika. – Simon czuł się nieswojo, czując, chłodny i silny uścisk dłoni Sithy, lecz nie miał odwagi cofnąć dłoni.

– Jesteś więc jednym z tych, którzy znają Tajemnicę? – Jiriki przyglądał mu się uważnie. Głębia jego złocistych oczu zabarwionych teraz rdzawym odblaskiem ognia wywoływała u Simona niepokój.

– Ta...tajemnicę? Ni...nie! Nie znam żadnej tajemnicy!

Jiriki patrzył na niego jeszcze przez chwilę, trzymając go mocą swego wzroku równie pewnie, jakby dłońmi chwycił go za głowę.

– W takim razie dlaczego dał ci obrączkę? – Jiriki spytał jakby samego siebie i puścił dłoń Simona. – Ja sam dałem ci Białą Strzałę! Doprawdy Przodkowie wyznaczyli nam dziwną drogę. – Odwrócił się w stronę ognia i pozostał tak milczący.

„Tajemnice – pomyślał Simon ze złością. – Nowe tajemnice! Ma je Binabik, miał je Morgenes i pełno ich u Sithów! Nie chcę znać żadnych

tajemnic! Dlaczego spotkała mnie taka kara? Dlaczego wciąż ktoś zmusza mnie do poznawania jakichś okropnych tajemnic?” Schował twarz między kolanami i zapłakał cicho, drżąc i marząc o rzeczach niemożliwych.

Popołudniem następnego dnia dotarli do wschodniego skraju lasu Dimmerskog. Choć przykryty grubą warstwą śniegu, las i tak – zgodnie ze słowami Binabika – przypominał miejsce cieni. Podróżni nie kwapili się z przekroczeniem jego granicy, gdyż rzeczywiście emanowała z niego niesamowicie złowroga atmosfera. Drzewa pomimo swych rozmiarów – a niektóre były doprawdy ogromne – przypominały karły poskręcane pod brzemieniem pozbawionych igieł gałęzi i śniegu. Korytarze pomiędzy powyginanymi pniami wiły się chaotycznie, jakby wykopał je jakiś ogromny i zwariowany kret, i ginęły w lesie, prowadząc do jego niebezpiecznych i tajemniczych głębi.

Jadąc prawie w zupełnej ciszy – jedynie końskie kopyta skrzypiały cicho na śniegu – Simon wyobrażał sobie, że wjeżdża w korytarze prowadzące do podtrzymywanych kolumnami drzew i zadaszonych śniegiem komnat Dimmerskog, które z kolei zaprowadzą go do... kto to mógł wiedzieć, dokąd? Może do mrocznego, złośliwego serca lasu, miejsca, w którym drzewa oddychały wspólnym oddechem i przekazywały sobie niekończące się opowieści, ocierając się konarami, albo też wdychały złowrogi powiew wiatru gałązkami i zmrożonymi liśćmi.

Obóz rozbili na otwartej przestrzeni, lecz las był tuż obok; czuli jego obecność, jakby był śpiącym zwierzęciem. Nikt nie chciał spać pod drzewami, a szczególnie Sludig, który wychował się na opowieściach o straszydłach, jakie można było spotkać w mrocznych korytarzach lasu. Sithowie wydawali się spokojni, lecz Jiriki przez pół wieczoru oliwił swój miecz z ciemnego, magicznego drewna. Znowu wszyscy skupili się przy ognisku, a wschodni wiatr przemykał ze świstem, obrzucając ich tumanami

śnieżnego pyłu, i dokazywał w leśnych konarach. Kiedy tamtego wieczoru położyli się spać, usypiał ich odgłos trzeszczących drzew oraz targanych wiatrem, ocierających się o siebie gałęzi.

Potrzebowali dwóch kolejnych dni, by objechać las i pokonując ostatni odcinek lodowej pustyni, dotrzeć do stóp gór. Krajobraz był ponury, a światło dnia odbijało się od śnieżnej skorupy tak intensywnie, że Simona rozbolała głowa od mrużenia oczu, za to ociepliło się trochę. Śnieg wciąż padał, lecz wiatr nie był już tak przenikliwie zimny jak na otwartej przestrzeni.

– Spójrz! – zawołał Sludig, wskazując na wzgórza.

Początkowo Simon widział tylko wszechobecne skały i drzewa w śnieżnych czapach, lecz kiedy powiódł wzrokiem w kierunku wschodnim wzdłuż łańcucha niższych wzgórz, dostrzegł jakiś ruch. Na grzbiecie jednego z nich widać było dwie dziwne postacie – a może cztery, tylko skupione?

– Wilki? – spytał nerwowo.

Binabik wyjechał przed całą grupę i przyłożył złożone dłonie do ust.

– *Yah agonik mij-ayah nu tutusiq, henimaatuq?* – zawołał. Jego słowa odbiły się krótkim echem i zamarły pośród szczytów. – W zasadzie nie powinno się krzyczeć – szepnął do zaskoczonego Simona. – Tam w górze mogłoby to spowodować lawinę.

– Ale do kogo...

– Ciii... – Binabik zamachał ręką.

Chwilę później obie postacie zeszły trochę niżej w kierunku przybyłych. Teraz dopiero Simon zobaczył, że są mali i jadą na kędzierzawych baranach o wygiętych rogach. Trolle!

Jeden z nich zawołał coś. Binabik wysłuchał go uważnie, po czym odwrócił się do pozostałych uśmiechnięty.

– Chcą wiedzieć, dokąd jedziemy i czy jeden z nas czasem nie jest żywiącym się mięsem Rimmersmanem oraz czy nie jest on więźniem.

– A niech go diabeł porwie! – warknął Sludig.

Odwracając się do trolli, Binabik uśmiechnął się jeszcze promienniej.

– *Binbiniqegabenik ea sikka!* – zawołał. – *Uc sikkan mohinaq dsa Yijarjuk!*

Obie zakapturzone postacie popatrzyły na nich tępo, jak oślepione słońcem sowy. Po chwili jeden z trolli uderzył się dłonią w pierś, a drugi zatoczył schowaną w rękawicy dłonią szeroki łuk, po czym obaj zawrócili swe wierzchowce i ruszyli w górę, wzbijając za sobą tumany śnieżnego pyłu.

– Co to miało znaczyć? – spytał poirytowany Sludig.

Binabik uśmiechał się niepewnie.

– Powiedziałem im, że udajemy się do Urmsheim – wyjaśnił. – Jeden z nich zrobił znak mający odgonić złe, a drugi wykonał zaklęcie przeciwko szaleńcom.

Wjechawszy między wzgórza, rozbili obóz w małej, skalistej dolinie wciśniętej między fałdy przedgórza Urmsheim.

– Tutaj powinniśmy zostawić konie i te rzeczy, które nie będą nam już potrzebne – powiedział Binabik, rozglądając się po okolicy.

Jiriki podszedł do wylotu doliny i wychyliwszy się, spojrzał w górę na urwistą, ozdobioną śnieżną czapą głowę Urmsheim; słońce zaróżowiło jej twarz na zachodzie. Wiatr wydął jego płaszcz i oplótł włosy wokół twarzy, które teraz wyglądały jak strzępy lawendowych chmur.

– Wiele czasu upłynęło od mojej wizyty tutaj – powiedział.

– Byłeś już w tych górach? – spytał Simon, mocując się ze sprzączką uprzęży.

– Nigdy nie widziałem drugiego zbocza góry – odparł Sitha. – Będzie to dla mnie coś nowego; zobaczę najbardziej na wschód wysunięte tereny *Hikeda'ya*.

– Nornów?

– Przyznano im cały obszar na północ od tych gór. Nastąpiło to w czasie Podziału. – Jiriki powrócił do pozostałych. – Ki'ushapo, razem z Sijandim przygotujesz schronienie dla koni. Widzisz, w załamaniach skał rosną krzewy; mogą się okazać bardzo przydatne, gdy skończy się siano. – Jiriki powiedział coś jeszcze w języku sithijskim i obaj Sithowie zabrali się do rozbijania bardziej stałego obozu od tych, w których nocowali od chwili opuszczenia myśliwskiej kryjówki.

– Spójrz, Simonie, co przyniosłem! – zawołał Binabik.

Chłopiec minął rąbiących drewno żołnierzy i podszedł do trolla. Binabik przykucnął i wyciągał z torby jakieś pakunki zawinięte w pachnące oliwą szmaty.

– Kowal z Naglimundu powiedział, że jestem równie głupi, jak mały. – Binabik uśmiechnął się do Simona. – Ale zrobił wszystko, o co prosiłem.

Z zawiniątka wysypały się dziwne przedmioty: metalowe płytki pokryte kolcami i wyposażone w sprzączki i paski, dziwne młotki z ostrymi końcami i komplety uprzęży, które mogły pasować tylko na bardzo małe konie.

– Co to jest?

– Te przedmioty pomogą nam zjednać sobie i pokonać góry – zażartował Binabik. – Nawet Qanucowie, choć znani są z łatwości poruszania się po górach, nie wspinają się na najwyższe szczyty bez przygotowania. Widzisz, te rzeczy zakłada się na buty – wskazał na płytki z kolcami. – A to są śnieżne siekierki, okazują się bardzo pomocne. Sludig zna je z pewnością.

– A te uprzęże?

– Pomogą nam połączyć się razem. Jeśli będzie deszcz ze śniegiem, będziemy iść po smoczym śniegu albo zbyt cienkim lodzie i jeden z nas spadnie, pozostali zdołają go podtrzymać. Mogłem też zrobić uprząż dla Qantaqi. Zmartwi się, że będzie musiała zostać. – Nucąc pod nosem, troll zabrał się do czyszczenia i oliwienia.

Simon patrzył w milczeniu na narzędzia Binabika. Wydawało mu się, że wspinaczka po górach będzie bardziej przypominała wspinanie się po schodach Wieży Zielonego Anioła – stromo pod górę, lecz nic poza tym. To gadanie o spadaniu i cienkim lodzie...

– Simonie, chłopcze! – Grimmric przerwał jego rozmyślania. – Przyłącz się do nas i nazbieraj drewna. Rozpalimy ostatnie porządne ognisko, zanim pójdziemy pozabijać się tam w górze.

TEJ NOCY ZNOWU UKAZAŁA MU SIĘ we śnie biała wieża. Przywarł desperacko do jej zakrwawionej ściany, gdy w dole wyły wilki, a u góry ciemna postać o czerwonych oczach biła w żałośnie brzmiące dzwony.

KARCZMARZ PODNIÓSŁ WZROK, otworzył usta, by coś powiedzieć, i zamarł. Zamrugał i przełknął ślinę jak żaba.

Przybysz był mnichem ubranym w czarny habit poplamiony miejscami błotem. Uwagę zwracała jego postura: był dość wysoki, lecz gruby jak beka piwa; na tyle szeroki, że gdy stanął w drzwiach karczmy – trzeba przyznać, niezbyt jasnej – wewnątrz pociemniało.

– Prze...przepraszam, ojcze. – Karczmarz uśmiechnął się uprzejmie. Oto był człowiek aedonickiego Boga, który – gdyby tylko zechciał – mógłby wycisnąć z ciebie grzech samą ręką. – O co pytałeś?

– Mówię, że odwiedziłem każdą karczmę na wszystkich ulicach całego nabrzeża i bez powodzenia. Już mnie bolą plecy. Daj mi kufel najlepszego piwa. – Podszedł do stołu i siadł na trzeszczącej ławce. – W tym cholernym Abaingeat jest więcej karczm niż ulic.

Karczmarz zauważył, że obcy mówi z akcentem Rimmersmana. To tłumaczyło jego czerstwą, rumianą twarz. Przypomniał sobie, jak mówiono, że mężczyźni z Rimmersgardu mają tak silny zarost, że muszą golić się trzy razy dziennie – oczywiście chodziło o tych nielicznych, którzy nie zapuścili brody.

– Jesteśmy miastem portowym, ojcze – powiedział, stawiając pękaty dzban przed groźnie patrzącym mnichem. – A w takich czasach jak dzisiejsze – wzruszył ramionami – wielu obcych szuka pokoi.

Mnich otarł pianę z górnej wargi i zmarszczył czoło.

– Wiem. Cholerny wstyd. Biedny Lluth...

Karczmarz rozejrzał się zaniepokojony, lecz siedzący w rogu erkynlandzcy gwardziści nie zwracali na nich uwagi.

– Mówiłeś, ojcze, że ci się nie powiodło – odezwał się, zmieniając temat. – Czy mogę spytać, kogo szukasz?

– Mnicha – odparł przybysz. – Z tego samego zakonu co ja, i chłopca. Przeszukałem całe nabrzeże.

Karczmarz uśmiechnął się i zaczął wycierać fartuchem metalowy dzban.

– I trafiłeś wreszcie tutaj? Wydaje mi się, ojcze, że twój Bóg wystawił cię na próbę.

Olbrzym mruknął coś pod nosem i spojrzał znad piwa.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Byli tutaj, byli. Jeśli oczywiście to ci sami.

Uśmiech zamarł mu na ustach, gdy mnich zerwał się z ławki. Jego czerwona twarz znalazła się tuż przed twarzą karczmarza.

– Kiedy?

– D...dwa m...może trzy dni temu. Nie...nie jestem pewien.

– Naprawdę nie jesteś pewien – spytał groźnie mnich – czy też chcesz pieniędzy?

Wsunął dłoń pod habit. Karczmarz nie wiedział, czy mnich szuka sakiewki, czy też noża. Tak naprawdę, to nigdy nie ufał zbytnio wyznawcom Usiresa, a życie w najbardziej kosmopolitycznym mieście Hernystiru nie skłaniało go do zmiany poglądów.

– Och, nie, ojcze! Byli... byli tu kilka dni temu. Szukali jakiejś łodzi, która by płynęła w dół wybrzeża do Perdruin. Mnich był niski, łysy? Chłopak mizerny na twarzy, miał czarne włosy? Byli tutaj.

– Co im powiedziałeś?

– Kazałem im pójść do starego Gealsgiatha, który mieszka przy Eirgid Ramh – to karczma z wymalowanym nad drzwiami wiosłem, nad samą wodą.

Zamilkł przestraszony, gdy olbrzymie dłonie mnicha spoczęły na jego ramionach. Karczmarz, choć sam nie ułomek, poczuł się jak małe dziecko w ramionach olbrzyma. Chwilę później wił się w miażdżącym mu żebra uścisku i z trudem łapał oddech, gdy mnich wcisnął mu do ręki złotego imperatora.

– Niech litościwy Usires pobłogosławi twoją karczmę, Hernystirczyku! – zagrzmiał olbrzym, przyciągając uwagę przechodniów na ulicy. – Po raz pierwszy od chwili, gdy wyruszyłem na tę sakramencką wyprawę, dopisało mi szczęście! – Wybiegł na ulicę z szybkością kogoś, kto ucieka z płonącego domu.

Karczmarz odetchnął z trudem i ścisnął monetę ciepłą jeszcze od ogromnej łapy mnicha.

– Zupełnie zbzikowani ci Aedonici – mruknął do siebie. – Nawiedzeni.

STAŁA PRZY PORĘCZY, patrząc na oddalające się i ginące we mgle Abaingeat. Wiatr zwichrzył jej krótko przycięte włosy.

– Bracie Cadrachu! – zawołała. – Podejdź tutaj. Czy może być coś piękniejszego? – Wskazała na powiększający się pas zielonego oceanu, który oddzielał ich od wybrzeża. Nad pienistym śladem łodzi kołowały skrzeczące mewy.

Mnich pomachał niemrawo ręką zza powiązanych ze sobą beczek, przy których usiadł.

– Sam podziwiaj... Malachiasie. Nigdy nie byłem miłośnikiem morza. Bóg wie, że i ta podróż nie zmieni moich upodobań. – Starł z czoła mgiełkę, a może pot. Od chwili wejścia na pokład Cadrach nie wziął do ust ani kropli wina.

Miriamele zobaczyła, że przygląda jej się z dziobowego pokładu dwóch hernystirskich marynarzy. Spuściła głowę i usiadła obok mnicha.

– Dlaczego ze mną pojechałeś? – spytała po chwili. – Tego właśnie nie rozumiem.

– Pojechałem, ponieważ pani mi zapłaciła – powiedział, nie patrząc na nią.

Miriamele głębiej naciągnęła kaptur na głowę.

– Nic bardziej od oceanu nie przypomina ci, co jest najważniejsze – powiedziała cicho i uśmiechnęła się.

Cadrach odpowiedział niewyraźnym uśmiechem.

– Ach, na Boga, to prawda – jęknął. – Przypomina mi, że życie jest słodkie, morze zdradzieckie, a ja jestem głupcem.

Miriamele skinęła z powagą wpatrzona w wydęte żagle.

– To warto zapamiętać – powiedziała.

42. Pod drzewem Uduna

NIE MOŻNA SIĘ ŚPIESZYĆ – warknął Guthwulf. – Nie można. Naglimund to twardy orzech do zgryzienia, wiedziałeś o tym. – Czuł, że język mu się plącze. Musiał się upić, by móc stanąć twarzą w twarz ze swym dawnym kompanem. Hrabia Utanyeat nie czuł się już swobodnie w obecności Króla, a już na pewno nie wtedy, gdy przynosił mu złe wieści.

– Miałeś dwa tygodnie. Dostałeś wszystko: wojska, machiny oblężnicze – wszystko! – Król pociągnął za skórę policzka. Był wychudzony i wyglądał bardzo niezdrowo. Nie podniósł jednak wzroku na Guthwulfa. – Dłużej już nie mogę czekać. Jutro jest Wigilia Letniego Przesilenia!

– A jakie to ma znaczenie? – powiedział Guthwulf, czując, że jest mu zimno i niedobrze, odwrócił się i wypluł przeżuty kawałek cytryla. W królewskim namiocie było zimno i wilgotno, jak na dnie studni. – Nie zdobywa się takich twierdz w dwa tygodnie, nawet jeśli mają słabą obronę; chyba że uciekając się do zdrady. Cierpliwości, Wasza Wysokość, potrzeba nam tylko cierpliwości. W parę miesięcy zagłodzimy ich na śmierć.

– Miesięcy! – Śmiech Eliasa zabrzmiał głucho. – Pryratesie, on mówi miesięcy!

Duchowny uśmiechnął się złowrogo.

Król zamilkł nagle i opuścił głowę tak nisko, że brodą dotykał nieomal kuli na rękojeści długiego, szarego miecza, który trzymał między kolanami. W mieczu było coś, co hrabiego niepokoiło, choć takie odczucia wobec

przedmiotów wydawały mu się głupie. W każdym razie Elias nie rozstawał się ze swym mieczem, jakby był jego ulubioną maskotką. – Daję ci dzisiaj ostatnią szansę, Utanyeat – odezwał się Król ochrypłym głosem. – Albo otworzysz bramy, albo będę musiał zrobić to w inny sposób.

Guthwulf stał, chwiejąc się.

– Oszalałeś, Eliasie? Jak mielibyśmy... Górnicy wykopali dopiero połowę tunelu... – Umilkł przestraszony, że może posunął się za daleko. – A co nas obchodzi, że jutro jest Wigilia Letniego Przesilenia? – Klęknął na jedno kolano ze wzrokiem pełnym prośby.

– Eliasie, porozmawiajmy.

Hrabia spodziewał się wybuchu gniewu Króla, lecz jednocześnie miał słabą nadzieję, że może uda mu się wywołać atmosferę dawnego koleżeństwa. Nie nastąpiło ani jedno, ani drugie.

– Utanyeat, ty tego nie zrozumiesz – odparł Elias ze wzrokiem utkwionym w ścianę namiotu albo gdzieś jeszcze dalej. – Ja mam... inne zobowiązania. Jutro wszystko będzie inaczej.

SIMONOWI WYDAWAŁO SIĘ, że poznał już zimę. Po podróży przez śnieżne pustkowie, po niekończących się dniach, z których zapamiętał tylko wiatr, śnieg i kłucie w oczy, był przekonany, że zima niczym go już nie może zaskoczyć. Jednak po kilku dniach wspinaczki na Urmsheim zdumiał się swoją naiwnością.

Powiązani ze sobą poruszali się wąskimi, pokrytymi lodem ścieżkami, ostrożnie wbijając stopę w lód przy każdym kroku. Czasem powiew wiatru szarpał nimi, jakby byli listkami na drzewie, i wtedy przywierali do lodowej ściany, czekając, aż wiatr zelżeje. Szlak, po którym szli, także okazał się bardzo zdradliwy. W Hayholt Simon uważał się za mistrza wspinaczki po tamtejszych wieżach, tutaj natomiast wciąż się ślizgał i przywierał do

szerokiej zaledwie na dwa łokcie ścieżki; od odległej w dole ziemi oddzielały go tylko wirujące chmury śnieżnego pyłu. Patrzenie w dół z Wieży Zielonego Anioła, która dotąd była dla niego czubkiem świata, teraz wydawało mu się dziecinadą równie łatwą, jak wejście na stołek w zamkowej kuchni.

Ze ścieżki widział szczyty innych gór i płynące wokół nich chmury. Miał przed sobą północno-wschodnią część Osten Ard, lecz była tak odległa, że odwrócił głowę przestraszony. Zdecydował, że patrzenie w dół z takiej wysokości może nie wyjść mu na dobre. Serce waliło straszliwie i z trudem oddychał. Simon pragnął z całego serca zawrócić, lecz rozumiał, że nadzieję na zejście mógł mieć tylko wtedy, gdy wejdą na górę. Idąc, modlił się często z wiarą, że z takiej wysokości jego słowa dotrą o wiele szybciej do Niebios.

Przyprawiające go o zawrót głowy wysokości i szybko topniejąca pewność siebie wystarczająco go przerażały, lecz jakby tego było mało, Simon szedł wciąż, pamiętając, że jest przywiązany do pozostałych towarzyszy z wyjątkiem Sithów. Tak więc liczyły się nie tylko jego błędy; jeden fałszywy krok któregoś z nich i wszyscy mogli polecieć w dół, w niekończącą się przepaść. Choć przy takiej technice poruszali się bardzo wolno, żaden z nich – a już na pewno nie Simon – nie chciałby podróżować inaczej.

Jednak nie można było powiedzieć, że wszystkie górskie lekcje były tak bolesne dla Simona. Wprawdzie powietrze było niezwykle rzadkie i tak zimne, że momentami wydawało mu się, iż przy następnym oddechu zamieni się w zamarznięty kamień, to jednak atmosfera lodowatej przejrzystości wprawiała Simona w dziwne podniecenie; miał wrażenie własnej lekkości i kruchości, jakby wiatr przenikał go na wylot.

Samo lodowe oblicze góry okazało się boleśnie piękne. Simonowi nigdy nie przyszło do głowy, że lód może być kolorowy; ta powszechna jego odmiana, znana Simonowi z dachów Hayholt w porze Aedontide albo ze studni w miesiącu Jonever, była przejrzysta jak kryształ albo mlecznobiała. Natomiast lodowa zbroja góry Urmsheim, powyginana i poszarpana wiatrem i odległym słońcem, zawierała bajeczną feerię barw i dziwnych kształtów. W górę wznosiły się ogromne lodowe wieże ozdobione żyłkami morskiej zieleni i fioletu. W innych miejscach lodowe skały popękały i ich ogromne kryształowe głazy leżały poniżej, tworząc lodowe rumowisko; ich surowe, diamentowe krawędzie o barwie granatu burzy kruszyły się, tworząc niespotykaną mozaikę kolorów. Lodowe skały przypominały bloki porzucone przez gigantycznego architekta.

W jednym miejscu tuż przy krawędzi ginącej w lodowej mgle szczeliny stały szkielety dwóch zamarzniętych drzew, które przypominały pozostawionych tu dawno temu strażników. Łącząca je lodowa powłoka topniała powoli i teraz była już cieniutka jak pergamin. Zmumifikowane drzewa przypominały słupy bramy do nieba. Lód pomiędzy nimi był jakby migocącym, efemerycznym wachlarzem, który rozbijał blask dnia, tworząc z niego lśniące, rubinowe i brzoskwiniowe tęcze albo róże o złocistolawendowych płatkach, przy których – zdaniem Simona – nawet słynne witraże Sancellan Aedonitis były jak woda ze stawu czy też kapiący ze świecy wosk.

Choć olśniewająca skóra góry mamiła i przyciągała wzrok nieproszonych gości, jej zimne serce obmyślało plany ich zagłady. I tak późnym popołudniem pierwszego dnia wspinaczki, gdy Simon i pozostali śmiertelnicy przywykli już nieco do powolnego kroku, jaki narzuciły im kolce Binabika – Sithowie wprawdzie z pogardą patrzyli na ich sprzęt i nie

dotykali go, lecz posuwali się z równą ostrożnością i rozwagą – niebo nagle pociemniało, jakby ktoś rozlał na nie butelkę atramentu.

– Kłaść się! – zawołał Binabik, gdy tymczasem Simon i obaj Erkynlandczycy gapili się w miejsce na niebie, gdzie jeszcze chwilę temu świeciło słońce. Tylko idący z tyłu Sludig zdążył już upaść na twardy śnieg.

– Na ziemię! – krzyknął troll.

Haestan pociągnął Simona w dół.

Zastanawiając się, czy Binabik zobaczył coś niebezpiecznego – a jeśli tak, to co w takim razie robili Sithowie, którzy zniknęli za zakrętem na południowo-wschodnim zboczu – Simon zorientował się, że wiatr, który dotąd świstał monotonnie, teraz wzmógł się i ryczał przeraźliwie. Poczuł najpierw jedno targnięcie, a potem zaraz drugie, mocniejsze, więc wbił mocno palce w kruszący się śnieg, na którym leżał. Chwilę później rozległ się przeraźliwy grzmot pioruna. Pierwszy jeszcze odbijał się echem w dolinie, gdy drugi wstrząsnął nim tak, jak robiła to Qantaqa ze schwytanym szczurem. Aż zapiszczał ze strachu i mocniej wczepił się w śnieg, gdy tymczasem wiatr tarmosił go swymi kościstymi palcami, a pioruny biły nieustannie; góra, do której przywarli, wydawała się służyć za kowadło jakiegoś gigantycznego kowala.

Burza ustała równie nagle, jak się pojawiła. Jeszcze długo po tym, jak wiatr zelżał, Simon leżał z czołem przyciśniętym do zamarzniętej ziemi. Kiedy wreszcie usiadł, wciąż słysząc dzwonienie w uszach, zobaczył, że spomiędzy granatowych chmur wychyla się słońce. Tuż obok podnosił się otumaniony Haestan; z nosa leciała mu krew, a brodę całą miał w śniegu.

– Na Aedona! – zawołał. – Na biednego, cierpiącego i krwawiącego Aedona i Boga Najwyższego! – Wytarł nos wierzchem dłoni i patrzył ogłupiały na ślady krwi na futrzanej rękawicy. – Co...?

– Mieliśmy szczęście, że byliśmy na szerszej części szlaku – oświadczył Binabik, wstając. Choć także był oblepiony śniegiem, wydawał się prawie zadowolony. – Tutaj burze nadchodzą szybko.

– Szybko... – mruknął Simon i spojrzał na swą stopę. Przebił prawy but na wysokości kostki kolcami lewego buta i po bólu oceniał, że skaleczył się do krwi.

Chwilę później zza zakrętu wyłoniła się szczupła postać Jirikiego.

– Straciliście kogoś? – zawołał.

Gdy Binabik odpowiedział mu, że nikomu nic się nie stało, Sitha zasalutował jak żołnierz i znowu zniknął.

– Nie był wcale obsypany śniegiem – zauważył kwaśno Sludig.

– Górskie burze przemieszczają się szybko – odparł troll. – Ale równie szybko robią to Sithowie.

Pierwszą noc spędzili wszyscy razem przytuleni do tylnej ściany płytkiej wnęki na wschodniej ścianie góry. Krawędź wąskiej ścieżki oddalona była od nich zaledwie o pięć czy sześć łokci, a za nią czekała czarna otchłań. Simon siedział, drżąc w przenikliwym zimnie, podniesiony nieco na duchu – lecz nie ogrzany – cichym śpiewem Sithów, i przypomniało mu się coś, co powiedział mu kiedyś Doktor Morgenes; było to w leniwe popołudnie i Simon narzekał wtedy na to, że musi mieszkać w zatłoczonych pomieszczeniach dla służby.

„Nigdy nie ustanawiaj swym domem żadnego miejsca – powiedział starzec także rozleniwiony wiosennym słońcem. – Niech twój dom będzie w twojej głowie. Znajdziesz to, co potrzebne jest do jego umeblowania: pamięć, zaufanych przyjaciół, umiłowanie nauki i tym podobne rzeczy. – Morgenes uśmiechnął się. – Tym sposobem twój dom będzie wszędzie tam, dokąd pójdziesz. Nigdy nie będzie ci go brakowało – no, chyba że stracisz głowę...”

Simon wciąż nie był pewien, czy dobrze zrozumiał Doktora; w każdym razie był przekonany, że teraz pragnie mieć dom, który mógłby nazwać swoim. Potrzebował zaledwie tygodnia, by poczuć się prawie jak w domu w skromnym pokoiku ojca Strangyearda w Naglimundzie. Choć z drugiej strony było coś romantycznego w takim swobodnym podróżowaniu, gdy dom był zawsze tam, gdzie się zatrzymałeś; mogłeś wędrować jak handlujący końmi Hyrkowie. Ale Simon gotowy był na nowe przygody. Zaczynał powoli odnosić wrażenie, że podróżuje już od lat. A tak naprawdę, ile to już minęło?

Zaczął liczyć starannie fazy księżyca, korzystając z pomocy Binabika, i ze zdumieniem stwierdził, że upłynęły dopiero niecałe dwa miesiące! Fakt zadziwiający, lecz prawdziwy; troll potwierdził jego obliczenia, wyjaśniając, że upłynęły trzy tygodnie miesiąca Yuven, a Simon sam dobrze pamiętał, że jego podróż zaczęła się w tamtą nieszczęsną Noc Kamienowania, która kończyła miesiąc Avrel. Jakże zmienił się świat przez siedem tygodni! I to na gorsze, stwierdził, zasypiając.

Późnym rankiem wszyscy wspinali się na masywny, lodowy blok, który obsunął się z ramienia góry i leżał w poprzek ich szlaku jak pozostawiona ogromna paczka, gdy Urmsheim zaatakowała ponownie. Z przeraźliwym zgrzytem długi kawał lodowego bloku zaczął trzeszczeć i zmieniać barwę z szarobłękitnej na białą i zaraz potem odłamał się, usuwając się spod stóp Grimmrica, i poleciał w dół zbocza. Erkynlandczyk zdążył tylko wydać krótki okrzyk; w następnym momencie zniknął w wyrwie, jaka powstała po odłamanej części bloku. Zanim Simon zdążył cokolwiek pomyśleć, poczuł, że Grimmric ciągnie go za sobą. Upadłszy do przodu, wyciągnął desperacko rękę, by chwycić się lodowej ściany; czarna wyrwa zbliżała się nieubłaganie. Zsuwając się, trafił na szczelinę w ścieżce, a w niej

z przerażeniem zobaczył jakieś pół mili pod nim lodowe rumowisko. Krzyczał i bezskutecznie próbował uchwycić palcami śliską ścieżkę.

Binabik szedł na czele i gdy tylko usłyszał pękający lód, natychmiast rzucił się na śnieg. Leżał rozciągnięty; jedną dłonią trzymał się lodu, jednocześnie wkopując się siekierką i kolcami butów najgłębiej, jak mógł. Wprawdzie Haestan chwycił zsuwającego się chłopca swą olbrzymią dłonią za pasek, lecz nawet on nie potrafił go utrzymać. Ukryty gdzieś w wyrwie Grimmric ciągnął go w dół, krzycząc rozpaczliwie i kołysząc się na linie poza krawędzią wyrwy nad pełną wirującego śniegu pustką. Idący na końcu Sludig zdążył się wkopać w śnieg i zatrzymać na jakiś czas Simona i Haestana; potem zawołał na Sithów.

An’nai i książę Jiriki przybiegli natychmiast. Poruszali się z lekkością śnieżnych zajęcy. Szybko wbili głęboko w lód swe siekierki i przywiązali je sprawnie do końca liny Binabika. Uwolniony w ten sposób troll obszedł z Sithami wyrwę i cofnął się, by pomóc Sludigowi.

Simon poczuł mocniejsze pociągnięcie za pasek i szczelina zaczęła się oddalać. A więc nie umrze! Przynajmniej nie teraz. Kiedy znalazł już oparcie dla stóp, schylił się i chwycił rękawicę, którą wcześniej zgubił; w głowie mu huczało.

Później wszyscy złapali za liny i wreszcie udało im się wyciągnąć Grimmrica; był nieprzytomny, a jego schowana w fałdach kaptura twarz wydawała się zupełnie szara. Nawet po przebudzeniu potrzebował jeszcze długich minut, by rozpoznać swych towarzyszy, a przez cały czas wstrząsały nim okropne dreszcze. Sludig i Haestan nieśli go na noszach zrobionych z dwóch futer aż do miejsca, w którym zdecydowali się rozbić obóz.

Kiedy natrafili na wgłębienie w ścianie góry, które ciągnęło się aż do surowego kamienia, słońce zaledwie opuściło zenit, lecz nie mieli wyboru,

musieli rozbić obóz. Rozpalili niewielkie ognisko, wykorzystując patyki, które uzbierali u stóp Urmsheim i nieśli ze sobą z myślą o takiej właśnie potrzebie. Położyli przy nim Grimmrica, który trząsł się i szczękał zębami. Binabik krzątał się, przygotowując dla niego miksturę z ziół i proszków zmieszanych ze stopionym śniegiem.

Mijało popołudnie i wąska smuga słonecznych promieni, która najpierw dotykała dna ich kryjówki, a potem sunęła w górę niebieskich ścian, wreszcie zginęła całkowicie. Wtedy ogarnął ich jeszcze bardziej przenikliwy chłód. Simon czuł, że jego mięśnie drżą jak struny harfy, a uszy szczypią straszliwie, choć nasunął na głowę futrzany kaptur. Mimo to zdawało mu się, że osuwa się – równie nieubłaganie jak wtedy, gdy zsuwał się w lodową szczelinę – w sen na jawie. Lecz zamiast mrocznego chłodu, jakiego się spodziewał, poczuł miłą woń i ciepło, jakimi przywitał go sen.

ZNOWU BYŁO LATO. Kiedy to było? Nieistotne, najważniejsze, że pogoda się zmieniła i gorące powietrze wypełniało bzyczenie pszczół. Wiosenne kwiaty już prawie przekwitły; pozwieszały głowy z płatkami brązowymi i chrupiącymi na końcach, jak paszteciki z baraniny, które Judith piekła w kuchni. Trawa na polach za murami Hayholt żółkła i rozpoczynała tę alchemiczną przemianę, która miała zakończyć się jesienią, kiedy to zgrabiano ją w pachnące kopki wyrastające na łąkach jak malutkie domki.

Simon widział, jak pasterze prowadzą przez łąki stada beczących owiec, i słyszał ich spokojny śpiew, który jakby wtórował bzyczeniu pszczół. Lato! Wkrótce nadejdą święta; świętego Sutrina, Hlafmansa, ale najpierw jego ulubione: Wigilia Letniego Przesilenia...

Wigilia Letniego Przesilenia, wtedy wszystko się zmieniało i wszyscy przebierali się; zamaskowani przyjaciele i wrogowie mieszali się w ciemności; muzyka grała przez całą noc; Cierniste Ogrody przystrajano

srebrnymi wstęgami, a w Księżycowe Godziny hasały po nich tajemnicze postacie...

– Seomanie? – Ktoś delikatnie potrząsnął jego ramieniem. – Seomanie, ty płaczesz. Obudź się.

– Tancerze... maski...

– Obudź się!

Czyjaś dłoń jeszcze raz potrząsnęła jego ramieniem, tyle że mocniej. Otworzył oczy i zobaczył drobną twarz Jirikiego; jego czoło i policzki emanowały słabym blaskiem.

– Miałeś chyba zły sen – powiedział Sitha i przykucnął obok Simona.

– Nie. Nie był straszny. – Simon zadrżał. – Było lato... Wigilia Letniego Przesilenia...

– Ach. – Jiriki uniósł brwi, a potem wzruszył ramionami. – A może wędrowałeś po krainie, do której nie powinieneś chodzić.

– A co może być złego w lecie?

Sitha ponownie wzruszył ramionami, po czym wyciągnął spod płaszcza jakiś lśniący przedmiot oprawiony rzeźbionym drewnem; zrobił to tak, jak ulubiony wuj pokazuje prezent płaczącemu dziecku.

– Czy wiesz, co to jest? – spytał Jiriki.

– Lu...lustro. – Simon nie był pewien, o co pyta książę. Czy wiedział, że Simon oglądał je w pieczarze?

Jiriki uśmiechnął się.

– Tak. Ale to wyjątkowe lustro. Ma bardzo długą historię. Czy wiesz, co z nim można zrobić? Oczywiście oprócz tego, że można się przy nim ogolić. – Wyciągnął dłoń i przesunął palcem po zarośniętym policzku Simona. – Potrafisz odgadnąć?

– Mo... można zobaczyć w nim rzeczy, które są da...daleko? – odpowiedział Simon po chwili wahania, przygotowany na wybuch gniewu Sithy.

Jiriki patrzył na niego zdziwiony.

– Słyszałeś więc o lustrach Sithów? – spytał. – Wciąż jeszcze śpiewa się o nich i opowiada?

Simon poczuł, że ma okazję, by zboczyć nieco ze ścieżki prawdy. Lecz to, co powiedział, zaskoczyło go samego.

– Nie. Oglądałem je w czasie naszego pobytu w waszej myśliwskiej kryjówce.

Ku jego zdziwieniu Jiriki otworzył tylko jeszcze szerzej oczy.

– Widziałeś w nim inne miejsca? Coś więcej niż tylko twoje odbicie?

– Widziałem... widziałem księżniczkę Miriamele, moją przyjaciółkę. – Simon pogładził dłonią błękitną chustkę, którą miał zawiązaną wokół szyi. – To było jak we śnie.

Sitha popatrzył na lustro; nie gniewnie, lecz tak, jakby patrzył na powierzchnię stawu, w którym próbował dojrzeć przemykającą rybkę.

– Jesteś młodzieńcem o bardzo silnej woli – powiedział wolno. – Jesteś silniejszy, niż ci się wydaje, albo też zostałeś dotknięty inną mocą, w jakiś sposób... – Znowu spojrzał na lustro i zamilkł. – Jest bardzo stare – odezwał się po jakimś czasie. – Podobno było łuską Większej Bestii.

– Co to znaczy?

– Większa Bestia to ta, która – jak mówi wiele opowieści – oplata świat. My, Sithowie, wierzymy, że Bestia oplata wszystkie światy, światy przebudzenia i światy snu... te, które były, jak i te, które będą. Ona trzyma swój ogon w pysku, a zatem nie ma początku ani końca.

– Bestia? To znaczy s...smok?

Jiriki skinął głową; wykonał szybki ruch jak ptak dziobiący ziarno.

– Podobno wszystkie smoki pochodzą od Większej Bestii, a każdy jest mniejszy od swego przodka. Igjaijuk i Shurakai były mniejsze od ich matki Hidohehbi, ona zaś mniejsza od jej ojca Khaerukama'o Złocistego. Kiedyś, jeśli wierzyć legendom, smoki znikną zupełnie. – A może już to się stało?

– Byłoby dobrze – powiedział Simon.

– Tak uważasz? – Jiriki uśmiechnął się, lecz jego oczy przypominały zimne, lśniące kamienie. – Ludzie rosną, gdy tymczasem wielkie bestie... i inni... zanikają. Zdaje się, że taki jest porządek rzeczy. – Przeciągnął się, do złudzenia przypominając budzącego się kota. – Porządek rzeczy – powtórzył. – Ale wyjąłem tę łuskę Większej Bestii, żeby coś ci pokazać. Chcesz zobaczyć?

Simon przytaknął.

– Dla ciebie to trudna podróż. – Jiriki spojrzał przez ramię, na resztę towarzyszy którzy siedzieli przy ogniu skupieni wokół Grimmrica. Jedynie An'nai spojrzał na księcia i obaj porozumieli się bez słów. – Spójrz – powiedział Jiriki po chwili.

Trzymał lusterko w złożonych dłoniach, jakby to była cenna woda, a jego powierzchnia wydawała się falować. Wprawdzie odbijała się w nim ciemność przecięta jasnoszarym pasem, który był odbiciem nieba widocznego nad ich kryjówką, lecz na tle ciemności zaczęły pojawiać się zielone plamki, jakby z wieczornego nieba kiełkowały dziwne, gwiezdne warzywa.

– Pokażę ci *prawdziwe lato* – powiedział Jiriki cicho. – Prawdziwsze od tych, które już widziałeś.

Lśniące, zielone plamki zaczęły drżeć i zlewać się; przypominały migocące, zielone rybki, które wypływają na powierzchnię ocienionego stawu. Simon miał wrażenie, że zanurza się w tym stawie, choć cały czas

siedział nieruchomo. Teraz w lusterku pojawiły się wszelkie możliwe odcienie zieleni. Po chwili wyłoniła się z nich plątanina mostów, wież i drzew: miasto i las wyrastające razem z trawiastej równiny. Nie było to miasto wchłonięte przez las, jak Da'ai Chikiza, lecz amalgamat roślin i gładzonego kamienia; mirtu, jadeitu i viridianu.

– *Enki-e-Shao'saye* – szepnął Jiriki. Podmuch wiatru pochylił łagodnie trawę na równinie; purpurowe, białe i błękitne proporce łopotały, niczym kwitnące kwiaty na iglicach wież. – Ostatnie i największe miasto Lata.

– Gdzie... gdzie ono jest? – spytał Simon zachwycony przepięknym widokiem.

– Należałoby raczej zapytać nie *gdzie*, *lecz kiedy*. Wiesz, Seomanie, że świat staje się nie tylko większy. Jest także coraz starszy. Enki-e-Shao'saye dawno już legło w gruzach. Leży na wschód od wielkiego lasu.

– W gruzach?

– Było ono ostatnim miejscem, w którym Zida'ya i Hikeda'ya mieszkali razem przed Podziałem. Miasto pełne kunsztu i piękna; sam wiatr grał na jego wieżach, a jego lampy świeciły nocą równie jasno jak gwiazdy. Nenais'u tańczyła przy blasku księżyca nad leśnym stawem, a drzewa pochylały się, by ją podziwiać. – Jiriki pokiwał głową. – Wszystko przeminęło. To był czas Lata dla mego ludu. Dawno już nastała dla nas Jesień...

– Przeminęło...? – Simon wciąż jeszcze nie rozumiał. Wydawało mu się, że może wyciągnąć dłoń i dotknąć jednej z niezwykle strzelistych wież. Czuł napływające do oczu łzy. Bez domu. Sithowie stracili swoje domy... pozostali samotni i bezdomni.

Jiriki przesunął dłonią po lusterku i obraz zniknął.

– Przeminęło – powiedział. – Ale Lato pozostanie tak długo, jak długo pozostaną wspomnienia. Nawet Zima przemija. – Odwrócił się i patrzył

długo na Simona, który siedział z niezwykle smutną miną, aż wreszcie uśmiechnął się słabo do chłopca. – Nie smuć się – powiedział i poklepał go po ramieniu. – Jasność nie została jeszcze zupełnie wymazana z tego świata; jeszcze nie. I nie wszystkie piękne miejsca zamieniły się w ruiny. Jest jeszcze Jao e-Tinukai'i, gdzie mieszka moja rodzina i mój ród. Jeśli uda nam się zejść z tej góry bezpiecznie, może kiedyś je zobaczysz. – Zamyślony uśmiechnął się tym swoim dziwnym uśmiechem. – Może zobaczysz...

Pozostała część wspinaczki na Urmsheim przeminęła Simonowi jak szybki, lecz bolesny sen. Były to trzy dni spędzone na wąskich i niebezpiecznych ścieżkach, prowadzących taflami gładkiego jak szkło lodu, które pokonali, wyrąbując sobie każdy następny krok, i dwie noce mrocznego, przenikliwego zimna. By zapomnieć o zmęczeniu, Simon wspominał wciąż podarunek lata Jirikiego; tak, to *był* podarunek. Simon wiedział o tym i czuł się nim bardzo pocieszony. W chwilach, gdy sztywnymi palcami wczepiał się w lód i stopami szukał oparcia, myślał, że gdzieś tam znowu będzie ciepło i będzie cieszył się z łóżka, czystego ubrania, a nawet z kąpieli! Wiedział, że wszystko to czeka gdzieś na niego, jeśli tylko uda mu się zejść żywym z tej góry.

„Jak się nad tym dłużej zastanowić – myślał – to nie było w życiu wiele rzeczy zupełnie niezbędnych". Chcieć zbyt dużo było czymś gorszym niż chciwość; to była głupota – strata cennego czasu i sił.

Wspinali się wolno. Powietrze stawało się coraz rzadsze, co zmuszało ich do częstych odpoczynków. Nawet odporny Jiriki i wytrzymały An'nai poruszali się coraz wolniej, jakby włożyli na siebie ciężkie ubrania. Pozostali, z wyjątkiem trolla, dosłownie powłóczyli nogami. Grimmric przetrwał dzięki eliksirowi Binabika, lecz wciąż trząsł się i kasłał.

Od czasu do czasu wzmagał się wiatr, pędząc chmury, które spowijały górę Urmsheim, niczym ubrane w łachmany duchy. Ich oczom powoli ukazywali się sąsiedzi góry; obradowali w milczeniu, wznosząc swe skaliste wierzchołki wysoko ponad Osten Ard, obojętni na miniaturowy krajobraz u swych stóp. Binabik, który wdychał rzadkie powietrze Dachu Świata z taką samą łatwością, jakby siedział w spiżarni Naglimundu, pokazał pozostałym widoczną na wschodzie szeroką i skalistą górę Mintahoq, a także parę innych szczytów tworzących turnie trolli zwane Yiqanuc.

Zobaczyli to zupełnie nagle, gdy jeszcze połowa szczytu wznosiła się ponad nimi. Pokonywali właśnie kolejną skalną przeszkodę, mocno napinając między sobą linę i z trudem łapiąc oddech, gdy usłyszeli dziwny świszczący okrzyk jednego z Sithów, którzy jak zwykle byli gdzieś z przodu. Zaczęli szybko wspinać się na skałę, by jak najszybciej ją pokonać, zaciekawieni, ale i niespokojni z powodu tego, co mogą zobaczyć. Idący przodem Binabik zatrzymał się na wierzchołku skały, chwiejąc się nieco dla utrzymania równowagi.

– Na Córę Gór! – powiedział i wypuścił z ust ogromny obłok pary. Stał nieruchomo.

Simon ostrożnie pokonywał ostatni odcinek. Początkowo zobaczył tylko kolejną rozległą dolinę śniegu; naprzeciw nich ograniczoną białą ścianą, z prawej strony otwartą, jeśli nie liczyć kilku ośnieżonych głazów, które odpadły ze zboczy Urmsheim. Odwrócił się do Binabika, by zapytać, co go tak zdziwiło. Pytanie zamarło mu na ustach.

Z lewej strony dolina wrzynała się głęboko w zbocze góry; jej podłoże wznosiło się stopniowo, a ściany schodziły się w końcu. Tam właśnie, wznosząc się od ziemi aż do trójkąta szarobłękitnego nieba, stało Drzewo Uduna.

– Elysio, Matko Boża! – zawołał Simon załamującym się głosem. – Matko Boża – powtórzył.

Początkowo zupełnie oszołomiony nieprawdopodobnością tego, co zobaczył, zrozumiał, że *to jest* drzewo; gigantyczne, lodowe drzewo wysokie na tysiąc stóp. Jego niezliczone gałęzie skrzyły się i lśniły w blasku południowego słońca, a jego czubek ginął we mgle. Wreszcie przekonał siebie, że widzi drzewo naprawdę, że coś takiego istnieje na tym samym świecie, w którym znajdują swe miejsce tak prozaiczne rzeczy, jak miski, płoty, świnie. Zaczął też rozumieć, czym ono było: zamarznięty wodospad, topniejący śnieg gromadzący się latami i unieruchomiony w milionach sopli; tysiące kryształowych ornamentów wyrzeźbionych na skalnej podstawie, która tworzyła pień Drzewa Uduna.

Jiriki i An’nai stali oniemiali parę łokci poniżej doliny i wpatrywali się w drzewo. Simon ruszył w ślad za Binabikiem w dół do Sithów. W pewnym momencie poczuł, że lina, którą obwiązany był w pasie, napina się; to Grimmric wspiął się na skałę i zatrzymał się zdumiony. Simon zatrzymywał się jeszcze dwukrotnie i czekał cierpliwie, aż Haestan i Sludig zaspokoją swoją pierwszą ciekawość. Wreszcie wszyscy zeszli na pokryte grubą warstwą śniegu dno doliny. Sithowie śpiewali cicho i zupełnie nie zwracali uwagi na pozostałych.

Długo nikt się nie odzywał. Wydawało się, że Drzewo Uduna swą dostojnością zupełnie odebrało im mowę. Stali więc i patrzyli, czując wewnętrzną pustkę.

– Podejdźmy bliżej – odezwał się wreszcie Binabik.

Simon ruszył niechętnie. Głos trolla prawie go rozzłościł.

– Ta...takiego cholernego wi...widoku moje oczy je...jeszcze nie widziały – wyjąkał Grimmric.

– Tutaj stary Jednooki wspiął się do gwiazd – powiedział cicho Sludig. – Niech Bóg wybaczy mi to bluźnierstwo, ale czuję jeszcze jego obecność.

Binabik wyszedł na otwartą przestrzeń dna doliny. Po chwili pozostali ruszyli za nim pociągnięci liną, którą byli z nim połączeni. Szli wolno, gdyż zapadali się w śnieg aż po uda. Dopiero po jakichś trzydziestu krokach Simon zdołał oderwać wzrok od drzewa i spojrzał do tyłu. An’nai i Jiriki wciąż stali w miejscu, jakby na coś czekali.

Posuwali się wolno do przodu, a ściany doliny zbliżały się i pochylały nad nimi, jakby zdziwione obecnością niecodziennych gości. Simon zobaczył teraz, że podstawę drzewa tworzyło rumowisko licznych głazów, pomiędzy którymi utworzyło się wiele dziur; nad nim rozpościerały się najniższe gałęzie – nie prawdziwe gałęzie, lecz raczej nakładające się na siebie kolejne warstwy zamarzających i topniejących sopli. Warstwy rozszerzały się ku dołowi, tak że najniższe gałęzie tworzyły nad rumowiskiem parasol o rozpiętości połowy pola turniejowego.

Podeszli już tak blisko, że ogromny lodowy słup wydawał się sięgać samego nieba. Simon jeszcze raz odchylił mocno głowę, by zobaczyć czubek drzewa, i wtedy wstrząsnął nim dreszcz zdziwienia i strachu.

„Wieża! Wieża z gałęziami z moich snów!” Zdumiony tym odkryciem potknął się i przewrócił w śnieg. Haestan chwycił go swą olbrzymią dłonią i podniósł bez słowa. Simon znowu skierował wzrok ku górze, czując, że niepokój, jaki go ogarnia, nie jest spowodowany tylko zawrotem głowy.

– Binabiku! – zawołał.

Troll, który właśnie zanurzał się w fioletowy mrok pod drzewem, odwrócił się szybko.

– Cicho, Simonie! – syknął. – Nie wiemy, czy nie oderwie się kawał ostrego lodu.

Simon brnął teraz szybciej przez głęboki śnieg.

– Binabiku, to jest wieża z moich snów. Biała wieża z gałęziami jak na drzewie. To ona!

Troll przyglądał się ogromnym głazom i mniejszym, skruszonym skałom pod gałęziami drzewa.

– Wydawało mi się, że wspominałeś o Wieży Zielonego Anioła z Hayholt?

– No, tak. To znaczy, miałem na myśli obie. Ponieważ nigdy nie widziałem tej wieży, nie wiedziałem, że część *niej* jest częścią *tamtej*. Rozumiesz!

Binabik uniósł krzaczaste brwi.

– Kiedy będziemy mieli trochę wolnego czasu, rzucę kości. Teraz wciąż jeszcze mamy do wypełnienia misję. – Nie odzywał się do chwili, gdy pozostali dołączyli do nich. – Moim zdaniem – powiedział – powinniśmy wkrótce założyć obóz. Resztę dnia będziemy mogli spędzić na poszukiwaniu śladów wyprawy Colmunda albo samego Ciernia.

– Czy oni... – Haestan wskazał na widocznych z daleka Sithów – nam pomogą?

Zanim Binabik zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Grimmric zagwizdał podniecony i wskazał na stos kamieni.

– Patrzcie! – powiedział. – Tutaj chyba już ktoś był. Spójrzcie na te kamienie!

Simon spojrzał w górę rumowiska i zobaczył, że jedną z dziur między głazami zakrywa kilka warstw kamieni.

– Masz rację! – zawołał Haestan. – On ma rację! To pewne, jak to, że Kości Tunatha sięgają z Północy na Południe. Ktoś tutaj obozował!

– Ostrożnie! – upominał Binabik, lecz Simon odwiązał się już od liny i wdrapywał na zbocze rumowiska, powodując małe lawiny drobniejszych

kamieni tam, gdzie obsuwała mu się noga. W mgnieniu oka znalazł się u wylotu zagłębienia i stanął, chwiejąc się na jednym z luźnych kamieni.

– Te kamienie z pewnością ułożyli ludzie! – zawołał Simon podekscytowany. – Wejście do jaskini miało jakieś trzy łokcie szerokości i ktoś pośpiesznie, choć nieudolnie, je zagrodził. Ciekawe dlaczego? Może żeby ochronić się przed zimnem albo przed zwierzętami?

– Simonie, bądź tak dobry i nie krzycz – upomniał go Binabik. – Zaraz tam będziemy.

Simon zapomniał o rzadkim powietrzu i przejmującym zimnie i z niecierpliwością czekał na nadejście pozostałych. Kiedy na rumowisko zaczął się wspinać Haestan, pod drzewem ukazali się obaj Sithowie. Rozglądali się przez chwilę, a potem zaraz wspięli się po zboczu rumowiska ze zwinnością wiewiórek.

Simon potrzebował paru chwil, by przyzwyczaić wzrok do panującej wewnątrz jaskini ciemności. Lecz kiedy już się rozejrzał, otworzył szeroko oczy zdumiony.

– Binabiku! To jest... to są...

Binabik stanął wyprostowany obok klęczącego Simona i przyłożył dłoń do piersi.

– *Qinkipa!* – powiedział. – Czekali na nasze przyjście.

W jaskini leżały brązowe kości ludzkie. Nagie szkielety obwieszone biżuterią ze skorodowanego czarno-zielonego metalu znajdowały się pod ścianami w pozycji siedzącej. Wszystko pokrywała cienka warstwa lodu.

– Czy to Colmund? – szepnął Simon.

– Niech Usires ma nas w opiece – bąknął z tyłu Sludig. – Wynośmy się stąd, powietrze pewnie jest zatrute.

– Nie ma tu żadnej trucizny – zgromił go Binabik. – Jest bardzo prawdopodobne, że to członkowie wyprawy sir Colmunda.

– Ciekawe, jak umarli. – Głos Jirikiego zabrzmiał w małej jaskini niespodziewanie głośno. – Jeśli było im zimno, dlaczego nie zebrali się razem, żeby wspólnie się ogrzać? – Wskazał na rozrzucone po całej jaskini szkielety. A jeśli zostali zabici przez zwierzęta albo pozabijali się nawzajem, dlaczego kości są tak poukładane, jakby każdy układał się i czekał na swoją kolej?

– Kiedyś porozmawiamy o tych wszystkich tajemnicach – wtrącił troll – ale teraz mamy co innego do roboty; niedługo się ściemni.

– Tutaj. – W głosie Sludiga słychać było napięcie. – Chodźcie tutaj wszyscy.

Sludig stał nad jednym ze szkieletów. W stosie pożółkłych kości można było wyraźnie rozpoznać osobę, która prawdopodobnie zmarła w czasie modlitwy, klęcząc z rękoma szeroko rozpostartymi. Kości rąk częściowo schowane były w warstwie lodu, przez co przypominały kamienie zanurzone w misce z mlekiem. Pomiędzy nimi leżało coś długiego zawiniętego w zmarzniętą i zbutwiałą ceratę.

Wydawało się, że z jaskini uszło całe powietrze. Zapadła głucha, pełna napięcia cisza. Troll i Rimmersman przyklęknęli, jakby naśladując zmarłego, i zaczęli odrąbywać siekierkami przymarznięty przedmiot. Skruszała cerata odchodziła w płatach jak kora i wtedy zobaczyli pod spodem coś straszliwie czarnego.

– To nie jest metal – powiedział rozczarowany Simon.

– Tak jak i Cierń nie jest zrobiony z metalu – odparł Binabik – a przynajmniej nie z takiego, jaki znamy.

Sludigowi udało się wsunąć ostrze swej siekierki pod ceratę i z pomocą Haestana oderwał kolejny jej kawał. Simon wstrzymał oddech. Binabik miał rację: przedmiot, który niczym czarny motyl wyłaniał się z krępującego go kokonu, był mieczem, lecz mieczem, jakiego Simon

jeszcze nie widział; był czarny i długi na odległość wyciągniętych ramion mężczyzny. Jego czerń była nieskazitelna z wyjątkiem ostrza, którego krawędź iskrzyła się kolorami, jakby miecz posiadał nienaturalną moc rozcinania mrocznego światła jaskini na tęcze. Gdyby nie srebrna taśma, którą owinięto jego rękojeść, pozostawiając kulę i osłonę równie czarne jak pozostała część, miecz mógłby uchodzić za przedmiot, który nie ma żadnego związku z rodzajem ludzkim. Pomimo swej symetrii przypominałby raczej jakąś naturalną narośl, czystą esencję czerni, która przybrała formę wspaniałego miecza.

– Cierń – szepnął Binabik z podziwem.

– Cierń – powtórzył Jiriki, lecz Simon nie miał najmniejszego pojęcia, co *on* myślał, wymawiając to słowo.

– A więc to on? – odezwał się Sludig. – Piękna rzecz. Co mogło ich zabić, skoro mieli taki miecz?

– Któż może wiedzieć, co przydarzyło się Colmundowi – powiedział Binabik. – Ale kiedy nie masz co jeść, nie pomoże ci nawet taki miecz.

Stali wpatrzeni w Cierń. Grimmric, stojący najbliżej wejścia do jaskini, wyprostował się i uderzył się dłońmi po ramionach.

– Jak mówi troll, nie da się zjeść miecza. Idę rozpalić ognisko na noc. – Wyszedł na zewnątrz i przeciągnął się, gwiżdżąc – najpierw cicho, potem coraz głośniej.

– W szczelinach między skałami rosną zarośla, które mogą dobrze się palić z naszymi szczapami! – zawołał za nim Sludig.

Haestan pochylił się i dotknął ostrożnie czarnego ostrza.

– Zimny – uśmiechnął się. – Chyba nic dziwnego, co? – Zwrócił się do Binabika dziwnie nieśmiały. – Mogę go podnieść?

Troll skinął głową.

– Tylko ostrożnie.

Haestan wsunął delikatnie dłoń pod owiniętą taśmą rękojeść miecza, lecz ten nawet nie drgnął.

– Przymarznięty – powiedział. Pociągnął jeszcze raz, mocniej, lecz bez powodzenia. – Musi być mocno przymarznięty – wysapał, ciągnąc teraz z całej siły i wypuszczając kłęby pary.

Sludig schylił się, by mu pomóc. Krzątający się na zewnątrz Grimmric przestał gwizdać i wymamrotał coś niezrozumiałego.

Kiedy Rimmersman i Erkynlandczyk zaczęli ciągnąć razem, miecz drgnął wreszcie, lecz zamiast oderwać się od trzymającego go lodu, przesunął się odrobinę w bok.

– On nie jest przymarznięty – zasapał Sludig. – Jest taki ciężki. We dwóch możemy zaledwie go przesunąć!

– Binabik, jak my go zniesiemy z góry? – spytał Simon. Miał ochotę się roześmiać. Wszystko wydawało się tak głupie i dziwne; żeby znaleźć miecz, a potem nie móc go zabrać ze sobą! Wyciągnął dłoń i poczuł chłód i ciężar miecza... i coś jeszcze. Ciepło? Tak. Pod zimną powierzchnią wyczuwał jakieś nieokreślone życie, jakby budził się tam śpiący wąż – a może mu się tylko tak wydawało?

Binabik wpatrywał się w nieruchomy miecz i drapał się po kudłatej głowie. Po chwili w wejściu do jaskini ukazał się Grimmric; stał, machając rękoma. Kiedy odwrócili się, by na niego spojrzeć, opadł na kolana, a potem runął do przodu. W jego plecach drżała czarna strzała, jeszcze inny cierń.

NA SREBRZYSTĄ MASKĘ padało niebieskie światło, znacząc jej kontury na biało. Twarz, którą skrywała, posłużyła kiedyś za model do rzeźby przedstawiającej nieludzkie wręcz piękno, lecz żadna żyjąca istota nie potrafiła powiedzieć, co teraz kryło się pod maską. Świat wykonał

niezliczoną liczbę obrotów od czasu, gdy Utuk’ku na zawsze zniknęła za jej lśniącymi konturami.

Skąpana w niebieskim świetle maska odwróciła się i rozejrzała po ogromnym, pogrążonym w cieniu, kamiennym hollu, zerkając na przemykających poddanych, którzy wykonywali polecenia, jakie im wydała. Ich głosy rozbrzmiewały pieśniami pochwały i wspomnień; ich białe włosy powiewały na wiecznie wiejącym w Komnacie Harfy wietrze. Zadowolona słuchała uderzeń młotów z magicznego drewna, których echo niosło się labiryntem korytarzy we wnętrzu skutej lodami góry Nakkiga, góry, którą Nornowie nazywali Maską Łez. Śmiertelnicy nazywali ją Burzową Górą i Utuk’ku wiedziała, że góra nawiedza ich sny... takie było jej przeznaczenie. Srebrna twarz skinęła głową z zadowoleniem. Wszystko było gotowe.

Zawieszona w oparach mgły nad Wielką Studnią Harfa zadźwięczała żałośnie, był to samotny dźwięk, jakby wiatr zawył na wysokiej przełęczy. Królowa Nornów wiedziała, że to nie jest Jego głos; nie Tego, który potrafi sprawić, że Oddychająca Harfa śpiewa i wyje; nie Tego, którego gniewna pieśń wypełnia Komnatę grzmotami i niespotykaną muzyką. Przez Harfę wpełzał jakiś mniejszy głos, schwytany w jej nieskończone zawiłości jak owad w zamknięty labirynt.

Uniosła nieznacznie nad poręcz czarnego, kamiennego tronu palec schowany w srebrzystobiałej rękawicy. Jęk wzmógł się i coś z drżeniem zaczęło się materializować we mgle nad Studnią; był to szary miecz Jingizu, który pulsował bolesnym światłem. Coś go trzymało: cień postaci, której bezkształtna dłoń zaciskała się na rękojeści Jingizu.

Utuk’ku zrozumiała. Nie musiała już oglądać osoby. Był tam miecz o wiele bardziej realny niż jakikolwiek śmiertelnik, któremu zezwolono na jego chwilowe posiadanie.

– Kto przychodzi przed oblicze królowej Hikeda’ya? – spytała, choć dobrze znała odpowiedź.

– Elias, Wielki Król Osten Ard – odpowiedział cień postaci. – Zdecydowałem się przyjąć warunki twego pana.

Słowo „pana” zirytowało ją.

– Śmiertelniku – powiedziała z władczą nonszalancją – otrzymasz to, czego pragniesz. Ale czekałeś długo... prawie zbyt długo.

– Były... – Cień z mieczem zachwiał się, jakby ze zmęczenia. Ileż cielesności, ileż słabości w tych śmiertelnikach! Jak to możliwe, że potrafili wyrządzić dotąd tyle szkód? – Myślałem – mówił dalej cień – że wszystko potoczy się inaczej. Teraz się poddaję.

– Oczywiście, że się poddajesz. I otrzymasz to, co było ci obiecane.

– Dziękuję, królowo. A ja dam to, co obiecałem zwrócić...

– Oczywiście, że dasz.

Opuściła dłoń i zjawa zniknęła. W Studni rozbłysło czerwone światło, gdy On nadszedł. Harfa zagrała zwycięsko, gdy On wziął ją w swe posiadanie.

NIE... NIE CHCĘ UMIERAĆ – wycharczał Grimmric; na policzku i brodzie miał krwawą pianę, w otwartych ustach sterczały zepsute zęby. Wyglądał jak zając schwytany i poszarpany przez ogary. – Jest... jest tak cholernie zimno – wymamrotał.

– Kto to zrobił? – jęknął piskliwie Simon, śmiertelnie przerażony.

– Ktokolwiek by to był – mruknął Haestan, który pochylił się nad rannym Grimmricem – mają nas jak królika w dziurze.

– Musimy się stąd wydostać! – warknął Sludig.

– Zawińcie płaszcze wokół ramion – powiedział Binabik, przygotowując swój kij do strzelania. – Nie mamy tarcz, które by nas chroniły przed strzałami, ale płaszcze przynajmniej w jakimś stopniu je zastąpią.

Jiriki bez słowa minął Haestana oraz Grimmrica i podszedł do wylotu jaskini. An’nai podążył za nim w milczeniu.

– Książę Jiriki... – zaczął Binabik, lecz Sitha nie zwracał na niego uwagi.

– Chodźmy – powiedział Sludig. – Nie możemy pozwolić, żeby wyszli sami. – Podniósł swój miecz.

Pozostali ruszyli do wyjścia jaskini, lecz Simon został na miejscu i patrzył na czarny miecz. Przeszli taką długą drogę, żeby go znaleźć, i teraz mieli go porzucić? A co będzie, jeśli uda im się uciec, lecz zostaną odcięci od jaskini i nie będą mogli do niej powrócić? Przyłożył dłoń do rękojeści i znowu poczuł to dziwne pulsowanie. Pociągnął i ku swemu zdumieniu podniósł trochę miecz. Rzeczywiście, był straszliwie ciężki, lecz dwoma rękoma był w stanie unieść go z ziemi. Co tu się działo? Aż mu się w głowie zakręciło. Podniósł miecz, którego nie mogli podnieść dwaj silni mężczyźni. Czy to była magia?

Simon przeniósł ostrożnie miecz do wejścia, gdzie stali jego towarzysze. Haestan rozpiął swój płaszcz, lecz zamiast owinąć go wokół swego ramienia, okrył nim Grimmrica. Ranny zakasłał, a z jego ust popłynęła strużka krwi. Obaj Erkynlandczycy zapłakali.

Zanim Simon zdążył powiedzieć coś o mieczu, Jiriki wyszedł na zewnątrz z pewnością kuglarza w czasie występów.

– Pokażcie się! – zawołał, a lodowe ściany powtórzyły echem jego słowa. – Kto atakuje grupę księcia Jirikiego i-Sa’onserei, syna Shima’onari i potomka Domu Tańczącego Roku? Kto wypowiada walkę *Ziday’a*?

W odpowiedzi kilkanaście postaci zsunęło się ze zboczy doliny i stanęło około stu łokci od podstawy Drzewa Uduna. Wszyscy byli uzbrojeni, wszyscy nosili przeciwsłoneczne maski i białe płaszcze z kapturami; na każdym płaszczu widniał trójkątny symbol Burzowej Góry.

– Nornowie? – wyszeptał Simon, zapominając o Cierniu.

– Oni nie są *Hikeda'ya* – rzucił krótko An'nai. – To śmiertelnicy, którzy służą Utuk'ku.

Jedna z postaci, kulejąc na sztywnej nodze, wysunęła się krok do przodu. Simon rozpoznał spieczoną słońcem twarz i jasną brodę.

– Odejdźcie, *Ziday'a* – przemówił Ingen Jegger. Mówił wolno chłodnym głosem. – Łowca Królowej nic do was nie ma. Przyszedłem tu po śmiertelników, którzy chowają się za wami. Oni mi się sprzeciwili i nie mogą opuścić tego miejsca.

– Śmiertelniku, oni są pod moją opieką. – Książę Jiriki dotknął swego miecza. – Wracaj pod stół Utuk'ku i czekaj na swoje ochłapy.

Ingen Jegger skinął głową.

– A więc niech tak będzie. – Dał znak dłonią i natychmiast jeden z łowców napiął łuk i wypuścił strzałę. Jiriki rzucił się w bok, pociągając stojącego za nim Sludiga. Strzała uderzyła w skałę obok wejścia do jaskini.

– Na ziemię! – zawołał książę, gdy tymczasem An'nai wypuścił pierwszą strzałę.

Łowcy rozpierzchli się; tylko jeden z nich pozostał z twarzą w śniegu. Simon wraz z towarzyszami zsuwali się po śliskich skałach do podstawy drzewa, gdy tymczasem nad ich głowami przelatywały ze świstem strzały.

Niebawem skąpy zapas strzał wyczerpał się po obu stronach, lecz przedtem jeszcze Jiriki zdążył unieszkodliwić kolejnego łowcę Ingena, umieszczając w oku biegnącego strzałę tak precyzyjnie, jakby strzelał do ustawionego na murze jabłka. Sludig został ranny w udo, ale strzała na

szczęście najpierw odbiła się od skały, tak że mógł ją wyrwać z rany i kulejąc, pobiec do kryjówki.

Simon przykucnął za skalnym występem, który był częścią podstawy drzewa. Przeklinał samego siebie za to, że nie zabrał z jaskini łuku i strzał. Widział, jak An’nai, wyczerpawszy wszystkie strzały, odrzuca łuk i wyciąga z pochwy, długi, ciemny miecz; wyraz jego twarzy pozostawał równie niewzruszony, jakby zabierał się do naprawy płotu. Simon nie miał wątpliwości, że jego własna twarz wyraźnie zdradza jego strach, bijące serce i pusty żołądek. Spojrzał na Cierń i poczuł w nim pulsujące życie. Jego ciężar zmienił się, jakby ożył tysiącem pszczół w jego wnętrzu; był niczym związane zwierzę, które pręży się, czując zapach wolności.

Na lewo od niego, po drugiej stronie kamiennego pnia, chowając się za lodowymi gałęziami, skradali się Haestan i Sludig. Ingen zbierał swoich ludzi, by przypuścić atak na dolinę.

– Simonie! – ktoś syknął. – Zaskoczony odwrócił się i zobaczył, że Binabik stoi na skale nad jego głową.

– Co zrobimy? – spytał Simon, bezskutecznie starając się opanować swój głos.

Troll wpatrywał się w czarny miecz, który chłopiec trzymał w dłoni, jakby to była zabawka.

– Jak...? – Twarz Binabika wyrażała największe zdumienie.

– Nie wiem. Ja go tylko podniosłem! Nie wiem! Co zrobimy?

Troll pokiwał głową.

– Ty masz zostać tutaj. Ja zrobię, co będzie w mojej mocy. Szkoda, że nie mam włóczni. – Zeskoczył ze skały, obsypując Simona drobnymi kamykami.

– Za Josuę Bezrękiego! – zawołał Haestan i wyskoczył spod drzewa na otwartą przestrzeń.

Zaraz za nim podążył kulejący Sludig. Gdy tylko wbiegli w głęboki śnieg, natychmiast zwolnili, jakby poruszali się w wodzie. Łowcy Ingena brnęli im naprzeciw, wykonując ten sam powolny taniec.

Haestan zamierzył się swym ogromnym mieczem, lecz zanim jeszcze dopadł przeciwnika, ubrany na biało mężczyzna chwycił się za gardło.

– Yiqanuc! – zawołał triumfalnie Binabik i kucnął, by załadować kolejną strzałę.

Rozległ się szczęk mieczy, gdy pierwsi łowcy Ingena starli się z Haestanem i Sludigiem. Dołączyli do nich też Sithowie, lecz mimo to wrogowie wciąż przewyższali ich liczebnie. W pewnym momencie ogromny Haestan otrzymał uderzenie płazem w głowę i upadł w śnieg. Gdyby nie An’nai, który natychmiast doskoczył do niego, zginąłby niechybnie przekłuty mieczem.

Miecze błyskały w słabym blasku słońca, a krzyki bólu i gniewu nieomal zagłuszały ich szczęk. Simon z trwogą patrzył, jak Binabik, którego strzały okazały się nieskuteczne wobec grubych płaszczy łowców, wyciąga swój długi nóż.

„Jak on może być taki odważy? Jest taki mały; zabiją go, zanim zdąży go użyć”.

– Binabiku! – zawołał i wyszedł z ukrycia. Uniósł czarny miecz nad głowę i szedł przed siebie, chwiejąc się pod jego ogromnym ciężarem.

Nagle ziemia pod jego stopami zaczęła się zapadać. Zachwiał się i stawiając szeroko nogi, poczuł, że chwieje się cała góra. Rozległ się przeraźliwy zgrzyt, jaki słychać wtedy, gdy ciągną w kamieniołomie ogromny kamień. Walczący zamarli w bezruchu i patrzyli zdumieni na ziemię.

Po chwili usłyszeli kolejny zgrzyt łamanego lodu i ziemia zaczęła się unosić. Na samym środku doliny, tuż obok miejsca, w którym stał

oniemiały Ingen, uniósł się ogromny kawał lodu, trzeszcząc i łamiąc się.

Nagły ruch podłoża spowodował, że Simon potknął się i runął do przodu, nie wypuszczając z rąk Ciernia, tak że w rezultacie znalazł się w samym środku walczących. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Wszyscy zamarli w bezruchu, jakby lód z Drzewa Uduna zmroził ich krew, i patrzyli na to, co wynurza się spod śniegu.

Był to lodowy smok.

Ze szczeliny wynurzyła się podobna do węża głowa wielkości mężczyzny; jej ogromny pysk pełen zębów pokrywały łuski; spoglądały na nich niebieskie ślepia. Łeb kiwał się na długiej szyi, jakby obserwował z zainteresowaniem te malutkie istoty, które zakłóciły jego długoletni sen. A potem jednym przerażająco szybkim ruchem zniżył się i chwycił w szczęki jednego z łowców; momentalnie przegryzł go na pół i połknął nogi. Zakrwawiona, górna część ciała ofiary opadła na śnieg, jak wyrzucony gałgan.

– Igjarjuk! To jest Igjarjuk! – zawołał Binabik.

Lśniący, biały łeb po raz kolejny kłapnął szczęką i porwał następny kęs w białym płaszczu. Gdy pozostali łowcy śmiertelnie przerażeni rozpierzchli się, smok oparł białe łapy z zakrzywionymi pazurami o krawędź szczeliny i jego długie cielsko – pokryte dziwnym, pożółkłym futrem – wynurzyło się na powierzchnię. Smok machnął długim, biczowatym ogonem i zmiótł dwóch łowców do dołu.

Simon siedział na śniegu i nie mógł uwierzyć, że monstrualny potwór, który siedział na krawędzi szczeliny jak kotek na oparciu krzesła, jest prawdziwy. Smok zwrócił swój ogromny łeb w stronę chłopca i jego nieruchome, zamglone oczy sparaliżowały Simona spojrzeniem pełnym odwiecznej wrogości. Ziało z nich pustką jak z lodowcowych szczelin; Simon czuł, że kręci mu się w głowie, jakby patrzył przez wodę. Smok

patrzył na niego; w jakiś sposób *znał* go, był równie stary jak posady tej góry, równie mądry, okrutny i nieczuły jak sam Czas.

Szczęki rozwarły się i wysunął się spomiędzy nich czarny jęzor. Głowa pochyliła się.

– Ske’i, potomku Hidohebhi! – rozległo się czyjeś wołanie. Chwilę później An’nai wskoczył na zad smoka, przytrzymując się jego futra. Ze śpiewem na ustach uniósł miecz i zadał cios w łuskowatą nogę. Simon wstał i cofnął się, gdy tymczasem smok machnął ogonem, by pozbyć się An’nai; Sitha przeleciał około pięćdziesięciu łokci i upadł w śnieg przy otwartej krawędzi doliny – poza nim była już tylko wypełniona mgłą pustka. Jiriki rzucił się ku niemu z okrzykiem gniewu i rozpaczy.

– Simonie! – zawołał troll. – Biegnij! Nic nie możemy zrobić!

W tym momencie Simon zaczął widzieć wszystko wyraźniej. W następnej chwili był już na nogach i biegł za Jirikim. Binabik, który przyczaił się na przeciwległej krawędzi szczeliny, rzucił się do tyłu, unikając smoczych łap; te z przeraźliwym zgrzytem świsnęły w powietrzu tuż obok. Troll wpadł w wyrwę w lodzie i zniknął.

Jiriki pochylił się nad nieruchomym ciałem An’nai. Pędząc w jego stronę, Simon kątem oka zobaczył, że Igjarjuk zsuwa się z lodowych brył i sunie, odpychając się tylnymi, krótkimi łapami, w poprzek doliny w stronę ofiary.

Simon chciał ostrzec Jirikiego, lecz nie potrafił wydobyć z siebie ani słowa i tylko zacharczał. Sitha obejrzał się. Jego bursztynowe oczy lśniły jasno. Stanął obok ciała swego towarzysza i wzniósł wysoko swój długi miecz, pokryty dawnymi runami i wykonany z magicznego drewna.

– Chodź, Stary! – krzyknął Jiriki. – Zbliż się i spróbuj *Indreju*, ty bękarcie Hidohebhi!

Simon wciąż brnął w kierunku Sithy. Książę nie musiał krzyczeć; smok zbliżał się nieuchronnie.

– Cofnij się... – powiedział Jiriki, gdy Simon znalazł się wreszcie przy nim, i nagle skoczył do przodu. Śnieg pod nim załamał się i Jiriki zaczął zsuwać się w kierunku krawędzi doliny i przepaści. Próbował się ratować i wbić dłonie w śnieg. Zatrzymał się dopiero, gdy jego nogi wisiały już nad przepaścią; niepodal leżał zakrwawiony An’nai.

– Jiriki! – Simon zatrzymał się. Usłyszał za sobą odgłos podobny do grzmotu. Odwrócił się i zobaczył zbliżające się cielsko Igjarjuka; smok kiwał głową w rytm poruszających się nóg. Simon rzucił się w bok, w przeciwną stronę od miejsca, gdzie leżeli An’nai i Jiriki, i zaraz zerwał się na nogi. Błękitne oczy spojrzały na niego i bestia, oddalona o niecałe sto kroków od Simona, skierowała się w jego stronę.

Simon zdał sobie sprawę, że wciąż trzyma w rękach Cierń. Uniósł miecz, który teraz stał się lekki jak patyk i wydawał się grać jak naprężona lina na wietrze. Spojrzał przez ramię; jeszcze tylko kilka kroków i dalej już tylko przepaść. Po jej drugiej stronie widniał jeden ze szczytów – biały, pogrążony w ciszy, dostojny.

„Ratuj mnie, Usiresie – pomyślał. – Dlaczego ten smok nie wydaje żadnych odgłosów?” – Wydawało mu się, że jego umysł unosi się swobodnie w jego ciele. Jedną dłonią dotknął na chwilę chusty Miriamele, a potem mocniej ścisnął srebrną rękojeść. Ujrzał nad sobą głowę Igjarjuka; gardziel niczym czarna otchłań i oko podobne do niebieskiej latarni. Świat wydawał się wypełniony tylko ciszą. Co miał krzyknąć na koniec? Przypomniało mu się, co Jiriki powiedział kiedyś o śmiertelnikach, a tymczasem ogarnął go już mroźny oddech bestii; smród stęchłej, wilgotnej ziemi i mokrych kamieni.

– Oto jestem! – krzyknął i skierował Cierń w stronę strasznego oka. – Jestem... Simon!

Miecz uderzył w coś. Chlusnął na niego strumień czarnej krwi, palącej jak ogień, jak lód, i zalał mu twarz, a coś ogromnego i białego zwaliło się i pociągnęło go w ciemność.

43. Udręka

RUDZIK Z PIERSIĄ KOLORU dogasającego żaru usiadł na jednej z niższych gałęzi wiązu. Rozejrzał się po zielnym ogrodzie i zaszczebiotał zniecierpliwiony, jakby nie podobał mu się stan zaniedbania, jaki zastał.

Josua patrzył, jak przelatuje nad murem ogrodu, a potem wzlatuje jeszcze wyżej, by przemknąć ponad murem wewnętrznej twierdzy. Po chwili był już małym punkcikiem na jasnoszarym, porannym niebie.

– Już dawno nie widziałem rudzika. Może to dobry znak, biorąc pod uwagę, jak ponury jest miesiąc Yuven.

Książę odwrócił się i ze zdziwieniem zobaczył stojącego na ścieżce Jarnaugę, który także patrzył za ptakiem. Starzec zdawał się nie zwracać uwagi na zimno; był boso i miał na sobie tylko spodnie i cienką koszulę.

– Dzień dobry, Jarnaugo – powiedział Josua, otulając się szczelniej płaszczem, jakby zrobiło mu się zimno od samego patrzenia na starca. – Co cię sprowadza do ogrodu o tak wczesnej porze?

– Książę, stare ciało niewiele snu potrzebuje – uśmiechnął się. – Mógłbym ci zadać to samo pytanie, lecz chyba znam odpowiedź.

Josua pokiwał głową zamyślony.

– Nie spałem dobrze od chwili, gdy znalazłem się w lochach mego brata. Wprawdzie uciekłem z nich i mam większe wygody, lecz troska zajęła miejsce kajdanów, którymi przykuto mnie do ściany.

– Istnieje wiele rodzajów uwięzienia – zauważył Jarnauga.

Wędrowali przez jakiś czas w milczeniu krętymi alejkami. Kiedyś ogród ten był dumą lady Vorzhevy; to ona starannie wyznaczała linie grządek, zaniedbanych teraz z powodu pogody i natłoku innych, naglących spraw. Dworzanie szeptali, że jak na dziewczynę urodzoną w wędrownym wozie, wykazywała skłonności do pedanterii.

– Coś jest nie tak, Jarnaugo – odezwał się wreszcie Josua. – Czuję to. Czuję to, jak rybak wyczuwa zmianę pogody. Co zamierza mój brat?

– Wydaje mi się, że dokonuje wszelkich starań, aby nas wszystkich zabić – odparł starzec, uśmiechając się. – Czy to właśnie „przeczuwasz”?

– Nie – powiedział książę z powagą. – Nie. I w tym widzę problem. Od miesiąca odpieramy jego ataki – z dużymi stratami: baron Ordmaer, sir Grimstede, Wuldorcene z Caldsae, nie licząc setek dzielnych żołnierzy – ale dopiero od dwóch tygodni przypuścili prawdziwy szturm. Przedtem ataki były... symboliczne. On pozoruje tylko oblężenie. Dlaczego? – Usiadł na niskiej ławce, a obok niego Jarnauga. – Dlaczego? – powtórzył.

– Oblężenie nie zawsze wygrywa się za pomocą armii. Może chce nas wziąć głodem.

– W takim razie po co w ogóle rozpoczynał atak? Zadaliśmy im znaczne straty. Dlaczego po prostu nie czeka? Wygląda to tak, jakby chciał przytrzymać nas wewnątrz zamku, samemu pozostając na zewnątrz. Co on knuje?

Starzec wzruszył ramionami.

– Już ci mówiłem: potrafię zobaczyć wiele, ale wnętrze czyjegoś serca jest poza zasięgiem mego wzroku. Cieszmy się, że jeszcze żyjemy.

– Cieszę się. Ale znam swego brata. On nie należy do tych, którzy potrafią czekać cierpliwie. Czuję, że na coś się zanosi, on musi mieć jakiś plan... – Josua zamilkł i siedział zapatrzony w zapuszczoną grządkę srebrników. Kwiaty nie zdążyły rozkwitnąć, a nad nimi wzniosły się

władczo chwasty, które przypominały padlinożerców opadających na umierające stado.

– A mógł być wspaniałym Królem – odezwał się nagle Josua. – Kiedyś był tylko silny, lecz nie był tyranem. To znaczy bywał czasem okrutny, za naszych młodych lat, ale to było niewinne okrucieństwo starszego chłopca, który chce zdominować młodszego. Uczył mnie nawet różnych rzeczy: walki na miecze, zapasów. Ja nie nauczyłem go niczego. Nie interesował się zbytnio rzeczami, które mnie zajmowały. – Książę uśmiechnął się smutno i przez chwilę jego mizerna twarz przypominała twarz małego chłopca. – Mogliśmy nawet zostać przyjaciółmi. – Książę splótł swe długie palce i chuchnął w nie. – Gdyby tylko żyła Hylissa.

– Matka Miriamele? – spytał cicho Jarnauga.

– Była piękna. Pochodziła z Południa; wiesz, czarne włosy, białe zęby. Bardzo nieśmiała, ale kiedy się uśmiechała, to jakby ktoś zapalał lampę. I kochała mego brata – najlepiej, jak potrafiła. Lecz bała się go także: taki był głośny i ogromny. A ona była drobna, wiotka jak wierzba. Podskakiwała przestraszona, gdy ktoś dotknął niespodzianie jej ramienia.

Książę umilkł i siedział zamyślony. Na horyzoncie ukazało się blade słońce i jego blask rozjaśnił nieco ponury ogród.

– Zdaje się, że bardzo cię obchodziła – powiedział starzec.

– Och, kochałem ją – odparł bardzo rzeczowo Josua ze wzrokiem utkwionym w plątaninę srebrników. – Pragnąłem ją kochać. Modliłem się, by Bóg zabrał tę miłość, choć wiedziałem, że będę wtedy jak łuska pozbawiona miąższu. Modlitwa i tak nie pomogła. Myślę, że i ona mnie kochała. Byłem jej jedynym przyjacielem, jak zwykła mawiać. Nikt nie znał jej tak dobrze jak ja.

– Czy Elias podejrzewał cię?

– Oczywiście. Podejrzewał każdego, kto stanął obok niej w czasie dworskich zabaw, a ja dużo z nią przebywałem. Ale zawsze traktowałem ją z honorem – dodał pośpiesznie. – Dlaczego tak się tym przejmuję jeszcze teraz? Niech mi wybaczy Usires, ale żałuję, że go nie zdradziliśmy! – Josua zacisnął zęby. – Żałuję, że nie jest moją zmarłą kochanką, zamiast być zmarłą żoną mego brata. – Patrzył z wyrzutem na wystający z rękawa kikut prawej ręki. – Jej śmierć leży mi na sumieniu jak ogromny kamień. To była moja wina. Boże, jesteśmy napiętnowaną rodziną. – Urwał, słysząc kroki na ścieżce.

– Książę Josuo! Książę Josuo! Gdzie jesteś?

– Tutaj! – zawołał roztargniony.

Po chwili zza żywopłotu wyszedł jeden z gwardzistów.

– Książę – zaczął, dysząc, i klęknął na jedno kolano. – Sir Deornoth wzywa cię natychmiast!

– Czy znowu atakują? – spytał Josua. Wstał i otrzepał rosę z wełnianego płaszcza. Jego głos wydawał się wciąż bardzo odległy.

– Nie, panie – powiedział żołnierz; otwierał i zamykał usta w podnieceniu, przypominając rybę. – Chodzi o twego brata. To znaczy Króla. Wycofuje się. Oblężenie zakończone.

Książę spojrzał na Jarnaugę zdziwiony, lecz i zaniepokojony, po czym poszedł za żołnierzem.

– Wielki Król ustąpił! – Deornoth zawołał do Josui, który wchodził właśnie schodami na mur; wiatr wydął mu płaszcz. – Widzisz? Podwija ogon i ucieka!

Deornoth odwrócił się i klepnął Isorna po ramieniu. Ten uśmiechnął się, lecz stojący za nim Einskaldir spojrzał groźnie na młodego Erkynlandczyka, by czasem nie próbował czegoś takiego z nim.

– Co się dzieje? – Josua przepchnął się obok Deornotha i stanął na krawędzi chylącej się ściany zaporowej.

Pod nimi leżały kawałki roztrzaskanych przyrządów górniczych, za pomocą których przeciwnik chciał podkopać mur i przewrócić go. Mur przechylił się nieco, lecz wytrzymał; świadczyło to o solidności budowniczych Dendinisa. Górnicy zaś podpalili słupy podtrzymujące strop ich tunelu, ale zginęli od kamieni, które udało im się obluzować.

W widocznym z daleka obozie Eliasa panowało ogromne ożywienie. Pozostałe, nieliczne wieże oblężnicze zostały przewrócone i rozbite, aby nikt inny nie mógł ich wykorzystać; niezliczone namioty zniknęły, jakby zmiecione nagłym wichrem. Ładowano królewskie wozy; z oddali dolatywały okrzyki poganiaczy i trzaski ich biczów.

– Wycofuje się! – zawołał uradowany Deornoth. – Udało się!

Josua pokiwał głową.

– Dlaczego? Dlaczego to robi? Jego armia jest jeszcze bardzo liczna.

– Może zrozumiał, jak silny jest Naglimund – powiedział Isorn, wpatrując się w dal.

– W takim razie dlaczego nie chcą wziąć nas na przeczekanie? – dopytywał się książę. – Na Aedona! Co tu się dzieje? Rozumiem, że sam Elias mógł się zdecydować na powrót do Hayholt, ale dlaczego nie zostawił wojsk?

– Żeby nas wywabić z zamku – oświadczył spokojnie Einskaldir. – Chce, żebyśmy wyszli na otwartą przestrzeń. – Zmarszczył czoło i przejechał gołym kciukiem po ostrzu swego noża.

– Możliwe – przyznał Josua. – Ale powinien znać mnie lepiej.

– Josua... – Jarnauga patrzył poza wycofujący się obóz Eliasa, na północny horyzont spowity jeszcze w porannej mgle. – Z północy nadciągają dziwne chmury.

Pozostali spojrzeli w tamtą stronę, lecz nie widzieli nic poza ciemną granicą Frostmarch.

– Jakie chmury? – spytał książę.

– Burzowe chmury. Ale bardzo dziwne. Nigdy dotąd nie widziałem takich na południe od gór.

KSIĄŻĘ STAŁ PRZY OKNIE z głową opartą o kamienną ramę i nasłuchiwał szumu wiatru. Drzewa kołysały się, a pusty dziedziniec tonął w blasku księżyca.

Vorzheva wysunęła białe ramię spod futrzanego przykrycia.

– Josuo, co się dzieje? Jest zimno. Zamknij okno i wracaj do łóżka.

Pozostał na miejscu.

– Wiatr dotrze wszędzie – powiedział cicho. – Nie można go nie wpuścić do środka i nie ma też sposobu, by zabronić mu wyjścia, jeśli tego zapragnie.

– Josuo, zbyt późno na zagadki – odparła. Ziewnęła i przeczesała dłonią swe kruczoczarne włosy, tak że rozłożyły się na prześcieradle niczym skrzydła.

– Być może jest zbyt późno na wiele innych rzeczy – powiedział. Podszedł do łóżka i usiadł na jego krawędzi obok niej. Delikatnie gładził jej długą szyję, lecz wciąż patrzył w okno. – Przepraszam, Vorzhevo. Wiem, że jestem trudnym człowiekiem. Nigdy nie byłem odpowiednią osobą dla moich nauczycieli, dla mego brata... nawet dla ciebie. Czasem wydaje mi się, że urodziłem się w niewłaściwej epoce. – Pogładził palcem policzek Vorzhevy i poczuł na dłoni jej ciepły oddech. – Kiedy patrzę na świat, w którym żyję, odczuwam jedynie głęboką samotność.

– Samotność? – Vorzheva usiadła w łóżku. Odrzuciła futro, pozwalając, by blask księżyca oświetlił jej gładkie, białe ciało. – Na mój klan, Josuo. Jesteś okrutny! Wciąż karzesz mnie za moją próbę pomocy księżniczce. Jak możesz dzielić ze mną łoże i mówić, że jesteś samotny? Odejdź, ty rozkapryszony dzieciaku. Idź spać z jedną z tych oziębłych dziewuch z Północy albo do jakiejś pustelni. Idź sobie!

Chciała go uderzyć, lecz zdążył chwycić jej ramię. Była silna pomimo swej smukłości, dlatego zdążyła uderzyć dwukrotnie Josuę drugą dłonią, zanim ją przewrócił i przycisnął do łóżka.

– Pokój, kobieto, pokój! – powiedział i roześmiał się, choć czuł pieczenie na twarzy. Nachmurzona Vorzheva próbowała wyswobodzić się z jego uchwytu. – Masz rację – powiedział. – Obraziłem cię i proszę o przebaczenie. Proszę o pokój. – Pochylił się i pocałował ją w szyję, a potem w czerwony od gniewu policzek.

– Przysuń się, to cię ugryzę – syknęła. Jej ciało drżało pod nim. – Bałam się o ciebie, gdy pojechałeś walczyć. Bałam się, że możesz zginąć.

– Ja bałem się nie mniej.

– A teraz mówisz, że czujesz się samotny.

– Można czuć się samotnym – powiedział książę, pozwalając jej ugryźć swą wargę – nawet wśród najlepszych przyjaciół.

Uwolnionym ramieniem objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie. Ich splątane ciała pogrążyły się w srebrzystym blasku księżyca.

JOSUA OPUŚCIŁ KOŚCIANĄ ŁYŻKĘ do miski z zupą i patrzył ze złością na jej falującą powierzchnię. W jadalni słychać było wiele głosów.

– Nie mogę jeść. Muszę wiedzieć!

Vorzheva rzuciła mu niespokojne spojrzenie; siedziała po drugiej stronie stołu i jadła jak zawsze z dużym apetytem.

– Cokolwiek by się działo, książę – odezwał się nieśmiało Deornoth – musisz mieć siły.

– Będą ci potrzebne, byś mógł przemówić do swych ludzi – odezwał się Isorn z ustami pełnymi chleba. – Są zawiedzeni. Król odszedł, a my się nie cieszymy. Dlaczego?

– Dobrze wiesz dlaczego! – warknął Josua i przyłożył dłoń do skroni.

– Widzicie chyba, że to jakaś pułapka. Elias nie poddałby się tak łatwo.

– Chyba tak – odparł Isorn bez przekonania. – Co nie znaczy, że ludzie stłoczeni w wewnętrznej twierdzy jak bydło – mówiąc to, wskazał na tłoczących się ze wszystkich stron stołu ludzi, z których większość siedziała na podłodze albo pod ścianami; krzeseł starczyło zaledwie dla dworzan – to zrozumieją. Mówię to ja, który spędziłem piekielną zimę w zasypanej śniegiem Elvritshalli. – Isorn ugryzł kolejny kęs chleba.

Josua westchnął i zwrócił się do Jarnaugi. Starzec zajęty był rozmową z ojcem Strangyeardem; w blasku latarni jego wytatuowany wąż wydawał się poruszać.

– Jarnaugo – odezwał się cicho książę. – Mówiłeś, że chciałbyś porozmawiać ze mną o śnie, jaki miałeś.

Starzec przeprosił duchownego.

– Tak, Josuo – odpowiedział i nachylił się do księcia. – Ale może zaczekamy z rozmową do chwili, gdy będziemy sami. – Spojrzał na tłum wokół stołu. – Wtedy nie podsłucha nas nikt, nawet gdyby schował się pod krzesłem. – Uśmiechnął się lodowatym uśmiechem. – Tak, znowu miałem sny – odezwał się po chwili z błyskiem w oku. – Nie wywołuję ich, lecz czasem pojawiają się nieproszone. Coś przydarzyło się wyprawie na Urmsheim.

– Coś? – Jakby cień padł na twarz Josui.

– To był tylko sen – powiedział wymijająco Jarnauga. – Ale odczułem gwałtowne szarpnięcie – strach i ból; i słyszałem wołanie Simona... w jego wołaniu był strach, złość i coś jeszcze...

– Czy możliwe, by to, co im się przydarzyło, było przyczyną burzy, jaką widziałeś dzisiejszego ranka? – Książę pytał ciężkim głosem, jakby z góry spodziewał się otrzymać złe wieści.

– Nie sądzę. Urmsheim znajduje się bardziej na wschód, za jeziorem Drorshull, po drugiej stronie Pustkowia.

– Czy oni żyją?

– Nie wiem. To był tylko sen. Krótki i dziwny sen.

Szli potem w milczeniu po wysokim murze zamku. Wiatr przegnał chmury i opustoszałe teraz miasto przybrało barwę kości i pergaminu.

– A więc nie ma już nawet najmniejszej nadziei na odzyskanie Ciernia – odezwał się Josua.

– Tego nie powiedziałem.

– Nie musiałeś. Podejrzewam, że ty i Strangyeard także nie dowiedzieliście się niczego nowego o losach Minneyara, miecza Fingila.

– Niestety, nie.

– Nie trzeba więcej, by upewnić nas o przegranej. Bóg zażartował sobie z nas okrutnie... – Josua zamilkł, gdy starzec chwycił go za ramię.

– Książę Josuo – powiedział, wpatrując się w horyzont. – Utwierdzasz mnie w przekonaniu, by nigdy nie szydzić z bogów, nawet jeśli to nie są twoi bogowie. – Po raz pierwszy starzec wydał się Josui poruszony.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Pytałeś, co jeszcze może się nam przydarzyć? – Jarnuga uśmiechnął się gorzko. – Pamiętasz burzowe chmury, które ciągnęły z Północy?

Zbliżają się do nas... i to szybko.

MŁODY OSTRAEL Z RUNCHESTERU stał, trzęsąc się, na murze osłonowym i zastanawiał się nad tym, co kiedyś powiedział mu ojciec.

„Dobrze jest służyć swemu księciu. Chłopcze, jako żołnierz zobaczysz kawał świata” – powiedział wtedy Firsfram, kładąc swą zniszczoną dłoń rolnika na ramieniu syna. Z boku patrzyła na nich milcząca matka; oczy miała czerwone od płaczu. „Może pojedziesz na Wyspy Południowe albo do Nabbanu i zapomnisz o tym cholernym wietrze, który wciąż wieje we Frostmarch”.

Ojca już nie było. Przepadł ostatniej zimy; zagryzły go wilki w straszliwie zimnym miesiącu Decander. Wilki albo coś innego; nie wiadomo, gdyż nie było żadnych śladów. A syn Firsframa, nie zdążywszy jeszcze zakosztować uroków życia Południa, stał na murze w mroźnym wietrze i czuł, że zimno przenika nie tylko jego ubranie, ale i serce.

Matka i siostra Ostraela siedziały razem z innymi w prowizorycznych barakach za ciężkimi, kamiennymi murami wewnętrznej twierdzy Naglimundu. Mury twierdzy dawały o wiele lepsze schronienie przed wiatrem niż jego stanowisko wysoko na murze, lecz nawet one nie były w stanie powstrzymać przerażającej muzyki zbliżającej się burzy.

Nieustannie, choć ze strachem, wpatrywał się w ciemną plamę na horyzoncie, która powiększała się niczym rozlany na wodzie atrament. Miał wrażenie, że wypiera realny świat i jest tam tylko pustka. Albo jakby samo niebo nachyliło się tam i wpuszczało kotłujące się chmury. Od czasu do czasu u góry wirującej masy ukazywały się błyski piorunów. A przez cały czas słychać było dudnienie; odgłos deszczu na grubym dachu równie nieustanny jak szczękanie zębów Ostraela.

Gorące i bajecznie słoneczne wzgórza Nabbanu stawały się coraz bardziej podobne do opowieści zaczerpniętych przez duchownych z Księgi; dzięki nim rozdawali odrobinę złudnej pociechy przed nieuniknioną śmiercią.

Burza była tuż-tuż; jej pulsujące dudnienie przypominało rój os.

LATARNIA DEORNOTHA zaskwierczała na wietrze i nieomal zgasła; osłonił ją płaszczem, dopóki płomień się nie uspokoił. Stojący obok niego Isorn wpatrywał się w zimną, rozrywaną błyskawicami ciemność.

– Na Boże Drzewo! Ciemno jak w nocy – jęknął Deornoth. – A przecież dopiero minęło południe. Prawie nic nie widzę.

Isorn otworzył usta; w blasku latarni wyglądały jak czarna dziura w jego bladej twarzy. Nie wydobył z siebie ani słowa. Poruszał tylko szczęką.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniał Deornoth, choć przestraszył się, widząc lęk na twarzy silnego, młodego Rimmersmana. – To tylko burza. Jeszcze jedna sztuczka Pryratesa. – Dobrze wiedział, że tak nie jest. Czarne chmury, które zasłoniły słońce i przyniosły ze sobą noc przed bramy Naglimundu, tchnęły przerażeniem, które swym ciężarem przygniatało istotę jego życia. Jakich użyto zaklęć, jakich czarów, że mogły wbić lodowatą włócznię przerażenia wprost w jego wnętrzności?

Burza zbliżała się; kłębowisko ciemności, rozciągające się daleko poza mury zamku po obu ich stronach, czasem rozświetlane było białoniebieskimi światłami błyskawic. W ich świetle przez chwilę ukazały się kontury skulonego miasta, a zaraz potem cały obraz zginął w ciemności. Echo pulsujących uderzeń bębna odbiło się od muru osłonowego.

Kiedy światło błyskawicy po raz kolejny na moment zastąpiło światło dnia, Deornoth zobaczył coś, co spowodowało, że chwycił się ramienia

Isorna; uchwyt był tak mocny, że Rimmersman aż zamrugał z bólu.

– Sprowadź księcia. – Głos Deornotha zabrzmiał głucho.

Isorn podniósł wzrok. Dziwne zachowanie Deornotha okazało się silniejsze od jego strachu przed burzą. Twarz młodego rycerza wyrażała kompletną pustkę, gdy tymczasem jego paznokcie raniły ramię Isorna do krwi.

– Co... co to jest?

– Sprowadź księcia Josuę – powtórzył Deornoth. – Idź!

Rimmersman jeszcze raz spojrzał na przyjaciela i uczyniwszy znak Drzewa, poszedł chwiejnym krokiem w stronę schodów.

Zupełnie odrętwiały Deornoth pomyślał, że lepiej było zginąć pod Bullback Hill – nawet haniebnie – niż oglądać to, co teraz widział.

Kiedy Isorn powrócił z księciem i Jarnaugą, Deornoth wciąż stał w tym samym miejscu, wpatrzony przed siebie.

Ogromna armia przybyła do Naglimundu. Tuż za murami wyrósł las najeżonych włóczni. W ciemności lśniła galaktyka jasnych oczu. Bębny znowu zagrały i burza rozpostarła nad miastem i twierdzą ogromny, kotłujący się namiot z deszczu, czarnych chmur i mroźnej mgły.

Oczy przybyłych zwróciły się na mury – tysiące jasnych oczu, płonących niecierpliwym oczekiwaniem. Wąskie, białe twarze w ciemnych hełmach zwróciły się ku twierdzy; białe włosy powiewały na wietrze. Groty włóczni zalśniły niebieskim blaskiem w świetle błyskawicy. Najeźdźcy patrzyli w milczeniu w górę niczym armia duchów. Pulsujący grzmot bębnów nie ustawał. Z mgły wyłoniły się inne, wyższe postacie: olbrzymy w zbrojach z ogromnymi, guzowatymi maczugami. Bębny raz jeszcze zagrały i umilkły.

„Litościwy Aedonie, ześlij na mnie odpoczynek – modlił się Isorn. – W Twoich ramionach zasnę. Na Twym łonie...”

– Josuo, kim oni są? – spytał cicho Deornoth.

– Białe Lisy, Nornowie – odpowiedział książę. – To są posiłki Eliasa. – Uniósł dłoń do oczu, jakby chciał odegnać widok tego legionu zjaw.

– Są dziećmi Króla Burz.

WASZA EMINENCJO, PROSZĘ! – Ojciec Strangyeard ciągnął za rękaw starca, najpierw delikatnie, potem coraz mocniej. Starzec przywarł do ławki w ziołowym ogrodzie.

– Musimy się modlić, Strangyeard – powtórzył z uporem biskup Anodis.

– Klęknij.

Pulsujące odgłosy burzy wzmogły się. Przerażony archiwista chciał biec... dokądkolwiek.

– To... to nie jest naturalny zmierzch, biskupie. Musisz wejść do środka, proszę.

– Wiedziałem, że nie powinienem był zostawać. Mówiłem księciu, że nie powinien sprzeciwiać się prawowitemu Królowi – dodał żałośnie Anodis. – Bóg gniewa się na nas. Musimy się modlić, żeby pokazał nam właściwą drogę; musimy rozpamiętywać Jego męczeństwo na Drzewie.

– To? To nie jest dzieło Boga – odpowiedział gniewnie zwykle bardzo łagodny Strangyeard. – To jest dzieło twojego „prawowitego Króla” i jego ulubionego czarownika.

Biskup nie zwracał na niego uwagi.

– Błogosławiony Usiresie – mamrotał, odsuwając się od duchownego w stronę zaniedbanej grządki srebrników. – Twoi pokorni słudzy żałują za grzechy. Sprzeciwiliśmy się Twej woli i zwróciliśmy na siebie Twój gniew...

– Biskupie Anodisie! – zawołał Strangyeard coraz bardziej poirytowany. Zrobił krok do przodu i zatrzymał się zdumiony. Na ogród opadała gęsta, kłębiąca się i zimna mgła. Chwilę później, gdy archwista zadrżał we wzmagającym się chłodzie, bębny zamilkły.

– Coś... – Mroźny wiatr załopotał kapturem Strangyearda.

– Och, tak. Zgrzeszyliśmy straszliwie w naszej pysze, my, małostkowi ludzie! – Anodis zawodził śpiewnie, grzechocząc kwiatami srebrników. – Mo...modlimy się... mo...modlimy...? – Jego pytający głos ucichł.

– Biskupie?

Coś ruszało się między kwiatami. Strangyeard dostrzegł przerażenie na twarzy starca, który stał z szeroko otwartymi ustami. Coś jakby próbowało go złapać; potem nie widział już wyraźnie, gdyż wokół biskupa zaczęły unosić się grudy wyrzucanej ziemi. Biskup wrzasnął przeraźliwie.

– Anodisie! – zawołał Strangyeard i wbiegł w grządkę. – Biskupie!

Krzyk ustał. Strangyeard zatrzymał się nad skulonym biskupem. Po chwili jego ciało obróciło się z wolna, jakby biskup odkrywał jakąś tajemnicę.

Część jego twarzy ociekała krwią. Na ziemi obok biskupa widniała czarna głowa podobna do wyrzuconej lalki. Głowa, żując coś, szybko zwróciła się w stronę Strangyearda. Jej malutkie oczy były białe, a kudłate wąsy lśniły umazane krwią biskupa. Gdy postać wyciągnęła z dziury rękę, by przysunąć ciało, z ziemi wyłoniły się dwie kolejne głowy. Archiwista cofnął się. Krzyk zamarł mu w gardle. Ziemia wokół zaczęła się wybrzuszać. Z gleby wysuwały się cienkie, czarne dłonie.

Strangyeard zrobił krok w tył i przewrócił się. Zaczął się przesuwać w kierunku ścieżki, przekonany, że w każdym momencie lepka dłoń chwyci go za kostkę. Usta miał szeroko otwarte, lecz z jego gardła nie wydobył się żaden dźwięk. W zaroślach zgubił sandały i boso już pomknął w kierunku

kaplicy. Gruba powłoka ciszy wydawała się przykrywać cały świat; cisza dusiła go, gniotła mu serce. Nawet trzask drzwi kaplicy wydawał mu się stłumiony. Kiedy mocował się z zasuwą, szara bezkształtna mgła przesłoniła mu wzrok. Opadł w nią z wdzięcznością, jakby to było miękkie łóżko.

WŚRÓD NORNÓW ROZBŁYSŁY teraz niezliczone pochodnie przypominające kwitnące maki na polu; ich blask oblewał purpurą przeraźliwie piękne twarze i sprawiał, że stojące z tyłu Huneny wyglądały niezwykle groteskowo w swych strojach bitewnych. Żołnierze wspinali się na mury i patrzyli w dół w niemym przerażeniu.

Pięć upiornych postaci na koniach, równie bladych jak pajęcze nici, wyjechało na otwartą przestrzeń przed mur osłonowy. Blask pochodni pełzał po ich białych płaszczach, a czerwone piramidy Burzowej Góry pulsowały na ich długich, prostokątnych tarczach. Zakapturzone postacie zdawały się emanować strachem, który dosięgał serc patrzących. Zebrani na murach poczuli, że opada na nich niemoc i bezradność.

Prowadzący jeździec uniósł włócznię. Pozostali czterej zrobili to samo. Bębny zagrzmiały trzykrotnie.

– *Gdzie jest pan Ujin e-d'a Sikhunae – Pułapki, Która Chwyta Myśliwego?* – Głos jeźdźca zabrzmiał jak szydercze wycie wiatru, które odbija się echem od długiego kanionu. – *Gdzie jest pan Domu Tysięcy Gwoździ?*

Burza pulsowała długo, zanim padła odpowiedź.

– Jestem tutaj. – Josua wystąpił do przodu i jego szczupła postać ukazała się nad strażnicą. – Czego szukają ci dziwni podróżni u mych bram? – Jego głos brzmiał spokojnie, choć drżał lekko.

– *Przyszliśmy zobaczyć, jak rdzewiały gwoździe, gdy tymczasem my nabieraliśmy siły.* – Jeździec mówił wolno, ze świstem wypuszczał powietrze, jakby nie był przyzwyczajony do mówienia. – *Przybyliśmy tutaj, śmiertelniku, aby odebrać część tego, co posiadasz. Tym razem na ziemię Osten Ard poleje się ludzka krew. Przyszliśmy zniszczyć twój dom.*

Z dudniącego głosu przebijała taka moc i nienawiść, że wielu spośród żołnierzy, którzy wspięli się na mury, teraz z krzykiem uciekało do zamku. Nagle ponad jękami i szeptami przerażenia rozległ się przeraźliwy okrzyk.

– Kopacze! Kopacze na terenie twierdzy!

Książę zwrócił się w stronę krzyczącej postaci. Był to Deornoth, który zbliżał się na chwiejnych nogach.

– W ogrodzie pełno Bukkenów – oznajmił młody rycerz. Otworzył szerzej oczy na widok jeźdźców.

Książę wysunął się jeszcze o krok.

– Można by pomyśleć, że chodzi wam o zemstę! – zawołał do przybyłych. – Ale to kłamstwo! Przyszliście z rozkazu Wielkiego Króla, Eliasa – śmiertelnika. Służycie śmiertelnikowi. Chodźcie zatem. Zabierajcie się do zniszczenia. Przekonacie się, że nie wszystkie gwoździe zardzewiały i że jest tu jeszcze żelazo, które może śmiertelnie ugodzić Sithów!

Pozostali na murach żołnierze wznieśli okrzyk. Pierwszy z jeźdźców podjechał jeszcze bliżej.

– *Jesteśmy Czerwoną Dłonią!* – Jego głos brzmiał, jakby dochodził z grobu. – *Służymy tylko jednemu panu, jest nim Ineluki, Pan Burz. Mamy tego swoje powody, lecz zachowamy je dla siebie – dla was śmierć!*

Dał znak włócznią i zagrały bębny. Rozległ się też ostry dźwięk trąbek.

– Podciągnijcie wozy! – zawołał Josua z dachu strażnicy. – Zablokujcie bramę! Będą próbowali ją wyważyć!

Lecz Nornowie nie podjechali taranem i nie próbowali rozbijać masywnej bramy. Stali w milczeniu i patrzyli, jak pięciu jeźdźców rusza wolno. Jeden ze strażników na murze wypuścił strzałę. Zaraz za nią poleciały następne, lecz nawet jeśli dochodziły celu, przelatywały przez jeźdźców, którzy nie zatrzymali się ani na chwilę.

Bębny grzmiały wściekle; zawodziły dziwne fujarki i trąbki. Jeźdźcy zsiedli z koni i pojawiając się i znikając w świetle błyskawic, podeszli do bramy.

Ich przywódca zdecydowanym ruchem rozchylił płaszcz. Zdawało się, że sączy się spod niego purpurowe światło. Nagle stał się bezkształtnym tlącym się żarem. Pozostali uczynili podobnie. Ukazało się teraz pięć mieniących się, migocących konturów. Urosły do wielkości dwóch mężczyzn i płonęły jak powiewający na wietrze jedwab. Na pozbawionej oczu twarzy przywódcy otworzyła się czarna dziura ust, gdy uniósł płonące ramiona i położył je na bramie.

– *Śmierć!* – zawołał głosem, który zatrząsł posadami zamku. Żelazne zawiasy bramy rozżarzyły się do czerwoności.

– *Hei ma’akajao-zha!*

Masywne krokwie poczerniały i zaczęły dymić. Josua skoczył na mur, ciągnąc za sobą oniemiałego Deornotha.

– *T’si anh pra INELUKI!*

Przerażeni żołnierze zbiegali z muru w popłochu, gdy tymczasem nastąpił straszliwy błysk i ogłuszający huk – głośniejszy od bębnów i piorunów – a potem potężna brama rozpadła się pośród tysięcy syczących iskier. Opadające drzazgi dymiły w deszczu. Mur przechylił się na jedną stronę, przygniatając uciekających żołnierzy.

Uzbrojeni Nornowie skoczyli natychmiast w dymiące wyrwy w murze. Niektórzy mieli ze sobą długie tuby z drewna lub kości. Kiedy przykładali

do nich pochodnie, z tub wylatywał strumień ognia. Uciekający momentalnie stawali się żywymi pochodniami. Przez zgliszcze ruszyły ogromne, ciemne postacie; Huneny wywijały nabijanymi kolcami maczugami i wyły jak wściekłe niedźwiedzie, tratując wszystko, co znalazło się na ich drodze. Porozrywane ciała wylatywały w powietrze spod ich stóp.

Część żołnierzy zdołała opanować strach i stanęła do walki. Jeden z olbrzymów zachwiał się z dwoma włóczniami w brzuchu, lecz po chwili obaj włócznicy już nie żyli, ugodzeni białymi strzałami Nornów, którzy wdzierali się dymiącymi wyrwami w murze, jak robactwo.

Deornoth pociągnął Josuę w kierunku twierdzy wewnętrznej. Na umazanej sadzą twarzy księcia widniały ślady krwi i łez.

– Elias posiał zło – załkał Josua, gdy Deornoth ciągnął go obok charczącego żołnierza. Deornothowi wydawało się, że rozpoznał młodego pikiniera, Ostraela, pod wijącymi się czarnymi kopaczami. – Mój brat zasiał nasiona śmierci całego rodzaju ludzkiego – jęczał Josua. – On zwariował!

Zanim Deornoth zdążył odpowiedzieć – choć nie wiedział, co miałby powiedzieć – zza rogu wewnętrznej twierdzy wyszło dwóch Nornów, ciągnąc wydzierającą się dziewczynę; w otworach hełmów płonęły ich oczy. Ujrzawszy Deornotha, jeden z nich powiedział coś i przeciągnął ostrzem długiego, cienkiego miecza przez gardło dziewczyny. Opadła na ziemię w konwulsjach śmierci.

Deornoth poczuł, że robi mu się niedobrze, lecz mimo to skoczył do przodu z wyciągniętym mieczem. Książę wyprzedził go o krok. Jego Naidel lśnił jak błyskawica na czarnym niebie, a przecież było popołudnie, zaledwie popołudnie!

„Wreszcie nadeszła godzina – pomyślał. Stal dźwięczała na gładkim magicznym drewnie. – Trzeba zachować honor – mówił do siebie. – Nawet

jeśli nikt nie widzi... Bóg zobaczy...”

Pot zalewał mu oczy, a on widział jak we mgle znienawidzone i pełne nienawiści blade twarze.

ŻADEN SEN O PIEKLE, żaden drzeworyt z jego licznych ksiąg, żadne ostrzeżenia aedonickich nauczycieli nie mogły przygotować ojca Strangyearda do tego, co działo się w Naglimundzie. Błyskawice rozświetlały niebo, grzmiały pioruny, a głosy atakujących i ofiar wznosiły się ku niebu jak wołania przeklętych. Pomimo deszczu i wiatru wszędzie wokół wyskakiwały z ciemności płomienie, zabijając tych, którzy mieli nadzieję skryć się za masywnymi drzwiami przed szalejącym na zewnątrz horrorem.

Kryjąc się w cieniu korytarzy, Strangyeard zobaczył Nornów wdzierających się przez rozbite okna kaplicy. Patrzył bezradnie, jak schwytali modlącego się przed ołtarzem ojca Eglafa. Nie mógł mu w niczym pomóc, lecz nie miał też sił zostać dłużej i patrzeć na zbliżający się dramat. Łzy napłynęły mu do oczu i czuł, że serce ma ciężkie jak kamień. Wymknął się na zewnątrz i pobiegł do książęcych komnat w twierdzy wewnętrznej.

Chowając się w cieniu żywopłotu, zobaczył grubego Ethelfertha z Tinsett i jego dwóch gwardzistów zmiażdżonych maczugą olbrzyma, który stał nad nimi i warczał wściekle. Widział, jak Eadgram cały zakrwawiony wstaje jeszcze z ziemi otoczony skrzeczącymi kopaczami. Widział też, jak inny Hunen rozrywa na strzępy jedną z dam dworu, gdy tymczasem jej towarzyszka klęczała nieopodal na ziemi oszalała ze strachu. W całym zamku rozgrywały się tysiące podobnych tragedii, a koszmar ten zdawał się nie mieć końca.

Strangyeard był pewien, że Bóg odwrócił swe oblicze od umierającego w konwulsjach Naglimundu, lecz mimo to, płacząc, modlił się z uporem. Chwiejnym krokiem dotarł przed bramę twierdzy wewnętrznej. Pośród plątaniny ciał stało tam dwóch usmolonych rycerzy; z odkrytymi głowami rozglądali się wzrokiem ściganego zwierzęcia. Potrzebował długiej chwili, by rozpoznać w nich Deornotha i księcia. Musiał jeszcze przeżyć kolejny długi moment niepewności, zanim przekonał ich, by poszli za nim.

W labiryncie korytarzy twierdzy było spokojniej. Lecz i tutaj wdarli się już Nornowie; kilka skulonych ciał leżało pod ścianami, a inne rozciągnięte na środku kamiennej podłogi. Jednak większość ludzi zdołała uciec w kierunku kaplicy albo jadalni, a Nornowie nie ścigali ich aż tak daleko. Zostawili to na później.

Słysząc dochodzące z zewnątrz krzyki Josui, Isorn otworzył drzwi. Syn Isgrimnura, Einskaldir i garstka żołnierzy strzegli lady Vorzhevy i księżnej Gutrun. Schroniło się tam także kilku innych dworzan; byli między nimi Towser i Sangfugol.

Książę wyrwał się z objęć płaczącej Vorzhevy. Strangyeard dostrzegł w rogu Jarnaugę; starzec leżał na sienniku z głową owiniętą przesiąkniętym krwią bandażem.

– Zawalił się dach biblioteki – powiedział Rimmersman, uśmiechając się gorzko. – Obawiam się, że płomienie strawiły prawie wszystko.

Dla ojca Strangyearda był to w jakimś sensie największy cios. Płakał tak mocno, że łzy leciały nawet spod przepaski na oku.

– Mogło być gorzej... – przemówił wreszcie, łkając. – Mogłeś zginąć z nimi, mój przyjacielu.

Jarnauga pokiwał głową i zamrugał.

– Nie, jeszcze nie. Ale wkrótce. Jednak uratowałem jedną rzecz. – Wyciągnął zza koszuli pognieciony manuskrypt Morgenesa; w jednym

końcu został przypieczętowany krwią. – Schowaj go. Mam nadzieję, że się jeszcze przyda.

Strangyeard wziął ostrożnie rękopis, związał go tasiemką z biurka Josui i wsunął do wewnętrznej kieszeni swego habitu. – Czy możesz wstać? – spytał Jarnaugę.

Starzec skinął głową, a wtedy duchowny pomógł mu się podnieść.

– Książę Josuo – powiedział Strangyeard, podtrzymując Jarnaugę. – Przyszło mi coś do głowy.

Książę przerwał ożywioną rozmowę z Deornothem oraz pozostałymi i spojrzał zniecierpliwiony na archiwistę.

– O co chodzi? – Wskutek tego, że miał opalone brwi, jego czoło wydawało się bardziej wypukłe niż przedtem; blade, odcinało się wyraźnie od krótko przyciętych włosów. – Czy chcesz, bym wybudował ci nową bibliotekę? – Książę oparł się zmęczony o ścianę, gdy tymczasem wrzawa za drzwiami wzmagała się. – Przepraszam, Strangyeardzie. Głupie było to, co powiedziałem. Co ci przyszło do głowy?

– Możemy się stąd wydostać.

Brudne, zrezygnowane twarze zwróciły się ku niemu.

– Co? – spytał Josua i pochylił się zaciekawiony. Czy chcesz, żebyśmy wymaszerowali przez bramę? Słyszę, że właśnie ją dla nas otworzyli.

Pełne determinacji spojrzenie Strangyearda zmusiło księcia do opuszczenia wzroku.

– Istnieje tajemne przejście, które prowadzi z wartowni do Wschodniej Bramy – powiedział. – Pamiętam z planów. Kazałeś mi w czasie przygotowań do oblężenia przestudiować plany zamku wykonane przez Dendinisa. – Przypomniały mu się pożółkłe zwoje zawierające zapisane wyblakłym atramentem szczegółowe notatki Dendinisa, spalone teraz i pogrzebane pod gruzami biblioteki. Powstrzymał łzy. – Gdyby... gdyby

udało nam się tam dotrzeć, moglibyśmy uciec Przełazem i schronić się wśród wzgórz Wealdhelm.

– A potem co? – wtrącił Towser płaczliwie. – Mamy tam zdechnąć z głodu? Dać się pożreć wilkom z lasu Aldheorte?

– Wolisz raczej zostać zjedzonym tutaj i teraz przez mniej przyjemne stworzenia? – warknął Deornoth. Po wiadomości duchownego w jego serce wstąpiła słaba nadzieja; gotów był przecierpieć najgorsze, żeby tylko uratować księcia.

– Będziemy musieli się tam przebić – powiedział Isorn. – Słyszę wszędzie wkoło Nornów. Mamy ze sobą kobiety i dzieci.

Josua rozejrzał się po kilkunastu przestraszonych twarzach.

– Lepiej zginąć na zewnątrz, niż dać się spalić tutaj – odezwał się wreszcie. Uniósł dłoń w geście błogosławieństwa, a może rezygnacji. – Ruszajmy szybko.

– Jeszcze jedno, książę. – Josua podszedł do podtrzymującego Jarnaugę Strangyearda. – Jeśli uda nam się dotrzeć do bramy tunelu – mówił spokojnie duchowny – staniemy przed innym problemem. Tunel został wybudowany dla obrony, a nie dla ucieczki. Dlatego można go otwierać i zamykać bez problemu.

Josua starł popiół z czoła.

– Sugerujesz, że będziemy musieli w jakiś sposób zablokować za sobą przejście?

– Jeśli mamy liczyć na powodzenie naszej ucieczki.

Książę westchnął. Z przeciętej wargi kapnęła mu na brodę kropla krwi.

– Dostańmy się najpierw do bramy, a potem będziemy się martwić, co dalej.

Wypadli z pokoju wszyscy razem, zaskakując czekających w korytarzu dwóch Nornów. Einskaldir uderzył toporem w hełm jednego z nich z taką

siłą, że aż zobaczyli w ciemności iskry. Drugi zdołał zaledwie unieść miecz, lecz wtedy dopadli go już Isorn i jeden z gwardzistów. Deornoth i książę wyprowadzili dworzan.

Odgłosy walki prawie zamarły. Tylko czasem jeszcze rozlegał się w pustych korytarzach okrzyk bólu albo zwycięstwa. Piekący w oczy dym, pełzające ognie i szydercze śpiewy Nornów sprawiały, że książęca rezydencja przypominała jakieś straszliwe podziemie, labirynt gdzieś na krawędzi Wielkiej Otchłani.

Kiedy dotarli do zniszczonego ogrodu, zostali zaatakowani przez skrzeczących kopaczy. Jeden z żołnierzy zginął ugodzony w plecy nożem Bukkena. Kiedy reszta odpierała ataki pozostałych kopaczy, jedna ze służących Vorzhevy została wciągnięta do dołu. Deornoth skoczył jeszcze, by ją uratować, i zdołał nadziać na swe ostrze jedno z wijących się, czarnych ciał, lecz dziewczyna zniknęła. W błocie pozostał jej pantofelek – jedyny ślad, że kiedykolwiek istniała.

Dwa Huneny odkryły piwnice z winami i okładały się maczugami przed drzwiami wartowni w pijackiej sprzeczce o ostatnią beczkę. Ramię jednego z olbrzymów zwisało luźno u jego boku, drugi zaś otrzymał ranę w głowę tak okropną, że zwisał mu z niej kawał skóry, a jego twarz ociekała krwią. Mimo to Huneny walczyły zajadle, warcząc na siebie w niezrozumiałym języku pośród porozbijanych beczek i ciał obrońców.

Przycupnęli w rogu ogrodu. Josua i Strangyeard patrzyli poprzez strugi deszczu.

– Drzwi wartowni są blisko – powiedział Josua. – Może udałoby nam się przebiec przez dziedziniec, ale jeśli będą zamknięte od środka, nie zdążymy ich otworzyć.

Strangyeard zadrżał.

– Nawet gdyby udało nam się je otworzyć, nie mielibyśmy dość czasu, żeby je za sobą zaryglować.

Josua spojrzał na Deornotha, lecz ten nic nie powiedział.

– W końcu – szepnął książę – po to tutaj przyszliśmy. Pobiegniemy.

Zbili się w ciasną grupę i ruszyli, potykając się. Huneny, które przypominały walczących ze sobą pradawnych bogów, wciąż zajęte były sobą; jeden z nich zacisnął właśnie zęby na gardle swego przeciwnika. Drugi Hunen, nieświadomy przebiegających obok ludzi, wyciągnął nogę w paroksyzmie bólu i przewrócił Sangfugola. Isorn i Towser szybko zawrócili i podnieśli harfiarza. W tym momencie po drugiej stronie dziedzińca rozległ się wysoki, bojowy okrzyk.

Wezwanych przez jednego z towarzyszy przybyło kilkunastu Nornów – dwóch z nich jechało na białych koniach. Ujrzawszy ludzi, wydali dziki okrzyk i pognali galopem, mijając nieprzytomne Huneny.

Isorn dopadł do drzwi i pociągnął je do siebie. Otworzyły się bez trudu. Lecz gdy przerażeni wbiegali do środka, pierwszy z jeźdźców był już przy nich; na głowie miał wysoki hełm, a w dłoni długą włócznię.

Ciemnobrody Einskaldir zawarczał jak osaczony pies i skoczył do przodu. Uchylił się przed wycelowaną w niego włócznią i natarł z boku na Norna. Chwycił powiewający płaszcz jeźdźca i ściągnął go na ziemię. Koń bez jeźdźca zaczął się ślizgać na mokrych kamieniach. Klękając nad leżącym, Einskaldir zamierzył się mocno toporem, a potem jeszcze raz. Niepomny na to, co się wokół niego dzieje, zginąłby niechybnie przebity włócznią drugiego z Nornów, gdyby nie Deornoth, który rzucił wiekiem rozbitej beczki, przewracając jeźdźca na żywopłot. Piechurzy zbliżali się szybko, z wyciem, gdy tymczasem Deornoth ściągał Einskaldira z ciała Norna.

Isorn z pomocą dwóch żołnierzy zatrzasnął drzwi w ostatniej chwili. Włócznie wbiły się w twarde drewno; zaraz potem jeden z Nornów zawołał coś w ich twardo brzmiącym języku.

– Topory! – powiedział Jarnauga. – Znam trochę język Hikeda'ya. Idą po topory.

– Strangyeard! – krzyknął Josua. – Gdzie jest to cholerne przejście?

– Tu jest... tu jest tak ciemno – odezwał się drżącym głosem duchowny. Rzeczywiście, pokój oświetlały tylko płomienie zaczynającego się palić dachu. Pod niskim sufitem zbierał się gęsty dym. – Wy... wydaje mi się, że jest od południowej strony... – zaczął.

Einskaldir i kilka innych osób popędziło do południowej ściany i zaczęli zdzierać z niej ciężkie gobeliny.

– Są drzwi! – zawołał Einskaldir. – Zamknięte – dodał po chwili.

Dziurka w zamku ciężkich drewnianych drzwi była pusta. Josua patrzył na nie, gdy tymczasem ostrze topora przebiło drzwi od dziedzińca.

– Wyważcie je – powiedział. – A pozostali niech układają barykadę.

Einskaldir i Isorn potrzebowali tylko paru chwil, by wyważyć zamek. Deornoth przyłożył niezapaloną pochodnię do tlącego się sufitu. W następnym momencie drzwi wyleciały z hukiem z zawiasów. W drugich drzwiach topór wyrąbał kolejną dziurę.

Przebiegli kilkaset jardów; mocniejsi pomagali słabszym. Wreszcie jeden z dworzan przewrócił się na podłogę, niezdolny do dalszego biegu. Isorn podszedł, by go podnieść, lecz jego matka – sama chwiejąc się na nogach – powstrzymała go.

– Zostaw go – powiedziała. – Da radę.

Isorn spojrzał na nią i wzruszył ramionami. Kiedy ruszyli pochyłym, kamiennym korytarzem, usłyszeli, że mężczyzna podnosi się, przeklinając ich, i idzie za nimi.

Wreszcie stanęli przed kolejnymi drzwiami, które w świetle jedynej pochodni wyglądały bardzo solidnie. Z tyłu dobiegały odgłosy pogoni. Obawiając się najgorszego, Josua chwycił za jeden z żelaznych pierścieni na drzwiach i pociągnął. Drzwi otworzyły się do wewnątrz z lekkim skrzypieniem zawiasów.

– Dzięki Usiresowi – powiedział Isorn.

– Wprowadźcie kobiety i pozostałych – rozkazał Josua.

Dwaj żołnierze natychmiast wykonali polecenie.

– Musimy zdecydować – odezwał się ponownie Josua. – Albo zablokujemy w jakiś sposób te drzwi, albo będziemy musieli zostawić paru ludzi, by zdołali opóźnić pościg.

– Zostanę – warknął Einskaldir. – Już zakosztowałem dzisiaj nieczystej krwi. Nie zaszkodzi mi trochę więcej. – Poklepał rękojeść swego miecza.

– Nie. To jest moje i tylko moje zadanie. – Jarnauga zakasłał i wsparł się na ramieniu Strangyearda, lecz zaraz się wyprostował.

Duchowny spojrzał na starca i zrozumiał.

– Umieram – powiedział Jarnauga. – Nie dane mi było opuścić Naglimund. Wiedziałem o tym. Musicie mi tylko zostawić miecz.

– Nie masz siły! – rzucił ze złością Einskaldir, jakby rozczarowany.

– Mam jej dość, by zamknąć te drzwi – odparł spokojnie starzec. – Widzisz? – wskazał na ogromne zawiasy. – Solidnie wykute. Przy zamkniętych drzwiach wystarczy złamać miecz w szczelinie jednego z nich, a powstrzyma to każdy pościg. Idźcie już.

Książę odwrócił się, jakby zamierzał się sprzeciwić; w korytarzu rozległy się głośniejsze krzyki. – Dobrze – powiedział cicho. – Niech cię Bóg błogosławi, starcze.

– Nie ma potrzeby – powiedział Jarnauga. Zdjął coś lśniącego z szyi i wcisnął w dłoń Strangyearda. – Dziwnie rozpoczynać przyjaźnie na

koniec życia – powiedział.

Duchowny ze łzami w oczach ucałował policzki Rimmersmana.

– Przyjacielu – szepnął i przeszedł przez drzwi.

Przez chwilę widzieli jeszcze jasne oczy Jarnaugi, a potem starzec zamknął drzwi, tłumiąc odgłosy pościgu. Zasuwa gładko weszła na swoje miejsce.

Długo wspinali się po schodach, aż wreszcie wyszli na zewnątrz; wciąż wiał wiatr i padał deszcz, choć burza nie była już tak gwałtowna. Stojąc na nagim zboczu wzgórza poniżej zalesionego Przełazu, widzieli w dole ognie pełzające po ruinach Naglimundu, a wśród nich przemykające postacie obcych istot.

Josua długo stał w milczeniu; po jego okopconej twarzy spływały strużki deszczu. Pozostali czekali z tyłu skuleni, gotowi do dalszej drogi. Książę uniósł lewą pięść.

– Eliasie! – zawołał, a wiatr poniósł echo. – Sprowadziłeś śmierć i jeszcze gorsze rzeczy do królestwa naszego ojca! Obudziłeś pradawne zło i zniszczyłeś Berło Wielkiego Króla! Pozbawiłeś mnie domu i zniszczyłeś to, co kochałem. – Zamilkł, powstrzymując łzy. – Już nie jesteś Królem! Odbiorę ci koronę! Odbiorę, przysięgam!

Deornoth wziął go za ramię i odprowadził z krawędzi ścieżki. Poddani księcia czekali na niego zziębnięci, przestraszeni i osamotnieni wśród wzgórz Wealdhelm. Pochylił na moment głowę – zmęczony, a może zatopiony w modlitwie – i poprowadził ich w ciemność.

44. Krew i wirujący świat

ZALAŁA GO PALĄCA JAK OGIEŃ, czarna krew smoka. Wtedy poczuł, że słabnie jego własne życie. Płynęła w nim jakaś straszliwa moc, która niszczyła jego ducha i pozostawiała w nim tylko życie smoka. Tak jakby on sam na chwilę przed nadejściem ciemności stał się sercem Bestii.

Żarzące się powoli, zawiłe życie Igjarjuka pochwyciło go. Rósł, zmieniał się, a zmiana była równie bolesna jak śmierć i narodziny.

Jego kości stały się ciężkie, twarde jak kamień i przybrały gadzi kształt. Jego skóra stwardniała i pokryła się łuskami; poczuł, że przesuwa się po jego grzbiecie niczym diamentowa kolczuga.

W jego sercu płynęła teraz smocza krew; płynęła z siłą ciemnej gwiazdy pędzącej na pustym niebie, silna i gorąca jak ognie ziemskiej kuźni. Wrastał w kruchą, pradawną inteligencję smoczego rodzaju; czuł narodziny swego rodu u zarania dziejów, a potem ciężar niezliczonych lat – mroczne tysiąclecia, które przemykały jak pędząca woda. Był teraz jednym z Najstarszych ze swego rodu, jednym z pierworodnych na ochładzającej się ziemi i leżał zwinięty pod jej powierzchnią jak robaczek w miąższu jabłka...

Pradawna, czarna krew pędziła szybko w jego żyłach. A on wciąż rósł, oglądał i nazywał wszystkie rzeczy wirującego świata. Skóra świata stała się jego własną – tą pełzającą powierzchnią, na której rodziły się wszelkie żywe istoty, walczyły i umierały pokonane, by raz jeszcze stać się częścią

niego. Kości ziemi były jego kośćmi; kamienne kolumny, na których wszystko stało i przez które on czuje każde drżenie pulsującego życia.

On był Simonem. On był Bestią. Był samą ziemią w całej jej różnorodności i najdrobniejszym szczególe. Wciąż rósł i rosnąc, czuł, że jego śmiertelne życie oddala się...

Osamotniony nagle w swym majestacie, przestraszony, że straci wszystko, sięgnął, by dotknąć tych, których znał. Czuł ciepło ich życia; byli jak iskry w rozległej, ciemności. Tyle ludzkich istnień – tak ważnych, tak małych...

Zobaczył Rachel – pochyloną i starą. Siedziała na stołku w pustym pokoju, obejmując dłońmi swą siwą głowę. Kiedy stała się taka mała? U jej stóp leżała miotła, a obok niej starannie zamieciony stos kurzu. W zamkowym pokoju zapadał zmrok.

Książę Josua stał na zboczu wzgórza i patrzył w dół. Na jego ponurej twarzy migotał słaby blask płomieni. Widział jego ból i cierpienie; próbował wyciągnąć dłoń i pocieszyć go, lecz te życia mógł tylko oglądać.

Jakiś mały, brązowy człowieczek popychał żerdzią swą łódź w górę strumienia. Ogromne drzewa zanurzały gałęzie w wodzie, a na niebie wisiały małe obłoki. Człowieczek poklepał z zadowoleniem zwój pergaminu, który miał za pasem. Wiatr zagrzechotał gałązkami i człowieczek uśmiechnął się z wdzięcznością.

Jakiś potężny mężczyzna – Isgrimnur? Gdzie jego broda? – szedł wybrzeżem i wpatrywał się w ciemniejące niebo nad smaganym wiatrem oceanem.

Piękny starzec o długich, białych włosach bawił się z grupą półnagich dzieci. W jego głębokich, niebieskich oczach widać było spokój i szczęście.

Miriamele z krótko przyciętymi włosami stała oparta o poręcz na pokładzie statku i spoglądała na gromadzące się na horyzoncie ciężkie

chmury. Nad jej głową łopotały żagle. Chciał patrzeć na nią dłużej, lecz obraz oddalił się jak opadający liść.

Wysoka hernystirska kobieta ubrana na czarno klęczała przed dwoma kopcami z kamieni, usypanymi w kępie brzóz, wysoko na zboczu góry.

Król Elias o przekrwionych oczach wpatrywał się w swój puchar. Na jego kolanach leżał Smutek. Szary miecz sprawiał wrażenie dzikiego zwierza, który udaje, że śpi...

Nagle ukazał mu się Morgenes pośród płomieni; widok ten ugodził lodową włócznią bólu nawet serce smoka. Starzec trzymał ogromną księgę, a jego usta poruszały się w niemym krzyku, jakby ostrzegał... strzeż się fałszywego posłańca... strzeż się...

Twarze zniknęły, poza jednym duchem.

Był to chłopiec chudy i niezgrabny; wędrował ciemnymi tunelami pod ziemią, płacząc, pełzał tym labiryntem jak schwytany owad. Widział teraz jakże boleśnie każdy szczegół, każdy zakręt i upadek.

Chłopiec stał na wzgórzu w blasku księżyca; wpatrywał się przerażony w postacie o bladych twarzach i szary miecz, lecz ciemna chmura zakryła go.

Ten sam chłopiec – starszy teraz – stał przed ogromną, białą wieżą. Na jego palcu zalśniło coś złotym blaskiem, choć stał w głębokim cieniu. Dzwony dzwoniły, a dach zajął się ogniem...

Teraz ogarniała go ciemność. Ciągnęła go w inne, nieznane miejsca, ale on nie chciał tam iść. Przynajmniej nie wcześniej, dopóki nie przypomni sobie imienia tamtego niezdarnego chłopca, który z takim trudem posuwał się naprzód, nie wiedząc, po co. Nie, nie pójdzie. Przypomni sobie...

Chłopiec nazywa się... nazywa się... Simon!

Simon.

Cały obraz zniknął...

SEOMAN – USŁYSZAŁ CAŁKIEM donośny głos; zdał sobie sprawę, że głos woła go już od jakiegoś czasu.

Otworzył oczy. Kolory wokół były tak żywe, że szybko zamknął je oślepiony. Na tle ciemności przymkniętych powiek wirowały srebrne i czerwone koła.

– Chodź, Seomanie. Chodź i przyłącz się do swoich kompanów. Potrzebujemy cię.

Uchylił nieco powieki, by przyzwyczaić oczy do światła. Nie było żadnych kolorów – wszystko było białe. Jęknął, starając się poruszyć. Czuł się potwornie słaby, jakby przygniatał go do ziemi ogromny ciężar. Jednocześnie czuł się niezwykle kruchy i przeźroczysty, jakby jego ciało było ze szkła. Wydawało mu się, że nawet z zamkniętymi oczami czuje przepływające przez niego światło; światło wypełniało go promieniowaniem, które nie dawało ciepła.

Po jego wrażliwej twarzy przemknął cień; nieomal odczuł jego ciężar. Coś mokrego i zimnego dotknęło jego warg. Przełknął, poczuł ukłucie bólu, zakasłał i wypił kolejny łyk. Wydawało mu się, że odczuwa miejsca, w których zawsze była woda – lodowy wierzchołek góry, deszczowa burza, górski żleb.

Otworzył szerzej oczy. Rzeczywiście, wszystko wokół było niesamowicie białe; wszystko z wyjątkiem złocistej twarzy Jirikiego. Znajdował się w jaskini; jej ściany miały jasny kolor popiołu i tylko gdzieniegdzie widniały na nich jasne linie. Na niskiej półce nad podłogą ułożone były futra, drewniane rzeźby i ozdobne misy. Simon uchwycił mocniej futro, którym go przykryto; dłonie miał zdrętwiałe, lecz dziwnie czułe. Pomacał drewniane łóżko, na którym go położono.

– Jak...? Ja... – zakasłał.

– Jesteś obolały, zmęczony. Należało się tego spodziewać. – Sitha zmarszczył brwi, lecz wyraz jego oczu nie uległ zmianie. – Zrobiłeś coś strasznego. Wiesz o tym, Seomanie? Dwukrotnie uratowałeś mi życie.

– Hmm. – Jego głowa reagowała równie wolno jak jego mięśnie. Ale co się właściwie stało? Pamiętał górę... jaskinię... i... – Smok! – zawołał Simon, krztusząc się, i spróbował usiąść. Kiedy odchylił futrzane przykrycie, poczuł chłód panujący w pomieszczeniu. Przez skórę zawieszoną u wejścia do jaskini sączyło się światło. Czuł, że całe ciało ma zwiotczałe; głowa i twarz pulsowały. Opadł na łóżko.

– Nie ma go – powiedział Jiriki. – Martwy albo... nie wiem co, ale go nie ma. Kiedy zadałeś mu cios, spadł w otchłań. Trudno powiedzieć gdzie; za dużo lodu i śniegu. Posługiwałeś się Cierniem jak przystało na prawdziwego wojownika, Seomanie Śnieżnowłosy.

– Ja... – Spróbował wziąć głębszy oddech. Kiedy zaczynał mówić, odczuwał ból twarzy. – To... to chyba nie ja. Cierń posłużył się mną. Ja... ja chyba chciałem się tylko uratować. To brzmi głupio, ale...

– Nie. Może i masz rację. Spójrz. – Jiriki wskazał pod ścianę jaskini. Leżał tam Cierń złożony na płaszczu sithijskiego księcia; czarny i odległy, jak dno głębokiej studni. Czy to możliwe, by mógł odczuwać życie czegoś takiego w swojej dłoni? – Nie mieliśmy kłopotu z przyniesieniem go tutaj – powiedział Jiriki. – Być może chciał się tutaj znaleźć.

Simon zastanowił się nad słowami Sithy. Chciał się tutaj znaleźć, ale co znaczy tutaj? I jak się dostaliśmy... Och, Matko Boża, smok!

– Jiriki! – wyszeptał. – A inni? Gdzie są inni?

Jiriki pokiwał głową łagodnie.

– Tak. Chciałem odłożyć to na później. – Zamknął na chwilę oczy. – An’nai i Grimmric nie żyją. Zostali pochowani na Urmsheim. – Westchnął

i wykonał jakiś skomplikowany gest dłońmi. – Nie wiesz, co to znaczy pochować Sithę i śmiertelnika w jednym grobie. Rzadko takie rzeczy miały miejsce i nie zdarzyły się od pięciu stuleci. Czyny An’nai będą żyły do końca świata w Tańcu Wieków, który jest kroniką naszego ludu; obok niego będzie tam też imię Grimmrica. Na zawsze pozostaną pod Drzewem Uduna. Co do pozostałych... wszyscy przeżyli.

Simon poczuł ucisk na sercu, lecz starał się nie myśleć teraz o poległych towarzyszach. Patrzył w popielaty sufit i zobaczył, że delikatne linie przedstawiały ogromne węże i bestie z wielkimi kłami; widać je było na całym suficie i ścianach. Niepokoiły go puste oczy zwierząt; kiedy patrzył na nie zbyt długo, wydawały się poruszać. Odwrócił się do Sithy.

– Gdzie jest Binabik? – spytał. – Chciałbym z nim porozmawiać. Miałem bardzo dziwny sen... bardzo dziwny...

Zanim Jiriki zdążył odpowiedzieć, w wejściu ukazała się głowa Haestana.

– Król wciąż jeszcze nie chce rozmawiać? – spytał. Po chwili dopiero dostrzegł Simona. – Obudziłeś się, chłopcze! To dobrze!

– Jaki król? – spytał Simon. – Chyba nie Elias?

– Nie, chłopcze. – Haestan pokiwał głową. – Po... po tym, co wydarzyło się na górze, znalazły nas trolle. Ty spałeś przez jakiś czas. Jesteśmy teraz na Mintahoq – na górze trolli.

– I Binabik jest ze swoją rodziną?

– Niezupełnie. – Haestan spojrzał na Jirikiego. Sitha skinął głową. – Binabik i Sludig są więźniami króla. Niektórzy twierdzą, że grozi im kara śmierci.

– Co? Uwięzieni?! – wykrzyknął Simon i opadł na łóżko, czując wokół głowy żelazną obręcz bólu. – Dlaczego?

– Sludig dlatego, że jest znienawidzonym przez trolle Rimmersmanem – powiedział Jiriki. – Binabik dlatego, że, jak niektórzy twierdzą, dopuścił się straszliwej zbrodni przeciwko królowi trollów. Nie wiemy, o co chodzi, Seomanie Śnieżnowłosy.

Simon potrząsnął głową zdumiony.

– To czyste szaleństwo. – Zwariowałem albo jeszcze śnię. – Spojrzał z wyrzutem na Jirikiego. – Dlaczego wciąż nazywasz mnie tym imieniem?

– Nie... – zaczął Haestan, lecz Jiriki nie zwracał na niego uwagi i wyjął z kurtki lusterko.

Simon usiadł i wziął je w ręce; delikatne rzeźby na oprawie wydawały się ostre pod jego czułymi palcami. Na zewnątrz zawył wiatr i powiew zimnego powietrza wpełzł pod zasłoną w drzwiach.

Czy już cały świat pokryty był lodem? Czy nigdy nie ucieknie przed zimą?

Kiedy indziej zrobiłby na nim wrażenie rudy zarost porastający jego policzki i brodę, teraz jednak zwrócił uwagę na długą bliznę, która biegła od szczęki przez policzek i obok lewego oka. Skóra wokół niej była sinawa i jakby nowa. Dotknął blizny i zamrugał, a potem uniósł dłoń do włosów.

Długi kosmyk jego włosów stał się biały jak śniegi Urmsheim.

– Zostałeś naznaczony, Seomanie. – Jiriki wyciągnął dłoń i dotknął jego policzka długim palcem. – Na dobre i na złe, zostałeś naznaczony.

Simon upuścił lusterko i ukrył twarz w dłoniach.

Dodatek

Osoby

Erkynlandczycy

Barnabas – kościelny z kaplicy w Hayholt

Beornoth – jeden z kompanów mitycznego Jacka Mundwoode’a

Breyugar – hrabia Westfold, lord konstabl w Hayholt za rządów Eliasa

Caleb – pomocnik Shema, stajennego

Colmund – giermek Camarisa, później baron Rodstandby

Deorhelm – żołnierz z karczmy „Pod Smokiem i Rybakiem”

Deornoth, sir – rycerz Josui, czasem zwany „prawą ręką” księcia

Dreosan, ojciec – kapelan Hayholt

Eadgram, sir – lord konstabl w Naglimundzie

Eahlferend – rybak, ojciec Simona; mąż Zuzanny

Eahlstan Fiskerne – Król Rybak, pierwszy erkynlandzki pan Hayholt

Eglaf, brat – zakonnik z Naglimundu, przyjaciel Strangyearda

Elias – książę, starszy syn Prestera Johna; później Wielki Król

Elispeth – akuszerka w Hayholt

Ethelbearn – żołnierz, towarzysz Simona w czasie podróży z Naglimundu

Ethelferth – lord Tinsett

Fengbald – hrabia Falshire

Freawaru – karczmarz, właściciel karczmy „Pod Smokiem i Rybakiem” we Flett

Godstan – żołnierz z karczmy „Pod Smokiem i Rybakiem”

Godwig – baron Cellodshire

Grimmric – żołnierz, towarzysz Simona w czasie podróży z Naglimundu

Grimstede, sir – szlachcic z Erkynlandu, poplecznik Josui

Guthwulf – hrabia Utanyeat, namiestnik Wielkiego Króla

Haestan – gwardzista z Naglimundu, towarzysz Simona

Heahferth – baron Woodsall

Heanfax – pomocnik karczmarza

Helfcene, ojciec – kanclerz w Hayholt

Hepzibah – pokojówka na zamku

Hruse – żona Jacka Mundwoode'a z piosenki

Inch – pomocnik Doktora, później nadzorca w odlewni

Isaak – giermek

Jack Mundwoode – mityczny leśny bandyta

Jael – pokojówka na zamku

Jakob – kupiec na zamku

Jeremias – pomocnik kupca

John – król John Prezbiter, Wielki Król

Josua – książę, młodszy syn Johna, pan Naglimundu, zwany „Bezrękim"

Judith – kucharka, przełożona nad kuchnią

Langrian – zakonnik z zakonu Hoderundianów

Leleth – służąca Miriamele

Lofsunu – żołnierz, ukochany Hepzibah

Lucuman – parobek ze stajni w Naglimundzie

Malachias – chłopiec z zamku

Marya – służąca Miriamele

Miriamele – księżniczka, jedyne dziecko Eliasa

Morgenes, Doktor – Ten, Który Nosi Zwój, lekarz na zamku Króla Johna

Noah – giermek Króla Johna

Ordmaer – baron Utersall

Osgal – jeden z kompanów mitycznego Mundwoode'a

Ostrael – pikinier, syn Firsframa z Runchesteru

Peter Złoty Kocioł – zarządca dworu Hayholt

Rachel – ochmistrzyni

Rebah – pomocnica w kuchni na zamku

Ruben Niedźwiedź – kowal na zamku

Sangfugol – harfiarz Josui

Sarrah – pokojówka na zamku

Scenesefa – zakonnik z zakonu Hoderundianów

Shem Stajenny – stajenny na zamku

Simon (Seoman) – podkuchenny na zamku

Sophrona – odpowiedzialna za bieliznę na zamku

Strangyeard, ojciec – archiwista z Naglimundu

Susanna – pokojówka, matka Simona

Tobas – nadzorca psiarni na zamku

Towser – błazen (prawdziwe imię: Cruinh)

Wuldorcene – baron Caldsae

Hernystirczycy

Arthpreas – hrabia Cuimnhe

Bagba – bóg sprawujący pieczę nad bydłem

Brynioch Niebiański – bóg niebios

Cadrach-ec-Crannhyr, brat – zakonnik z nieznanego zakonu

Cifgha – młoda dama z dworu Taig

Craobhan – stary rycerz, doradca króla Llutha

Cryunnos – bóg

Dochais – zakonnik z zakonu Hoderundianów

Efiathe – prawdziwe imię królowej Erkynlandu Ebekah, zwanej „Różą Hernysadharc”

Eoin-ec-Cluias – legendarny poeta

Eolair – hrabia Nad Mullach, emisariusz króla Llutha

Fiathna – matka Gwythinna, druga żona Llutha

Gealsgiath – kapitan statku, zwany „Starym”

Gormhbata – legendarny wódz

Gwelan – młoda dama z dworu Taig

Gwythinn – książę, syn Llutha, przyrodni brat Maegwin

Hern – założyciel Hernystiru

Inahwen – trzecia żona Llutha

Lluth-ubh-Llythinn – król Hernystiru

Maegwin – księżniczka, córka Llutha, siostra przyrodnia Gwythinna

Mircha – bogini deszczu, żona Bryniocha

Murhagh Jednoręki – bóg

Penemhwye – matka Maegwin, pierwsza żona Llutha

Czerwony Hathrayhinn – postać z opowieści Cadracha

Rhynn – bóg

Sinnach – książę, wódz w bitwie na Polu Klęski

Tethtain – król, jedyny pan Hayholt pochodzenia hernystirskiego, zwany „Świętym Królem”

Tuilleth – młody rycerz hernystirski

Rimmersmeni

Bindesekk – szpieg Isgrimnura

Dror – dawny bóg wojny

Einskaldir – wódz z Rimmersgardu

Elvrit – pierwszy król Rimmersmenów w Osten Ard

Fingil – król, pierwszy pan Hayholt, „Krwawy Król”

Frayja – starożytna bogini plonów

Frekke – stary żołnierz

Gutrun – księżniczka Elvritshalli

Hani – młody żołnierz zabity przez Bukkeny

Hengfisk – duchowny hoderundiański

Hjeldin – król, syn Fingila, „Szalony Król”

Hoderund, święty – duchowny

Hove – młody żołnierz, krewny Isgrimnura

Ikferdig – król, porucznik w służbie u Hjeldina, „Spalony Król”

Ingen Jegger – Czarny Rimmersman, nadzorca ogarów Nornów

Isbeorn – ojciec Isgrimnura, pierwszy książę z Rimmersgardu w służbie Johna

Isgrimnur – książę Elvritshalli

Isorn – syn Isgrimnura i Gutrun

Ithineg Harfiarz – postać z opowieści Cadracha

Jarnauga – Ten, Który Nosi Zwój z Tungoldyru

Jormgrun – król Rimmersgardu, zabity przez Johna pod Naarvedem

Loken – starożytny bóg ognia

Memur – starożytny bóg mądrości

Nisse – (Nisses) duchowny, pomocnik Hjeldina, autor *Du Svardenvyrd*

Sigmar – młoda Rimmersmanka, o której rękę zabiegał Towser

Skali – tan Kaldskryke, zwany „Ostronosym”

Skendi – święty, założyciel opactwa

Sludig – młody żołnierz, towarzysz Simona

Storfot – tan Vestvennby

Thrinin – żołnierz zabity przez Bukkeny

Tonnrud – tan Skoggey, wuj księżniczki Gutrun

Udun – starożytny bóg niebios

Ute – z Saegardu, żołnierz zabity przez Bukkeny

Nabbańczycy

Aeswides (prawdopodobnie nabbańska wersja erkynlandzkiego imienia) – pierwszy pan Naglimundu

Anitulles – dawny władca

Antippa, lady – córka Leobardisa i Nessalanty

Ardrivis – ostatni władca, wuj Camarisa

Aspitis Preves – hrabia Eadne, głowa rodu Prevanów, przyjaciel Benigarisa

Benidrivinowie – szlachecki ród z Nabbanu, Zimorodek w herbie

Benidrivis – pierwszy książę u Johna, ojciec Leobardisa i Camarisa

Benigaris – syn księcia Leobardisa i Nessalanty

Camaris-sa-Vinitta – brat Leobardisa, przyjaciel Prestera Johna

Clavenowie – ród szlachecki z Nabbanu, Pelikan w herbie

Claves – dawny władca

Crexis Kozioł – dawny władca

Dendinis – architekt Naglimundu

Devasalles – baron, ukochany lady Antippy

Dinivan – sekretarz Lektora Ranessina

Domitis – biskup katedry świętego Sutrina w Erchesterze

Elysia – matka Usiresa

Emettin – legendarny rycerz

Enfortis – władca z czasów Upadku Asu'a

Fluiren, sir – sławny rycerz ze zniesławionego rodu Sulianów

Gelles – żołnierz na targu

Hylissa – zmarła matka Miriamele, żona Eliasa, siostra Nessalanty

Ingadarinowie – szlachecki ród

Leobardis – książę Nabbanu, ojciec Benigarisa, Varellana i Antippy

Mylin-sa-Ingadaris – hrabia, głowa rodu Ingadarianów, brat Nessalanty

Nessalanta – księżna Nabbanu, matka Benigarisa, ciotka Miriamele

Nin Reisu – Niska na statku *Klejnot Emettina*

Nuanni (Nuannis) – starożytny bóg morza w Nabbanie

Pelippa – kobieta pochodzenia szlacheckiego z Księgi Aedona, święta, zwana „z Wyspy"

Plesinnen Myrmenis (Plesinnen z Myrme) – filozof

Prevanowie – szlachecki ród, Rybołów w herbie

Pryrates, ojciec – duchowny, alchemik, czarownik, doradca Eliasa

Quincines – opat w opactwie świętego Hoderunda

Ranessin, Lektor – (Oswine ze Stanshire, Erkynlandczyk) głowa Kościoła

Rhiappa – święta, w Erkynlandzie zwana „Rhiap"

Sulis – rycerz awanturnik, dawny pan Hayholt, „Król Czapla"

Tiyagaris – pierwszy władca

Turis – żołnierz na targu

Usires Aedon – syn Boży w religii aedonickiej

Varellan – najmłodszy syn księcia Leobardisa

Velligis – sekretarz

Vilderivis – święty

Yuvenis – starożytny bóg, opiekun wodzów w Nabbanie

Sithowie

Amerasu – królowa-Erl, matka Inelukiego i Hakatri

An’nai – porucznik Jirikiego, towarzysz polowań

Finaju – kobieta sithijska z opowieści Cadracha

Hakatri – starszy brat Inelukiego, ciężko zraniony przez Hidohehbi

Ineluki – książę, teraz Król Burz

Isiki – sithijski Kikkasut (bóg ptaków)

Iyu’unigato – król-Erl, ojciec Inelukiego

Jiriki (i-Sa’onserei) – książę, syn Shima’onari

Kendharaja’aro – wuj Jirikiego

Ki’ushapo – towarzysz polowań Jirikiego

Mezumiiru – sithijska sedda (bogini księżyca)

Nenais’u – sithijska kobieta z pieśni An’nai, żyła w Enki e-Shaosaye

Shima’onari – król Sithów, ojciec Jirikiego, syn Hakatri

Sijandi – towarzysz polowań Jirikiego

Utuk’ku – królowa Nornów, władczyni Nakkiga

Vindaomeyo – Sitha, który w dawnych czasach wykonywał strzały, żył w Tumet’ai

Inni

Binabik (Qanuc) – (Binbiniqegabenik) uczeń Ookequka, przyjaciel Simona

Chukku (Qanuc) – legendarny bohater trolli

Ten, Który Zawsze Kroczy Po Piasku (Wran) – bóg

Kikkasut (Qanuc) – król ptaków

Lingit (Qanuc) – legendarny syn Seddy, ojciec ludu Qanuc i ludzi

Zaginiony Piqipeg – legendarny bohater trolli

Middastri (Perdruin) – kupiec, przyjaciel Tiamaka

Ookequk (Qanuc) – Ten, Który Śpiewa w plemieniu Mintahoq, mistrz Binabika

Qinkipa ze Śniegów (Qanuc) – bogini śniegu i zimna

Roahog (Wran) – garncarz

Sedda (Qanuc) – bogini księżyca

Ta, Która Zrodziła Ludzkość (Wran) – bogini

Streawe (Perdruin) – hrabia Ansis Pelippe

Tallistro, sir (Perdruin) – sławny rycerz

Tiamak (Wran) – uczony, korespondent Morgenesa

Tohuq (Qanuc) – bóg niebios

Vorzheva (Thrithing) – towarzyszka Josui, córka wodza Thrithingów

Yana (Qanuc) – legendarna córka Seddy, matka Sithów

Miejsca

Cellodshire – erkynlandzkie włości magnackie na zachód od Gleniwentu

Da’ai Chikiza (w języku sithijskim znaczy: „Drzewo Śpiewających Wiatrów”) – opuszczone miasto sithijskie na wschód od Wealdhelm, w lesie Aldheorte

Eirig Ramh (Hernystir) – karczma w Abaingeat, nawiedzana przez Starego Gealsgiatha

Enki-e-Shao’saye (Sithowie) – „Letnie Miasto” na wschód od lasu Aldheorte, od dawna w ruinach

Ereb Irigu (w języku sithijskim znaczy: „Zachodnia Brama” – Pole Klęski; w języku Rimmerspakk: *Du Knokkegard,*

Hewenshire – miasto w północnym Erkynlandzie, na wschód od Naglimundu

Hullnir – wioska we wschodnim Rimmersgardzie, na wschodnim brzegu Drorshullven

Jao e-Tinukai’i (w języku sithijskim znaczy: „Łódź na Oceanie Drzew”) – jedyna istniejąca siedziba Sithów, w lesie Aldheorte

Jhina-T’senei (Sithowie) – miasto z pieśni An’nai, teraz na dnie oceanu

Mały Nos – góra w Yiqanuc, gdzie zmarli rodzice Binabika

Moir Brach (Hernystir) – długi łańcuch górski o kształcie palca, odgałęzienie gór Grianspog

Nakkida (po sithijsku znaczy: „Maska Łez – Burzowa Góra”) – Sturmrspeik (w języku Rimmerspakk)

Qilakitsoq (w języku Qanuc znaczy: Las Cieni) – nazwa trolli nadana Dirnmerskog

Runchester – miasto w północnym Erkynlandzie, we Frostmarch

Seni Anzi’in (w języku sithijskim znaczy: „Wieża Kroczącego Świtu”) – ogromna wieża w Tumet’ai’s

Seni Ojhisa (Sithowie) – wymienione w pieśni An’nai

Skoggey – wolny majątek w centrum Rimmersgardu, na wschód od Elvritshalli

Tssi Suhyasei (w języku sithijskim znaczy: „Jej Krew jest Chłodna”) – rzeka, która płynie przez Da’ai Chikiza; w języku erkynlandzkim: Aelfwent

Tan’ja Stairs – ogromne schody w Asu’a, przedtem centrum Asu’a

Tumet’ai (Sithowie) – północne miasto pogrzebane pod lodem, na wschód od Yiqanuc

Ujin e-d’a Sikhunae (w języku sithijskim znaczy: „Pułapka, w Którą Wpada Myśliwy”) – sithijska nazwa Naglimundu

Woodsall – włości pomiędzy Hayholt a południowo-zachodnią częścią lasu Aldheorte

Zwierzęta

Aeghonwye – maciora Maegwin

Atarin – koń Camarisa

Croich-ma-Feareg – legendarny olbrzym hernystirski

Większa Bestia – według sithijskich mitów praprzodek wszystkich smoków

Hidohebhi – Czarna Bestia, matka Shurakai i Igjarjuka, zabita przez Inelukiego; w Hernystirze nazywana: Drochnathair

Igjarjuk – Lodowa Bestia z Urmsheim

Khaerukama’o Złocisty – smok, ojciec Hidohebhi

Niku’a – pierwszy ogar Ingena Jeggera

Jednooki – baran Ookequka

Qantaqa – wilczyca, towarzyszka Binabika

Rim – koń gospodarski

Shurakai – Ognisty Smok zabity pod Hayholt, z jego kości powstał Smoczy Tron

Rzeczy

Dzik i Włócznie – herb Guthwulfa z Utanyeat

Biały Gwóźdź – miecz Prestera Johna, który zawierał gwóźdź z Drzewa i kość z palca świętego Eahlstana Fiskerne'a

Cytryl – kwaśny, aromatyczny korzeń przeznaczony do żucia

Cyjan – nabbański krzew owocowy, niezwykle rzadki

Ognisty Smok i Drzewo – herb Prestera Johna

Ilenit – drogocenny, lśniący metal

Indreju – miecz Jirikiego wykonany z magicznego drewna

Kvalnir – miecz Isgrimnura

Laska Lu'yasy – konstelacja trzech gwiazd na północno-wschodnim niebie widoczna na początku miesiąca Yuven

Mantinga – korzeń

Sieć Mezumiiru – konstelacja gwiazd; lud Qanuc nazywa je Kocem Seddy

Minneyar – żelazny miecz króla Fingila, odziedziczony po Elvirtcie

Srebrnik – kwiat o właściwościach zioła

Naidel – miecz Josui

Oinduth – czarna włócznia Herna

Szybkoziele – korzeń

Kolumna i Drzewo – emblemat Matki Kościoła

Kocioł Rhynna – uderzając w niego, Hernystirczycy wzywali do walki

Shent – gra zręcznościowa Sithów

Smutek – miecz z żelaza i magicznego drewna wykuty przez Inelukiego, dar dla Eliasa (w języku sithijskim nazywany: Jingizu)

Sotfengsel – statek Elvrita, pogrzebany w Skipphavven

Cierń – gwiezdny miecz Camarisa

Drzewo – Drzewo Egzekucji, na którym powieszono głową do dołu Usiresa przed świątynią Yuvenisa w Nabbanie, teraz święty symbol religii aedonickiej

Kości – służą Binabikowi do wróżenia:

Bezskrzydły Ptak

Rybia Włócznia

Ścieżka Cieni

Pochodnia u Wejścia do Jaskini

Krnąbrny Baran

Chmury na Przełęczy

Czarna Szczelina

Niezawinięta Strzała

Święta

2 Feyever – Candlemansa

25 Marris – Elysiamansa

1 Avrel – Dzień Błazna

30 Avrel – Noc Kamienowania

1 Maia – Dzień Belthainna

23 Yuven – Wigilia Przesilenia Letniego

15 Tiyagar – Dzień Świętego Sutrina

1 Anitul – Hlafmansa

20 Septander – Dzień Świętego Granisa

30 Octander – Wigilia

1 Novander – Wigilia Orki

21 Decander – Dzień Świętego Tunatha

24 Decander – Aedonmansa

Miesiące

Jonever, Feyever, Marris, Avrel, Maia, Yuven, Tiyagar, Anitul, Septander, Octander, Novander, Decander.

Dni tygodnia

Sunday, Moonday, Tiasday, Udunsday, Drorsday, Frayday, Satrinsday.

Słowa i wyrażenia

Nabbańskie

Aedonis Fiyellis extulanin mei – Wierny Boże, uratuj mnie

Cansim Felis – Pieśń Radości

Cenit – Pies, Ogar

Cuelos – Śmierć

Duos wulstei – jak Bóg da

Escritor – sekretarz; jeden z doradców Lektora

Hue fauge – Co się dzieje

Lektor – Mówca; głowa Kościoła

Mansa sea Cuelossan – Msza za zmarłych

Mulveiz nei cenit drenisend – Nie wywołuj wilka z lasu

Oveiz mei – Usłysz mnie

Sa Asdridan Condiquilles – Gwiazda Zdobywcy

Tambana Leobardis eis – Leobardis zabity

Timior cuelos exaltat mei – Niech strach przed śmiercią mnie opuści

Vasir Sombris, feata concordin – Ojcze cieni, przyjmij ten dar.

Hernystirskie

Brynioch na ferth ub strocinh... – Brynioch odwrócił się od nas...

E gundhain sluith, ma connalbehn... – Walczyliśmy dzielnie, moja droga...

Feir – Brat albo Towarzysz

Goirach – Szalony albo Dziki

Sithowie – Lud Miłujący Pokój

Rimmerspakk

Im todsten-grukker – Rabuś grobów

Vaer – Strzeż się

Vawer es do Ukunde? – Kim jest ten dzieciak?

Qanuc

Aia – Z powrotem (*Hinik aia* – wracaj)

Bhojujik mo qunquc – (idiom) Jeśli w pobliżu nie ma niedźwiedzia, to znaczy, że jesteś w domu.

Binbiniqegabenik ea sikka! Uc Sikkam mo-hinaq da Yijarjuk! – Jestem Binabik! Udajemy się na Urmsheim!

Boghanik – Bukken

Chash – Prawda albo Racja

Chok – Biegnij

Croohok – Rimmersmeni

Hinik – Idź albo Odejdź

Ko muhuhok na mik aqa nop – Kiedy spada ci na głowę, wtedy wiesz, że to kamień.

Mikmok hanno so gijiq – (idiom) Jeśli chcesz nosić w kieszeni głodną łasicę, to twoja sprawa.

Nihut – Atakuj

Ninit – Chodź

Sosa – Chodź (tryb rozkazujący)

Ummu – Teraz

Yah aqonik mij-ayah nu tutusiq, henimaatuq – Hej, bracia, zatrzymajcie się i porozmawiajmy.

Sithijskie

Ai Samu'sithech'a – Witaj Samu'sitech'a

Asu'a – Zwrócony na wschód

Hei ma'akajao-zha – Zburzcie go (zamek).

Hikeda'ya – Dzieci Chmury; Nornowie

Hikka – Ten, Który Nosi

Im sheyis t'si keo'su d'à Yana o Lingit – Za krew naszych Przodków (Yany i Lingita)

Ine – To jest

Isi-isi'ye – Rzeczywiście tak jest

Ras – tytuł wyrażający szacunek: Panie albo Szlachetny Panie

Ruakha – Umierający

S'hue – Pan

Skei' – Stój

Staja Ame – Biała Strzała

Sudhoda'ya – Dzieci Zachodzącego Słońca: Śmiertelnicy

T'si anh pra Ineluki! – Na krew Inelukiego!

T'si e-isi'ha as-irigu! – Na wschodniej bramie jest krew!

T'si im T'si – Krew za krew

Ua'kiza Tumet'ai nei-R'i'anis – Pieśń o Upadku Tumefai

Zida'ya – Dzieci Jutrzenki: Sithowie

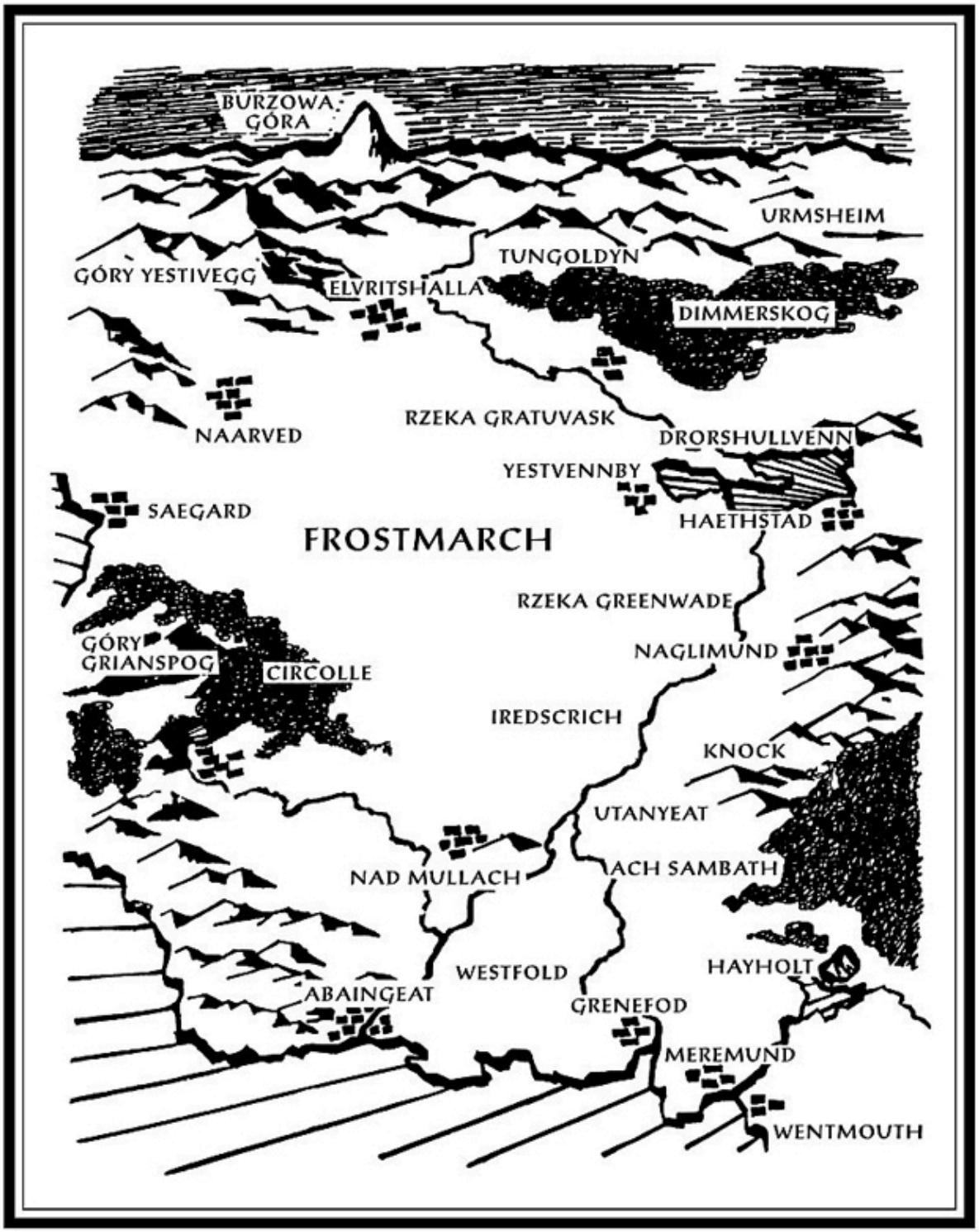
BURZOWA GÓRA
URMSHEIM
TUNGOLDYN
GÓRY YESTIVEGG
ELVRITSHALLA
DIMMERSKOG
NAARVED
RZEKA GRATUVASK
DRORSHULLVENN
YESTVENNBY
SAEGARD
HAETHSTAD
FROSTMARCH
RZEKA GREENWADE
GÓRY GRIANSPOG
CIRCOLLE
NAGLIMUND
IREDSCRICH
KNOCK
UTANYEAT
NAD MULLACH
ACH SAMBATH
WESTFOLD
HAYHOLT
ABAINGEAT
GRENEFOD
MEREMUND
WENTMOUTH

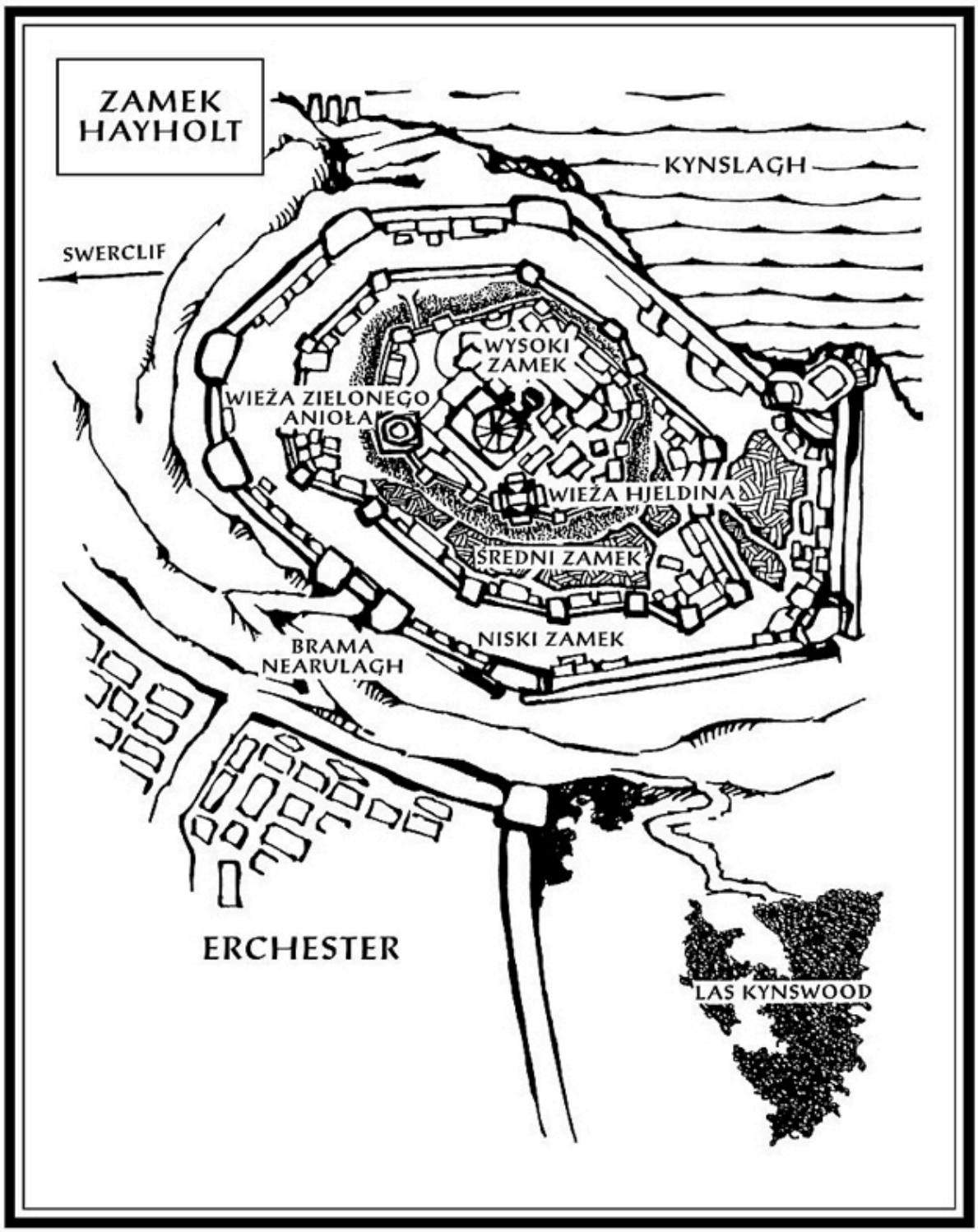
ZAMEK
HAYHOLT
KYNSLAGH
SWERCLIF
WYSOKI
ZAMEK
WIEŻA ZIELONEGO
ANIOŁA
WIEŻA HJELDINA
ŚREDNI ZAMEK
NISKI ZAMEK
BRAMA
NEARULAGH
ERCHESTER
LAS KYNSWOOD

Tytuł oryginału: *The Dragonbone Chair*

Copyright © 1988 by Tad Williams
All rights reserved

Published by arrangement with Daw Book Inc., New York

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2015

Informacja o zabezpieczeniach
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki: Jacek Pietrzyński

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Smoczy Tron, wyd. III poprawione, dodruk, Poznań 2014)

ISBN 978-83-7818-385-3

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink.com